



BIBLIOTEKA

NAUCZELNIEJSZYCH UTWOROW

WARSZAWA

WARSZAWA

BIBLIOTEKA
NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW
LITERATURY EUROPEJSKIÉJ.

LITERATURA POLSKA.

WARSZAWA.
NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA.
(Pod kierunkiem Redakcyi „Kłosów“).
1886.

J. J. KRASZEWSKI.

W Y B Ó R P I S M.

ODDZIAŁ III.

POWIEŚCI SPOŁECZNE

poprzedzone wstępem krytycznym

PRZEZ

Piotra Chmielowskiego.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN

Biblioteka
ul. Nowy Świat 72
00-240 Warszawa

Tel. 25-53-53, 25-52-31 w. 42

WARSZAWA.

NAKLAD I DRUK S. LEWENTALA.

Nowy-Świat Nr. 41 (nowy).

1886.



1970/3

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Юля 1886 г.

W S T Ę P.

(Tendencye w utworach Kraszewskiego).

Nadzwyczajna wrażliwość na wpływy zzewnątrz dochodzące jest jedną z cech głównych umysłu Kraszewskiego; ona wyjaśnia nam do pewnego stopnia niesłychaną jego płodność w setnych ujawnioną dziełach, ona tłumaczy tę giętkość i podatność jego do przejmowania się najróżnorodniejszymi usposobieniami, poglądami i dążnościami, jaką widzimy zarówno w utworach fantazyi jego jak i rozumu. Człowiek bowiem, taką obdarzony wrażliwością, ma możność i zdolność odczuwania wszystkiego, czém przyroda i społeczeństwo nań oddziaływa, a równocześnie potrafi patrzeć na rzeczy i zjawiska z najrozmaitszych, nieraz wprost sobie przeciwnych punktów widzenia.

Wrażliwość ta wszakże ma jedną własność odróżniającą ją od wrażliwości gieniuszów — nie jest głęboką, nie zachowuje długo, trwale i w kształtach niezmienionych tego, co raz w duszę zapadło. Stąd pochodzi wielka różnorodność poglądów i przekonań, jakie w przeciągu długoletniej swój działalności wypowiedział Kraszewski w swych pismach; stąd też częstokroć w blizkich od siebie odstępach czasu głosił on całkiem odmienne, a nawet wprost przeciwne sobie sądy i zdania; stąd nadzwyczaj trudno pochwycić i uwydatnić istotną psychologiczną czy społeczno-polityczną podwalinę, na której wznosił nasz autor gmach swoich utworów.

Zaraz jednakże zgóry zauważyć należy, że w tych przemianach i modyfikacyach poglądów Kraszewskiego była szczerłość najzupełniejsza; nigdy on nie wynosił przekonań swoich na targ, nigdy dla interesu osobistego nie poświęcał tego, co w danej chwili za prawdę uważał. Ponieważ atoli z powodu natury swego umysłu nie mógł mieć gruntownie wyrobionych, ściśle określonych i głęboko utrwalo-

nych zasad filozoficznych i społeczno-politycznych; przejście więc dla niego od jednych do drugich było łatwe, tak iż nieraz zapewne dokonywało się w umyśle jego albo całkiem nieświadomie, albo napół tylko świadomie. Kraszewski mógł i może utrzymywać, iż przez życie pozostał sobie wiernym, gdyż szedł istotnie jedynie za naturą swego umysłu; zmieniał się stosownie do zmian, jakie w tym umyśle zachodziły, nie kierując nim, ani powziętemi raz zasadami, ani też wskazówkami interesu samolubnego.

Niepodobna mi na tém miejscu podawać szczegółowych dziejów umysłu Kraszewskiego; na to ramy wstępu krytycznego do powieści społecznych są zaszczerpane; ograniczyć się więc muszę tylko do zaznaczenia najbardziej znamienitych punktów w rozwoju duchowym powieściopisarza, które do oceny jego twórczości w kierunku społecznym przydać się mogą.

I.

Kraszewski wzrósł i wychował się na prowincyi wśród rodziny znacznej, poczciwej i średnio wykształconej, która nie miała żadnych wybitnych zamiłowań, żadnych ważniejszych przedzeń, ani też żadnych tradycyjnie przekazywanych dążeń; wierzone tam poprostu, spełniając przepisy kościoła bez wglądania w dogmata, a jeżeli się zdarzyły jakie zdania przeciwne religii naniesione prądem wieku XVIII, miały one raczej charakter żartobliwy niż poważny, były raczej na ustach niż w duszy. Wykształcenie wyższe odebrał w uniwersytecie wileńskim w chwili, kiedy ta instytucja znacznie się już ku upadkowi nachyliła i kiedy wśród inteligencji litewskiej nie było silniejszych uwydatnionych przekonań i dążeń ani w kierunku liberalizmu, ani obskurantyzmu, kiedy w tej kolebce nowożytniej poezyi naszej romantyzm nie miał gorących zwolenników, a klasycyzm — uzdolnionych przedstawicieli; słowem, kiedy w Wilnie pod względem naukowym i poetyckim nastąpiła mdła, szara chwila.

Młody wychowaniec uniwersytetu był, jak-to mówili starzy, bardzo „ciekawym“, interesował się najróżnorodniejszymi rzeczami, czytał dużo, a przy satyrycznym z natury usposobieniu, drwił potrosze ze wszystkiego i był wolnomyślnym w duchu XVIII wieku, ale nigdzie jaskrawo z tą wolnomyślnością nie występował, pojedynczemi tylko zdaniem swoję ku niej skłonność objawiając; okazywał wstręt do sentymentalności i uczoności. Co do pierwszej, to istotnie przez czas dość długi nie lubił kreślić scen czułych i śmiał się z romantyków, powiadając w r. 1830: „Pisać ballady? być romantykiem? Otóż sposób pozyskania sławy w dzisiejszym czasie. Te czułe wiersze, których nie rozumiejąc tyle ludzi uwielbia, te podobieństwa, te posta-

cie, te czucia gorące — chwytają za serce! Młode panienki w kątku, niewidziane, ukryte, lubią czytać te bezładne zapaly i zalewać się łzami, których przyczyny nie wiedzą. Gdzieindziej młodzieniec porzywa książkę, uczy się kochać, zapomina deklinacyj, a wzdycha jak najęty do pierwszego czupiradła, które mu się przed oczy nawinie. Starzec czyta równie, czuje mocniej bijące serce, zdaje mu się, że kochał, że jeszcze kocha, muska wyłysiałą głowę przed zwierciadłem, prostuje nogi, chowa starannie tabakierkę i okulary, śpieszy w niewczesne zaloty, kupuje sobie żonę i dwoje ludzi nieszczęśliwemi robi. Oj, nie chcę być romantykiem“ (1). Co do uczoności, to nie cierpiał właściwie 18-letni młodzian erudyta tylko suchych, boć inaczej musiałby sam siebie nie lubić, gdyż od najwcześniejszych lat miał upodobanie w książkach i czytał ich bardzo wiele, a w pierwszej zaraz powieści swojej z przyjemnością kreślił sylwetki literatów i uczonych. Tylko, że żadnego stanu, żadnego fachu nie wyłączał od pocisków swego satyrycznego usposobienia, więc i uczonych w karykaturze przedstawiał. Niema w tém zresztą jakiegóś trwałej zasady; poczytywać ten objaw należy za wynik ówczesnego nastroju autora.

Ten nastrój, w odniesieniu do literatury, został przez 25-letniego pisarza uwydatniony najjaskrawiej w artykule p. n. „Jak się robią książki nowe z starych książek; rzecz o kradzieży literackiej“ (2). Odróżnił on tu trzy rodzaje książek: 1-o ciagnione z siebie, a więc literatura egotyczna, niektóre poezye, romanse; 2-o książki z żywego świata: podróże, historia współczesna; 3-o książki robione z książek — i tych najwięcej: historia cała, wszystkie dzieła erudycy na odgrzewaniu i zszywaniu cudzych myśli, starych lachmanów zasadzone. Pisarze młodzi — według Kraszewskiego — zaczynają od tego, że chcą pisać z głowy i sądząc, że piszą z głowy, piszą tylko z serca; potem gdy ostygną, a serce się wypróżni i gdy trudno klepać jedno i jedno coraz tylko inaczej, szukają materyałów na świecie, a tu znajdują wiele rzeczy, które już z serca wprzód byli wzięli. Znużeni, idą do książek, a że tu najsztuczniej jedno się coraz inaczej jak w kalejdoskopie powtarza, z książek ciagną najdłużej... Gdy pisarz raz, źle czy dobrze, swoją kolęj żelazną sobie odleje; gdy raz z prób przejdzie w dzieła, charakter jego pism ustala się i dalej, o, ludzka słabości! już nie innych lecz siebie okrada i powtarza! Jeśli zaś w ciągu swego zawodu zmieni formę, swój sposób widzenia, cóż jest tego przyczyną? Przeczytanie cudzej książki, naśladownictwo, słabość. Jako przykład tego psychicznego procesu przytacza Kraszewski Lamartine'a, Janin'a, Lacroix, Sand'a, Dumas'a, Hugo.

(1) *Pan Walery*, Wilno, 1831 str. 8 i 9.

(2) *Tygodnik Petersburski*, r. 1837, Nr. 38.

O tym ostatnim mówi: „Pisał naprzód ody podobne do elegij, potem elegie podobne do ód, potem romanse w pół-elegie, w pół-ody, potem to jest teraz zestarzały naśladuje sam siebie. Jego dramata są odgrzewane także, materyał w nich często gorszy od jarmarcznych tur-lupinad, świeci się w nowej błyszczącej oprawie i do każdej niemal nowej książki nową zmyśla teorią“. Uogólniając swój surowy sąd o literaturze powszechnej, powiada: „Od alkoranu Mahometa aż do romansów naszego Balzaca, których materyał pierwszy jest pożyczony, *wszystko prawie* jest tylko odgrzewaniem“. O naszych pisarzach ma oczywiście równie potępiające przekonanie: „Gwagnin skradł niepocziwie Strykowskiemu, Bielski kradł żywcem wszystkie historye, jakie mu wpadły pod rękę, Górnicki ubrał Castigliona w kontusz i żupan, Kochanowski — Horacyusza i Wide, Paprocki żywił się Kromerem i Długoszem, Rej z rozmów kradł kawałki, gdy się lenił z książek. Później kradli wszyscy bez litości, bez miłosierdzia, bez sumienia, uważając prawie kradzież i naśladownictwo za godny pochwały uczynek. W wielkim wieku Stanisława Krasicki plądrował po godzinach w miejscach Woltera, po Plutarchu i tylu innych; sam mnich (!) przez naśladownictwo na mnichów pisał; w Doświadczyńskim prze-bija się Kandyd i Zadig; — nie ukradł Wojny Chocimskiej, tylko ją wziął z historyi; ale co też ona warta! jaka kusa! jaka biedna!...“ Naruszewicz trawił cały tydzień, co zjadł u króla we czwartek. Trembecki zrobił poemat z Zosiówki, gdzie Pelej i Tetyda, barany i filozofowie i piękna Zofia razem sobie siedzą. Przybylski całe życie nicował, Dmochowski gładził i naprawiał, Szymanowski zjadł najnudniejszy kawałek Montesquieugo, Węgierski był słabym cieniem Pirona. „Dziś — powiada Kraszewski dalej, przechodząc do literatury sobie współczesnej — co robim? Naśladowaliśmy Niemców, tłumaczmy Francuzów; może jak się nauczymy po angielsku, będziemy Anglików nicować, a jak trochę poduczymy, zaczniemy nieznacznie okradać i przerabiać. Bo zawsze naprzód idzie tłumaczenie, potem przerabianie a nakoniec kradzież“. O zwrocie romantycznym wogóle wypowiada słowa zgryźliwości pełne: „Precz! precz! — zawołali wszyscy widząc (starożytnych) obnażonych i odartych; chodźcie tu średnie wieki. A te średnie wieki tak barbarzyńsko-poetyczne przyszyły pokornie na rozkaz i stanęły pod pręgierzem. Nuż tworzyć bal-lady, sonety; na plac — mnichy, krew, mordy, zameczyska i wieże, cały aparat obyczajów feudalnych, cały ów świat rycerski, który już raz zabił żartem Cervantes i pogrzebł go, stawiać mu nad grobem krzyżyk z włóczni Don Kichota i kijów Sanszopansy“. Współczesną sobie literaturę europejską przezwał „wyrobniczą, plagiatorską“, mówiąc, że nie może uwielbiać Wiktora Hugo, który ma 20000 franków dochodu i co kilka lat zmienia teorie literackie i polityczne, ani Du-

masa, ani Balzaca, ani Scribe'a, ani Lamba, ani Bulwera; że wielbi tylko Homera, Camoensa, Chattertona, Gilberta, Cheniera, „którzy padli ofiarą swojej wyższości, którzy ze swęj duszy tworzyli nieśmiertelne dzieła, nie wzywając pochwały, nie wyciągając ręki“.

Gdy tę satyryczną wycieczkę przeciwko literaturze wogóle pomieścił *Tygodnik Petersburski*, czasopismo cieszące się wówczas szerokiem rozpowszechnieniem i mające tę sławę, że jego redaktor, Józef Przeclawski, to człowiek nadzwyczaj bystrego umysłu i zdrowego sądu, Kraszewski poczuł w sobie chętkę wystawienia pod pręgierz całej cywilizacji społecznej, wykazując jęj wady, grzechy i zbrodnie. Z równie lekkomyślną śmiałością, jak w ocenie plodów literackich ludzkości zabrał się do krytykowania innych objawów jęj życia. W szeregu artykułów, objętych ogólnym napisem — „Asmodeusz w roku 1837“ zaczął ośmieszać wszystko, częm się wiek XIX chlubił, nie pozostawiając na wspaniałęj szacie stulecia żadnej niteczki, którejby nie wytknął słabości i nietrwałości. Zaraz w pierwszym wieczorze ⁽¹⁾ Asmodeusz w żartobliwęj z don Kleofasem rozmowie wyśmiewa odkrycia, wynalazki i ulepszenia wieku XIX mieszając naumyślnie rzeczy wielkie z drobnymi, ażeby je na jednakowym umieścić poziomie. Mówi więc o kolejach żelaznych, oświeceniu gazowém, frenologii, pigułkach Leroi, nowych systematach we wszystkich naukach; a tym zdobyczom, z których się stulecie przechwalało, przeciwstawia ubóstwo, samobójstwa, zmagmatwanie w pojęciach a zwłaszcza obojętność moralną. „Wasza popularna oświata — powiada Asmodeusz — bez systematu i porządku rzucona na niższe klasy pośle ich dużo do piekła... Połowa waszych cudnych wynalazków nie potrwa długo; obali je doświadczenie; z początku są one wielkie na małą skalę; użyte obszernięj, zawiodą“. W wieczorze drugim ⁽²⁾ prowadząc rozmowę na temat „człowiek i zwierzę“ uważa zdanie Roussa, że człowiek jest zepsutęm zwierzęciem za prawdę, wyrzuca ludziom egoizm, że o sobie tylko piszą, lekceważąc swych „młodszych braci“, sztydzi z tytułu „pana stworzenia“ i z astronomów, którzy nie mogą przypuścić, aby bez powietrza żyć na Marsie czy Wenerze można było „oddychając parującemi kruszcami“. Jedność normy stworzonych istot, odkryta przez Geoffroi St-Hilaire'a, do tego tylko przyprowadziła, że za najdoskonalszą organizacją ostateczną non plus ultra uznano człowieka — mówi szydycz — a jednakże „do doskonałęj historyi natury potrzebaby mocy zupełnego odczłowieczenia, bezstronności, na jaką zdobyć się trudno a może niepod-

(1) *Tygodnik Petersburski*, 1837, Nr. 83.

(2) Tamże, Nr. 95.

bną⁴. Cywilizacja obecna, w której za cel ostateczny nauki postawiono „korzyść, użytek, egoizm, spekulacją“, przedstawia mu się jako „gmach z wąską podstawą, rozszerzającą się ku wierzchołkowi, który lada chwila upadnie“. W wieczorze trzecim⁽¹⁾ z werwą wielką, ale jeszcze większą zjadliwością występuje przeciw literaturze francuskiej, szerzącej okropne zepsucie, napada szczególnie na romanse Sanda; a następnie wyszydza sceptycyzm, brak idei, parlament angielski, banki oszczędności, ubezpieczenia, zakłady dobroczynne, przeciwstawiając mu pobożne fundacje XVI i XVII stulecia. W wieczorze czwartym⁽²⁾ już wyraźnie i bez ogródki wyśmiewa „wiek progressu“, za przedstawicielkę jego główną podając Francję i objawy jej życia cywilizacyjnego potępiając. Zarzuca jej mianowicie frymark nauką, ujawniający się w biurach ogłoszeń, ogłoszeniach leczniczych, handlu książkowym, bankach oszczędności. Podczas wieczoru piątego⁽³⁾ mówi głównie o rozpowszechniającej się zarazie samobójstw, jako wyrazie cywilizacji bez żadnej idei i zasady, której literatura wpływa zabójczo szczepiając w duszach przesyt i zwątpienie. I pod wpływem tego rozgoryczenia na cywilizację, a może pod wpływem tylko frazesów własnych przeciwko niej zwróconych, Kraszewski zapomina o swém uwielbieniu przedkilkomiesięcznym dla Gilberta i Chattertona i zwie ich poprostu — szalbierzami: „Gdy Gilbert, Chatterton lub kto inny się zabija, to trudno wytlómaczyć inaczej jak nierozumną rozpaczą lub podłém tchórzostwem, lub wreszcie nienasyconą czezością umysłową, której wina na wiek spada“. Wieczór szósty⁽⁴⁾ poświęcony został widowiskom, naturalnie francuskim; Asmodeusz wystawia szkarady tańców, figlów, oper; twierdzi, że Wiktor Hugo i Aleksander Dumas przedstawiali najplugawsze sceny życia i historii.

Na tym ostatnim artykule przerwał Kraszewski swego Asmodeusza; niewątpliwie przyczynił się do tego Michał Grabowski, który w 10 numerze „Tygodnika Petersburskiego“ z r. 1838 odzywając się z wielkimi pochwałami o pismach Kraszewskiego, tytułując go stale „znakomitym pisarzem“, zwrócił jego uwagę na to, że nie określiwszy jasno, czy francuskie, czy nasze stosunki w Asmodeuszu maluje, może wprowadzić czytelników w wielkie błędy, może zniechęcić do czytania. Kraszewski niebawem odpowiedział, że uwagi swoje tylko do Francji stosował, chcąc poka-

(¹) *Tygodnik Petersburski*, 1837, str. 98

(²) Tamże r. 1838, Nr. 1 i 3.

(³) Tamże, Nr. 6.

(⁴) Tamże Nr. 12.

zać, że to, co my tak wysoko cenimy, jest wewnątrz próżne lub zepsute; dalszego ciągu Asmodeusza nie nadsyłał. Nie poskutkowało nawet zachęta redaktora „Tygodnika“, który w N. 31 pomieścił list otwarty, gdzie oświadczywszy, iż obowiązkiem redaktora jest wstępnym bojem zwalczać przesady i uprzedzenia swojej epoki i swego kraju, tak pisał do Kraszewskiego: „Pańskie artykuły są właśnie w tym duchu; są one rozwinięciem, z nieukończeniem większym talentem, pierwiastku, który stale przewoźniczy redakcyi Tygodnika. Dążą one już do wytrzeźwienia nas ze zbytniego uwielbienia dla pewnych imion i rzeczy, już do sprostowania błędnych sposobów widzenia, już nakoniec do pokazania rzeczy we właściwem świetle i zachowania przeto od umysłowych wyboczeń, któreby z obcych krajów wtargnąć do nas mogły. Pisma pańskie są prawdziwą i wielką przysługą dla ogólnej masy narodowego myślenia; gdzieindziej zjednałyby autorowi słuszną wziętość, u nas *ściągnęły niechęć*; ale to rzecz bardzo naturalna; trzeba być na to przygotowanym; my nie lubimy, żeby nas ostrzegano, odczarowywano“. Kraszewski na ten list odpowiedział w 46 numerze Tygodnika, dając niby wstęp do dalszego ciągu Asmodeusza. Dowiadujemy się tu, że „burze i nieporozumienia“ ścigają wszystkie prawie artykuły Kraszewskiego, że żadne pismo nie ma tak ustalonej sławy i popularności jak Tygodnik, i że Kraszewski życzy sobie jak najdłużej zostać z tém pismem i jego redaktorem w stosunkach przyjaznych. „Ja — mówi Kraszewski — burzy się nie boję, równie jak o pogodę nie proszę. W literaturze martwy stan słuchaczów jest najgorszy; jak tylko się obrażają i krzyczą, znać, że słuchają i choć potrochu rozumieją; a choćby z jakichkolwiekby powodów na mnie hałasowali, nigdy to mnie do tyła obchodzić nie może, iżby miało odstręczyć od pisania lub odmienić sposób widzenia rzeczy“. Nastaje na ten szczegół, że naśladowanie francuszczyzny wywołało ten skir, który się tak niebezpiecznie w społeczeństwie naszym rozwinął, a zarazem podaje środek nań zaradczy.

Ażebym zrozumieć, skąd myśl o tym środku Kraszewskiemu się nawinęła, trzeba wiedzieć, że mając nadzieję otrzymania katedry literatur słowiańskich w uniwersytecie kijowskim, świeżo wówczas założonym, zajmował się Kraszewski przez czas znaczny studyami słowiańskimi. Otóż gdy całą cywilizacyą nowoczesną, zachodnią potępił jako zwodniczą i zepsutą, naturalnym biegiem myśli wpadł na znaczenie Słowiańszczyzny. Niewiadomo mi, czy mu wówczas znane były marzenia ówczesnych słowianofilów rosyjskich, w każdym razie niema wyraźnych tego śladów w jego pismach; ogólny zaś pogląd na wielką doniosłość misyi Słowian nie był właściwo-

ścią samych tylko słowianofilów; wypowiadali go już wtedy różni ludzie niezależnie od siebie. U Kraszewskiego pierwszy ślad tego słowiańskiego kierunku znajdujemy w artykule p. n. „Myśli o gramatyce historyczno-porównawczej języków słowiańskich“⁽¹⁾, gdzie mówiąc o potrzebie metody porównawczej w slawistyce powiada: „Kto wie, czyli podobne zbliżenie, pojednanie, zrównanie nie byłoby pierwszym krokiem do zjednoczenia, które leży w łonie czasu niechybnie. Cywilizacya łączy ludy tysiącem stosunków i potrzeb wzajemnych, ustanawia handel płodów umysłowych; wpływy częstsze, terminologie wspólne powoli nieznacznymi ogniwami łączą najrozmaitsze języki; czemużby bratnich kiedyś ściślej nie związała wspólność ukształcenia i losów, tak jak je rozłączyły wypadki różne i odmienne koleje... Co czas rozłączył, czas złączyć może; co rozdział odróżnił, połączenie zjednoczyć“. Ale przeciwstawienie słowiańszczyzny cywilizacji zachodniej, nawoływanie do samoistnego rozwoju ukazało się dopiero właśnie w owej odpowiedzi na list Przeclawskiego, napisanej w Omelnie 21 maja 1838 r. „Nam Słowianom — pisze tu — nie wypada naśladować, bo naśladownictwo zawsze jest dowodem słabości. Znać obce kraje, rozumieć ich byt, oswoić się z ich literaturą, naśladować nie w procederze życia, lecz w siłach, jakie się u nich rozwijają, potrzeba; lecz razem potrzeba strzedz się umysłowego złania, któreby nam Słowianom odebrało oddzielny charakter rodzimy“.

Chwilowo wprawdzie patrzył Kraszewski trzeźwiej na to upragnione tylko ale jeszcze nieureczywistnione marzenie i poddał krytyce⁽²⁾ zapatrywania Maciejowskiego „zagorzałego słowianofila“, który Słowian „odmalował jako najdoskonalszy naród, daleki od wszelakiego barbarzyństwa, wyższy od wszystkich sąsiadów uprawą nawet umysłową“; — ale niebawem znowu do téj idei się zapalił i wołał:⁽³⁾ „Wszyscyśmy Słowianie i wszyscy piszemy po słowiańsku, choć jedni ruskim, drudzy polskim, trzeci czeskim językiem; kiedy Słowianin z nas który wyda co doskonałego, poklaskujemy zarówno wszyscy, serca nasze biją, oczy się zapalają, piersi podnoszą — i oglądamy się na Niemców, na Francuzów, na Anglików, dumnie ku nim mówiąc: Patrzajcie! patrzajcie! słuchajcie! — Tak, przyszedł czas na Słowian, przyszedł na nich czas pochwycenia oświaty, nauk, cywilizacyi, steru w ręce silne i zdrowe, w piersi gorące, w umyśle jasne i silne prostotą swoją; przejdą do nas nauki,

(1) *Tygodnik Petersburski* 1837, Nr. 57.

(2) Tamże r. 1839 Nr. 94.

(3) Tamże, r. 1841, Nr. 26.

przejdzie do nas życie umysłowe, a na Zachodzie zostaną... przemysł i gwary *dogasającego żywota* na sporach o mydlane bańki reform społecznych! Bóg z niemi! Kląniamy wielmożnym nauczycielom, którzy *dziecinnie ze starości zaczynają*, gdy my dorastamy, młodzi i silni. Cóż za dziw, że pedanci zowią nas barbarzyńcami! To zazdrość w nich gađa, to przeczucie upadku i duma zraniona“. W czasopiśmie zaś przez siebie redagowanem od r. 1841 p. n. „Athenaeum“ przeznaczył dość dużo miejsca dla sprawozdań i tłumaczeń z literatur słowiańskich, głównie z rosyjskiej i czeskiej.

Atoli to przeciwstawienie słowiańszczyzny oświacie zachodniej w najlepszym razie mogło mieć znaczenie dopiero na przyszłość; na chwilę zaś obecną potrzeba było odnaléć inną oporę, ażeby po zohydzeniu cywilizacji nowoczesnej, nie wpaść w sceptycyzm krańcowy. Znalazł ją Kraszewski, jak wielu innych jemu współczesnych, w jednym z czynników owéj potępionéj cywilizacji, t. j. w katolicyzmie, który miał wtedy zdolnych apologietów, mianowicie wśród Francuzów. Już w roku 1838 rozbierając jeden z artykułów Michała Grabowskiego, który był u nas jednym z głównych rzeczników reakcji katolickiej przeciw wolnomyślności, wypowiedział te znamienne słowa: „Powrót ze sceptycyzmu do idei religijnych daje się czuć w drgających konwulsyjnie członkach całej ludzkości, pozbawionéj odjęciem chwilowém wsparcia religii — celu swojego i punktu oporu. Francya, która zaraziła tym duchem całą prawie Europę, zdaje się teraz sama dawać przykład powrotu (1). Ten zwrot religijny przez parę lat nie zaznaczył się atoli w pismach Kraszewskiego śladami donioślejszego znaczenia i dopiero w prospekcie czasopisma „Athenaeum“ wystąpił u niego na plan pierwszy, teoretycznie przynajmniej. „Zmuszeni obrać barwę właściwą — czytamy tu—Athenaeum co do ducha będzie opinii składających się nań pisarzy. Ma ono na pierwszym względzie *zwrócenie umysłów na drogę idei religijnych zdrowych*. Tępić będzie niedobitki wyobrażeń i przekonań XVIII wieku. Stanie do walki z materyalizmem, niewiarą, sceptycyzmem i nowszym panteizmem młodéj Europy. Nie zapełniając się wyłącznie artykułami religijnymi, Athenaeum starać się będzie, aby *wszystko widziane w niem było z punktu widzenia religijnego, pisane w duchu religijnym*. Nie przyjmie nic trącącego filozofią zbutwiałéj szkoły francuskiej XVIII wieku, albo *nowemi opiniami*, będącemi tylko pobielanym grobem XVIII wieku. W oddziale filozofii moralnéj postaramy się zwrócić uwagę na walną sprawę pobratania

(1) *Tygodnik Petersburski*, 1838 N. 36.

filozofii z katolicyzmem, sprawę dopełnioną w naturze rzeczy, ale niewyjaśnioną dla wielu, szczególnie u nas“.

Zdawałoby się, że Kraszewski, który tak wyraźnie sformułował to stanowisko pisarza reakcyjnego, znalazł już istotnie dla siebie rozwiązanie najważniejszych zagadnień, znalazł ostoję dającą umysłowi jego niezachwiany punkt oparcia, znalazł cel wybitny dążenia w swoim zawodzie pisarskim. Ale tu właśnie weszła w grę nadzwyczajna wrażliwość Kraszewskiego na wszystkie wpływy zewnętrzne. Niebawem ostygł w żarliwości religijnej i słowiańskiej, i lubo pomieszczał w czasopiśmie swoim artykuły w tym duchu, lubo sympatyzował z „Pielgrzymem“ założonym w Warszawie przez Eleonorę Ziemięcką z wybitnym celem wykazywania nicości filozofii a potęgi religii katolickiej, nie stał się wcale ani obrońcą katolicyzmu, ani słowianofilem. Odwiodła go od tego nowsza filozofia niemiecka poczynając od Hegla, oraz jęj mniej lub więcej oryginalne naśladownictwo u nas.

II.

Filozofia Hegla miała oczywiście u nas zwolenników przede wszystkim w W. Ks. Poznańskim, skąd młodzież jeździła na uniwersytet do Berlina i tam nasłuchawszy się wielbionego mistrza, za powrotem do kraju mówiła o nauce jego z uwielbieniem i słowy entuzyastycznymi pociągała żywsze umysły. Libelt, Cieszkowski — to najgłośniejsi reprezentanci Wielkopolski, którzy metodą dyalektyczną Hegla, swoje poglądy filozoficzne, nieraz przeciwne nauce mistrza, szerzyli. Obok nich i z innych dzielnic kraju znaleźli się miłośnicy mądrości niemieckiej, a zwłaszcza Kremer i Trentowski. Do Warszawy przeniósł zamiłowanie do tej filozofii umysł wrzący i chaotyczny, lubo z sercem najlepszym, Edward Dembowski. Na Rusi zwolennikiem idei heglowskich był zdolny pisarz Tytus Szczeniowski.

Około r. 1840 zainteresowanie się filozofią niemiecką wśród młodzieży inteligentnej było bardzo wielkie na całej przestrzeni Rzeczypospolitej; rozprawiano o niej gorąco, lubo niewielu dobrze ją rozumiało; sądzono wszystko z punktu widzenia filozoficznego; ludzi, którzy nie przyswoili sobie formuł filozoficznych, traktowano lekceważąco, zowiąc ich pogadliwie empirykami; kto chciał mieć sławę człowieka postępowego, ten musiał choć trochę zarywać z filozofii.

Kraszewski nie mógł oczywiście pozostać obojętnym na ten ruch umysłowy w kraju; nowość zajęła go; postanowił przestudować główne dzieła filozoficzne Niemców, lubo nigdy prawdziwego zamiłowania ani też uzdolnienia do badań tego rodzaju nie

niał. Jakże mógł jednakże pozostać głuchym na głosy, które się zewsząd wtedy odzywały, albo z namiętnemi pochwałami, albo też z gwałtownemi napaściami na „królowę nauk“. Być obeznanym z tém, co się działo w świecie i w kraju — to jeden z zasadniczych rysów umysłowości i nastroju Kraszewskiego.

Studia te, którym się przez czas jakiś autor nasz poświęcał⁽¹⁾, musiały oczywiście oddziaływać na jego dążności i sposób myślenia. A przedewszystkiém ochłodziły w nim zapal bratania filozofii z religią i wskazały, że słowiańszczyzna nie dorosła jeszcze tak, iżby bez nauki zachodniej obejść się mogła. Zaczął więc w „Athenaeum“ pomieszczyć artykuły Tytusa Szczeniowskiego, zaznajamiające ogół polski z filozofią Hegla, a następnie i sam już to tłumaczył, już to pisał oryginalnie w tym kierunku. Ciekawą jest rzeczą, jak wobec tych, którzy program „Athenaeum“ wzięli naseryo, objaśniał Kraszewski pomieszczenie takich rozpraw. Gdy pierwsza z nich się pojawiła, Eleonora Ziemięcka napisania list do redaktora, wyrzucając mu wprowadzenie do czasopisma pierwiastku niezgodnego z przyrzeczeniami prospektu. Kraszewski odpisał jęj w te słowa (9 czerwca 1842 r.): „Niech go pani nie bierze za nową profesyą wiary; niéma on tego znaczenia. Myślałem tylko, a może być bardzo, że myślałem fałszywie, iż dla naszych czytelników poznać się z Heglem, o którym prawią często nie wiedząc, co on jest, byłaby pożyteczna. Nie żeby go sercem przyjąć mieli, ale by im nie był obcy. Artykuł więc ten w pewien sposób miał tylko znaczenie historyczne, i wielki mój błąd, żem o tém nie ostrzegł czytelników, błąd, z którego się chętnie poprawię“⁽²⁾. Poprawa ta nie nastąpiła jednak natychmiast. Kraszewski drukował dalej artykuły Szczeniowskiego, sam studyował i tłumaczył (dla siebie) logikę Hegla, zabierał się do napisania rozprawy („Rzut oka na stan filozofii niemieckiej“), a jakkolwiek wszystkich rezultatów filozoficznych nie podzielał, unosił się nad pięknym gmachem przez Niemców wzniesionym, podziwiał pełne „zdumiewającej subtelności i głębokości spostrzeżenia nad naturą“ i wogóle „nowy pogląd na świat“. Przez dwa lata trwało to gorące zajęcie się filozofią; przy końcu listopada 1844 r. wyznaje Kraszewski, że się już przesycił: „Strasznie te mądre rzeczy zajmują — powiada — ale jakoś, przyznam ci się, człowiek zamiast uczyć się czegoś, to o wszystkim wątpi!“ W powieściach wtedy pisanych, głównie zaś w opowiadaniu „Pod włoskiem niebem“ i „Pamiętnikach nieznanego“,

(1) Zob. rozprawę H. Struvego: „J. I. Kraszewski w stosunku do filozoficznych dążności swego czasu“ (w *Księżce Jubileuszowej* 1880).

(2) List w rękopiśmie udzielony mi przez córkę Z., p. Tatarowiczową.

widać wyraźnie wpływ idei przez filozofią niemiecką szerzonych. Ale owo wątplenie o wszystkiém, jako wynik studyów nad filozofią, zwróciło znowu myśl Kraszewskiego do szukania pociechy i pewności w religii.

Jakby dla oczyszczenia umysłu swego z mętów filozoficznych, a zarazem dla okazania, iż filozofią, którą się postępowcy przechwalali, poznał, Kraszewski ogłosił surową krytykę jednej części „Myśli” Trentowskiego p. n.: „System Trentowskiego, treścią i rozbiorem analityki loicznej okazany” (Lipsk, 1847, str. 252). Następnie zaś w formie niby powieści, przedstawił poszukiwanie prawdy przez młodzieńca, który łatwo dostrzega sprzeczności i niedokładności wiedzy ludzkiej, ale który nad żadną rzeczą gruntośnie zastanawiać się nie lubi. Powiastka ta, czy raczej wierutna bajka p. n.: „Tomko Prawdzic” (wyd. r. 1850) miała być historią studyów filozoficznych, podejmowanych przez młodzież w okresie czasu 1840—1850 i udowodnieniem, że nigdzie, w żadnym systemacie umysł nie może znaleźć uspokojenia zupełnego, że wiedza ludzka redukuje się w końcu do tej prawdy jedynej, że $0=0$, a jakkolwiek autor nie chce odstręczać od nauki wogóle, nie rokuje wszakże badaczowi rezultatów pomyślnych, radzi mu powrócić na łono kościoła i szukać szczęścia w zaciszu domowém. Poczciwy, zacny książd Sycyna, tak prawi tu o żądzy badawczej: „Znak pytania jest sam z siebie rzeczą złą i potępioną. Grzech pierworodny był zuchwałym znakiem zapytania; na nim stoi cała filozofia świecka, bunt aniołów przeciwko Panu Bogu niczém inném nie był także, krom zbrojnym znakiem zapytania. Ciekawość — pierwszy stopień do piekła, a znak ciekawości jest znakiem piekielnego niepokoju duszy”. Autor zaś sam przez usta mistrza podaje jako wynik ostateczny ówczesnych studyów swoich uwagi natury moralno-praktycznej.

„W *nauce* prawdą jest, że nic spełna nie umiemy; że na najwyższym szczeblu umiejętności ludzie upokorzeni wołają: wiemy, że więcej jest daleko nad to, co umiemy i rozumem naszym dojść możemy. Głupcy tylko, mieniać się mędrcami, wołają: myśmy posiadli wszystko, pojęli wszystko! Są-to umysłowi Chińczycy, którzy po-za granicą Chin swoich nie już nie wiedzą.

„W *świecie moralnym* prawdą jest poświęcenie siebie dla ogółu, życie cząstki w całości, spojenie z jej losami... Pojedynczy człowiek znikomy jest i nikczemny; cała ludzkość ze swą różnaitością i wielkością i całą przeszłością i polami przyszłości stanowi dopiero ideał człowieka... Winienes wiedzieć, że ludzkości całej szczęście — celem każdego z jej członków najświętszym, że cała ludzkość twym bratem, a miłość bliźniego nie tylko obowiązkiem,

nie tylko cnotą, ale prawem jest twojego bytu. Szczęście całe jest w niebie; obłamki jego leżą dokoła; a nie trzeba ich zbyt głęboko szukać; nie trzeba się spodziewać całego i pełnego szczęścia, jakie pojmujemy, bo tu go nie znajdziemy. Nie szukaj go w dobrym bycie, bo ten jest i być musi tysiącom zmian uległy; nie szukaj nadewszystko w sobie i siebie jak zwierzę nie czyni celem stworzenia, a ogniskiem wszystkiego... Za poświęcenie nie szukaj nagrody, ani chluby, ani pragnij, aby się na niem poznano, ani mów o niem; poniżaj się, boć w istocie małym zawsze, póki wielkim się sądzisz, boś znikomy, słaby, drobny w obliczu Boga, w obliczu ludzkości nawet“.

Tak szczupłym był, jak widzimy, plon prawd zebranych przez Kraszewskiego na polu dociekań filozoficznych; ograniczał się do bardzo pięknych wprawdzie, ale wcale nie nowych ogólników moralnych, które jako zasada są cenne, lecz nie mogą służyć za dokładne objaśnienie świata ani fizycznego ani moralnego.

Daleko ważniejszą w tym czasie była działalność Kraszewskiego w dziedzinie zadań społecznych. On pierwszy w kraju po roku 1831 poruszył nanowo w formie powieściowej kwestyą włościańską, wykazując w szeregu pięknych utworów (historja Sawki, Ulana, Ostap Bondarczuk, Jaryna, Budnik) straszne skutki już to samowoli panów względem chłopów, już to przesądu klasowego, niedozwalającego uzdolnionemu i wykształconemu wieśniakowi zająć stanowiska w społeczeństwie, na którémby mógł działać pożytecznie na szerszą skalę. Ta strona działalności naszego autora jest dobrze znana; dosyć ją tylko wzmiankować. Ale i tu zauważyć można tę samą chwiejność poglądów, co i w kwestyach filozoficznych. Dopóki prąd demokratyczny w całym kraju był silny, Kraszewski śmiało wystawiał nadużycia władzy szlachty nad chłopami na Litwie i Rusi; ale gdy po nieudanych ruchach rewolucyjnych roku 1848, zapanowała i w całej Europie i u nas reakcyja, nie wahał się w „Ładowej pieczarze“ wystawić tych samych stosunków niby patryarchalnych, które poprzednio chostał, jako ideał, ku któremu zdążać należy, byleby tylko rząd szlachty był prawdziwie ojcowskim. Kraszewski nie zdawał sobie widocznie wówczas sprawy z tego, że w kwestyi włościańskiej nie szło o takie lub inne usposobienie dziedziców, nie o indywidualne uczucie panów i chłopów, ale o prawo, któreby regulowało stosunki jednych do drugich. Zrozumiał to dopiero później, kiedy z inicjatywy państwa pomyślano o stanowczej reformie tych stosunków. Wówczas Kraszewski wrócił znowu do swych myśli dawniejszych, i gorąco, z narażeniem się na chwilową wśród szlachty niepopularność, wystąpił jako rzecznik włościan.

III.

Zanim atoli do tego przyszło, Kraszewski miał sposobność wyjawienia poglądów swoich na sprawy bardzo ważne, treści ekonomicznej.

W r. 1850 zniszono granicę celną między królestwem a cesarstwem; fakt ten wpłynął na ożywienie przemysłu i handlu w Królestwie; zajęli się nim nietylko tradycyjnie na tém polu pracujący Niemcy i żydzi, ale także polscy obywatele. Drobne-to były jeszcze objawy tego ruchu ekonomicznego, który później miał się tak świetnie rozwinać. Te pierwsze próby nie uszły bystrego oka Kraszewskiego, a ponieważ kierowało nim zawsze pierwsze wrażenie, nie omieszkał wypowiedzieć o nich swego zdania. Wydały mu się niebezpiecznymi zarówno dla narodowej jak i moralnej strony społeczeństwa; oceniał je bowiem nie jako wytrawny publicysta, znający dokładnie potrzeby chwili, ale jako wrażliwy marzyciel, który znowuż podjął swą myśl młodzieńczą o zepsuciu cywilizacji zachodniej, a w ruchu ekonomicznym krajowym dostrzegł tylko naśladownictwo tój cywilizacji, naśladownictwo zgubne, bo prowadzące do zmateryalizowania dążeń narodowych, do uśpienia ducha. Z tém marzycielskiem usposobieniem połączyło się zamiłowanie artysty, nie lubiącego regularności, zbyt wielkiego porządku, a uwielbiającego malowniczość i pewien miły nieład.

W takim to nastroju powstało studyum patologiczne „Choroby wieku“ (r. 1856), mające na celu wykazanie, że zajęcie się sprawami materyalnemi ostudza i rozprzega stosunki rodzinne, zabija ducha, nie daje szczęścia, bo czyni ludzi wyrachowanemi egoistami lub machinami. „Niech mi nikt nie dowodzi — powiada Kraszewski — że można być najlepszym gospodarzem, agronomem, spekulantem, przemysłowcem i najczulszym a najpoetyczniejszym z ludzi. To są podobno żywioly, które z sobą w parze nigdy chodzić nie będą. Przerobi się świat na wielki kantor gospodarsko-industryjalno-komersyjny, ludzie na komisantów, książki na rejestra, życie na rachubę podwójną przez *habet* i *debet*... i zapewne... komuś z tém będzie dobrze... Powiadają, że już tak jest wszędzie, u rozumniejszych braci na Zachodzie... musimy więc naturalnie iść za przykładem cudzym i poprobować sobie także tego szczęścia... czas wreszcie i nam zostać ludźmi rozsądnemi, zimnemi, praktycznemi... Naówczas niktby nie od nikogo nie potrzebował, uczucie nie przydałoby się na nic, bo na wszystkie wypadki stowarzyszenia i asekuracya musiałyby wystarczyć; szłoby wszystko jak w zegarku, przywykliby wszysecy do dobrego bytu... do niezłamanój formuły...

i ziemia stałaby się domem pracy... klasztorem bez religii i wiary... rodzajem falansteru czy fabryki... Nie! to coś okropnego! ten ich świat, naszym być nie może... czegoś więcej potrzeba człowiekowi nad strawę bydłęcia i grosz żydowski“.

Kraszewski nie przeczył, że dobrobyt materialny wywiera „wpływ przeważny“ na wykształcenie moralne i wyrobienie się duchowe, ale twierdził, że cywilizacja nasza obecna nie dozwala nam rozpoznać granicy, na której się kończy rozumna zapobiegliwość i postęp rozsądny“, a rozpoczyna „szal handlarski, spekulacyjny i zupełne zmaterializowanie“. Sądził, że gromadzenie bogactw stało się powszechnie celem a nie środkiem, i stąd ciskał gromy na zestarzałą i zbydlęconą Europę. „Cywilizacja dzisiejsza — pisał — całkiem i wyłącznie materialna, wartość człowieka mierzy jego praktycznością, wartość wynalazku — zastosowaniem; i dlatego niema w łonie jej ani bohaterów i istotnie wielkich ludzi, ani wielkich prawd zasadniczych. Znajdzie się jakiś Cobden, zrobi się stearyna, wygotuje kauczuk i wyrośnie Ludwik Napoleon, ale z tych zasad, w jakich żyjemy, nie może powstać ani prorok, ani bohater, ani poeta wiekowy, ani Kolumb, coby miał widzenie nowego świata, ani żadna wielka prawda, któraby odrodziła ludzkość. Wszystko ma-luczkie i praktyczne jak my sami... kraj każdy przekonany, że byle dobry byt i bogactwo, na ich pognoju wyrośnie już samorodnie wszystko, czego więcej być może potrzeba — pilnuje tylko materialnego postępu, ulepsza pługi, buduje fabryki, zapobiega materialnej nędzy, a gotuje daleko straszniejszą — duchową. W krajach, gdzie już ta cywilizacja stanęła na najwyższym szczeblu rozwinięcia, widzimy jej owoce; wpośród kolei, fabryk, wśród nagromadzonych bogactw, ludność zbestwiona i wynędzniała, oglupiona, bez kawałka chleba często, lub w dostatku a bez czucia i myśli, wystawia najstraszniejszy kontrast bogactwa materialnego i nędzy moralnej, odrętviałości i zestarzenia straszliwego. *Nigdzie jeszcze równoległe postępy materialny nie sprowadził za sobą rozwinięcia i spotęgowania moralnego: — chleb będzie, ale serc nie stanie*“.

A więc nic nie robić, tylko usiąść z założeniami rękoma i zamrzeć w nędzy, płacząc nad rzekami Babilonu?... Nie, na taką ostateczność Kraszewski się nie zgadza; praca, oszczędność rozumna, są to rzeczy potrzebne a nawet konieczne; autorowi „Chorób wieku“ chodziło o to, ażeby naród nasz nie szedł ślepo torami Zachodu. „Nikt mi nie zaprzeczy — pisał, że narody, jak indywidua, nie wszystkie jednakie mają charaktery, posłannictwa i przeznaczenie; że najfałszywiejby poczynał, ktoby ludzi, nie bacząc na ich usposobienia, na jedno kopyto chciał przerabiać, a występny-by był, zamierzający toż samo uczynić z narodem. Przecież najpilniej nam naśladować

tych, których charakter, losy i posłannictwo całe od naszych są różne. Może w widokach Opatrzności, Zachód ze swą cywilizacją materialną jest potrzebnym przykładem i *gra rolę pijanego Iloty...* zacoż my szaléc z nim mamy? zacoż ślad w ślad iść za nim? Jest wiele i u nas do uczynienia, ale na *pierwszym* celu chleba i dobrego bytu klasć nie potrzeba, bo ten cel *pierwszy* stanie się wkrótce *jedynym...* Ten błąd u innych *przegniłych* narodów ani zadziwia, ani smuci; ale szczeplić sobie zarazę dobrowolnie, upoczywie, ochotnie, z zapalem, jak my dzisiaj czynimy, to przynajmniej nierozumna i niepostępowa. Krzyczeliśmy dawniej na naśladownictwo w literaturze... ale czémże ono było w stosunku do tego małpiarstwa na tak potężną skalę! Tamto mogło za sobą pociągnąć tylko zepsucie smaku, to *upadek moralny niepodzwigniony*, przetworzenie nas na istoty bez charakteru, bez znaczenia. Zyszcze kraj na gospodarstwie i przemyśle, ale my dla tój odrobiny zarobku wyrzeczemy się siebie, i za lat sto nikt nas od Żydów, od Niemców i od całej rzeszy handlarskiej kosmopolitów nie pozna“.

Niewątpliwie, w tój gwałtownej napaści na dążenie do dobrobytu materialnego miał Kraszewski najzaciejsze zamiary, a w wykazywaniu złego wpływu, jaki wywiera na społeczeństwo *wyłączne* gonienie za groszem— dużo słuszności; ale wyznecć potrzeba, że głos jego był przedczesnym, że wtedy, gdy przemysł i handel zaledwie pierwsze większe kroki u nas stawał, nie było rzeczą publicysty zniechęcać i zrażać do imania się i tego rodzaju pracy, zwłaszcza, kiedy się rozumiało dobrze znaczenie bogactwa w sprawie zarówno moralnej jak i narodowej. Z tego powodu wystąpienie Kraszewskiego nie było i nie mogło być przyjęte sympatycznie; a i on sam niebawem po skreśleniu „Bożej Czeladki“, w której życie ciche ziemiańskie wystawił jako swój ideał, zgodził się zostać redaktorem „Gazety Codziennój“ (przezwanój potém Polską), która za jedno ze swych haseł miała właśnie popieranie postępu ekonomicznego w kraju. Wówczas tóż pogodził się z ideą dobrobytu i dowodził, że w rękę bogatych są „nie losy maluczkie rodzin tylko, ale często losy idei, wszystkich przedsięwzięć, ulepszeń, reform, dźwigni, któremi podnoszą się wieki całe, które są jak stopnie wschodów postępu“. Wówczas tóż pisał: „Cenim dobry byt i bogactwo dlatego, że one są rękojmiami niezawisłości, że dają środki wszelkie do potężnego działania, że zwiększenie ich nie dla indywidualów, lecz dla kraju jest potęgą. Nie o bogactwo pojedynczych ludzi, lecz o rozwinięcie sił wszelkich ziemi naszej nam idzie“. Wówczas dalekim był od wykrzyku, który w „Chorobach wieku umieścił: „Wolałbym z lichem dawne ubóstwo nasze, trochę nawet starego nieładu, a większe zasoby ducha, a gorętsze serca, a sil-

niejsze uczucia". Zarzucali wtedy niechętni Kraszewskiemu, że poszedłszy w usługi plutokracji (właścicielem „Gazety Codziennéj“ był Leopold Kronenberg), krzewił materyalizm, przed którym tak niedawno sam ostrzegał⁽¹⁾. Ci niechętni nie mieli oczywiście słuszności; ale to była rzecz niewątpliwa, iż jak poprzednio pod wpływem pierwszego silniejszego wrażenia namiętnie potępił dążenie do dobrobytu, a przedstawiciela tej dążności Demhora ganił nawet za to, iż zaprowadzał we włościach swoich czynsze i wołał o nie u innych; tak po r. 1859 przyjrząwszy się sprawie bliżej, nie wahał się odwołać, przynajmniej w części, fałszywych twierdzeń dawniejszych.

To uznanie dla dobrobytu poprowadziło Kraszewskiego naturalną koleją rozumowania do zmiany opinii o cywilizacji europejskiej. Już po bolesnej katastrofie r. 1863 w powieści „Zyd“ (roku 1866) znajdujemy słowa następne, którym podobnych wieleby przytoczyć było można: „Winniśmy materyalnym zdobyciom cywilizacji możliwość pracy duchowej, to nie ulega wątpliwości; *gardzić więc podniesieniem materyalnego bytu jest zabijać w nim postępy umysłowe*, którychby się stał pomocnikiem. Pracuje może na to jedna połowa ludzkości w pocie czoła, aby druga rozmyślać mogła“ (tom I, str. 94).

IV.

Fluktuacye atoli umysłowe płodnego autora i teraz nawet jeszcze nie ustały. Rozpatrując się zdala od kraju w stosunkach jego duchowych dojrzał złą wśród młodzieży w postaci materyalizmu życiowego, powstał więc z oburzeniem na ten zgubny objaw, nie umiejąc go objaśnić, pomimo już wyrozumowanej potrzeby pracowania na polu ekonomiczném, ale umiejąc potępić. Napisał „Dzieci wieku“ (1870).

W powieści tej chciał skreślić dzisiejszy stan społeczeństwa naszego, jego moralną fizyognomię i wybitniejsze postaci w całym pokoleniu społeczném. Otóż wśród tych „dzieci wieku“ znalazł zaledwie jedną istotę, która zasługiwać mogła na jego społeczenie, na pochwałę. Istotnie z jedenastu postaci, mających być przedstawicielami naszego wieku (Luziński, Szurma, Roger, Skalski, baron Helmold, Luis, Idalia, Marya, Flora, Apolonia, Manetta) jedna tylko Emma swoim przywiązaniem do ojca przedstawia lepszy

⁽¹⁾ Zob. artykuł E. Sulickiego: „Działalność J. I. Kraszewskiego jako redaktora Gazety Codziennéj“ w *Książce jubileuszowej*.

pierwiastek; a wszystkie inne — to uosobienia niezém nieusprawiedliwionój zarozumiałości, brudnego samolubstwa, żądzy sławy, deprecacój najświętsze uczucia i t. p. Złote serca, szlachetniejsze popędy zachowały się tylko u osób starszego pokolenia (Myliusie, ks. Bobku), ale i tych niewiele, bo to już niedobitki dawnych czasów, wyglądające trochę na Donkiszotów. Kraszewski nie chciał czy nie mógł postawić kontrastów; dlatego téż zepsucie, egoizm i w postaciach dawniejszego autoramentu goszczą samowładnie.

Ponieważ z takich osób składa się świat obecny według Kraszewskiego, niezbyt rażącemi wydać się mogą wnioski ogólne, które z podobnego położenia rzeczy wyprowadził.

Wiek nasz, zdaniem Kraszewskiego, jest wiekiem upadku i zgnilizny. Podwaliny społeczeństwa są spróchniałe i niedługo ono samo pogrzenie się w gruzach. Cielec złoty stoi na oltarzu, a egoizm i interes własny są jego najwyższymi kapłanami. Uczucia niema; zastąpiła je rachuba. Na ognisku domowém pozostał tylko popiół; nie więc dziwnego, że się nikt przy nim nie grzeje. Gieniusz zniknął, bo jego miejsce zajęła błaga. Pracy sumiennój, wytrwałej ani śladu. Pustobrzmiące frazesy, beztreściowe słowa, jako krwawa ironia czynów, panują w życiu i w literaturze. Małżeństwa zawierają się nie ze spólnój miłości, nie dla wychowywania przyszłych obywateli kraju, ale z interesu, dla powiększenia summy uciech i rozkoszy. Po wierzchu — szych, wewnątrz — glina. Nie po to się mówi, ażeby myśli swoje wyjawić, ale ażeby je ukryć. Rozwodzą się ludzie szeroko nad poświęceniem dlatego, ażeby, gdy przyjdzie pora, zrzeczenie się od niego usunąć. Robi się wszystko dla pozorów, a nie dla Boga, dla prawdy.

Ze wiele z tych twierdzeń znakomitego powieściopisarza ma uzasadnioną podstawę w objawach życia społecznego, tego zaprzeczyć niepodobna, ale protestować należy przeciwko podniesieniu pojedynczych faktów, chociażby dość licznych, do znaczenia normy powszechnój; bo gdyby istotnie wszyscy, a przynajmniej większość była zepsuta, zgangrenowana i Bóg wie jaką, toby społeczeństwo poprostu istnieć nie mogło; fałsz i bezrozumny egoizm, wystawione przez Kraszewskiego, jako główne cechy wieku, rozprzęgłyby wkrótce wszelkie stosunki, uniemożliwiłyby wszelki ruch, wszelkie życie. Tak przecież chyba nie jest, a więc téż i stan, przez autora skreślony, może tylko istnieć w rozmarzonój a niezbyt dla ludzi społecznych pochlebnej fantazyi jego. Bogu dzięki, nie żyjemy jeszcze dla siebie tylko, ale téż i dla społeczeństwa. Nie skarżymy się na zbyt ni rozsądek w postępowaniu, owszem pragnęlibyśmy go jeszcze więcej. Na słowa prawdy nie oburzamy się, żalujemy tylko, że je słyszymy zbyt rzadko. Niewątpliwie i w „Dzieciach

wieku“ tak samo jak poprzednio w „Chorobach“ Kraszewski w najzaciewniejszym celu odmalował czarno świat społeczny, ażeby tém dobitniej zwrócić uwagę ogółu na złe pierwiastki życia społecznego i pobudzić do starań nad ich usunięciem, ale trzeba wyznać, że w ujęciu i przedstawieniu tego, co mu się złém wydawało, zanadto się powodował czysto uczuciowym, może nawet sentymentalnym sposobem widzenia, który, jak każda jednostronność, jest fałszywy. Przynętem w zbadaniu tych smutnych objawów powieściopisarz nie zadawał sobie wielkiej pracy; opisywał tylko powierzchownie, nie sięgając do głębi; wskazywał w skutek tego złe tam, gdzie go niema, w każdym zaś razie nie wywiódł na jaśnie jego przyczyn, — a to właśnie byłoby rzeczą najciekawszą.

Jak w „Dzieciach wieku“ ogół dążności młodzieży społecznej, tak w „Szalonej“ jedna z tych dążności, mianowicie pragnienie kobiet nabycia wiedzy gruntowniejszój w połączeniu z próbą propagandy niby-socjalistycznej poddana przez Kraszewskiego surowój krytyce i znowuż nie pod względem samych zasad, ale pod względem moralnym przez wykazanie znieprawienia, do którego dochodzą kobiety wyrzekające się tradycyjnej bierności i chcące rozszerzyć zakres swego działania.

Już w czasie pierwszego zwrotu swego do idei religijnych Kraszewski, nie tyle mając na względzie objawy życia narodu własnego, ile stosunki europejskie, nakreślił w „Synach wieku“ (1) sylwetkę emancypantki w bardzo niepochebnych barwach. Jest w niej kilka rysów, które się następnie w „Szalonej“ odnalazły i dlatego warto się jój przypatrzyć bliżej.

„Oto jest (2) — pisał Kraszewski w r. 1842 — starsza córka wieku, kobieta, która pojęła swój czas niczém inném tylko epoką bezmiernój swobody, emancypacyi bez granic na korzyść namiętności rehabilitowanych i poetyzowanych. Przyjęła swój wiek z otwartemi rękoma dlatego, że ją mógł uwolnić od wszelkich obowiązków, pochebiał wszystkim słabościom, oswobadzał od przymusu i puścił cugle wyuzdanój myśli, wszelkie złe czyniąc przez to heroiczném i wielkiém. Patrzenie, jak śmiało i bezczelnie patrzy na świat, któren jój się utworzył, jak podniosła głowę w górę, jak nauczyła się nigdy oczów nie spuszczać, nigdy licia nie rumienić, jak silna, jak odważna, jak litościwie na niewiasty inne pogląda!... W ubiorze jój z błyskotkami, zdobiacami ją jak kobietę, mieszają

(1) Urywkowy ten utwór drukowany był tylko w „Pielgrzymie” Eleonory Ziemieckiej w r. 1842 i 1843.

(2) „Pielgrzym” 1842 tom IV, str. 41.

się właściwe mężczyznom części ubioru. *Włosy jej krótkie* spływają na ramiona, chustka niedbale okręcona na szyi, *cygaro w ustach*, pejcz w rękę, długa na niej amazonka, kapelusz okrągły na głowie. Wraca z przechadzki, idzie na męskie śniadanie... Jakże się oprzędę wdziękowi zakazanego owocu? Oto zgubni apostołowie odmian, reformy otwarli wrota i powiedzieli ci — wejdź. Jakże wejść nie miałaś, gdy cię ciekawość wiodła za rękę, gdy cię hałas i szum owionął, zagłuszył, obalamucił... Weszłaś. Oto swoboda. Swoboda ta zniża cię do biednego mężczyzny, daje ci mętne jego rozkosze, zgubną jego wolność, a odbiera ci twoje ciche życie córki, żony, matki; ona cię odrywa od rodziny, której byłaś gwiazdą opiekuńczą, aniołem stróżem domowego ogniska, chwytą i unosi w świat pozwalając ci za to, że nie spędzasz słodkich nocy bezsennych u łoża rodzica, męża, dziecięcia, że nie spuszczasz oczu wstydliwie i nie płonisz się na dwuznaczną rozmowę, pozwalając ci za to nie zdawać nikomu, nawet sobie, sprawy z czynności swoich, puszczać się swobodnie, gdzie wszędzie samolówki na ciebie stoją: między przepaści i niebezpieczeństwa, między wszystko zaraźliwe i smolące, pozwala ci skosztować wszystkiego i za nic się nie wstydzić... Patrzcie, jak biedna przy swojej swobodzie i szczęściu mniemanem, jak twarz jej straciła wdzięk właściwy, wdzięk niewieści, niewinny, dziewiczy, anielski, jak brwi się jej ściągnęły, jak czoło sfaldowało, jak oczy zapadły, jak usta spaliły, jak pierś wyschła, jak nieustanna gorączka ją pali... Patrzcie, jak niespokojna, napróżno chce się zagłuszyć, mamić. Ciągłe ją coś porywa i w tył ciągnie, ciągle jej coś szeptę: — zeszałaś z prawdziwej swej drogi“.

Rozumie się, że *takiej* emancypacyi, jaką widzimy przedstawioną w tym obrazku, niktby sobie nie życzył; ale nie można się zgodzić z Kraszewskim, że tylko taka istnieje, że innej nawet być nie może od czasu, gdy chrystyanizm postawił kobietę obok męża jako drugą jego połowę. Wybryki wyuzdanej fantazyi i myślowi zawsze karcie należy, ale zważać przytém potrzeba, ażeby nie podciągać pod kategorię takich wybryków tego, co jest w położeniu kobiet koniecznem do zmienienia lub téż co jest dobrem i zbawiennem w dążności do pogłębienia ich umysłu i rozszerzenia zakresu wiedzy i pracy. Do takich kobiet, które rzeczywiście pragną nauki naseryo i które pracować muszą, ażeby żyć, nie mogą się odnosić potępiające słowa: „Niepodobna wyrachowywać, czémby się stała społeczność, gdyby dwa pokolenia emancypowanych kobiet przeszły przez nią. Ziemia byłaby bez uroku, bez wdzięku, bez poezyi, bez duszy; wszystko zrównane, zeczernione, smutny całun nad ludzkością, a w łonie świata szal gorączkowy“.

To, co tu powiedziałem z powodu emancypanki narysowanej w „Synach wieku“, można w zupełności zastosować i do dążności „Szalonej“. Rozluźnienie węzłów rodzinnych jest niewątpliwie objawem zgubnym, ale nie jest rzeczą konieczną, ażeby on był nieodłącznym towarzyszem pragnienia wiedzy i szerszej działalności; nie można płatać dwu rzeczy różnych, bo się tём nie przyczynia do rozjaśnienia kwestyi i do wskazania dobrej drogi kobietom.

* * *

*

Dla jakiego takiego zaokrąglenia tego szkicu o tendencjach Kraszewskiego potrzeba byłoby nieco powiedzieć o jego poglądach politycznych, z dołą narodu ściśle związanych. Wykazać-by można i w nich owę chwiejność z wrażliwością nadzwyczajną wynikającą, a zarazem zacność pobudek w każdym wystąpieniu; ale ponieważ niepodobnaby mi było na tём miejscu wypowiedzieć wszystkiego swobodnie, muszę poprzestać na zaznaczeniu tylko tego działu twórczości.

Bezwątpienia, lepiej i zbawienniej byłoby dla narodu, gdyby tak popularny i wpływowy pisarz jak Kraszewski okazał więcej spoistości w zapatrywaniach swoich ogólnych, gdyż przez to przyczyniłby się do wyrobienia stałych, gruntownych przekonań; ale ponieważ tak być nie mogło z natury jego umysłu, powinniśmy cenić i szanować zacność jego myśli, dążności i usiłowań.

P. Chmielowski.

Boża Czeladka.

IGNACEMU CHODŹCE

Autorowi Obrazów Litewskich

W DOWÓD WYSOKIEGO POWAŻANIA

dla człowieka i pisarza

poświęca

Autor.

CZEŚĆ PIERWSZA.

Ktobykolwiek między wami chciał większym być, niech będzie sługą waszym.

A ktoby między wami chciał pierwszym być, będzie sługą waszym.

Jako syn człowieczy nie przyszedł, aby mu służono, ale służyć i dać duszę swą na okup za wielu.

Mateusz. R. XX. 26—28.

Trwają wiara, nadzieja, miłość: to troje, a z tych większa jest miłość.

Paweł do Korynt. R. XIII. 13.

1 lipca 48...

Nie wiem, czy się te moje wspomnienia przydadzą na co komu; tegom pewien, że ja sam za lat kilka odczytam je z prawdziwą przyjemnością, ze wzruszeniem, jakiegobym doznał drugi raz, rozpoczynając życie nanowo. Myśl do nich podała mi notatka, którą niedawno w szkolnych moich znalazłem papierach. Któryś z nauczycieli, zdaje mi się O... matematyk, któregośmy Cyrklelem nazywali, doradzał nam nawykać do utrzymywania dziennika czynności i zapisywania doznanych wrażeń; posłuchałem go zrazu i przez cały tydzień prowadziłem, ale później nawał roboty, brak cierpliwości, przerwały to na zawsze, kilka tylko kartek zostało. Teraz w lat kilka, powróciwszy do domu, gdym w mojej izdebce układał i stare seksterna palik, świstek ten wpadł mi w ręce... spotkało go oko, zacząłem czytać, zasiadziałem się nad nim z bijącym sercem, ze łzą w oku, i taką mi sprawił niewysłowioną przyjemność, tak żywo mi moję pierwszą młodość i lata ubiegłe przypomniał, że gdy do ostatniej przyszło stronicy — zdało mi się, jakbym z przyjacielem się rozstawał.. Widziałem

w nim znowu siebie w ciasnym i wytartym surduciku wśród grona towarzyszków wesółych, lubiących trochę poszydzić, nadokuczać, ale w gruncie pełnych serca i braterskiej miłości. Stanęli przede mną wszyscy, wieley, mali, przyjaciele i obojętni, żywi i umarli już, którym żółty piasek młode przykrył oczy, i łyzy uczułem na powiece... A! dobre to były czasy! a kto wie, jaka tam czeka przyszłość, przez którą ciemne głębie nic jeszcze dojrzyć nie mogę.

Ten świstek dał mi ochotę do utrzymywania dziennika; postanowiłem zapisywać, dla siebie tylko, co się ze mną dalej dzieć będzie; może kiedy na starość, przeglądając notaty, doznam znów tego wrażenia, jakim mi dziś zabiło serce... przypomnieniem przeszłości.

Ale któż to tam wie? — człek zapewne starzejąc pogardzać musi dzieciństwem swoim i śmiać się z lat młodych?... może nie zechcę wziąć w rękę tego, co dziś napiszę? Zawsze to nieźle będzie użyta chwila, nie zaszkodzi to wniknięcie w siebie i zastanowienie nad ludźmi, zregestrowanie dni, które jak woda upływają niepoliczony i toną zapomniane.

Przepraszam tylko szanowną potomność, jeśli która z tych kartek ocaleje i przejdzie do niej, żem tak maluczki, biedny i nie niezna-czący; alem ja temu doprawdy nie winien, stoję, gdzie mnie Bóg postawił, i wolałbym może być w inném położeniu.

A! nie! nie! źle poczynam dziennik, bałamucę i od rzeczy prawie: — nie chcę zmiany żadnej dla siebie, nie chciałbym nawet lepszego bytu, gdybym go miał okupić postradaniem tego kółka, które mnie otacza; żal-by mi było pocziwych rodziców, siostry... nawet starego dachu mehem pokrytego, pod którym się urodziłem, pod którym i cierpieć mi lżej niż gdzieindziej... Żadnych zmian! każdy ma brzemie, pod którym chodzić musi, wszędzieby mi ono dolegało, a tu wszyscy dźwigamy je razem.

Powróciłem więc do chatki naszej, skończywszy szkoły i liceum w... ze świadectwem dobrém, i całą torbą nadziei różnego koloru. Na widok tego ubóstwa, w jakim rodzice cierpiąc, milczą i pracują, serce mi się ścisnęło: musiałem się wyplakać w kątku, nie umiejąc poradzić na nie. Jakoż zdaleka inaczej mi się to wydawało, zbliżka jest prawie wyrzutem dla mnie; widocznie, że bez wielkich ofiar z ich strony oddawałby mi do szkół, potem na naukę do... nie mogli; oprócz tego, ktoś jeszcze pomagać im musiał, bo odejmując sobie chleb od ust, nie byliby temu podolałi, a ojciec przebąkuje niewyraźnie o dobroczyńcach jakichś, matka mi się za nich modlić każe. Czemużby sami dla siebie nie chcieli się odezwać do tych krewnych, aby się choć cokolwiek byt ich na starość przynajmniej polepszył? Nie wiem, miarkuję jednak, że ojciec przyjął dla mnie, czego by dla siebie się wzdrygał; tyle ma uczucia godności, taką wytrwałość

i stoicyzm rzymski w charakterze, że nikomu nie być winnym nie chce i mówić sobie nie daje nawet o cudzej pomocy; matka spełnia wolę jego, choć znać, że w jej wieku coraz trudniej dźwigać trud powszedni i niedostatek. Nie pojmuję nawet dobrze, jak i o czym żyją, i nie uciekając się do nieczyjjej łaski, obchodzą. Dziś obiegłem nanowu nasze gospodarstwo dokoła, bom zapomniał, jak to wygląda: ziemi kawałek bardzo maluczki, a wąpnię, czy urodzajna, choć się niewiele znam na tém, ale piasek z niej przegląda, a żyto jakieś rzadkie i nie bujne...

Chatka ojcowska, której lat kilka nie widziałem, wydała mi się też szczupła i biedna; rosła jakoś i jaśniała w moich wspomnieniach; ile razy powracałem do domu, dziwiłem się zawsze jej maleństwu, teraz mi w niej dziwnie ciasno, może dlatego, że sam podrosłem. Ojciec mi się postarzał, matka pochyliła i osmutniała. Andzia tylko wyładniała i z dziecka na taką wyszła szykowną dziewoję, żebym był jej nie poznał...

Po miasteczku ubogie się tu wydaje, wszystko; tam na ławie siedywałem przy bogatych paniczach, z jednym z nich mieszkałem w ślicznym murowanym domu, pieniądze płynęły i przesuwały się przez ręce nasze nieopatrne, a tu tak o każdy grosik trudno, tacy się przy nas wszyscy wydają wielcy i majątni, że ojcui lada surdudt porządny imponuje. Prawda, że on sam chodzi w świecie ledwie nie sukniejskiej, matka nie ma nad jeden szlafrok i odświętną wełnianą suknię, a Andzia się wcale nie stroi i łąta z ostatków matczynej wyprawy...

Mówią, żeśmy tam kiedyś byli bogatsi, że mamy bardzo bogatych krewnych... jakże się to stało, żeśmy zeszli na ostatni szczebel ubóstwa? W stajence ledwie para woliców i para małych koni, najemnika nie mamy czym zapłacić, trzeba mu dawać w polu przysiewek; słyszę ze strachem, że czasem i chleba nawet bywa tak mało, że go oszczędzać muszą i kartoflami zastępować. Tymczasem ja, cobym rodzicom pomocą być powinien, na nie się im prawie nie przydałem, bo służby mi nie szukają i podobno trudnoby ją znaleźć było, a ja nie wiem nawet jaką obrać, do gospodarki zaś niewdrożony, jeszcze się nie zdałem...

Widzę, jak ojcui staremu ciężko chodzić za pługiem i od rana do wieczora z najemnikiem na równi pracować; próbowałem niby dla zabawy, choć mi wzbraniają, i sochy i brony, żeby się z niemi bliżej poznać, alem tylko na śmiech zarobił. Siły mi nawet do tego braknie, i jak się zawezmę, choć z najlepszą chęcią, w kwadrans się zmacham zupełnie. Matce mi łatwiej pomódz przychodzi, bo tu łatwiejsze koło domu i w kuchence lub na ogródku zajęcie, alem mniej potrzebny, bo ją Andzia wyręcza, a ojciec nieraz, gdy z pola powróci, to się stare-

mu ręce trzęsą i pot kroplami z czoła spływa, aż mi się serce ściska... Przecież nigdy się nie poskarży, nie stęknie, nie westchnie, jeszcze matce otuchy dodaje i nuci, podśpiewuje sobie niby ochoczo, choć mu pewnie w sercu nie bierze ochota do pieśni...

Wczoraj, nie mając co robić, wyszedłem za nim w pole, sądząc, że gdy pod ręką będę, do czegokolwiek mnie użyje, ale mi nawet pokazać nie chciał, jak iść z sochą, i odpędził pogderawszy, do domu...

— Darmo, Jasiu — rzekł — to nie twoja rzecz; ja cię nie myślę zaprzęgać do niewdzięcznej roboty, na którejbyś wiek marnie sterał; ot, patrz na mnie, pracuję, Bóg widzi, nie opuszczając rąk nie od dziś, matka i ja grosza sobie żalujemy, od gęby odejmujemy, a taki bieda dokucza, i żeby nie dobrodzieje nasi, nie byłbyś ty ani liznął nauki, chyba tyle co od organisty w parafialnej szkółce. Gospodarka, moje dziecko, dobre to dla tych, co nic więcej nad nią nie potrafią, albo dla takich, co jak ja po głupiemu wolą biedę a swobodę, niż trochę niewoli i tłusciejszy chleba kawałek.

— Ale tymczasem, ojcze — przerwałem — niechbym się zdał na cokolwiek.

— Co to gadać! czas stracisz sam i mnie go ujmiesz, nimbym cię do czego nałamał, rychlój sam zrobię.

Spojrzałem na jego siwe włosy oblane potem rześnistym, i gdyby mi się dziś zaprzędać przyszło nie wiem jak, gotów jestem na wszelką ofiarę, żeby mu już tój zabójczej ująć pracy. Widziałem zdaleka, jak stawał kilka razy na zagonie, piersiami robiąc i szukając powietrza, którego mu brakło, jak opadały mu ręce; on się zabija — a milczy i przyznać nie chce.

Kiedym mu powiedział, że dla nich chcę pracować, sfukał mnie ogromnie.

— Patrzcie mi, jaki dobrodziej! niech-no ci tylko, co zarobisz, na chleb powszedni wystarczy, a Panu Bogu podziękujesz. My się bez ciebie obejdziemy, byleś się ty bez nas obejść potrafił. Tymczasem głowy sobie nie łam, jedz, odpoczywaj i siły nabieraj na przyszłość, kto wie, jaka cię czeka.

Podśluchał mnie, gdym matce mówił o moich nadziejach, że ich z tego stanu wyprowadzić muszę, i za to burę oberwałem.

— A co ci się zda — rzekł — że mi tak nie dobrze? co ty sobie myślisz, że gdybym chciał, nie miałbym i ja tłustszego kawałka i polituowanego stołka? a co mi z tego? Tambym ja może poniewierać się musiał i kłaniać, a tu ja pan i kwita.

— Czemuż — zapytałem — nie chcesz mi pozwolić także tego szczęścia zakosztować?

— A że to na wszystko im potrzeba przyczyny?—odparł o jciec—

waści wychowano już nie do sochy, nie byłbyś z nią szczęśliwy jak ja.

— Toż i ojciec się do niej nie wychował, były lepsze czasy — odpowiedziałem.

— Insze, dudku, a nie lepsze... Ja ci mówię, że co ja, to nie ty, i czasy też nie wczorajsze, i taki z sukmaną na plecach-byś nie wytrwał, to darmo — już z ciebie paniczyk.

Nie odpowiedziałem nic, choć doprawdy mój wytarty surducina studencki i całej chłopskiej nie wart siermięgi.

Coś mi się zdaje, że ojciec ma jakieś dla mnie dotąd nie objawione zamiary; słyszałem, jak z matką szeptali o mnie, Anna szyje bieleznię, mają posyłać po krawca, a jak zechcą mnie oporządzać, to ich niezmiernie kosztować będzie, bo tu grosz wiele znaczy, i dając go ubogiemu, matka dobrze ogląda, czy nie ostatni wyjmuje ze szufladki.

2 lipca. — Wtorek.

Ojciec kazał najmitowi orać, chodził do żyta, ale jeszcze zielone, żać go nie pora, może tydzień postać, byle jak w przeszłym roku, o czém mi Andzia mówiła, przed samém żniwem nie spadł grad i nie zniszczył ciężkiej pracy. Czegoś zebrawszy z kufra grosz jaki był, ojciec pojechał i nie ma powrócić aż wieczorem z miasteczka; chciałem go wyręczyć, ale mi przy domu i matce zostać kazał.

Ze wszystkiém się kryją przede mną, widzę, że ciężarem im być muszę; wyrwałem się o południu do chłopca, żeby mnie żać nauczył, bo słyszę, że ojciec o najemnika się kłopotuje, tobym mu darmo uzał choć kilka kopek i toby się zdało. Wyobrażam sobie, jakiegoby to narobiło śmiechu, gdyby kto z tych moich towarzyszków szkolnych, co to po sto złotych tracili na orzechy, pierniki, jeśli nie gorsze wydatki, zobaczył mnie teraz z zakasanemi poły uczącego się machać sierpem, po zdaniu egzaminu i odebraniu patentu! A! niech się sobie z Bogiem śmieją! ja powtarzając Georgiki, będę swoje robił! Chłopiek, gdy mu się otworzył z tém, że chcę żać, począł się śmiać, spojrzawszy na białe ręce moje.

— A to taki, paniczyku, na co? — zapytał, kładąc sierp za pas. Nie chciałem kłamać.

— Widzisz, mój Wasylu, ja tu jeszcze pobędę. Zdałoby się ojcu pomódz i kopę użać, kiedy się najemnika do żyta brać musi, a grosza nie ma do zbytku.

— To wy taki na prawdę uczyć się chcecie? oho!

— A cóż? myśleście, że żartuję?

— No, to co innego — odparł — ja nie pożałuję fatygi, a no uwa-

zajcie tylko dobrze, jak ja to będę robił; żyta napsujecie trochę, krzyże was będą bolały, abyście sobie ręk nie pozacinali, to się nauczycie.

I dopióroż mi zaczął pokazywać powoli, jak to się żyto bierze, przygina, jak sierp zakłada, jak ucina łodygi. Spróbowałem i zrazu mi nie szło, a sił nie żałując, nie mogłem upiłować i garsteczki kłosów, wyrrywając je z ziemi; ale po kilku daremnych wysiłkach, ukroiłem jakoś raz, drugi, i choć nic do rzeczy nażalem przecie przewiaśło. Wasyl się śmiał dowodząc, że jego dwunastoletni chłopiec daleko lepiej to umie, ale po kilku godzinach oddał mi sprawniejszą, że i ja się czegoś mogę nauczyć. Ja-m dumny, jak niegdyś, gdy moje łacińskie ćwiczenie palmę zwycięską otrzymało od pana profesora. Krzyże mnie bołą, ale żać potrafię, a do tego schylania się przywyknąć można. Otóż się ojciec zadziwi, gdy stanę w szeregu z najmitem, Andzią i z nim, i pokażę, co umiem! Tylko, teraz tajemnica największa! Pytali się mnie, dokąd chodziłem, musiałem skłamać, boby się wygadali, a ja chcę mu zrobić niespodziankę.

3 lipca. — Środa.

Ojciec powrócił z miasteczka z zawiniątkiem jakimś i z krawcem żydkiem... Łatwo mi się było domyślić, że mnie obszywać będą... aż mi się serce pęka, że to ich tyle kosztuje. O! gdybym był wiedział, że tu im na wsi tak ciężko, możebym choć cokolwiek był grosza oszczędził. Zmarnowało się go wiele... nie ma nic, do domu powróciłem obdarty, tych trochę książek, gdyby się na nie kupiec znalazł, pozbyłbym się chętnie, nawet dwóch nagród moich... Wszak się oni obchodzą ewangeliczką i książką do nabożeństwa... a ja lepszyż od nich?... A! i palca ich nie wart jestem! Ojciec kazał na mnie brać miarę krawcowi na całe ubranie, sukno nawet cienkie... i kamizelka... i buty widziałem przywiózł nowe. Żeby żyd nie ukradł, posadzili go krajać na oczach i szyć mu kazali tu w domu, a taka bieda z tą istotą niechlujną i dziwaczącą, która nam najlepszą izbę zajęła i majufes wyśpiewuje, na mocy tego, że po dworach robi i z biednym szlacheicem nie ma się co bardzo ceremonizować.

Upadłem do nóg ojcu i matce za tę pamięć o mnie, Andzi się w oczach lzy kręciły... biedaczce, bo ona sukieneczyny nie ma i musi do Bożego Narodzenia czekać, póki się co nie sprzeda. Ale na co mi te suknie? ani ojciec, ani matka powiedziéć nie chcą...

Ojciec sobie ze zrzyneków i resztek czapkę i kamizelkę szyć kazał, bo na więcej nie stało; wyjął perłową kapotę i tę restauro-

wać ma żydek, choć na nią nosem kręci, że zleżała. Z przeglądu kufrow i dobywania rzeczy domyślam się, że z ojcem jechać mamy; ale dokąd? tajemnica.

5 lipca — Piątek.

Dziś przecie, według przysłowia, piątek — dobry początek, do żniwaśmy wstali, krawca się pozbywszy; wyprosiłem sobie sierpa u Wasyla na ten dzień. Ranek był prześliczny, rosa osychała, gdyśmy na zagon nasz przyszli; ojciec zdjął czapkę, pobłogosławił żyto, pochylił się i w imię boże pierwszą garść użawszy, kłosa wytarł, a zboże rzucił dla ptastwa polnego, wedle jakiegoś starego obyczaju. Za nim rzędem stanęliśmy zajmując półko. Andzia, najmit i ja. A ty tu co robić myślisz? — spytał ojciec — czy to zabawka? Zboże zepsujesz i po wszystkim; lepiej matkę wyręcz i jeść nam tu przynieś, kiedy już koniecznie chcesz coś robić i posłużyć!

— Ale, kochany ojciec — rzekłem — ja doprawdy żać będę.

— A to jak? myślisz, że wszystko łatwo temu, co po łacinie umie?

— Nie, bom się uczył umyślnie i żać potrafię.

Dopióroż Andzia, która wiedziała moją tajemnicę od Wasyla i kryła się z nią, nuż paplać, a ojciec rozczuliwszy się aż do łez uścił mnie... A! byłbym się dał za ten uścisk i błogosławieństwo pokrajać!

— Bóg ci pobłogosławi — rzekł — dobry z ciebie syn... nie odrzucam twojej pomocy, uznij i ty garść chleba na ojcowskim zagonie... a! kiedyś więcej ich było, i lepiej rodziły, i nie samiśmy zbierali! Ale Bóg tak chciał i błogosławiona wola Jego!...

I poczęliśmy żać wszysej, a najmit poczciwe chłopczysko, prosty wieśniak, patrząc na mnie i na ojca także miał lzy w oczach, jak my; robota szła żywo, prócz mnie, com się włókł nie mogąc drugim podolać. Żyto na nieszczęście okazało się, jak tu nazywają *postępne*, to jest dużo go na snop wychodziło, przeredziła je zima, i ja kopy moją nażać nie mogłem, a najmit jeszcze wiązać musiał, bom się tego nie nauczyłem dobrze. Kiedy matka przyszła do nas o południu z jędzeniem niosąc dwojaczki dla ojca i Andzi, mnie się tu nie spodziewając znaleźć, załamała aż ręce, widząc, żem w koszuli zwiżał się z niemi na polu. Biedaczka ucałowała mnie w głowę i pogderała na ojca, że mi pozwolił robić.

— A nuż sobie ręce pokaleczy, to niezgrabstwo — rzekła — jakże z niemi stanie przed dobrodziejami naszemi?

— Namulane dłonie, moja panno — odpowiedział ojciec — nikomu wstydu nie robią...

Wieczorem dobrze uznojony powróciłem do chaty; ale nie powiem, żeby mi ta praca ręczna, nieprzywykłemu do niej, była przykłą, owszem, świeże powietrze, ruch, weselość ludzi, którzy na swoich polach żęli śpiewając, radzi, że się skończy głodny przednówek, przemówiły mi do duszy. Zastłuchiwałem się w te pieśni, w których tęsknocie tyle wesela, w których weselości tyle jest rzewnego smutku! A gdym podumawszy w okienku izdebki, położył się spać, ległem z uczuciem zadowolenia, jakiegom jeszcze nie doznał. Starzy naradzali się długo w nocy, a Andzia szepnęła mi na ucho, że słyszała, jabobyśmy zaraz po żniwach gdzieś wybierać się mieli, tak, by ojciec na siejbę mógł powrócić, bo tej nikomu nie powierzał.

W sierpniu.

W tej zawierusze pogubiłem dnie, nie miałem czasu pisać i nie-rychło powracam do mojego dziennika, ale go teraz z podwójną będę ochotą prowadził, bo mi się horyzont rozszerzył, i mam na co patrzeć i zbiorę, co pamiętam. Ale zacznijmy lepiej od samego początku.

Gdy się żniwa skończyły, w ciągu których ja, uczeń liceum i jakiś tam kandydat, miałem szczęście użać około siedmiu kop ojcemu, a zatem koło dziesięciu złotych oszczędzić, i przekonać się jak to trudno rękoma coś zarobić w tej pracy tak znojnej—ojciec, zwiózłszy żyto ostatnie do stodołki, wieczorem kazał mi przyjść do siebie. Ręce powkładał w kieszenie i chodził po izbie potrząsając siwą głową; matka siedziała na przypiecku patrząc na mnie, Andzia słuchała przyczajona za drzwiami.

— Słuchaj-no, Jasiętku — rzekł — jutro pojedziemy... tobie tu niema co robić, a od nauk do pluga szkodaby mi ciebie było... trzeba innego szukać pola, a jak ci da Bóg czego się dorobić i nas może przytulisz, kiedy już się na nie nie przydamy, tylko w kątku Boga chwalić... Potrzeba nam jechać naprzód podziękować dobrodziejom naszym, co cię na człowieka wyprowadzili.

Nie śmiałem się spytać, tko by to byli ci państwo, bo ojciec mi dotąd modlić się za nich nakazując, nie mówił nigdy wyraźniej, ale on sam począł obszerniej:

— Trzeba ci wiedzieć — odezwał się — żem o tém wcześniej nie mówił, dlatego, żebyś jako młody a nieopatrzny nie wbiął się wyso-ko w dumę i nie dufał zbyt przyszłości... dlatego, że losem mamy bardzo bogatych krewnych i dla nas przychylnych. Nie lubiłem ja i nie lubię uciekać się do cudzej łaski, ale dla dziecka robi się ofiarę... o! Bóg widzi téż, że to była ofiara! Waćpan nie wiesz, że pan Jamunt jest mi przez kobiety blizkim krewnym, a to pan całą gębą.

Słyszałem ja coś już o tych Jamuntach, ale jeszcze nie wiedział

dobrze, co to byli za jedni, i zląkłem się tylko, że mi przyjdzie stanąć przed jakimiś panami, mnie, co tak nie umiem sobie poradzić, bodaj przy dwóch obcych osobach. Ojciec tymczasem mówił dalej:

— Trzeba pojechać, podziękować im, do nóg upaść, bo jeżeli ty wyrośniesz na człowieka, a dołę sobie siaką-taką zdobędziesz, im to będziesz winien, oni żyli na ciebie. I tak to uczynili, żem ja nie wahał się przyjąć, boby się zdało, że ja im, nie oni mnie łaskę robili. Święci ludzie, powiadam... ani mi w myśli, żebym znowu im waszmości narzucił; powinieneś sam jakoś popchnąć się w świecie; ale pojechać, pokazać się trzeba, boby już niewdzięcznością pachło nawet się nie pokłonić, kiedy, jak obrachuję, do czterech tysięcy na ciebie mi dali od początku. Odzienie, na jakie nas stało, masz... mnie siejba w kark pędzi; pojedziemy jutro, pozajutro staniemy, a da Bóg za dni trzy, najdalej cztery powrócimy, bo im powiem poprostu, że czasu nie mam dla posiewów i odpoczywać nie mogę. Na wyjeździe ci jeszcze mam powiedzieć, panie Janie, żebyś znów tam nie wyglądał jak trusia, bo cię wezmą za głupca... niechże się pocieszą, żeś coś wart; niema się czego strachać, ani zbytniego uniżenia nie trzeba, ani dumy nie w miejscu; języka w gębie nie zapominaj, choć to wielkie państwo, bo to, co ich otacza, blichtry, mosanie, a tak oni, jak my, po śmierci trzy łokcie ziemi potrzebujemy... Niech cię światłość, dwór i błyskotki nie durzą: każdy sobie pan, kogo nie okuły namiętności zły, i nie złamała podłość; każdy sobie pan — powtórzył z pewną dumą ojciec — a to mi lepszy, kto czysty pójdzie na sąd boży. Z jedną jesteśmy gliny, z jednego ojca, jeden Chrystus nas odkupił, jedno czeka nas niebo lub piekło, i jedna strawi ziemia... głowa do góry... ale nosa nie zadzierać... tak, Janku kochany... I co Bóg da... to da...

Staremu znowu lży zakręciły się w oczach, pocałował mnie w głowę, jak przy życie; ja z czuciem pochwyciłem dłoń jego szorstką i uściskałem ją serdecznie; matka przystąpiła do nas także... popłakaliśmy się, ale jakoś nawesoło...

— Ha! ha! — rzekł ojciec, powoli ocierając oczy rękawem — dziś czy jutro i rozstać się przyjdzie... nie stworzeniśmy na uciechy, musimy każdy pchać taczkę swoje...

Długo wieczorem były przygotowania do drogi, bo to do téj Borowej mil osiem opętanych, nasze konie spracowane przy roli, kłusa wielkiego nie pobiegna, i dopiero drugiego dnia stanąć mogliśmy. Matka powynosiła zapasy w węzełkach, żeby jak najmniej kupować po drodze, najmit wózek smarował i wyścielał, my pakowaliśmy rzeczy, i jakoś tak-śmy się wybrali, że z wieczora wszystko było gotowe, tylko konie zaprządź. Ja sam im obrok dałem, który na mocy

jutrzejszej podróży otrzymały, i tak z bijącym sercem położyłem się spać, bo mnie ta wyprawa niepomatu niepokoiła.

Nazajutrz raniusieńko wszyscyśmy w domu byli na nogach. Matka z Andzią gotowały śniadanie, najmit konie sposobił, ja wózek ojcu starałem się wygodnie wymościć, a gdy przyszło jechać, choć to droga nie daleka, choć powrót prędki, w milczeniu jakoś smutnym, kryjąc się z dziecinną tęsknotą, rozstaliśmy się. Ojciec w progu jeszcze powtórzył, co bez niego robić mieli, zakreślił biczem krzyż przed końmi, sam się przeżegnał, i gdym kolana matki ścisnąwszy wsiadł, ruszyliśmy powoli... Długo patrzali za nami z wrot, matka żegnając szkaplerzem, Andzia powiewając chustką, nawet poczciwy Stefan kłaniając się czapką... I tak nie opatrzyłem się, jak stanęliśmy za wsią, jak w las wjechali i kraj nowy przede mną się otworzył. Tą drogą jeszcze nigdy nie był daleko za domem.

Choć to kraj płaski i smutny, ale ma swój wdzięk i mnie się podoba, czegoś serce do niego bije i tęsknotą jakąś słodką widok jego poi. Widziałem inne trochę okolice, może piękniejsze, wzgórkowate, urozmaicone, ale tam wesoło było mi, tu choć smutno, rozkosznieję. Lasy drzemią sine... pełno drzew wszędzie, w gajach dworki, w olszynach wioski, na dachach klekocą bociany... nawet szerokie błota, mieszkające ptastwa, kiedy się z nich gwar wieczorny odezwie, żyją mi i śpiewają...

Ojciec, kiedy tak zamyślony się przyglądał, kilka razy na mnie spojrzął, ale modlił się prawie do południa; konie szły same, bo je stare doświadczenie prowadziło, nie potrzeba było ani poganiać, ani kierować... takie mądre. Później zaczął się odzywać, ale wszystkie jego uwagi były gospodarskie... najwięcej go obchodziły kopy w polu, rola i jutrzejsza pogoda. Borowój nie wspomniał, choć radbym był czegoś się o niej dowiedzieć więcej nad to, co mi w domu mówił. Popasaliśmy w małej karczemce nad drogą, i do nocy się wlokąc, bo konie coraz szły opieszaliej ku końcowi dnia, stanęliśmy na nocleg w wsi już do tych państwa chorążych Jamuntów należącej. Ojciec się tak rozrachował, żeby nie zbyt rano przybyć, ani nadto późno, przed samym obiadem. Przespaliliśmy się na sianie, i ze dniem byliśmy na nogach. Rozumie się, żem ojcu zaprzętać się nie dał ani końmi, ani pojeniem ich, ani przyniesieniem siana, bo stary widocznie był drogą zmęczony. Gdy zrana wstawał, dobrze się musiał zeprzeć na rękach, żeby dźwignąć z ziemi i za krzyże się pochwycił. Znowu tedy po grobelkach i piaseczku, truchtem do tej Borowój, a tu jak nie widać tak nie widać, aż mnie to trochę znecierpliwiło.

Nareszcie wybraliśmy się z lasu, od którego wiodła piękna lipowa stara ulica do miasteczka, biejącego w dali. Zdaleka to już poważnie wyglądało, a naprawo dwór ogromny, zabudowania mnóstwo,

kościół na pagórku widny na całą okolicę, ogrody poobmurowywane, słowem, rezydencya jakaś pańska, przy której małe miasteczko, jak z kart się wydawało drobne i malutkie, chociaż dosyć porządne. Nazwisko to tylko miasteczka nosi, bo trocha żydów pośrodku, a dalej ulice z chatami wieśniaczymi porządnymi, i mieszczanie widać koło roli się zajmują. Zajechaliśmy na rynku do karczmy skromnej, żeby się tam przebrać i dowiedzieć, co się dzieje we dworze; obejrzałem się po placu, na którym na targ się ludzie zjeżdżali. Może mi się to wydaje, ale po wsi zaraz poznasz dziedzica, a po twarzach ludzi pana: tu czegoś swobodnie i wesoło, jak nigdzie. Kilku dworskich porządnie ubranych kręciło się na placu, i na zapytanie ojcowskie odpowiedzieli mu tak grzecznie, jak-em się nie spodziewał, bośmy ubożuchno i pokornie wyglądając, ledwie mogli na to rachować, że nam odpowiedzieć raczą. Konie zostawiwszy u znajomego żyda, bo bryczyną naszą do pałacu zajeżdżać nie wypadało, poszliśmy już dalej z ojcem piechotą. Ojciec wziął to najlepsze odzienie, perłową kapotę, chustkę na szyję, czapkę z barankiem, laskę, i poważnie mi wyglądał, choć ze staroświecka. Zaraz za miasteczkiem dwa wielkie stawy i grobla topolami wysadzona dzieli od niego dwór, który na drugie i lepsze miasto wygląda, tyle tu murów i budowli. Znać państwo było, aż po mnie ciarki poszły; myślałem, że nigdy nie trafimy do tego człowieka, którego taki tłum otacza. Ojciec, że tu już nieraz i co roku bywał, tłómaczył mi wszystko; za groblą poczęła się szersza jakaś ulica wysadzana, z obu stron otoczona dworkami i ogródkami ślicznymi. W nich sami dworscy, oficjaliści, kapelan i rezydenci mają mieszkania; westchnęliśmy oba, myśląc, żeby ojcu choć na starość taki domek cichy i miły, w jakich ci szczęśliwi sobie siedzą.

Przed bramą pałacową na wałach, która jak pałac wyglądała, bo o piętrze i z wieżą zegarową, w cieniu ogromnych drzew, ogrodzony sztachetami białymi, z wysypaną piaskiem ścieżynką do drzwi wiodącą, zatrzymał nas dworek rządu, pana Doroszeńki, do któregośmy z ojcem naprzód zaszli.

Jak ci ludzie tu mieszkają! jak żyją! Szczęściem, znaleźliśmy naszego krewniaka, bo i panów Jamuntów i nasz podobno kuzyn, poręcznik Doroszeńko. Wszystko to wesołe, grzeczne, przyjacielskie, a tak się nam po chacie naszej pańsko wydaje. Mnie już w tym dworku cudzo było i trudno, jak w pałacu, myślałem, co to będzie dalej. Poręcznik, ogromny mężczyzna, wąsaty, łysowaty, wesołej twarzy, zobaczywszy mego ojca pokornie w progu mu się już kłaniającego, na powitanie poskoczył z otwartymi rękoma. Naprzód go wyścisnął na wszystkie boki, potem na mnie spojrzął, com mu się przed-

stawić nie potrzebował, bo po twarzy i z miny domyślił się, że ów Jaś, o którym słyszał, choć go nie widział jeszcze.

— A! witajże, kawalerze — zawołał — bliżej, śmiej! chodź tu, niech ci się przypatrzę... chłop jak dąb! — dodał — będzie chorąży kontent...

— Właśnież to ja z nim między siebie a żniwami dobrawszy parę dni wolnych, chciałem się państwu chorążemu za ich łaskę pokłonić. Kochany porucznik nam prezentację ułatwi.

— Albo to u nas o audyencyę prosić potrzeba! — odezwał się rzadca — czy to my tacy formalisci? Waćpan znasz naszego chorążego i naszą pocziwą panią; magnaci *re et nomine* mosanie, ale sercem szlachta... dostąpić do nich nie trudno, czy w aksamitach czy w kaponie. Każdy u nich człowiek... a toć przecie familia!

— E! ba! a cóż to uboga familia, to kółkun, mości dobrodzieju — rzekł ojciec wzdychając.

— Tylkoż nie wy — odparł porucznik — których prosić potrzeba i nabijać się, żebyście cokolwiek przyjęli... No! siadajcie, zaraz będzie msza, pójdziemy razem do kościoła, zadzwonią, a potem ksiądz Ginwił tędy ze swojego dworku iść będzie mimo okien, to go zobaczym, i wedle zwyczaju do furtki zapuka... żebyśmy nie opuścił nabożeństwa... A możeby czy kawy czy wódki?... no? jak?

— Rano jeszcze — rzekł ojciec.

— Bo i ja-byłm to przetrącił — rzekł pan Doroszeńko — jeździłem już po folwarkach, to się na apetyt zebrało: cóż? kawy? — Kląsnał w ręce i kozaczek przybiegł, któremu śniadanie bardzo dla nas potrzebne podać kazano, a ojciec gawędził z Doroszeńką; ja-m się rozglądał po izdebkach, to ku pałacowi, który stąd widać było dobrze. Gmach ogromny, piętrowy, dwie oficyny podobne... przed ganikiem cała oranżerya, uliczki z drzew cytrynowych i pomarańczowych... trawy zielone jak aksamit postrzyżone.

— Ot, waś nie do rzeczy robisz — odezwał się po chwili rozmowy Doroszeńko do ojca — że się tam na chudym zagonie siedzieć upierasz. Ładnie to, że wolisz swoją pracą nabyty, niż łaskawy chleb cudzy, ależ przecie i tu-byś się przydał, a nie jadłbyś go darmo. Już to, co się tyczy pana chorążego, znasz go i wiesz, że jak jest z kościami pocziwy, tak od niego trudno się co dopytać: milezy całe życie. Mówią, że jeszcze od sejmu grodzieńskiego, na którym się znajdował, jak umilkł w czasie sesyi milczenia, owęj nocy pamiętnęj, chyba gwałtem i z potrzeby co przemówi; no, ale chorążyna, która się wszystkiem za niego i za siebie trudni, nie raz, ale sto razy mi to wspominała, że waćpaństwo powinni-byście przenieść się do Borowej. Służba służbie nie równa; u takich ludzi sługa to przyjaciel i pomocnik... wierzaj mi... toć ich znasz.

— Ale ja w swojej chacie pan...

— No, ja w moim dworku — odparł Doroszeńko — co myślicie? Jak czasem nasi chorąstwo łaskawi mnie odwiedzić, choć to i chata i ziemia ich własna, tak się akomodują, jakby nie wiem gdzie byli w gościnie! Oni ludzi szanować umieją... no! no! — rzekł skręcając rozmowę — a z synem co robisz, panie Ignacy?

— Jeszcze nie wiem — odparł ojciec smutno — szkoły skończył, pójdzie pracować, właśnie się z wami chciałem poradzić... Ale na-przód podziękujmy-no państwu, że go na człowieka pokierowali.

Doroszeńko spojrział na mnie z uśmiechem.

— No! to daję waści słowo, że my go tu już stąd nie puścimy.

— A! niech Bóg uchwala! — zawołał ojciec — a do czegożby to było podobne! gotów-em stąd się zawrócić; myślicie, że ja wam go narzucam?

— Niby to ja ciebie nie znam, stary tetryku — rozśmiał się rzadca — bądź spokojny, ja tój myśli nie poddam, ale zobaczysz, co powie chorążyna, co on, i co młody nasz pan...

— A jest i młody?

— Wszyscy są... my tu zawsze w domu siedzimy, jak wiesz... czasem z Olesiem, bo wiesz, że tu inaczej młodego nie nazywają, na polowanko, trochę w sąsiedztwo, ot do Romanówki, albo tam gdzie i dalej, a reszta w domu; albo to nam tu źle? Starzy świata nie lubią, młody także... ale poczciwego sąsiedztwa nie zapominamy, ani ono o nas; mało który dzień, żebyśmy kogo nie mieli... kościół parafialny w dziedzińcu.

Gdyśmy tak rozmawiali, postrzegłem sunącą się od alei figurkę małą, tłusciuchną, białą, w czarnej sukience; za nią szło z pięć albo i ze sześć psów. Było mężczyzna podżyły i poważny, z brewiarzem pod pachą, w którym domyśliłem się księdza Ginwiła, proboszcza tu-tejszego i kapelana, a naszego kuzyna także. Razem i głos sygnaturki kościelnej dał się słyszeć, oznajmiający, że czas był na mszę. Ksiądz zbliżył się do furtki i zastukał w nią mocno, a Doroszeńko przez okno na niego kiwnął, żeby zaszedł.

Jakoś i to wesoły człowiek, bo na progu ojca serdecznie przywitał uśmiechając się na widok jego.

— A ty tu, hreczkosiejn stary? ha! tak-śmy cię złapali! ha!

Obrócił się do mnie.

— A to twój syn... — popatrzył mi bystro w oczy. — Dobrze mu z nich patrzy, dobrze... — zawołał, gdy w rękę całował — roztropny, a nie matacz... A umiesz do mszy służyć? — zapytał.

— Umiem.

— No, i choć pod wąsem nie powstydzisz się?

— A! niechże Pan Bóg broni, księże kanoniku — zawołał ojciec.

— Na początek więc... a tyś pierwszy raz tu? — zapytał.

— Pierwszy, księże kanoniku.

— Na początek do kościoła pójdziemy, i panowie za mną! Patrzajcie, już się i najedli — rzekł spoglądając na stół — o! a ja jeszcze nie w gębie prócz pacierzy nie miałem... No! nie marudźcie, a chodźcie, bo po pierwszym dzwonku oboje chorąstwo zaraz przyjdą na mszę... Pan Jan... wszak Jan? ze mną.

Nie dał nam czasu księżyna więcej mówić, ani mnie się strachem wytłómaczyć od służenia do mszy i pociągnął nas za sobą. Ojciec widząc, żem poblady, zbliżył się do kanonika.

— Służyć do mszy świętej umie — rzekł cicho — ale taki z niego tchórz, że gotów bałamuctwo jakie przy ołtarzu zrobić, albo języka w gębie zapomnieć...

— Co? prawda to? — spytał ksiądz Ginwiłł — nie może być! gdzie? ojciec własny cię obgaduje, panie Janie... Toś ty tchórz? he? a fe! a fe! młody człowiek powinien być śmiały... i czego się tu bać? No! nie ma rady, wiara za mną...

I pociągnął mnie za sobą. Na progu czekały psy, które się za kanonikiem przywlokły; znak im dał, żeby dalej nie szły i porozchodziły się z pospuszczanemi głowami. Szczęście dla mnie, że ojciec z panem Doroszeńką nie szli daleko, bo mi samemu z kanonikiem tak było, żem nie wiedział, na którą nogę stąpić. Z początku zaczął mnie rozpytywać, ale widząc że nie do rzeczy i urywanemi słowy mu odpowiadam, uśmiechnął się i pacierze głośno odmawiał, nie spuszcżając mnie z oka. Jabym się był może rozgadał i ośmielił, ale dzwonek zwołujący na mszę mnóstwo osób wywołał z dworków; otoczeni byliśmy ludźmi, którzy się nam ciekawie przypatrywali... oczy ich mnie paliły. Przeszedłszy bramę pałacową, weszliśmy na dziedziniec ostawiony drzewami w wazonach, a dalej furtką z krzyżykiem na drugi kościelny. Tu już różnię mi było, bośmy idących wyprzedzili i kanonik wprowadził mnie do zakrystyi za sobą.

Do mszy już było wszystko przygotowane... Kościół przepyszny, jakimogm jeszcze nie widział nigdzie na wsi: znać że na chwałę bożą nie szczędzono.

Przeze drzwi od zakrystyi, stojąc z mszałem, mogłem mu się dobrze przypatrzeć: dosyć wielki, obrazy prześliczne, ołtarz wielki od marmuru i złoczeń... choć to dzień był powszedni, ludzi się zebrało dosyć wiele, znać dworsecy; jakaś staruszka małego wzrostu, i o lasce wchodzący jegomość siwy, krótko ostrzyżony z zaczesanemi do góry gęstemi włosami, zwrócili moje uwagę... byli to sami państwo. Skromnie ubrani pomieścili się sobie w ławeczce; za niemi wszedł mężczyzna lat już około czterdziestu mający, podobny do starego; nazywają

go tu młodym panem lub Olesiem. Wszystko twarze tak poczciwe, dobroci pełne i braterskie, że spojrzawszy na nie pokochać musisz odrazu. Przy nich kołem mnóstwo się ludzi umieściło, z troskliwością starym posługując... Gdy mi zasygnowawszy wychodzić przyszło z mszałem, nie wiem doprawdy, jak się dostałem do wielkiego ołtarza, tak mi twarz paliła, tak nogi drżały, zwłaszcza gdy postrzegł, że wszyscy na mnie patrzą. Wzrok ojca, który stał przy panu Doroszeńce, jakoś mnie podtrzymał, obawiałem się mu głupotą moją zrobić przykrość, i tak jakoś szczęśliwie wybrnąłem z ministrantury.

Msza odbyła się prędko, a ja z kanonikiem wszedłem nazad do zakrystyi, czekając, czy ojciec po mnie nie przyjdzie, i nie wiedząc, co robić z sobą. Na nieszczęście, przy wyjściu postrzegli ojca państwo i pociągnęli go za sobą, a ja się zostałem z księdzem, który jeszcze pacierze odmawiał. Już byli wszyscy z kościoła powychodzili, kiedy ks. Ginwiłł podniósł się z kłęcznika i obejrzawszy się po mnie uśmiechnął.

— No! chodź, trusio kochany — rzekł — już ja cię sam zaprowadzę do pałacu, a wstydz się takim być dzieckiem. Pana Boga się bój, grzechu się lękaj, a ludzi niema czego. Śmiało, śmiało! zresztą to tacy poczciwi państwo, że bodaj się tacy na kamienu rodzili; ośmiel się, bo cię za dudka wezmą.

Jakoś mnie istotnie oprzytomnił. Poszliśmy tedy znowu w dziedziniec pałacowy, i wprost do wielkiego wejścia; tu mi się jednak tak w oczach dwoiło, że m zrazu niewiele widział. Ślicznież tu, ślicznie! W sieni wielkiej cały nasz dworek, a może i stodółka-by się pomieściła razem; ogromne stare obrazy na ścianach; służby mnóstwo... spojrzeli na nas, ale i po ludziach znać było, że nas dobrze przyjmują, bo żaden z mojego szaraczkowego surduta, od którego ich liberye daleko były lepsze, nie uśmiechnął się nawet. Kanonik wprowadził mnie do salonu ogromnego, choć poczerńiałego, a staroświeckiego, ale wspaniałego bardzo.

Zdało mi się po naszej chacie, że to sen dziwny, marzenie jakieś, czy widzenie... W sali nakrywano do śniadania, przeszliśmy ją i naprawo wsunąłem się za kanonikiem do pokoiku, w którym znalazłem dużo osób, oboje tych starszków widzianych w kościele, młodego pana, Doroszeńkę i ojca. Oprócz nich, wówczas jeszcze nieznanome mi kobiety i mężczyźni zajmowali głąb... nie wiem, co się ze mną działo, gdy mnie ojciec przedstawił państwu chorąstwu; chciałem im do nóg upaść, ale mi nie dali, sam nie powiedział, tylko za rękę chwycił mnie silnie i spojrzął wymownie; sama uśmiechnęła się widząc moje zakłopotanie.

— A toś do mszy służył, panie Janie — odezwała się miłym ja-

kimś, ośmielającym głosem. — Kanonik cię zaraz zwerbował. No! chwala Bogu, nauki skończyłeś — dodała — pięknie mi wyglądasz, ojca z twarzy przypominasz, a daj Boże, byś mu był i duszą podobny.

Ojciec się skłonił ze łzami, które ciągle musiał ocierać.

— Tylko oczów nie spuszczej, nie obawiaj się — dodała — jesteś tu między swojemi... niema czego się mieszać... Chodźmy-no do śniadania, bo musicie być głodni.

— A już ich Doroszeńko nakarmił przede mszą! — ozwał się kanonik.

— E! podryw nam robisz — przerwała pani idąc przodem do sali — zawsze po swojemu, poręczniku.

Wszystko się ruszyło do śniadania, ja oczy podniósłszy mogłem się im lepiej napatrzeć. Chorążyna lat około sześćdziesięciu mieć musi, ale twarz mimo starości tak świeża, rumiana i wesola, takiego coś ma młodego, że z pod niej niezwiędła przegląda dusza. Musiała być bardzo piękna za młodu, wzrost tylko niewielki, a dziś już się trochę pochyło trzyma, zawsze uśmiechniona, każde jęj słowo nacechowane anielską dobrocią, sama wesola, lubi to i w drugich. Wszyscy też tu jakoś pogodnie i swobodnie wyglądają. Wśród dworu tylko jedna posępna i milcząca twarz pana odbijała wyrazem tęsknoty. Jest to starzec już złamany życiem widocznie, silny jeszcze ciałem, ale upadły na duchu, niezmiernie mało mówiący, zamyślonny... Budowy silnej, dziś się zgiął już i nieco nogami suwa, blade, oczy czarne, wielkie i żywe, włos siwy obfity, ubiór ciemny, bardzo prosty. Choć nie odzywa się prawie, nie zastrasza tak, jakby sobie wyobrażać można; widać, że to milczenie pochodzi nie z pogardy dla ludzi, ale z niezwyčajzonego smutku leżącego na duszy; myślą jest gdzieindziej. Najczęściej chodzi po pokoju ręce założywszy w tył pod suknię, lub siada w oknie i patrzy, ale znać, że nie nie widzi.

Gdy ma do kogo co powiedzieć, mrugnie i poeichu krótko coś tylko szepnie, a potem znów chodzi i myśli. Wszyscy go tu szanują, ale w licznych rezydentach i dworakach nie znać uniżoności i przypochlebiania się ani jemu ani pani: swobodni są, śmieją się, chodzą, żyją, nawet ojciec w swojej perłowej kapocie, rozruszany przez panią Jamuntową, która go w opiekę wzięła, wnet się ośmielił i rozgadał. Młody pan, którego tu Olesiem wszyscy nazywają, nie jest już wcale tak młody, owszem dojrzały mężczyzna, coś do ojca podobny, jak on milczy, ale mniej przecie i jak on dobrym się zdaje. Piękny wcale, postawa szlachetna, czoło wysokie, nos prosty, usta łagodnego wyrazu... Dziwi mnie, jak to ci wielcy panowie nie na tych, którechem sobie w nich wyobrażał, nie wy-

glądają; nie poznałbyś, że te pałace, majątności, ogrody, ziemie i bogactwa do nich należą; że ci ludzie w takiej liczbie ich otaczający żyją z ich łaski.

Pani Jamuntowa rozmawiała z ojcem tak uprzejmie, że m ją za to pokochał; mnie młodszy pan wziął w opiekę i jednym słowem ośmielił.

— Do czego masz ochotę? — zapytał mnie odciągawszy w drugi koniec sali i sadzając przy sobie — mów mi otwarcie, panie Janie, jak bratu...

— Doprawdy sam nie wiem jeszcze i nie miałem czasu wejść w siebie; dotąd zajęty byłem nauką, która mi dosyć smakowała — rzekłem — teraz wróciwszy do domu i przypatrzwszy się ciężkiej pracy ojcowskiej, najpierw jemubym chciał być pomocą. Rodzice starzy a biedni...

— No! więcbyś gospodarował? prawda?

— Gdyby ojciec pozwolił, pomagałbym mu...

— A on nie chce?...

— Właśnie, że mi nie dopuszcza!

— Stary dziwak zawsze — odpowiedział pan Aleksander — ale na ten raz ma może słusność; gospodarstwo wasze małe, niema tam co robić, tybyś się na niem zmarnował.

— Ale ojciec się zamęcza!

— I to dobrowolnie — rzekł pan Aleksander znowu — nie chce się stamtąd wynieść, choć dawno go o to prosimy... to bardzo mała jakaś cząsteczka?

— Kawalek pola i chata — odpowiedziałem — pole sami zarabiają...

Pan Aleksander podniósł oczy z jakimś uczuciem podziwu zatrzymując je na ojcu.

— Nie mówił ci, coby chciał z tobą zrobić? — spytał.

— Myśli mną pokierować inaczej, przy sobie trzymać nie chce, to pewna...

— A ty? — zapytał.

— Pójdę służyć — odpowiedziałem.

Nic już mi więcej nie mówił, ale uważałem, że się ze mną i ze starym obchodzili jak prawdziwi krewni, i za nie im nie byłem tak wdzięczny, ile za tę ich serdeczność, za troskliwość, żeby nas nie upokorzyć w niczem, za to zniżanie się dobrowolnie do obyczajów, pojęcia i położenia biednych ludzi. Śniadanie przeszło bardzo wesoło: ksiądz kanonik żartował, pan Doroszeńko opiekował się ojcem, a wszyscy, nawet ci, których nie znałem, tak byli dla nas uprzejmi jak sami gospodarze. Oprócz rządcy, a naszego krewniaka, który w takim stroju, jak był, przyszedł do pałacu i ka-

nonika księdza Ginwiłła, znajdowali się jeszcze i inni do tego dworu należący. Niemłoda już kuzynka, którą mi ojciec w rękę pocałować kazał, panna Jamuntówna, słuszną, suchą i sztywną i choć trochę dumniejszą od samej pani, ale niemniej od niej chętną dla nas i uprzedzającą; przy niej jej synowica Krzysia, śliczna bruneteczka, mała i żywa, z której ciągle ksiądz Ginwiłł żartował, że raki piekła; pan kapitan Zbrzeski, szpakowaty kawaler, nadskakujący obu, z koleżykiem w uchu i wysoko podpiętą na halsztuku chustką białą...

Uważałem także w kątku ciągle siedzącego pana Hończarewskiego, o którym mi pociechu powiedział pan Doroszeńko, że ma lekkie pomieszanie z naczytania się Pisma Świętego i uważa się za proroka, zresztą najlepszy człowiek w świecie, ale, że sobie samby rady nie dał, tu go państwo Jamuntowie przytulili. Było jeszcze kilka figur mniej wydatnych, do których się przybliżyć nie mogłem.

Wszyscy mnie karmili przy tém śniadaniu, sama pani, panna Jamuntówna, ksiądz Ginwiłł, Doroszeńko, pan Aleksander, a że nikomu odmówić nie chciałem, już nie wiem wiele zjadłem i czego. Zaraz potem wszyscy się rozchodzić poczęli, a nas zatrzymała sama pani i obu poprowadziła do drugiego pokoju, nadszedł i stary pan chorąży, ręce trzymając za sobą, i pan Aleksander.

— No, kochany panie Ignacy — odezwała się, do krosienek siadając, chorążyna, bo ciągle robotę jakąś robić ma zwyczaj, jeśli nie pończochę, to włóczkową na kanwie robotę, lub siatkę — co tam myślisz o synu?

— Cóż? w świat pójdzie... a najpewniej go w służbę oddam, niech się pokory uczy, której ja nie miałem nigdy, i to mnie na staro obdartusa wy kierowało...

— W jakąż służbę?

— Rachmistrem lub pisarzem będzie na początek — rzekł ojciec — pisze pięknie, rękę ma dobrą...

Matka spojrzała na syna...

— Ot, jak się to dobrze składa — odparła śpiesznie — a tu właśnie...

Ojciec się namarszczył, chorąży spoglądając na niego, chodził po pokoju... pan Aleksander ramionami ruszał.

— A tu właśnie — dodała — nam kogoś, to jest Olesiowi-by potrzeba do listów, do różnego tam pisania... gdybyś go chciał nam powierzyć.

Stary zaczerwienił się jak pons... i machnął ręką.

— Szanowna pani chorążyno dobrodziejko — rzekł bijąc się w piersi — nie upokarzajcie do ostatka dobrodziejstwami swemi! wychowaliście mi syna, za co do grobu poniosę wdzięczność; za cóż się jeszcze będziecie nim obarczać? Pozwólcie się szczerze odezwać

staremu, który was czei i kocha, tak po wieśniaczemu, bez obłądy i frantowstwa. Wy go nie potrzebujecie, on się wam na nie nie zda, wprost chcecie znowu biedakowi pomódz, a na siebie wziąć ciężar. Macie ich już i tak dosyć... macie... niech o swęj sile idzie dalej, toć i dla niego lepiej.

Stary łyzy miał w oczach, pani Jamuntowa wstała od krosien żywo i poszła do niego.

— Ale mój panie Ignacy, spytajże się Olesia, spytaj mego męża, księdza kanonika... kogo chcesz, że tu nam młody człowiek potrzebny do pisania i pomocy w rachunkach i gospodarstwie... Nawet trochęmy liczyli na to, że jeśli się to z twojemi projekta-mi zgadza, to nam Jasia oddasz...

— Oho! pani chorążyno dobrodziejko — rzekł ojciec śmiało — starego wróbla na plewy państwo łapiecie. Ktoby waszego świętego serca nie znał, tenby gotów uwierzyć!...

— Poradz-że tu co z nim! — zawołała chorążyna, ramionami ruszając i śmiejąc się — mój Olesiu, ty pomagaj!

Obsiedli tedy ojca, który choć uporczywie stał przy swoim, zmiękł jednak, gdy chorąży, ciągle milezący, przyszedł do niego, popatrzył się mu w oczy długo i szepnął suchym jakimś dziwnym głosem:

— Panie Ignacy, zostawisz nam syna... ja mówię!

Potém kiwnął tylko głową i odszedł, powoli się przechadzając po pokoju.

Ojciec się skłonił i wysunął ze mną.

— Od obiadu nie odjeżdżaj! dogoniła go pani chorążyna... bo się słyszę śpieszysz... dziś cię nie puścimy...

— Tylkom co się obzął, a siejba za pasem... — rzekł ojciec — muszę śpieszyć...

— Ale nie dziś!

— Jutro do dnia!

— No! po obiedzie o tém pogadamy...

Wyszliśmy znów przez wielką salę i przedpokój, w którym słu-dzy właśnie śniadanie jedli; ojcu któryś z nich poskoczywszy po-dał jego kij jałowcowy z kąta, a w ganku znaleźliśmy oczekują-cego na ławce księdza Ginwiłła, który w czasie śniadania napa-kowawszy pełne kieszenie obłankami chleba, już był otoczony psami i karmił zewsząd zbiegające się stworzenia.

Z nim razem powoli powracaliśmy do pana Doroszeńki, u któ-rego do obiadu mieliśmy zostać, żeby nie być ciężarem państwu chorąstwu. Zastaliśmy porucznika z ekonomem na jakiejś gospo-darskiej naradzie, a że na niego jeszcze kilkoro ludzi czekało, ksiądz Ginwiłł pociągnął nas do siebie.

— To stary gdera, nim on się ze swojemi pacyentami upora, chodźcie do mnie... i on się potém przywlecze.

Wszystko mi tu dziwnie inaczej się wydało, niżelim się spodziewał — odrazu czułem się swój, śmiały i wesół, jak gdybym do starych wrócił znajomych, tak każdy umiał dodać mi odwagi, tak otwarcie i szczerze mnie przyjęto. Nawet ta wielkość dworu, to państwo przestało mi ciężyć, gdym poznał mieszkańców tój małej Borowskięj rzeeczypospolitej.

Dworek księdza Ginwiłła był o kilkadziesiąt kroków od pana Doroszeńki, otoczony ogródkiem, po klasztornemu prostemi, ale bujno rosnącemi kwiatkami zasadzonym. Stara lipa, jodła ogromna, pod nią ławka i krzyż drewniany jedyną były ozdobą malutkiego, jak go kanonik nazywał, wirydarzyka. Już przez ulicę idąc, wszystkieśmy psy za sobą poprowadzili, bo im ksiądz kawałek po kawałku chleba rzucał, wypróżniając kieszenie. We dworku, w proggu, w sieni pełno było kaleków, obszarpańców i chudzińny wszelakiego rodzaju, bo ksiądz Ginwiłł tłustych faworytów, cychających na podchwycenie jałmużny, odpędzał tupiąc nogą, a szczególnie protegował wiejskich Brysiów i Kruczków z chudemi bokami. Stworzenia te widać znały go dobrze i czekały na powrót jego, bo się zaraz potém rozeszło, odebrawszy posiłek wyznaczony. W dworku czyściutko było i porządnie, ale za hałasem ptastwa gadać było trudno, bo klatki wisiały w każdym oknie, a kilku kanarków swobodnie po izbie latało, i jak tylko kanonik wszedł, tak mu to wszystko posiadało na rękach i ramionach; każdego z nich nazywał po imieniu i znał osobiście.

Usiedliśmy na rozmowę, choć ojeu ciężko było przy szczebiotaniu tego ptastwa głos podnieść. Nadszedł wkrótce i pan Doroszeńko.

— No, to tedy — rzekł — postanowiono, że Jaś zostanie z nami.

— Ale cóż z nim robić będziecie? — spytał ojeiec.

— Już-że ci go nie poprowadzimy do zguby — rzekł ksiądz Ginwiłł — to pewna, ja na kawalera baczne mieć będę oko, żeby nie próżnował. Chorąży sam powiedział, że zostanie, nie ma co gadać.

— Ale na co się wam przyda?

— Naprzód ja go nauczę polować — rzekł Doroszeńko — kapitan Zbrzeski umizgać się, ksiądz Ginwiłł modlić i ptaszki hodować, panna ciocia trzymać się prosto, Krzysia raki piec, chorąży milezcć, chorążyna być pocziwym, a pan Aleksander serdecznym... edukacya skończona...

— Coś czy nie będzie zanadto — spytał kanonik — bo tam słyszałem o umizgach, a na to jeszcze nie czas.

— Nauczy się zawczasu, to potem jakby znalazł — dodał wesoło Doroszeńko.

— Ale żeby na ten kawałek chleba zarobił — rzekł ojciec — ja darmożjada nie będę miał za syna... niech pracuje...

— Damy mu robotę... pan Aleksander potrzebuje kogoś istotnie.

Już nie pamiętam rozmowy, która trwała do obiadu, bo mi ta myśl pozostania w Borowej dosłyszć jej nie dawała. Czulem się nią szczęśliwy, bo widziałem jak tu wszystkim dobrze było; ale wspomnienie ojca, który sam jeden miał powracać do swojej ciasnej chatki, matki, która tam odpoczynku nie znając, z siostrą się koło gospodarstwa krzątała, biednego naszego kątką, jakąś tęsknotą napelniały serce i zgryzotę czulem, żem ich opuszczał. Pod koniec rozmów, które się toczyły o różnych rzeczach, a najwięcej o samym dworze i chorąstwie, ojca wybadywać zaczęto o jego stan i gospodarzę, ale ogólnikami ich zbył.

— Cóż, mosanie poruczniku — rzekł — dobrze mi tak jest i kwita... Żyto zżałem, do nowego wystarczyć powinno, synem się kłopotać nie będę, córkę szlachcic jaki poczciwy weźmie, a nam do terminu niedaleko!... ot i po wszystkim...

— Niewiadomo kto z brzegu! — odparł ksiądz Ginwiłł.

— Od Jasia dowiemy się o wszystkim lepiej... — szepnął Doroszeńko — i starego taki do Borowej wyciągniemy kiedyś.

— Oho! nie głupim, żeby się tu rozpieścić, jak wy na starość, a potem...

Dano znać do stołu bębniem, który od bramy zamkowej usłyszeliśmy, i zaraz się ze wszystkich dworków ruszyli, kapelan, rządcą, rezydenci, panny siadające do stołu, dażąc ku pałacowi. Była, myślę, druga godzina, gdyśmy się zebrali do sali jadalnej. Ksiądz Ginwiłł odmówił modlitwę, uszykowaliśmy się, jak Bóg dał, i wszystko to zasiadło przy długim stole w pokoju po lewej ręce, którego ściany mnóstwem portretów były zawieszane. Pani chorążyna miała krzesło pierwsze, stary nie siadał do stołu, ale syn go zastępował. Mnie posadzono za księdzem kanonikiem przy panu Hończarewskim, który naprzód mi się długo bardzo przypatrywał, potem zcicha zapytał kiwając głową:

— Czytałeś asindziej Objawienie św. Jana?

— Jakże chcesz? — przerwał czyhający widać kanonik — widzisz, że mu Pisma Świętego dla samego jeszcze wieku czytać nie wolno!

— A! a!

I począł jeść pan Hończarewski, a upatrzywszy chwilę, gdy proboszcz się odwrócił, znowu mnie zagadnął:

— Wiesz, kiedy będzie skończenie świata?

— Nie wiem...

— To się dowiesz ode mnie... obrachowałem to z pewnością: lat trzy, miesiecy ośm, dni dwanaście...

— Ale...

— Żadnego ale tu niema — podchwycił — proroctwa się spełnią do joty... zobaczysz... nie mówię o tém przed wszystkimi, żeby ich nie przestraszać... szczególnie przed panią chorążyną, która się lęka... ale myśmy to wiedzieć powinni...

Proboszcz, dosłyszawszy głos, odwrócił się, a Hończarewski spuścił głowę na talerz i udał zajętego jedzeniem.

Przyznam się, że stosunek tych osób pod jednym zgromadzonych dachem, był dla mnie i jest niepojętym. Nie znam świata i małym go widział, ale wiem, że to się inaczej zwykle dzieje po pańskich domach: tu znać poszanowanie, ale obok niego serdeczna miłość trzyma wszystkich i łączy, niema przymusu, wygnano pochlebstwo, każdy jest sobą i nie zapiera ani myśli, ani charakteru. Nikt nikomu nie zazdrości, nikt na nikogo nie narzeka, twarze rozweselone, pogodne oblicza; a jeśli smutek zobaczysz, pewnie go nie swoje, ale cudze jakieś cierpienie wywołało.

Im dłużej na ten świat patrzę, tém więcej mi się dziwię; miałoby tak być wszędzie, jak tu u nas w Borowój?

Po obiedzie przeszliśmy do pokojów, gdzie mnie pan Aleksander wziął pod rękę.

— Więc zostajesz z nami! — rzekł uśmiechając się do mnie — już ci mieszkanie niedaleko mojego wyznaczone i myślałem o tobie; bardzo mi będziesz pomocny. Zresztą nie zarzucę cię pracą zbyt ciężką, zostawię ci czas na własne ukształcenie, na czytanie i rozrywkę... nie powinienysy się tu znudzić z nami... Kapitan Zbrzeski, najlepszy w świecie człowiek, pokaże ci wszystko... Potrzeba kilka dni na to, żebyś się z naszym życiem oswoił i obył... Nadewszystko proszę cię o szczerłość i otwartość z nami... w każdym razie uciekaj się do mnie.

Powiedział mi to z takim uczuciem, z taką serdecznością, że mnie całkiem za serce pochwycił; ojciec przystąpił z podziękowaniami, ale mu usta zamknęto...

— Andzi swojej toś nam ani pokazał — przerwała z wymówką chorążyna, uśmiechając się i grożąc — nie chciałaś mi jęj dać, niedobry człowiecze! ha! ale my o nięj nie zapominamy, i panna Jamuntówna przygotowała tam dla nięj maleńką ode mnie pamięteczkę... oddadzą tam ci pudelko...



Ojciec się znowu zapłonił — ale mu przerwano podziękowania, zabawiając jak kto mógł.

Nadszedł wieczór i znowu wszyscy się zebrali do salonu. Chorażyna z pończochą, panna Jamuntówna i panna Krystyna z robotami, pan Aleksander z książką, którą przewracał przy stoliku, ksiądz Ginwill i inni, a w dodatku ktoś z sąsiadów. Choraży był także ale milczący, jak zawsze, chodził tylko po pokoju z założonemi rękoma. Kanonik z panną Jamuntówną po wieczery siedli do maryasza, ja patrzałem zdaleka i rozmawiałem z panem Doroszeńką, który mnie wziął wyraźnie pod swoją opiekę i obiecał objaśnić, co tu jeszcze dla mnie niepojętego i niezrozumiałego w tém życiu tak nowém, a tak spokojném i wesoło płynącym.

Ojciec poszedł nocować do pana Doroszeńki, do którego stajni konie jego sprowadzono rano jeszcze, ja z nim także, bo miał odjeżdżać raniuteńko, turbując się o dom i posiewy, które czas było zaczynać. Spędziliśmy jeszcze kilka godzin na gawędzie, a pan porucznik opowiadał nam o Jamuntach, co dla mnie najciekawsza. Ojciec choć ich zna dawno, nigdy się jednak na dłużej nie przybliżył do nich, i wiele rzeczy nie rozumiał także. Słuchałem pilnie i lepiej pojąłem tych ludzi.

Jamuntowie, jak on powiada, dawniej byli bogatsi jeszcze, choć dziś zostało im z okrawków fortun dziadowskich kilka tysięcy dusz, klucz Borowski składający się z kilkunastu folwarków, dobra znaczne na Wołyniu i Ukrainie. Imię to ma być prastare litewskie, znakomite i pochodzenie książęce; mogliby więc wcale na innym świecie i inne wieść życie, ale sobie dobrowolnie ten kąt i ustronie obrali. Oboje chorąstwo nie pragną świata, który im się próżny i eczy wyjada, a zbyt wielkich za swoje błyskotki ofiar wymaga; unikają stosunków z temi, których za równych sobie uważać mają prawo, ale ich nie odpychają; osiedli dobrowolnie w odludnym zakątku Litwy, w nim przeżyli długie lata i jużby się za nie nie chcieli dziś wynieść z niego. Życie tu regularne i jednostajne, przerywa rzadko przybycie jakiego kuzynka bogatego lub jak ja biednego, najazd sąsiadów, uroczystość kościelna i gospodarska. Ale otacza ich liczne kolo rezydentów, krewnych, wychowaućców, które ja pomnożyłem dziś jednym nieużytecznym członkiem. Sam pan choraży, od sejmugrodzińskiego wpadłszy w melancholię jakąś, dość późno został zniewolony do ożenienia z panną Pacówną, wielkiej familii i serca osobą, która mu się całkiem poświęciła. Nie była ona już młodą, gdy szła za niego, ale bardzo piękną i niezrównanej dobroci, cierpliwości i spokoju duszy. Nikt jój nie widział utyskującej, chyba nad cudzém nieszczęściem, swoje po cichu Bogu powierza, i jeśli

placze, to tak, że ludzkie oko nie widzi; dla świata ma twarz zawsze rozpromienioną i humor wiecznie jednaki.

Pan Doroszeńko nie mógł się jej dosyć nauwielbiać, ale dość zobaczyć, by temu uwierzyć. Pałac w Borowej jeszcze dziadowski być ma, a że wygodny i okolica cicha, a do życia nie braknie nic, chorąży tu sobie wolał obrać rezydencją niż na Wołyniu, gdzie ma także dom pański oddawna niezamieszkaany, a od lat kilkunastu podobno obrócony na magazyn czy lazaret wojskowy. Rodzina Jamuntów, mało głośna w historii, sięga wszakże Jagiellońskich czasów, i starzy genealogiści wywodzą ją od książąt litewskich; nie używa wszakże tytułu żadnego, bo się znać o to starać nie chciała jak drudzy, ale zdawna ma swój własny herb, i nad nim płaszcz i mitrę książęcą. Jakoś to rodem i tradycją tak szło zawsze, że wszyscy Jamuntowie byli ludźmi miłującymi spokój, gospodarstwo, wiejskie życie na ustroniu i niezależność; nie dobijali się urzędów wyższych nad prowincjonalne, nie sięgali po władzę i znaczenie, nie posługiwali się koligacjami dla podniesienia. Choć kilku z nich pożeniło się bardzo bogato z dziedziczkami imion historycznych, wielu też miało za sobą ubogie tylko szlachcianki, i drzewo ich genealogiczne tę przedstawia osobliwość — którą, jak powiada pan Doroszeńko, w innych domach tylko do XVI wieku widać i to nie we wszystkich — że łączy w sobie najświetniejsze u nas imiona krajowe z najmniej znanymi, z których parę nawet wątpliwego szlachectwa i niewiadomego pochodzenia. Panny Jamuntówny wychodziły też to za kniazów, to za prostą ubogą szlachtę, panowie brali z wielkich domów i zaścianków, jak się im podobało. W ten sposób stosunki z panami i drobną zagrodową szlachtą uczyniły ich naturalnie pośrednikami między magnatami a biedną klejnotową bracią w szaraczkowych kapotach; dom ich, jak dziś, zawsze się otwierał z równą życzliwością dla księcia Radziwiłła i dla takich jak my zagonowców, a kuzynkiem nazywają równie głośno i ojca mego naprzykład i jakiegoś tam hrabie, lub księcia, ani się szczyjąc, ani się wstydząc jednego i drugiego. Mówi pan porucznik, że charakter tego domu, rzeczą pańskiego, zawsze był raczej szlachecki niż pański, a zamożność jego nigdy nie zrodziła pychy i zamiłowania w zbytkach; lubili się tylko otaczać mnóstwem przyjaciół, podupadłych krewnych, ubóstwa, wylewać na gościnność tradycyjną, świadczyć duchowieństwu i t. p. a czynili to i czynią tak skromnie i cicho, jakby wszelki rozgłos był dla nich przykry. Z tych powodów i rodzina Jamuntów, choć pochodzeniem i bogactwem arystokratyczna, nigdy jednak przez właściwą arystokrację, choć skoligaconą, ale inaczej pojmującą swe stanowisko na świecie i życia zadanie, zupełnie na stopie równości

do koła ich przyjętą nie była i nie została zapisaną do złotych księgi. Uciekano się do niej, gdy trudno było gdzieindziej stosowną koligację wynaleźć, ale bratano ostrożnie i niechętnie, mówiono z jakimś przekąsem, nie pojmując, że się tak poniżali i poniewierali dobrowolnie. Wpływ znowu Jamuntów na szlachtę, na rodziny z nią powiązane tysiącem węzłów wdzięczności i obowiązków, był zawsze i jest niezmierny, miłość ku nim powszechna i zasłużona. Niema, słyszę, w kraju rodziny, z którąby przez kogoś i jakoś zbratani nie byli, dołem i górą mając kuzynostwa co nie miara... Idzie też to wszystko, jak ja, w dym do Borowej, i szlachcic nie mogąc sobie sam poradzić, byle się odezwał do Jamuntów, to mu córkę wezmą, albo się synem zaopiekują. Państwo chorąstwo czynią to trybem rodziców swoich i dziadów, którzy nieinaczej sobie poczynali, wychowując, oddając do szkół, promując, wyposażając, wydając za żonę, sposobiąc na ludzi, tak się tym zajmują gorliwie i serdecznie, jakby nie o dalekich krewnych, ale o własne chodziło dzieci.

Ojciec pana chorążego, jak on, całe życie prawie spędził na wsi; żonaty był z Ginwiłówną, ubogą szlachcianką, ale kobietą tak zącą jak rządzoną i pobożną, do późnego wieku niezmordowaną w pracy, która choć zdrowia nie miała, sama się wszystkiemu zajmowała, o najmniejszej w domu wiedziała rzeczy i trzymała w rygorze wszystkich. Chociaż za ostatniego Sasa, przez spokrewnionych z sobą Potockich, Sapiechów, Mniszców i Brühlów mógł bardzo łatwo sięgnąć po krzesło, wyprosić sobie starostwo lub tytuł dworski, wcale się jednak o to nie ubiegał. Zrobiono go raz niespodzianie, w niedostatku kandydata, marszałkiem trybunalskim, sądząc, że interesa rodziny przez wdzięczność promować będzie; ale zasiadłszy w prezesowskie krzesło, gdy nie oglądając się na tych, co go forytowali, począł rąbać wedle sumienia sprawy rodziny i okropnego bigosu swoim protektorom narobił, już go potem z Borowej nikt więcej nie ruszył. Spędził więc resztę życia ze szlachtą, wśród licznego dworu, a że to była pora po temu, dosyć wesoło ją przeżywał z sąsiadami, zostawując po sobie tylko córkę i syna jedynaka. Po jego śmierci, wdowa, Ginwiłówna z domu, długów trochę spłaciwszy i wiele czyniąc dobrego, doczekała wzrostu syna i córki, i dożywszy lat stu, z kluczami w rękę, usnęła spokojnie, gdy syn miał się żenić z Pacówną, którą mu wybrała i wyswatała sama z wielkiego domu. Ta pani, dziś żyjąca, wszedłszy w dom Jamuntów, doskonale przejęła się tradycją rodzinną, poświęciła stare jego obyczaje i nie myślała wcale dźwignąć rodziny z tego, jak drudzy go zwali, upadku i zaskorupienia na wsi. Zrazu rodzina jej usiłowała chorążego na większy świat prowadzić,

ze wsi ściągnąć go do miasta, dać mu urząd i wyrobić stanowisko inne; ale narzucone chorąstwo litewskie przyjąwszy z uśmiechem, order konferowany przez króla schowawszy do szkatułki, pan Jamunt cofnął się od sejmu grodzieńskiego, opanowany melancholią, do Borowej, po której zawsze tęsknił, a żona, jak on zasmakowawszy w wiejskiem życiu, pojechała z nim, wcale także po Warszawie nie płacząc. Serdeczniej się kochać, jak się to małżeństwo kocha, niepodobna, ani lepiej pojąć wspólność i podział losów i życia. Chorążyna nie myśli jeno o biednym mężu swoim, a on na jej najmniejsze żądanie, choć tak na pozór chłodny i milczący, gotów życie postawić. Długo z początku Pan Bóg im dzieci nie dawał, wreszcie z wielką radością ubogich krewnych, a niesmakiem tych, którzy już na spadek rachowali zapewne, urodził się im pan Aleksander, dziś jeszcze Olesiem zwany, choć ma z górą lat trzydzieści. O tym jako o najwięcej mnie obchodzącym, pilno nastawiłem ucha, gdy porucznik opowiadał, bo z pierwszego wejrzenia pokochawszy go, radbym wiedział, jak mu dogodzić, mając mu służyć za podręcznego. Wykapany, słyszę, ojciec, choć żywszy jeszcze od niego, ale duszę po nim i po dziadach odziedziczył. Wychowywano go też tak, by na panicza pospolitego nie wykierować; do lat dwunastu byli nauczyciele w domu i ksiądz kanonik Ginwił zajmował się pod kierunkiem samej pani; potem go wprost oddano do szkół, żeby się za coś lepszego od drugich nie miał, skromnie go tam utrzymując, wreszcie odesłano do uniwersytetu do Wilna. Podróżował lat parę i do domu powrócił, dla pomocy matce w interesach. Porucznik się tylko tęp przestrasza i wzdychając mówi, że obawia się wielce, aby jak ojciec i pan Aleksander nie popadł w melancholię, jeśli się nie ożeni i dłużej kawalerem żyć będzie. Już i tak ma do tego wiele skłonności, milczący bardzo, często zamyślony i chmurny, i gdyby nie polowanie, które rozrywa, siedziałby nad książką lub chodził jak ojciec po salonie, godziny całe spędzając na jakiejś dziwniej zadumie. Sama pani płacze, słyszę, po kątkach, niepokojąc się o syna, i o niczem nie myśli, tylko jakby poradzić, ożenić go, wyprawić w podróż, ożywić czem, żeby się nie opuścił i nie zestarzał w tęp pograżeniu, które z wiekiem siły nabrać może. Parę lat temu jeździł przez posłuszeństwo dla matki do Warszawy, odwiedzał domy krewnych, ale i jemu się tam żadna nie podobiała i on znać im nie przypadł do smaku, bo powrócił znudzony, nie zawiązawszy nigdzie ściślejszych stosunków, bez ochoty do ponownia drugi raz tej wyprawy.

Tylem na razie potrafił wyciągnąć z porucznika, który rozgadawszy się, byłby do rana to i owo o Jamuntach prawił, bo ich serdecznie kocha, a panem Aleksandrem jak synem się kłopotcze; ale

ojciec, obaczywszy na zegarze dochodzącą północ, sam pana Doroszeńkę pożegnał. Poszliśmy spać naprzeciw, do drugiej izby; myślałem, że zmęczony tym dniem zaraz się położy, ale długo chodził jeszcze, nie mogąc się uspokoić, i widziałem, że się biedny kłopotał nie kim tylko mną. Wreszcie uściskał mnie i rzekł stłumionym głosem, całując w głowę:

— Stało się, moje dziecko, zostajesz tutaj... Niechże ci Bóg błogosławi; pewny jestem, że ci źle nie będzie, ludzie to zacni, „czeladka boża“, serca złote... ale w ogromnym dworze, w tłumie tym znajdzie się i lepszy i gorszy; jak ty sobie dasz radę, jak wywiniesz bez upokorzenia, bez poniżenia i bez niepotrzebnych fumów? Młody, bez doświadczenia, bez znajomości ludzi, Bóg widzi, nie wiem, czy instynktem trafisz, i to mnie niepokoi. Słuchaj-że, jakby uchowaj Boże nieszczęście jakie, nieporozumienie... dawaj mi znać; radź się pana Doroszeńki, radź kanonika, wszystko to krewni i ludzie życzliwi; zresztą niech cię Matka Najświętsza płaszczem opieki swojej okryje!

Położył się stary, ale słyszałem, że usnąć nie mógł, przewracał się z boku na bok, wzdychał, i ledwie na brzask brać zaczęło, po cichutku z łóżka wstał do koni. Ja, że oka także nie zmrzyłem, podniosłem się i razem poszliśmy do stajni gotować do drogi, bo ojciec chciał do dnia i bez pożegnania wyruszyć, spodziewając się wypoczętymi końmi wleciec dociągnąć na noc do domu. Zawiódł się tylko na tём, że myślał jechać pozbywszy mnie sam jeden bez pakunku, bo mu nakładli pełen wózek różnych rzeczy, które z wieczora przysłała jeszcze chorążyna, a te zaważyły więcej pewnie niż ja i mój lichy tłómaczek. Nimeśmy się wybrali, wstał i pan Doroszeńko, który pierwszy zawsze we dworze jest na nogach; musieliśmy pójść do niego na kawę, i ojciec po wschodzie słońca dopiero do wózka się swojego dostał.

Nie nie powiem o pożegnaniu z nim, bo je zawsze pamiętać będę i zapisywać go tu nie potrzebuję; były w niem łzy i milezące błogosławieństwo i strach dla nas obu, a gdy kałamaszka zaturkotała w ulicy i siwa jego głowa znikła mi w drzewach, zostałem tak osamotniony, z tak boleśnie ściśniętém sercem, że mnie pan Doroszeńko ściągając musiał z ganku, bobym był stał nie wiem jak długo, nie wiedząc, co czynię.

15 sierpnia.

Pan Aleksander kazał mi wyprządzić dwie izdebki na dole w pałacu, pod pokojami, które on zajmuje na piątrze; dodano mi kozaczka do usług, i jestem tu jakbym w rodzicielskim był domu. Nawet i to obrachowali i obmyślili, że w pierwszych dniach potrzebować będę zachęty, ośmielenia, pociechy, i tacy są dla mnie troskliwi, tak dla

mnie serdeczni, że w ciągłej tylko żyję obawie, jak się im odwdzięczyć, jak okazać, że to uczuć umiem. Prosiłem o robotę, ale młody pan kazał mi czekać i rozglądać się jeszcze, a pan Doroszeńko z jego rozkazu wyliczył mi pięćset złotych na tymczasowe oporządzenie, bo się postrzegli, że bardzo koło mnie ubogo. Oprócz tego chorążyna sama kazała mi szyć koszulę; a żebym miał na czem wyjechać, stary, który nigdy prawie nie mówi, zbliżył się do mnie i lakonicznie mi powiedział:

— Jest tam koń dla waszeci, pilnujże go...

Podziękować sobie nie dał i poszedł.

Pobiegłem do stajni, gdzie mi zaraz koniuszy Pulikowski, podporucznik ułanów wysłużony, a jak on powiada, nasz także krewny, pokazał skarogniadego, przeznaczonego dla mnie z siodłem i całym moderunkiem.

Pulikowski taki poczciwy jak oni tu wszyscy, śmieszny trochę, podejrzliwy do zbytku, sam nie wiem jak na konia sięść może, bo otyły niezmiernie i nogi ma króciutkie, ale samą wagą swoją jeśli nie siłą i zręcznością konia musi pokonać. Śmieją się tu z niego we dworzę, że nieustannie mu się przywiduje, to, że pod nim ktoś dołki kopie, to że mu ktoś szkodzi, że ktoś nań koso spojrział, że go o coś posądzono, ale go kochają, bo wart. Klnie okrutnie po żołniersku, impetyk, zdaje się, że ludzi porozbija i pokaleczy, a nikt się go nie boi, bo wiedzą, że to słomiany ogień, który buchnie tylko i zagaśnie. Książd Ginwiłł, który ma wpływ na niego wielki, bo Pulikowski pobożny bardzo, ciąglem jest powiernikiem jego boleści, pocieszycielem i doradcą, ale mu z głowy wybić nie potrafił ani podejrzliwości, ani tych impetów.

Kiedym przyszedł do stajni, uściskał mnie jako krewniaka, konia zalecił, zapewniając, że go sam wybrał, a potem poprowadził mnie z sobą do kwatery, którą nad stajniami zajmuje. Musiałem wysłuchać jego uzaleń i opowiadań, i gdybym nie był przestrzeżony przez księdza Ginwiłła, jak o biednym Hończarewskim, nastraszyłbym się może tej podejrzliwości biednego żołnierza, który tu żyje w ciągłym niepokoju ducha.

— To niema gadania — rzekł mi — że ludzie złoto szczerę; on anioł pochmurny, ona anioł promienisty, młody planetami, mosanie.. Książd Ginwiłł święty, apostoł.. no i Doroszeńko poczciwy; ale niema dworu bez intryg... Naprzykład ja komu tu co winien? komu w drogę wchodzę? cicho siedzę na mojej górze, a co mam zgryzoty z tą czeladzią, tylko Bóg jeden wie... no! a patrz, że intrygi są... Panna Jamuntówna mnie cierpieć nie może, wiem to, że chodzi z donosami do pani... Zbrzeski-by mnie w łyżce wody utopił, Hończarewski im służy, to mnie, bo to waryat... jeśli nie udaje waryata!

Słowem, męki cierpię czyseowe... Choć ty mi bądź wiernym przyjacielem, mój Jasiu... a pilnuj się i miej oko, żebyś sobie także nieprzyjaciół nie zrobił, bo życie przeklniesz...

Nasłuchawszy się pana Pulikowskiego, powróciłem do pałacu i zaczynam się lepiej rozpatrywać w tém, co mnie otacza. Zdaje mi się po dawnym bycie moim, że gdzieindziejbym już nie chciał żyć i inaczej — tak tu swobodnie i dobrze ludziom, tak ci drodzy chorąstwo pilnują, by u nich wszystkim było swobodnie i do syta. Ale na ich twarzach, choć sama pani szczebiocze i krząta się, uśmiecha i żartuje, znać głęboki nieuleczony smutek. Ten starzec przygarbiony i milezący w nieustannym ruchu, a tak rzadko otwierający usta, bład, zagłębiany w sobie, przykre robi wrażenie. Chciałoby się mu coś poradzić, okupić sobą pociechę dla niego, a na to podobno niema sposobu: nie widziałem jeszcze uśmiechu na jego ustach. Wieczorami przed kolacją i po niej wszyscy się zbierają do pokojów, i on zwykle przybywa także. Na wielkim okrągłym stole przed panią stawiają lampę, przynoszą książki i gazety, i albo pani chorążyna, która mimo wieku ma oczy i głos dobry, albo panna Jamuntówna, panna Krystyna, ksiądz Ginwiłł, czytają głośno.

Mówią, że to jest jedyna rozrywka starego, który pocichu przechadza się, staje niekiedy przy stole i słucha z wielką uwagą. Wczoraj kazano mi spróbować czytać, ażeby jakieś niby dać zajęcie, i nad spóźnianie moje, choć mi się w oczach emiło i głosu brakło, jakoś mi się udało. Chorąży widocznie był rad, że mnie wyraźniej słyszał, pan Aleksander rzekł potem:

— Otóż już masz zajęcie jedno... wyszukiwać co czytać i czytać nam wieczorem, a pierś cię boleć nie będą?...

Zapewniłem go, że mi to łatwo przychodzi i że w szkołach do tego przywykła.

Czytaliśmy tego wieczora historię Jana Kazimierza, bo stary szczególniej poctów i historyków lubi; uważałem, że przy mowie króla, którą miał składając koronę, chorąży stanął bliżej stołu, wargi mu drżały, oczy pały, i łza szklista zakręciła się w oku; ale ledwie się ona pokazała na powiece, zniknął, żeby ją ukryć przed wszystkimi. Ja tylko może i chorążyna, która niespokojne rzuciła wejrzenie za odchodzącym, uważaliśmy dobywające się z niego uczucie, które ta mowa wywołała.

Resztę wieczora wszyscy już byli pochmurni, a chorąży wyszedł pocichu wcześniej niż zwykle; nie śmiałem żadnej z tego powodu zrobić uwagi, ale księdzu Ginwiłłowi mówiłem, że możeby inny wybór przedmiotów dla starego zrobić wypadło, gdy tak jest drażliwy.

— Dajno waść pokój — odpowiedział mi — intencya dobra, ale ty tu jeszcze nikogo nie znasz i nic nie wiesz.. czasem się człowieko-

wi wyplakać potrzeba, i łza to dar Ojca niebieskiego, bo cierpienie bez niej duszę-by wyjadło. Czytaj, co znajdziesz na stole, później lepiej zmiarkujesz, co mówię. Chorąży potrzebuje karmić się przeszłością, bo dla niego pono terazniejszości i jutra niema... jasno on widzi miecz boży nad nami i znać rozumie, ileśmy nań zasłużyli. Wielką tam dusza w tej zimnej powłoce...

Trochę mi z tego powodu książdz Ginwiłł świat tutejszy objaśnił; a on tak mówi do serca, tak poprostu, że go się nasłuchać nie mogę. Zbliżyliśmy się do siebie od pierwszej owęj mszy, do której mi służyć kazał; im więcej go poznaję, tém goręcej kocham... słodsze go charakteru i wypogodzeńszej nie znam duszy, przesiąki duchem ewangielii i patrząc nań zdaje się, że z apostołami chodził słowem miłości nawracać świat i wypędzać pogaństwo. On tu we dworze nauczycielem, doradcą, powiernikiem, gołębiem z różczką oliwną, stróżem sumienia i przyjacielem wszystkich. Niema ktoby go nie kochał. Przypatruję się życiu jego i uwielbiam... jak on ludzi zna, jak do nich przemówić umie, jak ich kocha! Nie wystarcza mu miłości ku bliźnim, musi dla zapelnienia serca nawet ptastwo i zwierzęta, aż do najmniejszego robaczka, miłować i opiekować się niemi.

Jak dzień, z pacierzami po ogródku lub w ulicy chodzi, a za nim w ślad gołębie jego, hodowane sroczki, karmione przezeń wróble i całe chmury przyjaciół skrzydlatych... a niechno się pokaże w ulicy, tam znowu z całego miasteczka psy, które karmi, otaczają go i wloką się za nim.

Jeszcze go nikt zagniewanego nie widział, a gdy go co oburzy, nogą tupnie, splunie, ruszy ramionami i zawoła:

— Co bo to znowu jest! — i zaraz śpieszy naprawiać, co ktoś popsuł.

Odprawiwszy mszę, kij w rękę i po miasteczku, do swoich ubogich, do dzieci, którym obrazki rozdaje, katechizmu, na ławce pod kasztanami siedząc, całymi dniami uczy, karmi, odziewa i bawi się z niemi. Sam-em widział, jak po skończonej nauce, rozdawszy jabłka i gruszki, które miał w kieszeniach, w piłkę z żaczkami swemi grał z taką ochotą, jakby jeszcze był studentem, i latawce im kleił. Dworek jego w wiecznym obłężeniu, a onby podobno i sutanny poczciwej nie miał, gdyby o nim chorążyna nie pamiętała. Grosza nigdy nie zatrzyma, a w miasteczku, jak tylko zwachają, że pieniądze ma, póty go nachodzą, póki do ostatniego szeląga nie odda. I nadużywają go i kłamią mu, ale go to nie poprawia, bo się wstrzymać nie może i krci go pieniądz, póki nie wysypie do grosza. Jest w miasteczku niepoprawiony pijaczyna, którego nazywają grenadyrem, ogromny chłop, okaleczony w wojsku, bo nogę stracił w tureckiej wojnie; ten tak umie kanonika podejść i rozezulić, że choć go zna, raz mu, nie

mając już co, starą sutannę musiał oddać. Dowiedziawszy się, że ją przepił i że żydek na szarafan jego pocziwe odzienie przerobił, ksiądz Ginwił w wielkiem oburzeniu zakazał, by mu się grenadyer nie pokazywał więcej; ale gdzie tam! trzeciego dnia potém kanonik miał pieniądze, i kaleka przywlókł się zaraz nie zważając na pogróżki. Boki trzeba zrywać, jak to pan Doroszeńko opowiada. Zobaczywszy przez okno grenadyera, kanonik zaczął nogą tupać i zawołał:

— Powiedzcie mu, niech sobie idzie precz, ten niezdara... bo mnie do pasy przyprowadzi... i kijem go będę bił, a toż sutannę przepił! wiem o tém! wiem!

Posłał służącego, aby mu to powiedział, a sam schował się do drugiego pokoju, ale nieustannie wyglądał przez okno niespokojny, czy grenadyer odszedł. Ten ani myślał pójść i wprost okna stanawszy, odpowiedział, że póty stać będzie, póki proboszcza nie przeprosi. Deszcz zaczął padać, kanonik chodził po izbie powtarzając:

— Niech moknie, niech moknie... niezdara jakiś!

Po kwadransie począł już inaczej, widząc upór grenadyera.

— A to mu gotowo zaszkodzić, ten deszcz... stoi i stoi... odprawcież go...

Nareszcie, widząc wytrwałość żołnierza, wyszedł na ganek w strasznym niby gniewie, którego do progu nie dotrzywał.

Żołnierz, który go znał, zamiast się uniewinniać, wzdychał tylko i lzy ocierał.

— Obrazić takiego dobrodzieja — mówił zeicha — a! grzech wielki... winien jestem... pójść chyba i utopić się, jeśli mi ksiądz kanonik nie przebaczy...

— Patrz! niezdara! utopić się... w wodce!

Żołnierz przychylił mu się do nóg; ale że o kuli szło niezgrabnie, ksiądz się zląkł, żeby nie upadł i nie skaleczył się, podniósł go i łąjął po swojemu.

— E! to to! jakiś niezdara! dziecko moje! a godzi się to! a godzi! wstydź się.

— Księżu proboszczu, dobrodzieju, wysłuchaj tylko! nakłoń ucha łaskawego... ja-m nie nie winien...

— Słyszycie! a moja sutanna na żydzie?

— A żyd to nie człowiek? — rzekł żołnierz. — Wszystko to fałsz, co źli ludzie nagadali na mnie, nie przepiłem jako żywo, ale żyd porzelec nie miał czém pleców okryć, oddałem mu ją...

— O, kłamiesz już, bratku!

— No, to prawda, że przepiłem — zawołał grenadyer — przyznaję; ale czy to po chrześcijańsku, księżu kanoniku, tak być suro-

wym? Gdyby nie ta wódka, cóżby mnie już na świecie trzymało, kalekę nieszczęśliwego!..

— Ale wódka cię zabija, człowiecze!

I tak rozbrojony kanonik, że deszcz lać zaczął, wziął grenadyera do domu, z godzinę mu dawał nauki, musiał w końcu nakarmić, bo był głodny, i z jałmużną odprawił. Żołnierz nawet potrafił wymódl, że mu przed strawą kieliszek wódki naleał proboszcz... choć zrazu się na to oburzył.

— A co to, ja jeszcze ci do pijaństwa pomagać będę?

— Ojczy, dobrodzieju... stary nałóg, jeden kieliszek, kropelka przed jedzeniem...

— Nie dam!... odzwyczaj się.

— Nie mogę odrazu, i żołądek tak mam słaby, że jedzenia bez wódki nie wezmę...

— Nałóg! nałóg! — powtarzał kanonik, ale ulitowawszy się wreszcie, jak najmniejszy wybrał kieliszek i sam mu go naleał.

Kiedy tę całą historję przy nim opowiadał pan Doroszeńko, ujrzałem łzę w oku kanonika...

— Śmiejecie się — rzekł — śmiejecie... Bóg z wami! Czasem i pobłażyć i ulitować się potrzeba słabości ludzkiej, któż jej nie ma... odrazu nie ulecysz, musisz powoli ją pokonywać, a grenadyer muięj teraz pije... Ot, gdybym był wymagał zrazu, żeby całkiem przestał, byłbym go od siebie odpędził nazawsze... dziś widzę już skutek, opamiętał się...

— Gdzie zaś — odparł pan Doroszeńko — pije okrutnie, wczoraj w rynku widziałem go śpiewającego Czumadrychę na całe gardło i wywijającego kijem nad żydziukami.

Kanonik ręką tylko machnął i poszedł.

16 sierpnia.

Jak mi tu dobrze! cóż, kiedy myśląc o ojcu, o matce, o Andzi o naszej chatce ubogiej, wstyd mi i żal, że sam używam, podzielić się z niemi nie mogąc... a tam moja matuehna kochana wdzycha nad pracą, która jej drzące ręce wysiła, ojciec uznojonny powraca wieczorem, Andzia marnieje w troskach codziennych... Chorążyna kazała mi opisywać nasze gospodarstwo, i gdym jej opowiadał, widziałem, że szukając kłębuszka, rozplakała się... bo nie miała pojęcia, żeby ojciec w tak bardzo ubogim był stanie, a często nawet nie pewien powszedniego chleba...

— A nie od nikogo przyjąć nie chce — rzekła poruszając głową — pięknie to zaprawdę; ale jakoś nie po chrześcijańsku mieć tyle

dumy i w tak pocziwe serca nie wierzyć. Ale już ja go znam, całe życie był taki...

Nigdybym nie śmiał przed kim innym rozwodzić się z drobnostkami, które nas tylko obchodzić mogą, a których, taka pani, jak ona, wychowana w dostatkach i pojąćby nie potrafiła; ale ona zgaduje sercem, a tak umie się w położenie cudze wcielić, że się człowiek mimo woli do dna wygada. Znać, że było zadaniem ich życia zespolenie się takie z ludźmi i wchodzenie we wszelkie położenia, pojmuje odrazu wszystko, umie obrachować następstwa, zgaduje uczucia... a tak zna ludzi!

Nareszcie pan Aleksander dał mi robotę, ale wstyd powiedzieć, więcej zabawkę; wprowadził mnie do biblioteki pałacowej, oddał od niej klucz i powierzył jej zarząd, spisanie katalogu, dopilnowanie całości.

— Oprócz tego — rzekł — czasem cię użyję do listów, wieczorami czytywać nam będziesz, a żebyś wiedział jak się urządzić, w imieniu ojca naznaczam początkowo trzy tysiące... rocznie, to ci powinno wystarczyć.

— To zanadto! — zawołałem — zmiłuj się pan, nie psuj mnie swoją dobrocią!... cóż ja z temi pieniędzmi robić będę!

Uśmiechnął się.

— Użyj ich, jak chcesz — rzekł — to zwykła była u nas pensyjka bibliotekarza, a od śmierci pocziwego Żarny nie mamy go... i bardzo nam z tém źle...

Nie wiedziałem jak dziękować, ale mnie i strach brał, czy poślą mi temu; musiałem więc szczerze się wypowiedzieć odrazu.

— Nie wiem — rzekłem — czy ja tu potrafię spełnić mój obowiązek należycie... obawiam się.

— Niczego się nie lękaj; do biblioteki dodaje ci się stary Mateusz, który był ciągle przy Żarnie i wie, jak się obejść z książkami, czyta, czyta nawet trochę, wie, gdzie co leży, pokaże ci. Zresztą, zbiór cały w najlepszym porządku, należy tylko oswoić się z nim i katalogi podopełniać nowo przybyłymi dziełami. Przeczytasz parę dzieł o bibliografii i nauczysz się; jest to obowiązek ważny, którego możemy powierzyć tylko człowiekowi sumiennemu i zasługującemu na ufność nasze; dlatego rodzice moi ciebie, panie Janie, obrali na to. Nie zaszkodzi ci też, że zmuszony niejako ciągle mieć książki w ręku, czytać będziesz więcej, i swoją pracą wychowanie niedokończzone uzupełnisz... Zresztą w wątpliwych rzeczach zawsze ci chętnie radą usługę.

Tak tedy uroczysto zostałem mianowany bibliotekarzem i lektorem. Stary Mateusz, w długiej kapocie po pięty i okularach na nosie, przyszedł mi się meldować, oddano mi klucze i katalogi;

całe dnie spędzam na górze, obeznając się z temi skarbami, do których przystęp mam wolny. Biblioteka mieści się w jednej wielkiej piętrowej z galeryą sali, w skrzydle przy pałacu, i w ślicznym ją znalazłem porządku. Poprzednik mój miał w niej zamiłowanie i niewiele mi do roboty zostawił. Zbiór ten znać troskliwie od lat kilkuset pomnażany, a nie strwoniony ani razu, zawiera w sobie istotne skarby, jakich pojęcia nie miałem; przepyszne księgi, rzadkości i tyle tego, że gdyby obszerniej się rozłożyć można, dwie takie sale zajęłyby napchane tu książki. Stary Mateusz jest mi wielką pomocą, i rozpowiadając o Żarnie, bawi mnie i uczy. Kocha on te książki, których nie czyta, i przywiązał się do nich, znając każdą z okładek, wiedząc, wiele które dzieło ma tomów, bo je sam przesusza i oczyszcza. Mole i myszy, wiele jego nieprzyjaciele, spać mu i spocząć nie dają. Stawia pułapki, wynajduje coraz pewniejsze środki przeciw robactwu, i tak jest temu oddany, że całe dnie zasadzki robi na jedną biedną zabląkaną w bibliotece myszkę. Często wlatuje do mnie zaperzony cały z doniesieniem, że na pyłe rozpoznał ślady chodzących myszy, lub przynosząc przedziurawioną przez moła okładkę.

— Te mole do grobu mnie zaprowadzą!... — powiada — na wszystko jest sposób, a na nie żadnego... już zdaje się śpię spokojnie... niema ani jednego, wygubiłem z kretesem, patrz! z zimy wezmę książkę, dyabli ich napłodzili za okładką, a jak jeden jest... bywaj zdrów! będą tysiące...

Obiecałem mu, że się zajmę z nim razem formalną wyprawą przeciwko molom.

— W starych oprawach jakoś to się nie trzyma — dodaje — ale które tylko Icek oprawiał, pełno... to jak do człowieka — powiada z zabobonną wiarą — po jednym niema robactwa, drugi, gdzie się dotknie, to go naprowadzi.

Z mieszkania mojego trzy kroki do biblioteki tylko... wziętem się sumiennie do obowiązku i siedzę tu niemal dzień cały, a Mateusz rad mi bardzo dotrzymuje placu, opowiadając o nieboszczyku Żarnie, jego fantazyach, obznajamia z półkami, posługuje czasem nie bardzo zgrabnie, ale zawsze serdecznie. Czuję, że polubię moje zajęcie i ten ementarz myśli, który żywego człowieka myśl wskrzesza... Gdym poszedł do pokojów po oddaniu mi klucza przez pana Aleksandra, wszyscy na mnie patrzali, jakby wybadać chcieli, czym z nowego położenia mego rad, a chorążyna po obiedzie wzięwszy na bok, spytała:

— A co, kochanie? powiedz mi szczerze, czy ci to po myśli; młody jesteś, potrzebujesz ruchu, możebyś się nie rad zakopywać z książkami? szczerze? szczerze?

Ale po twarzy mojej poznać mogła, że był szczęśliwy, i sama spojrzawszy na mnie, rzekła:

— No, to chwała Bogu!

Miałem także nauczkę od księdza Ginwiłła, który po obiedzie poszedł ze mną do ogrodu.

— Słuchaj-no, chłopcze — rzekł — zrobili cię bibliotekarzem; niechaj-że słowo, które ci z dobrego i życzliwego serca powiem, nie pójdzie z wiatrem. Miałbym na sumieniu, gdybym cię nie przestrzegł. Jesteś jak aptekarz, który lekarstwa i truciznę ma w rękę, możesz dać sobie zdrowie, ale i zabić się łatwo... książki są złe i dobre i czytać je umieć trzeba, wątpię, żebyś o tém wiedział. Niech cię próżna ciekawość nie prowadzi do złych i płochych książek; gorsze one, niż żadne, żywy człowiek nie zgorszy tak, jak ta martwa pleśń zepsucia; nie rwij się do złego a nędznego, zaczynaj od zdrowych pokarmów, nie czytaj bez wyboru, i nie zabawiaj się czytaniem. Wiele ludzi poginęło na duszy nierozważnie okarmiając się strawą, której sobie wybrać nie umieli... nie porywaj się do tego, co zaciekawia i drażni, do niezrozumiałego, do fantazyjnego, pocznij od łatwych, a pocziwych rzeczy. Niejedna książka jako pomnik jest ważną, maluje czas, pojęcia, a przecież niezdrową być może do czytania... trzeba ją chować, ale wiedzieć komu dać czytać. Wiara jest darem bożym, sprawą łaski; kto ją ma, a narazi się na jej stratę, grzeszy przeciw Duchowi Świętemu, i niełatwo odzyska... pamiętajże, chłopcze, radź się, a namiętnością i w nauce się nie kieruj... szyderstwa strzeż się, do wiepowi nie dowierzaj; to, co cię rozplacze, nie zepsuje nigdy, co rozśmiesza, często...

18 sierpnia.

Gdyby świat wszystek był jak oni, jakże żyć na nim byłoby lekko i wesolo!—Zapewne skutkiem dobroci państwa, to, co ich otacza, tak pocziwe, łagodne i pokory a miłości pełne, bo duch ich rozpromienia się, roztopia lody, łamie egoizmy, zniewala, poprawia, oczyszcza, podnosi. Ja sam, od czasu, jak wstąpiłem na tę ziemię błogosławioną, czuję, że wielu złych popędów się pozbył, i jakoś w zaczarowanym tém kole złagodniał i wydobrał. Nie wszyscy i tu aniołowie, ale przynajmniej nienawiść, zazdrość, sobkostwo, te tak nie chrześcijańskie grzechy, znikły, i jeśli są, kryją się i wstydzą siebie. Poznają ich lepiej i zdumiewam się; może inaczej otoczeni, w inném społeczeństwie, ciż sami ludzie przeksztaliliby się, i takimi-by być nie potrafili; tu jedna cnota rozgrzewa i rozbudza, pociąga, nawraca i ulepsza. Szczęśliwy, kto mając taką

siłę, potrafi jęć użyć śmiało i przykładem swym rozszerzy koło czynności, koło zasługi. Dziś zły, przewrotny, nienawistnych usposobień człowiek wyżyłby tu nie potrafił, uciekłby lub powoli odmienić się musiał. A jednak nikt tu nie działa siłą, przemocą i grozą, ale jak ksiądz Ginwill powiada, orężem Chrystusowym zapomnianym, miłością ewangeliczną, pobrażaniem, cierpliwością, pokorą. Niema tu różnie, jakie gdzieindziej w formy towarzyskie wkłada stara klasyfikacya społeczna, wszyscy zdają się rodziną, braćmi; nie odejmuje poufałość przyzwoita i poszanowanie godności człowieka, szacunku, jaki należy się starszym, jaki się wydziela cności, ale też ozłocony spekulant, przyjeżdżający tu z tytułkiem, zdziwiłby się może, bo-by mu tutaj prócz szczeręj gościnności, nikt honorów nadzwyczajnych nie oddawał.

Widzę ze smutkiem, żem wpadł w wyjątkowe towarzystwo, w fenomenalne zjawisko, w ideały, i choć-em szczęśliwy, smutno mi na wspomnienie, że z tego ogrzanego zakątka wyjść później na zimny świat może być bardzo przykro, bardzo ciężko!

Wczoraj wieczorem, po czytaniu, że księżyc ślicznie świecił i wieczór był cudny, odprowadzałem pana Doroszeńkę do jego mieszkania i zagadałem się z nim, co mi w korzyść poszło, bo trochę na smutek, jaki się czuje w duszy gospodarzy, oczy mi otworzył... Matka i ojciec jednego mając syna trwożą się o swój skarb, widzą z przestraczem upływające lata, uciekającą młodość jego, radziby mu dać szczęście, rodzinę, dom, przyszłość, a pan Aleksander potrząsa głową i żenić się nie chce; pozwoliliby mu pewnie wziąć za żonę każdą kobietę, do której-by serce skierował, bo pewni są, że złego nie zrobi wyboru; cóż, kiedy to serce przemówić nie chce. Domyślają się ludzie, że musiał zostawić za sobą może jaką miłość młodzieńczą, może jaki grób, któremu poprzysiągł wierność, i niepokoją tym chłodem, bo go i pojąć trudno.

Ja codziem widując pana Aleksandra, całego, mogę powiedzieć, nie znam jeszcze, tylko ze strony dobroci i łagodności niewyczerpanej, najwięcej z opowiadań Doroszeńki i księdza Ginwilla, bo ci i cały dwór patrzają nań, jak w tęczę i czytać-by radzi na ezole, co się tam w tej zamkniętej dzieje duszy. Mówią, że żywym był bardzo i wesołym za młodu, ognistą miał naturę, z nią jeszcze ze szkół powrócił, z nią do Wilna pojechał, ale jęć nazad nie przywiózł. Drudzy przypisują jego powolną melancholią i smutek wpływowi ojca, na którego patrzy, i jego boleścią się przejmując, zaradzić na nią nie mogąc. Matka, krewni, my wszyscy tak chodzimy koło niego, tak go pieścimy, że innyby się popsuć mógł i zmięknąć, ale nie on. Jest w tym człowieku hart duszy niepopolity, który nie dopuszcza zewnętrznych wpływów, jest coś cha-

rakteru ojcowskiego... kto wie, co nań podziałało za młodu i uczyniło tak zimnym, tak obojętnym na przyszłość? Ojciec od czasów sejmu grodzieńskiego chodzi jak zabity; może podobne wrażenie moralne wywiózł syn z Wilna? tak utrzymuje ksiądz Ginwiłł, który powiada, że o żadnych miłostkach nie wie, a gdyby były, cośby się z nich na wierzech wybiło, bo tu tajemnic niema. I dlaczegożby miał się ukrywać z poczciwą Izą? człowiek ten złamany czém inném, dźwiga się przecie, żyje, pracuje nad sobą, by zniewolić do działania, by czasem radość okazać, ale w głębi nie go nie zajmuje i nie bawi, udaje tylko, powiada Doroszeńko, pasyę do polowania dlatego, że z nią może często być samotnym, i rodzice widząc go niby zajętym nią, cieszą się, że ma w czémś upodobanie i przyjemność. W istocie i to dla niego obojętném, jeździ, strzela, ale raz za dom się wyrwawszy, nie ma żyłki myśliwskiej... dopiero opowiadając rodzicom, zdaje się ją odzyskiwać. Wprost pobożne kłamstwo. Uchodzi jednak za myśliwca pan Aleksander; ja z książek, które bierze w bibliotece potrosze wnioskuje o charakterze... wszystko to rzeczy poważne, najwięcej historia i prawo, rzadziej poezya i lżejsza literatura. Czyta wiele i prędko, załamuje karty, znaczy, znać pracuje i całą duszą chwyta przedmiot, który studjuje.

Ale że pan Aleksander wszystkich najżywiej obchodzi, każdy ma jakąś teorią, którą sobie zrobił, i nią go tłómaczy. Ksiądz Ginwiłł przypisuje ojcu, atmosferze tutejszej, zresztą jakiś tajemnicy zmianę swego dawnego ucznia, którego nie poznaje; Doroszeńko powiada, że brak zajęcia i wrażeń odjął mu ochotę do wszystkiego; oba wotują za jakąś podróżą i radziby królewicza, jak w bajce, w daleki kraj wysłać po zaczarowaną królownę; kapitan Zbrzeski przysięga, że w tém jest jakaś ukryta miłostka stara... Pulikowski widzi intrygę, Hończarewski przecucie skończenia świata, panna Jamuntówna wdycha i nie nie mówi, ale kabałę kładnie... Matka modli się... ojciec patrzy i czasem Iza mu prześliznie się przez oczy, ale z nią ucieka...

Ja nie wiem, czego ci ludzie tak się lękają? Pan Aleksander nie jest jeszcze tak stary, nie doszedł lat czterdziestu, w sile wieku i dojrzałości, pracuje, nie ma dziwacznej mizantropii, nie chowa się od ludzi, serce w sobie zachował anielskie, czyżby już przyszłość dlań zamkniętą być miała?

— A co mi z tego — powiedział Doroszeńko, gdyśmy o tém rozprawiali— że się w końcu dla przyjemności rodziców ożeni, kiedy serce jego nie przemówi? co to mi za szczęście będzie? zamknięty w sobie, zobojętniały, nie pozna, co ziemia ma najpiękniejszego...

Ksiądz Ginwiłł się oburzył.

— Co waćpan pleciesz! co pleciesz, człowiecze! Wam zawsze w głowie romansowa miłość, nie Chrystusowa... niech się tylko z poczciwą kobietą ożeni, a wszystko będzie dobrze.

— Przyszam się księdzu kanonikowi — przerwał kapitan Zbrzeski — że tak dla powiększenia rodziny z obowiązku się żenić, to chyba można, gdyby dwoje było na świecie, ale inaczej...

— A że się waści, choć włos szpakowaty, po głowie uwija ni to ni owo! chcesz, żeby cały świat szalał?

— Gdzie włos szpakowaty! — zakrzyknął Zbrzeski zagniewany i skreślił rozmowę — u mnie?

— No, a przejrzyj-że-no się w zwierciadle... — odparł kanonik śmiejąc się.

Ale niema dnia, żeby o tém narady nie było, a chorążyna z poufalszemi ciągle słysząc wzdycha i prosi:

— Moi dobrodzieje, ożeńcie mi Olesia.

— Jak Pana Boga kocham — powiada Zbrzeski — jabym mu dziedziczkę Samarkandy i Golkondy przywiózł, gdyby zażądał, a cóż my winni, że nie chce? niech tylko JW. państwo namówią do ożenienia, niech się pokocha, niech się uśmiechnie, a już będziemy skakać i szyje kręcić, a taki go ożenimy, choćby pannę wykradać przyszło zbrojną ręką...

— Weźcie go asanowie po sąsiedztwie; są, słyszałam, domy godne i dalej, których nie znamy, i tu w okolicy znajome panny; czemu nie szukacie pretekstu, żeby zajechał, zbliżył się, poznał... bo widzicie, moi drodzy — dodaje chorążyna — my starzy oboje, a ja pewna jestem, że jak się za nas nie ożeni, to nigdy! Cóż za przyszołość! Zła żona lepsza od żadnej...

— Wieleby to o tém mówić — miał jakoby raz odpowiedzieć ksiądz Ginwiłł.

Tu gdzie najmniejsze pragnienie chorągwa staje się rozkazem, a wszyscy na wyprzódki lecą, żeby je spełnić, można miarkować jakby chciano chorążynie dogodzić; ale dotąd próżno pan Aleksander jeździł po sąsiedztwie, i próżno sąsiedztwo spraszają do Borowej... Gdy rodzice mówią o tém, pan Aleksander odzywa się zawsze:

— Jeszcze czas, jeszcze czas... proszę mi to zostawić...

Zdaje mi się, że chorążyna daleką kuzynkę, synowicę panny Jamuntównęj, sprowadziła do domu w tój myśli, słysząc o jej piękności, że może Oleś pokocha codziem ją widując, przywyknie przynajmniej... ale on ją traktuje jak dziecko, i wszyscy tu mówią, że żadnego na nim nie zrobiła wrażenia.

20 sierpnia.

Pomiarkowawszy, że pieniądze dane mi przez pana Aleksandra na nie mi tu nie są potrzebne, bo wszystko mam, czego dusza zapagnie, a trochę porządniejszą odzież od święta jużem sobie sprawił, wysłałem je wczoraj z listem do ojca, prosząc, żeby ich użyli dla siebie. Rad jestem, że przy tej zrzeczności wiadomość o nich mieć będę, bo mi tamto ciężkie życie często się we snach przypomina i widzę ojca schyłego nad zagonem, ostatkiem sił pracującego na chleb razowy, matkę wzdychającą pocichu, Andzię wypatrującą promyka słonecznego, chatkę pochyloną, chude woliki nasze, i czuję, że oni tam także o mnie niespokojni być muszą, gdy mnie tu aż nadto dobrze, aż mi wstyd, żem swobodny i szczęśliwy.

W przeszłą niedzielę odpust mieliśmy w Borowej, i pobożnych zjechało się mnóstwo; ksiądz Ginwił użył mnie w wilią do przystrojenia kościoła, któryśmy ubrali w jesienne kwiaty, w wazony z oranżeryi, i wyglądał przeslicznie. Całe sąsiedztwo mogłem widzieć tym razem, bo prawie wszyscy byli na obiedzie w pałacu, a choć każdej niedzieli bywa dosyć, teraz na mil pięć każdy dla odpustu przybył, i każdego najuprzejmiej przyjmowali chorąstwo.

Miałbym co pisać, gdybym chciał pozbierać moje wspomnienia, taka tu była rozmaitość postaci i tyle różnych ludzi, począwszy od ubogiego szlachetki na kilku chatach, do dziedzica wsi kilku. Chorąstwo są kochani i cenieni ich umieją wszyscy; poznać to było łatwo po twarzach, z jakimi dawniej niewidziani przystępowali do nich. Chorążyna szczególnie od rana była zajęta przygotowaniem przyjęcia, nabożeństwem, potem kochanemi gośćmi, między którymi nie było różnicy; każdy z uśmiechem witany w progu, przyjęty był serdecznie, każdego rozpytywano o rodzinę, gospodarstwo, powołanie, i dzień zszedł bardzo wesoło. Nawet pan chorąży dla gości trochę wyszedł z zadumy i milczenia, zmuszał się do przemówienia słów kilku i jakiegoś uśmiechu, który z podziwieniem oglądałem na bladej jego twarzy. Na cmentarzu, po sumie, chorążyna od jednego do drugiego chodziła, zapraszając, i nie pominęła najbiedniejszego, a po staremu, jak skoro gość, każdy tu był równy, wszyscy u jednego siedli stołu, braterską gromadką. My domowi, szczególnie kapitan Zbrzeski, Doroszeńko, ja nawet, ksiądz kanonik, wyreczęaliśmy gospodarzy zabawiając, sadowiąc gości naszych. Mnie ten tłum zabawiał, a nie sędzę, żeby inni nie byli mu radzi. Kapitan latał za najmłodszymi panienkami, Doroszeńko układał polowania, a że zbioru pokończony, powszechna rozmowa toczyła się o gospodarstwie. Hończarewski tylko był smutny jak zawsze, póki sobie nie dobrał

towarzysza, z którymby o Apokalipsie mógł rozprawiać, zemknąwszy przed proboszczem, pilnującym, aby nie bredził, a pan Pulikowski oglądał się, wyszukując, ktoby na niego koso spojrział. Wypowiadał mi się po kilku kieliszkach węgierskiego, że największe ma podejrzenie na pannę Jamuntównę, jakoby ta szkodzić mu miała, upatrując w niej poprzysiężoną nieprzyjaciółkę, z powodu, jak utrzymuje, że się z nią żenić nie chciał. Chorażyna była przy swym wieku zdumiewającą dla mnie; cały dzień chodziła od jednego do drugiego, rozpytywała, sadzała, karmiła, bawiła, niezmordowana, z uśmiechem na ustach i taką swobodą umysłu, jakby nic na sereu nie miała. Niekiedy tylko ukradkiem śledziła syna, czy też w tém liczném towarzystwie nie ożywi się i nie przybliży do kogo. Inni dworsey także za nim chodzili oczyma, ale ja nie postrzegłem nic, oprócz największej grzeczności i przybranego na ten dzień humoru.

Było u stołu osób ze sześćdziesiąt... Niektórzy się porozjeżdżali zaraz do domów; bliżsi sąsiedzi zostali na nieszpory uroczyste, kilka osób było na wieczerzy, i jużśmy nie czytali, a czas upłynął na rozmowach...

Z pałacu, jeszcze poufalszych do siebie zaprosił na herbatę i kieliszek wina Doroszeńko i mnie dla bawienia kompanii być kazał. Dostał mi się w podziale pocziwy człowieczysko, pan Adam Bundrys, najbliższy sąsiad Borowój, dziedzic Romaszówki i Horkowicz, którego bym nie wiedział czém zająć, gdyby sam niezmordowanie o polowaniach nie gadał, tak, że dosyć mi było cierpliwie słuchać. Szlachcic prosty, rubaszny, twarz czerwona, wąs spuścisty, głowa łyśa, mały i pękaty, widać z kośćcami pocziwy, ale jak mój ojciec, czujący się najszcześliwszym u siebie i między bracia, a w pałacu nawet u chorąstwa nie na miejscu.

Pierwszy to człowiek, który zdaje mi się na naszych drogich panach poznać się nie umiał; wie on ich dobrą stronę, kocha nawet, a boi się.

— Widzisz waść, jak się zowie — poczał do mnie pocichu, gdy mu węgryzn języka rozwiązał — to panowie... ja ich znam: święci ludzie, ale grzech pierworodny we krwi, jak się zowie... jest!

— Panie sędzio — odpowiedziałem — wiem, że o drugich takich trudno podobno na świecie, jest-że w ich obejściu cokolwiek, coby dumą trąciło, coby upokarzało? całym życiem zdają się prosić o przebaczenie, że im Bóg dał więcej niż drugim, a tém, co mają, jak się dziela, ja wiem najlepiej.

I łza mi się w oku zakręciła.

— Mój ojciec — dodałem — ubogi zagonowy szlachcic, a gdy byś go pan widział, jakim sercem i po familijnemu go przyjmują,

choć bardzo dalecy jesteŝmy krewni, zresztą to, co uczynili dla mnie, dało mi ich poznać lepiej, nie mówmy o tém.

— Albo to ja tego wszystkiego nie wiem — zawołał Bundrys żywo — co mi to, jak się zowie, nowinę powiadasz; ojca waŝcinego znam dobrze a ich jeszcze lepiej. Chorążyne—bym żywą kanonizował, chorążego cześć i wielbię, pan Aleksander człowiek, jakich mało, a taki gdzieś tam w nich siedzi ten grzech pierworodny i kiedyś się odezwie.

— A w nas szlachcie — spytałem — nie takiż sam grzech upatrz chłopek?

— No! to może być — rzekł Bundrys — wszyscyŝmy ludzie, ale ja się pana boję, jak konia, o którym nigdy nie wiem, kiedy mu przyjdzie fantazyja wzrznąć i głowę mi rozkrzawić. Oni—bo, widzisz asan, jak się zowie... choć ich chrzest Chrystusów obmyje i połączy ze społeczeństwem jedném, zawsze potrosze chcą przodkować i rządzić... zawsze im w głowie, że kiedyś byli pastuchami, a my bydłem... Ot ten, ten — dodał — na jednej wiosce szlachciurka, że nosi imię podobne do pańskiego, widziałeś go dziś rano, wszystkich nas nazywa *domokrady* (demokraty), a ja mu za to skomponowałem, że oni a *reszta graty* (arystokraty), a co? nie dobrze? he?

I rozśmiał się serdecznie stary ze swego konceptu, poglądając na mnie.

— Ba! — dodał — żeby to jeszcze panowie byli podobni do Jamuntów, darowałbym im; ale to wyjątek, a zamiast ich naśladować, tak na nich patrzą, jakby krzywdę robili imieniowi i ich klice... Nie zajrzy tu żaden, chyba, żeby z nich grosza wyciągnąć, a wspomnieć im Jamuntów, nosami kręć, jakby ich co nieprzyjemnego zaszło. Koniec końcem, kawalerze, choć święci, ja ci powiadam, bądź ostrożny, łaska pańska na pstrym koniu jeździ... Ale, ale—dodał— u mnie we wtorek wielkie polowanie, prosilem pana Aleksandra, przyjeźdź—że i waś z Doroszeńką...

Pytałem później porucznika, co pan sędzia może mieć przeciwko państwu, że i im nie wierzy i w ogólnym wstręcie dla wszystkich *a-reszta-gratów* mieści, ale się rozśmiał ze mnie.

— Zachciałeś — rzekł — dziwak stary, duma w nim gra, znamy go z tej strony; najpoczeiwszy z ludzi, ale już się z tém urodził i z tą łysinką zginie, że ma jakąś anse do panów. Czasem przy stole, tu u nas, w oczy chorążynie i chorążemu zaczyna swoje chryje i prawi im toż samo, a oni się śmieją tylko. Ale niechże największy nieprzyjaciel, najdumniejszy z owych *a-reszta-gratów*, zaboli i jęknie, pierwszy sędzia w pomoc mu przyjdzie po chrześcijańsku i zapomni o swojej nienawiści, która u niego jest tylko fantazyją szlachecką. Wszyscy my go tu kochamy i umyślnie nieraz obroną magnatów

trochę mu krwi napsujemy. Nikt nie ma takiego zbioru anegdot o przemocy panów, o ucisku, jaki wywierali, o spodleniu szlachty, jak on... Prawda, że stosunków też z niemi unika i w jednej Borowój bywa, a raz gdy w ganku dowiedział się, że hrabia P..., krewny chorąstwa, przyjechał do nich na dni kilka, kazał nie wysiadając zawrócić, i na pokoje wejść nie chciał. Poszedł do księdza Ginwiłła, przed którym się wypowiedział z tej nienawiści, ksiądz go zburezał surowo, ale to nic nie pomogło.

— Duma w waści — powiada kanonik zawsze — pokory chrześcijańskiej za grosz, zazdrość zła... tak! tak! Albośmy to nie bracia wszyscy, a że starsi czasem się nam nie udają i chcą imponować, żalować ich—nie złorzeczyć, poprawiać—nie uciekać, nawracać—nie gardzić! A waćpan to nie jesteś po swojemu arystokratą przez to samo, co czynisz? a nie popychasz tak samo żyda, że żyd, chłopą, że cham, i tym podobnie nie zważając, że i to bracia? a waćpan to nie grzeszysz? Myśmy zgodni i sercem połączeni być powinni, a nie wyszukiwać powodów do nienawiści i rozróżnień.

Ale sędzię Bundrysa już nikt nie przerobi podobno; to szczęście, że przy tym bziku serce dobre i charakter rzadkiej szlachetności, a cała rzecz kończy się na gawędzie i dowcipkowaniu, do których nawykł.

W wtorek tedy ruszyliśmy zaproszeni wszyscy do Romaszówki i to do dnia, pan Aleksander z Doroszeńką na jednym wózku, kapitan Zbrzeski ze mną, Pulikowski także z którymś z dworskich; a uważałem, że przez nadzwyczajną delikatność, chorążyc jak najskromniej się wybrał, aby szlachcicowi niczém to nieszczęsnę państwo w oczy nie było.

W Romaszówce dwór stary ogromny drewniany, porządnie utrzymany, choć dach słomą kryty, żadnego występu i nic dla oka, ale że to odwieczna sadyba Bundryśów, sady cieniście, lipowe szpalery i aleje, gaj też za ogrodem, a czysto i starannie w każdym kątku, miłe to robi wrażenie. Sędzia starał się widać, żeby nic dawnego obyczaju w zabudowaniach gwoli nowój modzie nie zmienić; na środku dziedzińca staroświecki jeszcze króluje piętrowy sernik, na prawo lamus, z galeryą na słupach rzeźbionych opartą, dalej świronek nasz litewski, a tuż i stodoły, odryny, kłunie, szopki.

We dworze też znać od lat stu na włos nie się nie zmieniło: sień jak stodoła ogromna, a w niej pełno harapów, trąbek, torb i myśliwskiego przyboru, nawet zwierzyny świeżo ubitej na kółkach; w pokojach sprzęt nie politurowany, okryty perkalikami i włosieniem, biurka stare gdańskie, zegar w szafce pomalowanej w kwiaty, obrazy czarne od okopcenia otoczone wiankami i palmami.

Choć to było bardzo rano, sędzia czekając nas, kazał już na-

kryć do śniadania po litewsku suto; stół zastaliśmy pełen wędliny, serów, nalewek, wódek, słodyczy, a rad czy nie rad każdy jeść musiał, gdy dwie przystrojone dziewczeczki wniosły bigos, rosół i zrazy. Służącego jednego tylko trzyma sędzia, bo męską usługę ma już za arystokracją, i brzydzi się lokajem, obawiając u niego herbowych guzików. Wszyscy byliśmy w najlepszym humorze, nawet pan Aleksander, który zajął śniadanie na pociechę Bundrysa, i uśmiechał się na jego żarciki. Z rosą jeszcze ruszyliśmy do kniei, dokąd dawno już poszły obławy, pojechali strzelcy nasi i romaszowiccy. Byłem w niemałym kłopotcie z moją strzelbą, z którą się zaledwie obejść umiałem, bom ją podobno drugi czy trzeci raz w życiu w rękach trzymał... naśmieli się też ze mnie jako z nowicyusza, podrzywając, że będę z książki strzelał i po łacinie polował. Mnie śliczny ranek, gwar ten wesoly, humor dobry i jesienne widoki najwięcej cieszyły, i dawałem z ochotą bawić się sobą.

Gdy przyszło rozstawiać, sędzia mnie jako gościowi przy sobie i chorążycu miejsce naznaczył, ogólne wskazując prawidła, żebym w głąb kniei się nie puszczał, nie ruszał się, nie gadał, psa i człowieka strzegł się postrzelić. Pocichutku ścieżką ledwie znaczną rozprawadzeni stanęliśmy, a ja przy pniaku sparłszy się na strzelbie, mogłem myślom puścić wodze, prawie pewien będąc, że na mnie nie wyjdzie. Polowanie ma swój urok i przyjemność; nie rozumiem głupiego sportu Anglików, którzy gotowi w lochach polować na szczyry, byle polować; ale w lasach tych ślicznych, pod niebem pogodnym, w piękny dzień jesieni, myślistwo jest uciążliwą zabawą, do której w sobie czuję żyłkę. Ostatnie to przypomnienie tych czasów, kiedy ono jeszcze było niemal koniecznością i człowiek, żeby kawałka mięsa dostać, musiał się sam o nie starać.

Stałem tak nieruchomy w błogim jakimś zadumieniu, przypatrując się głębi lasu w najpiękniejsze czerwone i żółte liście ubranęj, gdy mi się coś szarego mignęło, dwa ciche — pilnuj! dały się słyszeć obok, zachrzeszczały gałęzie, strzał się rozległ krótki i urwany, i z między krzaków naprzeciw pana Bundrysa poskoczyła ogromna wilczyca, zaszczeła, parę razy chwyciła się za bok raniony, i jucho brocząc poschłe trawy, na ziemię upadła. Myśliwi poprzybiegali natychmiast ze swoich stanowisk, aby nieprzyjaciela obalonego oglądać, nad którym stał, czyszcząc fuzję drżącemi rękoma pan sędzia, gładził węża i urywanemi słowy przez kłak, który trzymał w ustach, opowiadał nam, jak ubił matkę.

— Otóż to, mości dobrodzieju, jak się zowie — mówił do mnie i pana Aleksandra, pośpieszającego z innemi ku niemu — prawdziwie szczęśliwe polowanie. Jejmość leży... teraz wilczyta już nasze, pobijemy je do jednego, matkę im wzięwszy; tylko mi żal, że się to

któremu z gości nie dostało. A czemuż waćpan nie strzelał? — spytał mnie; wszak szła na strzał do ciebie... i musiałeś ją widzieć!

Przyznać się mi było trzeba, że zamyślony gdym coś szarego zobaczył; nie mogąc między krzakami rozpoznać, nim fuzyę porwałem, już wilezyca była znikła.

— Fryc mospanie! — zawołał Bundrys — a byłbyś się mógł pochwalić, że na pierwszy strzał dostałeś matedorę...

— Strzał mój był celny — dodał oglądając się — nieprawdaż?... jak się zowie... dobrze miałem na knieje wyrapione oczy, kiedyście mi pilnuj! zawołali: patrzę... mignęło tylko coś między brzezina a temi błotami nad łużkiem sunie bestya języka wywaliwszy, stanęła, ogląda się, a potem jak da susa, a ja ją wzięwszy pod łopatkę jak trzepnę... i wyrwróciła się... Jednakże, jak się zowie, jeszcze kilkanaście kroków zrobiła chwyciwszy się za bok, aż sobie natargała sierci, i dopiero jak się z niej jucha lać poczęła, upadła tarzając się... Ot tobie za moje barany i cieleta moich chłopków, jejmościuniu...

— Śliczny strzał, kochany sąsiedzie — dodał pan Aleksander, przybliżając się do wilezycy, która już wyciągnięta, martwa u nóg naszych leżała.

— Było tam później kilka strzałów na linii: niech no się dowiemy od strzelców, z jakim skutkiem; wypadnie tedy pomyśleć, gdzie jeszcze i którą knieję zająć, może się jeszcze poszczęści; w polowaniu jak w życiu, póki idzie; jak się nie powodzi, to darmo upierać, jak się zowie, a łyka drzeń, póki się dadzą.

— Prawda! — powiedzieliśmy mu wszyscy.

Bundrys wciąż ust nie zamykał.

— Powiesz mi pan dobrodziej, że to przesady — dodał — bo wszystko teraz przesady u was, ale ja wyjeżdżając z domu, dobrą miałem otuchę; psy się tarzają, żadna stara baba z wiadrem nie przeszła nam drogi, wszystko się kleiło, nawet hetman pański — obrócił się do pana Aleksandra — mój ty królewicu Borowski, pan Doroszeńko głos mitygował i popoľgował despotyzmowi swemu, jak się zowie, zostawując rozpoznanie wagi kniei strzelcom moim.

Gdy to mówił, z tyłu za nami dał się słyszeć donośny pana Doroszeńki wykrzyknik:

— O la Boga, panie sędzio, dlaczego? — bo hetman Doroszeńko wiedział dobrze, że strzelcy romaszowiecy, a mianowicie nieoszacowany Kiryłło, ślicznie rozstawili obławę i nas... jak z książki... Jednakże gdyby byli zajęli uroczysko Borowe Niwy i zachodzili dalej, to-byśmy i szczenięta wszystkie pobrali jak w worku... a tak poszły!

— Ale poczekaj-no, poruczniku, były strzały, zobaczymy, może się i im dostało.

— Jeden strzał to już ręczę, że pudło, huknął po lesie jak na wiwat; drugi może być pewniejszy... Jednak wątpię, może jaki nowicyusz na zajęczka się połakomił.

Wtém ścieżynką od boru zbliżył się w łapciach i torbie borsuczęj na plecach, ze strzelbiną lichą, szpakowaty, malutki, z wosami popodstrzyganemi, ślepy na jedno oko ów sławny Kiryłło, kłaniając swemu panu czapką do kolan.

— Wiesz mosanie, jak się zowie — zawołał Bundrys — na polowaniu czapka na łbie, wszyscy myśliwi, niema panów, nakryj-że łeb... i patrzaj, co to jest... a ha! starucha!... a wy coście zrobili?

— Troje młodych...

— O! — Sędzia aż poskoczył z radości, nigdym jeszcze nie widział tak uszczęśliwionego człowieka. Pan Aleksander tylko się uśmiechnął.

— Niech-że cię! jak się zowie... bodaj-eś poszedł głową w żyto! stary mój, dajcie mu kieliszek wódki... a kto zabił?

— Jedno ja...

— O! bo to ty zawsze sobie dobry kątek zostawisz, filucie jakiś stary — mówił niepohamowany myśliwiec, a Kiryłło uśmiechnął się i jedyném okiem, jakie miał mrugnął, machając ręką, powtórzywszy pociechu zamiast odpowiedzi, pocieszne przysłowie, którem go prześladuje pan Bundrys.

— *Jak toj kazau, wyszło na toho, także i to...*

— Drugie zabił Janek jakiś, trzecie pan Zbrzeski... dopieroż śledztwo, że jeszcze ktoś strzelał, do czego?

— Ktoś spudłował! — zawołał Doroszeńko — ręczę za pudło!

Wtém ujrzeliśmy spoconego Pulikowskiego, który zbliżał się do nas z miną zafasowaną, poglądając na fuzyę... i domyśliliśmy się po twarzy, że jemu się owo pudło przytrafić musiało, bo rozogniony był okrutnie.

— Nikogo nie posądzam, nie obwiniam nikogo... — rzekł z zapalem — ale to rzecz nienaturalna...

— Żeś spudłował? — zapytał Doroszeńko.

— A tak! naprzód już to postawiono mnie w takiej gęstwinie, że o krok przede mną nic widać nie było, oczywista machinacya... wiadomo, jak u mnie moja Segalasówka utrzymana; na kwadrans postawiłem ją w sieni, już jęj coś zrobiono... strzelam, jak mnie wytnie w pysk!

— Stary nabój!

— Dzisiejszy...

— Toś go przesadził!

Pulikowski kiwnął tylko głową, jakby chciał powiedzieć:

— Zartuj zdrów! — i dodał:

— A taki i ztém wszystkiém nie musiałem spudłować zupełnie, strzał był trafny... wilczak się pochwyił i zaskomlał, na liściach jest krew... pewnie gdzie leży w krzakach, a znajdują go, to powiedzą, że ktoś inny go zastrzelił... ze mną tak zawsze!...

Choć tylko cośmy zjedli śniadanie, pan Bundrys zawnioskował, aby wypić pogrzebowego i cokolwiek przekąsić, reflektując, że dużo jest jeszcze do roboty; musiano się zgodzić, zwłaszcza pan Aleksander, który się obawiał, żeby szlachcic zaraz mu nie uciał, że pańskiej gębie proste wieśniacze przysmaczki nie w smak idą.

— Kiryłło — zawołał sędzia — podać tu *refektarzyk*.

Dowiedziałem się, że refektarzykiem nazywała się skrzynka umyślnie konceptem gospodarza sporządzona do polowania, która na wozie za nami jeździła z kniei do kniei, mieszcząca wygodnie, co tylko do śniadania mogło być potrzebném, nawet nad miarę, ale tu jedzą i piją ogromnie.

Było w niej z pięć dużych flasz starki, parę gdańskiej wódki prawdziwej, szynka, ozór, ser, tłuczeniec, pierniki, śliwki suszone, wszystko najporządniej w pudełeczkach poumieszczane, i z refektarzykiem wyśmienicie się bez obiadu obejśćby można. Ja ledwiem się wykręcił od starki, ale pół kieliszka złotej wody wypić musiałem dla pozyskania lepszego oka, jak mówił pan Bundrys.

Wesoła zawiązała się rozmowa między strzelcami ściągającymi na plac, rozpatrywano zabitego zwierza, dochodząc strzałów, przypominano dawniejsze różne wypadki osobliwsze i zdaje mi się, że prócz Aleksandra i mnie, każdy coś trochę zapolował. Biedny Pulikowski wzięwszy mię na stronę, kiwał głową i skarżył się, że i tu jest intryga.

— Zobaczysz waćpan — rzekł — wszyscy coś zabiją, a ja nic... Zawsze tak... prześladowanie we wszystkiém. Chciałem mu to wybić z głowy, ale niepodobna, zdaje się, że mu z tém miło, choć cierpi niby i chodzi pochmurzony nie dowierzając nikomu. Uważałem, że pocziwy gospodarz, zalecił jak najmocniej Kiryлле, aby go w najlepszym miejscu postawił, ale Pulikowski zszedł z łuki, pewien będąc, że go źle umieszczono, i przepuścił wilka... Spolowaliśmy parę kniei jeszcze i na późny obiad, o godzinie czwartej czy piątej, wróciliśmy do Romaszówki. Dopiero tu od Doroszeńki dowiedziałem się, że pan Bundrys ma córkę jedynaczkę; miałem go za kawalera dotąd, pokazuje się, że wdowiec, a panna Konstancya dorosła już i na wydaniu, ale szlachcic ją trzyma w kątku.

Pulikowski wzięwszy mnie do swojego wózka, gdyśmy powracali, wciąż gadał o Bundrysie, nie tając się z żalem, jaki miał do niego.

— Niby to on dobry, ale filut — mówił — ja jego dawno znam

i wiem jak moje kieszeń; i on mnie prześladowuje... Czyhają na mnie. Bundrysów tu pełno w okolicy, szlachetki... Sędziego pana Adama ze szkół w Łyskowie ojciec oddał do palestry, żeby się przetańczył i tam odbywał akademię, potem go posadzili w Horkowiczach na gospodarstwie; około lat trzydziestu mając ożenił się, już pan swojej woli i doli, z szlachcianką ubogą; żyli z sobą do lat dziesięciu, potem mu Bóg dał córkę a wziął żonę. Już to niema co powiedzieć, że dla dziecka się poświęcił, ezuwając nad nią z wylaniem się i przywiązaniem największym i dobrze ją, słyszę, wychował, ale po swojemu. Francuskiej elegantki mieć z nią nie chciał, nie oddał też za dom na pensję, bo to dla dziewcząt licha warto, i sprowadził do niej niemłodą już wdowę, którą waćpan poznasz, panią Osmólską, krewne swoje blizką. Pani Osmólska dobra kobieta, ale i ta należy do związku przeciwko mnie z panną Jamuntówną... pewny jestem... chcę mnie koniecznie ożenić i prześladować, żeby zmusić...

Staralem się biednego Pulikowskiego czemś zająć, żeby go od powtarzania mi tych uzaleń i przywidzeń odwieść, bo to na obłąkanie zakrawa, i temum winien, że mi całą drogę opisywał pannę Konstancję i panią Osmólską.

Ciekawym też był panienki, którą z takim staraniem sędzia wychował, ale o mało nie odjechalismy, nie widząc nikogo, bo pan Aleksander był w ubiorze myśliwskim i tak się kobietom nieznanym przedstawić nie chciał, bojąc się, by drażliwy Bundrys za lekceważenie sobie tego nie poczytał. Ale sędzia inaczej to wziął.

— To to u was, u panów te ceremonie ezcze, a u szlachty niema tego — odparł — frakiem się brzydzimy, moja córka szlachcianka, choć mi ją wydelikacili, ale serce poczciwe i dziewczyna sobie prosta, a poczciwa...

I tak zaciągnął nas do pokoju, gdzie zastalismy już panią Osmólską, poważną kobietę, wyraźnie na nasze przybycie wystrojoną w jedwabną suknię, i pannę Konstancję, a jak Bundrys nazywał Kocię, która jest cudem piękności. Uważałem, że pan Aleksander, pierwszy raz jak ja spotykający ją, zastanowił się nieco spojrzawszy na nią, znać nie spodziewał się nic podobnego zobaczyć. Ależ bo w istocie anielskiej urody i sędzia może się nią pochwalić...

Dosyć słuszną, na podziw zręczną, z niebieskimi oczyma, z usteczkami uśmiechnionemi, tylko jęj skrzydła przypiąć, a zdaje się polecieć. A taka wesola, żywa, miła, grzeczna, że człowiek nie wie, co w niej lepszego, czy ta piękność nadzwyczajna, czy dobroć, która przez nią mówi. Zaraz znać, że pan Bundrys ją kocha i pieści, bo ona tu w domu królową i przy niej on najlepszym sługą. Pani Osmólska, ojciec, ludzie w oczy jęj tylko patrzą, żeby zgadnąć, co myśli. Wszyscy, wiele nas było, musieliśmy się zaciągnąć pod jęj

panowanie, i wzięła nas odrazu w rządy swoje, z taką swobodą, tak jakoś nie nie mieszając się, z dziecinną prostotą, z zaufaniem, że w pół-godziny byliśmy jakby od wieków z nią znajomi i przyjaciele. Bundrys się śmiał, zacierał ręce. Osmólska chodziła tylko mitygując jej żywość i zbytnią może szczerłość. Przy stole posadzili przy niej pana Aleksandra, i słyszałem, jak mu powiedziała:

— Od czasu jak wróciłam od PP. Wizytek, ciągle się napieram u ojca, żeby mnie zawiózł choć do kościoła do Borowój i jeszcze się nie doprosiła...

— Nie pojmuję, jak to być może — odpowiedział — żebyś pani czego żądać mogła, a ktoś jej odmówił!

— Ale mnóstwo rzeczy! — poczęła szczebiotać Kocia — nie tylko to jedno... mnie nie niewolno.

Ojciec to dosłyszał i zaraz się odezwał:

— A tak panience się dawno chce do Borowój, ale ja nie głupi, napatrzy się państwa i waszych pałaców, to jej się zechce, żebym jej tu w Romaszówce takie same stawiał...

— Ale mnie tu tak dobrze, że nigdzie na świecie lepiej być nie może, i żaden pałac miłszy być nie może od Romaszowickiego dworu... to tylko ciekawość.

— Pierwszy gradus do piekła — rzekł Bundrys.

Doroszeńko nie spuszczał oka z panny Konstancyi. Kapitan Zbrzeski ją pożerał... a przyznam się, że na ten świeży kwiatek i mnie miło było spoglądać z mojego kątki... Ona bawiła szczerólniej pana Aleksandra, który doprawdy jakoś przy niej rozrzucał się i rozweselił; pierwszy to raz takim go widziałem. Musiało to być uderzające, kiedy porucznik łokciem mnie trącił i szepnął:

— Patrzajno... ta ślicznotka naszego tetryka rozochociła... gada... śmieje się szczerze, dalibóg... w oczy jej patrzy! A! błogosławione-by téż to było polowanie... ale cyt!

Zakaślił usta... Obiad był taki, jakbyśmy tydzień nie jedli, a Bundrys nielitościwie gościnnie; jeszcze nie był nigdy na takim traktamencie natrętnym. Sędzia nakładał na talerze, sędzianka pilnowała każdego, kazano powracać z półmiskami, dolewano, zaklinano, aż strach. A gdy inaczej nie mógł, Bundrys kończył przy-cinkiem:

— To już chyba to nasze szlacheckie jadło dla popsutych waszych gąbek nie smakuje!

Śmieliśmy się, a jeść i pić musieli, i sędzia téż był w różowym humorze, nawet dla pana Aleksandra swoich zwyczajnych anegdotek zaprzestał... Starsi sobie trochę podpili; kapitan Zbrzeski począł w niedostatku innych, do pani Osmólskiej się przysia-

dać, bo pannę Konstancję zabrał nam chorążyc, czy ona jego; Doroszeńko poczciwy wojenne dzieje opowiadał. Pulikowski na ganek wyszedł ubolewać nad sobą z lampeczką w rękę, obawiając się wzroku pani Osmólskiej... I ja dobrze nie wiem, jak-śmy się z Romaszówki wydobyli, bo się sędzia usadził z innymi, żeby mnie podpoić, a jak żyję, tak nie piłem, aż mi się okrutnie głowa rozboleła. To tylko pamiętam, że całą drogę Doroszeńko, z którym mnie posadzono na wózku, cmokał i powtarzał do siebie: — Daj Boże! ale co o tём myśleć; a powróciwszy pobiegł do księdza Ginwiłła, z którym z godzinę rozprawiali. Nazajutrz kanonik wziął mnie na stronę:

— Słuchaj-no — rzekł — a tobie jak się w Romaszówce podobało?

— Gdyby nie tak karmili i poili...

— No! a reszta...

— Ludzie serdecznie gościnni...

— A panna Konstancya? doprawdy taka piękna?

— Jak anioł!

— Tfu! — splunął kanonik — gdzie ludziom do aniołów, którzy patrzą na oblicze boże... dajże mi pokój... Prawda to, co powiada Doroszeńko, że pan Aleksander... że panu Aleksandrowi... to jest, że nasz Oleś ciągle był z nią?

— A jużciż jako pierwszy w towarzystwie, bo ona go bawiła.

— Ale uważałeś, czy się nie przymuszał i wesół był szczerze?

— Zdaje się, zresztą mnie podpoili trochę...

— A fe! tego nie pochwalam, wyjdiesz na grenadyera! do czego tobie to! Woda, kochanie, to napój dla młodych i starych najzdrowszy... wódka lekarstwo lub trucizna.

— Kiedy się usiedli mnie spoić.

— Powinieneś był uwziąć się i nie dać... wyrzucę to sędziemu; niech-że starzy, ale waści o chorobę mogli przyprawić.

Poszliśmy z zadumanym kanonikiem, który pociągnął do chorażynęj.

Ja z tój wrzawy myśliwskiej z podwójną przyjemnością wróciłem do mojego kąta spokojnego i zajęć bibliotecznych. Zastałem biednego Mateusza w wielkim kłopotcie, znowu mu mysz pochodziła po półkach, i w wielkiej Encyklopedyi jeden tom zapiął się przy wsuwaniu. Suszył właśnie foliały i musiałem słuchać teoryi gnieźdzenia się molów w różnego rodzaju okładkach, z których, jak się zdaje, nowe są najniebezpieczniejsze.

— Niéma, jak stare dębowe okładki pokryte świnią skórą... ot jak pierwsze tomy Balandzistów tych (byli to Bollandyści) — mówił — jeszcze późniejsze pargaminowe, jako tako, a dalej już na-

sze półskórki to plugastwo; lepsze proste szycie, mól niema gdzie mieszkać długo i zgubić go łatwiej, a w te klejonki jak się zaszyje, niczem go nie wykurzyć, póki do szczytu nie zje klajstru a z nim i papieru...

Mateusz ma szczególniejsze poszanowanie w ogólności dla starych, dla grubych i nieudźwignionych foliałów, a prawdziwą namiętność dla Kroniki Świata norymberskiej z rysunkami Pleidenwurfa i Wohlgemutha, nad którą go najczęściej zastać można. Włożywszy okulary na nos, przegląda ją począwszy od stworzenia świata, i gdy przyjdzie do owych ludzi o głowach sześciu, o trzech nogach, z dziobami, o których wyobraźnia średniowieczna marzyła, nie może się napatrzeć cudowisk powtarzając:

— I wszystko to, panie, na świecie bywało! Jezu Marya! słychane rzeczy!

Czasem znajduję go zaczytanego z usty otwartymi na środku sali tak, że mnie wchodzącego nie słyszy, i starając się pochwycić myśl wydzierającą mu się, ze zmarszczonemi brwiami, zagniewany niemal na książkę, sylabizuje dziwując się, że zrozumieć nie może. Stary ma chwile, w których mu te druki dokuczają, i gderze na ludzi, że ich tyle nazbierali. Dość, że zawsze się śmieję i zabawię serdecznie, gdy z nim pobędę.

25 sierpnia.

Od kilku dni nie miałem czasu nic wpisać, tak byłem zajęty czy leniwy; zresztą wszyscy tu potrosze w tym rajku uczymy się próżnowania, a ja choć go sobie nie pozwalam, mam do niego także usposobienie. Z biblioteką i Mateuszem nie robotę mam, ale zabawę; ja katalogi piszę i sprawdzam, on nosząc książki i robiąc śledztwa o myszach i mólach, nad głową mi gderze, gadamy z nim o nieboszczyku bibliotekarzu, którego wszystkie nałogi przejął starowina; potem pan Aleksander przyjdzie czasem do mnie i da mi jakiś arkusz do przepisania lub rachunek do zrobienia, obiad i gawędka.

Gdy w bęben zabębni kuchta przy bramie pałacowej, z dworców się rusza kto żyw, Pulikowski ze stajni, Hończarewski ze swego mieszkania w oficynie, i prawie razem schodzimy się wszyscy do sali, gdzie najczęściej już nad krosnami zastajemy panią chorążynę, która każdego wita jakimś słowem przyjaznym i troskliwością pełnym, czasem chorąży do kogo się odezwie. Hończarewski oprócz Apokalipsy, z którą się tai dla proboszcza niemilosierdzie go fukającego za prorocze jego dziwactwa, ma sobie za obowiązek zgadywać pogodę z pajaków, znaków różnych na nie-

bie i ziemi i barometru. Żeby mu się więc zdawało, że nie darmo chleb je, i coś robi, a na coś się przydał, najczęściej sam stary, gdy wnijdzie do pokoju, pyta go: — No, a co? jak barometr?

Hończarewski przybiera naówczas tak poważną minę, jakby nietylko zgadywał pogodę, ale ją robił dowolnie. Jest to mały i chudy staruszek, z długą szyją, na której osadzona głowa bardzo wielka, łysa, z oczyma niezmiernie wydatnymi, usta wpadłe, czoło pokrajane fałdami, ubrany zawsze jednakowo, we fraku sieraczkowym starego kroju i aksamitnej w kraty kamizelce. Gdy go spytają o pogodę, tajemniczą robi minę, zacina usta jeszcze więcej, i odpowiada wedle humoru, prorokując naprzód więcej, niż barometr i ludzie wiedzieć mogą. Te jego przepowiednie, ziszczające się czasem lub fałszywe, są zawsze przedmiotem chwilowej przedobiedniej rozmowy.

Pulikowski wślizga się nieznacznie, o ile mu otyłość pozwala, wzrokiem przelękłym spogląda na pannę Jamuntównę i jak najdalej się od niej odsuwa, starając jak najniżej uklonąć. Ksiądz kanonik wpada żywo zwykle z powitaniem staroświeckim: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!... i wesołością na twarzy... Pan Doroszeńko poważnie wchodzi zacierając ręce, kapitan Zbrzeski ze swoją czapczką włóczkową niby wojskowego kroju, zamasztyło wchodzi i natychmiast do kobiet się przysuwa, które prawdę powiedziawszy, śmieją się z niego. Nigdy nie przychodzi bez jakiegoś dowodu pamięci o plci *pięknej* i *zdradliwej*, jak ją zowie, przynosi bukiet, owoc, osobliwość jaką ogrodową, naprzykład dwa zrosłe orzechy lub dziwnej formy jabłuszko i oczyma ofiarując je Krysi, ręką starszej pannie Jamuntównie oddaje.

Gdy i pan Aleksander wejdzie, a matkę w rękę pocałuje, pani wstaje od krosienek i wszyscy idziemy do jadalnej sali, gdzie już każdy ma miejsce swoje. Ja urosiłem, że na końcu szarym z Pulikowskim jadam, jako najmłodszy i najpóźniej przybyły; a mam zręczność biednego podporucznika rozbawić i pocieszyć. Po obiedzie chwilę jeszcze trwa rozmowa przy czarnej kawie, którą sama pani podaje tym, co piją, i zaraz się rozchodzimy każdy do swojego kąta, wyjąwszy, jeśli kogo państwo chcą zatrzymać.

Proboszcz zawsze z naładowanymi dla psów kieszeniami kroczy do dworku, gdzie już na niego i dzieci, i ubodzy jego czekają, ja do biblioteki lub do ogrodu, i poobiedzie mamy znów wolne, aż do herbaty i wieczora.

Na czytania nasze, kto tylko ma czas, przychodzą wszyscy, ale Doroszeńko niezawsze może, Pulikowski spóźnia się do kolacy, żeby jak najkrócej być ze straszną panną Jamuntówną. W sali,

gdzie czytujemy, każdy ma już swoje krzesółko, przy stole okrągłym, ja jako lektor, pani z pończochą, dwie panny Jamuntówny, jeśli jest kto z gości, pan Aleksander w kaciuku ciemnym z matką, stary chorąży chodzi prawie zawsze, ksiądz Ginwił lokuje się przy piecu lub przybliża do stołu, Hończarewski siaduje przy drzwiach, Kajetan Zbrzeski naprzeciw kobiet, Doroszeńko, jeśli jest, koło proroka... Pulikowski za firanką pod oknem.

Najniesłuszniejsze to uprzedzenie jego przeciw nieszczęśliwój pannie Jamuntównie, która jest sobie trochę sztywna i nieco dumna, lękając się zawsze, żeby jej nie chybiono, gra w marysaszka z gracyą, ciągnie kabałę, śpiewa jeszcze (co przez okno słyszę) dawne piosnki czyli *teksta* z czasów Konfederacyi Barskiej, a zresztą, choć gderze w garderobie i ostro pilnuje panny Krystyny, najlepsza w świecie osoba. Prawda, że radaby wydawać się jeszcze młodą, ale że była piękną, a młodość i wdzięki na nie się jej nie przydały, nie dziw, że chciałaby je przeciągnąć. Panna Krystyna, ładne dzieciątko, wesoła i figlarna, której obowiązkiem siedzieć ciicho, pończochę robić i piec raki.

Otóż całe towarzystwo nasze, i całe życie, tak utkane z godzin jednostajnie płynących, jak piękna materya kwiecista, w której ani węzełka, ani skazy nie dostrzeżesz.

Widzę ze wszystkiego, że opowiadanie pana Doroszeńki o Koci Bundrysównie mocno zajęło chorążyne, bo się o nią nas wszystkich rozpytuje, bada i zabiera się nawet odwiedzić sędziego, co że rzadko się trafia, robi w sąsiedztwie wielką zazdrość i będzie długich rozpraw przedmiotem.

Pan Aleksander ze mną jeździł drugi raz do Romaszówki; była to prosta grzeczność tylko dla pana Bundrysa, którego zaprosić chciał sam osobiście na polowanie, i nie powiem, żebyśmy tam bardzo dokazywali, ja przynajmniej, siedząc przy pani Osmólskiej, dosyć się unudziłem, choć zacna ta pani usilnie pragnęła mnie zabawić; pan Aleksander trochę pogadał z Konstancją, która do nas wyszła, uprzejmie, wesoło jak z siostrą, alem ja nie postrzegł, żeby tam coś więcej być miało. Przecież gdyśmy powrócili do domu, widziałem, że wszyscy z tego zaraz poczęli wnioskować, nawet chorążyna kazała mnie przywołać do siebie, i poznałem po niej, że nie chcąc się wydać z tém, że ją to tak bardzo obchodziło, bardzo mnie wypytać pragnęła.

— Siadaj-no, panie Janie, tu blisko koło moich krosienek — odezwała się, wesoło patrząc mi w oczy — ja trochę jestem głucha... rozpowiedz mi, co to tam robiliście w Romaszówce?... Jeździłeś, słyszę, z Olesiem?

— Pan Aleksander był tak łaskaw, że mi sobie towarzyszyć kazał — rzekłem.

— No! ale cóż! jak? rozpowiedz-no mi wszystko, jakże to było?

— Jeździliśmy zapraszać sędziego na jutrzejsze polowanie.

— A! no to dobrze, ale cóż? -- wyszła ta panna Konstancya?

— Wyszła.

— Oleś z nią gadał?

— Rozmawiał...

— To słyszę wesole dziewczę i ładne? — spytała.

— A już to że śliczna to jak anioł.

— Patrzaj-że! opisz mi ją, panie Janie, jak wygląda?

— Dosyć słuszną, bardzo zręczną, oczy niebieskie, twarz miła, wesola, figlarna, ale dobroci pełna.

Na to wszedł ksiądz Ginwiłł i głową zaczął kiwać w progu na mnie, widząc mnie z takim zapałem opisującego, co mu się zdało widać nieprzyzwoitęm, ale chorążyna skinęła na niego.

— To ja się go rozpytuję o Bundrysównę.

— A! — rzekł.

— No! mów-no, mów... piękna, powiadasz? wesola... blondynka?

— Tak, niezbyt jasna.

— Oczy niebieskie? duże?

— Śliczne... twarz jaką tylko na obrazach się widuje.

— A nie uważał-żeś, jakże ona była dla Olesia? bo to mnie wszystko, widzisz, obchodzi, oni tam tacy grymaśni...

— Niezmiernie owszem byli grzeczni.

— Grzeczni? ale ona?

— Śmiała się, rozmawiała.

— A Oleś w dobrym był humorze?

— Jak zwykle... mnie się zdało, że w bardzo dobrém usposobieniu.

Spojrzała na księdza Ginwiłła, który mileżał zadumany; wkrótce potem wyszliśmy.

— Otóż masz — rzekł do mnie — biedna nasza chorążyna już marzy... Waćpan to nie nie wiesz, dlaczego się tak rozpytywała, ja to już razy kilkanaście te parokszymy przebywałem. Kończą ci się zawodem, a bodaj żeby i teraz tak nie było. Biedna matka chciałaby syna widzieć żonatym i szczęśliwym, a ten się na biedę żenić nie myśli... Było to już tych panien dosyć, a za każdą też same interrogatorya, poznaki, uciechy, a potem smutek i płacze pokątne. Waćpan pamiętaj, nie karm ją próżno

ladajakiemi przywidzeniami, jeśli się pytać będzie; mnie się zdaje, że to darmo... jak Bóg zechce, zrobi się to bez ludzi! a widać nie było dotąd woli bożej i próżne usiłowania. Panna Bundrysówna ma może lat siedemnaście, obliczyłem dobrze; pan Aleksander około czterdziestu... gdzież to się może sobie podobać? ta zwyczajnie młokos, dzierlatka, pusto w głowie, ten sensat... a w dodatku tatunio, który *a-reszta-gratów* nie cierpi... Gdzież to jedno z drugim powiązać!...

Ale próżne były kanonika rozumowania; cały dwór rozpromienił się nadzieją; pierwszy raz w życiu miałem nawet szczęście być zaproszonym przez pannę Jamuntównę do jej mieszkania, i wyprawivszy synowicę, żebym nie pomyślał zapewne, że co myśli o nas... przyzwała mnie pod pozorem narady o jakieś tam sukienki, co je chorążyna dla Andzi szyć kazała.

Poczęło się prawda od sukienek, ale panna Jamuntówna zrobiła zaraz zapytanie o odwiedziny w Romaszówce: musiałem znowu opowiadać i jak najkrócej się wypowiadałem, słuchając rady kanonika, a nie wiele dając im nadziei, jakbym nie rozumiał, o co chodziło. Uważałem z twarzy panny Jamuntówny, że mnie musiała wziąć za dosyć nierozgarnione stworzenie, alem się na to poświęcił.

Ledwie od niej wyszedł, porwał mnie Doroszeńko i kapitan Zbrzeski, oba ciekawi i pałający, a tu się wyklamać było trudno, bo mnie w takie wzięli obroty, że od wstąpienia na próg do wsiadania na bryczkę musiałem każdy nasz ruch, słowo, śmiech i minę opisywać. Hończarewski zbliżył się także zadumany i słuchał poważnie; nareszcie gdym dokończył, skonkludował:

— Wiek niewiary! wiek bezduszny! wiek filozofii i szyderstwa... gdybyście mieli ducha, nie potrzebowalibyście o nic pytać, wiedzielibyście wszystko. Każda rzecz odrazu się daje wyrachować z początków, lub odgadnąć i wyprorokować niemylnie. Pierwsze widzenie się pana Aleksandra z panną Konstancją nastąpiło pod znakiem Bliźniat...

Wszyscy się śmiać poczęli.

— Otóż masz wartogłówów! — zawołał poważnie wieszcz wyciągając obie ręce i załamując je potem, śmieją się! śmieją! a nie nie wiedzą! nie! Bliźnięta oznaczają połączenie... to jawna i oczywista. Księżyc był w pełni i to znak dobry, a w ostatku stu-letni kalendarz...

— Bywaj zdrow, kiedy już i stuletni kalendarz na placu! — przerwał Doroszeńko.

— A kiedy tak, to nic nie powiem! nie! — zawołał Hończarewski — kłaniam uniżenie: nie będziecie wiedzieli.

— Gadajcie, co chcecie — rzekł Zbrzeski — ja się na tém znam, pan Aleksander zaszłapał!

— Małoś to już razy tak mówił?

— Nigdy z pewnością! — zawołał Zbrzeski — dziś głowę daje...

Pulikowski, który widząc zawsze dwóch naradzających się lub rozmawiających, podejrzewa, że nań coś knują, niespokojny podbiegł powąchać spisku i wmięszal się do nas; ale widziałem z miny, że rozmowę o sędziance wziął za podstawioną umyślnie i odszedł kwaśny kiwając na mnie.

Pobiegłem za nim.

— Słuchaj, chłopeze — rzekł, wpatrując mi się w oczy — miałem cię i mam za niezepsutą istotę, prawą i szlachetną... a i ty, widzę, należysz do nieprzyjaciół moich... Chodziłeś już do téj czarownicy Jamuntównéj, teraz jakieś konszachty, to coś jest, przyznaj mi się!

Powiedziałem mu o co chodziło, ale odszedł nie wierząc i grożąc mi; tymczasem Doroszeńko i kapitan rozprawiali zawsze o jedném.

— Teraz — rzekł pierwszy — przypuściwszy, że już się pokochał, co ze starym Bundrysem zrobimy? wszak ci on nie zgodzi się na to, żeby córka jego miała wniść do rodziny *a-reszt-gratów*?

— Co? — zakrzyknął Zbrzeski z zapalem — a to ją wykradniemy... to go porąbamy... to historję zrobimy!

— Dopiero-by było krzyku na przemoc magnata... a stary-by nam jak psom we łby postrzelał... z nim nie łatwa sprawa...

— Niech mu się tylko klei — rzekł Zbrzeski — damy sobie rady, zrobimy konfederacyą, przypaszemy oręż i zbrojną ręką bodajby...

— At! żarty, ale jak pokonać sędziego?

— Myślicie, że będzie przeciwny?

I tak długo jeszcze oba na wierzbie gruszki trzęśli; ja musiałem odejść, bom widział, że końca nie doczekam, ale to dowód, jak tu wszystkim obchodzi, czego chorąstwo pragną.

Umieli oni od najmniejszego do największego przywiązać do siebie wszystkich, tak, że każdyby chętną z siebie dla ich szczęścia zrobił ofiarę, właśnie może dlatego, że oni nigdy żadnej nie pragną, i tym, co ich chleb jedzą i na łasce ich żyją, sami jeszcze zdają się okazywać wdzięczność... Dla nich znać, że to równi im ludzie, że to członkowie jednéj wielkiéj rodziny, a miłość chrześcijańska prawdziwie czynem w ich sercach. Małe to są rzeczy, ale najmniejszój nigdy nie dojrzałem w nich próżności i pragnie-

nia utrzymania się na jakimś stanowisku, pokazania się, przodkowania. Najwyższa pokora i niewyczerpana łagodność, znamionują każdą ich czynność. W kościele u nas bywało, gdy się szlachta zejdzie, co to intryg o pierwszą ławkę, jakie parcie się naprzód, ile zgryzot, gdy się kto nie dostał, gdzie mu się niby należało; tu oni wszyscy nieraz w tłumie, bojąc się potracić żebraka, późno przyszedłszy, siadają przy drzwiach, nie pozwalając sobie robić miejsca, a chorążyna powtarza:

— Dom boży, co my tam znaczym robaki... tyle jeden co drugi, a często najlichszy najwyżej-by stać powinien.

Tak ciągle. Chorąży sam, jeśli słowem nie może, to uśmiechem i twarzą ludzi ku sobie pociąga; jego smutek ma w sobie coś takiego uroczystego, wielkiego, a milczenie tyle męstwa, że nieraz dopatrzwszy łzy w jego oku, chce się przed nim upaść na kolana. Wiem, że ja patrzę nań jak na męczennika. Zdaje się nie widzi i w istocie nie dostrzega często tego, co się tyczy osoby jego, ale co ludziom potrzebne, pierwszy zobaczy; nawet ten ślub miłczenia mimowolny przelamuje, gdy sądzi, że komu słowo jego potrzebne. Na modlitwie jeszcze potężnieje i niemal się przeistacza; patrząc nań, przyszło mi na myśl, com nieraz czytał o pobożnych i błogosławionych, że się mienili i rozjaśniali modląc z nim właśnie dzieje się tak samo. W domu to niemal pospolity człowiek, w kościele twarz mu się wypogadza, oczy jaśnieją, wargi drżą, a często skończy się nabożeństwo, wyjdą wszyscy, on jeszcze się modli i płacze, aż mu ktoś musi przypomnieć godzinę i niepokój żony, która o zdrowie jego niezmiernie troskliwą będąc, pilnuje go jak dziecko.

Żyje jak anachoreta, dla siebie niezmiernie mało potrzebując; zbytek mu obojętny, w jego mieszkaniu prócz klęcznika, obrazów kilku i książek niema nic; z rzeczy powszednich, których każdy potrzebuje, do których się przywiązuje i otacza niemi, ani jednej fraszki, do którejby przywiązywał jakąś cenę. Nigdy nie połajał nikogo, nie zmarszczył się nawet, ale cały dwór na skinienie jego w ogień-by poleciał, a jeśli zażąda, nie dla siebie, ale dla żony i syna czegokolwiek, niema nocey, przeszkód, oddalenia; wyprzedzają się wszyscy, aby go natychmiast zaspokoić. Niezmiernie hojny, rozrzutny prawie, groszem sypie i nigdy się nań nie ogląda, a jednak mówią, że fortuny nie nadweryzył: Bóg niewidzialną dłonią dosypuje, co oddają dzieciom jego.

Gospodarstwo i zarząd majątków, o ile poznać je mogłem, starannie dopilnowane, ale celem tu nie jest, jak gdzieindziej samo tylko przysporzenie grosza. Widać, że Jamuntowie oddawna zajmowali jakoś lepij to zadanie i obowiązki posiadaczów ziemi,

a pan Aleksander, który się najwięcej zajmuje ogółem interesów i administracją, bardzo jasno cel widzi przed sobą. U nas dziś powszechnie, kto ma ziemię z włościanami, widzi mu się, że ją dlatego ma, aby na niej pieniądze robił i używał; dawniej jednak musiało to być inaczej, i teraz-by inaczej zdaje się być powinno. Posiadanie ziemi wkłada inne obowiązki na właścicieli, którzy nie koniecznie spekulować i ciągnąć grosz powinni, żeby się nazywali dobrimi gospodarzami. Tak też Jamuntowie od wieków patrzali na położenie swoje i obowiązki względem włościan, więcej się troszcząc o ich dobry byt, o wykształcenie moralne, nizeli o swoje dochody. Każde więc przedsięwzięcie ma dla nich dwie strony: pierwszą, jego użyteczność ogólna dla majątności zamieszkujących ludzi, drugą dopiero korzyść własna. I wpływem dobrego przykładu, serdecznym tym związkiem ze swojemi włościanami dokazali tego, że choć lud tu zapewne nie jest z samych złożony aniołów, lepszy wszakże niż gdzieindziej. Wszyscy oni zawsze są gotowi na każde żądanie chłopka do porady, pomocy, do żywego udziału w jego losach; każdy ma prawo przyjść, rozmówić się szczerze, popobłé przed niemi, wyłożyć im swoje potrzeby, i odchodzi pocieszony i zaspokojony. Ani pan, ani pani, ani pan Aleksander nie każą odesłać chłopka, znając, jak jemu czas drogi, z powodu, że są goście, lub, że im nie chce się wyniść na gawędę: czują się do obowiązku, i skoro w ganku ukaże się który z gospodarzy, służący oznajmuje natychmiast, bo wie, że czekać nie powinien. Ten związek z wieśniakiem sprawia, że dwór i wieś składają tu jeszcze tak jedną rodzinę, jak niegdyś zapewne nią były. Wybór pana Doroszeńki ułatwia im to, bo porucznik pojmuje, jak oni wielki obowiązek pana i spełnia go w zastępstwie za nich nadzwyczaj sumiennie. Cierpliwy, obdarzony pamięcią ogromną, każdego zna, wie okoliczności tyżące się jego gospodarstwa, umie wejść w potrzeby, i gotów cały dzień siedząc na ławie, słuchać długich uzaleń, skarg i prośb gromady.

Naturalnie, że w ten sposób nie mogą państwo Jamuntowie zbyt wielkich ciągnąć korzyści z dóbr swoich, i to ich niewiele obchodzi; ale też pan Aleksander nieraz powtarza, że to jest niedarowaną ze strony naszej omyłką, iż weszliśmy na fałszywą drogę i pojęcia o celu stanowiska pańskiego i zadaniu tego powołania. Powiada on i zdaje mi się, że ma wielką słuszność, żeśmy zbłądzili przez naśladownictwo Zachodu, z panów, to jest starszych gmin i przewódców ich, naczelników, przerabiając się na spekulatorów i robigroszów. Każdy dziś z majątkiem postępuje jak kupiec z towarem, frymarczy nim. Sprzedaje, kupuje, stara się jak największy zysk wyciągnąć, a potem Bóg wie jak zebrany gro-

szem nasycić swą namiętność, i użyć go dla fantazyi. Dawniej dóbr nikt nie sprzedawał, i nie abdykował swęj władzy naczelnika dobrowolnie, czynił to chyba zmuszony koniecznością; dziś nie popolitszego nad frymark dobrami i proste spekulowanie ziemią, która się uważa za taki jakiś towar, za materyał przemysłowy, jak wszelki inny przedmiot handlu. I trudno dziś inaczej wyłożyć panom ich przeznaczenie, gdy pod pozorem dobra ogólnego i postępu, kto najwięcej wyciąga grosza z ziemi, ten dostępuje imienia rządniego i zabiegłego człowieka, jak gdyby wioski i majątności dane były na to, ażeby nie rozszerzając obowiązków, dostarczały tylko fantazjom i zachęceom dziwaka.

Jamuntowie mają to podaniem od praojców, że się niejako nie uważają za panów w popolitem rozumieniu wyrazu, ale za naczelników, rządców ludu im powierzonego, z którym stoją w żywym i ciągłym związku, jak dziadowie ich z dziadami tych wieśniaków. Dlatego tu przywiązanie wzajemne mieszkańców do nich i ich do ludzi, z którymi są w ciągłych i najściślejszych stosunkach, trwa gorące i codzien wrasta, zamiast się osłabiać, jak gdzieindziej. Nigdy tu włóścianin nie posłyszysz słowa poniżającego, ani może być odepchnięty, ani uczuje wzgardy; przeciw go nie rozzuchwala łagodność i sprawiedliwość; owszem, to postępowanie uśmierza w nich namiętności, do których lud z położenia swego tak jest skłonny i szczepi miłość, bo najlepszą nauką przykład.

— Jakiem się ziarnem sieje — mówi ksiądz Ginwił — takie plony otrzymuje; kto zasiewa nienawiścią, nienawiść zbiera, kto miłość daje, miłością mu płacą.

Trzeba też wiedzieć, jak tu ludzie kochają pocziwych Jamuntów, i jak nieraz o mil kilka przychodzi gospodarz do Borowój, dla niczego, tylko tak, żeby się na pana swego popatrzeć.

Nie potrzeba sobie wyobrazać, żeby ta łagodność przechodziła w pobłażanie występne, bo Doroszeńko znowu, mając za zasadę, że z niedorosłym ludem, jak z dziećmi postępować potrzeba, nie przebacza złemu, aby go nie krzewić; ale nigdy słusznie ukarany wieśniak za przestępstwo, serca nie straci dla tego, który sprawiedliwość wymierzył; jest w nim niewygasły instynkt prawa i prawdy, który mu wskazuje, że był winien, że często sprowadzenie na drogę choć ostro użytymi środkami, wdzięczność w przyszłości wyrabia, choć chwilowo przykre.

Więc to pierwszy cel ich gospodarstwa: polepszyć byt i poprawić stan moralny włóścian, a jak dla siebie, tak dla nich, nie stawiają na pierwszym planie agronomii i upędzania się za zyskiem. Chłopek i pan, zaprzątynieni spekulacją, wprawdzie stają się porządniejsi, ale chłodnieją, zasklepiają się w egoizmie, i rozbrat

biorą ze społecznością ślubując wiarę groszowi. Zresztą, gdy tu każdy gotów się dzielić i pomagać, jeśli komu zabraknie, nigdy bieda nie dokuczyła jeszcze najmniejszemu z włościan Borowskich. Pracują oni, oszczędzają, rządzą się dobrze, ale wiedzą i widzą na panach, że zadaniem życia nie jest przysporzenie sobie, ale zespolenie się z bliźniemi.

We dworze gospodarstwo idzie starym trybem tradycyjnym; chciano namówić pana Aleksandra na jakiegoś tam Niemca agronoma, na założenie cukrowni w dobrach wołyńskich, na sukienicę, płodozmian i wszystkie te nowostki, któremi się psują i bawią ludzie postępowi; ale on jasno pojął, że w dniu, w którymby z pana stał się żydem, kupcem i industrialistą, przestałby być posłannikiem powołanym do przewodniczenia swjej gromadce. Grosz i zбоgacenie wcale według niego, bo to, powtarzam co mi mówił, nie jest głównym zadaniem ludzkości, ale jednem z bardzo nawet podrzędnych, a społeczność czyniąca go wyłącznym celem swoim, jest wprost chora i zbląkana. Chodzi nam o wprowadzenie w czyn nauki Chrystusowej, gdy połowa świata, jeśli nie imieniem, to rzeczą jest pogańska, nie o pomnożenie tego, co samo z siebie jest niebezpieczeństwem więcej niż korzyścią. Pilność około roli i całego gospodarstwa, tak tu, jak w innych majątkach wielka, pracują wszyscy, krzątają się, ale nie wychodzą z drogi, jaką im Pan Bóg wyznaczył, na fabrykantów i reformerów zagranicznych.

Idzie to sobie dobrze, ale po prostu, nie wydzierają nowych łańców, nie szukają źródeł dochodów, któreby, jak fabryki naprzykład, ludzi psuły i odrywały od roli, lub z trybu ich życia w stan jakiś nieokreślony, pośredni wypychały, ale nie opuszczają gospodarstwa i pracują wszyscy.

Ulepszenia, które mogą ludziom ulżyć roboty, poprawić tryb jakiś błędny postępowania, zastąpić mozolną pracę łatwiejszą, powoli się zaprowadzają, o tyle jednak, o ile natury naszej starej gospodarki nie zmieniają... Ale, że wieśniak na pierwszym jest względzie zawsze, państwo Jamuntowie ważą dobrze, czy nowe, które się wprowadza, złego mieć wpływu nie będzie. Tak, choć dobra Borowskie z szynków samych robiły około stu tysięcy dochodu, dziś po usunięciu żydów i urządzeniu karczem nowem, o połowę się to zmniejszyło; w dobrach wołyńskich stał pustką pałac stary, żyd go chciał kupić lub nająć na fabrykę, któraby zarobku dostarczyła wprawdzie wieśniakom, ale szkodliwy-by na nich wpływ wywarła, woleli więc Jamuntowie oprzeć się tej spekulacji, a gmach oddali na lazaret.

Pomimo gospodarstwa, któreby się dziś opieszale nazwać mogło — bo lada szlachcic dziś chciwie przerabia się na spekulanta,

i plując na żyda, sam z nim staje w szrankach, pradziadowskie ziemie przerabiając na towar, lub sącząc z nich soki ostatnie — Jamuntowie nie tylko mają do syta, ale corocznie są wstanie robić wiele dobrego i nigdy im grosza nie braknie. Całym ich zbytkiem gościnność i wylanie się dla ludzi, innego nie potrzebują i nie znają: stół jak u zamożnego szlachcica nasz staroświecki, konie ze swojego stada, powozy po lat kilkadziesiąt mają, sprzęt w domu dziadowski jeszcze... Przykupują do biblioteczeki książek, rozdają ubogim, podtrzymują krewnych, karmią poddanych, i jeszcze się im zostaje od dochodów zawsze sumka jakaś na nieprzewidziane wypadki. Tu zaś nieprzewidzianych wypadków mnóstwo, bo niema dnia, żeby się wózek nie zatoczył, żeby ubogi nie przywłókł, ktoś nie przyjechał o pożyczkę, nie napisał o wsparcie. Ja, że na te listy i prośby odpisuję i często mi powierza pan Aleksander załatwianie takich interesów, wiem o tym najlepiej. A odbywa się to dzieło miłosierdzia tak cicho i skromnie, że nikt o tym nie wie, i gdy datek wzięwszy podupadły szlachcic przyjdzie podziękować lub pokłonić się dobrodziejom, nie trzymają go u drzwi, nie odpędzają jak natręta, ale przyjmą jak serdecznego gościa, dając mu w dodatku zapomogę serca i miłosierdzia, i nie spychając go na stopień obojętnego żebraka.

Wybór naszego krewniaka Doroszeńki szczęśliwie się im udał bardzo; dawny wojskowy, człek do pracy przywykły, nie mający żadnych fantazyj, rozsądny, a z sercem, spełnia wyznaczony mu obowiązek z takim poświęceniem, że jeszcze nigdy od niego nie posłyszał, żeby się na jego uciążliwość poskarżył. Zapaliwszy nieraz fajkę, jak siądzie w ganku dworku, otoczony żydami, mieszczanami, wieśniakami, przybyszami z różnych majątków, ledwie ma czas co zjeść, i tak do wieczora przebawi. Wie on, że nie dosyć wieśniakowi dać, czego żąda, i zrobić po jego woli, ale z nim koniecznie po ludzku rozgadać się potrzeba szeroko, dać mu się wytłómaczyć, wysłuchać cierpliwie i nagiąć się do jego sposobu widzenia rzeczy. Doroszeńko do każdego z nich przemówi jego językiem, wypali reprimandę, powie bajeczkę, przywiedzie przysłowie, pośmieje się, wybada, i że go oszukać nie łatwo, a serce jest na dnie, tak go kochają tu, jak obojga państwa. Zresztą i pan Aleksander i pani i sam chorąży, gdy ich do człowieka wywołają, dla żadnych tam swoich pańskich zatrudnień lub zabawek nie zbęda go lada czym i mają zawsze tyle czasu, ile potrzeba, żeby się wieśniak wygadał im i rozłómaczył, a nie odeślą nikogo z kwitkiem.

Naturalnie, że jak z księdza Ginwiłła ów pijak grenadyer, tak z nich korzystają ludzie, i oszukują czasem niemiłosiernie, ale nie

lepiej-że być zwiedzionym i nadużyтым, niżeli nieużyтым? Często ubogi osobno do pani, do pana, do pana Aleksandra, do księdza Ginwiłła i do pana Doroszeńki się udaje, od każdego coś pochwyti i nierychło okaże się, że wytargował więcej może, niżby był wart — ale to ich bawi, nie gniewa: nie godziż się przebaczyć biedzie, gdy się nieraz występki w wielkim świecie dla glansowania rękawiczek tyle przebacza!...

20 sierpnia.

Byłbym nie wiedział o dzisiejszym dniu imienin księdza Ginwiłła, gdyby mnie wczoraj wieczorem Doroszeńko nie postrzegł. Po wieczery zbliżył się do mnie i szepnął mi w ucho:

— Jutro raniusieńko wszak razem pójdziemy z powinszowaniem?

— Do kogo? z jakim?

— A to ty nie wiesz? a prawda! Jutro świętego Augustyna, imieniny księdza kanonika...

— Państwo się już przygotowali — dodał po chwili — jak rokrocznie. Chorążyna mu sprawiła śliczny fotel skórą wybity, chorąży kupił pyszny brewiarz paryskiej edycyi. Oleś podobno jakiś obraz sprowadził, panna Krystyna z cicią wyszyły przepyszną komeżkę...

— A! nieszczęście — zawołałem — a ja nie mam!

— I ja — rzekł Doroszeńko — bo cóż mu dać, chyba kalekępsa, albo łapatego gołębia, żeby je hodował... Ja wiem nawet, że te prezenta, choć wdzięcznym przyjmie sercem, więcej mu kłopotu zrobia, niż przyjemności, bo on ani wygódek, ani przyjemnostek życia nie ceni. My sobie pójdziemy poprostu i złożymy suche życzenia, do których ja siemie lniane i groch dla ptastwa przyłączę, a prócz tego, że się kasa wyczerpała, bo ksiądz Ginwiłł u mnie przedwczoraj pięć złotych pożyczył, kazał chorąży wypłacić mu tysiąc złotych, bo już ubogim rozdaje suknie i łyżki, których miał pięć, zaczął sprzedawać żydom.

Dzień był bardzo piękny, choć ranek chłodny, wstałem raniiej, wiedząc, że ksiądz Ginwiłł nie zasypia długo, i pobiegłem do porucznika, który już na mnie czekał.

— No, chodź — rzekł — jużemy się trochę spóźnili, bo fotel od chorążyny ponieśli...

Wchodzimy do izdebki księdza Ginwiłła właśnie w chwili, gdy służący, rugując jego stare krzesło, do stolika mu przysuwali śliczny gotycki rzeźbiony palisandrowy fotel, a kanonik stał we

drzwiach osłupiały, z kartką chorążyny w rękę. Nie słuchając nawet powinszowań naszych, księżyna rzucił się do ludzi.

— Czekajcie! na Boga! alboż ja na tém będę siedział! nie zabierajcie mi staruszka... a! zlitujcie się! Otóż masz! Czy pani chorążyna myśli, że ja na tém cacku usiądę! Ale fe! to chyba do zakrystyi czy do kościoła! Gdzież to u mnie, psy powalają... ptastwo opaskudzi! i jabym się do tych poduszek nie przyzwyczaił! jeszcze się spać nauczę! Ale fe! poczekajcież, już ja to w pokrowcu gdzieś ulokuję, ale żebym miał siedzieć na tém—niech mnie Pan Bóg broni!

Ludzie wyszli, śmiejąc się z zakłopotania proboszcza, a my staliśmy wciąż czekając, żeby nas przypuścił do złożenia mu życzeń.

— Serdecznie dziękuję, mój drogi — rzekł do mnie — będziesz mi dziś do mszy służył, to się dziś do mojego świętego Augustyna pomodlimy razem.

— Pan chorąży—dodał Doroszeńko—kazał księdzu kanonikowi na jego ubogich oddać to... — i położył pakiecik na stoliku.

— Co to? pieniądze? a! niech mu Bóg milionami płaci! istotnie trochę potrzebowałem, nie dla siebie, nie... bo czegoż mi tu braknie — dodał ze łzami w oczach — ale dla tych ciemiegów moich, co sobie rady dać nie umieją... A! niechże wam Bóg milionami płaci! otoście mi trafili...

— Ode mnie zaś — rzekł Doroszeńko — raczysz przyjąć...

— Co znowu! będziesz mi i ty prezenta robił — ofuknął się proboszcz — jaki mi magnat!

— Tak, jaki pan, taki kram, i co mam, to daję... siemię lniane dla ptastwa i groch dla gołąbków...

— Niechże cię uściskam — zawołał uradowany proboszcz rzucając mu się na szyję — i tém trafiłeś mi do serca... Wystaw sobie nie miałem ani gdzie, ani za co kupić... a tu ta biedota głodna... a prosić was już nie śmiem, bo żebyście mi nie dawali, czego zechcę, o! tobym dokuczał, ale... z wami... nie można...

Wśród téj rozmowy nadeszli pan chorąży z brewiarzem, pan Aleksander z piękną ryciną świętego Augustyna, a proboszcz na próg się do nich ruszył, skłopotany tą ich dobrocią, do której był przywykł.

Chorąży uściskał go ze łzami w oczach i oddając mu brewiarz, te tylko słowa pocichu wymówił:

— Módl się za nas... módl się za nas... naszych modlitw Bóg nie słucha!

I to rzekłszy wysunął się zaraz w ulicę...

Pan Aleksander sam wszedł do pokoju i, dobywszy z kieszeni ćwieczka z mosiężną główką i młotka, zbliżył się do ściany.

— Pozwolisz, księże kanoniku, żebym ci sam moje pamięteczkę powiesił.

— Ależ tu ptaszki... — rzekł zakłopotany księżyna — a one wszędzie siadają... gotowe...

— Nic nie szkodzi... święci pańscy godzą się z ukochanem tobie stworzeniem; ramy proste, a obrazowi nie się nie stanie.

Tymczasem proboszcz już rozczulony tak, że mu się na lzy zbierało, patrzył to na brewiarz, to na fotel, to na świętego Augustyna, nie wiedząc, czemu się więcej radować.

— A! jakże mi mojego patrona odmalowali ślicznie!... aż mi się z nim modlitwą chce porozmawiać... Widzę go! lepiej pojmuje... Kocham!

I uściśnął pana Aleksandra, który pobiegł ojca dognać w ulicy. Proboszcz otworzył pięciotomowy brewiarz złożony, oprawny pysznie, z klamrami i ruszył ramionami.

— Ależ mnie obdarowali!... — rzekł — ależ nadawali! ale co ja z tym francuskim eleganckim brewiarzem będę robił? bo żeby się na nim modlić, toć to niepodobienstwo, nawet szkoda, a mój starszerek miałby pójść w ką! oho! ho! z tego nic nie będzie! Z tym to mi się znamy jak łyse konie, służy mi od seminarjum starowina, a to... niema co powiedzieć, pyszny... ale go szkoda... tylko dziś wezmę go dla chorążego, ale jutro w papier obwinę i do biurka... jegomość! Otóż — rzekł siadając — taki jestem szczęśliwy...

Wtém zapukano do drzwi i weszła panna Jamuntówna z panną Krystyną, niosąc owę komżę, a proboszcz znowu wstał załamując ręce i nie wiedząc, jak za pamięć dziękować. Gdy rozłożono arcydzieło z wstążkami liliowemi, świeże, białe i misterne... podniósł oczy do góry.

— A, moje dobrodziejki! — zawołał — gdzież to na grzeszne ramiona moje takie kosztowności brać i śliczności takie, chcecie mnie gwałtem na księdza eleganta wystrychnąć, a tu już ja nim być nie potrafię...

Panna Jamuntówna śmiała się, o ile jój powaga dozwalała, panna Krystyna raki piekła, gdy wtém niespodzianie na progu ukazał się gruby Pulikowski, i szedłszy się tak oko w oko z nieprzyjacielem, osłupiały stanął, nie wiedząc, czy dalej iść, czy nazad się wracać.

W wolnych godzinach miał zwyczaj scyzorykiem się zabawiać podporucznik i bardzo zgrabnie wyrabiał z drzewa, nie rachując już pestek wiśniowych i śliwkowych, orzechów włoskich i tym podobnych materyałów — różne drobnostki. Dla proboszcza więc od roku przysposabiał arcydzieło na kokosowej łupinie, wyrznięte

z wielką pracą, które było tabakierczką ze znakami i godłami pobożnymi na wierzchu. Miał właśnie oddać owoce długiego mozołu, gdy widok panny Jamuntówny tak go zmieszał, że zapomniawszy o proboszczu, stanął niemy, kłaniając się naprzód niebezpiecznej cici. Ta mu z uśmiechem ukłon oddała, a proboszcz widząc zakłopotanego, pobiegł uściskać i wywieść z tego położenia.

— Siadajcież — rzekł — siadajcie, a oglądajcie oto dary, które mi mnie niegodnego obsypaliście wszyscy... Ale to bieda — dodał — ani tego gdzie pochować... ani użyć... takie śliczności... co to ja z tём będę robił... fotele... obrazy, księgi, groch, komża, lniane siemie, pieniądze, tabakierka.

Jużbyśmy nie wiem jak stamtąd wyszli, bo przed domem nzbierała się kupa ludu także z powinszowaniami, gdyby nie dzwonek oznajmujący mszy godzinę... wszyscy się rozpierzchli, prócz ubogich i dzieci.

Ostatnie prowadził organista z mową, z wierszami i powinszowaniem na arkuszu. Proboszcz wybiegł do nich ze łzami, i nuż ścisnąć puciołowate twarzyczki, a wtykać im po złotówce z tego tysiąca, który umyślnie Doroszeńko przyniósł drobną monetą...

Trzeba było wychodzić na mszę, a tu jeszcze przed gankiem stali ludzie z miasteczka, grenadyer ów o kuli i różnych obdartusów mnóstwo. Pomiedzy niemi było kilku z gołębiami i klatkami, z różnemi podarkami ubogimi, a za tą cizbą drugie tyle psów, które znając dworek kanonika, chętnie za panami przywędrowały, jakby także z powinszowaniem. Musiał kanonik wyniść do życliwych i znowu złotówkami im dziękować, a psy go niezmiernie ucieszyły.

— Patrzajcie, wasaństwo, jakie to domyślne stworzenia.

Zobaczywszy grenadyera, pokiwał mu na nosie.

— Bratku — rzekł — dziś mi wieszujesz, a wczoraj co było? przychodzili tu na skargę, żeś żyda wybił.

— Bronilem się, księżu kanoniku dobrodzieju! na nieszczęśliwego kalekę wszyscy nastają! żyd niewiara... podniósł na mnie rękę, a ja nie mogłem wytrwać i odepchnąłem go tylko... tylko odepchnąłem.

— Jakże! kiedy był pobity...

— Sam się potłukł, aby mnie oszkalować...

— No! no! już ja ciebie znam! zawsze awantury... zawsze! jak to się jeszcze okaże, nigdy mi więcej na oczy nie przychodź!

Przez tłum musieliśmy się przeciskać idąc na mszę, a psy widząc, że się kierujemy w tę stronę, gdzie im nie było wolno, same się w ulicy pozostały.

Obchodziliśmy tedy formalne imieniny księdza Ginwiłła w pała-

cu, wszyscy postrojeni, obiad niedzielny, stare wino, sąsiadów kilku, piliśmy zdrowie pocziwego kanonika, a po obiedzie na herbatę zaprosił do swego ogródka. Nie byłby biedak i tój mógł dać porządnie, bo w domu niema nic prócz pary filiżanek, ale z pałacu przysłano wszystko i usługę; i tam-śmy się zabawili do wieczery.

Zdaje mi się, że z tego tysiąca niewiele już zostało, bo do wieczora dużo go rozszafował, a gdy po mieście poszedł odgłos, że kanonik ma pieniądze, nad wieczór już różni ludzie się zjawiali prosząc o pożyczanie, o zapomogi i tym podobnie. W taki dzień ksiądz nikomu nie odmawia, więc chodził a chodził do biurka i zawiązał w papierki.

Gdy się gości przebrało, zostałem ja, on i Doroszeńko tylko, a jeszcze nas trzymał, oglądając swoje prezenta, pokazując je, i trochę się niemi frasując. Fotel musiał przykryć starą serwetą i ułokował go w kącie za komodą, gdzie nikt na nim siedzieć nie będzie, brewiarz obwinał w ręcznik i zamknął do biurka, świętym Augustynem najwięcej się cieszył. I byłoby to trwało nie wiem jak długo, gdyby nie spojrział na zegarek.

— O! a pacierze, księżę proboszczu! — zawołał sam do siebie, ot to pięknie! idźcież sobie... idźcie... bobym o Panu Bogu zapomniał dla ludzi...

I począł się modlić.

29 sierpnia.

Dziś pani chorążyna wybrała się do Bundrysów z panną Jamuntówną i powróciła w najwyśmienitszym humorze, a choć nie mówi, znać marzy biedna o czémś. Nie mogła się nachwalić domu i ludzi, a wieczorem nawet czytania nie było, bośmy przegadali o tych odwiedzinach do dziesiątej. Wszystko się jej tam podobalo, nie tak, jak to tym panom, u biednej szlachty wszystko zewnętrznie chwala i wydają się z niem samą przesadą swojej admiracyi, ale dlatego, że chorążyna lubi co proste i swoje, a w duszy jest córką tój ziemi, i siostrą każdemu, kto do niej z sercem pocziwem przychodzi. Może téż nadzieje dla pana Aleksandra ożywiają ją jakieś, a że mało wyjeżdża i gdzie bywa, podróż ta maleńka wprawila ją w bardzo wesoły humor; przy jej wieku to młodzieńcze zajęcie i rozpromienienie nowym ją dla mnie otacza blaskiem. Dusza w niej tak świeża, że ją jeszcze bawi to, co zwykle młodych tylko zajmuje, piękny dzień, lasy, powietrze, wi-

doki i najmniejsza drobnostka. Życie nie znużyło ją i nie złamało, uśmiecha mu się jeszcze, jak w pierwszych dniach młodości.

Znać Bundrys uczuł dobrze grzeczność chorążynę, która mało gdzie bywa, i szacując staruszkę przyjmował ją po swojemu całym sercem, z gorączką gościnności i nadskakiwaniem nadwyzczajnym. Pani Osmólska, zanna Konstancya, dwór, życie, nawet położenie Romaszówki niezmiernie się podobały chorążynie; chwaliła wszystko.

— Co to za miły dom, jaki wygodny, jak znać zamożność i ład, a ta miła Kocia... jakież to dziewczę i prześliczne i przedobre! Aniołek, moi państwo... i wychowana, że nie może być lepiej, znać z każdego słowa — muzyczka, gra, śpiewa, czytuje widać wiele i dobrze, główka co się zowie, mało takich widziałam... prawda? Olesiu? zagadnęła syna.

Pan Aleksander stanął, uśmiechnął się jakoś i odpowiedział:

— Bundrysa szacuję bardzo, choć trochę dziwak... ale człowiek uczciwy i serce najlepsze... panna Konstancya niema co mówić... śliczne dziecię...

— Ależ to już nie dziecię — zawołała chorążyna — lat siedemnaście, panna w tym wieku już dorosła... a ona prawdziwie na swój wiek dziwnie wykształcona i rozsądna..

— Trzpiocik!... — rzekł pan młodszy.

— Cóż znowu! chciałżeś, żeby była sensatką nad wiek... a niech Bóg broni... to właśnie dobrze, że wesola...

— Ja też nie przeciw temu nie mam — odparł syn.

— I ta pani Osmólska bardzo jakaś godna osoba... — dorzuciła chorążyna — ona się słyszę zajmowała wychowaniem Koci.

— Tak jest — przerwała panna Jamuntówna, która już wie wszystko, nawet co jada, a czego nie jada panna Konstancya, i jakie lubi kolory. — Pani Osmólska z pomocą guwernantki zajmowała się po śmierci nieboszczki Bundrysovej sierotką, bo ojciec najemnej Francuzce powierzył jęj całkiem nie chciał.

— I miał słusznosc — zawołała chorążyna — ci to Francuzi narobili nam cudzoziemców w kraju, niedorzecznych mód, nauczyli bałwochwalstwa dla Zachodu, i popsuwszy młodzież, zatruli przyzłość.

— Ale słyszę — dodała panna Jamuntówna — Kostusię później na lat dwa oddawał do Wilna do wizytek, i tam już dokończyła wychowanie...

— Już jak nie dom, to cóż może być lepszego dla kobiety nad wychowanie klasztorne?...

— I niedawno powróciła?

— A przyznam się wam — dodała chorążyna — że na nięj kla-

sztoru nie znać, takie to wesołe, swobodne, takie w miarę śmiałe i śliczne dziecko. Może powiedzieć, że mnie za serce schwyciła.

— A! pani dobrodziejko — odważył się z kątką odezwać Hończarewski, który nigdy nie gada — co to dziwnego, że jw. pani kogo pokocha... złote jój serce dla wszystkich stoi otworem, nawet dla tych często, co nie są go warci!...

Ażeby zrozumieć, jakie to powiedzenie biednego Hończarewskiego miało znaczenie, potrzeba go znać i pamiętać, że nigdy się nie odzywa, a słowo, które mu się z ust wyrwało, nie było wcale pochlebstwem, ale wyrazem najgłębszego uczucia.

— Mój kochany Hończaresiu — uśmiechnęła się poruszona chorażyna — że też ci się zebrało na dworactwo... a po co mi ty to gadasz?...

— Bo czuję — odparł z ukłonem zmieszany Hończarewski, a myśmy wszyscy z tego poruszenia jego, które go wywiodło z osłupiałości, uśmiechnąć się musieli.

Na chwilę przerwało to rozmowę ogółu, pan Aleksander przyszedł i w milczeniu ścisnął rękę starego, który cały drżał ze wzruszenia... Chorażyna usiłowała zagadać, ale widziałem, że ją ten afekt obłąkanego i skostniałego w dziwaństwie człowieka, jakoś mocno przejął; choraży spojrział na żonę i na Hończarewskiego i węzełek na chusrcie zawiązał; proboszcz przysunął się do niego i w twarz go pocałował.

— Otóż to, tak gadaj — rzekł — Apokalipsy nie tłómacz... a będzie dobrze!...

Lecz mogęż ja spisać i wytłómaczyć się przed sobą z tego, co tutaj widzę? trudno mi wprost przerzucenemu z pośrodku pospolitych ludzi podnieść się do pojęcia i ocenienia tego kółka zaczarowanego, w które mnie rzucił los szczęśliwy. Ale taka jest ich siła, że i mnie biednego potrafili dźwignąć do zrozumienia i pocucia siebie... Przy nich rozumiem już lepiej i potęgę daleko większą, ale tegoż rodzaju, apostołów i błogosławionych, za którymi szły rzesze i nawracali się zakamieniali grzesznicy. W miłości tej jest siła niezwykła, jest coś potężnego i nieprzemожonego jak śmierć, duch słaby nawraca się pościagniony nią, duch zły uciekać musi. Tak światy w przestrzeniach ciągną za sobą inne światy, a tu na ziemi jedna tylko miłość zwycięża, chwytą, porywa... Czuję w mojej duszy, jakby z niej spadała jakaś łupina sucha, jakbym się odradzał codzien jawniej, wyraźniej poznając prawdę przez czyn...

Tu nikt nigdy nie naucza i nie każe słowem, nie karci i nie odpycha, ale codzien żywy czyn w życie wprowadza jakąś wielką prawdę, i patrząc na tych ludzi, czytasz ewangelię. Nawet ich ułomności, ich słabości ludzkie dodają im uroku, bo z niemi wal-

czą, bo niełatwo przychodzi podnieść się tak wysoko, a jednak trwają na wyżynie. Patrzą na ludzi, co ich otaczają, i niemal widzą, jak pod wrażeniem dobra roztopiają się, miękną, bieleją, rozjaśniają. Wybuch jakiejś namiętności, próżności, nienawiści, uśmierza się i gaśnie, bo go tu nic nie podsycza w tej atmosferze pogodnej, chrześcijańskiej. Przez dwór i sługi, duch ożywezy płynie dalej, rozlewa się i nieraz w chatce znajdują ślad jego działania, bo na świecie wszystko jest zaraźliwe: szerzy się zgnilizna, ale silniej jeszcze prawda i dobro. Teraz wiem, że z wiarą i miłością wszystkiego by dokazać można, czegoby człowiek zapragnął, i niedarmo ksiądz Ginwiłł nieustannie powtarza te słowa świętego Pawła, których się, dla ich piękności, na pamięć od niego wyuczyłem:

„Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest; miłość nie zajrzy (nie zazdrości), złości nie wyrządza, nie nadyma się.“

„Nie jest czci pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewu, nie myśli złego.“

„Nie raduje się z niesprawiedliwości, ale się weseli z prawdy.“

„Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko wytrwa!“

(*Do Koryntyan XIII. 4 — 7.*)

29 sierpnia.

W tych dniach mowa tylko o Bundrysach i oczekiwaniu przybycia panny Konstancyi, która się z ojcem i panią Osmólską obiecała; uważam, że chorążyna rozmowę o niej zawsze przy panu Aleksandrze zaczyna, ale nadaremnie, gdyż on chłodno jakoś o nich mówi, i nadzieje zrazu powzięte, że go nieco zajęła, pełzną powoli. Pani, w miarę jak je traci, smutnieje i zasepia się widocznie, dla nas tylko rozjaśniając twarz tym uśmiechem pełnym słodyczy, która na jej ustach coś ma w sobie świętego, bo w nim i rezygnacya chrześcijańska i skryta boleść i ofiara i spokój ducha i całe życie cnotliwe się widzi.

Wezoraj po obiedzie kazała mi się pozostać, sama usiadła do krosienek i zapytała mnie:

— Nie masz tam jakiej roboty, mój Jasiu?... nie?

— Pilnej, żadnej.

— Posiedź-że ze mną jaki kwadrans, póki Jamuntówna nie przyjdzie mnie zabrać na górę do tych gruszek, które tam suszą.

Trzeba bowiem wiedzieć, że ta wielka pani, mająca się kim wyreczyć aż do zbytku, wszystkiem się sama zajmuje i pojęła, że praca dobrodziejstwem jest i lekarstwem: dom ją obchodzi, sama rozrządza stołem, spiżarnią; wszakże płótno dla mnie na koszule wybierała i krajała je swemi świętymi rękoma.

Ma się rozumieć, że z chęcią został i usiadłem na miejscu wskazanem przy krosienkach.

— Nie miałaś — spytała — wiadomości od rodziców?

— Nie wiem, co to jest, ale posłaniec dotąd nie wraca.

— Zwyczajnie posłaniec, będzie się włókił, a potem każe ci zapłacić więcej, biedaczysko jakieś, chce mu się nieborakowi więcej zarobić; nie turbuj się, moje dziecko. A może mu koń zasłabł, albo go rodzice wstrzymali.

Milczałem.

— Ty często bywasz z Olesiem, on ciebie lubi... nie gadał ci co temi czasy o Bundrysach?

— Nie, pani... mnie się nawet zdaje — dodałem — że może pani zrazu trochę zawczesną zrobiono nadzieję, że się panna Konstancya podobała naszemu panu... ja tam tak dalece nic nie uważałem.

— Być może, mój Jasiu — odpowiedziała — ja już przywykłam do tego rodzaju zawodów. — I westchnęła staruszka. — Szkoda! szkoda! patrz, proszę cię: Bóg wszystko dał nam, nie żałę się na los, boć opływamy i codzień za łaski Opatrzności dziękuję... jednej przyszłości rodzinie naszej poskapiono. A wołałabym — dodała — wołałabym może inną, wielką jaką ofiarę... byle szczęście Olesia było zapewnione; ale nie nam to sobia dołą wybierać... nie nam... niech będzie wola Jego błogosławioną! Na co się nam to wszystko zdało, bogactwo, pałace, dostatki, i ci poczciwi przyjaciele, co nas otaczają, gdy tego nie będzie komu powierzyć, gdy uchowaj Boże naszej śmierci, powoli wszystko się w proch rozsypie. Ale jestże co stałego na tej ziemi? godziż się nam Boga prosić i wymodlać u niego i to błogosławieństwo?!

— O pani — rzekłem — któż więcej u Boga wysłużył sobie, jak wy, komużby się słuszniej należało!

— Nie mów tego, mój panie Janie, nie mów — przerwała mi wdychając — wszyscy grzeszni w Jego oczach, w oczach Tego, przed którym jednodniowa dziecina czystą nie jest... któż z nas tam powiedzieby śmiały, że lepszym jest od drugiego! Bóg ważyć będzie nie gołe uczynki, ale możność i dary swoje, i to cośmy byli powinni, i to co uczynili... niejeden zbrodniarz ślepy i ślepotą naprowadzony na występki, czystsiejzym się tam okaże, niż ci, co nie popełnili grzechu

wielkiego, ale minęli po drodze cnoty, które spełnić byli obowiązani. I zamilkła na chwilę chorążyna.

— Otóż to tak — dodała — mój panie Janie, zdaleka życie nie-raz wygląda Jasno i pogodnie, jak owoc, który się rumieni na gałęzi, ale wzięwszy do ręki, postrzeżesz, że go robak potoczył... Każdy ma swoje krzyże i cicho w pokorze znosić je powinien, jeśli chce jakiegś z nich zasługi.

— Ale czy ci się nie przywidziało tylko — dodała po chwili — bo mi wszyscy mówili, że Oleś bardzo był ożywiony.

— A! bo wszyscy pragną dla państwa, czegobyście tylko mogli życzyć sami, i ludzą się...

— A ty, statysto — dodała śmiejąc się — patrzajcie go! lepiej już widzisz od drugih...

Zawstydzilem się, a rumieniec, który mi te słowa na twarz wywołały, przykrość zrobił pani chorążynie; zdało się jej, że muie słowa te zabolaly.

— O! mój Jasiu, nie urażaj się — zawołała.

— Ja, pani... ja-m się tylko zawstydził... bo może doprawdy zbyt znów śmiało sobie sądzić pozwalam...

— Nie, tylko twoje pocziwe przywiązanie w inną cię stronę po-ciąga; chcesz go dowieść, bojąc się nas ludzi... moje serce... At! co Bóg da, to da! Ale jakżeś ten dom znalazł, bo to ty, choć młodzie-niaszek, jak Oleś powiada, masz dosyć trafny sąd o ludziach...

Zaczerwiłem się znowu słysząc tak pochlebne zdanie.

— A! jaka z ciebie Krzysia! — rozśmiała się chorążyna, widząc raka, którego upiekłem.

— Sam pan sędzia bardzo godny i miły człowiek, gdyby nie te śmieszne jego uprzedzenia i żarciki z arystokracji, a przypisywanie jej każdemu, kto porządniej się ubierze...

— Zapewne, że to niedobra rzecz, tak potępiać cały stan — od-powiedziała chorążyna — boć słusznym taki sąd być nie może, ale, moje serce... jakże go nie uniewinnić trochę, kiedy, pozał się Boże, nie powiem żebyśmy się poprawili! Nie widzę tego, grzeszni jesteśmy, a właśnie na nas Bóg najwięcej włożył obowiązków, z których, jak przyjdzie do obrachunku, mało spełnionych... Ale co to tam, to w nim tylko śmieszności, a że ją nieustannie mu przypominają i pod-żegają go, więc się zмага i powtarza swoje... gdyby na to nie uwa-żano, dałby pokój. Ja mu tego za złe nie mam. Alboż to nasi pa-nowie, bo i tacy, co się do nich liczyć nie mogą, nie śmieją się ze szlachty, nie przezywają ich... nie drwią? I to złe, i to złe... jednęj matki dzieci, jednęj ziemi synowie siejemy nienawiść występna... aleś-my słabi... kto to tam wie, może Bóg tak chciał, żeby jedni drugih pilnując popsuć się im do reszty nie dali.

— No, a panna Konstancya? — spytała — prawda ślicznotka?

— Niezawodnie, że nikt jej tu nie zrówna...

— A panię Osmólską poznałeś?

— Trochę z nią mówiłem...

— Prawda, osoba rozsądna?... ale cóż mówisz o niej?

— Otóż to, że nie powiedziéć nie mogę... bom nie miał czasu się zbliżyć, postrzegłem tylko, że z nadzwyczajną troskliwością, oczy jej nie schodziły z panny Konstancyi...

— Kocha ją... tak! któżby to, tego dziecka nie kochał! Ale powiedz mi, co to jest, że oni nie przyjeżdżają, obiecali być.

— Wszak pierwszą razą mówił głośno pan Bundrys, że córki tu nie przywozi, ażeby w pałacach nie zasmakowała, i śpótém w Romaszówce nie tęskniła za niemi.

— Co? co? mówił to — spytała chorążyna — słyszałeś?

— Słyszałem...

— Ale nam dał słowo... cóż znowu! dziecku się głowa nie zawróci od kawałka muru i trochy starych rupieci... czyż to w tém szczęście... daj memu Olesiowi żonę, a mnie wnuki, pójdę mieszkać w chacie!... — dodała.

Wtém weszła panna Jamuntówna z kluczami, widocznie zdziwiona, że mnie zastała na rozmowie z chorążyną, starszuszka wstała, a ja wybiegłem do ogrodu...

Tu wszystko z sobą w dziwnej harmonii, ludzie, mury, drzewa... zdaje się, że osoby i tło, na których występują, najgłówniejszy tworzył artysta... gdzieindziej zda się postacie te takby majestatycznie się nie wydawały, takby nie żeniły się z naturą. Okolica otaczająca smutna, tęsknotą przesiąknięta, ale pełna powagi, bory ogromne, sosny i jodły niebotyczne... jeziora jasne, rzeki szerokie... a krajobraz choć płaski, jednak rozległy... Miejscami te ławy żółtych piasków, od których promienie słoneczne z taką się odbijają siłą, dodają surowości pejzażowi, a rozsiane na nich czarne, jałowcowe krzaki, mają coś w sobie cmentarzowego. Ogród pałacowy prześliczny, drzewa w nim tak ogromne, jak w Białowieskiej puszczy... Szpalery po kilka tysięcy kroków długie, tarasy, kondygnacje, figury kamienne, sadzawki wielkie jak stawy... cały las... Gdyby tak ojcu, który siedzi na kilku zagonach, tylko to, co tu pustuje... jaki-by był pan z niego! Ależ na świecie i to potrzebne... Czuję, przechadzając się nieraz wśród tych drzew, że co tylko człowiek zrobił na ziemi z myślą o piękności, dla dogodzenia jakiejś nieokreślonej potrzeby duszy, zawsze ma w sobie coś pobudzającego do uczucia szlachetniejszego, do poważniejszej myśli. Na gruzach jakiego młyna lub fabryki, na rumowisku karczmy lub gorzelni, nie przyjdzie ci myśl żadna, chyba ta, że głupi był, co się temu dał zwalić; tu, bodaj w tym ogrodzie,

kilka grubych pni w rząd stojących, już ci coś powiedzą, jakimś pocziwym smutkiem duszę napelnia... szepną ci pragnienie modlitwy...

Ogród ten, jak dziś się podniósł, jest monumentem, i ten, co go zakreślał, pierwiastkowo nie marzył może, by z niego taki gmach zielony wyrósł kiedyś. W iluż to ogrodach, pozakładanych dla oka... sieją dziś brukiew i sadzą kapustę wypalivszy drzewa... w S... sam coś podobnego widziałem. Tu wszystko się ostało całe, pielęgowane i szczęśliwym trafem, myśl zieleni się w pełni, co roku rozrastając się bujniej. Ja w tej symetrii, na którą wszyscy dziś krzyczą, nie widzę grzechu wielkiego: zapewne las piękny, ale te fantastyczne zielone korytarze, altany, pomniki, te wschody kamienne, te regularne kształty, mają w sobie coś uroczystego. Dzika natura jest malownicza, ogród taki ma coś pomnikowego... śmieszna to może architektura z liści, ale nie bez charakteru...

30 sierpnia.

Odebrałem list od rodziców, i cały żyję tęp przypomnieniem domu, wszystko mi z oczów znikło, krom tych dwojga głów siwych tam na zagonie pochyłonych... Zdaje mi się, że ich widzę wzdychających ku mnie, i wieczór nad ubogą wieczerzą zapytujących jedno drugiego: — Co też tam nasz Jaś porabia? — Noszę na piersiach ten kawałek siwego papieru oddarty od jakiejś książki, na której ojciec i burę i dobre słowo mi za te pieniądze nakreślił ręką drżąca, zapowiadając, że ich dla siebie nie użyje i zakazując mi nadal wszelkich tego rodzaju przesyłek. Rozpytywałem posłańca, który mi musiał zdać szczegółową sprawę o wszystkiém, jak oni tam wyglądają, jak go przyjęli, co mówili... jak się tam o mnie dopytywali, czy ojciec siejbę dokończył, czy matka płakała bardzo odebrawszy mój list, co mi Andzia kazała powiedzieć? Ale obcy człowiek zbywał mnie ni tęp ni owém, muszę odgadnąć, bym wiedział, i to życie tak proste najłatwiej się daje, bo dość przypomnieć dzień jeden, ażeby domyśleć się reszty...

To zestawienie dwóch rodzajów życia dawnego mojego i dzisiejszego, przestrasza mnie wielką różnicą; obawiam się, żebym nadto od ubóstwa nie odwykł, zbyt się do miękkości i dostatku nie przyzwyczaił. Położenie moje niepewne, nie nie zaręcza za jutro, któż wie, jak mi będzie, gdy znowu na zagon, do chaty i pracy ręcznej przyjdzie powrócić, po tym spokoju i ciszy, po tych rozkoszach, w których tylko myślą i sercem pracowałem?... Trzeba być gotowym na wszystko i nie zmięknąć wśród przypadkowych pieszczot losu. Dostatek rozprzęga człowieka i wyprowadza go z troski codziennj do kraju marzeń, w którym mu długo mieszkać nie wolno...

Nie lepiejżeby mi było ciężej zaczynać, młodość w pocie czoła strawić, a na starość zarobić sobie trochę spoczynku, naówczas potrzebniejszego niż dzisiaj? sam to czuję i obawa jakaś mnie przejmuje: serce już przylgnęło do tego łatwego i wygodnego życia bez troski. Pojmuję, że słabsi ludzie, którym los daje na lat kilka taką gratkę, potem spodlić się mogą, aby się przy niej utrzymać. Wszystko to niepokoi mnie, chciałbym wziąć się do pracy surowszej, żeby nie ocieżyć i nie rozmarzyć się wśród tego rajy...

Tu taka cisza, spokój taki, tak mało walki, życie tak łatwo i mile upływa, jak w ciszy przed burzą... Słucham, patrzę, rychło-li się niebo pochmurzy i nawałnica zawarezy. Tymczasem myślą tylko pracować mogę, i siedzę w bibliotece, której każda książka dowodzi mi, że nie nie umiem. Ale wiedza ludzka, to las ogromny, przez który tysiące ścieżek się wiję, co wybrać? sam nie wiem... wszystkiego pochłonać nie można, a wszystko tak wiąże się z sobą, tak łączy, że jednego bez drugiego zrozumieć i opanować nie można...

Błąkam się i boleję.

Właśnie gdym tak rozpamiętywał, chwytając i rzucając książki w jakiś usposobieniu gorączkowym i drażniącym, pan Aleksander wszedł do biblioteki; spojrzął na mnie i znać byстрыm wzrokiem z twarzy mojej przeczytał, co się w duszy działo.

— Cóż tu porabiasz? — zapytał — zacząłeś co? jak myślisz?...

— Kierunku potrzebuję — rzekłem — i sam nie wiem do czego się zwrócić... nie zbywa mi na ochocie, mam wolę, która wyrobi wytrwałość, ale nie umiem się obrócić i nie czuję powołania wyłącznie tego... a tu go potrzeba koniecznie.

— Przecież — rzekł — jedno cię więcej pociąga, niż drugie?

— Literatura, poezya, historia... — rzekłem — ale do czegoż to prowadzi?

— Wszystko do czegoś prowadzi — odpowiedział — tylko nie bez pracy i nie bez walki, wszędzie wyrobienie sobie stanowiska nie łatwe, własnego poglądu bardzo nawet trudne, a bez niego cóż znaczy człowiek, który powtarza za panią matką pacierz? Na początek, radę ci tylko pracę, niemal trafem możesz wpaść na przedmiot, który cię pochwyci i któremu się oddasz... Umysł masz żywy, pojęcie łatwe, bądź surowym dla siebie, nie uwodź się lada błyskawicą, która przez głowę przeleci. Ucz się języków, doskonał to, co umiesz, bądź dla siebie nauczycielem surowym... a dojdiesz do czegoś.

Posłuchałem go i wziąłem się do przechodzenia nanowo tego, co w szkołach i liceum słuchałem, wybrałem książki; nauczyłem mnie, jak mam jedne drugimi sprawdzać, jak zapobiegać, aby nie uleźć przewadze talentu wystawiającego rzecz jednostronnie... Ale samemu

mi trudno, nieustannie rozdawać się, pilnować, stać muszę na straży, abym fałszywą drogą nie poszedł.

A tymczasem wśród nauki, przeniesiony w inne światy, widzę przed oczyma duszy siwego ojca, schyłonego nad zagonem, matkę wdychającą do spoczynku, siostrę wędną na wiejskiej ławie i serce tam mnie woła... Czy nie lepiejby było powrócić pod ten dach słomiany, podzielić się ich razowym chlebem i spełnić święty obowiązek?

Dobrze ksiądz Ginwiłł powiada, że Bóg nie spyta człowieka przy rachunku życia, co umiał, ale co uczynił?

Ja nic nie umiem, i nic nie zrobiłem jeszcze.

Życie jest strasznym zadaniem.

Może się zbyt lekko i niepokoje, ale nie jestem w zgodzie z sumieniem, a gdy jutro przyjdzie z wichrem i burzą, kaleka na umyśle, jak ten grenadyer proboszcza, nie potrafię im podoleć, i za zebrawiną o kiju wyjść mi będzie potrzeba!...

Jutro! straszne nieznane jutro!

1 września.

Nareszcie doczekaliśmy się Bundrysów; pani Osmólska, sędzia i Kostusia przyjechali wczoraj po obiedzie; chorążyna wybiegła naprzeciw nich aż do sieni i uściskała dziewczátko, które zdawało się pomieszczone wrażeniem tego państwa, gmachów, murów, staroświeckiego zbytku i powagą domu. Oczy jej biegały po ludziach, po przedmiotach i zdawały się chcieć odgadnąć znaczenie ich, przeszłość... charakter... Wyszedł i pan chorąży, którego twarz smutna a pociągająca zasępiła na chwilę lice dziewczynie, bo się w nim wszystko jak w zwierciadle odbija. Chorążyna, panna Jamuntówna, Krzysia starały się ją rozbawić, co zresztą nie trudno w Borowej, gdzie tyle jest do widzenia, a dla niej tyle być musiało nowego.

Matka za każdym drzwi otwarciem, spoglądała niespokojnie oczekując pana Aleksandra, posyłała po niego, chcąc sama widzieć i sądzić, jak przywita pannę Konstancję i jak będą z sobą... on nie przychodził i dopiero w pół godziny nadbiegł z ogrodu, gdzie go ledwo wyszukano. Ale tak był swobodny, a tak chłodny, że nie wiem, czy co chorążyna wyczytała w jego obejściu pocieszającego; bawił szczególnie sędziego i nim się zajmował. Kilka razy ich zbliżano do siebie, zawiązywano rozmowę, ale stary Bundrys przeszkadzał... Humor miał jakiś niedobry, i jak chorążyna na syna, on wciąż na córkę patrzył, starając się wyczytać z jej twarzy, co myśli, jakie to na niej robi wrażenie, zasępił się jej wesołością, martwił się zdawałbytniem rozzywnieniem, które wzrokiem surowszym wstrzymywał.

Temu ojca ostrożnemu jakiemuś kierowaniu córką przypisać może potrzeba, że panna Konstancya, która kilka razy swobodnie puściła cugle wesołości dziecięcej prawie, wstrzymywała się później widocznie i poważniała, owiana chłodnym wejrzeniem Bundrysa.

Chorażyna próżno starała się Kocię i panią Osmólską oddzielić od sędziego, on nie ustępował kroku. Stary pan choraży wyszedł nawet trochę ze swojego milczenia, kilka razy zbliżył się do dziewczęcia, i przemówił jak umiał najśłodziej, jak mógł najweseliej.

Ku końcowi tych trochę ceremonialnych odwiedzin, pan Aleksander usiadł przy panience, i na twarzy chorażynnej rumieniec się pokazał; odwróciła głowę bojąc się spłoszyć spojrzeniem syna... ale rozmowa niedługo trwała, bo Bundrys wstał ze swego miejsca i wmiszał się do niej zaraz, dosyć znów kwaśny i jakos pochmurzony.

Chorażyna westchnęła tylko i spuściła głowę z pokorą, jakby się gotowała do wyrzeczenia nadziei... któremi się trochę ludziła.

Wyjechali przed wieczera, choć ich jak najmocniej zapraszano i z twarzy panny, a nawet i pani Osmólskiej widać było, że chętnieby się zostały; nielitościwy Bundrys nie dał się zatrzymać, pod rozmaitemi pozorami przyśpieszając powrót do Romaszówki. Szlachcic coś widać przewąchał, czy przeczuwa, i nie widać, żeby mu to smakowało.

Jeszcześmy wszyscy byli zajęci odwiedzinami, na które czekano od dni kilku, gdy chorażyna listy jakieś z poczty odebrała, widocznie niepokojące, a że tu tajemnic niema, dowiedzieliśmy się, że jakaś krewna Jamuntów z wielkiego świata obiecuje tu swoje przybycie, a nawet zabawić ma czas jakiś. Kto to taki, jeszcze nie wiem, widzę tylko z szeptów i twarzy, że to przybycie zatrważy niemal wszystkich.

— Cóż my tu z nią robić będziemy? — odezwał się pan choraży — po co?... nie pojmuję...

— Znudzi się i pojedzie... — odparł pan Aleksander.

— Ale jak ją tu zabawić? jak przyjąć? — szepnęła chorażyna — jużciż sama gościnność wymaga...

— Przyjmijem, jak umiemy... zresztą... wątpię, żeby tu wytrzymała długo... — dodał syn.

Ksiądz kanonik, wezwany do rady, kiwał głową i mówił coś żywo; rozeszliśmy się z pokojów, wszyscy zaciekawieni, i jak państwo niespokojni.

3 września.

Teraz już dowiedzieliśmy się, kto jest ta pani, której przyjazd tak biedną chorażynę kłopotce. Doroszeńko wie o niej dobrze, przez

jednego ze swoich krewnych bawiącego w Warszawie, — i także ramionami rusza, nie pojmując, co ona tu z nami robić będzie. Proboszcz seryo zafrasowany, cały dwór w kłopotcie, państwo nawet spochmurnieli.

Ma ona znaczne dobra w okolicy, które potrzebowała odwiedzić, a że w nich mieszkania żadnego, pani zaś do wielkich zbytków przywykła, bez ceremonii oznajmiła, że czas, który ma spędzić na wsi dla interesów, w Borowej przemieszka. Nagotowano jej apartament na dole najpiękniejszy, a teraz ciągle tam krzątają się, żeby na jej przyjazd odświeżyć go i jak najwygodniejszym uczynić. Z półsłówek uważam, że jej przybycie strachem wszystkich napełnia. Doroszeńko powiada, że to kobieta bardzo jeszcze młoda, ale wielkiego doświadczenia; pochodzenie jej mgłą jakąś okryte, a pokrewieństwo z Jamuntami urojone, na tém się tylko opiera, że pierwszy jej mąż, z którym się rozwiódła, był jakimś koligatem, cioteczno-stryjecznowujeczno-babeczno i bajeczno-, a nie rodzonym samego pana, a coś podobnie samój pani.

Pani hrabina Bulska (Doroszeńko na tytuł ten ramionami rusza dziwnie jakoś) wyszła naprzód bardzo młodą dziewczką za podszłego już magnata, który się pokochał w jej piękności, ma bowiem być dziś jeszcze ideałem wdzięku, ale nie żyła z nim długo i rozwiódła się wkrótce; podróżowała potem wiele, miała mnóstwo wielbiocieli, którzy za nią jeździli, bili się, kochali, aż póki jeden z nich, pan Bulski, galicyanin, za wszystkich, powiada Doroszeńko, nie zapłacił ożenieniem. Nikt nie zna tego Bulskiego, wybranym być miał, że bogaty i dobroduszny człowiek, którym ta pani spodziewała się kierować, jak chciała; i ten ją przecie porzucił, odumarł, czy rozwiódł się z nią, nie wiadomo z pewnością; hrabina została przy tytule, majątku utargowanym na dwóch mężach, z małą córeczką i teraz sama się po świecie kieruje. Z tego, co słyhać, jest to jakaś dziwna istota, chłodna, gdzie o nią chodzi, oszczędna, rzadna, ale nie dbająca o opinią i dokazująca, co się jej podoba z śmiałością do bezwstydu dochodząca. Poczwarne rzeczy mówią o niej, choć tu im nie wierzą i nie sądzą, żeby to prawda być mogła, bo sobie kobiety takiej wystawić nie umiem. Na męzczyznye byłoby to za śmiało i za wiele, gdyby połowa tych przygód tylko miała być istotną — cóż dopiero na kobietę...

Dobra jej, w których jeszcze ani razu nie była, ale się w nich bardzo umiejętnie rządzi sama, leżą niedaleko Borowej; słyhać, że albo je sprzeda, albo dokupić-by do nich chciała, bo świeżo wzięła spadek jakiś niespodziewany, a niezmiernie ma być praktyczna i umie sobie w tém dać rady, wcale nie po kobiecemu. Życie jej od zamażpójścia w znacznej części upłynęło za granicą i po miastach,

na wsi nie mieszkała nigdy dłużej. Cudzoziemka i wielkiego świata pani, jak się z nami pogodzi, nie rozumiem, choć podobno w potrzebie, wszystko, co chce, zrobić z siebie potrafi.

Chorażyna modli się i ręce składa, radzi wszystkim, a pociechu Pana Boga prosi, żeby tego ciężkiego gościa od nas odwrócić raczył, bo nam życie zatruje.

— Państwo bo nadto dobrzy jesteście — rzekł wczoraj ksiądz Ginwił bez ceremonii — no! no! odmówić domu nie wypada, nie sądzmy, abyśmy nie byli sądzeni, co tam za jedna, nie wchodzę... ale do zbytku dogadzać jej nie potrzeba, do czego? na có? Jak się tu żyje, niech nasze życie przyjmuje i kwita, a nie do smaku, z Panem Bogiem. Nie zważać na te tam przywyknienia ich, nie dogadzać... to sobie pojedzie, zakręciwszy ogonem i nas w pokoju zostawi, co daj Boże... A gryźć się tём, a niepokoić, a trapić, tfu! nie godzi się! a cóż to mi znowu za królowa?

7 września.

Od kilku dni cały dom do góry nogami przewrócony, tak, że moje notatki ucierpiały na tём, bom nawet wolnego nie miał wieczora, żeby się przed sobą wypowiedzieć.

Jeszcześmy się byli z tą myślą przybycia pani Bulskiej nie oswoili, i myśleliśmy, że nas może minie grożący nam najazd, gdy jednego ranka, we środe, podróżna karetka najętym żydem, mocno opakowana, z jednym lokajem i służącą, zatoczyła się przed ganek, i przepyszny kamerdyner hrabinej zażądał pokojów dla pani...

Trudno sobie wyobrazić, jaki się stał popłoch, bośmy tu nie przywykli wcale do takich odwiedzin, a gość zwyczajnie ubrany i uśmiechnięty, odrazu do salonu wchodzi; lokaje pokazali pokoje, trzeba było wyjść komuś, ale nikt nie chciał. Panna Jamuntówna za nic się nie ofiarowała, kapitan Zbrzeski niby marszałek dworu pojechał był na rybę, pan Aleksander na polowanie, dosyć że jak zaczęli jeden do drugiego się odwoływać, sama chorażyna nareszcie powlokła się, choć ze trzy razy przeżegnawszy na tę wyprawę.

Nie zabawiła długo i wyszła w lepszym daleko humorze, niż się spodziewano, mówiąc pannie Jamuntównie, że mniej straszny dyabeł, niż go malują. Nim zabębnili na obiad, wszyscy się przez ciekawość ścigać zaczęli, i w chwili, gdy pani Bulska weszła do salonu, jużemy w nim byli w komplecie prócz chorażego.

Tak dziwnie pięknej kobiety nie widziałem jeszcze, i choć mi się panna Krystyna wydała śliczną po naszęj Andzi, a po niej niezrównanie wdzięczną panną Konstancyą, wszystkieby pogasły przy tём zjawisku, na które ja przynajmniej patrzałem w zupełnem osłupie-

niu, a sądzę, że nie mniejsze i na reszcie naszego dworu zrobiła wrażenie.

Weszła na salon, jak królowa, śmiało, z góry poglądając na wszystko, wesółą, jaśniejącą, a na podziw młodą i świeżą, kobieta dosyć słusznego wzrostu, ciemnych włosów i czarnych oczów, biała jak alabaster, zarumieniona tylko trochę podróżą... Ruch jej każdy, wejrzenie, słowo, osobliwszego uroku, i gdyby nie przesadna trochę śmiałość i jakaś duma, nie pojmuję, jakby się oprzeć jej było można, choćby kazała w wodę lub ogień skoczyć. Spojrzała na nas mimochodem, ledwie głową kiwnąwszy, pobięła do chorążynnej żywo, uśmiechając się, wdzięcząc i zasiadła przy niej na kanapie. Ale jak usiadła! u nas tak ludzie siedzieć nie umieją: upadła, położyła się, przegięła, nie wiem, cudem jakimś czy rachubą tak się nam pokazując, aby odrazu wszystkie jej wdzięki ocenić, obejrzeć było można, kibić, rękę, nogę, popiersie, twarz, niesłychanej piękności warkocz, malutkie ucho i przeslicznego toku szyję.

Ubranie jej było świetne, całe w błyskotkach, mieniących się jakichś barwach, nieznanym nam drobnostkach, ale z takim dobranym smakiem, taką składającą całość, jakby nad niem malarz pracował. Nic nie zaniedbała, i nie dziwić się, że kilka godzin ubierała, bo też tak ustroić się nie łatwo.

Od stóp do głowy, wszystko, co miała na sobie, niesłychanie wykwintne i z jakąś niepojętą sztuką zrobione, jakby się w tém urodziła... Twarz przypadała do sukni, reszta ubrania do twarzy... Zapatrzyliśmy się na nią jak w tęczę, i ja zrozumiałem przez nią cały świat jakiś niezajomy mi, który ona przedstawiała... Chorążyna, nasze kobiety, dziwnie się przy niej skromnie, wieśniaczo wydały.

Nie a nie nie zmieszana tyła obcemi twarzami i ludźmi, wejrzeniami, które na nią skierowane były, poczęła rozmowę urywaną, prędką, zręczną, wesółą, a tak jakoś trafnie zastosowaną, że odrazu pani chorążyni ułatwiła ją, i sama już później prowadziła, jak dobry woźnica powóz po szerokiej drodze, mijając, co minąć było potrzeba, wybierając gładzsze miejsca, skręcając, przyspieszając, zwalniając jak się jej podobało. Wśród tego szczebiotania nic jej oka nie uszło, obejrzała nas wszystkich, pokoje, meble, poodgadywała, zdaje się, nazwiska, domyśliła się obyczajów i w kwadrans była panią w salonie, tak, że gdy chorąży wszedł, nie on ją, ale ona jego niby u siebie przyjmowała. Stary mileząco przywitał kuzynkę, popatrzał, przemówił kilka słów, i począł chodzić po salonie ręce w kieszenie powkładawszy, z rezygnacją przyjmując tego niepotrzebnego przybysza. Ona nie spuściła go z oka, mówiła z chorążyną, ale go badała, przyjmowała, odgadywała widać i uczyła się z każdego ruchu, z każ-

dego marszczka twarzy, która powlokła się marmurową obojętnością. Zdaje się, że mimo usiłowania, żadnego na starcu nie zrobiła wrażenia; znosi ją, ale nie lubi, gdy już wszyscy oplątani, zwyciężeni, upadli jej pod nogi.

Pan Aleksander, który się przypóźnił, został przez nią przywitany po męsku podaniem ręki, co ja pierwszy raz w życiu widziałem, i zaraz się nim nadzwyczaj zajęła, całkiem prawie obracając do niego. Widziałem, jak go z kolei wzięła na egzamin, jak po dwóch czy trzech odpowiedziach, już wiedziała, z jakiego tonu do niego się odzywać, jak przy obiedzie uprzedzała słowa i kończyła za niego, gdy się odezwał, cudownie przewidując, co ma powiedzieć.

Gdyby szatan mógł się ubrać po kobiecemu, nie inaczej-by wyglądał.

Dziwnie bystra i przewidująca, czy z taką szaloną znajomością ludzi i świata już jest tu jak w domu, i nas wszystkich wie, przebiła na wylot wzrokiem, poodgadywała. A tak przytém grzeczną, umiejącą się przymilić, pochwycić, że choć nawpół szydersko przemówi, choć w szczerotę tych improwizowanych uczuć uwierzyć trudno, choć tam chłód jakiś wieje z słowa każdego, rozbraja, pociąga, nęci, obalamuca.

Byliśmy wszyscy uprzedzeni przeciwko niej, a teraz milczymy, wymawiamy, nie wierzym, patrzymy, oglądamy się, szukając pozorów tylko, by ją uniewinnić. Wszyscy się jej obawiali i może wdzięczni są, że sobą jak najmniej chce zrobić kłopotu; zaraz przeczuła rodzaj życia zwykły i zastosowuje się do niego nadzwyczaj zęcznie. Po obiedzie, przy czarnej kawie tylko, prosiła o pozwolenie zapalenia cygareta, które dobyła z jakiegoś sprzączki złocistego, i gdy go przytknęła do różowych ustek, z dymem jego tak niewzyczajnym u nas, a tak się dziwnie wydającym dla wieśniaków, wszyscy dworscy posłupieli. Proboszcz aż wyszedł zaraz, zgorszywszy się niezmiernie i plując w sieniach, a ruszając ramionami, reszta popatrzyli na siebie i nie wiedzieli, czy wierzyć oczom swoim. Chorążyna była widocznie zmieszana, chorąży rozgniewany prawie, pan Aleksander jakiś smutny. Nie uszło to jej oka, jakoż nie paliła długo i odezwała się, wymawiając z nałogu:

— Nauczyłam się tego w Hiszpanii... wszyscy tam palą, ale dla kobiety to nieprzyzwwoita... sama to czuję... staram się odwyknąć... Ból zębów czyni mi to jednak koniecznością prawie i doktorowie zalecili, żebym nagle się nie odzwyczajała.

Chorążyna nic nie odpowiedziała... rozeszliśmy się wkrótce i ona poszła do swoich pokojów. Ledwie na ganku, już nasza kupka

zebrała się rozprawiać, a kapitan Zbrzeski unosił się nad panią Bulską do szaleństwa.

— Ależ to kobieta! ależ to kobieta! panie, niech mi się wszystkie wieśniaczki schowają!... oto piękność, oto maniera! a niech ją wszyscy...

— Oto to, niech ją sobie wezmą! — dodał proboszcz, który w ganku psy karmił — *concedo*.

Pan kapitan obrócił się zdziwiony, ale nie wytrzymał.

— Alboż nie piękność! a co za dowcip... a jak to, panie, ona to cygare zapaliła.

— Już to powiem szczerze, lichy wie, co to cygare znaczy? — zawołał Doroszeńko — gdzież to kto widział kobietę, żeby kuryła?!

— Ale na wielkim świecie, to co innego — odparł Zbrzeski, który się ogromnie zapalał.

Doroszeńko był także pod wrażeniem i bronił choć ciszej; jeden proboszcz mruczał i krzywił się.

Szliśmy ulicą ku dworkom; przebąkiwał ciągle ze złym humorem, którego się taić nie starał.

— Niewiedzięć bo co to jest? — mówił — mężczyzna nie mężczyzna, kobieta nie kobieta... dyablik jakiś, panie odpuść... a wszystkim już głowy pozawracała! cóż to będzie, jak jaki tydzień posiedzi, chyba kropidłem i egzorcyzmem szatana z nich przyjdzie wyganiać. Wstydzilibyście się... niech-że kapitan... wiadomo, że jemu aby kobieta, to szaleje... ale wy... gdzież u was oczy, że nie widzicie, co to za jejmościanka... Wszystek świat zjeżdżiła... wszystko zna, wie, udaje, kogo chce... poprostu komedyantka... Ja wam powiadam, że gdy tu posiedzi, nieszczęście będzie, nieszczęście...

— Mówili — przerwał po chwili Doroszeńko, że dwa razy była za mężem, że matka, ma córkę, a ona na dwadzieścia lat nie wygląda.

— Tfu! — splunął kanonik — nie macie już o czém gadać!

Machnął kijem i poszedł.

Fraszka to, że my o gościu rozprawialiśmy, ale cały dwór się ciekawił, słudzy zaglądali przez dziurki od kluczków, zbiegali się do sieni, żeby ją choć przechodzącą najrzeć, nie było kąta, żeby o niej nie rozmawiano, a panna Jamuntówna wiedziała już doskonale, co mówiła do służącej, ile par sukien z sobą przywiozła, czém się umywała, jakie miała przywyknienia i sposób życia... Tylko oboje chorąstwo posmutnieli widocznie, a choć bardzo grzeczni dla kuzynki, byli jakby niespokojni; stary wzdychał chodząc, sama miała twarz zamyśloną posepnie, którą gdy do niej kto przemówił, starała się swoim zwykłym uśmiechem wyjaśnić.

Z ciekawością wszyscy się zbiegli o godzinie herbaty do salonu, prócz proboszcza, który we dworku został; nawet Pulikowski, Hończarewski, i co tylko miało wstęp na pokoje, zawczasu się zgromadziło; ja się wcale nie przygotowałem do czytania, bom nie sądził, żeby ta nasza zabawka przy pani Bulskiej ująć mogła. Pulikowski zaraz mi w ucho szepnął, że widział jej kamerdynera, który jest tak wielki pan, że mu osobny pokój dać musiano i chłopca do posługi, że ma złoty zegarek, cygaro pali i w lakierowanych butach chodzi, a co najgorzej — z brodą.

— Na moje własne oczy widziałem, Jasiu, z brodą! Ani przystępuj do niego, a nas wszystkich tak traktuje, jakby nie było do kogo gadać. Stał bestya w ganku, wziął się w boki i patrząc wkoło ziewał... Garderobianę widział Zbrzeski, powiada, że mosanie jak lalka, druga hrabina...

Najdziwaczniejsze nowinki krążyły po salonie, gdy pani Bulska weszła, od niechcienia przypatrując się obrazom, meblom, wszystko niesłychanie chwając, unosząc się, na nikogo zresztą z nas nie patrząc, w pół po francusku, pół po polsku odzywając się do pana Aleksandra, którego zaraz u drzwi pochwyciła. Widoczna była, że chciała się przypodobać niezmiernie, szczególniej chorążynie saméj, panu i panu Aleksandrowi, którego potrafiła zaraz ożywić i wprowadzić w rozmowę. Ukazanie się chorążynéj odciągnęło ją od niego, pobiegła do staruszki, pocałowała ją w rękę, poskarżyła się na mój ból głowy i siadła znowu innym sposobem, ale zawsze tak mądrze, żeby ją admirować musiano. Panna Krystyna za nią raki piekła, ona ani jednego.

Ale czego ta kobieta z siebie zrobić nieżumie! Mężczyznę, zawałyk, dziecko, niewiniątko, anioła, dyabła wiecelonego, poważną matronę, smutną i nieszczęśliwą niewiastę, panienkę skromną, wieśniaczkę... i nie wiem już kogo. Nigdy sobie nie wyobrażał, żeby tyle charakterów i postaci w jednéj się osobie zmieścić mogło. Głos, rysy, twarz, ruchy, wszystko się w niéj na rozkaz przeistaczało, i jednego wieczora, zupełnie inną była z panią, z starym chorążym, z panem Aleksandrem, z panną Jamuntówną, z Krzysią, choć dla wszystkich niesłychanie grzeczną i uprzejmą.

— Co państwo robią wieczorami? — zapytała chorążynéj po herbacie.

— Czasem czytujemy — odpowiedziała staruszka — gadamy... grywamy w karty, ale to tylko ksiądz proboszcz, którego nie widzę... z panną Jamuntówną, kuzynką naszą... nie siedzimy do późna... bo mojemu mężowi i mnie to szkodzi...

— To bardzo pojmuję — zawołała — a! ja tak czytać lubię... ale któż czyta?

— Czasem która z nas, teraz częściej kuzyn nasz, pan Jan...

I zaprezentowała mnie chorążyna.

Gdy na mnie parę tych oczów czarnych, zaciąwszy usta, skierowała prosto w piersi, jak dwie kule, i moje biedne studenckie wejrzanie spotkało się z tym wzrokiem, który palił jak roztopiony kruszec... myślałem, że upadnę... zaczerwieniłem się, zmieszalem, aż panna Jamuntówna musiała chustką się zakryć, żeby się z mojej miny nie rozśmiać.

Rzutem oka obejrzała mnie od stóp do głowy, i skończywszy przegląd w minucie, bo zapewne nie trudno jej było wyczytać we mnie mego niedoświadczenia, strachu i młodości, odwróciła się do chorążyniej.

— A zatem prosimy o czytanie.

Struchlałem.

— Ale to kuzynkę nie będzie zajmowało... po polsku.

— I owszem! po polsku... ja wiele czytam... proszę... a najmiliej mi będzie, gdy w tym gościnnym domu nie przerwę zwykłego trybu ani na włos... nie będę się czuć natrętną, choć nią jestem.

Uśmiechnęła się wyzywająco.

Chorążyna potrzebowała coś grzecznego powiedzieć.

— Ale kochana kuzynko, na wsi gość nie może być natrętnym, nasze życie tak jednostajne.

— Jednak pojmuje, że do niego nietylko przywyknąć, ale się w niem rozmiłować można... a! ja tak wiesz lubię! gwar miasta mnie utrudził, potrzebuję wytchnienia, spoczynku, ciszy...

Nic nie pomogło, musiałem naprzeciw niej usiąść do czytania, i Bóg wie jak się z tego wywiązałem, bo mi głosu brakowało, a ona, zdaje się naumyślnie, oczy swe czarne posyłała, żeby mi na drodze stawały. Czytaliśmy coś poważnego jak zwykle, milczała, słuchała, ale nie tracąc czasu, badała twarz, uczyła się nas, przysługiwała chorążynie, której trzymała kłębuszki, liczyła oczka, podsuwała stoleczek pod nogi.

O dziesiątej wstała z kanapy, chorąży wymknął się co najspieszniej... ona chwyciła się za głowę.

— Okropna mi się gotuje migrena... wielką mam z nią mękę... spać po całych nocach nie mogę, i dopiero nade dniem trochę powieki zmruję... dlatego trochę późno wstaję.

Chorążyna chciała ją odprowadzić, ale nie pozwoliła i wymknęła się, półuśmiechem i skinieniem głowy żegnając pana Aleksandra; myśmy pozostali, pani zbierała robotę...

— A cóż, Olesiu, jak ci się podobała?

— Ale bardzo! — zawołał pan Aleksander — nie naszego to

kroju kobieta, nie do naszych obyczajów, ale jak się zastosowuje... co to za dowcip, zręczność, jakie wykształcenie!

— A mnie aż zimno się czegoś robi, gdy na nią spojrzę — szepnęła pociechutku chorążyna — juźcić nie mogę inaczej powiedzieć, tylko, że jak chce, to miła i śliczna, ale ja się jej boję czegoś niewypowiedzianie.

— Zdaje się być trzpiot trochę, ale dobre dziecko — rzekł pan Aleksander.

Staruszka głową potrząsała.

— A juźcić miła kobieta! dobranoc wam! dobranoc.

Rozesłaliśmy się wszyscy, a ja przyznać się muszę, że nie mógł ani do roboty się żadnej wziąć, ani usnąć długo, tak mi to zjawisko po głowie chodziło.

Nazajutrz ona już była jak u siebie w domu, i niewiedziéć jak знаła nas każdego, wiedziała, jak się do kogo odezwać, miotła nami na wszystkie strony.

Rano nie czekano na nią ze mszą, bo nikt nie sądził, żeby chciała być na niej, gdy zjawiła się w rannym stroju, a za nią ów brodaty kamerdyner z przepysznie oprawną książką; trzeba ją było widziéć, jak się modliła, i bodaj czy proboszcza tém nie rozbroiła trochę, bo już milczał tylko i przyglądał się jej zdaleka. Pannie Jamuntównie jakoś bardzo zręcznie darowała zegareczek, młodszą bransoletę, i tak je za serce nie darami temi, ale obejściem schwyciła, że chorążyna wydziwiéć się nie może. Nie wiem, co to znaczy, ale rozpatruje się, dowiaduje, przypochebia, i mnie nawet nie minęła, bom kilka słówek bardzo grzecznych dostał mimochodem i spojrzenie piorunujące.

Starzy tylko, którym zabiega drogi, uśmiecha się i wdzięczy, zimni, ostrożni i milczący, na co ona nie zważając, wciąż jak dziecięć się przymila. Od wczorajszego dnia do dziś, nie wiem, czy to się nasze oczy oswoiły, czy ona istotnie już się do naszego tonu nastroiła, ale zdaje mi się widziéć zmianę w niej, skromniej się daleko ubrała, niby smutniejsza, poważniejsza, nie paliła cygara, wzdychała, po obiedzie długą jakąś rozmowę rozpoczęła z panem Aleksandrem, chodząc po pokoju.

Chorążyna robiła robotę, ale z pod okularów gonila ją wejrzeniami przejętymi jakimś strachem; mnie proboszcz wywołał za sobą.

— Otóż to tak — rzekł — najświętsza z niewiast pani nasza, ale jak zaczęła do Pana Boga, jak zaczęła... dosyć, że powiedziała, sam słyszałem — wolałabym dla niego złą żonę niż żadnej; otóż i jest.

— Co! gdzie?

— A ta! żołnierka! czy jak ją tam nazwać, co tytuń pali, i słyseć konno jeździ! Takie kobiety, dla takich mężczyzn jak pan Ale-

ksander są najniebezpieczniejsze, on nieśmiały, ta szatan wcielony... ani chybi go pochwyci...

— Ale zameżna! — zawołałem.

— Co ty wiesz! — rzekł — któż tu z nas powie, co ona? jaka? czy miała męża? i czy go ma? toż to widocznie jakaś awanturница, która poluje na męża, i jak się przypije do Olesia, to się jej biedaczysko nie wykręci... a tu wszyscy we dworze głowy potracili! i szaleją, choć krwawemi płacz łzami.

Proboszcz był tak zmartwiony, że mu się istotnie zdawało na lzy zbierać.

— Modlić się potrzeba — dodał — modlić, żeby Pan Bóg wiszącą nad nami odwrócił kłeskę — nieszczęście! nieszczęście!

10 września.

Przyznaję, że nie wiem, co myśleć, jak osądzić to dziwne zjawisko, i w wielkiej niepewności walczę z sobą... Nasz gość zawsze z nami, i mimo wszystkich pozorów, jakie przeciw niej być mogą, kobieta to najprzyjemniejsza, wszystkich nas już potrosze opanowała, choć pociechu żartuje sobie i pośmiewa z nas podobno, ale cóż ma robić z nudów... Ksiądz Ginwił tylko niezadowolniony, powtarza co chwila:

— Ale czemu bo jej nie wyprawia! niech-by już sobie jechała! krzyżyk na drogę! krzyżyk na drogę!

Starym państwu także się podobać nie mogła, choć nie można powiedzieć, żeby nad tém nie pracowała, zastosowując się do ich sposobu widzenia i zwyczajów tutejszych ze zrećnością niewypowiedzianą.

Codziem zdaje się piękniejsza i nowy jakiś przymiot się w niej odkrywa, nową stronę, choć chwilowie strach przejmuje patrząc, jak nami zrećnie podrzuca, jak sobie igra ze wszystkimi. Tak przed parą dniami naprzykład, chwyciła Hończarewskiego nie mając co robić, i nuż go z Apokalipsy egzaminować, ale to tak poważnie, tak seryo, że stary zupełnie uwierzył, iż ją to obchodzi, i zapaliwszy się niewymownie, począł jej wykladać rozdział trzynasty o bestyi z siedmią głową, a dziewięcią rogów i dziesięcią koron, która z morza wyszła, i o drugiej z dwiema rogami. Proboszcz już nie wytrzymał i nadbiegł odprowadzając Hończarewskiego na stronę, gdy ona śmiała się z proroka do rozpuku, powtarzając:

— Ale doskonały! wyborny! to niezmiernie zabawne!

— Być może — odparł kanonik — ale sobie z obłąkania biednego człowieka i świętych słów Pisma igraszki robić się nie godzi.

Pomiarkowała się zaraz i z taką pokorą uznała swój błąd rzuca-

jąc czarnemi oczyma na kanonika, że nam się jęj żał zrobiło. Trochę płocha... ale taka młoda, a potrzebuje przecie rozrywki, i choć zapewnia, że się bardzo z nami ubawia, ja temu nie wierzę. Chwyta drobnotki ciągle, żeby z niemi poswawolić, znać już przywykła do ruchu, do zajęcia, do życia innego niż nasze, a ta atmosfera spokojna nasycić ją, wystarczyć jęj nie może.

Pozawczoraj przyjeżdżał do nięj rządcą majątku, który ona ma tu w sąsiedztwie, nieznajomy nam dawnięj, galicyanin, niejaki pan Baranowicz, a Doroszeńko wziął go na konfesatę, żeby się coś dowiedzieć... Trochęśmy się z nięgo dobadali o przeszłym życiu pani Bulskięj, które on zna, bo u nięj od lat kilku służy... Baranowicz w wielkiem dla nięj zachwyceniu; młody to jeszcze i bardzo ukształcony mężczyzna, przystojny i miły, ale do nas nie przypada, tu mu się wszystko wydaje zardzewiałe, pocieszne, on nam zbyt opoliturowany, cały na zewnątrz i dla popisu. Pan Doroszeńko ust przy nim otworzyć nie śmiał, gdy o swojém gospodarstwie, przedsiębiorstwach, ulepszeniach i dochodach, jakie ma, zaczął prawić.

Nie dał się bardzo prosić i o pani Bulskięj wyspiewał całą historię — pokazuje się, że pierwszy jęj mąż, mimo zewnętrznej ogłady i wielkiego imienia, był nieznosnego chłodu, egoizmu i zepsucia człowieka, niepodobna jęj było z nim wyżyć, musiała go porzucić. Jednakże rozstali się w najlepszej zgodzie, czego dowodem, że jęj znaczne bardzo dobra zapisał, które ona pomnożyła późnięj nabytymi już oszczędnością. Długi czas mieszkała potęm we Lwowie, i tam tę drugą popełniła omyłkę wychodząc za pana Bulskiego, o którym Baranowicz niewiele się lepiej odzywa. Ma to być hrabia austryacki, ni z pierza, ni z mięsa, człowiek, który na przemiany to u nóg jęj leży, to się do cybucha porywa, to lamentuje i płacze, niezmiernie przytęm ograniczony i trochę pijaczyna... Z nim rozwód formalny od lat dwóch otrzymała pani Bulska, córeczkę biorąc do siebie, którą teraz umieściła u Wizytek w Paryżu. Ale jakim sposobem kobieta tak przebiegła i znająca świat i ludzi, mogła aż dwa razy zawieść się w wyborze... nie pojmuję; pierwszy raz tłómaczy się, drugiego zrozumieć trudno.

Pan Baranowicz z zapalem mówi o swojęj pani, i co nam najdziwniejszego powiadał, to, że ta niepojęta kobieta na pozór trzpiocąca się, tak żywego charakteru, płocha, zdająca się lubić zbytki, niezmiernie ma być przytęm rządzna i oszczędna. Interesa pojmuje doskonale, prawo zna, gospodarstwo jęj nie obce, ulepsza majątki, zbiera kapitały, wskazuje spekulacye... w Paryżu grała na giełdzie i ze sto tysięcy franków wygrała.

Wygadał się pan Baranowicz, że oprócz tych dwóch mężów, miała jeszcze kilku i ma zawsze mnóstwo starających się o jęj rękę, często

bywając przez odepchniętych konkurentów kompromitowaną — ale wszystkiemu temu winna nie zalotność jej, jak on mówi, tylko ta niesłychana piękność, dla której już kilku formalnie poszalało, a jakiś Francuz w łeb sobie strzelił pod jej oknami...

Choć się to ona z nami bawi niby i zaręcza, pękając od śmiechu, że nigdzie jej jeszcze tak dobrze nie było, jak w tym wiejskim powietrzu, jednak niespokój wynajdujący nowe jakieś rozrywki, każe się domyślać, że do błogiej jednostajności życia tego trudno jej przywyknąć.

Raz bierze na fundusz, jak to po szkolnemu mówią, biednego Hończarewskiego, który jej pocichu znosi swoje raptularze o Apokalipsie i rachunek godzin zostających światu do życia, to znowu rozmilowuje pana Zbrzeskiego, tracącego głowę dla niej do tego stopnia, że chodzi jako podwaryowany, a ona po kątach pęka z niego z panną Jamuntówną, nie zaniebując wszakże codzien nowym wejrzaniem tego pożaru rozniecać. Pulikowskiemu umyślnie dostarcza pozorów do posądzenia o spiski, i tak z nami wszystkimi.

Wczoraj kazała mi sobie przynieść jakąś książkę z biblioteki; chciałem ją odesłać przez kamerdynera, ale widać posłyszala mój głos w przedpokoju, otworzyła drzwi i wprowadziła mnie sama do swego apartamentu, którym zostałem ulśniony. Pokój, który widziałem wprzód, zmienił się teraz zupełnie, i nie wiem, skąd się tam tyle wzięło rzeczy, jak je z sobą przywieźć mogła... Na stole połykiwało tysiące fraszek i elegancji, drugi zawierał same książki od nabożeństwa, krucyfiks ze słoniowej kości, mnóstwo różańców i świętości... przed oknem zrobiła sobie klombik z wazonów... jakiś zapach, który jej wszędzie towarzyszy, nappełniał atmosferę, dziwnie miły i usypiający. Ubrana była na rano, ale z takim smakiem jak zawsze, a gdy wyciągnęła rękę po książkę i długo ją przy mojej zatrzymała na okładce, myślałem, że przykleknę przed temi przesłicznymi paluszkami, tak białemi, kształtnemi, wysmukłemi, jakby z zarumienionego wykutemi marmuru. Uśmiechnęła się do mnie, pokazując ząbki białe ze strasznym wyrazem, którego pojąć nie mogłem, szyderskim, niby smutnym, a magnetycznie pociągającym. Chciałem zaraz odejść, ale mi nie dała, rozpytując o coś powoli, topiąc wzrok we mnie, przytrzymując półsłowami na progu, bawiąc się może pomieszaniami mojem.

Gdym się stąd wyrwał, cały byłem wstrząśnięty, poruszony, nie swój, musiałem wyjść do ogrodu, żeby ochłoniąć, uspokoić się; zastałem w wielkiej alei pana Aleksandra, który także chodził żywo zadumany dziwnie, jak-em go nigdy nie widział.

Spostrzegł mnie, i nie wiem, czy co wyczytał na tej twarzy nie-szcześliwej, która nie utaić nie umie, i zapytał:

— Co ci jest, Jasiu?...

— Mnie?... ale nie.

— Jak to nic, widzę po twarzy, żeś nie swój... szczerze przyznaj mi się, skąd idziesz?

— Nosilem książkę... Swedenborga dla hrabinęj...

— Byłeś u niej? — spytał z uśmiechem, w którym politowanie się malowało — u niej?

— Kazała mi wejść... — odpowiedziałem spuszcżając oczy.

— No! to teraz rozumiem — rzekł biorąc mnie za rękę. — Popatrzała ci w oczy i w głowie ci się zakręciło, nieboraku. — Ruszył ramionami. — Młody jesteś, wszystko na tobie świeżym i wrażliwym zbyteczny wpływ wywiera... Czyżes nie postrzegł, że ta biedna kobieta z całego świata drwi i żartuje sobie?

— Widzę to — rzekłem — ale jednak wrażeniu, jakie ona robi, oprzeć się trudno.

— Słuchaj-no — odpowiedział — możebyś pojechał na jakie parę dni do rodziców?

— Z największą chęcią! — zawołałem domysłając się, dlaczego to mówił pan Aleksander — ale jeśli mi pan tak szczerze spowiadać się pozwalasz przed sobą, za co dla niego wieczną mieć będę wdzięczność, ja znowu nie jestem tak słaby, żeby mi się co przywidziało, i żeby się niewiedzieć czém zbałamucił.

— Wierzę temu — mówił pan Aleksander dalej — ale ty nie znasz ludzi i świata, a ta kobieta zbyt lekko bierze wszystko; obawiam się, żeby jej nie przyszło na myśl, jak się znudzi Hończarewskim i kapitanem, bałamucić ciebie... musiałbyś boleć, a oprzeć-byś się jej nie mógł. Któż wie, do czego taką panią, rozdrażnioną życiem, do którego nie przywykła, doprowadzić może pobyt na wsi?... Nie mówił wam tam Baranowicz czasem, jak długo ona tu zabawić myśli?

— Zdaje się, że ani mowy niema o wyjeździe, jakieś ją tu interesa trzymają...

— Jedziesz do rodziców? — dodał.

— O! jadę z największą przyjemnością, jeśli mi państwo pozwalacie — zawołałem.

— Weź-że sobie moich parę koni kasztanowatych i ruszaj, zabaw, ile ci się podoba... a klucz od biblioteki zostaw u Mateusza... Jutro możesz jechać... pieniądze masz? albo ci kazać dać?

— O! mam! mam! aż nadto... i na cóż te konie? jabym konno pojechał...

— Jak sobie chcesz... ale jedź doprawdy; nadto siedzisz zresztą. Możebyś potrafił namówić ojca — dorzucił po chwili — niechby tę

częstkę sprzedał, albo ją wypuścił, a dalibyśmy mu dworek i grunta w Kryłowie, tu pod bokiem, od dawna dla niego przeznaczone, które pod pozorem dzierżawy mógłby trzymać, mielibyśmy ich bliżej...

Nie umiałem dziękować, tak mnie ta ich dobroć przejmuję; ale trudno się spodziewać, żeby ojciec przyjął ich ofiarę, już mu to kilka razy nastęrczano, zawsze odrzucał, nie chcąc żyć na lasce niczyjiej.

Ta rozmowa z panem Aleksandrem jakoś mnie orzeźwiła, myśl podróży, zobaczenie rodziców, a nawet dziecinna ochota pochwalenia się moim konikiem, rozpromieniły mnie. Przyszedłszy na obiad, zastałem czarownicę, jak ją tu wszyscy we dworze nazywają, czegoś smutną po swojemu, przeglądającą Swedenborga, którego z sobą przyniosła; spojrzała na mnie długo, ażem od tego wzroku uciec musiał. Chorażyna już od pana Aleksandra wiedziała o moim wyjeździe i poleciła mi nalegać na rodziców, żeby się przenieśli koniecznie do Kryłowa; stary nawet przyszedł i położywszy mi rękę na ramieniu, co było dowodem nadzwyczajnej jego łaski, rzekł krótko:

— Powiedz Ignacemu, niechże nie dziwaczy... krewni jesteśmy... może od swoich coś przyjąć, stary się zamęcza... odpocząć czas... powiedz, proszę cię.

Ucałowałem jego rękę.

Ta muluczka scena, w której ze mną biednym tak łaskawie się obchodzono, nie uszła oka pani Bulskiej; musiała ją odgadnąć, choć zaraz to spuszczała głowę ku książce, niby nią będąc zajęta. W chwilę potem powiedziała mi zcicha:

— Pan jedziesz do rodziców?

— Tak jest, pani.

— A! a któż mi da książki z biblioteki, jeśli ich zażadam?

Pan Aleksander zastąpił mnie odzywając się zdaleka:

— Na ten raz, ja, kuzynko... jestem na rozkazy.

— A pan jedziesz na długo? — dodała do mnie, spoglądając mi znowu w same oczy.

— Zdaje mi się na dni kilka.

— O! to się jeszcze zobaczymy... — szepnęła.

Widziałem, jak w czasie tej króciutkiej rozmowy pan Aleksander chodził żywo po salonie... a Zbrzeski jadł mnie oczyma z zazdrości. Ale teraz nie zrobiła już ta kobieta na mnie takiego wrażenia, bom cały myślą był pod naszą słoniąną strzechą, w ubogiej chatce... a między nią... i tēm, co tu widzę, doświadczam, czēm tu życie płynie... cała nieskończoność... jednego ani zbliżyć do drugiego.

Wieczorem poszedłem pożegnać się do kanonika.

— A! jedziesz, szczęśliwce, na własnym koniku, do rodziców... ha! — zawołał — widzę, że ci się oczy śmieją! a my tu zostajemy z tą czarownicą... Panie odpuść... ale ja tu się okropnych rzeczy za-

czynam obawiać... daj Boże, byś nas zastał, jak porzucasz... by nam dawny spokój powrócił... Wszyscy jeneralnie głowy potracili, zamęt, zamieszanie, niespokój... i jedna kobiecina tego wszystkiego nam narząła!

— Ale ja tu nie widzę nic jeszcze.

— Ba! że ty nie widzisz i nikt nie widzi... ale ja widzę! ja widzę — dodał kanonik... — Ta czarownica połakomiła się na pana Aleksandra... nie trzeba być wielkim politykiem, żeby rozmiarkować, że ona tu nie dla interesów siedzi, tylko, żeby się wydać za niego! Czemu nie! magnat taki! imię piękne, człowiek jak anioł, wszystko to pochwyć w pazurki.

— Księżę kanoniku dobrodzieju! — rzekłem — ja nic nie wiem, i nadtom młody, żebym śmiał o tém sądzić... ale czy nie napróżno się ksiądz kanonik frasuje i przewiduje?

— A dajże, wszechmocny Boże, żeby to było przywidzenie... obawa próżna... krzyżem-był się położył... Ale nie... ja czuję, ja widzę, co to będzie... ten człowiek walczyć będzie i nie oprze się jój; ci starzy biedni pozwolą na wszystko, a zagryzą się nieszczęśliwi... dom pokoju, ubłogosławiony przez Boga, stanie się przytulkiem próżności i rozpusty...

I biedny proboszcz załamał ręce z wyrazem rozpaczy.

— Niechże Bóg broni! — rzekłem — każdy-by życie dał, żeby od tego uchować ludzi tak zacnych... czyż-by już nie było środka?

— Tak, są środki na niebezpieczeństwa widoczne, groźne a wyraźne, gdzie się za coś pochwyć, do czegoś przyjąć można — tu, pytam się, co zrobić? tam, gdzie groźba w powietrzu... niepochwycona, gdzie przestrach można nazwać przywidzeniem? Bóg jeden tylko, Bóg miłosierny poratować nas może... A może — dodał — to ja tak stary obawiam się daremnie i grzeszę nawet szemrząc, posadzając... Nie słuchaj, chłopcze, nie — ot, patrz stary a głupi! tfu! grzech popełniłem z tego wielkiego do nich przywiązania... Niech cię Pan Bóg prowadzi — dodał idąc do biurka — może potrzebujesz pieniędzy?...

Uśmiechnąłem się protestując.

— No! no! ale dla rodziców i siostry zawieź szkaplerze... częstochowskie, poświęcone... czekaj! czekaj! zaraz znajdę...

I dobył mi je, ze łzą w oku żegnając.

Wracając od księdza Ginwiłła, w ganku dworku Doroszeńki zastałem wszystkich na ławie siedzących.

— A co to? słyszę sobie waś jedziesz? — rzekł porucznik — cóż to znowu za szparki projekt? konno?

— Jadę — odpowiedziałem — i konno, ale powoli pociągnę sobie, i miło mi, że wypróbuję sobie i wierzchowca mego.

— Jak on to mówi, *mego* wierzchowca — rozśmiał się Doroszeńko — daj go katu, a mnie już choć kuzynowi i przez ojca wyznaczonemu opiekunowi, słowa nie powiedział o tej podróży... zrobił z tego tajemnicę; poczekaj, chłopcze! mamy na pieńku z waszecią.

— Bom ja sam dziś rano o niej nie wiedział, ale pan Aleksander mi ją poradził, i jeszcze był tak dobry, że chciał dać swoje konie.

— Że dobry, to nie sekret — rzekł porucznik — zdaje mi się, to przynajmniej wszyscy wiemy; musiał ci w dodatku napomknąć o Kryłowie; widzisz, chłopcze, że to i ja coś wiem.

— Prawda...

— Dajże mi drugich takich ludzi! — zawołał porucznik.

Zbrzeski fajkę palił a milczał dotąd.

— Jednej rzeczy braknie mu — odezwał się — żony... ot żeby się z tą Bulską ożenił...

Doroszeńko aż się z ławy porwał.

— Powiedz-no to przy proboszczu — krzyknął — dopiero cię wsadzi na rekolekeye... ruski miesiąc popamiętasz.

— At! gadajcie wy sobie z proboszczem, co chcecie — odparł Zbrzeski — to także kobieta, jakich niema... anioł piękności, cudo mosanie, śliczność! rozum, wdzięk, dobroć... a oczy! oczy! niech ją...

— A co myślicie, jak pismo święte zna? — odezwał się Hończarewski — a jaka pobożna, sensatka... o! i głowa nie dla propory.

— Ale czego ona nie zna? — przerwał Zbrzeski żywo — czy jest dla niej co obcego, mnie się zdaje, że ona-by Salomona rozumu nauczyła. Jak spojrzysz w człowieka (bo nie na człowieka), to go przejmie do kości; czujesz, że ci duszę dobywa... czasem mi się zdaje, jak ten wzrok we mnie utopi, że owaryują.

— Już ci też do tego niewiele braknie — przerwał Doroszeńko.

— Starzy państwo święci, anielsey, ale niech mi darują — dokończył Zbrzeski — poznać się na niej nie umieli!

— Kapitanie! — oburzył się Doroszeńko — pleciesz jak na mękach.

— No! to milczę...

Pulikowski odezwał się z drugiej strony:

— Kto ją tam wie! zdaje się do rany przyłożyć, ale z Jamuntówną znajdują się jak łyse konie, obie jednego kalibru... jednego dnia uśmiecha się do ciebie, a drugiego drwi bez litości, niby to ją nie widzę! Co chce, z człowiekiem robi, a co u niej we

środku siedzi, i dyabeł nie powie... Czasem anioleczek... ot polecą, i ho! a jutro już rogi wyrosły. Takie kobiety to się chyba muszą rodzić tylko po miastach, bo na wsiach, chwala Bogu, im podobnych nie widać, a to-by z nimi oszaleć przyszło. Kapitan Zbrzeski zawsze się zapala dla lada Horpyny... a cóż dopiero taka Wenus, mosanie. A nie kochałeś to się waćpan, ja panu policzę: w pannie Anieli, Karolinie, Ludwice, Maryannie, coś się był nawet zaręczył, Katarzynie, ażeś się chciał topić dla niej, a w pannie Krystynie?

— E! co to mi waćpan cytujesz te dziecinady, dla zabawki— ofuknął się kapitan — gdzie porównanie... tych do tamtej... albo to ja się kocham, czy co? a to-by mnie oddać do czubków!

Wszyscy się śmiać zaczęli.

— Ale to panie istota! — i uderzył się w czoło, czém jeszcze lepiej wszystkich do śmiechu pobudził. — Waćpanowie jój nie lubicie dlatego, że proboszcz ma tam coś przeciwko rozwódce, a wy go słuchacie jak cieleća, ot co to jest... i bywajcie zdrowi...

Na tém się przerwała rozmowa, a Doroszeńko dołożył tylko pochichu, że kolega jutro może całkiem zmienić zdanie, gdy hrabina tyłem się do niego obróci, bo tak, co dwa dni, i klnie ją i pod obłoki wynosi.

Zostawidem więc dwór rozdwojony, i nie wiem, jak go, powróciwszy, zastanę.

20 września.

Nazajutrz tedy raniusieńko jak świt, zwinawszy mój mały tłumoczek, najpotrzebniejsze tylko biorąc rzeczy, pobiegłem do stajni, konia sobie sam osiodlałem i ruszyłem przez śpiące jeszcze miasteczko, drogą mi znaną — do domu.

W przejeździe nikogom nie spotkał, prócz księdza Ginwiłła, który w szlafroku z brewiarzem starym w ręku, wyszedł mi pobołgosiławić.

— Krzyżyk ci nie zaszkodzi — rzekł — nie wiem, czyś ty o nim pamiętał, chłopcze, a starzy nasi poczciwi nie ruszyli bez niego, sami siebie i drogę żegnając przed szkapą... tak! tak! Niech cię Bóg prowadzi i przyprowadza szczęśliwie...

Cheiałem zleźć, ale mi nie dał.

— Jedź już, jedź! — rzekł — wygrywasz, że tój czarownicy kilka dni widzieć nie będziesz, a ona tu nas wszystkich podurzy!... A kłaniaj się ojcu!

Z czarownem tém słowem: do domu — ruszyłem wesół i swobodny, ranek był śliczny, słońce wschodziło jaskrawo ale pogodnie,

koń parskął, ja-m się w duszy modlił i patrzył na ten obrazek jesienny z rozkoszną jakąś tęsknotą. Taż samą drogą przed kilka tygodniami jechałem tu z ojcem przestraszony, wylekły, dziś wracałem wesół i prawie szczęśliwy... a! i trochę inny, i nie ten już co wczoraj! Człowiek tak się straszliwie zmienia!

Ja-m się już tak do nich przywiązał, i tyle zyskał na zbliżeniu do nich... świat, ludzie, wszystko mi się jaśniej zarysowuje w oczach, więcej mam odwagi, wiary i szersze, zdaje się, serce. Gdyby świat cały był im podobny, gdyby takie dusze pocziwe, taka miłość Chrystusowa... czyżby w tém gorącym ognisku nie stopiło się i nie spłoneło wszystko złe, które świat ostudza?

Serce mi drga w piersi wezbranęj i lży podchodzą do oczów, a! smutno pomyśleć, że się z niemi rozstać kiedyś potrzeba; ale szczęśliwy, komu dano raz w życiu widziéć takich ludzi i poczuć skromną ich wielkość... Od naszej chatki do tych pałaców, od tych, do których jadę utęskniony, do tych, których porzucam, przestrzeń ogromna, różnica wielka, a miłość ją wypełnia i dłoń namulana mojego ojca nieraz spoczęła w drżących rękach tych starych przyjaciół. Życie proste a pocziwe, tu i tam podobne... jedne uczucia, jedno serce... jedna rodzina Chrystusowa, jedna „Czeladka Boża“, jak powiada ksiądz Ginwił, jak ich tu zowią wszyscy.

Całą drogę przedumałem, prześpiewałem marząc, domyślając się świata i przędąc sobie nitki pajęczce... Na noc stanąłem o mil dwie od naszej wioski i wstawszy do dnia z bijącym sercem, ruszyłem dalej, coraz niecierpliwiej popędzając konia. Nareszcie rozstąpiły się lasy, które mi mój kątek zasłaniały, roztoczyło się pole, i stare chaty stanęły mi w oczach z moją młodością, z tysiącem wspomnień; tu już znałem każdy kamień, każdą ścieżynkę, i inne zdaje się znajome tak że wciągnąłem w piersi powietrze... Oto studnia, grusza na naszym polu, tam płot widać ojeowski... a z za krzaków zielony od mechów dach chaty! to ona!... to stara znajoma moja!

Przeleciałem ulicę, jakby mnie kto gonił, nikt mnie pewnie nie poznał, a Wasyl, któremu się uklonił, zastanowił się widocznie zdumiony; przed wrotami osadziłem konia... zeskoczyłem, wrota zaparte, patrzę... w okienku siwa głowa matki wygląda przez szyby, Andzia wyjrzała przez drugie... nie poznają i oni... aż krzyk słyszę i kochana matunia wybiega.

— To Jaś, Janek! — wołają razem matka i Andzia, i już stoją koło mnie zarzucając pytaniami.

Ojca nie było w domu, w pole wyszedł do dnia z najmitem, ale na połudenek miał przybyć, ja czekać nie myślałem, konia tylko postawiłem w stajence i ruszyłem z Andzią na zagon. Stary nasz już

orał ziemię, a dojrzwawszy nas idących w poprzek rolę, stanął z sochą; z oczów jego i postawy widać było niepokój.

— Cóż się stało? — zawołał zdaleka — to Jan?

— Jan... przyjechałem, bo mi państwo pozwolili i kazali...

Ucisnął mnie w milczeniu, wzruszony mocno.

— Czy tylko prawda to? — zapytał — czy prawda? chłopcze! mów mi szczerze, na starość człowiek się wszystkiego stracha... po coś ty przyjechał? czy cię nie wypędzili? co to jest?

— Was tylko zobaczyć!

— A no, to dobrze, niechże woły odpoczną, a ziemia poczeka, jeszcze do mrozów daleko, niema się co tak śpieszyć...

Najmit od drugiej sochy przeszedł zabrać woły, które miał zaraz w paszę wypuścić, a my pociągnęliśmy do domu; ojciec wciąż na mnie poglądał się i rozpytywał nie ustając, musiałem mu wszystko opowiedzieć i nie pominąłem Kryłowa, machnął ręką nie rad temu.

— Tak! tak! dobrzeby to było, ale im i tobie młodemu się zdaje, że *patria ubi bene*, a człowiek to rzecz, którą sobie można z miejsca na miejsce przekładać i będzie leżała. Myślicie, żem ja do tych zagonów nie przyrósł, co je tyle lat potem moim skrapiam, że ta chata pochylona nie droga mi, i zyskałbym, mieniając ją na wygodniejszy dworek. Ani ja, ani matka nie rozstalibyśmy się bez łzy z tą naszą klecią, a nam starym i łez oszczędzać potrzeba, bo z niemi życie wypływa, którego już niewiele. Nie tyle tu może zmęczy praca, coby tam dolegała tęsknota: człek tu postęka, pobieduje, ale-by żałował tej biedy nawet, gdyby mu się, porzuciwszy wszystko, przynieść przyszło... a na jakich tam biednych lat parę, czy to się warto rugować?...

Zacząłem trochę nalegać.

— Tu o nas nic nie chodzi! — rzekł ojciec — tobie zginąć nie dadzą, a przy tobie i o Andzię jestem spokojny... a nam! matce i mnie, czy to już życie przerabiać... Gdzie ten Kryłów! komu chatę zostawić! Nie! nie! dajcie mi z tēm pokój.

Ten dzień stał się świątecznym, wyręczyłem ojca, w czém mogłem, koło domu, siedzieliśmy w hacie i opowiadałem im o Borowej, o której słuchali chciwie, o Doroszeńce, o życiu, jakieśmy prowadzili. Aniśmy się postrzegli jak zmierzchno, i najmit z chudobą wyorawszy swój morg powrócił, późno w noc jeszcze gadaliśmy i gadali.

Zacząłem im mówić o Bundrysach, o pannie Konstancyi i życzeniach ożenienia pana Aleksandra, na co ojciec głową kiwał:

— Tych Bundrysów ja dawno znam — rzekł — gdyby nawet co i być miało, z nim ciężka będzie robota... dziad sędziego miał sprawę z Sapiehami, był zjazd, wyrzucili ich z domu, zrujnowali, trwał proces długo, i Bundrys dopilnował, że pana kasztelana na wie-

zę skazano, nie dając mu się okupić, choć nie był majątny, a dosyć znaczną sumę ofiarowano, żeby go od tego wstydu uwolnić. Sie-dział więc kasztelan wieżę, pijąc i hulając z przyjaciółmi... a Bundry-sowie mu się zdala przypatrywali.

Ta wygrana rozjątrzyła Śapiehów, i nieprzyjaźń nietylko że nie ustała, ale się wzmogła, przechodząc na drugie pokolenie... In-ne czasy zagasły ją nie dając się rozwinąć, została tylko pamięć ucisku i przemocy i nienawiść ku panom, którą Bundry-sowie spu-ścizną sobie przekazują, będąc jej wierni, jak nakazowi starszych przodków. W rodzinie tej testament dziada, w którym on zapisał swój żal i pod błogosławieństwem nakazał potomkom najdalszym nigdy się z żadną magnacką familią nie bracić, chleba ich nie jeść i przyjaźni nie wierzyć, pozostał jako reguła przewodnicza i z mło-du karnią nim zaraz dzieci. Testament ten w aktach powiatu Oszmiańskiego zapisany, stał się nawet dla pokrewnych Bundry-som i drobnej szlachty tamtejszej skazówką i pomnikiem; niektó-rzy na pamięć go umieją, w każdym niemal domu przepisany się znajdzie, i nie mało się przyczynił w ostatnich czasach do zerwa-nia węzłów, jakie dawniej szlachtę mniejszą z starszemi panami bracią łączyły. Choć Bundry-sów familia niemal wygasła, bo sęd-zia ostatnim jest tego domu potomkiem i na nim się podobno imię skończy, pamięć przemocy wraziła się i przelała na pokre-wnych, na sąsiadów, na zjednoczonych z niemi wspólnością poło-żenia. A że sędzia sam już jeden pozostał woli dziadowskiej spad-kobiercą i czuje się powołanym do świętego spełnienia jej za wszy-stkich, tém mocniej stoi przy wstręcie swym i upiera się na stano-wisku.

Pomiarkowałem z opowiadania ojca, że gdyby nawet pana Ale-ksandra poprowadzono do Bundry-sówniej, nieby podobno z tego nie było, bo sędziemu jego szlachecka duma i tradycya rodowa poje-dnać się z domem pańskim nie dozwoli. Już i tak trzeba było wielkiego szacunku dla Jamuntów i czei, jaką oni wzbudzają we wszystkich, by Bundrys nie unikał ich znajomości, stał na próg domu, przyjmował ich u siebie i córce tam być pozwolił. Ale na to lata pracowały, patrzył na tych ludzi i mimowolnie musiał ich poszanować, musiał im przyznać, że godni byli, aby z prawidła uczynić dla nich wyjątek. Pomimo to wszakże, postępowanie sę-dziego jest niezmiernie oględne, ostrożne i nieufne; nie puszcza cu-gli sercu, boi się kochać, nie śmie wylać i jeśli się rozczuli, peru-szy, cierpi doznając zgryzoty, jakby przelał rozkaz dziadowski, który chce córce i wnukom przelać nienaruszonym. Sędzia wzmo-cnił jeszcze testament dziadowski mnóstwem argumentów pozbiera-nych z historyj, tradycyj szlacheckich, podejrzanych anegdotek i ró-

źnych rysów, których wielką liczbę zawsze ma w pogotowiu na podtrzymanie zdania, że arystokracja ostatnich czasów, oddzielając się od ciała społecznego, przybierając barwę nieprzyjazną i zimną, wyłączając się obyczajem cudzoziemskim i obojętnością dla kraju, stała się sama dobrowolnie niepotrzebną narością, trupem, z którego duch uciekł, gnijącym tylko powolnie. Sędzia Bundrys nie jest do tyła chrześcijaninem, żeby w nim miłość Chrystusowa zgasić mogła to przesadne pojęcie i na inną sprowadzić go drogę.

Nazajutrz po mojem przybyciu już ojciec musiał powrócić do swojej pracy, bo gospodarstwo nie zna spoczynku i nie dopuszcza przerwy: żniwo przygotowuje siejbę, zasiew obiecuje żniwo, łańcuchem nierozzerwanym wiąże się w nim trud jeden z drugim... Doskonały to obraz żywota ludzkiego, w którym tak właśnie być powinno, choć nie jest tak zawsze. — Ale mnie, patrzącemu na zorane jego czoło oblewające się potem, serce się kraje, i radbym wyręczyć go, ulżyć mu, dozwolić wytechnąć na starość. Naprawdę, uśmiecha się, słucha i potrząsa głową.

Poszedłem w południe zanieść mu jedzenie, siedliśmy pod starą gruszą i staruszek więcej się ze mną niż kiedykolwiek rozgadał; byliśmy sami, najmit z chudobą na łączkę odprawiony, oddalił się, a ojciec chwycił tę chwilę, żeby mi szczerze rozpowiedzieć wszystko, co dotąd ledwie z domysłów wiedziałem, albowiem się z czegoś dorozumiał i odgadł.

— Niezawsześmy to tak byli biedni — powiedział mi — ojciec mój miał dobry kawał wsi i kapitalik, zachciało mu się więcej, i sprzedał ojcowiznę, a poszedł z całym groszem na dzierzawę; ja tego nie pamiętam, ale mi to rozpowiadano. Szło zrazu dobrze, i głowa się zawróciła, pieniądź płynął świeży, nie miarkowało się z wydatkami; matka moja, która go powstrzymywała, umarła jeszcze w pomyślności, nie domyślając się, na cośmy spaść mieli... Ojca namówili, naprowadzili, że się z drugą, młodszą od siebie kobietą ożenił, a że to była koligatka, w pańskim chowana domu, i niby przywykła do spezy, do zabaw, do zbytku, weszła za nią w dom to wszystko, choć grosza posagu nie wniosła. Mnie naprzód do szkół, potem do wojska wyprawiono, żebyśmy macosze nie stał na oczach; pamiętał ojciec o mnie, ale się z miłością dla dziecka taić musiał, aby nie cierpieć wymówek. Zrazu miałem i ja do zbytku, potem mniej coraz, aż wreszcie i nie prawie, a że zawsze nie umiał prosić i nie chciał choćby rodzonemu ojcu być ciężarem, zawczasu biedy zaznałem. W domu było coraz gorzej, macocha nie miała dzieci, ale pamiętała o sobie; ojciec starzał i stawał się niedołężnym, gospodarstwo upadało, dzierzawy

poszły w górę, grad i posucha w dwa lata wyczerpały zapasy i w końcu zmusiły przejść na mniejszą arenę, a z niej zestąpić ledwie z resztkami remanentów i inwentarza. Ojciec z łózka już nie wstał, wreszcie dostał jakby obłąkania, że się tylko modlił i płakał... niekiedy dopytując o mnie, ale do niczego w domu się nie mieszając. Rok tak leżał i powoli zgasł, a co było odrobin po nim, to macocha pochwyliła, tak, że kiedy mi znać dano o śmierci, a ja z wojska uwolniwszy się, z absztyem przez księcia Józefa podpisany, powróciłem w te strony, nie było za co rąk zaczepić... nie nie zostało dla mnie. Poczciwy przyjaciel ojcowski, stary mecenas, widząc mnie w tym stanie i pragnąc zaradzić, chciał proces wytoczyć macosze i choć cokolwiek wyrwać dla mnie, ale nie było już śladu ojcowskich funduszów. Szczyściem, w tym nieładzie zapomniano o sumce na wiosce tój, która właśnie szła pod subhastacyą, a choć lokowany na niej grosz był niewielki i mógł spaść dla braku funduszów, staraniem poczciwego mecenasa, wyznaczono za kapitał i procenta kawał niezłego gruntu, sianożęci i lasu dobrze ograniczony, choć kolka na nim nie było, ani łomu ani domu. Radzili mi to sprzedać kolokatorowi któremu, a kapitalik ulokowawszy, pójść służyć, alem wolał być u siebie gospodarzem na pustce, niż cudze wycierać kąty. Mecenas pożyczył mi kilkaset złotych na początek; zabrałem mój tłómaczek od niego i przeżegnawszy się w imię boże, przyszedłem piechotą do dziedzictwa, sam jeden, ale z mocném postanowieniem pracy wytrwałej. Przybywszy tu, kiedyś spojrział na dziewanną okryte stare zagony, na zarosłe łąki, na chrósty i błota składające mój wydział, aż mi się zimno zrobiło; alem zaraz nazajutrz obrał miejsce na tę oto chatę i jął się do dzieła. Na tym tu ogródku, gdzie dziś wiśnie i grusze, skleciłem sobie szalask z żerdei i słomy, aby od deszczu się schronić, zakreśliłem podwórko, opasałem się płotem i nająłem ludzi do wywożenia drzewa, sam z niemi pierwszy raz biorąc się do siekiery, która po szabli ciężką mi się wydawała... Ale czego to człowiek nie uczyni, kiedy postanowi trwać niezrażonym! Posiałem kilka zagonów na zimę, kupiłem woły i sochę, zbiła się siak tak obórka, chata powoli zrzuciła z kłoców, dach na nią podniósł, i w jesieni, choć jedną miałem izbę, już się i łąki pokarczowały i ogród zasadził, i gospodarstwo wzmogło i najunita przybrałem, i tak krok za krokiem rozpoczęło się pracować pomalutku, aby na chleb powszedni. Jeszczem się i mecenasowi musiał wypłacić, i zbić na wszystko, od łyżki i miski począwszy, bom prócz terlicy, szabli i opończy nie miał przychodząc. W kilkanaście gospodarstwo stanęło, jak dziś widzisz, i ja-m się z poczciwą matką twoją ożenił, nie szukając grosza w małżeństwie, ani stosunków familijnych, z ubogą jak i ja szlachcianką, któ-

ręj dwie ręce pracowite i serce złote pomocniejsze mi były, niż drogi posag, za któryby się wysługiwać przyszło upokorzeniem codzienném. Kusili mnie nie jeden raz służbą, sprzedaniem tego kawałka i lepszym losem, tak jak mnie dziś kuszą tym Kryłowem i odpoczynkiem Jamuntowie, ale nie... człowiek już tu głowę położy. Wszystko, jeżeli nie moją ręką, to pracą własną się zrobiło na tym szmacie ziemi; chatę sam ciosałem, drzewam sadził, pole wydzierał, bydłęta hodował, i ciężko-by się z tém rozstać... dokłepie się życie i tak...

Ojciec począł mnie później dopytywać o zajęciu mojem w Borowój i przyszłości; a gdym mu opowiedział, że koło książek wyznaczyli mi zajęcie, odezwał się nachmurzony:

— Ja tam nie wiem, co tobie, Janku, lepsze i po sercu... ale zważaj-no dobrze, żebyś nie wyszedł na pieczeniara i o swojej sile potem nie umiał się pokierować na świecie. Człowiek powinien mieć w rękę sposób do życia, żeby nikogo nie potrzebować; szlacheć rodzi się żołnierzem i gospodarzem, to dla niego chleb, a w książkach nie wiem, czy jemu przystało się szperać — i do czego to prowadzi. Ludzie książki szanują, ale bez nich się obchodzą, i gdyby nie próżnostka mądrości, niewieleby do nich mieli smaku, choć to one taki po dziadach nam przekazują pamięć i w nich się chowa doświadczenie... a gdyby ich nie było, ludzie-by rozpocząć musieli nanowo od-początku. Mówią, że teraz papier bierze górę... jabym przecież wolał, żebyś pisał na zagonie i umiał co więcej. Wielki dwór i wygodne życie, dobra rzecz, ale człowiek w nich słabnie, traci ochotę do pracy, łatwego się uczy chleba, i potem myśli, że kto ma więcej, powinien się z nim dzielić, albo pochlebstwem płaci mizerny okrawek, który mu, jak natrętnemu psu, rzucają ze stołu. Ja do Kryłowa nie pójdę, to darmo, ale kiedy Jamuntowie go mają do zbycia, niech tobie puszczaą dzierzawą, weź, pracuj jak ja, dorabiaj się, jeśli poszczęści... jabym to wolał, niżbyś miał wisić przy nich na pensyi, nie nie robiąc; toć to około tych książek za kilka tysięcy w rok niema roboty. Książkę może i przy gospodarstwie wziąć w rękę każdy, kto ma ochotę: rozum z niej nabyty nie zaszkodzi, ale ona chleba nie da, i uchwaj Boże go od niej prosić. Ja to tam nie rozumiem, ale zdaje się, że rozumu sprzedawać się nie godzi... Zręsztań rób, jak lepiej ci się zda, a o przyszłości pamiętaj, żebyś nie zszedł potem na takiego Hończarewskiego, co czeka na obiad, a zarobić sobie na niego nie potrafi i jutroby umarł z głodu, żeby mu kto nie dał gotowego...

Dobrze i świecie poradził mi pan Aleksander, żebym do rodziców pojechał, odświeżyć się tutejszém powietrzem; czuję się spokojniejszy jakoś, trzeźwiejszy, i widok moich rodziców wzmacnia

mnie na to, co czekać może. Żleby było, żebym zapomniał chatki, z której wyszedłem i nadto odrazu przywiązał się do pałacu, gdzie przypadek i łaska mnie przytuliły. Życie nie może być łatwem i nie powinno. Nie wiem czemu, patrząc na moich staruszków tak od świtu do nocy krzątających się na maluczkiem, otucha wstępuje do serca, że i ja sobie dam radę, gdy w Borowej często strach groźną mi maluje przyszłość. Tamto życie zbyt przekarmia marzeniem i szczepi pragnienia jakieś, które się zaspokoić nie mogą; tu uczę się przestawać na małym, a resztę sobie duszą i uczuciem dopełniać. Pomimo dobroci Jamuntów i ich rodzicielskiego serca, ja się tam zepsuć muszę, rozleniwic, nabrać obyczajów dostatku, nawyżać oczy i usta do zbytku, a później kiedyś ciężko to odpokutować. Pojmuję teraz, dlaczego ojciec tak się opierał, nie chcąc mnie tam zostawić, czemu on sam nie przejdzie na łatwiejsze życie... człowiek do nietrwalego dobra przywiązywać się nie powinien... oszczędzając sobie boleści, i o ile możności nie zależąc od drugich.

Poproszę więc pana Aleksandra, niech mi w pensyi Kryłów wypuści i przeniosę się tam, aż nad to mogąc wystarczyć gospodarstwu i dozorowi biblioteki, która się Mateuszem obchodziła. Kryłów od Borowej niedaleko, kilka razy na tydzień będę mógł przyjechać i pocieszyć się widokiem tych drogich państwa, a od pracy się nie odzwyczaję, od życia prostszego nie odwyknę. Ojciec, któremu projekt mój opowiedziałem, przystaje nań z ochotą, nawet mi obiecuje, że przyjedzie do mnie z matką i Andzię zobaczyć moje chatę...

Wielki urok ma ten wyraz: *moja chata!*... I ja więc mieć będę dach własny, a choćby słomą pokryty, choćby nizutki i biedny, ciszę, którą zaludnię myślą, kątek, który uczynię takim, jakim zapragnę, na obraz i podobieństwo moje. Wyobraźnia już mi maluje tę przyszłość w dziwnie uroczych kolorach, nawet samotność mnie nie przestrasza, bo ją potrafię zaludnić myślami, pracą, nadziejami... Co za szczęście jeszcze w dodatku mieć Borowę tuż blisko i mózdz codzien ją zobaczyć, a być u *siebie!*

— Ot tak lepiej — powiada ojciec — tak lepiej, ale Kryłowa nie bierz darmo, staraj się wypłacić, zbyt nich pomocy nie przyjmuj, im więcej sam sobie wyrobisz, tém ci to droższém będzie.

Pokazuje mi swoje gospodarstwo, uczy, przestrzega, sekreta swoje rozpowiada po dniach całych, i z dnia na dzień zatrzymuje mnie przy sobie. Jużby potrzeba jechać, ja tu siedzę i oderwać się od nich nie mogę. Tu także spokój boży i cisza pocziwa... bo ojciec z sąsiadami umie być w zgodzie i woli czasem udając,

że nie widzi czego, ustąpić, niżeli sobie serce nienawiścią zatruchać, której jedno ziarno zakwasi wszystko. Jeszcze się musiał przyzostać trochę dla interesu, z którego wiele rad jestem, bo mi się zdaje, że to rodzicom w korzyść pójść powinno. Obok naszego pola i sadyby jest pustka, z kolokacyi wyznaczona jakiemuś niemieszkającemu tu panu, który o nią niewiele dba jak widać; potrzebna ona dla nas, bo ma wypas i lasu kilka morgów niezłego, i pole, które choć brzezina odłogując porosło, mogłoby się łatwo wydrzeć, we dwójnasób powiększyło-by naszą schedę. Dawniej dzierżawili to różni, teraz już od lat kilku pustuje; z tych pieniędzy, które przysłałem ojcu, myśli on nabyć Czelakowszczyznę i stary ożył, jak się wziął do tego, rachuje, bawi się, mierzy, prawie bogactwo w tém widząc dla siebie. Jeździliśmy do miasteczka w tym interesie, i zgoda prawie stanęła; chodzi o to, żeby wyplatę na dwie raty rozdzielić, co pewnie otrzymamy, bo się chcą pozbyć i cokolwiek wziąć za to. Kilka dni o niczem mowy nie było, tylko o tém, matka, ojciec, Andzia rozprawiali o Czelakowszczyźnie jak w Borowej o całym kluczu-by nie gadali, a pewnie tam nabycie kilku wiosek nie sprawiłoby takiej przyjemności, jak u nas ten kawał pustkowie. Teraz bo na niém odkrywają się cuda, budują ogromne nadzieje. Lasek może pomieścić pasiekę, na sosnach są barcie puste, łąkę możnaby łatwo osuszyć, pole da proso w pierwszym roku, brzeźniak młody na opał posłuży, a w dodatku blisko bardzo, tak, że się oszczędzi wożenia i chudoby. Stary mój odmłodził i poweselał, ale i on i matka zbyt może wiele na Czelakowszczyznę rachują, zawczasu sprzedając, co się jeszcze nie urodziło. Podwórko-by się rozszerzyło, sad powiększył, bo stara sadyba opuszczona przypiera do naszej i ojciec przypuszcza, że możeby dworek nowy powoli sobie postawił, czemu się matka opiera; bo starym nie dobrze do nowej się budowli przenosić; odwieczny to u nas przesąd... dający się bardzo tłómaczyć.

Z temi marzeniami opuścić ich potrzeba i powracać do Borowej, pamiętając, że choć lekkie, mam przecie obowiązki, których zaniedbywać nie powinienem... A żal mi opuszczać ciche podwórko nasze... Tu się czuję w domu, tam na łasce u obcych... myśl własnego kątką popsuka mi już Borowę nawet, którą tak kocham.

23 września.

Rozstaliśmy się ze łzami, ojciec błogosławił, matka milcząc kreśliła krzyże nad głową moją, Andzia płakała, bo jój o to nie tru-

dno; nie chciałem przedłużać chwili rozstania, chwyciłem się na konia i uciekłem...

Tak miałem pełną głowę wyjechawszy od rodziców, że mi tych kilka mil drogi minęło strzałą, i anim się opatrzył, jak drugiego dnia stanąłem przed dworkiem kanonika, który na ławce siedząc otoczony ubóstwem i psami, już po pacierzach odpoczywał, czekając rychło na mszę świętą zasygnują.

Spostrzegłszy mnie, ani dał jechać dalej.

— Stój! — zawołał — czekaj!

— Konia muszę do stajni...

— Grenadyer ci go odprowadzi—rzekł wskazując na kalekę—mam tysiąc rzeczy do powiedzenia, a tu już z niemi skończyłem... Nie bój się, trzeźwy — dodał ciszej — a do stajni niedaleko, ręczę za niego, koniowi nie się nie stanie.

Żołnierz podjął się ochotnie konia, a ja musiałem zostać; weszliśmy do dworku.

— No cóż — spytał — rodzice zdrowi? jak? co? gadaj! tęskniłeś za nami? — I uściskał mnie kilka razy, dodając: — Co to za natura... człowiek się przywiązuje do wszystkiego, ot! i bez waści już nam tu czegoś brakowało... Niech-że mnie, już to siebie znam, że nałogowy jestem; ale i w pałacu chorąstwo kilka razy wspominali o waszeci.

— Cóż tu słyhać? — zapytałem — zdrowi?

— Dzięki Bogu... i hrabinę niema!

— Jakto? wyjechała? — przerwałem zdziwiony.

— A tak, pojechała, chwala Bogu, pojechała, zostawując nam obietnicę powrotu. Siedziała tu jeszcze dni kilka, czegoś smutna, odbierała listy, wysyłała posłańców; nagle jednego dnia pochwyciła się jechać i nikt jej nie wstrzymywał, ale na odjeźdném zapowiedziała swoje odwiedziny znowu na czas podobno dłuższy. Co najgorsza, że pan Aleksander jak był się przy niej ożywił wyraźnie, tak teraz zdaje się za nią tęsknić, wszyscy to widzimy. Chorążyna, stary... niema wątpliwości, że go zajęła.

— Bóg tam zresztą raczy wiedzieć—dodał kanonik z westchnieniem — co to za kobieta, a ja w piersi się biję i wyznaję, że może zbyt pośpieszyłem się z sądem o nią. Ludzie jesteśmy, ludzie jesteśmy, *errare humanum est*... Ja nie powiem, żebym co fundamentalnego miał przeciw niej... Planetami, jak to powiadają, różnie mi się okazywała, czasem drażniąc i sprzeciwiając się jak dziecko, to znowu dobra i potulna, jakby inna całkowiecie. Kto może kamieniem rzucać! nie godzi się... nie godzi... Zawszebym wolał, żeby nasz Oleś kogo innego wybrał, nie jakąś tam wdowę

czy rozwódkę, co długo po świecie latała i zbyt wiele doświadczyła... ale jeśli jest w tém wola boża, my nie poradzimy... A Oles taki widocznie tęskny i chodzi od jój wyjazdu jak przybity.

— Cóż pani chorążyna? — spytałem.

— Mileczy i oboje jakby tego nie widzieli... niema bo co życzyć zapewne, ale... jeśli się nie chce żenić całkiem?... Zresztą co ja tam wiem, mój Jasiu — dodał — ogłupiałem formalnie, i nie ja sam, ale my tu wszyscy... szczęściem, że sobie pojechała; daj Boże tylko, by i nie powróciła. A wiesz — dorzucił po chwili — kanarek mi najpiękniejszy, śpiewak doskonały, zdechł; co mu się zrobiło, nie wiem, posmutniał, osowiał, najeżyło mu się pierze, jeść nie chciał i nie mogłem go uratować.

Wtém zaszygnowano na mszę. Kanonik chwycił za brewiarz (stary, rozumie się).—Będziesz mi służył — rzekł — jak pierwszym razem, kiedyś tu do nas przyjechał; zaczynajmy od Boga.

I poszliśmy drogą do kościołka, witając się z wysypującymi powoli ze dworzków mieszkańcami Borowój, którzy mnie serdecznie dopytując o podróż przyjęli. Na cmentarzu spotkałem panią chorążynę, która mnie chwilkę wstrzymała, dowiadując się o rodziców; czegoś mi się wydała błada, i na twarzy jój mimo rozpromieniającego uśmiechu był smutek tajony a głęboki. Nikt nie wspomniał hrabinęj, jakby umyślnie, choć widać było, że pamięć jój tkwiła we wszystkich. Po mszy z księdzem Ginwillem poszliśmy do pałacu na śniadanie. Chorąży uściśnął mnie i rzekł nawet:

— A dobrze, żeś powrócił! dobrze!

Pan Aleksander wiedział o przybyciu mojem i podał mi rękę wpatrując się w oczy.

— Opaliłeś się — rzekł — to ci do twarzy... no, a cóż? rodzice? projekta nasze, będzie co z tego?

— Trudno — odpowiedziałem — ale powoli to się może i robi; ojciec inaczej sobie życzy... wyciągnąć go stamtąd nie mogę od razu, chce, żebym ja wprzód dzierzawą wziął dworek i grunta Kryłowskie... Może-by mi to do pilnowania biblioteki nie przeszkadzało, a gospodarstwa-bym się przyuczył...

— Dobrze i tak... pogadamy o tém — rzekł pan Aleksander.

W czasie naszej rozmowy chorążyna wciąż patrzała na syna, na którego twarzy i ja dostrzegłem jakiegoś niepokoju i smutku; roztagoniony był, nie swój, i chłodna powaga ustąpiła miejsca niemal młodzieńczemu jakimś uczuciu, błyskającemu w oczach... Przy śniadaniu mowy nie było o hrabinie, nikt nie wspomniał o niej, unikano nawet nazwiska, a ta ostrożność dowodziła, jak w gruncie wszystkich obchodzić musiała; Hończarewski tylko szepnął mi:

- Nie zastałeś jęj, nie wiesz nic, to antychrystka!
— Jakto? — spytałem — a tyłeś ją chwalił!
— Zwodnica! niegodna zwodnica! — zawołał z zapalem i splu-
nął — nie wspominać jęj czystemi usty!... Tfu!
Wrażień, jakie tu zostawiła po sobie nic jeszcze zrozumieć nie mo-
gę, ale dziwna, jak krótki jęj pobyt głęboko się czuć daje na wszyst-
kich.
-

CZEŚĆ DRUGA.

Na tém kończy się urywek dziennika Jana Bronicza, którego użyliśmy na rozpoczęcie powieści naszej: wymaga ona, byśmy do wysnuęcia dalszego jej ciągu do innych już uciekli się źródła. Jakkolwiek z wielu względów notatki młodego chłopca nie są zapewne dostateczne do ukazania nam w pełniejszym świetle osób wyprowadzonych na scenę, nie chcieliśmy ich przerywać uwagami naszymi, któreby całości ich i związkowi szkodzić mogły.

Tu więc zamyka się pierwszy obraz, zapada zasłona, drugi się akt rozpoczyna. Nieuchronnóm nam się zdawało dla lepszego pojęcia charakteru tego zjawiska, które tak wstrzęsło spokojem Borowej i zagroziło jej mieszkańcom, zwrócić się nieco w przeszłość i bliżej dać poznać losy kobiety, która jak meteor piorunowém światłem swoim jaskrawo i nagle wstępuje na scenę naszego wiejskiego teatru. Musimy więc na czas rozstać się z kółkiem, w które wprowadziliśmy czytelników, i cofnąć się o lat kilka, przechodząc w świat inny, odmienną sferę, opowiadając życie tajemniczój istoty. Niepodobna zresztą tego epizodu zawrzeć w tak ciasnych ramach, w jakichbyśmy go sami z innych względów umieścić pragnęli. Przelotny rys życia pani Bulskiej nie wyjaśniłby nam wcale tego charakteru sklejonego dziwnie z tysiąca sprzeczności i będącego wynikłością wpływów, które nań działając, wyrobiły tę postać, trochę wyjątkową na pozór, nie tak jednak ekscentryczną, by każdy z nas podobnej parę razy w życiu nie spotkał. Wprawdzie przerwie to i zawiesi interes powieści, lecz myśmy go oddawna przywykli poświęcać chętnie, zajmując raczej nasze zadanie, jako studyum epoki i istot, które ją wyrażają, niżeli jako melodramatyczną budowę poplątanych wypadków. Biada temu, kto zajęcie obudzać musi cudownością pomysłów, intrygą i tajemniczemi półśrodkami teatralnemi, któreby dziś i dzieci już nie zabawiły, tak to się wszystko starło i zużyło.

Chętnie się więc wyrzekamy regularniejszego planu i oklepanej formuły, przechodząc na drogę, którą wskazują fantazyja i samo-srowsze nawet pojęcie celu powieści. Może być, że niechętni oskarżą o przedłużanie umyślne tego, co krótkiem podług nich być mogło, lecz zaprawdę my nie pojmujemy na to prawidła, bo wszelką treść można zawrzeć w dwóch słowach, a z jednego słowa wysnuć kart tysięcy. Kiedy pisarz wydaje się za długim, nie treść temu winna, panowie moi, ale ten, co jęj użyć i skorzystać z niej nie umiał.

W ziarnie piasku są światy, i świat z pewnego stanowiska jest ziarnem piasku tylko. Są rzeczy i wypadki, które się malują wyrazem jednym, są inne, które powolnie objaśniać i malować potrzeba; i tu znowu niema ogólnego prawa, wszystko jest zależnem; raz dosyć na to słowa, gdy drugi raz mało tysięcy. Krytyka dzisiejsza umiejętna, wzniosła, na pozór lepiej pojmnje może myśl filozoficzną utworów, które rozbiera, niżeli artystyczne narodzenia ich warunki. Czuć w niej, że na wymiar płodów nowych braknie łokcia, porównania, pewnika. Brak może fantazyji poetom naszym często, ale krytyka mogłaby się nią podzielić, tak szafuje darem, który jęj weale nie przystał. Jeżeli nie filozofuje i nie zgaduje (często na opak) myśli autora, biedzi się z pojęciem budowy, ledwie mogąc ją opisać, a nigdy oszczędzić! I nie dziw — gdzież dawne prawa i granice, gdzie dla ducha i myśli ściany, o któreby się oparły, jak wyzwolencom powiedzieć: nie pójdziecie dalej? Krytyka widzi polot i zżyma się nań, ale rzadko śmie zaprotestować, bo w imię czegożby przyjsć mogła ze swém *veto*, kiedy niedawno sama stawiała barykady i pomagała do obalenia ciasnych szranków?... Na nieszczęście wszyscy aż do krytyków czują jakiś kodeks nowy; ale któż jest w stanie go napisać, i ktoby dziś chciał go przyjąć? Fantazyja pisze każdemu z nas księgę praw i zmienia ją, doskonali, psuje, drze, dopełnia, jak się jęj podoba...

E sempre bene? nie powiem—ale że nam tak wygodniej, to pewna; żyjemy w chwili przejścia, korzystajmy z niej, póki trwa, i pozwólmy sobie, jak w zdobytém mieście kilkogodzinnej hulanki. Tylko co nie widać jak jutro lub pozajutrze, przy huku dwudziesto-cztero-pieśniowej epopei, wystrzałach ód i trąbach dytyrambów wprowadzą nam wygnaną dynastję Arystotelesową i porządek... Czekając więc na tę chwilę z gotowością i rezygnacyą, niech nam wolno będzie użyć terażniejszej... A zatem kończymy nawias i poczynamy część drugą.

W szlacheckim dworku, w pierwszej izbie, której wszystkie okna były powymowane, na tapezanie okrytym kobierczykiem staro-

świeckim, w drewnianej, czerwono pomalowanej trumience leżało ciało starca, którego głowa typu, jakiego już dziś nie widać, spokojnego snu wyraz nosiła.

Obnażone czoło wysokie, potrząśnięte siwizną, duży was biały, od żółkłej twarzy odbijały kolorystem... Nieboszczyk zdawał się drzemać tylko, tak nie cierpienia i boleści nie było na tém licu, na którym ręka śmierci wyryła, co życie ukrywało w głębi duszy. Skromna była i trumienka i pogrzebowy przybór i odzież zmarłego... na nim kapota granatowa, na drobne jedwabne spięta guziczki, pas stary słucki, a w rękach mały krzyżyk drewniany z wizerunkiem Chrystusa... Cztery świece kościelne paliły się w nogach i głowach, gdzie cynowy stał krucyfiks... Dwie babki i organista to coś śpiewali z cicha smętnym głosem, to ciszej jeszcze rozmawiali, zieloną gałęzią opędzając muchy od twarzy staruszka...

We drzwiach, w dziedzińcu nie było prawie nikogo, choć śmierć zawsze prawie sprowadza ciekawych... znać kilka dni upłynęło już od zgonu, i ludzie oswoili się z wypadkiem, napatrzyli na zmarłego, nagadali o ostatnich jego chwilach. U okna tylko z zapłakanymi czerwonymi oczyma klęczała dziewczeczka, ciemno i skromnie ubrana, modląc się na książeczce i rzewnie chwilami płakała. Zakrystyan i babki spoglądali na nią niekiedy i kiwali głowami — tyle bo oni już takich łez widzieli, co nazajutrz osychały od powiewu gorącego światowego powietrza!

Cicho było w izdebce, od której drzwi do głębi domu stały zaparte, a świergot wróbli w bzach od ogródka przerywał tylko grobowe milczenie... Znać było, że bieg życia wstrzymał się w dworku tą śmiercią... i wszystko stanęło jak zegar nienakręcony, czekając ręki, któraby nanowo w ruch wprawiła... Dziewczę wciąż się modliło, a babki zerkając na nią, to śpiewały, to noszeptywały — organista zmęczony patrzył w księgę leżącą na kolanach, czując, że tu kościół reprezentował i stosowną do tego przybierając postawę... człowiek wszędzie jest sobą, nawet przy trumnie i wobec śmierci...

Zmierchało na dworze, a gorący dzień letni parnym się kończył wieczorem; przez okna otwarte nie przewiewał wiatr, buchało gorąco tylko, i zdala z stojącej na zachodzie chmury dawał się słyszeć grzmot daleki.

Organista, obejrawszy się wkoło, wstał pocichu, na swoim miejscu położył książkę otwartą, jakby nią chciał prędki swój powrót zapewnić, i pocichu wyniósł się za drzwi.

W ganeczku o dwóch słupkach siadł na ławie i spoczywał, ocierając z potu czoło; jakoś mu się tęskno zrobiło... może, iż taką pustkę widział w izbie i nikogo nawet odwiedzającego... może po-

myślawszy o śmierci, o jutrze, o sobie. Tuż zaraz podle dworku, za płotem osadzonym bzami i jaśminem, szła droga do miasteczka: wpatrzył się w nią, ale na niej nikogo nie dojrzał w tej chwili. Nierychło jakoś, gdy już oczy odwrócił, dał się słyszeć turkot wózka, i znowu wzrok kościelnego sługi przeszedł na tę stronę, z której kogoś, jakiejś życia oznaki z widocznym upragnieniem wyglądał. Milczenie śmierci znać mu pożądanym czyniło każdy objaw ruchu, każdą istotę żywą, za któremi zatęsknił przy trumnie. Przez wrótka otwarte pokazała się naprzód głowa konia zwalnającego biegu, potem wózek prosty, nareszcie mężczyzna siedzący na nim, który obejrawszy się ku dworkowi, wstrzymał i stanął. Koń, natychmiast spuściwszy głowę, cheiwie trawy szukać zaczął, a pan jego po małym namyśle, opyliwszy suknię, z biczem w ręku wszedł na podwórze... Był to kapotowy szlachcic, właśnie stosowne dla organisty towarzystwo, i znudzony śpiewak pogrzebowy z radością wpatrzył się w nadchodzącego, który opodal czapkę zdjął i ciekawie się rozglądał po opustoszonej podwórku.

Powitali się jak znajomi cichym głosem.

— Dobry wieczór, panie Pawle...

— Jak się macie, panie Janie...

— A co, przyszedł staremu koniec?...

— Zmarło mu się, nieborakowi.

Organista potraktował dobytą z szerokiej kieszeni tabakierką korówką, którą z przyceiskiem otworzywszy, podał przybyłemu panu Pawłowi.

— I cóż to mu było? — zapytał Paweł przysiadując się.

— Cóż być miało! przyszła kréska na Matyska — rzekł poważnie ciągnąc tabakę jedną i drugą stroną nosa długiego i ostrego organista... trzymał się, trzymał, aż w końcu musiał nieboraczysko położyć.

— Kiedyż umarł?

— Już dzień trzeci... ale się jeszcze na pogrzeb nie zbrali, bo krewni nie przybywają... a że to matadory wielkie, czekają na nich.

— A tak! — odparł Paweł — wiem, wiem, nieboszczyk był z dobrej familii, co się nazywa... pięknie edukowany nawet... musiał zbiednieć tylko na starość, że się w kapotę zaszył i tak sobie w tym dworku osiadł, unikając ludzi.

Organista głową potrząsł, dając do zrozumienia uśmiechem, że pan Paweł nic nie wiedział, ale zamilkł i westchnieniem skończył.

— Wszak nie żonaty był i dzieci nie miał, zdaje mi się.

Organista, znowu oczy wlepiając w niebo, dał do zrozumienia, że mówić mu nie wypada, i po tabakierze tylko poklepał palcami.

— Muszę choć anioł pański zmówić za jego duszę — dodał Paweł — mało go znałem, wszelako pocziwie to było, to zaraz czuę od słowa, niech mu Bóg da niebo.

I postawiwszy biczysko przy drzwiach, szlachcie wsunął się do izdebki pomału, klękając u progu; na widok jego, babki poczęły piszczącym głosem swój śpiew monotony i żywsze much ogania-
nie... modląca się tylko dziewczeczka nie zwróciła ku niemu głowy.

Odmówiwszy pacierz, szlachcie napowrót się w ganek wsunął i wzdychając usiadł przy organieście, który zamyślony jeszcze świeżego powietrza używał.

— Zmienił się staruszek... — rzekł pocichu — ale powiedziałbyś, że śpi, tak ma twarz spokojną... a to co za kobieta modli się w kątku?

Dyplomatyczny organista popatrzył na niedyskretnie pytającego pana Pawła, ruszył ramionami i rzekł:

— Krewna czy coś.

— To waćpan, panie Pawle, widno go nie znałeś?

— Ale bardzo mało, widywałem w kościele, spotkałem kiedyś na probostwie... gadałem z nim parę razy. Do mnie stąd bodaj nie półtoręj mili... interesu i komitywy z sobą nie mieliśmy, zresztą ja nie ciekawy.

— Co to za upał — przerwał organista — burza będzie ani chybi.

— A tu kopy w polu...

— I u mnie kawałek gospodarstwa téż, a człek tu musi siedzieć przy nieboszczyku... ale cóż robić... kiedyś grzyb, leż w kosz... obowiązki, panie, obowiązki!

I zażył tabaki.

— Piwa-bym się napił — rzekł sentencyonalnie.

— I możesz odejść? — spytał Paweł — dwa kroki, i jabym nie był od tego.

— Nie wypada — potrząsł głową organista — obowiązki...

— Pokrzepić się musisz czémś — szepnął Paweł.

— Należałoby, bo tu o człeku niema komu pamiętać... ta dzierlatka klęczy, modli się i płacze, sama nic nie jadłszy już trzeci dzień, a co ją sen zmorzy, to się szlochaniem budzi... sładzy kościelni o głodzie...

— Chodź-bo wasze na piwo, widzę, że ci się go chce—przerwał Paweł — na co ci te ceremonie... powiesz mi po drodze o starym, bom ciekaw a nie wiem nie.

Zawahał się organista — spojrzął ku izbie, wszedł do niej i coś babkom szepnął, potem wysunął się ze dworku z panem Pawłem, ale bez czapki.

Dopiero za bramą, odchrząknawszy, głośniej począł i śmieliej, kierując się ku naprzeciw stojącemu szynkowi.

— Musiałem tam wprzód rozporządzić, bo na mojej głowie wszystko — rzekł do pana Pawła — baby się mogły pospać, ktoś by nadszedł, wstyd i nie godzi się.

— Czy też tak nikogo a nikogo tu niema? — zapytał Paweł.

— Jak widzicie, prawie pustką dworek stoi, bo to osobliwsze nieboszczyk prowadził życie — rzekł organista, *iterum iterumque* zażywając tabaki głośno i zamaszysto, rad, że się od trumny mógł na chwilę oderwać. — Żył sam jak palec, stary furman Piotr, kucharka i gospodyni niedołączna, wyrostek i ta dziewczeczka, która tam u ciała płacze... ot i po wszystkiém... A substancją miał dobrą...

— A to część co się zowie — rzekł z kolei pan Paweł — jedz, pij i popuszczaj pasa, gruntu po uszy, i jaki jeszcze! To pański mająteczek...

— Dlatego też powiadam, że grosza po nim zostać musiało i dobrego!... — pokiwał głową organista — człek był rządny, z ludźmi prawie nie żył... zbierał i pewnie... zostawił niezgorszy węzełek.

Domawiając tych słów stanęli w progu szynku, przed którym na ławeczce, pani propinatorowa siedziała, wachlując się liściem łopuchu ogromnym. Jak tylko zobaczyła gości idących, podniosła się z uśmiechem i powitała organistę, jak starą znajomość; kobiecie nie pomogło widać chciało się pogawędzić, a sama była w szynku, bo wszystka czeladź wyszła w pole. Średnich lat, dobrej tuszy, propinatorowa wesolą twarzą miała i otworzyste oczy, snąć na sprycie jej nie zbywało, obowiązek utrzymywania gospody dał jej trafną ludzi znajomość i tę łatwość w obejściu z obcemi, której się nabywa w nieustannych z niemi stosunkach. Otarliszy się fartuchem, rozjaśnioną twarzą przywitała pierwsza przybywających.

— Upadam do nóg pana Jana... a! i pan Paweł... rzadki gość...

— Czas krótki... muszę zaraz powracać — odezwał się organista z powagą — dawaj jejmość marcowego a prędko...

— Duchem... bo to u mnie zawsze duchem się robi wszystko... — zawołała propinatorowa. — Tylko klucze chwyć, do lochu zbiegnę, dwa kroki... a marcowe u mnie... mogę się pochwalić...

— Niech-że go jejmość da...

— Pan Paweł choć rzadki gość... ale wie, jakie u mnie marcowe? Prawda! ja się z tém obejść umiem — dodała, szastając się na progu — mogę się pochwalić... tylko, że mi go dużo pęka, tak bestya robi w butelkach...

— Jejmościuniu, radzibyśmy zobaczyć... — wtrącił organista.

— Ot, zaraz, dwa kroki... jeno kluczy wyszukam... Ale to tu ich nie mam, muszą być w izbie na kołku, albo na stole... a nie, to na poduszce; bo to ja i tam często kładnę, a człek się zapomina...

Byłaby jeszcze mówiła, gdyby organista nie rzekł z powagą:

— Dawaj-że jójmość, bo pójdę, nie piwszy.

Usiedli w ganku, a propinatorowa rzuciła się szybko i słyhać ją było, naprzód wymyślającą na klucze, potem brzękającą niemi, nie wytrzymała i pokazała je organiście z progu, idąc po marzec, nareszcie przyniosła parę butelek ocierając je fartuchem, i dwa kuflę, które postawiła na ławie.

— Jedna butelka z waszego rozkazu, a druga ode mnie! — dodała — niechajże mam satysfakcyą poczęstować u siebie kuma...

Organista skompromitowany spuścił głowę dziękując cichym ukłonem.

— Bo to my kumy — poczęła propinatorowa, obracając się do pana Pawła...

Dobyl piwa organista, chcąc zmienić tok rozmowy, i szumiący napój ponalewał w szklanki, śpiesząc ze swoją do gęby; jakoż jójmość zapomniała o kumostwie dla marcowego piwa i zawołała spozierając na szumowiny:

— A co? złe piwo? to ust nie można oderwać! fracha samo pańskie ich wino! nieprawdaż? a co? a co?

Pijący potrząśli głowami potakując, chcąc się zbyć gadatliwej niewiasty, ale ona ręce założywszy, stanęła w progu i dalejże swoje:

— Jechali tedy jacyś wieley państwo, jójmość młoda, jegomość starowina, a było to zawczoraj, gorąco gdyby w piekle, to nie przymerzając gdyby dziś... stanął stangret koniom wytehnąć podle propinacyi... ludzie sobie kazali dać piwa... ja do powozu... aż... aż...

— Co nam tam prawi pani Balcerowa... — przerwał zniecierpliwiony orgaaista — to powiedzcie nam lepiej, co to było nieboszczykowi, że mu się tak zmarło niespodzianie?

— Aha! — dodał Paweł — i ja go choć zdaleka znałem... pocziwy był człowiek...

Na wspomnienie nieboszczyka, propinatorka fartuch podniosła do oczów i skrzywiwszy się do płaczu, bo istotnie widać go żalowała, zaszlochala, żal zrazu mówić jój nie dał.

— Pocziwe człeczysko! niech Bóg świeci duszy jego! nikomu go pewnie więcej nie żal nad nas, cośmy się koło niego ocierali... wystawcie sobie... kumie...

Organista się skrzywił.

— Co to dziś mamy? — spytała szynkarka.

— Piątek...

— A tak! tfu! jakeżem głupia! prawda! piątek! Otóż, co chciałam mówić? tydzień temu, w piątek także, czy we czwartek, tak w piątek...

— Hm! hm! i cóż?—niecierpliwie skreślił się na ławie organista, nalewając drugą szklanekę...

— Nieboszczyk, który mnie i Balcera bardzo lubił, bo to on nam dał ten chleba kawałek na propinacyi, Panie mu nagrodź, odebrał skądś zdaleka list z Warszawy czy co, przez umyślnego, o południku... widzieliśmy, jak ten posłaniec jechał do dworku. A był zdrow jak ryba... tylko po swojemu smutny, bo wesołości już tak z przyrodzenia nie miał. Stara Jadwiga, kulawa jego gospodyni... która tam raz-wraz na niego naglądała, bo mu i prażyła i służyła, kręciła się, kiedy list odebrał... i postrzegła, że załamawszy ręce, kląkł... modlić się zaczął i długo płakał jak dziecko... Dosi wychowanicy nie było w izbie, coś robiła na ogródku... aż Jadwiga ga znając, że jej słówko u starego najlepiej pomoże, bo ją kochał gdyby własne, zaraz po nią pobięła, i ściągnęła ją od kwiatków... Otóż nieboszczyk list ów schowawszy, posłańca bez odpowiedzi odprawił, tylko go opłacił (bo on tu przychodził potem na piwo), a sam, słysząc, całuchną nockę oka nie zmrużył, jeno chodził a lamentował!... Dosią próżno się starała dowiedzieć nawet, co to było, tylko jej klęknąć kazał i zmówić anioł pański, nie wiem za czyje duszę. Tego dnia ani spał, ani jadł, w sobotę pojechał z Dosią do kościoła i sprawił jakieś nabożeństwo za zmarłego, bardzo, słyszę, przystojne, a wieczór powróciwszy, tak się i położył w łóżko i obiegł. Nazajutrz ja latałam do dworku, myślę sobie, że się albo co dowiem, albo poradzę, ale dostąpić go nie mogłam; Dosię tylko w łzach się rozplływającą widziałam... Posłali po doktora; ale jak przyjechał, tylko, słyszę, głową kiwał, i zaraz powiedział, że z niego nic nie będzie. W tej nieszczęśliwej dziewczynie, bo to była gdyby rodzona córka, ducha prawie nie stawało, tak ona go kochała!.. serce się krajało słuchając jej płaczu... że nie oszalała, to łaska boża, i teraz, słyszę, spokojniejsza... Już jak poszło na gorsze, to i przytomność stracił i siły, a co nasprowadzali znachorów, co robili, co radzili, nie nie pomagało... Otóż tak to do wtorku się męczył biedaczysko i dopiero przed śmiercią odzyskał przytomność... a ze wtorku na środek Bogu ducha oddał...

— Jaka historia!... — rzekł Paweł, pijąc powoli.

Organista, na którym przy znużeniu i gorącu poskutkowało piwo, szepnął mu w ucho:

— Nikt, jako żywo, prawdy nie wie!

Propinatorka mówiła dalej:

— Zostałaż się sierota! ta nieszczęśliwa Dosią, jak palec!

— To musiała być krewna? — spytał Paweł.

— Nie można wiedzieć... — poczęła żywo propinatorka — bo...

— Otóż to jest, że nikt nie wie — z przyciskiem dorzucił organista.

— Dzieckiem maleńkiem ją tu przywiózł nieboszczyk i chował jak córkę rodzoną... a kochał... to się za nią rozpadał!...

— Nie miał krewnych? — zapytał ciekawy Paweł, wysączając piwa ostatek.

— Kto ich wie! ale tu blisko nie słyhać — ruszając ramionami ozwała się szynkarka — posłali tam po kogoś...

— Coś to się na długi rozhovor zabiera — przerwał organista — a tu obowiązek, trzeba iść do ciała... więc żegnaj pana Pawła...

— Jakto! idziecie? — żywo zaprotestowała kobieta.

— Czy to mnie posiedzieć spokojnie! — rozogniony marcem ozwał się organista — żywi i umarli, wszyscy na mojej głowie, cała parafia... ksiądz próżnuje... chodzi se i modli się... a pan Jan musi być wszędzie... Już ciż sami widzicie, że tak ciała nie mogą porzucić? Jest honor, jest, ale i kłopotu dosyć! — westchnął, kończąc i posuwistemi kroki schodząc powoli ze wschodków po sumaryjnym pożegnaniu z propinatorką i panem Pawłem.

Szynkarka spojrzała nań, gdy odchodził, długo, z przekąsem jakimś i urazą, i odwróciła się do szlacheica, który siedząc w ganku przyglądał się nadchodzącej tuż-tuż burzy.

— Widzicie go! kumy się, słyszę, wstyda!... uważaliście! he! też dobrego słowa nie powiedział... głupi klecha! a! a! poczekajże, nierychło cię drugi raz poczęstuję piwem... rychlój ci dam pomójów... Ot, to mi pan...

— At! dalibyście mu pokój, pani Balcerowa... — pocieszył Paweł — aż to tam nie jedno mu na głowie, to się na politykę nie sadzi...

— Ale ja go znam... — odparła szynkarka — całe życie dumna sztuka, górą nosa drze... a taki z chóru nie wylezie... Tożemy trzymali z nim dziecko u Karwowskich na Maleszowie... udaje, że nie poznał... a piwo wypił...

— I, cicho już, darujcie mu — rzekł Paweł — co potem, że na niego się nawymyślacie.

— Tfu! — splunęła szynkarka — tak z nim, jak bez niego... człek choć na szynku, ale czystszy może, jak drugi przy kościele... kiedyby serce wypatroszyć, a zobaczyć, co w środku...

Wtém burza nadchodząca spędziła ich z ganku do izby, a Pan Paweł musiał konia i wózek do stajni zaciągnąć.

Chwilkę jeszcze trwały dąsy pani Balcerowój i zżymanie się na niewdzięcznego organistę, aż gdy zahuczał piorun i deszcz lunął jak z wiadra, troska o kopy, o zboże, o czeladkę wyprawioną z domu, przerwała narzekanie.

Nikt jeszcze z pola nie wracał, propinatorka się turbowała i z jednego okna zaglądała w drugie.

— Ależ leje, jak z rynwy! pognoi dalipan, jak choć godzinę to potrwa... byle jeszcze Bóg uchronił przypadku, bo pioruny siarczyste...

Poczeiwe serce kobiety zwróciło się do dworku, gdy nań spojrziała...

— A ta nieszczęśliwa Dosią, sama tam jedna przy nieboszczyku... jak to wytrzymuje... trzeci dzień. Żeby nie kulawa Jadwiga, nie byłoby komu słowa do niej przemówić... a i ta sobie w kącie płacze...

Wtém, powóz dosyć porządny zatoczył się przed gospodę; zoczywszy go pani Balcerowa, zapomniała już o burzy, o deszczu, nieboszczyku i Dosi, a wracając do gorliwego spełniania obowiązków swoich, wyleciała do sieni, żeby osobną stancję przybyłemu pokazać.

Trzeba wiedzieć, że ten pokój, niby gościnny, jak we wszystkich niemal, nie na trakcie stojących karczemkach, rzadko komu potrzebny, trochę sobie pani Balcerowa przywłaszczała, ale jako kobieta oględna i z jutrem żyjąca, na wypadek zawsze była gotowa do wystąpienia z niego, Stało w nim łóżko zasłane, kufer, beczka i tapczanik wakujący, było trochę worków z różnemi zapasami, ale sam szynk czynny naprzeciwko się mieścił.

— Proszę pana! proszę! — zawołała sięgając do kluczków gospościa i otwierając drzwi stancyjki — jest osobna kwatery... i nie chwalać się porządna...

Przybyły, okryty płaszczem, suchy, ospowaty, blade, przykrój twarzy mężczyzna, nic nie odpowiedział i szparko wszedł do pokoju, rozglądając się dokoła... Balcerowa przypatrywała mu się z natężoną ciekawością, dzieciom i wieśniakom właściwą, on jej wzrokiem jakimś badawczym i przeszywającym. Był to człowiek lat czterdziestu kilku, znać z pozoru i ubioru zamożny obywatel, ale dziwnie niemiły i wstrętliwy fizyognomii, i nie mający w sobie szlachetniejszego... Z dumą poglądał na lichą ciupkę, do której go wsadzono i niecierpliwie zdawał się znosić, że w niej dla deszczu, czy spóźnionej pory noc przepędzi.

— Waćpani tu jesteś gospodynią?

— Blizko od lat dziesięciu z mężem tu siedzimy — poczęła

propinatorka. — Może pan sobie co każe zrobić? jest chwała Bogu i co zjeść, i co wypić, nie powstydzim się...

— Mam ja z sobą, co mi potrzeba.... ale... czyjaż to wioseczka?
— dodał.

— A to Sadogóra... — odpowiedziała propinatorka żywo — kilka części, największa nieboszczyka pana Mikołajaja Czeszaka... dopiero kilka dni jak umarł.

— Już po pogrzebie? — spytał żywo gość.

— Nie... czekają tam na kogoś... słyszę, miał jakichś dalekich krewnych... i kazał do nich posłać...

— Nie pochowany?

— A nie...

— Jest tam kto we dworze!

— Tylko Dosia, wychowanica nieboszczyka...

— Miał wychowanicę? cóż to za jedna? — marszcząc się za-wołał przyjezdny.

— Ja to tam nie wiem... — odparła Balcerowa trochę zaniepokojona tém wypytywaniem — bo to nie moja rzecz.

Nieznajomy postrzegłszy, że natarczywém i nie w miejscu badaniem, spłoszył kobietę, która nań z podejrzliwością wejrzała, udał obojętność i począł o izbie już mówić.

— Jak to tu będzie nocować! — rzekł gderliwie. — Znałem dobrze tego waszego Czeszaka, byłbym do dworu zajechał, tylko nieszczęście, że go zastałem już w trumnie... a izba szkaradna! śmierdzi! brudno...

Balcerowa uraziła się, chciała nawet coś palnąć po swojemu, że nie tacy panowie u niej nocowali, i wcale nie śmierdziało, ale popatrzawszy na twarz surową i pasyi pełną przybyłego, wołała się cofnąć w milczeniu. Drzwi tylko zatrzasnęła za sobą z łoskotem, dowodzącym złego humoru.

— Ot to mi pan jakiś! starym koczykiem, czterema chabetami, a wymyśla, jakby karetą poszóstnie zajechał... Jeszcze mu i tam źle... Cóż to za morejne?...

Nastreczył się właśnie chłopiec niosący walizę gościa, a że od sług najlepiej się o panach dowiadywać, Balcerowa wzięła go ci-chaczem na spytki.

— Dokąd to państwo jedzicie? — zapytała.

— E! przed siebie! — mruknął chłopak kwaśno.

Nie było co pytać dalej; poszła.

— Poczekaj — rzekła w duchu — przyjdiesz ty sam do mnie, a wypowiadasz mi się sam, jak zechcę.

Wtém przybyły przekroczywszy drzwi huknął wołając gospo-

dyni, twarz był jakoś ułożył łagodniejszą i widocznie chciał się wdać w rozmowę.

— Słuchaj-no jęjmość — rzekł — pan Mikołaj Czeszak był mi zdawna dobrze znajomy; powiedzcie mi proszę, co to mu się stało, że zmarł? długo chorował?

— Z tydzień, proszę pana... z tydzień... a już oto trzy dni, jak z pogrzebem na kogoś z krewnych czekają, bo tam wójt posłał z uwiadomieniem do niego... według rozkazu nieboszczyka...

— Szkoda go, nieboraka! szkoda...

— Oj, co prawda, to prawda... a nie stary był człowiek...

— Mająteczek miał ładny i grosza téż coś zebrać musiał, bo żył oszczędnie? — wrzucił nieznajomy poglądając z pod oka.

— E! gdzie zaś... — ruszyła ramionami szynkarka — nie brałóć mu niczego, ale nie przyzbierało téż, poczciwe panisko, bo to był bardzo litościwy człowiek i dużo ludziom świadczył.

— Aleć długów nie miał? — żywo zapytał przybyły.

— A któż to tam wie! proszę pana...

Końlęto propinatorkę to wypytywanie o nieboszczyka, a że mi-mo gadatliwości nie głupia była kobieta, pomyślała sobie zaraz:

— Coś to w tém jest, lepiej język za zębami trzymać.

— Mieszkał tu kto koło niego z krewnych? — spytał jegomość, wciąż się przechadzając po izbie, i z okna od ulicy przyglądając się dworkowi, w którym światło od katafalku widać było.

— Jenó wychowanica! — odpowiedziała szynkarka — co to ją, jak własne dziecko chował. Dosia, proszę pana...

— A to co za jedna?

— Musi być sierota... któż to wie!

— Skądże ją napytał?

— Dzieckiem ją tu przywiózł... proszę pana...

— Hm! dawno?

— Tego ja nie pamiętam, bośmy tu wówczas na szynku z mężem nie byli, dopierośmy późniój nastali... ale od ludzi się sły-szało...

Nieznajomy zdawał się namyślać i rachować coś, splunął, po-chodził, a na deszcz się niecierpliwił. Balcerowa korzystając z przerwy w rozmowie i obawiając się własnego języka, żeby ją nie zdradził, otworzyła drzwi i uszła.

W izbie szynkowej wstrzymany deszczem siedział jeszcze pan Paweł, kazawszy sobie podać znów piwa, które powoli wysączał; przywlokła się już dziewczka służąca, dwoje dzieci i chudziutki, ma-ły, czarny mąż gospodyni, który z innemi zmokłe swe odzienie osu-szał i wykrecał, bo go ulewa, nie żałując, poczęstowała.

— Chwała Bogu, żeście powrócili! — zawołała jęjmość — a tu

i gości mamy, pan Paweł pewnie zanocuje, i tam w izbie jakiś też z waszecia myśli noclegować... Żywoź do roboty! — dodała — Magda do ognia i garnków, czas wieczereć warzyć... Balcer, idź daj siana, a wy chłopcy, nie szwędrać mi się po izbie, w ką!!

Ulewa się trochę ujęła, pioruny bić przestały, wolny tylko deszczyk kropił jeszcze, a zdaleka odchodząca już chmura grzmiała nad czarnymi lasy, które ją ku sobie pociągnęły; na dworze ściemniało się powoli, i o wyjeździe z karczmy nie można było pomyśleć... Przywlokło się jeszcze coś podróźnych, żydek z kramikiem, sitarz i kilku wieśniaków z okolicy na piwo... karczma ożywiła się zaraz, i ognia rozpalono, a pani Balcerowa w swoim żywiole, rozprawiała i gospodarzyła nie przysiadając na chwilę, ust już nie zamykając, a było i co robić.

Zawoływano kilka razy propinatorową do owego chmurnego gościa pod rozmaitemi pozorami, a za każdą razą, tak ją wybadywał o nieboszczyku, że się już to czémś podejrzaniem wydało; postanowiła więc koniecznie chłopca wypytać, co to za jeden był pan jego. Ale sługus, czy mu zakazano, czy już taką miał naturę przekorną, zawsze zbywał ni tém ni owém, nie rozwiązując gęby. Napróżno uśmiechała się doń grzecznie Balcerowa, traktując go z uszanowaniem, częstował pan Paweł tabaką, bo także był ciekaw tego jegomości, zaczął sam gospodarz zeicha i Magda go drażniła, siadł na ławie, zrobiwszy panu herbaty, i jak mruk się zaczął.

Dopiero, gdy na szynkfasie gęste kieliszki i szklanki przesuwać się zaczęły i zapach gorzałeczki rozszedł się po izbie, ów milezący chłopak jakoś się rozmarszczył, widoczna była, że mu się wódki chciało, a zdradliwej siły jęj się obawiał. Parę razy przeszedł się bliżej stoła i zwyciężywszy pokusę, na ławę w ką powrócił, wstał znowu i znów się strzymał; nareszcie nie mogąc wytrwać, wprost jak strzeleń zamierzył się do gospodyni, stuknął ręką i zawołał odchrząkując:

— Proszę kieliszek kminkówki!

— To cię już mam! — po tych chodach poznawszy pijaka, pomyślała w duchu Balcerowa i naląła mu nie pytając dobrą miarkę dziesięciogroszową.

— E! to będzie zawiele! — wyciągając rękę drżącą, szepnął sługus.

— Gdzie zaś, wódka delikatna! i dobra, żołądkowa — dodała Balcerowa — prawdziwa pańska! jak likwor!

Jednym haustem spełnił kielich, splunął chłopak, zakąsił z solą, i aż mu się oczy rozświeciły, innym zaraz zrobił się człowiekiem.

— Dobra wódka — rzekł niepytany — ale do kroć sto tysięcy, tęga!

— To ona tak się tylko wydaje...

— A! dobra! — sam do siebie rzekł przybyły, biorąc się za żołądek z uczuciem satysfakcyi wewnętrznej. — Kminkówka co się zowie! Pal ją dyabli! kiedy już wisieć, to za obie nogi — dodał pocichu. — Na drugą nogę proszę jęjmości! — zawołał prostując się.

Balcerowa już nalewała, a chłopak lyknał tak gładko drugi kieliszek, że widoczném było, iż na nim nie poprzestanie; zakąsił, znowu splunął i rozprostował się zupełnie, spoglądając na świat z tego szczęśliwego stanowiska gorzałczanego, które go tak wesolym czyni. Balcerowa wydała mu się jeszcze niczego. Magda, choć trochę tłusta, ale przystojna, karczma czysta i wygodna, ludzie otaczający, choć ich wszystkich ścisłaj i brataj się z niemi, zdało mu się nawet, że między niemi są znajomi — kto wie? może krewni?

Z tój potrzeby wywnętrzenia umiała żywo skorzystać karczmar-ka, i pewna teraz, że ją nie zbędzie lada czém, spytała z przełajem zachodząc:

— Takiej wódki pewnie u was nie pijacie, to z Warszawy.

Chłopak sobie węża pogładził.

— A toć my z pod Warszawy — rzekł wręcz — znam ja, co pierwszy, a co trzeci numer! to! to! Już takiej kminkówki jak w Miłosnej, albo w Grochowskiej karczynie, nie znajdziesz asani... Ale i to niczego.

— Albo to ją tam nie z żyta a z kartofel pędzą? — odparła Balcerowa — choćby i w samej Warszawie, zobaczycie dalej jadąc... aby szynkarz uczciwy człowiek, wszędzie się znajdzie uczciwa gorzałka, a my nie z tych, co to wody dolewają.

— Gdzie dalej?... — uśmiechnął się chłopiec głupowato, bo w nim już trunek skutkował -- a toż my tu do Sadogóry przyjechali i po wszystkim...

— Do kogo? — spytała szynkarka z podziwieniem.

— A do siebie... — ciszej odezwał się konfidencyjnie chłopak — toż mój pan stryjeczny brat tego nieboszczyka...

Balcerowa, przypomniawszy sobie twarz chmurną i obejście gburowskie, aż pobladła; nie mogła nawet ukryć w sobie, jak ją to obezszło, nalała szybko trzeci kieliszek kminkówki i, podając go chłopcu, rzekła:

— Ja pieniędzy nie wezmę, chodź-no waćpan do alkierza, coś powiem.

Zrazu jakoś się wahał nad trzecim kieliszkiem pan Marek, ale gdy go zapach zaszedł, obejrzał się, chlasnął żywo i posłuszny za gospodynią weisnął się do alkierza, skąd jejmość zaraz męża precz wyprawiła do stajni.

Dobrze mając oko na szynkownię i niby się około czegoś zajmując, na pewno już poczęła indagację gosposia.

— To to po was posyłali? — zapytała.

— A po kogóż? mój pan weźmie Sadogórę — rzekł Marek — a dobra w Sadogórze wódka...

Nieborak był już pijany, na czeze serce palnawszy trzy dobrej miary, tęgiej wódki kielichy, ale w głowie jakoś mu się zrobiło wesoło, jakby mu kto świat cały darował.

— O! dobra kminkówka — dodał na stronie — potrzeba być z szynkarką w przyjaźni, najlepsza rzecz.

— A czemużeście do dworu zaraz nie zajechali? — spytała Balcerowa — i taicie się z tém?

— To już taka natura pańska — odparł Marek bardzo cicho — nikomu nie wierzy, całe życie szpieguje, ludzi męczy i siebie, niech go...

Wstrzymał się przecie z przekleństwem i westchnął.

— Bo to widzicie — dokończył po chwili — i mnie zakazał, żebym ani pisał, i Jacek ma taką samą dyspozyceję, a przódy chciał przewąchać, co się tu dzieje, wysledzić, taki kuty!... O! będziecie mieli ptaszka! już ja go dobrze znam... a co mi włosów narwał i uszów nakręcił, toby na wołowej skórze nie spisał.

Propinatorowa aż w ręce plasnęła, ale spostrzegłszy się zaraz głośno kaszlnęła i niby czego szukać zaczęła.

— Nie darmo — pomyślała — tak się mnie wypytywał... A jaką on ma naturę? — zapytała.

— Lisia! lisia!.. — począł zeicha Marek — zeichą pęk, niedobry, nie, skąpy, cheiwy, zły... Dawniej, słysząc, hulął, wioskę jednę puścił, druga obdłużona, ale teraz się zrobił skąpy...

— Zonaty?

— Gdzie zaś, nie... a na co jemu żona? a któraby za niego poszła? ta to kutwa, niech Bóg obroni, i nie młody już i chory i ludzie go znają. A kobietek miał siła dawniej, to już im dał za wygraną.

Coraz bardziej rozmarzony, począł pan Marek:

— Ja jejmości wszystko powiem, ale cyt! — dodał — wara gadać, bo jak się dowie... — schwyił się chłopak za uszy — byłoby mnie było! Jejmość jesteś dobra kobieta, ale trzeba trzymać język za zębami... Będziecie się mieli z pyszna z nim, niema co mówić. Na niego jeden tylko jest sposób... tchórz! ot co! boi się

i ludzi i muchy i pająka; wszystko mu się zdaje, że na niego ktoś się czai, nikomu nie wierzy, ale każdy mu straszny. Jejmość jesteś dobra kobieta, ja jejmości wszystko powiem. On mnie wziął z małeńkości do dworu, bo ja byłem sierota, to ja to najlepiej wiem...

Pokiwała głową Balcerowa raz i drugi.

— Wasan tu sobie odpocznij — rzekła — a ja się pójdę do niego dowiem, czy czego nie potrzebuje.

— Ot i dobrze, aby mnie nie wołał, bo taki ma nos, że się zaraz kminkówki dowącha i baty nie miną — odpowiedział Marek — albo za uszy wytarga.

Nie słuchając już go, mocno przestraszona, ale usiłując przybrać minę swobodną, poprawiwszy chustki, Balcerowa poszła na przeciwek. Przybyły chodził tam po izdebce z fajką w zębach, chmurny i milczący, targając czupryny.

— Możeby panu co jeść zrobić? — zagadnęła gospodyni — tu jest wszystko, chwała Bogu, i jaja i mięso i masło swoje, i co tam pan każe, a nie chwaląc się zrobić to się potrafi.

— Nie, nie, nie będę jadł — rzekł przybyły, jakby chciał coś mówić i wahał się, wpatrując w drżącą szynkarę — jestem coś niezdrów... zmartwiłem się tą śmiercią waszego Czeszaka... to był mój przyjaciel, bardzo mi go żal! Ale powiedzcież mi, nie z zaraźliwej jakiej choroby on umarł? co to jemu było?

— Ja tam nie doktorka, to nie wiem proszę pana, ale ludzie mówią, że ze zmartwienia skończył...

— Ze zmartwienia! — zakrzyknął nieznajomy — a czegoż to się tak zmartwił?

— Tego ja, proszę pana, nie wiem, bo ja choć we dworze bywałam i bywam codzień, ale on nikomu nie mówił.

— A skądże ludzie wiedzą?

— List niby jakiś mu przysłali, to strasznie, powiadają, płakał i z tego żalu wielkiego zaniemógł i zamęczył się.

— List? coby to mogło być? Juściż nie był źle w interesach... nie miał długów?

— Chowaj Boże! to człowiek był porządny... niewiele pewnie zebrał, ale nikomu nie winien nie był...

— Wiele tu jest osady? — spytał nagle jegomość.

— A do dwudziestu — odpowiedziała Balcerowa.

— Dobry kawałek, słyszę?

— Oj, oj! czemuż nie; chleba dosyć, lasu szmat, i stawek i młynek i wypasu w bród.

— A za karczmę dużo płacicie? — zagadnął przybyły.

Zająknęła się karczmarka, jakoś w ustach jęj zaschło.

— Hm! — rzekła — bardzo dużo! do dwóch tysięcy, bo to

proszę pana trakt tędy... ale już oto kwartał ostatni dobywamy i przeniesiemy się gdzieindziej, bośmy stracili, dalej jeśli defalki nie dadzą, człowiek przepadnie. Rok głodny, mało kto co wypije i zje, owies drogi, niewiele się na nim zarobi, a żyć potrzeba. Nieboszezyk pan obiecał nam i z tego kwartału defalkować, ale Bóg wie co to teraz będzie, i kto tu będzie gospodarzył. Jak jaki nielitościwy najedzie, my się tu nie utrzymamy.

Umyślnie rzuciwszy na wszelki wypadek tę wiadomośćkę gościowi, Balcerowa wysunęła się nazad; spotkała męża w sieni i choć go odprowadziła do kąta ciemnego.

— Słuchaj, Balcer, jak mi piśniesz, to ci tak dam, że popamiętasz, ten pan... to żebyś wiedział, durniu, przyjechał brać majątek po nieboszezyku, znajże co robić i miej rozum, z jego ludźmi się poprzyjaźnij, ale ani słówka, że o tém wiesz... Piwa zanieś furmanowi i na wieczerek ich poprosisz.

Posłuszny mąż, jak zawsze tak i teraz przytuliwszy uszy, pobiegł co najrychlej spełniać rozkaz małżonki; przestraszony jak ona, i nie wiedząc jak sobie poradzić, żeby się strachem nie wydać.

Noc była późna, a w alkierzu państwo Balcerowie jeszcze się naradzali, co począć z przybyłym; jejmość musiała wszystko mężowi tłómaczyć, bo sam przez się nie umiał i obawiał się przedsiębrać cokolwiek, ale za to słuchał wybornie i trzymał się jejmościnego przykazania, jak pijany płotu. Marek położył się spać rozmarzony kminkówką, w różowym humorze.

Północ już być musiała, a niebo po burzy resztkami chmur porwanych usłane, miejscami się oczyszczając, świeciło blademi gwiazdkami, wiatr dał gwałtowny, cisza we wsi była głucha, i w dziedzińcu dworku tylko kiedy niekiedy pies zawył u okna nieboszezyka; w karczmie zaryglowywano wrota, gdy po błocie: wio! wio! nadsunęła się landara duża, poczwórna, szczęścią maleńkich koni zaprzężona i przed gankiem stanęła. Pani Balcerowa już mająca się kłaść spać, przytuliwszy głowę do szyby, tyle tylko dojrzała, że powóz jakiś był wielki, a koni do niego siła. Zaraz się hałas zrobił okropny, poczęto do drzwi walić, aż Marek przestraszony wyleciał do sieni; ktoś drugi w okna stukał, a zewsząd: otwieraj! otwieraj! wołano rozkazująco. Pan Paweł, który pod piecem nocował na huńce, Balcer, Magda, dzieci, co żyło, pozrywało się, nawet podróżny ów, klnąc, że mu spać nie dają, głośno na Marka zakrzyczał.

— Otwieraj! światła! prędjéj! jest izba? — wołali przybyli. — Czy to Sadogóra? gdzie dwór?

Znać to ostatnie pytanie dosłyszał gość, który wprzódy zajął stancję, i znowu na Marka wołać począł coraz donośniejsem głosem z wyrazem niecierpliwości; wrzawa się zrobiła niesłychana. Pani Balcerowa się aż za głowę chwyciła z niepokoju.

— Oto skaranie boże!... siedzisz jak na rozdrożu! i w nocy nawet spokoju niema, nietyle utarguję, co nahałasują...

Znający się do swojego obowiązku Balcer, który w karczmie miał tylko tytuł propinatora, żeby propinatorową nazwać się mogła jego żona, a w istocie gorzej stróża posługiwał, wybiegł na ostatek z lartarką zafrasowany i drzwi główne odryglował, za nim dopiero szła w narzuconym na ramiona szlafroku jejmość.

Służący w płaszczu stalowego koloru o sześciu pelerynach, kapełuszu lakierowanym z kokardą i galonem, z wąsami do góry i z miną tęgą, ale w dziurawych butach, co zaraz Balcerowa postrzegła, której oka nie nie uchodziło, wparł się do sieni łajac.

— Stancya jest?... kroćset dyabłów!

— Ale zajęta.

— A gdzie jaśnie pani nocować będzie?!

— Do dworu daleko?

— Nie, dwa kroki, ale... — zawołał Balcer.

— Czy nieboszczyk nie pochowany jeszcze?

— A nie, leży dotąd... czekają na krewnych z pogrzebem.

— Jest kto z krewnych?

Balcer byłby się duda wygadał, ale żona poskoczyła obaczywszy, że ów gość drzwi trochę otworzył i słucha rozmowy, szybko wołając:

— Nie ma nikogo! jakby kto był, toby do dworu zajechał, a tam nie słyhać...

To ostatnie pytanie podsłuchującego mocno zajęło i drzwi lepiej otwierając wpatrzył się w nieznanomego, który nawzajem oczy w niego wlepił ciekawie.

— A to kto przyjechał?

— Jaśnie wielmożna radezyni Pękosławska z Gorzewa.

Potrząsał głową nieznanomy.

— Powiedzcież, jeśli nie ma gdzie nocować, że się jój ustąpię i do stajni sobie przejść mogę.

Aż tu od powozu dał się słyszeć głos:

— Grzesiu! Grzesiu! a chodź ino!

Grześ się zawrócił, całe towarzystwo, nie wyjmując stojącego we drzwiach gościa, pozostało w zawieszaniu, uszu jego dolatywała zdala rozmowa pani radezyni ze służącym.

— A co izbęś znalazł?

— Ale zajęta, tylko tam jakiś jegomość obiecał ją dla jaśnie pani ustąpić.

— Prędzej-że, prędziej, napędzić tę hołotę i zajeżdzać do karczmy, bo we dworze nieboszczyk, po nocy już tam przybyć nie chce.

Głosik pani nie był bardzo miły, ale za to rozkazujący. Nim gość, grzecznie ofiarujący się ustąpić mieszkania, pośpieszył się jako tako ubrać, a Marek co najpilniejszego pozbierać, już się drzwi otworzyły a pani Pękosławska wtoczyła się ciężko przez próg przewalając podsadzana przez Grzesia i Balcerowę, bo sobie rękę podać jej kazała. Nie stara to jeszcze była kobieta, dobrej tuszy, ociężała, z twarzą rozlazłą i szeroką, zaczerwieniona może od drogi, miny surowej i rozkazującej a pańskiej. Ubiór jej zdradzał wyrzeczenie się wszelkiej kobiecej pretensyi do stroju i wdzięku; miała na sobie suknię dosyć starą, chustek i chusteczek mnóstwo, dwa worki w rękę, kapelusz na głowie spłowiały i zmięty, a pomimo tego niepoczesnego pozorów szła po królewsku i jakby była u siebie... Nie zmieszał ją widok pakunku i ślady gościa, który jej miał ustąpić mieszkania; znalazła to bardzo naturalném, obejrzała się tylko szukając go oczyma, a popatrzywszy zakrzyknęła:

— Na Boga, pan Fryderyk! co ja widzę, czy się nie mylę?

— Nie myli się pani dobrodziejka, istotnie, na jej usługi...

— A! sukcesyjka, braciszku! sukcesyjka zwała!

— Sukcesyjka! siostruniu dobrodziejko...

— Waćpan tu dawno?

— Kilka godzin.

— Otóż góra z górą, a tak-eśmy się zesli... no! a co tu słychać — dodała, zasiadając na krzeselku. — Byłeś już we dworze?

— Nie, jeszcze nie...

Tymczasem znoszono tłumoki, a lokaje w liberyi al odarto, kęcili się, rozpędzając po drodze, kogo spotkali.

— Hej! zawołać mi gospodynię czy gospodarza — ozwała się radezyni — pytałeś się, panie Fryderyku, co się tu dzieje?

— Troszkę, coś niecoś — rzekł zawstydzony spadkobierca — ale tak jak nic nie wiem.

— Trzebaż przecie wiedzieć, co się święci! hej! gospodyni mi wołajcie! słyszysz Grześ?

Grześ skoczył żywo, a Balcerowa tuż jakoś ukazała się w progu.

— Waćpani gospodyni jesteś, moja kochana — spytała radezyni — kiedy wasz pan umarł?

— A już ono będzie ze trzy dni.

— Któż tu przez ten czas gospodarował?

— A nikt, proszę pani; przy śmierci był proboszcz, to tam zara

opieczętowali wszystko, zresztą cóż było robić! trumienkę zadysponował Piotr z Jadwigą, i ciało postawili, to koło niego tam babki z organistą śpiewają, a Dosia płacze...

— Co za Dosia?

— A to, proszę pani, wychowanka nieboszczyka!

— Patrzaj asinǳiej — odwróciła się Pękosławska do pana Fryderyka — i wychowanek jakąś miał! słyszysz?!

Pan Fryderyk skrzywił się tylko i głową kiwnął niesmaczno.

— Musieli już bez nas starego *podpatrzeć* — używając wyrazu gospodarskiego, odezwała się przybyła, dowodząc, że ze wsi i od pasieki ją Pan Bóg prowadził.

— A kiedyż pogrzeb?

— Nikt tu bez krewnych nie dysponował, zresztą ja tam tego nie wiem — odezwała się Balcerowa — słyszę jutro, bo to gorąca pora, długo nieboszczyka trzymać nie można...

— I nie trzeba! — zahuczała pani radezyni! — zaraz waćpan jutro jedź do proboszcza — odwracając się do Fryderyka dodała żywo — i każ go chować; nie potrzeba wystawy żadnej, bo to duszy nie pomoże a z kieszeni wyciągnie, rozumiesz waćpan?

Pan Fryderyk stał jak okradziony, błydy, gniewny; i chmurno z pod brwi patrząc, kiwał tylko głową, kiedy niekiedy dawał oznaki niecierpliwości. Ludzie pownosili pakunek, Balcerowej zadysponowano coś, a gdy się zostali sami, wstała z krzesła pani Pękosławska i podeszła do brata, który napędzał Marka do wynoszenia tłumoków swoich.

— Coś ja waćpanu nie na rękę — rzekła z uśmiechem — myślałeś może, że się nie zgłoszę i samemu jegomości dam się rozporządzać, a fe! kochanku! przecieżem tak samo siostra stryjeczna, *de domo* Czeszak, jak i waćpan, i kazał mi umierający dać znać; po połowie bierzemy jeśli się reszta nie opatrzy.

— A jeśli się testament znajdzie! — łykając ślinkę rzekł gość pierwszy.

— To może oboje nie weźmiemy i pójdziemy z kwitkiem — odparła Pękosławska — ale nie, o! nie, ja bo już wiem, że testamentu niema. Jest tu mój stary znajomy proboszczem; pisał do mnie ze szczegółami, że kiedy go śmierć nasza i chciał testament robić, ledwie miał czas waści i mnie wymienił i umarł. Ale-bym ja była przyjechała i bez tego prędziej później, bo mam na to oko, co się mi należy. Pana Mikołaja mało co znałam, ale wiedziałam dobrze, że nie był żonaty i bezdzietny, mając sześcioro dzieci, grosz mi potrzebny... w samą porę, gdy Julkę wydawać myślę.

Gdy tak wpatrując się w brata, pani radezyni gwarzy, a słudzy jej urządzają herbatę w dosyć lichych podróźnych skorupkach i po-

życzanych szklankach, Balcerowa pobiegła widzieć zajeżdżającą landarę, bo jako wielka znawczyni ludzi, myślała z niej i z zaprzęgu i ze sług, wywnioskować coś o przybyłej a przyszłej może dziedzicze Sadogóry. Kocz to był stary z poobrywanymi firankami, ale z herbami, tak jak ludzie w galonach, ale dziurawo, a we wszystkim mieszała się ochota do zbytku i pompy, z nieładem i nieporządkiem. Balcerowa głową pokiwała spojrzawszy na konie, z których każdy był z innego dworu, dwa kulały, a jeden ledwie ciągnął; gorzej jeszcze wnioskować musiała z owsa, który jechał pod kozłem, i garnuszków, które powyciągano z siedzenia, bo plunawszy odeszła.

— E! to wielkie państwo od oka! — zawołała do Pawła przebudzonego i siedzącego pod piecem — ja to już takich nie chwalać się, znam. Świeci się to a nie grzeje... Oj! nie daj Boże Sadogórze takich dziedziców, jak tych dwoje. Baba kuta, krzyczy i hałasuje i szanować się każe, a goła być musi, i ten mruk drugi, jeszcze czy nie gorszy... To familia naszego poczciwego paniska! ani podobni do niego... Tamten wózkiem jeździł a nikogo nie skrzywdził, cicho gadał, ale i głowę miał i serce. Ale co to będzie z Dosią, jeśli jęj nie zapisał! bo to szarańcza tu jakaś... gotowi ją stąd wypędzić... co się stanie z biedną sierotą... strach pomyśleć...

Podumała trochę szynkarka, ale że poczciwe miała serce, choć strach ją brał iść po nocy do dworu, czując, że tam oznajmienie przydać się na coś może, kiwnęła na Balcera i szepnęła mu na ucho:

— Jakby się o mnie pytali, powiedzcie, żem poszła na wyżki po siano, zaraz powrócę, pamiętaj!

— A dokąd-że?

— Patrzejcie go! będzie się pytał, patrzaj swego nosa... Magda niech idzie ze mną. I zarzuciwszy szlafrok wymknęła się z dziewczyną do bliższego dworku.

Siedzące u ciała babki i organista, pomimo strachu i obowiązku czuwania, posnać musieli wszyscy, gdyż cicho było zupełnie, i pani Balcerowa zmuszona przemknąć się koło okien izby, w której leżał nieboszчыk, nie nie usłyszała prócz głosu domowego świerszcza, spokojnie wywodzącego u komina piosnkę swoje. Magda i ona przeleciały jak burzą gnane na folwark, gdzie w izbie starej Jadwigi dojrzały światelko; żeby starej nie przestraszać, chrząknęły w prog, u

zapukały do drzwi i dopiero weszły. Łojowa świeczka paliła się w blaszanym lichtarzyku, a stara już kobieta w białym czepcu siedziała przy niej z wypłakanymi oczyma nad równie starą i odartą książką od nabożeństwa. Przy piecu, z głową spuszczoną, skulony, sparty był szpakowaty mężczyzna, niegdyś furman nieboszczyka: na ziemi spał wyrostek zmęczony. Posępny to był obrazek tych osieroconych ludzi, w milczeniu i bezsenności przybitych, zbolalych i widocznie tak przejętych strapieniem, że o sobie pozapominali. Jednym rzutem oka objęła to wszystko pani Balcerowa i westchnęła witając starą Jadwigę, która ledwie głowę podniosła.

— A Dosią gdzie? — zapytała rozglądając się.

— Biedne dziecko — odpowiedziała stara nie wstając, bo okula wienie ciężkiem jęj czyniło ruch każdy — nie można jęj odprowadzić od ciała, już oto trzeci dzień tak modli się i płacze, dobrze, że duszy nie wyzionie. Dziś tak zaniemogła, że ją tu do alkierzyka przeprowadziliśmy i przecie usnęła, to choć trochę odpocznie. A nam to i na sen się nie zbiera, ot tak siedzimy z Piotrem i płaczem...

— Chciałam się do was we dnie dowiedzieć jeszcze — odparła żywo szynkarka — ale to roboczy czas, wszyscy mi się rozleźli, sama jak palec zostałam w karczmie, dopiero się wieczorem poprzywlekali, a tu i gości najechało. Myślę sobie, że trzebaby wam dać znać, bo jakiś jegomość i jejmość jakaś, pono krewni nieboszczyka u nas nocują... i strasznie się o dwór dopytywali.

— A niech z Bogiem pytają... nie tu skrytego niema — smutno odparła Jadwiga.

— Żeby to z Bogiem! — potrząsając głową — zawołała szynkarka — ale oni ponoś niebardzo serdecznie się zabierają do spuścizny... Zaraz im w głowie, czy po nieboszczyku pieniądze zostały, czy to kto im czego nie wziął, i chcieliby co prędkiej się ciała pozbyć, żeby już gospodarować w Sadogórze.

— Niech sobie gospodarują — z pod pieca odpowiedział Piotr, machając ręką.

— A jak się dowiedzieli o Dosi, dziwowali się, jakby nie słyszeli o niej nigdy... jużciż nieboszczyk musiał o niej i o was pomyśleć.

— Żeby był miał czas — rzekł Piotr wzdychając — pewnieby nas tak nie porzucił, ale go śmierć zaskoczyła niespodzianie... podobno tylko proboszczowi to zlecił.

— A nie pisaliż nic?... — spytała Balcerowa.

— Gdzie jemu było pisać! — potrząsała głową Jadwiga.

Balcerowa załamała dłonie; postrzegli to starzy, ale wrażenia na nich nie uczyniła ta litość zwiastująca im osierocenie i żebranie... nadto jeszcze w tój chwili smutkiem swym byli przejęci.

— A no! to pojedziem z torbą! — zawołał Piotr — i dobry lu-

dzie zginać nam nie dadzą. Dosi tylko żal... co to ona pocznie! Stary ją jak dziecko własne wyhodował i wypieścił, myślał pewnie coś dla niej zrobić... ale Pan Bóg ojciec sieroty...

Zamilkli na chwilę...

— Ja to tu z tém przybiegłam — pośpiesznie dodała szynkar-ka — żeby może jutro rano Dosią z wami do tych przyjezdnych przyszła, toby ich ujęło dla niej, możeby co dla was zrobili... bo to pokorne ciele dwie matki ssie...

— Ja nie pójdę — rzekł Piotr — po co?

— Ani ja — dodała Jadwiga ciężko wzdychając — chyba dla Dosi... myśleliby, że się im przypochlebić chcemy dopraszając czegoś, a człek taki nie umrze z głodu... ale cóż to za jedni moja Balcerowa?

— Co za jedni! Jegomość jakiś ni stary, ni młody, ale kuty, moja pani... kuty i znać nie najlepszego serca, a jejmość jak baryła, ledwieśmy ją do stancyi na rękach wnieśli. On cicho gada i zukosa patrzy, ona krzyczy i rozprawia, przyjechała sześciorgiem koni i powozem, ale odarto i nie znać po niej wielkiego państwa, tylko to się sprzedaje za coś wielkiego.

Starzy spojrzeli po sobie i nie już nie odpowiedzieli; a Balcerowa, której dobremu sercu tylko o oznajmienie chodziło, narzucawszy znów szlafroczek na głowę, pokłoniwszy się pośpieszyła nazad do karczmy.

Po wyjściu jej, Jadwiga i Piotr siedzieli jeszcze chwilę w zamysleniu, i znać nowina przybycia krewnych pana Mikołaja obesła ich, bo się już nawet modlić nie mogli.

— No cóż powiadasz, Pietrze? — odezwała się poczekawszy Jadwiga — co to będzie z nami, albo i z Dosią?

— Co Bóg da! co Bóg da! a najpewniej wszystkich nas wypędzą; znać nieboszczyk niebardzo im wierzył, że się tak napierał pisać testament, ale mu sił nie stało. Proboszczowi mówił o wszystkiem, ino nie wiem, czy to na co się zda, bo słowo wiatr.

— A to jacyś chciwi ludzie, kiedy Balcerowa mówi, że zaraz się tak o wszystko dopytywali.

— Poczekajmy-no, poczekajmy; nie sądźmy, a co Bóg da, to będzie; nam starym jeszcze pół biedy kilka lat dokołatać, ale temu dziecku, takiemu delikatnemu i pięknemu, jak się przyjdzie o swój siłę zostać... he? Boże uchowaj, przepaść to może.

— Otóż to i ja się nie o siebie pewnie frasuję — cicho oglądając się ku alkierzowi, rzekła Jadwiga — ja tam mam krewniaków, którzy mnie przyjmą; ty, Pietrze, także jeszcze coś zapracujesz, ale ona...

— Ale to nie może być, żeby o niej nie pamiętał? tylko to bieda, że nie napisał.

— Boć to także jego dziecko własne — jeszcze zniżając głos, odezwała się staruszka kiwając głową — choć o tém nikt nie wiedział, ale ja wam powiadam... nie co innego.

— E! skądby zaś.

— Ja pamiętam, jak on ją maleńką przywiózł! a bywało chodząc koło niej, czasem mu się i słówko wysliznęło... Toć to wiadomo nawet, że nieboszczyk, jak był plenipotentem u téj pani, co to się wdową została po generale, miał się, słyszę, nawet z nią żenić, bo go bardzo jakoś sobie upodobała, tylko, że to tam wielkie państwo, a familia krzyczała i hałasowała, pobrać się im nie dali. Wiecie, że co roku tam do niej dojeżdżał później, a i ona podobno do kościoła tu przybywała, żeby Dosię zobaczyć choć zdaleka. Nawet, nie wiem, czyście uważali, że nieboszczyk pan zawsze nosił obrączkę ślubną na palcu, choć niby nie był żonaty i z nią umarł, musieli być sekretnie poślubieni. Toć to jój portret u niego wisiał w sypialni.

Piotr głową potrząsł.

— A jakby się byli pobrali, toby się z tém nie mieli potrzeby tajić.

— Czy to my wiemy, jak to tam u nich się wiedzie! I to jeszcze uważajcie, Pietrze, że z niczego nie umarł tylko się zgryzłszy tym listem, co go zaraz spalił. Jeździł potém na nabożeństwo żałobne do kościoła, i Dosię z sobą woził, a modlić się jój kazał, sama słyszałam, za duszę Karoliny.

— Może to jaka krewna — odrzekł Piotr — a wam się śni nie wiedzieć co, nie jużby on z własném dzieckiem się tajił.

— Kto ich tam wie! — powtórzyła Jadwiga.

— Nasz pan był sobie prosty szlachcic, a to tam, słyszę, strasznie wielkie państwo ta generałowa.

— Co ty mówisz, prosty człowiek! nieboszczyk wcale nie był taki szlachcic, jak oni tu wszyscy, toż i wojskowo służył i po-zgranicami bywał, i językami mówił i znać było po nim edukację — dodała stara — tylko się tak dobrowolnie zapuścił, od ludzi odsunął i zakopał w tym kątku. Jakby był chciał, byłby mógł sięgnąć i wysoko, ale zawsze powiadał, że człowiek w spokoju i chacie najszczęśliwszy; a kiedy bywało nasunie mu się kto z sąsiedztwa z bogatszych, a napiera i zaprasza, to tak jak od nieszczęścia uciekał.

— Zobaczcie-no, czy Dosię spi? — szepnął Piotr, którego rozmowa nużyła — a nuż dziecko posłyszysz?

Jadwiga zwlekła się z ciężkością, ująwszy za kij i jak mogła

najciszej podeszła do alkierza, którego drzwi były napół przymknięte, nastawiła ucho i kiwnęła głową.

— Musi spać — odezwała się — bo nie nie słychać, ani westchnienia; potrzebać jój spokoju na jutrzejszy dzień, bo jak przyjdzie do pogrzebu, nie wiedzieć co z nią począć, jeszcze się rozcho-ruje.

— Już to prawda — rzekł Piotr — gdyby ten sen potwał, a nie puścić jój na cmentarz, niebożatku oszczędziłoby się łez i bólu.

Tak troskając się o sierotę, dwoje starych poszeptali jeszcze trochę, i sen powoli począł mrużyć powieki obojgu, choć coraz przerywany ciężkimi marzeń westchnieniami.

Nazajutrz rano, gdy słońce przez otwarte okno wpadło do izby, w której leżało ciało nieboszczyka, budząc babki do oganiania much a organistę do schrypłego śpiewu, już się i na pogrzeb zbierać zaczęto; przybyło bractwo na dziedziniec, przywieźli chorągwie i postawili je przy ganku; stał wóz nagotowany z czarnym całunem, a lud czekał tylko na proboszcza, którego pani Pękosławska za-trzymała w karczmie po drodze.

Proboszcz, siwy, ale krzepki staruszek, prosty człowiek, ale uczciwy i gorliwy pracownik boży, z wesołą twarzą wszedł powitać dawną znajomą, którą jeszcze znał rumianą i szczebiotliwą panie-needzką, a dziś zdumiony ujrzał roztyłą i krzykliwą babę.

— A co! postarzeliliśmy się, jegomościuniu — zawołała witając go pani radezynie, prawda?

— Jejmość dobrodziejka nie, ale ja.

— E! choć to ja nieźle wyglądam — dodała Pękosławska — ale ociążałam bardzo, nie uwierzysz. Ale, wracając do rzeczy, czemuście nieboszczyka nie pochowali?

— Pisałem do państwa, że na nich czekać będziemy.

— Już to ja powiem ci, proboszczuniu — rzekła żywo Pękosławska — że na mnie ta śmierć i pogrzeby bardzo jakoś przykre robią wrażenie; choć niby to zdrowa, ale nerwy mam delikatne, wołałabym, żebyście mi oszczędzili tego widoku. Zresztą ja z panem Mikołajem bardzo mało miałam stosunków, choć to był mój najbliższy krewny, jak myślicie, czy potrzeba mi być na pogrzebie?

— Sercu pani dobrodziejki — odparł proboszcz zdziwiony — dyktować nie będę, ale zdaje mi się obowiązek.

— Więc się powlokę, zapewne, ludzie-by gadali, mój probos-

szczuniu, a te ludzkie języki! Ale powiedz-że mi, bo ja tu nie wiem, cóż nieboszczyk? zostawił jakie rozporządzenie? pisaliście mi, że nie miał czasu?

— Ustnie, słów kilka do was mi przekazał — smutnie rzekł proboszcz — ale o tém potem.

Na wiadomość o przybyciu księdza, przysunął się i pan Fryderyk z białą swą twarzą i podejrzliwém wejrzeniem.

— A to nasz brat, pan Fryderyk Czeszak — zaprezentowała radczyni — także wczoraj przybyły, niespodzianieśmy się zjechali.

Ksiądz niespokojném okiem nań spojrział i spuścił wzrok z wyrazem smutku.

— Jesteśmy najbliżsi krewni nieboszczyka — począł Fryderyk — niema najmniejszej wątpliwości.

— Wiem o tém, wiem — zabierając się do czapki i płaszczyka, rzekł proboszcz — nie będę więc zwłóczył z pogrzebem, z którym czekaliśmy tylko na państwa.

To mówiąc, ukloniwszy się nisko i zimno, wysunął się szybko kierując do dworku.

Izba już była pełna ludzi, a wieko trumny z obawy, aby Dosia przy zabijaniu go nie mdlała i nie słabła, już wcześniej przymocowano, karawan stał w ganku, wszystko było gotowe. Sierota spała jeszcze, Jadwiga chodziła od jednego do drugiego, prosząc, żeby nie robić hałasu i nie budzić biednego dziecka, chciała nawet wymódlz na proboszczu, by pocichu wyprowadzić nieboszczyka z dziedzińca, ale kapłan się oparł.

— Nie obawiaj się o nią — rzekł — przykrzejby było dla jęć serca, żeby ostatnięć posługi nie oddała swojemu dobroczyńcy. Życie, moja pocziwa Jadwigo, nie zabawka i nie pieszczotka, ale brzemięć i krzyż Pański, dźwigajmy je posłuszni i ochotnie. Ja sam pójdęć tam i słowem ją uzbrojeć, a gdzie ona?

— Śpi, dobrodzieju! śpi niebożatko, znużona, zesłabła; toż to już trzy dni płaczu i męki wycierpiała.

— To już ostatek — rzekł ksiądz — nie obawiaj się, Bóg wieć, co ją w życiu czeka; niech spełni obowiązek, a reszta pójdzieć jęć łatwiej i lepiej. Ona jedna i wy możeć po starcu zapłaciecie!

— A ludzieć! wszyscy my go równo kochali! — odparł Piotr — patrzenie, co zeszło, a ilu ich, gdyby po ojcu się rozpada.

Wistocie, gromadka wiejska, której pełne było podwórko, tak stała smutna i boleściwa, jakby jednego z braci swoich grzebać miała; ludzieć gwarzyli pocichu, rozpowiadając sobie cnoty nieboszczyka, i każdy przypomniiał teraz, że mu coś był winien.

Właśnie w chwili, gdy proboszcz zwracał się i miał iść na folwark,

w progę jego ukazała się postać dziewczęcia, i wszystkie oczy ku niej zwróciły się z politowaniem.

W czarnej sukience z żałobnymi białymi pasy, pokryta chustką czarną, zapłakana i blada, Dosia wśród tego tłumu, otaczającego ją, zdawała się istotą innego świata, tak twarzą, postawą, rysami piękności nadzwyczajnej odróżniała się od wszystkich. Słusznego wzrostu, kształtna, pańskie miała oblicze, uderzające na pierwsze wejście szlachetności wyrazem i niezwykłą regularnością rysów. Ogromne oczy czarne, ocienione rzęsą długą, świeciły w tej chwili ogniem boleści gorączkowym, włos ciemny rozrzucony otaczał w nieładzie owal prześliczny, a cierpienie temu obliczu wykołysanemu spokojem dodawało jeszcze blasku. Na ustach drżących miała, zda się, niedokończony wykrzyk żalu, w oczach dwie łzy błyszczące, na czole białym dwie pręgi wyryte strapieniem, szła i chwiała się, białą ręką przytrzymując, żeby nie upaść, tak była pijana rozpaczą.

Na widok jej, ludzie szepejąc rozstąpili się z poszanowaniem i czecią, którą wzbudza widok prawdziwej boleści, a ksiądz przeciw niej pośpieszył.

— Dziecko moje — rzekł łagodnie — módlmy się, a nie płaczmy; zacznij życie, dając dowód, że umiesz panować nad sobą, Bóg cię pocieszy a pocziwi ludzie nie opuszczają!

Dosia z uczuciem ucałowała rękę kapłana, ale wnet głośnym się płaczem rozszochała znowu, a Jadwiga i Piotr przypadli do niej, podtrzymując i kojąc, jak mogli.

Tymczasem proboszcz pośpieszył do dworku i zostawiwszy ją w rękę starych przyjaciół, sam przez litość nad nią, pośpieszał już z wyprowadzeniem ciała z domku, aby nie dopuścić nowych rozpacz i pożegnania. Gdy Dosię odcucono, trumienka już była na wozie, śpiew żałobny się rozlegał, chorągwie wiatr rozwinął szleszczące niemi i orszak wychodził na ulicę, przez wieś ku oddalonemu o pół mili kościolkowi parafialnemu wiodącą.

We wrotach podwórka postrzegłszy go Dosia, przebiła się przez wieśniaków ustępujących jej i z Piotrem, bo Jadwiga iść nie mogła dla swęj nogi, stanęła przy samym karawanie. Na chwilę wstrzymały się jej łzy, twarz wyjaśniła, jakaś siła wstąpiła w nią, i szybkim krokiem, w milczeniu poczęła tę pożegnalną podróż, która się jej zbolełemu sercu snem ciężkim wydała.

Nie widziała nic wkoło siebie, a monotony śpiew objął się o jej uszy, jak szelest wiatru, jak szum burzy. Gdy pogrzeb przeciągał koło karczemki, oczekująca nań w czarnej sukni radeżyni i pan Fryderyk połączyli się z nim nieznacznie, zważając wszakże, by zaraz przy proboszczu i na honorowém iść miejscu, nie mie-

szając się z gawiedzią. Osobliwie o to troskliwą się okazała pani Pękosławska, której Grzesz galonowany miał misyą rozeprzeć ludzi i pilnować, by jój nie naciskano. Czy jójmości i pana Fryderyka razem prawie padły na Dosię, idącą tuż za trumną i ubraną w grubą żałobę, a że szli razem i radeczyni kuzynowi rękę sobie podać kazała do krzyża za wioską, gdzie na nią powóz czekał mający ją zawieźć do kościołka, pochyliła się do ucha towarzysza szepcząc mu:

— Patrzaj waćpan, któż to jest, pewnie ta wychowanica, i w żałobę się ustroiła, żeby ją mieli za krewną, i pierwsze sobie miejsce zajęła, a toż to zuchwalstwo nie do zniesienia, co ona sobie myśli, ja jój te plerezy obedrzyć każę.

— Zmiluj się, siostruniu — zalekły odparł pan Fryderyk, żeby mu nie powierzono spełnienia wyroku — ta to pogrzeb.

— Trzeba ścierpieć, oczywiście, ale uważasz waćpan, na co to zakrawa?

Ledwie się dowlokłszy do krzyża, pani Pękosławska zaprosiła do swego powozu brata Fryderyka, i gdy reszta ludu do kościołka już widniejącego w dali pociągnęła piechotą, oni za tłumem jechali sobie wygodnie, a radeczyni ciągle się unosiła nad zuchwalstwem Dosi.

— Żałobę! słyszysz asindziej, przywdziała żałobę! krewna, czy co? To pachnie jeszcze tём, że jój coś dać trzeba będzie.

— Mnie się zdaje — rzekł pan Fryderyk — że dosyć jój się nieboszczyk nadawał za życia, a jeśli nie rozporządził niczём, my nie mamy obowiązku wspierać sierot.

— Choćby nawet rozporządził — ofuknęła się pani Pękosławska — ja mam dzieci. Julkę wydaję za mąż, temi laty dosyć-eśmy się natracili, nikomu nie dam.

— Ani ja tész — dodał pan Fryderyk, spozierając na siostrę.

— A co się tyczy podziału między nami... — odkaslnęła zwracając się do niego pani Pękosławska.

— Na to jeszcze będzie czas — zimno rzekł pan Fryderyk — zobaczymy.

— Tylko zmiluj się, kochanku, nikogo więcej nie dopuszczajmy — szepnęła jójmość — my, we dwoje — tak, nikt więcej.

Pan Fryderyk potakująco uśmiechnął się tak, że znać było, iż i siostry nie bardzo mu się do udziału chciało przypuścić, ale zmilkł tymczasowie.

Pogrzeb zwrócił się już ku kościołowi, gdzie jeszcze odbyć się miało nabożeństwo, co i niecierpliwilo niepomalu krewnych, a szczególnie radczynię, utrzymującą, że ksiądz mógł bez ceremonii zawieźć nieboszczyka na mogiłki.

— Do czego to te ceremonie? — rzekła — co prędzej, to lepiej, a tu taki skwar, a mnie pilno, i ksiądz sobie każę płacić potem, bo

świecie napalą, i bractwo we dwójnasób weźmie, a to nie był pan, człowiek skromny, jestem pewna, że tego nie wymagał, na co to jemu?

W kościele dopiero, pan Fryderyk i jego siostra z boku przypatrywali się twarzy Dosi, której dotąd postrzedz nie mogli; oboje uderzyły jej rysy tak niepospolitej piękności, że w najwykwintniejszym salonie byłyby oko zwróciły, cóż dopiero wśród tego tłumu...

— A jakie to białe i wypieszczone! — pomyślała Pękostawska — i co to to robić teraz będzie! Nieboszezyk nie miał głowy, że to brał na wychowanie, przyzwyczaił do zbytku, a teraz się zwala. Jeszcze taka twarzyczka! Patrzajcie ją: i w żałobę się ustroiła lala! i przy trumnie klęczy, a zawodzi jakby po ojcu, to wszystko naumyślnie; ale poczekaj, panienczko, ja tych komedyj nie lubię.

Gdy już trumnę zdejmować miano, proboszcz wyszedł z mową na ambonę, a mówił ją ze łzami, bo nieboszezyk był jego starym przyjacielem, i serce odzywało się w słowach kapłana pełnych przejęcia i smutku. Pod koniec zwrócił się do sieroty i krewnych, polecając wychowanicę zmarłego ich opiece. Chciał tęp wezwaniem publiczném niejako ich związać, i moralnie do uczynienia dla niej czegoś przymusić, ale pani radczyni tylko się oburzyła trącając łokciem Fryderyka.

— Oto słyszysz waćpan! wystąpił! Sierotę, jakąś przybędę pomieszał z nami! cóż to krewna jaka, czy co, staremu się w głowie pomieszało... Nam ją poleca! trafił! zapewne, muszę mu zmyć głowę, niewiedzieć co plecie, to jakiś spisek, ubrali ją w żałobę, i oddają nam ją publicznie, w kościele! zapewne! a ha! zobaczymy! nie głupiam! nie!...

Radczyni tak była oburzona, że się kilka razy z kroplistych potów ocierać musiała, co zdaleka można, ściśle biorąc, wytłomaczyć było łzami.

Pan Fryderyk zmilezał zaciąwszy usta, ale na wąs motał (choć wąsów nie miał).

Sapiąc i ledwie mogąc gniew w sobie zatrzymać, poszła Pękostawska na cmentarz, podprowadzona pod rękę przez kuzyna i Grzesia, żółty piasek oznaczał miejsce, gdzie grób był dla starca przygotowany, a Dosią pokłękawszy nad dołem, upadła przy nim zemdlna.

Znowu ta oznaka boleści nie podobała się mocno radczyni, która na krzątających się około sieroty rzucała piorunujące wejrzenie. Tymczasem pobłogosławioną trumienkę spuścili grabarze, i pierwszą garść piasku rozplakany rzucił proboszcz, za nim naturalnie, pilnując swój prerogatywy, cisnęła pani Pękostawska, pan Fryderyk i ludzie się wzięli do usypania mogiły.

— A teraz jedźmy — żywo zawołała sukcesorka — po drodze waćpan weź urzędnika i do dworku zaraz, bo niema co czasu traćć...

Dosię już Piotr na wózecku pożyczonym od chłopka powoli na folwark odwoził, powóz sześciokonny radczyni spotkał ją w drodze, gniewne wejście padło na zapłakaną, ale na nią nikt nie uważał... ona myślała tylko o stracie, jaką poniosła, a przyszłość jeszcze jej ni razu nie stanęła przed oczyma.

Jeszcze zapach kadzideł kościelnych i świec katafalku nie wietrzył z izdebki, w której spoczywało ciało pana Czeszaka, a już z urzędnikiem radczyni i pan Fryderyk krzatali się i uwijali po dworku. Nie było najmniejszej wątpliwości o prawie spadku dla krewnych należącym, oboje postarali się wcześniej o spełnienie formalności wprowadzających ich do majątku i chciwie zaprzętałi się, pan Fryderyk śledzeniem, czyli co nie pochwycono w czasie ich nieobecności, radczyni ubezpieczeniem się na przyszłość. Przymierze dwojga spadkobierców trwało jeszcze niewzruszone, wobec urojonego niebezpieczeństwa; pootwierano drzwi, podniesiono pieczęcie, i oboje państwo weszli ze świadkami do pokoju, w którym zmarłego papiery i kosztowniejsze sprzęty złożono. Proboszcz także nadjechał choć nie wzywany, ale go radczyni, za jego mowę w kościele, kwaśno przyjęła, odkładając tylko rozprawienie się o to do czasu. Izdebka naprędce zamknięta po zgonie pana Mikołaja, była tą, w której właściwie mieszkał i umarł, pełno w niej jeszcze śladów przerwane go żywota pracowitego, i ostatnich godzin przedśmiertnych boleści.

Łóżko stało nieposłane i zmięte, porozlewane lekarstwa, trochę nieposkładanej odzieży, nad głowami Chrystus ukazujący ranę boku przeszytego, palma i kropielnica, szabla i parę pistoletów. Obok na stoliku pobożnych kilka książek, rzucona robótka Dosi, w chwili może, gdy ją do starego spokojną przywołano; kubek z niedopitemi ziółkami, i koperta od listu z czarną pieczętką, rozszarpana gwałtownie.

Pan Fryderyk i radczyni rozglądali się po pokoikach, jakby śledząc życie krewnego, którego prawie nie znali za życia, czy upatrując dostatków, ale wszystko okazywało, że w dobrowolnym ubóstwie i prostocie ostatnie mu lata spłynęły.

Sprzęt był niewykwintny i mówił o człowieku mało ceniącym wygody; w izdebkach schludno a skromnie, niewiele rzeczy ko-

sztowniejszych. W nogach łóżka tylko, w ramach owalnych, przepysznie rzeźbionych i wyłaczanych, wisiał portret pięknego pędzla, pokryty krepą czarną, wystawujący, o czém się zaraz radczyni przekonała, kobietę lat średnich, dziwnej piękności, a rysów zastanawiającego podobieństwa do Dosi. Tu tylko więcej było powagi, głębszego zamyslenia i znużenia, zbolalości jakiejś, którą wyraz oczu zdradzał.

Pan Fryderyk z siostrą odkrywszy ten, drzwiami zasłoniony, wizerunek, spojrzeli na siebie znacząco i zamilkli. Wśród drobnych fraszek, których tam było niewiele, parę zwracało uwagę wytwornością, jakby pozostała z jakiejś epoki życia dawniejszej nieboszczyka, bo to były rzeczy nie nowe i nie dzisiejszego smaku. Zegarzek złoty francuski, pistolety wysadzone perłową macicą, dywan angielski, szkatułka ozdobna bronzami, wreszcie szafa pełna książek za szkłem, dziwnie odbijały od bejcowanych kufrów i skrzynek, przy dębowych stołach i piaskiem wysypanej podłodze.

Nie tu nie uszło oka spadkobierców, pan Fryderyk wahał po kątach, a radczyni odsuwała szuflady i troszczyła się o kluczyki. Ciekawość jej głównie zaostrzała szkatułka i kantorek staroświecki, i z radością niemal wyszukawszy wreszcie kluczyków, o których nie wiadziiano, bo się znajdowały pod poduszką zmarłego, gdzie przypadkiem ręką sięgnęła przenikliwa kuzynka, — poczęto wreszcie otwierać kryjówki. Spodziewano się zapewne pieniędzy, ale tych bardzo mało znalazło się w kantorku, pełnym prawnych papierów i korespondencyj, w szkatułce zaś medalion z włosami w złoto oprawnemi, kilkanaście paczek listów widać niejednokrotnie odczytywanych i powiązanych starannie, jakieś pamiątki niezrozumiale poobwijane w papierki, jakaś czarna na tle zielonem kobieca sylwetka, — oto co skrzętna ręka radczyni dobyła niecierpliwie rozrzucając.

Pan Fryderyk patrzył zdaleka, ostrożnie i twarz jego coraz się robiła chmurniejszą.

Wśród tych badań, w których pani Pękosławska żadnego nie pominęła kątką, rewidując nawet kieszenie sukni po nieboszczyku pozostałych, dlatego, że jak mówiła, starzy miewają fantazyę czasem niewiedzieć gdzie chować pieniądze, — nadszedł proboszcz, który był na chwilę wymknął się na folwark, i ze smutkiem oglądając na to drapieżne rozrzucanie pozostałości — odezwał się nareszcie:

— Gdybym mógł z państwem pomówić, bardzobym był wdzięczny, bo mi na probostwo potrzeba... a...

— A cóż tam waćpan dobrodziej masz nam powiedzieć? — zapytała radczyni, która tu rej wiodła...

— Ostatnią wolą zmarłego, mnie objawioną...

— Naprzykład? — odezwała się pani Pękosławska, siadając znuzona rewizyą bezskuteczną dotąd.

— Wiadomo być musi państwu — począł powoli z westchnieniem kapłan — jak zmarł nieboszczyk pan Mikołaj, pochwycony chorobą niespodzianą, która go nam w oczach dobiła, chociaż było stara nie wszelkie i ratunek...

— Ale to osobliwsza rzecz — przerwała roztargniona jejmość — że prawie nic pieniędzy nie zostawił!...

— O tém, to ja nie wiem — ciągnął dalej ksiądz — ale są pilniejsze rzeczy i obowiązki, które po nim zostały... stare poczciwe jego sługi, i — dodał z wyrazem smutku — ta sierota, nieszczęśliwa sierota... wychowanica...

— A! ta, co to się w żalobę sobie ubrała i wparła się na sam przód, pod samą trumnę, na pierwsze miejsce? — zawołała z przekąsem radeżyni.

— Nie mnieciejz jęj za złe, że włożyła suknię czarną po tym, który dla nięj był ojcem prawie... który... — Tu proboszcz jakby się wstrzymywał, dodał — nie mniecie za złe, że boleść kazała jęj szukać miejsca, by jak najbliżej stała tego, któremu tak ukochaną była za życia.

— Mogła przecie znać, że co familia to nie wychowanica, panienka sobie nadto pozwoliła... księże proboszczu...

Ksiądz ruszył ramionami.

— Jeśli kto winien, to ja — rzekł — bom jęj tę suknię dał uszyć i postawiłem ją przy trumnie, żeby świadczyła sobą o dobrych uczynkach nieboszczyka.

— Co to tam, te kazania nam prawisz... — zawołała Pękosławska — niepotrzebnie wcale w tej mowie pomieszaliście ją z nami... Przyznam ci się, proboszczu, że za to mam urazę... bez taktu!

— Cóż to złego, żem państwu sierotę polecił... Ale to było wolą zmarłego; posłuchajcież, to się i reszty dowiecie... On ją kochał jak dziecię własne; dla nięj majątek swój przeznaczał, pomnożony w pocie czola... mówił to mnie i tym, co przy śmierci jego byli...

— A ha! na to państwo kroicie! — zawołała porywając się się radeżyni — otóż to ja się już tego domyślałam! ale ho, ho! z tego nic nie będzie! Chciał zapisywać, niechby był zrobił, mniejsza o to, niechby zapisywał... ale tymczasem testamentu niema... dosyć się już za życia nabrała jejmościanka, jeszcze obdzierać myśli krewnych po śmierci! To nasze...

— Nie wasze — odpowiedział ksiądz, na którego bladą twarz poczęły występować rumieńce — to mająteczek, którego się on sam pracą powoli dorabiał... Bójcie się Boga! są świadkowie jego

woli... przekazał wam to, co wziął po rodzicach, ale wioskę nabytą chciał mieć własnością tego dziecięcia...

— Własnością jakiejś włóczęgi! znajdy... — porwała się radezyni. — Słyszysz waćpan, a nam sumkę raczył przekazać! łaskawca!

— Jaką sumkę! gdzież to napisano!... — przebaknęła ściskając wargi pan Fryderyk.

— Nie napisano nigdzie... — rzekł proboszcz.

— I nic z tego nie będzie!... fu! fu! jaki mi magnat! raczył nam zapisać coś... dobrodziej! to wszystko nasze... grosza nie dam! — zawołała pani Pękosławska — co to jest? spiszek? Gdzież ślad tej woli? gdzie?...

— Tak, gdzie testament?... — dodał cichutko pan Fryderyk.

Proboszcz powstał gniewny i straszny.

— Ludzie! na rany Chrystusowe! gdzie sumienie! — zakrzyknął — bójcież się, jeśli nie zemsty bożej, to pogardy świata... niesławy... są świadkowie... — ja pierwszy, zeznam pod przysięgą...

— Za co mogę ręczyć — przerwała gwałtownie radezyni — to, że złamanego szeląga nie dam, choćbyś mi postawił i dwudziestu cztereich świadków!... chcecie, procesujcie... testamentu niema, ja prawo znam, i nie pozwolę sobie wydrzeć, co mi się należy!

Widząc wzrastającą zapalczywość kobiety, proboszcz westchnął i starał się ochłonać, by przemówić łagodniej.

— A! Pani! — rzekł — to, co mówicie, nie dyktuje wam serce... pomyślcie!... pewien jestem, że nie narażając się na zgryzoty, spełnicie święcie wolę zmarłego...

— Dajmy na to — podchwyciła radezyni — że to nawet była wola nieboszczyka, którego podeszli, wymogli... alboż to moje wole wiąże? Ja zrobię, co mi się podoba... wstydz się, księżo proboszczu! ja mam dzieci, obowiązki... za co mi się wydziedziczać, dla jakiejś tam.. tu niema co i mówić nawet!... Po co się mieszać w nieswoje...

— Sieroca sprawa właśnie moja!... wstydziłbym się powinien, gdybym około niej nie pracował — odparł kapłan powoli — zresztą nie ja jeden, było nas świadków kilku, kiedy wam sierotę polecał i rozporządzenie to zrobił.. Zostawił wam ją... i poczeiwe sługi...

— A tak! całą gromadę i lichy jakiś zapisik! a waćpan myślisz, że my się temu jak dzieci poddamy?... — zaśmiała się Pękosławska z wyrazem gniewu. — Przyszłoby jeszcze swojego dokładać dla czyjś fantazy i płacić cudze długie wdzięczności... Otóż darmo sobie ust nie studź, księżo proboszczu; tych dobroczynności z naszej kieszeni robić nie damy!... nie! Nic! ani szeląga! Jeszcze się rychlęj dopomnę o to, co tu być powinno, a czego nie widzę... bo nieboszczyk powinien był grosz zostawić, i niepodobna, żeby o paruset złotych

umarł, bez zapasu... Jeśli pan Fryderyk chce, niech odda swoje, ja bronić nie będę...

— Ja nie mogę także, na honor, że nie mogę — wykrztusił kuzynek zachodząc za panią radeczynię, żeby nie stać na oku — co pani, to i ja... nie mogę...

— Ja nie dam nic, komu?... za co? ani feniga! ani złamanego szeląga... Chciał co zrobić, mógł, trzeba było napisać... choćby nas wydziedziczyć... plunęłabym i nic nie powiedziała; a tak, oho! com znalazła, to moje... a jakichś tam przykazałów pośmiertnych słuchać nie myślę! co mi tam do tego... ja nie mam obowiązków żadnych.

Proboszcz już chciał odejść oburzony, ale się jeszcze powstrzymał, probując, czy jęj nie przekona.

— Nie godzi się tak mówić, pani dobrodziejko — odrzekł smutnie — daje wam Bóg i to niespodzianie, odstąpcież, co komu należy, i spełnicie wasz obowiązek. Dla pamięci nieboszczyka, który tę sierotę, jak własne dziecko wychował i kochał jak córkę, nie dajcie jęj ginać, uczynicie dla niej czego po was wymagał.

— Nic nie zrobimy, nie!... — powtórzyła pani radezyni — jęj-mościanka może pójść pracować, nie cudzy grosz zabierać i na datki pośmiertne czyhać, a nam naszą własność wydzierać.

Tych słów domawiała pani Pękosławska, gdy nagle we drzwiach ukazała się blada z żarzącymi oczyma twarz Dosi i jak upiór stanęła w progu, mierząc wzrokiem rozgniewaną kobietę i zakłopotanego jegomości. Znać było z jęj wejrzenia, z poruszenia, którego utaić nie mogła, że nadchodząc usłyszała rozmowę, i lży jęj po stracie opieku-na oschły dumą pocziwą.

— A waćpanna tu poco? — zawołała porywając się jęjmość.

— Przyszłam tu tylko powiedzieć państwu, że jakakolwiek była wola tego, który mi się pozwalał ojcem nazywać, ja od was i od niego nic nie przyjmę... Księżę proboszczu, zaklinam cię, nie żądaj nic dla mnie, ja nic nie przyjmę... Pójdę pracować i nikomu ciężarem być nie chcę.

To mówiąc rozplakała się, oczy zakryła chustką i odwróciwszy się szybko odeszła na folwark. Pani Pękosławska i brat jęj, na chwilę zawstydzeni i zmieszani trochę, już się zbierali na groźby i łajania, gdy piękna Dosią znikła im z oczów; proboszcz czując się gdzieindziej potrzebniejszym niż tu, wziął za czapkę drżący:

— Biercież spuściznę, łakomcy! — zawołał groźno — bierzcie grosz cudzy, sierocy, a jeśli pomsta niebios za zgwałcenie woli te-

go, któremu wydzieracie zapracowaną cząstkę, by ją sobie przywłaszczyć, spadnie na was i dzieci wasze... pamiętajcie, żeście na nią zasłużyli! Ja pójdę i zeznanie moje złożę przed właściwym urzędem.

Odwrócił się i wyszedł, a pani Pękostawska krzyknawszy padła na krzesło wołając:

— Mdleję! mdleję!...

Pan Fryderyk jednak po ratunek dla kuzynki pójść się obawiał, aby przez ten czas wytrzeźwiona nie przywłaszczyła co sobie ze spuścizny po nieboszczyku. Jakoż i potrzeby nie było, bo radczyni po chwilce przysłała do siebie poczynając od łajania:

— A to mi śliczny ksiądz! co to on myśli postaremu kłutwą nam grozić, że jakiegóż tam faworytce, co za życia kradła, po śmierci nie chcemy się dać obedrzeć?... Impertynent! patrzajcie ich! Spi-sek tu sobie, widzę, uknuli na nas! Człowiek, co by miał się pocieszyć, to się jeszcze natrapi i nagryzie... I ta mi występuje, że nie nie potrzebuje, heroina! słyszysz ją... także do perory! Ale to temu z oczów patrzy, co za jedna.

Pan Fryderyk dawał za siebie mówić kuzynce, nie czując się do obowiązków wywnętrzania i potakując jej tylko kiedyniekiedy różnego tonu i głosu chrząkaniem.

Sam-na-sam pozostali tak z sobą spadkobiercy, bo żadne ze sług przyjsć do nich nie chciało w pomoc, gdy w dziedzińcu wózek zaturkotał i przed folwarkiem stanął. Ciekawy pan Fryderyk pobiegł do okna i najrzał, że Dosia nań siadała, a szlachcic jakiś miał powozic; był to pan Paweł, wczoraj przybyły do Sadogóry, który na rozkaz proboszcza wybierającą się piechotę sierotę wziął z sobą, tymczasowo mając ją zawieźć do siebie, nimby się coś obmyśliło dla niej.

— Któż to jedzie? — zapytała się Pękostawska.

— A to tę sierotę wywożą, czy co — odpowiedział Fryderyk.

Jéjmość zamyśliła się i błysnęła oczyma

— Niech wiozą, niech wiozą! — dodała — co prędzej, to lepiej, nie będziemy się o nią upominali pewnie... z Panem Bogiem i krzyżyk na drogę...

Bryczka już wychodząc turkotała, gdy jéjmość zamyśliła się nad czémś głęboko: pomyśl jéj przyszedł do głowy, że musiano okraść nieboszczyka i dlatego sierota tak się łatwo wyrzekłszy wszystkiego, myśli z Sadogóry uciekać.

— To coś jest — odezwała się, zbliżając do kuzynka — ja to czuję, oni, ani chybi, nieboszczyka pana Mikołaja okradli, i jéjmościanka wynosi się z węzełkiem, ale my jéj tak puścić nie możemy, słyszysz waćpan?!...

— A to bardzo być może — zawołał podejrzliwy Fryderyk — ja sam już na tę myśl wpadałem, ale cóż począć?

— O! sztuka... Waćpan jedź za nią i zrewiduj na drodze, a potem jeszcze szukać będzie trzeba tam, gdzie uciecze, bo może przodem wyprawili pieniądze.

— Ja! ależ mnie, siostruniu, nie wypada samemu — odparł kuzynek, myśląc, że niebezpiecznie byłoby jejmość samą zostawić we dworku z kluczami — chyba pošlemy?

— No! to posłać! niech Grześ jedzie z waćpana chłopcem...

— Z lokajem! — dodał Fryderyk.

Szcześnie dla obójga, Grześ ciekawością sprowadzony do dworku już w nim od godziny gospodarował, zabierając, co gdzie natrafił i znosząc do kupy, żeby zasłużyć na łaskę swojej pani... posłyszala go radeżyni i krzyknęła nań z drugiego pokoju; galonowany przytoczył się z rondelkiem pod pachą.

— Siadaj ty i kuchta na kulawego i bułaną i gońcie mi za tą jejmościanką, która stąd odjechała tylko co... nie musi być daleko... mam podejrzeń, że okradła nas... Sprowadzić ją tu z bryczką... natychmiast... słyszysz?...

Grzesiowi w to graj, żeby awanturę zrobić; kopnął się zapomniawszy o rondlu i niewiele słuchając, do karczemki poleciał po konie. Nie zważał nawet w pośpiechu, że Dosi wózek stoi przed propinacją, gdzie ją całym tłumem wieśniacy, szynkarz, i co żyło we wsi, całując po rękach, żegnało, a każdy coś jej wtykał, chcąc dowieść serca datkiem. Paweł rozczulony przyrzekł pocziwym mieszkańcom Sadogóry, troszczącym się o nią, że ją do domu zawiezie i jak własnego dziecka strzedz będzie, dopóki proboszcz co dla niej nie zrobi. Balcerowa płakała, rozczuliły się kobiety, mężczyźni gniewni pluli, poglądając na dworek i zcicha się nieludzkim spadkobiercom odgrążali... gdy proboszcz pieszo idący ukazał się na drodze.

— Jedź, moje dziecko — rzekł do Dosi — Bóg nad sierotą... nie opuści cię, dopóki opieki jego będziesz warta... Paweł pocziwy człowiek, znajdziesz u niego do czasu schronienie, a dalej coś się obmyśli; nie wszyscy ludzie bez serca, i zatwardziałym przychodzi godzina upamiętania.

Tyłem karczemy wprost z zajazdu Grześ i kuchta skoczyli na koniach, goniąc wózek pana Pawła, o pół kwadransa wprzód, niżeli się on ruszył z przed karczmy, tak, że dobry kawał drogi ubiegli cwałem we wskazanym im kierunku i, nie spotkawszy nikogo, musieli się nazad wrócić. Dopiero gdy zakłopotani ruszyli ku wsi, w kołowrocie samym zetknęli się z jadącym panem Pawłem i przyśkoczyli do konia. Szlachcic nie rozumiał, co się im stało, gdy pochwytili klacz za uzdę i poczęli wołać, żeby powracał z niemi.

— Cóż to rozbój na gładkiej drodze, co to jest! — obruszył się chcąc biczyskiem smagać, jakie wy macie prawo?

Grześ zmiarkował, że się nie w swoją rzecz wdali i nuż tłómaczyć, ale kuchta zapalczywszy zawrócił kobyłę i zaciąwszy ją, nim pan Paweł się opamiętał, ruszył w galop do dworku. Dosią zakrywszy oczy płakała, szlachcie licami szarpał próżno, zapamiętały chłopak leciał jak szalony, a Grześ już tylko gonił: tak wpadli na dziedziniec, a tuż prawie wytoczyła się krzykiem szlachcica zwabiona pani Pękośławska i pan Fryderyk. Dziewczyna ledwie żywa leżała zanosząc się z płaczu, a Paweł wrzał i dygotał z okrutnego gniewu. Ledwie zobaczył Pękośławską, schwyił się do niej z wózka z podniesionym batogiem:

— Z waszego to zapewne rozkazu rozbój się robi po drogach i spokojnych ludzi napadają te łotry — wrzasnął — a wiecie wy czém to pachnie? zbójcy jacyś!

— Panie Fryderyku, broń mnie! po wójta posłać! a trzymajcie ich, bo uciekną... złodzieje! złodzieje! nie puszczają!...

Tu tłumem zwabiona czeladź, ludzie wiejscy, którzy byli świadkami tej burdy, przejezdnych kilku, co żyło, zalało w okamgnieniu dziedziniec, krzyk i wrzawa powstała, a pan Fryderyk zląkł się niezmiernie i pobladł jak chusta. Radczyńni nieustraszona wcale krzyczała sobie, Paweł sobie, i niewiedzié na czémby się to było skończyło, bo za szlachcicem i gromada warczéc zaczynała na przybyszów, gdy proboszcz, który się był wstrzymał przed jedną z chat, dowiedziawszy się o tém, ukazał się w samą porę, uśmierzając zajątrzonych.

Właśnie Grześ z rozkazu swój pani wyrzucał z wózka węzełki pana Pawła, bo Dosią ani na zawinięcie palca nic z sobą nie wzięła, i szukał próżno mniemanych skarbów, gdy ksiądz stanął w ganku. Radczyńni zajadle trzęsła i wyrzucała, ludzie się śmieli... niewiedzié, jak było tę scenę nieprzyzwoitą zakończyć.

— A! pani! — rzekł ksiądz — dziecku i sierocie wyrządziliście krzywdę, która wychodzi na tryumf i zwycięstwo, ale siebieście skrzywdzili podejrzeniem tém najstrożej... godziło się to, godziło? Bójcie się Boga! Ludzie patrzą i szydzą z chciwości waszój, mająż was potem szanować? Chodź waćpanna — rzekł do Dosi — otrząśnijmy proch z nóg i przebaczymy im, bo nie wiedzą, co czynią.

Pan Paweł nie tak po chrześcijańsku obszedł się z radczynią, którą po odbytej rewizyi popchnął nawet i złażał, i byłoby przyszło do czegoś gorszego, bo się słudzy za panią ujmować chcieli, a ludzie cudzy za szlachcicem; ale Pękośławska uszła z placu zawstydzona,

a pokrzywdzony nafukawszy się dosyta i pogroziwszy biczyskiem, odjechał wreszcie, by po drodze znowu zaplakaną zabrał Dosię.

We dworku nieboszczyka zawzięło się już na niepokój, bo wróciwszy ledwie z tej nieszczęśliwej wyprawy, kuzynka poczęła występować na pana Fryderyka, że jej męską powagą swoją nie bronił w czasie rozruchu, a nawet za drzwi się przychował, i sprzeczką rozogniła się wielce, tak że panujący nad sobą brat, w końcu rozdrażniony, odcinał się już dosyć ostro. Od słowa do słowa przyszło do wypowiedzenia wojny i pokłócili się na dobre... Pod wieczór potrzeba było udać się do władzy dla opieczętowania majątności, gdyż oboje zgodnie między sobą podzielić jej nie mogli i odwołali się do sądu. Jadwiga i Piotr tymczasem, obawiając się posądzenia, w jakie popadła biedna Dosia, zostali na folwarku, wzywając także prawa, aby uznało, co zabrać z sobą mogą i co im się należy. W kilka dni potem zawiązawszy węzélki, ze łzami rozstali się z kątem, w którym tyle lat przebyli, i stara kaleka na wozie chłopskim do krewnych, a Piotr z torbą o kiju wywlókł się po żebranie, od kościoła do kościoła, pierwszy Anioł Pański odmówiwszy w progu dworku za duszę nieboszczyka pana.

Pan Paweł mieszkał w szlacheckiej osadzie, Trawną zwaną i od wieków zamieszkaną przez panów braci Trawińskich, do których się nieco innych imion przymieszało przez ożenie i spadki, ale nie było i jednego z między nich, któryby do szlacheckiego klejnotu nie miał prawa.

Ziemia ta niegdyś przodkowi domu tego nadana przez Zygmunta Staręgo za wojenną wysługę, dzieliła się, rozpadała na cząstki coraz to mniejsze, aż wreszcie zesła na wioskę, w której sami panowie szlachta chodzili za pługami i gospodarzyli na szczupłych zagrodach. Inną też miała fizyognomię, niż sąsiednie wioski osadzone od wieków ludem wiejskim, z którym dotąd podobieństwo położenia nie połączyło żadnym węzłem pamiętających o swém pochodzeniu lechickim Trawińskich. Na oko porządniejsza i z dworków złożona samych, choć niektóre pochyłym i nadgniłym ganeckiem od chałup się tylko różniły, z gęstemi wiśniowemi sadami i mnóstwem studni, których wysokie źrórowie zdaleka były widne, szeroką pośrodku ulicą

i wygonem dla gęsi, z dosyć porządnym kościołkiem drewnianym, i wielką karczmą. Trawna uśmiechnąć się mogła przyjeżdżającemu, gdy na nią spoglądał z pagórka, bo podobna była do zielniącego ogrodu, wśród którego białe ściany chat świeciły; ale wshedłszy i przepatrzywszy się, smutno było spotkać się z ubóstwem i niedbalstwem jej mieszkańców. Mało który domek szlachecki świadczył o dostatku i zamiłowaniu porządku właściciela, większa ich część opuszczona, zakłęśła, porozgradzana lub opustoszona, skarżyła się na swą nędzę i upadek. Gdzieniedzie pokażniejsze budynki nowszemi facyatkami chwaliły się obrócone do ulicy, lecz tuż obok nich rudery, obrosłe trawą wywróconych pustek na odumarłych schedach, z których połączenia powstały, oskarżać się zdawały tych świeżych dorobkowiczów o ucisk i przemoc nad sobą.

Jak wszędzie na świecie, lecz wyraźniej może niż gdzieindziej, życie rozwijało się tu kosztem życia... i z ruin wyrastał dostatek na chwilę, by zaraz ustąpić miejsca nowemu jakiemuś pokładowi z innych złożonemu elementów. Tak, na miejscu zamożnych niegdys zagród, o których rozpowiadano sobie u komina wieczorem, dziś stały tylko ogorzone słupy lub zczerniałe kominy, a na nowych sadybach białeły schludne dwory szczęśliwych... W ogólności jednak Trawna raczej była ubogą niż zamożną; mnóstwo z niej nawet szlachty i szlachecianek rozchodziło się po okolicy szukając lepszego losu na służbie po dworach; starzy tylko i niemogący w świat się posunąć, na skibie pradziadowskiej dosyć chudęj i nieurodzajnej, w pocie czoła pracowali na suchy powszedniego chleba kawałek. Z kilkudziesięciu osadników ledwie dwóch mogło się w swoim stanie nazwać dostatnymi i zamożnymi, kilku się jako tako od wiosny do wiosny przeżywali nie potrzebując uciekać do nikogo; reszta zostawali w zawisłości bogatych i arendarza, a naostatek kilku ostatnich dogorywali ratując się jak mogli to pracą, to gorzałką, to niewiedziąc jakim zarobkiem. Brak jednoci i związku, wygaśnienie familijnego ducha, który ich niegdys jedną wielką czynił rodziną, cięższe czasy, a opuszczenie rąk, były przyczyną, że Trawińskim coraz się gorzej wiodło. Nędza namnożyła waśni, głód porobił nieprzyjaciół i zawistnych, jedni drugim poczeli zazdrościć i szkodzić, przychodziło do kłótni sąsiedzkich i bójek zadających, i tak wszystko pochyliło się ku upadkowi, z którego tylko żyd arendarz, przyjaciel każdego, co pił, umiał zręcznie korzystać.

Pan Paweł Trawiński miał tu swój zagon i pradziadowski dworek, ale należał do tych, którym się jakoś niebardzo powodziło, choć pracował poczciwie i rąk nie opuszczał. On, żona Agata, Trawińska także z domu, po którejj wziął kawałek ziemi nieurodzajnej pod lasem i na sapach, dwóch synów dorosłych, trzy cór-

ki, krewniak Szymon, składali całą ich rodzinę. Wszystko to utrzymać, wyżywić, odziać, pokierować tęp, było na głowie pana Pawła, który rozumem nie grzeszył, ale tak sobie szedł dalej a dalej z ufnością wielką, że pracy Pan Bóg dopomoże, i w najgorszym razie nigdy nie rozpaczał. Za to zapobiegliwszej niewiasty nad żonę nie było w całej osadzie; fraszka, że nie spoczęła nigdy, ale narzekała ciągle i głowę myła mężowi za jego obojętny na przyszłość spokój i krew zimną, z którą na wszystko spoglądał. Od rana do nocy to obawiając się czegoś, to zapobiegając czemuś, biedna niewiasta krzątała się z chaty na podwórko, z podwórka na pole, do sadu, na wygon i nieustannym karmiła się strachem dzień cały. Trudno było Panu Bogu jej dogodzić, skwar nadto dopiekał, lękała się posuchy, w chłód przeczuwała mrozy, w słotę lamentowała nad powodzią, z każdą chmurą przeczuwała burzę, a we wszystkiem widziała same nieszczęścia. Najrzęczniejsz też umiała zawsze każdą rzecz i sprawę na złe sobie wytłumaczyć i w tęp była niewyczerpaną. Pan Paweł już tak do tego nawykł, że się nawet nie sprzeciwił i milczał, wiedząc, że imby jej mocniej doprowadził próżności tych przywidzeń, tępby więcej do nich się przywiązywała.

Zresztą w prawdziwej klęsce Agata zamiast łamać ręce i lamentować, jak czyniła, gdy nie było czego, czynnie się związała słowa nie mówiąc, i nikomu się nie dając uprzedzić. A że Pan Bóg państwu Pawłom dał dosyć liczną rodzinę, bo aż pięcioro dzieci, miała Agata czém sobie dogodzić w swych o przyszość troskach, turbując się to o synów, to o los córek z kolei, a w potrzebie nawet o wnuków, których jeszcze nie było na świecie. Szymon, krewniak, sierota wzięty do pomocy w chałupie także jej serce zakrwawiał, a mąż! a krewni! a chudoba! a pole!... Wstawała z westchnieniem i kładła się wzdychając ciężko, nosząc wszędzie smutek z sobą. Z tego powodu w Trawnój zwano ją powszechnie panią Chmurą, choć zresztą lubili ją wszyscy, znając dobre jej serce.

Dworek pana Pawła niezbyt nowy, ale już za jego gospodarstwa poprawiony, niebardzo obszerny, składał się jak większa część szlacheckich, z sionki, izby, alkierzyka, kuchni naprzeciw, spiżarni i jeszcze jednej osobnej stancyjki, która rozmaite miewała przeznaczenia. W pierwszej, niby paradniejszej od gości, nikt nie sypiał, w drugiej Pawłowie oboje i córki, naprzeciwko chłopcy z Szymonem. W lecie, część ludności tęp wynosiła się do szop i świronków w ogródku, zimą gromadziła do chaty. Skromna ona była i uboga, ale schludna, pobielana parę razy do roku, na większe święta, odznaczała się czystością, o którą Agata bardzo się tro-

skala, córkom przykład dając, jak ją utrzymywać. Kilka obrazków świętych na ścianach, parę zydłów z poręczami, kilka stołków, stół dębowy, kufrów kilka, ot i wszystko, co zdołało pierwszą izbę... do której niskich okien malwy, słoneczniki i bez zaglądały z ogródka.

W niej właśnie siedziała pani Trawińska, krając koszule dla córek i wdychając, że na to szło dużo płótna, a jejmościanki tak powoli przędły, wołąc chichotać po przelazach i przy studni niż siedzieć z kądzielą, gdy zaturkotał wózek znajomy, i klacz zarżała, zbliżywszy się do wrót swoich...

— To mój! — odezwała się pani Pawłowa, zniżając głowę i zaglądając — ale cóż to jest! Panie Boże! nie sam! kogoś przywiózł, jakaś kobieta! Skaranie! a tu chleb nie pieczony i choć u kumy pożyczaj...

Ciekawa, na próg, rzuciwszy płótno po podłodze, wybiegła, a tuż i Paweł prowadząc Dosię, ukazał się we drzwiach, mówiąc po staremu: Niech będzie pochwalony...

— Otóż ci przywożę gości na kilka dni — rzekł szlachcic, wskazując Dosię, której czerwone oczy i smutna postawa świadczyły o jakimś dotykającym ją nieszcześciu — to panienska z Sado-góry, wychowanka nieboszczyka pana Czeszaka...

— Jakto nieboszczyka? — pochwyciła jejmość załamując ręce — to umarł?...

— Dzisiaj go pochowaliśmy... Najechali tam jacyś dziedzice i bez litości wygnali ją... Ksiądz proboszcz polecił, żeby u nas kilka dni przebyła, póki się co dla niej obmyśli, lub nie odbierze od tych łakomców, coby swoje i cudze pochwycić radzi... Siadajże panienska... bo musisz być strudzona.

— Siadajcie, siadajcie — poczęła Agata, żywo ścierając stołek i podając go dziewczęciu — możebyście co zjedli, musicie być głodni...

— Dajcie jój gdzie kąć — szepnął Paweł — niech-by się położyła, bo ledwie się na nogach trzyma, potem wam powiem, co to miałem za historye...

Z za drzwi Kachna i Petrysia Trawińskie, córki Agaty, wyglądały ciekawie przypatrując się przybyłej z ojcem, której się domyślić nie mogły, i na rękę to było matce, która starsza zawałowała żywo, żeby izdebkę za kuchnią dla paniunki przyrządzić. Piękność Dosi, jój smutek i łzy, obłąkanie jakieś, tak ujęły za serce wszystkich, że w chwili powyrzucano z jednego wolnego w domu kątką stary jakiś sprzęt, który tam leżał, otworzono okno, zasłano łóżko i zaprowadzono sierotę, zostawując przy niej do posługi i dozoru Kachnę, litościwie dziewczę, rade bardzo, że

wśród jednostajnego ich życia było się czémś nowém zająć i ożywić.

Agata tymczasem wzięła męża na spytki i wciąż ręce łamiąc, a na rany Chrystusowe wykrzykując, słuchała opowiadania jego o Sadogórze i zaszłych w niej wypadkach. Petrysia, Julka, Szymon i dwóch nawet sąsiadów, zwabionych wieścią, że Paweł kogoś z sobą przywiózł, zeszli się do pierwszej izby rozpytywać go ciekawie; i nuż wyrzekać na niegodziwych krewnych... Żywo to wzięli do serca wszyscy, a krzywdą wyrządzoną Dosi i panu Pawłowi razem niezmiernie ich obesła. Porzucono wszelką robotę słuchając Pawła, który w zapał wpadał i po kilka razy jedno ze szczegółami najmniejszemi powtarzał.

Dosi tymczasem sen skleił powieki, ledwie głowę do poduszki przyłożyła, i Kasia napróżno próbowała ją rozgadać; znużenie, płacz zmogły i obaliły, a młodość, która z taką potęgą wyczerpane siły nagradza, ujęła ją snem ożywczym, odganiając natrętne marzenia, coby spoczynek potrzebny zatruć jej mogły.

W bladą jej piękną twarz długo i z podziwem cichym wpatrywała się wiejska dziewczyna, dziwując się nigdy niewidzianemu jej wdziękowi, i czując się upokorzoną, choć dotąd ona także miała się za piękną... Lecz czémże była ta krasa młodości i świeżości przy anielskiej twarzy Dosi, zdającej się pod tą słomianą strzechą z nieba zstępującem zjawiskiem?

Ażeby wyżyć żywotem naszego ludu prostego, naszej szlachty zagrodowej, potrzeba albo mieć w sobie prostotę i pracowitość, lub wielkie zasoby uczucia i myśli. Mało kto jest zdolny pojąć ich, ocenić i wytrwać z niemi, ograniczając się maluczką liczbą żywiołów, jakie się tu spotrzebowują. Najmniej właśnie potrafi ich pojąć człowiek, który ma się za wyższego od ludu, a w istocie jest może tylko zepsutszym i rozpieszczonym.

Wychowanie taką na nieszczęście uczyniło Dosię, która dziewczyna losu przemiana rzuciła w świat zupełnie jej obcy. Pielęgnowana niegdyś i przez nieboszczyka pana Czeszaka niezmiernie rozpieszczona dziecina, nadzwyczajnej piękności swęj, dowcipowi żywemu i uroczemu wdziękowi winna była, że ją kochali, nadszkarliwali jej wszyscy od maleństwa. Nieznani rodzice przelali w nią ze krwią gorącą i temperamentem niepohamowanym, jakąś dumę i śmiałość, jakieś pragnienie wzniesienia się i uczucie godności, dziwacznie się często objawiające. Osierocenie i pochodzenie nie-

wiadome dozwalało marzyć, skarżyć się i czuć pokrzywdzoną, i wyrobiło w niej żądzę przygód, wiarę w tajemnice, jakąś nadzieję cudownego podźwignienia ze stanu, w którym zostawała. Maluczkiem dzieckiem przywiózł ją był pan Czeszak do Sadogóry i budował z taką troskliwością i staraniem, z tak ojcowskiem uczuciem i uwielbieniem ślepym, że miłość ta nie dozwoliła mu nigdy zwrócić uwagi na to, co groźnym mogło być dla przyszłości i niebezpiecznym w późniejszym rozwinięciu charakteru. Uczynić jój życie jak najśłodszym, jak najprzyjemniejszym, było zadaniem biednego ojca przybranego. Dosię pieszczono tylko i spehiano jój rozkazy nawet najdziwaczniejsze, a kiedy czasem proboszcz lub kto z przyjaciół naganiał to staremu, pan Czeszak odpowiadał:

— Pozwólcież mi jój choć te pierwsze chwile życia ozłocić, Bóg wie, co gotuje życie!

Widocznem było dla Dosi, że opiekun wiedział o jój pochodzeniu; nie uszło żywego oka podobieństwo rysów z portretem kobiety wiszącym w jego pokoju, ale gdy nagliła o wyjawienie tajemnicy, nie tylko że zawsze surowo ją gromił, ale wpadał w smutek i rozdrażnienie, w jakich go nigdy nie widywała, i odpychał z boleścią, zakazując raz na zawsze pytań podobnych. Natomiast we wszystkich innem słodził jój życie jak mógł, dogadzając wszelkim zacheeniom i fantazyom najdzikszym. Ale w tak prostem jak było ich życie, Dosi nie mogła ani zapragnąć wiele, ani zamarzyć, bo nie znała nic prócz otaczającej okolicy i małego ich parafialnego światka, który o większym dać jój pojęcia nie mógł wcale. Wychowaniem jój umyślnie prostem zajmował się sam pan Czeszak, a choć wiele podobno umiał i mógł nauczyć, ograniczył się do najpotrzebniejszych dla kobiety średniego stanu wiadomości. Od książek nawet, jak mógł, odsuwał ją i chronił, aby nie powiększać i tak widocznej do rojenia i marzeń skłonności. Umyślnie też wdrażał ją do pracy i prostego życia, które sam wiódł czy z upodobania, czy z planu, ale Dosi po-za szranki jego nieustannie myślą i sercem wybiegała. Życie jego z tą sierotą było więc nieustanną i ciężką walką przywiązania, chcącego jój we wszystkim dogodzić, i pojęcia obowiązków, wstrzymujących co krok słabego opiekuna. Na przemiany to ją rozpieszczał zapominając o przyszłości, to znów troskając o nią, hamował serec własne i wymadlał trochę zmiany, choć trochę ochoty do pracy.

Ale ludzie przychodzą czasem na świat, skutkiem niepojętych fizjologicznych wpływów macierzyńskich i ojcowskich, z jakimś niby wspomnieniem żywota przeszłego i odrazu zakreślonym celem pragnień. Śnią się im jakieś losy, pędzi ich żądza, którą niewiedzieć skąd wyssali, mają jakby jasnowidzenia swoich przeznaceń.

Napróżno pan Czeszak starał się wmówić Dosi, że jęj stan bardzo był skromnym, jęj nadzieje bardzo poziome, widnokręgą szczupłą; ona miała coś w sobie, co jęj mówiło, że na większą wystąpić musi widownię. To co ją otaczało, wydawało się małym i nিকেzmém, marzyła o blasku, o świetności, o uciechach, których znać nie mogła. Chował przed nią książki pan Czeszak, bo się przekonał, że dziewczę pożerało je cheiwie, lecz nie mógł się czasem oprzée pieaszotom sieroty, a z tego, co czytała, przestraszał się ogromem wniosków, domysłów i zagadek przez nią rozwiązywanych. Ze słówka rozsnuwała światy, ludzi odgadywała jakimś darem wieszczym, przebijała umysłem otaczającą ciemność, i niepodobna jęj było raz rozbujanęj, zawrócić na poziomą drogę rzeczywistości.

Rosła tak biedna Dosi z uroczą twarzyćką, która zamiast pocieszać opiekuna, przerażała go pięknością swoją; w najskromniejszych sukniach wydawała się królową, w wianuszkach z bławatków ideałem jakimś ze świata poezyi, przy pracy najprostszęj umiała być wielką panią, każdy jęj ruch zdradzał to poczucie wrodzone piękna i wdzięku, którego nabyć tak trudno; każdy krok był jakby wystudywany dla zrobienia wrażenia, a jednak naturalny i mimowolny. W kościele, na drodze, w skromnym domku szlachcica, uderzała każdego, nawet najobojętniejszego swoją twarzą i postawą, a zwracające się na nią wejrzenia wcześniej ją nauczyły, jak jest piękna. Wiedziała téż o tém i lubiła stroić się i przypatrywać sobie.

Przeciwko tęj ognistęj naturze niezwykłą obdarzonęj drażliwością i czulością prawie chorobliwą, starał się oddziaływać opiekun, ale napróżno; matka tylko surowa, lub obcy i zimni ludzie, mogliby może zawczasu zahartować ją i ukrzepić, rozkochany Czeszak nie umiał nic, choć pojmował co było potrzeba. Dosi rozmarzoną miała główkę i rozkołysane serce, rozdrażnioną próżnostkę i cheiwość życia niepohamowaną. Świat wydawał się jęj rajem, dla nięj tylko na klucz zamkniętym, którego podwoje kiedyś otworzyć się musiały, wylewając potoki światła i zdroje muzyki.

Wśród tych marzeń szczęśliwych płynęło życie aż do ostatnięj chwili, aż do śmierci opiekuna, która przysłała jak piorun niespodziana, gruchocząc wszystko i rozbijając w proch dziecięcę rojenia... Jednego dnia ujrzała rozplakanego na klęczkach starca, który w rękach miał świeżo odebrane pismo... nie mogła go dopytać o znaczenie tych łez... kazał jęj tylko klęknąć i modlić się za duszę istoty, któręj wiele była winną. Nazajutrz zawiózł ją do kościoła na nabożeństwo żałobne, a w chwili gdy spodziewała się coś dowiedzieć, padł dotknięty tak gwałtowną chorobą, że nawet nie

mógł już przekazać prawnie tego, co dla niej przeznaczał. Domyślając się, że jeden on wie o urodzeniu jej, Dosia zaklinała go, używając przewagi, jaką miała nad nim, by jej o niem objawił, ale starzec został nieublaganym, choć mu się krajało serce; polecił ją proboszczowi, zaklął krewnych, by oddali, co jej zostawiał, a nim testament przygotowany podpisał, nim go nawet dokończono, już nie żył.

Śmierć ta zostawiła sierotę bez opieki, bez imienia i losu, samą sobie... W księgach metrycznych parafii, w której ją ochrzczono, nazwana Dorotą Karoliną, dziecięciem niewiomego pochodzenia i rodziców, od nikogo się o sobie dowiedzieć nie mogła... przyszoła jej zaćmiła się, ale żal po stracie tego, którego ojcem nazywała, nie dał jeszcze poczuć całego ogromu nieszczęścia, jakie ją czekało, ani pomyśleć, co z sobą uczynić miała. Na domiar utrapienia trafiło się jeszcze, że spadkobiercy pana Czeszaka nielitościwie i oburzająco względem niej się znaleźli, tak, że w jednej sukience, bez grosza, na litosć ubogich ludzi przejść musiała, ona, co była przywykła za wyższą jakąś uważać się od nich istotę.

Cierpienie i szal początkowy nie jej jeszcze wśród tego zamętu widzieć nie dawały, dźwigała ją duma, a myśl swobody, niekiedy przelatująca jak błyskawica, rozświecała czarny widnokrąg.

Kilka dni spędzonych z Trawińskimi, uśmierzając powoli wybuchy bólesci, zmuszając do zwrócenia się ku sobie, stawiając ją wreszcie w żywiole nowym i dla niej dziwnym, wywiodły z początkowego odrętwienia.

Nie pojmowała Dosia, by dla niej coś tak niskiego mógł Bóg przeznaczyć, wdrygała się na przypuszczenie pozostania wśród tej zagrodowej szlachty, której wdzięczną być musiała, a pokochać nie mogła. Z pani rozkazującej w skromnym, ale dostatnym domu szlacheckim, przejść do dworku szlacheccia wieśniaka, jako gość i ciężar, jako przyjęta na łasce, zdawało się jej szyderstwem losu, które trwać nie mogło. Dopytywała zrazu o proboszcza, spodziewając się co chwila świetnej zmiany, ale gdy ten dni kilka nie przybył, rozchorowała się z bólesci dochodzącej prawie szalu. Choć Trawińscy poczciwi nadskakiwali jej, jak mogli, i szanując lży, przyjmowali, jak umieli najlepiej, w tym otoczeniu, w ich życiu prawie nędzném, Dosia wytrwać nie mogła. Sprowadzono jej starą Jadwigę, przywłókł się dowiedziawszy o niej Piotr, ale ta służba serdeczna nie wystarczała pieszczołce. Trawińscy dzielili się z nią ubóstwem, dawali, co mieli, a ten wysiłek ich wydawał się niedostatkiem i nędzą dla Dosi.

Jadwiga widząc ten stan, najęła za jakiś grosz oszczędzony furkę i pojechała do księdza poradzić się o sierotę; znalazła go na

nieszczęście obłożnie chorym ze strapienia, że nie z spadkobiercami poradzić nie mógł; dał jej tylko, co miał sam, i łzami odprawil, obiecując przybycie swoje, jak cokolwiek pozdrowieje. Staruszka za ten grosz kupiła, dodawszy swego, co za najpotrzebniejsze uważała dla sieroty, resztę myślała odsłużyć Pawłom ich ofiarę, której dziewczę nie widziało a Jadwiga znała dobrze. Jednym więcej do karmienia, do opieki, w stanic, w jakim byli Trawińscy, nie było rzeczą małą. Cały dom i gospodarstwo rozstrajało się dla Dosi. Kasia pilnując jej nie przedła, nie szła do gospodarstwa, Agata troskała się więcej niż kiedy o każdą łyżkę strawy, którą przyrządzać osobno dla sieroty musiano; koń od gospodarstwa ciągle był odrywany na posyłki, izba zajęta, słowem, Pawłom to widocznie nie było na rękę, ale ofiarę czynili chętną i żadnym słówkiem czuć jej nie dali, ani Jadwidze, która oczy wyplakiwała, ani Dosi, któraby pojawiwszy ją z ubogiej chatki uciekla.

Tak parę tygodni minęło bez żadnej zmiany w losie dziewczęcia, gdy Jadwiga od szlacheica przejeżdżającego dowiedziała się o śmierci jedynego pozostałego opiekuna, proboszcza... Zmartwienie go dobiło. Sadogórę rozerwali dziedzice, których się już kilkunastu później wynalazło.

Dosia miała ciągle nadzieję, że starania proboszcza muszą jej wyjednać oddanie należności z Sadogóry, i niecierpliwiła się, nie odbierając od niego wiadomości, ale im dłuższy czas w milczeniu upływał, tém się więcej ugruntowała w przekonaniu, że skuteczna wreszcie przyjdzie odpowiedź. Nie powiedziała jej Jadwiga, nie chcąc martwić, ani o chorobie księdza, ani o jego śmierci, którą przerażona utaiła, sama nie wiedząc, co się z Dosią stanie, i jak ten nowy cios przetrwa. Nawykła pieścić sierotę, nie miała odwagi powiedzieć jej, że wszelka dla niej nadzieja została stracona, że potrzeba było myśleć o przyszłości i pracować na nią... sama tymczasem gubiła się w myślach nad tém, co Dosi poradzić i jak nią pokierować było można. Dłuższe siedzenie u Trawińskich do niczego nie prowadziło, Dosia dla nich była ciężarem, i na łasce ubogich pozostając, narażała się w ostatku na wyczerpanie ich miłosierdzia. Mogli pomyśleć i powiedzieć, że pracować powinna jak drudzy na chleb powszedni, a nie cudzy ciężko zaharowany odjadać. Nieboszczyk Czeszak mało z kim żył i widywał się, dobrowolnie usuwał się od świata i towarzystwa, i unikał z nim stosunków, Dosia więc nie miała ani znajomych, ani przyjaciół. Jechać prosić gdzieś dla niej miejsca, przytułku... wzdry-

gała się biedna staruszka... widziała, że wreszcie pieszczone dziecię musi pójść służyć ciężko i poniewierać się u obcych, a wciąż czekała z nieba nadzwyczajnej pomocy jakiegś, uludzona wiara, jaką Dosią także miała w cudowne polepszenie losu.

Często tak nam przywykłym już do jednego stanu, gdy nieubłagane okoliczności strąca z niego, wyrwą co najdroższe, pozbawia, cośmy na wieki zdawali się posiadać, długo położeniu nowemu uwierzyć się nie chce; otrząsamy się z niego, jak ze snu, roim cuda, na któreśmy nie zasłużyli, gniewamy się na zmianę, która nas rani boleśnie. Taki właśnie był stan Dosi, z przykrością zmuszonej po wygodach przejść do podzielenia życia z rodziną ubogą, nie umiejącą ani zrozumieć, ani ocenić jej serdeczności i prostoty, niecierpliwiejszą się na to, co gburowstwem w poceziwych Trawińskich nazywała. Czuła ona ich dobroć i umiała być wdzięczną, ale pokochać ich, zbliżyć się do nich nie mogła, a każdy turkot wózka, każdy żywiej do izby wchodzący gość, zdawał jej się przynosić jakąś wielką nowinę. Tymczasem pędziła dni beczynnie na rozmowie ze starą Jadwigą, która przy piecu na zydelku siedząc, pomagała jej gorzkie snuć wspomnienia lepszych dni, straconych na zawsze.

Agata cały boży dzień krzątała się z ubolewaniami nad swoim gospodarstwem, córki jej pomagać musiały w polu, w ogrodzie, w obórze lub z kądzielą i płótnem na blechu, przy garnkach, koło drobin; synowie Pawła i on sam chwilki nie mieli do spróżnowania, bo własnymi rękami obrabiali zagon dziadowski. Dosią więc sama, zamknięta ze swoją towarzyszką, oczekiwała daremnie tego, co już nigdy przyjść nie miało. Nie przywykła do żadnej obowiązkowej roboty, bo w domu od fantazyi zajmowała się tem tylko, co jej sprawiało przyjemność, i w gospodarstwie szukała zabawki; Dosią nie pomyślała nawet, żeby w czem pomódz Trawińskim i zapewneby nie potrafiła, przy najlepszych chęciach. Znudzona siedzeniem w izdebce, wychodziła czasem do sadu, na przechadzkę, a czarną jej suknią i piękną twarzą zwabione dzieciaki, zaciekawieni szlachta, przyglądali się natrętnie zwolna przez wieś przesuwającej się sierocie. W tych przechadzkach samotnych Jadwiga towarzyszyć jej nie mogła, bo o kiju ledwie chodziła i to z ciężkością, siadała oczekując jej powrotu w bramie i zanurzywszy twarz w dłoniach, dumiała i płakała, ofiarując się Bogu, byle dźwignął nieszczęśliwą wychowaną... Piotr także snuł się koło wsi, ale że o żebranym chlebie chodził, a w Trawnie niewiele mógł zarobić, musiał wycieczki po okolicznych dworach przedsiębrać. Dowiedziawszy się o śmierci proboszcza, Jadwiga już tylko radziła się i troszczyła, jak o tem dziecku powiedzieć, a to jej przychodziło tem trudniej, że Dosią ani przypuszczała,

by ksiądz coś nie odzyskał i mówiła tylko o kupieniu sobie domu z ogródkiem, o zamieszkaniu w mieście i t. p.

Trawińscy wiedzący również o tém nieszczęściu, nie przynaglali staruszki, spodziewając się, że chwilę stosowną wybierze i oznajmi nareszcie Dosi, że jej o sobie i o zarobieniu na życie, pomyśleć trzeba poważnie i stanowczo. Dziewczę się nosiło ze smutkiem swoim i zdawało zapominać, że żyło tak na łasce ubogich, obiecując w duchu sowiec im nagrodzić, gdy majątność rojoną odzyska.

Za wioską, ponad drogą wiodącą do miasteczka, gdzie najczęściej Dosi się przechadzała, o kilkaset kroków od kołowrotu było jakieś stare odwieczne ementarzysko, może pogańskie, bo wielkimi zasłane mogiłami, na których leżały ogromne mechem porośnięte bryły kamieni. Dawno już tu nikogo nie chowano i nowy ementarz opodał się znajdował; tu tylko jakaś dusza pobożna wystawiła przed laty drewnianą kapliczkę, jakich u nas szczególnie w Litwie i na Żmudzi tak wiele. Był to malutki budynek, w którym stał obraz Matki Boskiej starego pędzla, zawsze przez dziewczęta ubierane kwiatami, obwieszane wstęgami, paciorkami, chustami i ubogą ofiarą szlachty miejscowej. Zrobiono przed nim rodzaj ołtarzyka, postawiono cztery świece w lichtarzach, poobwijane lnem i wianuszkami, często bardzo chodzili się tam modlić, bo wizerunek ten miano za cudowny. Samo miejsce, jak na tę okolicę, było bardzo ładne i widok z niego szeroki na pola rozległe, na lasy i wioski rozsiane po zielonej płaszczynie. Kilkanaście dębów niezmiernie starych, ze swemi pokręconymi gałęziami, kilka lip, dwie potężne sosny, rosły tuż blisko przy mogiłach, składając gaj, do którego lubiały biegać dzieci, gdzie nieraz i starzy w święta zachodzili, szukając cienia i chłodu. Kapliczkę i gaj ten święta szanowane przez wszystkich, choć ogrodzone nie były, omijali nawet pastuszkowie odganiając od nich bydło, które się tu nigdy nie pasło. Prześliczna też murawa, macierzanki i polne kwiaty okrywały tę oazę, do której Dosi bardzo chodzić lubiła, modląc się przed Najświętszą Panną, lub długie godziny pędząc w zamysleniu i marzeniach.

Jedno jej tylko zrazu przeszkadzało, spotkanie się ze starą kobietą, która zwykle także dla jałmużny pod kapliczką całe dnie przesiadywała. Miejsce to od lat dziesięciu czy więcej zajmując, żebraczka miała je za swoje, i żaden wędrowny dziad, nawet w czasie odpustu w Trawnjej, zabrać go jej nie miał prawa. Nie łatwo to było z tak zwaną warszawianką, bo tak ją wszyscy, choć imię miała Aniela, a rodem była Trawińska, przywykli już przezywać; krewnych miała wieś całą, ale się nie bardzo przyznawano do niej, choć ją żywiono i utrzymywano, bo żyła na łasce szlachty, i jak po swo-

je przychodziła do każdego po chleb i strawę, a na przyodziewek, gdy go zabrakło, dawać sobie kazała.

Wyszczekana, śmiała, klótliva i bezwstydna, warszawianka choć już sześćdziesiąty rok liczyła i dobrze była stara, chodziła jeszcze wiele, gadała więcej jeszcze, a kijem nietylko psom, ale i człowiekowi potrafiła się obronić. Z jej postawy wyniosłej i rysów marszczkami pokrytych ale regularnych, znać było dawną piękność, z mowy życie w stolicy, w której wistocie dosyć długo przebywała. Umiała się wygadać, ludzi znała dobrze, nie brakło jej konceptu, a pod chwilę i wesołości, a że prawdę mówiła nie obawiając się nikogo, często przykrą, oszczędzano ją zawsze z obawy złego języka. Stara nocowywała to tu, to owdzie po chatach, bo gdy się do kogo wparła, zajmowała ławę jak swoje i o pozwolenie nie pytała; rano szła na wódkę do arendarza, a kieliszek lub dwa żyd dać musiał lub kto z przechodzących kupić, potem za kij ujawszy, jak tylko powietrze było znośne, ruszała pod Matkę Boską i tam już o chlebie do wieczora siedziała, na wieczere dopiero wprzód do żyda, potem do którego z Trawińskich wracając. Prawie zawsze wesoła i gadatliwa, często walała tabaczką, konceptem, patrzyła w oczy i wiedziała jak się komu przypochlebić, przed jednemi wdychając pobożnie, dla drugich podrygując poeiesznie... Były dnie, że zawodziła godzinki tak, że ją aż we wsi od kapliczki słyszano, innych zaś znowu takie przypominała sobie piosenki, że od nich uciekały dziewczęta zatykając uszy. Nie zbywało jej na dowcipie i sprycie, ale znać było, że życia nie straciła na rozmyślaniu i używała go nie szcędząc... jakim sposobem doszła do takićj nędzy i poniżenia, tego nikt nie wiedział...

Opowiadano o niej dziwne historye, że karetą jeździła za Księstwa Warszawskiego, że się z nią pan jakiś miał żenić, że pieniędzmi rzucała jak plewą; ale ona sama nigdy o tém nie wspominała. A jeśli ją kto naparł, żeby mu o przeszłości mówiła, zbywała ogólnikami.

— Kochali się we mnie chłopcy, kochali, a szaleli!... o! com to ja głów nazawracała... miałam i ja dobre czasy... no! ale i teraz nie złe jeszcze, jestem dziedziczką Trawnęj, wszyscy mi płacicie podatek, używam sobie wolnego powietrza, nie nie robię i wszyscy się mnie jeszcze boją! cha! cha!...

I zakręciwszy kijem nad głową, baba zaczynała świstać przeraźliwie, co doskonale umiała, tak, że czasem piosenki całe wyświstywała podpiwszy i od dalszych zapytań uciekała. Powiadają ludzie, że gdy jej nikt nie widział, a została sama pod kapliczką, ukradkiem patrzący, postrzegli ją smutną i pogrążoną, ale przed ludźmi taką się nigdy nie pokazywała.

Odznaczało ją i to jeszcze, że choć od kaplicy i gaju mało się

kiedy oddalała, najdokładniej wiedziała zawsze wszystko, nietylko co się we wsi działo, ale i w okolicy nawet, niepojętym sposobem nabywając tych wiadomości; znała na mil dziesięć każdego, mogła opowiedzieć jego życie, odgadywała charakter i poznała zdaleka po chodzie i minie każdego, często umiejac zgadnąć kto, po co i z czem, gdzie szedł lub jechał.

Gdy po raz pierwszy Dosią poszła do owej kapliczki i zastała tam warszawiankę, już ona doskonale uwiadomioną była o sierocie i życie jej tak znała, jak swoje, a co więcej domyślała się charakteru i umiała do niej przemówić prosząc jałmużny, tak słodziuchno, że Dosią nie mając grosza przy sobie, dała jej jakąś chuścinę... Nie zrzuciła jej żartem i szyderstwem, nie wystąpiła przed nią z wesołością niewczesną, nie starała się rozbawić nawet, ale wzdychała z nią razem.

— Siadajcie tu sobie w cieniu i chłodku, moja śliczna panienczko — rzekła — tu będziecie spokojni i popłaczećcie sobie dosyta, bo łzy także potrzebne, kiedy na sercu ciężko... na to je Pan Bóg dał, żeby się niemi ujęło bólu człowiekowi... Ja wam przeszkadzać nie będę, bo ja się tu pocichu modłę do Matki Najświętszej, za wszystkich Trawińskich... Wam tam u Pawła, choć to dobre czelczyisko, pokoju nie dają: Agata lamentuje, jakby ją na krzyż przybijali, Kachna zęby szczerzy do Szymona, Petrysia patrzy w okno, czy nie jedzie Salezy, a Julce w głowie łakocie... chłopcy też gbury... a gwar... a swar... ot tu sobie spokojno użyjecie...

— Ale skądże wiecie?

— E! czy to ja tyle tylko wiem!... — odparła warszawianka — zapytajcie, o co chcecie, to wam jak litanię wyśpiewam, bo ja tutejsza, i nie darmo mi dał Pan Bóg oczy, choć stare, ale bystre...

Dosią pierwszego dnia jakoś rychło usunęła się od żebraczki nie chcąc się pospolitować, a warszawianka, niby nie zważając na nią, zaśpiewała sobie godzinki odwróciwszy się... Później jeszcze unikała natrętnej gaduły, ale wkońcu przywykwszy do niej powoli, jakiegś doświadczała pociechy i rozrywki, gdy jej trzy po trzy pleść zaczęła. Babcie także chciało się pogadać, i rada była dziewczęciu, przy-pochlebiając mu się bardzo zręcznie, aby go nie odstraszyć. I tak Dosią niemal codzień chodziła pod kapliczkę spotykając się zawsze z Anielą, która jakby w młodości sieroty przypomnienie własnej widziała, z zajęciem i miłością oglądała na nią. Przyszło do tego, że warszawianka przywiązała się do Dosi i tak się rozgadała, że jej nawet o swęj przeszłości przebąkiwała, rozumieć się, malując ją nie tak może jak było, ale w stosownych barwach dla tęg, przed którą się popisywała... Opowiadanie to niemałe na sierocie zrobiło wrażenie.

Trawińska była niegdyś piękną dziewczyną, i z usług u dworu bogatych państwa kasztelaństwa wyrwała się na swobodę ze swoją młodością i krasą; kochali się w niej z kolei młodzi i starzy, co miała kobieciarzy Warszawa. Ktoś ją woził za granicę, chodziła w atłasach i brylantach, wreszcie, jak to zwykle bywa, spadając coraz niżej z więdnącą młodością, dostała się do szyneczku na służącą, i wkońcu nie mając już co robić w Warszawie, przywlokła się do rodzinnego kąta na starość. To życie swoje umiała jednak tak barwić i opisywać Aniela, że obrazami jego zawróciła się głowa sierocie; a dawała jej przytém po swojemu stosowne nauki.

— I jabym — mówiła — mogła dziś nie na rozdrożu siedzieć, a gdzieś w pałacu na kanapie stare gnaty pieścić... alem rozumu nie miała, moje dziecko; wierzyłam każdemu, każdy mi się poczciwy wydawał, litość mnie zaraz brała nad lada człowieczyzną i tak zmarnowałam życie, doczekawszy się, że mnie starzy przyjaciele błotem późnziej obryzgiwali... Trzeba mieć rozum, a ze świata żartować, to dopiero dobrze... nikomu nie ufać, to nikt nie zdradzi, a w młode lata o starości pamiętać. Żebym ja tak była robiła... nie takby mi dziś było... Zaznałam ja rozkoszy... taż to waćpana nie uwierzysz, księżę J.... tydzień się we mnie kochał, kiedy za nim cała Warszawa biegala i piękne panie się wściekały; woził mnie na Bielany karyklem swoim czterema siwoszami, i podarował taki pierścionek, co mi za niego późnziej żyd jucha, choć złodziej, dał w ostatniej potrzebie jeszcze kilkaset złotych... kłęczalo ich tam u nóg moich tyłu, że ich dziś i przypomnieć trudno... Młodość a piękność, moje dziecko, to wielki skarb, tylko, że jak to jest, to Bóg znowu rozumu nie daje, a poniewczasie dopiero przyjdzie opamiętanie. Szalało się! szalało!... Co to twarzyczka, a oczko... człowieka poprowadzisz choć w piekło, byle umieć kolo niego chodzić!... kogo zechcesz będziesz miała, a jak się rozkocha, to go ze skóry drzyj, nie piśnie!... Trzebaż korzystać póki pora, bo to z tego wielkiego ognia potém węgle i sadza tylko, i tyle tój gorącej miłości, póki mu się drożysz... O! żebym ja była miała rozum... Kto tam wie, co ciebie czeka, moje dziecko — dodawała żebraczka ale żebym ja miała twoją twarzyczkę i lata, o! ho! wiem, cobym zrobiła... i chodziłabym w złocie... Dopiero bym ich przymęczyła, dopiero bym się naśmiała i nahulała, pomiatając niemi... Ja nie byłam taka ładna jak wy, bo to takich mało na świecie, miałam tylko stanik wcięty, i buziak różowy i oczy figlarne i ząbki białe, a bywało jak chcę kogo zdurzyć, jak popatrzę, jak się tam smutnowato uśmiechnę, a minkę zrobię... to jakby wędkę rzucił i ryba jest... Tak było i z księciem J.... pamiętam w teatrze... wszedł śliczny chłopeczyna z wojskowemi, a brzęczeli szabelkami, a świeciło

na nich i kapąło i od srebra i od złota... ja siedziałam na dole z drugą, on jakoś spojrzął na mnie... e!... i oczów już nie odlepił ode mnie... ja się śmieję i śmieję... Nazajutrz jużesmy jechali na Bielany... głupiam była, bo go trzeba było z miesiąc potrzymać, były mi dał czapkę złota, jakbym chciała... ale mnie wówczas aby pohulać, aby się pośmiać i w co ubrać i ludzi za sobą prowadzić!... Wy nie uwierzcie, bo i drudzy wierzyć nie chcą, co to ja miałam za pokoje aksamitami powybijane, jakie suknie, jakie brylanty i stroje, jakie sługi i powozy... Ale wszystko dyabli wzięli potem... i zjadł młody chłopak, com się do niego jak głupia przywiązała... Alem się nabulała!... nahulała!...

Dosia słuchała tych opowiadań naukami przeplatanych, gorącą wyobraźnią chwytając z nich tylko to, co ją nęciło, a nie umiejąc wyciągać nauki istotnej... to życie ochocze, śmiejące się, wśród oklasków i pochlebstw, w dostatkach i zbytku, wśród wielbicieli i hołdowników, przechodziło przed nią jak sen uludny, i marzyło się jej po nocach... Zdało się biednej, że smutny koniec kobiety, na którą patrzyła, nie mógł jej dotknąć, zresztą w głąb tego zepsucia myślała dziewiczą zejść nie śmiejąc, nie pojmowała wcale ohydy tego, co się jej całe w blasku i gorących barwach przedstawiało... nie wiedziała, że ostatniem poniżeniem okupić trzeba było to marzone szczęście, tak lśniące z pozoru.

Przechadzki do lasku, marzenia i cały ten tryb życia w ciągłym oczekiwaniu upływającego, przerwała wreszcie jedna chwila, której Jadwiga obawiała się, oddalała, ale przyjsciu jej zapobiedz nie mogła. Dosia dowiedziała się o wszystkim w sposób najniespodziewańszy.

Pawłowstwo Trawińscy przywykli byli do tego, że Dosia całe dnie spędzała za domem i właśnie wówczas, kiedy się to stało, widzieli ją wychodzącą ku kapliczce, a nie postrzegli, gdy powróciła i zasiadła na łóeczku w swojej izdebce. Agata zobaczywszy męża coś robiącego w ogródku, w którym miała kawał konopi posianych, a potrzebując się przed kimś wylamentować i poskarżyć, zawołała na niego, bo nie miała czasu od rana z nim pogadać. Paweł podszedł do niej do okna i tak poczęła się rozmowa, którą Dosia doskonale posłyszała:

— Cóż to będzie, Pawle, z tą nieszczęśliwą dziewczyną... trzebać, żeby jej przecie powiedzieli prawdę... ona tu czeka, a czeka sama

nie wie na co i czas darmo jęj uchodzi; powinnyaby o czémś pomysleć.

— Jadwiga się to tam zbiera — rzekł Paweł — ale po świeżym tym jęj smutku, trudno ją tak dobijać.

— Cóż to pomoże, że ciągniecie... nie mówię, że jest nam cokolwiek ciężarem... bośmy nie dostatni, a panienka wychowana nie do naszego ościstego chleba... ale dla nięj samęj...

— Juścić-by zapewne powiedziéć było potrzeba... ale Jadwiga się stracha, a ja jęj żaluję...

— A toć i ja nie z kamienia mam serce; ale przecie raz przez to przejęć potrzeba i oznajmić jęj, żeby sobie wszelakie państwo wybiła z głowy, a poszła pracować... Wszak to dawnięj i królowie po żebraniu chodzili... Nie będzie miała nic, jedyny opiekun jęj, proboszczysko pocziwy, umarł, to niema co zwlekać, potrzeba jęj o tém powiedziéć... A do tego, Pawle, i nam ciężko... bo to nie dorobi nie, a trzeba jęj dogadzać, i niech to będzie Panu Bogu niewymowne, na którego się to chwałę czyni... ale nam ciężko.

— O! i ja to wiem, że ciężko; ale nie już ja, albo i ty pójdziemy jęj to powiedziéć. A cóż ona pocnie z sobą?

— Co? świat szeroki... poszłaby służyć... nie można inaczej, bieda gorzję niewoli... darmo nikt chleba nie da.

Więcój nie potrzeba było Dosi, którą te słowa jakby ze snu rozbudziły; porwała się żywo i wybiegła szukając Jadwigi, rozognona, zrozpaczona, nie pojmując jeszcze swojego położenia, ale dostatecznie domyślając się go ze śmierci proboszcza...

Stara właśnie nadchodziła, powoli się wlokąc o kiju, gdy w bramie ujrzała Dosię, nadbiegającą z załamanemi rękoma i zapalonemi oczyma.

— Na Boga, Jadwigo! na co te tajemnice przede mną?... ja wiem wszystko! Myśmy ciężarem tym biednym ludziom!... Ja nie nie mam i mieć nie będę... proboszcz nie żyje... mnie trzeba isć stad...

Te słowa, wywołane w obłąkaniu jakiémś, niezrozumiałe, gorące, przstraszyły staruszkę, która przysiąść musiała, aby nie upaść i rzewnie płakać zaczęła.

— Skąd-że to wiesz? — zapytała — któż to panience powiedział?

— Kto? slyszalam rozmowę Pawłów... domyślałam się dawno; ja tu nie mogę, nie powinnam zostać dłużej.

— Ale gdzie się podziejesz? — zawołała Jadwiga, łamiąc ręce — tu się trzeba poradzić kogoś; młodęj, niedoświadczonej tak w świat się puścić, to zginać przyjdzie... Musisz czyjjęs poszukać opieki, komuś się polceić.

— Mnie? — rozgorączkowana odparła Dosia — Pan Bóg mi opiekunem! Ludzie opuścili, nie mam nikogo, jestem sierotą, i z sieroctwem mojem pójdę w świat... nie zginę... czuję to... wiem, jestem pewna.. Nie chcę rady, nie żądam pomocy niczyjéj, pójdę o swojej sile.

— Ale gdzie?... dokąd?... — spytała drżąca staruszka.

— Gdzie?... gdzie oczy poniosą... w świat... za losem moim!... — dodała Dorota śmiało — ja się nie lękam niczego... Pójdę do Warszawy, znajdę służbę, umiem roboty, potrafię pracować!...

— Ty?... ty, moje dziecko!...

— Ja! Nie widziałaś mnie w nieszczęściu — mówiła Dosia — zobaczysz... Dotąd płakałam, bom jeszcze miała jakąkolwiek nadzieję... od dziś mam siłę i poczynam myśleć o sobie... Idę do Warszawy!...

— Po cóż tam?... tak daleko!...

— Tu dla mnie w waszym kącie niema nic... tam znajdę stosowne miejsce...

— Ależ to potrzeba i rekomendacyi i opieki.

— Powiem im wszystko...

— Czy uwierzą?...

— Jako!... mogliżby mnie posądzić, że kłamię? — z oburzeniem pochwyciła Dosia — mnie!... — i rączką białą uderzyła się w piersi z zapalem.

— Ale gdyby i tak, jakże się tam dostać?

— Pójdę piechotą!...

— Z twoją młodością... saméj jednéj tak się rzucić?...

— Lepiej niż tu zginąć w tym kącie... nie bój się, Jadwigo... mnie Bóg nie opuści... pójdę śmiało, i odwagą przełamie wszystko.

— Gada jak dziecko — szepnęła prosta kobieta — a! chyba téż Bóg opiekować się tém będzie, żeby ją nieszczęście nie spotkało.

Przywłókł się i Piotr, który zasłyszawszy głośną rozmowę, przyspieszył kroku do dworku Pawła... a ze słów kilku schwytych po drodze domyślił się, że Dosia już o wszystkiém wiedziała. Jadwiga przyzywała go prędzej, bo była przywykła radzić się we wszystkiém i na jego zdaniu polegać. Piotr w istocie był prosty człek, nie wielomówny, ale roztropny i śmiały, a że po dworach służywał i świata widział dosyć, mógł usłużyć lepszą radą od staréj, która całe życie spędziła przykuta do kąta kalectwem i niedołęstwem. Widzieliśmy, jak po śmierci pana Czeszaka bez wahania wziął kij i torbę i w świat poszedł z niemi, niezaturbowawszy się o przyszłość, i niewiele dbając o nią. Po swojemu filozof, Piotr brał tak życie, jak było, nie widząc w niém innego urojonego celu nad jeden: dobiecia się nieba modlitwą i uczeiwą pracą. Niewiele się téż troskał o dodatkowe

przyjemnostki podróży, służył, póki sił stało i póki mu służba nazbyt nie ciążyła; teraz podstarzawszy obrachował, że już nowemu panu nie zda się i nie dogodzi, i poszedł na żebraczkę. Znano go w okolicy, mógł więc od dworu do dworu, od komina do komina, obchodząc znajomych przewalać się rok i przeżywić, nie będąc nikomu ciężarem, bo ledwie raz w dwanaście miesięcy nawiedzając każdego. U lepszych przyjaciół, a miał ich dosyć, przesiadywał trochę dłużej, najmował się do posług, przyjmował listy i prznosił posyłki, i tak nie potrzebując wiele, wcale znośne pędził życie. Zaszły, zawiedły, krzepki, choć stary, nie chorzał szczęściem, bo ruch lubił i na miejscu gdzieś w szpitalu, przy kościele, byłoby mu wytrwać trudno, a tak w tej swojej włóczędze począł smakować, że jużby był jej nie zamienił nawet na najlepszą służbę. Kochał on Dosię, jak wszyscy, co ją od dziecka otaczali; ale nie pochlebił jej nigdy, owszem, często naganiał jeszcze, gdy się roztrzępotała, i słowa prawdy nie szczędził. Ona go się trochę obawiała, ale szanowała, bo czuła, że miał zawsze słuszość.

— Pietrze! Pietrze! — zawołała Jadwiga zdaleka — patrzajcie... panienska już wie wszystko... radźcie i ratujcie! co ja tu jej z moją biedną głową pomogę?... Ona się Bóg wie gdzie wyrywa i ani chce zrozumieć, że tak samą pójść nie można.

— Z Bogiem wszędzie! — rzekł Piotr lakonicznie — ale cóż to panienska myślisz... tu już niema co w bawelnę obwijać... Proboszcza wziął Chrystus do chwały swojej... ci dziedzice nie nie dadzą, bo sami między sobą się tam jedzą, że strach patrzeć... potrzeba o sobie myśleć i pracować...

— Dziś... jutro... idę stąd — zawołała Dosią — pójdę do miasta, znajdę służbę...

Piotr zamyślił się kiwając głową.

— Do miasta?... ba, ba! byłoby to dobrze, ale... gdzie to się paniencie na to morze puszczać! bez łodzi i wiosła... jest tu przecie kilka domów, w którychby pannę przyjąć mogli, a na wsi bezpieczniej... i łatwiej.

— Nie rozumiem niebezpieczeństwa — zawołała Dosią — a że nie łatwiej, mój Pietrze, to pewna... Gdzież, u kogo mnie tu umieścicie, kiedyście musieli szukać biednych Trawińskich, żeby na tych dni kilkanaście schronienie mi zapewnić...

— Ale jakże się ona do miasta dostanie... bez grosza! — prze-rwała Jadwiga, do Piotra się zwracając.

— Ja muszę do Warszawy — dodała Dosią — muszę!...

— Dostać się może, kto chce — rzekł Piotr ciszej — ale co potem?... kto za pannę zareczy, żeby ją przyjęto w ucziwym domu,

a kto powie pannie, jaki ucziwy, żebyś nie trafiła na niedobrego, czego po świecie huk!

— Otóż to jęć mów... — podchwyciła Jadwiga — to jęć mów... jak się dostanie tam daleko, oczy jęć nasze więćej nie zobaczą... tu w okolicy, choć nas dwoje, może nad nią ezuwać... a tam...

— Pan Bóg... — zawołała Dosia zniecierpliwiona — ludzi złych mniej jest w istocie, niż się nam zdaje... a każdy poczeiwy uwierzy mi...

— Lepiejby było zostać na wsi — dorzucił Piotr.

— Nie mogę, nie chcę, nie zostanę... pójdę piechotą — nastawała Dosia — tu dla mnie niema miejsca...

Zdziwieni tym uporem dziewczęcia, Piotr i Jadwiga spojrzeli po sobie, nie sprzeciwiając się jęć więćej; stary nawet mrugnął na towarzyszkę, by dała pokój perswazyi, i pokiwawszy głową zakończył:

— A no! to już coś obmyślimy...

— Niema co długo przemyślać!... Pawłowstwo się skarża, że im jestem ciężarem; ja i tęg nocy pod ich dachem przebyć nie mogę; zaprowadźcie mnie, gdzie chcecie, a jutro... idę...

Znając żywy temperament Dosi, Piotr nie odzywał się więćej, a ona nie słuchając ich, pbbiegła po swój węzelek do izdebki, chcąc zaraz chatę opuścić. Zobaczyła to Kachna i poszła z oznajmieniem do matki, przywołano pana Pawła, domyślili się starzy, że wygadali się nieostrożnie i wielki ich żal ogarnął.

— Zawsze ten jęćmościin język licha nawarzy — krzyknął szlachcic — a tu powiedzą, żeśmy sierotę wypędzili od siebie...

Agata załamała ręce i poleciała do Dosi.

— A! mój gołąbku, co to tobie... chcesz od nas uciekać? na rany Chrystusowe! cóżeśmy ci zrobili?... Noc!... i nieprzyjaciel nie poszedłby tak od nas... wszakżeśmy ci krzywdy nie uczynili?...

— Nie, nie!... ale ja wam jestem ciężarem... i dłużej tu zostać nie mogę!... — porywczco odpowiedziała sierota — wiem, żeście litościwi i dobrzy... ale ta ofiara nad siły wasze; ja muszę myśleć o sobie i iść stąd.

— Ależ nie dziś przynajmniej!... — poczęli Paweł i Agata — jeżeli panienka cokolwiek nam sprzyjasz, nie dziś! Gdzież się podziejesz, pod noc... na rany Chrystusa... to się nie godzi...

Piotr z Jadwigą także się znaleźli w progu, mileżący wprawdzie, ale twarzami naglący Dosię, żeby została.

— Jak każecie... — odezwała się wreszcie rzucając swój węzełek i przysiadując na łóżko — ale jutro, jutro was pożegnać muszę... jutro... koniecznie...

Gdy się to dzieje, dwoje starych przyjaciół, zwołanych do izby pana Pawła, naradzają się nad wyprawieniem Dosi, wiedząc, że powstrzymać jej nie będą mogli. Piotr znał charakter dziewczęcia, z którym wszelka walka drażniła tylko, nie przełamując go nigdy; przeczuwał niebezpieczeństwa, na jakie narażała się Dusia, rwąc się do miasta, choć ich dobrze nie znał; ale wiedział zarazem, że nie potrafią jej przekonać; pozostawało myśleć o środkach wyprawienia jej z Trawnój: pieniędzy danych przez proboszcza już część wyszafowano na nieodbite potrzeby, małowczko ich było, i na podróż nawet-by nie stało. Piotr rozwiązał węzłki swoje zapasne i wysypał, co miał, ale i to jeszcze było niedostatecznym... Paweł i Agata, którzy patrzali pocichu, a serce mieli najlepsze, pożałowali, że wiele uczynić nie mogli, ale spojrzeniem jednym porozumieli się z sobą.

— Słuchajcie-no — odezwała się gospodyni — tylko sza! nikomu słowa! Paweł chciał kupić parę ozimków i nagotował na to sto kilkadziesiąt złotych; już to prawdą a Bogiem, potrzeba nam ich bardzo, bo woły stare ledwie rok pochodzą... ale na tę zimę nie będzie ich czem karmić, a zaraza w okolicy wszędzie... co mają pieniądze leżeć a pleśnieć, to je weźcie dla niej; jak będzie miała, to odda.

— Ale ona nie przyjmie...

— Możecie jej powiedzieć, że wasze, albo od proboszcza, bo nie wie, ile ich tam przysłał...

— A zresztą — dodał Piotr — ja jak pójde po dworach, i cokolwiek uzbieram, wypłacę wam do grosza... Niech wam Bóg płaci wasze litość i miłosierdzie dla naszej sieroty!...

— I coby jeszcze zrobić można — pocichu rzekł Paweł, biorąc za czapkę żywo i otrząsając ją z kurzu — gdybyśmy my z panem Piotrem poszli po dworkach oba... Kto wie, możebyśmy co dla niej uzbierali, mało wiele, a w drodze nie zawadzi zapas... jak myślicie?...

— E! gdzie zaś, kto tu co da! — zawołała Agata — czy nie Jan... albo Sękowscy... albo Horyga! to darmo.

— Kupić nie kupić, potargować można... — rzekł Paweł do Piotra, a my chodźmy, będziemy mieli spokojne sumienie...

— Jakoś to może nie wypada tak kwestować — mruknął Piotr — żeby się dziecko nie dowiedziało...

— Co tam nie wypada!... czego się ma dowiedzieć!... gorzej będzie, jak jej w drodze zabraknie i samą przyjdzie się ratować... Chodźmy, bo późno, a nim się spać pokłada, ledwie będzie czas dworki oblecić.

— A no! to chodźmy...

— Przecie wszyscy tu pannę widzieli i wiedzą o jęj meszczęściu ; każdy coś da, a jest nas kilkudziesięciu, ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka.

Poszli tedy oba, a w izbie po ich wyjściu zaległa cisza, przerywana tylko wzdychaniem Agaty, która już oddawszy parę ozimków, stękała teraz pocichu, że bez grosza zostaną. W podwórku trzy siostry, Szymon, młodzi Trawińscy rozpowiadali sobie półgłosem o Dosi i jutrzejszym jęj wyjeździe, gdy nadeszła ze śpiewem, tą razą weale nie pobożnym, warszawianka. Miała widać trochę w głowie, bo i kijem wywijiała i zawodziła jakiegoś krakowiaka tak głośno, że ją z końca w koniec wioski słyhać było, i półwistywała niekiedy.

Zobaczywszy kupkę w dziedzińcu chaty, przysunęła się do nich po swojemu, podskakując niby do tańca, ujawszy się w boki, jak zwykle, gdy ją ten szal opętał.

— Szymonku, kochanie! — krzyknęła posyłając mu buziaka — co masz na Kachnę patrzeć, spojrzij-no się na mnie!... ja cię kocham okrutnie!... ej! gdyby tak lat trzydzieści nazad... to-bym cię wyści-skala!... Jak się macie? dobry wieczór! a co słyhać?... — i zaśpiewała :

Świeci miesiąc, świeci, koło niego gwiazdy;
Gdzie się no obróć... kochać musi każdy...

— Tfu! stara piosnka... nie do mojęj twarzy... co innego, babuniu! a to ci się wraca niepotrzebnie...

Świeci słońce, świeci, koło niego chmury... —

— Dalibyście pokój śpiewaniu... a to pannie Dorocie może być nie miło, bo oto słyshę płacze... — przerwał starszy Trawiński, któremu Dosia bardzo była do smaku — jutro się wybiera!...

— Sierota! sierotka!... — zawołała warszawianka kiwając głową — tobie, widzę, podobała się gładka twarzączka... niezły gust!... ale ten kąsek nie dla waszeci!... daj pokój, głowy sobie nie nabijaj, to darmo... Nie dla psa kiełbasa...

Chłopcy się rozśmiali, a Trawiński zacerwieniiał.

— A cóż to się stało?... — spytała żebraczka — dokąd ona myśli?...

— Ot tak... w świat... mówi do miasta, do Warszawy...

— Dobrze mówi... — odezwała się warszawianka. — Co to myślicie?... Jak w ogrodzie ogórki narosną, to lepsze zawsze na targ wywożą... czego jęj na wsi siedzieć?... co ona tu wyczeka? Tam niechno się pokaże... chybaby ludzie oczów nie mieli i pomniszyli się wszyscy... to ją złotem zasypią...

— I co bo ty pleciesz! tfu!... — ofuknął się Trawiński. — Co to ci się zdaje... ma pójść oczyma frymarczyć, jak ty, a na dobre ci to poszło! toć przecie pańskie dziecko, uczciwa dziewczyna...

— A jak-byś milczał, to-byś rozumniej zrobił!... — zawołała stara — ej! ej! Ona nie potrzebuje nic niepoczeiwego robić, a taki z tą twarzyczką lepiej jęj będzie, niż gdyby do was była podobna... zaraz ktoś spojrzy i pożałuje... Pańskie dziecko! to się wie, ale to tylko bieda, że rodziców niema... takich pańskich dzieci pełno u Dzieciątka Jezus... Nie żalujcie wy jęj, da ona sobie radę lepiej od nas! główka nie dla proporeyi, a śmiała... potoczy się jak kula.

— Aby nie w rów... — dodał starszy chłopak wzdychając — bo to nie nowina zginąć w mieście.

— A na wsi? — zapytała warszawianka — oj! oj! jakie wy tu pocziwe! ha! ha! jakbyście nie moi bracia byli, i ja was nie znała! a chcecie, to wam policzę, ilu z was co roku idzie dyablu na strawę.

— Daj-no pokój, Anielo... — ofuknął chłopiec — ta mówmy o czém inném.

— Jutro tedy w drogę, mówicie — przerwała warszawianka — to trzeba mi się z nią pożegnać.

— Dajcie jęj spocząć, dziś nie wychodzi, mówiła nawet, że wieczery jeść nie będzie...

Rozmowa w podwórku ciągnęła się tak do ciemka, aż Piotr z Pawłem powrócili, a żebraczkę jeszcze zastali u drzwi chichoczącą z gromadką, która się jęj sprzeciwiała, żeby ją na żarty wyciągnąć.

— No! a zebraliście tam wiele? — spytała ich zdaleka, wiedząc już, po co chodzili — popisali się Trawińscy, czy kutwy takie jak zawsze?

— Ot nie!... — rzekł pan Paweł. — Jan dał dwadzieścia złotych, choć żona krzyczała... Sękowscy, żeby się nie powstydać, trzydzieści, Horyga mydlił, mydlił, ale talarka starego wystękał... zebralo się sto kilkadziesiąt.

— Pan Jezus przy dziecięciu! — krzyknęła żebraczka — skończenie świata! a toć cuda, a jabym była szyję dała, że się pozamykają i psami was wyszczują... No! poczekajcież, toć to i ja Trawińska — dodała, macając się po torbie — niechże i ja co dam.

— Ty? — spytał Piotr.

— A cóż to myślicie? — dobywając wytartego trzygroszniaka, oburzyła się Aniela — macie i mój datek... Arendarz nie chce go brać. Darmo noszę ze cztery tygodnie... weźcie go sobie... i jak mi Bóg miły, więcej daję od was, bo ostatek — i potrząśła sakiewką próżną. — Znajcie warszawiankę, hołoto!

Pośmieli się trochę, ale obawiając się gniewu i języka żebraczki, nikt jęj ofiary odrzucić nie śmiał. W izbie Pawła pocichu przeliczono

pieniądze, i okazało się tego z resztką od proboszcza, z ozimkami Pawłów i składką szlachty, do czterechset złotych, co się im nie małym wydało.

— O tém, choćby i do Warszawy chciała, może bezpiecznie — rzekł Piotr — będzie miała za co ręce zaczepić, póki nie znajdzie roboty albo służby. Droga ją niewiele będzie kosztować...

— Ja, jak-em się ofiarował — dorzucił Paweł — tak ją do szosy odwiozę; jednakowo tam mi wypada być, to się to razem zbędzie... za dwadzieścia złotych, to ją choćby w karetce tej, co wciąż tam jeździ co dzień, umieścim; ale żeby dziecka tak nie wyprawiać, potrzeba się postarać o świadectwo od wójta i papiery... a toby ją gdzie mogli, uchowaj Boże, zatrzymać.

Nazajutrz nim się to wszystko pościagało, a Paweł do drogi przysposobił, nastalo i południe, wózek stał w podwórku, krzatali się wszyscy. Agata w kobiałkę powtykała trochę jadła, żeby nie kupować po karczmach, chłopcy opatrywali uprząż i siwą kobyłę wyprawdzano ze stajenki. Co żyło, skupiło się dla pożegnania z Dosią, która zdawała się niecierpliwie tylko, żeby stąd wyrwać się co prędzej, jak gdyby za wsią na rozdrożu czekało na nią szczęście... Jadwiga płakała, Piotr chodził zamyślony; żeby nie koszt, byłby sam gotów z nią ruszać na koniec świata, tamta, gdyby nie kalectwo, nie pożałowałyby też siebie pewnie; musieli dziecko puścić samo i drżeli o nie. Ciekawi ze wsi postawali przy wrotach, żeby jeszcze tę panielkę zobaczyć, która tak śmiało do Warszawy jechała; ruch w podwórku był wielki, a Agata lamentowała nad mężem, puszczać się na dwa dni, nad siwą kobyłą jedynaczką, nad wypróżnieniem maźnicy i w ostatku nad sierotą jeszcze...

Nie rychło gotów był pan Paweł: to tego, to owego brakowało, w końcu biczysko mu ktoś schował, czapka się gdzieś zatrzęsła, za tyczkę od koła zgubili... i dobrze z południa wyszła Dosią, żegnając poczciwą szlachtę, która ze łzami się z nią rozstawała. Złote to tam serca, złote! cudza bieda jak swoja obchodzi, widok pożegnania rozczula, a choć wrażenie trwa krótko, bo mu praca i bieda nie dają mieszkać długo, pamiętne ono nazawsze. Co tam było błogosławieństw! co rad i ile łez stariej Jadwigi, ile modlitw i krzyżków, ile obietnic nabożeństwa na intencję sieroty... i ile smętnych przeczucie i postrachów... i ile uczucia! A! nie mówcie mi o cywilizowańszym świecie, że w nim jest więcej czułości i serdeczności... ubodzy tylko

i ci, co cierpią, z bliźnim się cierpieniem i strachem, dołą i niedołą podzielić umieją...

Dosia w tym gwarze, wyściskana, wycalowana, trochę łez uroniła, ale więcej myślała o jutrze niż o przeszłości; tu jej nic nie przywiązywało, prócz dwojga starych, Jadwigi i Piotra, tam w nieznanym krajach i światach śmiało się wszystko... migały tysiące obicnie.

— Bywaj zdrowa! niech Bóg prowadzi szczęśliwie! Jedźcie z Bogiem...

Wołali jeszcze w bramie, i powychodzili za wrota, gdy się wózek wyrwywając z cizby potoczył, i machali chustkami, i kiwali głowami za nią, choć Dosia nie widziała tego, twarz utuliwszy w dłonie... We wsi jeszcze kilka razy stawał pan Paweł, przed karczmą dla jakiegoś rachunku z arendarzem, przed panem Horygą, żeby od niego wziąć polecenie do miasteczka, dalej, że jeszcze czegoś zapomniał i obszukać się musiał po kieszeniach i węzełkach, póki się nie znalazło. Za każdym zatrzymaniem nadbiegali przyjaciele sieroty, prócz starej Jadwigi, którą kalectwo na przyzbie wstrzymało, i żegnali ją znowu, i jeszcze polecali Bogu, i podplakiwali... Nareszcie wózek potoczył się żywiej, okrył go tuman kurzawy, i szerokie pola i szerszy świat nieznany zajaśniał przed oczyma Dosi.

Dziwną, tajemniczą, niezbadaną władzą jest przecucie. Jest-li to instykt zwierzęcia jeszcze, podniesiony do potrzeby człowieka, czy poszept anioła-stróża, głos jakiegoś opiekuńczego ducha lub szatana kusiciela wiodący ku nieznanemu, i zwiastujący to, czego jeszcze ani znało serce, ani widziały oczy? Dlaczego myśl ludzka drży i tętni tém, co człowieka ma spotkać, wprzód niżeli stanął u kresu? czemu marzy i widzi, wylatując tym wzrokiem duszy naprzód i zawsze głosowi wewnętrznemu nie wierzy, choć tysiąckroć oznajmił mu nieznane i wyprorokował tajemnicze?

Ten siódmy zmysł, czy władza ducha, jednym dana tak obficie, drugim całkowicie ujęta, w świeżych duszach, w drażliwych organizacyach, w wyjątkowych położeniach spotęgowuje się ogromnie. Dosia nią wiedziona, jechała do przeznaczeń swoich, i część ich z poza mgły widziała już przed sobą: otaczał ją gwar jakiś i tłumy... oczy zwracały się na nią... ręce wyciągały... jedni nastawali na nią, drudzy jęł bronili... padała i podnosiła się, płakała i uśmiechała... strach ją ogarniał, przepaście otaczały i więcej w tém przecuciu przyszłości było widziadeł straszliwych niż wesela i spokoju... a jednak coś jakby siła niezwyciężona, ciągnęło ją tam, tam... gdzie przeznaczono jęł walczyć, cierpieć... i spełnić nalaną czarę żywota.

Od Miłośnej już czujesz Warszawę, zbliżając się do niej, choćbyś nie wiedział, że to wielkie miasto przysuwa się, poznasz po okolicy, że tam za lasami jest zbiegowisko ludzi i jakieś ognisko jakiegoś życia. Stolica wypija wszelką samoistność, z otaczającego ją kraju widzisz, że tu żywot nie wystarcza sam sobie jak dalej w głębi prowincyi, wszystko dąży do niewidomego środka, odwraca się ku niemu, zmierza, biegnie, śpieszy, patrzy w jego stronę. Fizyognomia nawet wsi zmieniona, coś tu już pachnie miastem, w powietrzu przelatują dziwne wonie zgnilizny, podejrzane zapachy jadła i wzywyw fabryczne; wiatr przynosi pomieszane, starte, nieodgadnione cząstki ulatniającego się życia gromady ludzi; budowle mają jakiś pozór kamienie, trawa obsycha pyłem nieustannym pokryta nad drogami, lasy zwarzone gorącym oddechem miasta, karłowacieją i bledną. Spojrzawszy na ludzi, dobitniej jeszcze widzisz różnicę dwóch światów, wiejskiej ciszy i potężnego gwaru kotła, w którym smaży się nie wiem czy strawa dla milionów, czy powolna trucizna. Znika tu sukmana chłopka, lub przedzierzga się w jakąś odzież nawpół cudzoziemską, lichy wózek drewniany zmienienia w okutą i ciężką brykę, a twarze! twarze! Nie znajdziesz na nich owego rumieńca, który daje powietrze zdrowe i powiew niw szerokich; ale bladeść wycieńczenia, lub płomień rozpalony trunkiem; nie spotkasz tu zamyślonęj, wdumanęj w siebie spokojnej niewiasty, ani u pracy modlącego się chłopka z poczują prastarą na ustach i czole, ale coś obojętnego, szyderskiego lub oglupiałego zużyciem. Znać, że stolica, która się opala wiejskiem drzewem, poi wodą przyniesioną z gór dalekich, oddycha, gdy ją czystsze obwieje powietrze, karmi utuczonem przez nas bydelkiem, i żywi chlebem, na który daleko gdzieś spadła ożyweza kropła potu, przefrymarczona przez kupea na grosz biały, znać, że to miasto pożera i ludzi, co mu służą. Trudno zaprzeczyć temu, że ludność okolic miast wielkich nietylko w zetknięciu z niemi nie zyskuje, ale traci, demoralizuje się i gnije. Miałżeby żywioł ten, tak potrzebny do życia, być tém lekarstwem, co zarówno leczy i zabija? Cisza naszych pól ustała już tu i ustąpiła miejsca niespokojnym gwarom! gorączkowemu jakiemuś zajęciu. Po drodze co krok spotkasz szynki i karczemki, tak różne od naszych wiejskich i tak inaczej całym zaludnione...

Jakieś postacie bezimienne, nieokreślonego stanu, niezbadanego wyrazu, tajemnicze, straszne, odarte lub odzieżą do ich twarzy nie stosowną pokryte, kręcą się i mieszają. Wszystkie lachmany stolicy wychodzą naprzeciw podróżnego na plecach tych wysuniętych miejskich placówek; a z pod każdój chusty i czapki spogląda na cię takim wzrokiem owa postać ludzka, jakby cię pożreć chciała lub obedrzeć. Nawet młodość traci tu swój wdzięk w zatrutej atmosferze; życie

u źródła zabarwione grzechem, nie kwitnie, nie uśmiecha się, nie weseli, ale cięży, boli i walczy. W piętnastym roku w oczach niema już blasku, we krwi siły, by zarumieniła szwarzane lice, znać że człowiek wyprzedził lata i zadłużył się zjadając przed czasem przyszłość swojej na pniu jeszcze. Wszyscy tu zmęczeni sobą i ludźmi, ocierają się, unikają lub chciwie szukają, na co by się chwilowo przydać sobie mogli. Frymark jest wszędzie... ci wiozą na sprzedaż ziarno, tamci napój, ów bydłę, a wszyscy siebie w dodatku...

Od najdawniejszych czasów uznanym jest faktem, że zepsucie szerzyło się zawsze z wielkich tych ognisk, które zwano miastami; dziś dopiero na obronę ich znaleziono, że one są wielką machiną, wyrabiającą umysłowe życie, postęp, przemysł, że jednoczą rozprzechłych, skupiają siłę i kierują żywotem kraju. Ale nie postrzegamy w nich tych zbawczych żywiołów i potęgi; wieś może, ściśle biorąc, obejść się o siłach własnych bez tych obozowisk, one bez niej trzech dni-by nie wyżyły. Słowiańskie stare targowiska i mieściny rolnicze są już najwyższym wyrazem tego, czego po nich żądać można; dalej panuje w nich element cudzy nam, niemiecki i zgubny. Miasto przerastając w olbrzyma, staje się polipem i ssie tylko coraz więcej soków żywotnych, w zamian nie nie dając posiłnego. Za zdrowe zboże nasze przysyła nam podejrzane swe zamorskie towary dziesięćkroć pofalszowane, nim będą użyte, i za chleb daje przysmak zatruty. W tym ścisku ludzi połączonych węzłem interesu i przyjemnostek, wyrabia się obojętność na wszystko, a za gwarem nie słyhać Pana Boga.

Po-za nami zostały ostatnie pasma lasów, osłaniające stolicę, otworzyła się przestrzeń, i w dymach, w parach widać już piętrzące się mury, ściśnięte domy, daleko rozsunięte budowle. Jak ostatnie wzgórze przebywszy, gdy staniesz nad brzegiem morza, poczujesz w piersi słone jego powietrze, tak i tu, gdy cię zawieje wyciew miasta, musisz przywyknąć do oddychania tą mieszaniną, w której tyśiące pierwiastków coraz nowemi wpływy cię drażni.

A każda z tych cząstek niewidomych przynosi z sobą jakiś atom, który krew twoją pożera i duch żywiony nią karmi nieznacznie... Jakaś gorączka zrazu obejmuje cię i rozzarza: nie pojmujesz zmiany, bronisz się opanowującym wpływom, przerabiać musisz lub uciekać. To wyoddychane powietrze, w które tyśiące piersi rzuciły tyśiące westchnień, pragnień, boleści, rozpaczy, chorób ducha i namiętności... czujesz jak cię upaja, zawraca głowę i w szalonego przetwarza...

Wszystkiemu ulega człowiek, woń gór, cisza lasów, chłód wody i spieka miejska coraz inaczej nań działają... Każdy powiew przynosi na skrzydłach myśl jakąś, tęsknotę, pragnienie, chciałoby się uciec, i jak nad przepaścią próżnia woła, czarne otchłanie ciągną,

niepojęta siła chwytą i porywa; niezrozumiałe głosy szepeczą pokusą nieznanego, obietnicami nowości, błyskając przed oczyma zakazanym owocem... Tu wszystko się sprzedaje! wszystko! tu wszystko dostać można, byleście mieli za co kupić i przefrymarczyć...

Wszystko! potężne słowo... wszystko... I drży serce łekliwe, i bieży krew szybka, i zapomina się przeszłości, której ostatni powiew został za lasami, i wciąga cię powietrze miasta, z węgla, dymu, tłustości, pary i gnilizn złożone, ostre, szczypiące... wśród którego fal niekiedy prześliznie się jakaś woń przelotna, jakaś żyłka świeżości, jakiś prąd żywotny...

Coraz to jaśniej postrzegasz miasto... coraz lepiej je słyszysz... dymy rozsuwają się z przed oczów, szarą zasłoną jednostajną, w pół przezroczystą obwodząc cię razem z niem, oto pierwszy głos oblił ci się o uszy...

To nie powolny jęk dzwonu, ani pieśń pastusza pól naszych... to zgrzytanie młyna, to świst maszyny, to łajanie cisnącego się tłumu, a potem śmiech pijacki, turkot wozów tysiąca, szum fali pielgrzymiej, co przelatuje nie patrząc na miasto i mija go śpieszna, to szept jakiś niezrozumiały, brzęk grosza, szelest papieru, śpiewek schrząplego pozytywka i nie wiem już co więcej.

Dzwony tam jęczą w górze, ale ich nie słyhać, modlitwy płyną, ale ich nie pochwycisz... szumi życie na dole... górą duchy się śmieją. Z jednej strony cały zastęp białych aniołów-stróżów z popuszczanymi skrzydłami i rękoma, z drugiej cała legia szatanów wyprawia płasy w powietrze... a fale powietrzne to ich podnoszą, to spuszczaają, to zbliżają, to oddalają... i aniołowie osuną się, dźwigną, leca, aż znów miłość i litość ściąga ich na ziemię.

Dosia umieściła się w karetki pocztowej z oczyma spuszczone, które jednak z pod rzęs długich umiały widzieć nie patrząc, z bijącym jakąś niecierpliwością sercem i rozmarzoną głową, a w niej więcej było pragnienia i nadziei niż obawy.

Naprzeciw niej siedział młody jakiś mężczyzna pozerający ją oczyma, ubogie znać chłopię, które pierwszy raz ujrzało zstępujący na ziemię ideał, i klęczało przed nim sercem i myślą zdumioną. On i ona składali na ten raz cały transport poetyczny przybywający w miasto; reszta bowiem podróżnych jechała z szyderstwem, na chłodno, i na nich zbliżanie się do stolicy robiło tylko wrażenie rewizji na komorze i powrotu do prozaicznego trybu powszedniego życia. A było ich czworo, dwie pary skrzyżowane tak, że stary, lysawy

z wąsami, po miejsku ubrany jegomość, siedział wprost naprzeciw Dosi, a gruba, biała, jeszcze wcale nie brzydka, ale roztyła jejmość, widocznie rodem z miasta i życiem miejskiem przesiąkła, naprzeciw młodego chłopaka- Los zbliżając dwie istoty świeże, piękne i stojące jeszcze u wrót zamkniętych przyszości, rozdzielił je szydersko, i wystawił na oddech i magnetyczną siłę wejrzeń, dobranych jakby naumyślnie dwojga przedstawicieli miasta i jego zepsucia. To zbliżenie jednak nie przeszkadzało chłopcu i dziewczynie sympatycznie rozglądać się w sobie i w wejrzeniach swych zaczerpnąć trochę żywiołu do nowych marzeń.

Wiemy już, jak piękną była Dosią, jej wdzięk podwajała jeszcze obawa, nieśmiałość, położenie sieroce, nieobeznanie z tęp, co ją otaczało i grozić zdawało, odwagę bowiem i wiarę, z którą jechała zrazu, gubiła powoli po drodze i przestracach ją jakiś ogarnął paniczny. Paweł Trawiński, ostatni opiekun, dowieźł do najbliższej stacyi, sam jeszcze nakłaniał się i wyprosił, że ją w niezajętej szczęściem umieszczono karetee, i gdy pocziwa ogorzała twarz jego znikła z oczów Dosi, poczuła dopiero, jak ciężko być samemu na świecie, nie znając tego świata. Nagle, wśród wrzawy i tłumu gościńca, pierwszy raz znalazłszy się sama jedna, bez opieki, obca wszystkim, zadrzała nad sobą. Pojęła wreszcie, że jest maluczka jednostką, niepotrzebną nikomu, popychaną i lekceważoną przez otaczających, i zrozumiała trudność wyrobienia sobie jakiegoś stanowiska wśród ludzi, których mała garstka żywo już przedstawiła jej większy świat, w jakim miała utonąć. Dziecku zdawało się jeszcze przed chwilą, że dość będzie pokazać się w czarnej sukience, z oczyma zapłakanemi i ładniuchną swą twarzyczką, by obudzić litość, zajęcie, miłość i ujrzyć ręce wszystkich wyciągnięte ku sobie... tu ogarnął ją chłód jakiś, postrzegła, że każdy żyje dla siebie i popycha drugich prędzej niż wspiera; wzdrgnęła się, rachując, jak trudno przyjdzie wyzbrać współzucie. Sądząc z wiejskich swych przyjaciół, we wszystkich zrazu oczekiwała pomocników i opiekunów, ale wnet przekonały ją wejrzenia i uśmiechy podejrzliwe i szyderskie, że na nikogo rachować nie było można.

Chociaż nie powinno było zdawać się dziwném, że jechała sama jedna, jej piękność, osamotnienie, coś nadzwyczajnego w twarzy i ruchu, zdradzającego wyższość uczucia i świeżość wiejską, zamiast obudzać litość i wywoływać zajęcie, budziły podejrzenia i natrętą ciekawość.

Dosią zrazu aż do zbytku szczerą, musiała wkrótce zamknąć się w sobie i pokryć twarz maską chłodu i obojętności; domyśliła się, że lzy, strach, modlitwa nawet mogły być powodem tysiąca fałszywych tłumaczeń i uragań, tak trafne miała przecucie świata,

którego jeszcze nie znała, który ją w kilku postaciach spotkał i w nich objawił się cały.

Traf, który, mówiąc nawiasowo, powinienby się nazywać inaczej, bo wszystko na świecie tak jest urządzone, że w danej chwili spotykają się dwa atomy i dwie istoty, których żywot wzajem na siebie ma wpłynąć, traf, a raczej Opatrzność dała jej szczególnie dobranych towarzyszyw podróży. Pierwszym z nich był ów młody chłopak, który, jak ona, jechał z ubóstwem i nadzieją pracy, do mało znanej mu Warszawy. Jemu śmiała się stolica jako ognisko oświaty, jako cel marzeń, błyszcząca gwiazda na horyzoncie młodości; w wyobraźni rozmarzonej widział to przyszłość swą rozwijającą się świetnie, ludzi przewodniczących mu ze współczuciem, dłonie i serce braterskie, bohaterów, gięniusz, znakomitości i dążył ku temu upragnionemu Jeruzalem z pokorą ucznia, z pobożnością pielgrzyma, z nadzieją niedoświadczonego dzieciaka.

Oprócz niego, siedział, jakieśmy już wspomnieli, naprzeciw Dosi, nie pierwszej już młodości, dobrze łsawy, z wąsami trochę szpakowatemi, mimo kosmetyku, co je czernił, mężczyzna, którego wiek można było chyba odgadnąć z tego, iż się z nim widocznie ukryć starał. Trzymał się on sztywnie, poruszał żywo, uśmiechał po młodemu, ale ani kropelki podobno młodości i świeżości w nim nie było. Temarz ni brzydka, ni piękna, jedna z tych, które sobie przypomniać trudno, z jakimi stu ludzi po ulicach chodzi, miała sobie szare oczy zagasłe, usta pokryte wąsem i resztę dla proporceyi. Cera jej śniado-żółtawa, nie podnosiła wcale wyrazu najpospolitszych w świecie rysów, którym czoło niskie a szerokie nadawało tylko piętno siły i oporu.

Po ruchach pewnych, nieco sztywnych, podrzucaniu ramionami pozostałem po szlifach, nawyknienu do prostowania, łatwo było poznać ex-wojskowego, co para wstążeczek zbrukanych, zawiązanych u klapy surduta, potwierdziła jeszcze dobitniej, każąc się domyślać, że młodość spędził na koniu, przy szabli. Przy pożegnaniu w Sielcach z jakimś kolegą, i wywoływaniu podróźnych do zajęcia miejsce swoich wedle numerów, mogli się towarzysze dowiedzieć, że tym jadącym z niemi do Warszawy jegomością był kapitan Rybacki, figura nieznana na prowincyi, ale w Warszawie w pewnym kółku popularna i nie bez roli. Był to jeden z filarów wesołego klubu *viveur'ów* (nie mamy szczęściem wyrazu na oznaczenie tego zajęcia, które niedawno otrzymało prawo obywatelstwa i stało się niejako stanem, uwalniającym już od obierania innego) — wielki myśliwy, wielki koniarz i sportman, znawca na winach i jadle wykwinny, kobieciarz nie mniejszy i wielbiciel ochoczy teatralnych wymokłych i wysmarowanych piękności; zresztą człowiek, który grywając w karty nie

przegrywał nigdy i nie mając nic pod słońcem, żył jakby kilkadziesiąt tysięcy miał co rok do wyrzucenia. Kapitan Rybacki przewodniczył bawiącej się młodzieży i ułatwiał jej pozbycie się czasu i pieniędzy. A że, gdy wojskowo służył jeszcze, był adjutantem pułkowym i do figlów zawsze niezmierną miał ochotę, choć nie zawsze celował w doborze conceptów i mistyfikacyj, w służbie jeszcze dano mu przezwisko figiel-adjutanta, które i teraz nosił. To upodobanie w płataniu nieprzyjemnych psot i robieniu sobie żarcików ze wszystkiego, choć je znacznie wiek i doznane wypadki uśmierzyły, pozostało jednak skrycie w napojonej nim za młodu skorupce. Bez figiel-adjutanta nie obeszło się nic — kursa, zakłady, śniadania, baliki, polowanie, wesele, bal, maskarada, żywe obrazy, loterya — ochocho brał w nich udział, choć nie swoją ale cudzą kieszenią, zawsze jednak własnym conceptem; dodawał humoru, zagrzewał, wpędzał w matnię, umiał podbijać bębenka i nigdy się zbyt surowo nad znaczeniem czynności swych nie zastanawiając, robił to, co mu do głowy przyszło, o co go poproszono, czém się chciał przypodobać, kpiąc z przesadzonych delikatnostek.

Pił kapitan okrutnie, ale się nie upijał nigdy, z kobietami był nieznośnym natrętem, i nawykły do baletniczek, nie najlepszego tonu miał maniery; grał przewybornie, jeździł konno doskonale, zresztą nie zbywało mu na talentach, bo śpiewał basem nie uczono, ale z dobrą intonacją, podobno nawet mając niejaką słabość do swego głosu, gdyż się z nim rad popisywał. Mówiono, że w wyższej nieco sferze jego postawa, ramiona, śmiałość, wyjednały mu parę szczęśliwych, ale krótko-trwałych, niby serdecznych intryg, z których chwalił się półsłówkami i półśmiechami, jak ostatni student, zapewne tej niepowsięciagnionej chępliwości winien będąc, że później już nawet najobojętniejsze na sławę swoje kobiety, unikały od niego. Nagradzał to sobie, w wielkich będąc łaskach u innego świata jejmościanek, które się nim zachwycaly, choć niemi pomiałał dosyć — dowcip i zuchwałstwo czyniły go niezwyczęzonym.

W rzeczy figiel-adjutant ów, nie był ani dobry, ani całkiem zły, ot tak, pospolite sobie boże stworzenie, nie robiące nigdy ofiary z siebie dla nikogo, poczciwe gdy chodziło o upicie się aż do choroby i posługę jakąś powszednią, nie mające nic a nic tego, co się u innych sercem nazywa, głową bardzo mierne, dowcipem tylko niezbyt wykwinnym ale dobrze słonym i niezamąconą wesołością, a wiarą w siebie, odznaczające się, kapitan nigdy nie umiał i bez nauki się obchodził; brał bezkarnie Juliusza Cezara za generała z czasów napoleońskich; gdy się go pytano, czy pamiętniki jego czytał, kręcił wąsem i mrugał; z geografją mijał się często,

ale, że w wyższem towarzystwie trochę sprytu za wszystko starczy, wykręcał się kpinkami z najstraszniejszych nawet baków.

Ten jeszcze wielki miał przymiot kapitan, że się zbic nigdy nie dał z tonu, padał zawsze jak kot na cztery nogi, skonfundowany sam śmiać się poczynął mistyfikując tego, który go chciał złapać, i nazajutrz po najcięższej konfuzji, występował jak z kąpieli świeżuteńki, pewien siebie, rzeźwy, jakby mu się nic a nic nie przytrafiło. Potrzebny i usłużny, odpędzić się nie dawał, zimne przyjęcie nań nie pomogło, drzwi zamknięte nie wstrzymały, wchodził przebojem, zagłuszał poufałością, wkręcał się, narzucał, i nikt nie miał odwagi odepchnąć natręta, który, czego widzieć nie chciał, uporcezywie nie dawał sobie pokazać.

Ta postać niezbyt oryginalna, ale ciekawa, napawała się widokiem Dosi z prawdziwą rozkoszą; znawca przyglądał się jej, smakując z minka figlarną, i im dłużej przypatrywał się, tém widać goręcej chciał przybliżyć się i zapoznać. Dosią, czy nie poznając się na nim, czy ujęta nadskakiwaniem, w którym nie dostrzegła przesady i uwłaczającego jej szyderstwa, więcej nań poglądała, niż na milczącego młodego chłopaka, który ją oczyma pożerał.

Ostatnią wreszcie w karetce była otyła, biała, niestara jeszcze niewiasta, widocznie miejska obywatelka, jak kapitan, i powracająca z wycieczki do domu. Małego wzrostu, pulchna, różowa, mogła to być niegdyś bardzo milutka piękność kawiarniana; noszek zadarty, biegające oczki żywe, dolki przy ustach, musiały ją czynić niezmiernie powabną dziewczeczką, ale dziś, przy dobrej tuszy i po latach trzydziestu, czegoś wydawała się śmiesznie, z niedobitkami wdzięków młodości i całkowitą do niej pretensją. Ubrana po miejsku, wykwintnie, a niezbyt czysto, że się zmięła w drodze i zapyliła, wyglądała pociesznie ze swą minką fertyczną, figlarną buzią i wzrokiem latającym nieustannie. Stanu jej niepodobna było odgadnąć, bo ubiór był dostatni, suknia jedwabna, mantylka od Szlenkiera, kapeluszek świeżutki, chustka batystowa, rękawiczki paryskie, ale dobór tych rzeczy i połączenie ich z bardzo prostemi, przytém strój niestosowny w podróży, obejście jejmości i mowa jej, kazały się domyślać, że za co innego chciała uchodzić, a czém innem była w istocie.

Kapitan znał ją widać lub musiał spotykać, przywitał się zaraz poufale; ona jednak zaczerwieniwszy się, udała, że tego nie uważała i grała rolę niewinnej dziewczeczki, wyglądającej opieki. Być może, że opiekunem zyczyla mieć sobie owego młodego chłopaka, który, pomimo rzucanych nań wejrzeń, kaszlu, ruchów różnych i wstępów do rozmowy, na zaczepki nie zważając, ani na nią rzucił okiem.

— Pani Chyłkiewiczowa widać mnie nie poznaje — odezwał się drwiąco na jednym przeprzęgu figiel-adjutant.

— Dajże mi pan pokój — odparła oburzona blondynka, szukając czegoś w torbcczce — proszę się ode mnie odezwać...

— Jak krótka pamięć!... zadziwiająca rzecz!... — uśmiechnął się kapitan...

— Ale niechże mi pan da pokój — powtórzyła ofukując się z przelotnym błyskiem zagniewanych i groźnych oczów jejmość — ja pana nie znam!...

Rybicki skłonił się i na tém poprzestał.

Nie wiem, czy uparcie zwrócone wejrzenie obu mężczyzn, czy inny jaki powód tajemniczy, wywołał w Chyłkiewiczowej zajęcie nieszczęśliwą sierotą, ale naprzód się jej zdaleka z kątką swego przypatrywać zaczęła, śledząc z najmniejszych oznak, jaki mógł być stan i położenie sąsiadki, potem korzystając z chwili wolniejszej, związała z nią pociechu rozmowę, z której Dosia dość była rada.

— Daleką to ma pani drogę przed sobą? — zapytała.

— Do Warszawy — odpowiedziała Dosia.

— Zapewne do krewnych?... — patrząc na żalobę, dodała Chyłkiewiczowa.

— Nie, ja tam nie mam krewnych.

— Do opiekuna...

— Nie, pani.

— Do znajomych więc...

— A! ja i znajomych tam nie mam wcale.

Zapytania stawały się coraz trudniejsze, ale popatrzawszy czas jakiś w śliczną twarz dziewczęcia, sąsiadka dodała:

— To, czy nie sukcesya?...

— Nie mam majątku... — przytłumionym głosem, z boleścią nieco teatralną, dodała sierota.

Nie wypadło badać dalej, ale ciekawość, czy nie wiem jaka pobudka, wzbudziły w Chyłkiewiczowej pragnienie dowiedzenia się czegoś więcej.

— Cóż pani myśli robić w Warszawie?

— Sama nie wiem jeszcze... chciałabym... znaleźć jakie zajęcie...

Właśnie tyle pragnęła dowiedzieć się kobieta, której wymowa zdradzać zaczęła, zatarte wprawdzie, ale wyraźne jeszcze pochodzenie... uśmiechnęła się i poufałej, śmielej już zaczęła Dosi przysłuchiwać się, to na twarz, to na ręce, to na suknię, przenosząc wzrok przesywający.

— A wiele sobie pani lat liczy?... — spytała po tym niemym egzaminie.

— Kończę siedemnasty...

Pokiwała głową Chyłkiewiczowa i niespuszczając z niej oka, zadumała się nieco.

— A dokąd pani myśli w mieście zajechać?

— Nie wiem, sędzę, że łatwo mi będzie znaleźć jaki dom zajezdny...

— Jeśli pani nie znasz Warszawy, miło-by mi było w tém jęj dopomódz — dodała tłusta blondynka — bardzo dobrą i taną znajdziesz pani stancyą w Nadwiślańskim hotelu... i bezpiecznie i porządnie... mam tam znajomą przyjaciółkę, gospodynię, mogę ją pani zarekomendować...

— Bardzo dziękuję, za tę życzliwość... — trochę nienfnie odparła Dosią — ale ja... potrzebuję czegoś bardzo skromnego, póki sobie nie znajdę zajęcia i mieszkania.

— O! tam téż właśnie najlepiej... najspokojniej, najtaniej, ręczę, że pani będziez kontenta...

Figiel-adjutant, udając roztargnionego, żeby rozmowie nie przeszkodzić, wysłuchał jęj bacznie, patrząc przez okno na las; młody chłopak mało z nięj pochwyił, bo mu trudniej przyszło polapać odpowiedzi Dosi, która mówiła cicho i zdaleka; domyślił się wszakże wkońcu, spuścił głowę i posmutniał, a kapitan poweselał naprzekór. Przestał przypatrywać się krajobrazowi i zwrócił do sąsiadki:

— Widzę, że tu pani będziez zupełnie obcą w naszej Warszawie — rzekł półgłosem, żartobliwie niby, niby poważnie — trzebaż być bardzo ostrożną!... Jedziesz pani w otchłań i na zgubę jęj tyśiące rąk się wyciągnie... Zapewne nie mogę powiedzieć, żebyśmy tu mieli więćej oszustów i oszustek niż gdzieindziej po wielkich miastach, ależ znowu nie anieli mieszkają w nadwiślańskiej stolicy... niech się pani strzeże łatwych przyjaźni i znajomości, unika tych, co się będą narzucać, obawia ofiar i lada komu nie wierzy, szczególnie kobietom! — dodał z przyciskiem. — Szczególniej kobietom!... O! tak! tak!...

Blondynka zarumieniała się i przygryzła usta, rzucając z przeciwnego kąta na kapitana wejrzenie, którem zdawała się chcieć go zabić, a które on wytrzymał, jak pusty prochu ładunek... z uśmiechem zadowolenia z siebie; Dosią zaś śmiało nań spojrzawszy, uczuła potrzebę ujęcia się za pleć swoje...

— Proszę pana, dlaczego by nieszczęściem więćej złych kobiet, niż mężczyzn być miało?...

— Dlatego, że to są słabe istoty!... niestety! — westchnął Rybacki — cóżem ja temu winien!

— Słabe istoty, które mężczyźni psują sami! — dorzuciła ze złośliwością blondynka — a potem niemi poniewierają...

Młody chłopak wcale do tej rozprawy nie należał, i widać było, że to spoufalenie się ideału z rzeczywistościami dyliżansu przykre na nim robiło wrażenie; blondynka widocznie życzyła sobie kilkakroć wziąć go w pomoc, on jednak zapatrzony jak w tęczę w Dosię, ust nie ośmielił się otworzyć.

Napróżno biedny wyglądał, spodziewał się co chwila choćby jednego litościwego rzutu oka na siebie; sierota unikała widocznie spotkania, i gdy w przelocie zachwyciła promyk jego oczów, odwracała się, okazując, że jęć ta natrętność się przykrzy.

— Otóż nareszcie kochana Warszawa! — westchnął kapitan gładząc wasy i odwracając się do Dosi — po dłuższym nieco przymuszonym pobycie na wsi, nie uwierzysz pani, jaka to rozkosz powrócić do miasteczka, do którego się przyrosło! Hej, bo też to się tu żyje! Lubię czasem na wilki na wieś pojechać, ale na krótko, bo niema życia jak w mieście; na prowincyi gnije szlachta... tu dopiero człek czuje, że jest na świecie.

Nikt mu nie odpowiedział, Leon się tylko nieco oburzył.

— Za pozwoleniem pańskim — rzekł — w taki sposób bardzoby niewiele było wybranych, a reszta skazana na nieoglądanie nigdy ziemi obiecanej... przecież wieś żywi miasto, a każde z nich ma swój udział i posłannictwo w życiu społeczném.

— Hm! — chrząknął kapitan, odwracając się pogardliwie do młodzieńca — co?

I widocznie pokazał mu, że w podróży można pogawędzić z nieznanymi kobietami, ale się nigdy nie odzywać do nieprezentowanych sobie mężczyzn; zrozumiałwszy to, a raczej domyśliwszy się młody chłopiec, uchylił się w drugą stronę powozu i z uśmiechem spojrzął w okno obojętnie, nie tłumacząc więcej. Wzrok kapitana padł więc tylko na plecy młodego towarzysza podróży, które już na — co? nie odpowiedziały.

Blondynka chciała widać nagrodzić ten zawód swemu sąsiadowi, opierając maleńką nóżkę niedostającą do dna powozu na jego nogach, i rzucając nań wyzywające wejrzeenie, ale nieznajomy usunął się jak sparzony.

W tej chwili powóz pocztowy trochę się zatrzymał w rogatce i powoli zaczął spuszczać ku mostowi, a widok gwaru i żywota miejskiego pochwyił oczy Dosi, nie mogąc się już oderwać od niego. Ta ciżba, wrzawa, obojętność nieznajomych ludzi, sama ich

liczba, zdumiewała biedną dziewczynę, której się kręciło i zawracało w głowie, a serce jednak biło przyspieszonymi tętny ku temu nowemu światu.

— Czy to tak zawsze, czyśmy tylko na nadzwyczajny ścisk natrafili? — spytała swojej towarzyski kłaniającej się i uśmiechającej już przechodzącym znajomościom na wszystkie strony.

— Cóż to pani myślisz? jeszcze tu dziś prawie pusto; innych dni bić się potrzeba, żeby przejść! Warszawa nie małe miasto! — podchwycił figiel-adjutant.

Pocztylion nieustannie musiał trąbić, taki tłok znaleźli koło praskiego mostu — ogromne wozy ładowne drzewem, beczkami, bryki towarów, powozy z miasta i do miasta idące, doróżki z wesolymi woźnicami, stada bydła, ćmy żydowstwa, mnóstwo wyrobników mijać musieli nieustannie, a tysiące głosów różnorodnych krzyżowały się w powietrzu, mieszając z dzwonami kościołów i turkotem powozów.

Strach ogarnął Dosię, która znowu uczyła się zgubioną wśród tego oddechu, maluczką, nieznaczną i sierotą, ale wnet przeczucie podszeptnęło jej, że nie utonie w tych falach i uśmiechnęła się do nieznanego żywiołu, a oczy lżą zaszle błysły jakąś odwagą... Patrzała i uczyła się już tylko, usiłując przeniknąć w głąb życia, które tak odmienne od znanego jej nosiło barwy.

Gdy podróżnych z komory zaczęto wypuszczać, kapitan, który po drodze doróżkarza znajomego sobie zamówił, pożegnał Dosię bardzo uprzejmie, prosząc ażeby, jeśli się znajdzie w potrzebie szukania pomocy, do niego wprost się zgłosiła, i oddał jej swój adres na polyskującej karcie. Z równą gorliwością uczepiła się do niej Chyłkiewiczowa, ofiarując zaraz zawieźć do Nadwiślańskiego hotelu; nareszcie młody chłopak, zmieszany i nieśmiały, prosił niezręcznie, by mu pozwoliła usłużyć sobie, w razie jeśliby jego usługa na co przydać się mogła. Dosię więc w duchu zwycięska obudzeniem takiego współczucia, uśmiechnęła się, dziękując na wszystkie strony, pewna już będąc, że ten wstęp do życia związuje przysłe jego pomyślnie koleje, i skinieniem głowy podziękowawszy towarzyszom, dała się pochwycić Chyłkiewiczowej do doróżki i uprowadzić do przyrzczonego hotelu.

Nie wiem wcale, jak dziś wygląda hotel Nadwiślański, a nawet czy się jeszcze utrzymuje; ale w tym czasie, do którego powieść się nasza odnosi, był to jeden z najlichszych i najbrudniejszych

zajazdów miasta Warszawy, utrzymywany przez niejaką panią Rieben, pochodzeniem i zatrudnieniem pokrewną Chyłkiewiczowej, niegdyś piękną bardzo kobietę, dziś z resztkami nieużytecznej już piękności dorabiająca się środkami innemi. Choć nosiła krzyżyk na szyi, mówiła tak mocno z żydowska i żyła na sposób izraelski, że trudno było mieć ją za chrześcijankę, choć sztyldzik ten widoczny ją za taką ogłaszał. Zasad bardzo wolnych, gospodyni hotelu znajdowała, że każdy ma prawo czynić, co mu się podoba, że do niczych czynności mieszać się nie godzi, bo każdy odpowiada za swoje, a zresztą, co komu do tego, w cudze sprawy mieszać się nie trzeba i swego nosa pilnować. Zażarta na zysk, ciągnęła go, skąd i jak mogła, na resztę plując i ruszając ramionami.

Mąż potrzebnym się jęj okazał do posyłek, dla reprezentacyi, wreszcie, że jako kobiecie samęj jednęj nie pięknie; wzięła więc sobie małego, cherlawego pijaczynę, którego biła i policzkowała, gdy się zbyt nie zalał, i rzucała nim tak, jak starą miotłą, posługując się do najbrudniejszych czynności, wymawiając niekiedy, że umarłby gdzieś w rynsztoku, gdyby ona go nie dźwignęła łaską swoją. Pocziwie to stworzenie wzniesione na władcę hotelu, zdumione swą wielkością i przejęte szczęściem, jakiego doznawało, znosiło, co nań spadło, cierpliwie i posłusznie, ledwie na stróżach mogąc niekiedy pomścić się za odbierane od pani kuksańce, i to ostrożnie. Pan Rieben nie mieszał się do niczego, jadł, pił, posłany spełniał rozkaz, i gdy przyszło za jejmość w policyi pokutować, z przykładnem poświęceniem znosił, co nań spadło. Sama pani zawsze na pamiętkę pewnych zwyczajstw chodząca w trofeach, ogromnie jeszcze strojna, ubransoletowana, obwieszona łańcuchami, ugarniowana błyskotkami, udawała chętnie przed furmanami osobę wyższego towarzystwa, chorowała na spazmy (sic), na bicie serca (sic), ale dziewczęta biła *propria manu*, a grosz ciągnęła do worka, jak pijawka go wysysając...

Wchodząc do jęj hotelu, po atmosferze jego można się było domyśleć, jak był utrzymywany starannie; jednakże czy to z położenia u wjazdu, czy dla innych jakich niewiadomych dogodności, zawsze był prawie pełen, wiecznie napełniony i na chwilę nie pustoszał. Starzy przyjaciele i znajomi pani Rieben, znanęj dawniej w innym świecie, po ogródkach i dolinach, pod nazwiskiem *Kruczka*, zapewne dla czarnych swych włosów i oczu, dziś już niestety znacznie zblakłych, zajeżdżali do nięj przez pamięć dawnych stosunków; młodzież wiodła tu jakaś ponęta tajemnicza, ostrożnych wieśniaków myśl, że tanięj być musi niż po innych w środku miasta hotelach, a może i bezpiecznieję. Pomimo jednak usunięcia Nadwiślańskiego zajazdu od gwaru i tłoku, trafiały się tu często kradzieże,

ale staranna gospodyni umiała zawsze zwalić je na nieostrożność przybyłych i ich własną uczynić winą.

Hotel składał się na dole i piętrze z osmnastu jakich numerów, różnej ceny i wielkości; oprócz tego na dole mieścił kawiarnię, bilard, cukiernię i traktyer, złane w jedną piękną i harmonijną całość. Sama pani Rieben, na czele sześciu dziewcząt różnych i ślicznie zawsze poprzebieranych, które się często mieniały, bo im jakoś wyborne się trafiły kondycye, utrzymywała ten instytut gastronomiczno-bilardowo-popularny, do którego od niejakiego czasu przyłączyła ogródek z bawaryą. Uczęszczały tu osoby nie pierwszego zapewne towarzystwa, ale czasem bywały i znakomitości, a w traktyerze karmili się prawie wszyscy podróżni zajeżdżający, którym miło było znaleźć obiad o czterech potrawach za dwa złote, z musztardą i sałatą *extra*.

Przybywający ze wsi obywatel wogółności jest niezmiernie oszczędny, woli się zawsze struć za dwa złote i potem chorować wydając tysiące, niż szukać porządniejszej stawy w osławionych drożną traktyerach. W prostocie ducha wystawia sobie, że obiad za dwa złote musi być zdrowy i gospodarski, nie domyślając się wcale, że za te pieniądze najlepsza gospodyni uczeiwego i zdrowego jadła wyspekulować nie potrafi.

Hotel Nadwiślański tracił coś jeszcze wsią i przypominał urządzeniem, prowincjonalne zajazdy, nie starając się o wykwint i pokażność; dla wielu było i to zaletą, że w nim się wcale żenować nie potrzebowali, mogli jak chcieli zabrukać, i nie imponował im szwajcar, który tu był zatabaczonym człowiekiem bardzo grzecznym, a służył nie chodzili wyperfumowani, w glansowanych rękawiczkach, schody zaś raz w tydzień w sobotę tylko umiatano, zgarniając kupę śmieci w kąt. W dziedzińcu także stały *sub Jove* bryki, wozy, konie, które pozwalały sobie, jakby były w domu na łąkach ojczystych, rozwieszano bieliznę, wylewano pomyje w pośrodku, i cały boży dzień pełno było frymarczających żydków z towarami, którzy naturalnie, gospodyni za to suchą ratę, a szwajcarowi wehodowe opłacali. Byli to już wybrani i uprzywilejowani tego hotelu kupcy i przekupnie, faktory i posługacze, za którymi nikt inny docisnąć się nie mógł. Izdebki, wyjąwszy paradny apartament *numer pierwszy*, składający się z saloniku, przedpokoju, sypialni i pokoiku dla służącego, były tak rozporządzone, że każda z nich mogła być wzięta oddzielnie, lub po dwie razem. Nie starano się w nich wcale o wykwint i niepotrzebną elegancję, kilka krzeseł, kanapa wyżłobiona siedzeniem długim, stół, stoliczek, zwierciadelko, z butelką i miednicą, składały całe gospodarstwo. W paradnym tylko apartamencie, niby mahoniowo przybranym, były w dodatku dwa stare portrety, duże stłuczone zwierciadło i coś tam jeszcze mebli dla wygody, nie licząc drobnych stworzeń,

autochtonów całego domu, najstalszych jego mieszkańców, którzy ożywiali pustynię. Numera w czasie jarmarku wełnianego, zgromadzeń na kursa i wody, czasem zimą w zjazdy liczniejsze, były i dobrze opłacane i pozajmowane do jednego; w ciągu roku szły taniej, czasem pustowały, ale za to trafiali się lokatorowie miesiejęzni i dłużsi.

Chyłkiewiczowa, zachwaliwszy wprzód Dosi mieszkanie, wygody jego i bezpieczeństwo, przywiozła ją do hotelu, a sama wprzód poszła się umówić z gospodynią o jak najtańszą lokację, i żywo dosyć pobiegłszy na górę, zabawiła się tam z kwadrans, przez który mnóstwo przechodzących i domowi mieli się czas sierocie, jak na wystawie siedzącej, przypatrzeć, nareszcie powróciła z gospodynią razem, która zesłała osobiście, by nowego gościa zobaczyć. Zaczęła od tego, że kręcąc klucz w palcach, mocno się jej przypatrywała, z miną znawcy egzaminując sierotę, a potem skinęła wiodąc ją za sobą, i odezwała się powoli:

— Już muszę zrobić *tego* dla mojej przyjaciółki, że panience dam dobry i tani numer... bo ja to wiem co ze wsi przyjechać i wpaść, chowaj Boże, w niepocziwe ręce, to obedną i okradną, ale u nas tego nie słyhać, tu wielcy panowie zajeżdżają, u mnie choćby w dziedzińcu pieniądze położyć, nikt nie tknie, będzie panna miała spokojność i wygodę, jak nie może być lepij.

— Ale cóż to będzie kosztować? — odezwała się Dosia nieśmiało.

— Już niech panienka na mnie się spuści — przerwała Chyłkiewiczowa — ona nie jest z tych, co-by chcieli i biednego obedrzeć, ona dla mnie to zrobi, że tanio odda i co dobrego.

— Niech-no panna wprzód numer zobaczy — dodała gospodyni, prowadząc za sobą w głąb' kurytarza na dole przy kuchni, w dosyć ciemny i tłustemi wyziewy woniejący kątek — to jest mieszkanie jak potrzeba dla panny, nie od ulicy, na boku, spokojne, ciche.

Weszli, ale pomimo dnia, bez światła, trudno się było rozpatrzeć w mieszkaniu.

— Ale jakże tu ciemno! — zawołała Dosia.

— Co za ciemo! to z podwórza wchodząc tak się wydaje — odparła pani Rieben — ale jak zaciszno i bezpiecznie, i tanio! Mam ja i obszerniejsze pokoje, ale tamto drogie; teraz zjazd wielki, wszystko pozajmowane, niech panna pojedzie do innych hotelów.

Izdebka, która po chwili nieco się rozjaśniła, była malutka, ciasnna, długa a wązka, widocznie skrawek jakiś kurytarza, wyprowadzony przez gosposię na numer; ale w niej znać oddawna nikt nie mieszkał, bo zatęchła od wilgoci, i powietrzem jej trudno było odechnąć. Stało w niej niby łóeczko ubogie z siennikiem, stolik czer-

wono bejcowany i dwa drewniane krzeselka, a na ścianie wisiał kawałek lusterka. Dosi wydało się to bardzo dostatecznym na początek, bo się obawiała wyczerpania zapasów podróжных, ale pomyślała w duchu, że to tylko popas i tymczasowy spoczynek. Przystąpiono więc do targu z pomocą usługującej Chykiewiczowej, która widocznie chcąc sobie zaskarbić względy Dosi, poczęła gorąco i troskliwie się umawiać, naprzód o samo mieszkanie, potem, co się zdało lepiej, o stancję, stół i kawę. Chwilami zdawało się Dosi, że dwie jejmoście znające się jak lyse konie, z targiem tym odegrywały komedię, ale nie będąc pewną, czy lepiej sama potrafi, dała się im wywieść w pole, choć już umysł jej, obdarzony szczególną przenikliwością, odgadł, co się wkoło działo. Zamyślona więc słuchała żywego ujadania się swęj nowęj przyjaciółki, sporu, jaki z nią wiodła gospodyni, i w końcu zgodziła się na warunki, byle pozostać samą i spocząć po gwarze, który się jej stał nieznośnym.

Kiedy nareszcie po odejściu dwóch gadatliwych kumoszek zamknęła się wśród czterech nagich murów izdebki, do więzienia podobnej, lzy puściły się jej mimowolnie z oczów, tak czuła się upokorzona położeniem, ściągającym ją z wysokości marzeń na brudną i ohydą rzeczywistość, do której nie czuła się przeznaczoną.

Dopóki trwał gwar, otaczali ludzie, przesuwiał się przed oczyma znajomy kraj z wiejską swą przestrzenią zieloną i kwiecistą, póki nowe coraz obrazy rozrywały myśl, Dosi nie poczuła tak osierocenia; tu w samotności dopiero z ciemnych kątów izdebki powstały strachy przyszłości. Po-za murami hotelu słyhać było jakiś łoskot złowrogi, więzienny, brzęk łańcuchów, huk jakby spadających kamieni, jakby jakieś jęki i krzyki, wołania o pomoc i stłumioną wrzawę publiczną, a te zmieszane głosy powszedniego życia miejskiego, ten oddech stołeczny przeraził dziewczę i spoił jakąś gorączką, zlekła się sama nie wiedząc czego, zgrzytu tej ogromnej maszyny, której koła zetrzcć ją mogły. Z przestraszchem poczęła myśleć o jutrze, rachować się z pieniędzmi i roić, co jej grozi; ale wnet silna młodość i przecucie podniosły ją na swych skrzydłach złotych, i marzenie wyciągnęło z ciemnego i ciasnego kąta na świat weselszy i promienny.

— Nie! nie! — zawołała — ja tu zginąć nie mogę, ludzie tak źli nie są, a oko moje czyta w nich i przeczuwa, co się w głębi duszy ich dzieje, wyjdę z tego odmetu, i będę panować.

I po chwili znowu pieszczone dziecię, obejrzawszy się na ciasną i zimną pustkę otaczającą, poczynalo płakać i rozpaczać. Młode uczucie przerzucalo ją ciągle z jednéj ostateczności w drugą,

nkazując to zgubę i śmierć głodną, to raje błyszczące i kupy złota i kupy ludzi na klęczkach. Dosia oczekiwała czegoś niespodziewanego, ni mniej, ni więcej cudu jakiegoś, znalezienia matki, uścisków serdecznych, rodziny witającej ją zgubioną, i otaczającej pieczyotami za przecierpiane bole. Niekiedy na myśl wracała Sądogóra, ojciec przybrany, poczciwy Piotr i Jadwiga, ale nie wiem, czemu już tam długo nie pomieszkała sercem, czując się do innego przeznaczoną świata.

Tak rozgorączkowana przechodziła się po izdebce, gdy pani Rieben pokazała się we drzwiach ze świecą w ręku, troskliwa o lokatorkę swoją, przychodząc się dowiedzieć, czy nie potrzebuje czego, i ofiarując jej dziewczynę do posługi. Spojrzawszy uważnie na Dosię, spostrzegła zaraz, co się z nią dzieje, i pokiwiawszy głową, zawołała:

— No, co to panienka tak się martwi! nie trzeba się tak bardzo turbować; każdy z nas ma swoje kłopoty, ale się z nich ratuje, byle młodość a głowa. Wszakże to jeszcze tak młoda! niechno mnie panienka wszystko rozpowie, może i ja co poradzę. Jakże to się to stało, że panna tu przyjechała?

— A! moja kochana pani — odparła Dosia — cóż mam ci powiedzieć? jestem sierota, nie nie mam prócz ubóstwa... nikogo w świecie, coby się mną zaopiekował, szukam... sposobu do życia.

— No to co?... — zawołała pani Rieben — to co? albo to co tak straszego mając ośmnaście lat i takie oczy! Trzeba tylko wiedzieć co robić, a można mieć, co dusza zapagnie!

Namyśliwszy się nieco, wstrzymała się jednak z nauką gospodyni i zwracając rozmowę, szepnęła coś, że nie potrzebaby jednak zbyt się oddawać i zawierzać Chyłkiewiczowej, która...

— Choć to moja przyjaciółka, ale ona niema dobrej reputacyi — dodała — niech panna lepiej mnie słucha... można wszystko zrobić... ale można i zginać wdawszy się z niedobremi ludźmi...

Spojrzała na Dosię w tej chwili i nie wyczytała z jej oczów, że sierota zaczynała się poznawać, w jakie wpadła ręce; ucieszyła się więc nadzieją, że owładnie nią, i zbudowała wcześniej plan bardzo zręczny opanowania dziewczeczki, której młodość i wdziek tyle zysków obiecywały!

Poczęła się zaraz dobadywać, co myśli Dosia i jaką sobie wystawia przyszłość, ale już ostrożne dziewczę zrozumiało, że się zbyt wydawać nie powinno i odpowiedziało westchnieniem.— Sama nie wiem, pracować muszę! służyć będę!

Pani Rieben rozśmiała się tylko, i nie nagłąc dodała znowu przestrożę, żeby Chyłkiewiczowej unikać, nie słuchać jej rady, a spuścić się na nią.

— Niech jęj panna nie nie mówi — szepnęła zeicha, jakby się obawiała podchwycenia — to taka kobieta, co nie nie potrafi... nie trzeba się śpieszyć, dobrze rozpatrzyć, nu, a choćy tam i pięniędzy zabrakło, to ja mogę pokredytować za słuszny procent, byle się panna nie wynosiła z mojego hotelu. Co to! człowiek człowiekowi musi czasem pomódz i poratować!

— A masz się panna w co ubrać?... — dodała w końcu.

— Ja? oto tę tylko żalobną sukienkę — odpowiedziała Dosi.

— O to! — pocmokała pani Rieben — ależ to stara i pomięta! pannie trzeba mantylki, kapelusza, trzewików, chustek... tak się na ulicę pokazać nie można... u nas tu tak nie chodzą.

— Ale to będzie wiele kosztować?

— Wiele, nie; widzi panna, na to jest miasto; jest drogie i jest tanie; toż samo co bogaty za sto, ubogi znajdzie za dziesięć; ja tu znam takich żydków, że tu wszystko pannie dostarczą... i kapelusz, i suknię, i co tylko potrzeba... przyprowadzę tu jutro takiego, co się panna nie poznasz, jak ją ubierze... a już ja sama wytarguję, żeby drogo nie kosztowało.

Strój, którego pragnęła, tak ucieszył Dosię, że się aż uśmiechnęła dziękując Riebenowej, domyślając się zresztą, że kupno bez jęj zysku się nie obejdzie... czuła, że bez niego wyjść na ulicę nie potrafi... a chciała być piękną... bo jęj coś szeptało, że piękność będzie jęj orężem i przyszłości rękojnią.

Z tego usposobienia korzystając gospodyni, jęła zręcznie wyciągać ją na opowiadanie przeszłości, której dowiedzieć się chciała, i sierota nie potrzebując się talę, wypowiedziała jęj młodość swoję, trochę ją poetyzując i kraszac. Historia Dosi tak była dziwną a do tysiąca opowiadanych w razach wielu przez różne istoty podobną, tak pospolitą w świecie, w którym żyła pani Rieben, że gospodyni wzięła ją za zmyślenie dosyć niezręczne, ruszyła ramionami, ale nie dając po sobie poznać, że jęj nie uwierzyła, zmieniła tylko nieco wyobrażenie o przybyłej. Dopiero wydobyte papiery, potwierdzające życiorys Dosi, znowu dały do myślenia pani Rieben, która wpatrzywszy się w twarzyćkę dziewczęcia, odeszła, życząc dobrej nocy i radząc się na noc zamykać ze środka.

Nazajutrz wcześniej bardzo żydzi już stali u drzwi, a gospodyni przyszła sama dopomódz Dosi do wyboru i targu o ubranie. Nie będziemy opisywali, jak się ta scena odbyła, w której pani Rieben odegrywała rolę protektorki, wyganiała żydów, z którymi była w zmo-wie, przywoływała ich nanowo, gromiła, prosiła, póki wreszcie za dwa razy przepłacone ceny, Dosi nie przebrała od stóp do głowy w odświężone z tandety lachmanki, które poczęły życie na ramionach zbytku, a kończyły osłaniając ubóstwo. Dziewcę do prostęj zawsze

przywykle odzieży, bo pan Mikołaj Czeszak widząc jej skłonność do zalotności i upodobanie w stroikach, jak mógł, opierał się tym zachceniom, rozśmiało się na widok gałganków, które jej się wydały przepyszne i wspaniałe. Jakkolwiek to było przeplacone i pospolite, przecież pozornie coś udawało, a że pani Rieben ubierać się lubiła sama i przypatrywała drugim, a instynktem nie miała bardzo złego smaku, wybór sukienek, kapelusza i reszty ubioru był dosyć szczęśliwy. Dosia w istocie próbując ich nie poznawała się w zwierciadełku, a gospodyni, która jej pomagała, osłupiała na widok piękności teraz w większym jeszcze występującej blasku i czarodziejskim jaśniejącej urokiem. Nie wiem, jakie myśli przyszły do głowy protektorki, która długo zapatrzywszy się na Dosię, zawołała do siebie pocichu:

— A! gdyby to kto prowadzić umiał, ona-by mogła wielki los zrobić!

Ale zyskując na blasku urody, której strój świeższy dodawał charakteru i wyrazistości, Dosia w tych wynoszonych, odświeżanych sukniach, w których może wprzód chodziła rozpusta, które sprzedały płochosć i niedostatek, oblały może łyzy niejedne, straciła na wdzięku wieśniaczym, prostocie, wdziewała z nimi liberyę nowego świata, zaciągała się niejako w szeregi istot uśmiechających z boleścią i tęsknotą w sercu, lub szukających w szale zapomnienia przeszłości. W żalobnej sukience swęj przywiezionej z Sadowgóry, inną jakoś, skromniejszą miała postać; w tych na pozór dostatków dowodzących stroikach poczynała komedię, niedozwolającą poznać w aktorach, ile nędzy cierpią za kulisami.

W Dosi, jakby ją ta suknia objęła płomieniem, ubranie zrodziło żądze, któremi przesiętko, obudziło się pragnienie pokazania przed ludźmi, chęćka wybieżenia w ulicę, schwycenia wejrzeń i oklasków... Gwar, który wczoraj przestraszał, dziś ją nęcił; niespokojna pocięła się prędzej ubierać, tłómacząc się przed sobą, że przecie miasto poznać potrzeba i z niem się oswoić...

Gospodyni przyprowadziwszy służącą z sobą, sama pilnowała ubrania, nie skąpiąc rady, a przeczuwszy myśl Dosi, która się wyrzywała w świat, ofiarowała jej za towarzyszkę i przewodniczkę kawiarnianą sługę, która miała zaprowadzić do kościoła i powrócić z nią do domu...

Dosia, wyświeżona wreszcie do niepoznania, piękna jak anioł, ale nie tą już wczoraj pięknoscią, wybiegła z bijącym sercem i niepokojem na ulicę... Tu tłum i zgiełk przestraszyły ją znowu, zatrzymała się, ale służąca uśmiechając się, wskazała drogę, i obie razem powoli poszły ku Bernardynom. Ranek był piękny, osób mnóstwo i od progu hotelu prawie tysiące wejrzeń ciekawych zwró-

conych na siebie postrzegła Dosia, której oka nie nie uchodziło. Z początku rumieniła się, gniewała prawie, zasłaniała, lecz po chwili jakieś nieznanne uczucie napełniło jej serce, duma dźwignęła czoło, uśmiechnęła się w sobie i śmielej stąpała dalej. Mężczyźni stawali na trotuarach przypatrując się jej ciekawie, kilku odwróciło się za nią, może poznali mimo warszawskiego stroju, po chodzie bojaźliwym jeszcze i niewprawnym, nieoswojoną z miastem wieśniaczkę, kobiety oglądały się za nią ciekawie, ulicznicy przestając świstać, ścigali ją wzrokiem.

Dla sieroty ten pochód przez ulicę, to zbiegowisko ludu były całkiem nowym widokiem; co chwila wstrzymywała się, nie umiając przejść i utorować sobie drogi, zapatrując się mimowoli na sklepy, nie rozumiejąc przyczyny tego ruchu i zgiełku, wśród którego potrzeba się było przeciskać obojętnie, kilka razy stanęła to zwabiona krzykiem, chcąc biedz w pomoc, to czując się zniewoloną do okazania współczucia, ale półuśmiech służącej nauczył ją wprędce, że tu nikt ani klótnią uliczną, ani przypadkiem cudzym się nie zajmował, jak na wsi, gdzie każdy hałas ściąga gromadę. Świat ten wydał się jej pięknym, a kobiety postrojone tak niepodobne do tych, które znała! żywą myślą odgadła, że tu się inaczej żyje, innemi kieruje celami, inaczej czuje i stosunek ludzi wcale być musi różny od prostych pierwotnych wsi obyczajów. Przelatujące powozy zdumiewały ją ilością i wytwornością, zapytywała zrazu służącej, czyje-by były i nie mogła się wydziwić, gdy dziewczę uśmiechając się z jej prostoty, odpowiadało, że tyle tu ich jest, iż nikt nie wie czyje. Spostrzegła także, że w tym tłumie bardzo się mało kto znał, najwięcej było obcych sobie, a klas, różnic i odcieni tyle! Na wsi wszyscy niemal składali jednę rodzinę spojona tysiącami węzłów; tu ujrzała zbiorowisko obojętnych sobie i nieznanomych, ocierających się i niezważających na się wzajemnie, każdy śpieszył w swoją stronę, szedł zaprzętniony sobą, i nie oglądał się nawet na to, co koło niego wrzało i szumiało... nie żegnał przed pogrzebem, nie wstrzymywał jękiem, nie tracił chwili drogię na współczucia.

Wchodząc dopiero do kościoła, Dosia uczyła się znowu jakby na wsi... Choć wspanialszy to był przybytek od znanych jej na parafii, choć błyskotliwszy i świetniejszy urządzony, ten sam przecie duch wiał od ołtarzy, a Bóg i modlitwa ludzi tu w jakąś całość spajały. Spokój błogi wionął na nią orzeźwiająco od krzyża Pańskiego, uklękła i lżej się jej zrobiło, gdy usta wymówiły pierwsze słowo wyuczone przez przybranego jeszcze ojca i piastunkę. Sierota poczuła się dziecięciem Opatrzności na modlitwie, gorąco złożyła ręce, łza zakręciła się jej w oczach, a myśl pochwyliła ją

i powiodła nazad ku Sadogórze, ku Jadwidze, Piotrowi, na zielone pola, do szumiących lasów, w umajoną młodość, w weselsze kraje dzieciństwa... przestała się modlić, zaczęła płakać.

Staruszek ksiądz, wychodzący ze mszą, zdał się jej podobnym do proboszcza; ten sam, który miała w domu, znalazła tu obrazek Najświętszej Panny Częstochowskiej w ołtarzu, ten sam śpiew, te same słowa... i utonęła w przypomnieniach...

I widziała, jak z łoża konania surowym a boleści pełnym wzrokiem spozrywał na nią przybrany ojciec, aż się wzdrygnęła i przebudziła.

Wtém podniósłszy oczy naprzeciw siebie, przy samym ołtarzu zobaczyła postarzałego mężczyznę, ze szpakowatym już na głowie włosem, twarzy i postawy wiele poważnej, rysów szlachetnych, trzymającego otwartą książkę w rękę i przypatrującego się jej z tak dziwnym osłupieniem, rozrzewnieniem i wzruszeniem widocznym, jak gdyby w niej znalazł wspomnienie jakiejś przeszłości, lub utracone swe dziecię. Znać pobożny ten człowiek kilka razy usiłował powrócić do książki i modlitwy, i znowu mimowoli zapartywał się na Dosię, której ten wlepiony wzrok łechtał dumę tylko i pochlebiał próżności. Przeżegnał się wreszcie nieznajomy, złożył książkę i pozostał tak nieruchomy, nie obraniając się już doznane-mu wrażeniu, które w ostatku szybko otarte oczy, lepiej wytłómaczyły, zapłakał. Ale Dosią nie postrzegła łyzy przelotnej na powiece starca; dokończywszy mszy, wstała i wyszła z kościoła, nie widząc, że ów nieznajomy zawahawszy się chwilę, przykląkł także przed ołtarzem, i w progu kościoła usiłował się przybliżyć do niej, ale go ktoś spotkał i odciągnął rozmową, a Dosią znikła mu z oczów.

Dziewczę służebne dodane Dosi, któremu smakowała swobodna przechadzka, skierowała się z nią ku środkowi miasta, na Krakowskie Przedmieście, potem do Saskiego Ogrodu.

Na widok drzew zielonych i cienia, wieś znowu przypomniwała się sierocie, ale stroje mnóstwa przesuwających się osób, ślicznie poubierane dzieciaki, tysiące nowych postaci... rozbiły zaraz to wspomnienie przelotne...

Zaledwie kilka tu zrobiwszy kroków, spotkała ukłon nieznajomego, jak jej się zrazu zdawało, człowieka, był to kapitan Rybaki, odświeżony tylko, wysmarowany nanowo, pofarbowany, odmłodzony i już powracający do obowiązków miejskiego żywota. Znając jego obyczaje, łatwo się było można domyśleć, że sam-na-sam nie używał przechadzki; jakoż miał towarzysza, bo zawsze przy kimś się czepiać musiał. Na ten raz był to słusznego wzrostu, prześliczny mężczyzna, ubrany wedle najostatniejszej mody, mogący

służyć za typ eleganta i panieza. Z twarzy znać było, że w swym przynajmniej kółku panować musiał, tak śmiało patrzył, tak się uśmiechał zwyczajko, i tak widocznie rad był z siebie i swego położenia na świecie. Rysy miał delikatne, arystokratyczne, minkę uśmiechniętą, a ranne ubranie niezawodnie sprowadzone być musiało z Paryża, lub wprost wykrojone z żurnalu. A że Bóg stworzył go pięknym prawdziwie, całość podniesiona strojem, ruchem swobodnym, obejściem pełnym wdzięku, zastanawiała i zwracała oczy na ten ideał wedle świata...

Rybacki przy nim, choć wcale przyzwoity i niezego, wydawał się bardzo powszednim i ledwie mu za dworaka mógł służyć: obejście też pana z pasorzytem było więcej niż poufale, prawie lekceważące. Kapitan nadrabiał miną, usiłował widocznie wdrapać się na stopę równości i niepodległości, ale podolać temu nie umiał, nieustannie to ruchem, to słowem, to wejrzeniem spychany na podrzędne stanowisko.

Gdy figiel-adjutant uklonił się Dosi, a oczy jej zadziwione chwile się na nim wstrzymały, lew miejski odwrócił głowę i wzrok jego zrazu pogardliwy padł na sierotę, ale się na nią mimowoli zatrzymał i natychmiast z niej poszedł na tajemniczo sfałdowany uśmiech Rybackiego.

Dosia, oddawszy ukłon ledwie skinieniem niedostrzeżonem, mignęła i przeszła, lew aż stanął, poglądając za nią ciekawie.

— Kapitanie — zawołał — cóż to za zjawisko, któremu bijesz pokłony? dlaczego jej nie znam? *Ja!*

To *ja*, wymówione było heroicznem podniesieniem głosu...

— Dla tego samego jej nie znasz hrabio, dlaczego *ja* ją znam — odparł Rybacki — bo wczoraj dopiero po raz pierwszy przybiła do portu naszego na sztajnkelerce... niewinne stworzeńko... sierota... historyja zajmująca, a twarzyczka bardziej jeszcze.

— Kapitanie! jak anioł piękna! jak anioł!

— Na nieszczęście, wystrychną ją tu podobno na szatana... bo wpadła w ręce niejakięj Chyłkiewiczowej... i wątpię, żeby z nich wyszła cało...

— I ty to wszystko wiesz! na Boga! mów!

— Ale cóż mam mówić? Wczoraj przyjechaliśmy karetką, coś się naturalnie w drodze wyszpigowało... dalej niewiele się ode mnie nauczyć można...

— Ale piękna! piękna! to klejnot! perła! to madonna! — zawołał hrabia, zwracając się za Dosią — miejskie nasze lwice, lampartki, szeszury i myszy, jak służanki-by się przy niej wydały... wróćmy jeszcze, chcę choć popatrzeć na nią... muszę ją poznać... *mais c'est une apparition céleste!*

— Dajże, hrabio, pokój, spłoszyłbyś wieśniaczkę...

— Ty ją znasz, szczęśliwe!

— Znajomość dyliżansowa...

— Musisz wiedzieć, gdzie mieszka?

— Domyślam się.

— Ja się muszę z nią poznać, zbliżyć się do niej...

Kapitan aż się rozśmiał z zapału towarzysza.

— A to! — rzekł — nosił wilk, ponieśli i wilka... No, a Adzia?...

— Niech ją tam dyabli wezmą! — machając ręką, rzekł hrabia — kosztuje mnie ogromnie, oszukuje bezwstydnie i zęby ma wstawiane... powiem ci, że mi się sprzykrzyła... nie cierpię jej, próchno świecące... ezucia za grosz... Zbliżka nawet, *entre nous*, wcale niepowabna; żeby mi ją kto zbałamucił, dałbym co dodatku... Na teatrze jeszcze się to jako tako wydaje, ale na codzienne pożyacie... a! z samych fałszów złożona... Praczka! kapitanie. W tej twarzy jest poezja!

— Czy może nowość tylko, hrabio?

— Jak chcesz, ale idźmy za nią!

Zwrócili się gonić za Dosią, ale ona przeszedłszy uboczną aleją, przeprowadzona przez służącą, drugimi wrotami wymknęła się już z ogrodu, i inną ulicą powracała do hotelu, a kapitan ze swoim towarzyszem napróżno ję po całym szukali ogrodzie.

Po wyjściu Dosi, wkrótce, jak to dobrze rozrachować musiała gospodyni hotelu, zjawiała się zaraz Chyłkiewiczowa i dowiedziała się w progu, że sieroty nie zastała, a że o celu tej przechadzki nie od pani Rieben dojść nie mogła, z dosyć chmurną twarzą wyszła od przyjaciółki, pozegrawszy ją bardzo zimno. Ale nie dała za wygraną, choć jej zapowiedziano, że wyszła na długo i nie wiadomo kiedy powróci; czatowała w uliczce, nie wiem, czy przez miłosierdzie, czy ciekawość i zobaczywszy ją powracającą do hotelu, zaraz za nią pośpieszyła, tak, że ledwie drzwi się zamknęły za panią Rieben, która zbiegła do Dosi, wnet i różowa twarzyczka otyłej blondynki ukazała się w progu, z uśmiechem i przywitaniem.

Gospodyni zakręciła się i wyszła, a dwie kobiety zostały same. Chyłkiewiczowa poczęła się rozglądać bacznie, spostrzegła porozrzucane stroiki świeżo kupione, i widocznie niespokojna czegoś, o cenę ich dopytywać się zaczęła.

•Chociaż sama tu przywiozła Dosię, bo jej snadź nie wypadło

jakoś wieść do własnego domu, postrzegła błąd swój, żałowała go, a poprawić nie umiała, w rozmowie jednak wyrwało się słówko jedno i drugie nieprzyjazne gospodyni. Widoczném było, że sama zawiadnąć chciała sierotą, że się ulekła przebiegłej współzawodnicy, pragnęła ją stąd wyrwać, a jakoś nie szło to jej łatwo. Kilka razy wyjrzała za drzwi, czy kto nie podsłuchuje, wreszcie przymilając się, zbliżyła się do Dosi.

— Jużeż to prawda — odezwała się — że ja tu panienkę sama przywiozłam; ale w hotelu, zwyczajnie jak w zajeździe, różnych ludzi pełno, długo tu popasać nie warto i jakoś nawet dla młodej kobiety nie wypada... trzeba sobie będzie poszukać osobnego pomieszkania... Rozumie panna?

I wlepiła w nią oczy, ale Dosią nie rozumiała ani niebezpieczeństwa, ani nieprzyzwoitości; domyśliła się tylko z przestachem, że współzawodnictwo tych kobiet kryje coś w sobie... i postanowiła być z niemi ostrożną...

Zaniepokojona natarczywą opieką tych dwóch kobiet, namyślała się nad sobą sierota; instynkt wskazywał jej potrzebę obwarowania się od czegoś grożącego, ale nie umiała pojąć, co grozić mogło, prócz niedostatku. Choć przywykłej do nadskakiwań i pieczyoty, nie tak się jej to troskliwe nią zajęcie wydawało nienaturalném, bo je czułości i sercu przypisywała — jednak obudziła się w sercu niewiara i przestach... Kogo tu było słuchać? co począć?...

Obawiała się wszystkich, to znowu zbijała sama próżne trwogi, tłómacząc na dobre — czuła potrzebę rozpocząć życie, szukać pracy, a sny i marzenia, do których była przywykła, opanowywały ją i wiodły w sfery zaczarowane, z których trudno zejść potem na ziemię.

Widziała, czuła, że oczy wszystkich, najobojetniejszych, nieznanomych ludzi śledziły ją w przechadzce po mieście; zdało się jej, że świat cały musi się nią tak zająć, tak ją ukochać, jak zmarły opiekun, miłością ojcowską, czystą i świętą... Strach i obawa odlatywały na skrzydłach najdziwaczniejszych nadziei...

Wieczorem chciała pani Rieben wziąć ją pod swoją opiekę i poprowadzić w aleje, ale Dosią czuła się podróżną i ranną przechadzką tak znużoną, że jej odmówiła... nie chcąc się też może w ulicy pokazać ze śmieszną i dziwnie odmłodzoną kobietą, ku której co chwila większy wstret czuła. Nie nalegała gosposia i nie szcędząc pociechy, rady, malowań przyszłości, mrużąc coś odeszła, zostawując ją same.

Późnym już wieczorem, dziewczę, które przeprowadzało Dosię zrana do kościoła, przyszło ją rozebrać i posłużyć; była to poczciwa mazurka, w kawiarni już weteranka, mająca zgórą dziesięć

lat służby miejskiej, i resztki tylko niewielkiej piękności na twarzy zczerniałej i zwiedłej przed czasem. Znać jeszcze było na niej, że w chwili rozkwitu i świeżości musiała być wdzięczną, ale już rysy straciły regularność, cera swą białość, oczy blask młody, i mimo wyrobionego uśmiechu, wyuczonych wejrzeń, smutek głęboki przebijał się przez maskę powszedniego wesela. Halka już snadź myśleć musiała, co pocnie z sobą starzejąc się, i przewidywała, co ją czeka, gdy siły opuszczą, a miejsca pomywaczki nawet wyprosić będzie trudno. Może przechodząc mimo teatru w rannej godzinie i widząc tam w obdartych łachmanach stojące wyrobnice, napróżno oczekujące zamówienia, a z niem powszedniego chleba, odgadywała, że tu kiedyś przyjdzie jej zająć miejsce i o głodzie żebrac ciężkiej pracy jak jałmużny.

Brudne stworzenie kłamanem weselem, którego w duszy nie było, pożyczonym uśmiechem starało się przedłużyć straconą niepowrotnie młodość, przeżyte odurzenie i utrzymać się na placu; ale codzien mniej pomagały fortele, miejsce jej zajmowały młodsze dziewczątka, gospodyni odpędzała do kuchni, do komina, do posług zakulisowych, które zwiastują, że już twarzyczka niema dla nikogo uroku, a uśmiech się na nic nie przydał. Halka płakała w kątku, żalując teraz, że ją sieroctwo zapędziło do tego miasta, które tak prędko pożera młodość, i tęskniła za piaszczystym błoniem wioski, w której się urodziła, w której zostać była powinna, gdzieby jej poczciwi bracia i siostry nie opuścili; mniej-by się nabawiło w młodości, ale spokoj-by się kupił na stare lata żaloby.

Widok Dosi rozbudził w osamotniałej dziewczynie serdeczne jakieś współczucie i litość; wieczorem krzątając się około izdebki, poczęła Halka wzdychać i powoli starała się zawiązać rozmowę, a że sierocie miło było znaleźć kogoś przypominającego jej starą Jadwigę i swoich sług dawnych, nie odepchnęła Halki, narzucając jej się jej serdecznie.

— E! moja panienecko! — szepnęła zeicha dziewczyna — coś wam smutno koło serca, nieprawdaż?... widziałam jak-ście w kościele poplakiwali... ino nie tseba głowy tracić!... e!... Pan Bóg łaskaw...

— Ja-m tu sama jedna, wśród obcych, a nikogo nie mam.

— A juści to prawda... ja bo i nie wiem, jak to was tam tak krewniaki puścili, boć panna kogoś tam mieć musi...

— Nikogo, moja kochana, nikogo...

— Lepiej-ze było zostać na wsi!...

I westchnęła Halka gorzko, ciężko, a własne sieroctwo wyrwało jej łzę z oka.

— Nie strasz mnie, moja kochana — odezwała się Dosia, wi-

dząc ją załamującą rękę—ja i tak drzę, sama nie wiedząc, co pocznę z sobą...

— A gdziebym zaś daremnie panieneckę strasyć miała... — odparła dziewczyna — ino tu lepiej się może bać, nizeli tak nie nie wiedząc, wszystkiego się spodziewać... prawdę rzekęsy — szepnęła — nie w najlepsez toście i miejsce trafili... ja psez sumienie musę panienkę psestrzedz...

— A dlaczegóż ty tu służysz?... — zapytała Dosia.

— Ja!... e!... to co innego! — niedbale zawołała Halka — mnie się tu już nic nie stanie... A co mam pocąć?... gdzieś się człowiek podzienie? Tu cy tam służyć tseba, a cłek jus ich psynajmniej zna, to wie gdzie się oglądać; z drugimi-by może jesse ciężej było. Ale wam tu nie siedzieć... ej! nie!...

Dosia przelękała się trochę, serce jój zabiło.

— Dlaczegóż?... — zapytała.

— E!... co tam długo gadać! — odparła Halka — to wychrzcianka, a z zyda nie dobrego nie będzie, choć go święconą wodą pokropią, to dom paskudny, a jakbyście tego kobieciska słuchali, jeno do zguby ostatniej zaprowadzić może, bo cłka pseda za grosz, i co macie, to jesse z was wyciągnie, pijawka... Myślicie, co się za was tak rano z zydami targowała, a ujadła, to prawda? gdzie zaś? toć to zydy z jój ręki, a ona z niemi na jeden gros targuje i dzieli się zarobkiem. Póki jesse macie co w kieszeni, to się wynoście, bo potem nie będzie rady; jak się z zapasu wyzujecie, kaze wam robić, co zechce, i będziecie musieli słuchać, wyssa z was młodość i sumienie...

Zbladła sierota, słysząc te słowa, wymówione z takiem uczuciem boleści, tak łzawo, tak widocznie z głębi serca, że mrowie poszło po niej.

— A! poproszę Chyłkiewiczowej! — zawołała — niech mnie stąd zabierze.

— I to z descu pod rynwę, ta to one obydwie lepe — odparła Halka — myślicie?... znam ja i tę, mieska na Krakowskiem, na tseciem piętse, na lichwę pozyca! u ludzi ubogich zastawy biorą i nędzą frymarcą niepocciwe dusze, a łzami zyją. Ona téz wam darmo i okiem nie mrugnie, a jak się ino uśmiecha i zęby do was wysseyza, pewnie na coś niedobrego kroi, obydwie-by wam, plunąć, ta pozucić.

Halka zamilkła.

— Komuż tu wierzyć?... — szepnęła sierota.

— Komu?... ba, nikomu! a kto tu w tém mieścisku ucciwy!... — odpowiedziała Halka — chyba ja go nie znam... patsą tylko ino, zeby cłka ze skóry obłupić i zgubić, im, aby gros, nie pozahują

i brata rodzonego. Clek młody a głupi, to mu się zda, że wszystkie tacy pociwi jak on; ale nie rychło, nie rychło, zapłacie krwawemi łzami na swoją ślepotę, a no po czasie, oj!... wynoście się, wynoście się, moja panienecko, póki pora...

— Ale dokąd?

— A no... to ja tego nie wiem... wszędzie lepiej jak tu!... co to ja ich, myślicie, nie znam?... mało to ludzi popsepadało!... Póki to młodsze było, to ssała z każdego, opętawszy śliptami do ostatka; teraz już zbabiała, handluje, cém napadnie, spsedała-by rodzonego, gdyby się jej z grobu wrócił, a dali co na targu.

Dosia wciąż łamała ręce przerażona.

— Co tu poczyć? co robić? — zawołała — kogo się poradzić?

— Dobrze się jeno rozpatście, nim poradzicie — dodała służąca wciąż ścieląc łóżko i starając się, żeby ta rozmowa za ścianami słyszana być nie mogła — licha tu komu wierzyć można, wszystko zydzi...

— Niemasz już więc poczciwych ludzi?

— Co niema!... sąć, panienko moja, ale ich ze święcą sukacć tseba. A no, jak się już kto bardzo sam przylizuje, a uklada, a służy, oto!... tylko mu w ocy patsaj, żeby nie pokasał. Zmiłuj się — dodała — gdyby się gospodyni widziała jutro z wami, nie ze jej żadnej miny nie róbcie, a mnie nie wydajcie, bobyście mi niesećcia narobili, niechaj ona nie wie, zem ja was pestsegała, a jak tylko będziecie mogli, uciekajcie stąd, bo tu dobrego nie docekacie!...

Tak się skończyła wieczorna rozmowa, po której Dosia długo zasnąć nie mogła; zrazu przestraszona, powoli przyszła do siebie, obmyśliła środki, przekonała się o konieczności uwolnienia od opieki, i nie tracąc odwagi, jakoś jaśniej poczęła przeglądać w tém, co ją otaczało. Obdarzona instynktem do poznawania ludzi, nie potrzebowała długich studyów nad nimi, i zgadywała ich z małuczkich znaków, które nosili: jedno słowo otwierało przed nią dalekie horyzonty, jeden krok wysnuwał dla niej cały szereg faktów, a choć walczyła, niedosyc jeszcze mając wiary w siebie, i cofała się niekiedy, powoli jednak przeglądała coraz głębiej i dalej, i chwytła najpotrzebniejszą dla niej tajemnicę stosunków i charakterów, z którymi los ją zbliżał.

Młodzieniec ten, któregośmy spotkali z kapitanem Rybackim w Saskim ogrodzie, a którego nieco bliżej poznać musimy, zwał się Tytus Dahlberg; sam on nie nazywał się hrabią, i wiedział, że nim

nie był, ale pocichu przekonywał się i gruntował w przekonaniu, że z tytułami jak z wiekiem i latami być musi, że jak Francuzi powiadają, każdy jest tém, czém się być wydaje, i musi być hrabią, kto na niego wygląda. Za granicą nosił ten tytuł słono opłacany po hotelach, w kraju czasem się od niego wymawiał, ale przyjmował wreszcie, gdy mu go uporeczywie dawano. Zresztą był to sobie człowiek, jakich tysiące między młodzieżą, której Bóg dał bogactwo i wychowanie przyzwoite; trwonil wszystkie dary bez pożytku dla siebie i dla drugih, jedynie dla przyjemnoski, przejadał życie w cukierniach. Tycio, wychowany przez matkę, kobietę wielkiego świata, po francusku, nie do życia, ale do wyższego towarzystwa, śliczny w dzieciństwie, wypieszczony dla wdzięku, wyrósł na Antynousa z profesyi.

Od lat szesnastu poczęły go psuć kobiety, zawczasu swobody i żywota używał, to jest grał, pił, kochał się niby i systematycznie próżnował. Co roku jeździł za granicę do jakichś wód, ażeby w ruletę zagrać w Baden-Baden i stracić kilkadziesiąt tysięcy w Paryżu; miał dom na wielką stopę urządzony w Warszawie, dobra znaczne po świecie w kilku prowincjach, o których administracyi wiedział tylko z dochodów, lasy, w których polował, dosyć pieniędzy i ochoty do tracenia ich wesoło.

Zadaniem życia główném dla niego było mieć kochanki, konie ładne, powozy świeże, przyjaciół wygodnych, czas pędzić wesoło, a kiedyś może poczekawszy ożenić się jeszcze bogato i świetnie. Tymczasem żyło się z dnia na dzień, bez troski, po pańsku, kąpiąc w świata rozkoszach i nudząc niekiedy; a że grosza nie brakło, bo i dobra miał znaczne i uczciwych ludzi przy nich, Tycio sadząc się na elegancyę, imię mając z cudzoziemska dobrze brzmiące, wywodząc się od szwedzkich Dahlbergów i herb sadząc na pieczętce wielce skomplikowany, przyjęty był od najwyższego świata w arystokratycznych sferach za przyzwoitą podstawkę.

Był też to, niegodzi się inaczej powiedzieć, człowiek wielce przyzwoity, dobrego tonu, w salonie miły, dla kobiet grzeczny i nadszkapujący i nie mu w istocie zarzucić nie było można, oprócz pustek w sercu i pustek w głowie. Ale pustki to były malowane i złożone, bo pan Tytus nie darmo tak wiele podróżował, kręcił się, widział i doświadczał; umiał mówić o wszystkiém, na gotowym dowcipie francuskim mu nie zbywało, a w rozmowie tak sobie dobrze dawał rady jak inni, szczególnieją, że wymowę miał bardzo miłą i jakoś z wielkim wdziękiem *r* nie wymawiał, zastępując go paryskim *chr*.

Temperamentu dosyć żywego, kobieciarz znalogowany, choć zawczasu zużyty, zawsze coraz nowe rozpoczynał miłoski i te właśnie stanowiły stronę poważną jego żywota; dla nich czasem coś poświę-

cał, chociaż nigdy nie trwały długo, nudził się niemi wprędce i rzucał potem równie żywo, jak się w początku o nie ubiegał. Chociaż już lat trzydzieści kilka na świecie strawił, [zawsze jeszcze był to młodzienc, obyczajem, głową i twarzą.

Otoczony przyjaciółmi w rodzaju pana Rybackiego, bez których obejść się nie mógł, dla siebie rozrzutny, dla nich był dosyć skąpy i grosza nie puszczał, pożyczać nie miał zwyczaju, ale karmił i poił chętnie, czynił uczestnikami swych zabaw i nie zbywało mu na dworakach.

Tycio czytywał czasem późną jesienią francuskie romanse, czasem gazety francuskie i na tém kończyła się jego literatura, której tyle tylko używał, ile niezbędnie potrzeba było, aby się nie wydać zardzewiałym i zacofanym w towarzystwie. A że miał prócz tego-talent muzykalny niepospolity i wiele wprawy, śpiewając nieźle i grając biegle, muzyką zastępował literaturę, i nią się szczególniejsztnkował.

Tego rodzaju ludzie rozumieć poczynają wreszcie, że wobec wiekutak poważnego, jak nasz, czémś się wyeksकुzować potrzeba z próżnowania — biorąc więc sobie niby jakiś przedmiot i przed światem zasłaniając się nim, jak parawanikiem, przedając go za cel główny i zajęcie, jedni tak niby uprawiają historią, drudzy sztukę, namaszczając się na mecenasów i prawników, ażeby pod tym płaszczykiem mogli już próżnować bezkarnie.

Pan Tytus więc był niby wielkim panem artystą, improwizował, mówił o muzyce z zapalem, protegował czasem sławnych koncertantów, i spełniał posłannictwo dyletanta dość nieźle. Ale w istocie muzyka była dlań obojętną i nigdy z upragnienia jej nie siadł do fortepianu, surowiej o niej nie pomyślał, serce mu nie zabiło do areydziała — krytykować potrafił, stworzyć nic nie mógł.

Oprócz tego spełniał, do czego się niby czuł obowiązany z położenia wielkiego pana: miał konie i lubił je, admiirował Zachód i cudzoziemskie doskonałości, dawał obiady, grał w karty i prowadził życie, do jakiego, wedle jego pojęć, powoływał go stan majątkowy. W żadne zresztą ekscentryzmy się nie wdawał, chłodny, rozważny, rachunkowy nawet, gdzie nie o jego własną przyjemność i dogodzenie fantazyi chodziło, szedł za strumieniem zwyczajów, stosując się do nich niewolniczo.

Tak spędziwszy kilkanaście lat życia od chwili emancypacyi, jeszcze się mając za zbyt młodego do ożenienia, które chciał mieć świetném i wyrobić niemi sobie wyższe stanowisko społeczne, Tytus trzpiotał się jak młokosik, i trochę zbytnio już czasem zarywał na studenta. W chwili, gdy mamy szczęście go poznać, dwie tylko sercowe (niby) sprawy go zajmowały (a bywało ich czasem więcej

na raz), intryżka z panią Z. Z., która go już nieco nudziła, zwłaszcza, że piętnastym, czy szesnastym z rzędu był jej admiratorem szczególnie w i od roku już w wiernych usługach zostawał, choć serce udziału w tej sprawie nie miało weale; — powtóre, utrzymywał swoim kosztem przy świecach za piękną uchodzącą Andzię baletniczkę, która z nim już podróż do wód odbyła, i u niej dawał wesole wieczorki przyjaciółom. Ta mu się już bardzo przejadła, bo się opatrzył za późno, że przypominała matezynie niegdyś pokojówki. Obie te panie już go nie bawiły weale, szukał więc nowego zajęcia i jakoś wynaléże go nie mógł. Zobaczywszy więc Dosię w Saskim ogrodzie, zapalił się wielkim płomieniem do jej piękności i młodości, a próżność go trochę podzęgnęła. Kapitan wziął to zrazu za fantazyjkę przemijającą, ale hrabia wpadł do niego w parę dni potem rano z naleganiem, aby szukać Dosi i koniecznie ją wynaléże, chcąc poznać bliżej koniecznie i stosunki z nią zawiązać. Nie było sposobu oprzéć się jego natarczywości.

— Ale mój hrabio — rzekł Rybacki — cóż chcesz? to śmieszna, żebym ci do wynalezienia jej miał służyć.

— Zrobisz to dla mnie, Rybasiu...

— I to szlachcianka, sierota, dziecko biedne...

— Dajże mi pokój!... wszystkie one sieroty, i właśnie dlatego potrzebują opiekunów... no cóż tam straszego!

— Wieśniaczka...

— To mnie właśnie wabi...

— Niewiedziéć jak do niej przystąpić...

— O to się nie frasuj, wskaż mi tylko gdzie jej szukać...

— Zdaje mi się — rzekł po chwili namysłu Rybacki — że niejaka Chyłkiewiczowa umieściła ją tymczasowo w hotelu Nadwiślańskim... jeśli się już z niego nie wyniosła, zawsze ta Chyłkiewiczowa wiedziéć o niej powinna...

— Więc jedźmy do hotelu, kapitanie, jeśli ci honor miły, jedźmy do hotelu — nastawał hrabia — jak mnie kochasz, pomagaj...

— Ale dajże mi, hrabio, pokój!... jakaż-bym rolę odegrał?...

— Daj ty pokój, a rób, o co proszę, nie będziesz żałował...

— Oprzéć ci się nie można... — rzekł kapitan.

— Ubieraj się, jedziemy...

Hrabia miał tego dnia skromny tylko koczyc wyglądający na dorózkę, parę koni małych w krakowskich chomątach i ludzi bez liberyi; pojechali więc niepostrzeżeni do hotelu, umyślnie nie chcąc się tam pokazywać z ekwipażem, któryby oczy zwracał; zostawili nawet kocz opodał, a kapitan, mniéj pokązny, sam poszedł na zwiaady do gospodyni. Nie wiedział on, kto utrzymuje ten hotel i zdziwił się mocno, ujrawszy znajomego sobie z dawnych czasów *Kruczka*,

który już całę inaczęj wyglądał, niż w one błęgie chwile wycieczek do ogródków, gdzie bywał heroiną i tłumy młodzieży ciągnął za sobą.

— A! a! — krzyknął — to panią witam... jako gospodynię?...

— No! ja nią jestem... — odparła uśmiechając się minionęj przeszłości wystrojona Riebenowa — to cóż?...

— Nic... winszuję! spowaźniałaś mi, Kruczku!

— Cóż tu pana do mnie sprowadza?...

— Aleś mi się dyabło zmieniła, moje serce!... — westchnął kapitan.

Gospośia prawie się rozgniewała.

— Porzuć pan to! no! — zawołała — czego pan chce?...

— No! no! nie gniewaj-że się, postarzałaś — podchwycił kapitan — ale to kolęj pantofłów i ludzi, że się schodzić muszą; musisz teraz pieniądze zbierać! ba! i będziesz bogata, niechybnie...

— A dlaczego będziesz?... — zawołała gospośia — jabym się już dziś na pańską kieszeń nie pomieniała... Ale czegoż pan chcesz? bo ja tu nie mam czasu...

— Ot, małej rzeczy... — rzekł Rybacki.

— Ale ja mam niejedno na głowie...

— Odpoczniesz służąc mi do małej, istotnie małej rzeczy... Jest tu, w twoim domu, sierota, niedawno przybyła, jęj krewni...

— Cha! cha! krewni?... no? co? kto? jacy krewni?... jak się ona nazywa?... — poczęła Rieben, domyślając się już o kogo chodziło.

— Imię ma Dorota, przywiozła ci ją Chyłkiewiczowa.

Jęjmość rzuciła nań ukośne wejrzenie.

— Chcesz mnie pan oszukać?... — zawołała — krewni... ona krewnych nie ma... a znowu dla ciebie stary, coś przywykł po drugich gości dogryzać, to nie jest kasek... Co tobie do nięj... Tu ciebie ktoś przysłał...

Kapitan oburzony porwał za kapelus.

— Moja kochana — odezwał się dumnie — masz ochotę co zarobić, czy nie?...

— Czemu nie, ale nie od was — rzekła Rieben — Któż od ciebie co zarobił?

— Jest ona tu?... — spytał niby nie posłyszawszy kapitan.

— Otóż niema!... — odparła żydówka.

— Chyłkiewiczowa zabrała, co?...

— Nie wiem kto... wyniosła się, wczoraj jeszcze, na miasto...

— No! to nie mamy co gadać.

Rieben pokiwała głową i rozśmiała się.

— Ale dokąd się przeniosła?... — zagadnął kapitan, który pomiarkował po niewczasie, że bez trochy pochlebstwa nic z Kruczka nie dobędzie, starając się głosem i miną przymilić. — Mój Krusiu,

dokąd?... No, widzisz — dodał — w istocie interesuje się tą sierotą hrabia Tytus; wiesz?...

— Wiem, ten co na Nowym Świecie mieszka, i Adzia, wiem!... bogaty pan, ale skąpy!...

— No! chcesz mu pomóc, skąpy nie będzie, ta sierota bardzo go obchodzi, jakaś daleka krewna, czy coś, boi się, żeby to nieprzepadło?...

Rieben stała mileżąc z miną szyderską.

— Ale wiesz — dodał kapitan, zbliżając się do niej — że mi jeszcze dobrze wyglądasz, doprawdy, przypatrzwszy się zyskujesz.

Pochlebstwo, choć późne, poskutkowało: Kruczek się uśmiechnął.

— Pan wie, że ja poszłam za mąż?... — szepnęła gosposia.

— Doprawdy?... wiesz, że ja, i jemu, ale go dobrze w łapkach trzymasz zapewne — wstał śmiejąc się. — No, a gdzie się ta biedaczka przeniosła?...

— Uważajcie tylko — mówiła dalej Rieben, poglądając to na kapitana, to w lustro — co to za gadzina z tej Chyłkiewiczowej, już ją opanowała!...

— Tego prawie byłem świadkiem — rzekł figiel-adjutant.

— A, że do siebie do domu wziąć nie mogła, przywiozła ją tu do mnie, pomiarkowała się potem znać, i dziewczynie coś nagadawszy, już ją znowu gdzieś odebrała.

— Dokąd?... do siebie?...

— Nie! nie... będę ja to wiedzieć...

— Ale nie wiesz jeszcze... to mi było odrazu powiedzieć?... — rzekł porywając za kapeluszy Rybacki — bywaj zdrowa!...

I pobiegł do powozu, w którym sparty na rękę ziewał hrabia Tytus.

— No! a cóż?... — ozwał się żywo, wpatrując się w kapitana — jest tu?...

— Nie ma już, ale, powoli dojdziemy po nitce wszystkiego...

— *Tonnerre!* — krzyknął rozpieszczony panicz.

— Nie piorunuj, znajdziemy ją jeszcze.

— Cóż się stało?...

— Porwała ją Chyłkiewiczowa.

— Cóż to za jedna? możeby się do niej udać...

— Udamy się — rzekł zinnym, siadając do powozu kapitan. —

Znam tę jejmość, która z nią zrobiła w drodze znajomość, a choć z nią nie jesteśmy dobrze, jakoś to będzie.

— Jedźmy do niej.

— Właśnie, ruszaj, na Krakowskie.

— Na Krakowskie — powtórzył hrabia Tytus — bo to widzisz,

mój drogi Rybasiu, marzę już sobie, jakby to ślicznie było, żebym ją mógł zabrać z sobą do Włoch... Ja się znam na kobietach, bez zarozumienia — tyle ich widziałem, tylem ich porucił! to piękność pierwszego rzędu! to madonna! cokolwiek świata, poloru, zrobiłbym z niej ideał, Aspazya, Lais, najalbym dla niej śliczny apartamencik niedaleko od mojego, dałbym nauczycieli, ona warta tego, to musi być zaniedbane. Kto wie, może ma głos! Dopiero by się baby wściekały, a mężczyźni szaleli; tu żadna z tych kopciuszków nie warta jój trzewika rozwiązać.

— Ale dyabłą będę miał robotę z Chyłkiewiczową — rzekł kapitan mnać węża — krwawego jój niegdyś wyrzuciłem figła, tylko, że to dawno, załatam tę sprawę jakoś, uda się nie uda, nie możesz, hrabio, wątpić o moich dobrych chęciach, poświęcam się cały...

— Rybasiu! serce! ja ci poprzysięgam dozgonną wdzięczność, codzień proszę cię na obiad, ja cię cenię, Kocham, rób, co możesz, chcesz cygara, Havana prawdziwe!

— Tęm się nie gardzi — odparł kapitan biorąc dwa razem.

— Kochany Rybasiu, rób, co można, ale mieszkanie tój, jak się tam ona nazywa, może nadto znane, zatrzymałby się może przed kamienicą Reslera, ty-byś podszedł...

— No! dobrze i tak... stój! — zawołał Rybacki, wysiadając z powozu — widzisz, hrabio, że się poświęcam...

— Nieoszacowany jesteś, kapitanie, tylko mi co stanowczego przynies, chciałbym wiedzieć gdzie jój szukać, resztę mnie zostaw.

Hrabia miał się za tak potężnego Lovelaça, że był pewien zwycięstwa, byle się pokazał, chodziło mu tylko o wiadomość, gdzie się Dosia znajduje, resztę brał na siebie. Kapitan pobiegł szybko i po numerach patrząc, znalazł łatwo dom, w którym na trzeciem piętrze mieszkała się pani Chyłkiewiczowa. Ciemne i coraz ku górze brudniejsze wiodły do jój mieszkania wschody, nareszcie domacał się jakichś drzwiczek w zagłębieniu, z zasłonionem wewnątrz okienkiem, zaryglowanych. Leżała przy nich wywrócona miotła i szaffik z pomyjami, minawszy tę barykadę, kapitan zapukał ostrożnie, i nie rychło, po kilkakrotnych sygnałach, brudna dziewczeczka, lat około trzynastu mieć mogąca, chuda i blada, ukazała się, ostrożnie uchylając drzwi zapytaniem:

— Czego pan chce?

— Można się widzieć z panią Chyłkiewiczową? pilny interes!... — rzekł Rybacki, i nie czekając pozwolenia i odpowiedzi, wparł się odrazu do przedpokoju zupełnie ciemnego, do drugich już drzwi dobierając się mimo krzyku i oporu służącej.

— Ale czego pan chcesz?

— Chcę i muszę się widzieć!...

— Niema pani.

— Jak to niema?... musi być!...

— Niema, niech pan nie idzie!..

W sąsiednim pokoju zrobił się szmer, i z głębi mieszkania wysunęła się zakwiefiona kobieta, która prześliznęła się mimo kapitana szybko, jakby uciekała i wnet znikła na wschodach. Za nią tuż zjawiała się blondynka z zagniewaną twarzą.

— Co to jest! do czego puszczasz! kto taki? po co?

Kapitan już był w proggu i kłaniał się uśmiechając.

— Słoweczko... moja pani — rzekł — pozwolisz.

I znowu nie czekając pozwolenia, wszedł przebojem do pokoju.

Ledwie go poznawszy, więcej po głosie, niż z twarzy, Chyłkiewiczowa oburzyła się niezmiernie.

— Co to pan ludzi nachodzisz!... gwałt! jak to można, ja nie mogę... ja nie chcę!...

— Ale ja mogę i chcę się widzieć z kochaną panią — odparł kapitan, który już siadł na kanapie.

— Niech pan wychodzi! co to jest!...

— Tylko słówko! słoweczko... wiem, kochana Chyłkosiu, żeś zawsze zajęta bardzo, ale to nie nie pomoże, musimy z sobą pogadać...

Nie było sposobu go wyparować, tak się już Rybacki szeroko rozparł na kanapie, w saloniku. Nie godziło się inaczey nazwać tego pokoju, chociaż wejście ciemne nie dawało mu prawa do tak świetnego imienia; był to przecie salonik widocznie. Dosyć mały, szuffladkowy, brudny, zawierał jednak kanapę, stół przed nią, stary zegar alabastrowy na komodzie zastawionej filiżankami, a okno miał wykwintną, choć spyloną, zawieszoną firanką. Powietrze w nim było duszne jakies i zamknięte, jedno okno wychodziło w ciasne podwórko i zamiast promieni słonecznych, plowe odbicie muru sąsiedniego, oświecało izbę bawialną. Zapach jakies stęchlizny i wyziewów kuchennych, czynił tu pobyt nieznośnym, ale kapitan wcale na okrażającą nie zważając atmosferę, ani na krzyczącą i niecierpliwającą się gospodynię domu, rozglądał się wokoło z uśmiechem.

— Siadaj-że no, moja śliczna — rzekł — darmo drżać się będziesz, ja się muszę rozmówić...

— Ja nie chcę żadnego mieć z panem interesu...

— Cóż z tego, kiedy ja chcę!... jedno z nas ustąpić musi...

— Co to jest? gwałt? napaść?...

— Widzisz, gwałt chyba kanapie się dzieje...

— Awantura! awantura! — wołała blondynka, która ten wyraz lubiła bardzo — idź pan sobie, idź, bo...

— Serce moje najdroższe — przerwał kapitan — powiedz, za co ty się tak gniewasz na mnie, żeś nawet mówić ze mną w drodze nie chciała?... mnie to na sercu leży...

— A! pan nie wiesz!...

— Stare dzieje! mogłaś dawno zapomnieć, wiesz, że ja ci zawsze sprzyjałem. Ten *Bocian!* wiem, że mi go przebaczysz!...

— Pięknie! idź pan sobie.

— No, będzie zgoda?...

— Nie! — i potrząsała głową przechadzając się — nigdy!...

— Jakże cię przebłagać?... na kolanach!... — rzekł żartując kapitan — rozumie się na twoich, no! to siądę!...

— Pan wiesz, że kobieta nie przebacza...

— Jakto? nigdy?...

— Nigdy!...

— No! ale ty jesteś wyjątkiem, znam twe serce... — dodał wpół szydersko — dasz mi się przeprosić...

— Pan wiesz, że mnie obraziłeś śmiertelnie — odwracając się zawołała blondynka, ale usiadła już naprzeciw kapitanowi nieco udo-bruchana. — Albo i teraz... — dodała — cóż to karczma?... jak to można gwałtem wchodzić, cóż to mój dom taki już, że nawet nie wart...

— Ale pilny interes... — zawołał Rybacki.

— A cóż to za interes?

— Dla ciebie złotym go nazwać można, wiesz, tę sierotę, która jechała z nami, co to ją umieściłaś w Nadwiślańskim hotelu?...

— Już wie i o tém!!

— Wiem i to, że ję tam już niema.

— A co panu do niej?...

— Mnie nic, zapewne, ale ona ma krewnych, którzy ję szukają...

— A pan faktorujesz!... — rozśmiała się Chyłkiewiczowa zwycięsko — ślicznie! znam ja tych krewnych...

Kapitan zagryzł usta ze złości, i byłby w pierwszym impecie babę zgruchotał, gdyby się nie pomiarkował, że ję potrzebuje.

— Co pleciesz, waryatko!...

— No! a jakże się to nazywa? — zawołała śmiejąc się.

— Słuchaj-no, tu nie o to chodzi; familia, rozumiesz... ona ma krewnych bogatych i w znaczeniu, którzy ją odszukać muszą. Chcesz co zarobić?... no, to pomóż, powiedz, gdzieś ją podziała?...

— Albo ja wiem, gdzie ona jest! Kto ją podział? ona sama, odczep się pan ode mnie!...

— Nie wiesz o niej?...

— Nie wiem!

— No! no! nie drwij sobie tylko; Riebenowa mi wszystko powiedziała.

— Na cóż się panu pytać?

— Tyś ją wykradła z hotelu.

Chyłkiewiczowa ruszyła ramionami.

— Co to? małe dziecko, czy co? porzuć pan to, i daj mi pokój; ja mam moje interesa, a czasu na to tracić nie mogę — dodała wkładając rękawiczki i biorąc kapelusze ze stolika — to nie moja rzecz.

I odwróciła się żywo, wołając:

— Poruczniku! poruczniku!

Z drugiej izdebki obok, na zawołanie to, ze stukiem wybiegł ogromny, barczysty mężczyzna z łokciowymi wąsami, w surducie mundurowym wyszarzanym, ze wstążeczką. Twarz jego była najsmutniejszym wizerunkiem na ostatni szczebel spadłego człowieka, oczy miał prawie białe, wyblakłe, policzki schudzone i trądem okryte, usta zwilgotniałe i popękane, brodę nieogoloną, włos w nieładzie, ale mimo to nadrabiał miną groźną, i z pod brwi nawisłych spojrział zrazu ostro na kapitana; powoli z miny, jaką zrobił dla nastraszenia go, schodząc na zakłopotanie i pokorę, spuścił wzrok zawstydzony i zbiedzony!

— Chochlik? a ty tu co robisz? — zawołał zrywając się z kanapy zdziwiony kapitan.

Chyłkiewiczowa zadrżała słysząc te słowa, gniewnie spojrziała na towarzysza swego i chciała wyjść zaraz, ale ją ciekawość wstrzymała.

— Cóż to jest, do tysiąc dyabłów! — spytał kapitan — ożeniłeś się z nią, czy co?

— Nie, panie kapitanie — odparł, językiem wodząc po ustach, widocznie zmieszany porucznik — nie, to tak sobie proszę pana.

— Ale cóż tu u niej robisz?

— At, stoję na kwaterze — wybaknęła Chochlik — bieda! zwyczajnie, okoliczności niektóre, czasem się posłuży pani Chyłkiewiczowej, a jest kąt.

Gospodyni była wielce zmieszana.

— Przecież nie służysz u niej? — zapytał Rybacki.

— Ale nie, panie kapitanie, przyjaźń... tego... zwyczajnie, kobieta potrzebuje czasem protekcji.

— A! rozumiem, stajesz w obronie płci pięknej po rycersku — uśmiechnął się Rybacki — a! biedaku, jakżeś to spadł nisko!... żał mi cię... gotówes się w ostatku ożenić!

— Chowaj Boże, panie kapitanie, oburzył się Chochlik — cho-

waj Boże, a mnie to na co! ale człek biedny, a jest taki kat i lyżka strawy, a kobieta niczego...

Chyłkiewiczowa aż pięści zacisnęła z gniewu, z którym gotowała się później dopiero wybuchnąć, kapitan się rozśmiał ruszając ramionami.

— A no, kiedyś tu tak dobrze położony — rzekł Rybacki — pomóż-że mi i wstaw się za mną, kolego... niech się nie dąsa i odpowie mi na pytanie...

— Ale no, kiedy pan kapitan się pyta, odpowiedz bo pani...

— Patrz! patrz! będzie mnie rozkazywał — ofuknęła się z pasją kobieta — a do budy kondlu! a do budy! słyszysz! — dodała wskazując drzwi izdebki — idź mi zaraz... a nie, to precz... i nie wracać! słyszysz!

I w gniewie trzęsąc się przyskoczyła do niego; Chochlik zdawał się chwilę wahać, czy oprzeć się, czy uleść, błagające wejście rzucił na kapitana, westchnął ciężko, zrobił zwrot w lewo w miejscu, po żołniersku i skrył się w izdebce wskazanęj, której drzwi zatrzasnęła za nim kobieta, śmiejąc się głośno.

Rybacki zniecierpliwiony pochwycił za czapkę.

— Słuchaj — rzekł surowo — jedno ci tylko powiem, pamiętaj, żebyś tego nie żalowała, że mnie z niczém wyprawiasz.

— O! zapewne! — drwiąc krzyknęła zagniewana kobieta — awantury! awantury! Ruszaj pan sobie do Magesowej; u mnie się tu takie interesa nie robią!...

I drzwi zatrzasnąwszy, wyszła nie chcąc słuchać więcej.

Kapitan, rad nierad, się pomyślałwszy odejść przeklinając upór obrażonej kobiety, i już był na dole w ciemnym korytarzu, gdy uczył blisko siebie kogoś, ręką mu zastawiającego drogę.

Był to ów Chochlik, witający go ruchem pokornym i milcząco proszący o jałmużnę; Rybacki rzucił mu na dłoń brudną dwuzłotówkę.

— Biedaku! cóż ty tu porabiasz?.. — zapytał.

— A cóż? niema co się wypierać, służę z biedy... ona mi jeść daje i mam się gdzie schronić, a jak potrzeba wstawię się... czasem muszę burdę zrobić lub ze wschodów zepchnąć, a i guza oberwać... Ot, dziękuję panu, bom dawno tytuniu nie palił, a ta... zaraza... — rzekł — skąpa, nie nie daje...

— Jakżeś ty tak upadł, Chochliku?

— Jak! at! co to gadać... — chowając pieniądz i robiąc się dumniejszym dodał poręcznik — to jednak nie zła kobieta, usłużna! nie głupia, i grosz ma... A cóż było robić, nieszczęścia się na mnie spiknęły... źli ludzie... los, prześladowanie... w malikowaty dzień się rodziłem...

I nie tłómacząc się więcej, Chochlik z dwuzłotówką co prędzej pociągnął do bliższego szynku...

Niedługo pobywszy w Nadwiślańskim hotelu Dosia postrzegła, że zostając w nim nadal, naraziłaby się, jeśli nie na inne, to na widoczne niebezpieczeństwo odarcia z grosza ostatniego. Przestroga biednej Halki, jakiś instynkt szczęśliwy, który ją prowadził, zmusiły pomyśleć o sobie i szukać sposobów do wydobycia się ze szpon dwóch kobiet, których troskliwość i nadszkakiwania przestraszyły ją. Z kilku słów biednej służącej więcej się domyśliła sierota, niż z postępowania pani Rieben, utaiła w sobie niepokój, milczała do czasu, ale nie byłaby sobie dała rady sama, gdyby w mieście nie spotkała owego młodego chłopca z dyliżansu, który tak ją zjadał oczyma. Pocziwie chłopię, w którego twarzy czytała Dosia cześć i uwielbienie dla siebie, stanęło na widok ideału, w wyrazem zachwytu tak szczerego, że sierotę ośmieliła jego pokora... Wahala się z początku, czy na jego błagający ukłon odpowiedzieć, czy z nim odnowić znajomość, ale potrzebowała pomocy, czując, że sobie nie da rady sama, i odpowiedziała skinieniem głowy, zatrzymując się.

— Czy mogę pani być w czem użytecznym? — zapytał bojaźliwie przystępując Leon.

— A! i bardzo — szepnęła Dosia — chodźmy powoli, powiem to panu w drodze... sama nie wiem co począć... nikogo tu nie znam, boję się wszystkich...

— Nie lękaj się pani mnie przynajmniej — odparł Leon kładąc rękę na sercu — młode serce cieplejsze i szczerze od starych i zwiędłych... gotów jestem na wszystko, co pani rozkażesz... uwierz mi, a ja nie zawiodę ufności.

Mówił to tak gorąco młody artysta, z takim przejęciem, z tak zażwawionem okiem i taką radością, że Dosia spojrzawszy nań uczuła się wszechwładną panią, i już obawiać się nie miała powodu, bo go wejrzeniem poznała do głębi. Instynkt mówił jęj, że uczyni z nim co zechce, że to będzie sługa jęj i niewolnik...

— Bądź mi pan bratem! — zawołała po chwili.

— Na Boga, na matkę moję, klnę ci się pani! — odparł Leon, że wiernie ci służyć pragnę, jak siostrze...

— Dobrze więc — przerwała Dosia żywo — mnie się z tego mieszkania, w którym jestem, uwolnić potrzeba... wynajdź mi pan izdebkę osobną, cichą, spokojną, bezpieczną... chcę pracować.

Z radością i wyrazem zapału artysta spojrział jęj w oczy.

— Pocziwa służąca ostrzegła mnie — dorzuciła Dusia — wiem, co mi grozi, te kobiety... czekają, bym do ostatniego straciła grosza i chęć korzystać ze mnie... zaprządz mnie w ohydną niewolę... Ja się pragnę oswobodzić! Znajdź mi pan mieszczkanko, osobne, ma-lutkie... i zajędz wieczorem... jutro, kiedy zcechesz, po mnie... opłace i wyniosę się z hotelu.

— Bóg pani tę myśl natchnął!... — zawołał Leon — zrobię jak każesz, lecę natychmiast... nie stracę chwili...

— Idź-że pan, żeby nas nie postrzeżono razem... kto wie! może mnie szpiegują... wszystkiego się obawiam...

Leon nie chcąc być dłużej natrętnym, strzala poleciał rozmarzony w miasto, tak szczęśliwy z tych słów kilku i zaufania, jakby naj-wyższy cel pragnień osiągnął.

Chłopak to był ubogi, który się sposobił na artystę, nie tak jak zwykle młodzi się u nas przygotowują, hulanką, rozpasaniem i pró-żnowaniem, ale szczerą pracą i nauką. Sam dotąd wszystko był wi-nien sobie, trochę losowi, który mu widzenie dzieł sztuki nastręczył, trochę poetyczną naturze i usposobieniu odpychającemu od pospoli-tych i przybrukanych przyjemności zwykłego artystów żywota. Dziecko naiwnością, mężczyzną był pojęciem obowiązków i surowo-ścią względem siebie... Ale ta postać, którą jeszcze spotkamy i bli-żej damy poznać, w tej chwili nie wyciąga po nas więcej nad kilka rysów pobieżnych...

Dusia ledwie wzrokiem roztargnionym go pożegnawszy, poszła dalej zadumana i smutna.

W jej duszy dziwne się teraz działy rzeczy... Po życiu, w które-m nie miała prawie woli, bo jej wśród wymierzonych i jednostajnych godzin jego, użyć nie mogła — nagle przeszedłszy w swobodę, zmu-szona kierować sama sobą, to gwałtownie rzucała się naprzód, to za-stanawiała przerażona, oczekując pomocy, do której przywykła, w któ-rą ufała, jeśli nie od ludzi, to od losu. W snach dotąd widywała tylko pomyślność, doznawała pieśzcot samych, praca wydawała się jej straszna... chciała cudu i oglądała się, rychło ją owionie... prze-żłość tak dziwnie odbijała od terażniejszości, że w ostatnią nie wie-rzyła, tylko jak w sen przemijający. Coś jej szeptało do ucha, że panować musi, że cierpieć nie może, że cały świat winien jej hołdy i pomoc... za co? dlaczego? tego sobie nie tłómaczyła, ale czuła się w duszy królową. Wśród przechadzki tej, Halka, którą jej pani Rie-ben znowu za towarzyszkę dodała, domyśliła się z kilku słów schwy-conych z rozmowy, że sierota zamierza się wynieść z hotelu, i nim powrócili do wrót, uspieszyla z prośbą, żeby ją z sobą zabrała Dusia na nowe mieszkanie.

— Panienecko złota... — odezwala się przyspieszając kroku —

weźcież i mnie z sobą... tać sługi potrzebujecie... no, toć ja lepiej posłużę, nie chwalaćy się jak druga... zobacyste.

— Ale cżem-że ja ci zapłaćę? — spytała się Dosi rada nowęj towarzyszce.

— A cżemże byście innęj płacili? toć się bez usługi nie obendziecie? ja tam i tak wiele nie bioreę... a ze się psydam, to taki prawda... O płacę się tam kłócić nie będziemy; ja jęj u Riebenowęj i tak nie widzę, bo strofują, az wykwitują... a wy mi dacie, co będziecie mieli, i pocekać mogę, bo mam kilka grosy... Późnięj mi dacie, tać nie zginie, ino mnie zabiercie z sobą...

— A jak nam obu chleba zabraknie?... — spytała Dosi.

— Gdzie zaś! jakbyśmy sobie rady nie dali! zobacyste...

I tak nagliła i prosiła sierotę, że się w końcu zgodzić musiała zabrać ją z sobą, co zresztą w pierwszęj chwili na nowém gospodarstwie było jęj bardzo na rękę...

O mroku Leon przybył z dorożką, pędko upakowano rzeczy, gdy Riebenowa dowiedziawszy się o tēm, jak piorun wbiegła zaperzona do izdebki, z wymówkami, pretensyami, niemal gwałtem chcąc Dosię zatrzymać; ale młody człowiek stanął w jęj obronie, rozplacono się i sierota uczuła się swobodną, gdy za bramę hotelu się dostała, choć wolność swoję okupić musiała sceną, jakięj się nie mogła spodziewać. Na progu jeszcze gospodyni wybiegła z hałasem, który wszystkich ludzi sprowadził do bramy, i krzyczała a ujadala tak, że Leon musiał użyć groźby, aby jęj usta zamknąć.

Młody artysta cały dzień spędził na poszukiwaniu mieszkania, i niełatwo mu się o nie przyszło wystarać; chciał on Dosię umieścić gdzieś blisko siebie, aby mógł na nią patrzeć z daleka i przyjsć w pomoc w razie potrzeby; ale obiegł daremnie kawał miasta i nie stosownego nie znalazł. W wielu domach, dowiadując się, że mieszkanie ma być zajęte przez młode dziewczę samo jedno, nie chciano lokatorki takięj wpuszczać, czego Leon nie pojmował. Próżno malował im ją w najpiękniyszém świetle: im więćej nastawał na jęj opuszczenie i sieroctwo, tēm się więćej odstręczali gospodarze. Tak zszedłszy cały Nowy Świat i Krakowskie, gdzie mu się znów kilka wyśmienitych mieszkań trafiła, których dla różnorodnego sąsiedztwa nie najał, zapędził się powoli aż na Stare Miasto, namysławając się już, czyby nie najlepšíj było swojego pokoju Dosi ustąpić. Tu go uderzył napis na starym okopconym domku w rynku Starego Miasta przyczepiony:

Mieszkanie kawalerskie do najęcia.

Zdało mu się, że kawalerski pokojik mógł równie służyć biednęj dziewczynie, i uważnięj poczał się rozpatrywać w tym domu. Była to

znać kamienica kilkowiekowa, o trzech oknach od ulicy, i trzech pięterkach, z których ostatnie składało się z poddasza oszczędnie przerobionego na mieszkanie.

Szeroka a niska sien sklepiona, przy której szczęściem nie było szynku, ale cichy za to kramik kielbaśnika... wiodła do wnętrza domu o grubych murach, ciemnych przejściach, oznaczonego tym charakterem, jaki na sobie noszą wszystkie domy średniowieczne, budowane na długie rachując lata, więcej z instynktu niż potrzeby o kilkołokciowych ścianach, a niebardzo zręcznie wśród nich umieszczonych małych izdebkach, w których niewygodnie, ale z uczuciem bezpieczeństwa mieszkało. Wszystko to było pozostałością innego rodzaju życia i obyczajów, przypominało wieki, w których nie dbano o wygodę, a w domu widziano twierdzą tylko i namiot jeszcze; kształty drzwi ciężkich i pookowywanych żelaznemi sztabami, wąskie okna wgłębione w framugach, wschody strome, murki, nisze, filary grube i ciężkie, stare kraty ślusarską wyrabiane sztuką w misterne floresy, dziwnie tu wyglądały dla oczów przywykłych do wytworniejszych kształtów dzisiejszego budownictwa. Zdawało się nawet artyście, że człowiek sam inaczej się tu jakoś przedstawiał, że głos jego kradły mury grube i tłumily go; trudno było w ciemności i labiryncie przejść nie znając miejscowości, wynaléć drzwi i wschody, tak je pochował architekt skrzętnie, mnożąc tajemnice i zagadki w tej budowie, której idea główną był strach napaści i staranie o niepożytą trwałość. Zapukawszy parę razy do podwoi żelazem pokrywanych, które stały w milczeniu jak zakłéte, trafił przecie Leon obywszy się z mrokiem, który tu panował we dnie, na kobietę ze służby gospodarza domu, ofiarującą się pokazać mu mieszkanie do najęcia. Powiodła go ona, po wschodkach ciemnych i ciasnych, coraz węższych i mniej wygodnych, aż na owo trzecie piętro. Sam pan, zapewne posłyszawszy ruch w domu, do którego nie przywykł, wysunął się w pantoflach, szlafnycy, okularach i szlafroku na przedsién, coby tam było, a dowiedziawszy się o lokatorze, ujął pęk kluczóv i przewodniczył obejrzeniu.

Staruszek ów, spokojnej jakiegó natury, flegmatyk temperamentem i wiekiem, miał w sobie nieco żywiołu niemieckiego, ale miné uczciwą; obejrzał naprzód uważnie Leona, w którym się domyślał przyszłego sąsiada, a potem wyszukawszy numerowanego klucza, wprowadził go naprzód do ciasnego przedpokoiku, wreszcie do małego co większej izdebki, z której widok wynagradzał inne jej niedogodności. Okna bowiem nie na rynek, jak Leon się spodziewał, ale ku Wiśle wychodziły, a z nich szeroki i przesliczny odkrywał się krajobraz, tęsny, mglisty, ogromny, płowy od piasków, a taki mazowiecki!

Ogrom wody i niebios, przestrzeń niezmierną z czarnymi lasy w głębi widać było z okienka, i brzeg wiślany, a po-za nim kraju kawał, oko mogło pobujać i we mgłach tonąc pójść na koniec świata... Zdawało się, że i tchnąć tu było lepiej, i powietrze czystsze, a mała izdebka ogromnym widokiem rosła... choć w niej ledwie było gdzie postawić łódeczko, stoliczek i krzesel parę...

— Otóż masz, kawalerze — począł gospodarz, kraciastą chustą ucierając nos, z uwagą, aby z niego okularów nie zrzucić — pokoik śliczny... widok pyszny... powietrze stanie za obiad... Niech pan pociągnie, co to za powietrze! Hm! widzi pan... prawda? jak na wsi... jest czém tchnąć... suchotnikowi nawet byłoby tu zdrowo...

— Ale ciałniutko, kochany panie...

— Ciasno? co ja słyszę? a na co to człowiekowi szerokich pokoi... konno tu jeździć nie będziecie... ani balów wyprawiać — dodał pan Sturba.

— Ja to nie dla siebie najmuję...

— A dla kogoż?

— Dla mojej siostry.

Gospodarz spojrział mu w oczy, zobaczył rumieniec i nosem pokreślił.

— Zameżna? — począł indagację.

— Nie.

— Młoda?

— Młoda.

— Panna?

— Tak jest.

— To sęk — rzekł Sturba — to sęk... hm! widzisz pan, potrzebuję znać i wiedzieć, kogo będę miał w domu... dom mój spokojny i uczciwy.

— Ależ ja ręczę za siostry mojej spokojność i uczciwość.

— Nie ujmuję nikomu — rzekł gospodarz — ale różne są młodzieży obyczaje i zwyczaje, a młodość niebezpiecznym często gościem pod dachem starych jak ja ludzi; młodość pali, wre i szumi, kawalerze... juściłbym sobie młyną na górze nie chciał postawić.

— Ale to dziecko prawie, sierota, wczoraj ze wsi przybyła.

— Hm! tak? toby było co innego, kawalerze... Słowo? słowo honoru? siostra waćpana, słowo mi dasz, że siostra?

Staruszek miał minę poczciwą.

— Jeżeli tak — rzekł Leon — powiem panu szczerze; słowa honoru nie dam, że siostra, ale na to słowo daję, że dla domu twego żadnego niema niebezpieczeństwa; spokojne i bojaźliwe dziecko...

— Hm! to mnie cieszy, że i waćpan nie chciał mi skłamać — rzekł Sturba — no! zgoda, przyjmę, zresztą co mi tam, byle mi po-koju nie maćono... a pali cygara, kawalerze?

— Ale gdzież znowu?

— No, i to dobrze... znak ważny... przyjmę... znak ważny... przyjmę... sama jedna?

— Ze służącą, sędzę...

— Stan? zajęcie?

— Sierota, szukająca właśnie pracy i sposobu do życia.

Stary poprawił szlafmycy.

— Ryzyko — rzekł po cichu — a! ale spróbujemy, miesiąc to nie rok.

Zgodzili się od słowa, bo pan Sturba nie cenił wysoko i podali sobie ręce; starszek był jakiś poczciwy, łagodny, powolny i znać w twarzach czytać nauczyło go doświadczenie, bo Leonowi uwie-rzył.

W tém to ciasném i ubogiem na wyżynie mieszkaniu, Dosia po raz drugi w Warszawie rozwiązywała ubogi swój węzełek, i spokoj-niejsza nieco, poczęła się powoli rozgospodarowywać. Instykt ko-biecy porządku pomógł jej z téj ciupki zrobić niby świeżą celę kla-sztorną, której szeroki widok nadawał wdzięk, jaki się rzadko spo-tyka w mieście, gdzie mury, kominy i ściany szare wszędzie nastre-czają się oku. Tu i żywy ruch wybrzeża i płynące statki i trochę domków widać było z wysoka, a w głąb uciekało oko tak daleko, swobodnie, jak jaskółki, co się unosiły nad wodami i piaskami. Lepiej tu było Dosi, ciszej, spokojniej, choć trochę ciasno, i w duszy podziękowała za tę ptasią klatkę swojemu młodemu opiekunowi, który ją u drzwi mieszkania, nie chcąc być natrętnym, pożegnał.

Ledwie się Dosia potrafiła nieco ułożyć, gdy gospodarz, znać niespokojny o nową lokatorkę, wszedł z pierwszą wizytą, ale tą razą we fraku granatowym, starym kapeluszu, z trzećnią w ręku, paradny, ogolony, bo się na wiseczka do przyjaciela wybierał. Był to stary kawaler, niegdyś urzędnik, dziś amator partyi wista skrom-niej, kanarków i Kuryerka, człowiek regularny jak zegarek i dom swój utrzymujący ze staraniem największém, bo w nim i z niego żył tylko. Ze liczył już lat z górą sześćdziesiąt, choć czerstwy i rzeźwy, nie miał już wcale pretensyi do niczego, kobiet się bojąc jak ognia, a po cichu utrzymując, że to były istoty krzykliwe i nie-czyste, które tylko za młodu się znosi; posługiwał się starym sługą i kucharką, w kamienicy niezmiernie ostrą utrzymując policję, i wy-bierając sobie lokatorów więcej od fantazyi niż dla pieniędzy.

— Daniel Sturba — rzekł wchodząc powoli gospodarz, z powita-niem — mościa panno! — I usiadł w krześle spierając ręce na lasce,

a z widoczną pocięką przypatrując się pięknej i bojaźliwej dziewczynie, która nie wiedziała, jak przemówić do niego. — No, jakże się tu panience podoba?

— Trochę wysoko... trochę ciasno, ale ładnie — odezwała się ośmielona Dosia.

— Tak jest, trochę wysoko — powtórzył z wolna Sturba — sześćdziesiąt kilka wschodów... ale dobre, mocne... ciasne, zapewne... ale czysto, a widok, a powietrze! proszę pociągnąć — dodał wedle zwyczaju... Hm! to stancyjka nieopłacona... w lecie wprawdzie bywa gorąco... ale tak też być powinno... w zimie chłodnawo... jednak się ogrzewa, gdy jest po temu staranie i regularność w paleniu. Ale powietrze! powietrze, nieopłacone powietrze! mościa panno!

Dosia uśmiechnęła się ze staruszka, którego lepszym i najwniejszym znalazła od warszawiaków, jakich dotąd poznała; przypominał jej Jana organistę.

— Otóż tak — rzekł zbierając jelonkowe rękawiczki gospodarz — witając ją mam honor uprzedzić, że w domu moim przyzwoitość i dobre a spokojne prowadzenie się są najpilniej przestrzegane... hałasów i stukań, brudu i nieczystości nie cierpię... ot co i chciałem powiedzieć i dobrej nocy życzę... Na śmiecie jest wóz osobny, na pomyje rynwa umyślnie.

To mówiąc nałożył powoli kapelusz, spojrzał na zegarek i wysunął się drzwi przyzymkając uważnie.

Wieczorem przybiegła Halka, która numer domu wiedziała, a że leciała z pośpiechem po wschodach, nastraszył się trochę poczciwy Sturba, który wróciwszy z wista, w szlafmocy siedzia czekając wody na nogi, i wybiegł aż przededrzwi zobaczyć, kto tam tak stuka, tolerując jednakże to impetyczne bieganie, jako pierwszy raz trafiające się, choć głową pokiwał strasznie. Halce nie podobała się izdebka, widok dla niej był obojętny, powietrza nie czuła, a ciasnota i brak kuchenki przykre wydały... nie miała gdzie gospodarować. Zaraz nazajutrz wybierała się rozpocząć starania o wyrobienie sobie kątki dodatkowego, a tymczasem krzątała się i gadała wesoło do późnej nocy.

Nazajutrz rano Leon był u drzwi pukając nieśmiało. Dosia mu je sama otworzyła z uśmiechem, witając go bez obawy, bo w nim czuła posłuszną sobie i bojaźliwą istotę...

— Patrz pan — zawołała — jak mi tu dobrze i ładnie... bardzo jestem kontenta i bardzo wdzięczna panu.

— A tymczasem wyszukamy coś lepszego — dodał młody chłopiec siadając. Ja, jako przybrany opiekun, chcę naprzód wiedzieć, co pani myślisz, co zamierzasz, bo muszę wiedzieć wszystko.

— O! trudno bo mi się wytłumaczyć z tego, czego ja sama

jeszcze dobrze nie wiem — odpowiedziała Dosi patrząc nań czarnemi ognistemi oczyma — ufam, że się coś znajdzie dla mnie, gdzie jest dla tyłu... los, opatrność, ludzie mnie nie opuszczą.

— Więc ja się wprzód przed panią wypowiadam — przerwał Leon, którego ten wzrok mieszał i oszalał — pani mnie nie znasz, muszę jęć słowo powiedzieć o sobie. Ja także przybyłem do miasta uczyć się i pracować; mam od rodziców, biednych jak ja, trochę grosza na parę pierwszych miesięcy, dalej muszę na chleb własny zapracować w mieście, gdzie tysiąc jest ludzi umiejętniejszych, znajomszych ode mnie, mających stosunki i przyjaciół... ale i ja nie tracę nadziei... będę malował portrety i szyldy nawet, jeśli trzeba...

— Ja nawet nie wiem, co robić będę; mało umiem i mniej od pana rady sobie dać potrafię — przerwała Dosi.

— Cóż myślisz pani robić?

— Nie, lub tak jak nie nie umiem, prześpiewałam młodość moje.

— Ale nauczyć się tak łatwo... w tym wieku tyle mamy siły i życia!

— Ja-m nawet nie przywykła do pracy! — westchnęła Dosi.

— Przyjdzie to powoli.

Tak się poczęła poufna rozmowa; sierota nieznacznie z potrzeby poskarżenia się jęła się opisu swojej przeszłości, którego Leon wysłuchał z drżeniem, łzą w oku i wiarą.

Dosi musiała tak ubarwić ten obraz, tak go uczynić zajmującym, tak mimowolnie w poetyczne ubrała go farby, że słuchając młody człowiek wzruszony był i przejęty do głębi, bał się odechnąć, wrzucić słowo, by nie stracić wyrazu. Żywe dziecię wsi najprawdziwsze życia swego wypadki widziało teraz w tém świetle jaskrawém, które je czyniły nieprawdopodobnemi prawie; ale Leon uwierzył wszystkiemu, zabolął i tajemnicy jakiejś otaczającej sierotę rad był, bo z nią powabniejszą jeszcze mu się wydała prześlizna dziewczeczka.

Ten zwrot powieści Dosi, która mu się wystawiała jako ofiara, w głębi serca zastraszył może Leona, rozpoznającego, że była pieszczoną do zbytku i nadto zakochaną w sobie; ale w jęć oczach tyle było wdzięku przy opowiadaniu dziwnęj historii, w twarzy tyle uroku, w głosie takiego coś pociągającego, że słabą ją, nieco rozmarzoną i pieszczoszką poznając, nietylko nie ostygł dla nięj młody chłopak, ale się do nięj więcej przywiązał jeszcze. Ona tak potrzebowała opieki, tak wierzyła w to, że ma do nięj prawo! Słabostka odkryta łatwo zbliżyła tylko litością Leona do nięj, ideał szedł z piedestału, ale w większym jaśniał mu blasku.

Są w życiu takie pociągi niewytłómaczone dwóch pokrewnych

jestestw, których nie złamać nie może, choćby nie były wzajemne i sił nie czerpały we wspólnem poświęceniu; są namiętności niezbadane i niezwyciężone, a taką właśnie miłość, którą na pierwsze wejżnienie uczuł Leon dla Dosi. Teraz gdy bliżej go traf do niej przysunął, uczuł, że niżej od niego stała umysłem, że serce jej zajęte sobą, nie zdolne było może do nikogo się silniej przywiązać, ani zdobyć na wielkie poświęcenie — ale niezrażony tēm wszystkiēm, wpatrując się w nią coraz goręcej, rozplomieniał. Czuł, jak mu się zawracała głowa, jak panem siebie być przestawał, ale siły mu brakło, by się dźwignąć i otrząsnąć; oko Dosi widziało wrazenie i choć serce nie uderzyło ni razu, duma była polechtana, zwyczajstwo łatwe poilo jakiēms nieznanēm uczuciem rozkoszy.

Miłość Leona dla sieroty, w zarodzie swoim tēm niebezpieczniejszą była namiętnością, że nie cielesną, ale ozłoconą pragnieniem duszy nigdy nienasyconej, poetyczną i czystą, życie tēż pochłonać mogła. Całkiem inaczej poglądała Dosi na niego: czuła się panią, przywiązywało ją trochę litości, trochę wdzięczności, próżność i chęć panowania, serce jej pozostało uspięne. Są istoty, w których się ono nie odzywa, aż pociągnione szałem głowy, marzeniem, rozgrzaną falą wyobraźni, którym się czasem zdaje, że kochają, gdy w nich na klęczkach błagając niewolnik wymodli wzruszenia trochę, ale Bóg, stwarzając je na męczarnie dla drugich, potrójną miedzią pierś oteczył, wedle słów rzymskiego poety.

Chociaż Leon jest dla nas postacią podrzędną, którą w ciągu dalszym powieści stracić prawie z oczów musimy, kilka słów o nim zdaje się nam tu konieczne. Kora (tak się nazywał) wyszedł był niedawno ze szkół lubelskich, dziecię ubogich rodziców, którzy pracując w pocie czoła, żyli w małym miasteczku z urzędu, jaki ojciec Leona zajmował, zrazu nie mogli nawet i nie mieli o czēm syna na naukę oddawać, późno go tam posłali, i w dwudziestu kilku leciech ledwie je mógł skończyć. Ubóstwo nie dozwalało nawet myśleć o dalszēm jego kształceniu się w uniwersytecie; na to potrzeba było kosztów znacznych, a pięcioro w domu dzieci wyglądało powszedniego chleba, na których dwoje starych ledwie mogli zapracować. Leon prawie wszystko winien był sobie: pracował gorąco, i nie dla wyrobienia sobie przyszłości, chleba i grosza, ale dla wykształcenia wewnętrznego, którego zawczasu umiała zapragnąć jego dusza. Chwytał, pożerał, układał w sobie, co mógł gdzie zbierać, nocę spędzał bezsennie, uczył się, przeuczał i trudem ogromnym potrafił zastąpić niedostateczność środków wychowania. Szczęściem, choć śmiały i nie ułękniomy, porywał się z małemi zasoby na najpotężniejsze zawady, nie miał tego zarodku pychy

i zarozumiałości, który tyle wyższych umysłów przykuwa i zamyka w kole obłądu, nie dając im wyniść z niego. Umiał uznać omyłkę, gdy ją popełnił, poczuć swą słabość, wrócić gdy było potrzeba i iść dalej mimo trudności tysiąca. To poczucie ułomności ludzkiej w sobie, które nie każdy posiada, bo na niem zbywa czasem najsilniej uorganizowanym umysłem, było właśnie jednym z przymiotów świetniejszą przyszłość zapowiadających biednemu chłopcu. Nie zbywało mu przytém ani na pojętności, rozwiniętej potrzebą kształcenia się bez niczyjej pomocy, ani na rozsądku zimnym chwilami, który u niego był jednym z podrzędnych sług serca i fantazyi. Pojmował chłodno, ale czuł gorąco, umiał zniżyć w matematyczny świat prawd suchych, i zaraz potém wzleciéć imaginacją i sercem nad ich poziom daleko. W naturze jego, było tysiące sprzeczności, które się plątały w całość dziwnie bogatą i piękną, bo siła jakaś umiała je dobrać, wymierzyć i nie dać rozbijać temu, co pożerając resztę, uczyniłoby go na oko uderzającym może, a w istocie ułomniejszym i uboższym. Dla krótko téż widzących ludzi, Leon był istotą mierną, pojętną, zdolną, ale zimną, bo nigdy na harcie nie wychodził z tém, co sobie za najdroższe i najświętsze uważał, nie popisując się z czułością, którą osłaniał jak skarb największy, z fantazyą, której polot mógł jeden szyderski uśmiech zahamować;— zamykał w sobie, przez wstyd wrodzony, przez skromność jakaś dziewiczą, to coby nań oczy zwracać mogło. Ale nie był tak dalece panem siebie, by nigdy nie wyjść ze szranków, i gdy go uniosła poezya, człowiek, cierpienie, radość, stawał się istotą weale niezwykłą, pełną ognia, życia, nieogłędnie szczerą i wylaną.

Jak pracował i do czego doszedł tą pracą, ledwieby uwierzyć można, gdyby tysiące przykładów nie poświadczyły, że tu środki nie dają nigdy miary wywalczonych skutków, bo siła młodości i woli tak jest potężna, że łamie i zwalcza najtwardsze zapory, a zgaduje i przeczuwa ze słowa to, czego inni stojąc u krynicy, przez długie lata wyczerpnąć nie mogą. Ukształcenie Leona porównać było można do uzbiaranego przez ubogą wdowę snopka, na polu, z którego zboże sprzątniono, gdzieśniedzie gubiąc kłosa pomięte, — po okruszynie, po ziarnku, znosił biedny cierpliwie, wiadomości dopełniał, domyślał się, i w tym mozolnym trudzie, osiągnął najwyższego celu, to jest rozwinięcia umysłowego. Nauka nie przyszła mu łatwo, ale tego cō umiał, był panem, a nawyknięcie do rozumowania, pracy, odgadywania i łączenia wniosków, dało mu sprężystość umysłową, potęgę i odwagę, na jaką zleniwiwały gotową podawaną strawą nie zdobywa się uczeń, którego karmi rąk mnóstwo samą kwintesencją mądrości. Przeszedłszy szkoły, przeczytawszy książek tyle, ile ich tylko w okolicy gdzie znaleźć było można, nie gardząc świstkiem naj-

mniejszym i najlichszą odrobiną, Leonek uzbierał sobie zapas, w którym było i trochę śmiesznej starzyzny, i nie wszystko doborne, ale z nim już w świat dla dalszego kształcenia się puścić można było śmiało. Trafem dlań szczęśliwym, niedaleko od mieściny, w której rodzice jego siedzieli, w głuchym owym zakątku, zamieszkiwał na ustroniu od dawna niejaki hrabia de Tilly, cudzoziemskiego nazwiska, ale ducha naszego człowiek, urodzony z matki Polki i przywiązany do téj ziemi, na której się wychował. Ten poznawszy przypadkiem Leona, powziął dla niego sympatyę i był mu wielką do wyrobienia się pomocą, dostarczając książek, prostując poglądy zbyt żywe i absolutne, ucząc go sam nawet języków. U niego Leon przepędzając święta i wakacje, biorąc książki wskazane z obfitej biblioteki, czytając pod jego przewodnictwem co tylko dlań było dostępnem, odbył niejako kurs wyższy razem ze szkołami, które dla formy kończył, prześcigając plan ich, własną pracą. Hrabia Tilly był trochę dziwak, nie żonaty, bezdzietny, bogaty, ale skąpy; tłómaczył się przed sobą, że dla Leona nie powinien być czynić więcej, boby popsuł i przyszłość jego skompromitował, pomagał więc w nauce, ale worek trzymał zamknięty. Zresztą poznał on w nim może jednego z tych młodych ludzi, których rozwija walka i przeciwności, a pomyślność i spokój by uspiły; zrozumiał, że dobijanie się to było płodne choć trudne, i nie szczędząc rady, ani środków pomocniczych do wykształcenia, nie nie robił dlań takiego, coby mu chleb powszedni zapewnić mogło, jakby się braku jego nie domyślał.

Drażniąc Leona, stary przyjaciel powoli poddawał mu, co mógł, ostrząc ciekawość, zachęcając trudnościami do zwalczania, nie ułatwiając nazbyt nauki, budząc chęć do niej, a powtarzając często, że w człowieku *wyrobienie woli* więcej może warto, niż wiadomości i rozum, bo to jest najsilniejszą dźwignią, bez której ani nauka, ani talent, ani najpoczeiwsze chęci wyjść na jaw nie potrafią.

Leon bawiąc u pana Tilly, który go lubił i zapraszał, poczuł zarazem dwa w sobie rozwijające się popędy, do poezyi i sztuki. Poczęło mu się marzyć jakby zostać poetą i malarzem, a jedną miłością kochając sztuki wszystkie, byłby się może rzucił i ku muzyce, gdyby rozsądne uwagi pana Tilly nie powstrzymały go w porę.

— Nie będziesz — rzekł mu — ani poetą, ani malarzem, ani muzykiem dobrym, ale niespokojnym, roztargnionym dyletantem, co do niczego nie prowadzi. Sztuka, nauka, wszystko na świecie ma w sobie dwie strony, duchową, którą poczuć i przeczuć łatwo i przyswoić można, materyjalną na której opanowanie — bez czego niema mistrza — często życia braknie. Dlatego mnóstwo jest ludzi, co wybornie rozumieją sztukę, co kochać ją mogą, sądzić o niej potrafią, ale nie utworzyć nie są zdolni, znają oni wszystkie warunki, wiedza

tajemnice, mają pomysły, osnuwają łatwo plany, ale ręka zdradza ich w chwili porodzenia, i kończą lichym szkicem, ułomnym. Na opanowanie materyalne choćby jednej gałęzi sztuki życie jest ledwie wystarczającym, zwłaszcza że nie każdemu dana jest łatwość wylania myśli i uosobienia jej żywego, a daru tego niczem, nawet techniczną wprawą zastąpić niepodobna.

Pojawszy tę prawdę, którą tak wybornie maluje francuskie przysłowie: *qui trop embrasse, mal étreint*, Leon ograniczył się poezją i malarstwem, dwojgiem jeszcze, niestety — ale już z tej reszty, którą do serca przycisnął, nie mógł się nic wyrzec, nic odrzucić!... Że pan Tilly był znakomitym lubownikiem i znawcą, muóstwo dzieł sztuki miał u siebie, wzorów dostarczał i chłopcem kierował, Leon jak na takiego samouczka dziwne zrobił postępy. Walczył on jeszcze z trudnościami technicznymi, które musiał przewyciężać pracą i przeczcuciem, ale rysował dobrze, i smak wykształcił, znał wreszcie do siebie, że mu brakło wiele i wiedział, że powinien iść dalej. Tilly zapowiedział mu zgóry także, iż dwom panom służyć nie można, a kto się poświęca sztuce i chce skosztować rozkoszy, jakie ona daje, musi się wyrzec świata, mamony i skazać na ofiary. Z czystą więc myślą, ubłogosławioną poetycznymi zachwyty, szedł Leon na męczeństwo, byle zaznać świętych rozkoszy, jakie ono daje wybranym.

Zawczasu też rozumiejąc, że wydanie myśli jest ostatnim wyrobieniem się człowieka, który, by zostać artystą, musi wprzód całego siebie na godne natchnienia przerobić naczynie — Leon czytał i pracował, wypełniał się i podnosił, chcąc zarazem śpiewać usty i pędzlem nieskalanemi.

Zadanie było trudne, siły też nie małe, ale zawady do zwalczania wielkie — żyć musiał, wykształcić się, przyszłość zgotować, wyrobić stanowisko, podnieść tak, by stać godnym imienia artysty i natchnienia zgóry. Przyszłość jednak nie tak sobie wyobrażał, jak większa część jego braci, którzy chleb i grosz, spokój i swobodę mają na myśli; czuł, że nieuniknione tu ubóstwo, krwawy znój i męczarnie ducha, bo niemi tylko okupuje się dostojność kapłańska. Ze strachem i gotowością męczeństwa przystępował do przybytku.

W snach młodości każdy z nas sobie musiał wymarzyć ideały — ideał człowieka, który ma mu za wzór służyć, ideał kobiety anioła, i ideał świata, wedle serca swego; ale mało komu udało się siebie podnieść do prototypu, otoczyć się istotami wybranemi. i ujrzeć okiem na ziemi Beatryksę myśli, któraby do niebios poprowadziła, Beatryksę, której nie widzi jeszcze oko a serce przeczuwa, taką, jaką ją odmalował Dante:

Sovra candido vel cinta d'oliva
 Donna m'apparve sotto verde manto
 Vestita di color di fiamma viva.
 E lo spirito mio ch'a gia cotanto
 Tempo era stato, ch'a la sua presenza
 Non era di stupor tremando affranto;
 Senza de gli occhi aver piu conoscenza
 Per occulta vertu, che da lei mosse;
 D'antico amor senti la gran potenza...

(*Purgatorio. C. XXX.*).

Leon także śnił ideał-kobietę, piękną nad wszelki wyraz ziemski, czystą i świętą, a że przywykł wierzyć, że nie na ziemi nie przychodzi przypadkowo, ani być może obojętném, a każdy krok ma znaczenie, każda postać swe miejsce w życiu i wszystko jest nasieniem przyszłości, spotkanie Dosi przejęło go odrazu świętym strachem i nieopisaném uczuciem, bo w niej poznał jednę z postaci snów swoich. Pewien był, że ten ideał na progu życia umyślnie postawiła mu Opatrzność; dość było jednego wejrzenia, by go oczarować i spętać. W istocie, nigdy może sennie przecucie nie ziściło się silniej i dziwniej, nigdy wyobraźnia nie zesłała się tak z rzeczywistością; Leon przestraszony był prawie przypatrując się Dosi i postrzegając w niej wszystko, aż do najdrobniejszego rysu, tak podobném do swego ideału, jakby sam stworzył tę uroczą postać. Nie wiem, czy na innym stanowisku Dosa byłaby go tak zachwyciła, czy w świetnym stroju, postawiona wysoko, byłaby go pociągnęła tak ku sobie; ale biedna, cierpiąca, uboga, zapłakana wydała mu się uroczą jak marzenie. Nie myślał nawet walczyć z uczuciem, które nim owładło, tak je czuł silném, wielkiém i świętém.

Całą drogę przemarzył młody chłopak, patrząc na sierotę i dumając; teraz, gdy los mu pozwolił usłużyć jej, stać się potrzebnym, tém mocniej ugruntował się w przekonaniu, że nie traf jakiś, ale Opatrzność gotująca mu przyszłość, zbliżała ich do siebie.

Pierwsze kroki Leona, który poczynił myśleć o sobie, zawiodły go naturalnie do współtowarzyszów przysłych, ku młodemu artystycznemu światu. Wstęp do niego miał mu ułatwić niejaki Adam Prowacz, który parę miesięcy bawiąc na wsi u pana Tilly, poznawszy Leona, ofiarował mu się z chętną w mieście pomocą. Kora więc naprzód pobiegł, umieściwszy Dosię, szukać artysty, chcąc go się poradzić o zapisanie do szkoły i dalsze życiem rozporządzenie. Ale znaleźć pana Adama, mimo adresu, obcemu nie przyszło łatwo.

Na ulicy Freta, na trzeciem piętrze, w lichy izdebnie pod da-

chem, dopytał wreszcie wieśniak przyszłego towarzysza. Była godzina dziesiąta zrana, ale drzwi jeszcze zamknięte, a gdy do nich Leon zastukał, odryglował mu je ktoś całkiem nieznanym, okryty koldrą nakształt rzymskiej togi. Wszedłszy do izdebki, z zadziwieniem dowiadując się o nieznanym, musiał go szukać przybyły wśród leżących pokotem na podłodze kilku ichmościów.

Podniósł się okręcony jeszcze płaszczem i rozespany pan Adam, przetańcził oczy, wpatrzył w gościa i nierychło potrafił przypomnieć, kogo miał honor witać... Dwaj towarzysze podłogowi spozierali także na intruza, robiąc do siebie miny szyderskie.

— Nieskończenie cię przepraszam, kochany Leosiu — rzekł narazie gospodarz, wskazując mu ręką krzeselko, z którego zepchnął stos odzieży pomiętą i rozrzuconą w nieładzie — siadaj-no... Wczoraj po północy już powróciliśmy z Zielonego ogródka, prawdą a Bogiem podpici, zagadaliśmy się i Morfeusz zatrzymał nas przydługo w swoich objęciach, nie poradziwszy się podobno ratuszowego zegara. Mam honor panów wzajem sobie zaprezentować; to pan Jacek Żukiewicz, vulgo zwany Bawarczyk, w przyszłości Tycyan polski, co mu już Kucz, kochany redaktor Kuryerka, uroczyście zwiastował... drukowano czarno na białém... A to pan Henryk Zarbiński *cognominatus Suchoty*, dlatego, że je ma w kieszeni, w świecie dziennikarskim znany pod imieniem polskiego Canovy. Pierwszy z nich żółtgorąco odmalował tors żyda, rysunkiem godzien Michała-Anioła, a kolorytem Tycyana i Rubensa, co najmniej; drugi wyrzeźbił już do tej pory dwa kapitele do kolumn i jednego na grobowiec płaczącego anioła, nie licząc fajek, które z gliny robił, a które są areydziałami. A to... pan Leon... dalibóg już nie wiem nazwiska...

— Kora — odezwał się przybyły, na którym i ten nieład i te żarty przykre robiły wrażenie.

— Tak jest, Leon Kora — podchwycił z podłogi jeden — czyli Kora Leon, albo Karaleon... aspirant malarstwa! pysznie się nazywa, daj go katu, niby Koryolan... Nazwisko wyborne dla sławy i krótkie bez *ski*, brzmiące dobrze... szczęśliwy człowiek. Gdyby nie nadzieja w Kuczu, jak tu być sławnym, zowiąc się Zarbińskim, albo Przepiórkowskim?... Winszujemy!...

Przyszli towarzysze Leona poobwijani jeden w koldrę, drugi w płaszcz szaraczkowy, już tylko widać na ten użytek domowy służący i dobrze szarżany, popatrzyli na przybyłego i ochoczo śmiać się poczęli, kładąc znowu na poduszki.

— Cóż tam na wsi słyhać? — zapytał Adam — naturalnie ryk bydła i beczenie owiec?... nie więcej?...

Leon był tak zmieszany tonem, na jaki stroiła się rozmowa, że słowa odpowiedzi nie umiał; serce mu się czegoś ścisnęło.

— *O rus, quando te aspiciam!* — dodał z ziemi pan Jacek Żukiewicz.

— Patrzenie, musi mu ciągle odbijać się ta szkolna łacina — kiwając głową przerwał Henryk Suchoty — ktoby się to spodziewał! kiedy on to ją jadł, a do tej pory strawić nie może.

— Stara łacina, widzisz — sentencyonalnie dorzucił Adam — to jak stara słonina, do nieskończoności siedzi w człowieku... Ale wróćmy do gościa naszego ze wsi, który na nas patrzy zdumiony. Przychodniu! rzeknij, co myślisz począć z sobą?

— Właśnie chciałem się pana Adama poradzić.

— E! pana Adama — przerwał gospodarz — źle! gdzieś to widział, kochany Endymionie?

— Endymion, pochodzi od *Dymu, dulcis fumus...*

— Gdzieś widział, żeby artysta artystę panem nazywał?

— Przepraszam — odparł Leon — jeszcze w obyczaje waszego świata wtajemniczony nie jestem, ale mógłbym się obronić Dantem, który o pocie mówi:

Signor del altissimo canto...

— A! lichy Danta twego zrozumie.

— Darujcie.

— Darujemy, *hanc veniam damus petimusque* — dodał znowu wyjeżdżając z łaciną Tycyan.

— A wiesz, że łacina wyrzuciła dziś na ciebie, jak ospa — zawołał Adam — muszę ten fenomen wytłómaczyć gościowi, który gotów pomyśleć, że chorujesz na uczoność, i że między nami są pedanci.

— Ja mu to wytłómaczę — porywając się z ziemi podchwycił sam Tycyan. — Młodzieńcze naiwny, oto wiedz, że przez rok byłem w seminaryum, myśląc się oblec suknią żaloby, ale, że ten tryb życia wydał mi się zbyt surowym (bo nas postem i dyscypliną tużono), chwyciłem paletę, od tej pory łaciny i kaszlu pozbyć się nie mogę, a olej, który jeść miałem, rozmazuje.

— Widać bo w głowie go mało — szepnęły Suchoty.

— Z seminaryum i pragnienie nieugaszone wyniosłeś! — zawołał Adam.

— Wskutek kaszlu drapie mnie po gardle.

Mieszkanie, w którym się ta scena odbywała, równie jak lokatorowie jego, dziwnie się jakoś wydali Leonowi, który całę inaczęj wystawiał sobie żywot artysty, jego obyczaje i nastrój duchowny,

nie mogąc pojąć, by kapłanowi piękna wystarczały brudy i proza najpospolitszego szyderstwa, a żywiołem być miał nieład i opuszczenie dobrowolne. Widząc na wsi Adama Prowacza wesołym i pustym, sądził, że wyjątkowo, szczęśliwe usposobienie takim go czyni, podobała mu się nawet ta obojętność na wszystko i dziecinna prawie swawola, nie sądził jednak wcale, żeby ogół młodzieży sposobiał się na kapłanów sztuki, tak lekko potrzasał ubóstwem, które mu należało nosić z powagą — bolały go te żarciki, te przymuszone szyderstwa, a więcej jeszcze widok nieporządku, zaniedbania i charakterystycznego nieładu, wśród którego wytrwać można chwilę, ale żyć niepodobna nie zarażając się nim w duszy.

Dwie izdebki, zajmowane przez artystów, składały najośobliwsze pandemonium, świadczące, jakie tu się wiodło nieporządne i próżniacze życie. Na ścianach wisały wprawdzie rozliczne próby przyszłych mistrzów, pozaczynane płótna, poszkicowane głowy, studia, ale nie było skończonego, a praca, wnosząc z nich, nie musiała iść ani zbyt żywo, ani bardzo ochotnie.

Adam Prowacz, gospodarz tego poddasza naczelną, dobre chłopię i nie bez talentu, wpadłszy w gotową już atmosferę cygańskoburszowską artystycznego kółka, przyjął tryb jego życia i upodobał w nim sobie. Udarowany szczęśliwie, szkicował śmiało, rysował prawie dobrze, zgadywał bardzo wiele, ale jak inni nie lubił pracować, i nie brał się do roboty na seryo, chyba zmuszony, w ostateczności. Pomyśl nie go nie kosztował, rzut pierwszy był prawie zawsze szczęśliwy, ale gdy minęła chwila połysku natchnienia, gdy raz pędzle rzucił, rozpoczęte dzieło zostawało na sztalugach na długie dni i miesiące, a najczęściej dopełniał je, jako tako, aby zbyć. Ochotę wszelką i zapal do pracy zabijał ten sposób życia zbyt dziecinny, lekki i płochy, i choć na wzór starych włoskich, a nowych francuskich artystycznych bohemów wyrobiony, nieprzyzwoity ludziom, których zadaniem było to tylko widzieć w świetle i odtworzyć z niego, co było piękniejsze, szlachetniejsze, jaśniejsze... Możnaż pojąć cel sztuki, nieustanną żyjąc swobodą, w odurzeniu i szale szukając pociechy ubóstwa, niedostatku, często głodu i nędzy prawie? Nawet owoc cierpienia tego był stracony, wyrzucono go na śmieć.

Prowacz miał talent niezaprzeczony, ale sparaliżowany już w części lenistwem, lekceważeniem siebie, brakiem woli i panowaniem nad sobą. Dnie, a z niemi droga młodość leciały jedne po drugich na kpinkach, zabawkach, igraszkach, rozmowie zawsze drwiącej i ostudzającej, wśród gwaru, w towarzystwie podszarzanych piękności Szwajcarskiej Doliny i Zielonego Ogródka; od jutra do jutra odkła-

dano robotę... a dary boże, siła, młodość, świeżość marnowały się strwonione na bezmyślny szal dzienny.

Sierota i pan siebie, Prowacz mało się troszczył o jutro, niewiele dbał o przyszłość, a że nie miał o czém jechać za granicę, zawsze na ten niedostatek składał wszystkę winę, jak gdyby pracą usilną nawet widzenia arcydzieł nie można zastąpić, odgadnąć tradycyi i jasnowidzeniem ją pochwycić? Ta podróż była jego nieustanném marzeniem i żądzą jedyną, ale prawdę rzekłszy, nie nie czynił, aby ją sobie ułatwić. W duszy smutny i zwątpiały, bo ciągle rozproszenie ducha nic innego wyrodzić nie może nad znużenie i zubożenie wewnętrzne, Adam durzył się tak z innemi, ale sam-na-sam, czując się słabnącym i bezsilnym, rozpaczał i rozpacz znowu wiodła go do knajpy i ogródków. Towarzysze jego, ów Tycyan i Canova, panowie Jacek i Henryk, niewiele się odeń różnili: oba mieli mnóstwo dobrych przymiotów i zarodów talentu, ale rodzaj życia, wdziany jak mundur razem z zawodem artystycznym, do którego się niemal czuli obowiązani — zużywał ich młodość, odbierał im siły bezkorzystnie. Mniemane podniecanie natchnienia hulanką, żartami, młodzieńczem rozpasaniem, wiodło tylko do bezsilności i ostudzenia, do zwątpienia wkońcu o sobie. Gieniusz nawet potrzebuje pokarmu i musi pilnować swych skrzydeł, by mu piórami porosły, cóż dopiero talent, który zszarżany raz, kręcił się w ciasnym kółku powtarzanych próbek i przypomnień. Nawyknięcie do szyderstwa, lekceważenia świata i ludzi, do brania wszelkiego ze strony pociesznej i dziecinnej, choć na chwilę zabawia i upaja — powoli ostudza, wyziębła i niezdolnym czyni umysł do podźwignienia się czystszy, silniejszym natchnieniem. Kto się tarza, musi się nareszcie powalać. Zresztą sztuka nie jest tak łatwą, jak się zdaje: pochwycić kształty, użyć ich jako głosek do napisania myśli, nie dosyć jeszcze, gdy w pustej duszy myśli właśnie zabraknie, bo się jej pracą i wewnętrznym skupieniem ducha nie zasiało. Wieleż to artysta umieć musi, nauczyć się, poznać, żeby wszystko potrafił odtworzyć, nie powierzchownie i mniej więcej trafnie, ale z poczuciem charakteru i znaczenia. Niema prawie gałęzi nauk, którejby badać nie potrzebował, niema rodzaju studyów, któreby mu były zbyteczne; prawdziwie wielcy artyści, wszyscy byli jak Michał Anioł, Leonardo, Rubens, Rafael, ludźmi wielostronnemi, i pracowali życie całe na wypełnienie daru, który jest tylko nasionkiem...

Nieszczęściem, Rafael umarł Fornariną, a ta nieszczęśliwa piekarka więcej niż jego jednego zabiła... kto nie może być Rafaelem gieniuszem, chce nim być namiętnością przynajmniej!...

Wszystkie niemal szkółki artystyczne, jak uniwersytety niemieckie, zarażone zostały tém życiem bujnym, wyczerpującem siły mło-

dości, a jakżebyśmy naśladować nie mieli, co się gdzieindziej źle czy dobrze dzieje? Jacek, Henryk, Adam z wielą innymi raz skosztowawszy owego studenckiego żywota, utonęli w nim po uszy, biorąc je za żywioł artystyczny... Niekiedy przychodziły i na nich chwile upamiętania, popędy do pracy, ale to, co miało być prawidłem, stało się wyjątkiem, a rozrywka bardzo naturalna młodym, orzeźwiająca, gdy rzadka, zajmowała nie godziny wytchnienia i spoczynku, ale najlepszą część, najdroższą. — Dzień jeden próżniaczęj hulanki wiódł drugi za sobą, lata płynęły, Tycyan mógł zejść na malarza szylców, a Canova na prostego kamieniarza. Niewiele się zresztą troszczyli o to, nawykli już żartować ze wszystkiego i winę składać na ubóstwo i głupotę świata, co ich ocenić nie umiał.

Jacek codziennie pędził poobiednie godziny w ogródku przy bawarze, Canova w innym celu włócząc się po górach i dolinach, skąd dolatywały dźwięki muzyki i migały kapelusiki kobiece.

— Tandem, szanowny kolego *in ovo* (to mi przypomina jajecznicę i młodość) — rzekł wzdychając Jacek — cóż tedy myślisz?...

— To i *ovo* — odparł Adam.

— Co myślisz robić?... — kończył Jacek — historie, rodzajowe obrazy (*generis neutrius*), krajobrazy na pogwałcenie Claude Lorrain'a, świętości, portrety, karykatury, czy buty?...

— Zdaje mi się — odparł Prowacz — że kawaler na historyczne go malarza się sposobi...

— *Sed quid tentare nocebit! vocatur ad alta!* — zawołał Jacek poważnie — ho! ho!

— A dajże ty pokój tój łacinie, bo ci w łeb dam butem — ofuknęła Canova.

— Pozwól mu się trochę pochwalić przed cudzoziemcem! — rzekł Prowacz.

— Niech się chwali, prawda, nie daleko też zajędzie, bo już w worku nie ma nic — począł rzeźbiarz — niech sypie! zobaczymy...

— Na dowód, że kłamiesz, oszczerczo, czekaj — krzyknął Jacek i zaśpiewał na całe gardło burszowską pieśń:

Gaudeamus igitur, juvenes dum sumus,
Post jucundam juventutem,
Post...

— A ha! post!... to zrozumiałem, u nas zawsze post!... masz racją śpiewać o nim! — rzekł Canova.

— *Nos habebit humus!*

— *Nos habebit humus!* — dokończył Tycyan. — Cała rzecz — dodał wyśpiewujący odchrząkując — że ten bestya *turbator chori*, Ca-

nova, nie rozumie po łacinie, i zazdrość porywa go w swe szpony jastrzębie, dlatego nie daje mi się popisywać...

— Jakto? nie rozumiem!... — podchwycił Henryk — *post*, zrozumiałem, *chory*, także wiem, bom nie zdrów, *turbator* podobnie, zresztą nikt mi nie dowiedzie, żeby do rzeźbiarstwa potrzebna była łacina...

— Wpadłeś w matnię — rzekł Adam — właśnie, że nie bez niej wyrzeźbić nie potrafisz, bóstwa łacińskie, święci łacińscy, allegorye łacińskie...

— A jak ja to wszystko precz odrzucę i pocznę rznąć z gliny i kamienia chłopów i baby...

— A toż co? do miliona trzysta pięćdziesięciu dwóch dyabłów! — przerwał Tycyan — już mi się myślicie puszczać w teorię na czezo!... Teorya zużywa człowieka do nitki, a i tak, amfitryonie szalowny, żołądek się dopomina...

Leon słuchał osłupiały.

— Po niemiecku — odezwał się Adam — wstaniemy, ubierzemy się, i każdy z nas pójdzie...

— *Sumptu proprio* — rzekł Jacek — rozumiem, ale gdyby nam choć kawy, czy cykoryi niewinnej z dołu przyniosła Ludka...

— Jemu się Ludki chee, nie kawy!... — zawołał Canova — ale z tego nic nie będzie!... Kiedyżeś ty pił kawę? Kawa to trunek kobiet otyłych, starych księży, smarkaczów, co kozuszki lubią, ludzi statecznych i nałogowych, porządnych i tyjących — ty nie masz kwalifikacyi...

— Pleciesz... ten oto Endymion Koryolan, przybyły ze wsi, zawiął mnie powietrzem Arkadyi, które przyniósł z sobą w kieszeni... więc kawa niech wieś nam przypomni... *Rura canamus*.

— O! rura! — powtórzył Henryk — rura! rura!...

— Chodzi o to — dokończył Jacek — by na dole dać sygnał, a przyniesionoby kawę tu na strych... Ludka-by nie odmówiła, zawsze rada zobaczyć przyjaciół, choć w stanie natury...

— A bez chustek na szyi i rękawiczek, godziż się to niewinne dziewczę przyjmować? — poddał Adam.

— *Casus conscientiae!* — wrzucił Tycyan — ja gotówem włożyć chustkę na głowę, dla przyzwoitości, bom nie uczesany.

— A ja pantofle — dodał Canova.

— No, to ja skarpetki — rzekł gospodarz.

— A przybyły kolega, zawczasu ucząc się być posłem, co go jak Rubensa spotkać może, zejdzie na dół i zamówi dla wszystkich obfitą kawę z bułkami.

— I po kieliszku szpagatu!... — dodał Tycyan — po jednym, kawa może znudzić, bywały przykłady...

Leon wstał, ofiarując się chętnie zamówić kawę na dole, ale zarazem przeprosił ich, że interes pilny zmusza go odejść, obiecując drugą razą zabawić dłużej.

— Słuchaj-że — zawołał przy pożegnaniu Prowacz — żart żartem, rachować możesz na nas, głowy jak głowy, ale serca poczciwe i braterskie...

Leon zszedł w ulicę jak upojony tą próbką artystycznego świata bez powagi, dzieciinniałego — zrobiło mu się smutno, jak gdyby na chorych lub obłąkanych popatrzal, otrząsł się i długo przyjsię do siebie nie umiał.

— Do czego to prowadzi? jest-li to atmosfera, w której żyć przystało i zdrowo artyście? — ja czy oni jesteśmy w błędzie? Może ich pojąć nie umiem? ale to mi się wydaje powolném samobójstwem, po którym wyżyje może kilku, nikt jednak bez kalectwa nie wyjdzie.

Już nad wieczorem tego dnia, o zmierzchu, potrzebując powietrza i przechadzki, Leon wyszedł w bliskie aleje, których cień i zieloność wabiły go wsi przypomnieniem; ale w nich ani świeżości wsi, ani jęj ludzi, ani spokoju nie znalazł młody chłopak, otoczony pyłem, wrzawą, zmieszaniem dźwiękami muzyki dolatującej z ogródków z wyziewem piwa i ponczu, cygar i papierosów. I tu jeszcze było miasto, orzeźwiająca się niby chłodem i kąpiące w zieleni, po zadusze murów i pyłe ulicznym... ale kątką z ciszą i świeżością nie mógł odkryć nigdzie... Zaledwie kilka uszedłszy kroków, spotkał się z rannemi swemi znajomemi, Adamem i Jackiem Tycyanem, którzy prowadzili się pod ręce, z cygarami w ustach idąc powoli ku Szwajcarskiej Dolinie; za nimi o kilka kroków pozostały Henryk ścigał jakąś sehludnie ubraną panienkę, która niby gniewając się nań, unikała go, ale zarazem wejrzeniem dawała do zrozumienia, że jęj się wcale prześladowanie nie przykrzyło.

— Leonie, Leonie, Koryolanie! aha! łapiemy cię, wieśniaku — zawołał Prowacz.

— *In flagranti delicto!* — dodał Tycyan, zawsze rad wyjechać z seminaryjską swą lacią — suniesz, braciszku, po owoc zakazany do ogródka...

— A! nie! szukam wsi i znaleźć jęj nie mogę...

— Bo ci się niewiedzieć czego zachciewa — odparł Adam — w mieście jest miasto, ale za to życie tu i dyable życie! ot! chodź z nami — dodał — na dolinę Chamouni... miejsce bardzo przyzwoite, Henryk ci będzie ciceronował i po imieniu a nazwisku da poznać mieszkańców tęj Szwajcaryi, w której sera nie robią, ale poncz

wyborny! Pozawiażujesz znajomości, zabawisz się, muzyczka piłuje oberka... towarzystwo wyborne...

Leon uśmiechnął się.

— Czy wolno mi mówić otwarcie z wami? — zapytał.

— *Audiat et altera pars* — dorzucił Jacek — będzie opozycya, czuję przez skórę, mów, parafianinie...

— Przy pierwszej znajomości, wiem, że to dziko brzmić będzie, ale wam powiem szczerze... dla artystów nie pojmuję takiego życia...

— Jakiego życia?... — spytał Adam.

— *Jucunda juvenus* przecie po łacinie powiedziano — dodał Jacek — mów kazanie jednakże, dam ci tekst ze świętego Pawła, byleś dobre powiedział... mów... posłuchamy!...

— Wieczne żarty, śmiech i zabawa, jak się wam to nie uprzykrzy... ja nie pojmuję — rzekł Leon — jak wam to wystarcza? jak wyżyć tém możecie?... powiedzcie. Kiedyż godzina pracy, zastanowienia... surowszych rozmyślań?...

— Godzina ta na ratuszu dla nas nie wybiła jeszcze — rzekł Jacek — ale, kochanie moje, Koryolanie szanowny, widzę, że doprawdy nudny jesteś, i myślisz, że artysta chodzić powinien w żalobie po ideale czy co? My się za nim w arlekińskiej szacie ubiegamy... i po wszystkim...

— Ale czyż może być wiekuistym karnawał?... Artysta jest kapłanem.

— *Nego majorem* — podchwycił Tyceyan — artysta jest artystą, to jest całą gębą człowiekiem, a nie żadnym mnichem, musi tak poznać świat, żeby mu aż bokiem wylaził, musi widzieć, spróbować wszystkiego...

— Pojąć, przeczuć, widzieć, ale na cóż próbować i brukać się dobrowolnie?... Artysta nie zniża się dla nasyceńcia pragnienia do kałuży, z których gmin pije; goni za ideałem, stwarza go nie na płótnie tylko, ale sobą i życiem swoim... Nim obrazy potrafi, siebie musi wprzód... wywieść z nicości.

— Skutek blekotu — rzekł Jacek — musiał zażądać pasternaku w traktyerze, i dali mu niewinnemu... kochanie, napij się ponczu, a to ci przejdzie...

Leon uśmiechnął się smutnie i spuścił głowę...

— Gadał, gadał, to cię uleczy... — dodał Adam.

— Cóż wam powiem więcej, jabym tak żyć nie potrafił i wstydział... w tej hulance tak prozaicznej i powszedniej straciłbym szacunek dla siebie i ochotę do życia... wolę smutną przechadzkę i dumanie...

— Stworzony jesteś na mówcę i misyonarza — przerwał Ty-

cyan — chybiłeś powołania... ale nas starych i twardych jak nagniotki już nie przerobisz! my sobie lubimy młodość, wódkę, arak, trochę grzechu jaki maleńki, dziewczęta, wesołość, kpiny i próżnowanie... *nostra culpa*.

— A sztukę?... — podchwycił Leon.

— No! i sztukę, której potrosze jest w tém wszystkiém... — rozśmiał się Jacek — chodź do ogródka, anachoreto, ujrzysz, upijesz się, i zostaniesz nawrócony, albo się wywrócisz, co na jedno wychodzi...

Leon cofnął się chłodno.

— Nie... — rzekł — pozwólcie mi zostać sobą, z moją śmieszną dla was powagą, odosobnieniem i smutkiem; to mnie nie bawi, ale mężczy, a życia żałuję...

— *Ars longa, vita brevis*, powiadasz — zawołał Jacek podnosząc rękę — stara maksyma, *ars brevis, vita longa*, życie długie, a sztuka w nim chwila, jakby przyszło życie dać dla sztuki, niech ją siota porwie...

— Widzicie, jak się różnimy w przekonaniach: ja chcę dać żywot za sztukę i wymodlić natchnienie... nie zrozumiemy się więc podobno... Po tych chwilach dumań, modlitwy, pracy nie zostanie mi ani zgryzota, ani usta spalone, ani żaden męt na dzie serca...

— Gadaj nie gadaj — przerwał Adam — Jacka nie przekonasz, na to on Jacek... wiesz, że od wieków udziałem artystów szaleństwo. Hoffmann pił, Brouwer pił, pili Holendrzy, szaleli Włosi, durzyli się Francuzi, dziś burszują jeszcze wszystkie, a myż to co gorszego od nich?

— Ja sędzę, że lepsi być powinniśmy, i dlatego nie chcę ich burzostwa — zawołał Leon.

— Rafael umarł z Fornaryny...

— A wielu ich się zapilo! — podchwycił Adam i Jacek.

— Tém gorzej... — rzekł Leon rozgrzewając się. — Wiecie to tylko o nich, co świat, stary oszezerca, powtórzył, złe zawsze chętniej od dobrego roznosząc... a nie domyślacie się, ile chwil spędzili oni na rozmyślaniu, studyach, surowej pracy i tęsknocie niebiańskiej. Po każdym życiu, jak po przebiegłym strumieniu, najdłużej stoją szumowiny, kamienie i śmiecie, a ludzie patrząc na nie powiadają sobie, że samo błoto niósł strumień... Lepsze się zapomina, gorsze na wstyd i upokorzenie przeżywa, by się drudzy ze swego grzechu wymawiali cudzą winą... Ot! chodźcie lepij — dodał w pola zielone ze mną, do lasów, przyjrzyć się światu, w ciszy zapatrzeć się w dzieło boże... weźmiemy książki, ołówki...

Jacek w tém miejscu zbliżył się do Leona, patryarchalnie ujął go za głowę, i pocałował w czoło poważnie.

— Serce moje — rzekł — jesteś już drobinę waryat, ale uczeiwy; życzę ci użycia hydropaty, kiedy ani oenopatya, ani gynopatya nie w smak... bywaj zdrów, i pisuj do nas na Berdyczów...

— Ślizie — dodał Adam — patetycznie i pompatycznie; ale ten twój zapal lubelsko-podolski nie potrwa długo; każdy z nas poczynal od tych bujnych fantazyj i słów wielkich, aż gdy życie dopiekło, a chleba powszedniego zabrakło, musiał z rozpaczy uciec się do...

— Wódki powszedniej... — dodał Jacek. — Tak, młodzieńcze Koryolanie, pochódź sobie po chłodném powietrzu, ostudź, namyśl, a jeśli ci się zechce potem zejść do nas na tę dolinę, która nie jest płaczu padolem, zabawisz się uczeiwie... poznamy cię z Kozaczką... z Dromaderem, z Filutką, z Myszką, z Liszką... i przekonasz się, że to dyabły wielone...

— Wołałbym aniołów... — szepnął Leon.

— Anioły, widzisz — dodał Jacek seryo — zawsze są z kamienia, jak się o tém przekonać możesz na Henryku, który robiąc anioły na nrząd, jednak woli dyabły na codzień... Anioły po większej części niedorosłe dzieciaki lub chude czterastoletnie wyrostki, na co nam to...

Leon uśmiechnął się i westchnął razem.

— Dzieciaku — rzekł nieco poważniej Adam — i nasze życie nie w samych upływa rozkoszach, i my pracujemy ciężko, ale brzemienia wciąż dźwigać nie można.

— Podwajacie więc ciężar jego?

— Dość tego; ty nas nie przekonasz, a ciebie przekona życie, spóznimy się tylko z twojej łaski do ogródka, gdzie nas już Henryk z Liszką wyprzedzili. Spójrz-no stąd, jaka kibić, coby to był za wzór!

— Na Frynę? — spytał Leon pogardliwie.

— Ba! właśnie, że na niewinnego dzieciaka, choć tam już jednej kropli krwi czystej niema w tém dziewczęciu! Ale zdaleka, gdy się ułoży, wzięłbyś ją za świętość samą, tak umiść przybrać wyraz anielski, choć pije wódkę jak grenadyer, pali fajkę jak bursz i klnie jak przekupka.

— I za taką istotą biedz może artysta! — rzekł Leon.

— Dlaczegoż nie? w te rysy zszarżane tchnie twórczą ręką niewinność, życie, duszę, a na płótnie utworzy z nich anioła, musimy przecie lepić z gliny!

— Ale skąd dobędziecie ducha gasząc go w sobie?

— Dobędziemy go — zawołał Jacek żywo — z wódki, wina, ponczu, i bodaj szpagatu nr. 4, ot, nie bałamuć i chodźmy.

Podali dłonie Leonowi, który już miał zwrócić się w aleje, gdy

spojrzawszy przed siebie przypadkiem, zadrzał, pobladł, cofnął się, zmieszał i stanął jak wryty; artyści widzieli tylko trzy kobiety, które się prześliznęły przed nimi wchodząc na Dolinę, oka ich nie uszła zmiana Leona, i zdziwieni, nie umieli sobie wytłumaczyć, gdy ze spuszczoną głową, jak winowajca powłókl się za nimi do ogródka. Jacek pocałował go powtórnie i potrzecie, zawstydzonego i ścisnąc go zawołał:

— Dobra natura! ǳa się wykształcić! jedném zerknięciem już go jakaś Lais pociągnęła jak sznurkiem. Otóż to tobie, chłopcze, kazanie!

Leon nie tłumaczył się, nie mógł, w istocie spostrzegł Dosię w towarzystwie dwóch jakichś strojnych panienek, i nie wiedząc co to znaczy, musiał powlec się za nią.

Cofnąć się musimy o dni parę, by zjawienie się sieroty naszój w takim towarzystwie, zrozumieć.

Wracali już z nadaremnej wyprawy swój hrabia Tytus i kapitan Rybacki, gdy ostatni, sięgnąwszy po cygarnicę, znalazł ją pustą i — jak to czasem mało potrzeba, żeby myśl obudzić! — trafił na jakąś promienistą ideę, uśmiechając się i klaszcząc w ręce z radości.

— Otóż jestem w domu! — zawołał.

— No, cóż takiego — spytał posmutniały hrabia.

— Hrabio! każesz stanąć przed sklepikiem Marmuszek — rzekł Rybacki trąc ręce — powiadam ci, jestem w domu! znalazłem! odkryłem sposób, niechybny.

— Cóżes to za sposób znalazł? mów! jeśli tak skuteczny jak pierwsze.

— Pewniuteńki, jedźmy tylko do Marmuszek, one są w stosunkach z całym światem, potrafią wynaléć jejmościankę i do siebie ją przywabić.

Hrabia podumał trochę.

— Dobra myśl — rzekł — choć to nie lubię tych dziewcząt i wolałbym, ale, jeśli inaczej nie można...

— Do dystrybucyi Marmuszek! — zawołał na furmana.

Trzy siostry Marmuszki trzymały naówezas sklepik tytoniu i cygar naprzeciw teatru, ale ten ich handelek był tylko zabawką i sposobem przynęcenia gości; w istocie, polowały na młodzież, trzpiocąc się wesoło i nie oglądając na nie.

Wszystkie trzy, nie wyjmując nawet najstarszój już powoli prze-

kwitającej, były ładne dziewczęta, czarnookie, czarnobrewne, zręczne, opętane, wesołe i śmiałe, a umiejące się podobać szczególnież starszym wygom, którzy pod pozorem tabaczki, jak młodzi niby dla cygar, dystrybucyę od rana do nocy napelniali. Maleńki ich sklepik, zastawiony po większej części próżnemi pudełkami i paczkami, nie tyle sprzedawał tytoniu, ile miewał gości, a najpodlejsze papierosy, z rączek ładnych panienek uchodziły za havanę. Tytoń był tylko szyldem i pozorem, a ci co nie nie smalili prócz cholewek, wlekli się tu ciągnieni rozlegającemi daleko wesołemi śmiczhami i wrzawą. Królowała za stołem najstarsza z trzech sióstr Lola, już nieco przywidła, ale jeszcze przy świecach, gdy się wystroiła, dość wabna, na młodzież umiejąca połować wybornie, zręczna jak szatan, wiedząca gdzie i jak uderzyć, odgrywająca z równym talentem niewinność i zepsucie, miłość i cynizm najostateczniejszy. Ona to wszedłszy pierwsza na wesołą drogę, poprowadziła za sobą siostry, z których średnia Karolka, już była wtajemniczoną i tryumfalny pochód poczęła z pułkownikiem gwardyi, a najmłodsza jeszcze się niebardzo pokazywała, i trzymana była w odwodzie. Dystrybucya téż Loli nie pustowała nigdy, zawsze w niej było gości pełno, pogadanka ciągła, chichoty, szepoty i wykradanie się do przyległego pokoiku panienek nie ustawały do późna, słowem, żaden może sklep tak nie był uczęszczany, jak panien Marmuszek. Wojskowi, bogatsza młodzież, starzy eleganci, łyśi ichmościowie, których wiek rozumu ani wstydu nie nauczył, nieopatrzne młokosy, nieustannie mieniali się przed stołem Loli, uśmiechając się wszystkim, zaczepiając słówkiem i niedozwalając się targować. Jeżeli najstarsza z pań była zajęta, że średnia występowała w balecie i nie siadywała w sklepie, na miejsce gospodyni, starano się mieć zawsze jaką świeżą piękność, którą wdrażano do życia, i uczono handlu. Najczęściej litościwa Lola brała z ulicy napatrzonego wyrostka, i sama już zajmowała się jego wychowaniem i dalszą karyerą. Głową domu była oczywiście najstarsza z sióstr, bez dowcipu, bez nadzwyczajnych zdolności, przewrotnością i instynktem jakimś zastępująca wszystko, czego jęj brakło, zimna, nielitościwa, zepsuta a chytra jak szatan wcielony. Tę już o nie więcej prócz grosza nie chodziło, darła, chowała, skąpiła, zbierała, i zużyta przedwczesnie, pamiętała tylko o wyrobieniu sobie niezależności, kosztem siostry nawet, a w słowniku jęj nie było nawet wyrazu: sumienie; gryzła ją, gdy złego nie zrobiła tyle, ile chciała.

Marmuszki w tęg chwili właśnie nie miały w sklepie pomocnicy, i Lola szukała świeżej przynęty, bo sama coraz bardziej blaknąc, ledwie wieczorem jeszcze resztką wdzięków świeciła, siostry

zaś powoli wylamywały się z jej władzy i chciały iść na chleb własny; nawet najmłodszą trudno jej było utrzymać.

W chwili gdy przede drzwiami sklepiku zatrzymał się powóz hrabiego, pomimo dość rannej godziny, dolatywały zeń wesołe śmiechy i żwawo prowadzona rozmowa. Staruszek jakiś, łysy jak pięta, ale wyprostowany i sztywny, w progu drzwi do drugiego pokoiku, rozmawiał z Karolką, średnią Marmuszką, zaglądając chciwie po-za nią, czy nie zobaczy najmłodszą, i oficer od huzarów z zaledwie wysypującym się wąsikiem, przechylony na stole ku Loli, zapalczywie ją jadł młodemi oczyma, na co ona odpowiadała żywymi śmiechy i mnóstwem zużytych konceptów. Na tę scenę weszli hrabia i kapitan Rybacki, ale to był tak słabo narysowany obrazek, tak pospolity, że nie zwrócił wcale ich uwagi; staruszek tylko żywo zażądał makuby, a huzar cygar, po które wyciągając rękę, trafił na łapkę Loli i zamiast havany ją zatrzymał.

— Dzień dobry! — rzekł kapitan wchodząc.

— Pudełko Victorii — dodał hrabia poważnie.

— I słóweczko, Lolu serce — szepnął Rybacki z cicha.

— Natychmiast, Victoria, oto pan ma je, jestem tak zajęta, może i panu ze dwieście? — zapytała huzara.

— Choć tysiąc! — zawołał z zapalem.

— Tysiąc, biorę za słowo, natychmiast — krzątała się udając młodocia Lola — Makuba, dla pana zaraz, Karolku, wyręcz mnie, przyniosę temu panu cygara!

I wysliznęła się z kapitanem Rybackim do drugiego pokoju. Huzar tymczasem począł chichotać z Karolką, staruszek niby się niecierpliwie, hrabia bębnił po szybie palcami.

Jaka tam była narada kapitana z dostojną dystrybutorką tytoniu, nie wiemy; skutkiem jej jednak zapewne, tegoż dnia wieczorem Dosia, samotnie siedząca w swojej izdebce, niespodzianie spotkały odwiedziny. W kobiecie, która po cichu przesunęła się po wschodach kamienicy Starego Miasta, trudno było poznać ranniejszą Lolę, zmienioną do niepoznania.

Ciemno i skromnie ubrana, dosyć bojaźliwym krokiem weszła do mieszkania sieroty nieznajoma jej pani, której strój, twarz, obejście zdawały się zapowiadać coś z lepszego i wyższego świata. Dosia, która spodziewała się i wierzyła w cud jakiś, zrazu pomyślniejszy, że ten ktoś wszedł do niej omyłką, gdy się przekonała z wymówionego nazwiska, że odwiedziny jej się tyczyły, wróciła do upartych marzeń i serce jej zabiło gwałtownie. Lola miała miłą protekcyjonalną, łagodną, dobroduszną i smutną.

Z wielką uwagą wpatrzyła się w twarzyczkę sieroty, westchnęła, i biorąc ją za rękę, odezwała się powoli:

— Nie będę się pani tłumaczyć, jak dziwnym zbiegiem okoliczności uwiadomioną zostałam o jej położeniu smutném... nie mam nawet prawa być zbyt szczerą; dosyć że znam przykre osamotnienie jej i sieroctwo, i radabym na nie zaradzić.

— Prawdziwie — odezwała się Dosia — nie umiem wyrazów znaleźć na podziękowanie.

— Naprzód proszę mi nie dziękować wcale, dobry uczynek sam się wypłaca wewnętrzną pociechą... zresztą pani tak zasługujesz na współczucie... Ja także — dodała — doznałam przeciwnych losów i umiem pojąć cudze cierpienie, mierząc je mojem własnem... Niegdyś majątni bardzo, straciliśmy nie naszą winą dobra znaczne i położenie towarzyskie; musimy dorabiać się chleba i imienia na nowo... zostałam sama z dwoma młodszemi siostrami na bruku, i gdyby nie litościwa pomoc pocziwych ludzi, którzy mi mały nastreczyli handelek i dali środki prowadzenia go... nie wiem, coby z nami było. Dziś już mam tę pociechę, że własną pracą dobiłam się niezależności... Ale nawzajem powiedz-że mi pani... jak się to stało?

Dosia, której się zdawało, że ta opatrność *ex machina* powinna była doskonale znać jej historię, zdziwiła się słysząc pytanie; nie chcąc jednak wyjść ze złudzeń, wytłumaczyła to sobie, jako próbę, którą szczerości jej zadać chciało, i poczęła opowiadać całe dzieje swoje.

Lola słuchała z uwagą, wzdychając, podnosząc oczy do góry, załamując ręce i doskonale wygrywając współczucie, a wśród tego opowiadania nie przestawała oglądać dziewczęciami okiem znawczyni, w skutek przeglądu stając się coraz czulszą i serdeczniejszą...

Gdy przyszło do projektów na przyszłość, gość się uśmiechnął z politowaniem.

— Nie sądzę pani — zawołała zbliżając się do niej — żeby młodej osobie łatwo tu było znaleźć pracę w Warszawie, uczciwą służbę, zajęcie jakiegokolwiek... będąc nieznajomą i bez opieki. Dzięki Bogu, że dziwny traf stawi mnie w możności przybycia jej w pomoc... ale potrzeba rozmyśleć się dobrze, rozpatrzyć... Później znajdziemy coś i naradzimy się z sobą... nie należy się śpieszyć...

Z tego poważnego mentorskiego tonu Lola przeszła na swobodniejszy nieco, usiłowała rozweselić Dosię i pozyskać ją najprostszym ale niechybnym zawsze środkiem, pochlebstwem...

Oświadczyła się jej z przyjaźnią, z sympatją niepomahowaną, potakiwała umiejętnie, unosiła się nad jej nieszczęściem i pięknoscią, tak, że w krótkim przeciągu czasu zjednała sobie i wiarę i przychylność. Bawiła więcćj godziny, wysliznęła się tajemniczo

potem i zostawiła sierotę rozmarzoną, wesolą, promieniejącą. Nazajutrz rano poszły razem do kościoła, gdyż nieznajoma pani bardzo zdawała się pobożną; wieczorem przyprowadziła siostrę najmłodszą i razem wyszły na przechadzkę, wśród której u wnijscia Szwajcarskiej Doliny spotkał ich właściciel Leon, przestraszony tym widokiem, ciągnąc się mimowoli za niespodzianie ujrzaną gwiazdą swoją.

Szwajcarska Dolina jest ciasnym ogródkiem, w którym spotykają się jak na terytoryum neutralném najdalej od siebie na świecie stojące postacie: artyści, gazeciarze, młodzież, panie bardzo przyzwoite i nienajprzyzwoitsze, włóczęgi miejskie, wojskowi, wielcy panowie, przybyli do miasta wieśniacy, słowem wszystkiego po trosze. Muzyka gra w środku, kilką uliczkami przechadzają się panie i panowie, przy rozstawionych stolikach podwieczorkują niekiedy, inni na krzesłach pod domkiem palą cygara i papierosy: śmiechy, rozmowy, ukłony, przeglądy osób płynących jak różnobarwna fala drożyną środkową... oto maluczki obrazek ogródka, w którym się spędza godzina po miejsku, w gwarze i tłumie. Drzewek tu niewiele, miejsca oszczędne, zieloność biedna, powietrza skąpo, ale ludzi zawsze dosyć i ruch nad wieczorem nieustanny, wieczorem bowiem dopiero budzi się dolina do życia, które czasem długo w noc się przeciąga.

Codzienni goście znają się tu wszyscy doskonale, wiedzą stosunki i dla nich niema tajemnic; każdy przybylec natychmiast ich uderza, gdyż najczęściej towarzystwo tutejsze składa się z osób przywykłych i przychodzących co wieczora. Ukazanie się nowej twarzy nie przechodzi obojętnie, szczególnież kobiecej, a czasem obudza niepohamowaną ciekawość, która zresztą łatwo się w takich razach jakoś zaspokoić daje.

Tego dnia zjawienie się panien Marmuszek, całemu znajomych miastu, byłoby przeszło niepostrzeżone, gdyby im nie towarzyszyła Dosia, która dwa razy z nimi okrążywszy ogródek, stała się celem ciekawości wszystkich mężczyzn i zwróciła na siebie uwagę nadzwyczajną pięknoscią swoją. Panowie powstawali z krzesel, poczęli się kupić, szeptać, zastępować drogę, dowiadywać, niepokoić; sierota obudziła entuzjazm i zachwycenie, które choć znacznie ostudzone tém, że ją prowadziły Marmuszki, objawiło się jednak w sposób wiele znaczący. Nie mogła nie dostrzedz tego Dosia, zrazu onieśmielona tłumem i wrzawą, w które pierwszy raz w życiu wpadła, podniosła się jej pierś, uderzyło serce, zarumieniła twarz i rozkoszne uczucie spotęgowało jeszcze jej piękność już i tak blaskiem swym gaszącą najwdzięczniejsze kwiaty Szwajcarskiej Doliny.

— Kto to jest?

— Co za jedna? kiedy przybyła? — Kto taki? — szeptano i pytano dokoła, a że protekcyja Marmuszek dozwalała być śmiało i trochę nawet natrętnie, zaglądano pod kapelusz, przybliżano się, zaczęto wykrzykiwano, ścisłano ze wszystkich stron, tak, że w końcu ten hałas, obłęzenie, natręctwo, wytrzymującą dotąd Dosię zaczęły niepokoić, chciała wynisnąć, uciec, schować się... Tymczasem nasi artyści wszedłszy za nimi do ogródka z Leonem, którego twarz pałała, nielitościwie żartowali sobie z niego, i z wyboru jaki uczynił.

Wieśniak zatrzymał się w kątku, zrozpaczony niemal i jak posąg stojąc nieruchomy, nie zważał na żarty ich, nie odpowiadał na pytania, kamienny, boleścią wewnętrzną przejęty, nieprzytomny... Okiem śledził Dosię, która widząc go nie chciała mu dać poznać, że go postrzegła i odwracała się przechodząc blisko, drżał, słabnął. Stan jego wzbudził nareszcie litość w Adamie, który seryo dopytywać począł, co mu się stało, domyślając się jakiegoś tajemnicy; ale Leon nie odpowiedział nic, tak był w sobie cały i niebezpieczeństwem sieroty zajęty, nie umiając zdać sprawy z jej zjawienia się w takim towarzystwie i miejscu.

Nie znał on kobiet, z którymi przyszła, ale wykrzykniki sąsiadów dały mu się domyślać, co to były za jedne; zresztą nieco doświadczeńszy, po ich stroju i ruchach, po rzucanych wejrzeniach, po sposobie, w jaki się z nimi obchodzili tu goście, poznawał, do jak niskiej w społeczności należały klasy.

— Marmuszki! Marmuszki! — wołano koło niego — a! te..., z tego sklepiku! wiem, średnia w balacie, starsza prawie dosłużyła się emerytury, najmłodsza jeszcze na nauce domowej!

I gdybyż tylko tyle posłyszał Leon, ale było tam i więcej, i obszerniej i surowiej o tych paniach. Naprawdę Lola udawać chciała po niewczasie poważną bardzo i przyzwoitą damę, co chwila impertynenkie powitania młodzieży zbijaly ją z tropu i zmuszały do opędzania się napastnikom wcale nieumiejącym jej szanować. Dosię rumieniła się i oburzała, przecucie oznajmywało jej, że wpadła w niebezpieczeństwo jakieś, ale uczynione wrażenie, oklaski, szeptki, pochwały, nowość widoku, ciekawość i nie wiem już jakie uczucie, wstrzymywały ją tu jeszcze... Kilka razy miała na ustach: — Chodźmy stąd — i nie zebrała się nie powiedzieć. Marmuszki powoli ożywiały się, uśmiechały, wokoło nich zaczęła się zbierać gromadka młodzieży, gdy nagle w ulicy naprzeciw hrabia Tytus z kapitanem Rybackim

ukazali się idąc żywo przeciw nim, i rozpędziwszy niemal tłum, po przywitaniu zajęli z obu stron stanowiska, hrabia przy Dosi, kapitan przy starszej Marmuszcze....

Leon patrzył na to wszystko, nie mogąc ruszyć się z miejsca jeszcze i nie wiedząc jak poradzić, choć czuł, że tu stanowczo jest potrzebny; różne mu myśli przychodziły, jedna spędzając drugą, aż stanął na tém, żeby Dosi z oka nie spuszczać i w ślad iść za nią do jej mieszkania...

Gdy się to dzieje w Szwajcarskiej Dolinie zajętej nieznaną, a najsprzeczniejsze sądy krążą o piękności Dosi, o jej pochodzeniu i przyszłości, gdy się mężczyźni unoszą, artyści szaleją, a kobiety kwaśno wyszukują plam w słońcu lub przedrwiwają z Marmuszek... niepostrzeżony prawie od nikogo, na samotnej ławeczce w cieniu siedzący staruszek, ten sam któregośmy widzieli w kościele przypatrującego się Dosi ze łzą w oku, kreśli laską po piasku jakieś figury dopijając szklankę herbaty.

Widać było po nim, że go tu nie sprowadziła chętka kąpania się w szalach młodzieży, ani potrzeba roztargnienia, ale jakiś przypadek; to, co go otaczało, nie zajmowało wcale, nie patrzył, nie oglądał się, nie śledził, zadumany, cały w sobie odpoczywał. Cały ten podbudzony przybyciem Dosi ruch nie zwrócił nawet jego uwagi, a gwar pokrywała muzyka... Na twarzy starca ten sam wyraz panował, jakiśmy widzieli na modlitwie, wielki spokój i powaga, zamyslenie głębokie jakieś, surowe... znać świat nie miał już dlań tajemnic i nie obchodził go wcale; jego żywot był już zamknięty i leżał pod siednią pieczęciami wspomnień, w głębi serca nie dziwił się szaleństwu, ale go nawet ciekawością nie podzielał...

Wzrok jego roztargniony to spadał na ziemię, to krążył niedbale po przesuwających się postaciach, które witał jak znajome, długo się na nich nie zatrzymując. Nieopodal od niego stał wryty Leon, który sąsiada nie spostrzegł długo, i nie został też przez niego dojrzany. Dopiero gdy Adam i Jacek odstępili milczącego wieśniaka, zostawiając go osłupieniu i widocznemu rozdrażnieniu, które poszanować umieli, choć go sobie wytłómaczyć nie mogli, wejrzenie starca padło przypadkiem na Leona i długo wstrzymało się na nim z podziwieniem, ze smutkiem potem, nareszcie z widocznym niepokojem. Popatrzał chwilę nieznaną, podniósł się i, chwyćwszy za rękę Leona, obudził go zapytaniem:

— Co ty tu robisz?

— Ja? — rzekł oglądając się młody chłopiec — ja? A! to hrabia! a pan? — zapytał żywo.

— Ja wszedłem odpocząć, a ty... co ci jest? po coś tu przyszedł?

— A! to okropna historia! — załamując ręce odezwał się młody artysta — nie pytaj pan, doprawdy nie potrafię odpowiedzieć.

— Cóż to jest! śledzisz kogoś oczyma! ty! także rychło już opętało cię miasto i ogarnęło życie twoich współbraci artystów... Leo-siu! mów! co to jest?

— Nie mogę, panie, nie umiem — odpowiedział niespokojny Leon, i oczy jego skierowały się w tej chwili na Dosię przechodzącą blisko nich, a starzec idąc za nimi, ujrzał ją także, puścił rękę Leona i osłupiał, smutném przejęty jak on wrażeniem...

Twarz jego pobladła, usta zadrgały.

— Znasz ją? — zapytał żywo...

— Kogo — ja nie wiem... kogo?

— Tę panienkę... kto jest? — spytał z widocznym niepokojem stary...

— Nie mogę panu nie odpowiedzieć, znam i nie znam, jestem zmuszony pilnować, grozi jej niebezpieczeństwo, boję się, żeby ją stąd nie uprowadzono...

Starzec był to ów hrabia de Tilly, któremu Leon tyle był winien. W jego domu i pod jego przewodnictwem się wykształcił; szacunek i wdzięczność dla niego walczyły w tej chwili w sercu młodego chłopca z niepokojem o los sieroty... nie wiedząc prawie, co czyni, Kora odeiagnął go ku wnijsciu i tu pewniejszym będąc, że Dosa nie wymknie się niepostrzeżona z ogródka, począł głosem stłumionym opowiadać swoje spotkanie, całe krótkie dzieje podróży i poznanja się z sierotą.

Zwykle zimny, hrabia słuchał z żywém zajęciem, oczy mu nawet zabłysły, gdy posłyszał historję Leona, ale zamiast udziału w jego cierpieniu im dłużej słuchał, tém więcej się zdawał uspokajać.

Odetchnął głośno, gdy skończył, wziął młodego chłopaka za rękę i w milczeniu podszedł z nim mijając muzykę do samęj furki ogrodowej, przy której znalazłszy ławkę, usiadł na niej spokojnie. Zdał się namyślać chwilę, jak sobie postąpić, zadumał się i rzekł wreszcie powoli:

— Tak! tak! wszystko na świecie prowadzi niewidoma ręka Opatrzności, każdy krok człowieka... nie niema trafunkowego... kto-by się spodziewał, że ją tu znajdę!...

— Kogo? panie...

— Zdziwisz się, gdy ci powiem — rzekł starzec — żem umyślnie przybył za tą sierotą do Warszawy, że jej szukam, że od dni kilku śledzę ją i gonię, żem z podobieństwa twarzy domyślił się jej w kościele niedawno, bo nigdy nie widziałem jej w życiu, że to jest... moja siostrzenica.

Leon sądził, że mu się przysłyszało, tak był zdumiony...

— Ale jakimże sposobem? pan żartujesz...

— Wiesz Leosiu, że nie żartuję nigdy... smutna to i dziwna historia słabości ludzkiej... Niedawno zmarła jej matka, a siostra moja; ledwie się teraz dowiedział, że mam siostrzenicę... jestem jej opiekunem... Bóg mi nastęrczył ciebie... kilka dni później, kto wie, gdzieby ją ubóstwo i osierocenie zaprowadzić mogło!

Zamilkli oba, gdyż Leon już był spokojniejszy; tymczasem w ogródku zmierzchało, a ulice coraz były pełniejsze, rozmowy coraz bardziej ożywione, napływały co chwila nowe postacie, krzyżowały się, mieniały. Marmuszki chodziły jeszcze z Dosią, kapitanem i hrabią Dahlbergiem, który powoli rozpoczynając rozmowę z nieznaną, już był na stopie bardzo poufałej pogadanki postawił.

Niezmiernie zręczny, łatwo mógł najnieodwiadczeńszą istotę osmieszyć i zbliżyć do siebie; od pierwszego słowa przeczuł ją, domyślił się, jak do niej mówić potrzeba, począł od uwielbień i słodyczy, i rozwiązał jej usta gadatliwością swoją, ze smutnego zamyślenia w żartobliwe wprowadzając postrzeżenia nad tem, co dla Dosi tak było nowe i tak się wydawało wielkie i świetne... Marmuszki nie tylko nie przeszkadzały zapoznaniu, ale je, jak mogły, ułatwiały, a tytuł hrabiowski, piękna postać, grzeczność i nadskakiwanie nie pewnie nie zaszkodziły. Zjawienie się Dahlberga odsunęło nieco mężczyzn, wpród natarczywie obiegających panny; cofnęli się wszyscy, poglądając tylko zdaleka i zazdroszcząc, śmiejąc się i zgadując całą intrygę. Hrabia kazał podać podwieczorek i wszyscy razem zajęli miejsce przy ustronnym stoliczku, gdzie Dosią swobodniejsza od natrętów, nieco się uspokoić mogła... Przedłużono rozmowę, i zapalały się już lampy, gdy sierota szepnęła, że chciałyby do domu powrócić. Marmuszka obiecywała ją odprowadzić, hrabia ofiarował swój powóz i konie, chwilę jeszcze przeciągnęły się targi, grzeczności, półsłówka, nareszcie cały orszak skierował się ku wyjściu. Przez drogę, hrabia jeszcze usiłował zbliżyć się do Dosi, wymódził na nią obietnicę nowego widzenia się w ogródku lub gdzieindziej, ale ona natarczywością jego przelekniona, zamilkła. Dahlberg postrzegł, że zwykła taktyka nie może służyć zawsze z równym skutkiem, i nie nalegał. Z głośną i pełną śmiechu rozmową zbliżali się do furtki, gdy z ławki przy niej wstał starszek i podszedł wprost do Dosi z powagą chłodną; Dahlberg zdziwiony krok się cofnął.

— Pani jesteś Dorota Karolina Czeszak? — rzekł głośno.

Dosia zadrżała...

— Pan Czeszak był mi opiekunem, był ojcem prawie, ale imienia jego nosić nie mam prawa — odpowiedziała z westchnieniem.

— Owszem, owszem — przerwał stary — podaj mi pani rękę,

ja jestem najbliższym jój krewnym... szukałem jój od dni kilku... chodźmy...

Dziewczę zawahało się chwilę, był-że to spodziewany cud ów? czy sen?

Marmuszki stanęły zmieszane, kapitan Rybacki pokręcił wiasa i skrył się za nie, Dahlberg widocznie znajomy starszuskowi, w fałszywem położeniu, kręcił się nie wiedząc co zrobić z sobą; uklonił się i wysłiznął... Dosia ze spuszczonei oczyma podała rękę panu Tilly i w milczeniu wyszła z nim za wrota... Na znak dany przez służącego, zaszedł powóz piękny, z ludźmi w czarną ubranemi liberyą, i Leonowi mignęła tylko twarz ideału, który znikł wśród tłumu w alejach.

Leon, zapomniawszy się dowiedzieć u hrabiego, gdzie było jego mieszkanie, nazajutrz ani Dosi, ani pana Tilly znaleźć nie umiał. Przyszło mu na myśl pobiedz na Stare Miasto do pana Sturby i od niego zasięgnąć języka, ale tu już ani sieroty, ani Halki, ani śladu po nich nie było; gospodarz choć zapłacony i bez pretensyi pieniężnej, w dosyć złym humorze, zapewne z powodu uporczywego kataru, zbył chłopaka niegrzecznie wcale.

— Tere fere!... — zawołał — mówileś mi waćpan, że brat... potem, że swat, czy jakiego licha, a tu sam nie wiesz, co się z nią stało... otóż śliczna panienska... która niknie jak kamfora... Ten do sasa, ten do lasa... najmuja, wnoszą się, wynoszą, licho wie po co, czego... pieniądze tracą, ludzi niepokoją... tfu! dajże mi waćpan święty pokój, i ruszaj, skądś przyszedł.

Oprócz Leona i hrabia Dahlberg przez usłużnego Rybackiego usiłował się dopytać o Dosię, która go mocno zajęła, ale oba ci panowie nie się także dowiedzieć nie potrafili. Znalezione wprawdzie mieszkanie hrabiego Tilly, który miał dom własny przy Bielańskiej ulicy, ale ten był już niewiadomo dokąd wyjechał z rana. Chodzili, szpiegowali, śledzili, wpadła jak w wodę sierota, i ani zręczne Marmuszki, którym los z rąk ją wychwycił, ani Chylkiewiczowa przebiegła i umiejętna do badań tajemniczych, nie się dopytać nie umiały.

My, kończąc tę pierwszą epokę życia sieroty, od której nowe zaczęła życie, musimy dla wyjaśnienia tego wypadku zwrócić się nieco w ubiegłe czasy, które nam tajemnicę tę rozwiązają.

Rodzona siostra pana de Tilly, niegdyś sławna z piękności hrabianka Karolina, młodziuchną wyszła za generała Morskiego, w wicku, w którym pójsie za mąż wydaje się zabawną tylko życia od-

mianą dekoracyi, a w niem szczególnież widzi się powóz, konie, bale, wstążki, brylanty, czepeczki, gałganki i mało co więcej...

Wychowanie jęj nie skierowało weale myśli ku następstwom innym i poważniejszym obowiązkom. Generał, pomimo lat pięćdziesięciu, których dożywał, był jeszcze weale pokaznym mężczyzną, zdrow, barczysty, silny na oko i nie wyglądał weale na piąty krzyżyk, a życie zachowało w świeżości i młodości, że się nawet mógł podobać. Podobał się więc nie tylko jako świetna partya matce panny, staręj brabinie Tilly, kobiecie wielkiego świata a pojęć o życiu powszednich, ale; nawet córec, świeżo wyszłej z pensyi pani Campan w Paryżu. Karolka znajdowała, że pięknie i miło być żoną krzyżami okrytego, którego wszyscy szanowali i kochali. Morski miał przytém imię stare i piękne, majątek wielki, znaczenie w świecie niepospolite, stosunki ogromne, a szczerze się zajawszy dziewczką, która wnuczką jego prawie być mogła, szalał dla nięj, starał się przypodobać i wywołał, jeśli nie uczucie z serca, to wesołą przyjaźń dla siebie. Hrabanika więc zaślubiła generała i w pożyciu z nim dopięro, po roku minionym na balach i podróżach, przekonała się, jak trudno poznać człowieka, widząc go tylko w salonie, i jak najuczciwszy z ludzi może być najnieznośniejszym z mężów.

Przyszło to do tego powoli jakoś, nieznacznie, że się lepiej nawzajem oceniono. Generał, w towarzystwie młody, w domu straszliwie się starał i stawał prawie niedolegą, zrzuciwszy mundur i perukę; po całych dniach przymuszonęj wesołości salonowęj, humor mu się psuł, wymagania stawały dziwaczne, zazdrośny się robił i podejrzliwy do śmieśności. Życie pani generałowęj, rozpoczęte pod najpiękniejszą wróżbą, wkrótce prawdziwą stało się męczarnią, starca niepokoila jęj młodość, jęj ciężył wiek mężowski, oboje zgodzić się już nie mogli, a rozstać nie umieli. Los chciał, by to położenie, tak gorzkie dla obojga, przeciągnęło się nad wszelkie podobieństwo długo. Morski, pomimo coraz większego upadku i niedoleństwa, żył dalej, już nie wychodząc prawie z pokoju i nie wstając z łózka; piękna Karolina wędła u boku jego, a nie miała dość poświęcenia i heroizmu, by dobrowolnie stać się siostrą miłosierdzia.

Każda zabawa, na której się znajdowała, nowa znajomość, uśmiech na jęj ustach, jątrzyły starogo i nieskończone za sobą ciągnęły pasmo wymówek, odpowiadano sobie wzajemnie, zamęczano się i narzekano pociechu... Generał dostawszy paraliżu, nie mogąc chodzić nawet o kuli, skazany przez lekarzy, jeszcze lat kilka w tym smutnym stanie Łazarza przeleżał i przebolał.

Po śmierci jego piękna Karolina, znękana życiem, zawiedziona, osmutniała, z miasta, w którym ją zmarnowanęj młodości wspomnienia ścięgały, usunęła się na wieś i w egzaltowaną rzuciła pobożność.

Po matce miała dobra znaczne, po mężu, który od dnia do dnia testament odkładał, wzięła także majątek z prawa jęj przypadający, z dożywociem intercyzą jęj zawarowanę, ale warunkowo, jeźliby za mąż nie poszła. Interesa wymagały uczciwego i zdatnego człowieka, któryby je poprowadzić umiał, a że pan Mikołaj Czeszak, podkomendny generała, młody naówczas człowiek, nawinał się generałowej, jego wzięła, znając już z nieposzlakowanego i najzacniejszego charakteru.

Był to wojak sam wszystko winien sobie po większej części, z głową otwartą, a sercem tak szlachetnę, jak mało ich jest na świecie; nie żyłby bez poświęcenia, którego szukał i potrzebował jak oddechu. Piękność i smutek generałowej wzbudziły w nim uczucie uwielbienia i czci, podniesione do najwyższej potęgi. Piękna Karolina dostrzegła je i użyć go umiała, tworząc z Czeszaka z kolei to, czego potrzebowała, prawnika, gospodarza, powiernika, przyjaciela, sługę.

Nie wiem, jakimi drogami, w osamotnieniu wsi i okolicznościach wyjątkowych, Mikołaj potrafił pozyskać nie tylko szacunek, ale w końcu serce generałowej, zbliżyła ich miłość, i dźwigniętą ręką pani, ubogi żołnierz miał już zostać mężem wdowy Morskiej.

Tymczasem ich stosunki ściągnęły już oczy ludzi, wywołały najopaczniejsze tłumaczenia i szkaradne potwarze; obudziła się familia samęj pani, wszystko co żyło spadało na nią z wymówkami, przedstawieniami, zgrozą, oburzeniem. Pan Czeszak chciał porzucić dom ten, wyjechać, cofnąć się, aby zadać fałsz czernidłom; generałowa płakała, codzień niemal silniej nalegali na nią interesowani, aby zerwała z faworytem, a że nie miała ani woli silnej, ani dość charakteru, żeby się utrzymać stale w przekonaniu jednę, biedna kobieta męczyła się, chwiała, rzucała z jednę w drugą ostateczność. Rozstawali się i jednali. Czeszak odjeżdżał i wracał, nie dopuszczano krewnych, to znowu garnęła się do nich wdowa, obawiając się być opuszczoną zupełnie. Koniec końcem, ten dramat drugi jęj życia najdziwniej się rozwinął: w chwili zapału, pani Morska wzięła ślub z panem Czeszakiem, ale rodzinie nie śmiejąc się przyznać do tego, utaiła małżeństwo swoje, wyrzekając się nawet dziecięcia, z którym ojciec usunął się na wieś, czując dlań obowiązki swoje, gdy ich matka dopełnić nie śmiała.

Miłość pierwsza ostygła powoli, zostało przywiązanie i szacunek wzajemny, widywano się rzadziej. Generałowa, cała oddana pobożności, zamknęła się na wsi, w kaplicy, a nie miała siły spełnić surowo, do czego ją powoływały śluby i macierzyństwo. Śmierć jęj, która poprzedziła o niewiele zgon pana Czeszaka, odkryła dopiero światu, że tajemnę małżeństwem byli połączeni, mąż bowiem nie

sądził się w prawie przyznania do tego, i nie wydał nawet na łożu boleści.

Krewni zdumieni, postrzegli, że zostali oszukani, ale ważności małżeństwa niepodobna było zaprzeczyć, ani praw, jakie dziecię miało do majątku i imienia rodziców. Nikt z nich nie pomyślał nawet o sierocie, prócz pana de Tilly, który był czule przywiązany do siostry i inaczej to zawsze widział. Z rozpatrzenia papierów przekonawszy się, że Czeszak był mężem Karoliny, wziął się żywo do przypadającej nań opieki nad opuszczonem dziecięciem. Pojechał do Sadogóry, ale tam znalazł już rządzących się jak u siebie krewnych Czeszaka i wiadomość tylko, że Dosi sama jedna wybrała się do Warszawy. Łatwo mu przyszło odzyskać dla córki spadek po ojeu, któren powierzwszy prawom, sam pośpieszył dla wyszukania siostrzenicy.

I cud, który przeczuwała sierota, spełnił się nad nią — znalazła rodzinę, opiekę, imię, bogactwo, przyszłość.

Pierwszy akt jęj życia skończył się po lżach i niepokoju, tą świetną dekoracją, która ją na nową wcale wyprowadziła scenę.

Kilka lat upłynęło, a nikt o Dosi nie wiedział, co się z nią stało; wzdychał tylko artysta, niekiedy przypominał ją sobie pan Dahlberg z kapitanem Rybackim, częściej mówiono o niej w dworku, w którym stara Jadwiga i Piotr dożywali dni spokojnych, wróciwszy do Sadogóry, gdy na wielkim świecie warszawskim zjawiła się w całym blasku piękności i młodości panna Dorota Czeszak i odrazu zawróciła głowy starym, młodzieży, kobietom, nawet współzawodniczkom, które ugasiła ukazaniem się swojém.

Była to jedna z tych istot fenomenalnych, które się rzadko spotyka na świecie, coś idealnie doskonałego, pełnego, zachwycającego, uroczego; ktokolwiek zobaczył ją, zbliżył się, na kogo spojrziała czarownica, szedł za jęj wozem wiekuistym niewolnikiem. Wuj, hrabia de Tilly, czeił ją i padał przed nią, otaczający pieścili, psuli, a młodzież szalała.

Najosobliwszy przytém wyrobił się w nięj charakter: największa może tajemnica uwielbienia, które wzbudzała, był dar szczególny przybierania tysiąca odmiennych fizygnomii i przemawiania do każdego właściwem słowem i tonem. Nikt nie wiedział jaką była w istocie, tak różną z każdym być umiała; smutną, wesołą, trzpiotowatą, zamysloną, z kolei artystką i najprozaiczniejszą gosposią, szyderską i pełną wiary, litościwą i obojętną. Żadna ją

rola nie kosztowała, gdyż ta komedia była szczerą, a kobieta w istocie w jednej piersi miała serc tysiąc, bijących co godzina inaczej.

Ta zmienność fizyognomii łączyła się z talentami najróżniejszymi, z równą łatwością pojęcia i pochwylenia charakteru ludzi i tajemnic nauki. Nic dla niej nie było obcym, zgadywała więcej niż uczyła się, przeczuwała, i jak gdyby potrzebą dla niej było to kameleonstwo, szukała coraz nowego świata, nowych ludzi i zdobyczy, nie odstręczyła od siebie nikogo, nie pogardziła niczym, i tłumy też cisnęły się do tego eudownego zjawiska. Opisać zapal, jaki wzbudzała jej piękność, szaleństwa, jakie dla niej wyrabiano, wylieczyć ofiary nieszcześliwe w tym pochodzie tryumfalnym zgniecionie, niepodobna. Pan Tilly był pierwszym jej sługą, Leon zaprzął się także do jej wozu, hrabia Dahlberg, zresztą nieprzeliczone mnóstwo innych, bez nadziei żadnej pozyskania nawet wejrzenia i uśmiechu, wlekli się śpiewając na cześć jej dytyramby ubóstwienia.

Dodajmy do tego, że piękna Dosią, choć nazwisko jej nie stało w rzędzie arystokracji, stosunkami swemi po matce łączyła się z najpierwszemi rodzinami w kraju, że była niezmiernie bogata, wychowana w Paryżu, jak mówią, a z pięknnością jej nikt mierzyć się nawet nie pomyślał.

Zjawienie się jej w sferach najwznieślejszych, wzbudziło jeden okrzyk uwielbienia i podziwu, na który ona tylko zdawała się nie zważać, i przyjmowała go jako dań należną. Natychmiast liczni pretendenci do ręki jej, stanęli z sobą do walki, a hrabia Tilly zostawił wybór samej Dosi. Ale piękna sierotka ani się śpieszyła, ani zdawała chcieć pokierować sercem; uczucie w niej było zagadką, miała je na zawołanie dla wszystkich napozór, z równą obojętnością wysmiewając ludzi i siebie nazajutrz. Każdy sobie pochlebiał mógł, że był wybranym, i nikt nie pochłubił się, by więcej od drugich pozyskał.

Dosią bawiła się ludźmi, przerzucała niemi, przeszywała ich wzrokiem nawylot, odpędzała, przyciągała, rozbrajała gniewy i rozpaczę, słowem jednem, królowała wszechwładnie. Trwało to tak długo, że wreszcie Tilly napomknąć musiał, że należałoby wybór zrobić, co Dosią przyjęła obojętnem potrząśnieniem główki.

— Mamy dosyć czasu!... — odpowiedziała.

Nie robiąc różnicy między starymi, młodymi, najbiedniejszymi i najbardziej się odznaczającymi, Dosią łapała wszystkich i trzymała przy sobie, rzucając stygnącym jedno wejrzenie, słówko, nadzieję, i bawiąc się tym dworem swoim.

Czarownica ta, tak ją nazywano, śmiejąc się powiadała, że przyciągnie, kogo zechce, i obalamucha starców, gromadziła naj-

sprzeczniej przy sobie odbijające istoty, jakby dla rozrywki tylko i zabicia czasu. Te tysiące przyjaźni i admiracyj, tłum różnobarwny ludu, tak umiała jakoś utrzymać w pokoju i ładzie, że z kolei każdy rzuconą mu chwileczkę szczęścia chwyciwszy, poeichu śmiał się z drugich i czekał.

Nareszcie, najniespodziewaniej, gdy się gubiono w domysłach, kogo piękna Dosia uszczęśliwi swym wyborem, rozeszła się wiadomość, że wychodzi za hrabiego Brunona. Dziwniejszego wyboru trudno było uczynić, i z dobrej woli małżeństwo to zdawało się niepojętym. Prawda, że Bruno był jednym z największych magnatów w kraju, że imię miał znakomite i starożytnie, stanowisko księżęcia udzielnego, ale wdowiec, rozwodnik, stary, skąpy, w życiu ciężki i nieznośny, zużyty, ostygły, zimny, nie mógł się podobać dziewczeczce, której serce miało prawo zapragnąć czegoś więcej i innego. Nikt zrazu nie wierzył wieści, potem posądzano hrabiego Tilly, że ją na to namówił, tymczasem wuj może ze wszystkich najmocniej był przerażony i wylękły. Dosia wybrała sama, dobrowolnie, rozmyslnie.

Nie znając człowieka, zdała wydawało się to zwycięstwem niesłychanem, zblizka prawdziwem nieszczęściem, znano nadto dobrze Brunona, by nie przewidywać, co czeka piękną Dosię. Ona potrząsała główką, gdy jej mówiono o tém, uśmiechała się i kończyła zawsze:

-- Zobaczymy...

Jakkolwiek woli jej we wszystkiem uległy i zawojowany całkowiec, Tilly kilkakroć czuł się w obowiązku przestrzedz Dosię, oparł się nawet zrazu i wymógł, że to do dłuższego zostawi namysłu, w ostatku musiał się zgodzić. Tłum wielbicieli powinien się być rozpoznać gniewny i opuścić swoje królowe, ale ona miała ten urok niepojęty, który przyciąga, choć nie daje nadziei, wiąże na wieki i odbiera wolę... zrozpaczeni pretendenci pozostali.

Hrabia Bruno przy Dosi wyglądał tak pocieszenie, że zdawał się umyślnie wybraną dla podniesienia jej sprzecnością; choć rysy miał piękne niegdyś i jeszcze odznaczające się delikatnością, ale twarz jego tak była trupio błądą, wyniszczoną i smutną ruiną, wyraz oczów tak straszny, usta zacięte tak złośliwą dumą, że na świecie zwano go pospolicie Mefistofešem. Łyse jego czoło ogromne, nos orli, oczy czarne, wpadłe policzki, brwi namarszczone fantastycznie, stanowiły całość nie bez stylu i oryginalności, dziwnie odpychającą. Małomówny, niechętnie przypuszczający do siebie ludzi, skąpy niesłychanie, surowy dla tych, których za nieco niższych uważał, hrabia Bruno miał więcej nieprzyjaciół niż znajomych, instynktowo uciekali od niego wszyscy, obawiał się każdy.

Nikomu na myśl nie przyszło, widząc go zdala krążącego koło pięknej Dosi, by on się nią mógł zająć, a ona ośmielić i przyjąć Brunona, i gdy po miesiące rozeszła się wieść o zaręczynach odbytych, wierzyć jej nie chciano, śmiano się jak z plotki umyślnie wymarzonej na hrabiego.

Kobiety, przyjaciele, Tilly, codzien przynosili Dosi jakiś rys z życia Brunona, odstręczający, malujący charakter jego, zagrażający przyszłości, a ona uśmiechem go przyjmując, odpowiadała:

— Wiem! wiem! zobaczymy...

Hrabia nie grał roli zakochanego, bo w jego wieku było to niepodobieństwem; starał się na zimno, Dosi na zimno przyjmowała starania, godzinami jednak pociechu rozmawiali z sobą i Bruno co dnia był u nich, coraz częstszym gościem, nareszcie stał się domowym, nie można było wątpić już o tém, że panna Czeszak pójdzie za niego. Jeździli razem, wchodził o każdej godzinie, bawił do nocy, a jawnie przygotowywał się do mającego nastąpić ślubu.

Biedny artysta, który z innemi pociągniony urokiem Dosi i siłą wspomnień, codziennie tam bywał i patrzył na odegrywane sceny, wpadł w rozpacz mierzącą, ale nie przestawał napawać się codzien widokiem tej twarzy i głosem czarodziejki. Dalhberg starający się także, burzył się i gniewał, że został odrzucony; i on przecie nie odszedł, inni przestając myśleć o ręce dziedziczki, zachowali dla niej przyjaźń gorącą, tak serca pozyskać i utrzymywać umiała.

Ślub jej z hrabią Brunonem, odbył się pociechu, nazajutrz państwo młodzi wyjechali za granicę, Tilly wrócił na wieś, kilku rannych powlokło się za bóstwem swém do Paryża, biedny Leon zamknął się w domu niemal obłąkany.

I znowu na czas jakiś Dosi z oczów, choć zapomnieć o niej było trudno; długo mówiono o czarodziejce, a przybywający z obcych krajów przywozili najdziwniejsze wieści o szale, jaki wszędzie wzbudzała, o wywołanym entuzjazmie, o oklaskach, które wnijsie jej do łoży w teatrze wśród nieznanego świata wzbudzało, o balach dawanych dla niej, i pochodzie jej zwycięskim. Opiewali ją poeci, malowali artyści, przyjmowali królowie, rozwodzić chcieli lordowie angielscy, kilku się zastrzeliło z rozpacz, niejeden zrujnował dla jej zabawki. Niepojęte historye rozprowadano o Dorocie, gdy się znowu w kraju zjawiała, jeszcze piękniejszą niż była, niebezpieczniejszą jeszcze, a zawsze równie przystępną i czarodziejsko pociągającą. Wszyscy rozpierzchli dawni przyjaciele, znowu ją otoczyli koleb, Leon mierzający przyszedł sięść w kącie salonu i wpatrywać się w to oblicze, do którego życie swe przywiązał, przyjechał Tilly, pozbiegało się, co gdzie żyło. Ale te uwielbienia, ten dwór i sposób życia cały nazewnątr, bo hrabina potrzebowała holdów

i blasku, nie umiejąc na chwilę znieść samotności, w końcu się uprzykrzył Mefistofelesowi, który, po upływie miodowych miesięcy, począł ją zamykać i zażądał wyraźnie, aby Dosia na wieś się z nim usunęła. Rozpoczęła się walka niewidoma, głucha, skryta, wybuchająca niekiedy wyraźniej, to znowu tłumiona przez zręczną kobietę, i wśród niej starzec zmierzony, złamany, zwyciężony, o mało nie umarł, uznawszy się bezsilnym, przymuszony zezwolić na rozwód, który otrzymawszy Dosia, znowu wystąpiła w całym blasku na świecie swoim, jeszcze gęstszym wielbicieli otoczona zastępem. Powiększali go cudzoziemcy przybyli z końca świata za tym bóstwem, którego władza trzymała ich bez nadziei do dworu przykutych, ludzie najróżniejszych stanów, wieku, charakterów, wszyscy zarówno mający godzinę łaski w oczach kobiety, której zadaniem zdawało się zdobyć tylko jak najwięcej poddanych. Dotąd nie cierpiała sława hrabinę, na jej postępowaniu dziwacznym, sama liczba czcicieli uwalniała ją od podejrzeń; — ale z kilku słów pierwszego jej męża po rozstaniu, z kilku kroków zbyt śmiałych, zrodziły się szeptu uwłaczające. Rozpowiadano sobie na ucho rozmaite historyjki tajemnicze o wycieczkach jakichś, o odwiedzinach sekretnych w godzinach zakazanych, i choć nikt nie wierzył temu, choć to zwano potwarzą, kobiety nieco się od hrabiny odsunęły.

Ona zdawała się albo o tym nie wiedzieć, albo nie dbać o to, nie bowiem nie zmieniła postępowania swego.

Wesoło też płynęło jej życie, uplecione z samych zabaw i rozrywek, na podróżach, muzyce, rozmowie, wśród gorących przyjaźni, dostatku, który, mimo pańskiego jej życia, oszczędnością podsycać umiała, bez chmurki, bez najmniejszej przeciwności i śladu cierpienia. Świat cały jej służyć musiał, każde zachcenie najdziwaczniejsze spełniało się natychmiast, nikt nie oparł się jej władzy, a piękność coraz jaśniejszym świeciła blaskiem...

Z kolei codziennie nowymi otaczając się ludźmi, coraz inne wymyślając sobie zajęcia, i nowe zwiedzając kraje, pieszczone dziecię szczęścia marzyć się zdawało tylko, czem świeżem nienasycone uspokoić pragnienie. Ten stan duszy okazywał się przerzucaniem nieustannem z miejsca na miejsce i poszukiwaniem nowego pokarmu, nowych światów. Z dziwną łatwością oswajając się ze wszystkiem, Dosia równie też prędko nużyła się ludźmi i położeniem swoim; zachciewało się jej życia anachoretów, pielgrzymek niebezpiecznych, latania balonem, wyprawy do źródeł Nilu, to króla Bawarskiego, którego czytała poezye, to Abd-el-Kadera, to sułtana Nepaulu, to Chin, to Syberyi, to Mozambiku. Jedno lato spędziła na wyspach Balearskich, jesień w Gibraltarze balamucąc oficerów angielskich, zimę w Hiszpanii, następny rok w górach Szkocyi, to znow

kilka miesięcy na wsi u siebie. Tak samo było i z ludźmi; zbliżała się do nich z zapalem, zrazu przywiązywała się silnie, iskra jakiejś namiętności zdawała się w niej pałać na chwilę i gasła natychmiast. Witając starych dobrych przyjaciół, na wspomnienie przeszłości zwilżało się jej oko, wytryskało uczucie i śmiech szyderski zaraz je rozwiewał.

Tak po świecie podróżując, na jedną zimę przyjechała do Lwowa, w kilka dni już miała zwykły orszak wkoło, nabierała młodzieży, artystów, pościagała co żyło, otworzyła dom i w tydzień nudzić się już poczynała. Między tutejszemi jej wielbicielami, znalazł się znowu hrabia, niejaki Bulski, istota tak pospolita, bez charakteru, i śmieszna, że nikt tam na jego hrabstwo i pieniądze patrzeć nie chciał, tak nie umiał nosić obojga. Niezmiernie ograniczony, niezbyt młody, ledwie znośny w salonie, Bulski szalenie się pokochał w Dosi, wzbudzając śmiech ogólny, a najmniejszej zazdrości, tak się wydawał mało niebezpiecznym.

Ona sama szydziła z niego prawie w oczy...

Raz wieczorem wśród mnogiego towarzystwa, Dosi siedziała na kanapie, poziewając niegrzecznie i poglądając okiem znudzonem po towarzystwie.

— Pani hrabina się nudzi? — spytał Bulski.

— A! bardzo! — odpowiedziała mu naiwnie.

— Na to niema innej rady jak pójść za męża... — odparł do radca.

— A któżby się ze mną ożenił?...

— Kto?... wszyscy!...

— Naprzykład?...

— Ja pierwszy...

— Doprawdy?... — spytała poglądając na niego — miałbyś odwagę?...

— A! pani!...

— Pan mi się oświadczasz?...

— Na klęczkach...

— A ja oświadczenie przyjmuję, masz pan moją rękę!

Wszyscy to za żart wzięli, i śmieli się do rozpuku; Bulski jeden uwierzył swojemu szczęściu i w kilka tygodni potem, wśród powszechnego zdumienia, Dosi została hrabiną Bulską, czego nikt sobie wytłómaczyć nie umiał, mniej to bowiem było pojęte niż pierwsze jej zamażpójście. Wprawdzie Bulski był bogaty, ale nie więcej, a zresztą tak niepokazny i pospolity hulaka, istota tak starta i zwiędła, że nawet dziwactwem żadnem nie mógł wzbudzić ciekawości. Żyli z sobą lat kilka, mieli córeczkę, potem, jak się to sprzegło w sposób niepojęty, tak i rozwiązało niewiedzieć dla

czego i hrabina się rozwiodła. Podróżowała znowu, wracała do kraju, nigdy długo na jednem miejscu usiedzieć nie mogąc, i pozostała dla wszystkich tą istotą tajemniczą, zagadkową, niepojętą, a uroczą, jakąśmy ją widzieli w Borowej.

Nikt nie mógł się pochłubić, by znał stan wewnętrzny jej duszy choć z każdym zdawała się być szczerze, serdecznie, cóż gdy codzień inną istotą? To smutna i rozpaczająca, to wesoła jak dziecko, artystka, uczona, roztrzepane dziewczę, matrona poważna, przybierała fizyognomią miejsc i ludzi, z którymi żyła, nie mając zdaje się własnej.

O sercu równie mało kto wiedział, czy spało jeszcze spowite, czy się już zużyło, spróbowałszy wszystkich smaków i niesmaków uczucia w różnych jego rozwinięcia stopniach. — Ci, co raz przywiązali się do niej, stale trwali w uwielbieniu i zachwycie, ona nie wyróżniała nikogo. Dwa jej zamaż-pójścia prędkiej na rachunek dziwaństwa i chciwości jakiegóż policzyć było można, niż serca w nich dostrzedz: i hrabia Bruno i Bulski nie mgli wywołać miłości ani szacunku. Obu przecie wspominała bez gniewu i niechęci, zimno, obojętnie. Z reszty wielbicieli nikt się pochłubić nie mógł szczególną jej łaską; dopóki pracowała nad pozyskaniem serca, była czułą prawie, nadskakującą, uroczą, karmiła nadziejami; przywiązawszy do siebie, stawała się zimną, przyjacielską, ale niedostępną. Jakby chciała tylko odkryć tajemnicę człowieka, badała go czas jakiś, potem rzucała na śmietnisko, na którym się już mnóstwo takich ofiar wałalo.

Najsmutniejszą z nich był może Leon Kora, który z takim zapalem i energią poczynał życie, a skończył je nawpół zbłąkany-bezsilny, nie chcąc rozwinać talentu, bo nie miał celu uczuwszy się tak nieszczęśliwym, że mu ręce opadły. Siedział on w Warszawie, małemi robotami utrzymując życie biednie, nie żyjąc z ludźmi, stetryczały, dziwaczny, śledząc sercem i myślą podróże ideału swojego po świecie. Ile razy zjawiała się Dusia w Warszawie, przybywał, siadał w jej salonie, modlił się o jałmużnę wejrzenia i odchodził w jakimś upojeniu, po którym osamotnienie ciężiej go jeszcze obarczało.

Jako artysta, był to jeden z najznakomitszych ludzi, jako człowiek odznaczał się charakterem szlachetnym i bezinteresownością posuniętą do zapomnienia na siebie i wyrzeczenia się zupełnego, cóż, kiedy niesmakowało mu życie i znosił je raczej niż przeżywał, dźwigając brzemień, którego młodzieńczy zapal nieśm mu nie pomagał. Malował tylko ideał swój w różnych jego objawach, a że Dusia była najzmienniejszą z kobiet, chwycił ją w najróżniejszych chwilach i z kolei całe z niej światy tworzył, anioły, zalo-

tuice, istoty upadłe i święte, wielkie i prostoty pełne... We wszystkich ona była. Z każdym z tych obrazków, gdy nu się rozstać przyszło z potrzeby, biedny chłopiec męczył się, cierpiał, szalał, i przynajmniej pierwszą ideę jego musiał u siebie zostawić. Niedostępna dla nikogo pracownia Leona pełną była tej jednej a coraz odmienniejszy istoty. Raz przyszła fantazyja hrabinie dostać się do tego zapartego przybytku, o którym się od kogoś dowiedziała, a żądanie jej nie mogło pozostać bez skutku; spojrzała na tę galeryę fizyognomij z jednej zrodzonych twarzy i uśmiechnęła się.

— To ja — zawołała — i to ja... a w tém wszystkim mnie niema! — dodała smutnie — pan mnie nie znasz...

— Pani, zdaje mi się, sama także pochlubić się tém nie możesz — odpowiedział Leon równie smutno.

Odtąd jednak Dosia z przyjaznym, litościwym uczuciem jakimś obchodziła się z biednym malarzem, szanując drażliwość jego i częste mu dając dowody sympatyj; ale niemi wyżyć mu było trudno i te ożywiające promyki nie wywiodły go ze smutnego odrętwienia.

Jak Leon, inni starzy wielbicieli pięknej pani, powracali do niej za każdym jej ukazaniem się w kraju: witała ich radośnie, serdecznie, z dziwną pamięcią najdrobniejszych szczegółów życia i charakteru każdego z nich... czasem któryś miał tydzień, godzinę, chwilę szczęścia i zdało mu się, że został wybranym, ale fantastyczne bóstwo, jak niespodzianie wieńczyło, tak nagle odrzucało i zapominało. Wczorajszy wybrany nazajutrz stawał się obojętnym, i gdy się o jakie prawa do serca upominał, uśmiech litości witał go nelitościwy... ruszenie ramion, wreszeie wybór nowego, odpychały w tłum oczekujący kolei. Wszyscy mieli tu kolej swoją, swój dziołek słoneczny, za który długą męczarnią płacić przychodziło... na niej jednej nic nie zostawiało śladów, zawsze taż sama, piękna, obojętna, trochę znudzona, dziwaczna, ożywiała się tylko nowością, uśmiechała nadziei, rzeczywistości znieść nie umiejac, ani się z nią oswoić...

CZEŚĆ TRZECIA.

Zjawienie się takiej istoty, jaką była pani Bulska w cichym i ubłogosławionym zakątku, wśród *Bożej Czeladki*, jak ją nazywał ksiądz Ginwiłł, wyobrazić sobie można, jak wielkim i ważnym było wypadkiem. Choć Dosia potrafiła się zaraz wżyć tutaj, poznać ludzi, zastosować do nich i pozyskać ich sobie, żywioł tak sprzeczny musiał zachwiać spokojem ludzi przywykłych do jednostajnego i szczęśliwego wioski żywota.

Oboje państwo Jamuntowie spoglądali na nią z jakimś strachem i podziwem, nie umiając jej sobie ze swego stanowiska wytłómaczyć, pragnąc pocziwem sercem uniewinnić, obawiając wreszcie uroku, któremu ulegali wszyscy. Wpływ tej kobiety już się na całym dworze czuć dawał; opierał mu się jak szatańskiej pokusie ksiądz Ginwiłł, ale i ten powoli miękł i wahał się, inni otwarcie klękali już przed czarodziejką.

Niedość może dobitnie malują się charaktery Borowskich mieszkańców w dzienniku, który pierwszy ustęp tej powieści stanowi; widać je w nim przez pryzmat młodości i podziwienia wszystkie w jednostajnym świetle najjaśniejszych barw tęczyowych. Jedną szczególniej z postaci tych, sam bohater tych notatek, najmniej się tu ukazuje i spowiada. O nim powiedzieć jeszcze musimy słów kilka.

Jan Bronicz, syn bardzo ubogiego szlachcica, z wielu względów przypominał Leona artystę; jak on wyrobił się własną siłą, jak on z ochotą do pracy i gotowością na ofiary wstępował na świat nieznaną, ale daleko miał większą nad sobą władzę i to go odróżniało od Leona, który nie miał siły oprzeć się jednemu przesuwającemu się przed oczyma marzeniu i widmu ideału. Bronicz było to niezsępane wsi dziecię, z wyrobioną wolą i prostym ale gruntownym poczuciem obowiązków, zawczasu prawie całkiem oddany sobie,

nauczył się cierpieć, walczyć i świat widzieć w rzeczywistém jego świetle.

Co poniekąd wytłumaczy łatwo pozyskanie serce wszystkich w Borowej, a zawsze na świecie przyczynia się wielce do losów człowieka, to, że Jan był jednym z najpiękniejszych mężczyzn, jakich ziemia nasza wydaje. Typ słowiański i polski wykwił w nim przedziwnie pełen i wybitny; blondyn, niebieskooki, słuszny, wysmukły, zręczny, silny, napodziw kształtny, Bronicz nie miał poosobno wziętych rysów regularnie i klasycznie pięknych, przecież twarz jego zachwycała wyrazem słodyczy, dobroci i jakiejś duchowej potęgi. Na czole jego zawisła tęsknota, całemu plemieniowi naszemu, przepojonemu wiekowemi smutkami, właściwa, nadawała charakter całej tej twarzy, uśmiechnionej łzawo i zdającej się cierpieć z uśmiechem.

U nas tylko zobaczyć można na licach młodych ten poważny smutek, który nie jest boleścią, a zdaje się raczej rozkoszą, nie jest stanem wyjątkowym, ale charakterem twarzy i piętnem życia. Wesołe nawet nie ścierało z czoła i oczów Bronicza tej pieczęci tęsknoty, zdającej się opromieniać wiekuistego wygnańca. Ten smutek był tak łagodny i miły, a tak się nigdy nie skarżył i nie popisywał z sobą, że każdy czuł się w obowiązku czems mu ulżyć, i chwycił za serca, obudzając w nich jakiś niepokój miłosierdzia.

Jan przytém był usłużny, poświęcający się, skromny, cichy, przyjazny dla wszystkich, a że z miłością w sercu przystępował do każdego, miłość też wzbudzać musiał wzajemnie. Pokochali go tu łatwo ludzie, co nienawidzić nie umieli: stary Jamunt milczący, poczciwa chorążyna, której macierzyńskie serce pragnęło przywiązać do siebie wszystkich, pan Aleksander chłodny trochę powierzchownie, ale pod tą powłoką obojętności kryjący najpiękniejszą duszę. Dwór naturalnie z takich *ad exemplar* panów utworzony ludzi, rozmiłował się w Jasiu, i widzieliśmy, jak go tu serdecznie przyjęto, jak przytulono gdyby syna, zaopiekowano nim gorąco.

Za powrotem Jan znalazł trochę zmiany we dworze, domyślił się jej raczej niż wytłumaczył sobie, z twarzy milczącego więcej jeszcze chorążego, z westchnień chorążynnej, która się zamyślała nad robotą, z jakiegoś podrażnienia pana Aleksandra.

Oboje starzy przerażeni byli, czułem wejrzeniem rodzicielskiem postrzegłszy, że Oleś ich drogi zajął się nieco panią Bulską. Wcale innego dłań życzyli małżeństwa, pragnęli go, byliby się na wszelki wybór zgodzili, ale ta kobieta tak piękna, dziwaczna, tak niesłychanie zmienna i zgadująca myśli, zastraszała ich. Zнали Olesia dobroć i łagodność, przewidywali zawojowanie, zmianę życia, wyjście może z tego poczciwego koła, w którym od wieków żyli Ja-

mundowie, tyle robiąc dobrego i tak sobie pocichu będąc szczęśliwi.

Zaledwie pani Bulska wyjechała, chorąży, który nigdy prawie nie miał zwyczaju długo się z żoną naradzać i tłómaczyć, bo się starzy jednem rozumieli wejrzeniem i myśli swoje zgadywali, poszedł do żony w godzinie niezwyklej, kiedy nikogo nie było w pokojach. Chorążyna odgadła coś ważnego w tém przybyciu i porzuciwszy robotę, z tęsknym niepokojem, pośpieszyła przeciw niemu.

— Moja jejmość — rzekł stary — trzeba myśleć o Olesiu... rozumiesz mnie?

— Rozumiem, serce... Ale jakże?...

— Ja sam mu to powiem... Każ go poprosić... on pojmie mój niepokój, i pocziwie dziecko, zastosuje się do rady naszej.

Oddawna już tyle nie mówił chorąży; ożywiona twarz jego, niespokój widoczny, zastanowiły staruszkę, która co najprędzej poszła po syna. Uderzyło to wszystkich we dworze i zwróciło uwagę, gdyż od niepamiętnych czasów nie się podobnego nie przytrafiło; pobiegli po pana Aleksandra, a że ten był u siebie, przystawił się natychmiast, niemniej zdziwiony od drugich.

Chorąży obejrzał drzwi, czy go kto nie słucha, i począł od uściśnienia syna.

— Mój drogi — rzekł — czas się nam porozumieć i rozmówić; posłuchaj mnie, pojdziesz łatwo, dlaczego pierwszy raz może przerwę milczenie.

Pan Aleksander stanął i słuchał z uszanowaniem, chorążyna ojca i Olesia mierzyła okiem niespokojnym.

— Nasza rodzina — rzekł z wysiłkiem chorąży, którego kosztowało przerwać długie milczenie — to nas troje; na tobie nadzieje wszystkie, tyś ostatni. Mamy obowiązki, Olesiu... nie jesteśmy panami dumą, ale w rzeczy należym do nich... wiesz, jak ja pojmuję państwo... Patrz, ile tu koło nas ludzi nami żyje, przy nas się kupi... i miłością nas otacza... chciałżebyś, żeby to wszystko runęło, rozsypało się, żeby ci biedni ludzie rozbiegli się po świecie, majątności poszły na ręce obojętnych i powołanie nasze skończyło się z życiem twojem?... Olesiu, chcesz, czy nie chcesz, potrzeba ci się ożenić! — dodał stary.

Pan Aleksander mocno się zarumienił.

— Nigdybym — dodał chorąży zeicha — nie wskazywał ci wyboru, gdyby mnie przestрах nie ogarnął na widok tej kobiety, która ci się podobała i zdaje się zajmować...

— Kochany ojeze — odpowiedział Aleksander — mogła mnie za-

bawić, chwilowo zająć, ale nie obudziła we mnie gwałtownego uczucia...

— Tak, dotąd — rzekł chorąży — za następstwa ręczyć nie można; kobieta zręczna, piękna, a zepsuta... istota wedle świata, nie wedle nas... ona i my całe inaczéj pojmujemy życie. Ja się boję... Tobie się trzeba starać, zenić... ale nie z nią; myśmy starzy, ja codzień się czuję gorzej, słabnę... zostaniesz sam, zateśkniesz, ona cię oplatać może, pochwyć, a wówczas Jamuntowie nie będą już, czém byli dotąd. Wyprowadzi cię w swój świat, zapomnicie o tych ludziach pocziwych, opuścicie wieś, nie spełnisz powołania... Pomyśl, Olesiu, pomyśl, nie żal-by ci było, gdyby opustoszała Borowa, w zwaliska poszedł dom i rozpierzchli się przyjaciele nasi... Tyle ci tylko powiem, matka resztę...

To rzekłszy, ze wzruszeniem wielkiém ucałował syna i wyszedł, a chorążyna przystąpiła do niego.

— Mój drogi Olesiu — rzekła.. — daruj nam starym, że ci się naprzykrzamy, ale cośbyś powinien uczynić dla uspokojenia trwogi rodzicielskiej. Ten gość, który ci tak przypadł do smaku, nas przeraził; to nie jest kobieta na żonę dla ciebie; potrafi ona być, czém zechce, ale spokojną towarzyszką twojego życia i ofiarnicą u ogniska domowego nie będzie. Tobie, nam, Borowej, czego innego potrzeba... My ci nie narzucamy nikogo, wybieraj, ale zmiłuj się, nie myśl o Bulskiej — dla twojej przyszłości to nas przeraża.

— Kochana matko, ja o nią też nie myślę wcale, bawiła mnie, drażniła, podobała mi się nawet.

— A widzisz! — zawołała chorążyna...

— Ale mi na myśl nie przyszło ani się jej podobać, ani starać o nią.., znam ją z opowiadań, z rozgłosu i więcej się obawiam niż pragnę jej powrotu. Urok ma wielki, to prawda, ale ja to rozumiem, że na Jamuntowę nie stworzona...

— Nie, nie, Olesiu! — uśmiechając się weselęj ze łzami w oczach mówiła matka — o! gdybyś ty mnie posłuchał, a nie sądził, że ci gwałtownie narzucamy... Kostusia Bundrysówna, to żona dla ciebie...

Aleksander spuścił oczy...

— Może być — rzekł — ale...

— Zobaczysz, pojedź-no, przybliź się tylko; wszakże powiadają, że ci się podobała odrazu; poczeiwe to, młodziehne, wychowane na wsi i w klasztorze, nie wyciągnie cię z pod strzechy, od obowiązków twoich... Na co nam te świetne połączenia i świetne imiona i świetne panie, coby się z nas i z naszej staroświeczyzny wysmie-

waly! tobie trzeba kobiety, coby cię oceniła, ukochała, którejby w Borowej było dobrze...

— Mam więc jechać do Bundrysów? — spytał pan Aleksander posłusznie.

— Nie o to chodzi, żebyś raz pojechał, ale by tam częściej bywać, potrzeba przypatrzeć się, ocenić, przywiązać się — i ta Syrena nie będzie niebezpieczną, gdy powróci, bo nam, niestety, powrót swój przyobiecała — ojciec twój drży myśląc o tём, a ja płaczę!!

— Ale ja pojedę na koniec świata dla was! — zawołał Olesz rozczulony, całując ręce matki — gdzie chcecie i każecie; zrobię, co mi powiecie... ożenię się, z kim wskażecie!

— A! tak, ożeń się! ożeń! — przerwała chorążyna — jakoś nam lżej będzie oczy zamknąć, gdy cię nie samego zostawim... ale na Boga cię zaklinam, nie czyni znowu ofiary dla nas żadnej; jeśli tam serca nie skłonisz... my tego nie chcemy... Każdy sobie i dolę i szczęście swoje sam wybierać musi... my się możemy mylić, Olesiu... uczyni to tylko dla nas, żebyś się zbliżył do Kostusi, lepiej ją poznał... a reszta będzie jak Bóg da!

— Dobrze, dobrze, pojedę, choć dziś — dodał Aleksander — będę się starał pokochać... i — rzekł kończąc — proszę się Bulskiej nie obawiać... wiem o niej zdanie wasze, czuję i podzielam przestrach; choćby mi się najwięcej podobać miała, nie pomyślę już o niej...

— A! Bóg widzi — cicho poczęła chorążyna — że ta kobieta napędziła nam niemalże trwogi, mnie i ojeu... Tyś może nie uważał jak ja, co się z nim działo; ile razy zbliżyłeś się do niej, stawał i pożerał was oczyma niespokojny... ja się tylko modliłam, żeby Bóg groźbę tę od nas odwrócił... Powiedz, cobyśmy my tu z nią poczęli? czy to dla nas synowa? czy to dla ciebie żona? ona by Borową przewróciła do góry... a! strach pomyśleć!!

— Zapewne, zapewne — przerwał syn — ale pozwólcie powiedzieć sobie, kochana matko, że doprawdy nie oceniliście jej jak słuszną; ja widzę jej przywary, ale to kobieta, która wszystko z siebie zrobić potrafi... ogromnych zdolności...

— My temu nie przeczym, mój drogi — trochę zatruwiona obroną i zmieszana, odparła chorążyna; — śliczna, rozumna, dobra nawet zdaje się, ale tyle doświadczenia .. dwa razy szła za męża, całe życie spędziła na wielkim świecie, w wirze tym -- czyżby się umiała i mogła zamknąć z nami i wyżyć tą ciszą tak dla nas drogą? wyrwałaby nam syna, a tam, wierz mi Olesiu, tam nie znalazłbyś szczęścia...

— Ja za nic was i mojego stanowiska nie opuszczę! — rzekł Aleksander wzruszony.

— Ojciec ci to mówił — zawołała chorążyna — ale on obszer-

niej nie może się rozgadać, każde słowo wiele go kosztuje — od wieków Jamuntowie żyli tak jak my dzisiaj, i dobrze im było... jest tu co robić na wsi. Posłannictwo bogatych wielkie, odpowiedzialność za nie przed Bogiem ciężka...

— Proszę tylko mamy — dokończył Oleś całując ją w rękę znowu — nie trapiecie się daremnie, wszystko będzie dobrze, dziś jeszcze jadę do Bundrysa, i... dodał wesoło — kocham się na zabój w Kostusi.

— Tylko znowu nie tak obcesowo! a! zmiłuj się, my ci jej nie narzucamy, mój Olesiu... nie dla nas, a dla siebie się żenisz, nie myśl, żebyśmy więzi cię chcieli!...

— Ale bo macie słusznosc — zawołał syn — nikt tu lepiej dla mnie nie przypada jak panna Konstaneya... jedziemy więc, staramy się i żenim.

Chorażyna uśmiechnęła się, nie kryjąc radości swojej.

— A dałby to Bóg — rzekła żywo — z jakimże szczęściem powitalibyśmy synowę i wręczyli jej i tobie klucze starego domu i starych przyjaciół naszych, bo my z ojcem, Kochany Olesiu, dawno wdychamy do tego, żeby ci już wszystko zdać i sami się usunąć...

— Jakto? dokąd?

— Ale nie trwóż się! nie trwóż! nie daleko... mamy już opatrzony dworek, w którym zamieszkamy i patrzeć będziemy na was...

Aleksander spochmurniał.

— Jakto? żebyście mnie ustępowali... o! co na to, nie pozwolę!...

— Ale o tém potem, nie jeszcze nie ma... wygadałam się niepotrzebnie, dosyć tego...

Przybycie księdza Ginwiła, bo nadchodziła godzina, w której się wszyscy do pałacu zbierali, przerwała naostatek rozmowę. Za nim wtoczył się Hończarewski z książką w rękę i reszta dworu, Doroszeńko, kapitan Zbrzeski, panna Jamuntówna i Krzysia. Chorażyna wesoło z kolei witała wszystkich, ciekawie poglądających na nią i na syna, bo już o poobiedniej naradzie wieść się była rozeszła; nadszedł i choraży. Bronicz przyniósł książkę z biblioteki, zaczęło się czytanie i wieczór minął jak zwykle...

Nazajutrz pan Aleksander posłał po Bronicza oznajmując mu, że do Romaszówki do Bundryśów pojedą, a to posłuszeństwo syna ciesząc chorażynę, z drugiej strony ciążyło jej, nie jednak nie powiedziała, krzyżem tylko świętym błogosławiąc drogę, w którą syn się wybierał...

— Może to i dobrze — szepnęła sobie zcicha, że Jasia z sobą bierze, albo i nie... Jaś chłopiec młody i piękny... Oleś nam się po-

starzał trochę, poważniejszy, wytrawniejszy, jeden przy drugim kto wie jak się wyda, a Kostusia dziecko... prawda, że Bronicz może zabawić starego Bundrysa..., niech już sobie robią co chcą!

Westchnęła starszka, a nasi goście pojechali do Romaszówki, gdzie tylko pannę Konstancję z panią Osmólską zastali; gospodarza się co chwila z jakiegoś objazdu lasów spodziewano. Czekali jakiś czas w cichym saloniku, póki Kostusia nie wyszła; nareszcie zjawiły się panie, pan Aleksander z widocznie podwojoną bacnością wpatrywał się teraz w śliczne dziewczę i żywo przybliżył do niej, Broniczowi pozostała pani Osmólska i poważna z nią rozmowa o wsi, gospodarstwie, zbiorach i t. p.

Trudno odgadnąć, jakie teraz wrażenie zrobiło młode dziewczę na chorążycu, ale inaczej mu się wydać musiała po tej jasnej gwiazdce, która spadła na Borową i olśniła tam wszystkich swym blaskiem. To był skromniuchny kwiatek domowej grzędę, wesołe a proste dziewczę, śniące jeszcze o świecie nieznanym; tamto czarodziejka tysiącolica — ta zawsze sobą i jedną, druga codzien odmienną i niepojętą istotą... W Kostusi podobać się mogła niewinność, swoboda, świeżość jej i młodość; tamta miała ów niebezpieczny urok zakazanego owocu, tajemnicy, przepaści... pociągający gwałtownie, a dziwnym fenomenem najwięcej podobno wywierający wpływ na ludzi spokojnych i łagodnych. Prawo sprzeczności i sercem panuje, najczęściej to, co od nas i natury naszej najdalej, najróżniejsze, najwięcej się nam podoba i ęci.

Kostusie czytał pan Aleksander całą w słowie, spojrzeniu, ruchu, nie tała się z sobą, zawsze była tąż samą, poznał ją odrazu. Bulska ukazywała mu się zagadką przerażającą niekiedy, zawsze nową — ale niestety! — zawsze też pociągającą magnetycznie.

Posłuszny jednak matce, chorąży zbliżył się do trochę onieśmiałonego niebytnością ojca dziewczęcia i począł z nią rozmowę, na którą pani Osmólska, choć bawiła Bronicza, pilną zwracała uwagę.

Osnową jej były zwykle na wsi przedmioty, gospodarstwo, kwiaty i powszednie wypadki. Kostusia ożywiła się, i choć runieniac co chwila, wkrótce stała się naturalną, zapominając, że pan Aleksander był jej obcym. Poczęła o Borowój, o rodzicach jego, o swoim klasztorze i życiu, a choć gość niewiele jej pomagał zamyślony i smętny, potrafiła utrzymać rozmowę do przybycia Bundrysa. Nie zbliżyli się jednak tak, by im z sobą dobrze było, a wzrok dziewczęcia często ulatywał na piękną twarz Bronicza, który poważną wiódł pogadankę z panią Osmólską.

Zatoczył się nareszcie prosty wózek jednokonny przed ganek i z hałasem a wrzawą wpadł Bundrys do sieni, śpiesząc jak stał do pokoju, na powitanie chorążycy.

W dość dobrym humorze, okiem objął zaraz pokój, i wyściskawszy przybyłych, krzyknął, aby co najprędzej podawano jedzenie. Pani Osmólska wstała się rozporządzić, a Bronicz przyłączył do towarzystwa.

— No, cóż tam u państwa na wielkim świecie słyhać! — zawołał gospodarz po chwili — macie tam podobno ciekawego gościa, panią Bulsą de domo Czeszak! ma to być kobieta osobliwszej piękności, wdowa, rozwódka? co?

Pan Aleksander mimowoli się zarumienił.

— Ale już jej nie mamy, wyjechała — rzekł powoli.

— Prawda to, że tak piękna? — spytała Kostusia.

— W istocie, bardzo ładna — odparł chorążyc...

— I bardzo sprytna! — dodał Bundrys — głowę mi ot tak naklektali tu o niej wszyscy... zmiłuj się, panie chorążycu, powiedz, prawda, że to ma być i gospodyni, i prawnik i literatka, i siedm razy jedna...

— Dwadzieścia cztery razy — przerwał pan Aleksander — czém chce, tēm jest...

— Otóż to panie, do czegośmy przyszli! — zawołał gospodarz — kobieta! Czém to były pocziwe nasze niewiasty za dawnych czasów, a co się z tego zrobiło... a to! monstrum panie taka jejmość!...

Wszyscy się roześmieli.

— I młoda slysze jeszcze? — dodał Bundrys.

— Lat dwadzieścia kilka — rzekł Bronicz...

— I piękna?

— Dosyć...

— I głowy tam pozawracała w Borowej wszystkim, bo kto stamtąd przyjedzie, nagadać się nie może.

— Jakże żałuję, że jej widzieć choć zdaleka nie mogłam! — szepnęła Kostusia.

— Tfu! a toż tobie do czego? — ofuknął się sędzia — żebyś jeszcze zapragnęła ją naśladować! Zostaw to paniom, niech sobie komedye grają! nam co innego potrzeba, szlacheckiej córce i żonie szlachcica, nie przyszło być aktorką, na wielkim świecie to co innego, tam czém inném być trudno.

I rozśmiał się Bundrys, widząc zakłopotanie Kostusi.

— Ale, tedy, pojechała, jak się zowie — dodał gospodarz — pojechała?

— Z powrotem jednak — szepnęła Bronicz pocichu.

Przeżył czas tych odwiedzin, w ciągu których pan Aleksander starał się być widocznie jak najwięcej przy pannie Konstancyi, Bundrys choć w niezłym usposobieniu, bacznie poglądał na niego i na

córkę. Chorążyc zabawił dłużej niż zwykle, i późnym wieczorem wyjechali już z Romaszówki; przez całą drogę słowa się nie odezwał do Bronicza, i już się zbliżali do Borowej, kiedy jakby ocknąwszy się, spytał go:

— Jakże znajdujesz pannę Konstancję?

— A komuż-by się ona nie podobała? — zawołał młody chłopiec z niezwyuczajnym ogniem.

— Nie widzisz jednak różnicy między temi dwiema kobietami? — dodał pan Aleksander.

— I owszem, ale ja tak mało znam świata i ludzi, że nie odważyłbym się sądzić o nikim.

— No! ale tak szczerze, kto ci się podoba więcej?

— Panna Konstancya! — rzekł Jan.

— Nie powiesz, że piękniejsza?

— Inna, ale równie piękne obie; świeższa, młodsza i taka prosta, szczerza, otwarta, kiedy pani Bulskiej nigdy zrozumieć nie można!!

Zmilkli; w salonie Borowskim wszyscy jeszcze byli, gdy weszli, ale nikt ich nie śmiał pytać o Romaszówkę i te odwiedziny, tylko w wyrazach ogólnych, choć oczy wszystkich śledziły, szczególnieji pana Aleksandra.

Dopiero po rozejściu się z pokojów, napadli Doroszeńko i kapitan na Jana, który niewiele im potrafił powiedzieć; a nazajutrz chorążyna pod jakimś pozorem zawołać go do siebie kazała, i zdaleka także poczęła badać o Romaszówkę. Jan opisał jej całą bytność, powtórzył prawie do słowa rozmowę, a staruszka nie tając dobrego humoru, odwróciła wreszcie pytania na Kryłów i przyszłe Jana gospodarstwo, które dla niego urządzać miano.

Kilka dni potem, pan Aleksander sam już pojechał do Bundrysów do Romaszówki, cały tam dzień przesiedział, umówił się z gospodarzem o polowanie, i począł z różnych powodów i bez powodu wreszcie nawiedzać go tak często, że musiało to i ludzi i jego zwrócić uwagę.

Znać szlachcic nie przypuszczał z początku żadnej myśli ze strony chorążycy, i byłoby tak dłużej potrwało, gdyby ktoś z sąsiadów nie powinnował mu przyszlęj koligacyi.

Wiadomo, jak to się wieść rozchodzi szybko i rozgłośnie wśród pól naszych; dosyć było kilku przejażdżek pana Aleksandra do Bundrysów, żeby już mówiono o ożenieniu Jamunta z Kostusią.

Niektórzy utrzymywali, że się już chorązyc oświadczył, że został przyjęty, że ślubu dzień naznaczony, a sędzia jeszcze się nawet nie domyślał starania o córkę.

Było to w sąsiedniem miasteczku, dokąd za interesem pojechał Bundrys i stanął w domu zajętym przez niejakiego pana Uchańskiego; starzy znajomi powitali się serdecznie; niegdyś bowiem kolegowali w sądach a choć różnili się wielce w swoich przekonaniach i pojęciach, choć prześladowali niemi wzajemnie, kochali jednak i cenili oba.

Bundrys był szlachcic zakamieniały, nienawidzący panów i państwa, nieprzyjaciel a-reszta-gratów; Uchański, wywodzący się z rodziny niegdyś dosyć głośnej, choć ubogi i podupadły, piał się do pańskości i górą nosił, broniąc magnatów i pragnąc się do nich jeśli nie *re*, to *nomine* policzyć. Obarezony rodziną liczną, bo miał pięćciu synów i trzy córki, pracowity, wesoły, pan Uchański żył ze szlachtą, bo musiał, ale go ochotka ciągnęła do wyższego towarzystwa i często gęsto wyrwało mu się coś na panów braci, których *szlagonami* nazywał i podrwiwał z nich sobie.

Pomimo szczupłego majątku, choć w domu skąpić musieli, Uchańscy, żeby na wychowanie dzieci wystarczyć i przyszłość im jakąkolwiek zgotować, usiłowali zawsze trochę z pańska występować; mieli liberyą herbowną, powozy i konie, kamerdynera, dwór z kolumnadą nazywający się pałacem, i starali się o stosunki z arystokracją miejscową.

Okupywało się to oszczędnością niezmierną, ale stękając na biedę, Uchański utrzymywał się jak mógł na stanowisku.

Między nim a Bundrysem, który znacznie majątniejszy, umyślnie znowu prostego szlachetki grał rolę, kałamaszką jeździł, dziewczętom kazał posługiwać do stołu i w starym dworze nie odmieniać nie pozwalał, wieczne były spory i wzajemne prześladowania. Ale że Uchański, mimo swęj śmiesznej choroby, którą *prymasowską gorączką* nazywał sędzia, był dobry i poczciwy człowiek, uczynny, serdeczny, a nadewszystko pełen sumienia i najwyższej bezinteresowności, cenili się oba i kochali.

Dawno się jakoś nie widzieli starzy przyjaciele, i zobaczywszy w miasteczku, przylgnęli do siebie zaraz.

— Sędziego kochanego! — zawołał jeden...

— Sędziego dobrodzieja — drugi.

— A cóż tu porabiasz?

— A jakaż to szczęśliwa gwiazda cię tu prowadzi!

I nuż w gawędę.

Było tam na placu, co zwykło na wsi występować przy pierwszém spotkaniu, zdrowie, gospodarstwo, interesa, narzekania, py-

tań mnóstwo, przypomnienia stare, aż nareszcie Uchański rozśmiał się, zdjął mykę, którą nosił na głowie, do kolan się pokłonił Bundrynowi, i zawołał:

— A no! — powinszować tedy sędziemu wielkiej koligacyi; przecież się przekonał, że taki panowie nie wszyscy tacy, jakęś ich sobie wyobrażał; stanęło tedy na mojem.

— Co? jak? gdzie? którejdy? jak się zowie? — cofając się zdumiony rzekł Bundrys.

— Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, co tu już taić? wszyscy o tém tylko gadają, można powinszować i jest czego. Bundrynowie górą! ho! ho!

— Ale, jak się zowie, ja ciebie zupełnie nie rozumiem — przerwał niecierpliwie się szlachcic, co to jest?

— No! no! nie bałamuć! starego wróbla nie złapiesz na plewę, winszuję, a nawet zazdroszczę.

— No! — czegoż? jak się zowie? czego? gadaj!

— Toż cały świat wie, że córkę za mąż wydajesz!

— Ja?

— Udawaj, udawaj! niema tu się czego wypierać, daj Boże każdemu, niechby się której z moich co podobnego trafiło, do Cze-stochowy-bym poszedł piechotą.

— A cóż u stu dyabłów! za kogo? oszalałeś! gadasz, a ja nie wiem.

— Przecież za pana Aleksandra Jamunta!

Sędzia stanął jak wryty.

— Kto? ja? córkę moję za Jamunta! człowiecze! co ty pleciesz, ja, szlachcic, za panicza? za magnata? Ja, jabym miał moje dziecko jedyne dać na poniewierkę, żeby się im zdało, że Bundrysom łaskę zrobili! a któż ci to śmiał mówić?

Sędzia z taką to gorączką i zapalem wywołał, że Uchański aż się nastraszył.

— Stój! nie strzelaj! cóż to tak straszego!

— Ale straszego, bo to potwarz! bo to na całe moje życie rzucona plama! — krzyknął Bundrys. — Ja! ja! com gardłował na panów, miałbym się w końcu dać ułudzić im i zaprzeczyć mojego przekonania! któż to zmyślił? gadaj!

— Wszyscy mówią — rzekł wolniej Uchański — nikt ci tego nie ma za złe.

— Kilka razy był u mnie młody Jamunt, ale jeśli mu to w głowie powstało, nie wiem, rozmówimy się otwarcie, co waćpan myślisz, że jabym na to pozwolił!

— Gdyby istotnie starał się pan Aleksander, i córka była za tém, a tyś się opierał, miałbym cię za szalonego.

— A ja waćpanu mówię, że szalonymbys mnie nazwał, gdybym się na to miał zgodzić. Jamuntowie ludzie najuczciwsi, najgodniejsi, słowa niema, ale dziesięć razy bogatsi ode mnie, oni panowie, ja szlachcic, córka moja byłaby tam zawsze intruzem, tego ja nie chcę, i z tego nic być nie może, tak dalece, że mi to nawet na myśl nie przyszło nigdy!

— No, to dajmy pokój; nie gniewaj-że się i nie jątrz daremnie — rzekł Uchański.

— Jak tu się nie gniewać, kiedy mnie i to biedne dziecko wzięli na języki! Co to, ja Kostusię mam na zbyciu? czy co? i że dwa czy trzy razy był u mnie pan Jamunt, zaraz ludzie swatają. Słychana to rzecz! Co to, ja potrzebuję ich państwa? Wolalbyśmy lada ubogiego chłopca, coby butów nie miał, niż te ich miliony, za którebyśmy się im kłaniać musieli. Taka dobra kasza moja hreczana, jak ich melszejzy! a Kostusię stanie na to, żeby sobie męża wybrała między równemi! mosanie! — sapiąc dokończył Bundrys.

— I, dość! — zawołał Uchański.

— Nie dosyć! jak się zowie — zaperzony odparł Bundrys—czy to mnie nie znasz sędzio, czy co? Jamuntowie mają familię, koligacye tam nie wiem jakie, a to ja bym pozwolił, żeby mi ten ich a-reszta-gracki świat na moję jedynaczkę krzywił się i wydziwiał z naszego poczciwego nazwiska? o! póki mojego życia, nic z tego nie będzie!!

— No! to dajmyż pokój tej drażliwej materyi — uspakajał Uchański — choć zaprawdę nie wiem, co tu cię tak gniewać może.

Ale nie łącno przyszło udobruchać sędziogo, który się perzył, gniewał, co chwila wybuchał nanowo, jak zwarzony chodził dzień cały, i odjechał nareszcie tak poirytowany, że Uchańskiemu szczerze żal się go zrobiło. Za miasteczkiem namyśliwszy się jakoś, kazal zwrócić do Borowój i całą drogę mrużąc wysiadł przed dworkiem ks. Ginwilla.

Kanonik siedział na ławce, obłożony piernikami i gruszkami, wkoło miejskie dzieciaki z elementarzami głośno mu się popisywały z alfabetem, a on im nagrody wydzielał. Trochę opodał wszystkie psy z miasteczka i dworków, przyzwyczajone do cierpliwości w czasie lekyi, siedziały kołem poważnym, niekiedy poszczekując, jakby mu się przypominały; organista stał we drzwiach, zażywając tabakę i zdając się litować nad kanonikiem, który już do potu uznójony był z niesformą dziatwą, więcej pierników niż nauki pożerająca.

Na widok Bundrysa wysiadającego z bryczki, resztę zapasów roz-

dał ks. Ginwill godnym i niezasłużonym, i gością miłego wprowadził do pokoju.

— Siadajże, kochany sąsiedzie — rzekł — siadaj i mów, czém ci służyć?

Bundrys jeszcze był w gniewie i podrażnieniu.

— Z interesem, jak się zowie, przyjechałem—odezwał się śpiesznie — jesteście sami? mogę mówić!

— Mów, mów, nikogo niema, co tam? przestraszasz mnie, kochany sąsiedzie, cóż to tam takiego?

— Księżę kanoniku dobrodzieju, pozwalasz otwarcie?

— Zmiłuj się, cóż to za przybory, starzy jesteście znajomi, i, spodziewam się, przyjaciele...

— Otóż w imię przyjaźni, jak się zowie... powiedz, księżę kanoniku — czy jest w tém myśl i zamiar jaki, że pan Aleksander uczęszcza do mojego domu? Miło mi zawsze go witać, ale ja mam córkę, ludzie złośliwi nie śpią... już plotą trzy po trzy... potrzeba się porozumić...

Ksiądz Ginwill stanął w wielkim kłopotcie co począć, i nie dobrze jeszcze pojmując, z jaką to myślą mówił Bundrys.

— Ja to tego tak dalece dobrze nie wiem, co pan Aleksander myśli... no! ale... gdyby... to cóż? to cóż? — spytał ksiądz Ginwill.

— Gdyby tę myśl miał, to niechże ją sobie zawczasu z głowy wybije! — buchnął Bundrys — bo jak mi Bóg miły, z tego nie nie będzie!

Kanonik łagodnie ruszył ramionami.

— Najprzód, powiadam ci, sędzio kochany, że nie nie wiem, i nie mogę cię stanowczo w téj mierze objaśnić... ale powtarzam, gdyby się starał, cóż ty masz przeciw niemu?

— Ja? nie, tylko że pan! — odezwał się Bundrys.

— A dalej? — spytał się kanonik...

— To mi dosyć! nigdy córka Bundrysa nie pójdzie tylko za szlacheica...

— Mój sędzio — rzekł kanonik łagodnie — katolik jesteś?

— Cóż to za pytanie?

— A bo widzisz, podałeś mi się w wątpliwość... tylko poganie różnicę robili między klasami społeczeństwa... nie sędzę, żebyś myślał, iż ci twoje przywidzenia pochwałę... Cóż ci Jamuntowie zawadzili? możesz-że co im zarzucić? czy źle używają tego, co Bóg w ich ręce powierzył? nie dosyć się dziela? czy się wynoszą? czy mają próżność jaką? czy upokorzyli kiedy kogo?

— A ja tam w to nie wchodzę, co oni są, szanuję ich, oceniam — rzekł Bundrys — ale pan panem, a ja nie chcę, żeby moja córka winna była całe życie jakąś wdzięcznością za to, że się od J... nie od

B... będzie nazywać i w pałacu mieszkać, gdzie jęj ciepłej jak w naszej chacie nie będzie... Więc, kochany księże kanoniku, jeśli pan Aleksander bywa u mnie po sąsiedzku, dla przepędzenia chwili w szlacheckiej chacie, bardzom wdzięczen i rad; ale jeżeli ma myśli jakie, wcześnie chce to państwu zapowiedzieć, że z tego nic być nie może i nie będzie!

— Mój sędzio... ależ z ciebie gorączka! — rzekł kanonik — powtarzam ci, że nie wiem nic... gdyby jednak, gdyby...

— To darmo...

— Ale skąd ci przyszedł ten niespokój?

— Ba! bo już bębnia w sąsiedztwie, że się żeni! Jak mi to Uchański powiedział dziś w miasteczku, jednym tehem tu przyleciałem, żeby się odrazu zbyć ciężaru.

Kanonik chodził wolno po pokoju, zażywając tabaczkę...

— A! ludzie — rzekł po chwili — ludzie! ludziska!... zawsze poganie i poganie, pychę was szatan do zguby wiedzie! Każdemu się chce górować, a twoja próżność szlachecka, mój sędzio kochany, stokroć większa niż Jamuntów państwo! Po chrześcijańsku to! powiedz? Tobie nie idzie o szczęście córki, ale o dogodzenie dumie własnej; nie nikomu winien być nie chcesz...

— Zapewne że nie chce...

— Uderz-że się w piersi, czy to tak Chrystus przykazał? — dodał kanonik — co to oni temu winni, że się panami urodzili? To, co ty państwem nazywasz, nie imię, nie bogactwo, nie starość rodu stanowi, ale także дума, a tu jęj niema... Uchański twój, zacny człowiek, ale straszniejszy pan od naszych milionowych i prastarych z mitrą książęcą Jamuntów; ty, moje serce, jesteś także a-reszta-grat... po swojemu — rzekł uśmiechając się Ginwił. Uderz-że się w piersi, powtarzam, a jeśli szczęście córki zależeć będzie od tego, nie stawaj na drodze z pychą swoją, bo grzech popelnisz...

— No, pycha! pycha! — przerwał Bundrys — nazywaj ją sobie, księże kanoniku, jak chcesz, przekonywaj czy nie przekonywaj, ja mojemu życiu kłamstwa nie zadam w końcu.

— To jest, nie poprawię się do ostatka — rzekł ksiądz Ginwił.

— I szlacheckie słowo na to daję...

— Stój, człowiecze, stój — zatrzymał go kanonik — słowa nie dawaj, nie wiąż się niem a popraw się...

— Pan Bóg tam zrobi ze mną, co mu się podoba — zawołał Bundrys — ale ja mojego postanowienia nie zmienię.

To mówiąc wziął za czapkę.

— No! jakże bez herbaty?... a możebyśmy poszli do starych?

— Nie mam czasu! — odparł Bundrys — do domu kawał...

a tam mnie mój krupnik czeka... do nóg upadam księdza kanonika.

Próżno go było zatrzymywać, tak był jeszcze rozżalony i nie swój. Ksiądz Ginwiłł więc milcząc przeprowadził do ganku i puścił do domu.

Ledwie się od dworku bryczka odtoczyła, gdy z pałacu, dowiedziawszy się o przybyciu Bundrysa nadszedł sam pan Aleksander, chcąc go zaprosić, ale już nie zastał tylko kanonika, który swoje ptaszki karmił, pociechu odmawiając modlitwę. Pozamykawszy izdebki, pociągnęli na herbatę.

— A co tam? — w progu zapytała staruszka. — uciekł nam pan Bundrys?

— Śpieszył się do domu — rzekł kanonik, na którego twarzy łatwo było wyczytać skłopotanie i niespokój niezwyčajny. Chorążyna domyśliła się, odgadła coś zaraz, i nie dając poznać po sobie, po chwili dla pokazania *Flos passionis*, który w ganku rozkwitał, wyprowadziła proboszcza.

— Czego to przyjeżdżał sędzia?

— At! stary dziwak! — odpowiedział ksiądz.

— Coś bo mi kanonik jesteś nie swój, jakbyś się co złego dowiedział.

— I, to nic... prawdę powiedziawszy, bzdurstwo...

— Nie tyczy się to Aleksandra?

Ksiądz Ginwiłł, który nigdy nawet w najmniejszej rzeczy nie kłamał, umilkł.

— A widzisz, zgadłam! — zawołała chorążyna. — Oleś tam był kilka razy... cóż tedy?

— Stary dziwaczy...

— Mów bo szczerze, otwarcie, z czém przyjeżdżał?

— Wpadł jak bomba, mościa dobrodziejko... zaperzony... ktoś mu tam w miasteczku, podobno Uchański, powinszował, że się pan Aleksander z jego córką żeni... bo to zwyczajnie ludzie paplać lubią... ten to tak wziął do serca...

— No! ale cóż to tak straszego?

— Abo go to pani nie zna? Zaczął od tego, że jeżeli odwiedziny pana Aleksandra są z przyjaźni sąsiedzkiej, bardzo dobrze, a jeżeli w jakiej myśli...

Chorążyna załamała rękę...

— Stary uparty, ale co to na to zważać!

— Cóż on mówi?

— Że gdyby istotnie pan Aleksander miał myśl taką, on na to nigdy nie pozwoli...

Biedna staruszka spuściła głowę smutnie.

— Mój Boże! — zawołała — cóżeśmy mu zrobili?

— Nie trzeba na starego zważać i panu Aleksandrowi o tém mówić; pomiarkuje się przecie... powiedziałem mu, że nie o tém nie wiem, a zresztą wyburzałem i odprawilem.

Tak poszeptawszy weszli do salonu a chorążyna napróżno starała się udawać wesołość i cały wieczór ze spuszczoną nad robotą głową, ostrożnie lży ocierając, przesiadziała mileżąca.

Od dawna już nie pamiętano w Borowój takiego smutku, ciężącego na wszystkich, i tego nieopisanego stanu niepewności, oczekiwania, jaki tu teraz panował. Przy obiadach mało kto się odzywał, poglądali na siebie wszyscy, zdawali badać i nie rozumieć; wieczorami, gdyby nie czytanie, które teraz zawsze należało do Bronicza, nie wiedziano by co począć. Chorąży smutniejszy był niż kiedy, przywykli już do poznawania stanu jego duszy z chodu i ruchów dworsecy, syn, żona postrzegali po sposobie, w jaki wchodził, po stapaniu i rzucanych wejrzeniach, że nie był w zwykłej swój mierze, coś go wewnątrz niepokoiło i gryzło. Kroki jego nie były regularne, zatrzymywał się, podnosił głowę, zdawał nie rozumieć czytania i zaglądał czasem w książkę, jakby chciał watek jego pochwycić stracony. Chorążyna poplakiwała pocichu, ale święta niewiasta tak się obawiała, żeby tego nie zobaczył, domyślił się, tak nadrabiała przymuszoną wesołością, że znowu dziwiła nią dworaków, przywykłych do innej weale swobody umysłu...

Pan Aleksander najlepiej ze wszystkich grał rolę takiego, jakim był całe życie, ale i w nim drgało coś niezwyčajnego, odzywały się chwilami niepokoje, objawiało zaprzątnienie jakieś, tęsknota.

Można więc sobie wyobrazić, jakie to wrażenie czyniło w przywiązanych do nich wszystkich przyjaciółach, na tym dworze, który zgadywał każdą myśl państwa i gotów był na wszelkie poświęcenie dla nich i ofiary. Nawet ksiądz Ginwiłł posmutniał i wychodził z próżnemi kieszeniami od stołu, w dziedzińcu dopiero przypominając sobie po stojących psach, że im chléb był winien, do którego przyzwyczaił. Panna Jamuntówna, która więcej i lepiej od drugich wiedziała, co się gdzie działo, będąc powiernicą chorążynęj, pośleła już nowennę na intencję państwa, przypuściwszy do współuczestnictwa pannę Krystynę. Kapitan Zbrzeski, od wyjazdu pani Bulskiej co dzień prawie zmieniał o niej zdanie, to ją pod niebiosa wynosząc, to strącając do piekiel, ale tak był zajęty tém zjawiskiem, że bukietów nosić Krzysi zapomniał. Pulikowski, podejrzliwy zawsze, domyślał się jakichś intryg, obawiał o siebie, przeczuwał klęski i lamentował; Doroszenko milczał zadumany, Hończarewski wyrzekał na antychrystkę, która spokój mieszkańców Borowój zakłóciła, a Bronicz

chodził jak nie swój, nie przypominając już ani Kryłowa, ani projektów, które od rodziców był przywiózł.

Wszyscy chodzili powarzeni, niespokojni, jakby im jakie zagrażało nieszczęście, a zebrawszy się nawet przed którym z dworków, siedzieli milczący, poglądając jedni po drugich... Najdziwaczniejszém to było może, że młody Bronicz, niedawno jeszcze tak szczęśliwy, stał się chmurnym z innemi i widocznie jakoś się zmienił, podwajał troskliwość około pana Aleksandra, całe dnie siedział w bibliotece, ale widocznie czegoś bolał. Przypisywano to naturalnie tęsknocie po rodzicach, niespokojowi o nich, obudzonemu świeża jeszcze bytnością.

Nie wiem, czy pan Aleksander odgadł, czy nie, powód bytności sędziego u kanonika, o którym mu nikt jednak nie mówił, ale pod pozorem wymówienia mu, że do nich nie wstąpił, pojechał zaraz nazajutrz do Romaszówki, wziąwszy z sobą Bronicza, który się zrazu opierał i chciał zostać dla jakichś zatrudnień, a wkońcu posłuszny z nim razem musiał się wybrać.

Bundrysa zastali w ganku z ludźmi, zajętego ogromnie czyszczeniem strzelb i jakiemiś myśliwskimi przyborami; twarz jego na widok gościa oblała się żywym rumieńcem, powitał go zmieszany, wprowadził do domu z nadskakującą grzecznością, ale panna Konstancya nie wyszła i do herbaty sama pani Osmólska tylko im towarzyszyła, składając na ból głowy nieprzytomność wychowanki.

Uderzyło pana Aleksandra obejście Bundrysa, nagle zmienione, ceremonialne jakieś, zimniejsze, trochę pomieszania, szepty z panią Osmólską, narady, i widząc się nie wpore gościem, prędzej niż zwykle odjechał; gospodarz go nie zatrzymywał.

Weześniej powróciwszy do Borowój, poszedł zaraz do matki, którą jak zawsze za krosienkami zastał; powitała go z uczuciem niezmierném patrząc mu w oczy, jakby z nich chciała odgadnąć, co się tam w Romaszówce stało.

— Wracam z Romaszówki — rzekł.

— A wiem. Zastaleś ich?...

— Sędzia był, panny Konstancyi nie widziałem.

— Nie wyszła?...

— Mówiono, że chora...

— No! szczerze Olesiu... jakże, podoba ci się?...

— Bardzo... — rzekł zimno pan Aleksander.

Chorażyna potrząsała głową.

— Nie! nie bardzo... — odpowiedziała pocichu — o Bulskiej mówisz inaczej...

— Ale doprawdy... szacuję i przywykam do panny Konstancyi.

— To jeszcze mało, moje dziecko...

— Gorzej podobno, że ona więcej patrzy na Jasia Bronicza, niż na mnie i milęj mu się uśmiecha — rzekł z niejakim żalem pan Aleksander.

— Co ty mówisz?... — zawołała przestraszona chorażyna — ale bo po cóż go było wozić z sobą! Chłopiec malowany, śliczny!... niema co mówić, roztropany... jak my to tegośmy nie porachowali... Nie bierz-że go z sobą więcej.

— A gdyby on tam miał znaleźć szczęście? — odezwał się pan Aleksander.

— To prawda — rzekła staruszka wzdychając — niechże się dzieje wola boża, a! ale tak mi się chciało téj Kostusi da ciebie...

— A mnie jęj dla was — odpowiedział Aleksander.

— Nie dla siebie?...

— I owszem, ale...

— Tybyś ją pokochał! musiałbyś pokochać!...

— Nie wątpię, w moim wieku większą rękojmnią dla przyszłości szacunek i przywiązanie spokojne, niż gorączkowe uczucie.

— Boję się tych, co je budzą — odpowiedziała chorażyna — i uczucia się lękam! dobre to w pierwszych latach młodości, ale zawsze się kończy smutnie i próżnia po niém w zyciu zostaje.

Nie mówili z sobą więcej. Pan Aleksander westchnął tylko i odwrócił przedmiot umyślnie; chorażyna nie śmiała go badać.

Co się działo w sercu Bronicza, odgadnąć trudno, ale są znaki, po których rodzące się przywiązanie, choćby najpilniej zakrywać się usiłowało, poznać można. Wszystko mówiło za tém, że dla panny Konstancyi nie był obojętnym Jan, ani ona jemu. Ile razy ją wspomniano, czerwieniał lub udawał, że nie słyszy, co mówiono; czasem wynosił ją wysoko, to znowu odwracając podejrzenia, zbyt mało cenił i wad wyszukiwał, tak jednak ostrożnie, żeby z nich porobić cnoty; spytany, nigdy nic nie wiedział: do Romaszówki jechał niespokojnie, powracał rozmarzony i szczęśliwy. Ale młode chłopię, wiedząc dobrze starych chorągstwa projekta, tłumilo w sobie doskonale zaród uczucia.

Panna Konstancya znowu nie tała weale przed panią Osmólską, że jęj się daleko więcej podobał Bronicz od pana Aleksandra; na co oburzała się podeszła niewiasta mało uważająca ubogiego młokosa.

Po odjeździe pana Aleksandra, przy wieczerzy, na którą wyszła Kostusia, gdyż nie była weale chorą i tylko z rozkazu ojca, zdziwiona, musiała się w pokoju swoim zamknąć od gości, wszczeła się rozmowa o Borowěj. Kostusia nie mogła wytrzymać, żeby nie spytała sędziego, dlaczego jęj wyjść nie pozwolił.

— A co to waćpannie do tego? — odparł sędzia chmurny —

czy to u was i w klasztorze panna starsza tłumaczyła się, kiedy co przykazywała, po co i na co?... *Sic volo, sic jubeo; stat pro ratione voluntas.*

— Ale ja, ojcze kochany, i tego nie rozumiem...

— A to waćpanna rozumiesz, że starszych słuchać potrzeba?

Kostusia zamilkła, ale Bundryśowi już się jedynaczki żal zrobiło.

— Bo to widzisz, moje dziecko — rzekł po chwili — ci panowie, to im się zdaje, że jak z nich który do szlacheica przyjedzie, to mu szczęście z sobą przynosi... Nie trzeba im tak zbyt nadskakiwać, psują się do reszty...

— Ale pan Aleksander taki grzeczny, taki miły!...

— Doprawdy?... — marszcząc się spytał Bundryś.

— A cóż można mieć przeciw niemu?...

— Zapewne nie!... tylko że pan...

— No, a Bronicz?... ten także bardzo miły — odezwała się naiwnie Kostusia.

Ojciec podniósł na nią oczy i zobaczył jak raka upiekła. Myśl jakaś dziwna przeleciała mu przez głowę, ale ją w sobie stłumił i począł obojętnie:

— To hołota, choć jakiś krewny tych Jamuntów — rzekł z wolna — ale chłopak jak malina, niema co mówić.

— I bardzo skromny, a do rzeczy — przedziła pani Osmólska.

— Chłopiec przyzwoity, źle tylko, że się na łasce u Jamuntów uwiesił — dodał Bundryś — niechby pracował inaczej, tu to się tylko próżniactwa nauczy.

— Słyszałam, że go prawie gwałtem od ojca wzięto — dodała Kostusia.

— I ja to wiem, ojca znam, ubogi jak święty turecki, zagou sam orze, ale taka fantazyja szlachecka jak rzadko, aż miło; nieczyj łaski nie chce i swój chleb razowy je... O! umie ubóstwo nosić! krew pocziwa!... Ci Broniczowie stara szlachta u nas... mieli się dobrze dawniej.

— Ale jacy to pocziwi i ci Jamuntowie — dorzuciła Osmólska — że tak o krewnych nie zapominają...

— A kto im pocziwości zaprzecza?! — przerwał Bundryś — tylko panowie... jak się zowie... magnaterya! Wołę Broniczów! wołę Broniczów!...

I spojrzal na córkę, która już czegoś pod stołem szukała.

— Trzebaby ich tu kiedy obu na polowanie prosić — dodał sędzia uśmiechając się do siebie — sieci mają i psy dobre... i ten stary ich, jakże się zowie? zna jucha lasy, jak nie można lepiej, Kiryło sam przyznaje. Ot, pojedę do Borowój...

Nie wiedzieć, co znowu w głowie zaświtało sędziemu, ale trzeciego dnia kazał zaprządz do wózka i wesół, śmiejąc się do siebie w duszy, do Borowej wyruszył.

Zajechał przed pałac, i gdy chorążyna niespokojna wyszła na przeciw niego, upatrując w jego oczach, co jej przywozi, powitał ją tak wesoło i ochoczo całując w rękę, że się aż serce staruszce rozradowało.

Nadszedł natychmiast i pan Aleksander i ksiądz Ginwiłł ze dworku, aby niepotrzebnemu jakiemuś zamachowi, którego się obawiał, zapobiedz, ale zamiast spodziewanego z wielkiej chmury deszczu, znaleźli Bundrysa rozdobruchanego, rozprawiającego raźnie, serdecznie jakoś i nad wszelkie oczekiwanie w lepszym humorze.

— A ja tu umyślnie przybyłem — rzekł do wchodzącego Olesia — żeby pana z całym myślistwem zaprosić do siebie... zapolujemy jeszcze raz... Ale tak, i pan Bronicz i Doroszeńko i Pulikowski — co żyje, nawet ksiądz Ginwiłł może?..

— Co waćpanu w głowie, panie sędzio, że ja na tę waszę rzeź patrzeć pojedę... — oburzył się kanonik — a toby pięknie było!..

— Mości dobrodzieju, wszak ci mamy patrona myślistwa w świętym Hubercie, który był wielkim łowcem podobno.

— Chyba też-by św. Hubert mnie na polowanie wyciągnął! — zawołał ksiądz Ginwiłł — a mnie to do czego...

Nie rychło już nadszedł Bronicz, i swoim zwyczajem, skromniutki chciał się ukryć w kącie, ale Bundrys poszedł wprost do niego, otwartemi witając ramiony z pewną afektacją, która wszystkich oczy zwróciła a chłopca zarumieniła.

— Jak się masz? — rzekł — nie prawda, że i waszecz do mnie przyjedziesz na polowanie?..

— Jeżeli czas pozwoli...

— I czas i pan chorąży pozwolą, a ja proszę, przyjedź, naucz się polować... to chłopcu zdrowie daje i uczy naszego starego szlacheckiego wojennego rzemiosła! I zdrowo i miło... jak się zowie!

Napróżno jednak chciał Bundrys wyciągnąć Jasia z ustroini jego i okazywaną mu szczególniejszą jakąś przyjaźnią przybliżyć do siebie; Bronicz zawstydzony tém, umknął mu jak tylko mógł z oczów; ale wszyscy postrzegli w postępowaniu sędziego coś niezwyčajnego, i chorążyna nawet posmutniała, nie wiedząc, jak to pogodzić z odwiedzinami u proboszcza. Nikt się nie spodziewał, aby zakamieniały szlachcic odmienił tak rychło zdanie, i sam przyciągał pana Aleksandra, oświadczywszy się przeciwko niemu; potrzeba więc było wyjaśnić znaczenie téj zagadki.

Proboszcz wziął go na stronę.

— A, przecież... — rzekł — masz rozum, Kochany sędzio...

— Jegomość dopiero to dziś postrzegłeś? — zapytał Bundrys śmiejąc się — albo co?...

— Bo ci z głowy wywietrzały twoje przesady, i pomiarkowałeś się, żeś głupstwo powiedział, będąc u mnie...

— Jakto, alboż odwołuję?...

— Jużciż, kiedy go zapraszasz!...

— Ale bo, jak skoro po mojem oświadczeniu był u mnie, toć mi ręce rozwiązał; już w nim konkurenta nie widzę...

Proboszcz głową pokiwał; szlachciec się uśmiechał.

— Dajmy temu pokój...

— Myliłbyś się, kanoniku, gdybyś sądził — dodał sędzia — że ja pana Aleksandra ocenić i uszanować nie umiem... tylko że takiego pana nie chcę...

— A! a! — zawołał ksiądz Ginwił — zawsze też sama piosenka!...

— Zawsze i do końca...

— No! to dajmyż pokój...

— Dajmy pokój...

Rozśmieli się oba.

— Niech Bóg prowadzi jak jego wola... — rzekł proboszcz.

— Zapewne, zdajmy się na Niego... — odpowiedział Bundrys z jakąś miną żartobliwą.

Reszta odwiedzin tych zesłała na tak miłej rozmowie, sędzia tak był uprzejmy, tak się wstrzymywał z przycinkami na arystokracją, tak wesół i nadskakujący, że chorążyna znowu posądziła kanonika, iż mu się przesłyszéć musiało to, co jój powtórzył.

— Jakże, mój kanoniku, to wszystko pogodzić — odezwała się do niego po odjeździe sąsiada — oburza się i zaprasza... co to ma znaczyć!...

— A! i ja tego nie rozumiem... — rzekł ksiądz z pokorą.

— Ale jak ci się zdaje?...

— Najgorzej, że nie pojmuję i jestem jak w worku... stary coś sobie przemyślił innego, ale nie bardzo mu wierzę i obawiam się...

— Mój Boże! dlaczegoż to ludziom z ludźmi żyć tak trudno, pogodzić się, a nawet zrozumieć?... — zawołała chorążyna. — Pociesz mnie, poradź co, kochany kanoniku... ot, znowu nasza nadzieja dla Olesia... zniszczona... a ktoby się mógł spodziewać, że to, co drugim pomaga, nam zaskodzi właśnie?...

Powiedziała to z takim głębokim smutkiem biedna matka, że kanonik cały się jego wyrazem poruszył.

— A! pani chorążyno dobrodziejko, do Boga pociechy szukać, nie do słabych istot, jak ja... zdać się na wolę Jego i złożyć na ofiarę

u stóp krzyża żądania i pragnienia... Dawno to powiedziano, że śmierć i żona, przeznaczona; w istocie musi czuwać Opatrzność nad dziećmi swojemi, boby oni sami nie potrafili odgadnąć szczęścia, gdzie się ono znajduje, ani wybrać cierpienia, które może być zbawienne. Módlmy się i ufajmy...

— A! gdyby też nie to... — odpowiedziała staruszka — człowiek by nie wytrzymał może...

I uśmiechnęła się rozpromieniając twarz weselem, które na pociechę drugich przybierała nawykła, i zabrała robotę dając dobranoc proboszczowi, krokiem powolnym wracającemu aleją z modlitwą na ustach, a tęsknotą w sercu.

Inni dworsey z pochmurnemi twarzami, rozeszli się po dworkach, a Broniec z książką w rękę zadumał się nad sobą i tém, co go tu niepojętego otaczało. Strach jakiś go ogarniał, wolałby być na wsi przy rodzicach, w cichój chacie, tu każdy krok obawę wzbudzał i zatrudzał się myślą następstw, jakie mógł za sobą prowadzić.

Właśnie się przygotowywano na wielkie owe polowanie w Romańszówce, gdy z dóbr pani Bulskiej nadjechał posłaniec z listem do chorążynę, oznajmujący o jej powrocie z Warszawy i zamiarze stałego zamieszkania na wsi. Skarżyła się w nim piękna pani na to, że nie miała domu w majątności swojej, że naprędce z folwarku przerwabiła go musiała i wpraszała się znowu grzecznie do Borowej, obiecując być jak najmniej zawadną.

List ten zmieszał chorążynę, która nie widziała sposobu wymówienia się, nieprzyjęcia pani Bulskiej, a instynktowo obawiała się jej dla Aleksandra, martwiąc zarazem przestraszem, jaki ona wzbudzała w starym. Utaić się z tym listem nie było sposobu, odpowiedzieć nań chłodno i odstręczająco nie pozwalały stosunki, pokrewieństwo, prosta grzeczność.

Posłano natychmiast dla porady po proboszcza, zszedł z pokojów swoich w niezwyklej godzinie chorąży mocno podrażniony, w domu całym szeptu i domysły wzbudził ten posłaniec, gdyż jedni pragnęli, drudzy obawiali się przyjazdu pięknej sąsiadki.

Kanonik zastał chorążynę spartą na rękę nad otwartym papierem, tak głęboko zadumana, że nie posłyszała, gdy drzwi otworzył, a starego chodzącego wielkimi krokami po pokoju.

— Bulska przyjeżdża... — rzekł mu lakonicznie chorąży — co tu robić?...

— Jest list od niej — przerwała staruszka odwracając się żywo.

— zaprasza się nam natrętnie prawie — niepodobna, nie możemy jej odepchnąć; pisze, że na wsi u siebie nie ma mieszkania, i przemawia się do dłuższego w Borowej pobytu, póki jej tam domu nie przerobią.

Proboszcz spuścił głowę smutnie.

— Ale cóż tu znowu w tém tak straszniego?... — rzekł powoli — nikt nie wie, skąd mu przyjdzie złe i dobre, niema się czego obawiać...

— Widziałeś przecie sam, jak Oleś był nią zajęty?... Teraz przez posłuszeństwo dla nas, począł bywać w Romaszówce, ale jak Bulska przyjedzie, wszystko przepadło...

— To się państwo grzecznie wymówcie.

— Ale to niepodobna! — zawołała chorążyna — zrobilibyśmy sobie nieprzyjaciółkę, i słychanaż to rzecz! nie mamy powodu!...

— Nie można — rzekł krótko chorąży.

W téj chwili dowiedziawszy się o liście, wpadł żywo z twarzą rozpromienioną pan Aleksander, i wszyscy umilkli odrazu, po ożywioném wejrzeniu jego poznając, że musiał się domyśleć powrotu pani Bulskiej; to ich jeszcze bardziej nastraszyło, że ten znak uczucia w zwykle panującym nad sobą człowieku postrzegli.

— Jest list od pani Doroty?... — zapytał matki.

— Właśnie go czytamy... — odpowiedziała chorążyna — i myślimy, co nań odpowiedzieć. Zaprasza się do nas na dłuższe mieszkanie.

Pan Aleksander zarumienił się.

— Mnie się zdaje — rzekł — że tu się niema co namyślać, gościnność nie pozwala odepchnąć krewnęj.

— Ale ta kuzynka zbałamuci nam Olesia!... — odezwała się chorążyna, w pół smutnie, w pół niby wesoło pogładając mu w oczy.

— Zdaje mi się, że nie — odparł pan Aleksander — znamy ją dosyć, i niełatwo damy się uwieść neącąj powierzchowności, może nas zabawić i zając, nie powinniaby zbałamucić.

To mówiąc pocałował matkę w rękę.

— Pewnie!... — spytała chorążyna — dlatego do Romaszówki pojedziesz?...

— Ale czemuż nie! — rozweselony rzekł pan Aleksander — choć nas tam różnie przyjmują.

— Dobrze przyjmują, ale *dobrze* — odezwała się matka nalegając.

Stary pochodził chwilę po pokoju, i zeicha się wymknął. Pan Aleksander zwrócił się do proboszcza, który stał z głową spuszczoną i uściskał go w milczeniu.

Te niezwykle oznaki rozweselenia i ożywienia w chorążycu,

byłyby dla innych dostatecznymi do wyrozumienia stanu jego duszy, i otworzyły oczy na niebezpieczeństwo; dla tych serc kochających i radujących się każdą chwilą wesela umiłowanego dziecięcia, były tylko pociechą. Widząc go tak jakoś swobodnym i rozpromienionym, staruszka zapomniała o wszystkiem i wzięła się do odpowiedzi na list, kanonik do Boga o pomoc westchnął, i zapomniano trwogi.

— Bóg łaskaw! — w sercu powiedzieli sobie oboje.

W Romaszówce tymczasem wielkie czynione przygotowania do polowania, a szlachcic chciał co się zowie wystąpić i caluteńkie na nie sprosił sąsiedztwo.

— Niech znają brata szlachcica — mówił — ot tak kiedy hulać to hulać; zabawimy się, zabawimy, stanie i nas na ucziwie przyjęcie.

Nie było tam wystawy pańskiej, ani starania o wytworność; ale za to myślano, żeby dostatek był wszystkiego, dla panów, ludzi, służących, koni i psów nawet, żeby nikomu nie zabrakło i było każdego komu przyjąć i ugościć. Taki to właśnie był charakter starej gościnności polskiej, nie wyciągającej się jak dzisiejsza na pochlubienie czémś niezwyčajnym, drogiem, osobliwszém, ale starającej się o pokazanie serca i dostatku domowego. Przyjmowano nie tylko panów jak teraz, ale wszystkich z nimi przybywających, konie, psy, i w bród dawano, co dom miał, pilnując, żeby nikomu na niczém nie zbywało, i gdy się gospodarz dla wszystkich rozzerwać nie mógł, zdawał namiestnictwo gościnności na pomocników, którzy go zastępowali.

W pokojach krewni jego wspólnie z nim dzielali gospodarstwo, naprzeciwko jakiś marszałek dworu, i tak aż do folwarku i stajni, było komu o przybyłych pamiętać.

Gdzież to dziś ta prastara odznaczająca nas gościnność, niekiedy utrudzająca, ale zobowiązująca serdecznie, szczerą, wylaną, braterską? została po niej pamięć tylko i szczytki po wsi zakątkach, natomiast przybraliśmy obycaj cudzy, w którym wiele jest popisu i próżności, formy wytworne, a serca ani za grosz. Dla gościa chowamy to, co nas może w oczach jego dostatniejszemi niż w istocie jesteśmy przedstawić: chwalimy się przed nim, popisujemy, ale go nie przyjmujemy. W salonie chłodnym, ceremonialną karmim go rozmową, a ludzi i koni wyprawujemy do gospody, i gdy raz ruszył, już się o niego nie troszczym wcale, choćby po noce karku gdzie nadkreślił. Nie tak, o! nie tak dawniej bywało! ale też inne węzły łączyły z sobą i jednoczyły nasz światek szlachecki: wszyscy byliśmy bracia, i wielki pan, gdy do najuboższego przyjechał, witał go tym panem bratem, którego gdzie-

indziej nie posłyszałeś. Wszyscy byli sobie krewni jakoś i połączeni, nikt się z ogółu nie wydzielał dla zajęcia uprzywilejowanego miejsca: dziś każdy myśli, by sobie jakieś odrębne uzyskać. Nie mamy panów, bo znikła idea poświęcenia i przewodnictwa, która ich niemi czyniła, ale panków i paniarzy nieskończenie wiele. Jeden lepszy, że pradziada miał na krzesle, drugi, że imiennika dworakiem, trzeci, że w herbie coś nosi, na co nie zasłużył, a każdemu się zdaje, że gdy wszechmoeny garniarz z gliny przodków naszych lepił, dla niego się szczypta porcelanowej dostała. Jest też to właśnie znakiem upadku państwa, że je kto chce wdziewa i jak chce nosi; dawniej się starszeństwo w braterstwie zyskiwało kosztem krwi i ofiary, dziś kupuje za pieniądze i mierzy szkatułką. Wielka miłość i serce wielkie dawały przedtém pierwszeństwo, teraz wielka duma i pamięć o sobie.

Stary Bundrys pojmował jeszcze gościnność po staroświecku, i gdyby przybyły krwi jego zapotrzebował, utoczyłby mu jój bez wzdrygnięcia; to też teraz tak polowańko zbierał, jakby króla oczekiwał, choć samą szlachtę sąsiadów pospraszał, a z nią jednego pana Aleksandra, który w rzeczy od równości szlacheckiej wcale się nie wyłamywał, a wychowaniem, umysłem i obyczajem do ogółu należał.

Nadszedł nareszcie dzień wyznaczony, a w wigilią już cały dom był w ruchu, siekano w kuchni, krzątano się we dworze, psy, sieci i konie ściągaly do Romaszówki, a pani Osmólska głowę traciła, bo stary Bundrys ze wszystkiego był niekontent i gderał a zapalał się, że niedosyć literalnie rozkazy jego spełniono. Na folwarku nie spano całą noc, bo strzelcy przychodzili i wracali z wieściami od kniei, a z miasteczka coraz coś żydek arendarz przywoził.

Nareszcie nadszedł dzień uroczysty i kolejają dalsi i bliżsi poczęli się zjeżdżać, w niewykwintnych wcale strojach, z psami, z strzelcami swemi, wózkami, konno, bryczkami, strzegąc się resorowych powozów, któremi Bundrys brzydził się i dla kobiet ledwie ich pozwalał.

— Słyszana to rzecz! — mawiał — żeby się dobrowolnie wydelać i do niczego robić! co to teraz, jak się zowie, powymyślali, jakby człowiek nie powinien hartować się; oni mu hart wszelki odejmują dla użycia wygodek! A to krzeselka, z pozwoleniem jak poduszki, które dawniej wstyd było wziąć pod głowę, a to powoziki, żeby nie trzęsło, choć dawniej na terlicy szlachcie dwadzieścia mil zrobił i nie czuł fatygi; a to odzież różną, od wilgoeci, od chłodu, od gorąca. I tak też się powypieszczali, że gdyby któ-

ry z nieboszczyków dziadów wstał a popatrzał na potomków swoich, wzięłby ich za żydków, ledwie z pierzyny wypuszczonech.

Pan Aleksander też ze swoim dworem na szarabanach i wózkach przyjechał do Romaszówki, wlokąc za sobą całą armię strzelców, koni, szczerwaczów, psów i furę sieci.

Stojący na ganku gospodarz powitał go wesoło.

— No! a księdza Ginwilla niema! o! niedobry — zawołał — a Jaś Bronicz? — dodał niespokojny.

— Stawię się na rozkazy — odpowiedział wesoło, ze strzelbą wyskakując młody chłopiec.

— Ale z waćpana podobno jeszcze, jak się zowie, myśliwy nie tęgi — odparł szlachcic podając mu rękę serdecznie — pierwsze pole.

Zwykła w takich razach rozmowa ochocza rozpoczęła się w ganku, ale nie potrwała długo, bo już zastawiano śniadanie, uwijały się dziewczęta i Litwin na czczo gości swoich w las puścić nie mógł, choć refektarzyk dobrze zaopatrzony stał już na furgonie. Potrzeba było jeśli nie jeść, to choć skosztować trochę, a kto chciał dowieść przyjaźni, musiał się przygotować głodem do jak najserdeczniejszego zajadania przez dzień cały; bo Bundrys sam miał dobry apetyt i brak jego przypisywał po staremu *niełasce i wybredności*.

Już mieli wyjeżdżać z Romaszówki do lasu, gdy gospodarz wyszukawszy oczyma Bronicza, przystąpił do niego, obejmując go w pól.

— Za pozwoleniem chorążycy — rzekł — gdybym to ja pana Jana dziś sobie zabrał na pomocnika do gospodarstwa... he?

— Pan Jan zupełnie wolny, i może sobą rozporządzać jak zechce — rzekł szybko Jamunt.

— A spodziewam się, że mi staremu przyjacielowi ojca nie odmówi? — dodał Bundrys — he?

— Co pan każe?

— Ty polowania niebardzo lubisz; słuchaj, Jasiu, zostań tu w Romaszówce, i pomóż Osmólsi i Kostusi przygotować się na nasze przyjęcie... My się wszyscy rozjedziemy, baby tu same zostaną, bądź na dziś naszym Wojskim... he?

— Z całego serca, byłem potrafił! — rzekł Jan.

— Ale czego ty nie potrafisz, chłopiec sprytny... tylko — dodał cicho — córki mi nie balać! — I pogroził mu na nosie. — No, zgoda?

— Z największą przyjemnością spełnię rozkaz sędziego — stawiając w kątku strzelbę rzekł Jan.

— Serdecznie ci dziękuję i zdaję moje władzę — odezwał się

Bundrys wesoło — rozkazuj, pędzaj dziewczęta, staw na pokutę, klóć się z panią Osmólską z mojej plenipowencji, jak ja z nią codzień się ujadam; a zresztą... tylko mi Kostusi nie balać! wara!

Jan na powtórzone to zastrzeżenie zarumienił się mocno i spuścił oczy, a Bundrys rozśmiał się głośno.

— A teraz — rzekł — w drogę! w drogę! czas panowie! czas!

Wszyscy uważali ten zwrot gospodarza do młodego chłopaka, serdeczność dla niego, nareszcie sam wybór pana Wojskiego, do którego starsi i bliżsi znajomi sędziego zdawali się mieć więcej prawa; zadziwiło to niepomału i dało do myślenia młodszemu, ale drudzy umieli to sobie wytłómaczyć podrzędnym położeniem ubożego szlachetki, którego niejako do posługi użyto tylko. Sam Jan niebardzo się zastanowił nad tem, co go spotkało, a z serca proszony, nie wziął wcale za złe staremu, że go na gospodarstwie osadził. Gdy się jednak powoli rozjechali wszyscy, z wrzawą i hałasem śpiesząc do kniei, gdy Bronicz sam pozostał w domu zupełnie sobie obcym, niewiedząc co ma robić, a czując się do jakiegoś zajęcia obowiązany, zakłopotał się położeniem swoim. Nie miał jednak czasu długo rozmyślać, bo na progu Kostusia, która się dotąd nie ukazywała, uśmiechnęła mu się zarumieniona i równie jak on zmieszana.

— A pan tu co robisz? — spytała.

— Ja, prawdziwie nie wiem — odpowiedział Bronicz, pytaniem jeszcze bardziej onieśmielony — sędzia mi kazal zostać... zająć się, ale czém? jak? nie miałem czasu dobrze go rozpytać?

— Jako? pana nam zostawił! — rozśmiała się dziewczeczka.

— A mnie!

— Będziemy więc razem gospodarowali!

— Jestem na rozkazy, i czekam ich...

Wtém weszła i pani Osmólska, słysząc w pokoju rozmowę i stanęła zdziwiona na widok Bronicza ruszając ramionami.

— Patrz, kochana mamó (tak ją zwykła nazywać Kostusia), kogo nam ojciec do pomocy zostawił!

— Mam ich rozkazy spełniać i zastępować gospodarza, proszę mnie nauczyć moich obowiązków...

Kostusia poczęła się śmiać, a pani Osmólska zdawała zafrasowaną...

— Naprzód zadysponujesz pan obiad — odezwała się figlarna gosposia — potem trzeba go wydać... potem pójsć do piwnicy po wino... potem... wyliczyć osoby, urządzić stoły...

— Proszę o klucze, a dam sobie rady...

— Nie, nie, tymczasem siadaj pan, i baw nas... — zawołała Kostusia — wszystko co potrzeba dawno zrobione, i zdaje się, że ojciec zapobiegając tylko temu, żebyśmy się same nie nudziły, zostawił nam pana, zatem całe jego tymczasowe zajęcie. Ja przestrzegam, że się nudzę łatwo i zabawiać mnie trudno.

Pani Osmólska chciała zapobiedz zbyt jawnie objawiającej się wesołości swego ukochanego dziecka, ale na jej mrugania i migi nie zważała pieszczotka i zasiadła na dobre, drażnić Bronicza, który nie widząc, co by miał robić, nie pojmował, po co go tu sędzia zostawił. Nie myślał się jednak uskarżać wcale na losy, bo przez cały czas prawie zostawiony z Kostusią, napawał się jej wzrokiem, karmił rozmową i zbliżając do ślicznego dziewczęcia, poczuł raz pierwszy w życiu tę rozkoszną tęsknotę, to młodzieńcze bicie serca, które się nigdy później powtórzyć już nie może. Nie zastanawiał się wcale nad tem, jak położenie towarzyskie daleko go stawilo od córki Bundrysa, nie pomyślał o niebezpieczeństwie tych oczów, w które się wpatrywał z taką rozkoszą, chciał tylko przedłużyć chwilę, pierwszy raz świtającą życiu, które niespodziana jasność wypogodziła...

Razem z panną Konstancją poczęli niby gospodarzyć, ustawiać, przynosić, przyrządzać stoły, obmyślać pomieszczenie dla gości, wybierać napoje, obliczać butelki, ustanawiać nadzór nad niemi, i tysiące tych drobnostek maluczkich zajęły ich oboje tak wesoło krzątających się koło tego gospodarstwa, że Bronicz zdumiał się słysząc zajęczającą pierwszą przed ganek bryczkę i zabołał widząc wchodzących gości, którzy ich samotność przerwali wrzawą myśliwą. Bundrys zastał córkę z Jasiem pracujących jeszcze koło szafy nad ogromną misą sałaty, i na progu zawołał głośno:

— Otóż to teraz tacy Wojscy, moi panowie... ja go tu zostawiłem dla opieki nad niewiastami; a on mi pod pozorem sałaty córkę bałamuci... i wierz-że tu komu!

Bronicz się zarumienił jak dziewczyna, a Kostusia z uśmiechem pobiegła ku ojcu i gościom.

— Jakże, czy przynajmniej na co się przydał? — spytał sędzia nielitościwy — czy pomógł do czego?...

— Nadzwyczajnie — odpowiedziała pani Osmólska — jeszcześmy go musiały pilnować, takiegoś nam sędzia zostawił gospodarza!...

— Oddamy go pod sąd... i ukarzymy przykładnie! — zakończył Bundrys śmiejąc się. — Ale tymczasem, panie Janie, wyręczaj mnie i każ dawać jeść, boś ty może niegłodny i niebardzo się zmęczył strojąc koperczaki, my zaś dobrze czujemy, żeśmy pracowali...

Nieuwolniony więc jeszcze od służby, Jan zajął się przyjęciem gości, choć może nieumiejętnie, ale serdecznie, wyręczając gospoda-

rza, który zajęty był myśliwskimi opowiadaniem i przychodzącą do siebie córkę, odsyłał wciąż do Bronieza...

To postępowanie nie uszło baczności wszystkich i niechętnych słomaczeń; mało kto tu znał jeszcze Jana; poczęto się dowiadywać i rozpytywać o niego, a kochani sąsiedzi rzucali nań zazdrośne spojżenia z ukosa.

— Cóż to za jeden? — pytał pan Uchański — Bronicz? co za Bronicz? skąd? jak? kto go rodzi? ma majątek?

— Krewny Jamuntów — odpowiedział Doroszeńko, który się pod ręką znajdował, szlachcic ubogi... poczciwy chłopiec i po wszystkim.

— Ale bo, uważacie państwo — dodał Uchański znowu: — sędzia go tak ośmiela, przybliża do córki... coś w tém jest!

— Intryga jakaś — szepnął Pulikowski sam do siebie, w złym humorze, bo znowu chybił do sarny, — intryga jakaś... i kto wie, czy to się mnie nie tyczy!...

— Szalone szczęście tego chłopca! — wykrzyknął Zbrzeski, — ledwie się pokazał na świecie, kochają go, noszą na rękach, chorągwo przepadają za nim, pan Aleksander jak młodszego brata pieści i nosi się z nim, ksiądz Głowiński także, Doroszeńko także; nawet panna Jamuntówna, a ot, i tu jeszcze Bundrys go tak przyjmuje, jakby... ale to nie może być! A to wszystko — dodał kapitan — że piękny chłopiec, gdyby miał nos trochę krzywy, albo zyzowate oczy... nie dorobiłby się tej łaski... Ja mu nie zazdroścę, ale tego nie rozumim; wszak i pani Bulska tak na niego czasem patrzyła, że we mnie aż kipiało wszystko...

— Sędzia trochę nieopatrzny — mówił Uchański powoli, oglądając się na syna, którego może życzył sobie poswatać z dziedziczką Romaszówki — żarty sobie stroi, a chłopcu się głowa może najniewinniej zawrócić... i z dobrego serca, tylko mu zmartwienia przyczyni...

Tak dalece to poczuł głęboko pan Uchański, że do zbliżającego się Bundrysa przemówił pocichu:

— Ale kochany sędzio, ja cię nie poznaję, doprawdy, zbytnio tego szerepetkę ośmielasz... nieostrożny jesteś... biedaczysko gotów zaszłapać...

— Kto? co? którądy? jak się zowie? — podchwycił Bundrys.

— Ale twój pan Wojski? przecież...

— Waćpan bo nie wiesz, kochany Uchańsiu (umyślnie tak poufale prymasowskiego kuzyna traktując przemówił gospodarz), to chłopiec perełka, skromny, poczciwy...

— Ale to słyszę ubożuchne, biedota...

— No to co? — spytał Bundrys.

— I jakich-że to Broniczów? — dodał Uchański.

— Szlachciec karmazynowy! — przerwał gospodarz — za to ręczę, goły jak święty turecki to pewna, zresztą... podobał mi się i kwita. A że chłopak nie głupi, toć mu się nie ubzdrzy niewiedzi... co... jak wam...

To mówiąc odszedł, a kolega pozostał zamyślony ponuro i westchnął nad upadkiem wielkich rodów, które coraz świeże zastępują i spychają... Na pociechę przywiódła mu szczęściem myśl ruiny Palmiry i zniszczenie Kartagi... i *Troja fuit* poety.

Tymczasem goście do stołu zasiedli jak kto stał, bez wyboru miejsce, a postrojone dziewczęta ukazały się we drzwiach niosąc ogromne półmiski bigosu, który obiad rozpoczynał. Bundrys jako gospodarz, Bronicz jako jego pomocnik, sami tylko pozostali na nogach, uwijając się około stołu i zapominając o sobie dla drugich. Traf czy staranie czyjeś, bo można było posądzać panią Osmólską, która Borowój sprzyjała i w wielkich poczęła być stosunkach z panną Jamuntówną, posadził pana Aleksandra przy Kostusi, której oczy jednak roztargnione za Jasiem Broniczem biegały, co ojciec postrzegłszy, uśmiechał się pocichu.

Pan Aleksander był jednak wesół i począł rozmowę przesładując nieco pannę Konstancję swoim towarzyszem, co na twarz jej żywo wywołało rumieniec; nie zdawała się go boleć widoczna skłonność gospodarza dla Jasia, owszem jakby się nią cieszył, wesół był i swobodny. Kilka słów przez niego powiedzianych, znać jednak Kostusię musiały uważniejszą na siebie uczynić, gdyż przez resztę obiadu już na Jana nie ośmieliła się spojrzeć, ani przemówić do niego. Ale mało też odzywała się i do pana Aleksandra, którego bawić musiała Osmólska, niedosyć zręcznie między nim a wychowanką swoją zawiązując niedającą się przeciągnąć rozmowę. Wśród szumnych opowiadań i gwarnej wesołości, skończył się obiad już w nocy, a że się dróg złych obawiano, wszyscy zaraz powoli rozjeżdżać się poczęli, i pan Aleksander także z dworem swoim wybierał. Gospodarz czule żegnając wyprowadził aż w ganek, szczególnież dziękując Broniczowi, i wymógłszy na nim słowo przy świadkach, że go częściej odwiedzać będzie, wycałował na obie strony i puścił.

Znowu tedy wszyscy przytomni poczęli poglądać po sobie, nawet Doroszeńko siadając na bryczkę głową kiwał, a pan Aleksander uśmiechnął się do towarzysza ściskając go za rękę:

— Słuchaj, Jasiu — rzekł — jeśli się nie mylę, klei się to coś dla ciebie. Bundrys wyraźnie cię ciągnie... lub już nie nie rozumiem...

— Na Boga! co za myśl — podchwycił młody człowiek — nie godzi się jej przypuszczać; nigdybym nie śmiał jej powziąć nawet,

bo czuję, że tego godzien nie jestem; a zresztą bogato się nie ożenię, bo pracy własnej, nie żonie chcę być winien przyszłość.

— No! no! zobaczymy, a tymczasem wszyscy już rozwożą po sąsiedztwie wiadomość, że ci sam sędzia córkę swata... i chybaby ślepy nie dopatrzył, że coś podobnego ułożyć sobie musiał.

Tak dobrze jak pan Aleksander widzieli to i inni, we dworze pocichu sobie rozpowiadać o tém zaczęto, i biedny Broniec, obudzając zazdrość, uczuł, że się jakoś od niego odstępili wszyscy, ochłodli, choć nie był winien weale. Panna Jamuntówna szczegółólniej, która prowadziła pana Aleksandra do Bundrysów *unctis viribus* z panią Osmólską, a może miała projekcik wyswatać Krzysię panu Janowi, spojrzała nań nazajutrz tym wzrokiem, który czasem przykrzejszy bywa od słowa.

Choraństwo tylko oboje, choć im o tém doniesiono zaraz, starali się nie pokazywać po sobie, że i ich to może zabolalo.

Taka zmiana uczuć ludzi otaczających, choćby się z nią przez uczucie przyzwoitości najstaranniej ukrywano, musi przecież dotknąć człowieka. Jaś też w parę dni, owiany chłodem jakimś, mimo oznak przyjaźni, miarkował, że się położenie jego niewidomym sposobem zachwiało. Mileczacy, nie miał się nawet komu poskarżyć, przed kim wytlómaczyć, szukając lekarstwa, zakopał się w bibliotecę, a choć go serce ciągnęło do Romaszówki, choć dał słowo, że częściej tam przyjeżdżać będzie, umyślnie o tém zapominał.

Jeden pan Aleksander zdawał się jeśli nie rad tej odmianie, to przynajmniej zawsze równie przychylny Janowi, owszem, jakby mu chciał zapłacić za drugich, zbliżył się jeszcze do niego i czułwał więcej niż każdy.

Taki był stan umysłów w Borowej, gdy pani Bulska, o której oczekiwanym przyjeździe nikt nie mówił, choć wszyscy go ze strachem, pragnieniem, ciekawością oczekiwali, jednego wieczora nadszedła wreszcie, dworniej niż wprzód i zajęła wyznaczone jej pokoje, wprost do nich wysiadając.

Wiadomość o jej przybyciu różnie podziałała na wszystkich; staruszka uklękła i poczęła się modlić, chorazy żywiej przechadzał się po swoim mieszkaniu, pan Aleksander zbiegł z góry, chcąc ją zaraz w ganku powitać, panna Jamuntówna, mimo przyjaźni z Bundrysami, uśmiechnęła się jakoś dwuznacznie, kapitan Zbrzeski siadł, choć to był wieczór, do brzytwy, a ksiądz Ginwill pochmur-

ny, zobaczywszy pojazd, który poznał przesuwający się aleją, zalał ręce i pozostał chwilę w głębokim zamyśleniu.

Piorunem wieść o przybyciu pięknej pani rozchodząc się po innych dworokach wywołała żywe zajęcie.

W godzinie herbaty nikt nie chybił, i zawczasu wszyscy byli na swoich stanowiskach, ale piękna pani pod pozorem bólu głowy, dnia tego nie ukazała się na pokojach, i dworacy odeszli omyleni, każdy do swojego kątką.

Pocichu rozpowiadano tylko sobie, że w orszaku pani Bulskiej, oprócz znajomych sług, przybył jakiś nieznajomy, któremu dano pokoik w oranżeryi, milczącej i smutny, o którym powiadał ów kamerdyner, że to był nadworny malarz hrabiny.

Nazajutrz rano ksiądz Ginwił, już nieco uspokojony po modlitwie, o swojej godzinie wyszedł do kościoła i na cmentarzu chorążyna spotkała się z gościem. Pani Bulska jeszcze, jeśli być mogło, piękniejsza, z jakimś smutkiem na twarzy, czarno ubrana, blebsza nieco powitała staruszkę nadzwyczaj rzewnie i serdecznie.

— Czyś nie chora? — spytała jej chorążyna — zdajesz mi się cierpiącą?

— Straciłam córkę — odpowiedziała wzdychając i odwracając głowę pani Bulska — Bóg mnie najboleśniej dotknął, odbierając jedyny skarb, jaki miałam na świecie... znowu jestem sama! okropnie sama!

Nie tak nie zbliża, jak litość; chorążyna usłyszawszy te słowa, zapomniała o uprzedzeniu przeciw kuzynce i serdecznie z nią zabolowała, rozpytując, pocieszając biedną matkę; ale na jej troskliwe wyrazy pani Dorota odpowiedziała krótko:

— Musiałam zasłużyć; nie mówmy o tém i chodźmy do kościoła... nie wróci już z nieba mój aniołek!

W czasie nabożeństwa wszedł i stanął u drzwi przybyły z panią Bulską nieznajomy.

Leon Kora, którego twarz i postawa okazywały albo nieprzelamane cierpienie lub spokojne obłąkanie jakieś, mimo młodości, zdawał się wyniszczony, zwiędły, zeschły i zobojętniały, oczy miał wpadłe, policzki pofałdowane, a w wejrzeniu wyraz dziwny; znać było, że patrzył a nie widział, że szedł dalej drogą dlatego tylko, że go popychano, ale go nie obchodziło życie. Strój wielce zaniedbany, wczesnie wyłysiała głowa, budziły politowanie nad stanem tego człowieka, który żywym trupem chodził jeszcze po świecie już mu obcym. Gdy się wszyscy ruszyli z kościoła i przechodzili przez cmentarz do pałacu, pani Bulska skinęła na artystę i zaprezentowała go chorążynie, staremu panu i Aleksandrowi. On się uklonił zlekka wszystkim

wkoło, w milczeniu, nie uśmiechnął nawet, i sztywny wyprostowany a zimny, poszedł z drugimi, powoli przyzostając.

— Niezmiernie państwa przepraszam — zawołała hrabina, odwracając się do obojga gospodarstwa — że tu z sobą musiałam przywieźć tego nieszczęśliwego człowieka. Jest to wuja mojego wychowaniec, niegdyś pełen talentu artysta, którego doznane przeciwności złamały tak, że prawie melancholii dostał; przez litość porzucić ni go niepodobna. Zdaje mi się, że najmniejszego z nim państwo nie będziecie mieć kłopotu; całe dnie siedzi w swojej stancyjce, mówi mało, zresztą łagodny bardzo i cichy. Nie mogłam go samego zostawić w domu, bo się obawiam, aby osamotnienie nie pogorszyło jeszcze stanu, w jakim go widzicie.

Leon, jakby potwierdzić chciał to, co o nim mówiła hrabina, wszedłszy do salonu, usunął się zaraz na bok i począł przypatrywać obrazom, zapomniawszy o ludziach.

Smutek i czarne suknie pięknej pani, najlepszym dla niej były w Borowej pomoconikiem; wobec cierpienia cudzego zapominano tu zawsze o sobie, i teraz czulej niż wprzódy skupili się koło niej państwo Jamuntowie, bo pojmowali co to jest stracić jedyne dziecko. Nawet chorąży był jakoś rozczulony i serdeczniejszy dla niej nieco. Na twarzy pana Aleksandra oboje rodzice wyczytać mogli, co się działo w jego sercu, tak dziwnie był ożywiony, odmłodzony i przejęty. Ale pani Bulska znacznie teraz w obejściu z nim była zimniejsza i czy to smutkowi jej, czy innym jakim powodom przypisać należało, nie starała się ani zająć sobą, ani zbliżyć do chorążycy, który to zaraz uczył na wstępie i cofnął się dotknięty.

Wielka wistocie zmiana dawała się postrzegać w tej kobiecie, która z suknią czarną wdziała dziwne zobojętnienie i straciła wiele życia... oczy jej roztargnione chodziły po wszystkich, nie zatrzymały się na nikim, mowa była urywana i nieuważna... Przywitała jednak wszystkich dworaków Borowskich z grzecznością i pamięcią na każdego, w takim stanie umysłu zadziwiającą; nawet biedny Hończarewski, który ją antychrystką nazywał, ujęty został wymówionem nazwiskiem swoim i zapytaniem o stan atmosfery, z którego urzędownie zdał sprawę.

Leon tymczasem zwracający na siebie oczy wszystkich, chodził już jakby był w domu, od obrazu do obrazu, niewiele zważając na przyglądających mu się, wpatrywał się i coś do siebie szeptał pocichu. Chciał mu służyć za grzecznego tłumacza pan Aleksander, ale artysta zmierzył go oczyma tylko i nie odzywając się odszedł dalej.

— Widzenie nowych obrazów zawsze go tak na chwilę jeszcze ożywia — odezwała się pocichu hrabina — wistocie, byłyby to znako-

mity artysta, gdyby w nim jakaś struna nie pękła w chwili, gdy każde wrażenie tak jest silne... Biedny człowiek!

— Ale nie staranoż go się uleczyć?

— Owszem — odparła hrabina — ma wielu przyjaciół, pracowało około niego, lekami i moralnemi wpływy, nie nie pomogło; zdaje się, że nie już nie potrafi wywieść go z tej dziwnej apaty, która po najpiękniej obiecującej młodości tak nagle go ogarnęła.

Na obiad przebrana inaczej, ale znowu czarno, weszła pani Bulska, już nieco swobodniejsza i więcej ożywiona: zmienna ta natura z równą łatwością oblekała się smutkiem i rozjaśniała weselem, co chwila stając inną a zawsze pełną uroku. Westchnęła jeszcze parę razy, ale się uśmiechnęła do chorążynnej, którą starała się zająć opowiadaniem, do pana Aleksandra, co cały w nią był oczyma i duszą, do starego milczącego gospodarza, który ponuro siedział w posągowej swej powadze i zadumaniu.

Książd Ginwił, którego ranny smutek pani Bulskiej był jakoś ujął i przejednał, teraz, widząc ją znowu chichoczącą i płomieniste rozsiewającą wejrzenia, machnął ręką pod stołem i nie patrząc już nawet na nią ładował kieszenie okruszynami chleba dla psów i ptactwa swojego.

Na śniadanie Bronicz nie wychodził, okiem zdawała się go szukać przybyła, a gdy się ukazał u stołu, przywitała go z widoczną radością, która młodego chłopca zmieszała i zarumieniła niezmiernie. Spojrzeli na niego drudzy z podziwieniem i wyrzutem prawie, mignął mu wzrok pana Aleksandra chmurny jakiś i tęskny, a Jan przybity, oka już przez cały obiad z talerza nie podniósł, choć kilkakrotnie wyzywała go piękna pani, a wejrzenie jej raz wraz się na niego zwracało. Artysty nikt i teraz rozbawić nie potrafił; obcy wszystkim, nie dał się wprowadzić w rozmowę nikomu, zbywał półsłówkami, trząsał głową, ruszał ramiony, lub zaprzątniony pytań nawet nie słyszał...

Wedle obyczaju domowego, po kawie rozeszli się wszyscy zaraz: pani Bulska już była we drzwiach salonu, gdy na myśl jej przyszła jakaś książka i zażądała jej od Bronicza, ale on odesłał żądane dzieło przez starego Mateusza... Na wieczór pierwszy przyszedł pan Aleksander i matkę tylko z pończoszką zastał, siedzącą już przy umbrelce, samą jednę. To wczesne przyjście jego nie uszło jej baczności, bo zwykle chorążyc się opóźniał, dziś przyspieszył, co rzadko bardzo się trafiało.

— Nie pojedziesz do Romaszówki kiedy? — spytała go niewiasek.

— I owszem, wybieram się właśnie z Broniczem.

— Dobrze, żeś mi go wspomniał — odparła chorążyna — czyby

go już nie osadzić w Kryłowie? jak myślisz? chłopiec się może rozpróżnować: boję się, byśmy go potem nie mieli na sumieniu. Życie nasze nadto jest ciche i spokojne dla niego; dobre dla nas starych, szkodliwem być może młodemu, który i zajęcia i ruchu i pracy potrzebuje. Patrz, co podobne położenie może zrobiło z tego biednego artysty... nie chciałabym, żebyśmy mieli co podobnego do wyrzucenia sobie z Janem, wołałabym, żeby wszedł w trochę czynniejsze życie.

— Ja myślę także o Kryłowie, który nań czeka, ale dziś jeszcze oddać mu nie mogę — rzekł pan Aleksander — lubię go i jest mi potrzebny, chcę wprzód ten folwarczek trochę urządzić.

— Ale czy nie lepiejby było, żeby go on sam sobie urządził? — zapytała chorążyna.

— Na to potrzeba funduszów, których nie ma i przyjąć nie zechce — ale już się to robi i sędzę, że wkrótce go zainstalujemy.

Na te słowa weszła pani Bulska z uśmiechem na ustach i pośpieszyła powitać chorążynę. Pan Aleksander spodziewał się z nią widać przechadzki po salonie i cichęj rozmowy, której pragnął się здаwał, ale ona, jakby się tego domyślała, usiadła na kanapie i nie zwróciła nawet oka na niego. Przykro musiał to uczuć chorążyc, usiadł zdaleka wpatrując się z wyrazem wyrzutu w piękną kuzynkę, która wieczorem jaśniała znowu w całym odmiennym blasku oryginalnej swej piękności. Kilka razy próbował się do niej przybliżyć, zawiązać z nią rozmowę, wyprowadzić z kątką, w którym się zamknęła; pani Bulska, niby go nie rozumiejąc, pozostała przy chorążyni. Różnica jej postępowania z panem Aleksandrem od pierwszobytności, w ciągu której była zalotną i pocieszającą, czuć się dawała ogromna: unikała go widocznie, grzecznie była ale zdaleka, i jak wówczas usiłowała go zbliżyć do siebie, tak teraz oddalała chłodem.

To postępowanie prawie wdzięczność wywołało w chorążynie i gospodarzu, którzy się zawsze jeszcze obawiali uroku i stąd wypłynąć mogących następstw dla syna. Natomiast, gdy wszedł Bronieź, schwyciła go zaraz pani Bulska i wynalazszy jakiś powód wysunięcia się z kątką, podeszła ku niemu żywo.

— Dziękuję panu za książkę — szepnęła bawiac się końcem bawystowej chustki, którą targala w ślicznych białych paluszkach — ale czy nie wypadało przynieść jęj samemu?

— Przepraszam panią — rzekł młody chłopiec, na którym nie robiła teraz po pannie Konstancyi żadnego wrażenia trzpiotowata lalczka miejska — sądziłem... zawołano mnie do pana Aleksandra.

— To tylko przestroga na drugi raz! — rzucając nań gorące wejście czarnych oczów, dziwnie głębokie i znaczące, odpowiedziała odchodząc pani Bulska. — Poznaj się pan bliżęj z moim artystą.

I tłómacząc niby zbliżenie się swoje do Jana, zęcna hrabina

przyprowadziła Leona, zapoznając ich bliżej z sobą. Artysta posłuszny przyszedł, stanął, zmierzył oczyma Bronicza i pozostał tak w milczeniu przed nim, ze swoim osmutniałym wzrokiem i martwą twarzą.

— Chciałam — odezwała się do chorążynęj pociechu — zrobić bliższą znajomość panu Janowi z moim artystą, mnie się zdaje, że powinni by się pokochać, choć tego zamarłego człowieka trudno wzruszyć i powołać do życia.

Wszyscy jakoś byli swoi, a na pani Bulskiej ciężył obowiązek ożywienia ludzi, których jęj przybycie warzyło widocznie; nieporównanie zręczna, wzięła się do tego powoli, nieznacznie, i tak zdaleka, że nikt nie postrzegł strategii; ale obrała przedmiot wszystkim przystępny i zajmujący, ożywiła się sama, podrażniła drugich, rzuciła pytaniami w różne strony, i w pół godziny potrafiła z odrętwienia dźwignąć.

Wytrzymawszy pana Aleksandra czas jakiś na boku, i osądziwszy zapewne, że ta niełaska dłużej się przeciągnąć nie powinna, znalazła powód przybliżenia się do niego, zagadania, zagładziła uśmiechem przeszłość i cicho szepcząc, poczęła z nim zwykłą po salonie przechadzkę.

Wśród nięj uchem była przy nim, okiem z Broniczem rozmawiała, odzywała się do chorążynęj, pilnie uważała, żeby nie stanąć staremu panu na drodze jęgo zwyczajnęj, zaczępiła księdza Giniwilla, uśmiechnęła się do Zbrzeskiego, rzuciła słówko Pulikowskiemu, który się przestraszył tą dystynkeją niespodzianą, i tak umiała być wszędzie, zastosować się do każdego, jak gdyby tu całe życie spędziła.

— Daruj mi, kuzynku — mówiła do pana Aleksandra — jeśli mnie trochę inną znajdujesz (westchnęła), nieszczęście przeszło przez serce moje; czuję, że nie jest panią siebie, zapominam się, głupieję. Nięma mojego aniołka! nięma!

Żal jęj był zaprawdę dziwny i tak teatralne od żywęj natury jęj przybierał barwy, a tak szybko rozwiewało go słowo jedno, zastępował uśmiech i odradzała nieznaczna okoliczność, że go zrozumieć było niepodobna. Ocierała oczy i nięmi już szydersko mierzyła dwór Borowski, który w istocie takięj miejskięj wytworności, w swych strojach prostych, w postawach i twarzach nieco karykaturalnych, dziwacznie się musiał wydawać.

— A! życie — zawołała po chwili — nie znajdujesz, kuzynku, że to coś niezrozumiale męczącego jak sen gorączkowy, snują się ludzie, zjawiają postacie, nikną, wyrastają, dręcą, niekają, wracają, a wśród tego zamętu, ani chwili spokoju.

— Tak, hrabino — odpowiedział pan Aleksander — dla gorą-

cych istot, co chcą wszystkiego spróbować, doświadczyć, dotknąć się koniecznie; ale kto sobie koło niewielkie działania zakresił, rozumiał, że dla prawdziwego szczęścia możliwego, ani wiele, ani tak różnych niepotrzeba żywiołów, życie jest drogą prostą i jasną.

— Jakże ci zazdroszczę, że ty to tak widzieć możesz — odpowiedziała hrabina — żeś tak umiarkowany w pragnieniach i chłodny, ale wyrzec się wszystkiego i jak Santon w lachmanach węgietować na słońcu, nie nie mieć, żeby nie tracić, nie nie pokochać, żeby nie boleć, to nie jest rozwiązaniem zagadki, to wykręt samolubny.

— Zdaje mi się — dodał kuzynek — że tak nie jest, cierpieć musimy wszyscy, bo to warunek życia; im gorętszych szukamy rozkoszy, tém cięższym oplacamy je bólem, ale na spokojnej drodze wiemy czego się spodziewać i jak przeciw temu uzbrajać; tu coraz nowe burze i nigdzie dachu nad głową.

— Ależ to życie w pełni! — zawołała kobieta — co mi z tego snu odrętwiąłego, kamiennego, w którym zatopieni nie postrzegamy nawet u kresu, żeśmy przebiegli przestrzenie? jest-li to życie?

— Nie trzeba więc narzekać, co kto pragnie, wybiera!

— Zimny jesteś, kuzynku, i ja chłodną być umiem, gdy chcę, ale niezawsze nad sobą panuję. No, a teraz powiedz mi — dodała zwracając rozmowę — cóżeście tu porabiali w czasie niebytności mojej?

— Życie nasze z jednego dnia już musiałaś pani poznać; wszystkie dni w niém — bracia rodzeni, dziś, jutro, zawsze też same twarze, też same pytania i o jednej godzinie wrażenia jednakowe.

— Ale przecież? polowałeś?

— Trochę.

— Czy się już kochasz w Bundrysównie? — zapytała szydersko.

— Ja? cóż to za pytanie? skąd o niej wiesz?

— Ale ja wiem wszystko — rozśmiała się — ot tak! szepeze mi powietrze, mówią mi ściany, domyślam się, zgaduję, domyślałam się więc, że cię chciano rozkochoać! i cóż?

— Nie wiem, czy chciano, ale nie rozkochano, to pewna! — odpowiedział pan Aleksander chłodno.

— I ożenią, czy nie?

— Któż?

— Rodzice twoi!

— W tém się mylisz, kuzynko; oni chcą może ożenienia dla mnie, ale mnie zmuszać do niego nie myśla.

— Może się mylę, ale wistocie — zawołała — powinienbyś się ożenić, kuzynku!

— Dlaczego? — spytał ciekawie pan Aleksander.

— Choćby dla ciekawości — rozśmiała się kobieta — nie znam w życiu nic bardziej zajmującego nad ten dramat ożenienia, i nie dziwię się, że miłość, kobieta, małżeństwo stanowią zawsze węzeł powieści każdej i sceny. To coś nakształt loteryi, w której człowiek stawia siebie, aby na bilet wygrał lub przegrał przyszłość całą, a najmniej znaczną część życia. Pierwszy akt dramatu, poznanie, wyraz niestosowny, bo któż kogo poznał, nim żył z nim? Dwie obce sobie istoty, spotykają się, mierzą oczyma, i pragną zbliżyć do siebie: urok, fatalizm, ciekawość, namiętność chwilowa, ciągną je, porywają, unoszą; rodzi się to, co się nazywa miłością, uczucie śmieszne, niepojęta bańka mydlana, która pryska za dotknięciem, wreszcie ksiądz wiąże stułą, wyrzekają przysięgę i już są połączeni na wieki. Tu dopiero po ekspozycyi, po wstępie, po przedmowie rozpoczyna się prawdziwa tragi-komedia, w której złudzenie się rozwiewa jak mgła, rzeczywistość żelazna przychodzi i pokuta odbywa za grzech ciekawości, za chwilę zapomnienia. Proszę sobie wystawić dwoje ludzi, dotąd widujących się w salonie, znających powierzchownie jasną tylko swą stronę, nagle poczynających się rozglądać w sobie, rozpatrywać i odkrywać wady, ułomności, odrażające kalectwa. O miłości mowy już niema, chodzi o to, żeby dźwignąć brzemię, a! a! nieboska komedia!

I rozśmiała się z goryczą głęboką; pan Aleksander był zmieszany na chwilę i milczał.

— Nieprawdaż, kuzynku? czy nie tak? — dodała — ja to wiem, bom dwa razy przez ciężką przechodziła próbę!

— I tak i nie tak zawsze może! czemuż pierwszy akt ma karcić złudzeniem? czemu ludzie przywyknąć do siebie i pokochać się nie mają, odkryć w sobie nowych przymiotów?

— A! bo przymioty należą do ekspozycyi dramatu i wyprowadzają się pierwsze na scenę, w drugim akcie ekshibicya słabiej strony.

— Tak, może być chwila rozczarowania, ale po niej wiąże się nanowo węzeł przywiązania, szacunku, zlewają się w jedną dwie istoty.

Pani Bulska się uśmiechnęła.

— Tak! — rzekła — tak! znają się, cenią i ziewają!

— Małżeństwo więc jest niepodobieństwem? — ozwał się pan Aleksander.

— Nie, ale tylko *onus pro peccatis!* — bryznęła łaciną pani Bulska.

— A! połączcie! — rozśmiał się chorążyc.

— Czemuż nie? uczyłam się i tego! — odpowiedziała kobieta — drażniło mnie to, że nie mogłam zakazanego Lukrecjusza czytać w oryginale, i przeczytałam go.

— Cóżś w nim znalazła?

— Chłód, nie poezją...

I w téjże chwili zwróciła rozmowę na tor inny.

— Wyobrażam sobie — rzekła — jaki tu przestрах budzić musi moje przybycie, nieprawdaż? książdz Ginwiłł ma mnie za córkę Beliala, co najmniej, Hończarewski zowie podobno antychrystką... wszyscy patrzą tak zdziwionemi oczyma... Ale co to, proszę, dziwactwo ludzkie — dorzuciła z jakąś tęsknotą — ja, po mojem życiu tak burz pełném, tak wrzawliwém, przywiązuję się, zakochałam w Borowój, w téj ciszy i jednostajności waszój, coś mnie tu niepomowanie ciągnęło, nie zwykłam sobie odmawiać.

— Nowość! — rzekł wzdychając pan Aleksander.

— A dziś, to może potrzeba spoczynku i wypłakania się wśród pocziwych serc, które łyż rozumieją — szepnęła pani Bulska — smutek musi się ukrywać z sobą i w sobie zamykać.

Mówiła o swym smutku, ale oczy wesołe przebiegały salon i zatrzymywały się z kolei na twarzach, które ją otaczały... uśmiech jak błyskawica migotliwy prześlizgał się po ustach różowych; czując, że już długa przechadzka może chorążynę niepokoić, rzuciła się na kanapę, sparła na łokciu i niby w głąb' ciemną topiąc wejrzenie, omglone na zawołanie przychodzącą pół-leżką, zwróciła je na Jana Bronicza.

Dla niego w téj chwili dziwną zagadką był milczący artysta, którego boleść czyniła tak zajmującym, a rodzaj obłąkania tak niedostępnym. Jan kilka razy odzywał się do niego nie odbierając odpowiedzi... bo Leon, jak w tęczę patrząc w towarzysza, zdawał się tymczasem zajęty rozbiorem rysów jego twarzy, czy odgadnięciem charakteru. Już ten egzamin przykrym ma być zaczynał, gdy Leon wziął go za rękę i rzekł niby sam do siebie:

— Natura pocziwa, serce złote, młodość nieprzekwitła... ale co to jutro będzie?... Powiedz mi życie swoje — odezwał się odprowadzając go do bocznego pokoju.

Jan uśmiechnął się łagodnie.

— Alboż ja żyłem — odparł powoli — te dwadzieścia kilka lat, to sen spokojny i orzeźwiający... wolałbym o twoje spytać, panie Leonie?

— A! moje... to się już skończyło i zapomniało! — zawołał Kora — pochowane i zarosłe... mogiły nawet niema znaku. Ale temu dajmy spokój; lubisz ty sztukę? rozumiesz?

— Lubię, ale niewykształconém przecuciem piękności tylko...

— A bije ci serce na widok obrazu, posagu, zachodu słońca, ciemnej lasów głębi, blasku wód, muzyki, poranku?

— Modlę się wzruszony...

— To dobre — rzekł Kora — Bóg cię pięknym stworzył, nie możesz nie czuć piękności; ludzie, co jęj nie widzą, rodzą się pozawarni i ulomni... Będziemy przyjaciółmi.

— A prawda, że piękna? — spytał po chwili odwracając się ku Bulskiej.

— Jakto? kto? — oburzył się artysta — możeć się kto nazywać pięknym przy niej? gdzie ona jest? patrz! kłękaj i zachwycaj się!... Mimowolnie Jan Bronicz uśmiechnął się tylko.

— Zamknięte masz oczy — rzekł zimniej Leon — to więcej niż pospolita piękność, to wszystkie piękności razem jednoczone, to ideał, prototyp... I niepojęta jak...

Zamilkł jakby sobie przypomniął, że marzy na jawie i odwrócił się od obrazów.

Rozmawiali jeszcze z Janem, ale artysta więcej pytał, niż sam się spowiadał, a tak dziwnie przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot, urywał, nie kończył, półsłowa rzucał niezrozumiałe, że Bronicz z litością i przestachem porzucił go wreszcie, wzięwszy za zupełnie nieprzytomnego.

Tak przeszedł ten wieczór w Borowej, smutny dla obojga chorąstwa i rozpoczynający dla nich z obawą przewidywany szereg dni, o których następstwach myśleli ze drżeniem.

Pani Bulska na całą zimę powoli rozgospodarowywała się u Jamuntów; wiadano już przez jęj ludzi, że do miasta powracać nie chciała, a u siebie na wsi mieszkać nie mogła; własni jęj przyjaciele dziwili się i nie pojmowali, co ją skłoniło do wybrania sobie tego kąta i wytrzymywania wśród tak przeciwnych żywiołów, ale przywykli nie próbować nawet zgadywania powodu jęj czynności, przyjęli tę fantazyę z poddaniem się milczącém.

Zrazu smutna, powoli rozweselała się, i wracając do chwilowych zasepień wśród najżywszych porywów wesołości, to się chmurzyła i milczała, to trzpiotała jak dziecko, to poważniała jak starzec. Dar cudowny zgadywania ludzi i pociągania ich ku sobie, i tu jęj posłużył pomimo obawy i wstętu, jaki początkowo wzbudzała; chorąży na już przebaczała wiele, użalając się nad jęj nieszczęściami, chorąży nie odzywał się przeciw niej wcale, pan Aleksander poddawał się urokowi zapominając na wszystko, i przy rodzicach tylko nie

wydając z uczuciem, sam-na-sam marząc i szalejąc, jakby miał lat dwadzieścia. Pomimo zręczności, z jaką co chciała kryła, a na jaw wyprowadzała to tylko, co jej było potrzeba, pani Bulska zaraz w pierwszych dniach z tak widocznym zajęciem zbliżała się do Bronicza, że to wszystkich uderzyć musiało, a jego oburzyło tylko.

Urok bowiem cały prysł teraz i rozwiął się w jego oczach; sercem był w Romaszówce, do której nie jechał tylko przez wzgląd na chorążych, a piękna pani wydała mu się poczwarną istotą, bo ani jej zalotności bez celu, ani tego niepokoju, który wiodła za sobą, pojąć nie umiał.

Zbliżenie się do Leona, po którym łatwo było poznać, co go do tego stanu przywiodło, do reszty oburzyło Bronicza i dusza się w nim wzdygnęła na myśl, że ta istota potrzebowała pożerać i zabijać, aby żyć, siac śmierć wkoło siebie, aby nudy rozerwać.

I gdy pan Aleksander marzył topiąc się w głębinach jej wejrzenia, Jan śmiało mierzył ją okiem, wyzywał prawie szydersko i stawał do tego boju z przekonaniem, że zwycięży. Odrazu to zaczepne jego stanowisko postrzegła pani Bulska, i podwoiła starań, aby nieprzyjaciela rozbroić.

Tam gdzie inni padli, napozór silniejsi daleko, Jan, prosty chłopak, ale szczerego i prawego serca, uzbrojony swoim przywiązaniem do Kostusi, i zgrozą, jaką w nim wzbudzała pani hrabina, jak Dawid porwał się mężnym sercem przeciw Goliatowi.

Widząc ją uśmiechającą się do pana Aleksandra i szczepiacą niepokój w jego duszy, z zimną litością obchodzącą się z Leonem, w ostatku pragnącą i tego rzucić o ziemię, młody chłopak uczuł taką wzdargę, taką dumę i niepohamowaną nienawiść ku niej, że całych sił nad sobą użyć musiał, aby jej nie dać wybuchnąć gwałtowniej. Przyczyniły się do tego i odwiedziny, jakie niespodzianie dla pani Bulskiej, zachwiały znowu spokojnym żywotem Borowian. Przyjaciele hrabiniej, Tytus Dahlberg, choć oddawna żonaty, ale wiekuiście w nią zakochany, niejaki pan baron Herder z Drezna, Anglik Sir David Morton i muzyk Salviani, naraz prawie zbiegli się tutaj pocieszać ją po stracie ukochanej córeczki.

Można sobie wystawić osłupienie chorąstwa, zaciekawienie ich dworu i ruch, jaki ci spadający jeden po drugim goście sprawili w załatkę, tak do nich nieprzywykłym.

Dotąd w kalendarzu pana Hończarewskiego bytność kilku dalekich krewnych państwa Jamuntów stanowiła epoki od siebie odległe i przytomne jeszcze wszystkim przypominającym je, jak skoro szło o jaką datę wątpliwą. Mówiono pospolicie: stało się to tego roku, kiedy był kasztelaniec, albo w czasie samój bytności marszałka... lub w rok po pobyte kanonika, i t. p. Nigdy jednak naraz nie zbiegło

się tu i tyle i tak oryginalnych postaci, które na świecie możeby się nie wydawały tak jaskrawo i rażąco jak tu, gdzie największym ekscentrykiem był Hołczarewski ze swoją apokalipsą, i ksiądz Ginwiłł z ubogimi psami.

Hrabia Tytus Dahlberg, któregośmy widzieli już dożywającego młodości, był jeszcze lub chciał uchodzić mimo czterdziestu kilku lat za pięknego mężczyznę. Jedyłą w życiu jego stalszą namiętnością zawsze jeszcze pozostała piękna Dosią, którą chciał uwieść, gdy była sierotą, rozwozić, gdy za męż poszła, za którą jeździł, szalał i zawsze odpychany, upierał się ubóstwiać.

Czas z niezwykłego sere rozbójnika (bo tak go kiedyś piękne panie nazywały), zrobił ruinę, okrytą wprawdzie bielidłem i różem, wyświeżoną i codziennie odmładzaną nanowo, ale ze swym śpiewem i muzykalnością, zawracaniem oczów, rękoma, które pół dnia skrobał i bielił, hrabia stał się przyzwoitą karykaturą, jakby przerysowaną z Gavarniego studyów nad niepowrotną przeszłością. Żonaty hrabia Tytus wiódł zawsze życie kawalerskie i swobodne, pani jeździła, gdzie się jej podobało, wychowywała dwoje ślicznych dzieci, żyła, z kim i jak chciała; on także nie wiązał się bynajmniej obowiązkami głowy domu i małżonka, trzpiotał swobodnie. W najlepszej zgodzie, państwo Dahlbergowie spotykali się co zima w Warszawie, kochali kilka miesięcy i rozstawali szczęśliwie, żeby znów połączyć po wcale niebolesnej rozłące. Mąż czasem przysyłał żonie i dzieciom wykwintne podarki, płacił pensję regularnie, i nigdy najłżejsza chmurka nie zaćmiła horyzontu szczęśliwego stadła, które się tak wybornie dobrało i zrozumiało. Oboje z uśmiechem przyjmowali przyjacielskie przestrogi, których im udzielały czasem miłosierne dusze zajęte szczęściem bliźnich i troskliwe o dobro cudze, ale te ploteczki obijały się o ich uszy, jak najobojetniejsze wieści; znali się nadto, by się czegoś nowego o sobie dowiedzieć mogli, a wiedzieli, że zbyt są przyzwoici, aby się które z nich na skandal i kompromitację naraziło, i nigdy szczęśliwe porozumienie wzajemne nie zostało zatrute temi drobnostkami powszedniego życia. Było to jedno z tych małżeństw, które za wzór w wielkim świecie stawiano: nie można było w istocie nie przyzwoitszego widzieć i z takim prowadzonego taktem, jak ów żywot *en partie double*. Miłość hrabiego Tytusa dla pięknej Dosi, nie była wcale tajemnicą dla jego żony, która się z tych rycerskich śmiała zapałów, a dla skrwawionego serca bohatera nie tak była ciężką, jakby się spodziewać można, po upartym jej trwaniu. Było to uczucie bez nazwiska, obok którego mieścił się i afekt dla żony i kaprysy dla loretek paryskich i bałamuctwo kilkodniowe z baletniczkami i mnóstwo innych epizodów, *a parte*. Zdaje się, obojętność pięknej pani Bulskiej najwięcej się przyczyniała do

utrzymania hrabiego w szrankach, z których nie chciał wyniść zwyciężonym, choćby miał czekać do lat sześćdziesięciu.

Hrabia Dahlberg przybył pierwszy, a sztuczna jego młodość, sztuczna wesołość, ton, sposób obejścia, wszystko obudziło ciekawość mieszkańców Borowój i nieobyčajne nawet ze strony niektórych śmiechy.

Książd Ginwiłł, który jeszcze nigdy takiego mężczyzny podstarzałego, a wyświeżonego jak kobieta, nie widział, oburzony był i zgorszony; ledwie go nie zajechał kropidłem i święconą wodą, utrzymując, że opętany być musiał. Kapitan Zbrzeski nauczył się z tego, że ma prawo wasy szwarcować i długo jeszcze smalić cholewki, inni śmieli się tylko poprostu. Ze między hrabią a Jamuntami było jakieś bardzo dalekie pokrewieństwo przez babki, odwiedziny jego, choć widocznie dla pani Bulskiej, jakoś się jeszcze tłumaczyć dawały. Ona, żeby tego niepotrzebnego gościa z jej przyczyny najeżdżającego Borowę, użytecznić, od pierwszego dnia wzięła go sobie na fundusz i postanowiła przynajmniej nim ubawić państwo chorążych.

Stary elegant poddał się swemu losowi, dowcipował, biegał, trochę spoglądał ku pannie Krystynie Jamuntównie, której świeży rumieńcyk i skromnie spuszczone oczęta podobały mu się, wreszcie jako człowiek dobrze wychowany i bywały, nie naprzykrzył się gospodarstwu, starając być jak najmniej zawadnym.

Jeszcze o nim po wszystkich dworkach rozprawiano, opisując jak się ubiera, trefi, smaruje, i na noc, dla zakonserwowania świeżości płci, ze zrazikami cielęcój pieczeni kładzie, gdy drugi gość przestraszył wszystkich i w najgorszy humor wprowadził panią Bulską.

Baron Herder, znać po drodze dowiedziawszy się, że *Gräfin Dorothea* nie u siebie, ale u jakichś krewnych bawiła, nie zajechał do pałacu, stanął w miasteczku i z biletami tylko przysłał kamerdynera, dopraszając się audyencyi.

Pani Bulska była niezmiernie zakłopotana pierwszym gościem, a drugi zmieszalby ją więcej jeszcze, gdyby zręczna kobiecina nie umiała sobie w każdym razie dać rady... Opowiedziała więc zaraz chorążynie jakąś historję osobliwszą o tym baronie Herderze, zmyśliła, że przejeżdżając tylko wstąpił do Borowój, choć z Drezna go nił ją umyślnie, i musiała prosić o pozwolenie przyjęcia go w pałacu. Cudzoziemiec ten, słowa nie umiejący po polsku, pierwszy raz w kraju naszym, niemający pojęcia o życiu i obyczajach, i dziko się wydał, i zdziwiony ze światem tym nowym dla siebie spotkać się musiał.

Był to człowiek młody, najpiękniej wykształcony, bogaty, który poznał panią Bulską w Wiedniu, był z nią parę miesięcy w Neapolu

i przywiązał się do niej więcej może dla jej dowcipu i rozumu, niż piękności.

Powierzchnowość jego uderzała charakterem giermańskim, bo choć kosmopolityczną miał oglądę i zwiedził całą Europę, Niemcem pozostał. Blondyn, słuszny, nie pięknej twarzy, ale rysów wybitnych, łączył w sobie najdziwniej coś prozaicznego i zimnego z poetycznym i wzniosłym. W obejściu jego była przyzwoitość największa, rzekł-
byś, że zapal i poezję trzymał na wodzy i dowolnie je puszczał lub wstrzymywał, jak wodę do wanny, to ciepłą, to zimną dolewając wedle potrzeby. Nie wiem, jakim sposobem przywiązać go do siebie potrafiła pani Bulska, bo nie zdawał się młodzieńczo w niej zakochany, ale widocznie panowała nad nim i jednym słowem kierowała, jak chciała. Nie dał się zaprosić do pałacu, pomimo grzecznego nalegania pana Aleksandra, któremu się dosyć podobał; oczywiście kazał karcznię w miasteczku i zajmąwszy w niej mieszkanie, przychodził tylko na obiady i wieczory, najczęściej opanowując hrabinę, której na chwile nie opuszczał.

Rozmowa dla niego musiała się zmienić we francuską, co z niej wyłączało część dworu borowskiego i niecierpliwiło księdza Ginwilla, tém bojaźliwszym okiem poglądującego na Niemca, że był protestant. Gdyby był mógł, byłby go nawracał zaraz kanonik, ale się porozumieć nie umieli, bo po łacinie rozmowa nie szłaby, nie przywykłym do języka, który znając dobrze, używać go nie mieli wprawy. Pelen tolerancyi i filozofii, baron polubił nawet proboszcza i przychodził do niego często, idąc do dworu, z wyuczonem już po polsku: „Dzień dobry“, dziwnie brzmiaćem w ustach cudzoziemca, i tak kanonika rozbroił, parę razy znajdując się na nabożeństwie w kościele, że mu nawrócenie niechybnie przepowiadał.

Baron i hrabia Dahlberg, którzy się nigdy wprzód nie spotkali, choć łatwo w sobie domyślili się współzawodnictwa, poprzyjaźnili się jednak w tej pustyni, poznając w sobie ludzi jednego koła i świata. Przybycie ich obu odstraszyło tylko pana Aleksandra, i z tego względu pożądanem się wydało obojgu chorąstwu, ale dostrzegłszy skutku tego hrabina, która zdawała się chcieć wszystkich prowadzić w tryumfie za sobą, tak potrafiła znowu przemówić, nadszka-kiwać, łasić się chorążycowi, że z nią razem począł się śmiać z gości, i nie miał już jej wcale za złe ani kuzynka, ani cudzoziemca, którzy mu ożywili Borową.

Chorąży rzadko wychodził na pokoje i z widoczną chmurą na czole...

Zdawało się wszystkim, że na tém będzie koniec, gdy Pulikowski, który się poprzyjaźnił z kamerdynerem hrabinęj, z nudów szukającym jakiegokolwiek towarzystwa, wpadł do Doroszeńki w chwili,

gdym niemal wszyscy tam byli na wieczornej gawędzie, cały zaprzony i widocznie pełen jakiegś nowiny.

— Ehe!... — rzekł widząc go nadchodzącego Zbrzeski — pewnie panna Jamuntówna spletała jakiegś psikusa nieszczęśliwemu Pulikowskiemu, bo twarz ma na wywrót... A co to ci, poruczniku?

— Ale bo to nie wiecie!... — zawołał sapiąc przybyły — wszak to jeszcze nie koniec.

— Co? nie koniec? — pytał Doroszeńko — ale gdzież początek?...

— Oni nam tu zaleją Borową — rzekł Pulikowski — to skara nie boże!...

— Kto? co?

— Boję się mówić, mogę ucierpieć, najmniejsze słowo zaraz powtarzają — zawołał koniuszy — wszyscy prześladują! ściany słuchają... zresztą co to do mnie należy?...

— To nie było poczynać! mówże, zmiłuj się, darmo nas wprowadzasz w ciekawość — przerwał Doroszeńko.

— A nie wydadcie mnie?...

— Zmiłuj się...

— Bo wiem, że otoczony jestem nieprzyjaciółmi.

Wszyscy parsknęli od śmiechu,

— Gadajcie, co chcecie, nikogo tu nie wymieniam, ale pewna osoba ma sprzymierzeńców wszędzie.

— Panna Jamuntówna! — szepnął Zbrzeski — to się rozumie.

— Jeszczeż żyło się jakoś pod opieką państwa — dokończył Pulikowski, mimowolnie się wywnętrzając — ale jak z tą hrabiną chaos powstał w Borowej, dalej nie wiem, co będzie... dopiero w mętniej wodzie pewne osoby ryby łapać potrafią.

Nikt jeszcze nie rozumiał, ale milczeli wszyscy, chcąc się doczekać końca.

— Hrabina, to nic — mówił dalej Pulikowski — za nią ta ciełca pieczeń... (tak nazywano Dahlberga), dalej Luter... a wy myślicie, że koniec! jako żywo!...

— Cóż tedy? — spytał Doroszeńko.

— Kamerdyner jój powiada, że tam, gdzie się ona pokaże, tłumy prowadzi za sobą... i przysięga się, że jak posiedzi tu, nic to dwóch, trzech, ale kilkunastu jeszcze przyjechać gotowi z różnych świata końców.

— Ależby to już było nadto, żeby tu ich przyjmować miała, i to być nie może! — zawołał Doroszeńko.

— No, zobaczycie... — zeicha rzekł Pulikowski — ten brodac chce w zakład iść ze mną, że nie minie miesiąc, a nowe jeszcze figu-

ry się zjawia... I co my tu poczniemy, a starzy państwo, a pan Aleksander?!...

Wszyscy zamilkli.

— Przywiduje ci się! — rzekł posepnie Doroszeńko.

— A no, to chciejcie spytać kamerdynera... to kobieta niebezpieczna... słyszę, za granicą, gdzie się pokazała, jak za cudownym szli obrazem, a kogo zechce, weźmie za nos i prowadzi...

— Co za dziw?... — przerwał Zbrzeski — a toż piękność jakiej świat nie widział... a główka... o to!...

— Ale po dyabłaż jój ten dwór i tyle ludzi?...

— Kto ją wie...

— Albo to nam ją zrozumieć!... — zawołał Zbrzeski — stać i dziwić się... jabym za nią sam, gdyby kazała, poszedł piechotą do Konstantynopola...

— A ona by ci tam figę pokazała!... — odezwał się kiwając głową Pulikowski — ona ci kpi poprostu ze wszystkich i bawi się, jak dzieci lalkami. Albo to nie widzicie, co robi z tym swoim grafem? żeby tak ze mną, tobym jój w oczy plunąwszy, uciekł do Ameryki, żeby tego szatana nie widzieć...

Jeszcze tak rozprawiali, gdy dzwonek pocztowy, niezwyčajne zjawisko w Borowój, wszystkich do okna i na ganek wyprowadził, i zobaczyli biędą jednokonną rladjeżdżającą sztafetę z najbliższj stacyi.

— Do kogo? — spytał zatrzymując Doroszeńko.

— Do jakiejś tu grafini... — odpowiedział wysiadając pocztylon.

— A no! do pałacu! — zawołał Zbrzeski.

— A ja pójdę do kamerdynera i dowiem się, co to jest... znowu jakaś historia — szybko rzekł Pulikowski — człowiek głowę straci w tym zamęcie... Ot, co się stało z naszj Borowój! nawet żydzi w miasteczku nie mogą tego pojąć... jarmark ciągly... Ci biedni chorastwo odchorują gości.

Tak mrucał pan koniuszy wracając do swoich pokoików nad stajnią i poglądując tchórzliwie ku pałacowi, czy na niego panna Jamuntówna nie patrzy... a inni, że to był wieczór, pośpieszyli do pałacu. W sali nie znajdowała się jeszcze pani Bulska, Dahlberg rozmawiał z chorążyńą, a baron chodził z panem Aleksandrem.

— Najciekawsza w świecie historia! — mówił stary młodzik powoli — ja sam znam doskonale tego sir'a Davida Morton... spotykaliśmy się z nim na różnych Europy rozdrożach kilka razy; aby nowy kraj widzieć, gotów zawsze czy do Chin, czy na Sybir... byle w Anglii nie siedzieć. Długi jak tyczka, rudy nieprzyzwoitym sposobem, piegowaty, ręce po kolana, bakenbardy jak dwie wiechy, wszystkimi

językami mówi a żadnym pocziwie, na wszystkie góry włąził, po wszystkich oceanach pływał, w każdy wulkan zajrzeć musiał, polowania na wiewiórki i na słonie próbował, i gdyby go ktoś dziś zaprosił czy do Gwajany, czy na biegun północny, z równie zimną krwią opakuje się w kauczuki, pozawiązuje tłomoczki i ruszy...

— Ale cóż go tu zagnało do nas? — spytała chorążyna dość obojętnie.

— Mówiła mi hrabina — rzekł Dahlberg — że się z nim zjechała we Włoszech; zgadało się o północy, o naszych krajach, o tém jak to mało kto podróżuje po Słowiańszczyźnie i jak niewiele ją znają: anglik *yes, yes*, odpowiadał, a w końcu żegnając ją przyrzekł, gdziekolwiek się znajdowała, odwiedzić w tym roku. Hrabina zapomniała o tém zupełnie, wziawszy za żart, tymczasem Anglik pamiętał i spada nam tu jak bomba. Przybył tu do Warszawy, tydzień siedział, żeby się dowiedzieć o pani Bulskiej, chodził do konsulatu, kazał zaprządź i trafił jakoś do jej majątku, a dziś sztafeta jej oznajmuje, że czeka na nią.

— Niechże go pani hrabina tu prosi... na to niema rady!... — zawołała chorążyna.

— Właśnie jest w największym kłopotcie, że nie wie, co z nim począć; nas tu już kilku... natrętów...

Sprawa wytoczyła się do chorążego, który jej w milczeniu wysłuchał i odezwał się tylko lakonicznie:

— Naturalnie prosić.

Baron Herder dowiedział się o Angliku chłodno, ruszył tylko ramionami i pokiwał głową; pan Aleksander zmarszczył się; wtém weszła śmiejąc się pani Bulska.

— Wyobrażcie sobie państwo, co mi się trafiło...

— Wiemy, moja droga — przerwała jej chorążyna z uśmiechem — rzesze za sobą prowadzisz...

— Najgorzej, że to wszystko spada na państwa...

— Świata cokolwiek zobaczymy — odpowiedziała staruszka — ja przynajmniej tego twojego Anglika bardzo jestem ciekawa; jak żyje, nie widziałam żadnego, prócz w karykaturze.

— A! i ten jakby z niej zdjęty się wydaje — zawołała pani Bulska — ale ja go odprowadzę...

— Cóżby miał za pojęcie o gościnności naszej!... zmiłuj się!

Trochę się jeszcze drożyła niby piękna pani, spoglądając to na chorążego, to na pana Aleksandra, który udając wesołość, zdawał się przybity i smutny; wreszcie poszła odpisać panu Morton, że choć w obcym domu, przyjmie go...

Nie dalej więc jak nazajutrz, wszyscy mieszkańcy dworków wy-

biegli jak na cudowisko patrzeć na uroczysty wjazd sir Dawida do Borowój.

Syn Albionu nie miał z sobą powozu, a nie chciał wziąć pocztowej bryczki i przybył konno, ze służącym i pocztylionem. Na małym koniku pocztowym, najnieodgodniejszym siodle, z jednym tłomocznikiem przytroczoneym z sobą, drugim za służącym, zapięty pod szyję, pozawiazywany chustkami tak, że koniec tylko czerwonego nosa jego widać z nich było, gentleman wjechał wśród okrzyku żydziaków, przeprowadzających tę kawalkatę od miasteczka. Popielaty jego surdut, krągła czapeczka, niezmiernie długie nogi, sam sposób siedzenia na koniu, czyniły go tak śmiesznym, że nawet ksiądz Ginwill, który wyszedł na ganek, począł gniewając się na siebie śmiać z nieszczęśliwego podróżnika. Dano mu apartament na górze w pałacu, choć ze wszelką przygotowany starannością, jednak niedogodny widać, bo nim się ubrał, nieustannie po coś służącego na dół posyłał i tysiące rzeczy mu brakło.

Wieczorem dopiero, w czarnym fraku, kapeluszu i białych rękawiczkach, sir David Morton ukazał się na pokojach, gdzie się zbiegło znowu co żyło, aby go oglądać. Milezący, poważny Anglik, pomimo swój ekscentryczności, podobał się może państwu chorążym; znać w nim było człowieka, który miał wolę i używać jej umiał, szanującego godność swoje, nie zastanawiającego się zbyt nad tem, co ludzie powiedzą, zaprawionego do niewczasów i pracy, czynnego i przedsiębiorczego. Hrabia Dahlberg, przy całym swem staraniu, aby się okazać przyzwoitym, śmieszniej od niego daleko wyglądał, dziecinnie i małuczko.

Pani Bulska przyjęła go z uśmiechem, podając rękę i zaprezentowała gospodarstwu. Anglik nie dziwił się niczemu, ani innym obyczajom tutejszym, ani dzikości kraju, ani ludziom, którzy z nim mówić jego językiem nie mogli; sam bowiem ceniąc przywyknienia i obyczaje swe domowe, szanował, w drugich przywiązanie do nich. Dżemont-Kestl, jak nazywał Borową, wydał mu się nawet bardzo poważnym i pięknym, a chorąży gentlemanem wielce przyzwoitym... Chociaż z tak daleka za jasną gwiazdą swoją przyjechał, Anglik nie wyglądał nadskakującym kochankiem; mówił z nią, siedział przy niej, patrzył w oczy, ale z flegmą brytańską, z jaką w łeb-by sobie lub drugiemu strzelił albo do ołtarza poszedł; uczucie nie wychodziło na wierzch; jeśli je miał, trzymał w sobie na uwiezi...

Już się z nim obyło w Borowój, gdy na dobitkę, jakaś jeszcze nieznaną figurą, z cudzoziemska wyglądającą, wylądowała naza-jutrz przed pałac. Był to czarnowłosy długogrzywy, wspaniale piękny, muzyk Salviani, któremu, jak się pokazało, hrabina obiecała

swoję protekcyę... a ten wzięwszy ją za słowo, przystawił się za nią do Borowój.

Dopelnit miarki ostatni i oboje chorąstwo, choć grzecznie, ale z widoczném zakłopotaniem go już przyjęli.

Włoch, jak się okazało, ubogi, bo tam ich pod niebem Italii nie wielu możnych, miał tylko swą młodość, głos tenorowy, muzykalność, czarne kędziory, oczy jak węgle i wielce zapalny temperament, zresztą maluczki tłomoczek i ogromne zapasy nadziei. Hrabina musiała go w chwili nudy nieostrożnie ku sobie pociągnąć, a pełen ufności w niezwyciężone swe antinousostwo i apolloństwo belwederskie, Salviani, pewien, że bogata contessa pójdzie za niego, przystawił się za nią w chmurne kraje północy. Na tego jegomości już wszyscy z ukosa i kwaśno jakoś patrzali: Anglik znać go posądził, że gdzieś małpy wodzić musiał, nim śpiewać począł, i obchodził się z nim po pańsku; baron Herder unikał, udając, że nie widzi, pan Aleksander nawet nie musiał być rad jego impertynenckiej piękności, około której Włoch niezmiernie podejmował prace, żeby ją uwydatnić. Obwieszony łańcuszkami, okryty pierścionkami, oblanymy wonnościami niezbyt wytwornego wyboru, przeglądał się we wszystkich zwierciadłach, i stawał zawsze każąc się wielbić.

Jeden hrabia Tytus, jako muzykalny, potrzebując wreszcie niezawodnego towarzysza, bo przywykł być otoczony dworem, przylgnął do Włocha i wziął go w swoją opiekę, nie okazując, żeby mu przybycie tego rywala przykrém być miało. Pani Bulska obchodziła się z nim nietościwie, co on przyjmował z przykłądną cierpliwością, znosząc ostatnie miejsce, jakie mu dawano wszędzie. Jakkolwiek pełne prostoty i dalekie od wykwintu życie w Borowój, gmachy, liczba sług, powaga gospodarzy, patryarchalny ich dwór, pańskie przyjęcie, znać na Salvianim jak na innych zrobiły wrażenie, byli bowiem z jak największém uszanowaniem dla Jamuntów. Anglik upodobał wielce Dżemont-Kestl i ani się można było dorozumieć, kiedy myśli w dalszą swą ahaswerusowską ruszyć drogę, wahał się bowiem, czy przez Kaukaz i Persyę do Indyj, czy do Ameryki przez Kamezatkę pojedzie. Salviani rozgościł się na dobre pod protekcyę hrabinę, choć ta wcale nie zdawała się zbyt czule nim zajmować. Nadskakujący do śmieszności, widocznie *inamorato*, miał nadzieję, że prędzej-później czarne jego włosy i szerokie ramiona wywrzecz powiny wpływ na serce contessiny *Bulesco*.

Ta piątka czcicieli pięknej pani, do której niepedobna było nie zaliczyć pana Aleksandra, choć się żywo usunął na widok przybywających zastępów, wzdrygając się znajdować w tak liczniém gronie, poglądała na siebie z ukosa, i choć w pozornój zgodzie, nawzajem się nienawidziła serdecznie. Pani Bulska, choć jej położenie

w domu obcym z tą czeredą wielbicieli było niezmiernie przykre i trudne, jakoś sobie wybornie rady dać umiała.

Potrąfiła nawet przed panem Aleksandrem i chorążyną wytłómaczyć tak przybycie każdego z tych ichmościów, że żaden z nich nie przyjechał wiedziony sercem, ale każdy z innego powodu i w myśli najniwinniejszej. Według niej, hrabiego Tytusa przyprowadziło próżnowanie, baron Herder znalazł się przypadkiem, sir David dla poznania kraju tu wstąpił, Salviani szukając protekcyi.

Pan Aleksander, jak wszyscy zakochani, usilnie pragnąc oczyścić ideał swój z zarzutów płochości i zalotnictwa, przyjmował za dobre słowa pani Bulskiej, ale wolałby się był pozbyć natrętów. Chorąstwo radzi byli, że ten tłum syna ich odstraszyć może, i mniej może obawiali się pięknej kuzynki, która jednakże nie spuszczała z oka Olesia, a gorętszém jeszcze ścięła wejrzeniem Jana Bronicza, oburzającego się w prostocie ducha nad niepojętą dwuznacznością hrabinęj.

Z nim wszakże najmniej się jęj udawało: stronił od niej, uciekał, zżymał się nad nią, i może temu był winien, że zaniedbując trochę wszystkich swych pewnych już sług, uwzięła się go koniecznie zwyciężyć i podbić pod władzę swoją. Piękny chłopak, nawet przy Salvianim wydawał się innym typem, nie mniej jednak zastanawiającym, a może więcej budzącym sympatyj. Włoch miał piękność spopolitą włoskiego lazzarona, cielesną, zwierzęcą; Bronicz młodość świeżą i w wejrzeniu ten smutek dzieci północy, który jest talizmanem serdecznym. Ale im bardziej piękna hrabina przysuwała się, zaczepiała, usiłowała pochwyć za serce Jana, tém większém on się oburzeniem przejmował i widoczniej od niej stronił. Położenie jego w domu czyniło to łatwém, i wstręt dawał się tłómaczyć bojaźliwością i pokorą.

Gdyby miłość nie była tak niewyleczenie ślepą, pan Aleksander byłby się mógł opatrzeć, z jaką zręcznością ta kobieta odegrała komedye, z nim, z Leonem, z hrabią Tytusem, z Anglikiem, Niemcem i Włochem, umiając utrzymać wszystkich i pragnąc jeszcze do swoich trofeów dodać biednego Jasia, który od niej uciekał. Ale kto przekonany być nie chce, nie przejrzy nigdy, a pan Aleksander uparcie jęj bronił, i choć z uczuciem nie wydawał się wcale, macierzynskie oko czytało w jego duszy męczarnie, jakich doznawał, co cierpiał codzien, jak tonął w tych czarnych oczach, które dla każdego miały błysk inny, co chwila wyraz odmienny, a taką siłę uroku.

Chorążyna sama wyznawała, że gdy się jęj przypodobać chciała i przymilić *pokusa*, nie można się było oprzeć czarodziejce wszechwładnej.

Wśród tego chaosu, który starzy Jamuntowie znosili cierpliwie, nie umiając sobie dać rady, ale który ich bolał niepomału, zapomniano prawie o Romaszówce. Pan Aleksander obawiał się stracić chwili czyhając na piękną kuzynkę, obłożoną i mniej dostępną od czasu przybycia tych panów. Bronicz, choć usilnie zapraszany, pojechać tam nie śmiał: Bundrys znowu nie lubił się sąsiadom narzucać i siedział w swojej chacie. Ale mu się Kostusia nudziła, i pieeszczotka, słysząc rozprowadane dziwy o towarzystwie liczném i osobliwszém, w Borowej zebraném, napierała się je zobaczyć, wdychała, żeby ją tam zawieziono. A że w sąsiedztwie niezmiernie powiększono dziwy, jakie się dziać miały u państwa Jamuntów, i o cudzoziemcach prawiono niestworzone rzeczy, dziecięciu główka się zapalała. Ojciec wszakże nie życzył sobie wziąć Kostusi, miał w tém powody swoje, zawsze jeszcze obawiając się starania pana Aleksandra. Nie wiem, czy nie umiając dostać się do pożądanego a zakazanego świata borowskiego, czy z innego jakiegoś powodu, Kostusia posmutniała od niejakiego czasu, a Bundrys dostrzegłszy tego zafrasował się. Więc w narady z panią Osmólską, co tu robić, pojechali do miasteczka, wozili się z nią po sąsiedztwie, ojciec książek sprowadził, sprawiono wieczorek, ale to nic nie pomogło. Kostusia ożywiła się chwilowo i znowu wpadała w ten stan apatyj jakiejś, którego się sędzia obawiał.

— A co ja tu poradzę, jak się zowie, moja Osmólsiu — mówił do niej — żebym wiedział, że to pomoże, tobym ją wyłajał, ale...

— Zmiluj się pan, na co to się zdało? dziecko i tak cierpi...

— Ale ja tego nie zrobię... — rzekł stary — tak się to mówi, poradź-że mi co z nią począć, kiedy ją nic nie bawi, że nie pożałuje, czego by chciała, to pewna.

Wespół z panią Osmólską wynajdywano różne środki, odnowiono fortepian, przywieziono nuty, dostali książek, zaproszono jakąś panienkę do towarzystwa, ojciec sam krzątał się około swjej doni, biegając z nią i śmiejąc się do niej, ale jakoś wszystko się to nie udawało i nie pomogło.

— Trudnoż mi go prosić — mówił w duchu Bundrys — tego chłopaka!... widocznie się Kostusi podobał, dałem mu do zrozumienia, żebym mu rad był, ale głupi, jak się zowie, po ojcowsku ze swoją pychą siedzi w kącie.

Mowa była o Broniczu, do którego wielkie miał serce sędzia, zdawna sobie powiedziałwszy, że dla przyszłości córki nie powinien jęj wydać za bogatego, ale dać męża poczciwego a małej kondycyi, aby jedynaczka zawsze w domu panią być mogła. Tymczasem trafiła kosa na kamień, Bronicz także nie garnął się do szczęścia, któreby musiał jakimś upokorzeniem okupić.

Wyczekawszy się Bronicza, Bundrys wreszcie siadł pocichu list pisać do niego; ciekawość mogła mu posłużyć za powód zaproszenia, złożył się na pedogrę, że w Borowej być nie mógł, poskarżył na osamotnienie i silnie na chłopca naległ, żeby go odwiedził.

— Jak już i teraz nie przyjedzie, niechże go wszyscy dyabli porwą!... — rzekł pieczętując list sędzia.

Jaś, obawiając się zrobić kroku, przyniósł pismo panu Aleksandrowi, który z uśmiechem spojrział mu w oczy.

— Mój poczciwy Jasiu — rzekł powolnie — nie jesteś u nas zupełnie wolny i swobodny?... możesz robić, co ci się podoba; dlaczego zapytujesz mnie, jakby o pozwolenie?...

— Boję się zrobić fałszywego kroku, i o radę proszę...

— No, więc radzę ci, jedź, baw się, i na mnie nie oglądaj, daję ci upoważnienie zrobić z Bundrysami co ci się podoba i pięknie uklonić panie Konstancyi.

— A pan nie pojedzie?

— Sam widzisz, że tój ciżby porzucić tak nie mogę... Borowa jest w tój chwili arką Noego. Ale ty, jedź, jedź...

Bronicz zawahał się jeszcze, nie było jednak sposobu wymówić się, i pojechał.

Stary Bundrys przyjął go w ganku uściskiem.

— Sluchaj, jak się zowie, mam moje powody domowe, nie się z tём nie wygaduj, zem ja tu ciebie prosił... Ale czemu nie byłeś tak długo?...

— Pan wie, co się u nas dzieje!...

— Ale... Europa się, słyszę, cała zjechała do was...

— Prawie...

— Chodź-że no do pokoju, to nam to rozpowiesz, bośmy okrutnie ciekawi.

W salonie zastali już Kostusię, którą Bronicz jednem wejrzeniem znalazł bardzo zmienioną, spoważniałą; przywitała go jakoś zmieszana, nie z tym uśmiechem i swobodą co dawniej; ojciec w nią patrzył jak w tęczę, i rumieńca dostrzegłszy, zatarł ręce.

— Jeśli to tylko to — rzekł w duchu — no to, jak się zowie, poradzimy.

— Wymawia mi się — dodał głośno — że tak dawno u nas nie był, zajazdem na Borową, gości, słyszę, huk, ruszyć mu się niepodobna...

— Słyszeliśmy — odezwała się Kostusia — jakaś bardzo piękna pani, a z nią dwór cały, może to przesadzone, ale nam tu dziwy opowiadają.

— Przesadzone być może — rzekł Bronicz — jednak, doprawdy, Borowej teraz nie poznać, taki tam wielki świat.

— A! powiedz-że nam pan wszystko! — zawołała Kostusia — bo słyszę i artystów i panów, i jakichś osobliwszych figur macie pełno...

— No, naprzód hrabina — rzekł Bronicz — z nią trochę obłąkany, ale bardzo poczciwy malarz, którego przez litość wozi z sobą, bo-by z głodu umarł.

— Obłąkany! a! nieszczęśliwy! — zawołała pani Osmólska — ja się tak waryatów boję, jakże tam możecie z nim żyć?...

— Ale to obłąkanie tak łagodne i spokojne...

— No, dalej-że regestr? — podchwycił Bundrys — widząc, że się Kostusia ożywia.

— Dalej hrabia Dahlberg z Warszawy.

— Znam, znam z imienia... — rzekł Bundrys — pan całą gębą i a-reszta-grat okrutny!

— Baron Herder z Drezna, Anglik⁷ Morton, i Włoch Salviani, śpiewak.

— Ależ ich jójmość wozi kupą z sobą! — zawołał Bundrys — objedzą Jamuntów dobrze, jeśli zimę całą zabawią.

Tak poczęta rozmowa miała się czém podsycać, bo przedmiotu do niej nie brakło, i może skutkiem wesolych opowiadań Bronicza, który się rychło ożywił, Kostusia w dawno już niewidziany wpadła humor, uśmiechnęła, zajęła, aż ojciec, który z bijącym sercem oglądając na nią, mało nie uściskał gościa, co mu taką sprawił niespodziankę.

Bojąc się nawet przeszkodzić, pod pozorem gospodarskich rozporządzeń, wyszedł z pokoju i kiwnął na panią Osmólską.

— Moja droga — rzekł pocichu w sieni — siedź sobie z niemi, ale cię proszę, nie zawadzaj im, bardzo proszę, już to sobie wybij z głowy, żebym ja ją za pana Aleksandra wydał, bo z tego nic nie będzie, a jeśli się okaże, że Janek jój do smaku, no! to i mnie po myśli. Rozumiesz mnie, nie zawadzaj im...

Zdziwiła się pani Osmólska, i ruszywszy ramionami powróciła do pokoju, zajmując się tak czynnie robotą jakąś, i tak często wychodząc do sąsiedniej izdebki, że dzieci jak same porzuciła. Bronicz, który tęsknił za oczyma dziewczęcia, i w ich wejrzeniu czuł dla siebie przychyłość, zapomniał na chwilę, że powinien był pilnować serca i nie dać obłąkać nadziei; poczęli przypominać owe polowanie jesienne, wzajemnie się zwierzać sobie z wypadków, które ich od tego czasu spotkały, i gdy świece przyniesiono, Jan z boleścią wziął za czapkę, aby pożegnać cichy kątek, w którym mu tak było dobrze.

W czasie odwiedzin jego, Bundrys wprawdzie przychodził kilka razy, zasiadał do rozmowy, kłął gospodarstwo, które mu nie

dawało z kochanym gościem się pobawić, a co chwila przypominał sobie jakąś dyspozycyą i znikał na długo. Kostusia nie uważała tego, zajęta żywą rozmową z Janem, ale pani Osmólska wielce była zgorzozona.

— Staremu się w głowie pomieszało! — mówiła ruszając ramiionami — to dzieciak, biedota jakiś, aż wstyd tak go ciągnie... a miałby, gdyby chciał takiego zięcia, że mógłby się nim przed światem pochwalić...

Na wyjeźdném, Bundrys jeszcze wyprowadzając w ganek Jana, wyściskał go serdecznie, a rad że mu się Kostusią rozbawić udało, i że trafił na pewny środek przeciw jęj smutkom, rzekł ze zbytkiem może wylania i szczeroci:

— Słuchaj-no, chłopeze, sam to już, jak się zowie, widzisz, że cię kocham; nie droż-że mi się i nie ceremoniuuj ze starym szlachciem, bo się ojcu skarżyć będę, przyjeżdżaj częściej...

Odurzony powrócił Jan do Borowęj, gdzie choć krótka niechętnosc jego już ściagnęła uwagę pani Bulskiej. Nie widząc go wieczorem w salonie, mimo zajęcie swoim dworem, pani hrabina spytała pocichu Leona, który tylko dla nięj odzyskiwał przytomność, co się stało z Broniczem?

— Wyjechał.

— Dokąd? nie wiesz?...

— Dowiem się, jeżeli pani każe...

— Dobrze, i powiesz mi później.

W godzinę później, biedny artysta, który wszystkie spełniał posługi, łatwo się od Doroszeńki dowiedział, że Jan wezwany listem pojechał do Romaszówki, i piękna pani została o tém uwiadomioną.

Nazajutrz w najgorszym, opryskliwym jakoś, rozdrażnionym była stanie umysłu; cierpiał od niego Leon, z którego apatyi nie-litościwie szydzić poczęła, żartowała z malowanej twarzy Dahlberga, prawie rozgniewanego przymówką, nie mówiła do Niemca nie mogącego zrozumieć, co zawinił, Salvianiego po pańsku traktowała zgóry, a panu Morton powiedziała wręcz, że nie pojmuje Anglików, co się po świecie włóczę, szukając, czego nie zgubili.

Posmutniał cały dwór, ujrzawszy królowę swą zagniewaną, niespokojną, szyderską, i jeden na drugiego winę tego nieszczęścia publicznego składał. Biedny Leon, kochający w nięj jeszcze idealną Dosię sierotę, byłby się ze wszystkiemi strzelał i bił, gdyby wiedział, kto ją do tego przywiódł stanu; lzy kręciły mu się w oczach; Dahlberg przypisywał zły jęj humor atmosferze borowskięj i wiejskięj. Bo któż mieszka na wsi! — dodawał z ruchem wymownym. — Herder powiadał na ucho panu Aleksandrowi, że ją

Anglik niecierpliwi, sir Morton myślał, że ją nudzi Salviani, Włoch w ostatku cały tłum ten przeklinał.

Dość, że nieodgadniona istota, umiejąca być wesołą jak młode ptaszę na wiosnę i chmurną jak pogrzeb ubogiego, tą razą przerażającą była kaprysem, szyderstwem, jakimś rozdrażnieniem wewnętrznym, które ją opanowało. Wszyscy drżeli i było w istocie czego, bo nikt dnia tego łaski nie miał w jej oczach, nikomu nie przebaczała, a nie przewidywano, jak to długo potrwać mogło.

Gdy Jan cicho i bojaźliwie wsunął się do salonu z Doroszeńką, uważał Leon, że nań rzuciła wejrzenie długie, zagniewane i badające, którego Bronicz nie postrzegł; ścigała go potem oczyma, zaczepiła kilka razy pytaniem i nie dała mu się ukryć za drugimi, wciąż wyciągając na odpowiedzi.

Ale młody chłopak, zamiast przykładem tłumy przypaść na kolana przed zepsutą istotą, zimno, krótko i lekko zbył ją, nie troszcząc się wcale o tę łaskę, tak dla drugich cenną i pożądaną.

Leon, śledzący ruch każdy, widział znów jak twarz jej zarumieniła się przelotnym krwi nabiegiem, jak wstrzęsła się widząc prawie lekceważoną, i zamiast podwoić gniewu, złagodniała dziwnie, strojąc w uśmiech ofiary i wyraz boleści.

Ten zwrot nowy uszedł oczu Bronicza, który tém właśnie ją zabijał, że wcale na nią nie zważał, i nie chybiając przesadzał poszanowaniem, aby się nazbyt nie zbliżyć. Grzeczność jego była prawie impertynencyą, posłuszeństwo rozkazem, tak chłodną formą jakąś, jakby najmniejszej przyjemności nie rodziło służyć hrabinie.

W tym tłumie, jaki teraz napelniał salon borowski, łatwo było się zbliżyć, i pani Bulska dobrała chwilę, pod jakimś pozorem podszedłszy do Jana.

— Pan mnie unikasz widocznie — szepnęła cicho — nie zdaje mi się, żebym na to zasłużyła?

— Ja, pani? dziwię się, że pani tak sobie moje pełne uszanowania postępowanie wytłómaczyć mogła...

— Ja nie lubię uszanowania, żądam współuczucia — odezwała się kobieta żywo — bądź pan śmielszy i poufalszy, inaczej posadzę go o złą wolę... o niechęć.

— Ale skądże być może niechęć — rzekł zimno Bronicz — gdzie niema stosunku?

— Pańskie oczy, ruch mówią mi, żeś niechętny...

— Nie uchybiłem pani, a...

— No, dokończ-że śmiało... a?

— A więcej pani po mnie wymagać nie masz prawa — rzekł zbierając się na śmiałość młody chłopiec.

Bulska spojrziała nań piorunującymi oczyma... i rozśmiała się z politowaniem.

— A! to zabawne!

— Wieśniak jestem — rzekł Jan — proszę mi darować...

Hrabina odeszła, a w chwilę potem wróciła do niego.

— Uczucia nasze — odezwała się mimo przechodząc — najczęściej trafiają na niewdzięcznych...

— Pan byłeś w Romaszówce wczoraj — spytała zwracając rozmowę.

— Byłem pani.

— I jak się panu wydała panna Konstancya?...

— Jak zawsze pani, przedziwnie piękną!

— Doprawdy?... muszę ją poznać.

Odeszła znowu z sir Dawidem w drugi koniec sali, ale Bronicz próżno się krył przed nią, umiała go znaleźć oczyma i spotkać słowem tak zręcznie rzuconém, że niby nic nie znaczące, a pełne było zagadek i wymówki.

— Co to jój jest? — mruczał Zbrzeski poprawując kołnierzyków — już tedy i Bronicz jój potrzebny... ha! kto wie, może i na mnie kolój przyjdzie.

— Winszuję — zawołał Doroszeńko, przechodząc mimo Jana, który stał zaczerwieniony jakimś uczuciem, z którego sobie sprawy zdać jeszcze nie mógł — już i naszej hrabinie głowę zawracasz! Ale pilnuj-że się, żeby cię w Leona nie obróciła.

— O to się nie lękaj — zimno odparł młody chłopiec — nie mi nie zrobi.

Biedny kanonik, od niejakiego czasu zamyślony i smutny, na nic nie uważał i w krześle na uboczu siedząc, dumal, rychło-li ci na jezdniczy Borową opuszczają: z kolei to się dziwił pani Bulskiej, to nad nią litował.

Tego dnia, niepojęta pokusa przysiadła się do niego zaraz po obiedzie z widoczną chęcią rozmowy.

— Powiedz mi, księżę kanoniku — spytała — dlaczego życie tak ciężkie i nudne?

— Ja go tak nie znajduję — rzekł ksiądz — takiem je ma, kto je sobie uczynił.

— Cóż począć, żeby nie było brzemieniem?...

— Modlić się i pracować...

— A kogo ani modlitwa, ani praca nie leczy?

— Chyba ich nie próbował.

— A kto ani pracować, ani modlić się nie umie?

— Niech się nudzi — rzekł kanonik — czy to pani mówisz o sobie? — spytał po chwili.

— Latwo się domyślcć, wszystkiego w życiu kosztowałam i zmęczyło, znudziło mnie już wszystko.

— Dlatego, żeś pani próbowała do zbytku... Gdyby kto nieustannie coraz nowego pokarmu kosztował, jeść by mu się pewnie odechciało. To stan duszy znajomy i choroba pospolita! Spytaj pani, czemu my tu wieśniacy naszym jednostajnym żywotem ani się męczymy, ani nudzimy?

— A! wy! to co innego! — zawołała hrabina! — naprzód ty, księżkanoniku, jesteś święty...

— Tfu! bez tych pochlebstw, moja pani!

— A drudzy... a! nie powiem już.

— Więc radzisz — dorzuciła po chwili namysłu, ot tak stać się jednym z was?

— Biedna duszo grzeszna! — westchnął spoglądając na nią z powagą kapłana ksiądz Ginwill — o! jakżeby ci było zbawiennem stać się w istocie jedną z tych istot pokornych i cichych, z jakich się tu składa kółko nasze... Żyłaś dotąd popisem piękności, oklaskami, hołdami, próżnością, rozumem i dowcipem własnym, ale cóż po tém wszystkiem, gdy to ani drugim, ani tobie nie daje szczęścia ni pokoju! Wyrzecz się świata i marności jego, upokorz duchem, zapłacz choć raz, zabolój, a staniesz się inną!

Bulska zamyśliła się, zdawała poważną i szczerą, ale zdala półuśmiech barona Herdera, który patrzył na jej konferencyą z proboszczem, wywołał natychmiast uśmiezek na usta i wstała mówiąc o czem innem.

Rozchodzono się po obiedzie, gdy w sieni dognęła Bronicza i kazała mu do swego pokoju wejść za sobą; nie było środka wyłamania się, musiał być posłusznym...

Wbiegła do mieszkania tego, rozkosznie urządzonego na wytworny salonik, i rzucając się na kanapę jakby znużona, ręką przyciskając czoło, wskazała Janowi siedzenie naprzeciw siebie; stanął tylko za krzesłem oczekując rozkazów, jakby oznajmywał, że długo tu nie zechce pozostać.

— Siadaj pan — zawołała rozkazująco — czego się pan spieszysz?

— Oczekuję, co pani mi poleci.

— Ja pana spytać tylko chciałam, co masz przeciwko mnie? — odparła żywo.

— Ale cóżbym mieć mógł!

— Nieprawda! ja się panu dziwaczna, śmieszna, może gorzej jeszcze wydaję?...

— Nie mam prawa sądzić nikogo...

— Pan mi się wymykasz, ja-m przywykła do posłuszeństwa...

— A ja do niepodległości — odparł uśmiechając się Jan.

— To prawie niegrzeczność — odezwała się z wymuszonym także uśmiechem.

— Widzi pani, co się zyskuje w towarzystwie takich jak ja wieśniaków!

— Westchnęła i zmierzyła go oczyma, któreby zmieszać go mogły, gdyby nie był zbrojny w uczucie grozy i oburzenia, jakie w nim ta kobieta wzbudzała.

— No, więc jakże, zawsze będziemy nieprzyjaciółmi?

— A! pani, ja nie mam nieprzyjaciół i niczym nie jestem...

— A moim?

— Byłaby to niesprawiedliwość...

— Sądziłam, że potrafisz być szerszym... — szepnęła — podaj mi pan ten flakonik z toalety, i siadaj...

Jan był posłusznym, ale nie usiadł jeszcze, pani Bulska zżymnęła się patrząc na niego.

— Jakie są pańskie zamiary na przyszłość? — spytała po przerwaniu małej, podnosząc oczy ogniste...

— Moje? — zdziwiony odparł Jan — moje, pani?

— Pan więcej mnie obchodzisz, niżbyś mógł sądzić... juscisz na całe życie nie zakopiesz się tu na wsi?

— Owszem, sędzę, że nie lepszego nie mam do zrobienia...

— Więc tak, służyć, rdzewieć, zabić się dobrowolnie? Borowa jest miłą ustronią, ale dla tak młodego człowieka, który całą jeszcze przyszłość ma przed sobą, może pracować, dźwignąć się, sobie i drugim być użytecznym!

— Bałbym się — rzekł Jan — żebym za wiele pragnąc i chcąc iść zadaleko, nie zaszedł tam gdzie biedny Leon...

Kobieta zmierzyła go okiem surowym.

— Ja mało żądam i nie zamierzam iść wysoko, czując, że siły mi zabrakło; alboż tu na wsi i wśród ciszy pracować i stać się użytecznym nie mogę? Czyż koniecznie wznosić się i dobijać czegoś potrzeba?

— Masz pan słuszość — odpowiedziała chłodno — są ludzie nie stworzeni do walki i zdobyczy... omyliłam się.

— Ja właśnie jestem jednym z tych ludzi, wierzących, że na każdym stanowisku w życiu można spełnić jego zadanie i nie pragnę ani więcej, ani inaczej.

— Choć niepotrzebne może, te kilka słów niech panu dowiodą, że mu szczerze sprzyjam—dodała kobieta — nie zważając na wstręt jaki w panu obudzam...

— Pani! czyżbym śmiał!

Hrabina uśmiechnęła się tylko, i na wykrzyk ten pełen grzeczno-

ści chłodnej, odpowiedziała wzrokiem, który mówić się zdawał — czekaj, zobaczymy, czy wytrwasz!

Wzięła książkę w rękę, a Jan rad, że go uwolniono, pocichu się, ścigany tém wejrzaniem, oddalił.

Pan Aleksander, który postrzegł, że był u pani Bulskiej, czatował już na niego ciekawym.

— Czego ona chciała od ciebie? — zapytał chwytając Bronicza.

— Prawdziwie nie wiem — rzekł zmieszany bibliotekarz — zdawało się podobno hrabinie, że ja, małuczki robak, nie dość pokornym i przyjaznym okiem na nią spoglądam; robiła mi jakieś wywówki, dawała rady...

Pan Aleksander ruszył ramionami... i zamilkł, nie śmiejąc dopytować więcej, i zasepiony poszedł na górę.

Tymczasem sir Morton pukał do drzwi bóstwa z kolei i oznajmywał się z wizytą, a choć hrabina chora była, przyjęła go jednak. Zrazu usiadł milczący i chmurny, jakby się zbierał na wypowiedzenie rzeczy, która go kosztowała wiele namysłu i nie łatwą była do wyrzeczenia, a po chwili tak zaczął:

— Pani tu źle, nudzisz się, cierpisz, nieprawdaż?

— Ni mniej ni więcej, jak wszędzie.

— Trzeba to raz skończyć — rzekł Anglik stanowczo.

— Zapewne, ale jak?

— Wziąć ślub i jechać do Anglii ze mną...

To oświadczenie bez przygotowania żadnego, bynajmniej hrabiny nie zdziwiło; rozśmiała się.

— Ja panią kocham — kończył zimno sir Dawid — spodziewam się, że uwierzysz temu; żaden Morton nie skłamał nigdy... a pani?

— Ja panem się bawię... — odpowiedziała kobieta.

— To dobrze... miłość przyjść musi później?

— Musi?

— Powinnaby — rzekł Morton — dziś się pani decyduje, jutro jedziemy do Warszawy, za tydzień jesteśmy w Londynie...

Bulska poczęła się śmiać z cicha, poglądając na Anglika, który stał nieporuszony na oko, pełen przyzwoitości, ale uparty jak egzekucya...

— Trzeba to raz skończyć — dodał — jeżdżę za panią lat dwa... radbym wiedzieć czy ta podróż sentymentalna skończy się weselem czy odmową? Pani także nie służy ten stan wdowi, nudzisz się: Baron Herder Niemiec nieznośny, Hrabia Tytus stary i zbabiał, o muzyku niema mowy; mogłabyś pani pójść za niego za lat dwadzieścia, ale dziś... toby było szaleństwem!... zresztą

nie kochasz go... Ten spleen, na który pani cierpisz, spokojne życie w Morton-Castle uleczy... Nic nie pozostaje tylko dopełnić formalności i stanąć do ołtarza...

— A gdybym nie chciała?

— Pozostaje powiedzieć mi to otwarcie, naówczas podamy sobie ręce i rozstaniemy się do widzenia na dolinie Józefata, dobrze, spodziewam się, przyjaciółmi.

Pani Bulska nie nie mówiąc podała rączkę białą Anglikowi, który ją ujął i spytał.

— Tak?

— Jak widzisz...

— Nieodmiennie.

— Niestety! do widzenia na Józefata dolinie.

Anglik nie zdawał się ani zmieszany, ani bolejący, dobył pugilaresu i z niego bilet wyjąwszy położył na stoliku.

— Gdybyś się pani rozmyśliła jednak — rzekł sucho — bo to wszystko bywa, oto mój adres; rok jeszcze czekać mogę.

— A! darmo kochany sir Dawidzie; powinszuj sobie odrazu, że dziwacznej i złej żony mieć nie będziesz.

Sir Dawid schowawszy pugilares, drugi raz podał jej rękę, zawrócił się, wyszedł i w godzinę potem, pożegnawszy gości i gospodarzy, koino, opakowany w kauczukowe pelerynki, chustki, kalosze i makintosze, wyruszył z wiernym swym sługą w dalszą pielgrzymkę żywota.

Wieczorem zdziwili się wszyscy, nie ujrawszy go już w salonie, ale baron Herder ucieszył się, że pozbył współzawodnika, a chorąstwo troskliwie badali, czy ten wyjazd nie był spowodowany jakimś w gościnności uchybieniem.

Reszta przybyłych cudzoziemców do jakiegoś czasu pozostała jeszcze w Borowej, na udziwienie pana Aleksandra, który skazany był raz w życiu żywo przywiązać się do kobiety, ani jej pojąć, ani wielkiego dla niej nie mogąc mieć szacunku. Było to położenie naprawdę trudne, z jakiego zwyczajsko ludzie tylko wielkiej woli i charakteru wychodzą; na obu nie zbywało panu Aleksandrowi w pospolitych życia warunkach, ale dziś czuł się złamanym i słabym. Przeżywszy znaczną część młodości w chłodzie serdecznym, nie wyburzywszy się młodem piwem, chorował dziś tém niebezpieczniej, że zapóźno. Rozsądek wskazywał mu jasno zagadkową tę postać, jako dziwaczne i kapryśne zjawisko, nieszczęśliwą

istotę skazaną na niepokoje wiekuiste, chwilami podnoszącą się do jasnego pojęcia życia i jego obowiązków, zdolną do ofiar, to znów upadającą nisko, wijącą się w męczeństwie namiętności, to sercem na poświęcenia gotową, to szydersko z siebie i ze świata czyniącą igraszkę. Widział pan Aleksander, jak trudnym było zwyciężyć taki charakter, złamać skrzydła rozbującej fantazyi, i obmyć modlitwą, wiara, spokojem serce rozranione; ale rozsądek nie tamował namiętności, czuł niebezpieczeństwo, na jakie się narażał, widział zaślepienie swoje, słabość, i pokonać ich nie mógł. Przyszło do tego, że sam się z siebie śmiejąc, niewinnił ją, oczyszczał, znajdował na każdy jej grzech wymówkę, każdej płochości tłómaczenie, na ludzi i świat składając wszystko; zdawało mu się, że szczęście, spoczynek, że usunięcie się od ludzi, jeszcze by jej mogło oddać skrzydła anioła... łudził się i szalał.

A ona? któż ją mógł zrozumieć? raz była dlań niewinną dziewczką, uśmiechającą się i pełną uczucia, to znowu nielitościwie szyderską zalotnicą; pociągala i odpychala, zrażala i dawała nadzieję; zdawało się, że z nim jak z innymi, ten proces drażnienia, ta namiętność, którą wywoływała na rozkazy, były jakąś zabawką i lekarstwem na wyżycie. Z kolei jak inni, pan Aleksander miał swoje dnie i godziny, błyski szczęścia i czarne chwile. Tak samo postępowała z baronem Herderem, z Dahlbergiem, z Leonem, nad którym miała litość jakąś, zgóry i dosyć lekko z Salvianim, ale na teraz najczuliej, najwidoczniej przychylnie z nieszczęśliwym Broniczem, któremu jej łaska stawała się ciężarem niewypowiedzianym.

Jak inni gonili czarodziejkę, on stale od niej uciekał, nie okazując ani wstrętu, jaki mu przypisywała pani Bulska, ani nawet zbytniego nią zajęcia. Pierwszy to był może człowiek, jakiego w życiu spotkała, co się potrafił oprzeć urokowi, a nawet go w niej nie znalazł. Sądził o niej ze swą młodzieńczą prostotą chłodno, nie wymawiając za błędy i nie przebacząc im dla wdzięku. To może właśnie było powodem, że się pani Bulska usadziła przemódz go i opanować jak drugich...

Z ludźmi rozmarzonymi, zepsutemi, wcale to szło inaczej; tu pozorny chłód nie dawał przystąpić, a niemiłosierna logika wieśniacza burzyła najszcześniejsze strategiczne pomysły. Widział jej piękność, na chwilę nawet z razu uczyniła na nim wrażenie jakieś, ale wprędce charakter Doroty, jej lekkość, chciwość uwielbienia i oklasków, kapryśne miotania się, ostudziły chłopaka, który cierpiał za pana Aleksandra i zżymał się widząc go upadającym jak drudzy. Im więcej zbliżała się doń, wyróżniając widocznie i niezasłużenie, usiłując go

pochwycić t \acute{e} m pierwszeństwem, jakie mu dawała, t \acute{e} m Jan trzymał się dalej, ostrożniej i bronił się czarownicy.

Dramat ten spadający na Borow \acute{a} , moŜna sobie wystawić, jakie tu czynił wraŜenie, jak nieobytych ze Őwiatem zdumiewał i niepokoił. Zrazu usiłowali go sobie wszyscy tł \acute{u} maczyć jak najwzględniej, po chrzeŐcijaŋsku, uniewinniaj \acute{a} c, zakrywaj \acute{a} c winę, bior \acute{a} c wszystko ze strony wybitnej i pozornej; przybycie cudzoziemc \acute{o} w, rozbudzona mił \acute{o} Őć w panu Aleksandrze, nareszcie zwr \acute{o} cenie si \acute{e} pani Bulskiej do Bronicza, wprawilo wszystkich w osłupienie i podziw smutny. Cho- raŜyna, kt \acute{o} r \acute{a} potrafiła sobie pozyskać, cofnęła si \acute{e} i ochł \acute{o} dła, stary chor \acute{a} Ŝy, niewiele widz \acute{a} c, dostrzegł wreszcie niebezpieczeŋstwa, dw \acute{o} r cał \acute{y} z oburzeniem pogł \acute{a} dał na scenę dla niego niepojęt \acute{a} i gorsz \acute{a} c \acute{a} .

K \acute{a} Ŝdy jednak ukrywał o ile moŜnoŐci uczucie swoje, nie chc \acute{a} c powi \acute{e} kszać boleŐci drugich, zdradzaj \acute{a} c \acute{e} j si \acute{e} zas \acute{e} pieniem i niepoko- jem; oczekiwano jakiegoŐ wypadku, koŋca, rozwi \acute{a} zania i oswobodze- nia z tych wi \acute{e} z \acute{o} w, powrotu do starego ųycia, kt \acute{o} re, niestety, nie wraca nigdy! Jest-ųe dwie godziny-siostry, coby były dwiema kro- plami wody, zupełnie podobnemi do siebie? przeszł \acute{o} Ő zostawia m \acute{e} ty i osady, wonie i pami \acute{a} tki, barwy i okruszyny, po-za sob \acute{a} .

Tymczasem pi \acute{e} kna pani zdawała si \acute{e} nie nie widzi \acute{e} ć, i niewiele j \acute{a} obchodziło, co w Borowej si \acute{e} działo; oswoiła si \acute{e} ze Őmiew poło- ųeniem, była jak w domu u siebie, Őmiała si \acute{e} , r \acute{z} dziła, zmieniała po- trosze obyczaje, szukała rozrywek, rozporz \acute{a} dz \acute{a} ła przez pana Ale- ksandra, jak chciała. K \acute{a} Ŝde j \acute{e} j sł $\acute{o$ wko było rozkazem.

Dom t \acute{e} Ŝ zmieniał si \acute{e} powoli i nowe ųywioł \acute{y} poczynały wpł $\acute{y$ wać na jego obyczaje: dawne patryarchalne stosunki Jamunt \acute{o} w z otacza- j \acute{a} cemi, przerabiały si \acute{e} na pospolite pan \acute{o} w z rezydentami, nowi lu- dzie odepchnęli poczciwych starych przyjaci \acute{o} ł, obchodz \acute{a} c si \acute{e} z nimi nie tak jak tu w Borowej zwykli, ale jak si \acute{e} z uboųszemi na wiecie, niewiele na nich zwaųaj \acute{a} c, obchodz \acute{a} panowie. Nikt przy tych go- Őciach Őmiało po staremu odezwać si \acute{e} nie Őmiał, nie usiadł, nie roze- Őmiał si \acute{e} swobodniej. Doroszeŋko, Zbrzeski, Hoŋczarewski, panna Jamunt \acute{o} wna, po raz pierwszy poczuli, ųe niedaleko od słuų stali.

Ksi \acute{a} Ŝdz Ginwiłł obawiał si \acute{e} odezwać sł $\acute{o$ wem szczer \acute{e} m i serdecz- n \acute{e} m, nie dla Őmiechu, kt \acute{o} ry go nie obchodził wcale, ale ųeby nie dać powodu do poniewierki Őwi \acute{e} tych prawd, i nie być kamieniem obraųe- nia; smutny, poŐepny, wynosił si \acute{e} z salonu po obiedzie, przychodził p \acute{o} ųno i rzadko, przesiadywał w domu i modlił si \acute{e} . On i chor \acute{a} Ŝyna spogl \acute{a} dzali na siebie, niekiedy jakby wzajemn \acute{a} boleŐci chcieli sobie dać uczuć... rozumieli si \acute{e} biedni. Humor starszki zmienił si \acute{e} bardzo takųe: uŐmiejch pozostał na ustach, uprzejmoŐć w obeųci \acute{u} toų samo, ale swobody dawniej nie było, a cz \acute{e} ųto zamyŐlała si \acute{e} tak, ųe po razy

kilka ksiądz Ginwił i Jamuntówna powtarzać jej musieli, nim usłyszała i opamiętała się, o co im chodziło.

Proboszcz, zwyczajem swoim wyladowawszy kieszenie chlebem, już miał jednego dnia wysunąć się do dworku, gdy chorążyna oczyma znać mu dała, że chce z nim pomówić; wstrzymał się więc pod jakimś pozorem i czekał, aż wyszli wszyscy. Zostali ze staruszką sam-na-sam; w milczeniu załamała ręce i lzy puściły się jej z oczów, które żywo otarła; ksiądz Ginwił poczuł także mokre powieki i niezacznie rękawem po nich przesunął.

— Mój ojcze, mój ojcze — zawołała chorążyna — skończyło się więc szczęście nasze... Bóg dotknął... a! ciężko.

— Imię Jego błogosławione — poważnie odparł proboszcz.

— A! i ja codzień stań się wola Twoja powtarzam — przerwała chorążyna — ale serce boli... Tę kobietę zesłał nam los, żeby wszystko zniszczyć, czémeśmy się cieszyli, czego spodziewali. Jest-li to żona dla Olesia? sam osądz, a Oles się w niej kocha, szaleje biedak... Kto wie, na czém się to skończy, a nas oboje wpędzi do grobu. Chorąży codzień więcęj przybity... Jaka przyszłość Aleksandra? Borowój? Widzisz, co ona tu wyrabia będąc gościem, cóż gdy zostanie gospodynią? Nie wiem sama czego życzyć? pójdzie za niego, całe życie zniszczone... zatrute; nie zechce? nieszczęśliwy... i nie ożeni się pewnie więcęj. Słowem... Bóg dotknął boleśnie... i niema środka, żeby się z tego dźwignąć.

— Tak, dziś trudno! ale i dziś Ten, co dotknął, czuwa i poratuje, bo miłosierdzie jego wielkie... Otóż to wasze poszanowanie świata, formy, grzečności... wiąza wam usta przywyknienia; nie puszcza przez nie prawdy strach jakiś dziecinny, i giniecie zabijając się sami! — zawołał proboszcz. — Folgujecie złemu, aby nie być niegrzeczni, milczycie, gdy krzyczęć potrzeba... brak wam zawsze odwagi... Czemu nie było mówić jej prawdy odrazu, lub drzwi wskazać, aby sobie gdzieindziej teatru szukała? Ha! a teraz późno, mościa chorążyno.

— Mój ojcze, jabym i dziś męstwo znalazła, gdzie o dziecię idzie i całą przyszłość jego... ale cóż to pomoże teraz?... a można było spodziewać się tego z początku?

— Albo ja tam wiem, albo ja to ten świat znam? — zawołał kanonik — jam mu obcy, prostych ludzi i wieś tylko naszą rozumiem, dalej nawet pojąć nie potrafię zepsucia babilońskiego... z jakiego nam ten gość zawitał. Alebym ja go kropidłem i święconą wodą wygnał... I dziś powiedziałbym jej otwarcie: jedź sobie, gdzie oczy poniosą, a nie zatruwaj nam spokoju.

— Tak... Aleksander pojedzie za nią! — zawołała chorążyna.

— Nie, on was kocha... każecie mu, zostanie.

— I zamęczy się i zginie... nie mówmy o tém, kanoniku! Bóg już niech uczyni, co mu się podoba, ja nie potrafię nic, chyba płakać.

— Chyba pani nie widzisz, jaka to przyszłość gotuje się dla Olesia, jeśli ta kobieta, jak mnie się zdaje, chciwa bogactwa i imienia, chciwa poczciwego człowieka, który się jęj oprzéd nie potrafi, doprowadzi go do tego, że was na klęczkach o pozwolenie ożenienia prosić będzie? Co się stanie z Borowój! a! sromota! już dziś cała rzesza jęj kochanków tu siedzi bezwstydnie.

— Kanoniku! ty to mówisz?

— Ja! ja! a jakże ich nazwać? a po cóż za nią się włóczą? uczciwa kobieta tych holdów nie potrzebuje, bo one jęj uwłaczają; z ludzi sobie igraszki i zabawek nie robi! Do czego to podobne? Jeszcze jęj mało tych ichmościów, i dzieciaka Bronicza bałamuci!

— Tak ci się zdało!

— Daj Boże, bym się mylił, ale poczciwy chłopiec tak jest, jak być powinien; czasem lepsza wielka prostota nad przebiegłość i znajomość świata; prawe serce oburza się w nim, i ze wstrętem patrzy na tę kobietę.

— A! gdyby to uczucie przelał w Olesia... Kanoniku, nie mówileś z nim kiedy, nie starałeś się go opamiętać? Ja nie śmiem zaczepić tak drażliwego przedmiotu... Oleś milczy przede mną, ja także... tobieby może najwłaściwiej było słowem kapłana i przyjacielą do jego serca za nami splekanemi przemówić.

— Alboż myślicie, żem tego nie próbował?—rzekł proboszcz— ale przede mną już nie z synowskiém wylaniem dawniejszém pan Aleksander; chłodny, milczący, wypiera się, nie chce wypowiadać szczerze... ucieka, unika... tu rodzicielska władza jedna wystąpić może i oczy mu otworzyć...

— Tak! gdyby opór z naszój strony nie podrażnił więcéj, nie wywołał w sercu większego jeszcze uczucia?... któż wie, mój kanoniku, czasem lepiej milczéć i nie widziéć. Słowo wyrzeczona bywa niebezpieczne; a nuż zażąda od nas pozwolenia? a! oddalmy tę chwilę!

— Na nic się ja tu pani ani pociechą, ani radą nie przydam— smutnie rzekł ksiądz Ginwiłł — koniec końcem nic nie pozostaje do czynienia, modlić się i czekać, a tymczasem przypatrywać się, jak ta trzpiotnica z Borowój sobie czyni plac igrzysk jakichś i Sodomę!

— Nie mów, kanoniku...

— Milczé, mością dobrodziejko... bo cóż to moje gadanie może?

Smutném westchnieniem skończyła się ta rozmowa, a lzy, które

otarła chorążyna, znowu jój oczy zwilżyły. Kanonik uczył, że był nadto surowym i począł pocieszać jak mógł, ale mu już nie nie odpowiadała starszka, szeptała tylko — stań się wola Twoja.

— Niema co — rzekł sobie w duchu poczciwy ksiądz, powracając do dworku — ja tu na nich krzyczę, a sam najwięcej winien jestem przez respekt dla świata... im nie wypadalo, to pewna, ale mnie samemu należało wyforować tę jejmość... Cóżby mi się stało, gdybym jój słowa prawdy powiedział? korona z głowy nie spadnie, jeśli się pośmieje ze mnie starego, albo nawet, nie poszanowawszy sukni kapłańskiej, polaje. Niema co — dodał — niema co, potrzeba się z nią rozmówić otwarcie, a co Bóg da, to będzie.

To postanowienie uczyniwszy, że dosyć był żywego ducha ksiądz kanonik, już sobie rady dać nie mógł, póki go nie dopełnił, szukał tylko zręczności, a ta mu się rychło trafiła. Pani Bulska, która podróżowała wiele, opowiadała też dużo o podróżach swoich po świecie; jednego dnia zgadało się o Rzymie, i zaczęła obszernie o obrzędach wielkiego tygodnia, których parę razy była świadkiem, potem o różnych pamiątkach wywiezionych ze starej stolicy. Pochwaliła się tём, że i *Agnus Dei* miała poświęcony przez papieża.

— Dawniej to — rzekł proboszcz — rzecz była po naszych domach pobożnych bardzo pospolita, dziś już prawie nie widziana... Ze się w tój chwili rozchodzono z sali, hrabina zaprosiła kanonika do siebie, dla pokazania mu tego Agnuska, relikwiarzyka, jako i innych pamiątek rzymskich.

Ksiądz Ginwił wszedł pierwszy raz do apartamentu pięknej pani, choć mu nietyłe w głowie były świętości, jak rozmówienie się z nią, które miał na sumieniu; z roztargnieniem obejrzał owe osobliwości, i wysłuchawszy obszernej powieści o ich nabyciu, zebrał ducha, żeby przemówić, jak się czuł obowiązany.

— Moja mościu dobrodziejko — rzekł siadając — kiedy tu sam-na-sam jesteśmy, pozwólże mi jako kapłanowi i starcowi w sprawie twojój i całego tego domu przemówić do siebie...

Pani Bulska nie zdała się ani zdziwioną, ani zmieszaną tym wstępem, usmiechnęła się i usiadła naprzeciw księdza.

— Mówmy — rzekła — mówmy otwarcie...

— Masz pani przed sobą księdza i starego przyjaciela tój rodziny, nie miěj za złe, co powie z serca i uczucia obowiązku, chciěj posłuchać cierpliwie. Krótko powiem... Pani niepokój i lzy wniosłaś do tego domu...

Hrabina zdawała się przerażoną.

— Ja? — zawołała.

— Tak jest... — mówił ksiądz Ginwił — myśmy tu przywykli do życia ustronnego, spokojnego i ograniczającego się na tём,

co nas otacza; długie lata upłynęły nam szczęśliwie pod opieką najzacniejszych tych ludzi. Z twojém przybyciem postradaliśmy pokój i trwoga oponowuje nas o przyszłość. Jesteś dla nas istotą niepojętą... nie wiemy, skąd idziesz i do czego zmierzasz, nie umiemy cię poznać... Chorąstwo oboje i wszyscy ich przyjaciele drżą o przyszłość. Nie potrzebuję wyjaśniać przyczyn. Pan Aleksander przywiązał się do pani... zerwał stosunki, których sobie rodzice życzyli... co z tego wszystkiego będzie?... Pani dla nas nie jest stworzoną, ani ten zakątek dla nięj; my żyjemy w kupce wybranych i nie pragniemy więćej, tobie potrzeba coraz świeżych i coraz więćej ludzi. Prowadzisz za sobą ich gromady... uśmiechając się do wszystkich zarówno... nie odpychasz nikogo... Ładno ci przyjdzie nas odjechać i porzucić, dziś, jutro, ale zasiany tu niepokój zostanie. Godziż się dla kaprysu jakiegoś poświęcać szczęście tylu istot?...

— Mój ojeze... — odezwała się pani Bulska, w której oczach łzy się zakręciły — nie czuję się winną... przyjechałam tu spocząć, nie starałam się o przywiązanie pana Aleksandra wcale... nie zwoływałam tu tych ludzi, którzy przybiegli za mną... Zresztą, powiedz mi, co mam uczynić, żeby okupić winę moję... zrobię, co rozkażesz...

— Otóż to sęk... — rzekł pokorą rozbrojony ksiądz Ginwił — że ja nie wiem sam, co tu robić... Pani nam nawarzyłaś tój kaszy, myśłże, co teraz począć...

Bulska z uśmiechem przelotnym spuściła głowę, ale znać było, że zafrasowanie proboszcza, które wzbudziło ten śmieszek, dotykało ją szczerze, że je uczyła głęboko.

— Naprzód — dodał kanonik — tę czeredę odprawić!... Przypuszczam, żeś pani najniewinniejsza temu ściąganiu ludzi, którzy się jednak koło nięj dziwnie wydają tu na wsi; jeśli z nich żaden nie ma prawa zostać, grzecznie, czy niegrzecznie, pozbyć się ich należy...

— Masz słuszność, kanoniku... już jeden z nich odjechał, reszta powoli się rozjedzie... Oni mnie nudzą i męczą... Szukałam tu na wsi pokoju i ciszy, bo mnie świat znękał i utrudził; dobrze mi tu z wami, nie wypędzajcie mnie stąd...

— A niechże Bóg uchowa!... — dodał ksiądz — ale cóż będzie z panem Aleksandrem? nie dawaj mu pani nadziei, nie spoufalaj go z sobą...

— Potrzeba mi samęj wyjechać wkrótce — przerwała hrabina — tak to się wszystko skończy najlepšíj, nie prawdaż? ale słowo jeszcze: szczerze i po kapłańsku powiedz mi, proszę, czy to, co mówisz, z własnego natchnienia, czy cię kto przysłał?...

— Bogiem się świadczę, że mi nikt nie zalecił, ale sumienie ka-
zało...

Bulska popatrzała mu w oczy.

— Rozśmiejesz się ze mnie — rzekła — ale ja mam myśl wró-
cić do Rzymu i zamknąć się w klasztorze...

Proboszcz zdziwił się w istocie, ale nie rozśmiał.

— Trochę trudno przypuścić — zawołał — żebyś pani tak skoń-
czyć miała.

— Nieszczęście mnie ściga, niepewność dręczy, na świecie drogi
obrać nie umiem, idę fałszywą, błąkam się... trzeba wyrzec się
woli i zamknąć za kratą... — westchnęła. — Jestem dla was, a!...
i dla siebie zagadką — dodała ze łzami w oczach — uśmiecham
się z boleścią w sercu, trzpioczę, a cierpię wewnątrz, jak dzie-
cko coraz nowych szukam zabawek i w kwadrans je łamię, nigdzie
złożyć głowy, nigdzie odetchnąć nie mogę... Może najspokojniejsze
chwile życia spędziłam tu pod tym dachem i pojęłam pierwszy raz,
że szczęścia nie na burzliwem morzu, ale na cichój takiej wodzie je-
ziora szukać trzeba...

— Ani na morzu, ani na ziemi, ani być może gdziekolwiek na
tym padole płaczu — odezwał się proboszcz — szukajcie go w nie-
biesiach a znajdziecie. To błąd główny waszego żywota światowe-
go, że wciąż się uganianie za wmdem, które nie istnieje... trochę
spokoju, trochę folgi znaleźć można, ale może być szczęście trwałe
tam, gdzie znikome i chwilowe jest wszystko?...

Pani Bulska zamyśliła się, proboszcz wstał powoli smutny.

— Mój ojcze — odezwała się — za kilka dni panów tych po
jednym powyprowadzę; ciężą mi samą... o pana Aleksandra się
nie bójcie... miłość, choćby najgorętsza, przechodzi... Przeboleje trochę
i zapomni...

— Właśnie pani nie znasz tego człowieka — rzekł kanonik —
on się przywiązuje powoli ale trwałe, serce jego przywykło nie coraz
do nowych, ale do stałego uczucia, wychował się w tej atmosferze,
w której jak najmniej zmian, potrosze nas godzi ze światem... Szu-
kaj pani środka...

— Znajdę go... — rzekła kobieta — znajdę, nie bójcie się...
zresztą odjadę stąd i powrócę wam spokój stracony...

Smutek pani Bulskiej tak jakoś podziałał na poczciwego pro-
boszcza, tak go z nią pojednał, a tak razem był mu bolesny, że
z jego powodu się obudził, iż chciał się conajprędzej usunąć, aby
nań nie patrzeć. Wyszedł nie rad z siebie, bo mu się zdawało, to
że za surowym był z hrabiną, to znowu że nie dosyć jeszcze szcze-
rze i otwarcie spełnił swój obowiązek...

Idąc tak ulicą z głową spuszczoną, otoczony swemi psami, za-

pomniał nawet o nich, choć mu się szeczekaniem dopominały, gniewając się na siebie za zbytek powolności, za przesadzoną surowość, za niewdzięczność wreszcie i pierwszy raz może w życiu czując coś naksztiał zgryzoty sumienia.

W niezwykłym czując się położeniu, trapił się, nie wiedząc, czy swoim obowiązkom podolał. Już był we drzwiach domku swego, gdy głośnie:

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — zatrzymało go u wnijsia.

Kaleka grenadyer stał oparty o baryerkę.

— A ty tu znowu?... nie dobrego jakieś! — rzekł — o... to... to... jakiś... idź mi zaraz... pijesz, słyszę, niepoprawiony... i śmiesz tu jeszcze przychodzić?!

— Ja, piję!... — zawołał grenadyer — ja?... to potwarz... księżę kanoniku... wodę piję chyba... a to od trzech dni chleba nie mam, za cóżbym pił?...

— Tak! tak! chleba niema, ale wódka jest!...

Grenadyer odchrząknął i poskrobał się po łbie.

— Mój ojeze... — rzekł — a gdybym ezasem kropelkę i łyknął... ale pijany nie byłem, nawet miałem robotę, tylko że to te Niemcy, to kieszko płacą...

— Jakie Niemcy?

— A ten co stoi w miasteczku...

— Cóżes jemu robił?

— Pilnowałem pakunku...

— Już się pakują?... — zawołał z uśmiechem proboszcz.

Grenadyer postrzegł, że dobrą powiedział nowinę, i frant zaraz z niej skorzystał.

— Pakują się i jada, a ja umyślnie przysztzykulałem do jego mości powiedzieć o tém... gdyby groszyk na tabakę!... Ej! tatuniu! kanoniku!...

— Na tabakę... a wódka?...

— Zrana kieliszek...

— A w południe?

— No, w południe drugi...

— Tak, i na noc trzeci... i dziesiąty...

— Jako żywo! a skądby ja wziął na tyle?...

— Niby to ja nie wiem! — rzekł kanonik, dobywając jednak grosza z sakiewki... nosisz żydom wodę, a co zapracujesz, to na gardło...

Grenadyer wyciągnął rękę, pochwycił jałmużnę i już śmielszy, rzekł kłaniając się:

— Człek bieduje, choruje... co za dziw, że pociechy szuka

w kieliszku, kiedy jój już nigdzie nie znajdzie. Sam jeden na świecie, jak palec, żywój duszy, coby dobre powiedziała słowo, na starość kaleka... a tu mu jeszcze i ten mizerny kieliszek gorzałeczynny wymawiają...

Kanonik machnął tylko ręką, i nie już nie odpowiedziawszy, wszedł do dworku wzdychając.

— O! tak! tak!... — dumał — wszyscyśmy kalecy... ten na nogę, ten na serce, ten na sumienie, ów na rozum kaleka... a ze mnie taki doktor podobno, że nikomu rady nie dam, przebacź-że, Boże, słudze twojemu, jeśli nie tak, jak powinien, obowiązek swój spełnia. O! bom i ja kaleka!...

Nie wiedziano w pałacu o wyprawie księdza kanonika do hrabiny, ale się skutki jój już uczuć dały. Baron Herder, który już przedtém się wybierał, nazajutrz stanowczo sam-na-sam z panią Bulską się rozmówiwszy, oznajmił swój wyjazd z Borowój i dosyć smutny ruszył w świat, a trudno się było domyślić, jaką mu dano odprawę, tak równym zniósł ją umysłem. Pozostawali hrabia Dahlberg, Leon i Włoch uparty, którego pozbyć się zdawało najtrudniej. Muzyk wierzył w to, że piękna hrabina powinna być, musiała się w nim rozkochać nareszcie, pójść za niego i dać mu swą milionową fortunę, o co najwięcej obszarpańcowi chodziło. Zawsze zręczna Bulska nie udała się wprost do niego, ale dwóch razem postanowiła wyprawić za jednym zamachem...

Widoczném było, że hrabia Tytus, choć w epizodach przysiadawał się do panny Krystyny Jamuntównój przypominającej mu, jak powiadał, śliczną Dolores Serral, hiszpańską tancerkę, w której się przez dwa miesiące w Paryżu kochał, znudzony był już pobytem w Borowój. Salviani trochę tę jednostajność dni przerywał i hrabia wielce się z nim poprzyjaźnił; na starego więc swego niewolnika rachując pani Bulska, schwyciła go w parę dni potem po obiedzie, przechadzając się po salonie.

— Mój hrabio — rzekła — ja wkrótce powrócę do Warszawy.

— A! bo tu nudy nieznośne — przerwał Tytus — fortepian szkaradny!

— Wielką-byś mi łaskę zrobił, gdybyś mnie od Salvianiego uwolnił. Wszystkim i mnie jest ciężarem, niewiedzieć jaką ma minę... czybyś go nie wywiózł z sobą?...

— A! dobrze — rzekł hrabia Tytus — ale... pani przyjedziesz także...

— Jak tylko będę mogła...

— Cóżbyś tu pani robiła?... to nawet dziwném mi się wydaje, żeś pani u tych poczciwych Jamuntów tak długo wytrwać mogła... Szanuję ich, ale niesłychanie są nudni; stary nie nie gada, podobny do chińskiej lalki, kiwa głową i po wszystkiém; chorążyna uśmiecha się, i nie zabawna tóż wcale... panna Jamuntówna straszna! Krystynka śliczna, ale...

— Ale jej nie zbałamucisz! — przerwała hrabina.

— Złośliwą jesteś, hrabino...

— Stary z ciebie trzpiot, mój drogi... Najlepiej więc zrobicie, wyprzedzając mnie z Salvianim do Warszawy... Salviani mógłby się uplasować w teatrze... pomóż mu... zrobisz mi łaskę, a jeśli na to co wyłożysz, z chęcią ci powrócę, żeby się pozbyć Włocha...

— Ale hrabina wiesz, że zawsze spełnić jej każdy rozkaz najmilszém dla mnie zadaniem, jutro lub pojutro nas nie będzie.

Wskutek tego przyrzeczenia w istocie hrabia Tytus, choć upierającego mu się mocno Włocha zagarnął prawie gwałtem i porwał z sobą do Warszawy. Nie byłby może dał się zabrać śpiewak, gdyby hrabina nie dała do zrozumienia, że sama do miasta wracać myśli. Został tylko biedny Leon, któremu, że Bulska małować kazała, całemi dniami w swojej izdebce nad jakimś obrazem pracował, przeznaczonym do kościoła borowskiego.

Powoli więc wrócono do dawnych zwyczajów i wszyscy odechnęli nieco po odpłynieniu cudzoziemców, a hrabina widocznie starając się jak najmniej być natrętną, usunęła się do swoich apartamentów, w których większą część dnia przebywała na czytaniu. Chorążyna i wszyscy postrzegli w nią zmianę, której przyczyn inaczej jak znudzeniem wytłómaczyć sobie nie mogli; mileżąca była, zamysłona, smutna, wesołość wprawdzie wybuchała chwilami, ale ustępowała szybko jakiejś tęsknocie, nie wiadomo czy szczerzej, ale odegraniej doskonale.

W ostatku i Jan Bronicz, względem którego piękna pani była obojętną, ledwie nań spoglądając, a rzadko przemawiając słowo, znikł także z Borowój, bo mu pan Aleksander kazał objąć folwarczek w Krylowie...

Po odjeździe wprawdzie dowiadywała się o niego u chorążynój, i jeszcze smutniejszą była jakiś czas pani Bulska, ale każdym dniem głębiej wcielając się w życie i obyczaj mieszkańców Borowój, hrabina wkońcu stała się niemal konieczną częścią tój cichój rzeczywistości, w której zajęła miejsce powoli, zrzęcznie wciskając się w nią tak, że się stała dla wszystkich potrzebną... Nikt lepiej nad nią nie potrafiłby zjednać sobie nieprzyjaznych, ośmielić przestraszonych, zastosować do życia ich, tak różnego przecie od tego, w ja-

kiem ta kobieta kilkanaście lat wprzód spędziła. Nie widać było po niej ofiary, znużenia, zdawała się spokojną i szczęśliwą. Chorąży potrosze nawet już się z nią godził, chorążyna wzdychała i bacznie przypatrując się, coraz nowc wynajdywała przymioty, ksiądz Ginwił milczał nic nie okazując po sobie; a pan Aleksander nie rozpatrując się w przyszłości, korzystał z dni jasnych, których pasmo tak niespodzianie się dla niego rozsunęło. I zima upłynęła tak powoli, wśród zwykłej ciszy i zwyczajnego życia, jak gdyby w nie żaden się obcy żywiol nie wcisnął.

Kryłów, który państwo Jamuntowie oddali Janowi, był niegdyś osobnym folwarczkiem na granicy dóbr ich od Romaszówki położonym, nabytym przez ojca pana chorążego, dla dogodzenia spadkobiercom ubogiego szlachcica, co się nim podzielić nie mogli. W położeniu leśnym, wiosieczka oddzielna, składała się z chat dziesięciu, które, niedogodnie dla samych włościan uposażone były, a osobnego wymagały ekonoma z powodu oddalenia, ludzi stąd później przeniesiono zupełnie do sąsiedniej wsi Zahonnego, a szmat ten ziemi porzucono prawie. W starym dworku na horodyszczu mieszkał leśniczy, zasiewał kawał pól dawniej dworskich, sznurki włościańskie zapuszczono lasem... Wioski śladu już nie było, pozostał stawik przy dworze z malutkim młynkiem otoczony olchami wiekuistymi, karczemka nade drogą, bo tamtędy na jarmarki jeździli z Romaszówki do Borowój, maleńka drewniana kapliczka przy domu, trochę zabudowań podtrzymywanych przez leśniczego, jaki taki ogródek z lipami, a wkoło las i las jak zajrzeć, błota i niziny...

Jednakże opuszczony ów Kryłów weale nie był złą posadą i mógł mieć wartość swoją dla pracowitego człowieka. Brakowało mu ludzi, potrzeba się było najemnikiem obrobić, ale o tego dość było łatwo, bo koło takiej roli nie wielka jest praca; para wołów do sochy i dość, lada szkapa zawłóczy drewnianą broną zagony. Ludzie zaś i romaszowiccy i zahonneccy, i starzy niegdyś kryłowscy szli chętnie na grosz do roboty... Zresztą miał Kryłów na małej przestrzeni wólk kilkunastu, które jego peryferyę składały, czego tylko można było dla wygody wymagać: ziemię, miejscami weale nie złą, choć lekką, byle rowy pobić i osuszyć — lasu dostatek i dobrego, na budowę, a nawet i na towarne-by się jaki balek znalazł — sianożęcie zarosłe, ale dobre grondowe, z których tylko łoży sprzątnąć i gdzieniegdzie wodę ściągnąć było potrzeba, wypasu dostatkim, sadybę w doskonałym położeniu; wodę obfitą i młynek roczny,

nie taki, co to z wiosny i jesieni pomiele trochę, i stoi sobie potem całe lato odpoczywając, ale potrosze kołaczący i w największe mrozy i w najupartsze posuchy. Bywało tak, że w sąsiedztwie na większych stawach brak wody, a kryłowska makuterka, jak ją nazywano, pocichu sobie tarkocze a tarkocze, a ludzie zdaleka jadą do niej, — a we młynie zawóz nieustanny, i żyd, co go trzymał, płacąc tysiąc złotych, za arendę z karczemką, bardzo na nim dobrze wychodził. Choć to na ten młynek było spojrzeć, aż śmiech brał, ledwie się na palikach trzymał, pochylony, popodpierany, miejscami przezroczysty, dach dranicami, słomą i wiszarem odziany, napozór niepoczesny, — ale go znali w sąsiedztwie, że deszczu nie czeka, kółko jego maleńkie jedno i drugie, dzień i noc się sobie obraca, a folusz i kamień nigdy nie odpoczywają.

Oprócz młyna i karczemki, stanowiących już dochód pewny, który na tysiąc zgorą złotych liczyć było można, Kryłów miał pola ornego po czterdzieści kilka morgów w trzy ręce i wcale niezłego, bo go na wiosnę nigdy woda nie zajmowała, a gatunek ziemi nie piaszczysty, szary, trochę z gliną pomieszany, dozwalał przy nawozie nietylko żyto posiać, ale i pszenicy kawalek. Leśniczy, co tam gospodarował, miał się dobrze wcale, i tęskno mu było opuszczać Kryłów, ale że jeszcze lepsze miejsce dostał od państwa Jamuntów, wyniósł się ze dworku. Nim jednak dla Bronicza go wyporządkowano, jeździł tam kilka razy Doroszeńko, nic nie mówiąc i wszystko tu nanowo można powiedzieć z gruntu poregulował: grunta i rowy poczyszczono, opatrzone domostwo, zabudowania, poprawiono młynek, zagrodzono opuszczony ogródek, zasiano zmianę jedną, nasypano w śpichrz ziarna, żeby do pustego nowy gospodarz nie zajechał.

Troskliwość pana Aleksandra, ojcowska prawie, nie opuściła najmniejszej drobnostki: wiedział, że całym mieniem Jana było jego zawiniątko, chęć do pracy i wytrwałość, a nie śmiejąc mu dawać pieniędzy, tak zasposabiał Kryłów, aby prawie nakładu nie potrzebował. Odbywało się to pocichu i tajemnie, że mieszkający w Borowej Bronicz nie domyślał się wcale, jak tam pracowano dla niego.

Dworek na horodyszczu opasanym starym wałami, na którym już dębów parę, lip, sosen kilka wyrosło, stał nad stawikiem, otoczony ogródkiem niewielkim, ale miłym dla cienia. Był w nim i stary szpaler grabowy nie strzyżony, i altanka z drzew odwiecznych i trochę owocowego drzewa i miejsce w kątku na pasiekę. Tuż czarna kapliczka, w której się już nabożeństwo nie odprawiało, ale jeszcze zachowana w całości znajdowała się w dziedzińcu. Nieco opodal stodółki, obórki, odryny, a nawet porządny sernik i gołębnik, dowodziły, że niegdys pracowity szlachcic zamieszkiwać tu musiał.

Dworek pod słomą, choć budowany i przybudowywany, nie nowy już, wcale był jeszcze porządny, a gdy nanowo postawiono piec, pokładziono podłogi, wtynkowano ściany, pozaprawiano okna, aż się chciało w nim mieszkać, tak tu było wśród cienia i drzew miło, cicho i postaremu spokojnie i tęskno a rozkosznie, wśród szumu lasów, przerywanego tylko klekotaniem młynka, który ciągle coś sobie rozpowiadał, jedną powtarzając piosenkę. Młynek ten wciąż tu słychać było, a w nocy jak stróż czujny, jeszcze się głośnieję odzywał; stał on nad grobelką, którą do dworu jechać było potrzeba.

Naprzeciw stawku, otoczonego olchami i obrosłego trzcina i tatarakiem, nad drogą z Romaszówki do Borowej, wyglądała na górze karczemka zajezdna nawet dranicami kryta, wcale porządna; miejsce, gdzie dawniej około niej wieś się sadowiła, już dziś zarażało w części, ale jeszcze gdzieś tam stare grusze i rzędy wiośni oznaczały sadyby.

Wszystkie trzy poletki tak rozłożone teraz były po zamianie gruntów i przesadzeniu włości, że dwór okrążyły; najdalsza zmiana była za stawkiem i karczemką, dwie przytykały do gumien, lekko więc było gospodarzyć mając je pod bokiem.

W dworku, którego ganek obyczajem dawnym miał wystawkę z dwoma słupkami, otoczoną ławkami, mieściło się izb trzy, spiżarnia i kuchenka. Z Borowej łatwo było sprzętem jakimkolwiek go zastawić i przywieziono, co potrzeba, nie wykwintne, ale czyste i schludne: krzesel kilka, łóżka, stołów parę. Doroszeńko zaofiarował swój kantorek, kapitan Zbrzeski lusterko, ksiądz Ginwił obraz Chrystusa Pana, żeby strzegł i błogosławił nowemu gospodarstwu. Ale Broniec ani wiedział, że się tam o niego troskano, bo nawet koni parę, krów kilka, wołów dziesięć, owiec kopę postawiono w oborze i stajni, ludzi ponajmowano, a każdy z tych pocziwych mieszkańców Borowej cieszył się pocichu, jeśli mógł czem przysłużyć się Janowi, którego kochali wszyscy. I tak jakoś zajmowało każdego to urządzanie kryłowskiego folwarczku, że mimo bytności pani Bulskiej i strapienie, jakie ona sprawadziła na dom cały, nie było dnia, żeby ktoś jeszcze czegoś nie spryduwał i nie poddał. Z kolei każdy obmyślał jakąś niespodziankę; chorąży nawet dopytywał, kiedy to tam będzie gotowo i polecił Doroszeńce, żeby się nie powstydzili oddając z rąk Kryłów. Staruszka z panną Jamuntówną o kobiecy wydział się troszczyły. Pulikowski wybierał konie, i gdy w pierwszych dniach kwietnia nadszedł czas siejby, dworek stał gotów, ludzie byli ponajmowani, stara gospodyni chodziła około kuchni, czekano tylko przybycia panicza, który o niczem nie wiedział.

Zaczynało puszczać na dobre, i ziemia szybko się rozmarzała, a powietrze ocieplało, gdy stary chorąży, który niewiele zważał, co

się na świecie działo, stanął raz w oknie i rzekł głośno do Bronicza:

— A to mosanie, już wiosna, czas-by ci do gospodarstwa swego.

— Gdybym je miał! — uśmiechnął się, rzekł Jan.

— No, do Kryłowa, wszak ci go już puściliśmy; dla nas to nie potrzebny kłopot, niema co z tém robić, jedź ot, obejmij.

Bronicz pocałował w rękę chorążego, a pan Aleksander, który stał tuż, gdy się ojciec szybko oddalił, dodał od niechceenia:

— Zapewne, że jużby ci czas było do swego gospodarstwa... jedź, jedź!

Jan cały zmieszany, uszczęśliwiony i wdzięczności pełen, duchem pobiegł do Doroszeńki.

— Wie pan, że mnie już do Kryłowa wysyłają!

— A... — rzekł rządca uśmiechając się — no to jedź; prócz tego trzeba ci myśleć o wiosennych zasiewach, a to, jak wiesz, folwark bez ludzi, będzie co robić... to i ruszaj...

— A mogę go zająć?

— E!... dyspozycye dawno dane... ot jutro się zabieraj, a ja tam do ciebie na podwieczorek przyjadę zobaczyć...

— Gdzież ja tam pana przyjmę!? — rzekł zakłopotany Jan — to musi być pustka!

— Ot to! czém chata bogata, tém rada... czy mnie tam wiele potrzeba?...

Nazajutrz rano, pożegnawszy chorążynę i prosząc ją o błogosławieństwo, które rozczulona staruszka serdecznie mu udzieliła, całując go w głowę; od milczącego chorążego odebrawszy krzyżyk, zostawszy się z panem Aleksandrem obiecującym go odwiedzić na nowosielinach, Jan ruszył z odwiedzinami po dworze od jednego do drugiego, opowiadając o swoim szczęściu, którego jeszcze sam dobrze nie znał.

Panna Jamuntówna tak była grzeczna, że mu do wózka jeszcze pełną przekąsek kobiałkę włożyć kazała, wyszła z rumieńcem na twarzy dygnąć mu panna Krystyna, a od nich Bronicz pośpieszył do Pulikowskiego, który go wyściskał wdychając:

— No, ot jedziesz na swoje gospodarstwo!... daj ci, Boże, wszystko dobre — rzekł sapiąc kawalerzysta — ja ci trochę zazdroszę, będziesz tam spokojny, tu wiekuiste intrygi... niepokój... A konia sobie zabierz — dodał — zda ci się do gospodarstwa; tylko go nie długo każ przywiązać do wózka, żeby się nie upłatał, bo się skaleczyć może.

Hończarewskiego spotkał na drodze idącego z książką pod pachą.

— A co to, jedziesz? — zapytał — dokąd?

— Na własne gospodarstwo... do Kryłowa!

— Weźże Pismo Święte z sobą — dodał staruszek — a w wolnych godzinach rozczytując się, przekonasz, że mam słuszość, wszystko to głupstwo, o czem wy myślicie. Niechże cię Bóg błogosławi, kochasiu, szczęśliwy jesteś, że tego antychrysta tu widzieć nie będziesz...

Kapitan Zbrzeski z Doroszeńką siedzieli w dworku na ganku, gdzie ich oko zachwyił odjeżdżający; uśmiechnęli się, widząc, z jaką gorącością młodzieńczą wybierał się w tę drogę i zapowiedzieli mu, żeby ich czekał z podwieczorkiem.

— Szczęściem, litościwa panna Jamuntówna zaopatrzyła mnie w mały zapasik — rzekł Jan — teraz się już nie tak frasuję, czem panów przyjmę.

— Ja tu jeszcze dla ciebie mały przysposobiłem pohrebczyk — odezwał się rządcą wołając na chłopca — postawisz go w nogach, niewiele ci zawadzi.

Jan nie chciał zrazu przyjąć, ale Doroszeńko się na niego ofuknął i gwałtem prawie kazał wstawić kufeczek, od którego klucz wsunął mu do kieszeni.

Po drodze zajechał i do księdza Ginwiła, którego zastał w wielkiej rozpaczyci nad zdechłym gołębiem rozciągniętym w pośrodku izby. Kanonik stał tak zamysłony, że nie zważał na wejście Bronicza.

— Przyszedłem księdza kanonika pożegnać.

— A! to już jedziesz? dokąd?

— Do Kryłowa, do mojej dzierzawy!... — rzekł z przyciskiem młody chłopiec, dumniejąc.

— No! niechże cię Bóg prowadzi, moje kochanie — ściskając go zawołał ksiądz Ginwił — alem ci zapomniał dać ze dwie pary gołębi na gospodarstwo, takich nigdzie nie dostaniesz, a niema zabawki, jak z temi pocziwemi stworzeniami, gdyby nie zdychały, ot jak ten łapaty, który mi takiego figla spłatał, bo się go odżałować nie mogę. Nie może być, żebyś bez gołębi pojechał, ja ci klatkę zaraz dać każę, poczekaj.

— Ale gdzież ją postawię — uśmiechając się zawołał Jan — już mi panna Jamuntówna dała króbkę, Doroszeńko kuferek, i nie będzie gdzie usiąść.

— Klatka z gołębiami, to się gdziekolwiek przyczepi — przerwał kanonik — tylko chwilę poczekaj; na to zawsze jest miejsce.

— To już później po nie przyjadę, bo gdzieś ja na wstępie znajdę dla nich pomieszczenie i jedzenie.

— No, dobrze, ale mi pamiętaj, jak w niedzielę będziesz na mszy, zabierz gołębie; ja ci najśliczniejsze, białe, czubate i łapate wybiorę, i będziesz miał z nich pociechę. A teraz, bądź mi zdrowy, ko-

chany Jasiu, Bóg niech będzie z tobą i aniołowie stróżowie niech cię w drogę pokoju i szczęśliwości wiodą.

I wyprowadzając w ganek, pocałował kanonik z serdecznym przejęciem odmawiając z psalmistą:

— „Do ciebie panie podniosłem duszę moję.

„Boże mój, w Tobie ufam, niech się nie zawstydzę.

„I niech się nie śmieją nieprzyjaciele moi, albowiem wszyscy, którzy cię wzywają, nie będą zawstydzeni.

„Niech będą zawstydzeni wszyscy nieprawość czyniący.

„Drogi Twoje okaż mi, Panie, a ścieżek Twoich naucz mnie.

„Prowadź mnie w prawdzie Twojej, a naucz mnie, boś Ty jest Bóg.“

I przy tych słowach Jan z dziwnym uczuciem pożegnał gościnną Borową, puszczając się ku nieznanemu dotąd Kryłowu. Wielec o nim słyszał od Doroszeńki, ale tak jakoś się składało, że choć parę razy tamtędy przejeżdżał, nigdy tego zblizka nie widział, odkładano umyślnie obejrzenie napotem, a on się też nabijać nie śmiał. Niecierpliwy chłopak radby był na skrzydłach zalecieć na tę nową sadybę, w której spodziewał się wkrótce dla rodziców pracować; ale jak na złość droga wcale nie była dobrą. Puszczają właśnie, groble rozmiękły, koła grzęzły po same matoczyny, a chłopak powożący ochoczo, oszczędzał koni i tak do zbytku gorących, które ich obu wiozły na nowe gospodarstwo. Byłto dworski kozaczek, sierota do posług wzięty z Wołynia, którego dano Jasiowi za furmana i pokojowca razem; przywiązany już do niego, filut, figlarz, tancerz i myśliwiec zapalony, a zawsze tak wesół, że mu się oczy, nawet gdy milczał, śmiać zdawały, a przez sen pieśni wywodził. Choć tam we dworze dobrze mu było, ale rad także wyruszał do Kryłowa, gdzie się swobodniej panować spodziewał przy paniecu, gdy tu lokaje dworscy trochę nim pomiatali nieborakiem.

— A wiesz ty drogę? — spytał go Jan.

Iwaś odwrócił się śmiejąc do niego i ramionami tylko ruszył.

— Ot to! — rzekł — do Kryłowa? z zawiązanymi oczyma-bym trafił.

— Daleko?

— A mila opętana, kozacka, ale byle nam za grobelki się wybrać, to na szpaczki cmoknę, a polecim, jak sokoły. Ej! te groble litewskie, sto tysięcy-by je mordowało, z kamienia na kamień, z dziury w dziurę, u nas tego na Wołyniu niema, równo jak po stole.

Gawędząc tak i dowiadując się coraz, rychło Kryłów się pokaze, Bronicz układając projekta na przyszłość, wyglądał już swojej siedziby, ale sokoły i przez las szybko iść nie mogły, bo wybojów było mnóstwo, a bryczka rzucała i w króbkach dzwoniły jakieś

sprzęciki, dla których noga za nogą wlec się musieli, żeby ich nie potłuc.

Przebywszy szerokie pasmo lasów, Iwaś wskazał biczyskiem czarną kapliczki kopułkę panu swemu, i krzyż jój stary pierwszy oznajmił z za drzew ogrodu dworek kryłowski.

Zdjął czapkę Jan i pomodlił się w duszy.

Ujechawszy staję, posłyszeli turkot młynka.

— A to już pański młynek trajkocze — rzekł kozaczek śmiejąc się — słyszyście, dzień i noc tak miele, oj! bo to, słyszę, młyn...

— A gdzież dwór?

— Ot tam w olszynie, za stawem, a ot karczemka wasza...

Wjechali na wygon, dalej na szerszą drogę i przed karczemką, spuścili się nieco ku młynkowi, u którego stał żydek spoglądając na postawiony wiecierz. Iwaś koniki zaciał i poleciełi groblą ku dworowi, którego nagle ukazała się brama, zabudowania i całe obejście.

A tak to wdzięcznie białało wszystko, wyświeżone, czyściuchne, że Jan, który się spodziewał zastać pustkę i nieład, aż się podniósł na bryczce zdziwiony.

— Ale to bardzo porządne... — zawołał — to śliczne!...

— A cóż myśleliście? — rzekł kozak — że to nasze państwo zapędzą was na osmolone gruzowisko, kiedy tak panicza, słyszę, Kochają!

Gdy stanął przy tej słomianej strzesze, na progę domostwa, wspomnieniem rodziców i wdzięcznością serce mu zabiło, i lzy potoczyły się z oczów, tak troskliwych rąk znalazł tu wszędzie ślady! osłupiał rozczulony.

Z czeladni wybiegło dwóch różnych parobczaków i stara Pałaszka, gospodyni, na powitanie pana, a Iwaś huknął na konie jak upiór lecąc do stajenki, żeby prędzej zbyć szpaków i powrócić do pana, a z nim się po dworze rzadzić.

Biło serce biednemu chłopcu coraz żywiej, gdy mu otworzono drzwi i wszedł do izdebek, wyświeżonych, widocznie nań oczekujących. Zdziwił się, widząc, że nietylko nic nie braknie, ale wszystkiego do zbytku; każdy kącik wywołał wykrzyknik nowy. Cóż dopiero gdy przyszło obchodzić gospodarstwo, ponaprawiane budowle, śpichrz pełen, obórkę z ryczącem bydełkiem i te bogactwa, których posiadania nigdy się nie spodziewał.

Wzruszony, niespokojny, Jan chciał zaraz kazać zaprzęgać i powracać do Borowój, aby upaść do nóg Jamuntom i serdeczniej po synowsku im za tę pieczołowitość podziękować, gdy w ślad prawie za nim nadbiegła bryczka z Doroszeńką i Zbrzeskim. Bronicz stał

jeszcze w ganku, gdy ci, śmiejąc mu się zdaleka, nadjechali i wesoło chwycili go ściskając na proggu, sypiąc życzenia.

— W tém wszystkiém widzę twoją rękę przyjazną — zawołał Jan rzucając się ku Doroszeńce — doprawdy, nie wiem, jak ci dziękować za ten dostatek, za tyle pamięci! czyżem ja na to zasłużył!!

— Ale tak, jest tu i moja ręka — odparł rządca uśmiechając się — chociaż ze mną przykładali się i inni, poczuwając od starego chorążego, który o wielu rzeczach pamiętał, do pani, do pana Aleksandra i księdza Ginwiłła, co tu Chrystusa opiekuna ci powiesił. Kantorek masz ode mnie; daj Boże, żebyś w nim zawsze miał co trzymać; jest tam coś i od kapitana, każdy tobie i ojeu twemu pocziwemu chciał dać dowód przyjaźni. Ale nie mówmy o tém, do środka, panie gospodarzu, i przyjmuj waszéc gości.

Gospodarz tak był tu jeszcze obcy, że Doroszeńko sam musiał go po większej części zastępować i wraz z kapitanem obwiódłszy go po gospodarstwie, ogólne mu dał rady co robić, jak poczynać, co najpilniejsze było w Kryłowie.

— Ale co mam płacić rocznie? — spytał Jan.

— Tego nie wiem... — rzekł Doroszeńko. — Leśnictwo to nie wiele lub nie nam nie zrobiło; stary chorąży zostawił sobie naznaczenie dzierżawy, a w każdym razie pierwszego roku na zagospodarowanie od tenuty będziesz wolny.

— Nie mogę wytrwać, żebym do chorągwa nie pojechał z podziękowaniem, jakkolwiek mi tu dobrze, ale-bym nie zasnął spokojnie.

— No to razem jedziemy, a nocką sobie powrócisz, kiedy chcesz — rzekł rządca.

Tak ledwie obejrawszy się w Kryłowie, Jan pośpieszył nazad i powrót jego nie zbyt zadziwił chorągwa, chociaż stary wymknął się od podziękowań i powiedziałwszy tylko — co tam! co tam! uciekł do swoich pokojów. Chorążyna poczęła się rozpytywać Jana, jak mu się tam podobało, czy jeszcze nie braknie czego, i nakoniec obiecała na wiosnę przyjechać z panną Jamuntówną w gościnę do Bronicza.

— Zobaczmy też, jak sobie pan Jan da rady i wyegzaminujemy gospodarstwo, będziesz z nas miał surowych sędziów, gotujże się, moje kochanie.

Bronicz był cały promieniejący szczęściem, a pani Bulska, która na scenę podziękowań dla siebie niezrozumiała trafiła, chmurno spojrzała na niego.

— Pan wyjeżdżasz? — spytała go.

— Jużem nawet był wyjechał, ale mnie wdzięczność zmusiła nazad powrócić...

— Dokąd? na gospodarstwo? jakie?

— Tak pani, jadę do pracy, która mi się uśmiecha; mam z łaski państwa puszczonej sobie kawał ziemi, i pocznę w imię boże czynniejsze życie.

Bulska uśmiechnęła się.

— Winszuję — rzekła pocichu — staniesz się pan kapotowym szlachcicem, czytelnikiem berdyczowskich kalendarzy i bardzo przyjemnym hreczkosiejem.

— Nic też więcej nie pragnę.

— I nie tęskno panu będzie wśród tych lasów za lepszym światem?...

— Nie znam i nie wyobrażam sobie lepszego.

— A! na to już niema co powiedzieć!... — Uśmiechnęła się znowu. — Szkoda mi jednak pana, co tak myślisz młodość swą zakopać na wsi, mógłbyś do czegoś lepszego dojść, niż do ekonomowania na małym kawałku jałowej roli.

— Nieszczęściem ja się ani znam na lepszym, ani wzdycham do niego... w ojcu, co sam chodzi śpiewając „Kiedy ranne“ i „Kto się w opiekę“, za sochą, mam ideał dostojności i pracy, nie żądam więcej, pragnę stać mu się podobnym...

— Szczęśliwi, którym tak mało do szczęścia potrzeba — odpowiedziała pani Bulska.

— Życie na zagonie i w pałacu równo upływa i kończy się, a słusznie ktoś powiedział: że Bóg nas nie spyta ani cośmy *umieli*, ani cośmy *mieli*, tylko jakośmy *spełnili* obowiązki i co zrobiliśmy na świecie. Łatwiej słabym podolać mniejszemu, niż na większe się porywać.

— Z pana moralista wielki — rozśmiała się pani Bulska — chociaż łatwoby mi było to rozumowanie pokonać, ale go psuć nie chcę.

I spojrzała nań z rodzajem politowania szyderskiego, ale Jana to nie zabolalo tak, jak ludzi światowych, nie dojmowało go wcale, nie miał pychy, czuł się maluczkim. Widząc go tak spokojnym i niezwykniętym, piękna pani zamyśliła się trochę; a Bronicz korzystając z zadumy, wymknął się pocichu, śpiesząc do *swego domu*.

Bodaj-to młode życie! ale tyle już o nié mówiedzano, napisano i każdy, co je minął, tak dobrze czuje, jaki skarb utracił, że nie już, zdaje się, dodać niepodobna na chwałę młodości. Nie każdy jednak młody wiekiem jest sercem młody, są biedni ludziska zepsute wychowaniem tak, że odrazu z pieluch starymi wychodzą; nasz wiek szczególniej, któremu pilno zawsze, co tak oszczędza czasu i rusza śpiesznie naprzód, jak gdyby najpotężniejszy cel miał przed sobą, uwziął się, żeby młodość wymazać z życia. Nie pozwalają dzieciom być dziećmi, a młodzi już późnziej sami starają się jak najprędziej zestarzyć i uczucie w nich gaśnie w wieku, gdy dawniej ledwie się rozbudzać zaczynało.

Jan Bronicz, który po starym wychował się jak Bóg dał, miał jeszcze całą młodość swoją, to też świat i wszystko, co na nim go spotykało, bawiło, zajmowało, obchodziło żywo i brał się do życia z zapalem. Można sobie wyobrazić, jakich tam wzruszeń i szczęścia było źródłem maluczkie jego zagospodarowanie się w tym Kryłowie, który mu się wydawał i piękny i dobry i zasiany obietnicami przyszłości. Gdy po dniu spędzonym w polu na pracy, wieczorem u komina wziął książkę w rękę i chciał umysłem trochę popracować, aby mu nie dać zardzewieć, zrazu nie było sposobu oprzeć się oblegającym marzeniom; śnił, jak wielkich tu rzeczy dokona, jak się dorobi, jak wzorowe zaprowadzi gospodarstwo, jak rodziców weźmie na spoczynek do siebie, Andzię wyposaży, kapitał zbierze i wioskę kupi...

Nigdy nie zapragnął więcej, ani stęknął na ubóstwo swoje, na maluczki zakres działania; żądze jego nie wybiegały nad dach kryłowskiego dworku i ciszę wiejską tego ustronia, do którego się serdecznie przywiązał. Chwila, w której gospodarstwo swe na nowosielinach poczynął, dobrze też była wybrana, aby mu się tu wszystko jak najśliczniej wydało; wiosenną szatą okryty w oczach jego umajał się Kryłów, puszczały olehy, zarastały trawą błonia, pękały lasy, a orzeźwiające ich powietrze, przejęte woni tysiącem, karmiło piersi spragnione. Codzién nowy wdzięk przybywał ogródkowi i okolicy, co rana piękniejsze się to stawało, weselsze, a ludzie, których dodano Janowi, tak staraniem Doroszeńki wybrani zostali, że nie tylko mu nie zatruli pierwiastków jego pracy, ale pomocą byli i pociechą. Stara Pałaszka, gospodyni, dwaj parobczaki i Iwaś składający dwór, rozpoczynali nowe życie z ochotą, jak on, wesoło i dobrymi sercami.

Szczególniej ostatni, gorąca sztuka, wisus wielki, ale niezmordowanie pracowity, choć figlów płał tysiące i wieczorami kozaka tańcował naprzeciwno, aż się stary trzął dworek, użyty do czegokolwiek, całą duszą brał się do roboty i gotów był być nadstawić, a swo-

jego dokazał. Wyklócił się i pożartował, ale nie pożałował siebie do niczego, nocką czasem drapnął do karczemki, ale co do niego należało zrobić w porze i drugim się opóźnić nie dał. A że najbliższy był pana, bo mu buty czyścił, z ludźmi przybierał powagę dozorey i miał nadzieję, że taki kiedyś na gumienno się wydrapie jeśli nie więcej. Jan go lubił, bo Iwaś z wesołą zawsze przychodził twarzą, a z rozkazem leciał piorunem i nie rozumiał niepodobieństwa; u niego musiało być, co mu powiedziano, choćby największe na drodze znalazły się trudności, nie ustąpił, póki nie dotarł i na swojém nie postawił.

Już był Broniez trochę się oswoił z Kryłowem, poobjeżdżał półka, pustki, łąki w lesie, granice, pouczył się nazwiska uroczyśk, dowiedział się od zahoneckich ludzi, co dawniej na kryłowszczyźnie siedzieli, gdzie co siał, i gdzie lepiej jakie udaje się ziarno; zimowe posiewy zaczęły się ruszać ślicznie, bo deszcz w miarę przechodził, jarzyna się też obsiewała; łąki już zatykać miano, gdy jednego popołudnia, siedząc w ganku ze strzelbą, którą czyścił, spostrzegł na drodze od młynka czwórka zamaszystą mierzynów do dworu jadącą kałamaszkę słomą ostawioną. Gość w Kryłowie był rzadki, nawiedzali go tylko z Borowój poczciwi przyjaciele, nikogo zresztą nie znał i nie spodziewał się. Iwaś przyskoczył od bramy zdyszany wołając z zapalem swym kozaczym:

— *Hosti jidut! hosti!*

A tuż za nim bryczka zabiegła przed ganek i z niej wysiadł śmiejący się stary Bundrys.

— A koehanego sąsiada! — zawołał — otóż to takie teraz obyczaje, nie do rzeczy; dawniej przybywający w sąsiedztwo objeżdżał i poznawał się submitując panom braciom, a teraz starzy tubyley sami muszą nowego szukać sąsiada, pięknie to? he?...

— Ja bo się doprawdy do Romaszówki wybierałem kilka razy, ale to nowe gospodarstwo...

— A daleko to do Romaszówki, człowiecze, ha? las przejechałszy, jak się zowie, grunta romaszowieckie, i widać dwór, piechotę można się chłódkiem przejść, dalipan nie do darowania, chłopeze!... udajesz królewicza!... takiś mi pyszny...

— Panie sędzio, gorzkie wymówki, ale czuję ich słuszność, wienien jestem...

— Nie dosyć *mea culpa*, ale poprawę przyrzec potrzeba — rzekł wchodząc do izdebki Bundrys — to grunt! Nie słucham nic, a dopiero w Romaszówce się o to rozmówimy. Teraz przyjechałem zobaczyć, co tu porabiasz na nowej sadybie, i jak ci tu jest?... A dalipan dobrze! pyszniesz mi się urządził, i taka, jak się zowie, chatka szlachecka... aż miło! ja to wole, niż borowskie pałace...

— O! i ja... — odparł Jan — ale gdyby nie Borowa, nie byłoby Kryłowa...

— A to poczęści prawda, niema co mówić, ludzie poczciwi!

— To mało, panie sędzio! mało... święci i zacni, i gdyby wszyscy panowie, których nie znam, do nich byli podobni, zajądałbym się z panem broniąc ich.

— To bieda, że Jamuntowie wyjątek stanowią... no! ale powiedzże mi, dobrze ci tu?...

— Możeż być na świecie lepiej?... dali mi sposób do pracy, a z jakimś to uczynili sercem, z jaką delikatnością, z jakim prze-czuwaniem wszystkich potrzeb moich! wystaw sobie pan, znalazłem tu jakby ojcowską ręką nasypane śpichrze i śpizarnie i sprzęty... o! co to za ludzie!... o! co to za serca!...

— Ale nie ujmuję im, nie ujmuję!... — jakoś chmurno zawołał Bundrys — ludzie, jak się zowie, godni, ale mój drogi... i w Romaszówce są serca... dla tamtych o nas nie zapominaj — dodał — i my waszeci kochamy...

— Tém więcęj za wszystkie dobrodziejstwa, jakimi mnie obsypujecie, umiem być wdzięczen, że to niezasłużone wcale... i kto wie, czy kiedykolwiek wart tego będę...

— No, to już może dosyć o tém, i basta tój litanii—rzekł sędzia z westchnieniem—a waćpan wiesz, że ja 'z interesem przyjechałem?...

— Do mnie?

— Do waści, jak się zowie...

— Sędzio, cały jestem na rozkazy...

— Tak, honory, honory, a do Romaszówki nie przyjeżdżasz... co? Osmólskiej się boisz... czy Kostusi?...

— Obu... panie sędzio, a wogólności kobiet... ale interes?...

— A! jakież interes?...

— Ten, o którym pan dopiéro wspomniałeś...

Bundrys nie łatwo sobie przypomniał, że coś wyjeżdżając z domu wiozł z sobą na ubarwienie tój bytności w Kryłowie, która inny cel miała.

— A no!... interes myśliwski... — odezwał się. — U ciebie... ale ty swoich uroczysk nie znasz...

— Jak to! na palcach!...

— Wiesz-że gdzie Zapadycha?...

— I byłem tam już i kazałem szalas zbudować na toki...

— A ja właśnie chciałem cię prosić, żebyś mi tam pozwolił także puknąć do cietrzewi...

— I owszem, poluj pan ile się podoba, ja-m nie wielki myśliwy; a gospodarstwo...

— Znać młodego konika, zaprzężony rwie co sił, patrzaj-no, żebyś

się nie ochwacił... powoli, powoli. Co tu u ciebie za gospodarstwo? niema co robić... a no, chodź-no mi pokaż koło dworu, obejdziemy... zobacze...

Musiał Jan wkoło zabudowań, do obór i stajen zaprowadzić ciekawego Bundrysa, który podobno nie tyle mieniu ile staranności gospodarza chciał się przypatrzeć, i widząc wszędzie ład, pilność i porządek, bardzo pochwalał, wyściskał, a pokilkakroć zaprosiwszy do Romaszówki, odjechał wreszcie późnym wieczorem.

Nie było tedy środka, patrząc prawie na dwór romaszowiecki, nie dojechać do sąsiada, i w jakiś dżdżysty dzień, gdy w polu zajęcia nie miał, Jan parą koników pobiegł do Bundrysów. Stary tylko co był odjechał, tak jakoś niegrzecznie drapnął jakby przed gościem uciekał, bo mógł go widzieć zdala ciągnącego do dworu, a drugą drogą w pole się wysunął; przyjęła go sama panna Konstancya z panią Osmólską, zapowiedzia, że ojciec na wypadek przewidywanego przyjazdu, prosił, aby Bronicz na niego poczekał i nie odjeżdżał z nim się nie widząc.

Że to było po obiedzie, a do wieczora kawał czasu, i pani Osmólska w ciągłych jakichś około domu zajęciach, wychodziła co chwila, Jan z Konstancją zostali prawie sami. Nadto mało znał świata i miał zarozumienia Bronicz, by z tego położenia wnioski jakies wyciągał i domyślał się czegoś; brał to naturalnie, jak było, prostu i nie uderzało go to, że mu polecono bawić Kostusię, bo nie przypuszczał nawet, żeby zuchwałém okiem miał się podnieść do niej. — Zbyt wiele od ojca wyuczył się dumy szlacheckiej, by ofiarą spokoju i upokorzeniem dobry byt okupywać, ani mu się śniło nawet o bogatej dziedzicze. A jeśli w snach niekiedy przesuwała się przed nim postać dziewczęca, wprawdzie nie wiedzieć jak i dlaczego miała rysy Kostusi, ale nie była panną Bundrysówną, tylko ubogą, jak on, szlachcianką zagrodową.

Tymczasem sam nie zdając sobie sprawy, ani z tego, co się z jego sercem działo, ani z następstw, jakie zbliżenie się zbyt poufale do pięknej Bundrysówny pociągnąć mogło za sobą — w tych godzinach samotnie i swobodnie z nią spędzonych, Jan do szaleństwa się zakochał, nazwiska uczucia tego nie śmiejąc wymówić. Zdawało się, że i panna Konstancya nie była obojętną dla niego, przywitała go całą zarumieniona, nie kryjąc radości swęj, i w chwilę potem już z nim była tak jakoś po bratersku, serdecznie, poufale, tak się z sobą śmieli, tak wiele mieli sobie do opowiadania, tak się zajęli wzajemnie, że ani widzieli przesuwającej się z dosyć kwaśną miną pani Osmólskiej, ani policzyli godzin, które im jak błyskawice przebiegły. Stróż ich, zacna matrona, zdawała się walczyć między rozkazem odebrany, a własnym instynktem, nie wiedząc, co wybierać;

wchodziła, zasiadała, myślała przeszkadzać, rzucała na Kostusie wejrzenie pełne przestróg, to znów jakby sobie co przypomniała, odchodziła ruszając ramionami.

Kostusia rozpytywała bardzo o Kryłów i nowe gospodarstwo, o którym widać ojciec jej cuda opowiadał; Jaś spowiadał się jej z marzeń przyszłości.

— Tak mi tu dobrze — mówił — tak spokojnie, że Kryłowabym na królestwo nie mieniał... i gdyby jeszcze w Romaszówce, na którą patrzę, częściej wolno było bywać...

— Alboż kto panu tego broni?... wszak ojciec prosi!...

— Tak, sędzia aż nadto łaskaw na mnie, biedaka... — ozwał się pół smutno pół wesoło Jan — ale nie trzeba nadto do dobrego przywykać... i tak powiem pani szczerze... a można?...

— Owszem, proszę. Cóż pan powiedzieć chciałeś?

— Na cóż mam się narażać, żeby mnie potem wypędzano?...

— Nie sądzę, żeby to kiedyś przyjść mogło... pan nie wiem co roisz?...

— A nuż znowu coś tam sobie ludzie nedorzeczy spleją, jak z odwiedzin pana Aleksandra?...

Kostusia się zarumieniła mocno.

— I straciłbym pozwolenie choć kiedykolwiek przyjść i nakarmić się na długo rozkosznym Romaszówki powietrzem... Wolę być ostrożnym, by nie stracić dobra, które dla mnie największą ma cenę...

Sędzianka mu nie odpowiedziała, spuściła oczy.

— Może ja zresztą nadto wiele przypuszczam — dodał Jan zmieszany — bo o tak nieznaczącej jak ja biednej istocie, któżby tam chciał mówić, i kto by mógł przysnąć nawet takie z mojej strony zuchwałstwo?!...

— Coś ja pana nie rozumiem.

— Nie wie pani może, bo i ja niedawno się dowiedział, że panią swatali panu Aleksandrowi Jamuntowi...

— A to coś pociesznego!... — rozśmiała się Kostusia — komuż się to przyśniło, chyba Uchańskim?

— Może, a nużby im znowu coś się przywidziało? ale nie!... ja dla nich jestem takim prochem... i nadto znam swoje położenie... — dodał.

— Znowu pana nie rozumiem... ale nie mówmy o tém lepiej, a do Romaszówki dlatego przyjeżdżać można... dla mego ojca, który się często sam nudzi, byłbyś pan zawsze pożądanym gościem.

— A dla pani?... — spytał Jan.

— Ja się trochę nudzę... — przemówiła Kostusia — słyszałam,

że pan dobrze czytasz i w Borowej byłeś lektorem, możebym tu pana także zrobiła moim.

— Przyjmuję urząd!

— Ale potrzebaż choć dwa razy w tygodniu na cały wieczór tu przyjechać.

— A co sędzia powie?

— Podziękuje panu.

— Nie! nie! — zawołał nagle Bronicz — nie mogę przyjąć, coś mi mówi, że nie powinien, kiedy-nie kiedy przyjechać do Romaszówki, wbięz tu, spocząć, odetchnąć, to nie; ale nawyknać, przyzwyczaić się, zrobić sobie z tego potrzebę, nadto by potem przyszło odcierpieć, gdyby się to szczęście, jak wszystkie na świecie, rozprysło.

— A! szkaradny egoizm, który pierwszy raz w panu odkrywam!

— Prawda, ale przyjmiesz pani ofiarę? no, to ja się od niej nie wynawiam.

— Ale pan sobie nie wiem jak Romaszówkę wyobrażasz, taki domek znajdziesz wszędzie.

— O! coby zastąpił mi ten, nigdzie na świecie! — zawołał z zapalem młody człowiek, nie zastanawiając się nad słowami swemi. Dla mnie i raj by gdzieindziej być nie mógł, tylko tutaj.

— Nadtoś pan grzeczny.

— A! pani to bierzesz za czeze słowo! — z wymówką rzekł Jan smutnie.

Spojrzeni na siebie, a Jan opamiętał się dopiero po chwili, że i rozmową i spojrzeniem tём zadaleko się posunął; uląkł się zuchwalsstwa swego, ochłódl jakoś przestraszony i nie doczekawszy może Bundrysa, byłby odjechał do domu, ale sędzia zjawił się, choć koni nie widać było przed gankiem i wszedł z roztwartemi rękami wołając:

— Nareszcie, kochany sąsiedzie! oczekiwany, proszony, niewdzięczny, jak się zowie! zawitałeś do Romaszówki. Ot tom ci figla spletał za te twoje ceremonie! wiedziałem, że dziś będziesz, i przez kilka godzin zostawiłem cię sam-na-sam z babami za karę. Masz, jak się zowie, pokutę.

— Piękna pokuta! — rozśmiał się Jan — aż ochota bierze drugi raz na nią zasłużyć!

— O! doprawdy? patrzajcie go!

Spojrzał na córkę, która mu się wesolo uśmiechała i zatarł ręce, co u niego było znakiem bardzo dobrego usposobienia.

— Tandem, co tam słyhać? jak idzie gospodarstwo? obsiałeś się? he!

Nie było co wiele mówić o czterdziestu morgach kryłowieckich i z tego źródła nie popłynęła długo rozmowa; zwrócono się do Borowej, do sąsiadów, a że pora spóźniona, sędzia pociągnął z sobą Bronicza, który już panie pożegnał, na gawędkę do swojego pokoju.

— Tymczasem księżyczejdzie — rzekł — a my trochę pobajdurzymy sobie.

Więc znowu o tém i o owém, a najwięcej o polowaniu, a potem trochę o gospodarstwie, sędzia chłopcu ust prawie nie dając utworzyć, sam żwawo się rozgadywał.

— Ale to już starość nie radość — rzekł w końcu — polowanie to jeszcze jako tako bawi choć zmęczy, a koło roli jużbym się rad wyręczyć, i żeby tak Pan Bóg dał zięcia gospodarza, a dobrego chłopaka, zdałbym mu już wszystko i na łasce u niego sobie siedział, klepiąc różaniec, a czasem się ze strzelbiną włócząc. Jakby mi parę koni, wózek, chłopek do usługi i tak z półtora, ze dwa tysiące złotych na kapotę, byłoby aż do zbytku. Co na to mówisz, Jasiu?

— Że pan o tém niepotrzebnie myślisz, chwala Bogu siły służą, na co się wydziedziczać!

— A dyabła tam służą! wołałbym już czasem za piecem siedzieć i z ludźmi się nie ujadać, a na pocziwą Kostusię sobie patrzeć, ciepło popijając piwko.

— No! to panu nietrudno będzie gospodarstwa się zbyć i córki.

— Myślisz? to! to! ja bo trudny jestem, chłopcze! Ot widzisz, żebym był mruknął, pisał, byłby się wasz pan Aleksander z nią ożenił, a Uchański w kolanoby mnie pocałował, żebym jego synkowi dał Kostusię, że o innych nie gadam, bo jest tych konkurentów bez liku; ale ja dobrze wybierać muszę. Dziewczyna sama jedna na świecie, ja niedługowieczny, nietylko męża, ale ojca i matki w nim potrzebuje. Bogatego nie chcę, niechby sobie i kapoty nie miał na grzbiecie, aby szlachcic, a pocziwy, będzie dosyć i dla dzieci Horkowicz i Romaszówki, jedz, pij i popuszczaj pasa! Co ty na to, panie Janie?

— Ja sędzę, szanowny sędzio! że takiemu ojcu jak pan, i takiej jak panna Konstancya córce, Bóg da wszystko, czego zapragną, boście godni błogosławieństwa, a niekoniecznie tam między ubogimi przyjdzie szukać *pryjmaka*, trafi się i z majątnych ktoś pocziwy.

Bundrysa ubodł widać ten wyraz *pryjmak*, który oznacza parobka do córki przyjętego, zwykle z chaty uboższej do bogatszej, w której tylko jedynaczka zostaje.

— Ale bo ja panicza nie chcę, a szlachetki...

— Rozumiem — rzekł Jan — tylko pan patrz, czy szlachetka zechce choćby po największe szczęście sięgnąć, nie nie mając sam i przychodząc z rękami gołymi pod cudzą strzechę. I to położenie nie do zazdrości; tak samo jak sędzia bogatszego dla córki nie życzysz, uboższy nie zapragnie majątniejszej od siebie żony.

— E! to już mosanie metafizyka, jak się zowie... tak się na świecie działo od wieków, a jak się pokochają dwoje, czy to tam myśleć, kto ma więcej? albo to im w głowie...

Jan zamilkł i zamyslił się, chciał zaraz odwrócić rozmowę, ale uparty sędzia nie dał mu się wykręcić.

— Tak! chłopcze, tak — rzekł — wydam Kostusię za ubogiego... lepiej jej z tém będzie, wolę prostego szaraczka brata naszego nad tych paniczek, którym serca wyrwają jak zęby spróchniałe, żeby nie bolały, co myślą, że dla ich czupryny i miny, królowne szaléc powinny, i gdy po francusku zagadają, a broń Boże podróżowali i powąchali powietrza nie naszego, już się ich nie dokupię! żebym chciał takich błaznów, to ich teraz na fury brać, to bieda, że ja czego innego szukam...

— O! czas pan masz jeszcze rozpatrzeć i znaleźć.

Zagadał potem Jan cietrzewiami starego, wpadli na słomki, których ciągi się poczynały, nuż o polowaniu, z tego o Kryłowie i Bundrys w ostatku zapytał:

— No! powiedz-że mi, Jasiu, a dalej co ty myślisz?

— Ogromne mam projekta — odparł wesoło Jan — rodziców sprowadzić tu na wypoczynek, pracować dla nich i fortunę na Kryłowie zrobić...

— O! to ci będzie trudno, mój chłopcze, jak się zowie — rzekł stary — Kryłów maleństwo, starych i siebie przeżywisz, ale daleko nie zajedziesz tém; no... a przecież i ożenisz się kiedyś?

— Chyba nie rychło — odparł Jan — gdzie mnie o tém myśleć? Andzię trzeba wyposażyć i za mąż wydać wprzód, dorozić się, żeby było na dwoje, a dopiero obejrzeć, czy kto razowy mój powszedni chlebek zechce ze mną podzielić...

— Ta! ale by ci coś żona przynieść z sobą mogła?

— Ja się bogato wcale ożenić nie myślę i nie chcę — przerwał Bronicz — niech mnie Bóg broni! gorzki-by mi był chleb cudzy...

— E! bałamucisz, kochanie! bałamucisz! wszysycę się tak żenią; ot i ja po nieboszczce wziąłem posag, i dobry posag... kto tam w małżeństwie tego patrzy!

— Ale co to o tém mówić! gdzie mnie myśleć o ożenieniu, nie nie mając, i mniej niż to, bo obowiązki jeszcze...

— Ależ bo Kryłowa tego na twoje projekta za mało — rzekł

sędzia pomyślawszy — i szkoda taki twojej pracy na tę mizerotę. Jamuntowie poczciwi nie dali tego dla ciebie, ale dla rodziców; tobie sił trzeba użyć na większém gospodarstwie.

— A! jak się czegoś dorobię, wezmę może dzierżawę...

— Długo czekać! w Kryłowie... Maciek zrobił, Maciek zjadł... nie nie zyskasz, chybabyś skarb odkopał, a to byś go Jamuntom oddał.

— Najpewniej.

— Otóż wldzisz; ale wiesz co, ja stary, opuszczam się; bierz ode mnie Romaszówkę w dzierżawę!

Jan osłupiał na te słowa sędziego... a potem się rozśmiał jak z żartu.

— Czekaj no, nie gadaj nie — przerwał mu Bundrys, widząc, że usta otwiera — nie myśl, żebym ci chciał dobrodziejstwo jakieś robić; będzie i wilk syty i koza cała. Rzecz jest taka: majątek potrzebuje młodego i pilnego oka, ekonomowie łajdaki, ja się opuszczam, i ot już w przeszłym roku lieho wie, jak się zowie, posieli ozi-minę i zaraz w zbiorze się pokazało, że mój Maluzkiewicz musiał być pijany, kiedy w pole jechał... Do tego, ja jeszcze polowańko lubię, dosyć że dochody co rok się umniejszają, a perzu na poletkach narasta... Gdybyś ty to wziął, to byś mi spokojność dał... i doprawdy mi byś zrobił dobrodziejstwo, nie ja tobie; nim ja tego kołtuna się pozbędę i Kostusię za mąż wydam, to Romaszówki nie stanie, z kre-tesem pójdzie wszystko!...

— Ależ ja grosza przy duszy nie mam — rzekł Jan.

— Po cóż tu grosz... posłuchaj tylko — zawołał Bundrys — ja ci puszczę tanio, bo powinienes zarobić, i sam jeszcze zyskam, bo będę miał pewny grosz; będziesz mi płacił z dołu, bo pieniędzy mi nie potrzeba... remanenta są... bierz i oswobodź mnie.

— Ale sumienie nie pozwala... i są i są... inne powody...

— W Kryłowie, jak się zowie, mieszkać sobie możesz jak mieszkaś, słuchaj tylko; Romaszówka tuż, Horkowicze pod nosem, dojeździesz łatwo... zresztą powodów do odmówienia nie masz, bo ja ci łaski żadnej nie robię, bierziesz kłopot na szyję...

Jan sam nie wiedział już co powiedzieć.

— No! no! *ne howory, ne howory!* — kładąc palec na ustach — rzekł sędzia — sza, pomyśl dobrze, poradź się ludzi, zapytaj Jamuntów, a dopiero mi odpowiesz; ja cię tak nie chcę brać z przełaju... powoli...

— Ale choć podziękować za zaufanie i łaskę twoją, panie sędzio, niech mi będzie wolno — rzekł Jan — Bóg mi doprawdy więcej daje, niżelim zasłużył... i mówią, że świat zły!

— E! nie słuchaj, gałgany tak gadają, co sami się popsuli, świat

był i jest jednaki, tylko trzeba wiedzieć, gdzie poczciwych ludzi szukać... A dziękować mi nie masz za co, to ja tobie winien będę, nie ty mnie... Lada komu bym tego nie powierzył, ale w tobie krew poczciwa, szlachecka... i ja ciebie znam na wylot.

I tak się po uścisku rozstali, a Jan cały rozmarzony odjechał do domu, a Iwasa nawet pomiarkował, że się coś paniczowi stać musiało w Romaszówce, bo wysiadł z bryczki i poszedł do pokoju prawie nieprzytomny, odurzony... nie pytając o nic, nie chcąc rozmawiać, konie tylko na jutro do Borowej zadysponował.

— Cóż to tam w tej Romaszówce paniczowi zrobili? — rzekł kozaczek wchodząc na przeciwek do stariej Pałaszkii — a to tam ponoż panna jest; to nam jego zbałamucą. Wy jego znanie — szepnął powoli — rozgoworliwy, z człowiekiem po ludzku sieje-teje, popyta, pośmieje się, a to dziś jak mruk, tylko chodzi a sumuje... aby no się nie zakochał, będzie bieda, jeszcze zachoruje... Ot! gdzie dyabeł nie może, to babę posle.

Pałaszkia splunęła, słysząc to bluźnierstwo i ofuknęła się na Iwasia, a on na złość, najzjadliwszą jej poczał na kobiety wyspie-wywać piosenkę...

Nazajutrz rano bryczka stała u ganku, a kozak poglądał z ukosa na panicza, który już trochę przyszedł przez noc do siebie, i z gawędy się nie wykręcał, choć niewiele Iwasiowi odpowiadał. Zawsze tak jakoś i tą razą szczęśliwie się udało Janowi, że do Borowej na mszę trafił, ale już ksiądz Ginwiłł był w kościele, i w dzwonek sygnowano, poleciał więc prosto do zakrystyi, wdział komżę, pochwyił mszał, i gdy z modlitwy powstał, kanonik ujrzał go niespodzianie, przy dzwonku we drzwiach kościelnych. Uśmiechnęły mu się usta tylko; i nie mówiąc, bo modlitwę poczał, wyszli przed ołtarz.

Wszyscy starzy znajomi byli na swoich miejscach, chorąży w ławeczce z żoną, pan Aleksander pod bocznym ołtarzem, pani Bulska przy prezbiteryum klęczała, a Hończarewski we drzwiach modlił się podniósłszy obie ręce do góry z osobliwszym zapachem i bił w piersi, aż się po całym rozlegało kościele.

Po mszy dopióro poczęły się przywitania serdeczne.

— A jakże się masz?

— Poczciwieś zrobił, żeś przyjechał...

— Na długoż do nas? i tym podobnie... — Jan kłaniał się, ścisnął, całował, odpowiadał, śmiał się, a to kółko przyjaciół serdecznych na chwilę mu wybiło z głowy nawet sprawę, z którą był przyjechał. Wypadało ze wszech miar naprzód się zwierzyć panu Aleksandrowi, i tego zaraz wziął na stronę, słowo w słowo powtarzając mu swoje wczorajsze z Bundrysem rozmowę.

Pan Aleksander choć mu pilno było pójść za panią Bulska, która prowadziła chorążynę... wysłuchał go cierpliwie i uśmiechnął się.

— Chodź-no, chodź — rzekł — trzeba to moim rodzicom powiedzieć, pogadamy...

Weszli zatem do sali, w której już gromadzono się jak zwykle do śniadania, a tu znów goście przywitaniami i pytaniami obrzucili wszystkie.

Książd Ginwiłł ściszał, a ściszał.

— Niewdzięczniku — rzekł — po gołębie nie przysyłasz! co to, gardzisz ofiarą, którą składano w starym testamencie w świątyni pańskiej?

— Ale dziś je biorę i stokrotnie dziękuję...

— Z roztargnieniem do mszy służyłeś; bojąc się, czy ci się co nie stało i ja miałem przez to dystrakcyę... Ha! zateśknileś za nami, widzisz; ale niema nic złego? nie?

— A nie! nie...

— No to chwalić Boga...

Pulikowski odwołał go na stronę.

— Wiesz nowinę? — rzekł pocichu.

— Nie nie wiem.

— Ogromnissima! już tedy intrygi panny Jamuntównej, nie mogąc oprzeć się o mnie, gdzieindziej się zwróciły.

— I cóż!

— Twój krewniaczek pada ofiarą... Doroszeńko...

— Jakto?

— A żeni się z Jamuntówną! tylko sza! na mnie już inne zastawiono sidła, i chcą stąd wygnać... Zawsze pokątne szeptę, mrugi, migi, zmowy... cały truchleję...

— A nie przywidzenie to, kochany poręczniku?

— I ty już tak mówisz... patrzałaś na to!... a nie wierzysz!

Wtém postrzegłszy, że panna Jamuntówna śmiejąc się nań spoziera, Pulikowski uciał nagle i odsunął się ku drzwiom. Pan Aleksander opowiadał tymczasem rodzicom, z czém Jan przyjechał, i widać było po twarzach starsuszków, że się radowali; chorążyna westchnęła trochę, złożyła ręce i spojrziała na Bronicza z poczciwym swoim nśmiechem.

Tymczasem hrabina przystąpiła do gościa i przypatrywała mu się ciekawie.

— Jak tam panu dobrze być musi na świecie, że tak masz twarz rozpromienioną? Opaliłeś się, aleś jeszcze zmężniał i do twarzy ci z tą ogorzeliżną... Wybieraliśmy się tam pana odwiedzić z chorążyną...

— A! pani! czyż warta uboga chatka takich gości?

— Chatka jak chatka, tój panu nie zazdroszczę, bo wolę pałac borowski — odparła piękna pani — ale warto pojechać, żeby się przypatrzeć tój osobliwości, jaką jest człowiek szczęśliwy...

Jan westchnął, coś mu w tój chwili brakło już do szczęścia i myśl pobiegła do Kostusi; ale wprędce otrząsł się z tój tęsknicy.

— Tak—rzekł — nie mylisz się pani; dziwi mnie tylko, że nie każdy jest szczęśliwym, gdy tak do tego niewiele potrzeba...

— O! naiwne dziecię! — rozśmiała się pani Dorota — niezrównany, wyborny! A w jój uśmiechu była jakaś dziwna gorycz; politowanie i szyderstwo.

Po chwili wszyscy od okna przeszli do Jana stojącego w dali z Doroszeńką; chorąży go wziął za rękę.

— No, dobrze — rzekł — winszuję ci... Bundrys ci dobrze życzy, czemu nie masz przyjąć? Bierz! bierz!

I odszedł swoim zwyczajem; chorążyna za to poczęła rozpytywać go dłużej; jak, co, skąd do tego przyszło? a Jan obszernie się przed nią wytłómaczył.

— I ja ci odradzać nie będę — rzekła po chwili — ale się rodziców także popytać potrzeba i z nimi tą pomyślnością podzielić; znasz ojca, że nie łatwy do przyjęcia czegokolwiek od ludzi, bo sobie wszystko chce być winien: wypada ci pojechać do niego, i do jego woli zastosować... Ja w tём wszystkim dalej widzę jeszcze, ale to tego zgadywać nie wypada...

Ksiądz Ginwiłł i inni spostrzegli te szeptę i domyślając się, że tam coś zaszło ważnego tyżącego się Jana, czekali nań tylko, żeby go pochwycić i cały dwór wysypał się z nim w dziedziniec, drogą ku dworkom. Nie było co tajemnicy robić: Bronicz powiedział im, z czém przyjechał.

— A to łaska boża nad tobą, coś się w czepek urodził — krzyknął Doroszeńko ściskając go — naprzód do Borowej się dostałeś, to pierwsze szczęście.

— I temu pierwszemu wszystkie inne winienem — przerwał Jan.

— A teraz Bundrysisko poczciwe czepia się ciebie, i ani chybi z córką cię swoją ożeni.

Jan zakrzyknął:

— Ale cóż za myśl! — zawołał — to być nie może... ja tak wysoko nie sięgnę!

— No! no! gadaj zdrów, duma duma, a jak ci się głowa zawróci?

— Głowa się nie zawróci...

— To ci się serce zawróci...

— Ot! nie durzylibyście mi Jana — przerwał ksiądz Ginwił — niech lepiej idzie gołębie zobaczy...

— A potem do mnie — rzekł Doroszeńko wchodząc do swojego dworku — bo i ja ci coś mam powiedzieć.

Jan posunął się z kanonikiem, który w drodze znowu go wziął na spytki, a potem z kolei sam mu się spowiadać począł.

— Ty nie nie wiesz — rzekł — a to tu w Borowej mało czasu, a wielkie zmiany. Doroszeńko ci to sam powie pewnie, że się pannie Jamuntównie oświadczył i na weselisko gotuje.

— A więc to prawda?

— O! to już wiesz; od kogo?

— Szepnął mi Pulikowski.

— I pocziwą będzie miał żonę, wiek dobrany, niech Bóg błogosławi...

— A dalej, kochanie — rzekł kanonik — dziwniejsze jeszcze rzeczy... pani Bulskiej od niejakiego czasu ani poznać; kto wie, może Bóg da, iż w tej czystej atmosferze pocziwości przyjdzie nieszczęśliwa do opamiętania. Ja tam jęć jeszcze nie rozumiem dobrze, bo kto te zepsute istoty pojmie; ale sam widzę, że bardzo się nam odmieniła. Posmutniała jakoś naprzód, modli się inaczéj wcale, inaczéj mówi, częściej mileży, spokojniejsza. Chorąży stary, co to niby nie nie widzi a wszystko wie, innym na nią okiem ogląda. Sama się z nimi bardzo pojednała. Kto wie — dodał ksiądz Ginwił — natura dobra; okoliczności popsują, okoliczności spróstują. Przychodzą na nią chwile dawniejsze, napadnie czasem giez, rzuci się, poszydzi, pokasa nas trochę, ale to może tylko resztki wychodzą...

— Ja jęć tak zmienioną nie znalazłem — rzekł Jan.

— Złe patrzałeś, a może dziś w staréj postaci... ale ci powiadam — dodał ksiądz Ginwił — inna kobieta... w gruncie wiele dobrego, serce poczeiwe, dobroczynna, tylko ją świat popsuł i pochlebstwa a kadzido odurzyło. Już to dowód, że jakaś jest w niej odmiana, kiedy z nami wytrwać może i do miasta ani za granicę wcale się nie wybiera... Jeździła parę razy do majątku, a że tam te jęć pałace nieskończone i wilgotne jeszcze, powróciła tu.

— A pan Aleksander?

— A cóż? — dodał kanonik wzdychając — gdyby nie ta myśl, że Bulska może nam udawać, co zechce, a my się na tém nie poznamy wieśniacy, trzebaby się cieszyć, tak przy niej ożył i do niej się przywiązał, już to hamować ani myśleć... modlić się tylko.

— A! tak! — rzekł Jan z uczuciem — wśród was tutaj i najgorszy, najzepsutszy z ludzi musiałby odetchnąwszy tém powie-

trzem poprawić się, opamiętać, uderzyć w piersi, i stać się nową istotą...

— No! chodź-że zobacz gołąbki, kiedy nam komplementa prawiś — przerwał ręką machając ksiądz Ginwiłł.

Gołębie w istocie zasługiwały, aby się im przypatrzeć, ale tuż i Doroszeńko, nie doczekawszy się krewniaka, sam do dworku proboszcza się przysunął i rozpytywać począł Jana.

— Wiesz — rzekł w końcu — powiedz staremu, bo pewnie pojechać musisz do rodziców, że na mnie także przyszła kreska, żenię się! niech tam na mnie nie krzyczy, żem się za późno opatrzył...

— Jak to późno! — zawołał proboszcz — nasi starzy ojcowie, dopiero z wojenki powróciwszy około lat pięćdziesięciu, siedemdziesięciu nawet, stawali na kobiercu; a teraz łada gołowąs, w dwudziestu kilku leciech już myśli o żonie, a gdy Pan Bóg da dzieci, sam nie wie co z niemi począć, rozleży się, wydelikaci, marnie zejdzie życie. Dawniej i koni ze stada prędzej jak w siódmym roku nie brali, a do dwudziestu pięciu chodzili, dziś i ludzie i konie marnieją...

— Ot tak — śmiejąc się dodał nadchodzący Zbrzeski — na Borową napadła żeniaczka, nasz pan nie tu to tu, pewnie się ożeni. Doroszeńko już po zaręczynach; pan Jan także możesz nie chcący dojść do czegoś podobnego, jak uważam; pozostaje tylko Hończarewski, dla którego pary znaleźć trudno, i ja, cobym sobie parę wybrał łatwo... ale... szpakowacizna mi zawadza...

— Kapitanie — rozśmiał się ksiądz Ginwiłł — trzeba jak do bryczki szpakowatego ze szpakowatym dobierać...

— E! jak tak — rzekł Zbrzeski — to do nóg upadam! wolę chodzić w hołoblach.

Cały wieczór zeszedł na gawędce po dworkach, na odwiedzinach i naradach, stanęło na tém, żeby Jan znowu pojechał do rodziców. Iwasia więc z końmi swojemi do gospodarstwa odesławszy dla dozoru nad parobkami, choć tam niewiele robić było, bo siejba się skończyła, sianokos nie zaczął jeszcze, i sochy tylko wyprawić można było w pole. Bronicz wziął fornala z Borowój i ruszył do ojca.

Miło mu było znowu powitać kątek swój znajomy, ale teraz na kraj cały inaczej jakoś poglądał z gospodarskiego stanowiska; sam rolnik chodził oczyma po zagonach, opatrywał wschody, dumał o lecie i żniwie, a marzył ogromnie o przyszlęj pracy.

Zdała już obaczywszy ojca siedzącego na przyzbie przed domkiem, zeskoczył z bryczki i pobiegł go ucałować; staruszek, który się go nie spodziewał, chwycił się rozczulony i słowa nie mówiąc głowę jego przycisnął do piersi. Matka i siostra wybiegły z krzykiem.

— A to cię Pan Bóg przyprowadził — rzekł pan Ignacy — jak-

byś przeczuł, że mi za tobą tęskno było, moje dziecko, bardzo cię zobaczyć chciałem...

Jan spojrział dopiero w twarz ojcu i postrzegł na nią zmianę, biały był i blady bardzo, ręce mu się trzęsły, usta miał zaschłe... oczy zmęczone i krwią zabiegłe.

— Chory był ojciec? — spytał matki.

— Chory, nie — odpowiedziała pocichu — ale tak coś od niejkiego czasu nie domaga, w kościach go łamie, skarży się, że nogi mu nie służą; postępuje i wzdycha... a jak z łóżka wstać przyjdzie, co dawniej ochoczo się zrywał, teraz ledwie dźwignie.

Stary się jednak przy kobietach nie poskarżył; ale wstając oparł cichaczem na rękę syna, i nogami powlókł idąc... wszyscy weszli do chaty; a pytania gradem się posypały.

— Ja już jestem na mojem w Kryłowie — rzekł Jan — i przyjechałem rodziców do siebie zaprosić, dworek wygodny, chleb będzie, nasze to półko możeby kto wziął z sąsiadów, a tam bylibyśmy razem...

— Ale gadaj no, co ten Kryłów, co ty tam za niego płacisz? jakie to jest? — począł ojciec i trzeba mu było szczegółowie opisać całe gospodarstwo, co Jan ochoczo dopełnił, pragnąc koniecznie rodziców do siebie namówić.

Stary słuchał z uwagą, niekiedy głową kiwając.

— Ale to tęgi folwarczek, jeśli ty mi chłopcze nie kłamiesz — rzekł — byle praca i grosz mieć można... Sianożęci! woda! młynek! las! wszystkiego po uszy!

— Ale mi się i lepszego coś jeszcze trafia!...

— Drugiego? — zapytał stary — no, gadaj, gadaj...

— Wszak ojciec znasz Bundrysów?

— Którego? sędziego znam, człowiek ucziwy, dziwak trochę... ale serce dobre...

— Kryłów sąsiaduje z jego wioskami, stary ma jedynaczkę córkę, widać się utuptał przy gospodarstwie i chciałby odpocząć, a niema komu oddać, przyszło mu na myśl, poznawszy mnie, powierzyć mi zarząd tytułem dzierżawy, i bardzo nalega, żebym obie wioski wziął.

— No! a czémże zapłacisz? — zawołał marszcząc się stary.

— Proponuje mi wypłatę z dołu! Właśnie się też tego sam nie chcąc podjąć bez woli rodziców, przyjechałem po radę — rzekł Jan — i zrobić, jak mi wskażecie.

— Pocieszny stary — mruknął pan Ignacy — cóż to ma znaczyć? na co nam te dobrodziejstwa!

Od słowa do słowa poczęli się coraz szczerzej i obszerniej rozgadywać, a szlachcic zamiast się cieszyć, widocznie posępniał.

— E! wolałbym — rzekł w końcu — żebyś na małej dzierzawie dorabiał się powoli, to rzecz za wielka, ty niedoświadczony, a nuż ci się nie uda, ot, zamiast wdzięczności licha napytasz, a ubogiemu ostrożnie potrzeba, bo potem choćbyś ostatnią oddał koszulę, nie będziesz w stanie straty nagrodzić!

Drugiego dnia dopiero, Jan wypowiedział znowu ojcu, widząc go osłabionym, że koniecznie-by chciał go z matką zabrać do siebie.

— Na łaskawy chleb! — wzdychając rzekł szlachcic — tak, tak, już też ja podobno nie na wiele się przydam komu, i tu gorzej mi i ciężiej idzie codzien — a! niech tam matka z Andzią myślą, ja zrobię, co każecie. Prawdę powiedziawszy człowiek się krzątał, póki mógł, ale ręce opadły, już ja więcej za sochą nie polazę...

Westchnął i otarł łzę rękawem.

— Jedźmy do Kryłowa, tylko tu trzeba wszystko urządzić... wynająć grunta, i zebrać do kupy, co tam jeszcze się kręci naszego...

Matka i Andzia były w wielkiej radości, gdy stary nareszcie na te przenosiny się zgodził, obawiały się bowiem, żeby do końca tu nie chciał pozostać, choć mu już wcale nie służyło zdrowie i sił nie miał do pracy. Zawzięły się natychmiast sprzedawać, pakować, ludzi do przepędzenia chudoby szukać, a pan Ignacy patrzył obojętnie, niewiele się mieszając, jakby go to wszystko mało już bardzo obchodziło. Jan nie chciał wracać, póki-by przesiedlin do skutku nie doprowadził, a że niewiele mieli starzy, i na gruncie się coś do czasu zostać musiało, rychło byli w gotowości.

Ale gdy już wyjeżdżać przyszło, od dnia do dnia odkładając, od stariej chaty, od zagonu oderwać się nie mógł szlachcic.

Wziął kij w rękę i poszedł suwając nogami obchodzić jeszcze swoje pola, łąki, jakby tam każdą na nich trawę, każde zdziebełko, krzaczek każdy chciał pożegnać, włożył się po swoim dziedzictwie, rozstać z nim nie mogąc.

Nazajutrz przyszła kolej na zabudowania, które troskliwie obejrzał wskazując, co tam koło nich robić było potrzeba; i znów wyszedł w pole, i tak powracał codzien sobie przypominając jeszcze, że gdzieś nie był, i czegoś nie widział. To siadał pod okapem od ulicy i godzinami milczący patrzył na tę wioskę, do której był przywykł, na ludzi, z którymi przeżył lat tyle, i czasem tylko cichą łzę otarł z powieki.

Tymczasem wozy stały upakowane, i z dnia na dzień odkładano wyjazd jedynie dla starego, który jeszcze o kilka godzin prosił. Matka i Andzia niespokojnie poglądali na niego, Jan nie śmiał być natrętnym.

— Ty tego nie znasz — rzekł mu na końcu stary — co to opuścić miejsce, w którym się wiele biedy zażyło! gdzie stąpisz, ślady i pamiątki uronionego życia, zdaje się powietrze inne, ludzie lepsi... a za miedzą czużyna! Tam cię i wzrok cudzy zaboli i obojętność dotknie, i niema się z kim przywitać... i nie wiedzieć co ze sobą uczynić. Na starość ciężko, moje dziecko... człowiek-by na najlepiej swojój biedy nie pomieniał. Ale, chcecie, trzeba jechać!

I wzdychał pan Ignacy, ale mileżał.

Zdało się im wszystkim, że ta chwila rozstania, tak bolesna, byle w drogę, zapomni się, a ojciec ożyje spokojem i lepszym bytem; on mileżał, i nie sprzeciwiał się im wcale... Nareszcie znowu za kij wzięwszy, od chaty do chaty poszedł się żegnać ze znajomymi, bo żywój duszy nie chciał porzucić bez dobrego słowa, a wszystkich miał sobie życzliwych...

Późno wieczorem powrócił z tój pielgrzymki i zmęczony spać się położył; nazajutrz koło południa wyjeżdżać tóż już mieli. W chacie tyłko co najpotrzebniejszego zostało, reszta na wozach czekała; Jan modlił się w wieczór szczęśliwy, że do Kryłowa powraca.

Do dnia, jak zwykle wstała matka pomyśleć o śniadaniu, zerwała się Andzia, ale krzątanie się ich nie obudziło starego, około którego na palcach chodzili, żeby mu snu nie przerywać. Jan poszedł koni dopatrzeć i ludzi pobierać, już i słońce podniosło się wysoko i dzień począł być ciepły, a szlachcic nie wstawał... Staruszkę ten sen uparty niepokoił, zbliżała się do łóżka, ale znalazła męża nieporuszonym i na pozór uspionym z pogodnym czołem, a ulitowawszy się bładości zmęczonej twarzy, dzieciom zaleciła, żeby się jak najciszej obchodziły.

Już się i południe zbliżało, i przedłużony ten spoczynek nienaturalnym począł się wydawać Janowi, matka tóż nie wiedziała co robić, ale jój na myśl przychodziło, że pan Ignacy żegnając się wczoraj z każdym wódki kosztować zmuszony, choć jój nie pijał, mógł sobie nią zaszkodzić.

Poszli z synem powoli do łóżka, kaszłac i stukając, aby mu powoli ten sen przerwać, stary się nie ruszył, Jan zbliżył się wreszcie i krzyknął przeraźliwie — ojciec nie żył.

Zasnął tak uciśniony tęsknotą, która zeń resztę sił wyczerpała, pracowity starzec, snem sprawiedliwego, bez boleści, bez walki, i zgasł jak dopalona lampa...

Na krzyk syna, płacz matki i Andzi, ludzie się zbiegli, wszczął hałas i rozruch, cała wieś zaległa podwórze, cucono, ocierano, trzeźwiono, ale nie budzi się, komu raz anioł śmierci piczęć swą na powiekach złoży...

My wróćmy do Borowej, gdzie się jeszcze pobyt pani Bulskiej przedłużał, a gość ten tak w początkach straszliwy, stawał powoli niezbędnym członkiem kółka, w które się doskonale wcielić umiał. Coraz mniej szyderska, częściej smutna niż wesoła, piękna pani zdawała się przywykać do towarzystwa nowego dla niej, do rodzaju życia, którego pierwszy raz kosztowała, do ludzi, i tego wymiaru jednostajnego godzin powracających każdego dnia z powtórzeniem wczorajszych wrażeń. Wprawdzie i tu jej żywość umiała barwić dzień każdy częśm niespodzianém a nowém, wyszukiwać zmiany, poddawać zabawę, ale ograniczała się skalą miejscową i nie targnęła na obyczaj domu, na stare jego nałogi. Ona sama nie zdawała się nawet nudzić ciszą wielką; czytała, myślała więcej i dziwiła się, że po tych miesiącach upływających żółwio, zostawało jej czyste, miłe wrażenie, jakiego nie doznawała po burzliwszém miotaniu się w świecie. Wszyscy z nią, ona się już była oswoiła ze wszystkimi, gdy nagle odebrane listy, zawsze na niej czyniące ten skutek, że ją na dni kilka rozdrażniały i niepokoiły, wróciły do pierwszego stanu umysłu. Nie można znów było poznać, tak się zmieniła; stała się szyderską, opryskliwą, chwilami chmurną do zbytku, to znów wesołą niezdrówem jakimś i gorączkowém weselem.

— Trzeba mi jechać — odezwała się do pana Aleksandra wieczorem.

— Dokąd?

— Sama nie wiem, za długo tu siedzę, starzeję, usypiam... i nadużywam gościnności — dodała z uśmiechem.

— A my! cóż my tu bez pani poradzim?

— O! w tydzień wrócić do swoich obyczajów i dawnego spokoju i pewnie wam mnie nie zabraknie; rychlej ja za wami, niż wy za mną zatęsknicie!

— To co pani mówisz, dowodzi tylko — odpowiedział pan Aleksander — że jeszczeby należało dłużej z nami zostać, żeby nas lepiej poznać i osądzić...

Pani Bulska uśmiechnęła się.

— Osądzeni jesteście! — rzekła.

— Ale czy słusznie?

— Zdaje mi się; Borowa zostanie jedném z najprzyjemniejszych wspomnień mojego życia... a razem najdziwaczniejszych dla mnie zjawisk... tak! tak — dodała po chwili — ale tu dłużej zostać niepodobna, powietrze wasze mnie dusi, spokój ten grobowy odrętwia...

— Myśmy w nim przecie szczęśliwi!...

— Ja żyć nie potrafię, jeszcze jestem niegodną dzielić to życie

z wami, nadto płochą, zbyt młodą... zepsutą... mów, co chcesz... ja uciekam...

Starzy nie wiedzieli, jak sobie począć odebrawszy wiadomość o podróży pani Bulskiej, która wnet pakować się kazała do drogi, chcąc tylko wstąpić jeszcze do swojego majątku, stamtąd do Warszawy i za granicę zmierzając, bez celu, tak tylko byle gdzieś dalej, byle do czegoś nowego. Zdawało im się zrazu, że ten wyjazd ich oswobodzi, ale myślą odgadując przyszłość, postrzegli rychło, jaką po sobie zostawi próżnię.

Dziwna ta kobieta umiała stać się wszystkim potrzebną i pojednać z sobą najnieprzyjaźniejszych. Chorąży ostatnimi czasy słuchał jej z upodobaniem, staruszka coraz więcej nabierała skłonności do pokochania, a panu Aleksandrowi życie bez niej zdawało się niepodobieństwem.

Uczuć jej dla niego nie można było odgadnąć, wiedziała, że ją kochał, zdawała się podsycać to przywiązanie, czasem odpowiadała na nie ze wzruszeniem i zapalem, to znowu płaciła obojętnością, śmiechem, niedowiarstwem.

Starzy chorąstwo postrzegli na synu wrażenie, jakie wiadomość o wyjeździe Bulskiej zrobiła: nie śmiejąc nawet pomysłu jechać za nią, bo rodziców opuścić nie mógł, zbladł, zmienił się w ciągu kilku godzin i milczeniem pokrył, co ucierpiał. Oko matki czytało w jego duszy.

Tymczasem nim cokolwiek miał czas przedsięwziąć, hrabina z wieczora zadysponowała konie, i nazajutrz rano, po żywych pożegnaniach, które czulszemi się stały, niż być obiecywały, ze łzą w oku czarném, siadła do karety i wyjechała nagle.

Pan Aleksander osłupiały stał w ganku, jakby z niego duszę wyjął, i nie wszedł do domu, aż go matka sama wprowadziła, kilka cichemi słowy przywodząc do opamiętania.

Zamknięta w powozie popłakała odjeżdżająca chwilę, ale wnet nowe wrażenia rozbiły smutek im silniejszy, tém krócej trwający. Wieczorem była już u siebie, a tu oglądanie budującego się domu, rachunki, projekta, tak ją chwyciły i zajęły, że prawie nie pomyślała o Borowój, do której tylko z uśmiechem jakimś westchnęła spać się kładnąc.

Oczekiwała do późna pana Aleksandra, sądząc, że ją powinien dogonić tu jeszcze, a nazajutrz gdy nikt nie przybył, pojechała w dalszą drogę. Wracała tak do starych zwyczajów i życia dawnego, jak się z nimi rozbratała, a zrazu zdawało się jej, że nanowo odżywa i młodnieje, wesolą była i do niepoznania rozpromienioną. Na pierwszej poczcie niespodziane spotkanie hrabiego Tytusa, który nie mogąc powstrzymać Włocha, sam z nim do Borowój, na straży będąc po-

stawiony, powracał, przyczyniło się także do rozweselenia pięknej Dosi, która i do starego eleganta i do Salvianiego poczęła się uśmiechać z dawną nieopatrnością i roztrzepaniem. Panowie ci poprzedzili ją w dalszej drodze kuryerem, zamawiali konie, obmyślali niespodzianki, przybrali sobie w pomoc, jedném wejrzaniem hrabinę oszalonego, młodego Wołyniaka, którego w drodze spotkali, i tak otoczona już dworem, wjechała do stolicy obiecując sobie nigdy do nudnej Borowej nie powracać.

Tém swobodniejsza jeszcze czuła się tą razą, że nawet Leon jęł smutną swą twarzą i wiekuistym wyrzutem nie uprzykrzał się, został bowiem przy panu Aleksandrze i poczętym obrazie, pierwszy raz oddawna i żywo pracą zajęty, za czarodziejką gonić nie pragnąc. Dla niego towarzystwo borowskie, wpływ ciszy i pokoju, pobożności i tego wesela, jakie daje spełnienie obowiązków i sumienie czyste, były pierwszym lekarstwem, które podziało silniej na zwątlone siły.

Tu jaśniej dopiero znowu rozpatrzył się w życiu i ozwały się w nim młodzieńcze popędy do pracy, do wytrwałości i boju z samym sobą. Rozmowy z księdzem Ginwillem, codzienny widok życia, jakie tu prowadzono, wywiodły go z apatyi i wlały siłę nową. Zrazu powtarzał — zapóźno! nie robił nic i smucił się tylko, że go jedno uczucie niepoohamowane tak zwiechnąć mogło niepowrotnie, ale wprędce dał się przekonać, że do ostatniej godziny, nikt nie ma prawa powiedzieć, że się opatrzył zbyt późno, bo mniej lub więcej zawsze coś zrobić można, a zatem potrzeba, i każdy do tego jest tylko obowiązany, czemu podola.

Wielu niepełnych ludzi całkiem nic nie czyni, dla tego jednego powodu nastęrczającego się im i podszeptanego dumą, że wielkich rzeczy dokazać nie potrafią, bo okoliczności nie dozwoliły rozwinać się, nabrać sił i przygotować do dzieła. Nie będę Rafaelem, powiada ktoś, nie będę Canową, nie zdobędę już sławy poety... a zatem wolę nie nie poczynać i milczeć... Gdybym!

Są to zwykle wymówki tych, których tylko próżność wiodła do pracy i nadzieja wzniesienia się, najlepsza może ze wszystkich pobudek, a jednak dźwignia wielka! Niestety, tak słabi jesteśmy, że nam koniecznie potrzeba jakiejś zapłaty, choćby zwiędłych listków kilku... Rzadki człowiek pojmuje, że zawsze lepiej uczynić mało, skromnie, coś przecie, niżeli nic; że kto nie może dźwignąć góry i rzucić ją jako posadę budowy, nad którą pracuje ludzkość, ten niech przyniesie kamuszek drobny, i szeląg swój wdowi.

— Nie potrafisz może — powiedział ksiądz Ginwilł Leonowi — wymarzyć takiej Matki Boskiej, jak wiele arcy mistrze, co jedną twarzą jej, nawrócili i natchnęli do modlitwy tysiące; nie odga-

dniesz oblicza Chrystusowego tak, jak ci nieśmiertelni (po waszemu) artyści, którzy sami o tém nie wiedząc pędzlem apostołowali; odmalujże, jak umiesz, a taki ktoś spojrzy przez twoje płótno w świat lepszy, twoja maluczka praca obudzi może uczucie, zakłóci sercem, wywoła modlitwę... przypomni światu, że coś jest piękniejszego i lepszego nad jego chleb powszedni, i to dobrze! Życie nie upłynie ci daremnie, zostawisz po sobie podatek, któryśmy wszyscy winni, jakikolwiek, na jakić stało uczynek...

Leon powoli się tak odradzał, począł modlić się gorąco, chodził do księdza Ginwiła, słuchał i gderań jego dobrotliwych, i swobodnych żartów i napomnień łagodnych, potem jakby mu z oczów gruba mgła opadła, pożałowawszy zmarnowanych lat młodych, jął się pracy gorąco.

Nie poszło to łatwo ani ręce, ani głowie, ani sercu, z razu na wykłszy powtarzać typ jedyny w tysiącu jego różnych objawień, jeszcze powracał do niego, ale sam czuł się już upokorzony tą niewolą. Malując obraz do kościoła borowskiego, zaczął od tego, że swój w nim ideał postawił znowu, i starł go pojawiając, że ziemską ta twarz nie mieściła w sobie idei świętości, że była jęj zaprzeczeniem. To postrzeżenie było pierwszą oznaką ozdrowienia Leona, ideał spadł z wysokości i rozbił się w proch na ołtarzu... dawniej widział w nim wszystko, dziś tylko wyraz ziemskiego piękna, na które duch nie zstąpił... Zmazawszy poczętą robotę, Leon poszedł się modlić; w kościele pierwszy raz spostrzegł twarzyczkę Krzysia Jamuntównęj, a rysy jęj, powszednie prawie, pomogły mu do stworzenia nowego typu...

Krzysia nie będąc tak piękną, by za wzór do najwznioślejszego pojęcia piękności służyć mogła, miała wyraz niewinności, świeżości, pokory, który jęj twarzyczce urok dawał chwilami nadzwyczajny. Leon też nie ją odmalował, ale z tęj twarzy odgadł i domyślił się, czego brakło jego pierwszemu pojęciu lica Matki Boskiej; zrozumiał jak najwyższa świętość zgodzić się może z pokorą, jak dziecinna prostota łączy się z wielkością. Tamta twarz promieniała zwycięstwem prawie dumnym, piękna była, ale zimna, królewska; ta uniżona, wzruszona, owionęta duchem, oblana światłością... anielskim wdziękiem uśmiechała się z płótna.

I nie była to Krzysia, choć ona pierwsza myśl malarzowi podała, a Leon w dziewczęciu, po chwili natchnienia, ziemską widział tylko istotę, która niższą była daleko od tego, co z wejrzenia na nią powstało. Władza to potężna, którą Bóg daje prawdziwym tylko mistrzom, że przez powłokę niedoskonałości umieją przejrzeć w głąb' aż do myśli bożęj, do prototypu i ideału. Ten na którego duch nie zstąpił, przerabia naturę, wiernie ją powtarza, ale nie umie

przejsć granicy, jaką mu cielesne objawienie się zakreśla i praca jego próżna, czeza, jest pustą łupiną bez owocu.

Ta pierwsza próba obudziła w Leonie cały zapal dawniejszy długimi laty uspijony, niezużyte siły, niewyszafowany ogień; jednego nie skończywszy, marzył już o drugim obrazie Chrystusa... ale na to oblicze... niestety, niema wzorów na ziemi, modlitwą pójść trzeba po nie aż do nieba!

Właśnie pasowanie się z trudnością potężną, walka z sobą samym, odrodziły powoli odrętwiałego artystę... po jednej powstawały z uspienia myśli, nauki, przypomnienia, i orszak ich codzien się powiększał, Leon widocznie do życia powracał.

Ten błogosławiony skutek ledwie dojrzano, jak skoro zabłysło oko, otworzyły się usta, chmura osunęła z czoła, wszyscy ciesząc się niespodziewanemu dziełu, otoczyli go najczulszą opieką i starali się, podając ręce, wywieść z przepaści, nad którą stał tak długo. Prostota i pobożność księdza Ginwiłła, uśmiechnięta jego dusza przejęta dobrocią, najwięcej przypadły do serca Leonowi, przywiązał się do niego i jak dziecię go nie opuszczał. Powoli wrócił stracony smak do życia, uśmiech młodzieńczy i nadzieja nawet, ale czego Leon nigdy nie miał, przyszła gorąca i ascetyczna pobożność. To uczucie zastąpiło znać inne ziemskie, które dotąd napawały goryczą, gdy zwrócenie się do Boga i pełne skruchy modlitwy dały spokój, jakiego jeszcze nigdy nie doznawał.

Chwilami wprawdzie smutek, gość stary, wracał i zasępił znów czoło, ale go rozmiatała modlitwa, i znów po nim jaśniała dusza ciszą i pogodą.

Leon czuł się tu jak w domu, na myśl mu nie przyszło nawet, że może być natrętem, że stanie się ciężarem, zdawało mu się, że gdzieindziej żyćby nie potrafił, że powracając tam, gdzie cierpiał do szalu, znowu wpadnie w dawną swą apatyę. Pan Aleksander też ani przypuszczając rozstania, urządził mu na dole weale dobrą pracownię, a gdy w bibliotece znalazły się przepyszne sztychy galeryi, i wiele dzieł o sztuce, było co czytać, oglądać, studyować, i czas upływał z niepochwyconą szybkością.

Ale troskając się o biednego artystę, sam lekarz tęsknił i niemal jego przejął chorobę. Dla rodziców tylko skrywać ją musiał, nie chcąc im czynić przykrości, i ile razy matka wpatrując się w niego troskliwie dopytywała o zdrowie, zaspokajał ją uśmiechem i żywą rozmową; ale nie był swój, zamykał się, mizerniał i tęsknił najwidoczniej. Przejazdki w sąsiedztwa, polowanie, wszystkie maluczkie środki zabawy, której Borowa nie potrzebowała, i zebrać się na nie nie mogła, wkrótce zostały wyczerpane, a czas także skutku nie robił; pan Aleksander walczył mężnie, ale cierpiał.

Tymczasem piękna królowa wyjeżdżała do stolicy w orszaku, który ją po drodze otoczył, pomnożonym przez Wołyniaka, szalenie już rozkochanego, nim do rogatek dojechali. Nowej tej postaci, która nie wiem jaką liczbę w księdze zdobyczy hrabinęj nosiła, brakło oryginalności, ale nie zbywało na ochocie do niej. Był to młody chłopak domowego wychowania, które też na nim mocno znać było, pieszczoszek matki, elegancik przez pół, przez pół ukraińskiego kroju hulaka, śmiały, pewien siebie i zdający się ufać, że życie nie powinno mieć dla niego ani przeszkód, ani zawodów. W ciągu dzieciństwa i młodości dogadzano panu Karolowi, że już mu się w głowie żadne sprzeciwienie nie pomieścić nie mogło, robiono dla niego, co tylko rozkazał, nie chodził do szkół, bo mu się nie chciało, gubernierowic ostrożnie go karmili nauką, więcej z nim na polowania chodząc, niż pilnując lekcji, o grosz nigdy się nie zafrasował, a matka pod pozorem delikatnego zdrowia oszczędzając zmartwień, tak rozpieściła, że mu wkońcu siebie szanować nie pozwalała. To wychowanie zrobiło zeń zawadykę i zarozumiałca szczęśliwego dotąd, póki broił w kółku, ale narażonego na ciężkie próby w przyszłości. Młodzieniec zresztą pięknej twarzy, z młodym wąsikiem, zręczny, paplający po francusku, wprawny jeździec i myśliwiec, dobry tancmistrz, w towarzystwie nie odbijał zbyt rażąco, bo dzisiejsza młodzież cała prawie jest w jego rodzaju, z małemi formy odmianami.

Znudziło mu się było na wsi, gdzie pod koniec kilka miał przejść kosztownych, które opłacać przyszło zbyt drogo, przyszło mu na myśl dokończyć wychowania w miasteczku i zabrawszy grosza ostatek, posprzedawawszy matczyne sterty, wypuściwszy młyny w trzyletnią dzierzawę, z dobrym zapasem puścił się, szukając przygód i pokręcając wąsika. Matka płakała żegnając go, on się śmiał pocieszając staruszkę, i w karczmie na trakcie, rozstawszy się z dobreimi przyjaciółmi, którzy go od lat dwóch objadali i opijali, ciągle nowe handle końmi i powozami podsuwając, puścił się w pół pijany ku nieznanym horyzontom.

Na gościńcu spotkał panią Bulską i dość mu było spojrzeć na nią oczyma przywykłemi do pospolitych twarzączek macierzyńskiego fraucymeru, który mu się uprzykrzył, choć go co roku dla jakichś powodów odnawiano, by oszaleć zupełnie. Od hrabiego Tytusa, z którym się przy butelece szampana poznali, dowiedział się o nazwisku czarodziejki, został jej zaprezentowanym niezupełnie trzeźwym, a że hrabinę bawił ten młokos, który widocznie nie był przy zdrowych zmysłach, pozwoliła mu bawić się w drodze i śmiała się z jego kozaczęj trochę buty, porywczosci i szalonych trochę zapędów.

Już wyjeżdżali do miasta, gdy hrabinie, wstrzymana na chwile

przed jęj oczyma karetka pocztowa żywo przypomniała pierwsze dawne, sieroce przybycie do Warszawy, i uczucia, jakich naówczas na widok stolicy doznała.

To maluczkie wspomnienie pociągnęło za sobą cały szereg młodzieńczych przygód, Jadwigę, Sadogórę, ojca, pogrzeb jego, spokojny żywot, jaki wiodła przy panu Czeszaku, i wprost Borową, która poza nią została gdzieś w głębi lasów, smutna, cicha... taka sama, jak ją widziała raz pierwszy.

Zdziwiła się sobie hrabina, poczuwszy jakąś tęsknotę za tym, jak go nazywała, klasztorem, żal po panu Aleksandrze, z którego chłodu się śmiała, po obojgu chorąstwie i całym ich dworze i życiu, co tam tak spokojnie, jednostajnie płynęło, przerywane tylko jałmużną, troską o dobry byt cudzy, łzą nad niepowrotną stratą. Poczęła w chwili właśnie, gdy powóz w najludniejsze wjeżdżał ulice, rozmyślać nad tym fenomenem, jakim była dla niej niepojęta Borowa, i porównywać godziny w niej przeżyte z innymi życia epokami, po żadnej z nich nie było jęj tak tęskno i gorzko...

Rozśmiała się sama z siebie ruszając ramionami.

— Dziwne to stworzenie człowiek! — zawołała w duchu — miałoby tam być szczęście? myliłabym się życie całe?!

Wtém u portyery ukazał się pan Karol z zapytaniem, dokąd hrabina jechać każe?

— Naturalnie do mojego domu na Bielańską ulicę — zawołała.

I pocztylion zatrąbił raźnie z bicza klaskając, a towarzysze podróży zostali na miejskim bruku; hrabina znikła im z oczów.

Dom hrabinęj, który jęj darował wuj Tilly, gdy go obejmowała we władanie swoje, był bardzo lichą i opuszczoną kamieniczką, a że dziedzic nie zajmował jęj nigdy i komuś tam powierzoną była, co niewiele czuł się w obowiązku nią kłopotać, znalazła ją ledwie mieszkalną i miłą, ale niewygodne wspomnienia z XVIII wieku przechowywały się w nięj w całości. Mogło to być na swój czas i piękne i wykwintne, ale smak się zmienia, a najtrwalsze ozdoby pełzną; mieszkania więc okazały się niemieszkalnymi prawie.

Hrabina, której ta własność przyszła darmo, zajęła się nią z właściwą sobie gospodarnością i duchem praktycznym; sprowadziła architekta, sama mu poddała, co chce zrobić, nie dozwoliła zbyt puścić cugłów fantazyi, dopilnowała rozporządzenia i z gruntu przebudowała stare mury na nowy i wdzięczny pałacyk. Od

ulicy nie było to zbyt okazałe i bijące w oczy, ale niezmiernie wyświeżone, i od wrót począwszy do rynwy, wykończone najstaranniej. Jeden tylko balkon marmurowy pięknej formy, ostawiony kwiatami, przykryty markizą zwracał uwagę, zresztą barwy muru, sztukaterye były skromne i w stylu surowym. Wewnątrz zato, co tylko zbytek i rozpieszczenie wymyśleć mogły, pomieszczono wszystko, i hotelik hrabinę przypominał najwykwintniejsze paryskie. Był w nim i ogródek zimowy z przytykającą doń marmurową łazienką i biblioteka z przepysznie rzeźbionemi szafami sprowadzonemi z Wiednia, salon mały i wielki i jadalny, od wielkich przyjęć, i najrozkoszniejsza w świecie sypialnia cała aksamitem wybita, a wszystko to mieściło się na bardzo małej przestrzeni, wykończone ze zbytkiem nie bijącym w oczy, ale książęcym. Łatwo się domyśleć, że cały ten dom zamieszkiwała sama pani i nikt go nie najmował, choć na dole pozostawały pokoje próżne, bo prawdziwie swobodnym i panem u siebie być nie podobna, mając pod swoim dachem obcego.

Z pałacyku tego już się dorozumie każdy, jakie stanowisko na świecie zajmowała hrabina, o której przeszłość nikt nie pytał, teraźniejszości nie rozbierano ściśle, a że była piękną, dowcipną, przyjmowała u siebie, otaczała się najwytworniejszym zbytkiem, wszystkie ją otwartemi witali rękoma. Królowała i tu temu światu, nad którym panowanie chwyta kto chce, byle miał potemu trochę odwagi i ochoty. Było to życie na wielką stopę ze zwykłemi jego formami, raz w tydzień przyjęcia, często proszone obiady, kuchnia francuska, stół o szóstej wieczorem, liberya wielka herbowna, szwajcar w przedpokoju... któż tego nie zna! Dodajmy, że hrabina trzymała naturalnie parę prześlicznych koni, miała powozy od najlepszego fabrykanta, i znać ją było w Warszawie, jak skoro przyjechała.

Chociaż świat przyjmował ją z uśmiechem, z pozornym uwielbieniem, nadszkwianiem, otaczając zawsze wielkim kołem admiratorów, pociechu jednak szeptano sobie wiadomości, pogłoski, historyjki, które gdzieindziej rozpędzić były powinny i pustkę stworzyć, tak laskawie przesadzone, tak niepoehlebne były. Kobiety zwłaszcza, które zaćmiewała swoją pięknoscią widną, oryginalną, porywającą, dowcipem śmiałym i mnogimi talentami, nie szczędząc jej pochwał, umiały do każdej przyczepić coś takiego, co je unieważniało. Wprawdzie starały się niby wymówić jej postępowanie, uniewinnić, złożyć trochę na potwarz i przesadę, ale jednakże rozsiewały serdecznie jej przygody krajowe i zagraniczne. Wyliczano jej kochanków, znajdowano, że mnogoci ich nie była może winna, że w tych stonunkach nie pewnie nie musiało być zdroźnego, ale zarazem naganiono, że tak łatwo daje do siebie przystęp i zbyt lekceważy pozory. Przyjaciółki ubolewały, a wiemy jak serdeczne ubolewanie na-

biera potwarzy i wdziewa łatwo jęj formę, jak umiejętnie rzucone słowo litości przeistacza się w obmowę...

Co się tyczy mężczyzn, ci choć słuchali ploteczek złośliwych, udzielanych im jak antidotu, nie mniej Ignęli do czarodziejki, starzy i młodzi padając przed nią na kolana – bronili jęj zresztą, może na pół wierząc lekkości bóstwa, wybaczałi mu ją po chrześcijańsku. Między niemi byli i tacy, co jak Leon, gotowi byli życie dać za cześć swęj pani...

Pani Dorota, choć z kobietami żyła na stopie poufale przyjacielskiej, między niemi serdeczniejszych nie miała stosunków, żadna z niich nie przywiązała się do nięj moenięj, nie została powiernicą; przyjaźnie były po większęj części męskie i salon więcęj się mężczyznami niż kobietami napelniał. To mu dawało trochę pozór lwięj jamy i niezbyt dobrego tonu mimo elegancyi, jaka tu panowała. Wieczorem palono cygara wszędzie, a że Dorota nie bardzo dbała o klasyczne formy obejścia, było w nim w istocie coś nazbyt kawalerskiego.

Wspomnieliśmy o rozsiewanych na rachunek pani Bulskiej powieściach, było ich dosyć i niektóre charakterystyczne wcale, ale naprawdę powiedziawszy, żadnego faktu, nie, coby ich prawdziwości dowiodło, a śmiałość Doroty, jęj uśmiech swobodny, więcęj mówiły przeciw tym potwarzom, niż rodzaj życia za niemi.

W parę dni po przybyciu do Warszawy, pani nasza, już była objechała, rozrzucając bilety, główne znajome sobie domy i przyjmowała wizyty w małym saloniku paląc papiros na kozetce przy kominku. Od pierwszęj poczynała się prawdziwa procesya do bramy hotelu, i trwała bezustannie do obiadu prawie; jedni wchodzili, drudzy wychodzili, niektórzy przyszedłszy, przesiadywali uparcie wszystkich, rozmowa trwała żywa, złośliwa, ostra, a piękna pani czynnie do nięj należała.

Cała zima, która bez nięj upłynęła, dostarczała jęj obfitego wątku.

Wszyscy zdawali się niezmiernie radzi hrabinie, a w tłumie tym znalazł się przed innemi hrabia Tytus, zawsze i wiekuiście przy nadziei, i baron Herder, który się dotąd znajdował w Warszawie, i Salviani i ów pan Karol wyświeżony jak z igły, ale jawnie i oczywiście mimo elegancyi, mocno jeszcze technący wsią i w stroju i w mowie, i w sposobie znalezienia się, wykrzykujący głośno, robiący omyłki cochwila, ale nie zrażający się niczém.

Widząc go z taką butą rozposażającego się u siebie, piękna Dosi trochę zimno go przyjęła, żeby nie ośmielać zbytęcznie, ale on nie zważając na to wysiedział parę godzin, i zdawał się mieć och-

tę zostać dzień cały, tak, że pani i jego i resztę gości, idąc się ubierać, pożegnać musiała sama, przypominając spóźnioną porę.

Panie i panowie znaleźli wielce zmienioną panią Bulską, utrzymywano, że spoważniała, posmutniała, a że pobyt jej na wsi mgłą tajemnicy był okryty, dziwów się domyślano. Zręcznie próbowały przyjaciółki wybadać ją i dowiedzieć się, co przez ten czas robiła, ale z dziwną wstrzemięźliwością, może pierwszy raz w życiu piękna Dosia nie chciała śmiać się z Jamuntów i nie opisywała Borowej, ogólnikiem zbywając pytania.

Choć napozór też sama, w duchu jednak wpływem tych kilku miesięcy przebytych pod Jamuntów strzechą znacznie się zmieniła, dziwiło ją teraz, że to, w czém miała upodobanie, co ją rozrywało dawniej, dziś nużyło i męczyło i jakoś czczém wydawało się a śmieszny. Ten świat wytwortny, grzeczny, wyperfumowany, wśród którego najświętsze uczucia nigdy na wierzech nie wychodzą, a największą rolę grają najpłochsze właśnie — po poważnej ciszy, modlitwie i pojęciu życia tak, jak go rozumiano u Jamuntów — prawie dziecinnym był w oczach hrabinęj. Ten szmer pustej rozmowy, ta komedia próżnostek chwalaćcych się sobą, ta potrzeba popisu, to muskanie powierzchni spraw ludzkich i sądy o nich lekkie a niezasadne, zabawy kosztem drugich, rozrywka pełna złośliwości i dowcipu, całość tych obyczajów niezmiernie pilnujących przyzwoitości, a nie troszczących się o najistotniejszą część i najważniejsze obowiązki, pierwszy raz przez porównanie uderzyły hrabinę, jak karykatura po rysunku Rafaela... Ci prości ludzie, którzy zrazu wydali się jej śmiesznymi, lepiej poznani, majestatycznie wyglądali przy trzpiotowatych i bez powagi figurynkach tak zwanego wielkiego świata...

Hrabina zdziwiła się własnemu uczuciu, ale myśl przeleciała błyskawicą i zatarła się innemi wrażeniami.

Salonik tymczasem napełniał się, ożywiał, rozpromieniał i już cała Warszawa wiedziała o przybyciu jednej ze swych najznakomitszych piękności, a kto tylko miał wstęp do domu na ulicy Biełańskiej, nie omieszkał stawić się tam osobiście lub przynajmniej rzucić kartę.

W stosunkach jednak z kobietami, piękna Dosia rychło spostrzegła, choć nigdy nie były bardzo serdeczne, jakaś zmianę, której określić było trudno, a która przecież czuć się jej dawała. Nie bardzo śpieszyły do niej, niezmiernie były grzeczne, a unikały dawnego spoufalenia, nie wypytywały się nawet o czas spędzony na wsi, słowem, chłód jakiś wionął... domyślać się było można, że potwarz jakaś nowa musiała po mieście przelecieć. Kilka z tych pań nie przyjęło odwiedzin hrabinęj i nie rychło je oddały, wybierając

widocznie godzinę taką, żeby się samym uwolnić biletem; spotkane na ulicy śpieszyły się niezmiernie, nie chcąc się z nią pokazać... unikając towarzystwa... poufalszego. W obejściu całym była zmiana widoczna, nie chciano zrywać stosunków gwałtownie, przecież nierade im były te nawet, na których barkach więcej może grzechów ciężyło, niż na hrabiniej potwarzy.

Boleśnie uderzyło to panią Bulsą, która wyżej podniosła tylko głowę, czując się winną może nierozwagi, zalotności, ale czystą w oczach świata, co uczynki tylko sądzić ma prawo. Zapomniała na nieszczęście, że dla ludzi pozór czynu jest tém samym co czyn, bo równie jak on gorszy, i jest jak on sponiewieraniem i zaparciem praw, które szanować potrzeba. Nie mogła pojąć, dlaczego ją to dziś właśnie spotkało, gdy najmniej do tego dała powodów, gdy nie wyrzucił jej nie mogli nowego, gdy żaden grzech lekkości nie pogorszył jej położenia. Ani baron Herder, ani Salviani, ani inni nie byli nowością w domu, który pełen był zawsze z różnych świata krańców pościąganych wielbicieli. Domyślała się, że na rachunek półrocznej niebytności szkarady jakieś potworzyć musiano, i zgryzła się tém w duszy.

Porównanie Borowej i łagodnego sądu ludzi uczciwych, do lekko rzucanych wyroków tych, którzy kamieniem ciskać wcale nie mieli prawa, ścisnęło ją za serce. Ale chcąc okazać, jak to ją mało obchodzi, weselszą jeszcze, roztrzępanszą się okazywała. Pociśk tkwił jednakże. Przypisywała to zbytniej swój drażliwości zrazu, chciała tłumaczyć omyłkę przywidzeniem, ale nie było podobna; kobiety usuwały się widocznie, świat patrzył na nią koso. Chciała przynajmniej wiedzieć, czém zgrzeszyła, a że nie miała do kogo się udać po szczegóły, posłała po hrabiego Tytusa.

Można sobie wyobrazić, jak uszczęśliwiony, wyświeżony, nadskakujący, przyleciał stary młokos na zawołanie.

Czarodziejka miała dnia tego długą suknię aksamitną czarną, włosy gładko uczesane, trochę koronek tylko i w tym poważnym a prostym stroju dziwnie była zachwycająca.

Tytus zastał ją przy kominku z papierosem w ustach i książką w ręku.

— Dziękuję ci, hrabio, żeś przyjechał — odezwała się podając mu rękę po angielsku — siadaj, mam ci coś powiedzieć.

— Pozwól mi, pani, naprzód ukłęknać i popatrzeć — zawołał stary wisus, przyciskając kapelusz do piersi z zapalem — jesteś zachwycająca!!! Wczoraj, zawsze, ale nie wiem czemu dziś zdajesz się cudniejszą jeszcze, wprowadź mnie się to tak każdego dnia wydaję... Zawracasz głowy... ten biedny Karol szaleje, Salviani się

struje, baron Herder pojedzie topić swą rozpacz w wodach Gangesu lub Nilu...

— A! to morały, hrabio, mówmy seryo. Byłeś w mieście? wiesz co się tam dzieje? nie powiesz mi, jakie tam plotki nowe stworzono na mnie? Widzę od przyjazdu, że te panie traktują mnie niezmiernie zimno, X... ledwie się przywitała, Z... nie oddała mi wizyty, F... nie mogła mnie nie przyjąć, ale jak przyjęła!...

— Zazdrość, kochana hrabino!

— Ale nie, ja się na tém znam...

— Myślały, że się cię pozbyły, a tu im znowu wszystkich wielbicieli konfiskatą zagrażasz...

— Dajże pokój, ja się tém nie zaspokoje, mów prawdę! ja czuję, że coś jest!...

— Ale niema nic — rzekł zakłopotany Dahlberg — zwyczajnie nasze codzienne popolite kwasiki.

— Nie!... szczerze, szczerze...

— Ja nie nie wiem.

— To być nie może, powiedzić mi tylko nie chcesz. Jeśli sądzisz, że się tém bardzo zgryzę i oszczędzasz mi zmartwienia, mylisz się; śmieję się z tego i nie dbam, ale chcę wiedzić wszystko.

Tytus był jakiś zakłopotany, spojrział na piękną hrabinę, na twarzy jej był rumieniec, a w oczach błyski zadające fałsz słowom, widocznie była mocno rozdrażnioną.

— Niema nic, niema nic, znasz, hrabino, te panie... co tam mówić o tém... A zresztą... — dodał ciszej — to wszystko Bulski tłumaczy...

— Jaki i kto?... — krzyknęła postępując ku niemu Dosia.

— Wszakże pani wiedzić musisz, że tu jest!...

— Kto? Bulski?...

— Od pół roku...

— A!... — zawołała hrabina — także mi mów, ja pierwszy raz o tém słyszę, on tutaj... co robi?...

— Co robi? gra w preferansa, chodzi po ogródkach, upija się codzień na śniadańkach, które i daje i przyjmuje, a w chwilach wolniejszych ryczy przeciw pani.

— Teraz rozumiem wszystko — rzucając papieros odparła pani Bulska — ale bywał on po salonach?

— Mało, mało, jednak niekiedy naumyślnie się przesunie, żeby mógł swoje boleść publicznie wynurzyć.

— Boleść? chyba złość! — uśmiechnęła się kobieta.

— I on to zapewne rozsiał te potwarze — rzekł Dahlberg.

— Jakie?...

— A! tam, to co gadają... o twoim pobycie na wsi...

— Naprzykład?... — spytała zimno pani Bulska bledniejąc i rumieniąc się naprzemiennie.

— Pojmujesz, że mu zagadkowe i swobodne życie twoje, hrabino, aż nadto daje powodów do potwarzy. Przypisuje ci śmierć swego dziecięcia, a kochanków liczy na tuziny, dobierając ich kolorem włosów, osobno bruneci, blondyni i szpakowaci, mnie łotr w ostatniej kategorii pomieścił! Niepocziwy!... Nosi regestr w kieszeni i czyta go każdemu, kto chce słuchać, opowiadając rzeczy straszliwe. Naturalnie nikt temu nie wierzy, śmieją się z biedaka, bo sam gniew jego dowodzi, że byłby został mężem i nadal, gdybyś go była chciała; ale potwarz, wiesz hrabino... *il en reste toujours quelque chose...*

— Biedny człowiek!... — odezwała się dziwnym głosem pani Bulska.

— Nie pojmuję tylko, jak mogłaś pójść za niego!

— A! to rzecz do pojęcia łatwa... — odpowiedziała — potrzebowałam obrońcy, imienia, ludzie byli dla mnie zawsze nielitościwi, każdy krok mój tłómaczono fałszywie... wreszcie znudziła mi się swoboda, w której lada Salviani, lada Karolek, czuli się nią upoważnieni do zawracania oczów i dobijania się szturmem do serca...

Rozśmiała się szydersko.

— Poszłam za męża, bo mi to wszystko jedno było, ten czy drugi, wszyscyście nieznośni!...

Hrabia uklonił się.

— I ja? — spytał.

— Bez wyjątku... Już teraz wiem, co mi wiedzieć było potrzeba — rzekła — do widzenia, muszę odejść, czuję się niezdrową.

— Pojadę po pana Wolfa.

— Nietrzeba...

— Po Malcza?

— Nikogo nie chcę, bądź zdrow...

Hrabia Dahlberg musiał wyjść i dopełnił to z westchnieniem, które nie wzruszyło bynajmniej Doroty, zamyślonej i smutnej.

Ledwie się drzwi za nim zamknęły i piękna pani jeszcze stała w miejscu, w którym ją porzucił, gdy przebojem prawie wpadł Salviani do pokoju.

— Przepraszam pana — odezwała się surowo hrabina — ale ja nikogo nie przyjmuję...

— Przepraszam panią — odparł Włoch widocznie rozgniewany — ale pani mnie przyjąć musisz!...

— Co to jest?... — z dumą spytała hrabina.

— Ale pani się łatwo domyśliła... ja nie mogę tak pozostać, ja chcę coś wiedzieć!...

— Cóż pan chcesz wiedzieć?

— Ja panią kocham! — zawołał z ruchem prawdziwie teatralnym, i padając na jedno kolano, widocznie z przypomnienia sceny, którą w jakiś odegrywał operze — ja porzuciłem ojczyznę, kontrakt z dyrekcją „della Scala“, nadzieje zamówienia do Paryża... wszystkich i wszystko i przywlokłem się tu...

— Ależ ja pana nie wzywała!

— Oczy twoje mówiły mi, pani...

— Trzeba się było spytać ust o wytłumaczenie oczów mowy, której pan nie rozumiesz... — ruszając ramionami odezwała się zimno hrabina — podobał mi się śpiew pana, lubiłam jego towarzystwo, ale mu nie dałam prawa do żadnych przesadnych nadziei!...

Salviani wstał z posadzki rozogniony gniewem.

— Więc chcesz... — rzekł — żebym sobie życie odebrał?!...

Bulska rozśmiała się, tak jej złego aktora przypomniał.

— Pan mnie nie znasz... to żadnego na mnie nie robi wrażenia, pożałuję, że świat mieć będzie mniej jednym tenorem... ale...

— Ale, ja panią kocham, chcę jej życie poświęcić!...

— Aleś pan oszalał... — cofając się zawołała Bulska — proszę mi scen nie robić, bo będę musiała ludzi moich zawołać...

Włoch na te słowa zbladł straszliwie, zżółkł, usta mu się zatrzęsły, i hrabina pomiarkowała, że ten gwałtowny temperament grozić jej może niebezpieczeństwem, bo zdawało się, że wściekle chciał się rzucić na nią.

Salviani miał sztylet, po który sięgnął machinalnie, czy w swą stronę pierś chcąc nim cios wymierzyć, czy zagrozić hrabinie, gdy ona zręcznie pociągnęła za taśmę dzwonka wiszącą u komina i kamerdyner wpadł do pokoju.

Na widok niespodzianego świadka, śpiewak wziął za kapelusz, obawiając się, by go za drzwi nie wyrzucono, i żywo wysunął się z pokojów.

— Uważasz, Mielecki — odezwała się hrabina — nie rozmawiać go więcej...

— Rozumiem pani; nigdy?

— Nigdy...

Kamerdyner poszedł w ślad za Włochem, a ona rzuciła się na kanapę. Scena ta nie byłaby ją tak bardzo przejęła, bo tych rozpaczliwych napatrzyła się dosyć w życiu, ale połączona z wiadomością o mężu, ciągnąc za sobą nowego nieprzyjaciela i nowe potwarze zapewne, groziła hrabinie kto wie jakimi nieprzyjemnościami. Włoch był zdolny stać na ulicy i robić jej impertynencye, pan Bulski mógł go sobie wziąć w pomoc, trzeba było temu zapobiedz.

— A! to szkaradne! to nieznośne życie takie!... — zawołała znieczierpliwiona i myśl znowu przedstawiła jej ciszę Borowój i szczęście tamtejsze.

Hrabina westchnęła.

Nie dumiała jednak długo, bo Włoch ten ją przestraszał, musiała znowu posłać po jedyneho teraz obrońcę swojego, Dahlberga.

— Mieleski — zawołała do wchodzącego kamerdynera — idź mi poszukaj hrabiego, który zapomniał tu papierów, mam mu jeszcze coś powiedzieć, niech się na chwilę pofatyguje do mnie. Znajdziesz go jeśli nie w domu, to w resursie...

Szczęściem tilbury hrabiego stało gdzieś w ulicy i Mieleski w pół godziny go przyprowadził.

— Wystaw sobie — wybiegając z uśmiechem zawołała Dorota — miałam scenę z Salvianim... oszalał!... wyobraził sobie, że go kochać powinna, że dla mnie tu przyjechał, chciał się tu zabijać!... Waryat, powiadam ci... Boję się, żeby wyprowadzony z mojego domu, nie chciał się razem z Bulskim mścić na mnie, nie będę mogła wyjechać na ulicę. Zrób z nim hrabio, co chcesz...

— A! to licha warta sprawa... człowiek dziwnie gwałtowny; no, ale jakże to mam kończyć?

— Jak ci się podoba, byleś go wyprawił stąd...

— Włoszysko gole...

— Daj mu pieniędzy, a uwolń od niego...

— Na wiele mi dajesz pozwolenie?

— Nie rachuję... gdy kupię spokojność... rób co chcesz, powtarzam, użyj jakiego chcesz środka, a jeśliś mój przyjaciel, wypraw go...

Hrabia Tytus potarł tupet, trochę się zmarszczył i szybko wyruszył gonić za zrozpaczonym tenorem.

Nieźle mu się jednak udało, i za tysiąc skudów, taniej grzyba, pozbył się Salvianiego, który się zawinał i wyjechał do Paryża, opatrzonego listem rekomendacyjnym w dodatku.

Hrabina westchnęła wyciągając piękną rączkę do Dahlberga, gdy jej o tém oznajmywał.

— Kogoż pani użyjesz? — spytał — żeby tak kiedyś mnie się pozbyć?...

— A! kto mi się nawinie!... — uśmiechnęła się Bulska — jak mi bardzo dokuczysz...

Tymczasem na miejsce Salvianiego nowi przybywali wielbiciele, i zdawało się, że im dziwniej i straszliwiej mówiono o niej, tém ciekawszy tłum ją otaczał.

Wpśród tych natrętnych niekiedy nawet panów, z których kaźdy ubolewając nad sąsiadem, lepszego od niego losu wyglądał...

niepospolitą grał rolę, śmiesznością swęj namiętności młodziuchnej i niedoświadczonej, pan Karol...

Nie miał on dość sprytu, a nadto zarozumiałości, by przejąć obyczaje świata, do którego się zbliżył raz pierwszy, nie potrafił pojąć życia tego, i tłómaczył sobie po swojemu, po wiejsku kroki cudze, po wiejsku stawiać téż swoje. Niezmiernie był śmiesznym z tém swojem kozactwem i zamaszystością; bawiono się nim, ale nikt go jednak nie zaczepiał, bo czuli panicze miejsca, że z tym zawadyaką żartować nie było można.

Rzucony na bruk warszawski po długiej młodości spędzonej z temperamentem szalonym wśród naszej zaciszy pocziwej, gdzie pohulać tak trudno, i zwać się trzeba do ostatka, szukając zakazanych owoców, pan Karol w Warszawie uczuł się jak w raj. Ogródki, łatwe znajomości, codzienne prawie rozrywki pochwyliły go całkiem; zakochanie w pani Bulskiej bynajmniej nie przeszkadzało do latania za czarnookiemii warszawiankami, boć to było jedno z tych przywiązań, które jakkolwiek gwałtowne, od niczego nie bronia. Karol nie miał pojęcia, żeby się jak w książce, na czysto i uczciwie pokochać można, zepsuty był od dzieciństwa.

Znalazłszy towarzystwo stosowne, które za jego pieniądze bawić się pomagało mu serdecznie, całe dnie spędzał tak wesoło, że już mówić zaczynał o stałym zamieszkanu w Warszawie, tak mu się ona podobała... We trzech, czy czterech jeździli, chodzili, do nocy włóczyli się po wszystkich pięknościach, których drzwi i serca stoją otworem, kończyli wieczera w Angielskim hotelu, zalewali się szampanem, i w tym szale, ranne ledwie godziny czasem wolne były na odwiedziny lepszego towarzystwa, które Wołyniak dosyć nudnëm znajdował, wyjąwszy dom pani Bulskiej.

Pewnego wieczora jakoś namówiono pana Karola na kurczęta i szparagi za miasto, do jednego z tych licznych ogródków, które trochę zieloności, ładajaką muzyką, a więcéj nadzieją maleńkich przygód zwabiają młodzież ku sobie. Miała tam być jakaś sławna Zancia, nie mniej ciekawa Mania i Lucia, i obiccywano sobie wieczorek wcale wyśmienity. Panowie ci, wzięwszy dorożkarza, kazali się zawieźć, i znaleźli już muzykę w gotowości, uliczki pełne, stoliczki pozajmowane, ale kobiet jeszcze mało. Oczekując więc ze zmierzchem przybycia owych istot tajemniczych i ponętnych, przechadzali się po ogródku rozpatrując w twarzach, ubiorach i ruchu gości. Ciekawy Karolek uczył się Warszawy, którą mu jego ciceroni wykładali ex professo, ukazując postaci znane całemu miastu, historyczne: uczonych w okularach używających świeżego powietrza, artystów szukających natchnienia w ponczu, niewinne istoty, które się wykradły dla widzenia z ulubionemi na chwilę; gazeciarzy polu-

jących na feljetony, aktorów wypoczywających po trudach dwudziesto-pięć-razowego wywołania.

W pośrodku zielonych klombów tej oazy, w której zamiast woni wiosennej, zapach bawara szeroko się rozchodził — stał budynek lekki, mieszczący w sobie traktyernię, gdzie sławne kureczęta i szparagi dawano. Mieli w nim już zamówione miejsca w bocznym gabinecie pan Karol z towarzyszącymi, ale ich nie zajmowali jeszcze, czekając na ową Żanię mającą z niemi ucztę podzielać. Chodzili tak dosyć długo, obawiając się, by im kto stolika i jedyne go gabinetu nie zabrał, aż się wreszcie Karolowi znudziło.

— Chodźmy pod dach — rzekł — nogi mnie boją, te panie nadszedłszy poszukają nas same... zresztą, zobaczymy je przez okno.

Wniosek ten został jednogłośnie przyjęty, a że siedzieć za stołem i ziewać nie zabawa, znalazł się ktoś, co zażądał parę butelek szampana z wodą salcerską i poczęli pić powoli. Obok, przede drzwiami tylko, w głównej sali, biesiadowało jakieś już dobrze podochoczone towarzystwo... Było tam kilku panów łysych, brzuchatych, zarumienionych, a wesołych jak dzieciaki. Jeden śpiewał coś z francuskiego wodewilu, drugi rozłożony na krzeselkach palił cygaro, takt wybijając nogą o poręczę... inny milczał poważnie, spluwając niekiedy i wzdychając jak miech organisty... Niekiedy pieśń przerywała rozmowa, której przedmiot wcale nie był budujący; sąsiedzi przysłuchiwali się jej przez drzwi otwarte.

Amfitryonem zdawał się być ten właśnie, który tak serdecznie wzdychał i rześisto spluwał, dobrze już podpity, co po niepewnych ruchach jego, usiłujących udawać swobodne i silne, poznać było różnie łatwo, jak z twarzy.

Był to otyły, okrągły, z głową z włosów ogoloconą i niezgrabnie z tyłu naprzód zaczesanemi kosmykami siwemi jegomość o bladych oczach, wystających ustach odętych, którego fizyognomia wydawała zarazem głupotę, dumę i temperament nielagodny wcale... Ubiór jego świeży, trochę z galicyjska pstry i zbyt pokazywany; laska z misterną główką z oksydowanego srebra, pierścienie na palcach, łańcuchy u zegarka, kazały się domyślać albo hrabiego galicyjskiego lub żyda bankiera... W istocie był to hrabia Bulski, niegdy małżonek pięknej Doroty, który teraz rozpamiętywał, jak się na niej pomścić swojego odrzucenia, i woził po ogródkach, winiarniach i traktyerniach gniewy, z którymi znajomym i nieznanym się narzucał...

Jakiś czas trwała francuska piosneczka jeszcze, potem śpiewak ustał, a hrabia, ponawiając westchnienie, krzyknął:

— No! jakże, pomożecie?...

— Ale pfe! wstydz-że się hrabio, co u licha mścić się nad bezbronną kobietą!...

— Bezbronna... biedna kobieta! — szydząc porwał się od stołu hrabia — rycerze średniowieczni! To najzepsutsze pod słońcem stworzenie, od którego towarzystwo uwolnić potrzeba, żeby dalej nie broiło!...

Mówiąc rozpalał się ogromnie.

— Słodziuchną, niewinniuchną być umie; przyciągnie, wyssie i porzuci... chcecie, żebym wam registr jej ofiar przeczytał, w którym i ja i pierwszy mąż jejmości stoimy na czele?...

— Aleśmy go już tyle razy słyszeli, że na pamięć umiemy...

— Tak! a jeszcze litujecie się nad nią... jabym zgniótł tę jaszczurkę... Gdzieś ją już dyabeł nosił na wieś; pewnie męża szukała trzeciego, któryby jak my padł ofiarą na poczciwości i kieszeni... słyszę tam jakichś napatrzyła już Jamuntów... A tu kręci się koło niej tego także nie mało; ten bałwan Dahlberg, który nigdy nie będzie miał rozumu... jakiś Niemiec, Włoch... a tych, co po nocy chodzą i niewidocznie się podkradają... kat policzyć! Takiego szatana drugiego na świecie niema...

— Oho! o kimże to on mówi?... — podchwycił zeicha Karolek, podpojony już trochę, zbliżając się do drzwi — to coś ciekawego!...

Ruch jego nie uszedł baczności hrabiego Bulskiego, który podwójnie był pijany, trunkiem i gniewem i skinął na wieśniaka.

— Ciekawys synku... — rzekł poufale dobywając listę z kieszeni — chodź tu, a dowiesz się o wszystkiém... przeczytam ci registr ofiar JW. hrabinę Doroty z Czeszaków, primo voto... secundo hrabiny Bulskiej, a tertio...

Wyraz, który tu został dodany, tak był szkaradny, że Karolek osłupiał; ale w nim krew na krzywdę kobiecą zakipiała.

— Jakie pan masz prawo? — zawołał — szkalować w publiczném miejscu kobietę?...

— E! e! paniczku gorący, zapłaciłem to prawo pół milionem majątku, zdrowiem, spokojem i życiem mojego dziecka!...

I począł czytać swój registr, dodając komentarze najosobliwsze. Karol nie wysłuchał dwóch wierszy, a już rzucił się ku potwarcy i zgnieciony papier wparł mu w gardło.

Rozruch się stał wielki. Wołyniak był silniejszy od wszystkich razem znajdujących się w pokoju starych wygów, którzy tknąć go nie śmiejąc, wrzawy tylko narobili.

Bulski miotał się skrzywdzony, Karola porwali jego towarzysze i odciągnęli wreszcie.

Wymieniono bilety natychmiast, pojedynek był nieuchronny: zacerwieniona twarz i pełna papieru gęba hrabiego czyniły go komi-

cznym; wyplunąć obelgi razem z papierem nie było podobna. Karol ogniście zapalony wrócił do swego pokoju, tamtego zaraz uwieziono do miasta, a choć o się, jak można najrychlej, uciszyło i skończyło, byli przez okna świadkowie, kupa otaczała budynek, opowiadano sobie w ogródku w najrozmaitszy sposób wypadek.

Na nieszczęście utaić powodu nawet nie było można: Bulski, włączający się po miasteczku i miejscach publicznych od pół roku, znany był doskonale wszystkim, słyszano go czytającego registr, i domyślano się łatwo, o co poszło.

Karola, nie czekając dalszych następstw, przyjaciele namówili, aby odjechał do domu, i z nim razem wynieśli się cichaczem do mieszkania jego w hotelu. Potem, osadziwszy go już bezpiecznie, sami do awantury nie chcąc się mieszać, drapnęli do domów, zostawując go, aby się sobie wytrzeźwiał, i namyślił, co począć dalej. Młodzieniec szamotał się długo, wreszcie sen go jakoś zmorzył, i dopiero nazajutrz przypomniał sobie, że mu sekundanta szukać było potrzeba. A że mało kogo znał, w pierwszej chwili myślą padł na Dahlberga, do którego udał się coprędzej.

Jakkolwiek Warszawa jest wielkiem miastem, a ruch ma, który-by jeszcze większemu wystarczył, pod pewnymi względami jest sobie mięsciną małą, i to jej nasz własny daje charakter. Wszyscy się tu znają, wiedzą o sobie, ciekawią na drugich, a najmniejszy wypadek rozchodzi się natychmiast, podawany z ust do ust, jak w powiatowych naszych małych miasteczkach. Nie bez tego, żeby nowinka, cyrkulując z ust do ust, potrosze się nie przebiegała, nie stroiła i nie powiększała, boć to ludzka rzecz, że każdy tworzy historią wedle swego widzi mi się; jedni ją jak Thiers, drudzy jak Michelet, inni jak Thierry opowiadają, a każdy inaczej, i dojdźże tu prawdy, jeśli łaska!

Hrabia Dahlberg już o wszystkiem wiedział, a że powtórzono wypadek, ogromne mu nadając proporcye, zatrwożony był rozgłosem, jaki mieć mógł, i strapieniem, które musiał ściągnąć na hrabinę.

— A cóżes to najlepszego zrobił? — zawołał ręce łamiąc, gdy ujrzał wchodzącego pana Karola, który dumny był swoim heroicznem znalezieniem się, jakby niem pozyskał prawo obywatelstwa i stąpał zwycięską otoczony aureolą.

— Com był powinien... spodziewam się!

— A co ci było do tego, że ten stary truteń, upiwszy się, brzdził; na niego i jego gadania nikt nie zważa, ni s tudzą, ni grzeją; teraz obudzone złe języki... potwarze, pojedynek... wszystko to hrabinę zmartwi!...

— Ja tam tego nie rafinuję! — odparł Wołyniak — widzę kogoś

co szkaluje tę, której poprzysiągłem najgorętsze uczucie, w łeb go i po wszystkiem!

— Jakież miałeś prawo się ujmować?

— Za kobietę każdy ma prawo! Pan mi będziesz służył za sekundanta... — rzekł stanowczo.

Dahlberg postrzegł, że tu niepodobna było wbrew iść z młokosem, który zdawał się gotów na wszystko, nie śmiał mu wręcz odmówić.

— Najchętniej — rzekł — w tém tylko sęk, że tu potrzeba człowieka wytrawnego, a ja w życiu pojedynku nie miałem i nie sekundowałem jeszcze nikomu... mogę ci źle usłużyć...

— Ja sobie już sam dam rady.

— Ale wiesz co... — przerwał Dahlberg — gdybyś mnie chciał posłuchać, dałbym ci takiego sekundanta...

— Wszystko mi jedno, dawaj pan!

Hrabia zadzwonił.

— Niech François jedzie i wyszuka mi natychmiast kapitana Rybackiego.

— A! kapitan, to dobrze!... — rzekł Karol — zgoda!

— Jednakże gdyby się mogło obejść bez pojedynku!... — wtrącił Tytus.

— Ja mogę się obejść bez niego, bo mi się przecie nic nie stało; ale Bulskiemu gębę zapchałem jego rejestrem i przypieczętowałem go całą dłonią, potrzeba mu się czémś umyć.

— Ale gdyby on... gdyby to złożono na wino... na coś takiego!...

— Ja byłem trzeźwiuteńki... niech idzie mnie przeprosi, potem żonę swoją, a trzeciego dnia z miasta wyjedzie i da na piśmie, że nigdy tu nie powróci, a nie, to go kijem bić będę miał prawo publicznie... to zgoda!! i bez pojedynku.

Hrabia Tytus się rozśmiał.

— Łatwy jesteś do zgody... — rzekł.

— My to tak wszyscy na Wołyniu — odparł Karol, siadając.

Dahlberg widział już z téj próbki, że tu niema co robić i zagałdał czém inném, a w pół godziny jakoś znalazł się kapitan Rybacki, któremu gospodarz zaprezentował pana Karola i wzajemnie.

— Do twojej łaski i opieki uciekamy się kapitanie — odezwał się Tytus — pan ten, którego tu widzisz, zgniółł wczoraj na miazgę Bulskiego...

— Ale ba! słyszałem o tém...

— Musi się pojedynkować, a ty mu będziesz sekundował...

Kapitan potarł czoło i wąsy.

— To się nie odmawia... — rzekł — ale czy to już nieodzowna?...

— Dla mnie obojętna rzecz! — zawołał Karol — ja się bić nie potrzebuję, ale Bulski...

— Czy już przysyłał sekundanta?

— Dotąd nie...

Rybacki nie bardzo miał ochotę mieszać się w krwawą sprawę, ale lechtała go znów nadzieja śniadania i zgody, a młokos wydał się łatwym do poprowadzenia; pojechali więc razem do hotelu, czekając odezwy z przeciwnej strony.

Około południa zjawiała się wąsata deputacya, złożona z abszytowanego podpułkownika i ogromnego wzrostu austriackiego jakiegoś eks-dragona. Szcześnie, obu tych panów Rybacki znał doskonale i poszedłszy z nimi na ustęp, mimo hałasu ich, powziął niejaką nadzieję, że bez krwi przelewu do szampana dojdzie. Popędliwy Karol nie dał mu się tём cieszyć długo, ogłaszając swoje warunki zgody, o które nie było sposobu nietylko się układać, ale nawet mówić o nich; porozumiano się o dzień, godzinę, miejsce i sekundanci się rozjechali w dosyć kwaśnych usposobieniach, szczególnie kapitan, który przewidując wiele i sięgając myślą daleko, obawiał się z tego wszystkiego kłopotu dla siebie. Mniej mu chodziło o życie ludzi, którzy dlań byli obojętni, niż o własną skórę, jeśliby się to katastrofą skończyć miało. Wiedział, że Bulski, który niewiele umiał, strzelał na nieszcześnie doskonale, bo był namiętnym myślnym; a nawet chwilę jakąś podobno wojskowo służył. Pan Karol także trafiał w asa o trzydzieści kroków bez najmniejszej trudności. Wprawdzie-ć, wszyscy to wiemy, że mierzyć do celu a do piersi człowieka rzeczy są cale różne; ale zawsze niebezpieczeństwo tём było większe, że oba przeciwnicy strzelcy celni i wcale nie tehorze.

Nazajutrz rano dorożka z kapitanem Rybackim i Karolem i jednocześnie prawie drugi powóz wiozący Bulskiego, podpułkownika i eks-dragona austriackiego, skierowały się ku Bielanom.

Dzień był wiosenny, posępny i wilgotny, deszczyk maleńki mżył i pruszył, rzadkie chmury przesuwwały się ponad ziemią, w powietrzu wisiał jakiś smutek. Kapitan Rybacki, zamyślny, ponury, kłął w duszy Dahlberga, który mu tę sekundę nastreczył, pupila swego, Wołyn i Wołyniaków hurtem wszystkich, pojedynki... ludzi i kobiety. Karol był zimny, milezący również, a że zwykł późno wstawać, tą zaś razą ranięć się zerwał, ziewał cochwila.

Przejeżdżając około świętego Jana, okiem rzucił Rybacki na wnieście kościelne i pierwszą rzecz, którą zobaczył, był całun rozpięty u drzwi... Karol, czy go widział, czy nie uważał, niewiadomo czём tknięty, prosił, żeby stanąć, że chce pacierz zmówić... Była

to w życiu jego tak niezwykajna chętka, że sam się jój zdziwił podobno, ale dobrym jak złym natchnieniem przywyklszy być poslušnym, wyskoczył natychmiast do kościoła... Skierował się machinalnie do jednej z bocznych kaplic, i w chwili gdy oczy podniósł, ujrzał przed sobą trumnę okrytą czarném sukmem... Widok to był dla najśmielszego w tój chwili zbyt złój wróżby, i Wołyniak nasz uczuł dreszcz przechodzący po ciele, ale wolałby był umrzeć, niż strach ten pokazać, i wrócił do kapitana, siedzącego w powozie, podśpiewując wesoło.

Ruszyli ku Bielanom nie mówiąc słowa do siebie...

W pół drogi jakoś mgły podnosić się zaczęły powoli, słońce parę razy błysnęło, a z tą zmianą sceny i myśl przyszła weselsza; kapitan zażądał cygara... Karol począł świstać ukraińską piosenkę... I tak ukradkiem spoglądając na siebie, niekiedy uśmiechając się, to nucać, przybyli nareszcie do lasku, w którym w tójże chwili prawie, nieco opodal, wysiadali przeciwnicy, naradzając się, gdzie miejsce wybiorą.

Rybacki pobiegł do nich i nie bez ciekawości spojrzął na Bulskiego, ubranego czarno i wydającego się jakoś cieniiej; trzeźwy był i skutkiem tego rzadkiego wypadku, poważniej, przyzwoiciiej się wydawał; nie mówił nic, powtarzając tylko kiedy niekiedy przez zaciśnione zęby:

— Prędjéj, panowie, prędjéj! prędjéj!..

W lasku było coś gości przechadzających się, dosyć ludzi, którzy się kręcili i spoglądali ciekawie na przybyłych; wzięwszy więc pistolety pod płaszcze, sekundanci z Bulskim, poszli wyszukać miejsca ustronnego. Zaraz na wstępie do Bielańskiej dębinki, uszedłszy kilkadziesiąt kroków, jest obryw stromy, którego część w dół na zarośla łoz i krzaków usunęła się unosząc z sobą kilka pni drzew starych — przypadkiem przechodząc tamtędy, i z wzgórza rzuciwszy okiem na piękną stąd Wisłę, jak morze daleko rozlaną, Bulski ujrzał w dole zewsząd ostawiony zaroślami i ścianami kątek u stóp szych leżący.

— Ot tu! — zawołał wskazując palcem — ot tu... poco iść dalej!...

— Ale jakże się tam spuścić?... niema ścieżki...

— Znajdziemy ścieżkę...

— Przestrzeni mało... — rzekł Rybacki.

— Na taką sprawę dosyć...

Zawahali się sekundanci, w końcu, że im to było wszystko jedno, choć z niemałym trudem spuścili się ku Wiśle, w ten kątek, a Rybacki pobiegł po Karola... który w powozie drzemał.

Miejsce było wybrane najdziwaczniej, gdyż na dwadzieścia kroków ledwie starczyło placu wolnego od nawału pni, suchych gałęzi i rokitnicy.

— Wszystko jedno... — rzekł Bulski — aby prędzej...

Karol spojrzął przybiegłszy i nie zaprotestował wcale przeciw wyborowi, chociaż mu się zdał osobliwszy; myślał, że koniecznością było ukryć się w takim kącie. Dwaj przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie, oba przyparci plecami do dwóch ścian obrywu i zmierzyli okiem dzielącą ich przestrzeń. Wedle umowy, idąc, strzelać mieli razem na komenderówkę...

Sekundanci sprobowali jeszcze zgody, która była niepodobieństwem, i poczęli nabijać pistolety. Wybrano je losem i Bulski stanął w miejscu... ręka mu drżała widocznie, Karol z chłodną krwią ujął broń, ani drgnąwszy.

Oczy świadków wlepione były w dwóch zapaśników, którzy ledwie po parę kroków zrobili. Rybacki szybko zawołał raz po raz, nie dając czasu mierzyć:

— Raz, dwa i trzy...

Dym ściśniony w parowie okrył wszystko na chwilę, sekundanci poskoczyli natychmiast... słaby wykrzyk dał się słyszeć tylko jednocześnie z wystrzałem...

Karol leżał na ziemi z ręką na piersi, z której krew buchała strumieniem, Bulski stał na nogach, ale twarz całą miał zbroczoną, i ręką po nią wodząc, skrwawił się szkaradnie...

Kapitan Rybacki przyskoczył do swego, ale nim zdążył się zbliżyć, już ugodzony w samo serce młody chłopak nie żył...

Drgały mu usta wyrazem uśmiechu szyderskiego, jakby chciał wobec śmierci jeszcze okazać się nieustraszonym, ale żółta bladeść okrywała już czoło... westchnął lekko... drgnął, i życie, słowa nie wymówiwszy, zakończył...

Bulski był ranny w głowę, kula zorała mu czaszkę, zdarła skórę z niej, prawie do kości i przeleciawszy utkwiała poza nim w pniu drzewa; kląkł, ciągle się ręką macając, a nareszcie omdlały padł na ręce sekundantów.

Ranę jego bolesną, ale nie zdającą się niebezpieczną, jak mogli zaraz opatrzyli i zawiązawszy ją, poczęli myśleć, co uczynić z trupem zabitego, gdy zwabieni strzałem przechodzący się już poczęli na gorze się gromadzić.

Potrzeba było jak najprędzej środki obmyśleć, żeby nikt za śmierć tę nie odpowiadał; Bulski miał paszport w kieszeni, ale Rybackiego czekały przeprawy, których nieborak aż nadto wcześniej był pewien.

Wypadek ten w kilka godzin już wiadomym był całej Warszawie; jedna może pani Bulska o sporze i jego następstwach nie nie słyszała; Dahlberg starannie ukrywał przed nią, do ostatka, smutne dla niej następstwa mieć mogące spotkanie. Po wyjeździe Rybackiego na Bielany oczekiwał wieści o nim niespokojny, licząc minuty, gdy przedź, niż się spodziewał, ujrzał zbladłego kapitana, wpadającego do mieszkania.

— Nawarzyłeś tego piwa! ratujże go teraz!... — zawołał we drzwiach.

— Co się stało? ranny?

— Zabity! zabity!... Bulski ugodził go w samo serce...

Dahlberg pobladł jak ściana.

— A Bulski?...

— Ranny w głowę; hrabio, na miłość Boga ratuj!

— Bądź spokojny — rzekł gospodarz — wszystko naturalnie złoży się na Bulskiego, ale jak to oznajmić hrabinie? co za katastrofa! nieszczęśliwa kobieta!

Gdy się to dzieje, piękna Dorota, dziwując się tylko przerwany nym nagle wizytem natrętnego Karola, wcale się nie domyślała następstw, jakie mu spotkanie z nią na drodze gotowało; jakaś ją tylko męczyła tęsknota dotąd nieznana, jakiś niesmak czuła w życiu, myśl jej nieustannie wracała ku Sadogórze, ku Borowój, serce pragnęło spokoju. Może przyjęcie widocznie zimne, jakiego doznawała, przyczyniło się także do tego żalu za przeszłością. To pewna, że od powrotu swego usiłując wejść w stare formy dawnego życia, ani się z niemi pogodzić, ani ich już przyjąć nie mogła. Niepokój wewnętrzny ją dręczył, pragnęła czegoś więcej niż pustych grzeczności, któremi ją karmiono; z podziwieniem własnem inny sąd w głębi duszy o ludziach i wypadkach, na które dawniej lekko i wesoło poglądać zwykła, znajdowała. Wszystko się jej wydało maluczkie, drobne, śmieszne prawie.

W takim usposobieniu coraz więcej pragnęła samotności, zamykała się, czytała, a gdy w nadziei rozrywki przyjmowała starych znajomych, tak jakoś nie bawili, że ledwie z obowiązku, ale chłodno przebyła z niemi kilka godzin, tęskniąc do chwili rozstania, jak wprzód do obiecywaney sobie rozrywki. Wprawdzie czasami ożywiła się a raczej zmuszała do wesołości, chcąc przełamać usposobienie do smutku, ale widać było zaraz, jak ją to kosztowało i było nienaturalnem.

Obawiając się, żeby ktoś nie pośpieszył do hrabinę z wiadomością o kłótni Karola z jej mężem i następstwach, jakie dla biednego młodego człowieka pociągnęła za sobą — Dahlberg, choć mu

to przyszło z ciężkością, powłókł się do niej jako zwiastun nie-szczęścia.

Łatwo było przewidzieć, jakich tłumaczeń, wykładów i dodatków powodem być mogła śmierć pana Karola, w chwili, gdy właśnie po długiej niebytności Bulska wracała do Warszawy; najskromniej nawet i najżyczliwiej tłumacząc tę historię, zawsze cień od niej padał na hrabinę; można więc było obawiać się, by i z przestrachu o swą sławę i z żalu po człowieku, który dla niej życie stracił, nie wzięła tego zbyt do serca piękna Dorota.

Jakkolwiek ją znał dawno Dahlberg, nigdy mu się jednak nie trafiło odgadnąć, jakie na niej zrobi wrażenie rzecz jakaś, nowina, człowiek; fantastyczna pani przyjmowała nieraz śmiechem najopłakawsze wypadki, a łzami najweselsze. Na ten raz pocieszał się już hrabia Tytus tём właśnie, że ją to może nie tak bardzo dotknie, jak mu się zdawało. Wszedł zakłopotany i po minie jego łatwo rozpoznać było można, że coś na nim ciążyło, jakieś posłannictwo niemiłe. Zwykle plochy i wesół, na ten raz posępny i zastygły; padł na kanapę i nie powiedziawszy nawet żadnej z tych formuł pochlebstwa, których umiał tyle, zadumał się, zapomniawszy, że piękna pani stała przed nim, ciekawemi mierząc go oczyma.

Przed chwilą jeszcze tęskna, dziwnym skutkiem wejrzenia Dahlberga, który w istocie dosyć śmiesznie z tём żalobnem wydawał się licem, hrabina rozweseliła się i roztrzepotała.

— *Chevalier de la triste figure!* a! jakże mi dziś wyglądasz! mów prędko, co to ci jest? czy cię zdradziła baletnica, czyś w karty przegrał, czy żona każe ci się stawić na służbę?

— E! toby mnie tam tak dalece nie obchodziło — odparł Dahlberg, któremu wesołość hrabinęj jeszcze cięższém czyniła zadanie — co mi tam... to chleb powszedni.

— Więc to coś niepowszedniego? — spytała pani Bulska.

— Lepiej mnie pani nie pytaj...

— Doskonały, kładnie czarny znak zapytania na czole i chce, żeby go niebadać! Już jest coś, a jak jest, to mi się musisz wy-spowiadać.

— Ja to wiem — odezwał się hrabia Tytus powoli — ale nie własnym się smutkiem trapię, cudza to sprawa... i nie powinno być pani pilno zmartwić się nią jak ja.

— No! zbadzmy to prędko i wypijmy jak lekarstwo, cöz to jest? kogo się to tyczy?

Hrabia miał się odpowiedzieć:

— Pani.

Bulska pobladła trochę i uśmiech z ust odleciał.

— No! to już się domyślam, znowu coś o moim ex-mężu, mów otwarcie, słucham...

— Tak, tak, lepiej może odrazu... zrzucić z siebie, Bulski...

Ale nie mogą przełknąć Dahlberg wstrzymał się nagle.

— Mów śmiało, już ciż nie jestem dzlecko, zniosę cios choćby najdotkliwszy.

— Bulski szkalował panią publicznie, ujął się w sposób cokolwiek niegrzeczny pan Karol...

— A! i cóż? — zimno spytała hrabina.

— Musieli się pojedynkować...

— Bulski doskonale strzela — drżącym głosem przerwała rzucając nań okiem hrabina — ranił go?

— Zabił! — rzekł Dahlberg.

Mileczenie grobowe nastąpiło po tym wyrazie.

Piękna Dorota pochwyciła się za głowę.

— I krew tę rzucą na mnie — zawołała po chwili — biedna matka!... biedny chłopiec!... a! i ja! i ja!

— Bulski także ranił — dodał hrabia obojętnie.

Jak odurzona i nieprzytomna, hrabina poczęła się przechadzać po saloniku.

— My, rozprowadamy w mieście cały ten wypadek wcale inaczej — dodał Dahlberg — ale nie można zaprzeczyć, że to wielkie nieszczeście...

Mówił urwanemi słowy spoglądając na hrabinę, która nie odzywała się wcale, i nie zdawała się nawet go słuchać. Wrażenia, jakie to zrobiło na niej, dopytać było trudno; twarz na chwilę zbladła, okryła się znowu żywym rumieńcem, oczy zajaśniały, chodzila i miotala się zamyślona, Dahlberg przestraszył się jej milczeniem i blaskiem gorączkowego wejrzenia.

— Pani to zbyt cieżnio bierzesz do serca...

Nie było odpowiedzi i znowu długie milczenie...

— Zostaw mnie samą — odezwała się piękna Dorota.

Hrabia wziął za kapelusze i po cichutku się wyniósł, ale mu się żal zrobiło kobiety i w progu namyślił się, że kogoś by do niej posłać należało z tych pań, z którymi była najbliżej, aby ją rozerwać, pocieszyć, przypilnować.

Nie zwlekając więc, pojechał do pierwszego domu, który mu na myśl przyszedł, nie zastanowiwszy się nawet, że mu odmówić mogą. Tu gorące jego opowiadanie nie zrobiło żadnego skutku; pani wymówiła się nie wiem czém od obowiązku przyjaźni, i ubolewając wielce, nie zapragnęła dzielić boleści kobiety, którą ostatni wypadek miał nieodwołalnie potępić. Toż samo spotkało hrabiego w drugim i trzecim miejscu; przyjaciółki pani Bulskiej wszystkie

nie miały czasu, nie mogły się podjąć tak ciężkiego posłannictwa, lub wypierały się zażyłości, któraby im dawała prawo zaglądać w głąb serca i ranę jego łagodzić.

Z tych przyjęć wywróżyć już było łatwo, jaki los czekał nieszczęśliwą.

Co się tam w pierwszych chwilach działo z nią, nikt nie wie; zamknięta przesiedziała dni kilka nie przyjmując nikogo, a do drzwi też prócz mężczyzn nikt się nie dobiwał, całe towarzystwo niewieście pierzchnęło. W tydzień, jak gdyby żadna w położeniu jej nie zaszła zmiana, dzwignęła się pani Bulska i w całym blasku swjej piękności ukazała się zrana u Kapucynów na mszy, potem wieczorem w Alejach. Nie wiem, czy chciała zbadać, jak ją przyjmą, czy brawować opinią, ale na twarzy jej śladu nie było tych wrażeń, których doznała; miała jeszcze tyle mocy nad sobą, że się uśmiechała, kłaniała znajomym i udawała wesołą.

Ten manewr jednak na nic się nie przydał, prócz, że więcej jeszcze przeciw niej oburzył; w kościele usuwano się od niej z ławek pod różnymi pozorami, przy wyjściu nikt się nie zbliżył, w Alejach odwracano głowy, żeby się nie spotkać z jej ukłonem, i kazano popędzać konie, aby nie witać. To cofnięcie się wszystkich aż nadto było widoczne, omylić się na niem nie było podobna, ludzi, że to wszystko było dziełem przypadku, nie sposób.

Z uśmiechem jakimś szyderskim i dumnym razem powróciła pani Bulska do domu; nazajutrz ukazała się znowu w mieście, po sklepach, a śmiałość jej nie zmieniła usposobień: uciekano od niej jak od zapowietrzonego, ona zdawała się wcale o to nie troszczyć.

Tak dni kilka jeszcze upłynęło, aż do straszliwego spotkania, które nareszcie zmusiło nieszczęśliwą do ucieczki.

Dano znać o śmierci pana Karola jego matce, a zrozpaczona kobieta, nie mogąc uwierzyć nieszczęściu swojemu, w nadziei, że choć zimne zwłoki jedynaka uściśnie raz jeszcze, rzuciła się na prostą bryczkę pocztową, z jednym tylko służącym, dzień i noc pędząc, przepłacając konie, przyleciała oszalała prawie do Warszawy.

Była to niemłoda niewiasta, matka do zbytku słaba, ale kobieta wielkiej energii i serca; miłość macierzyńska czyniła ją zdolną do wszelkich poświęceń; życie dać za syna niczem było... można było sobie wyobrazić, jakim piorunem razila ją wiadomość o stracie jedynej w życiu pociechy; rozkrzyżowała ręce, załamała je, padła jak martwa i ocucona, w chwilę potem z rozwianemi włosy siwemi leciała już tam, gdzie choć martwym ujrzyć jeszcze mogła syna.

Boleść jej tak była gorączkowa, rozpacзлиwa, przerażająca, że zdawała się grozić co chwila zerwaniem wszystkich strun życia; budziła ona litość wszystkich, skupiała tłumy nieznanomych, najobo-

jętniejszym łzy wrywając z oczów; nie zsiadając z bryczki, nie jedząc i nie pijąc, matka Karola przybyła do Warszawy w takim stanie, że pierwszy, co ją zobaczył, jak najprędzej pobiegł do doktora. Ona wielkim głosem domagała się widzenia syna tylko, którego niestety, zobaczyć już nie mogła, ale całą noc przepędziła rycząc i wykrzykując na świeżej jeszcze mogile. Siłą prawie odebrać ją musiano od grobowca, i zmusić, aby cokolwiek spoczęła; ale we śnie miotła się z jękiem i płaczem, tak okropnie, że wreszcie środków najsilniejszych lekarskich użyć musiano na złagodzenie tego rozdrażnienia, które groziło szaleństwem i śmiercią.

Znaleźli się starzy znajomi pani N., którzy ją otoczyli i po tych pierwszych wybuchach, nieco uspokojoną, ale zemsty pragnącą, strzegli, by się nie dopuściła jakiejś smutnej ostateczności. Musiano ją pilnować nie spuszczać na chwilę z oka, gdyż na przemiany, to sobie życie odebrać chciała, to kobiecie, którą uważała za przyczynę śmierci swego syna. Wkońcu zdawało się, że poczynając zajmować się wystawieniem pomnika dla Karola, którego jak najwspanialszym mieć chciała, nieco ochłonęła z rozpacz, i rzuciła do modlitwy. Gwałtowna i niepohamowana we wszystkim, całe dni spędzała na łzach po kościołach, w których codziennie krzyżem leżąc, słuchała mszy żałobnych za duszę dziecięcia. Ten kierunek nowy uspokoił jej przyjaciół, i nieco mniej ich baczniemi na jej postępkę uczynił; nie postrzegli więc, gdy tajemnie wywiedziała się o mieszkaniu Bulskiej, i jednego poranku zawieźć się do niej kazała.

Hrabina siedziała skulona i smutna na fotelu w saloniku, gdy jej oznajmiono jakąś panią, która nalegała, aby się z nią widzieć koniecznie; kazała przyjąć, i w téjże chwili weszła postać, w której magnetycznie odgadła pani Bulska matkę Karola. Wysokiego wzrostu, w czarnej grubej sukni, z siwym krótko uciętym włosom na głowie, poważna, straszna jak widmo, stanęła przed nią mierzając ją wzrokiem pełnym pogardy... nieszczęśliwa matka!

Chwilę milczała.

— Wiesz po com tu przyszła?... — zawołała wreszcie — wiesz kto jestem?... matka tego, który zabity został przez ciebie... patrz na tę czarną suknię, na te siwe włosy, na wypłakane oczy, i pamiętaj, że cię przeklinam... niech krew niewinnego spadnie na duszę twoję! niech ci pamięć jego nie da spokoju, niech cię głos mój i rozpacz przesładują całe życie. Zgiń marnie, przeklęta zalotnico, podeptana nogami tych, którycheś zwodziła, w nędzy, w boleści, we wzgardzie ludzkiej, odrzucona od Boga... niech ci nikt kropli wody nie poda konającej, jak mnie już nikt na ziemi nie da pociechy!!!... Przeklinam cię, bezecna, choćbym duszę moję zgubić miała, choćby wiecz-

ność utracić, byle mnie tylko mściwy Bóg wysłuchał! cierp i zgiń marnie, przeklęta!

Wymówiła to głosem wzniesionym, z krzykiem prawie, tak, że ludzie się zbiegli, i nim nieprzytomna hrabina uciec potrafiła od nieszczęśliwej, która się ku niej rzucić chciała ze wściekłą zajadłością, odciągnęli szalejącą gniewem.

Ale scena ta, wpeł publiczna, która miała świadków tylu, jakkolwiek wprędce przerwana, była już kroplą przepełniającą naczynie. Dorota zemdląła na rękę służ, przerażona tém widzeniem, i tegoż wieczora dostała gorączki, z której wpadła w malignę. Z choroby tak nagłej, z samego wypadku z matką Karola, którą na rękach wynosić musiano do powozu, tysiące najdzikszych rozeszło się wieści; reszta przyjaciół i wiernych jeszcze powahała się i cofnęła powoli od kobiety, ostatecznie już w opinii potępionej, a jak to zwykle bywa, gdy na taki cios stanowczy przyjdzie godzina, i to, czego nigdy nie wymawiano Dorocie, z czego ją uniewinniano wprzód, co zapomniano oddawna, dziś dobyto nanowo, aby tym większym obarzyć ją ciężarem. Najwytrwalsi przyjaciele bronić jej przestali... Gdy po ciężkiej słabości otworzyła wreszcie oczy, u łóża swojego znalazła tylko zimną twarz lekarza i potrwożone swe służki. Niebezpieczeństwo, w którym zostawała, już było przeszło; przytomność powróciła, ale z nią razem głęboki smutek i straszne wątplenie.

Przebiegając myślą w samotności cały bieg życia, którego lat kilka spędziła wśród oklasków, hołdów, zdumień, szarów i tryumfów... po niém już tylko czuła zgryzoty i niesmaki; aby cokolwiek zaczerpnąć pociechy, musiała się zwracać do Sadogóry i swojego ogródka, do wieczorów ze starą Jadwigą lub do spokojnego borowskiego dworu, który zrazu tak się jej wydał śmiesznym ze swą staroświeczyzną, obyczajami nie dzisiejszemi i jednostajnie uregulowanym życiem. Ale tam były jedyne serca, w które jeszcze wierzyła, jedyńi ludzie, co ją kochali, jedyne ramiona, które się dla odepchniętej jeszcze z uczuciem otworzyć mogły.

Pierwszy raz od bardzo dawna, przebudziła się nie z uśmiechem i szyderstwem, ale ze łzami i płaczem, i sięgnęła nie po pustą książkę dla rozrywki, ale po surowe słowa wielkiego nieznajomego, który do niej przemówił jak Chrystus do duszy pragnącej nawrócenia:

„O serca szalone i niewierne, takżeście głęboko zagrzeźły w rzeczach ziemskich, że już nie, jeno co cielesne, uczuć umiecie?”

„Nieszczęśliwi, z boleścią w końcu uznacie, jakaście nędzę, jak czezą ukochali marę!”

„Przeciwnie, święci pańscy i wierni słudzy Chrystusowi nie zważali na to, czego pożądało ciało, ani co chwilowo im pobłyskiwało — nadzieje ich i wejrzenia wzniesione były ku rzeczom niebieskim...

„I pragnęli tylko dóbr nieskażonych i duchowych, aby ich miłość rzeczy ziemskich nie przywiązała do ziemi...

„Bracie, nie trać nadziei wydoskonalenia się w życiu duchowym... bo czas i godzina nie minęła...”

(*Nasładow. Chr. Pana. R. XXII.*)

Smutny był wjazd do Kryłowa biednego Jana, który pochowywałszy ojca na cmentarzu wioski ukochanej przezeń, na roli, którą lat tyle rękoma swemi użyźniał, matkę i siostrę zabrawszy z sobą, powracał do przygotowanego dla nich domku; smutniejsze jeszcze było pożegnanie kątką, z którym stara pani Ignacowa żegnała się zapłakana, nie mogąc rozstać się, biegając od mogiły męża do wrót swęj chaty, od opuszczonych izdebek, do żółtego grobowca... Prosty krzyż drewniany wznosił się na miejscu spoczynku starego szlachcica, który rozstania z sadybą swą, przyrósłszy do niej sercem, przeniesić nie mógł biedny. Żal cichy ale głęboki nurtował po nim i ostatek mu sił wzięwszy, skleił oczy jego na wieki, a Bóg miłosierny oszczędził w życiu ostatniej boleści pożegnania, we śnie zsyłając śmierć pożądaną i wiekuisty odpoczynek.

Teraz Jan stanąć musiał na czele rodziny swęj, zostając opiekunem matki i siostry, jedyną ich podporą i nadzieją... na nim oparło się wszystko, od niego zależeć miała przyszłość. Nie mogąc się podzielić na dwa odległe gospodarstwa, wydzierżawił cząstkę swoją tutejszą i zabrał resztę rodziny do Kryłowa, który mu osmutniał teraz doznaniem sieroctwem. Tak pragnął w nim widzieć ojca spoczywającego w ganku, dającego rady i rozkazy, cieszącego się pomyślnością, oddychającego po pracy dłużej... i uśmiechającego się do syna... Marzenia te piasek przysypał mogiłny.

Na progu nowego mieszkania, które się im do zbytku pańskiem wydało po dworku dawniejszym, a raczej chatce na pół w ziemię wsunionej — nikt nie powitał przybywających, prócz Iwasia i starej Pałaszi; ale pocziwe ludziska, choć obcy, potrafili pojąć smutek, z jakim się Jan przywłókł sierotą, i w pełnej uczucia troskliwości zaprzętnęli się około niego, starej jejmości i panienki...

Zrazu rozplakawszy się stara pani Broniczowa nie spojrzała nawet na nic; ale powoli nawyknięcie do pracy, boleść, która ją czyniła

lekarstwem koniecznym, ożywiły staruszkę, troskliwą o przyszłość syna... płakali wieczorami, wspominali ojca, odgadywali, jakby się tu był cieszył, co by się mu jak zdawać mogło, a we dnie i Broniczowa i Andzia rozpoczęły już na gospodarstwie nowym, to życie trudu nieustającego, które Bóg dobrotną ręką wydzielił ubogim, izby brzemienia swojego nie czuli.

Jan wśród żalości i zajęć nowych, już był prawie zapomniał o starym Bundrysie i sercu jego dla siebie, a choć mu czasem na myśl przyszła piękna twarzyczka panny Konstancyi, spojrzenie na matkę i siostrę, wspomnienie swojego stanu, wprędce z marzeń rozbudzało... Nie zdało mu się śpieszyć do sędziego, gdy w parę dni po powrocie, jednego razu po obiedzie, ujrzał go niespodzianie pieszo o kiju zbliżającego się do ganku i po cichu, ostrożnie, rozpytującego o coś u Iwasia.

Jan naturalnie wybiegł na spotkanie życzliwego sąsiada, który słowa nie mówiąc zrazu, w milczeniu go uściskał.

— Może ja tu wam gość nie w porę — rzekł smutno Bundrys — ale ot, chciałem się tylko dowiedzieć, co się tu u was dzieje, i tak z kijem *per pedes apostolorum*, przywlokłem się... posiedzę w ganku i zaraz powracam...

Napróżno Jan zapraszał uprzejmie do środka, Bundrys pozostał na ławeczce w ganku, którą sobie obrał...

— Straciłeś poczciwego ojca — rzekł po chwili — wiem o tem! popłakałem i ja po nim, ha! kolój to nas starych, że musimy nowemu światu z drogi ustępować, ot... skończył jeszcze dobrze, dochowawszy się syna, któremu mógł powierzyć śmiało matkę i siostrę... nie każdemu i to dano!... Popłakawszy, pomodliwszy się, dalej, jak się zowie, do roboty... mospanie...

Potém rozpytywać począł o ostatnie chwile zmarłego, o rzeczy obojętne, gospodarstwo, Borowę i wreszcie ścisnąwszy rękę Jana miał odchodzić do domu cichaczem, jak przyszedł, gdy gospodarz niemal gwałtem go do izby na chwilę poprosił. Czekala tam już przybrawszy się od święta, w chustce na głowie i szlafroku merynosowym staruszka Broniczowa i wyświeżona Andzia w prostym stroju szlacheckiej dziewczyny, ciekawe zobaczyć sędziego, o którym tyle im syn rozповідаł. Bundrys nie mniej może rodzinę Jana chciał widzieć, ale się obawiał być natrętnym... Pierwsze wejście na bojaźliwą i mile uśmiechającą się kobiecinę, na dziewczkę skromną i pokorną, z której oczów roztropność i dobroć patrzyły, musiało pomimo ich pospolitej bardzo powierzchowności, zrobić dobre na Bundrysie wrażenie, bo poufale jakoś i serdecznie przysiadł się do kobiet i począł z niemi ośmielającą rozmowę, od pochwał dla poczciwego Jana.

Nie nadto więcej za serce schwyć matki nie może, lzy błysły w oczach drżącej staruszki, która ręce w niebo podniósłszy, uroczyste podziękowała Bogu za miłość ludzką, jaką jej dziecię obdarzył...

To wynurzenie uczucia w całej jego szczerocie podobało się sędziemu, i lzy pocziwe znalazły się na oczach wszystkich... a Andzia pobiegła otrzeć je w kątku fartuszkciem.

Rzadki to przymiot, umiejętność ocenienia ludzi mimo ich powierzchnowości i niepozoru, mimo form, do których nie przywykliśmy — u nas najrzadziej go spotkać między warstwą oglądną, arystokratyczną, która za pierwszy zwykła stawia warunek uznania człowieka, żeby się do niej choć cechy zewnętrznemi przybliżał. Kto nie ma pewnej oglady i do przyjętych warunków codziennego żywota zastósować się nie umie, a pozostał sobą samym i samodzielnym, jak go Bóg stworzył, choćby największe posiadał przymioty, nie podoba się ludziom, co zawsze w swoim żyjąc kółku, nie nad nie widzieć nie chcą... Tymczasem ta ludzka sukienka pozornej cywilizacji, która daje najmierniejszym istotom pewną sumę oklepanych prawdek powszednich, i na chwilę z nie nieznaczących istot, czyni coś niby okazałego, spada zaraz przy bliższym poznaniu, a z pod niej ukazuje się człowiek sercem i głową pośledniejszy od najprostszego wieśniaka... Sąd ludzi o ludziach, zależny od tysięcy okoliczności, najczęściej jest niesprawiedliwy; a pospolicie co najpodobniejsze do nas, co w ten sposób jak my ukształcone i na tę, co my, nogę chrocie, to się nam jedynie dobrą wydaje. Uczony rzadko potrafi ocenić prostaka, ani oglądony gbur, choć i uczoność i oglada nie stanowią jeszcze rzetelnej wartości człowieka, po którą pójść trzeba głębiej, do serca i duszy, do czynów...

Dziko się nam pospolicie wydają ludzie innej sfery i obyczajów, i rzadko kto zajrzeć potrafi po za obsłonki kryjące istotę, odrzucając lupinę dla owocu. Sędzia był właśnie jednym z ludzi, których nie odstraszały ani strój wieśniaczy, ani mowa nie wytworna, ani pokorna postawa; prędzej-by się uczuł uprzędnym zbytkiem wytworności i państwem, ku któremu miał aż nadto wstępu i uprzędnienia. Choć więc Broniczowa wyglądała na prostą szlachciankę zagrodową, a Andzia nie równała się wykształceniem wykwiutnym pannom służącym jego córki — powitał je z uszanowaniem należnym nieszczęściu, pocziwości i wytrwałej pracy.

Jan, który się dosyć tego pierwszego spotkania obawiał, widząc sędziego tak serdecznym i uczucia pełnym dla swęj rodziny, przejął się dlań wdzięcznością i miłością, jakiej był dotąd nie uczuł. Rozmowa nietylko nie zdawała się nużyć Bundrysa, ale choć przedmiot jej powszedni i obojętny, przeciągnęła się dosyć długo — a wycho-

dząc w ganek do bryczki, którą mu zaprządz. kazał Jan, sędzia szepnął na ucho gospodarzowi:

— No? a pamiętasz, com to ci mówił ostatnią razą, no! przyjedź, jak się zowie, do mnie, potrzeba nam pogadać, bo i moje kobiety o waści się turbują i pytają... nie zasiadaj się w domu... Już ode mnie się nie wykrećisz, kochanku, musisz sobie *onus pro peccatis*, odebrać Romaszówkę, bo dalej zginę, ekonomowie rozkradną, i gospodarstwo lichu weźmie...

Odłożywszy do późniejszej nieco pory rozmówienie się z panem sędzią, Jan musiał nazajutrz zaraz pobiedz do Borowej, gdzie już o powrocie jego wiadano, ale w chwili żałoby nie chciano mu się ze zbytkiem troskliwości zawadnej narzucać, czekając, ażby się sam odezwał. Stary chorąży szczególnież uczuł śmierć pana Ignacego serdecznie, i cichą łzą po nim zapłakał.

— Biedne człeczysko — rzekł — przeznaczył mu Bóg, ot tak, w trudzie i pracy zgasnąć nie zaznawszy pociechy i lepszej doli na ziemi... Gdyby był choć rok pożył!...

Chorążyna i pan Aleksander, wszyscy zresztą znajomi zabołeli nad stratą Bronicza serdecznie, i jak to pocziwe serca umieją, pokochali go więcej jeszcze, czując nieszczęśliwym. Ukazanie się Jana dowiodło mu, jak dobrych miał przyjaciół; wszysey skupili się doń ze słowem pociechy i współczucia biegnąc i wyprzedzając, ksiądz Ginwił trochę się rozplakał.

— Dziecko moje — rzekł — mamy ojca w niebie, nikt z nas tu nie jest sierotą, chybaby wiary w sercu nie miał... Nie uwierzysz, jak nas tu ta wiadomość zgryzła wszystkich, starzy nasi poplakali się, pan Aleksander chciał ci w pomoc posyłać Doroszeńkę, gdyśmy się dowiedzieli, żeś już powrócił. No, a matka, a siostra?

— Odwiedz nas, księżę kanoniku, odwiedź, zobaczysz ich, i sił nam dodasz swoim błogosławieństwem...

— A przyjadę! przyjadę! — odparł ksiądz Ginwił — choć to ja do drogi nie poryweży, ale do was... — Nie śmiał tego powiedziéć pocziwy kanonik, ale i białe gołębie, o których los się troszczył, trochę go do Kryłowa napędzały — wszyseśmy ludzie!

I z kolei tak dłonie wszystkich życzliwych wyciągnęły się do Jana, który z wdzięcznością ścisnął je rozrzewniony i przejęty...

Pan Aleksander jeden z najpierwszych pośpieszył przeciwko niemu milejący, zamyślony, ale sercem zawsze ten sam, co wprzódy. Nie trudno było najmniej badawczemu oku poznać po nim, że cierpiał, i dźwigał się tylko dla rodziców, przed którymi boleść swoją ukrywał. Jan jednak zajęty chorąstwem i okazywanem sobie współczuciem, byłby może nie zwrócił na to oczów i nie dopatrzył różnicy na twarzy pana Aleksandra zbladłej i wychudzonej, w oczach

połyskujących ogniem niezwykłym, gdyby Doroszeńko nie począł zaraz, wzięwszy go na stronę, żalić mu się na Olesia i stękać na zmiany, jakie zaszły w Borowej, od pamiętnego wyjazdu pani Bulskiej.

— Prysło — rzekł prowadząc Jana do dworku — i rozwiąło się stare szczęście nasze! spokój, jakiegośmy tu kosztowali, cisza i bezpieczeństwo, w jakich tu żyliśmy, wszystko to jedna twarzyczka kobieca zburzyła i uniosła z sobą... Bóg nam ją zesłał za karę grzechów naszych, i ktoby był powiedział, że tak pozornie chłodny i rozsądny, tak obojętny dla kobiet człowiek, jak nasz Oleś, zapali się do tej utrapienicy, choć ładnej, ależ nie dla nas stworzonej. Tymczasem głowę mu zawróciła! Spójrz teraz uważnie na pana Aleksandra, a przekonasz się, jak straszliwie go zjadła tęsknota... cień tylko chodzi... W salonie śmieje się, ożywia dla rodziców, trzpioce niby z nami po staremu, ale oni, ale my, nie damy się tём oszukać! Człowiek się wydaje cochwila! Czuć, co się tam z nim dzieje, zamyka się, ucieka od ludzi, i niczём go rozbawić, zając niepodobna... Chorążyna postanowiła, widząc to, stanowczo się z nim rozmówić, wzięła go na spytki, ale cóż? do niczego się nie przyznał; powiedział, że go dosyć towarzystwo pani Bulskiej bawiło, ale nie ma do niej gwałtownego przywiązania jak wprzód, oświadczając sam, że się ożeni z kimkolwiek, że mu to wszystko jedno... Chorążyna naprózno starała się na nim wymódcz coś więcej, zamknął się w sobie i zamilkł, a takiego ożenienia z pierwszą lepszą oczywiście niktby po nim wymagać nie mógł. Pótem ojciec i ona widząc, że ciągle smutny i nieswój, chcieli go wyprowadzić do Warszawy, ale tego odmówił; — nakłonić do wyjazdu za granicę, i na to się nie zgodził. Najwięcej nas przeraża, że tak jakoś wszystko mu jedno — obojętny na to, co się go osobiście tyczy, zimny i serca nie ma do niczego... jakby go nic już obchodzić nie mogło. A cóż powiesz na to, że wspomnienie tej nieszczęsnej kobiety jedno go cokolwiek ożywia; niech kto o niej zagada, czy mu się świecca, usta uśmiechają, dobywa słowo z piersi... innym się staje na chwile, dopóki znów nie przypomni sobie, że mu się z tём ukrywać trzeba... Na czём się to skończy — dodał Doroszeńko wdychając — Bóg wie jeden... ale nam wszystkim ciężko jakoś na sercu, a pomyślawszy o Borowej, o przyszłości tej rodziny, oczy łzami zachodzą; biedni chorąstwo! Dni kilka temu, po obiedzie jakoś, byłem za intereseu u samej pani, rozgadaliśmy się dłużej, o tём, o owém, aż ona mi w ostatku powiada: — Mój kochany Doroszeńku! wola boża, nam życia nie na długo stało, ale powiedz mi, jeśli się Aleksander nie ożeni, w co to wszystko pójdzie? Ja nie długowieczna, jęgomość, daj mu Panie jak najdłuższe lata, słaby

także... póki jeszcze Oleś na świecie, pożyczę Borowa... a potem... a! no, cóż... rozerwą to kollateralni... może też to nie godzi się prosić Boga o trwanie dla domu, bo to próżność, a i inni użyć jego darów potrafią... ale być tak świadkiem własnego upadku i chodzić po mogile... ciężko!—Łzy się jej w oczach kręciły, a co ja, tom się doprawdy rozplakał... Oni tam nietyle o dom i imię, jak o nas się troszcza, co z ich łaski żyjemy. Czują, że nasza gromadka rozbieży się po świecie... byle śmierć do tych drzwi zapukała...

Dzień zszedł Janowi szybko w tych rozmowach i przechadzkach od dworku do dworku; odwiedziwszy kanonika, Doroszeńkę, Zbrzeskiego, Pulikowskiego, przypomniał sobie Leona, którego nie widział dotąd, i dopytał, że maluje w pokojach przy oranżeryi, które mu wyznaczono, jako najspokojniejsze i zwrócone ku północy. Mając tegoż wieczora odjechać, pośpieszył go przywitać.

Zastał go nad wielkiem płótnem, które tak zajmowało artystę, że nierychło mógł się do niego dostukać, a spojrzenie jedno przekonało, że powietrze Borowej zbawiennie nań podziałało. Leon był odmłodzony, choć smutny, spokojny, melancholiję precz odeгнаła praca, starał się odzyskać czas stracony i znowu cały oddał się sztuce. Uściśnął Jana serdecznie i w milczeniu poprowadził go przed obraz poczęty, na którym już kilka postaci tętnęło życiem, inne jak przez mgłę i marzenie z nicości występowały... innych naznaczone było za ledwo miejsce, które zajmować miały.

Wielka ta karta przedstawiała Wniebowzięcie N. Panny; na ziemi, przy sarkofagu obrzuconym kwiatami, apostołowie i uczniowie Pańscy, w podziwieniu i zachwyceniu; wyżej niesiona przez aniołów matka-dziewica w apoteozie, a w blasku u góry otwarte niebo i Chrystus...

Zadanie to, na które tylekroć porywały się gieniusze i talenta, wymagało od artysty całych sił, jakie miał w sobie... była w nim apoteoza Maryi, niewiasty, kościoła, aniołowie, ludzie, spokój w górze, ziemia na dole, twarzy tyle i tak olbrzymi dramat! Leon obmyślał długo, studyował pojedyncze części dla ich materyjalnej fizyognomii, ale duchową stronę obrazu wyśnił i dźwignął z siebie. Jan, który mało widział, stanął zdziwiony przed tém dziełem unoszącém go w światy i wieki nieznanne. Twarz dziewicy łączyła w sobie ten wyraz niewinności, powagi, majestatu, jaki pojedynczo schwycił niejedyn artysta, jednę stronę zadania tylko spełniając, aniołowie płynęli w powietrzu, które zasiane będąc niemi łączyło się deszczem kwiatów z sarkofagiem stojącym u dołu... Z postaci mających go otaczać kilka tylko skończonych wydatniej wychodziło, do reszty twarzy Leon szukał typów jeszcze... i właśnie na

Jana spojrzawszy, drgnął postrzegając, że mu wybornie do jednej z głów posłużyć może.

— Patrz, patrz — rzekł uśmiechając się — i ty tu będziesz! — rzekł po chwili — bo mi musisz do jednej z tych figur posiedzieć.

— Ja? — rzekł Jan zdumiony.

— Tak, ty, ale się nie obawiaj, nie poznasz siebie, zdejmę z tej twarzy to tylko, co w niej jest niebieskiego i idealnego, ziemskie znamiona zostawię, bólu ślady zetrę z czoła, ułomności piętna wyrzucę, będziesz takim, jakim marzę, że wstaniemy kiedyś na sąd ostateczny w białych szatach wesela.

Jan uśmiechnął się z pociechą, widząc, że Leon tak był obrazem zajęty, że dawniej całkiem pozbywszy tęsknoty, o pracy tylko i lepszych myślał światach.

— A! — rzekł — jakżem rad, że cię tak widzę odmłodzonego, promieniejącego, szczęśliwego prawie.

— Wszystko to skutki błogosławionego wpływu, jaki wywiera Borowa — rzekł wesoło Kora — wśród tych dobrych ludzi, wśród tej ciszy i spokoju, dusza przychodzi do pragnienia dobra i znajduje do niego drogę, a! gdyby tu ta nieszczęśliwa kobieta dłużej pobyc mogła, któż wie, możeby jej wróciła także świeżość duszy i serca, młodość, wesele, pokój...

— Widzisz wnie dziś — dodał Leon — sam siebie poznać nie mogę, życie i praca uśmiechają mi się, nie więcej nie pragnę, tylko tak powoli dobić się do wrót wiekuistego spokoju i światłości... Świat mię nie nęci... Żal mi lat straconych... ale któż wie, czy i po nich coś we mnie nie pozostało, co dziś służy ku umocnieniu na dobrą drogę...

Rozmawiali jeszcze, gdy jeden ze służących wszedł przynosząc list, który pod adresem malarza przywieziono. Zrazu obojętnie go na stół położył Leon, ale gdy na adres zwrócił oczy, pobladł i pochwycił żywo rozdzierając kopertę. Jan usunął się na bok i przypatrywał obrazowi.

Tymczasem artysta pożerać się zdawał papier, który oczyma przebiegł niespokojny, i począł widocznie poruszony przechadzać się po pokoju... łatwo się było domyślić, że pismo to przyniosło mu jakąś wiadomość niepokojącą i smutną... Broniec chciał odejść, Leon go zatrzymał.

— Nie idź — rzekł z wyrazem prostoty — nie zostawij mnie samym, nie będę panem siebie, osamotnienie złym jest doradcą.

— Ale cóż się stało?

— List... od niej!

— Od kogo?

— Mówię ci, od niej.

— Z Warszawy...

— Nie, z Sadogóry, ale coś się stało, czego pojąć nie mogę... jej ręka, a myśl i smutek cudzy, cierpi... tu niema tajemnic, potrzeba cały przeczytać, aby lepiej zrozumieć i poradzić, mam-li jechać? czy zostać? obawiam się znowu wrócić do mego szaleństwa, z któregoby mnie już drugi raz nie uleczyła Borowa.

List Bulskiej w następujących był słowach:

— „Czy pozwolicie, szczęśliwi, odezwać się do was zdaleka i zapytać o życie wasze? Myśl moja pragnę się orzeźwić leci tam i ogląda na spokój dni waszych i gdyby umiała zazdrościć, o! zazdrościłaby go pewnie, nie mogąc z wami podzielić! Powiedz mi, panie Leonie, w długim liście o sobie, o wszystkich, z którymi żyjesz, wiele, wiele, opisz mi zajęcia, słowa, uczucia, przyslij mi długi dziennik borowski, potrzebuję się nim orzeźwić, pocieszę się szczęściem cudzém, nie mając, nie mogąc mieć swojego.

„Znałeś mnie wesołą, szyderską i swobodną jak dziecię; minęły te czasy nieopatrnej młodości, dziś starą jestem, zwiędłą, znużoną, zbolalą. Uciekłam z Borowój do Warszawy, gdzie mnie najboleśniejsze czekały próby, gdzie-m przeżyła chwilę największego upokorzenia i rozpaczę, gdyby nie wspomnienie tego świata waszego, na który wspomniałam raz, kto wie do czego by mnie doprowadziło zwątpienie? Uciekłam teraz z miasta na wieś, do pustej mojej Sadogóry, gdzie mi upłynęło dzieciństwo, orzeźwić się jego wspomnieniami, popłakać w ciszy tej i skąpać się w żalu po latach przeżytych. Jestem tu sama, wśród znajomych mi ścian, nie mogąc dawnych uczuć widokiem dawno znajomego miejsca wywołać.

„Wymagam po panu, nie żebyś mnie odwiedził, bo potrzebuję samotności i odpoczynku, ale żebyś mi napisał z Borowój, żeś tam odżył, odmłodził, że pracujesz, żeś spokojny, żebyś mi doniósł najdrobniejsze szczegóły nietylko o sobie, ale o obojgu starszuchach, których tak kocham, o panu Aleksandrze, o waszym proboszczu, co pierwszy dał mi słyszeć słowa prawdy... o wszystkich a wszystkich, nawet o biednym Hończarewskim.

„Śmieję się z siebie nie rozumiejąc, dlaczego mnie tak ten kątek obchodzi, co mnie do niego ciągnie; przebiegłam połowę Europy, uśmiechnęło mi się wiele miejsc, pokochałam ludzi wiele, nie pojmuję, czemu po Borowój tęsknię nawet tu w Sadogórze?

„Nie poznałbyś dziś, panie Leonie, staręj swojej znajomej, chyba przypominając sobie nasze pierwsze spotkanie na drodze, którą nigdy jechać nie była powinna, niestety! Żyję tu z Jadwigą, z którą się już dla jej głuchoty rozmówić trudno, w moim

ogródka, we wspomnieniach cała i płacząc... Nie widziałeś jeszcze łez moich, aż nadto napatrzywszy się uśmiechu... przyzbierało mi się ich w sercu, i dziś o nie łatwiej, niż o wesołość dawną, którą wyczerpałam do dna“.

Leon przerwał na tém czytanie.

— Nie pojmuję, co się stało — rzekł — ale cios jakiś wielki musiał w nią uderzyć, list jej ręką pisany, a nie ona w tym liście, mógłż ją co odmienić? chyba nieszczęście?

Na te słowa wszedł pan Aleksander z twarzą wyraźnie niepokojem zmienioną, znać na liście, który przez jego szedł ręce, postrzegł pismo pani Bulskiej i chciał się coś o niej dowiedzieć.

— Odebrałeś pan list? — rzekł do Leona szybko.

— Od pani Bulskiej...

— Cóż pisze?

— Czytaj pan — odpowiedział artysta — niema w nim tajemnic, a jest ślad jakiegoś cierpienia... stało się z nią coś, czego nie pojmuję.

Pan Aleksander pobladł i, drżącą ręką wzięwszy pismo, począł je oczyma pożerać tak, że na chwilę zapomniał o świadkach i fizyognomia jego odmalowała, jak głęboko czuł wyraz każdy. Dopiero ku końcowi upamiętał się i oddając papier malarzowi, rzekł głosem cichym:

— Nic się pan nie dorozumiewasz?

— Nie umiem się domyślić...

Poczynano zmierzchać, Jan musiał do domu powracać, pożegnał więc pana Aleksandra, który na chwilę znowu zapomniawszy o sobie, troskliwie wziął się wypytywać o Kryłów, i czy tam im czego nie braknie... wreszcie odprawił Jasia obietnicą, że sam przyjedzie się o tém na miejscu przekonać.

Po odejściu Bronicza, pozostał jeszcze z malarzem, po kilkakroć wracając do listu, który brał, odczytywał, rzucał i chwycił znowu, jakby chciał przeniknąć, jakie uczucie, jaki wypadek go podyktowały.

— Biedna kobieta... — rzekł w ostatku — pewnie więcej biedna niż winna... rozkołysana wyobraźnia powiodła ją na bezdroża, ale serce w tych czasach nie miało udziału. Któż zresztą bez grzechu, kto czysty i święty? Mamyż prawo nie wierzyć poprawie i pragnieniu dobra, gdy tak skoro wierzym zepsuciu i złe ludziom narzucamy? Ale cóż mogło ją zmusić do wrócenia nie tu, nie do majątku sąsiedniego, gdzie ma mieszkanie... zajęcie, ale do Sado-góry... która istotnie jest pustką? Nie pojmuję...

— Ani ja! — rzekł Leon.

— Odpiszesz? — spytał pan Aleksander.

— Dziś jeszcze...

— Wstrzymaj się... — zawołał żywo gospodarz — możesz mi listu tego pozwolić? nie myślisz sam jechać?

— Ja... nie, nie pojedę... — odparł Kora — ale odpiszę zaraz... list możesz pan wziąć...

— Za godzinę ci go powrócę!... — rzekł chorążyc — biorąc kapelus.

W salonie już świece były zapalone, i staruszka siedziała w swoim fotelu czekając, aźby się wszyscy poschodzili, jeden tylko kanonik znajdował się przy niej, opowiadając dzieje jakiejś rodziny z miasteczka, dla której chciał pomoc wyjednać, gdy wnijsieie panna Aleksandra uderzyło matkę, tak żywo wpadł do pokoju i ku niej się zbliżył.

Spojrzała mu w twarz i domyśliła się, że z czems niezwycajnem przyjść musiał; jak ojeiec milezący najczęściej i lakoniczny, chorążyc nie nie mówiąc pocałował matkę w rękę i list przed nią na pulpicu położył, a sam odszedł do kanonika. Chorążycna do była okularów pośpiesznie i zbliżywszy światło, czytać poczęła z zajęciem niezmiernem. Pan Aleksander oka nie spuszczał z jej twarzy, na której zrazu chłodne podziwienie, potem trochę wzruszenia, rozrzewnienie i litość się wypiętuowała... staruszka otarła łzę ukradkiem, myśląc ją zataić przed synem.

Kanonik nic tego nie rozumiał, ale że wcale ciekawością nie grzeszył i w cudze sprawy nieproszony się nie mieszał, zszedł na bok, pod pozorem pilnego interesu do panny Jamuntówny, która mu jakichś krupek dla ptaszków obiecała.

— Ale do kogóż to list? — spytała obracając na wszystkie strony chorążycna — chyba do Leona?

— Do Leona... — odpowiedział pan Aleksander.

— Biedna kobieta! — westchnęła staruszka — widocznie coś musiała ucierpieć... zawsze przez tę nieszczęśliwą słabość swoje... byle...

Przerwał rozmowę Doroszeńko, który także jakby z nowiną jaką, bardzo wpadł szybko i niespokojny. W ogólności po twarzach tych ludzi, przywykłych żyć z sobą i rozumieć się, czytać było można każdą przepływającą myśl i uczucie, odgadywano wzajemnie strapienia i radości i każdy śpieszył w pomoc przyjacielowi, nie czeżem słowem, ale dłońią i sercem.

Doroszeńko poznał równie po panu Aleksandrze, który list chował, że i tu coś zaszło, a po sposobie, jakim drzwi otworzył i do pokoju się wtoczył, chorążycna wiedziała odrazu, że też nie bez jakiejś nowiny przyszedł. Jednakże jakby go przytomność pana Aleksandra wstrzymywała, rządea pokłoniwszy się, przemówiwszy kilka

słów obojętnych, zasiadł na tém krześle, które zwykle zajmował w kątku. Dopiero wymknięcie się pana Aleksandra było znakiem dla Doroszeńki zbliżenia się do staruszki, i ledwie drzwi się za nim zamknęły, pośpieszył do jój stolika, chcąc, nimby kto nadszedł, wiadomość odebraną udzielić.

— Wie pani, że od brata list odebrałem z Warszawy... i właśnie oto z nim przybiegłem... tylko przy panu Aleksandrze nie chciałem tego mówić.

— Cóż tam się stało?

— Oto mi opisuje nieszczęśliwą znowu historję jakąś hrabinę...

— Bulskięj?

— Tak jest...

— Cóż się jój tam zrobiło? Leon dziś list odebrał także, ale taki żałośny, że mi się aż łza z oczów, czytając go, dobyła; Aleksander mi go właśnie przynosił. Mów serce, co się tam jój stało?

— Hrabina zastała, pokazuje się, w Warszawie, swojego dawnego męża, Bulskiego, który w wielkiem będąc na nią gniewie, szkalował po całym mieście, niestworzone na nią wypłatając rzeczy. Miał to być bardzo zły człowiek, a jeszcze go i śmierć dziecka, słyszę, do reszty opętała. Hrabina nie wiem czy to teraz, czy kiedy, jakiegoś tam poznała młodego człowieka z Wołynia, który, jak to wszyscy, niezmiernie się dla niej zapalił... Przypadek chciał, że się ów jegomość spotkał z panem Bulskim, po pijanemu w miejscu publicznym szkalującym żonę...

— A! co za okropny człowiek — zawołała chorążyna składając ręce — ale cóż tedy?

— Naturalnie, ten się ujął, przyszło do zwady i do pojedynku, młody ów człowiek został zabity na miejscu, a pan Bulski ciężko ranny w głowę, nim dojechał do Lwowa, na drodze umarł...

Pani Jamuntowa załamała ręce.

— A mój Boże! mój Boże! — odezwała się — otóż co to robi trzpiotarstwo, teraz rozumiem jój strapienie...

— Ale to nie koniec — dodał Doroszeńko — zabity młody człowiek był jedynakiem u matki, która go do szaleństwa kochała; odebrawszy wiadomość o śmierci jego, przyleciała do Warszawy i słysząc tak okropną jakąś scenę zrobiła pani Bulskięj, że ta o mało nie umarła...

— Zmiłujże się, mój drogi, cicho z tém przed Aleksandrem, zgryzłby się nieboraczysko... i tak list ten mi przynosząc, żebyś go widział, cały był drżący... Pewna jestem, że chciałby jechać do niej, albo ją tu ściągnąć, tylko nie śmie... A ja ci powiem — cicho szepnęła chorążyna — choć wiele a wiele mam przeciw tój kobie-

cie i w jej statek nigdy może nie uwierzę, ale tak mi Olesia żal, a dziś i jej... a! jużbym się nie sprzeciwiała...

— A pan chorąży?

— Wiesz, jak to trudno, żeby się on rozgadał biedny, oczywiście nie jest za tym, wzdryga się... ależ tyranizować syna nie chce. Jednak kiedyś mu coś tak napomknęła, co by to było, gdyby Oles się uparł, powiedział mi sucho: — pierwsza to Jamuntowa we wdowim czepecu szlaby do ołtarza... Bóg wie tylko ile mnie to łez i strapienia kosztuje...

W tym wnijscie Hończarewskiego przerwało rozmowę, a chorążyna witaając go skinieniem głowy, z uśmiechem dobroci pełnym spytała:

— A co? Hończaresiu, barometr?

— Spadł niesłuchanie... burza będzie straszna... i cztery posmiecuchi widziałem koło pałacu... a wilgi krzyczą... ale pan rządca nie wierny... i powiada, że słońce ładnie zaszło, zobaczy pani nad ranem... czyja prawda!

W parę dni potem Jan musiał pojechać do Romaszówki, bo go już i matka, która sędziego niezmiernie pokochała, do tej podróży znagliła, i karteczki nieustannie od Bundrysa odbierał, żeby się stawił dla ostatecznych układów o dzierżawę.

Ale gdy przyjechał, sędzia go zamiast do swojej kancelaryi zaprowadził do kobiet, zasiadł w salonie i oddawszy w ręce panny Konstancyi, sam zemknął. Dość, że Jan, który się na to nie skarżył weale, kilka godzin znowu przebawił z nią, wybrał się na przechadzkę w towarzystwie pani Osmólskiej, musiał jej swoje opowiadać dzieje, i do wieczora nic nie zrobił. Jakkolwiek mężnie się opierał nie dając pochwyć za serce i pilnie strzegąc, żeby głowy nie stracić, nad siły to było, w ciągłym zbliżeniu z młodą dzieweczką, które mu tysiące dawało dowodów przychylności, nie upaść i nie poddać się uczuciu, które się obudzić musiało. Jan przywiał się do niej coraz mocniej, ale też najuroczystsze w głębi duszy dał sobie słowo, że nigdy przez usta i oczy nie wyjdzie to, co się w nim dzieje: grał obojętnego, chłodnego i zniżał się, aby nawet myśl przyjść nie mogła nikomu, że na nią oczy podniósł. Cóż kiedy mimo ślubów najmocniejszych, biedny chłopak, niewprawy do odegrywania roli swój, zdradzał się co chwila, sam o tym nie wiedząc, i najniezgrabniej w świecie kłamał tę obojętność.

Dnia tego Bundrys późno już na odjezdném dał mu trochę papierów, a po reszcie, która się niby zarzuciła, nazajutrz przyjeżdżać kazał.

— To, jak się zowie — rzekł — nie można tego tak z palca wyłamać, potrzeba się nam dobrze rozgadać... umówić, waści rozpatrzeć, mnie obwarować... więc jutro mi przyjeżdżaj, niema rady, i tymczasem, bo to ja, jak się zowie, nudny jestem formalista, obejmuj, rządź, doglądaj, objeżdżaj, a już tam te ceregiele *in tractu* tego się dopełnią.

— Ale jakże mogę obejmować?...

— Już ty mię nie pytaj — podchwycił sędzia — ja ci mówię obejmuj... a my się ułożymy... tylko przyjeżdżaj...

Odprawiwszy tak Jana, który nic w końcu zrozumieć nie mógł, Bundrys zasiadł zamyślony, poczynął przewidywać trudności, nie wiedział, jak się tu dalej obrócić, aby Jana do oświadczenia skłonić, miarkował, że się nigdy sam nie odważy na krok taki. Tymczasem widząc go z córką, ani o przywiązaniu jęj do niego, ani o uczuciu Jana dla niej nie wątpił.

Chodziły mu różne, przeróżne projekta po głowie, gdy córka weszła dać dobranoc.

Spojrzał na uśmiechnioną dziewczeczkę i westchnął.

— Ej, słuchaj no, Kostko moja — rzekł — siadaj-no... coś ci mam powiedzieć, mój robaczku...

— Co ojciec każe?

— Ot tak, najlepiej prosto z mosta... jak ci się Jan podoba?

Kostusia raka upiekła ogromnego.

— Ale kochany ojczu...

— Tylko się nie wykręcaj, no! ubogi chłopiec, ale nieprawda, że i caca i głowa i serce poczciwe? He! no, pomiarkuj no, jakbym ci ja go dał za męża?

— Na to — zawołała Kostusia śmiejąc się i biorąc słowa ojca w połowie za żart — na to, pani Osmólska nigdy nie pozwoli...

— A! co mi tam Osmólska... będę się jęj pytał? Gadaj no ty, czy on tobie do serca przypada, czy nie... ot tak, moje dziecko, szczerze jak przed konfesyonałem. Ja na was patrzę, tyś mu rada, wesola jak przyjedzie, chichoczesz się z nim, w oczy mu zaglądasz... no? podobał ci się?

Kostusia milczała.

— Wielkie zakłęcie, Kostko, jak mnie kochasz, to powiesz?

— Jak ojca kocham, sama nie wiem...

— Ale ba... wolisz go od innych?

— Juścić wolę...

— A! no... a tęskno ci za nim, jak długo nie przyjeżdża?

— Trochę.

— Otóż to... a płakałabyś gdyby się z kim innym ożenił.

— Nie, alebym się gniewała!

— Ale... no! to już resztę sobie schowaj... wiem, co potrzebuję wiedzieć. Jakże on z tobą? czy ci kiedy co szepnął?

— Nigdy! nigdy!

— Jakto! nawet mimowolnie?

— Nic... nigdy.

— Uparty łotr, uparty... dumna sztuka! pokłonić mu się nie chce, woli, żeby jemu się kłaniano... ale to i ja taki... Co tu z nim zrobić! co zrobić... — szeptał stary. — No! no! jakoś to będzie... Pocałuj-że mnie i idź spać, Kociu moja.

Kostusia uściskała ojca serdecznie i po jej wesołym biegu stary lepiej niż ze słów poznać musiał, że Jan wcaleby nie był dla niej obojętny.

Bundrys chodził jeszcze długo nie kładąc się spać po pokoju, dumał, dumał, wreszcie ręką machnął i zawołał:

— Gdzie dyabeł nie może, babę pośle... ot tak!

Nazajutrz rano poszedł z fajką do pokoiku pani Osmólskiej, u której, że rzadko bywał, zdziwiła się niezmiernie, co go sprowadzić mogło, a jeszcze bardziej, gdy się w krzesle rozsiadł, jak na długą rozmowę.

— Osmólsiu kochana — rzekł — czy uważasz ty, że Kostusia nasza coś bardzo się podobno tym Broniczem zajęła? coś to jest! jak się zowie!

— A! jakże niema być! — zawołała gorąco pani Osmólska — kiedy pan sam go tu wabisz i przynęcasz... Ja to odrazu mówiłam, że nic dobrego nie wyniknie z takich częstych odwiedzin... a ludzie już gadają!

— Co powiadasz? już gadają? — rzekł sędzia udając zafrasowanego.

— I jak! Ja to dawno sędziemu mówić chciałam; juściż jej za niego nie wydasz?

— Dlaczego? — spytał nagle Bundrys.

Pani Osmólska stropiła się i wstrzymała, ugryzłszy za język.

— Dlaczego! — odparła po chwili — bo juściż dla Kostusi lepsza-by się partya znalazła, i sto razy lepsza... ot pan Aleksander, to ale...

— A! jejmości zawsze pałace się uśmiechają! — przerwał sędzia — ja bo mam swoje o tém inne wyobrażenia. Ale powiedz-no, dlaczego nie wydałbym Kostusi za Bronicza?

— Naprzód, że grosza przy duszy nie ma... powtóre — mówiła Osmólska — matka jego słysząc chodzi jak prosta szlachcianka i ką-

dziel przędzie, siostra... bez wychowania... familia nieznamoma... piękne stosunki!

Bundrys wciąż paląc fajkę głową kiwał.

— To ty chcesz, żebym ja moją Kostusię dał gołemu Uchańskiemu, coby sobie myślał, że jej łaskę zrobił, iż raczył się z nią ożenić? albo drugiemu takiemu pół-pankowi, czy całemu panu, coby mną i nią pomiał!

— Ale juściżby sobie równego znaleźć mogła...

— A Bronicz to co?

— Zmiluj się pan... mógłbyś go przyjąć za ekonoma...

— A ekonom to co?... — spytał Bundrys.

— Ja pana doprawdy nie rozumiem...

— Może być, jak się zowie, Osmólsiu, ale mnie zaraz zrozumiesz, gdy ci powiem, czego ja chcę... oto nie majątku, nie imienia, nie stosunków, ale szczęścia Kostusi, poczciwości, pracowitości w jej mężu, prawości i enoty...

— Ale to wszystko wszakże i wyżej znaleźć można?

— Poszukaj, serce.

Pani Osmólska ruszyła ramionami.

— To pan myślisz...

— A myślę i seryo, powiem ci, Kostusię wydać za niego; juściżby chłopca nie durzył i dziewczęciu nie dał się bałamucić darmo; w tém sęk, że to taka harda sztuka, że jeszcze go ciągnąć potrzeba i z mańki podejść, żeby się oświadczył, a tu kochana Osmólsiu rachuje na ciebie, że mi dopomożesz.

— Kto! ja? — zawołała z oburzeniem pani Osmólska — chyba bym Boga w sercu nie miała... Ja dla Kostusi zawsze mam nadzieję czegoś lepszego i wybijam jej to z głowy...

— Osmólsiu, jak się zowie, kto tu gospodarz? — spytał Bundrys.

— Ale zmiluj się, panie sędzio...

— Ale zmiluj się, moja Osmólsiu, zamknij oczy i rób, o co proszę... lepszego jej męża nie znajdziesz: ja mu się przypatruję, czytam w oczach, chłopak serdeczny, niema rady, trzeba to doprowadzić do skutku.

— Tylko nie przeze mnie...

— Owszem, przez ciebie, moja dobrodziejko!

— Czyżbyś mnie pan chciał zmusić, żebym się ja mu kłaniała jeszcze?

— E! kłaniać się niema co... dosyć mu szepnąć, że gdyby tego, owego... to może by co i być mogło... że stary sędzia go kocha... ot coś tak! kochana Osmólsiu...

— A! niech Pan Bóg broni! już mnie pan przynajmniej do tego nie używaj...

— No! kogóż? ja mu sam powiedzieć nie mogę: — na, weź sobie asan moję Kostusię... a chłopiec się nie domyśli sam oświadczyć... i pójdzie gdzieindziej szukać... a nasza Kostusia cierpieć będzie w tej niepewności...

— Ależ ona jeszcze się do niego tak nie przywiązała! Ja jęj codzień perswaduję... słucha mnie... i wybije jęj to z głowy...

Stary się rozsmiał.

— Cha! cha! — rzekł — przedziwna jesteś, jak się zowie! to ci się widzę zdaje, że Kostusię na swoją wiarę nawrócisz, a filut dziewczyna przyznała mi się już, że go kocha...

Pani Osmólska z krzykiem ogromnym załamała ręce.

— Przyznała się! kto! Kostusia?

— Słecznie, pięknie, gładko... że go kocha, to jak mnie widzisz żywego... No! a chciałabyś ją na tortury wystawić przez upór i niedopomódz nam? mnie, jak mnie, ale jęj?...

Sędzia wiedział, że przywiązana, jak do własnego dziecka, Osmólską tym argumentem dobije.

— Kiedyż? co? jak? jakże to było, że się sędziemu przyznała?... — zapytała opiekunka.

— A cóż? nie dalej jak wczoraj — śmiejąc się rzekł stary — przyszła, padła mi do nóg i powiedziała, że bez niego żyć nie może...

— Kto? Kostusia!...

— Ona sama! — śmiejąc się pocichu dodał sędzia.

— Na uczeiwość? na honor? panie sędzio!

— Ale moja Osmólsiu, już mi widzę nie wierzysz, mówię ci, że tak było, może nie ze wszystkiem, co do słowa, jak powiadam, ale coś w tym rodzaju...

Osmólska spuściła głowę na piersi.

— Nie taką to ja przyszłość marzyłam dla niej — szepnęła cicho — nie takiej była warta...

— A cóż chcesz? krewny panów Jamuntów? pfi! to nie mała rzecz dla waćpanny...

— Kiedy ona samego Jamunta mieć mogła.

— Przymierz-że kochanie, Osmólsiu, jak oni przy sobie wyglądają? Pan Aleksander jak śledź, a ten jak malina... poczeiwy człowiek, ale pan... tego ja nie chcę... Myślisz, że nazwisko lub pieniądze szczęście dają? Chleba im nie zabraknie, nie... No! a teraz, Osmólsiu, nie warzym darmo wody, gadajmy co potrzeba, ty mi musisz dopomódz do tego...

— A! róbcie sobie, co chcecie, ja się nie wmieszam — porywając kluczyki zawołała skłopotana kobieta.

— Stój, nie uciekaj, posłuchaj mnie uważnie, kochana Osmólsiu,

potem sobie rób, co zechcesz. Oto rzecz taka, on się bez pomocy czyjś nie oświadczy, Kostusia go chce i ja, przyjdzie więc do tego, że ja stary, zrzuciwszy pychę z serca, pokłonię mu się pięknie i powiem: — Panie Janie, dobrodzieju, jeśli pana Boga kochasz, weź córkę moją! bo ona waszeci kocha... — He! pięknie to będzie, jak się pani zdaje? Tymczasem pani Osmólska mogłaby te rzeczy spełnić daleko gładziej i przywoiciej, zbliżyć się tak jakoś, wyprowadzić w gawędkę, naciągając rozmowę na starego sędziego, powiedzieć, jak to on Bronicza lubi, jak to Kostusia szacunek ojca dla niego podziela; pół żartem, pół seryo rzucić słowo, że chętnieby się pomogło, że cośby się zrobić dało? he?... Ot, pół drogi-by już się odbyło... Jużciż nie wątpię, że widząc moje mocne postanowienie, nie wystawisz mnie na to, żebym ja sam tę rolę odgrywał; zresztą jak sobie chcesz, Osmólsiu, i jak ci serce podyktuje... a teraz, jak się zowie, do nówek upadam.

I sędzia wysunął się śmiejąc w złożony kulak, jak miał zwyczaj, kiedy dobrego spłatał figla.

Po wyjściu sędziego, skłopotana jejmość, siadła wzdychając w fotelu, i zadumała się głęboko, tak, że wkrótce potem wesoło biegająca Kostusia, zastawszy ją przybitą, znękaną, przypadła do niej z tysiącem pytań troskliwych.

— Czy nie chora? może czego potrzebuje?

— Zdrowam, dziecko moje — odezwała się wreszcie poglądając jej w oczy Osmólska — alem się zmartwiła...

— Czém?

Domyśliwszy się nieco, o co chodziło, Kostka zarumieniła się.

— Czyż to prawda — spytała Osmólska — że ci ten pan Jan w głowę zajechał?...

— Któż to mówił?...

— Już kto mi to powiedział, mniejsza... mozem i sama co widziała... ale czyż to partya dla ciebie?

— Ja tam o tém nie myślę! — przebaknęła nieśmiało dziewczynka — na co mówić o tém...

— Ale to twój ojciec...

Kostusia już od badania pod pozorem jakimś uciekać chciała, gdy Osmólska pochwyliła ją za rękę.

— Przyznaj-że się przede mną — rzekła z uczuciem — jak przed ojcem, prawda to?...

Dziecię skryło głowę w jej rękach... przybrana matka westchnęła... Może w jej sercu lekkie obudziło się uczucie zazdrości, jakiego nawet rodzice doznają, gdy od nich dziecię po nowe i nieznanne szczęście w świat śpieszy, może się jej żal zrobiło dziecka, które ją tylko i ojca dotąd kochało, i łza zwilżyła oczy...

— Dziejże się wola boża — rzekła — nie po mojej to myśli, ale skoro ty sobie tego życzysz, ojciec pragnie... co mnie obcej przeszkadzać i perswadować... Przypatrzę mu się lepiej, może się z nim pogodzę...

— O! jestem tego pewna! — zawołała gorąco całując ją po twarzy i rękach Kostka — on, taki poczciwy, tak dobry!

Nie trzeba było innego wyznania nad ten wykrzyk mimowolny, a w chwilę potem, gdy zaturkotało i Kostusia się zarumieniła, pani Osmólska przekonała się nanowo, jej przecuciem przybycia Jana, że już nie przeszkadzać, ale pomagać było potrzeba...

Stary Bundrys przyjął Jana w ganku wykrzykiem:

— A chodźno naprzód, mój posesorze! zjedzmy co... nim przystąpię do interesu... już tam musieli podać śniadanie.

Śniadania nie było jeszcze, ale że go nie przyniesiono, burując i gderząc wywołał córkę i panią Osmólską do bawialnego pokoju Bundrys, Jana im oddał; a sam pod pozorem zajęcia wyszedł.

— Po śniadaniu weźmiemy się do rzeczy — rzekł — teraz jeszcze nie mam czasu...

Pani Osmólska z zajęciem przybliżyła się do Jana; a przewidując egzamin, Kostusia obawiająca się jego skutków i wrażeń, odstąpić też ich nie chciała. Zdano więc śniadanie na posługujące dziewczęta, i wszyscy zostali razem. Jan, po dniu przepędzonym w Borowój, był smutny i zamyślony; może też i rodzące się coraz silniej uczucie czyniło go niespokojnym o następstwa. Czuł, że się przywiązywał do tego domu, do dziewczęcia uśmiechającego mu się najwinnie pierwszą miłością życia i wzdrygał się na myśl, że tę śliczną istotę, tego aniołka, jakaś ręka obca, zimna, może mu unieść i pochwycić... To straszne przypuszczenie, które raz pierwszy przebiegło przez myśl jego, dało mu najlepszą miarę uczucia, jakie w sercu mieszkalo. Głowa się zawróciła, zimny dreszcz przebiegł po nim.

— A jeśli by ona była szczęśliwa? czyżbym jej i czyjemuś szczęściu miał zazdrościć? — spytał sam siebie — nie! patrzalbym na nie zdaleka...

— A gdyby ci go widzieć nie dozwolono? gdyby jej widzieć nie było wolno? — rzekł głos duszy.

— Straszneby to było cierpienie... nie! to być nie może! juźciż zdala, któżby mógł, czasem choć spojrzeć na nią, zabronić! nie! to być nie może...

I dumając, tak się Jan pograżył, że Kostusia musiała mu przebrać zamyślenie zapytaniem, o kim tak głęboko rozpamiętywał?

Bronicz się zarumienił i wesoło otrząsł.

— A! pani — rzekł — człowiek, na którego barkach i swoja

i cudza przyszłość leży, ma o czém pomyśleć; czasem go tak w najweselszą chwilę schwyci w pól tęsknota, obawa i zatruje mu maluczką jego szczęśliwość, której kropelkę ma tylko.

— A Bóg!... — odezwała się Kostusia — czyż to już nie na niego nie zdamy?...

— Wszystko... — rzekł Jan — ale stare mówi przysłowie, że temu, co sam myśli, Bóg tylko pomaga... ani myśli, ani rąk opuszczać nie można...

Z tego smutnego początku rozmowy przeszli łatwo na inny przedmiot, a pani Osmólska dnia tego, choć cokolwiek się już przybliżyła do Jana, jeszcze więcej go badała, niżeli ośmielić chciała. Bundrys pochwycił później dla układów o dzierżawę, które choć dobrą część dnia zabrały, nie mogły się skończyć jeszcze. Sędzia wymagał, żeby Jan objechał majątek wprzód, a codziennie mu sprawę zdawał z tego, co gdzie nie zobaczy. Trzeba było uleść woli staro, który coraz stawał się despotyczniejszy.

Skutkiem tych rozporządzeń, Jan dzień w dzień prawie więcej siedział w Romaszówce, niż u siebie i pożegnawszy matkę zrana, powracał dopiero wieczorem, coraz więcej rozmarzony i o siebie niespokojny. Pomimo bowiem życzliwości sędziego, przychylności powoli objawiającej się pani Osmólskiej, którą Kostusia potrafiła zjednać swęj sprawie, i przyjaźni dziewczęcia, któraby kogo innego ośmieliła do najdumniejszych pokuszeń, Jan zawsze niedowierzający sobie i skromny, nie przypuszczał jeszcze, żeby to coś nad sąsiedzki stosunek znaczyć miało. W ostatku czuł się może potrzebnym sędziemu i to mu tłumaczyło resztę. Ale codziennie z Romaszówki, mimo powodzenia, powracał smutniejszy; matka nie mogła tego nie spostrzedz.

— Słuchajno — mówiła do Andzi — ale ten Jaś, to coby miał cieszyć się, że mu tam tak Bundrys pomaga i dobrze życzy, to codzien zdaje się smutniejszy... co to jest?

— Tam jest panienka! — cicho szepnęła Andzia, uśmiechając się i kładnąc palec na ustach. — Mama się reszty domyśli...

— Ale gdzie zaś by jemu zaświtało w głowie zająć się sędzianką, to być nie może i źle-by było...

— Wszyscy mówią o tém...

— Tém ci gorzej... — zawołała skłopotana Broniczowa — a to ja się z nim muszę rozmówić.

Staruszka była prostą kobietą, ale wielkiego rozsądku i uczucia godności własnej; ona jak mąż, i może od męża wyuczona, pojmowała, że ubóstwo powinno mieć swoje ucziwą dumę; pokorną była dla tych, którzy się zniżali do niej, ale umiała podnieść głowę, gdy ją człowiek lub los chciał przygnięść. Lat tyle przeżytych w dobrowolném niemal ubóstwie, którem okupywała niezależność, nauczyły ją, że za drogo nabywa się dostatek, kiedy zaś człowiek płaci sprzedając siebie. Dla syna nie pragnęła innego dobrego bytu nad ten, jaki mógł pracą własną uzyskać, a ożenienie bogate raczej ją przestraszało, niżeli się uśmiechało. Myśl téż, że jej Jaś mógłby podstępnie pochwycić przywiązanie, aby niemi dobić się do majątku, wywołując na siebie narzekanie czyjeś i wymówki nieskończone, rumieniec wstydu wywołała na twarz jej zmarzszoną. Nie mogąc już wytrwać dłużej w tej niepewności, następnego dnia doczekiwała Jana do północkska, mówiąc pacierze w pierwszej izdebce: gdy wszedł przywitała go poważnie.

— Słuchaj-no, Jasiu, nam trzeba z sobą pomówić...

— O czém, matko droga?

— Dużo jest do gadania!.. coś ty mi się robisz smutny... ludzie oczy mają i gęby nie dla proporecy.

— No, cóż tam takiego?

— Ale bo dzień w dzień w Romaszówce, i po całych dniach u sędziogo... moje dziecko... a ten słyszę ma córkę?...

I spojrziała w oczy Janowi, który zadrzał i spuścił je na ziemię.

— Ludzie — dodała — gotowi cię posądzić, a jużeż nie masz myśli im się narzucać? Niech ci stoi przed oczyma przykład ojca, który całe życie ciężko pracował, a nigdy się nie ugiął przed nikim, i po cudzą pracę nie sięgnął... Słyszę, że plotą, jakobyś tam miał się pokochać w sędziance, ale temu ja nie wierzę — zawołała staruszka — nieprawda, Jasiu?...

— To pewna — przerwał syn — że myślą nawet nie sięgnąłem nigdy tak wysoko... Ale stary potrzebuje mnie, jeździć każe, jest moim dobrodziejem...

— Tak, ale i jemu nie powstało pewnie w myśli, żebyś miał zwrócić oczy na jego córkę?... bądź, Jasiu, ostrożny! Zostańmy ubodzy ale czysti, jak poczciwy nasz stary, po którym płaczemy...

— A! matko droga! wątpisz-że ty o mnie? mogłażes posądzić syna, że dla nabycia grosza zechce się weisnąć w dom cudzy i z przychylności cudzej korzystać?

— O! nie! nie! nie posądzam cię — odparła rozczulona staruszka — ale ludzie! ale świat!...

— Cóżem ja winiem, że mi Bundrys przyjeżdżać każe?...

— To on nieroztropny... I tak dnie całe, słyszę, zostawia cię z córką?...

— Oni tak żyją samotnie...

— Ale na cóż ciebie i ją naraża!... — zawołała matka niespokojna — trzeba się usunąć, moje dziecko, a gdy cię zmuszą, bądź tak zimno, zdaleka, z szanowaniem, żeby cię nikt posądzić nie potrafił...

Jan zamilkł.

— Nie tego ja pragnę dla ciebie — dodała stara powoli — gdy Bóg da zapracować grosz jaki, poszukasz sobie prostego dziewczęcia, którego by rodzice ani mnie, ani Andzi się nie powstydzili, co ci nie przyniesie posagu, ale poda rękę do pracy i nie powie gorzkiego słowa... to moje! i nie da uczuć, żeś jej winien chleb, który połykać będziesz musiał dławiąc się nim... Weź żonę, nie panią sobie... a jeszcze ci zawczasu o tém myśleć!

— Ja też nie myślę wcale — odezwał się Jan z westchnieniem — i nie mam żadnej ochoty do ożenienia.

— Chciałam cię tylko przestrzedz... boć to ty u nas żrenica w oku, ojciec i dziecko, pan i opiekun... a my cię tak kochamy.

Ta cicha wieczorna rozmowa skończyła się uściskiem, ale Jan długo po niej spać nie mógł i wstał z pierwszym kogutem do gospodarstwa, które teraz, daleko już rozleglejszych rozmiarów, nieustannie wymagało pilności.

Nazajutrz po odebraniu listu od pani Bulskiej, Leon zabierał się jej odpisywać, gdy znowu pan Aleksander wszedł do niego z rozjaśnioną nieco twarzą; najprzód do obrazu się obrócił, potem tak o czemś obojętném zagadał, wreszcie spytał:

— A cóż, odpisałeś?

— Nie, siadam dopiero...

— Dobrze — rzekł chorążyc — pisz... ja dam posłańca do Sadogóry... bo pocztą listy idą wieki... ale... powiedz tam w liście swoim, że Borowa tęskni za nią, że ją serdecznie zaprasza; ta samotność w Sadogórze nie może dla niej być dobra, smutek się wymaga gdy niema z kim podzielić, niech tu przyjedzie do nas, wszyscy, ale dodaj *wszyscy* będziemy jej radzi... Matka moja zaprasza, ojciec również... no... jeśli chcesz i o mnie powiedz słowo... nalegaj gorąco... niech przyjedzie...

Leon spojrział w oczy panu Aleksandrowi.

— Zresztą — dodał zmieszany nieco chorążyc — napisz, co się

podoba, ale od rodziców moich najgorętsze umieść zaproszenie... powiedz, że Borowa tęskni za nią.

I wymknął się po tych słowach.

Leon siadł pisać list, ale mu ręka drżała; niedogasłe marzenie młodości zbudziło się wśród słów, które najchłodniejszymi chciał uczynić — po dwakroć rzucił i wstawał, to znów mazał i poczynął list inny, gdy proboszcz, co go często odwiedzał dla widzenia poczętego do ementarniej kaplicy obrazu, wszedł niespodzianie.

— Pisz, pisz — rzekł widząc go nad papierem — a ja sobie na twoje dzieło popatrzę... Dobrze jest! ślicznie jest! Apostołem jeszcze więcej powagi, ale pomnij, że to byli ludzie prości, od sieci, z budki celniczej, z ulic powołani, że nie wykwintnych, zrzymaszczonych obywateli wielkiego państwa, ale natehnionych malujesz prostaczków. Ale ja gadam, a ty w liście swoim siedzisz, do kogóż to piszesz?... jeśli wiedzieć wolno?...

— Do hrabinój!

Kanonik się porwał jak oparzony.

— A toż co? — spytał.

— Wczoraj od niej list odebrałem...

Książd Ginwił spuścił oczy smutnie i ręką machnął.

— Mój ojciec — całując go w ramię, dodał Leon — przeczytaj...

— Ale ba! wiem, że napisać potrafi...

— No, spójrz tylko...

Znaglony proboszcz wreszcie wziął pismo w rękę z uczuciem wstrętu, ale poczciwe serce niedługo mu się dało opierać wrażeniu, jakiego doznał; postąpił tu jak z grenadyerem, z którym zaczynał zawsze od gderania, a kończył na jałmużnie.

Twarz powoli smutny przybierała wyraz, pokiwał głową i zjechał rzekł w ostatku:

— Otóż to, świecie, dzieło twoje... patrz i ucz się... co tym daje świat wasz, którzy weń wierzą i poglądują... czém karmi i poi ulubieńców swoich! Trochę słodyczy by ich zwabił, zółcią i octem, gdy konający z pragnienia wołają... A! gdybyż znieść umieli cierpienie... ale tego nie uczę życie takie... niecierpliwości tylko i rozpacz... A! czuje teraz, że w Borowej cisza i spokój boży, że w niej serca, co nie zawodzą, i tyle, ile ziemia dać może, szczęśliwości... Cierpim i tu, boć szpitalem świat cały, ale litość nam słodzi utrapienia, a modlitwa je odgania... — A cóż waść jej odpisujesz? — spytał książd Ginwił.

— Kazano mi odpisać, że państwo oboje zapraszają tutaj...

Proboszcz zażył tabaki.

— To ona tu znowu wszystkich bałamucić będzie, poczawszy od

pana Aleksandra, już się od niej nie wykręcim... a możnaż jęj wierzyć? He? natura ciągnie wilka do lasu, czego się skorupka za młodu napije... odpocznie, wydycha biedę, strzepnie skrzydełkami i fru! fru! jak moje gołąbki na dach! A nasz pan Aleksander, jak to ja nieraz, stanie patrząc w górę i wołając darmo... niema! gdzieś już jęjmość na grochu.

Leon się uśmiechnął.

— Ojczy mój... — rzekł — czyż nigdy niema przyjsć chwila upamiętania? Któż to powiedział przypowieść o jednej owieczce straconej?...

— Tak, ale nie o koziołku! mój kochany malarzu! — dodał ksiądz — boć żeby to była owieczka!...

— Wierzej mi!

— A ha! tobie serce! właśniebym się wybrał dobrze, twojemu sądowi zaufać...

I rozśmiał się księżyna.

— No! no! piszcie tam już, co chcecie... a Bóg niech robi, co laska jego... ja tam nie myślę mędrować i przemyślać, co i jak z kim będzie, bo tego rozum ludzki nie zgadnie nigdy... Opatrzność nad nami!... A teraz bywaj zdrów, i o apostołach mi pamiętaj...

To mówiąc ksiądz Ginwił nałożył czapeczkę swoję bernardyńską na głowę, i powoli z oranżeryi do pałacu pociągnął.

My za Leonem powtórzym odpowiedź jego na list hrabinęj; wpłynęła na nią może i zwykła artyście egzaltacya, i kilka słów wyrzeczonych przez kanonika.

— „Nie powiem pani, że wolę jęj boleść nad wesele, bo mnie każde jęj cierpienie równie z własnem dolega — ale wyrazy jęj listu, czemu tak przykrego na mnie nie uczyniły wrażenia, jak nieraz uśmiech pani? Ja czuję, przeczuwam, widzę, że chrzest tęg boleści obmyje przeszłość i w nowe życie, w nową ją społeczność wprowadzi. Nieszczęśliwy to żywot, który cały jednym płynie uśmiechem i różnofarbną radością; szczęście nas przywiązuje do ziemi, ze skrzydeł odziera, tworzy z nas istoty pospolite i chłodne, a boleść podnosi, uzacnia, dźwiga. Mam prawo mówić o tém, bom cierpiał długo i wiele, stracił młodość, wyczerpał w sobie siły... Błogosławię więc cierpieniu pani, i nie obawiając się jego skutków, bo Bóg je odwróci — witam jak zbawczy dla niej żywioł tę kąpiel łez i potrzeby samotności.

„Chcesz pani, bym jęj doniósł o Borowęg? ale cóż stąd napisać można? Kto zna dzień jeden, zna już całe lata, nie się nie zmienia, a godziny płyną pocichu jak woda wielkiej rzeki, nie widać jęj ruchu... Zdaje się, że czas wlecze się powoli, a dnie tu krótkie, a lata niepostrzeżone... ja-m się już wcielił i wrósł do gromadki poczci-

wych ludzi, która mi przyjacielską dłoń podała... jestem jak w domu, i zdziwisz się pani — pracuję, jestem prawie szczęśliwy, to jest w inne, jak to, szczęście nie wierzę. Teraz całego mnie zajmuje wielki mój obraz wniebowzięcia, apoteoza Bogarodzicy i kościoła; płótno nad siły; ale nad niem marzyć mogę — rozmyślać i płakać...

Kazano mi napisać, że Borowa tęskni za panią i najgoręcej ją tu zaprasza, dopełniam tego z największą przyjemnością, i nie wątpię, że tak jest w istocie... Starzy cierpią, bo pan Aleksander tęskni i wzdycha, a on wart, żeby mu los dał trochę szczęścia... i oni warci na starość promyśla słońca, który z nich na całą naszą spadnie gromadkę i wszystkich nas ozłoci... A! pani! pani! są tu skarby w sercach, których nikt nie zna, i tu żyć, tu oddychać! tu umierać! Na ich czołach, w ich duszach taki spokój, taka niewyczerpana dobroć, tyle tu cichych i skrytych dobrych uczynków, a tak im nie trzeba ani pochwały, ani nagrody, ani ludzkich oczów, ani oklasku, że człek codzien patrząc na to, staje się lepszym i spada zeń jakaś łuska starego nałogu, i sercu swobodniej i lżej sumieniu i zgoda z całym światem... Nie chce się nic więcej, tylko tak wśród szumu tych drzew, modlitw, dziękczynień, powoli zamknąć oczy i żywota dokonać. Przyjeżdż pani, aby tu pokój stracony odzyskać."

W kilkanaście dni po wyprawieniu tego listu, zjawił się posłaniec od hrabinęj, z kilka słowami smutnemi do chorążynęj, oznajmującemi, że przybyła do bliższego majątku; znać było z nich, że pragnęła i obawiała się zarówno do Borowęj przyjechać, do którejj, jak do portu wzdychała. Pismo to przeszło z rąk do rąk, przeczytał je chorąży, staruszka, podzielono się z niem z kanonikiem i odpisano wreszcie znowu ją zapraszając; chociaż ani strapieniu, ani trwałości nawrócenia nie bardzo dawano wiarę. W szczerotę chwilową skruchy wierzyli wszyscy, ale w stałość jej, nikt nie śmiał, a kanonik swoje porównanie do gołębia powtarzał... Odpowiedź wysłana zdała się jeszcze panu Aleksandrowi za chłodną; nie śmiał pojechać sam, ale mocno tego pragnął, i chorążyna widząc, że namiętności tój rozumowaniem niepodobna zwyciężyć, a trzeba bieg swobodny, jak chorobie dozwolić, sama napomknęła synowi, że mógłby na dzień do hrabinęj pojechać.

Wziąwszy więc z sobą Leona, chorąży ruszył z bijącym sercem naprzeciw czarodziejki; kilka mil, które ich przedzielały, przebiegli tchem jednym prawie, nie mówiąc do siebie, a gdy z drzew ukazał się nowy pałacyk hrabinęj, pan Aleksander pobladł jak ośmnastoletnie chłopię. Dom zastali pustką jeszcze, nieskończony, pokoje próżne, a na rogu, w dwóch jakkolwiek wykończonych, hrabinę, która wyszła na ich spotkanie. Pan Aleksander nie mógł się oprzeć

wzruszeniu, gdy ją ujrzał zmienioną tak, jak gdyby nie miesiące ale lata długie dzieliły rozstanie świeże jeszcze od dzisiejszego spotkania; Leon także cały był przejęty i drżący. Równie piękna pani Bulska miała coś we wzroku, mowie, obejściu, taki ucisk duszny, upokorzenie i przestrach malujący; w jej czarnych oczach tak łez było pełno, w mowie tyle smutku, a dawne szyderstwo tak niepowrotnie uciekło, że widok jej, nieprzyjaciela-by zdjął litością. Pomieszana, przywitała pana Aleksandra i Leona, na którego spojrziała z ciekawością, szukając śladów zmiany jaką list jego zapowiadał.

— A! dziękuję ci, kuzynku — rzekła do chorążyca — spełniłeś prawdziwie chrześcijański uczynek wyciągając mi dłoń... potrzebuję pociechy, dźwignienia, zachęty... Od ostatniego widzenia się naszego przeżyłam wieki, przebolełam nieskończoności, złamana jestem męczarnią... chciałam śmierci... życie wróciło za karę...

Pan Aleksander chciał rozmowę w weselszą odmienić — ale hrabina potrząsała piękną główką, i z uśmiechem boleści przerwała słowa jego.

— Czy wiesz wszystko, co mnie spotkało?... — zawołała — wiesz?...

— Trochę...

— Możesz więc pojąć, że nie prędko rozśmiać się i rozweselić potrafię... cudza nawet radość boli mnie jak coś nienaturalnego... łzy ciągle do oczów się cisną...

Dzień ten niezmiernie smutno przebyli na opowiadaniach ostatnich przygód hrabinę, która nie uniewinniając się wcale, mówiła o sobie dawniejszej, jak o kimś obcym i obojętnym; nie chciała mieć tajemnic dla tych, których za najlepszych uważała przyjaciół, i z goryczą opisywała im odrzucenie, osamotnienie, wzgardę, której doznała, i okropną scenę macierzyńskiego przekleństwa, przejmując ją jeszcze śmiertelnym dreszczem.

Leon na chwilę widokiem jej uczuł się znowu zwrócony do dawniej swęj choroby, milczał, męczył się, ale przemógł wreszcie, i ku wieczorowi poszli już oglądać miejsce, nowe budowy... starając się mówić o rzeczach obojętnych; ale hrabina na chwilę zaledwie przemówiwszy swobodniej, wracała do smutku i zadumania, które się stały dla niej tonem naturalnym i barwą jej codzienną. Zresztą wielkie zamiary ozdobienia tego miejsca, urządzenia domu, nic ją już nie obchodziły, nie miała ochoty do niczego, w niczem przyszłości, nie wierzyła w jutro...

Przez samą litość potrzeba ją było choćby siłą zabrać do Borowej, co też nazajutrz się stało i razem przeprowadzając ją Leon z panem Aleksandrem, o pół godziny tylko wyprzedzili. Chorążtwnu

oboju dość było spojrzeć na przyjeżdżającą, by się z nią pojednać; otoczono najtroskliwszém staraniem, pieśczętami niemal, zboliałą istotę, która na przybycie pod ten dach gościnny usiłowała przywdziać pozór spokoju i światowej obojętności, ale to, co dawniej przychodziło jej z taką łatwością, dziś było niepodobieństwem; usta odmawiały uśmiechu, w oczach łzy się kręciły, niepokój zdradzał się każdym ruchem.

Ten stan jej, przywiązanie pana Aleksandra podniósł jeszcze i widoczniejszém uczynił dla wszystkich; wesola onieśmiałała go, strapiona przyciągała gwałtownie, zapomniał o wszystkiém i jawnie już nie odstępował na chwilę.

Starzy patrzali i milczeli.

Pierwszych kilka dni przeszły bez widocznej różnicy na pani Bulskiej, która starała się jak najmniej miejsca zajmować, jak najmniej być widoczną i natrętną, zastosowując się do obyczajów domu, i nie pozwalając, by dla niej cokolwiek z nich naruszano. Wszyscy zresztą mniej więcej teraz przylgnęli do nieszczęśliwej i powoli godzili się widząc cierpiącą; każdy przychodził z słowem pociechy, z chęcią ulżenia ciężaru; nawet stary chorąży przemówił kilka razy tym tonem pełnym dobroci, który rzadkie jego słowa czynił tak miłemi.

Z obawą jednak oczy mieszkańców Borowej zwracały się na tę postać osmutniałą, zmienioną do niepoznania, zdając niedowierzać jeszcze nawróceniu, upatrując ciągle, czy nie błysną znów oczy jej szyderstwem, usta sarkazmem i zalotnością. Nadto przywykli widzieć ją zmienną i codzien inną, by łatwo uwierzyli, że taką, jaką była, mogła pozostać; Leon nawet pojąć jej nie mógł. Człowiek tak ciężko zrzuca barwę, którą przejęło go życie, tak rzadko ulega zupełnemu wynaturzeniu, tak niespodzianie czasem powraca do nałogów dawnych, że gdy na jego przetwarzanie się patrzymy, długo oczom nie wierzym... Ale poczciwe serca rychlej zawsze w dobre niż złe wierzyć są skłonne; przestrach ten ustawał powoli, a hrabina szczerością uczucia przyczyniała się codzien do uspokojenia przyjaciół.

Tak dzień za dniem wśród cichego życia Borowej upływał, a mieszkańcy jej, jakby sobie dali słowo, między sobą nawet unikali rozmowy o biednej kobiecie.

Znać jednak było, że powoli przywykali do niej, zaczęli ją kochać, godzili się z nawróconą.

Pan Aleksander nie tając się już z uczuciem, jakie miał dla niej, z dnia na dzień coraz był więcej rozkochany, ona z nim od powrotu swojego chłodniejsza, zdawała się więcej pragnąć szacunku i przyjaźni, niż miłości, którą hamowała obejściem się i słowem. To jej postępowanie, mile w oczach chorąstwa, drażniło jednak biednego

człowieka i zamiast go ostudzać, rozplomieniało jeszcze. Po kilkakroć już próbował się zbliżyć do niej i szczerzej z nią pomówić, ale hrabina, jakby się nie domyślała celu rozmowy, starała się jęj uniżnąć.

Nareszcie jednego dnia wszedł pan Aleksander niespodzianie do mieszkania hrabinęj i, chociaż się wybierała wychodzić, wstrzymał ją na chwilę.

— Kochana kuzynko — rzekł — daruj mi momencik... mam prośbę do ciebie...

— Co każesz?

— Nic, proszę cię tylko posłuchaj mnie... ulżyj mi ciężaru, który w sobie noszę...

Chorażyce wziął jęj rękę i całując dodał cicho:

— Widzisz, że ciebie kocham...

— Tak, widzę i to mnie smuci!... — odpowiedziała hrabina.

— Smuci cię to?...

— A! nie myśl, żebym nie umiała być wdzięczną za pierwsze może szczere, głębokie uczucie, jakie w życiu wzbudziłam; ale powiedz mi, godziż mi się odpowiedzieć na nie i przyjąć od ciebie?

— Jakto?

— Kto ty, a kto ja jestem... w oczach własnych i oczach świata? tyś czysty i zacny, ja sterana i sponiewierana istota... Nie sądź z tych wyrazów, żebym sobie co więcej nad płochosć i szal jakiś, co życie moje zatrul, wyrzucać mogła... ludzie mnie spotwarzyli, ale i ja winna... bom lekko ważyć wszystko, z uśmiechem wdziawała pozór występku i suknię sromoty... Unosiło mnie serce, fantazya, gorączkowa ciekawość, pragnienie nowości... i błotem i krwią zbrzyzgana wyszłam z tych zapasów ze światem, zabita na wszystkich, co mi było najdroższe, na spokoju, wierze, na sercu, na złudzeniach... Tyś wart innęj, czystęj miłości, nie tego biednego serca, przez które tyle zółci przebiegło, ani was, ani ciebie nie jestem godną!...

Odwróciła się, łzę mając w oku.

— Ale ja ciebie kocham! — rzekł z uczuciem pan Aleksander — ty sama się spotwarzasz... tyś biała i czysta dzisiaj... a ja bez ciebie żyć nie potrafię!... spokój mój, przyszłość, szczęście nasze, od ciebie zawisło...

— Nie! nie! nie! — zawołała hrabina — nie mów mi tego, szanuję was i kocham, ale wśród was niegodną jestem zająć miejsca, które Bóg dla godniejszej ode mnie przeznaczył... dla mnie klasztor... wdowia żaloba... i pokuta...

Po twarzy pana Aleksandra poznała wrażenie, jakie robiły jęj słowa, i żal się jęj zrobiło biednego człowieka.

— Mylisz się, panie Aleksandrze! — odezwała się po chwili — twoja miłość nie jest tak gwałtowną, by szczęścia warunkiem być miała, pójdź w świat, pojedź dalej, szukaj; znajdziesz kobietę, którą i rodzice twoi z radością, i ty z dumą pod dach ten wprowadzisz... Teraz posłuchaj mnie jeszcze; sama narzuciłam się w chwili znużenia wam wszystkim, przybyłam tu — ludzie nie powiedzą inaczej, tylko że chciała cię pochwycić, rachując na to ożenienie i na zimno go pragnąc, jak jakiegoś szczebla, by wyżej się podnieść. Powiedzianoby, że cię uwiodła... a ja także mam dumę swoją i dziś... dziś chcę być czystą!

— Więc ani iskierki przywiązania! ani słowa pociechy! — przerwał chorążyc — nie! nie dla mnie!..

— Mój biedny Olesiu! — żywo przerwała kobieta — mylisz się, kocham cię, kocham... ale twoją nie będę, może dlatego, że kocham... a nie jestem pewna, czybym wydołała twojemu szczęściu i moim obowiązkom. Ja sama siebie nie znam i sama sobie nie wierzę... jutro, jak owym zamkniętym słoniom, przyjsię może chwila szału, i zerwę więzy i wywrócę domy i polecę rycząc i depeząc, co napadnę! Nieszczęście uczyniło mnie pokorną, spoczynek może zrobić szaloną znowu... Ja śniłam życie całe... całe życie goniłam za marami... Któż wie, czy jutro, za rok... nie odezwie się namiętność, ciekawość... i nie odezwie się znów u łóża mego szyderski głos, który prześladował walcząc we mnie z wiarą i miłością, i łamiąc je nieustannie... Ta chwila żywota, jest li ostatnią metamorfozą, czy tylko przejściem i spoczynkiem? ja sama nie wiem... Dajcie mi spocząć i puśćcie...

— Łatwo ci to powiedzieć, tobie, co nie masz ani uczucia w sercu, ani litości... — odezwał się rozdrażniony jej mową chorążyc — ale mnie, com życie i przyszłość zawiesił na jednem i ostatniem przywiązaniu... com się wykarmił nadzieją, którą i ty zdawałaś się podżegać... ja!

— Ty zapomnisz — przerwała mu — ty masz Boga, do którego umiesz się modlić, siłę do walki... czas... wszystko!

— Nic, boś ty wyczerpała wszystko i ja się wszystkiego dla ciebie zaparłem... rodziców, przeciw którym woli poszedłem z wiarą w ciebie, spokoju dla szczęścia, ludzkich sądów... Dziś do dłuższej walki nie mam siły... dziś mi skończyć i umrzeć chyba...

Bulska pochwyciła się za czoło i zdawała cierpieć, ale ścisnęła usta, pobladła, i westchnienie tylko wyrwała się z jej piersi.

— Próżne marzenie — zawołała — to być nie może... przedjębym była kochanką twoją niż żoną... na siwe włosy tych starców, na poceziwe Jamuntów imię, na niepokalaną sławę domu, nie chcę

nanosić sromoty, która mnie nie opuści, której nikt nie zdejmie ze mnie!...

— Ja nie chcę cię słuchać, nie mogę... Dosiu... nie odpychaj mnie! — zawołał pan Aleksander — i pamiętaj, żebyś na swe sumienie nie wzięła cięższego brzemienia, niż to, które ci dolega! Ty nie znasz nas wieśniaków, u nas uczucie nie bierze się i nie rzuca jak suknia... Kochamy raz w życiu, umiemy zamrzeć z tęsknoty... znasz innych ludzi... nie sądź z nich o mnie! Nie zapależywój młodości wybuchem... ale dojrzałego człowieka miłością cię Kocham... i przysięgam, że jeśli stąd ruszysz się, porzucę dom, rodziców, wszystko, i na koniec świata pójdę za tobą... a jeśli potem dwie trumny starców zobaczysz za nami... i dwoje nieszczęśliwych sierot siwowłosych... ja-m nie winien...

Mówił to z takim szalem i rozpłomienieniem, że pani Bulska ułękła się widocznie i zmieszała; może nie domyślała się w nim takiej namiętności, a przeraziła następstwą; znowu pochwyciła się za głowę, i zimno starała się odpowiedzieć.

— Nie mówmy o tém więcej... czekajmy... niech czas rozstrzygnie... ja nie ci przyrzec nie mogę... nie chcę więcej jedną nosić grzyzołę...

Ta krótka rozmowa, po której nowego spotkania sam na sam unikała pani Bulska, większe miała skutki, niż się spodziewać było można. Pan Aleksander oporem hrabinęj rozdrażniony, obawiając się jej wyjazdu i ucieczki, nie chciał dłużej tać się przed rodzicami, którzy zresztą z rezygnacją oczekiwali, zdaje się, by się przed nimi wynurzył.

Ciężka to była do przebycia chwila, dla człowieka, który nawykł do słodkiego posłuszeństwa i nigdy w życiu nie sprzeciwił się rodzicom; gwałtowne przywiązanie tylko, jakim było to, które czuł codzień wzrastające dla Doroty, mogło go do tego kroku ośmielić. Widział aż nadto jasno, że oboje rodzice na wszystko mu w końcu pozwolą, ale ucierpieć muszą; nie mogąc sercem podzielać jego wyboru. Chorąży siedział zaczytany wedle zwyczaju w szerokim krześle przy oknie, w którym całe dnie, patrząc na zielone lasy, przepędzał w milczeniu, zadumaniu lub nad książką, gdy wejście syna, w niezwykłej porze, przerwało mu ten jego sen na jawie. Starzec odrywał się od terażniejszości bolesnej, obcując z przeszłością, a wszystko, co go zmuszało do zstąpienia w życie, kosztowało widocznie. Wstał jednak z uśmiechem do syna.

Chorążyc nie wiedział jak począć; z gorącym uczuciem stanąć przed starcem, w którym, prócz żalu, wszystko już zagasło, przemówić doń niezrozumiałym językiem namiętności, trudno było — sło-

wa mu marły na ustach, a ojciec jednem wejrzeniem odgadł, co się z nim działo, i ta męczarnia wzbudziła w nim litość.

— Mów, Olesiu, mów!... — rzekł drżąc starzec — co chcesz?...

— A! ciężko bo to powiedzieć... — odpowiedział syn.

— Ja ci pomogę... — z uśmiechem dodał chorąży — ja się domyślam, ty kochasz tę kobietę, nieprawdaż?...

— Tak jest, ojcze, i pewien jestem, że godna będzie zamieszkać pod dachem waszym.

— Bóg jeden wie przyszłość... — rzekł na to powoli Jamunt — radzić ci, nasz obowiązek, sprzeciwiać się nie możemy i nie potrafim... Nie potępiam nikogo, bo któż zbadał głębię serc ludzkich i śmiałby kamieniem rzucić? Kto wie przyszłość i obrachuje człowieka? To, co się nam wydaje klęską, bywa błogosławieństwem, co się widzi szczęściem, jest karą... Ale poprawa człowieka trudna, ale na nią budować przyszłość domu i rodziny... krucho... Proś o natchnienie Boga, a nie mnie o radę... ja, jak ty, omylił się mogę. Tyś ociemniały namiętnością, ja mogę być ślepy uprzedzeniem... czyn, jak Bóg natchnie...

Starzec nie przywykł mówić długo, zamilkł chwilę, oczy mu łzami zachodziły, patrzył na syna z czułością i przycisnął go do piersi tułając głowę jego.

— Olesiu — rzekł — my nie długowieczni, starzy, dnie nasze policzone, może twojego szczęścia stać tyle, ile nam życia... ale kochając chcielibyśmy umierać o ciebie spokojni... chciałbym pomyśleć, że ten dom doczeka w błogosławieństwie bożem lepszych czasów... że na twój siwy włos nie włoży los korony cierniowej... Powiedz mi sam, mógłbyś umierać spokojnie?

— Ale na tę nieszczęśliwą istotę, kochany ojcze, więcej rzucono potwarzy, więcej było pozorów, niżeli istotnej winy... łzami obmyła, czém ją świat zwał... i wyrzekła się ludzi...

— Nie chcę być sędzią... — odparł chorąży — Bóg niech wyrokuje, mówię ci, czyn, co On natchnie, a oto masz rękę moją, która ci błogosławi, dziś i zawsze... bo serce twoje czyste... i starości naszej byłeś pociechą i błogosławieństwem!

— Ojcze! słowo jeszcze...

— Mów, Olesiu, mów szczerze... ty wiesz, że wszystko uczynim dla ciebie...

— Raccie uczynić jedno tylko, sami do niej przemówcie i proście jej za mną, ona nie chce być moja!...

— Nie chce? — spytał niedowierzająco stary.

— Z najszlachetniejszych pobudek... napróznom ją błagał i prosił... czuje się niegodną zająć miejsce w kole naszej rodziny... jedno tylko poważne słowo wasze mogłoby ją pokonać.

Starzec westchnął.

— Powiemy te słowa... a! daj tylko Boże dla szczęścia twojego... idź do matki!... Czas nam pocieszyć się, widząc cię uspokojonym i szczęśliwym...

Wzruszony wyszedł od ojca pan Aleksander, a stary chorąży zaraz po rozmowie tej, przy klęczniku swoim padł na kolana i długo płacząc się modlił.

Chorążyna cogodzina oczekiwała i przeczuwała przybycie Olesia, i gdy z oczyma zaczerwienionemi, przejęty jeszcze rozmową z ojcem, zbliżył się do niej, jak stary, powitała go długim, serdecznym uściskiem.

— Wracam od ojca... — rzekł chorążyc — i do ciebie przychodzę z tą samą prośbą co do niego... pobłogosławcie!...

Staruszka złożyła ręce jak do modlitwy, skłoniła głowę powoli, przymknęła oczy.

— Stań się wola Twoja! — szepnęła pocichu i uśmiechem rozjaśniła twarz zmarszczoną.

— Patrzym, modlim się, kochany Olesiu — dodała — serce się lęka... ale rodzice nie staną ci na drodze nigdy... Znasz nas i wiesz, że życie nasze innego celu nad szczęście twoje nie miało, żeś ty dla nas wszystkiem... Jesteś wolny...

— Ale jeżeli wola wasza nie przychyli się do mojej, tylko przez dobroć i pobłażanie... jeśli nie macie przekonania?...

— Mój drogi, ja nie przeciw Dosi nie mam... ja ją kocham, ale my dla ciebie tak wiele-byśmy chcieli, że wszystko nam mało! Wdowa po dwóch mężach, kobieta światowa, nie dawno płocha... dziś cierpieniem nawrócona, czy da ci w poźyciu to, czego wymagać masz prawo? — nie wiem. Ale ty ją kochasz, to przywiązanie zmienić ją może i uzacnić; jako sakrament przyjęte, sprowadza łaski i pomoce niespodziane z niebios, z dwóch istot czyni nową, trzecią, jedną, Bóg powinien i naszych modlitw wysłuchać i twoje poczciwość i cnotę zapłacić.

— Przemówcie za mną, przemówcie... — odezwał się chwyając rękę matki pan Aleksander — ja z nią już miałem rozmowę, ale ona mi odmówiła!...

— Odmówiła ci! — zawołała chorążyna — jakto? dlaczego?

— Sama powiada, że się nie czuje godną szczęścia nazwania się córką waszą... była szczerą, widziałem łzy w jej oczach... Pojmuję to, że narzucać się nie pozwala jej godność własna... trzeba, byście mi pomogli do przelamania jej oporu...

Staruszka zamilkła.

— A ojciec? — spytała.

— Ojciec mi przyrzekł...

— Bądźże spokojnym, mój Olesiu... zrobim wszystko...

Po tej rozmowie, która się jeszcze przeciągnęła, parę dni upłynęło spokojnie, gdyż starzy Jamuntowie, potrzebowali dobrej chwili i przygotować się do kroku, który pomimo przywiązania ich do jedynego dziecięcia, dosyć moralnie kosztował. Wzajemnie sobie dodając otuchy, trzeciego dnia po mszy, weszli do hrabinéj i długą godzinę pozostali z nią sam-na-sam. Pan Aleksander przechadzał się po sali niespokojnym krokiem i oczekiwał ich powrotu, ale stary wprost stamtąd udał się do swojego pokoju, a chorążyna tylko oczyma syna szukając weszła z dosyć wesołą twarzą, znak mu dając, aby za nią poszedł do drugiego salonu.

— No! bądź-że spokojny... — rzekła poważnie.

— Jak to? przyrzekła? — zawołał pan Aleksander, z oczyma promieniejącymi radością.

— Ojciec i ja użyliśmy całej siły przywiązania naszego do ciebie, aby ją przekonać, że bez niéj niéma dla nas szczęścia, że nam jest potrzebną... że jéj ufamy i umieliśmy ją ocenić pomimo wszystkiego, co by przeciw niéj być mogło pozornie; rozplakała się, opierała.

— Ale wreszcie?...

— Wreszcie stanęło na tém, i więcej wymódz niepodobna nam było, że rok czekać będziesz musiał... ona chce własne i twoje wypróbować serce; chce, jak powiada, przygotować się do obowiązków nowego życia. Jeżeli po roku trwać będziesz w postanowieniu, przyrzeka ci rękę swoje.

Pan Aleksander zasmucił się nieco.

— Rok życia! — zawołał.

— Rok oczekiwania wyda ci się długi, staraliśmy się skrócić ten termin, ale Dosia tak nas o to prosiła, abyśmy nie nalegali, żeśmy wreszcie zamilkli, może ty będziesz szczęśliwszy.

Pan Aleksander pobiegł natychmiast do hrabinéj i nie mówiąc słowa upadł jéj do nóg, a ona zerwała się poruszona.

— To ja wam do nóg upaść powinnam — zawołała — wam, co mnie przyjmujecie osławioną, niegodną was, nieszczęśliwą, jak marnotrawnego syna, ucztą i weselem serdeczném... Olesiu! nie zawstydzaj mnie i nie upokarzaj! A! twoi starzy, gdy tu przyszli drżącym głosem prosić mnie, wstyd mnie ogarnął... oni! przede mną! Całe moje życie zmarnowane stanęło mi przed oczyma wyrzutem, że ci ani ręki czystéj, ani nieskalanego serca, ani spokojnéj duszy przynieść nie mogę... Chciałabym obmyć się pokutą...

oczyścić z przeszłości, zapomnieć jęj, stać dziecięciem dla was niewinnem, ale czy potrafię, dajcie mi czas! proszę, błagam!

— Dosiu droga! rok życia...

— Rok pokuty! a! to mało! to mało jeszcze, ja chcę być siebie pewną i gdy ci podam rękę, wierzyć w siebie, wierzyć w szczęśliwą przyszłość, której wartą się nie czuję... Za cóż mnie Bóg tak nagroził?...

EPILOG.

Skończyć tak, bez tego węzélka na nitce, nie dopowiedziawszy wam końca, niepodobna; choć epilog ten dla wielu domyślających się, że Numa poszła nareszcie za Pompiliusza, wyda się zbyt czynnym, po długiej jednostajnej powieści.

Ale pytanie jeszcze, czy to tylko było zadaniem autora, czy nie inną myśl miał, jeno by dwie istoty związać stulą i związane w świat puścić? Może tu nie tyle chodziło o ożenienie pana Aleksandra, co o nawrócenie pani Aleksandrowej, nie tak o miłość dwojga ludzi, jak o gromadkę i uczucia, które były tłem obrazu? Trzeba więc powoli, cierpliwie dokończyć opowiadania, niestety! — zamilowanym w wypadkach i szukającym tylko dramatu, wydającego się do zbytku pewnie długim i nużącym. Jeszcze chwila, tylko na parę stron cierpliwości, a pożegnam was — na długo, spodziewam się, czytelnicy moi.

A zatém do rzeczy, *ad rem*, jak to dawniej mawiano — *au fait*, jak to dziś powiadają.

Hrabina Dorota w dni kilka po rozmowie, z której krótką zdałiśmy sprawę, pomimo usilnych prób Jamuntów, wyjechała z Borowej, wprost do Włoch i Rzymu, chcąc ten rok, który sobie zastrzegła, przepędzić na pobożnej ustroni, w klasztorze *Trinità del Monte*. Wyjazd jój ciężką był próbą dla pana Aleksandra, który cierpiąc niezmiernie i tracąc nadzieję, z obawą, jaką rozstanie na długo w nim wzbudzało, troskliwie ukrywać się musiał. Nie mogąc przeprowadzać jój, jakby był życzył, za granicę, pojechał za nią do Warszawy i po kilku dniach smutny powrócił do domu, oczekując przyrzeczonych listów, które co tydzień nadchodzić miały, i w nich jedynę szukając pociechy.

Pierwsze z nich, natchnione rozrzewniającą tęsknotą i pamięcią o wszystkich w Borowej mieszkańcach, nadeszły w istocie bardzo

rychło, i z nich łatwo było wybadać stan duszy biednej dobrowolnej wygnanki, którą więcej władza, jaką nad sobą miała, niż wola pędziła tak daleko od miejsc, do których codzień się silniej przywiązywała.

Starzy oboje słuchali czytania tych listów z podróży z zajęciem niezmiernem, oczekiwali ich niecierpliwie i godzili się coraz więcej z tą, którą już za przyszłą uważali synową; pan Aleksander liczył miesiące, dni, godziny, nalegając na powrót i usiłując określić termin przybliżyć... odkraść choć kilka dni szczęścia.

Do jego listów, i chorążyna i stary chorąży nawet dodawali po słówku od siebie, z prośbą, z naleganiem o powrót, z postrachem, że gdy się opóźni, któregoś z nich dwojga może już w Borowej nie zastać. Na wszystko to hrabina odpisywała najczuliej, wyrazami pełnemi wdzięczności, ale nieporuszoną się zdawała w postanowieniu przebycia kilku miesięcy za cichą klauzurą klasztoru, którego krata wkrótce się za nią zamkneła.

Pierwszy list z Rzymu był długi, czulszy jeszcze, ale coś miał w sobie pożegnalnego, i cały przejęty był niewysłowioną tęsknotą. Pan Aleksander przestraszył się nim, a nierychło następny spokojniejszy, weselszy cokolwiek go uspokoić potrafił. W nim donosiła już piękna Dosia, że zamkneła się, otrzymawszy pozwolenie od ojca świętego, w klasztorze Trinità del Monte, i unosiła się nad błogim spokojem, jakiego tu serce jęj kosztowało, wśród nieustannych praktyk religijnych i ciężkiego życia pokuty, jakie dobrowolnie przyjmując reguły zakonne, podzielała z niemi... Opisywała w nim drobnostkowo celę swoją maluczką i skromną, z cudnym na dachy spokojnego Rzymu widokiem, kaplicę, stacye, korytarze, obyczaje i godziny domu, swoje towarzyski, wszystko co ją otaczało, z zamięłowaniem, gorącością, zapalem, który niepokój wzbudził w panu Aleksandrze, tak jęj tam nie nie zdawało się braknąć.

Na list potem następny dłużej niż na inne czekać przyszło, i w duchu jego wielka zaszła zmiana; zimniejszy był, krótszy, a co gorzej, nie obiecywał na przyszłość po sobie częstych doniesień, na które hrabinęj czasu braknąć miało. Zakończony był unięsieniem nad żywotem zakonnym i porównaniem go ze światowym, pełnym niepewności i zmian, sercu nie dających spocząć, ani umysłowi zwrócić się wyłącznie do Boga. Chorąstwo nie śmieli przyznać się panu Aleksandrowi, że listy te wogólności nabawiały ich strachu o hrabinę, która ze zwykłą swą żywością, zdawała się im teraz skłonniejszą do ascetycznego osamotnienia i życia klasztornego, niż do powrotu do cichęj Borowej. Na twarzy pana Aleksandra codzień téż widoczniejszy był przestach, powoli go ogarnia-

jący — przecucie jakieś, którego sobie wytłómaczyć, ani się mu obronić nie umiał. Wyrwał się jechać, ale go dane wstrzymywało słowo, bladł, mizerniał, cierpiał, a za nim i Borowa cała osmutniała...

Chorąży szczególnież od niejakiego czasu codziennie widocznież do grobu pochylać się zaczął. Dotąd nigdy prawie nie chorował, teraz uskarżał się na jakieś zawroty głowy, na duszność w piersiach, i co nigdy nie bywało, musiano stałego lekarza sprowadzić, osadzając go na wszelki wypadek w miasteczku. Staroświeckim obyczajem, ludzie zaraz z tego wnieśli, że dopiero chorować zaczęli wszyscy, kiedy już doktor pod bokiem. Sprawdziło się to poniekąd, gdyż chorąży musiał nawet poprzestać schodzić na dół do salonu, i prawie się nie pokazywał na pokojach, częściej w łózku i hotelu dni spędzając, niż na nogach, na których mu się bez pomocy kija utrzymać było trudno. Osłabł niezmiernie, kaszel się przyczepił jeszcze, a to zniknięcie z pośrodku towarzystwa postaci milczącej, ale tak potrzebnej do wypełnienia całości obrazu, pokryło Borowę jakimś niepokojem i uczyniło ją niewymownie smutną.

Pocichu o zdrowie jego wywiadywali się wszyscy, wzdychali, narzekali i winę całą zrzucali na nieszczęśliwego lekarza; Hończarewski coraz nowe ziółka przynosił niechybnie mające uzdrowić, Pulikowski sprowadził baby znachorki, każdy chciał czémś posłużyć, ale nic nie pomagało. Nad strapioną gromadką wisiała groźba śmierci, której bliskość widzieli już wszyscy, a nikt jeszcze przypuścić jej nie chciał, tak straszną po sobie próżnię zostawić miała. Chorąży z rezygnacją chrześcijańską spędzała dnie i noce u łóżka męża, który dziękując jej wzrokiem, już prawie mówić przestał i rzadko się z jakim odzywał słowem. Codziennie widniejsze były postępy choroby, lekarz zażądał narady; wezwano z Wilna najślawniejszego naówczas Poreyankę, ale ten nadjechał, opatrzył, pochwalił recepty, potrząsł głową i oddalił się nie tając, że siły były wyczerpane, a nadziei żadnej.

Wreszcie chorąży zażądał spowiedzi i ostatnich sakramentów na drogę wieczności; obrzęd ten odbył się uroczyście wobec całego dworu, ze łzami przytomnych, których starzec żegnał, przeproszał i błogosławił. Tydzień jeszcze potem żył milczący, ledwie dając znaki czucia, i zgasł wreszcie powoli tracąc władzę, a naostatek i iskrę maluczką żywota.

Ten wypadek, choć przewidywany od dawna i przygotowany chorobą powolną i długą, wielkie na wszystkich uczynił wrażenie, bo starzec, mimo swego odludztwa i milczenia, wszystkich silnie do siebie umiał przywiązać.

Niepodobna odmalować boleści chorążynęj, która w tej chwili próby nie puszczała z rąk krzyża, potrzebując mieć przytomną mękę Zbawiciela, aby swojemu cierpieniu podołać i mężnym sercem je dźwignąć — ani opisać boleści syna, którego od martwych zwłok ojca siłą odciągnąć musiano — wszyscy ci, co żyli ze starcem od lat tyłu, płakali po nim jak dzieci, słudzy rozpaczali po swym dobroczynnym panu.

W ostatnich dniach, ganek, dziedziniec, pokoje, dzień i noc pełne były ludzi zdaleka przybiegających, którzy podawali sobie słowa pociechy i strapienia płacząc pocichu... A tłumy te, szanując pokój chorego, w takim milczeniu stapały, przechodziły, szeptały, że się w nocy domyślić ich było trudno. Dopiero gdy wieść skonu zesłała ku nim, ryk i płacz rozległy się chórem ogromnym w dziedzińcu, miasteczko całe pełne było w chwili lamentu i wrzawy. Wszyscy chodzili nieprzytomni, a gdy przyszło kłaść ciało do trumny w wielkiej sali na dole, nie było jednego człowieka, coby się nie cisnął, raz jeszcze ucałować martwą dłoń ojca.

Widoku tego, podwajającego żale ich, ani chorążyna, ani pan Aleksander znieśćby nie mogli, tak uroczysty, przejmujący był i bolesny.

Trumnę na cmentarz na ramionach nieśli przyjaciele, sąsiedzi, słudzy, wrywając ją niemal sobie, mieniając się, aby mieć tę pociechę, że ostatnią spełnili posługę, a ksiądz Ginwił u grobu stanawszy, gdy mu przemówić przyszło, w drżącej ręce długo trzymał kartę i słowa wymówić nie mogąc, rozszlochał się głosem wielkim. Ten płacz, któremu zawtórowało ze dwa tysiące ludu przepelniającego cmentarz, był wymowną i najwymowniejszą egzortą po chorążym.

Po śmierci jego osierociała i żalobą okryła się Borowa, kirem pokryto wszystko, chorążyna długo dla łez swych pokazywać się nie mogła; wreszcie czując obowiązek pocieszenia syna i swojej gromadki, która żyć bez niej nie mogła i błakała się rozpierzchła, przemogła żal głęboki, ukazując się znowu na zwykłym miejscu swoim.

I każdy powrócił garnąc się do niej jak do szczytka przeszłości — zdało się im, że znowu powrócą dawne czasy; chwilami ludzić się było można, jakby starzec pocichu miał jeszcze znijsć krokiem wieczornym i powitać ich milczącym uśmiechem; ale wieczorami, gdy znajomego jego chodu nie słychać było w pustej sali, a twarz blada nie pokazywała się w ciemnościach, milkli wszyscy, lzy ocierając wyciśnione świeżą stratą.

Przez jedną szczerbę w tej budowie wsunęła się niewyciężona żalność, nieprzemierzony smutek i sieroctwo. Małuczko miejsca zaj-

mował chorąży, a jednak ogromnie go brakło wszystkim, i co chwila dawała się czuć śmierć jego.

Jakby na powiększenie boleści w panu Aleksandrze, listy hrabiniej coraz stawały się rzadsze i chłodniejsze; chorążyc po śmierci ojca zaklął ją, żeby co najrychlej przez litość nad niemi wracała, ale prośby jego nie pomogły; na pismo to długo nie miał odpowiedzi, potem nadeszła pełna łez, współczucia i religijnych pociech, jednak bez oczekiwanej obietnicy prędszego powrotu, unikająca wszelkiego o tém wspomnienia.

I znowu po liście długie było milczenie.

Jakkolwiek cierpiał z tego powodu pan Aleksander i wyrzucał gorąco hrabinie nielitościwe z sobą obejście, chorążyc przed matką udawał pełnego nadziei, nie chcąc jej strapieniem swém zatruwać chwil nieco spokojniejszych. Serce jego jednak przeczuwało jakiś straszliwy wypadek, traciło codzienną nadzieję i wracało do dawnej obojętności; nie miał siły się niezem pocieszyć. Po dwóch czy trzech jeszcze listach, znowu nastąpiła przerwa, a że obiecany czas powrotu się zbliżał, chorążyna łudziła się nadzieją, że wkrótce Dorotę zobaczy.

Zdawało się to prawdopodobniejszém, bo wiadomości żadnej ani w Borowej ani w domu jej własnym nie odbierano, i co chwila wyglądano przyjazdu, przygotowując się do niego. Jeden pan Aleksander jakoś w szczęście wiary nie miał.

Dzień za dniem upływał tak w niepewności, gdy do pana Doroszeńki nadbiegł jednego wieczora cały wylekły i drżący, rządcą majątku hrabiniej z oznajmieniem, że z Rzymu urzędową otrzymał wiadomość o śmierci pani Bulskiej, która w klasztorze Trinità del Monte, po krótkiej chorobie, wdziawszy na łożu śmierci suknię zakonną, życie skończyła.

Nikt nie śmiał nowym tym ciosem zakrwawiać serea panu Aleksandrowi, który jak cień chodził, zdając się walczyć z sobą, aby w piersi utrzymać szybko z niej uciekające życie. Doroszeńko zaklął wszystkich i zagroził, żeby nikt nie śmiał z wiadomością się odzywać, i byłaby nie wiem jak długo zachowała się tajemnica, a niepokój ze słabą nadzieją przeciągnął jeszcze może, gdyby drogą urzędową nie nadeszło testamentu hrabiniej, która całe prawie mienie swoje, z wyjątkiem kilku legatów i darów przyjaciółom, przekazywała panu Aleksandrowi Jamuntowi, zaklinając go, aby szukał żony i żenił się koniecznie.

Przygotowany przeczcuciem do jakiegoś nowego ciosu niespodziewanego a niepowetowanego, choć myśl śmierci nie przeszła mu przez serce, bo się raczej obawiał, żeby pani Bulska nie chciała od świata krata się na wieki oddzielić — w pierwszej chwili chorążyc

oszała prawie i stracił przytomność, ale starania matki, troskliwość przyjaciół, czuwanie lekarzy, modlitwy tych, których był podporą i opatrnością, sprawiły może, że się dźwignął z łoża boleści tak nagle, jak upadł na nie. Zmienił się tylko do reszty, postarzał w oczach, i stał się wizerunkiem żywym zmarłego ojca, do którego mieszkania przeniósł się po chorobie, zagrzebując się jak on w samotności i milczeniu, i na tęsknicę wiekiustą nie chcąc już szukać lekarstwa.

Chorażyna, której serce tyle dojmujących ciosów przeniosło, dziwnym fenomenem po każdym z nich zdawała się powstawać silniejszą, spokojniejszą, świętszą rzec można. Po roku żałoby, wzięła terycarską suknię zakonu św. Franciszka, i z twarzą, jak za lepszych czasów, uśmiechnioną i spokojną, oddała się cała synowi, poświęciła przyjaciołom, kryjąc boleść własną, aby nią nie wywoływać pociechy i nie osmucać otaczających.

Ale Borowa już nie była tém czém dawniej, powoli rok każdy odbierał jój kogoś i uszczuplał wianuszek o jeden kwiatek, suchsze liście zostawując na łądzy; pałac czerniał, opadał i niszczał, pustką stała większa część jego, dworki poczynały się walić, ogród zarastać a mogiły na ementarzu zielenieć.

Testamentem swym hrabina Bulska uposażywszy kościoły i szpitale, obdarowawszy sługi i przyjaciół, zostawiła Sadogórę Leonowi, a resztę znacznych majątności Jamuntom; ale ci się ich zrzekli na rzecz rodziny, która jak najchętniej przyjmując ofiarę, rozerwała ją z nadto niestety znaną chciwością, którą codzień widzimy na świecie, tam nawet, gdzie najmniej spodziewały się jój można. Powstały procesy, poważnili się krewni, poróżnili przyjaciele i nierychło tamę zgorszeniu położył wyrok ostateczny.

Leon niezależny, oddał się całkiem sztuce i choć późno, rozpoczął nanowo prawie swe wykształcenie artystyczne pielgrzymką do Włoch, do Rzymu, gdzie naprzód ukląkł się pomodlić nad grobem kobiety, co tak znaczny udział miała w jego życiu. Włochy dokonały dzieła poczętego w Borowej, Leon wykształcił się na religijnego malarza, nietylko widokiem wzorów, ale rozbudzoną odwagą i uskrzydlonym duchem, wracając do kraju takim artystą, jakich dotąd mamy bardzo nie wielu, głęboko pojmującym wielkość swego zadania, godność sztuki i wszystkie warunki, pod jakimi myśl żywa z duszy malarza, przez zimny płótna kawałek przemawia do świata. Silnie przejęty widokiem arcydzieł, Leon nie stał się przecie sługą żadnego z nich wyłącznie, ani naśladowcą Overbecka, którego wielbił, ani uczniem archaicznej szkoły; pozostał sobą samym i dziećciem kraju, którego wiara gorąca inaczej wyraża się w sztuce, bo inną jest w życiu, niż toż samo uczucie wzrosłe i wykołysane pod

niebem inném, na innéj ziemi. Powróciwszy, osiedlił się w początkach w małym domku w Sadogórze, który dlań był pamiątką, ale tęsknota wkrótce go stąd pociągnęła do Borowój, w której odrodził się nanowo, jéj winien będąc, że potrafił duchem podnieść się z upadku i odzyskać siły, o których wątpił. Leon, jak każdy gość w tém szczupłym kółku, przyjęty był z radością serdeczną; staruszka chorążyna, pan Aleksander, który ani z sukni, ani z serca nie zrzucił żałoby, powitali go z wdzięcznością, ze łzami — a gdy im powiedział, że chce z nimi pozostać, uściskiem dłoni dali mu poznać, że cenili ofiarę, którą dla nich czynił. I Leon stał się odtąd drugim domu dziecięciem, synem prawie dla chorążynéj, dla której się ochotnie poświęcił, większą część dnia przesiadując przy staruszce, to jéj czytając, to zabawiając opowiadaniem, to rozerwać i ożywić starając się wspomnieniami lat przeszłych. Nie zrażał się wcale tém, że mu się czasem, przy najlepszych chęciach, niebardzo udawało, bo staruszka słuchała go uśmiechając się na pozór bardzo uważnie, ale z jéj pytań wnosić było można, że nieraz pogrążona w sobie, nie wiedziała, o czém mówił. Naówczas Leon odchodził na palcach pocichu i wracał po chwili, czatując kiedy się jéj wejrzenie rozjaśni i usta uśmiechem rozpromienia.

Na wieczory zbierali się, on, kanonik, Doroszeńko, wszyscy żywi jeszcze, jak dawniej do salonu, dokoła krągłego stołu; czytano, rozmawiano, uśmiechano się czasem jeszcze, ale każdy przychodził tęskny i smutny odchodził, i dziewiąta godzina rozpraszała dwór staruszki. Z niepokojem i nadzieją, poglądali przyjaciele w twarz pana Aleksandra wyglądając na niej promyka światła i wesela, oczekując od czasu, co czas chyba mógł dokonać, ale chorążyc nie ożył już dla nich. Zwiędło to oblicze pocziwe, i w rok siwizna już przyprószyła głowę jeszcze młodą, a już zbolaną i na piersi zwieszoną. Codzién bardziej się stawał podobnym do ojca, milczeniem, osamotnieniem, którego potrzebował, sercem, które biło w nim tylko dla drugich, troskliwością o los otaczających go przyjaciół, dla których miał nawet uśmiech i wesele, jeśli ich potrzebowali.

Jednym z częstych gości w Borowój, był Jan Bronicz, o którym nieco zapomnieliśmy, chociaż i on we wszystkich wypadkach dotyczących Jamuntów miał udział serdeczny i czynnie się krzątał posługując dobroczyńcom swoim. Umierając chorąży nie zapomniał o nim, wskazał synowi, aby Broniczom oddać Kryłów dziedzictwem, co wkrótce po śmierci jego nastąpiło, i kawalek ten ziemi przelano im na dziedzictwo. Jan musiał przyjąć ofiarę uczynioną tak serdecznie, że odrzucenie jéj przez dumę byłoby obrazą i grzechem; wkrótce później sprzedał część ojcowską, Czelałkowszczyznę, całkowicie się już przeniósłszy do Kryłowa, który swoim mógł nazwać, i począł urzą-

dząć jak w domu. Stary Bundrys też oddał mu dzierżawę Romaszówki i Horkowicz, przez pośrednictwo pani Osmólskiej ośmielając go powoli, oswajając z myślą starania i ożenienia z Kostusią, do której go zbliżał, niecierpliwiąc się i zżymając, że Jan wcale z tego korzystać się nie śpieszył.

Czekał i czekał pan sędzia, wywołując oświadczenie, nareszcie niespokojny, dokonał dzieła po swojemu, to jest rubasznie i żywo rozcinając ten węzeł gordyjski.

Trwało staranie się o Jana, inaczej bowiem nazwać to trudno, rok z górą, a Bronicz choć się zapamiętałe kochał, oświadczać nie miał ani myśli, ani odwagi, ni pannie, ni ojcu.

Sędzia, który udawał jakby nic dotąd nie widział, czekał, zagadywał, naprowadzał, w ostatku znudziło go to, i gdy raz Bronicz wieczorem nadjechał, wziął go do swojego pokoju, a tu marsa nastrojwszy, nagle zapytał groźnie:

— No! cóż to sobie waśś myślisz! jak się zowie? Córkę mi bałamucisz, jeźdźsz, wzdychasz, cały już świat gada o tém, a ty, jakbyś był Bogu ducha winien, ani w głowie ci, żeby się oświadczyć... Taż to już pora przecie? Tak nie może być...

— Ale ja... — zawołał wylękniony Jan — ja... nie miałem téj myśli!

— Ale ja, jak się zowie — przerwał Bundrys podrzeźniając go — ale ja mam oczy; co to ja nie widzę? cierpię i cierpliwości zabrakło, waćpan jój nie durz, żeń się zaraz i kwita...

— Na Boga się panu sędziemu zaklinam, że myśli téj nie miałem nigdy!

— A po cóżeś mi córkę bałamucił! ot co?

— Ja? panie sędzio!

— Jeszcze mi się wypiera! patrzajcie! Włazłeś kochanie w matnię, siadź-że w niej, chodź do Kostusi, tu niema rady.

Sędzia mówiąc to żywo, ogniście, minę miał prawie gniewną, Jan przelękniony był i drżący — dał się pociągnąć Bundrynowi, jak na sprawę porywającemu go z sobą do pokoju, w którym Kostusia siedziała przy robocie u krosienek. Przeczuło widać biedne dziewczę coś nadzwyczajnego, widząc, że ojciec prowadzi Jana do niej, ciągnąc go za rękę, i cała się zapłonila z niepokoju.

— Oto tak! — zawołał sędzia — mościa panno, chcesz tego jegomości za męża, czy nie?

Jan stał złożywszy ręce, nie wiedząc co począć z sobą, Kostusia cofnęła się zmieszana, spoglądając to na niego, to na ojca.

— On czy nie śmie, czy nie umie, więc ja w jego imieniu ci się oświadczam — dodał stary — no! Kostko! śmiało odpowiadaj nam, chcesz czy nie?

— Panie sędzio! — przerwał Jan błagająco.

Kostusia nie wiedziała co począć, Bundrys powoli ujął ją za rękę i połączywszy dłonie:

— A teraz, błogosławie i kwita, jak się zowie — zawołał ustępując się ze śmiechem i łzami razem.

Bronicz upamiętał się i pokłękł przed zarumienioną dziewczką, która rękę w jego zatrzymała dloni, zakrywając oczy; — a Bundrys wielki krzyż zakreślając nad ich głowami, pocałował w czoło córkę i Jana.

— Bóg niech będzie z wami!... — rzekł głośno — Osmólsiu... dobrodziejko! a chodź-że no i ty z krzyżykiem!

Tak niespodzianie zawarło się to małżeństwo, które w parę miesięcy potem ksiądz Ginwiłł pobłogosławił uroczyscie. Domyślił się łatwo, że stary szlachcic nie odstąpił od szumnego wesela, wydając córkę jedynaczkę; że sprosił, co żyło sąsiadów, poił, ścisnął, płakał, a nazajutrz po ślubie, zrzucił z siebie ciężar gospodarstw, oddając Janowi z Kostusią Romaszówkę i Horkowicze, wymówiwszy tylko sobie polowanie w lasach i kątek w domu, z któregooby na ich szczęście mógł patrzeć...

Oprócz tego wesela, cichszych kilka jedno po drugiem odbyło się w Borowój. Porucznik Doroszeńko poprzysiągł wiarę pannie Jamuntównie, która z pałacu do dworku z radością się przeniosła. Leon ożenił się w parę lat później z cichą i skromną Krzysią, a nareszcie kapitan Zbrzeski, mimo szpakowacizny, potrafiwszy zyskać serce panny Anny Broniczówniej, oświadczył się o jej rękę. Wszystkie te małżeństwa skojarzyły się i obchodziły w Borowój, a za każdym z nich chorążyna wdychając spoglądała na syna, czy też i on o sobie nie pomyśli, ale pan Aleksander nie mógł już wymóżyć na sobie nowego przywiązania i nowych nadziei. — Ksiądz Ginwiłł, każdej z tych par, które łączył, od ołtarza kilka słów serdecznych powiedział — choć postarzały i smutny, wiódł on dalej toż samo życie, wśród swoich ptaków, psów, sierot, żebractwa, między dworkiem a kościołem, i chrzczył później dzieci przyjaciół, wdychając tylko, że Bóg pocziwym Jamuntom nie dał dziedzi-ców ich cnoty i serca.

A gdy który z towarzyszków, bolejąc razem z nim nad przy-szłością, łzę obcierał cichą, dumając o Borowój i ostatnim z rodu Jamuntów, proboszcz mu szeptał cicho, wdychając, owo prorocstwo Jeremiaszowe:

„To mówi Pan: Niech się nie chlubi mądry w mądrości swój, a niech się nie chlubi mężny w męstwie swém, i niech się nie chlubi bogaty w bogactwie swoim.

„Ale się niech w tém chlubi, który się chlubi, że umie i zna mnie, że ja-m jest Pan, który czynię miłosierdzie i sąd i sprawiedliwość na ziemi“...

1856.

(Jerem. R. X. 23.)

K O N I E C.

SZALONA.

ANONAN

CZEŚĆ PIERWSZA.

Było to w samą wigilię Bożego Narodzenia roku 18... Śnieg sypał, jak to on czasem umie z zasępionego płowo nieba, powoli, spokojnie i polatując w powietrzu, gęsty, mięciuchny jak puszek, i układał się na ziemi, na gałęziach drzew, na krzewach i zeschniętych roślin łądogach, coraz wyraźniej zarysowując ich kształty na ciemnym jednostajnym obłoku, rozciągającym się nad całym widnokregiem.

Cisza była w powietrzu prawdziwie zimowa, której żaden znak życia nie przerywał, nawet wrony, które opieszale się przesuwały ponad wierzchołkami drzew, leciały nieme i smutne.

Godzina była zaledwie druga po południu, a już zdawało się, że zmierzch nadchodził, tak gęsta zasłona mroków wisiała nad zachodem.

Dwór w Zamiłowie, na Wołyniu w okolicy Cudnowa i Lubaru położony, nad skalistym brzegiem rzeki, wydawał się ze swym sadem i drzewami otaczającymi, z budowlami do niego należącymi, jakby zimowa kartka z albumu wydarta... Stare tło niebios doskonale uwydatniało wszystkie pobielone szczegóły krajobrazu, jasno wychodzącego na niém, które tylko spadający śnieg jakby z na pół przezroczystej ukazywał zasłony.

Dwór stary z dachem wysokim, przy którym się ów niskim wydawał, ogromne topole i lipy, długie pokrycia szop, stodół i obór, nawet ogrodzenia i krzewy przy nich malował śnieg przylegając, czepiając się gałązek i ciężarem swym uginając je ku ziemi.

Z kominów dworu i kuchni podnosiły się do góry kłęby sinego dymu, którego barwa doskonale się zlewała z kolorytem niebios i całego krajobrazu.

W podwórzu, na gościńcu, w dali na drodze wiodącej do wsi, nawet około gospody w środku jęj stojącej, nigdzie widocznego życia

nie było śladu; dym z kominów świadczył tylko, że się ludzie do chat pochowali i nie wymarli.

Od dwudziestu czterech godzin, prawie bez ustanku sypał ten śnieg spokojny, a zalepione niebo nic a nic się nie rozjaśniło, prorokowano większą jeszcze śnieżnicę, która szczęściem bez wiatru, równo spadała na ziemię, wróżąc doskonałą i trwałą sannę, bo ją poprzedziły mrozy, które grunt nawet błotnisty i oparzeliste moczary stężyły. Myśliwi cieszyli się zawczasu doskonałą ponową.

W wielkiej izbie dworu Zamiłowskiego, zmierzch się już zawczasu czuć dawał. Była ona obszerna, choć trochę niska i ze staroświecka niewytwornie przybrana w sprzęt wygodny. Wejrzawszy na nią, domyślcć się po niej było można ludzi spokojnego żywota, którym u siebie dobrze było, tak że tu nic zmienić nie potrzebowali i nie chcieli. Stół, krzesła, kanapy co najmniej wiek już jeden na bożym świecie przebyły, ale poszanowane trzymały się krzepko, i fizyognomia ich nie razila tak, jakby nowych a nieszykownych przybyszów. Na ścianach bez wielkiego rozmysłu tu i owdzie porozwieszane obrazy, niżej i wyżej, jak przyszła niegdys fantazyja, miały już swe miejsce oznaczone pajęczynami i pyłem, które choć służba kiedy niekiedy obmialała, wracały na dawne legowiska. Tak samo i wszystko co tu było zdawało się z wieków przyrosłe do miejsca i nieruchomo zadumane.

Obrazów parę wystawiało Chrystusa i Matkę Boską, inne bardzo staremi wizerunkami ludzi dawnego kroju i stroju, nic a nic do dzisiejszych niepodobnych, tak już zezerniałemi, że z niektórych tylko części twarzy przeglądaly, a płótna powydymane, popękane miejscami, popielatą warstwą pyłu przysłonięte, ledwie się w ramach trzymały.

Nie tykał ich nikt przez poszanowanie od czasu, jak raz próba oczyszczenia, przedsięwzięta z pomocą cehuli, jednemu z pradziadków zaszkoziła.

Po kątach dużej gościnnej izby było komódek z bronzami, stoliczek, różnych gracików dużo, a na każdym z nich pomniejszych szkatuleczek, zegarków, skrzyneczek, koszyków, porcelany pełno; bo w obyczaju widać miejscowym być musiało co raz gdzie postawiono, zachowywać do zniszczenia. Niektóre z tych zabytków dosyć były postarzałe, inne pootlukane, inne zdawały się niekoniecznie potrzebne i wcale nieprzyozdabiające, ale miały za stare zasługi prawo przytułku i chleb, a raczej pył łaskawy.

Jednostajne życie tego poczciwego dworu starego piętnowało się nawet na wygiętej, czystej, choć starej podłodze jego, na której rozegnać było można zwykle, w różnych kierunkach wydeptane ścieżki, nieco więcej wgłębione. Trzy okna przysłonięte firankami wycho-

dzily stąd na podwórze, jedno w głąb' i ku ogrodowi. Wszystkie opatrzone były na zimę, jak należy, podwójnemi szklami, mchem i piaskiem w pośrodku.

Po salce tój przechadzał się z rękami w kieszeniach, z głową nieco do góry podniesioną, pięknego, wesołego dosyć oblicza mężczyzna niemłody, siwy, wąsaty, ubrany ze staroświecka, w butach do kolan i kapocie szarej z cienkiego sukna. Głowa to była jakby z jednego z tych starych portretów wyjęta, nie naszych czasów, lat dawnych, innego autoramentu.

Każdy wiek tworzy sobie fizyognomie właściwe. Niegdyś, mimo walk, niepokoju i twardych prób losu, wielki spokój ducha i męstwo piętnowały się majestatyczną na licu pogodą. Z tych wąsatych rycerskich twarzy starych wizerunków, których żywoty były jednym bojem i nieustannem męczeństwem, patrzy spokoj taki, jakby się im śmiała szczęśliwość od urodzenia do zgonu. Nie widać w nich co cierpieli, bo znosić to umieli jako prawi wojownicy Chrystusowi i prawe dzieci ofiarniej ziemi.

Krzyże Pańskie błogosławiono; ramiona się nie uginały pod nimi; siła była wielka, płynąca z głębi. Na dzisiejszych twarzach wypieszczonych dzieci wieku widać konwulsje jego, chorobę, słabość, niecierpliwość. Twarze są potargane, niespokojne, wystraszone, gniewne, wyzywające, nieszczyśliwe. Widać z nich, że im mało tego co daje życie... żeby im nigdy dosyć nie było...

Stary pan, chębraży niegdyś latyczowski (bo w tamtych stronach mieszkał za młodu), Eliasza Dorohub, należał widocznie do ludzi przeszłości, a i z terażniejszością się godził. Sześciu dziesiątków lat na nim wcale znać nie było; trzymał się prosto, wyglądał zdrowo, czoło miał pogodne i niezmarszczone, a choć chorąstwo nosił tytularne, powiatowe i w wojsku podobno nie służył, coś w nim jakby żołnierskiego było.

Obok przeze drzwi jejmość ze swym dworem stół do wigilii przygotowywała, uścielano siano, ustawiano snop w kącie, ludzie się krzatali i chodzili, a chorąży sam pozostawszy, dumiał niekiedy pochylając się w oknie i spoglądając na gościniec oznaczony kołkami i drzewkami, na którym nic widać nie było. Spodziewał się nim pewnie gościa na wigilią, a choć do pierwszej gwiazdy było daleko, zdał się już niespokojnym trochę; zdradzał się coraz częstszym wyglądaniem przez okna, w których z za gęstego śniegu ledwie na kilka staj widać było coraz mniej wyraźnie drzewek wysmukłych pniałki.

W domu około trzeciej już dobrze zmierzchało...

Z drugiego pokoju w białym czepku jeszcze rannym i ubraniu domowem, w fartuchu do góry podgarniętym, z kluczami u boku, wysuwała się pani chorążyńska, zarumieniona ze zmęczenia, z oczyma bly-

szczącemi i twarzą tak jasną jak męzowska. Jejmość młodszą była znacznie od męża, dosyć jeszcze świeżą, niewielkiego wzrostu, okrągłuchną, a wesołe usposobienie śmiało się jęć na ustach i oczach. Niegdyś musiała to być blondynka, bo miała jeszcze duże oczy niebieskie, i włosy posiwiałe, gdzieniegdzie płowy odcień ozlacał. Wchodząc powoli jedną ręką w bok się trzymała, jak gospościa rada z siebie i spokojna o to, że uroczysta ucztą wieczorna wstyd jęć nie uczyni.

Spojrzała na męża, który się ku nięć obrócił.

— Cóż jegomości tak sumujesz chodząc — odezwała się głosem śpiwnym i miłym — w okienko spoglądasz...

Choraży zbliżył się i w czoło ją pocałował.

— Czyż to dziw Elżusi? albo to jejmości serce nie bije do tego samego co mnie?

Rozśmiała się jejmość i pokazała piękne jeszcze zęby białe, które ją młodszą czyniły na oko, niż była.

— Tylko się niepokoić nie trzeba, nie trzeba niecierpliwieć — rzekła. — Ewaryst będzie w sam czas.

— Ale bo i księdza niema dotąd... — odezwał się choraży.

— Śnieg miecie okrutny, choć spokojny — dodała chorażyna, spoglądając ku oknu. — Gdzie drogi wysadzane, tam łatwo sobie radę dać, ale na równinach, w stepie!

Pokręciła głową.

— Sanna się już usłała doskonala — mówił choraży — koniom niema co ciągnąć, bo grudy wielkiej nawet nie było.

— A no do wieczora jeszcze daleko — przerwała jejmość — przyjadą w porę. Choćby się tóż i poczekało z opłatkiem!

Choraży się uśmiechnął i pociągnął ku oknu, a jejmość weszła żywo do jadalni, gdzie właśnie przy dozorze młodego ładnego dziewczęcia, wielki obrus, tylko na podobne uroczystości dobywany, starannie służący z panną rozciągałi na sianie. Panienska tak samo jak chorażyna, po domowemu jeszcze była ubrana skromnie, ale jęć i z tēm dosyć było do twarzy. Nazwaliśmy ją ładną, inaczej bowiem wdzięku jęć młodocianego, świeżego, określić trudno. Piękną się nazwać nie mogła, brzydką nie była, a miała w sobie to, co sympatycznie usposabia i pociąga, coś dobrego i miłego w twarzyczce okrągłej, rumianej, parą żywych oczek rozpromienionej, uśmiechniętymi usteczkami rozweselonej, roztropnej i łagodnością serdeczną tehnacęj. Figurka jęć przystawała do twarzy i godziła się z nią (bo nie zawsze natura wszystkie części swojego dzieła dobiera harmonijnie), była tak zręczna, giętka, ładniuchna jak panny Madzi świeży buziaczek, jeszcze dziecinnego wyrazu, a mimo niego poważny i już myślący.

Ustąpiła z zajętego miejsca dla chorążynéj, aby jéj pokazać, jak obrus leżał; spojrzały na siebie zaspokojone. Zwieszało się go tyle, ile było potrzeba, siana nie nakładł Pius zawiele, a tam gdzie się garby okazywały, panna Salomea naciskała je i wygładzała ręką. Pius z pod spodu wyciągał. Wszyscy przy tej czynności mieli oblicza tak zamysłone głęboko, tak przejęte tém, co spełniali, jakby zadanie usłania stołu było niezmiernéj wagi. Panna Salomea, niemłoda już ale czerstwa i zdrowa sługa jejmości, brała tu prym przed Piusem milczącym i akomodującym się jéj wejrzeniem i cichym rozkazom. Pius był także nie dzisiejszym sługą, a jeżeli nie rówieśnikiem chorążego, to o lat niewiele od niego młodszym, równie jak on czerstwym, a z powodu stanu kawalerskiego, jeszcze nawet okazującym pewne do resztki młodości pretensye.

— Już jegomość o Ewarysta się turbuje — cicho szepnęła chorążyna do paniénki — chociaż niéma czego, bo ja pewna, że przybędzie w porę. To tylko niedobrze, że Ewaryst do ostatniéj godziny podróz odłożył...

— A bo tam w Kijowie nie rozpuszczają wcześniéj, a drogi kawał, i kto wie jaka tam droga? — prędko odezwała się Madzia.

Obie jakoby się zmówiły, spojrzały na zegar stojący w jadalni; odwieczny szafiasty stróż porządku na cyferblacie ściemniałym z białego jakiegoś kruszcu wskazywał, że było już po trzeciej.

— Wigilia, gdyby jak — dodała Madzia — nie gotowaby była przed piątą.

Zaczęło się zastawianie stołu.

Wśród ciszy panującej we dworze, leciuchny szmer sanek przesuwających się po śniegu doleciał do uszu chorążynéj, która wyjrzała. Mąż jéj stał w oknie przypatrując się, ale że zaraz nie wyszedł na spotkanie do sieni, już to zdawało się zapowiadać, iż nie Ewaryst spodziewany przybywał. I nim ku drzwiom pośpieszył gospodarz, wszedł donośnym głosem wesółym witając słuszny mężczyzna w sukni długiej czarnej, oznaczającej duchownego.

— Niech będzie pochwalony!

Zaledwie chorąży odpowiedział, gdy ksiądz Zatoka dodał już z pobożną intonacją:

— Pokój temu domowi!

— I temu, kto mówi.

Głosy się krzyżowały wesole.

— A pana Ewarysta niéma? — zapytał duchowny, ściskając się z gospodarzem.

— Dotąd niéma!

Ksiądz Zatoka był w sile wieku mężczyzna, zdrowy, ospowatej, wesołej twarzy, której wyraz tak samo jak chorążego malował wielki pokój duszy, z małą przymieszką jakiegoś niby szyderstwa z marności tego świata.

— Ależ spie! — odezwał się ksiądz — jeszcze kilka godzin a kopno będzie.

— Ja myślę, że to i Ewarysta opóźniło, bo w stepie, na polach, miejscami już śnieg grubo leżeć musi, a miękki jak puch.

— Pada jak z rękawa, bez najmniejszego wiatru — odezwał się gość — sanna będzie doskonała, byle się trochę utarła, i powinszować panom, bo wywózka zboża pójdzie łatwo...

— Jeżeli sanna potrzyma — rzekł chorąży — ja już niejeden taki rok pamiętam, że się na Gody (Boże Narodzenie) ślało, jakby miało trwać wieki, a koło Nowego Roku deszcz poszedł.

— A! mało co nie bywało! — zaśmiał się ksiądz — ale Pan Bóg łaskaw, źle nie pójdzie...

Pius wyprostowany, w nowym surducie, wniósł światło, bo już w pokoju dobrze ciemniało, gdy sanie pod ganek zaszły... i w domu wszystko drgnęło...

Był to ów tak tęsknie spodziewany pan Ewaryst, który w chwili małą już wpadł żywym krokiem do pokoju i schylił się ojeu do kolan, gdy ten go za szyję chwyciwszy, do piersi swych ciągnął.

Chłop był jak wołyńska pszenica, niby kłos bujny na silnej łodydze, mężczyzna w całym znaczeniu wyrazu, silny, zdrowy, piękny, z wyrazem czystej, pewnej siebie młodości na licu poczciwym, rozjaśnionem w tej chwili radością niezmierną, jaką wlewa widzenie najdroższych swych i kąta najmilszego, rodzinnego, gniazdo, w którym się zrosło, z którego się uleciało.

Ewaryst podobny był do ojca, ale coś z matki miał w uśmiechu i spojrzeniu, jakby się w nim zwały dwie dusze rodzicielskie w jedną. Miło nań spojrzeć było, i ojciec też nie posiadał się z radości i matka płakała, wybiegłszy do niego, i ksiądz Zatoka z poboznym weselem, ze złożonemi rękoma patrzył na ten obraz szczęśliwości najczystszej, najpiękniejszej na ziemi, żadną nieskalanej myślał ni namiętnością czarną.

Słowa z ust wylatywały; rwały się, płatały nie była to rozmowa, był gwar jakiś ucieszny, weselny, jakby usta w tej chwili strzymać nie mogły milczenia; wyrazy przerywały uśmiechy, nie słuchano pytań ni odpowiedzi, cieszą się sobą...

Starym chorąstwu łzy z oczów płynęły; ocierali je ukradkiem...

Potrzeba było dość długiej chwili na to, aby się uspokoiły te serca. Chorążyna wybiegła kończyć ubranie i myśleć o wigilii,

Ewaryst siadł z jednej strony przy ojcu, a ksiądz Zatoka z drugiej, ale stary patrzył tylko na syna.

Wśród tej sceny noc się zrobiła zupełna, a choć coś na niebie księżycą było i śnieg świecił trochę, światła już mało dalej oczy dojrzały.

Godzina wieczery się zbliżała, i domownicy ściągając zaczęli, a Ewaryst szedł serdecznie ich witać. Pierwszym z nich był stryjeczny brat chorążego, zubożały pan Paweł, weale do niego nie podobny, zgięty w pół, schorzały, stary z odwróconemi u oczów czerwonymi powiekami, które ciągle ocierał. Ten, że nie mógł mówić głośno, bo i na zadyszkę cierpiał, cicho ściskając Warysya, błogosławił. Za nim wciągnął stary ekonom Otrobowicz, wierny sługa domu, krzyżący głośno, a zachrypły i potrzebujący odkasliwać ciągle, drab zamaszysty, wąsaty, śmiały, ale wobec chorążego pokorny i uniżony aż do zbytku.

Od jadalnego pokoju wysunęła się naprzód pani Zbińska, zwana tu pospolicie sędziwą, daleka krewna samej pani, podstarzała kobiecina z różańcem na rękę i wystrojona już jak na wigilią z głową nastrzępioną wstążkami, mówiąca głosikiem miodowym i śmiejącą się ciągle. Siedziała ona tu na łasce u krewnych, bo wszystko straciła wielką naiwnością i nieopatrznością swoją, i tu jej teraz nawet strzedz musiano, aby pierwszy z brzegu furfant, korzystając z łatwości, ostatku nie zabrał...

Na ostatek żwawo wybiegła panna Madzia, także sierotka na opiece tego domu zostająca i jak brata wesolo, serdecznie przywitała pana Ewarysta, rozpoczynając z nim zaraz rozmowę o podróży, w którą się i inni, prócz pana Pawła, miesza. Ten tylko z trudem głowę podnosząc, krwawemi oczyma przypatrywał się chłopcu i usta mu drgały, ale mówić się nie zebrał. Ani-by też cichego jego głosu dosłyszano wśród powszechnego gwaru.

Z sąsiedniej jadalni biło już pozapalane światło do wieczery, stół był gotów, gdy i chorążyna z opłatkami na talerzu, przystrojona w suknię jasną, liliową, ukazała się w progu.

Zacząło się łamanie chlebem pańskim, życzenia i uściski, łamanie wkoło, bo wszyscy się chcieli z sobą rozłamać, a coś powiedzieć z serca i do serca. Zbińska płakała dziękując dobrodziejom; płakał pan Paweł ściskając brata, który się musiał schylić do niego; Madzia też miała lzy w oczach...

W izbie jadalnej czekał na opłatek cały zastęp domowników, aż do najmniejszego chłopięcia, wszystkich chorąstwo obeszi podając im opłatek i każdy do kolan im się kłaniał, mrucząc jak mógł i umiał z ruska i z polską życzenia na Chrystusowe Narodziny.

Pius stary z opłatkami w ustach natychmiast począł roznosić na-

przemiany polewkę migdałową i barszczyk postny. Rozmowa potoczyła się wesoło a ochotnie o zimie, o święcie, o roku nowym, który nadechodził i *de politicis*, bo u nas bez tego nie — świat nas tak obchodzi, jak gdybyśmy my go wielce obchodzili! Otrobowicz miał ważną wiadomość, iż dla kawaleryi owies zakupowano, co miało oznaczać niechybną wojnę, a ksiądz Zatoka mówił, że słyszał o sucharach, co potwierdzało wróżby owsiane. Chorąży przypominał, iż zawsze czasu wojny na zboże się ceny podnoszą, co dla gospodarzy rzecz pożądana.

Cudnowski Aron jeździł już za kupnem, ale ile za parę dawał, nikt z pewnością powiedzieć nie umiał. Sprzeczano się trochę, chorąży zapowiadał, że w tym roku trzymać się będzie z ceną, bo w przeszłym się pośpieszył.

Wyszła tedy na stół i stara maksyma, że pierwszego kupca odpychać nie należy, zwłaszcza, gdy są przykłady zmywy handlarzy między sobą.

Tymczasem Ewaryst o podróży swój z Kijowa opowiadał panu Pawłowi. Chorążyzna spytała go, czy przywiózł co do bałabuchy.

Szczupaki, okonie, leszcze i karasie, pierogi z kapustą, łamańce z makiem, kutia, wszystkie potrawy podaniowe z kolei się ukazywały, a ksiądz Zatoka dawał dobry przykład używania daru bożego, bo jadł i pił, aż się gosposia radowała. Prawda, że, jak zareczał, a wierzyć mu było można, od rana nic w ustach nie miał. Było to jego zwyczajem, w wigilią nie jeść do wieszery, a w Wielki Piątek pościć o chlebie i wodzie.

Butelczyna starego węgierskiego przyszła na ostatek dla konkocyi, i z resztką jej, po wyciągnięciu z pod obrusa przepowiedni jaki len będzie w tym roku, przeszli wszyscy do salonu.

Tu na ostatku idący pan Ewaryst spotkał się z Madzią, schylił się jej do ucha nieznacznie i szepnął:

— Coś ci mam powiedzieć, ale ni czas ni pora...

Zdziwiło się dziewczę mocno i, wcale nie pomieszane, podniosło oczy na pana Ewarysta, z tym spokojem, który świadczył, że żadne, oprócz braterskiego uczucia, w sercu jej nie powstało.

Ewaryst też, mówiąc to, nie wyglądał na rozmarzonego, rzecz się widocznie tyczyła czegoś im obu nie tak blizkiego, aby się potrzebowali płonąć i mieszać.

— Mnie? cóż to może być? — zapytała uśmiechając się wesoło panienka — tajemnica jakaś?

Spojrzała w tej chwili na kuzynka, na którego twarzy postrzegła, że to, co miał jej powiedzieć, nie musiało być wesołe. Strwożyła się nieco.

— Nie bardzo złego?... — spytała.

— Bardzo złego, nie — odpowiedział żywo, chcąc skończyć Ewaryst — ale niespodzianego coś, no... później...

Z krótkiej tej słów zamiany widać było, iż chorążyc z Madzią był dobrze, poufale, lecz tylko po bratersku.

Gdy w jednym kątku bawialni około butelki się skupili starsi, chorążyna ze Zbińską i Madzią zasiadła na kanapie, powołując syna, aby się jej spowiadał z całego swojego życia w mieście. Wprawdzie po kobiecemu i po macierzyńsku szczególnie wypytywała o warunki powszedniego życia, o wygody, o godziny snu, pracy i spoczynku, lecz można było się domyśleć z tej napozór obojętnej rozmowy, że instynkt matki byłby jej dał łatwo odgadnąć, co stało po za tēm, co rządziło myślą i sercem.

Ewaryst nie potrzebował ani się taić z niczēm, ani odpowiedzi swych ważyć, mówił śmiało i otwarcie, bo nie taić i niezego się wstydzicie nie potrzebował. Z wesołością studencką opowiadał matuli, jak to się urwisowsko i po młodemu żyło w tēm mieścisku, którego oboje państwo chorąstwo nie lubili.

Ani tego wieczora, ani nazajutrz nawet, Ewaryst nie miał zrzeczności rozmówić się z Madzią na osobności, może też nie bardzo się z tēm śpieszył.

Kilka razy dziewczę go zaczepiało:

— A cóż, ta tajemnica?... coś mi to pan miał powiedzieć...

— Będzie na to czas, znajdziemy chwilę stosowniejszą, to długa historia — odpowiadał jakby wahając się chłopak.

Madzia, nie okazując najmniejszego zniecierpliwienia, ruszała jednak ramionami i pomrukiwała sobie:

— Ciekawa rzecz, co też to może być?

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia upłynął nie rozwiązawszy zagadki. Dwóch szlachty z okolic Lubaru, obowiązanych panu chorążemu, przybyło w gościnę. Madzia i pan Ewaryst ciągle byli prawie zajęci, pomagając starym w przyjęciu.

Madzia, jako nieodrodne dziecię Ewy, była trochę zaciekawioną, lecz parę razy spróbowałszy dobyć tajemnicę z kuzynka, nareszcie musiała pawiędzić sobie, iż rzecz była zapewne niewielkiej wagi.

Na drugi dzień sami zostali chorąstwo, Ewaryst już się był przed nimi wyspowiadał z najgłówniejszych spraw swych i myśli i pod wieczór z Madzią znaleźli się w sali jadalnej, pustej, sam na sam, jakby umyślnie dla poufnej rozmowy.

Ewaryst sam ją rozpoczał.

Zwykle śmiały sposób jego mówienia i zwawość, dowodząca, że się nad tém, co miał mówić, nie potrzebował namyślać długo, trochę się zmieniły, co uderzyło Madzię.

— Dawno miałaś wiadomość od siostry? — zapytał nie bardzo odważnie, oglądając się dokoła.

Jakby jednego wspomnienia tego dosyć było dla strwożenia wesolej Madzi, twarzyczka jej dotąd promieniejąca pobladła, zmieniła się i słowo zamarło na ustach. Potrzebowała czasu na odpowiedź przychodzącą jej nie łatwo.

— Od siostry? — powtórzyła spuszcżając oczy — od siostry? Pan Ewaryst wie, że od Zoni prawie nie miewam wiadomości nigdy. Mogę powiedzieć, że jej nie znam... A! — dodała ciszej — ja sierotą będąc, choć mi w domu waszym nigdy się to uczuć nie dało, takbym była pragnęła zbliżyć się do niej! wiedzieć coś więcej! niestety! téj w życiu pociechy podobno nigdy mieć nie będę. Jak-éśmy się rozeszły dziećmi jeszcze, gdy mnie wzięli państwo moi najlaskawsi na opiekę, a Zonię zabrała pani Ozereńkowa, ledwie kiedy, zdała coś się o nią dowiem, a listów nawet nie pisuje. Siostry jesteśmy, a jak obce!

Podniosła oczy na pana Ewarysta i spytała:

— Mów pan, może wiesz co o niej?...

Ewaryst stał zdając się namyślać, patrzył na biedne dziewczę, które zasmucił pytaniem, i wyrzucał sobie, iż postąpił jakoś niezręcznie.

Natura jego szczerza i otwarta nie dozwalała mu kunsztownego obrotu nadać rozmowie, krótko więc pomyślawszy, znalazł najwłaściwszem odpowiedzié odrazu tém, na co chciał był przygotować Madzię.

— Nie będę nic w bawelnę obwijał — rzekł — bo nie umiem; Zonia jest w Kijowie.

Usłyszawszy to, drgnęło dziewczę i przysunawszy się bliżej, zawołało natrętnie:

— Widziałeś ją! zmiłuj się! mów! Jak ona jest? gdzie? Czy, uchowaj Boże, nie stało się co złego?...

Ewaryst znowu napróżno się namyślał i ważył chwilę.

— Ozereńkowa umarła! — rzekł powoli.

— Więc ona została sama, bez opieki? może bez żadnego sposobu do życia, a! panie Ewaryste, zaklinam was, mówcież mi prawdę całą, nie tajcie nic... Ja mam męstwo, bo mam wiarę...

Ośmielony temi słowy, chorążyc zaczął otwarciej:

— Posłuchajcież, jak to było. Nie nowina u nas w Kijowie widziéć na niektórych odczytach kobiety.

Madzia przerwała żywo:

— Gdzie? na jakich odczytach? cóż to są za odczyty?

— Poprostu na lekeyach naszych profesorów — tłumaczył Ewaryst — kobiet młodych wiele teraz nawet uczęszcza na takie, na którychby ich się spotkać nie spodziewało. Niéma w tém nic złego, ale że to nowość i że potrzeba się weisnąć na lekeye pomiędzy samę trzpiotowatą młodzież... odwagi wiele musi mieć, kto się na to waży.

— A! Boże! — wykrzyknęła Madzia, bledniejąc i przysłuchując się z coraz żywszém zajęciem.

— Na jednej lekeyi — mówił dalej Ewaryst — w pierwszych ławkach, zobaczyłem panienkę, która mnie szczególniejszają zajęła, najprzód bardzo piękną i pełną rozumu twarzą, trochę zeszpeconą krótko obciętemi włosami...

Madzia sobie oczy zakryła... Ewaryst postrzegł, że włosy te ją strwożyły i dodał prędko:

— Ale proszę sobie nie wyobrażać, żeby w tém było coś nadzwyczajnego... Bardzo wiele młodych panien chodzi z krótko ostrzyżonymi włosami. Przyczyną mody być może potrzeba, bo kto sobie sam służy, ten z długimi włosami wieleby tracił czasu...

Madzia westchnęła.

— Trzeba przyznać, że Zonia, gdyż ona to była, ma śliczną twarzą, pełną inteligencyi, życia, odwagi prawie męskiej — mówił dalej Ewaryst. — Zainteresowała mnie niezmiernie. Zacząłem się dopytywać, kto to była. Gdy mi nazwisko powiedziano, gdy się jeszcze imienia dowiedział, byłem już pewien, że jest siostrą waszą. Postanowiłem bądź-co-bądź się z nią poznać, aby wam przywieźć od niej wiadomość...

Tu wstrzymał się znowu Ewaryst; Madzia zrozumiała, że się namyślał nad dalszym ciągiem opowiadania, i kładąc mu dłoń na rękę, dodała:

— Proszę otwarcie! mówcie, nie oszczędzajcie mnie! przecież Bóg łaskaw, może tak bardzo złego nie niéma.

— Ja złego nie wiem — odparł Ewaryst — ale że mi się dziwną wydała i ona i jej życie...

Przerwał sobie nagle i dodał:

— Trzeba o tém pamiętać, kochana Madziu, gdzie i jak się wychowywała, a przytém i temperament jej i usposobienie weale od waszego różne...

Westchnienie łzawe prawie wyrwało się z piersi biednej Madzi.

— Mów, panie Ewaryście, zaklinam was, ciekawa jestem, a więcéj jeszcze niespokojna... nie mi nie taj...

— Ażebyś mnie lepiej zrozumiała — zaczął chorażyc — muszę ci dodać to, że w naszym studenckim świecie, jak we wszystkich innych, są dwa prądy i dwa światy. Jeden idzie sobie zwolna, krokiem mierzonym ku światłu, oglądając się, aby po drodze głowy sobie nie rozbić, drugi pędzi gorączkowo, na oślep, niedobrze wiedząc dokąd, choć w najlepszej wierze, iż ku dobru, ku jasności, ku prawdzie goni. Ja, moja Madziu, należę do ludzi spokojnych i nie chcących się awanturować; inni szturmem zdobywają, lub pragną opanować wielki cel, jaki mają przed sobą... Dowiedziawszy się o Zoni, gdzie jej szukać miałem, poszedłem na Padol do niejakięj pani Heliodory Paramińskiej, u której ona mieszkała. Tylko, Madziu moja, ani się dziwuj, ni wykrzykuj desperacko, gdy ci powiem, jak ją zastałem. Powiedziano mi, że tylko wieczorem znaleźć ją mogę. Trafiłem do domku Agafii Prochorównęj Salhanowęj, który mi wskazano. Tu gospodyni zaprowadziła mnie sama do pani Heliodory. Z przedpokoju już niesforny gwar jakiś i rozmowa bardzo głośna nieprzyjemnie mnie uderzyła. Zawahałem się czy wniknąć, i poprosiłem staręj Agafii, aby pannie Raszkównie oznajmiła, że się ktoś z nią chce widzieć. Weszła, ja zostałem za drzwiami. Słyszałem, jak mnie meldowano, i śmiały, dźwięczny głosik zawołał:

— No, to może przecie tu wejść! — Śmiech wesoly towarzyszył tym wyrazom.

Duży pokój na dole, do którego wszedłem, znalazłem pełen dymu od papierosów i cygar... Z za obłoków jego zobaczyłem na kanapie siedzącą kobietę, średnich lat, dosyć przystojną, z głową odkrytą i włosami tak postrzyżonemi jak u Zoni, palącą papierosa i rozprawiającą żywo bardzo z kilku młodemi ludźmi otaczającemi stolik. Kilku innych siedziało w głębi na krzesłach, Zonia spodziewając się jakiegoś gościa, wyszła była nieco ku niemu. I ona trzymała cygaretkę w ręku... Spojrzawszy na jej minkę śmiała i wyzywającą, przykro mi się zrobiło. Postąpiłem krok ku niej i powiedziałem, kto jestem.

— A! bardzo miło mi poznać pana! — odparła podając mi rękę po męsku.

Przypomniałem się jej z kuzynostwem, rozśmiała się.

— A! co tam! pokrewieństwo!... — odparła śmiało — wszyscy ludzie są sobie braćmi, a przynajmniej być powinni.

Prosiłem, aby mi dała poznać gospodynię.

— Heldusiu! — zawołała zwracając się do niej — pan Ewaryst Dorohub.

Towarzystwo, otaczające panią Heliodorę, już ją musiało o mnie objaśnić na swój sposób, gdyż dosyć zimno zostałem przyjęty. Znałem zdaleka wszystkich tych panów, jak oni mnie; należeliśmy do

tych przeciwnych obozów, o których wspomniałem, więc nie miałem u nich łaski. Zonia także przyjęła mnie bardzo chłodno, dosyć jej było popatrzeć na mnie, aby poznać to, o czém gospodyni podszeptała, że należałem do ciemnych...

Uśmiechnął się Ewaryst. Madzia choć smutnie pożerała każde jego słowo, niezupełnie zdawała się je rozumieć.

— Towarzystwo, przed chwilą tak wrzawliwe — ciągnął dalej chorążyc — umilkło prawie, szeptano pocichu... Dawano mi do zrozumienia, że tu byłem nie zbyt pożądanym gościem. Nie zważając na to, zacząłem wypytywać Zonię, głos znizywszy, o nią samą. Sądziłem, że jej to będzie znośniejszém, ale na pierwsze słowo odpowiedziała mi głośno.

— Przepraszam — przerwała smutnie Madzia — ale opisz że mi pan, jak ona wygląda; ja chcę ją widzieć...

— Najprzód powiem, że jest bardzo, bardzo ładna. Oczy ciemne, śmiało patrzące, czoło dosyć wysokie, noski mały, usta jakby nadąsane i dumne; piękne włosy choć niemilosiernie obcięte, ale bujne, przytém figurka zręczna, silna z ruchami trochę męskimi...

— Ale ja jej jeszcze nie widzę!... — zawołała Madzia — jakże ona jest...

— Piękna i śmiała! — powtórzył Ewaryst uśmiechając się, choć w kobiecie zawsze mnie taka jakaś rubasznosc razi, jej z tém do twarzy... Ma w sobie coś sympatycznie usposabiającego, szlachetnego, otwartego... nie podobna się nią nie zająć...

— Ale słuchajże dalej — mówił Ewaryst. — Gdy ją spytałem, co się stało z Ozereńkową: Umarła pocziwa Sędzina — rzekła wzdychając — i jej winnam, że się bardzo o przytułek i przyszłość nie potrzebowałam kłopotać. Zapisala mi, co miała, z tém przybyłam do Kijowa. Chcę się uczyć, będę się starała mózdz sobie na życie zarobić sama i nikogo już nie potrzebować...

Słyszając to pani Heliodora, siedząca na kanapie, dodała:

— A już to z Zoni, z jej odwagi i pracowitości to doprawdy, przykład drugim brać, to kobieta!...

Szmer otaczających potakiwał tym słowom; Zonia się uśmiechała pogardliwie.

— Nie macie mnie z czego chwalić — odezwała się — na bezrybiu i rak ryba, tak téż i ja. Gdzie wszystkie kobiety albo za piecem siedzą, lub się kogoś za pół trzymać muszą, wyglądam na osobliwość wielką, a w tém dziwu niema, tak być powinno. Dosyć nas już niewolnicami było i sługami.

— A! Boże mój! — przerwała Madzia załamując ręce i cała we łzach.

Ewaryst się zatrzymał i po chwili kończył opowiadanie w krótszych wyrazach.

— Jednym słowem, moja Madziu, Zonia się zupełnie wyemancypowała... Przyjęła mnie całkiem jak obcego, i na tém się prawie skończyła nasza znajomość z nią. Spotykaliśmy się często, zaledwie mi raczyla główką kiwnąć zdala i zaraz się odwracała. Nie chciałem być natrętnym, tylko na wyjezdném zbliżyłem się raz do niej, pytając: czy nie zechce napisać co do ciebie, albo ci co kazać powiedzieć. Uśmiechnęła się na to.

— Jeśli pan chcesz, mów jój, niech u nikogo na łasce nie siedzi, niech nieczyją nie będzie niewolnicą, niech przyjeżdża tu, uczy się i wyrobi się na człowieka!...

...Powtarzam ci jój słowa!...

Ażeby odmalować wrażenie, jakie całe to opowiadanie uczyniło na Madzi, potrzebaby przypomnieć wychowanie jój w tym spokojnym, patriarchałnym starym zamiłowskim dworze, do którego żadna nigdy nowa myśl się nie wcisnęła, gdzie wszystko nowe było uznawane za złe, zepsute i psujące, gdzie świat jeszcze toczył się odwieczną wybitą koleją...

Madzia słuchała ze zgrozą i rozpaczą w sercu. Zonia zdala się jój zgubioną. Rozplakała się tak, że do swojego pokoiku uciec musiała. Ewaryst pożałował prawie, że jój smutną o siostrze przywiózł wiadomość.

Nie było to jednak bez celu.

Zonia mimo swój ekscentryczności, a może przez nią samą, zajmowała go mocno, chciał, spodziewał się przez siostrę wpłynąć na nią.

Dnia tego Madzia, mając oczy od płaczu czerwone, wcale się już, pod pozorem bólu głowy, nie pokazywała, a chorążyna przypisując go potrawom świątecznym, skazała ją na wszystko leczący na wsi rumianek.

Gdy rano potém wyszła trochę blada, a Ewaryst mógł się do niej przybliżyć, najprzód starał się ją natchnąć męstwem i wytłómaczyć, że Zonia wcale nie była winną, że okoliczności popchnęły ją na tę drogę, na której odwaga i charakter poczciwy nie dadzą się jój obłąkać.

— Zrób jedno—odezwał się w końcu—napisz do niej jak do siostry, nie dając jój poznać, że ci ją odmalował trochę zdziczałą i dziwaczną, napisz jój od serca długi list. Jestem pewny, że on na niej uczyni wrażenie.

— A! mój panie Ewaryście — odparła Madzia pokornie ręce składając. — Pisać! ja! ale czyż ja potrafię tak napisać do niej, aby mój list... A! nie! nie! ja pisać nie umiem. Gdybym ją wi-

dzieć mogła! klęknąć, zapłakać, uściskać, toby może poskutkowało, ale pisać! Nie! nie!...

Jednakże myśl poddana przez Ewarysta utkwiała w niej. Innego dnia zapytała go, jakby to należało pisać.

— Zupełnie tak, jakbyś do niej mówiła — odparł kuzyn. — Nie trzeba nic a nic wyszukiwać, nic a nic układać, dozwolnić sercu, żeby dyktowało, a choćby wyrazy nie szły, bardzo udatnie, list przemówi do niej, serce uderzy...

Spojrzała na niego Madzia i ruszyła ramionami.

— Ale ja listy piszę okropnie! — dodała. — Gdzie to tam kobiecie brać się do pióra!

Z tém się rozeszli, lecz ktoby był podpatrzył Madzię zaryglowaną siedzącą w swoim pokoiku wieczorem, przy łojowej świeczce, myślałby może, iż zakazany jakiś bilecik pisze, tak go i łzami skrapiała i porywała się do pióra namiętnie i rzuciła je rozpaczliwie, kilka ćwiartek leżało zasypanych literami, z których znaczna część była pokreślona potem i pozamazywana.

Po tej do-pół-bezsennej nocy powiedziała nazajutrz spotkawszy się z Ewarystem:

— Próbowałam pisać, ale co to warto!... Na nic. Gdybym mogła pojechać do niej do Kijowa, byłoby wcale co innego.

— Wiesz przecie, że to być nie może — przerwał chorążyc — a przeze mnie list posłać, jakikolwiek bądź, potrzeba koniecznie.

— Koniecznie? — zapytała Madzia.

— Cóżby to znaczyło, gdybyś wiedząc o niej ode mnie, słowem się nie odezwała? — odparł Ewaryst.

— Ależ i ona mogła napisać do mnie? — nieśmiało odezwała się Madzia.

— Mogła i nawet myśl tę jęj poddawałem, ale...

— Cóż ona powiedziała?

— My się nie znamy, jesteśmy sobie zupełnie obce, co ja do niej pisać będę? Kłaniaj się jęj pan ode mnie, jeśli chceś...

...I że ona tak mnie zbyła, nie w tém dziwnego, wedle jęj pojęć niema nic złego w odpowiedzi. Gdybyś ty się okazała obojętną, moja Madziu...

— To napiszę! — odezwało się dziewczę posłuszne.

Przez cały ciąg pobytu chorążycia u rodziców, trwały i narady o ten list i ciche o Zoni rozmowy.

Panu Dorohubowi jednak i chorążynie nie mówiono nic o Zoni, ażeby ich tém nie martwić napróżno.

Po trzech królach traf przyniósł szlacheica z pod Wasilkowa, z okolicy właśnie, w której Ozereńkowie mieszkali. Pani chorążyna, która się Madzią zaopiekowała, zawsze pamiętała o jęj siostrze

i utyskiwała nad t \acute{e} m, że ją zabrała sędzina, nazywała to nawet rozbojem i gwałtem, gdyż miała zamiar obie sieroty wychowywać razem.

Szlachcic, pan Weryha, daleki krewny chorążego, miał sprawę w okolicy i zwyczajem szlacheckim u krewnego obrał sobie fundum. Wieczorami rozmawiano o najrozmaitszych sprawach i ludziach, byle czas jakkolwiek przepędzić; chorążyna nie mając już o co, spytała o Ozereńkową.

— A cóż tam sędzina Ozereńko, nie wiecie, co się u nich dzieje?

— Sędzia zmarł, to pani chorążyna pewnie wiesz. Sędzinie po nim niewiele zostało, a ładu u nich nigdy nie było. Biedowała, chorowała, gryzła się, no, i zmarło się jej t \acute{e} ż nie tak dawno.

Dorohubowa ręce załamała.

— A z wychowanicą jej, siostrą nasz \acute{e} j Madzi, cóż się stało? — zawołała z przestachem.

Szlachcic dziwną zrobił minę.

— Ozereńkowa jej podobno zostawiła po sobie wszystko, co tam było... choć niewiele tego się zebrało... Pojechała z t \acute{e} m, słyszę, do Kijowa.

Stary w \acute{a} sa pogłodził, uśmiechnął się i niedokończył. Widząc wchodzącą Madzię, chorążyna dała mu znak, aby milczał. Niespokojna pot \acute{e} m schwyciła Ewarysta do k \acute{a} ta.

— Słuchajże, co Weryha powiada — szepnęła mu, wszak to Zonia podobno po śmierci Ozereńkowej, której się zmarło, pojechała do Kijowa. Czyś ty tam o ni \acute{e} j nie nie słyszał?

Ewaryst tak był przyzwyczajony mówić przed rodzicami prawdę, iż w pierwszej chwili zarumienił się i zmieszał. Kłamać nie mógł, a całe \acute{y} prawdy mówić nie chciał.

— Słyszałem, że ma być w Kijowie i że się czegoś uczy, sposobi do czegoś... dobrze nie wiem... — odparł chorążyc — Chciałem się nawet o ni \acute{e} j dowiedzieć coś więcej, ale mi trudno było i czasu zabrakło...

— A! to nie do darowania, doprawdy — odezwała się matka łagodnie. Przecież to siostra rodzona Madzi. My nie możemy tak ją opuścić. Sama jedna, nie mająca żywej duszy na świecie, t \acute{a} ż to marnie przepaść może! To się nie godzi! My-byśmy ją wzięli!

Ewaryst znalazł się w trudnym poło \acute{z} eniu, nie mogąc wyjaśnić, dlaczego wziąć jej nie było podobna. Dodał tylko, że za powrotem się dowie o ni \acute{e} j więcej, że słyszał, iż była u pani jakiejś i t. p.

— Nic-że ty o t \acute{e} m nie mów Madzi, aby się nie martwiła — dodała chorążyna — ja się z jegomością naradzę, a trzeba coś na to zrobić, aby biedna dziewczynina nie przepadła...

Rozmyślał już Ewaryst, czy ojcu nie powiedzieć prawdy całej,

gdy chorążyna uprzedziwszy go, już się z nim naradziła i postanowiono, aby ona syna odprowadziła do Kijowa dla zabrania Zoni. Stary Dorohub nie czynił najmniejszej trudności w przyjęciu jej pod swą opiekę, znajdował tylko, że kto wie, czy to dla Madzi dobrém będzie, gdy nie wiadomo, jak wychowana siostra do jej towarzystwa przybędzie. Chorążyna trafną znalazła tę uwagę.

— To prawda — rzekła — że po wychowaniu u tych Ozereńków nie bardzo dobrego się spodziewać nie można, ale natura pocziwa nie powinna się była dać zepsuć.

— Zepsuta czy nie — odparł chorąży — zawsze inaczej ona pewnie wygląda, niż pocziwa Madzia, starsza od niej o rok: nie bez tego, żeby na nią nie wpływała. Możemy jej nie wyratować, bo już w tych latach przerabiać ją trudno, a Madzi zaszkodzić. Niech no jejmość pomyśli dobrze.

Myślano, roztrząsano, spierano się potrosze dni następnych, a że i Ewaryst brał udział w rozmowach, nie trudno mu było zmienić mątki postanowienie, a przynajmniej wykonanie jego odroczyć. Zgodzono się na to, ażeby Ewaryst powróciwszy starał się bliżej dowiedzieć coś o Zoni i donieść, czy chorążyna ma po nią przyjeżdżać, albo w inny sposób starać się jej być pomocną.

Tym sposobem wszystko zostało w zawieszeniu. Madzia tymczasem ogromny swój list do siostry przygotowywała.

Rzeczą było dziwną, że ona, co pióra nigdy nie trzymała w ręku, chyba dla przepisania jakiegóż recepty gospodarskiej, modlitewki, albo zanotowania bielizny idącej do prania, gdy raz poprobowała tej rozmowy z siostrą na papierze, prawie namiętnie się nią zajmowała i wszystkie wolne godziny jej poświęcała. Biegała zamykać się w swoim pokoiku, bazgrała, przepisywała, poprawiała, odczytywała, popłakiwała przy tém i los tego pisma tak ją obchodził, jak nigdy jeszcze nie w życiu.

Prawda, że sieroctwo zwiększało przywiązanie do siostry i troskliwość o nią, że to serce piszące było miłości pełnem ku nieznaniej, biednej, opuszczonej Zoni, lecz i tajemnicze działanie myśli oderwanej od człowieka, wracającej doń w odzieży słów, niby dziecięcia własnego odzywającego się do rodzicielki, przyczyniało się też do wrażenia, jakie list na nią wywierał.

W wigilią wyjazdu Ewarysta arkusiki były odczytane raz jeszcze, ponumerowane, poskładane i zapieczętowane jak najnieformalniej. Madzia w sekrecie oddała je drżącą ręką chorążycowi, prosząc, aby uchwaj Boże, nie zgubił a postarał się koniecznie o odpowiedź; chorągwo to swęj strony polecili synowi, żeby się o Zonie dowiedział i szczerą im o niej napisał prawdę. Sama pani myśląc o biednej sierocie popłakiwała; serdecznie pragnęła ją zabrać do

siebie, a lękała się razem nie już utrapienia i niepokoju w domu, lecz wpływu siostry roztrzpiotanej na Madzię. Tak ją sobie wyobrażała pani chorążyna, wiedząc, że ów dom sędziego Ozereńki był bardzo otwarty, gościnny, ożywiony do zbytku, a o tém, co się tam działo za żywota jego, różnie jakoś mówiono.

Domek Agafii Sałhanowej na Padole sięgać musiał prastarych czasów, a przynajmniej budowano go wedle ich tradycyi i obyczaju. Właściwie rzekłszy był to dwór wiejski przeniesiony do miasta. Cały z drzewa niepospolitej grubości, mocno i porządnie swojego czasu stawiony, składał się z długiego korpusu, zwróconego ku ulicy siedmią czy ośmią oknami biało obramowanymi na tle ściemniałem bierwion sosnowych, i z dosyć długiego parkanu wysokiego, który opasywał dziedziniec obszerny z szopami i składami. Szerokie wrota przytykające do dworu wiodły do środka. Dom nie miał innego wejścia od ulicy. Sałhanowie mieli oprócz podwórza, stajen i składów, które wynajmowali, sad jeszcze rozległy z tyłu, owocowe drzewa i ogród warzywny. Właścicielką terazniejszą tej pięknej posiadłości była stara Agafia Sałhanowa, wdowa po zamożnym kupcu, mająca syna jedynaka, który gdzieś w innej prowincyi w służbie rządowej niepoślednie zajmował stanowisko. Kobieta była prosta, pobożna, ciekawa, nie mająca ani wielkich trosk na głowie, ani zajęcia koło domu, więc wszystko ją żywo obchodziło, na co patrzała. Jedyłą częścią swojego dworku, którą wynajmować była zwykła, nie spuszczała się na kontrakty, oddawała z kolei różnym lokatorom, z którymi zawsze łączyły ją węzły, inaczéj nazwać się nie mogące, chyba związkiem uprzejmój ciekawości. Stara Agafia miała zwyczaj siedzieć godzinami u swoich, jak ich zwała, postojalców, gawędę z nimi prowadzić, trochę im służyć i pomagać, nadewszystko zaś starać się być wtajemniczoną w ich myśli i sprawy.

Niegdyś bardzo piękna, ale bardzo uboga, zostawszy żoną bogatego kupca, choć do dobrego bytu nawykła, nie nauczyła się dumi, ni pożądała wydawać się za pańska. Chodziła w chustce jedwabnej na głowie, w sukni bardzo prostej, odziana prawie jak sługa, poufała się chętnie w braku innego towarzystwa nawet z furmanami, którym wynajmowała stajnie swoje, byle mieć z kim pogawędzić, pośmiać się i mieć od kogo posłyszeć coś nowego. Tak samo teraz skrętnie przysłuchiwała się staruszka pani Heliodorze, mającej u niej mieszkanie, aby do jej towarzystwa wstęp uzyskać i z ludźmi być. A że tu żwawa i wesola uczęszczała młodzież, którą staruszka lubiła,

nieraz się podejmowała sługę wyręczyć z samowarem, aby potem stanąć i posłuchać, jak się to śmiało i gwarzyło.

Rozumiała czy nie to, co mówiono, stara Agafia, ale ją sam dźwięk mowy, samo jej brzmienie wesole, twarze rozjaśnione, urywane i pochwytywane słowa niezmiernie bawiły. Lubiła Heliodorę, ale stokroć więcej przywiązała się do Zoni, niemal jak do dziecięcia i dla patrzenia tylko na nią gotową była na największe ofiary.

Dobre to było serce niewieście, które choć pełne miłości dla syna oddalonego, dla męża zmarłego, nie czuło się jeszcze nią nasycenem, potrzebowało powszedniego chleba — miłości bliźniego — i nie przebierało w niej, byle nie głodnieć.

Agafia stara właśnie rozmowę jakąś wesolą dokończywszy z parobkami, którzy pod wieczór z jej podwórza wychodzili, i pożegnawszy ich stała w ciepłej, futerkiem podszytej ohrejduście u wrót swoich i rozpatrywała się dokoła, gdy się ku nim zbliżył przystojny człowiek.

Gospodyni ze swą pomarszczoną, zawsze uśmiechającą się twarzą, której bardzo regularne rysy wyrazem dobroci uderzały, zajmowała sobą tak furtkę służącą do wejścia, iż przybywający nie pozdrowiwszy minąć jej nie mógł.

Staruszka zaś nadto była na rozmowę łakomą, aby mogła przepuścić przychodzącego, nie popróbowawszy coś z niego wyciągnąć.

— A do kogo to, paneczku, idziecie? — zapytała. — Ja tu gospodyni, ja tu wszystkich znam, a was jakoś nie widywałam...

— Chciałbym się widzieć z Zonią Raszkówną — rzekł przybywający, który był nie kim innym jak Ewarystem. — Jest w domu?

Stara przypatrywała się bacznie stojącemu przed nią, ale się nie śpieszyła go wpuścić.

— Z Zonią Raszkówną? — powtórzyła z uśmiezkiem. — Znaćcie ją? prawda! to panienska, jakiej drugiej na całym Kijowie niema. Kochane dziecko. O! ja ją jak córkę kocham...

Ewarystowi trudno było się zebrać na odpowiedź, a stara mówiła, spoglądając mu w oczy.

— Oj! dla was chłopców to niebezpieczna czarownica! Kto ją zobaczy aby raz, zapomnieć nie może; dosyć, aby spojrziała.

Pokręciła głową.

— Ho! ho! ale z nią nielatwo! Piękna jak anioły niebieskie, ale śmiała jak huzar... A u niej dziełne słówko rzec, jak orzech zgryźć...

Ewaryst słuchał nie przerywając.

— Jest w domu? — zapytał.

— A jest! jest! — odparła Agafia — ja jej sama zaniostałam

lampkę, bo ona ciągle się grzebie w tych papierach i książkach, po których jej nie, tylko młodość marnuje, a dość jej tej kraszy, co ma, aby sobie los zrobiła, na co jej więcej! Ale to dziecko ciekawe, a kto się takim raz urodził, nigdy spokoju mieć nie będzie.

Unikając dłuższej we wrotach rozmowy, Ewaryst ruch zrobił, jakby chciał wejść, mimo staruchy.

— Czekajże — rzekła — toż tak nie będzie, bo i nie trafisz do niej po ciemku, ja was poprowadzę.

— Juści ja do niej, kiedy sama jest, pójść nie mogę — rzekł chorążyc — poprosicie ją do gościnnej izby... kiedyście łaskawi.

— Cóż to myślicie? — odparła Agafia — ona się złęknie u siebie przyjąć studenta! E! e! nikogo się ona nie boi i o nie nie dba... Tam, gdzie jest, was przyjmie...

Stara powoli, skinąwszy na Ewarysta, pominęła furtkę, przez podwórze zawróciła do dworu i weszła do ciemnej sieni.

— Idźcie za mną w ślad — dodała — bo na prawo drzwi do lochu, niejeden, co ich nie zna, zaczepił się o zawiasy i wpadł...

Z sieni zwrócili się na prawo, do jeszcze ciemniejszego kurytaryzka i stara Agafia pomruczawszy coś, otworzyła drzwi, Ewaryst stał w progu dosyć dużego pokoju, z wielką prostotą umeblowanego. Na lewo była ogromna perkalem zbrukanym dosyć okryta sofa, a przed nią duży stół zarzucony papierami i książkami, kilka krzeseł drewnianych różnego kształtu rozstawionych było dokoła stołu. Na prawo duża szafa, koło niej komoda, na ścianach półki, pokój czyniły podobniejszym do studenckiej niż do panieńskiej kwatery...

Na jednej z półek, z pośrodku książek wyglądała dziwnie trupa głowa, na której umyślnie rzucono biały czepeczek. Świeży ten stroik na żółtej kości wyglądał jak smutne szyderstwo...

Na wielkim stole paliła się lampka, przed nią siedziała ze spuszczoną głową, z rozrzuconemi włosami Zonia, która posłyszawszy otwierające się drzwi, podniosła twarzą z brwiami zmarszczonemi.

— Gościa wam przyprowadzam — odezwała się stara — choć gość nie w porę gorzej Tatara, ale to dobrze, że was od tych wazych książek oderwie.

Zonia nie podnosząc się z krzesła, usiłowała poznać oznajmionego jej, tak jakby mu chciała dać odpawę.

Zobaczywszy Ewarysta i poznawszy go, nachmurzyła się bardziej jeszcze, lecz zmusiła się widocznie i popchnąwszy leżącą przed sobą książkę, powstała.

Chorążyc wszedł, Agafia, która nie miała pozoru, by przystać,

przynajmniej jak najpowolniej zamykała drzwi, aby coś z ich rozmowy pochwyć.

— Przywożę wam ukłony i list od siostry — odezwał się wchodząc Ewaryst. — Wracam ze świąt ze wsi, od rodziców...

Zonia słuchała obojętnie, podała mu rękę i wskazała miejsce naprzeciw siebie na sofie. Zdawała się kwaśno zrezygnowaną.

Gdy chorążyc list jej podał, gruby i wielki, rzuciła głową z uśmiechem, kładąc go przed sobą na stole.

— Madzia tak pragnęła was zobaczyć — dodał Ewaryst — że gdyby to było przyzwoite a możliwe, gotową była jechać ze mną...

Zonia ruszyła ramionami.

— A dlaczegoż to wam się zdało niemożliwe? — odparła. — Kobieta u was to zawsze dziecko, które kroku stąpić nie może, aby dla niego niebezpieczeństwa się nie obawiano?...

Siadła na swoim stołku i przybrała postawę tak jakoś swobodną, że Ewaryst się zarumienił mimowolnie. Jedną rękę zarzuciła na poręcz krzesła, bawiąc się nią puklami swych włosów, drugą ujęła się w bok, nogę założyła jedną na drugą, główkę podniosła do góry. Było jej z tym ładnie, lecz zdawało się, że umyślnie przybrała postawę taką, aby jak najmniej być podobną do młodej, skromnej panienki. Czując w tym było trochę zadanego sobie gwałtu.

Zmieszany Ewaryst nie wiedział już, jak dalej prowadzić rozmowę, której pragnął, a do której Zonia wcale się nie zdawała usposobioną, gdy na myśl przyszła mu matka.

— Nietylko Madzia wybierała się tak do was — odezwał się — ale i matka moja gotową była przyjechać tu, dowiedziawszy się, że zostałeś tak samą.

— Alboż to ja sama nie powinnam sobie dać na świecie rady? — odparła z oznaką małej niecierpliwości Zonia, poruszając się na krześle. — Ja wiem, że wam ze mną się trudno będzie zrozumieć — dodała — bo wy inne myśli macie w głowie, które wynieśliście z domu, a ja trochę się napiłam z żywiącego źródła... Tak, nam się będzie zrozumieć trudno, wy po staremu kobietę, dziewczynę macie za istotę, która bez łańcucha się obejść nie może i musi chodzić całe życie na paskach, ja wiem i czuję co innego! Tak było, ale tak być nie powinno; kobieta tyle przynajmniej warta jest co mężczyzna i równe ma prawa, jeżeli w czem, to do oświecenia się i uczynienia się niezależną. Żadnej opieki-bym nie przyjęła nad sobą, bo to jest niewola, a ja nie noszę, nie cierpię niewoli.

— Wszyscy my i mężczyźni i kobiety — odpowiedział Ewaryst — potrosze swęj swobody nieograniczonej musimy się wyrzec, bo bez tej ofiary nie byłoby rodziny i nie było społeczeństwa...

— O! wiem ja to, wiem! — przerwała piękna Zonia. Dajcie pokój, wy mnie nie nawróćcie, a ja was nie myślę gorszyć.

Uśmiechnęła się z pewnym rodzajem politowania i nagle dodała: — Cóż? sannę w drodze mieliście dobrą?

Zwrot ten w rozmowie prawie był obrażającym dla Ewarysta, który się zarumienił mocno i zamilczał. Śmiała dziewczyna popatrzała nań długo, wstrząsnęła nieco ramionami i chwyciwszy linę ze stołu, zaczęła gryźć jej koniec, jakby z niecierpliwości. Dawała mu do zrozumienia, że się go pozbyć chciała. Ewaryst nie ustępował. Zbuntowane to dziecię obudzało w nim coraz żywsze zajęcie.

— Choćbyśmy się odrazu nie zrozumieli—odezwał się namyślniejszy — możesz mi wierzyć, panno Zofio, że z wielką i szczerą życzliwością zbliżam się do ciebie, nie godzi się dobrego serca odpychać

Oczki jej błysnęły.

— Cóż! apostołem chcesz pan być? nawracać mnie? naprowadzić na prawą drogę!... — Parsknęła. — Proszę cię, panie Dorohubie, nie wyobrażaj sobie, że głowę mam zawróconą jakąś fantazją bez podstawy. Bardzo dobrze rozważyłam, dokąd idę, z czem i po co. Z tej drogi wasze, przepraszam paua, świętoszkowskie morały ściągnąć mnie nie mogą... Powiem ci otwarcie, mam przekonania, z których, gdybym się mu wypowiedziała, odskoczyłbyś jak od zapowietrzonej. Do kościoła nie chodzę wcale, Pan Bóg tego nie potrzebuje, wiarę mam moje własną, którą na rozumowanych podstawach buduję, pojęcia o życiu nadto zuchwałe i wyemancypowane, aby pan Ewaryst Dorohub, wierny syn kościoła, szlachcie z kościołami, posłuszne dziecko, bojaźliwy uczeń, po kropelce połykający naukę, aby się nią nie otruci, mógł najmniejszą dla takiej poganki ucuć sympatyę...

Mówiła żywo bardzo, patrząc na Ewarysta, który słuchał, nie okazując zbyt wiele podziwienia; wszystkiego mógł się spodziewać z tego, co słyszał o Zoni i kółku, wśród którego się znajdowała...

Nim miał czas odpowiedzieć, Zonia wstała z krzesła, popchnęła je, bujne swe krótkie włosy obu rączkami poprawiła żywo i zaczęła się przechadzać, z ukosa patrząc na gościa, jakby mu powiedzieć chciała:

— No... idź-że sobie...

Ewaryst siedział.

— Ogadujesz się, panno Zofio — rzekł spokojnie — nie wierzę, abyś zaszła tak daleko, a sądzę, że gdybyś nieopatrznie zabiegła istotnie na te krańce, powrócisz z nich smutna i zawiedziona...

— O! nigdy! przenigdy! — zawołała Zonia gorąco, popaliłam mosty za sobą!... Z tego stanowiska, którego się dobiłam, już się nie powraca...

— Za przyszłość nikt ręczyć nie może — dodał Ewaryst.

— Ja ręczę, bobym zawiedziona i zmuszona zaprzęć się przeko-
nań, żyć nie chciała!... i umarła!...

— Jak to?...

— Jak najprościej w świetle! kropla strychniny starczy...

— A godziź się to? — zawołał oburzony Dorohub.

— Dlaczegoż się niema godzić? Jak to? ja, com nie prosiła
o życie, miałabym nie mieć prawa zrzucić z siebie to brzemie, kiedy
zechcę?...

— A Bóg!... — krzyknął Ewaryst.

Z pogardą obróciła się Zonia ku niemu.

— O waszym Bogu macie antropomorficzne pojęcia... — od-
parła.

Ruszyła ramionami.

— Sam widzisz — dodała — że z naszymi pojęciami tak różne-
mi, zrozumieć się nam niepodobna. Przerwałeś mi pan rozdział bar-
dzo zajmujący fizyologii... a czas drogi...

— Prawda, i ja nie mam prawa, nawet w imię największej ży-
czliwości dla was, domagać się z niego ofiary...

Zonia stanęła chwilę w pochodzie swoim po pokoju, była podra-
żniona.

— Madzia mówi codziennie regularnie pacierz!... pości w środy
i piątki, odprawuje nowenny... ja jej tych rozkoszy nie bronię, dla-
czegoż wy mnie chcecie, bo ja to czuję, wy chcecie mnie zakuć
w więzy?... Nikt do mnie nie ma prawa!...

— I nikt go nie rości — odparł Ewaryst — ale mamy dla ciebie
miłość.

— A! ta miłość wasza!.. — przerwała Zonia — jak ona ładna
w słowach, jak straszna w czynach!.. Z tej to miłości palono na sto-
sach, wyciągano na torturach.

Gdy Zonia się tak rozgorączkowała, Ewaryst stygł, bo mu
litość nad tą biedną ścisła serce.

— Domyślasz się, panno Zofio — rzekł — rzeczy, o których mnie
się przynajmniej nie śniło. Nie myślę cię nawracać, jak ty to nazy-
wasz, ale czuję i obowiązek krwi i nie wiem już jak nazwać tę po-
budkę, czuję potrzebę zbliżenia się do panny Zofii... Jestem z obo-
wiązku tego rodzajem opiekuna...

— O! bardzo proszę, bardzo proszę... tylko żadnej opieki nade
mną nie rozcigać, opiekę mam w mojej głowie i sercu, innej nie po-
trebuję...

— I ani krewnych, ani przyjaciół znać nie chcesz?... — spytał
Ewaryst.

— Krewnych?... nie rozumiem — odezwała się Zonia — związki
te krwi konwencyonalne są, natura ich nie zna... tylko o tyle, o ile

one są potrzebne dla zachowania rodzaju... Co się tyczy przyjaźni, mylisz się pan, mam i potrzebuję przyjaciół, ale najpierwszym przyjaźni warunkiem jest jedność pojęć i zasad, a tych między nami niema i nigdy nie będzie, chybaś pan na wiarę naturalną się nawrócił?... — dodała szydersko.

Ewaryst spuścił głowę milczący.

Zonia widząc, że się go tak łatwo nie pozbędzie, a mówić już nie chcąc, chwyciła ze stolika list Madzi, rozerwała kopertę, dobytek z niej ówiarłki, które się posypały na ziemię i zawołała zbierając je:

— A! tyle napisała! Za wszystkie lata! Znać, że nie do roboty nie ma!..

Twarz biednego chorążycy, który zbity zupełnie z tropu, dotknięty boleśnie całą rozmową, siedział chmurny i widocznie cierpiący, tak była wyrazistą, że dziewczę kilkakroć ją zmierzwiwszy oczyma, pomimo złego swego usposobienia ku niemu, uczuło rodzaj politowania nad tak zamordowanym człowiekiem. Widziała się zwycięską, mogła być miłosierną. Oczyma mierzyła milczącego, wzbudzał w niej pewien rodzaj współczucia.

Westchnęła zlekka.

— Tak... — rzekła trochę złagodzoneym głosem — tak, my się nie rozumiemy nigdy, stoimy zbyt od siebie daleko... Znam bardzo dobrze dom wasz i ducha, jaki w nim panuje. Ja dla was jestem buntownicą, a wy dla mnie biednemi zaślepionemi...

Ewaryst dał jój mówić.

— Powiadasz, że znasz dom nasz i ducha, jaki w nim panuje — odezwał się — duch to po staremu chrześcijański, dodałbym chrześcijański po staropolsku, co się nietylko do słowa i litery wiązał, ale z każdój dobywał iskrę miłości, która jest całą nauką Chrystusa. Tak, myśmy chrześcijanie, ty się nazywasz poganką. Nie stałaś się nią sama przez się, któż cię nią uczynił?..

Z uśmiechem poprawiła go Zonia:

— Powiedz lepiej, kto mnie zgubił?... Kto mi ten kamień przywiązał do szyi? Wszak tak?..

Ewaryst poruszył ramionami.

— A! to długa historia — odezwała się i z za paska dobytek zegarek. — Jeżeliś ciekawy, możesz widzieć tego mistrza, któremu winnam nawrócenie moje... Za kwadrans dadzą herbatę u Heldusi; zjedzie się na nią pewnie więcej osób, ale powinien być i Jewłaszewski...

Ewaryst, który zdala w ulicach widywał wymienioną figurę i cośkolwiek wiedział o niej, rad był zaproszeniu i skłonił głowę przyjmując je. Chciał zblizka zobaczyć i poznać tego oryginała.

Jewłaszewskiego w owych czasach widywano często w ulicach Ki-

jowa, a samym strojem i postacią ściągał oczy i uwagę, zdając się chcieć tego, choć pozornie skromną miał powierzchowność.

Był to mężczyzna już lat czterdziestu kilku, jeżeli nie pięćdziesięciu, słuszny, wyprostowany, krzepki, z twarzy niepiękny, siwiejący, wiele i aż do zbytku sztywny i poważny.

Mówił zawsze jak z katedry, a twarz jego długa, rysów dosyć regularnych, choć niemilych, przybierała naówczas wyraz jakiegoś natechnionego apostołstwa. Wygłaszał aforyzmy... nie rozumiejąc i nie przypuszczając żadnego sprzeciwienia się i sporu. Mistrz rzekł, a gdy się odezwał, rzecz powinna była być skończoną, wszelka niepewność rozstrzygnięta.

Jewłaszewski ubierał się dziwacznie, nosił małą podstrzyżoną brodę i wąsy, włosy długie obcięte równo do koła, kołnierz od koszuli spięty wielkim fantastycznym guzem, czarne buty długie i strój, który przypominał dostatniego włościanina małoruskiego.

Zimą i latem chadzał w baraniej czapce. Była to wówczas wyrocznia młodziży, która się u niego chętnie zbierała wieczorami i wynosiła stąd myśli najdziwniejsze, niekoniecznie w logicznym z sobą związku będące, ale świetne, niby oryginalne, niby nowe i niby obfite w nieskończone wnioski...

Kto nie przyjmował doktryn Jewłaszewskiego, tego on poprostu lajał, a w męskim towarzystwie słowy tak dobitnymi, jakich tylko wieśniacy używają po gospodach, gdy się pokłóca.

Mówiąc apostoł podnosił rękę jedną do góry i palec wskazujący kierował jak pistolet w pierś słuchacza...

Z czego żył i czém się właściwie zajmował ten niby literat, potrośze prawnik, a głównie filozof-eklektyk, który pono niezego się nigdy nie uczył i był jeniałnym autodydaktem, nikt dobrze nie wiedział.

Unikał równie badania o przeszłość, jak spojrzenia w oczy, w które nikomu patrzeć sobie nie dozwalał i natychmiast je odwracał.

Wiele dobrego być mogło w tym człowieku, zmieszanego z różną, przez wiatry naniesioną plewą. Uczynnym był, oburzała go wszelka niesprawiedliwość, brał słabych gorąco w obronę, życie przytęm prowadził niemal anachorety. Żył w najprostszy sposób, po chłopsku, a nawet z pewną przesadą, wszelkich wygodek i pieczętów unikał, wytrwały był na zmiany klimatu, kąpał się w zimie w przereźblach. Czynił to z zasady, a zdrowie mu dozwalało być jej wiernym.

Gdy Ewaryst zgodził się milcząco na zbliżenie do Jewłaszewskiego, Zonia trochę zdumiona popatrzała na niego, ale widać z nią było, że przyjęła to rada.

— Więc — odezwała się poprawiając bez ceremonii trochę rozrzucone włosy przed małym lustrem, do którego się zwróciła — więc,

chodźmy do pokoju Heldusi, bo się tam już nasze zwykle towarzystwo powoli ściągać zacznie. Wiem, że ono dla pana sympatycznym nie będzie, ale kto wie, może się przekonasz, że w niem więcej jest życia i przyszłości, niż w waszych kółkach, w których hipokryzya panuje.

Ewaryst uśmiechnął się tylko, nie odpowiadając nic. Zonia poszła przodem i przez sień ciemną poprowadziła go do bawialni, w której już raz pierwszy się spotkali.

Pokój ten obszerniejszym jeszcze wydał się teraz Ewarystowi, bo w nim nie było nikogo oprócz gospodyni, wygodnie siedzącej na kanapie, z rękoma zanurzonymi we włosach i głową spuszczoną nad książką. Nieodstępny papiros chwilowo położony na stoliku kurzył się niedopalony. Oprócz niej tylko stara Agafia krzątała się w kątku, przygotowując herbatę dla nieuniknionych codziennych gości.

Chorażyc mógł teraz lepij się nieco przypatrzeć przyjaciółce Zoni, pani Heliodorze, której twarzy nie kryły przed nim kłęby gęstego dymu. Była to średnich lat, może trzydziestu kobieta, mająca jeszcze resztki młodości na twarzy, która nigdy nie była piękną, ale teraz jeszcze błyszczała wielkiem życiem i niepohamowaną żywością. Trochę małe oczki czarne, trochę szerokie usta różowe, trochę blada i nalana okrągła twarz, mimo nieregularności rysów, miały w sobie coś miłego i pociągającego. Wszystko to życie przeszłe, zapewne bez wielkiej rachuby prowadzone, przedwcześnie zrobiło zwiędłym i zmęczonym. Ręce też, które podniosła, białe, nieco chude, starsze prawie były niż ona. Ale pod tą powłoką zużytą czuć było namiętą jeszcze żywotność ducha niezmordowanego, a oczy patrzyły bystro i świadczyły o rozumie.

Spojrząwszy na chorażycę, poznała go zaraz wdowa i podała mu rękę, okiem pytającym mierząc tę, co go przyprowadziła. Zonia odezwała się obojętnie, jakby zrozumiała, że ją pytano:

— Chciał poznać Jewłaszewskiego...

Wdowa wnet zwróciła wejrzenie na przybysza.

— Siadaj pan — wskazała mu miejsce przy sobie na kanapie — Jewłaszewskiego istotnie poznać i posłuchać warto, bo to człowiek jakich mało!...

— Jakich niema! — poprawiła Zonia.

— Umysł prawdziwie wyższy... — dodała Heliodora — osobistość znakomita, charakter piękny; a przytém co za prostota!

Kończyła te słowa, gdy się drzwi otworzyły i wszedł słuszny chłopak młodziutki, czarnooki, z twarzą dość przystojną, choć przedwcześnie pofałdowaną, jakby już gwałtownym jakimś podlegała zmianom, które młodą czystość jej rysów nadwerężyły. Szybkim krokiem wpadł do pokoju, witając naprzód poufale podaniem ręki Zonie, któ-

ra bliżej stała, potem tak samo podchodząc do gospodyni, którą pozdrowił zaledwie słowem, i czapkę na stół rzuciwszy, wziął się do zwijania papierosów.

Z jakąś nowiną, której głośno powiedzieć nie chciał z powodu Ewarysta, schylił się do ucha pani Heliodory i spytał zaraz o Jewłaszewskiego, którego tu ojcem nazywano.

— Spodziewam się, że dziś przyjdzie — odpowiedziała wdowa — jeżeli, bo to mu się często trafia, nie zapomni o dniu i godzinie, nie zapędzi się w jakąś rozprawę, którym u niego końca niema...

— Ale ja ręczę, że będzie — przerwała Zonia śmiało — bo mi obiecał...

— A najmilszej swój uczennicy i ukochanej córeczce zawsze słowa dotrzymuje — dodała z małym ironii odcieniem wdowa.

Zonia zdawała się być dumną z nadanego jej tytułu i dokończyła:

— O! tylko co go nie widać! .

Tymczasem nadszedł jeszcze drugi i trzeci młodzieniec, a obiecanego pana ojca nie było; wszyscy oni spoglądali na Ewarysta z rodzajem nieufności i podziwienią, jakby tu sobie dłuższej jego przytomności nie umieli tłómaczyć. Hamowała ona śmielszą ich rozmowę, chociaż po radzie cichęj z Zonią, panowie ei zdali się wkrótce mniej zwracać uwagi na natręta. Znali oni go wszyscy z widzenia, jako jednego z tych kolegów, którzy ich kółka unikali.

Zaczęto rozprawiać o wykładach profesorów, wtrącono potem kilka kwestyj osobistych, ożywiła się pogadanka przy okrągłym stole, za którym siedziała wdowa, gdy naostatek wszedł ów spodziewany Jewłaszewski.

Wniście jego miało już w sobie coś oryginalnego. Zatrzymał się na progu, oczyma mierząc i licząc towarzystwo, dojrzał Ewarysta osobiście sobie nieznanego i skrzywił się nieco. Od progu nie śpieszył ku gospodyni, która wstała na jego przyjęcie i wszyscy zwrócili się z pewnym uszanowaniem, witając ojca. Zonia pierwsza podbiegła ku niemu z poufałością dzieciinną i radością widoczną, chwytając go za rękę, pochyliła mu się do ucha i szeptać coś zaczęła. Oko jego zwrócone na Ewarysta dowodziło, że mu o nim mówiła.

Większą jeszcze powagą na widok nieznanego oblekło się oblicze pana Jewłaszewskiego.

Ewaryst przystąpił, aby mu się przedstawić.

Ojciec przyjął go zimno i ostrożnie, zamrugał słów kilka, zdawał się chcieć zbadać wprzód przybysza, nim się miał cały przed nim otworzyć. W wejrzeniu błędnem widać było niemal obawę. Tymczasem drudzy otaczali już go, a że za nim szło téż kilku młodzieży, w pokoju zrobiło się już gwaro.

Zonia, wcale się nie ceremoniując z temi towarzyszami, podawała

im ręce, śmiała się, dawała przybliżyć do siebie aż do zbytku; odprowadzała jednych na bok, drugich klepała po ramieniu. Była teraz jakby w swoim żywiole.

Jewłaszewski zaczepiany ciągle, ale prawie milezący, nie spuszczał z oka profana, szedł powoli ku stolikowi. Znać było po nim, że go ten obcy niepokoił trochę...

Zonia z ukosa obu ich mierzyła oczkami, ciekawą będąc zbliżenia ku sobie. Inni jednak rozdzielali ich tak, że Ewaryst pozostał na boku w początku, a że się cisnąć nie chciał, odosobniony stał sam jeden.

Zobaczywszy to Zonia trochę się zmarszczyła, podeszła do Jewłaszewskiego, wzięła go pod rękę i jak podbitego a posłusznego niewolnika odwiodła na stronę.

— Niech-no ojciec będzie łaskaw, tego pana weźmie na spytki i udzieli mu się trochę. Jakiś to tam mój kuzyn, zdaje się dobry chłopiec, tylko zahukany wychowaniem... umyślnie tu został, aby ojca poznać. Nie wątpię, że wy go, ojezulku, nawrócicie.

Jewłaszewski słuchał zmarszczony.

— Ale, moja Zoniu — odparł — nie tak to łatwa jest rzecz rozpowijać nasze sprawy, na których ciasne pieluchy, noszone długo, zostały piętna. To się tak na poczekaniu nie robi. Trzeba znać subjekt, nim się zechce działać na niego, aby praca nie była stracona nadaremnie...

— To też proszę, abyś się ojciec poznał z nim — dodała tonem dziwnie nakazującym Zonia, jakby знаła moc swą nad starym.

Jewłaszewski popatrzał na nią, głową pokręcił i gdy mu się jeszcze uśmiechnęła, zamilkł jakby już sprzeciwiać się jej nie mógł.

Dziwny jakiś stosunek łączył te dwie istoty, bo w wejrzeniach starego ojca, ktoby je chciał badać, więcej-by może się znalazło, niż rodzicielskie przywiązanie. Dziewczę panowało widocznie nad nim i znało swą siłę, choć może sobie z niej nie zdawało sprawy. Jewłaszewski prawie z niej oka nie spuszczał, a gdy ona patrzyła nań, rozciągał się pod tym spojrzeniem i mieszał a niepokoił.

Zaraz po odebranych rozkazach, zwrócił się manewrując zręcznie stary, zawsze krocząc z powagą sobie właściwą, wprost ku Ewarystowi.

— Pan tu pierwszy raz jesteś między nami?... — zapytał go głosem pedagoga, który ucznia egzaminowi poddaje.

— Tak jest — odparł Ewaryst.

— Ale w uniwersytecie już pan jesteś oddawna?... — mówił ciągle go badając oczyma stary.

— Drugi rok zaczynam...

— Na jakim oddziale, jeśli wolno zapytać? — ciągnął dalej ojciec.

— Rozpocząłem prawną — rzekł Ewaryst — mam przed sobą zawód życia praktyczny, gospodarza wiejskiego. Agronomia u nas uczy się z tradycyi, bo dalej poza nią nie wyszła, ale stosunki prawne potrzebują, aby się do nich przygotować...

— Tak — odparł sucho Jewłaszewski. — Widać, że pan posłuszny woli rodziców, wszelkich wyższych aspiracyj się wyrzekłeś i nie zamierzasz dalej sięgać nad to, co pod ręką... Skromność to piękna!...

Uśmiechnął się ironicznie, Ewaryst nie bardzo wiedział, co ma mu odrzec na to.

— Tak — dodał po namyśle — byłem posłuszny woli rodziców, a oprócz tego i w sobie nie znalazłem dotąd pobudki do szukania dróg innych.

— To dziwna, bo właśnie pan jesteś w tym błogosławionym wieku, gdy się nadziejami i myślami zwykło strzelać wysoko...

Tu Jewłaszewski przybrał jeszcze poważniejszą postawę pedagoga, i począł mówić zwolna, sam z lubością przysłuchując się sobie:

— Przyznaję się, że mi zawsze żal, gdy widzę młodzieńca w jego wieku, nie mającego odwagi zapisać się do falangi przodowników! Nasz wiek tak potrzebuje tych rycerzy, w obronie prawdy stawać mających.

Ewaryst miał odwagę zapytać:

— Prawdy? ale jakieżże prawdy?

Ojciec z politowaniem pewnym spojrział nań.

— Biada tym, co jęć nie widzą, co o nią pytają! — rzekł — Stoi ona obnażona, jasna, widoma ponad głowami naszymi!... Nie czujesz-że pan, iż stoimy na fałszu, oddychamy fałszem, karmimy się nim, rdzą jego jesteśmy przegryzieni. Wszystko, co istnieje, musi się obalić i pójść precz, abyśmy powrócili na drogę prawdy, z której zeszliliśmy... Kamień nie powinien zostać na kamieniu.

Mówiąc to, spojrział bystro na Ewarysta, szukając w nim wrażenia swjej wymowy. Chorążyc słuchał spokojny i pocisk ten gwałtowny weale się nie zdawał go obalać, jak się mówca spodziewał.

— Przepraszam bardzo pana — rzekł pokornie — lecz chcąc się oświecić, muszę być natrętnym w rzucaniu pytań i wątpliwości... Ile razy ludzkość z jakiegokolwiek powodu nagle zrywała z tradycjami i gardziła zdobyczami i pracą wieków, które ją poprzedziły, widzimy w historii zawsze upadek jęć. Nie podnosi się, aż znowu powracając do łanieucha ogniw, które stanowią, łącząc się z sobą, historią postępu ludzkości. Istotny postęp mnie się zdaje stopniowym

pochodem, nie gwałtowném miotaniem się. Czémże bylibyśmy wyrzekając się tego, co przeszłość zbudowała?

Jewłaszewski słuchając zagryzł usta, oczy mu rosły, powieki drżały, parę razy rzucił wejrzenie w bok ku Zoni, niby z wymówką, że go na rozprawę z zuchwałym przeciwnikiem naraziła.

— To są poglądy przestarzałe — odparł z rodzajem pogardy ojciec, zatrzymawszy się chwilę. Są momenta w historii ludzkości, w których wielkie i gwałtowne leki potrzebne są na zabójczą chorobę; w takim momencie właśnie my się znajdujemy... Mamy wiele, zaprawdę wiele do czynienia!... Burzyć! burzyć!..

Gwałtownym ruchem ręki Jewłaszewski słowom zapragnął dodać wyrazu. Ewaryst stał mileczący.

— Gdybyśmy dozwolili iść wszystkiemu wybitym torem powoli, nigdyby ludzkość nie doszła do swych celów — ciągnął dalej ojciec — odrobina prawdy, jaką odziedziczyliśmy z przeszłości tak się spletała z fałszem, iż aby wykorzenie go i ją poświęcić potrzeba... chwilkowo, niema o to strachu — odrośnie.

Spojrzał na chorążycę; zdało mu się, że działać nań poczynał i ciągnął dalej z większą śmiałością i zapałem:

— Z fałszywych dróg nie schodzi się inaczej jak cofając, lecz cofanie się to pozorne jest, bo ku prawdzie prowadzi.

I stało się mileczenie wielkie, po tym aforyzmie, na który chorążyc nie odpowiadał, Jewłaszewski zaś nie jakoś na podorędziu nie znalazł, by do niego przyczepić.

Widząc jednak, że słuchacz nie ucieka i zdaje się wyczekiwać na dalsze wyjaśnienia, ojciec zaczerpnął z innej beczki.

— Tak, młody panie — odezwał się — zaprawdę wiele mamy do czynienia, pola chwastami pozarastały, nim zasiejemy je, wypieniać, wypleniać musimy!... — chwilkę pomilczał.

— A wiesz pan — dodał zwracając się ku niemu z żywością — gdzie ziarna prawdy szukać?... Oto tam, gdzie je natura zawsze ukrywa na zapas... gdzie ono grubą warstwą ukryte przechowuje się niebezpieczne — u ludu!...

— Lud potrzebuje oświaty — odezwał się Ewaryst — lecz nie wiem, czy ją dać może?

— Oświaty wedle pojęcia powszechnego on nie ma — sprzeciwił się Jewłaszewski, ale ma skarby, o których sam nie wie, zachował instynkta zdrowe. Z tych czerpać nam potrzeba. Przytém jest to do dziś dnia klasa paryasów, wywołaniców, na których pasorzytem siedzi i karmi się reszta ludzi, temu koniec położyć potrzeba.

— Czyż nauka Chrystusowa nie położyła już końca temu, ogłaszając braterstwo wszystkich ludzi i miłość dla bliźnich czyniąc najpierwszym obowiązkiem? — spytał Ewaryst nieśmiało.

Podumał chwilę mąż natchniony.

— Naukę tę zwichnięto w kolebce — dodał. — Lecz widzę, że wy, kochany panie, zbyt zacofani jesteście, a ja odrazu chcąc was nawrócić na wyższe stanowisko, musiałbym wielką z jego przekonaniami stoczyć walkę, odłożymy więc to na czas inny...

Jewłaszewski otarł czoło, był już zmęczony, a nie bardzo pewien wrażenia, jakie wywarł, wolał się więc tymczasowo wycofać, i lekko skinawszy głową chorążycowi, postąpił ku innym oczekującym nań młodzieńcom, którzy zdala się ciekawie przypatrywali pojedynkowi jego z Ewarystem, nie wątpiąc bynajmniej, że pobity zostanie.

Chorążyc jeszcze nie mógł ochłonąć po ukropie, jakim go ziano, gdy Zonia się do niego przysunęła, chcąc pochwycić kuzynka, niby przyszedł do siebie po szwanku.

Zdziwiła się nieco znajdując go spokojnym i raczej skłopotanym, niż zwyciężonym.

— A cóż? a co? — zawołała — mówiliście z ojcem? prawda? co za wymowa? co za myśli? jaki człowiek?

Chorążyc pochylał głowę, potwierdzając to uwielbienie mileżeniem.

— Mało miałem czasu do poznania go i radbym bardzo kiedyś wolniejszym go znaleźć.

— O! to trudno! — przerwało dziewczę. — Z nim, potrzeba chwytac momenty i słowa, on tak jest zajęty, tak otoczony... Młodzież za nim przepada — ciągnęła coraz żywiej. — Wy nie wiecie, to encyklopedya chodząca! Spytać go o eokolwiek bądź, każdą naukę zna, w każdą wniknął głęboko, wszędzie wskazuje słabe strony, braki... umysł dziwnie krytyczny...

Ewaryst się już nie sprzeciwiał, lecz chłód pewien i powściągliwość, z jaką się wyrażał o mistrzu wielbionym, rozdrażniła widocznie Zonie.

— Posłuchajcie-no tylko jeszcze zdala, co mówić będzie — rzuciła szybko, wskazując mu, aby z nią razem zbliżył się do ojca otoczonego młodzieżą — przekonacie się, jak uniwersalny to gieniusz...

Ewaryst szedł posłuszny w jej ślady; przysunęli się do gromadki, tu mowa była o naukach wogóle. Jewłaszewski wyrzekał na idealizm w nich i rządzone przezeń szkody.

— Wszystko nanowo zdobywać potrzeba — wołał — fantazyja zastąpiła doświadczenie. W pomoc rozumowi zwichniętemu muszą przyjść nieomylnie zmysły. Ślepego dziadka będzie dziatwa prowadziła...

Przykłaśnięto mu.

— Komunaly panowały światu wszędzie równo na katedrze, jak w salonach, w życiu i naukach. Precz z nimi... do natury! do na-

tury! do prostych obyczajów; do skazówek, które leżą w nas, a które faryzeusze tylko zowią chuciami i namiętnościami.

Tak daleko się zapędziwszy, nagle pan Jewłaszewski powściągnął się, ostygł i chcąc zmienić przedmiot, zagadnął jednego ze stojących o jakąś kwestyą prawną. W tém miał się za bardzo mocnego. Stara jednak Agafia Sałhanowa nie dała rozwinąć się dyskusyi, bo poczęła roznosić herbatę. Rad był może temu Jewłaszewski i ze swoją szklanką poszedł na kanapę, zabierając miejsce przy gospodyni.

O Ewaryście zapomniano trochę; stał zasłonięty innemi; dochodziły go tylko urywki rozmowy, którą, bardzo prędko papląc, wiodła głównie pani Heliodora.

— Słowo daję! tak jest!... No... uciekła z nim?... krzyczą na nią?... za co?... kochała go... miała zupełne prawo!... kobieta powinna być wolną i iść za sercem...

Nikt nie przeczył. Jewłaszewski dodał:

— Te wszystkie kajdany form naszych towarzyskich, zadawnionych, przestarzałych popękać muszą!... Niepodobna, aby mężczyzna, czy kobieta pokutowali żywot cały za nieroztropne jakieś zobowiązanie się przedwczesne...

Ewaryst posłyszawszy to, spojrzął na Zonię, chciał wiedzieć, jak tę tak zachwale wygłoszoną prawdę przyjęła. Zonia stała o stół oparta z namarszczoną brwią, z twarzą zamysloną, ale się nie sprzeciwiając.

— Jedyne związki prawy — zakończył mistrz — to związki serc... Gdy te się rozchodzą, ludzie rozejść się też mają prawo!...

Komentarze tego pięknego aforyzmu tak głośnie były i hałaśliwe, iż Ewaryst już pochwycić nic nie mógł oprócz gwaru. Ścisnęło mu się serce trwogą jakąś, rad był zaprotestować, lecz niepodobieństwem było wdawać się w rozprawę z tym tłumem.

Nie widząc go, Zonia zbliżyła się ku niemu i sama wyszukała w ciemnym kątku, w którym stał przysłonięty. Spojrzenie, jakie rzucił na nią, nie wiedzieć dlaczego oblało ją rumieńcem... Sądziła, iż powie coś, i zdała się oczekiwać od niego słowa, choćby surowego, ale Ewaryst nie chcąc rozpoczynać z nią walki, znajdując ją może naprózną, zcichła tylko żegnać ją począł. Wyraz smutny jego twarzy powiedział jęj to, czego usta nie śmiały.

— Przeczytaj, proszę, list siostry — rzekł wysuwając się ku drzwiom — i odpisz jęj; ja kiedyś przyjdę po odpowiedź.

Zonia skinęła główką i oczyma do drzwi go przeprowadziła.

Wiosna w tym roku wcześniejszą była, niż zwykle, i piękniejsza niż u nas bywa; nie przerywały jej te powroty kapryśne zimy i chłodu, które ucinają zielonym trawom głowy i warzą liście młode. Rozwijało się wszystko z szybkością nadzwyczajną, a ludzie korzystali z powrotu ciepła, wybiegając nad brzegi szeroko jeszcze rozlanego Dniepru, aby się cieszyć widokiem wspaniałym wód i młodej zieleni.

Jednego z takich dni Ewaryst też wyszedł do ogrodu, którego stare włoskie orzechy jeszcze same jedne martwe stały na wiosny wołanie. Pod nimi już krzewy pomniejszych pobrały szaty godowe, okryły się liśnami, zabierały do kwiatu.

W ogrodzie o tej wieczornej godzinie pusto było jakoś, bo znaczniejsza część uczęszczających tu gości widowiskiem jakimś cyrkowym a głośnym bardzo odciągniętą była. On szukał tu spokoju i cizy, których potrzebował.

Od poznania Zoni, pomimo że się obraniał myślom ciągle powracającym o niej, obraz tego biednego dziewczęcia wciąż mu do serca zaglądał.

Zajmowała go coraz więcej, już nie jako biedna sierota rzucona w tłum, który dla niej był groźnym, nie jako obłąkana teoryjami niebezpiecznymi, od których ją trzeba było ratować, ale jako dziwaczny ideał, do którego się mimo swęj woli przywiązał. Sam on nie wiedział, co w nim gwałtowne dla niej uczucie obudzić mogło. Wszystko, w co wierzyła, co mówiła, raziło go, oburzało, było mu wstrętliwem, ona była nad wyraz drogą. Miłość, jaką powziął ku niej, mogła być czysto zmysłowym urokiem, nie mniej jednak była potężną i silną. Ewaryst upokorzony nie mógł się jej obronić. Walczył z sobą, unikał spotkania, odpędzał wspomnienia, a zaledwie mu się przesunęła przed oczyma, gwałtowne, namiętne przywiązanie wracało.

Nie ona je podsycala, bo nikt obojętniejszym nie mógł być dla niego nad nią. Próba nawrócenia przez Jewłaszewskiego, całkowicie chybiona, odstręczyła Zonię od niego. Patrzała nań z politowaniem, obchodziła się niemal ze wzgardą, pozbywała się go nie tając wstrętu. Pomimo to Ewaryst kochał ją coraz mocniej, coraz rozpaczliwiej, można było powiedzieć.

A miłość ta gotową była do ofiar, szlachetną, czystą, czyniła go nieszcześliwym i pozbawiała spokoju.

Po owym wieczorze, dni z dziesięć nie pokazywał się Ewaryst, nareszcie musiał pójść po odpowiedź dla Madzi. Zonia przyjęła go zimno, nie było już mowy o nawracaniu; mistrz uznał go niezdolnym i nieusposobionym. Wyrok jego srogi Zonię uczynił nieubłagane chłodną i zobojętnioną.

Wspominał o liście do siostry; ruszyła ramionami.

— Co ja mogę napisać do niej? — odparła — ona mnie tak nie

zrozumie, jak ja jej pisma całego, wykrzyków pobożnych, i paplani-ny dziecinnę nie mogłam zrozumieć. To biedne dziecko skazane na wieczną nicotę. Żal mi jej, ale ja na to poradzić nie mogę.

— Jednak, choć kilka słów, jak do siostry!... — dodał Ewaryst.

— Siostry?... cóż to jest siostra?... — zapytała Zonia. — Siostrą mi jest Heliodora, z którą się rozumiemy, jedne mamy myśli i uczucia!... ale ta, siostra ze krwi, niezajoma, obca?..

Poprawiła się jednak, może dla pozbycia chorążycyca:

— A więc, dobrze — rzekła — odpiszę, odpiszę kilka słów... Przyjdź pau, albo nie, przysług je pauu...

Po krótkiej tej rozmowie upłynęło parę tygodni, a że listu nie było, Ewaryst spotkawszy się z Zonią w ulicy, zbliżył się i zapytał o przyrzeczoną odpowiedź.

Trochę niecierpliwie kazała mu po nią przyjść nazajutrz. To krótkie widzenie się z Zonią rozmarzyło nanowo chorążycyca, gdy nazajutrz przybył i zastał ją samą, był w takim usposobieniu egzaltowanym, że po pierwszych kilku zimnych słowach nie wstrzymał się od wybuchu.

— Chociaż nie chcesz mnie znać ani za krewnego, ani za dobrego przyjaciela i okazujesz mi, nie powiem obojętność, ale niemal wzdarcę — odezwał się do niej — pozwól, bym ja ci się przyznał, że ty we mnie wzbudzasz takie uczucie gorące, taką sympatyą, że ja bez trwogi, bez niepokoju pomyśleć o tobie nie mogę, a nie myśleć o tobie jest mi niepodobieństwem.

Zonia się zmarszczyła.

— Bardzo dziękuję za to uczucie gorące — odparła żywo — ale proszę sobie wyperswadować, ażebym ja na nie kiedy choćby ciepłym odpowiedzię mogła. Stoimy za daleko od siebie. Lecz skądże ten niepokój o mnie?...

— A! czyż nie usprawiedliwia go twoje położenie?... ludzie, co cię otaczają!... — zawołał Ewaryst.

— Ja się w tém położeniu czuję zupełnie bezpieczną, a co się tyczy ludzi otaczających mnie, tych szanuję i kocham!...

— Jesteś na drodze... — zaczął Ewaryst.

Oburzona dziewczyna nie dała mu dokończyć.

— Tak! tak!.. na drodze zatracenia!.. zguby!.. — rozśmiała się — A! proszę się mną nie opiekować; wiem, gdzie jestem i dokąd idę!...

Była, pomimo uśmiechu, zagniewana.

Chorążycycowi łzy wytrysnęły z oczów; pochwyił ją za ręce.

— Zoniu! daruj!... nie gniewaj się — zawołał — nikt, nikt na całym świecie lepiej ci nie życzy, więcej cię nie kocha nade mnie!..

Dziewczę śmiejąc się wyrwało mu ręce.

— Cóż to! czyś się zakochał we mnie?... a, toby było zabawném! — zawołała wesoło. — Boisz się dla mnie urojonych niebezpieczeństw, a sam mi grozisz jakąś miłością... Otóż to są wasze faryzeuszowskie cnoty!...

Ewaryst się oburzył.

— Zoniu! — krzyknął czerwieniąc się — tak jest, kocham ciebie, kocham szalenie, ale miłość taka, jak moja nie jest niebezpieczeństwem, a mogłaby być ratunkiem, bo byłaby jawną, uczciwą i wieczną!...

Zonia stała jak rażona tém wyznaniem i pomilczawszy trochę, odpowiedziała chłodno:

— Bardzo panu dziękuję, ale, na nieszczęście, ja miłości innej nie znam i znać nie chcę nad miłość prawdy i nauki, ta mi starczy... Zdawało ci się, sądząc nas z powierzchowności, wnosząc ze swobody, jaka u nas panuje, że będę dla niego łatwą zdobyczą... Mylisz się pan!...

Ewaryst przerwał jęz z tak gwałtowném oburzeniem, że zmusił do milczenia. Chwycił natychmiast za kapelusze i zimno ją pożegnał.

Rozstali się tak jakoś, jakby się już widzieć nie mieli. Chorążycy poprzysięgli sobie, że się do niej nie zbliży. Unikał jęz tak dalece, że spostrzegisz w ulicy, zwracał się w drugą stronę, aby uniknąć spotkania.

Stała się rzecz dziwna, bo raz, gdy niespodzianie zeszli się z powracającą z książkami Zonią, sama ona podeszła ku niemu i przemówiła:

— Gniewasz się pan na mnie niesłusznie. Nie jestem tak zła, jak się wam zdaje, nawet trochę się serca znajdzie we mnie... Miałeś czas sobie wyperswadować ową miłość, ale możemy być dobrimi kolegami.

Podala mu rękę, którą Ewaryst przyjął z wdzięcznością wielką.

Patrzała nań szydersko, ale bez gniewu.

— Żal mi was, żeście się nie dali nawrócić ojcu, miałabym z was dobrego towarzysza, a tak...

Ruszyła ramionami.

— Ja się wam wydaję awanturnicą, a wy mnie, no... powiem po naszymu, faryzeuszem... ale bez gniewu! bez gniewu!...

I nie dając Ewarystowi przyjść do słowa, pożegnała go i pobiegła w swoją drogę.

Ta odrobina serca, której dowodem było słów kilka rzuconych po drodze Ewarystowi, nanowo mu zawróciła głowę.

Walczył z sobą, tak pragnął się zbliżyć do niej, pójść, popatrzeć,

posłuchać choć głosu, w którego wyrazie niby szyderskim brzmiała stłumiona boleść. Obawiał się, aby nowe widzenie się jeszcze monej-go nie obalamuciło, nie rozmarzyło bardziej jeszcze.

Chodził smutny, męcząc się i zżymając na siebie. Przechadzka tego dnia była środkiem rozpedzającym; gwałtowny ruch czasem mu myśli wzburzone uspokajał. Tym razem nie była ona skuteczną. Zamiast ukolysać się, myśli jego rozbujały się tylko i poczęły latać po świecie. Wyrzucał sobie, że się opierał tym nowym prądom, które dokoła niego biegly z taką siłą, że bliżej nie zapoznał się z tém, co tę biedną Zonię zajmowało tak gorąco...

Ze spuszczoną głową siedział tak na ławce, w kącie między krzaki zasunięty, pod pniem jednego z ogromnych drzew orzechowych, dzielących go od sąsiedniej ulicy, plecami do niej zwrócony, gdy usłyszał za sobą głosy i chód. Chciał się poruszyć, aby spotkania z kimkolwiek-bądź uniknąć, gdy w jednym z nich poznał brząający mu zawsze w uszach wspomnieniem, wesoły głosik Zoni, a w drugim, zdało mu się, że rozeznawał mowę mistrza...

Nieprzyjemne wrażenie, jakie zespolenie ich czyniło na nim, nie dało mu się ruszyć z miejsca. Pozostał na ławce. Rozmawiający, idąc po za nim i po za krzakami, zbliżali się, zatrzymali.

Słyszał, jak mistrz zwolna wyrzekł:

— Tu siądźmy!...

W żadnym pewno innym razie nie ważyłby się był Ewaryst podłuchiwać; teraz serce mu biło, uczył się jak przykutym, nie mógł, nie chciał się ruszyć. Czuł, że popełniał może występki... dobrowolnie stając się świadkiem rozmowy, która była poufną i nie dla jego uszu przeznaczoną, a nie mógł odejść. Było to nad siły jego...

— Siądźmy — odpowiedziała Zonia wesoło — Widok stąd prześliczny... wiosna, choć to dziecinna rzecz, ma rozczulać, ale zawsze robi jakieś wrażenie...

— Ha! powrót natury do życia po śnie orzeźwiający — dołożył patetycznie Jewłazewski. — Nieuniknionem to, że istoty będące częścią składową tego świata, powołanego ciepłem i światłem do odradzania się, czują każda w sobie to samo pragnienie, łączenia się, grupowania, dobierania wedle instynktu...

To mówiąc, westchnął lekko.

— Jest to — dodał — pora miłości i miłości, gdy nawet suche wierzby puszczają...

Milczenie trwało chwilę, bo Zonia nie odpowiadała.

— Ja właśnie taką suchą wierzbą jestem... — kończył Jewłazewski — pod której koroną splekana i sękowatą płyną jeszcze życia soki i prądy. Wiosna czyni też na mnie dziwnie wyzywające wrażenie... Odmładza mnie!...

— Wy, ojcze, na duchu młodemi jesteście i młodszemi od wielu naszych młokosów! — odparła Zonia.

— Nietylko na duchu... — przerwał żywo Jewłaszewski — czuję się młodym tém, co pospolicie, a niewłaściwie, nazywają sercem, a co w istocie zmysłem jest tylko. Gdybyśmy byli w nowo zreformowanym świecie wolnego wyboru według znakomitego systemu Fouriera, znalazłaby się może istota, któraby dla mnie znalazła sympatyę, a ja dla niej...

Ewarystowi, który słuchał tych dziwnych zwierzeń poufnych ojca, zrobiło się gorąco, pięść ścisnął.

Zonia milczała.

— Tak, moja Zoniu — mówił dalej mistrz — jest to prawem natury, że się istoty sobie pokrewne i potrzebne łączą parami, dlatego w pewnych szczególniejszych porach ta tęsknota, która w naszym społeczeństwie kunsztowném, wykoszlawioném nie jest ani zrozumiana, ani uwzględniana... To wrażenie, jakie na tobie czyni wiosna, jest pragnieniem zadośćuczynienia prawom natury... Cheesz kochać...

Zonia rozśmiała się, lecz głos jój był jakiś przymuszony i jakby nieszczerzy.

— Mylisz się, ojcze — odparła zimno — serce moje nie nie pragnie oprócz nauki i przez nią opanowania świata. Codziennie narażoną jestem na ocieranie się o młodzież, która mi się podobać stara, żaden z nich nie obudził we mnie uczucia, są mi obojętni. Dla was, któremu winną jestem światło, mam najwięcej poszanowania, wdzięczności, sympatyj...

Mistrz chwilę milczał.

— Zoniu — zawołał — przyszła chwila, gdy ja ci własne twe, dla ciebie niezrozumiałe uczucia wytłómaczyć powinienem. Jest to jasném, jest to prawem natury: bujna młodość ciągnie ku dopełniającej ją dojrzałości. Twoje serce należy mi się, bo ja tak samo sercem całym jestem twoim... Kocham się w tobie!...

— Zartujesz ze mnie — odparła trochę zmieszana Zonia — moje uczucie dla was jest przywiązaniem dziecięcą, niczém więcej...

— Bo sama siebie nie znasz, bo się łudzisz — zawołał Jewłaszewski — powinnaś mnie kochać, my jesteśmy dla siebie przeznaczeni... Ja cię umysłowo wychowałem dla siebie na połowicę swęj duszy...

— Ale, panie Jewłaszewski — zmienionym głosem odezwała się Zonia — ja najlepiej przecież znam siebie!... Pan zartujesz sobie! Chodźmy stąd! Chodźmy!

— Proszę zostać — dał się słyszeć drżący głos Jewłaszewskiego, który zdawał się gniewny i zrozpaczony... Twojém przeznaczeniem jest być moja, moją w całym znaczeniu tego słowa! Bądź-co-bądź, to

się stać musi... Ulegniesz gorącej miłości mojej, będziesz szczęśliwą i mnie uczynisz szczęśliwym...

— Dajże pan pokój i nie mów takich niedorzeczności — głośno poczęła Zonia. — Wecale się z powagą nauczyciela i mistrza nie zgadza, chcieć zawrócić głowę uczninicy... Przyjmuję to, jako żart, ale mi przykro, że mogłeś go się dopuścić ze mną...

Tu głos Zoni podniósł się i zaczął być coraz dobitniejszym.

— Masz mnie za dziecko? ja niem nie jestem! Znam siebie bardzo dobrze. Jeżeli się zakocham w kim, o! pewnie na nic w świecie zważać nie będę i oddam mu się nie pytając, czy świat pozwoli, czy rozgrzeszy, czy mój ukochany związany czém będzie, czy wolny. To prawo natury, bo to prawo serca, ale nie czując miłości, nie będąc porwaną tym szalem świętym, nie dam się kupić ani mądrością, ani milionami! nie sprzedam się ani za wieniec laurowy mojego kochanka, ani za tron, gdyby go miał.

Jewłaszewski dyszał gniewnie, słychać było mruczenie jakies niewyraźne.

W tej chwili Zonia krzyknęła głośno i zawołała:

— Ratujcie!...

Mistrz pochwycił ją w pól i usiłował ustami dotknąć jej twarzy; dziewczę bronilo się mężnie; lecz nim potrzebowało ręce podnieść na zuchwalca, już Ewaryst skoczywszy przez krzaki, przypadł z tyłu i za kohnierz porwawszy mistrza szarpnął nim tak, że się potoczył i padł na ziemię.

Zonia, która nie straciła przytomności, spojrzała na leżącego mędrca, usiłującego się podnieść, tak jak czasem chrząszcze leżące na grzbiecie przewrócić się siłą, rzuciła okiem na Ewarysta i odskoczyła kilka kroków.

Wyciągnęła rękę ku niemu, odzywając się z krwią zimną:

— Odprowadzisz mnie do domu!...

Nie oglądając się na podnoszącego się, nieco potłuczonego upadkiem, Jewłaszewskiego, Zonia szła krokiem dosyć szybkim z ogrodu, z początku ani się nawet odzywając do chorążycy.

Dopiero gdy się nieco oddalili, obejrzała się nań i rzekła:

— Biedny stary, musiał gdzieś za wiele wypić wina, przyszło mu niedorzeczeństwo do głowy... Nigdy się po nim tego nie spodziewała... Wstydz mi za niego i żal... Proszę was nie mówcie o tem nikomu...

— Dla was więcej niż dla niego będę milczał — odparł Ewaryst—ale, kiedym już był tak szczęśliwy, żem w porę przybył na ratunek...

Zonia zaczęła się śmiać.

— Proszę cię, panie Ewaryście, nie wyobrażaj sobie, żeś mnie

wyratował; byłabym się sama obroniła temu oszalałemu biedakowi. Kobieta, która potrzebuje obrońców, nie warta może obrony... W najgorszym razie — dodała śmiało patrząc w oczy kuzynowi — mam doskonałe zęby, które mi natura niedarmo dała.

Chorażyc słuchał smutny.

— Ale, moja Zofio — rzekł — lepiejby było podobno nigdy się nie narażać na to, aby ich potrzebować. Jakżeś mogła...

— Daj mi pokój! rozum potrzeba okupić doświadczeniem — rzekła Zonia. — Proszę cię, jakżem ja pomyśleć nawet mogła, aby ten człowiek, dla którego rozumu i nauki mam cześć taką, który był dla mnie ojcem duchownym i inicjatorem, miał się podobnego wybryku dopuścić?...

— Mogłaś jeśli nie przewidzieć to — odparł Ewaryst — to z samych tych teoryj dziwaczkowych, jakie on głosił, wyciągnąć wniosek, iż go żadne prawo nasze społeczne, ani religijne krępować nie będzie...

— Ale powinien go być zdrowy rozum wstrzymać od narzucania mi się z uczuciem, którego ja przecież podzielać nie mogę! — odparła Zonia.

— Myślisz, że rozsądek ma jaką władzę nad uczuciami? — rzekł Ewaryst. — Powinien ją mieć, lecz one przeciwko niemu nieustannie zwyciężki bunt podnoszą.

Szli chwilę w milczeniu.

— Biedny stary — odezwała się Zonia — żal mi go... będzie mi go brakło!

— Spodziewam się, że się nam więcej nie pokaże — dodał chorażyc — i że wy go nie będziecie widywać.

— Nie — odparła Zonia — jeżeli się wytrzeźwi!

Ruszyła ramionami.

— Nie da-ż ci to do myślenia — dolożył chorażyc — że teorie, które do takiej praktyki doprowadzają, niewiele warte być muszą.

Zoni oczy zabłysły.

— Jesteś niesprawiedliwym — zawołała gorąco — chwila szalu i słabości niema nie wspólnego z teoryjami. Zwierzę odezwało się na chwilę w mądrym; mamże dlatego pogardzić mądrością?

— A cóż warta mądrość, która nie umie zapanować nad człowiekiem, co ją wyznaje? — dodał Ewaryst.

— Do wypadku tego przywiązujesz zbytnią wagę — spokojnie odpowiedziało dziewczę. — Mnie on pewnie z raz wytkniętej nie sprowadzi drogi...

Chorażyc spuścił głowę smutnie.

— Wiem, wy się litujecie w duszy nad obłąkaną — dodała —

a ja zupełnie tak samo nad tobą, co mi się wydajesz na śmierć duchową wyznaczonym, na życie automatu, któremu za sznurki służyć będą stare przesady, konwencye, przerdzewiałe prawa i strupieszale fanatyzmy... Z nas dwojga ja jeszcze jestem szczęśliwszą, żyję życiem, gdy ty będziesz się żywił śmiercią... No, ale dlatego, ty mniemany mój wybawco ze szpon uwodziciela, nie gniewaj się na oszalałą swą, nazwijmy siostrę; ja ci sprzyjam o tyle, o ile moje serce może komu sprzyjać. Mam trochę słabości dla ciebie, może rodzącej się z tego, że mi cię serdecznie żal...

Z uśmiechem wdzięcznym zwróciła się ku niemu, Ewaryst zbyt gorąco pochwycił całować jej rączkę.

— O! bardzo proszę nie naśladować Jewłaszewskiego; zimno, po koleżeńsku się rozstałmy... Sympatyi mojej nie tłómacz pan sobie inaczej tylko swém kalectwem!

Rozśmiała się.

Byli w uliczce blizkiej domu Agafi Salhanowej; Ewaryst doprowadził ją tylko do miejsca, z którego domostwo widać było, ścisnął jej rękę i poszedł.

Wypadek ten dziwny, a więcej jeszcze rozmowa w drodze z Zonią, przykro mu serce ścisnęły.

Rozstawszy się z nim, dziewczę żwawym krokiem wprost pobiegło do dworku, w którego oknie otwartém na ulicę siedziała z papierosem w ustach pani Heliodora.

Przywitały się poruszeniem głów i uśmiechem.

— Chodź-no do mnie, Heldusiu, coś ci mam świetnego do powiedzenia — zawołała Zonia.

W chwilkę potem spotkały się w progu pokoju Zoni, która za wchodzącą drzwi zamknęła.

— Miałam awanturę — żywo poczęło dziewczę, zrzucając z głowy kapelusik tyrolski na piórkiem.

— Awanturę! ty! a tom ciekawa — rzekła mrużąc oczy i puszczając dym kłębami wdowa.

— Poszliśmy do ogrodu z ojcem, rozmawiając sobie o tém i owém — ciągnęła Zonia dalej — pod orzechami na ławce, skąd widok bardzo piękny, siadłam z nim. Stary wydał mi się jakiś dziwny, podrażniony, niespokojny. Ni z tego, ni z owego, mówiąc o naturze, wtrącił o miłości, dalej o wielkiej dla mnie sympatyi, potem już, że się kocha szalenie, a gdym się z niego śmiała i perswadowała mu, pochwycił mnie w pól i zaczął całować. A! tego już nadto! Szarpnęłam się mu z krzykiem z rąk. Licho tam przyniosło na mój głos Dowohuba, a ten jak go chwycił za kark...

Heliodorze papieros wypadł z ust, załamała ręce, namarszczyła brwi, twarz jej dziwnie się wykrzywiła i przybrała wyraz groźny.

— Miałaś czego bo krzyzcć — zawołała — i czego się tak opierać?

— Jak to! — przerwała Zonia.

— No, cóż! zjadłby cię był, pocałowawszy! — krzyknęła gniewnie gospodyni. — Prawdziwie nie rozumiem cię! Byłam pewną, widząc jak się z ojcem obchodzisz, że go rozumiesz oddawna, widocznie miał pasyą do ciebie. Okazywałaś mu się życzliwą; cóż było naturalniejszego nad to, by myśleć, że się z sobą porozumiecie...

— Heldusiu! — zaśmiała się Zonia — co tobie? Przypatrzyłaś ty mu się kiedy?

— Ja go tak brzydkim nie znajduję — odparła gospodyni — rozum i natchnienie opromieniają go.

— Bierz-że go sobie z jego rozumem i natchnieniem — zawołała Zonia — bo ja go nie chcę.

— Tak, myślisz sobie wybrać jakiego młokosa, który cię skompromituje i uczyni nieszczęśliwą — mówiła Heliodora ciągle z gniewem.

— Ja nie myślę jeszcze o żadnym—śmiejąc się wtrąciła Zonia — daj mi pokój.

— Ty nie myślisz dziś, ale to darmo, natura się o swe prawa upomina — przerwała wdowa, dobywając już cygaretkę. — Z nim byłabyś szczęśliwą, a z drugim napytasz łez... Ale — dodała z poruszeniem ramion — co mi do tego, jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. Przykro mi tylko będzie, jeżeli do nas Jewłaszewski z twojej przyczyny chodzić przestanie.

— I dlatego, abyś ty go nie straciła, ja miałam paść ofiarą? — zapytała gwałtownie, Zonia — Heldusiu!

— Ofiarą! ofiarą! — szepnęła wdowa — tą ofiarą padniesz sama, nie wiedząc kiedy i jak, jak my wszystkie... i nie będziesz z niej miała nawet tej pociechy, żeby się pochwalić takim człowiekiem jak Jewłaszewski...

— Moja Heldusiu — odezwała się Zonia — słuchaj, ja mam w tém inne wyobrażenia i zasady. Żal ci Jewłaszewskiego? zawadzam ci w domu? No, to mów; jutro się wybiorę stąd...

— Co ci to w głowie! — rzucając się ku niej i obejmując ją rękami z nagłą czułością wielką, zawołała pani Heliodora. — Jesteś jak siarka! wnet buchasz płomieniem... Cóż jabym poradziła bez ciebie, ja, co cię tak kocham! niewdzięcznico!

Po uścisku tym, puściła dym wdówka i ciszej dodała:

— Słuchaj-no, spodziewam się, żeś Dorohowi o tém mówić za-

kazała? Nie róbże z tego wielkich rzeczy; ja w tém, że my Jewłaszewskiego zagodzimy, i będzie po staremu! No, cóż wielkiego? co osobliwego? zachciało mu się całusa ładnej dziewczyny! Ludzka rzecz! Ktoby mu to tam za złe miał! Żeby ode mnie był chciał pocałunku — dodała ze śmiechem — nie byłabym mu go pożałowała! E! dzieciństwo!

Na tém skończyła się rozmowa.

Przez kilka tygodni Ewaryst nie spotykał się z kuzynką, nie sły­szał nic o niej, nie miał kogo nawet zapytać.

Jewłaszewskiego, o którym myślał, że powinien był nazajutrz po wypadku w ogrodzie miasto opuścić, zobaczył parę razy zdaleka, nie a nie niezmienionego i w taką przyodzianego powagę jak zawsze.

Przychodziło mu do głowy, że go wyzwąć może, ale nikt się nie zgłosił.

Jednego dnia na Kreszczatyku, idąc ulicą, chorążyc nie uważał dobrze na przechodzących około siebie, gdy poczuł, że go ktoś zlekka za rękę pochwycił. Ulica była prawie pustą, przed nim stał Jewłaszewski.

— Słoweczko — odezwał się cichym głosem. — Znalazłeś się pan gorączkowo w pewnym wypadku — począł mistrz — niezrozumiawszy, co się działo... bo to była próba temperamentu, studyum! rzecz w świecie najniewinniejsza!

Mówił seryo; chorążyc chciał mu przerwać, ale nie dopuścił go do słowa Jewłaszewski.

— Omyłki téj, zresztą zupełnie wytłómaczonej, ja panu bynaj­mniej nie mam za złe... — kończył mistrz — pozory były przeciwko mnie, gorąca krew tłómaczy pana. Rzecz uważam za skończoną. Nauka życia jak inne wymaga ofiar, ja i z siebie je chętnie składam na jój ołtarzu. Wszakże, spodziewam się, że pan będziesz dyskret­nym.

— Słuchaj pan — odparł Ewaryst lekceważąco — jak i co było, w to nie wchodzę, zapytaj pan swojego sumienia, jeżeli teorye pańskie dają mu jaką władzę i kompetencyą, nie zamilczałbym może o tém dla niego, ale dla panny Zofii muszę.

Chciał odejść, gdy Jewłaszewski go za rękę przytrzymał.

— Niechrze pan wie o tém — dodał — że rzecz między nami zo­stała wyjaśnioną, że rozumna niewiasta wytłómaczyła sobie próbę, na jaką ją wystawiłem w interesie nauki...

Chorążyc śmiać się zaczął pogardliwie.

— Czytałeś pan Tartufa? — zapytał — pokazuje się, że i nauka ma swych Tartufów! Żegnam pana!

I poszedł.

Milczenie było mu nakazaném przez Zonię i w jej interesie, zachował więc je święcie, unikając wszelkiego zetknięcia się z tym ojcem, dla którego miał największą pogardę.

Wypadek w ogrodzie, o którym tylko Zonia, jej przyjaciółka i on wiedział, został tém lepiej ukrytym dla wszystkich, że Jewłaszewski nie przestał wcale uczęszczać na wieczory do pani Heliodory, a na nich okazywać dla pięknej Zoni tego samego co dawniej ojcowskiego afektu i uwielbień.

Co do niej, była może trochę zimniejszą dla mistrza, lecz nie przestała ulegać urokowi jego słowa, pociągał ją ku sobie ową mniemaną mądrością swoją, zlepkim najrozmaitszych zrzyneków i kawałków szychu, z którymi się popisywać umiał wcale zręcznie.

Unikał on ludzi, którzyby z nim ściślejszą, logiczną poprowadzić mogli dyskusya, a młodzieży starczyły błyskotki, jakimi ich osłepiał.

Nadspodziewanie wszystko zostało w tym stanie jak było, a przynajmniej oczy obcych różnicy dostrzedz nie mogły; nie miały powodu domyślać się niczego.

We dwa dni po spotkaniu w ogrodzie, Jewłaszewski wybrawszy godzinę, w której był pewnym, że się z Zonią nie spotka, przyszedł do oczekującej na niego wdowy.

Agafią Salhanową, zawsze natrętnie pragnącą wtrącić się do każdej rozmowy, wyprawiono pod jakimś pozorem.

— Wiesz, moja dobrodziejko, co się stało? — zagadał mistrz po wyjściu staruszki.

— A wiem! to głupi dzieciak z téj Zoni! — poczęła gorąco wdowa. — Ale bo pozwól, ojezulku, powiedziéć, pośpieszyłeś się. Nie radziłeś się mnie, mówiłam ciągle, czekaj, aż ja ją przygotuję... Otóż masz skutek niecierpliwości.

— Cóż pani chcesz, moja droga — obie ręce wyciągając przed siebie i ściągając ramiona rzekł Jewłaszewski. — Pasya, namiętność! Ja mówiłem sto razy, musi być jakiś koniec... Była ze mną jak najlepšíj, brałem ją za ręce, obejmowałem, pochylała się na moje ramiona, głowa mi się zawróciła, oszalałem!

Pani Heliodora słuchając rumienila się nie wiadomo z jakiego powodu, że nie ze wstydu, to pewna.

— Mówiłam wam, ojezulku — odezwała się — mówiłam sto razy, cierpliwości, będziesz ją miał. Dziewczę żadnych głupich przesądów już niema, ale mi ją trzeba było dać przygotować... E! popsuliście sprawę!

— Trzeba naprawić! — odezwał się zbliżając do wdowy Jewłaszewski. — Mów pani, perswadowuj! jak tam będziesz uważała. Wy kobiety w tych sprawach jesteście mądrzejsze od nas.

— Ja to w części polatam — odpowiedziała Heliadora. — Ona się nie gniewa już, ale co dalej? Zdradziłeś się.

— Cóż dalej? — gwałtownie zawołał Jewłaszewski — sierota! bez funduszu... bez opieki. Cóż ona chce? może-ż lepiej wyjść jak za mnie?

— Ależ ty się z nią nie możesz ożenić! — przerwała wdowa.

— Dlaczego? dlaczego? — wtrącił żywo mistrz — dlatego, że byłem niegdyś żonaty? Ale nie jestem! nie jestem! To było waryackie ożenienie w wieku takim, gdy człek rozumu nie ma za grosz. Pani nie wiesz? To była prosta dziewczyna, kozaczka, tyle tylko, że bardzo piękna. No i cóż? Porzuciłem ja ją i ona mnie, przepadła bez wieści! wiele lat temu? piętnaście! Na świecie jój niema, bo-by się zgłosiła przecie, choć dla kawałka chleba. I jaki to tam był ślub, w małej wiejskiej cerkiewce, prawie bez świadków, bez metryki. Nie miałem naówczas dwudziestu lat!

Jewłaszewski chodził prędko po pokoju, rozgorączkowany się.

— Więc cóż ma stać na przeszkodzie ożenieniu? nic, nic. A już kiedy inaczej nie można i kiedy ona tam będzie tych form wymagała, no, to się ożenie...

Wdowa patrzyła, słuchała, paliła papierosa i kręciła ustami dziwacznie.

— Ty wiesz, ojezulku — rzekła — że ja twoja wielbicielka, uczyniłabym dla ciebie, co tylko w mój mocy. Wszakże ja ją nie dla czego wzięłam tu do siebie, tylko aby ci ją dać. A no, trudno! strasznie samowolna i uparta. Myślałam, że jój zawrócisz głowę, że padnie przed tobą plackiem.

— Alboż nie opanowałem jój ducha? — odezwał się mistrz.

Paramińska ręką machnęła.

— Co to za panowanie! — rzekła. — Teraz kiedy znowu zgoda nastanie, trzeba podwoić upajającego trunku waszj mądrości.

Rozśmiała się wdówka i dorzuciła:

— Kiedy nie może się zakochać w twarzy, niech się w gięniu szu zakocha. Alboż to takich nie było przykładów?

Jewłaszewski stał jakoś zadumany i jakby wątpiący o sobie.

— Tylko mi pani pomagaj, jakoś tego dokonamy. Rzuć myśl ożenienia, przecieź to... coś znaczy nosić imię moje i dzielić losy...

Ostatnie wyrazy, które się nieco dumnymi wydawać mogły, były w oczach wdowy całkiem usprawiedliwione.

Jewłaszewski w istocie miał wpływ i znaczenie ogromne; młodzież cała przepadała za nim i szła pod jego dwuznacznym wielce, bo

niewiedzięć dokąd mającym prowadzić sztandarem... Sława tego znakomitego człowieka rozchodziła się przez adeptów po prowincjach, oprócz tego do wzrostu jęj przyczyniały się rzadko, ostrożnie, ale dosyć zręcznie rzucane w pismach zbiorowych artykuły i broszury, które Jewłaszewski pod jakimś przezroczystym pseudonimem wydawał.

Jako pisarz dał dowody przedziwnego instynktu, obierając sobie formę, która dozwalała mu z myśli pokazywać różki, końce, strzępki, kawałki, nie zmuszając do rozwinięcia ich w pewnym ciągu logicznym, w pewnej całości jawnej.

Jewłaszewski udawał humorystę i dobrze mu z tém było. Humor ma swoje prawa, najprzód wydrapuje się na pewną wyżynę pozorną, z której wygodnie jest sarkać, nie dając się pochwycić, powtóre posługuje się fantazją, pozwalającą omijać miejsca, których się przebrnąć nie spodziewa, naostatek chwyta on, co napadnie, i sieka na bigos najkosztowniejsze ingrediencye z najbrudniejszym śmieciem, i to mu uchodzi.

Za filozofem-humorystą kazał się Jewłaszewski dorozumiewać niezmiernie głębokiego myśliciela.

Co przyznać mu potrzeba, mimo wszystkich jego wad i ułomności, był w dobrej wierze. Zdawało mu się, że to, co czynił, istotnie wiodło do wielkiego celu i że on do tój roboty powołanym był i stworzonym.

Przekonania jego były tak głębokie, iżby się był za nie cierpieć nie wahał.

Gwałtowna miłość dla uczennicy była w nim słabością, którą on sam oplakiwał, lecz tak upartą, że go zmogła. Czuł, że ona mu szkodzić musiała, że do pewnego stopnia poniżała go, dręczył się, lecz nie mógł zwyciężyć.

Wpływ Jewłaszewskiego, o którym mówiliśmy, był tak wielki, iż gdy został zmuszonym użyć go przeciwko chorążycowi, Ewarystowi natychmiast się to uczuć dało. Potrzebował się go pozbyć, odosobnić go, zmusić, aby się przeniósł gdzieindziej.

Nie było innego środka, czuł w nim nieubłaganego nieprzyjaciela...

Wieczorami kółko adeptów, jeżeli się nie zbierało u pani Heliodory, lub u którego ze studentów, najczęściej się ściągało do mistrza.

Jewłaszewski zamieszkiwał w jednym z naówczas dosyć jeszcze rzadkich domów murowanych na głównej ulicy, na drugiem piętrze, ciasno, ubogo, skromnie.

Wchodziło w jego program życie jak najbardziej do ludowego zbliżone; więc i przyjęcia były nadzwyczaj proste, a herbata, wódka,

ser, słonina, nawet ogórki kwaśne, stanowiły zwykłą przekąskę. Młodzież się schodziła, jak kto stał, niektórzy w koszulach włożonych po burlacku, bo i Jewłaszewski w domu zwykle strój ten nosił...

Dwa pokoje z przedpokoikiem stanowiły całe mieszkanie, w którym stoły od siekiery, stołki drewniane, sprzęt chat wieśniaczych, umyślnie był na okaz wystawiony.

Mnóstwo książek porzuczanych najdziwaczniej, bez najmniejszego starania o zachowanie ich stanowiły cechą domu. Na stole, na półkach, na ziemi, na sofie nakształt tureckiej, wały się powtykane, pozakładane, porozplaszczane dzieła w najrozmaitszych językach, w najróżniejszych przedmiotach, zdające się posługiwać do jakiegoś przedsięwziętej pracy.

Siadano na nich, deptano je, zrzucano łokciami, nikt, a gospodarz sam jak najmniej się o nie troszczył.

Trochę śmiesznie wśród nich wydawała się gitara, ulubiony instrument Jewłaszewskiego, towarzyszący mu do piosenek małosuskich, które wyśpiewywał lubił i uchodził w nich za mistrza. Był chlubny z tego talentu, ale się popisował z nim rzadko i tylko w chwilach natchnienia, które mu niekiedy przychodziły tak niespodzianie jak inne fantazyje jego.

Całą służbę mistrza stanowił jakiś Wańka, wyrostek, który z panem był za pan brat (i to należało do programu). Jewłaszewski utrzymywał, że wychowaniu jego mnogie poświęcał godziny i miał z niego zrobić człowieka co się zowie. Tymczasem był Wańka co się zowie łobuzem i urwisem. Sławnie już pił wódkę, ale w tém Jewłaszewski też celował i bez niej żyć nie mógł.

Gdy mistrz ów a raczej bał'ko, bo go tak zwano, w domu się znajdował i z ulicy widać było, że się w oknach świeciło, wchodził do niego, kto chciał. W kominie stał wiekuiście kipiący samowar, podawano herbatę, palił każdy, co chciał i co z sobą przyniósł, a zakąsywano chlebem, słoniną, ogórkami, rybą jaką lub niewykwintnymi owocami.

Najeczęściej przybywający nie zdejmował czapki, a gdy miejsca były pozajmowane, siadał na stole lub na ziemi. Witanie się z gospodarzem nie było obowiązującym.

Jewłaszewski w koszuli legiwał na sofie, otoczony książkami, u boku mając na zawołanie gitarę, wśród gości kręcił się Wańka na stopie zupełnej równości, mieszając się do rozmowy, gdy mu się podobało. Brano go też za uszy, gdy się to komu podobało.

Nieograniczona swoboda panowała na tych wieczorach, w ciągu których goście się mieniali i przedmioty rozmowy, Jewłaszewski umiał tak zawsze występować ze słowem, że wywierał wrażenie.

Gdy mu to nie było na rękę, milczał i nikt nie był w stanie go na słowo wyciągnąć; gdy nie chciał mówić, śpiewał...

W dniach, gdy mu starzy przyprowadzali nieznanymi, młodych adeptów, występowanie gospodarza było więcej na wrażenie obrachowane, staranniejsze; nigdy jednak zupełnie przyjęte formy się nie zmieniały.

Spierano się często o idee, ale trafiało się mówić i o ludziach; kółko Jewłaszewskiego było dosyć szerokie i liczne, nie obejmowało jednak wszystkiej młodzieży. Stały po za niem i jednostki odosobnione i inne choć pomniejsze kółka i kółeczka.

Po wypadku w ogrodzie jednego dnia, trafiło się coś mówić o profanach; ktoś wspomniał o Dorohubie, jako o uczniu, który do śmieśzności pilność swą posuwał, nie opuszczał żadnej prelekeyi, przychodził zawczasu, pisał zapalczywie, wyśmiewano się też z pedanta...

— Gadajcie sobie co chcecie — rzekł niejaki Zyżyński — zawsze taka pracowitość dowodzi małego umysłu, niewielkiej zdolności i trwożliwego ducha...

— A dobrześ go scharakteryzował — odezwał się brzdąkając po gitarze Jewłaszewski — ale niekompletnie. O! ho! jest tam coś więcej!

Czekano, aby wyjawiał tę tajemnicę, ale zaczął podśpiewywać piosenkę i urwał. Siadł przy nim Zyżyński.

— Co więcej? — zapytał.

— Ciekawys!... — dodał patrząc na gitarę gospodarz — hm! To, ptasio! Ty wiesz, co znaczy ptasio? A po co on tak pragnął się wśliznąć i podpatrzeć nasze zebrania u Heldusi? A jak to on słucha pilnie... Ktoby powiedział, że ma misyą nastawiać uszy... (dokończył ciszej) i chodzić z językiem.

Tu brzdąknął z całych sił po strunach jakby własne słowa chciał zagłuszyć...

I począł śpiewać, a gdy śpiewał, słuchano w skupieniu ducha, i nikt nie śmiał mu przerywać. Zyżyński siedział w swém miejscu, aż mistrz skończył dumkę.

— Powiedz ty mnie — szepnął — myślisz, że on chodzi z językiem?

Jewłaszewski tylko głową kiwnął. Nazajutrz nawet w innych już kółkach, nie będących w związku z mistrzem i jego uczniami, koso spoglądano na pana Ewarysta.

Nie spostrzegł tego rychło, bo wogóle do zbytku może był bojaźliwym w zawiązywaniu znajomości i robieniu stosunków. Symptomata nieufności jednakże rosły z dniem każdym. Zwolna najlepsi znajomi, pod wpływem jakichś głuchych wieści, zaczęli ostygąć, odsuwać się, unikać.

Chorażyc poczuł wreszcie otaczający go chłód, domyślił się może, skąd nim wiało, ale weale go to nie zdawało się obchodzić.

Samotność nie dolegała mu zbyt w początku, lecz gdy trochę nią znudzony, usiłował z niej wyjść, zaczął się niecierpliwić, dostrzegając, że młodzież stawiała mu się więcej niż obojętnie, bo pogardliwie.

Zadać tłumaczenia nie chciał, nadto był dumnym, wiedział, że powinien to przypisywać wpływowi Jewłaszewskiego i możeby mu z placu ustąpił, gdzieindziej się przynosząc, gdyby nie Zonia. Nie chciał i lękał się ją tak opuścić.

Widował ją rzadko, bo do pani Heliodory nie chodził, spotykali się czasem w ulicach, była dlań dosyć uprzejmą, spoufalenie z nim braterskie rosło, ale nie więcej. Ewarysta też miłość nie ostygając weszła, mówiąc językiem kolegów jego medyków, w stadium chroniczne. Było to uczucie bez nadziei a uparte. Zdawało mu się, że czując dla niej przywiązanie, ma zarazem obowiązek choć zdaleka czuć nad nią.

Wypadek w ogrodzie był jakby skazówką dlań, że los go jęj na obrońcę przeznaczał. Więc choć położenie coraz się stawało przykrzejszém, bo łatwiej jest znieść osamotnienie zupełne niż samotność wśród tłumu, postanowił wytrwać na stanowisku. Zdała patrząc nań, niepodobna było nie uczuć szacunku i sympatyj dla człowieka, który szedł tak śmiało swoją drogą, z podniesioném czołem, nie dając się podrażnić i nie chcąc wiedzieć ani słyszeć, co go otaczało, oddany jedynie pracy. Widząc się wszędzie prawie odepchniętym, Ewaryst skończył na tém, że się usunął powoli od towarzystwa, które mu najmilszém było. Zamykał się w swém mieszkaniu, chodził na lekcye, odbywał przechadzki w tę stronę, gdzie się najmniej ludzi spotykać spodziewał, w ulicach unikał zaczepki i stykania się z dawnymi przyjaciółmi, którzy teraz dla niego ostygli i, z czystém sumieniem a dumą jego, z trochę smutku w duszy, został tak na uboczu, nie dając nawet nieprzyjaciółom tej pociechy, by go widzieli cierpiącym.

Musiąco to obruszać Jewłaszewskiego i jego towarzyszków; spodziewali się bowiem, że zmuszą chorażycę do zmiany miejsca pobytu, do wyniesienia się ze studjami gdzieindziej, a mistrz postrzegłszy, że mu się nie udało nieprzyjaciela odpędzić, chodził zasepiony.

Widok tego świadka sceny dla niego boleśnie pamiętnej nie dawał Jewłaszewskiemu spoczynku, nie mógł nań patrzeć. Gniewało go i to, że kilka razy mówiąc o nim z Zonią i starając się przed nią go spotwarzyć, przekonał się, iż tego nie dokaże; brała go żywo w obronę.

— Niech ojeicie mówi, co chce, o jego zacofaniu i ślepotcie, na to się

zgodzę, że biedak obalamucony jest wychowaniem, i że daleko nie zajdzie, wszystko to prawdą być może, ale złym on nie jest i natura a serce poczciwe...

— Z jego faryzeuszowskiemi pryncypiami — odparł mistrz — nawet poczciwym być nie można. Tak! prędzj później zasiane ziarno fałszu kiełkować musi i zagłuszy nawet dobre popędy. Ja go nie cierpię i ostrzegam.

Zonia, nie wiedząc jak ten wstręt ma sobie tłómaczyć, milczała, uśmiechała się, nie sprzeciwiała.

Jewłaszewski rad był, że się przynajmniej z nim spotykać nie potrzebował.

Na list Madzi, Zonia, jak była przyrzekła, odpowiedziała i odpowiedź niezapieczerowaną oddała Ewarystowi.

— Sama nie wiem, co tam popisałam — powiedziała mu wręczając ją. — Nienawidzę ludzi grzecznych, bo grzeczność prowadzi do fałszu, nie lubię być grzeczną dla nikogo, ale znowu daremnej przykrości siostrze-bym zrobić nie chciała. Pan znasz lepiej jak tam do nię pisaćby potrzeba, przeczytaj mój list, jeżeli znośny, to go odeślij, jeżeli nie do rzeczy, to spal; ale ja już innego nie napiszę...

Ewaryst według rozkazu postąpił i list przeczytał. Był on zimny, mało mówiący, ale nie zawierał w sobie rażącego nic. Nie wyzywał do ściślejszych stosunków. Ewaryst postanowił go wysłać, aby złudzenie poczciwój Madzi rozproszyć.

Po odpowiedzi tēj długie nastąpiło milczenie; domyślał się chorażyc jak ona przykre musiała uczynić wrażenie, i że Madzia łzami ją może oblała...

Nie napisała już rychło, zrażona, odepchnięta, ale w kilkanaście tygodni przy korespondencyi z domu odebrał znowu list do Zoni...

Nie chciał z nim iść do jēj mieszkania, nie wiedział, jak go odeślać, i choć zwykle z lekeyi wprost szedł do domu, tego dnia zatrzymał się, oczekując na wyjście Zoni, o której wiedział, że była w sali na odczycie.

Nierychło ukazało się dziewczę, jak zawsze otoczone rojem młodzieży, wśród którego wyglądała jak królowa ze swym dworem. Kochali się w nię niemal wszyscy, a ta śmiała i ekscentryczna dziewczyna zawracała głowy szalenie i robiła prozelitów, jakimi najwymowniejszy mędrzec nie mógł się być pochłubić. Niema niebezpieczniejszych apostołów nad kobiety. W ich ustach prawda nabiera blasku, a fałsz traci swą potworność. Kunszt uwodzenia nawet bez świadomości jest im wrodzony. Cóż gdy do wdzięku, do uroku młodości przyłączy się talent, dowcip, umiejętność słowa i zapał, który jest żywiołem zaraźliwym?

Tego dnia Zonia z wesołą twarzą wychodziła z lekeyi, a roz-

mowa głośna, rozpoczęta w progu sali, przedłużała się w ulicy. Młodzież wyzywała ją na słowo, rada głos jej posłyszec. Ewaryst stojący zdaleka nie chciał się połączyć z tym dworem Zoni, przypatrywał mu się tylko, mając zamiar pójść za nią i zbliżyć się, gdy pozostanie sama.

Ona nie postrzegła go nawet i, swobodną wiodąc rozmowę dalej, szła, za sobą prowadząc cały szereg wielbicieli. Znał ich wszystkich Ewaryst; — z zazdrością zakochanego, prawie mimowolnie ją szpiegował, ale dotąd żadnego szczególnego znaku sympatii dla nikogo nie dopatrywał.

Najgłośniejszymi wielbicielami Zoni byli, najprzód sam mistrz, który ją wynosił pod niebiosa i za przykład stawiał kobietom, potem Zyżycki, chłopak gorącego temperamentu, niewielkich zdolności i powierzchowności nie pociągającej. Miał w sobie coś gburowatego, wyglądał na parobka, a niskie czoło szerokie, z oczyma małemi, głęboko pod niem osadzonemi, wyraz przykry nadawało jego fizygnomii wyzywającej i szermierskiej.

Prześladowano Zyżyckiego miłością dla Zoni, której on się nie wypierał; ona wiedziała o niej i śmiała się tylko; nie groziło jej z tej strony żadne niebezpieczeństwo.

Daleko więcej niepokoił Ewarysta młody, świeżo, jak się zdawało, nawrócony, jak dziewczęce piękny, delikatny, co chwila rumieniący się kolega, Zoryan Szeliga. Był to chłopak majątny, jednak u rodziców, wypieszczone dziecię matki, rozwinięte przedwcześnie, rozgrzawkowane już do życia i upojone pierwszemi jego kielichami.

Z domu, w którym czuвано nad nim troskliwie, Zoryan puszczony nagle na swobodę, bujał jak młody żrebak, który się wyrwał ze stajenki.

Bardzo piękna, biała twarzyczka, z której jeszcze dziecinna świeżość nie zeszała, otoczona włosami kruczemi, oczy czarne wyraziste, usta kobiecym namaszczone wdziękiem, postawa mająca w sobie także jakiś niewieści urok i coś pieścizotliwego, czyniły Zoryana ulubieńcem wszystkich pań i panienek. Heliadora zwała go Antynousem i okazywała mu może do zbytku posuniętą życzliwość.

Z pierwszego wejrzenia, od jednej rozmowy z Zonią, Zoryan się w nią zakochał, po dziecinnemu, szalenie. Nie krył się z tém, był jej natrętnym. Z początku i z niego się śmiała. Jewłaszewski zażądał, aby użyła całej przewagi, jaką nad nim miała, dla pozyskania go gronu, któremu przodował. Chciano mieć bogatego Zoryana, bo grosz, nawet w propagandzie naukowej, jak w każdej innej, bywa potrzebnym, a nie miano go wiele.

Zoni udało się nie tylko nawrócić ładne chłopię, ale z niego

uczynić niewolnika. Ewaryst wiedział o tém potrosze, lecz po raz pierwszy teraz, przy wychodzeniu z lekcyi spostrzegł z podziwieniem jakieś spoufalenie Zoni z tym wielbicielem, porozumiewanie się oczyma, obejście się tak prawie serdeczne, iż krew mu od serca uderzyła do głowy.

Instykt wskazywał w Zoryanie już nie przyjaciela pięknej dziewczyny, ale jej kochanka; Zoryan zajmował przy niej miejsce pierwsze, o które nikt z nim nawet się spierać nie ważył, zdawał się nie już słuchać jej, ale jakby trochę jej swą wolę narzucać, której się ona nie sprzeciwiała.

Dotknęło go to tak, że o liście Madzi zapomniał i z sercem zbolalém powlókł się zwolna niewidziany za Zonią. Młodzież, która ją otaczała, powoli rozehodzić się zaczęła, gromadka zmniejszyła się, nareszcie pozostał tylko Zoryan i ona. Idąc rozmawiali pochyleni ku sobie, jakby zapomniawszy się, że ludzie na nich patrzeć mogą. Szeliga ujął ją pod rękę, nie sprzeciwiała mu się. Zdumiony coraz mocniej Ewaryst spostrzegł, że para ta zamiast iść wprost do dworku Sałhanowej, udała się najswobodniej do mieszkania Zoryana, który piękny lokal zajmował dość opodal od pani Heliodyry.

Gdy już mieli wchodzić razem, chorążyc w progu widząc ich, spodziewał się jeszcze, że Zonia się zatrzyma lub zawróci; lecz dziewczę śmiało, nie przerywając rozmowy, w której oboje byli zatopieni, znikło we drzwiach kamienicy. Jak skamieniały Ewaryst pozostał w miejscu; rozpacz go ogarnęła. Nie wiedział sam, jak długo tu stali; upłynęło może pół godziny, nim znowu Zoryan i ona wyszli zajęci sobą i skierowali się ku domowi Agafii Sałhanowej.

Dnia tego już listu Madzi nie mógł oddać siostrze, powlókł się do domu.

Nazajutrz ku wieczorowi Zonia chodziła po swoim pokoiku, w dziwném jakimś usposobieniu; twarzyeczka jej, zawsze dosyć wesoła i odbijająca łatwo najmniejsze wrażenie, była niezwyčajnie rozpromienioną i uśmiechniętą szczęściem jakimś.

Chodziła, oburącz podrzucając gęste swe włosy, bawiąc się niemi, czasem stając przed małym zwierciadłkiem i sama się uśmiechając do siebie.

Roztwarta książka leżała niedbale rzucona na stoliku. Kilka razy dziewczę próbowało ją wziąć w rękę, chciało się zmusić do czytania i rzucało z niecierpliwością.

Stawała zadumana, płynąc gdzieś myślami w te światy marzeń, z których na ziemię do najpiękniejszych rzeczywistości powracać tak trudno...

Nie widać było najmniejszej troski na jej twarzy, lecz jakby

szczęścia rozpamiętywanie... Chodziła po ubogiej izdebce, zwy-
cięska, szczęśliwa, pani siebie.

Gdy w korytarzyku kroki się słyszeć dały, znać było, że ten na-
tręt, co jej miał myśli przerwać złote, gniew w niej obudził. Z nie-
chęcią i wyrazem nadąsania poszła prędko do drzwi, jakby precz
chciała odpędzić tego, co śmiał stawać między nią a jej marzeniem.
Nie pojmowała zuchwalca, co w chwili uroczystej takiego wniebo-
wzięcia, zamącić się ważył jej sen szczęśliwy.

Otworzyła drzwi gwałtownie i ujrzała w nich stojącego Ewarysta.
Chłopak miał postawę tak biedną, pokorną, smutną, iż ją nią roz-
broił.

Nie miała okrucieństwa go dobijać.

— A! to wy! — zawołała — to wy! proszę!

— Spodziewałaś się kogo innego! — odezwał się chorążyc.

— Nikogo — odparło dziewczę, obracając się ku niemu z powra-
cającym gniewem. — Kogóż myślicie?

— Nie wiem — rzekł Ewaryst.

To „nie wiem“ powiedział tak jakoś, jak gdyby chciał nie wie-
dzić o nikim, a musiał się kogoś domyślać.

Zonia patrzyła nań podejrzliwie, było to złym znakiem, czuła się
winna...

— Mam list od Madzi — odezwał się Ewaryst, dobywając go —
dlategoś się przyjsz tu ośmielił.

— A! list znowu od Madzi! — zawołała, rączkę wyciągając
i chwytając go Zonia.

Chorążyc miał czas w tym ruchu jej żywym dostrzedz, że na palcu
miała pierścioneł, ona co nigdy żadnych nie nosiła. Był to złoty wąż,
którego głowę stanowił duży brylant. Zonia domyśliła się, że pier-
ścień mógł być dostrzeżony i żywo odwróciła świecąca głowę jego do
dłoni. Był to drugi zły znak, lecz czyż ich Ewarystowi już więcej
potrzeba było?

Z samój twarzy dziewczęcia mógł wyczytać, że w sercu zaszła
zmiana. Była to jakby inna istota, jak alabastrowe naczynie, w któ-
rém teraz gorejące światło przeświecało je całe.

Nigdy tak bardzo kobietą nie wydała się chorążycowi, dawniej
było w niej coś dziecięcego, chłopięcego, studenckiego, teraz czuć było
rozbudzoną do życia niewiastę. Różnicy między Zonią dawniejszą
a nową nie każdyby dostrzegł może, chociaż była ogromna, stanowiły
ją, jakby nowo wlane siły, jakby jakieś poczucie własnej doli i świa-
domość losu. Śmielszą była niż kiedykolwiek, wdzięczniejszą niż
dawniej, w ruchach, w mowie przebijała się jeżeli nie zalotność to
instynkt, chęć podobania się. Była też samą śmiałą Zonią, a jednak
zupełnie inną.

Im dłużej przypatrywał się jój Ewaryst, tém srożej bladł, czuł, że była dla niego straconą, lękał się, by zgubioną dla siebie nie była.

— List od Madzi! — powtórzyła wzdychając dziewczyna i obracając go w rękach zafrasowana. Na jedną odpowiedź trudno mi się było zebrać, zdaje się, że w niej pomieściłam wszystko już, co tylko mogłam do téj biedaczki napisać, czegoż ona może chcieć ode mnie?

Spojrzała na Ewarysta i zobaczyła z jego twarzy, iż jój tę obojętność miał za złe.

Chorażyc milczał.

Zonia list, nie otwierając go, na stół rzuciła. Spojrzała w okno... Po chwilkę odwróciła się znowu ku niemu.

— Siadajże, proszę, mój wybawco... — dodała trochę szydersko.

— Gdybym nim mógł być — szepnął pocichu Ewaryst.

Zonia poczuła w tém jakąś dwuznaczność.

— Od czegoż i od kogo chciałbyś mnie ocalić? — spytała.

— Od ciebie samój — począł ośmielając się chorażyc.

— Zagadka? czyby mi miało od téj szalenicy grozić jakie niebezpieczeństwo? — spytała.

Chorażyc odpowiedział wejrzeniem pełném znaczenia.

Zonia wskazała mu sofę nakazująco, musiał usiąść. Stanęła u stołu, przedzielona nim od niego.

— Mów mi kazanie, a bądź wymownym, bo ta Zonia — dodała — to rogata i uparta istota. A więc? co tam ona spletała? słucham.

Pozorna żartobliwość jój mowy kryła złe coraz rosnący niepokój.

— Nie mam najmniejszego prawa, ani ci kazania mówić, ani dawać nauk — rzekł Ewaryst — ale, szczerze moje, ciche przywiązanie wytlómaczy natręctwo. Zoniu, powiem ci tylko jedno nazwisko, Zoryan.

Dziewczę zapłonęło szkarłatem. Dotąd patrzyło się w oczy kuzynowi, spuściło źrenice, podniosło ręce i zamysłone poczęło się wpatrywać, machinalnie jakoś w swój pierścionek.

— Zoryan! — powtórzyła. — Cóż myślicie o nim i o mnie?

— Zoryan się w tobie kocha, o tém wie cały świat — dodał Ewaryst.

Milczenie dosyć długie przerwało rozmowę; Zonia ciągle wpatrywała się w pierścionek, który obracała na palcu.

— Zoryan się kocha we mnie, powiadasz?... tak? — zaczęła powoli. — A gdybym ja téż kochała jego? cóż z tego? Czy ja

nie mam prawa oddać mojego serca i siebie, komu mi się podoba? Jestem zupełnie wolną, nie nigdy od rodziny nie potrzebowałam, nie od niej wymagać nie będę, ale jej nad sobą przewodzić nie dozwolę. Wolna zupełnie, gdybym kochała Zoryana, cóż dalej panie Ewaryście? mów!

— Byłoby to nieszczęściem! — zawołał chorążyc z uczuciem głębokiem.

— Mylisz się! — przerwała mu z wybuchem jakiegoś zapalu Zonia — mylisz się! A! byłoby to najwyższem szczęściem, byłoby nowem do życia narodziem! Miłość, przynaję teraz, jest uszlachetniającem, wielkiem uczuciem... jest tajemniczym węzłem żywota... jest apoteozą...

Porwała książkę, na której miała chwilę rękę opartą i rzuciła nią silnie o stół.

— Kocham Zoryana! — zawołała — tak jest, nie omyliłeś się, kocham go miłością dziwną, jakiej może na świecie nie było... Zmienione role, ja jestem kochankiem, on kochanką, kocham go sercem męskiem, namiętnością mężczyzny, a on przy mnie jest jakby dziewczką nieśmiałą!.. Panuję nad nim, jest moim!..

To wyznanie dziwaczne, które się jej z ust wyrwało, osłupilo Ewarysta, załamał ręce i dłońmi ściśniętymi twarz sobie zakrył.

— Powiesz, żem szalona! — wybuchnęła Zonia — O! wierz mi, w życiu, jakie się nam dostało w udziale, szal jest skarbem. Ja-m szczęśliwa, żem oszalała!

— Zoniu! na Boga! to istne już szaleństwo — krzyknął przerażony chorążyc. — Jakież następstwa, co za przyszłość!.. Zoryan jest małoletnim, a przynajmniej pod rodziców władzą, ja znam tę rodzinę. Drobną szlachta, co się ogromnego dorobiła majątku, nigdy na świecie nie dozwoli na ożenienie...

Zonia wybuchnęła śmiechem.

— Ożenienie! ale ja o wyjściu za niego ani pomyślałam! Ja chcę go kochać, to mi starczy, jestem pewna, że gdyby się ze mną ożenił, toby mi moje szczęście popsulo!..

Chorążyc krzyknął ze zgrozy.

— A! wy, świętoszki, faryzeusze... ludzie-trupy! — zawołała.

— Zoniu, ja mówię z tobą nie mogę nawet, myśli mi łzami zachodzą — przerwał Ewaryst. — Szal byłby niczem, ależ ty ślepa tak, że nie widzisz następstw... Ty się zgubisz!..

Gwałtowne, choć krótkie wybuchy chorążycy zdały się w końcu działać na dziewczę.

— Mój panie Ewaryście — odezwała się zimniej trochę. — Potwarzam ci, że ja mam prawo zgubić się w taki sposób, jak mi się podoba!.. Kocham Zoryana i czuję, że on mnie kocha!..

— To dziecko! — przerwał gwałtownie chorążyc. — Nie wątpię, że cię kocha dziś i szaleje, ale to jest namiętność młoda, to ogień słomiany, który jutro zapłonie tak samo dla innój.

Zonia podniosła oczy i ruszyła ramionami.

— Któż kochając myśli o jutrze?.. Jutro! a! mój Boże! ono do nas nie należy!...

I odeszła od stołu, za którym siedział Ewaryst, przybity już do ostatka i zrozpaczony.

Nierychło mógł się on zebrać na ostyglejszą odpowiedź.

— My w istocie, moja Zoniu, stoimy pojęciami tak daleko, że się nam niepodobna zrozumieć. Nie wiem nawet, czy wierzysz w tego Boga co ja, a z pewnością lekceważysz te jego prawa, które ja za święte uważam... Nie chcę mówić o tém, co nakazuje nam wiara, abym nie wywołał z ciebie bluźnierstwa. Lecz, oprócz bożych, są prawa ludzkie, obowiązujące, są przepisy życia, od których pod grozą kary uwolnić się nie można, jest społeczność i opinia potępiająca... Choćbyś nie chciała, jesteś częścią tego społeczeństwa i prawom jego ulegasz; nie żyjecie na pustyni!..

— Właśnie przeciwko okowom, jakie ta strupieszala społeczność wkłada na nas, my chcemy walczyć... Tu nie dosyć słowa, trzeba czynów. Jeśli chcesz, moja miłość jawna, którą wy nazywacie bezwstydną, jest taką protestacją.

— W tej chwili ty jesteś hipokrytą, przerwał Ewaryst z półuśmiechem gorzkim, namiętność twoją chcesz pokryć płaszczem teorii... To fałsz!

Zonia zarumieniała się mocno.

— Może masz słuszność!.. — odparła dumnie. — Kto ma skarb, ten go broni, nawet z ołtarza chwytając, co napadnie...

Wyznanie to nieco upokorzonym tonem wypowiedziane, przejęło litością Ewarysta, porwał się z miejsca i padł przed nią na kolana.

— Zoniu! zaklinam cię! nie gub się!.. — krzyknął.

Brwi pięknemu dziewczęciu ściągnęły się groźnie.

— Mogłabym się obrazić tym twoim strachem—przerwała.— Nie rozumiem, jak ty sobie wyobrażasz miłość, chyba rozpustą obrzydliwą. Krzywdzisz mnie i jego... Miłość Zoryana dla mnie jest tak piękną, szlachetną, czystą, jak moja dla niego. Kochamy się dwiema duszami bratniemi... Ewaryście...

Rumieniec wybiegł jęj na twarz i nie dokończyła.

— Wierzę w to, co mówisz — rzekł chorążyc. — Chcę nawet wierzyć, iż w tej miłości idealnej oboje wytrwacie, choć ona z waszemi teoriami się nie godzi!..

Nowy rumieniec oblał twarzyczkę Zoni, która żywo odwróciła się od niego.

— Ja mogę temu uwierzyć — kończył chorążyc — ale świat, ale ludzie co powiedzą, widząc cię chodzącą do niego!...

— Alboż ja się z tēm kryję? — spytała Zonia.

— Ludzie to wezmą za cynizm! — dodał Ewaryst.

— Niech biorą, za co chcą — spokojnie ze wzgardą jakąś odezwała się Zonia, co to mnie obchodzi? Ja dla ludzi nie poświęcę ani jednej minuty mojego szczęścia!..

Odpowiedź zamarła na ustach chorążycy; zrozpaczony odstąpił od niej. Nie było już sposobu ani mówić z nią, ani chcieć ją przekonać. Dwoista siła czyniła tę miłość niezwykłą, jej własna poparta teoryami swobody nieograniczonej, które jej wpojono. Przewrócona głowa dziewczęcia dopomagała rozplomionemu sercu.

Chorążyc stał jeszcze czas jakiś milczący, patrząc w ziemię, wziął kapelusz, skłonił się jej zdaleka i wyszedł powoli. Nie zatrzymała go weale.

W bramie, gdy już na ulicę wychodził, nie oglądając się nawet, uczuł się za rękę chwyconym. Stara Agafia Salhanowa z tajemniczą miną, dając mu jakieś znaki, szeptała prędko:

— Heliodora Iwanowna, paniczku, Heliodora Iwanowna, na miłość bożą proszę was na chwilę rozmowy do swojego pokoju. Chodźcie koniecznie...

I pochwyciwszy go za rękaw starucha, ciągnęła, jakby się lękała, aby jej ofiara się nie wysliznęła.

Powtarzała ciągle:

— Heliodora Iwanowna!

Ewaryst, nie rozumiejąc po co do niej miał iść i mając to wezwanie za omyłkę, opiérał się nieco.

— Mylicie się może, ja tak jak nie znam Heliodory Iwanownej — rzekł do starcy.

— Nie mylę się, nie mylę, wiem pewnie, wracacie od krewnej waszjej; od Zonki, chodźcie na słowo...

Pociągnęła go za sobą ku domowi i przez inny ciemny korytaryk ku drzwiom, które się natychmiast otworzyły.

Stała w nich pani Heliodora, tym razem bez papierosa, niecierpliwa, podrażniona i ledwie wpuściwszy gościa do swojego gabinetu, zamknęła za nim drzwi na rygiel.

Pokoik niewielki był obrazem życia kobiety, która w nim mieszkała. Największy nieład panował w tym niby eleganckim buduarze. Elegancja była chwilową i już należała do przeszłości; nieład stanowił teraźniejszość całą. Stroiki, tytuń, papierosy, książki, cacka, listy, świstki i okrawki wstążek, ryciny na wałkach i materye

w sztukach, zaczęte roboty kobiece i zawałane seksterna, rozsypane pieniądze i gałganki pomięte, tak zajmowały wszystkie miejsca, iż usiąść prawie nie było gdzie. Ani też pani Heliodora zapraszała gości, stanęła przed nim, załamała ręce poplamione atramentem i po-
zółkłe od dymu papierosów, wołając:

— Pan wiesz! pan wiesz! co ona najlepszego robi?.. Sobie i mnie naprowadzi biedy! Wodzą się z sobą po całych dniach, bywa u niego, jak mamę kocham. Mówiłam jej, niech choć nie tak jawnie... ani chce słuchać.

Chorażyc miał czas zebrać myśli.

— Pani dobrodziejko — odezwał się — wiem o tém trochę, ale, pozwól mi powiedzieć sobie, że tój pogardzie opinii i tój emancypacji Zoni winny z pewnością nauki przez mistrza wygłaszane. Były one przygotowaniem do życia i jego prawideł. Sieliście ziarno, które schodzi.

Śmiałe to obwinienie jakby wodą zimną oblało panią Heliodorę; oburzyła się.

— Ja nie mam przeciwko wolnemu rozporządzeniu sercem — rzekła jękając się nieco. Co ojciec głosi, to wszystko prawda. Dostyc mieliśmy tyranii męskiej; kobieta powinna być wolną. Tak, jak mamę kocham, ale żyjemy wśród świata skolowaciałego, my, nas odrobina, trzeba mieć pewną wiarę. Ja panu wprost powiem, że to się skończy awanturą. Rodzice tego chłopca lada dzień się dowiedzą, a to są ludzie dumni, żenić mu się nie dadzą, rozdziela ich, i ona będzie najnieszczęśliwszą.

— Ona mu ufa! — przerwał Ewaryst.

Heliodora porywczo się odezwała uśmiechając:

— Jemu ma ufać!.. otóż to nieszczeście, to chłopiec rozpieszczony, zepsuty przed czasem, rozpustnik... Zaraz po przyjeździe do Kijowa, świadkiem stara Agafia, zakochał się był tak samo w córce gospodyni, u której stał... za co potem przyplacił, jak mamę kocham, i ledwie się odkaraskał od niej. Wydali ją za jakiegoś kancelistę. Słyszę, jeszcze i teraz się do niej włości, jak mamę kocham. A ja wiem najlepiej, bo, słowo daję, że i do mnie się wdzięczył, ale jak... A ona biedaczka te jego amory bierze za dobrą monetę...

Rzuciła się pani Heliodora gwałtownie.

— Potem na mnie powiedzą, że z mojej przyczyny...

Tu zatrzymała się trochę; nawpół sama do siebie, zadumana mówić poczęła:

— Co innego jej radziłam i, słowo daję, byłabym to doprowadziła do skutku... Jewłaszewski się chciał z nią ożenić, jak mamę kocham... Proszę pana — dodała z głębokim przekonaniem, potem

niechby się była, wyszedłszy za mąż, kochała, jak chciała, niktby jej słowa nie powiedział...

— Nawet mąż?... — wtrącił Ewaryst.

Wdowa się uśmiechnęła szydersko.

— Albo to mąż ma wszystko wiedzieć?... — dodała przez zęby.

Chorażyca już niecierpliwilo, że go tu nadaremnie zatrzymywano.

— Zdaje mi się — rzekł — że jeśli kto, to pani i ten pan Jewłaszewski, który tu ma taką powagę, możecie pannę Zofią powstrzymać i skłonić ją...

— Ale kiedy się szalenie zakochała! — przerwała Heliodora.

— Tak, szalenie... — zakończył Ewaryst, kłaniając się na pożegnanie — lecz szalom tym nie ona sama jest winną.

Chciał już odejść, gdy, podbiegłszy ku niemu, zatrzymała go gospodyni.

— Prawdziwie panu powiadam, że ja zupełnie głowę tracę — pocięła. — Myślałam: pan do rodziny należysz, abyście potem nie mówili, że ja przyczyną. Ja umyvam ręce! ona mnie słuchać nie chce...

Spojrzała na chorażyca, który stał nie chcąc już dłużej przeciągać rozmowy.

— Więc, widzi pan — dodała — ja przed nim nie taję, to się skończy katastrofą, ja winną nie będę, jak mamę kocham!

Widząc, że chorażyce nie otwiera już ust, Heliodora pomogła mu drzwi odryglować i szepnęła na wychodnym:

— Jak dwa a dwa cztery, zobaczy pan, awantura gotowa. Chłopic zepsuty, choć tak się wydaje, jakby go dopiero z pieluszek rozwinięli, a ona jak waryatka...

Chorażyce ogłuszony, zmęczony, wyszedł z dworku Agafi, nie umiejąc znaleźć drogi. Co miał począć? mógł-li co poczynąć? nie wiedział sam.

Ciągnąc powoli do domu, wpadł na myśl, która mu się zdawała jakąś słabiotką nadzieją, jeśli nie ocalenia Zoni, to przynajmniej lepszego ocenienia niebezpieczeństwa, na jakie była wystawioną.

Zoryana Szeligę, w pierwszych miesiącach po jego przybyciu, gdy jeszcze nie był nawrócony i wciągnięty w kółko reformatorów, poznał był Ewaryst, był nawet parę razy u niego i młode chłopię przyłgnęło zrazu do poważnego i przyzwoitego chorażyca, nawykłóm będąc do lepszego towarzystwa. Później chociaż Zoryan zdawał się go unikać, zachowywał się jednak przez grzeczność jakby dobry znajomy. Witali się z sobą, rozmawiali o rzeczach obojętnych.

Mało go znał chorażyce, a z tego, co widział i słyszał, wyobrażał sobie dosyć płochym, dziecinnym, wielce namiętnym, a nie bardzo od-

ważnym. Na charakter młokosa w istocie mało rachować było można. Zapragnął zbliżyć się znowu do niego.

Nie było to łatwem. Towarzystwo otaczające bogatego jedynaka zupełnie się teraz zmieniło; królowali tu ojciec i jego synowie z ducha, co było najzagorzalszego i co najgorszym okiem patrzyło na chorążycza. Nie mógł on wciskać się pomiędzy adeptów, aby nie wywołać jakiegoś nieprzyjemnego zajścia.

Nazajutrz jednak, nie odkładając, pod pozorem książki jakiegś, którą był dawniej pożyczył Zoryanowi, poszedł do niego w godzinie rannej, w której się nikogo spotkać nie spodziewiał.

Na kwatere akademicką, mieszkanie Szeligi było niezwyčajnie wspaniałem. Młody panicz trzymał lokaja w liberyi, miał salon, kilka pokojów i cały komfort, jaki zwykle tylko starszych otacza; ulubieniec matki, pieszczoszek nawykły do wygodów zawczasu już czynił z nich życia warunek.

Ewaryst zastał go jeszcze w łóżku, pijącego kawę, którą mu z całą elegancją zamożnego domu podano. Więcej było koło niego przyborów toaletowych i fraszek, niż papierów i książek. Nauka była tu gościem, po którym ślady zacierano.

Z wielką uprzejmością, posuniętą do przesady, przyjął dawnego znajomego Zoryan, przepaszając za to, że w łóżku go zastał.

— Jestem trochę niezdrów!... — dodał zakłopotany.

Pierwszą rzeczą, która wpadła w oczy chorążycowi, była na stoliczku przy łóżku, w aksamit oprawna za szkłem, fotografia, w której na pierwszy rzut oka poznał Zonię. Kazała się ona była fotografować z książkami pod pachą, w męskim kapelusiku, i obrazek ten uderzający oryginalnością znanym był powszechnie. Zoryan, nie dostrzegłszy, że Ewaryst miał czas nań spojrzeć, dosyć zręcznie natychmiast go przysłonił.

Służba wyszła.

Korzystając z poufałości koleżeńskiej, chorążyc umyślnie zwrócił uwagę na obrazek.

— Pokaż-że mi, jaką to piękność ukrywasz przede mną tak starannie — zawołał chwytając fotografią, którą Zoryan próżno mu wyrywać usiłował.

— A! to moja kuzynka! — rzekł stawiając napowrót obrazek Ewaryst.

Szeliga zarumieniony leżał milczący, zmieszany bardzo

— Kuzynka!... — powtórzył — kuzynka!...

— Tak jest — dodał chorążyc — siostra jej wychowuje się przy moich rodzicach! Wszyscy mówią — ciągnął dalej, o ile mógł najspokojniej — że wy się szalenie kochacie w Zoni! Bardzo temu wie-

rzę, bo jest i śliczna i pełna życia a zdolności, choć główkę ma trochę przewróconą.

Zoryan słuchał pilnie, zwolna przychodząc do siebie.

— No, kochać się trudno zabronić — dodał zwolna Ewaryst — lecz, jako życzliwy ci przyjaciel, radziłbym być... ostrożnym. Wątpię, aby rodzice wasi pozwolili się żenić, a z familią mojej biednej kuzynki moglibyście mieć nieprzyjemności...

— Ale, proszę cię — wtrącił Szeliga — proszę cię, cóż?... za co?... wszyscy niemal akademicy kochają się w pannie Zofii...

— A ja też kochać się nie zabraniam — dodał chorążyc — tylko po przyjacielsku zwracam uwagę, że to szlacheckie dziecię, dobrego domu, choć ubogie, i nie bez związków...

Szeliga widocznie pomieszany pił kawę tak niezręcznie, że mu się na poduszkę wylewała.

— Bardzo dziękuję! — wybąknął. — Przecie kochanie się nikomu krzywdy nie czyni!...

Zaczął się śmiać, lecz śmiech był wymuszony i kwaśny.

Chorążyc nie podnosił już drażliwej sprawy, począł chwalić mieszkanie, mówić o lekcjach, o pogodzie, o swojej księżce i udając wesołego, wkrótce pożegnał Zoryana, który po wyjściu jego, leżał długo zadumany na pościeli.

Upłynęło dni parę, a biedny chorążyc usiłował się uspokoić, chociaż smutny był w duszy i nie widział ratunku dla zdziczałej Zoni. Traf zrządził, że się z nią nie spotykał i z lekcyi wychodzącej widać jęj nie było. Ciekawość go brała przekonać się, czy też kroki, jakie przedsiębrał, przydały się na co; o tém nie miał sposobu się przekonać, chodzić na zwiady do niesmacznej, roztrzępanej i napastliwej pani Heliodory nie miał ochoty.

Właśnie gdy myślał o tém, jakby się mógł dowiedzieć nieznacznie o Zonię, spotkał ją w ulicy samą jedną. Szła z książkami pod ręką, z głową spuszczoną, nasepiona, blada i cierpiąca, bo twarz jęj zdradzała boleść jakąś. Nie widziała nadchodzącego Ewarysta, który sam narzucać się jęj nie chciał.

Była jednak tak biedną i tak mu się jęj żal zrobiło, że się przybliżył. Zamyślane dziewczę podniosło głowę przestraszone, drgnęło i nierychło zdało się rozpoznać kuzyna.

— Nie jesteś chora? — zapytał Ewaryst.

— Ja? chora? dlaczegoż to?... — odparła chmurno patrząc na niego. — Chorą może jestem, ale na duszy, a na takie choroby sam każdy sobie musi być lekarzem.

— Nie przecie nie zaszło!... — szepnął Ewaryst.

— Ale dlaczegoż się tak troszczysz o mnie? — niechętnie zawołała Zonia. — Prawdziwie, że czasem przywiązanie, czy jak tam się

to nazywa, więcej dokuczy niż prześladowanie i staje się jednym z najnudniejszych.

Posłyszawszy to Ewaryst, skłonił się i chciał odejść; oczy jej błysnęły, popatrzała na milczącego i cierpliwie znoszącego jej niegrzeczność, dodając:

— Ciekawy jesteś, prawda? co mi jest? Ostatnią razą widziałeś mnie tak szczęśliwą!... Cóż robić, życie jak rzeka toczy się to czystymi kryształowemi wody, to niosąc z sobą brudy i śmiecie!...

Mówiła powoli, idąc ze spuszczonej w ziemię oczyma, nawpół sama do siebie, pół do tego powiernika zawojowanego, na którego mało zważała.

— Ludzie są jak psy — ciągnęła dalej — co gdy widzą, że jeden z nich smaczną kość ogryza, jeżeli mu jej odebrać nie mogą, to choć przeszkadzaćby radzi, choć powalać ją... Wszystkim zawadza to, że ja kocham kogoś, że jestem kochaną, i że mi z tem było dobrze. Zatruli mi już moje szczęście... powalali.

Rzuciła okiem na słuchającego Ewarysta.

— Co o mnie mówią jemu, tego nie wiem, ale przede mną oplwali biednego chłopca, aby mi go obrzydzić, zrobili go rozpustnikiem, powywlekali historye jakieś brudne o nim... Słyszałeś ty pewnie?

Ewaryst głową potrząsnął.

— Cóż mi tam? Przeszłość to rzecz zapomniana, utopiona... Co dziwnego, że kochając serca znajdował plugawę? Nie miał doświadczenia, nie znał ludzi... Napił się może z kałuży! ale co mi tam!...

— Nie śmiem ci powiedzieć, moja Zofio — odparł idący za nią chorążyc — że i ty możesz być w tym przypadku. Ja ci go obrzydzić nie chcę, ale nie znajduję, aby był godnym tej wielkiej miłości, którą masz dla niego.

— Dlaczego? — zapytała Zonia.

— Bo ani umysłem, ani sercem nie dorósł ciebie — rzekł chorążyc. — Znam go, jest to płochy chłopak, w którym serce bije na chwilę mocno, ale oprócz uczucia, w którego rozbiór ja wchodzić nie myślę, niema tam nic!...

— Alboż się kocha dla czegoś i za coś? — odparła Zonia — kocha się, bo się musi, widzi się głupotę własną i to nic nie pomaga...

Powiedziała to smutno; Ewarysta pocieszyło niemal jej strapienie, było ono znakiem jakiegoś rozmyślu, przepowiednią zwrotu. Sam smutek mówił już wiele... Wahala się; a miłość, która się waha, blizką jest ostygnięcia. Sądził, że najłepiej ją będzie zоста-

wieć samę sobie. Przeszedłszy kilkadziesiąt kroków aż ku dworkowi Sałhanowej, w milezeniu małoznaczącemi przerywaném pół-słówkami, u wrót jego prawie pożegnał się z Zonią, która doszedłszy już tu, po rozstaniu z nim, zadumała się u wnijścia długo, papierosy swe i książki oddała stojącej tu starzej Agafii, a sama poszła żywo w drugą stronę. Ewaryst byłby przysiągł, że szukała tego nieszczęśliwego Zoryana, o którym myślała ciągle.

Naprzeciwko mieszkania zajmowanego przez mistrza, był dom oddawna już nie najmowany, chociaż gospodarz, bogaty kupiec, świeżo go kazał odświeżyć, pomalować i starą a dosyć niepokazną budowę uczynił wygodniejszą, niż była za młodu. Obyczajem wszystkich właścicieli Jefrem Wasiljew obrachował sobie poniesione na restauracyą wydatki i wymagania jego tak były przesadzone, że długo nikt się do mieszkania na pierwszém i jedyném piętrze nie zgłaszał. Dół zajmował Wasiljew z liczną rodziną, a że był zamożnym i rachować umiał dobrze, wolał pustką widzieć kamieniczkę, niżeli ją tanim najmem skompromitować.

Jednego dnia przecież goście Jewłaszewskiego, którzy często przez okna wyglądali, dostrzegli, że naprzeciw zawieszono franki i pewien ruch dał się widzieć u Wasiljewa.

— Otóż Jefrem przecie znalazł kogoś, co mu dał, ile zaśpiewał! — odezwał się jeden z akademików, spoglądając naprzeciwko.

Jewłaszewski, który o prozaicznych przedmiotach, o życiu powszedniém i drobnostkach jego nierad był mówić, bo dla nich największą okazywał pogardę, tym razem mruknął:

— Mówili, że tam jakaś jójmość, bogata wdowa z Moskwy, czy nie wiem skąd przybyła, dała się Jefremowi obalamucić.

— Bogata! wdowa!... — przerwał śmiejąc się Żyżycki — a! w to nam graj! może jeszcze młoda i przystojna! ho! ho!

Mistrz ruszył pogardliwie ramionami, niewiele go to zdawało się obchodzić.

Ciekawa młodzież mając z okien mistrza tak doskonale stanowisko do obserwacyi, a wiedząc, że za frankami kryła się istota płci żeńskiej, o której fama chodziła, że jest wyposażoną obficie, nie schodziła prawie z czatów.

Żyżycki, który był próźniak i lubił się lada czém rozrywać, szczególniejszą zwrócił baczność na lokatorkę Jefrema Wasiljewa. Niedosyć mu było czatować w oknie, przypatrywać się z ulicy, azali czego nie ujrzy dającego wywnioskować, czy gra warta była świeczki,

poszedł do Wasiljewa, u którego brał herbatę i sardynki i miał z nim pewien rodzaj znajomości.

Jefrem był opasły, napozór dobroduszny, śmiejący się, połyskujący z dobrego bytu, rumiany jak burak człowieczyna, który powszednim ludziom mógł się wydać niezmiernie prostym burlakiem, ale w istocie był najprzebieglejszym z ludzi.

Niewiele widząc i umiejąc, bo był wychowańcem natury i własnej pracy, Wasiljew miał ten przedziwny instynkt ludzi zmuszonych żyć w społeczeństwie nad nich wykształceńszem, obawiał się wszystkich, nie ufał nikomu, uważał wogóle świat za nieprzyjaciela i chytrzył...

Dosyć było od niego zażądać się czegoś dowiedzieć, aby obudzić jego podejrzenie. Nikt nigdy nie dobył nic z niego; ale nie dał poznać po sobie tej przebiegłości, owszem udawał prawdomówcę i prostaka. Każdy odchodził od niego pewien, że dobył z Jefrema, co chciał; on potem śmiał się w kułak za odchodzącym.

Zażycki zagadał naprzód o ćwierci funta herbaty, której miał potrzebować, potem o ostatniem pudełku sardynek, jakie stąd wyniósł, nareszcie dodał:

— A no, powinszować kupcowi, wszak to pierwsze piętro najełte!...

Wasiljew się w kark poskrobał i ręką machnął.

— Cóż! dobrze? — spytał Zażycki.

— A! co za dobrze! z biedy! trzeba było... Co robić — zamruczał Jefrem.

— A komuż najęliście?

Jefrem ramionami poruszył.

— Albo ja wiem!... — odparł obojętnie.

Zażycki dorzucił:

— Urzędnikowi? co?...

— I! nie... jakaś baba!...

Niechętnie mówił

— Stara? młoda? z dziećmi?... — pytał akademik.

Ciekawość ta i chęć mieszania się w cudze sprawy nie podobała się kupcowi, zagadał coś żywo do prykaszczyka, nie dosłyszał niby pytania. Zyżycki stał napróżno, odpowiedzi nie było.

Jefrem niby o niej zapomniał. Powtarzać pytania nie wypadało, kupiec ręce włożył w aksamitne szarawary i stał patrząc w świat, jakby o lokatorce mowy nigdy nie było.

Tymczasem złożyło się, że ta, o którą właśnie dopytywał ciekawy młodzieniec, wracając z miasta wchodziła do kamienicy, Wasiljew nie mógł jej nie powitać i nie ukłonić się, a Zyżycki

nie mógł nie domyśleć się, kto była, bo weszła wprost do tego domu.

A że szła powoli, rozpatrując się, Zyżycki doskonale się jęj przypatrzył.

Wiek trudno mu było odgadnąć, gdyż jęjmość widocznie była odświeżoną, pomalowaną dosyć jaskrawo, ale, choć z pozoru nadało jęj to wielką świeżość i blask, budziło podejrzenia. Rysy twarzyczki nadzwyczaj regularne, niegdyś musiały być bardzo piękne, były niemi jeszcze, szczególniej oczy czarne i usteczka bardzo maleńkie.

Chód, ubranie, pewna wymuszoność w całej postawie, ruchach, uśmiechach, zdawały się w tęg panu chętką okazania się daleko dystyngowańszą, niż w istocie była. Mówiło coś, że mogła być prostą bardzo kobieciną, której los, a raczej piękność dały niespodziane stanowisko w świecie, kłopotliwe i utrudzające. Można było przysiądz, że tą sztywna jęjmość, zrzuciwszy bardzo wytworne stroje, nierównie-by się czuła swobodniejszą i szczęśliwszą.

Oczy jęj biegały bojaźliwie, jakby się ciągle czegoś lękała... Ubiór jęj grzeszył jaskrawością, błyskotkami i brakiem smaku, ale był za to kosztowny i obrachowany tak, aby się nim wydawał. Przechodząc panu ta rzuciła trwożliwem okiem na studenta, uśmiechnęła się kupcowi i wbiegła conajprędzej do domu, jakby jęj pilno ukryć się było.

— E! e! panie Wasiljew, wasza lokatorka krasawica!... — zawołał Zyżycki.

Jefrem ruszył ramionami.

-- A cóż? nie?...

— Alboż mówię, nie?... — odparł kupiec. — A! no! krasawica!

— Wdowa czy zamężna? — zapytał akademik.

— Ej! ej! — począł kupiec — albo to do mnie należy!... Co ja miałem o to pytać!..

Ponieważ widocznie unikający dłuższej rozprawy w tym przedmiocie Wasiljew zwrócił się z wymówkami do przykaszczyka, Zyżycki był zmuszony ze szczupłą odciągnąć zdobyczą. Zaniósł tego dnia na górę wiadomość, że wdowa, czy też Bóg ją wie kto, była kobietą niestara i wcale jeszcze nieszeptną.

Z okna dało się wyszpiewować, że dzieci u nięj nie było; pokazywała się stara służąca z głową chustką zawiązaną, młoda służąca bez chustki, obie mocno brzydkie, i chłopiec ubrany czysto, ale nie wytwornie; wdowa, bo wszyscy byli pewni, że nią była, nie unikała zbyt często okazywania się w oknie. I owszem wychylała się niby dla spoglądania na ulicę, a można było posądzić, że też trochę dla pokazania się, ciągle bardzo wystrojona i obwieszona klejnotami.

mi. Czasem przechadzała się tak wewnątrz domu, że ją mogli ciekawie postrzegacze oglądać. Nie zdawała się mieć żadnego zajęcia, a włóczkowa robota, którą czasem trzymała w ręku, była jakby dla okazu chwyconą, nie siadywała nad nią.

Jakim sposobem owa obca zupełnie tu lokatorka znalazła znajomych, nikt nie wiedział. Zaczęli tu powoli jakoś uczęszczać urzędnicy, biurokracya, mieszczenie, ludzie średniego stanu. Widywano ich tam wieczorami pijących herbatę, przechadzających się, grających wista, przyjmowanych wieczera.

Z drugiego piętra od Jewłaszewskiego wzrok łatwo w głąb sięgał na pierwsze i, jeżeli rolety nie były pozapuszczane, salon niezajomiej był jak na dłoni.

Jewłaszewski jakoś właśnie o tym czasie, nie wiadomo z jakiego powodu, zrobił się zamyślony, smutny i niespokojny.

Stał się nierównie nawet obojętniejszym w propagandzie swoich idei. Był jakby chory i znużony; gitara spoczywała; piosnki od niego nie można było posłyszeć. Mniej daleko niż dawniej uczęszczał do pani Heliodory na herbaty, częściej się zasiadywał w domu. Ci, co go znali dawniej i widywali w przystępach twórczości, utrzymywali, że musiał nad nowem dziełem pracować. Pytano o to nawiasowo Wańka, ruszał ramionami, śmiał się i mówił:

— E! kudyż!..

Drudzy, uczniowie medycyny, wnosili z żółtej cery, iż cierpiał na wątrobę i to go potrosze czyniło tetrykiem.

Heliodora, której był potrzebnym dla nadania powagi jój salonikowi, a może i jój samej, gniewała się prawie za te oznaki zubożenia, przypisując zły humor mistrza Zoni, która go nie tak przyjmowała jak dawniej.

Wdowa miała obyczaj otwartego wygadania się z myślami, nie ukrywała więc ich przed Jewłaszewskim, chciała go wyciągnąć na otwarte tłumaczenie, nie szczędziła wyzywań, ale mistrz a ojciec milczał.

Frasunek, strapienie widać było na pomarszczoném czole; cierpiał widocznie, a mówić nie chciał.

Wszyscy jego uczniowie i przyjaciele tym stanem ducha byli zaniepokojeni.

Zdało się jakby nagle zwątpił o sobie. Najgorętsza polemika w kwestyach żywotnych, które dawniej go poruszały żywo i wywoływały wybuchy, teraz znajdowała go zimnym.

Rzucił czasem jakie słowo jakby dla pozbycia się natrętów i chodził zasępiony po pokoju. Kilka razy nie zastano go w domu wieczorem i nie wiedzieć gdzie go było szukać.

O tém mógł jeden tylko coś powiedzieć Jefrem Wasiljew, który

wiedział, bo on wszystko musiał zawsze podpatrzeć, jak jednego wieczora poważnym, ale mimo to, jakimś wahającym się krokiem, Jewłaszewski wsunął się do jego kamienicy i poszedł wprost na górę do drzwi owęj nieznanomiej nikomu lokatorki.

Tu, jakby się wahał czy ma wniknąć, czy nie, długo stał cicho Jewłaszewski; naostatek na odwagę się zebrawszy, wkroczył wprost do izby gościnnej, w której owa bielona i różowana osobka siedziała.

Wieczór był, ale jeszcze jasny i przez okna wpadł jaskrawy blask zachodu.

Gdy Jewłaszewski wkroczył, gospodyni zwróciła na niego oczy. Nie mówiąc ani słowa, mistrz stanął, wlepił w nią wejrzenie, spuścił ręce i patrzył.

Ona też zdziwiona w początku spoglądała nań, potem zaczęła się mieszać, na ostatek krzyknęła:

— Anuszka! ratuj! — i upadła zemdlona.

Na wołanie to wbiegła stara sługa, plaszcząc w dłonie i zawożdżąc; Jewłaszewski się z miejsca nie ruszał.

Za starą natychmiast zjawiła się młoda sługa z krzykiem... Zaczęto cucić omdlałą, która już przychodząc kilkakroć do siebie, co zobaczyła Jewłaszewskiego, to oczy zakrywając rękoma mdlała nowo.

Trwało tak może z pół godziny, a mistrz nie ustępował; kobiety służące nadaremnie się go pozbyć usiłowały, mruczał, że z panią Eudoksyą Filipówną mówić musi. Uspokoila się ona wreszcie, chociaż wciąż jeszcze płakała i łkanie konwulsyjne wyrывało się ję z piersi.

Anuszka z towarzyszką wyszły, bo im dała znak, aby ją zostawiły same, zdaje się jednak, że dla bezpieczeństwa pozostały pode drzwiami, bo później się ta cała scena rozgłosiła tak, że coś o niej nawet wiedział nazajutrz Wasiljew, ale nie mówił żywej duszy, na Jewłaszewskiego tylko patrzył z ukosa bardzo i gębę krzywiąc.

Po wyjściu kobiet długo jeszcze mówić nie mógł począć Jewłaszewski, bo Eudoksyja, co spojrziała nań, to zasłoniła twarz rękoma i zachodziła się z płaczu.

On czekał.

— No cóż, Eudoszka! — odezwał się nareszcie — nie chcesz ty mnie znać?...

Nie było odpowiedzi; płacz tylko.

— Ja was nie znam! nie znam! tak jak wy mnie nie znali!.. — odezwała się naostatek kobieta z za łez.—Ja was znać i wiedzieć o was nie chcę!...

— To ja winien!... — przerwał Jewłaszewski.

— A któż? a kto? — odpowiedziała ledwie dosłyszczanym głosem kobieta.

Przez czas jakiś płakała znowu; Jewłaszewski nie ustępował.

— Darmo ty się będziesz mnie zapierała — począł zwołna, widząc, że łez i lkania nie przeczeka — darmo, Eudoszka, prawda musi zawsze wyjść na wierzch. Byłaś ty moją żoną; kto z nas winien, nie chcę ja sądzić, ty, czy ja, czy oboje, a ot, co wyszło z tego. Lat minęło dosyć, Eudoszka, ja taki, jaki byłem, goły, a tyś wyszła na panią. Ja się nie żeniłem, bo o tobie pamiętałem, a ty żyłaś z drugim, jakim prawem? Ty byłaś moją i nie przestałaś moją być!...

— Nie! nie! — poczęła wołać kobieta — niech pan Bóg sądzi, niech ludzie sądzą, ja nie winna. Ja do ciebie nie nie chcę mieć, ty do mnie nie miej też, jak mnie porzuciłeś wówczas, tak niech zostanie na wieki.

— Hej! Hej! — odezwał się zimno Jewłaszewski — to darmo, bo tak nie może być. Ty byłaś moją i moją musisz być. Już ja nie pytam o to, co się z tobą działo, ale przeznaczenie cię tu przyniosło... to darmo, ty mi się już nie wymkniesz!

Eudoksya Filipówna, która płakała ciągle, nagle jak zrozpaczona porwała się i pobiegła z rękoma podniesionemi do stojącego uparcie Jewłaszewskiego.

— Niechaj dzieje się, co chce! niech mnie biorą i krzyżują i biczą i kaźnią i sadzą do więzienia, ja ciebie nie chcę znać i nie będę...

— A, to zobaczymy!... — odezwał się chłodno Jewłaszewski.

— O! ja wiem! — zawołała kobieta ręce łamiąc — gdybym ja tu była przyszła, jak odeszłam, w jednej koszuli, bez kopiejki przy duszy, ty-byś mnie ani znał, ani się o mnie upomniał, aleś ty na moję biedną chudobę łakomy! Ja ciebie znam! ja się tobą brzydę jak przeklętym szatanem. Gdy wspomnę życie moje, młodość moję, a com ja ucierpiała z tobą, gotowam dziś w Dniepr na dno prędnąć, niż znowu z tobą zacząć nanowo te męki.

Jewłaszewski się nie bronił, ustami poruszał, ramionawmi strząsał, czekał aż sroga burza przemienie, kobieta ciągle łzami się zalewała.

— Jak sobie chcesz, Eudoksya Filipówna — zawołał po długim przestanku — wola twoja. Zamelduję do urzędu, że jesteś żoną moją, która zbiegła przed laty i przepadła jak kamień w wodę, niechaj wyprowadzą śledztwo, ja przysięgnę, ty nie możesz duszy gubić. A przysiędziesz, to świadków znajde... Będiesz musiała odpowiadać, z kim to ty żyła, gdzie, skąd tobie przyszło to, co masz... Zobaczymy!...

Przeszedł się po pokoju.

— To darmo, Eudoksya, ja nie podaruję swojego, a ty mi nie ucieczesz. A chcesz pogadać w dobry sposób, poradzić się, połączyć, poprobujemy...

Biedna kobieta, nie wiedząc co począć, ręce łamała z rozpacz; kobiety stojące pode drzwiami, przerażone, wszystkich świętych znanych sobie na ratunek pani wywoływały.

Przychodziło im na myśl pobiedz do policji i dać znać o napaści, ale lękały się, nie wiedząc, o co chodziło, aby gorszej nie nawarzyć kaszy.

Przycichać jakoś w końcu zaczęło i rozmowa, przerywana czasem tylko płaczem tłumionym, dochodziła ich uszów. Bardzo nie prędko, bo już nocą wyszedł nareszcie Jewłaszewski i pani zawołała Anuszkę swą, która ją znalazła straszliwie zmienioną, z twarzą łzami wymytą z bielidla i barwiczki, na-pół omdlałą, nie mogącą przemówić słowa, nie chcącą wytłómaczyć nic, narzekającą tylko, że ją Bóg ukarał srodze.

Ponieważ nie miała w nikim zaufania wdowa, a sama ona i jej kobiety koniecznie kogoś na radę i ratunek wezwać chciały, zawołano Wasiljewa, wydającego się dobrym i litościwym człowiekiem. Kupiec poszedł na górę chętnie, ale w początku lokatorka nie miała odwagi powiedzieć mu prawdy całej.

— Młoda, prosta, kozająca dziewczyna, dla kraszy mnie ten człowiek zaślubił — przyznała ze łzami Eudoksya — byłam dzieckiem, gdy się to stało, a nie rozumiałam nic, tylko, że panią będę, bo Jewłaszewski miał kawał ziemi, a kto wiedział, co ona była warta. Jemu wprędce sprzykrzyła się i wieś i żona. Chciał dalej w świat, wypominając mi, że ja mu byłam kulą u nogi, kamieniem u szyi. O! że ja tam duszy nie wyplakałam, że nie umarłam, że nie poszłam się utopić, Bóg tylko łaskawy ratował. Nie chciał mnie znać za żonę, wypominał, że ślub był zły, że my lat nie mieliśmy, że i świadków i zapisu nie było. Pędził mnie z domu, aż wygnał. Poszłam ja ze łzami, sama nie wiedząc dokąd, bo już rodziców nie było, a braciom się pokazać srom miałam. Z węzełkiem biednym powędrowałam do miasta, gdzie? po co? na służbę! Znalazłam dobrych ludzi, co mię przyjęli, a potem poczciwego, co jak żonę mnie wziął i trzymał i szanował i kochał, a umierając mi co miał zostawił.

Wasiljew, słuchając opowiadania, głową kręcił i dawał do zrozumienia, że sprawa zła była.

— Nie chcecie z nim żyć?.. — rzekł w końcu, na to rady innej niema, okupić mu się trzeba. Gębę mu zatkać. Ale i on pewno niegłupi, kiedy może mieć wszystko, jakby chciał odrobiną się zaspokoić! Trudna sprawa!

Po cichej naradzie, w ciągu której kupiec się od wylękłej kobie-

ty dowiedział, co miała, bo mu ze strachu spowiadała się ze wszystkiego, poszedł rano Wasiljew w poselstwie do Jewłaszewskiego. Zaledwie mógł zagaic, gdy ten mu odparł:

— Po co wy, Jefremie Polikarpowiczu, mieszacie się w nieswoje sprawy! Palca między drzwi kłaść nie trzeba. To domowa rzecz, dajcie mi z nią uporać się samemu.

Z tém go odprawił. Do wieczora dał folgę Eudoksyi i czas do namysłu. Wieczorem nie przyjmowano nikogo; poszedł on na rozmowę i siedział do późna, a gdy wychodził, ci, co go po drodze najrzeli, powiadali, że posępną miał twarz i brwi ściągnięte. Całą noc kobiety około Eudoksyi spędzić musiały, bo na serce chorowała z płaczu i smutku. Usnęła dopiero nad ranem, nie wychodziła z domu, nie jadła prawie, posłała świece do cudownych obrazów i tak przetrwała do wieczora. Nadszedł znowu nieubłagany prześladowca, ale kobiety mówiły, że łagodniejszym się okazywał i dobremi słowy starał się płaczącą i narzekającą uspokoić.

Przybywał i dni następnych, a Eudoksyja powoli przychodzić zaczęła do siebie, czego pierwszym znakiem było, że twarz pomalowała i suknie wdziała paradne, pierścionki i klejnoty; Jewłaszewski pił już u niej herbatę i gadali z sobą pociechu.

Tylko gdy wyszedł od niej, wzdychała ciężko, a nocami jeszcze popłakiwała. Wasiljew, choć się usunął od tej sprawy, utrzymywał, że się ona skończy zgodą. Mrugał jednem okiem, śmiał się i Anusze szeptał:

— A no jeszcze i chrzciny mogą z tego być!

Stara go uderzała po ramieniu nie chcąc słuchać.

Tymczasem przyjaciele mistrza nie wiedzieli nic, prócz, że zaszła w nim niepojęta, niewytlómaczona zmiana.

Nie poznawano tego apostoła gorliwego, teraz pogrążonego w milczeniu, posępnego, zobojętniałego na wszystko.

Stopniami przestał bywać u pani Heliodory, a nawet u siebie przyjmować. Nie zastawano go prawie nigdy w domu wieczorami, a Wańka, choć z miny mu znać było, że coś wiedział, zaklinał się, że o niczém wcale nie wie i nie zna...

Metamorfoza ta ogromne uczyniła wrażenie na adeptach mistrza, szukano jój przyczyn nadaremnie, a tymczasem grono, któremu przewodniczył, zaczęło się zwolna rozpierzchać.

Nikt nie mógł go zastąpić. Pragnącym wiedzy i jakiegoś postępu, który lepiej nazwać było potrzeba poskokiem, potrzebującym wodza do walki z ciemnotą i barbarzyństwem, jak się wyrażali, jakby z nieba spadł naówczas przybywający się tu doktoryzować, uczeń uniwersytetu w Bonn, niejaki Euzebiusz Komnacki, który już stopień magistra filozofii w Niemczech był uzyskał.

Rodem z okolic Kijowa, pan Euzebiusz znany tu był w młodości, a sława nadzwyczajnej nauki wyprzedziła go do Kijowa! Młodzież wyobrażała sobie naturalnie, iż przyniesie jęj z sobą światło najczystsze, u zachodniego zacerpnięte ogniska, najświeższe wypadki nauki, badań, filozofii i teoryj społecznych.

Jewłaszewskiego już zobojętniałego wieść o tym przybywającym współzawodniku dotknęła dosyć żywo... Podrażniona miłość własna nie dała mu cofnąć się z placu boju bez okazania się na nim przynajmniej.

Mówiliśmy, jak był zawsze ostrożnym w wypowiedaniu cząstkowem teoryj swoich i pomysłów; choć go nauka istotna trwożyła trochę i próba, jaką miał przebyć, miłą nie była, musiał dla czci swęj spojrzeć w oczy panu Euzebiuszowi. Zapowiedziano mu już zawczasu nie tylko jego przybycie, ale niezmierną chęć poznania tego luminarza, jakim głoszone Jewłaszewskiego.

— A! zobaczymy, zobaczymy! co to nam tu ten młokos przywiezie osobliwego z zagranic — odzywał się z zawczesnym przekąsem — bardzo rad będę ujrzeć, posłyszć, uczyć się...

Z udaną pokorą wyczekiwał na gościa. Unikał go, uciekać od niego, byłoby uznać się bez walki zwyciężonym...

Zawczasu zdania były podzielone; jedni utrzymywali, że mistrz wyjdzie zwycięsko, drudzy objawili pewną milczącą dwuznaczną obawę. Niekörtzy zapowiadali nieprawdopodobną rzecz w młodzieńcu wprost przybywającym z zachodu, zacofanie.

— Nie potrzeba mówić sobie — dodawał mistrz — że tam już cała mądrość. Łatyńskie rasy się przeżyły, Niemcy miewają bziki, a na Słowian przypadł czas odrodzenia myślą nową strupieszalego świata! To moje najmocniejsze przekonanie!

W ten sposób obwarowawszy się na wszelki wypadek, aby gdyby został pobitym, nie uznać się za zwyciężonego, Jewłaszewski czekał.

Euzebiusz przybył nareszcie; niekörtzy widzieli go już i mówili o nim tylko — zobaczycie. Jedni z pierwszych, którym dano było się z nim spotkać, był Ewaryst, którego rodzice z Komnackiego familią w blizkich byli stosunkach.

Na pierwszy rzut oka młody filozof wcale nie był imponującym. Średniego zaledwie wzrostu, fizyognomii nic nie mówiącej, milczącej, skromny, potulny, nie popisujący się z niczém, czynił wrażenie człowieka niewielkich zdolności. Był to jednak pozór ludzający; pan Euzebiusz niełatwo dający coś dobyć z siebie, gdy został powołanym rdo wypowiedzenia zdania, zmieniał się zupełnie, nabierał powagi i ozwijał niepospolity dar słowa, wychodził z powszedniego swojego sta-

nu, przybierając ton człowieka tak pewnego siebie i tego, co głosi, że nikt mu dotrzymać nie mógł.

Miał naukę istotną, gruntowną i rozległą, na pewnych opartą posadach i w pierwszej rozmowie z Ewarystem dał mu poznać, jak daleko był od radykalizmów naukowych i społecznych. Sceptyk trochę w wielu przedmiotach, przez to samo rewolucyjnego nie miał ducha, bo do burzenia potrzeba zapału i wiary, trzeba szaleństwa pewnego, a sceptycyzm naukowy woli kroczyć powoli, bo w skutek pochodzenia swojego nie ufa.

Nazwaliśmy to sceptycyzmem naukowym, coby raczej miarą i wiedzą granic rozumu nazwać należało. W nim wątpliwość w rzeczach wielu łączyła się z niewzruszoną wiarą w metodę badania i istotne nauki zdobycze.

Spotkanie się z sobą dwóch owych znakomitości, zapowiadane ciągle i z dnia na dzień odkładane, gdyż Jewłaszewski, jak gdyby go chciał uniknąć lub spodziewał się jakiej przeszkody uwalniającej, zwłóczył ciągle z niemi; miało zrazu przyjść do skutku w mieszkaniu mistrza. Dogadzało to jego próżności, że nowo-przybyły miał mu pierwszy oddać uszanowanie, przeciwko czemu pan Euzebiusz nie a nie nie miał; bo ani dumy, ani ceremonialności nie było w nim najmniejszej.

Tymczasem dowiedziała się o tem pani Heliodora i całą swą strategią wymierzyła przeciwko projektowi, dowodząc, że powinni byli zetknąć się niby przypadkiem na gruncie neutralnym. Szło jej o to, aby była świadkiem tryumfu, a bodaj już tylko walki i by o nich później opowiadać *de visu et auditu*. Młodzież swą podkomendną wyprawiała na wszystkie strony z takim naleganiem, sama napadła o to tak gwałtownie Zyżyckiego i mistrza, że się jej oprzeć nie mogli.

Zyżycki pół żartem jęj odparł z początku:

— Ale bo to, widzi pani, wiadoma rzecz, przyjdzie do jakich rozpraw naukowych, to trzeba zupełnej swobody słowa, a przy kobietach zawsze się człowiek za język kąsać musi.

— A cóż to, my, proste jakieś bigotki, fanatyczki, skromnisie, które lada słowo rumieni! Przecież waćpan wiesz, żeśmy bez tych głupich przesądów i że przy nas wszystko mówić można.

Koniec końcem postanowiono, którego wieczora miał pan Euzebiusz przyjść do Heliodory, do której i Jewłaszewski się obiecał.

Zonia, choć teraz mocno zajęta sobą, smutna i podrażniona, bardzo chciała widzieć przybysza i być przytomną owęj naukowęj szermierce.

Zbierając się na nią, nikt tylko o tem nie pomyślał, jak i kto zagał rzecz i wyprowadzi na stół. Nie znano pana Euzebiusza, któ-

ry sam więcej unikał rozpraw dyletanckich o naukowych przedmiotach, niż je wywoływał. Za niego ręczyć było można, iż gotów o pogodzie, o ulicy, o lada fraszce mówić wieczór cały, niżby miał w niepoświęconém miejscu wyrwać się z kwestyą naukową.

Jewłaszewskiemu téż polemika była nie na rękę, nie był do niej usposobiony teraz, obawiał się pedanta, to jest człowieka z logiką i systemem mówiącego o rzeczy głębiej zbadanej; i on więc nie był skłonny do zaczepki.

Euzebiusz nie chcąc być zupełnie sam wśród obcych, trochę znajomego Ewarysta z sobą pociągnął, który rad był przy téj zręczności Zonie choć zdaleka zobaczyć.

Pani Heliodora, objawiająca przy każdej zręczności swą wzgardę dla form wszelkich towarzyskich, do elegancyi, do występów, je-dnakże tego wieczora porobiła pewne małoznaczne ustępstwa, aby się zbyt parafiańsko nie wydać gościowi.

Zwykle występowała w sukni dosyć przeszarżanej a niedbale zapiętej pod szyją, a często bez kołnierzyka czystego i rękawków. Tego dnia suknię włożyła nowszą i śnieżnej białości manszetki. W izbie umieciono starannie i niezliczone resztki papierosów wyrzuciono do komina zastawionego parawanikiem. Stara Agafia zastosowała się do instrukcyi i włożyła chustkę świeżą, a suknię jedwabną. Do herbaty przysposobiono wymyślniejszą przekąskę.

Jedna tylko Zonia nie chciała się ubrać inaczej tylko jak na co-dzień.

Z gabinetu przytykającego, zawsze zarzuconego gratami, wyniesiono kompromitujące rupiecie do sypialni, aby nim zwiększyć miejsce, przylączając go do salonu.

Daleko jeszcze było do wieczora, a dzień niesłychanie upalny i gorący dokuczał, gdy już Heliodora z papierosem chodziła niespokojnie po swoim saloniku, mającym być wkrótce teatrem walki.

Nikt jednak nie przychodził i zmierzchać zaczęło, gdy pierwsi janowie akademicy, co najmłodsi i najniecierpliwi, ściągac się zaczęli. Przybywali bardzo powoli i właśnie ci, o których gospodyni cak najmniej chodziło.

Zonia wyszła nieprędko zadumana, blada, milcząca, z minką pogardliwą i roztargnioną. Na kilka pytań, jéj zadanych, ledwie pół słowami raczyła odpowiedzieć.

Gdy nadszedł Zoryan, którego gospodyni przyjęła bardzo zimno, we dwoje z nim zaczęli chodzić, szepejąc, po salce.

Szeliga pokornie kroczył za Zonią, która się z nim obchodziła jak z niewolnikiem, ale razem okazywała mu poufalość taką, że nawet Heliodora ramionami ruszała.

— Bo już za oczyma róbcie sobie, co chcecie — powiedziała zniecierpliwiona na ucho swój towarzyszcze, ale przy ludziach trzeba się zachować skromniej.

— A mnie co ludzie obchodzą? — odpowiedziała krótko i ostro Zonia.

Było już kilku młodzieży, gdy Ewaryst wprowadził pana Euzebiusza. Choć go tu już opisywano jako niepozornego wcale, pani Heliodora nie mogła ukryć zdumienia, zobaczywszy niepoczesną, skromną figurkę, wszelkiej mistrzowskiej pozbawioną powagi.

Chwyciła go zaraz sobie do rozmowy i jeszcze bardziej się zdumiała, słysząc go jękającego się i mówiącego tak proste rzeczy w sposób tak pospolity, iżby go nawet o żadną uczoność posądzić nie można.

Zobaczywszy wchodzącego Ewarysta, nieszczęśliwy Zoryan stehórzył i zdezerterował od Zoni. Ta zrozumiałwszy łatwo powód ucieczki, sama go dognała i dała mu natychmiast naukę, że chce i rozkazuje, aby wcale na Dorohuba nie zważał i na krok się od niej nie oddalał.

Pieszczone chłopię było wyraźnie na mękach. W chwili gdy Ewaryst przyszedł się z kuzynką przywitać, Zoryan powtórnie próbował się wymknąć, ale Zonia głośno mu powiedziała:

— Czegóż pan uciekasz? Stój pan i nie odchodź.

Szeliga pozostał niemy i jak wkuły.

Mówiono przy kanapie i dokoła stołu o wszystkim, co na myśl przyszło, o profesorach, o materialnych warunkach pobytu w Kijowie, o niektórych wykładach, o doktoryzacji, którą pan Euzebiusz miał tu odbywać, ale kwestyj tak upragnionych naukowych i społecznych nie poruszył nikt.

Czekano na mistrza.

Parę razy, których z młodzieży z przelaju coś rzucił na stół, nikt tego nie podniósł. Pan Euzebiusz opowiadał gospodyni o pięknych brzegach Renu, a studentom o pielgrzymkach ich kolegów niemieckich ponad niemi.

Po kilkakrotnych zapytaniach na migi uczynionych przez starą Agafię względem roznoszenia herbaty, na ostatek Heliodora dała znak przyzwalający i miano ją roznosić, gdy mistrz ze swym sztabem, złożonym z kilku adeptów najśmielszych, ukazał się nareszcie w progu. Wszystkich oczy zwróciły się na niego; błąd był, wejrzenie miał jeszcze błędniejsze i staranniej kryjące się niż zwykle, ale ubiór jego trochę staranniejszy dawał poznać, że myślał, jak się tu pokaże.

Heliodora miała przygotowany frazes przy przedstawieniu dwóch mężów wzajemném. Poczęła od młodszego, a potem dodała:

— Pan Jewłaszewski, naszój młodzieży mistrz i ukochany ojciec, nasz luminarz, o którym niepodobna, abyś pan nie słyszał, bo sława jego daleko sięga po za nasze kresy.

Euzebiusz witał go z pewnym respektem, tłumiąc mały uśmiešek, a Jewłaszewski coś burezał pod nosem, niezupełnie będąc rad z takiego zaprezentowania.

Pierwsza chwila zakłopotania przeszła w milczeniu.

Młodzież kołem wielkiem otoczyła tych panów, oczekując na ich starcie z sobą. Jewłaszewski zaś parę frazesów rzuciwszy wnet zamilkł. Pan Euzebiusz zmierzył go oczyma raz i drugi i dalej coś mówił z gospodynią.

Podawano herbatę.

Słuchacze przybyli, aby być świadkami starcia, gorąca młodzież wyczekiwała niecierpliwie napróžno.

— Ale słuchajno, Zyżycki — odezwał się jeden pocichu — pókiż to tego będzie? trzeba im koniecznie kość rzucić, aby się pogryzli... Jewłaszewski mruk jest, dopóki potu nie poczuje. Niema rady, trzeba, aby jeden z nas podniósł jaką kwestyą!..

Zgadziali się na to wszyscy, i młody Helmer, z nazwiska niby Niemiec, ale z rodu i charakteru chochoł czystej krwi, przystąpiwszy do stolika, począł panu Euzebiuszowi wyklądać najnowszą teorią społeczną, wedle ewangelii Jewłaszewskiego, ciągle się odnosząc do niego. Nastawał szczególniej na starosłowiańskie jakoby wydobyte z mroków przeszłości prawa i zwyczaje nowój organizacyi gmin i podziału własności i t. p.

Pan Euzebiusz słuchał bardzo cierpliwie, niekiedy nawet trochę już jękającym się Helmerowi podpowiadając z Haxthauzena.

Gdy wykładający dokończył, stało się milczenie, Komnacki patrzył wprost pod stół, zdawał się namyślać.

— To nie są wcale rzeczy nowe — rzekł w końcu — wszystkie społeczeństwa od takich organizmów zaczynały i przez nie przeszły, ale żeby do nich powracać drogą rozumowania i teorii, byłoby to dobrowolnie cofać się nazad ku barbarzyństwu.

Jewłaszewski słuchając zarumienił się nieco.

— Wyznasz pan — rzekł sucho i aforystycznie — że dzisiejsze stosunki społeczne w Europie nie są wcale ideałem, i że z pomocą téj niby cywilizacyi, która się przeżyła, doszedłszy do takich rezultatów, ludzkość ma prawo czegoś lepszego szukać na inném drodze!..

— Ludzkość ma zawsze prawo szukać polepszenia swojego bytu — odparł Euzebiusz — to jój ziemskie zadanie, lecz po drogach już ubitych i zbadanych niema po co chodzić raz wtóry.

— Właśnie pytanie, czy to są drogi już zbadane — rzekł Jewła-

szewski. — Każdy naród ma swe posłannictwo i we własnej skarbnicy szukać powinien ziarna, to skarbnica nasza... Ziarno stare może dawniej zejść nie miało czasu...

— A dla mnie to pytanie — rzekł Euzebiusz — czy ziarno jest nasze. Widzę je wszędzie w pierwotnych organizacjach społeczeństwa, jako przygotowawcze i przechodowe.

Jewłaszewski wydał usta mocno, rzucił okiem po swém audytorium z wyrazem małego szyderstwa i zamilkł.

Zrobiło się cicho.

Ostatnie słowo dawało jakoby zwycięstwo przybyszowi, nikt nie miał ochoty się odzywać, gdy w miejsce Helmera, wystąpił drugi młodzieniec z patetycznym dowodzeniem o konieczności reform radykalnych, burzących, aby plac do czynu dla przyszłości oczyścić!...

Odwoływał się też w swych argumentach do Jewłaszewskiego, który okazywał znaki zniecierpliwienia i nieukontentowania.

Zaczepony wprost Euzebiusz, widząc, że idzie o wyznanie wiary, nie wahał się z nióm i począł spokojnie bardzo:

— Tak jest! tak jest! potrzeba reform, potrzeba ulepszeń, trzeba postępu, ale zarazem jasnego pojęcia, jak się on w historii objawia. Widzimy go czasem następującym po wielkim kataklizmie burzenia i niszczenia, to prawda, lecz daleko dzielniejszy, pewniejszy jest postęp stopniowy, powolny i nie rewolucyjny. [Wielkie kataklizmy historyczne zawsze prawie wychodzą na korzyść nie tym, co się do ich spełnienia przyczyniali, co je wywołali, ale obcym, świadkom bezczynnym... Instynkt burzenia właściwy jest narodom dziecinnym lub zdziecinniałym.]

Jewłaszewski spojrział po swoich, młodzież osłupiała, zachowała się milcząco; nie odpowiedział nikt bardzo długo.

— A tak! tak! — przebaknął mistrz popiwszy herbatą — powoli noga za nogą, kulejąc za jakie dziesięć pokoleń dojdzie się do tego, że się namaca chorobę, a za drugie dziesięć trochę ją podkuruje!..

Rzekł to pocichu z ironią wielką.

— Praca około postępu skalą naszego życia nie powinna się mierzyć — rzekł Euzebiusz. — Ludzkość cała, zbiorowy człowiek ma żywot jeden, którego my jesteśmy małeńkimi czynnikami... Jednostkom może być z tém niewygodnie, ale cóż znaczą jednostki?...

Znowu patrzano po sobie, nikt już nie próbował zaczepiać Komnackiego, który pozostał odosobniony, jakby między nim a otaczającymi otwarta wojna wypowiedziana została.

Jewłaszewski nie wdawał się już w dalszą polemikę, widząc, że krańcowo od siebie teorye jego i przywiezione z zagranicy przez Euzebiusza się różniły.

Sarkastyczny uśmiech błędził po jego wargach.

Ewaryst patrzył, jak Zonia w czasie téj krótkiej wymiany słów, stała wpatrzona i wsluchana w Euzebiusza, brwi zmarszczywszy; spojrzała potem na Jewłaszewskiego i czekała, co dalej nastąpi. Młodzież gorączkowo po kątach się ucierała. Pani Heliodora siedząca przy swym gościu, była, jako kobieta, wyraźnie pod wrażeniem nowości i łatwo można było poznać, że mistrz stracił wiele w jéj przekonaniu.

Uparte jego milczenie, bądź co bądź, kazało się braku odwagi i wiary w siebie domyślać.

Rozmowa stała się gwałną i rozdzielila po grupach. Gość zwrócił się na klimat, porównyując ten, w którym żył lat kilka, z miejscowym. Wpadł na meteorologią, ktoś wtrącił żarcik jakiś i on mu dopomógł wesoło wtórując.

Słowem mistrzowi wydał się bardzo pospolitym.

Zagadnięty w kątku przez Żyżyckiego Jewłaszewski:

— A cóż, ojeze?

— A co? młokos niedowarzony i pedant! — odpowiedział mistrz, odwracając się. — Niema z kim gadać!

Zonia, którą jéj wielbiiciel zapytał cicho o zdanie, odparła:

— Nie rozumiem go, widzę tylko, że nas z pogardą traktuje i zbywa lada czém... Wyraźnie unika polemiki.

Ścisnęła ramionami.

Wielkie oczekiwania jakiegóś walnej bitwy musiały się na tym szarmyelu rozbić, bo nikt już nie spodziewał się, aby Jewłaszewski, albo Euzebiusz podniósł rękawicę.

Adepci mistrza nadto byli przejęci długo ssanemi teoryjami jego, aby się łatwo pobić dali i nawrócić, niektórzy jednak z nich chodzili zadumani, przezuwając słowa Euzebiuszowe...

Zdania były chwiejne i rozdwojone.

Ku końcowi już wieczora, Zonia miała zręczność zbliżyć się do gościa i rzuciła mu kilka pytań w przedmiocie, który ją najbardziej obchodził, co do praw kobiety i kwestyi jéj emancypacyi.

Gorąco poczęła na niewolę niewiast utyskiwać, nalegać na potrzebę wyzwolenia, i w końcu tak nacisnęła dosyć milczącego pana Euzebiusza, że odpowiedzieć jéj musiał.

— To, co pani nazywasz kwestyą praw kobiety, a co nią być mogło w średnich wiekach, dziś nie istnieje. Prawie u wszystkich cywilizowanych narodów, kobieta ma też same prawa co mężczyzna. Kwestya cała zamyka się w uzdolnieniu. Jak mężczyźni tak kobiety nierówno są wyposażeni, nie każda być może panną Herschell, ale każdéj jest to dozwoloném. Kto w sobie czuje siły, odwagę, wytrwałość, czemużby nie miał dobijać się stanowiska, do

którego czuje się zdolnym?... W Ameryce kobiety zajmują katedry po uniwersytetach... mogą się ich dobić i u nas!

Uśmiechnął się dwuznacznie.

Zbytą w ten sposób Zonia, nie mając się o co z nim sprzeczać, zamilkła. Był bardzo grzeczny i w wyrazach pochlebnych nader winszował jej zapału do nauki, o którym już słyszał.

Wogólności nadzieje pokładane na panu Euzebiuszu mocno zawiedzione zostały. Znajdowano go zimnym, unikającym rozmowy seryo, pogardliwym niemało, choć nie chybił nikomu. Młodzież mówiła, że sztywny był i krochmalny. Ci, którzy wyglądali fajerwerku, powiadali, że brakło mu na gieniuszu i wymowie... Słowem jedném, można było z tych sądów wniesić, że nie zrobił wrażenia wcale, ale w głębi duszy tych, co go słuchali, choć się nie przyznawali do tego, został ślad trwały, materyał bogaty do rozmyślań.

Jewłaszewski, który zawsze prawie każdego wieczora miał choć jedną chwilę „wniebowzięcia“, natchnienia i zapału, który improwizował coś chaotycznie niezrozumiałego, lecz tak zaprawnego, że upajało, tego dnia chodził ostygły i jak nie swój.

Już było po dziesiątej, gdy na dany przez Euzebiusza znak, Ewaryst poszukał kapelusza, aby się wymknąć z nim razem. Znaczniejsza część zgromadzenia pozostała jeszcze z panią Heliodorą, i dopiero po wyjściu Komnackiego towarzystwo się ożywiło, wybuchnęły zdania, sądy i przekąsy.

Mistrz ponury, milczał. Gospodyni słuchała nie mówiąc swojego zdania; młodzież zbywała żarcikami.

Oczekiwano długo, nim nareszcie Jewłaszewski przygotowawszy się zawołał z powagą nakazującą:

— Otóż to są owoce zagranicznego wychowania! Młodzież powraca nam obca wszystkiemu co nasze, nie rozumiejąca ani potrzeb, ni tradycyi, z umysłem przykrajany do niemieckiej lub francuskiej mody, a my w pokorze ducha padamy na twarz przed wielkim gieniuszem Zachodu!

Sąd ten, w którym była odrobina prawdy, wydeklamowany pięknie, wywołał ogólne uznanie. Mistrz zwyciężył, otoczono go ze czcią, był rad z siebie i pieczęć tę przyłożywszy do historii pamiętnego wieczoru, natychmiast się oddalił.

Pilno mu było, a prawdę mówiąc Euzebiusz, postęp, nauka mniej go teraz daleko obchodziły od własnej sprawy. Biedny człek walczył dotąd z bardzo ciężkiem zadaniem życia ubogiego, podtrzymywanego rozmaitemi zarobkami niewidomemi; zjawienie się tej, która była niegdyś jego żoną, przybywającej jakby umyślnem

losu zrządzeniem dla wyzwolenia, stawilo go w położeniu nader wiele dającym do myślenia.

Mógł nagle biorąc tę kobietę życiem znękaną, zwiędłą i mniej ponętą, niż była kiedykolwiek, uzyskać przez nią niezależność. Tłómaczył się sam przed sobą, że bogactwo było środkiem, który w jego rękach obficie mógł wyrobić owoce... Głodny dostatku pokonał się sofizmatami... Kości były rzucone, postanowil opanować jak swą własność Eudoksyą razem z jej majątkiem.

Kobieta przestraszona bronila mu się jak mogła, znając go z przeszłości, wreszcie zdała się już ulegać i zgadzać na wszystko. Trwoga ją zmogła.

Układano się tymczasem, próbowała jeszcze Eudoksyja okupić się od niewoli, Jewłaszewski nie przyjmował żadnej ofiary, trzymał się prawa.

W Wasiljewie nie znalazłszy doradcy, kobieta jak ze świecami udawała się do wszystkich świętych i błogosławionych w pieczarach i po cerkwiach, tak myślami szukała między temi, których poznała w Kijowie, człowieka, coby ją mógł ze szpon Jewłaszewskiego ocalić.

Przyszłe życie z tym człowiekiem, gdy myślała o niem, wydawało się męczarnią, miała zostać z pani niewolnicą, skazaną na wieczne wypominanie przeszłości, na surowe zamknięcie w domu... kto wie? na niedostatek może?

Tonący brzytwy się chwytą. Chodząc myślami po ludziach, do których listy swoje przywiozła i poznała ich w Kijowie, wpadła na ostatek na myśl zwierzenia się panu radcy Jabykinowi. Był to człowiek, który niegdyś żył w przyjaźni z przybranym mężem Eudoksyi. Znajomość z nim odnowiona teraz sięgała lat dawnych. Ponieważ Jabykin rzadko do niej przychodził, bo był teraz na wysokim stanowisku i tylko przez pamięć dla przyjaciela jego przyjaciółkę odwiedzał, posłała do niego Anuszkę z zaklęciem, aby przybył na chwilę rozmowy.

Jewłaszewski bywał co wieczora. Radcę więc w dzień koniecznie proszono.

Człowiek był poważny na oko, w prywatnym życiu lubiący wygódki i wesołe towarzystwo, dobrego serca, małej głowy, a wielkiego poszanowania dla praw i formalności z niemi związanymi. Lat już około sześćdziesięciu, a nierad, by je na nim czytano, zawsze wygolony świeżo, dosyć otyły, radca stęknął, że musiał wśród dnia na pierwsze piętrowe się drapać po ociążającym śniadaniu.

Przyjęto go tu ze czcią wielką, posadzono wygodnie, a Eudoksyja zaczęła od tego, że padła przed nim na kolana, na cienie nieboszczyka zaklinając, aby ją biedną sierotę ratował.

Łzawe było opowiadanie przeszłości, bolesna spowiedź, bez której obejść się nie mogło. Radca słuchał z uwagą natężoną.

W czasie powieści ruchy rąk tylko oznajmywały, iż stary wątpił, aby Eudoksyą ratować było można.

— Sprawa wasza ciężka bardzo, nie zgryźć jej jak orzech, ani wypłunąć jak skórynkę chleba... Wszystko zależy od tego człowieka, jaki on jest i czy z nim co zrobić można; jak nie, poddać się potrzeba...

— A! uciekać za kraj świata! uciekać! — zawołała Eudoksyja.

— Zapewne — rzekł radca — gdyby można, czemu nie? Myślicie, że on łapę zagiąwszy na was, nie pilnuje noc i dzień? albo gonić nie będzie? A nuż listy gończe pójdą, a pochwycą gdzie?

Jabłykin ręce rozstawiał szeroko i składał je na żołądku, okazując, że nie widział ratunku. Prosiła go jeszcze Eudoksyja, aby pośrednikiem był i mówił z Jewłaszewskim. Zaklinała się, że nie miała więcej całego majątku nad pięćdziesiąt tysięcy rubli, z tych połowę gotową była oddać mężowi, byle ją swobodną zostawił.

Radca przyrzekł wdać się w tę sprawę, ale szepnął na ucho Eudoksyi:

— E! mateczko, mówicie o pięćdziesięciu, a ja nieboszczyka kieszeń znalazłem! E! e!

Zakryła sobie oczy jejmość, usiłując wytłómaczyć się, czego już radca nie słuchał. Szedł natychmiast do Jewłaszewskiego.

Trzeba było przyjaźni, jaką miał dla nieboszczyka, aby go po śniadaniu ona drugi raz na wschody drugiego piętra wyciągnęła. Gdy stanął u drzwi, ocierał pot z czoła, z brody, z szyi i dyszał, aż go żal było.

Jewłaszewskiego zastał na konferencji z Wańką, który srodze miał potarganą czuprynę. Sposób ten wychowywania ludu nie wchodził w teoryje Jewłaszewskiego, lecz w praktyce okazywał się czasem niezbędnym.

Radca bardzo mało znany był mistrzowi, a urzędowe jego stanowisko i wstręt od popospolitowania się wizytę czyniły bardzo dziwną. Jewłaszewski się jej celu odrazu domyślił.

Posadził dygnitarza w krzesło; Wańka uciekł; zaczęła się rozmowa od gorąca i od nieszczęśliwości tych, co na drugie piętro są skazani.

Preludya do rozmowy zajęły z kwadrans czasu, dając Jewłaszewskiemu możność rozmyślenia się, co miał począć. Radca poufnie i w tonie przyjacielskim począł rozmowę.

— Ej! stary — rzekł do niego — ja jej przyjacielem, ale i tobie nie wrogiem. Na co tobie się to zda? Toż wziąć kobietę starą, która do was serca niema? a co to będzie za życie? męczarnia dla niej, mę-

ka dla ciebie. To proste kobiecisko, ty jęj pokazać nigdzie nie będziesz mógł, ma swoje narowy, które tobie będą niemiłe. Nie lepiej ci wziąć dwadzieścia pięć do kieszeni i zostać swobodnym?... Ona z oczów zejdzie... ty się będziesz mógł ożenić...

Oparł się Jewłaszewski, przywiązując do litery prawa, do obowiązków męża i żony, ale Jabłykin słuchać tego nie chciał.

— Co ty mnie takie rzeczy mówić będziesz? — odezwał się — albo my ciebie nie znamy, albo to ty nie zapisany jako liberał i wolnodumiec, u którego żadnej wiary niema? albo to niewiadomo, że ty i młodzież bałamucisz? a tu, nagle taki religijny się stałeś i tak szanujący prawo. Bodajesz był zdrów...

Ostatni argument bladeścią okrył twarz mistrza, który nadzwyczaj gorąco począł się wypierać swych przekonań.

Jabłykin głową kręcił.

Trwało jeszcze chwilę, ale już z coraz mniejszym ze strony Jewłaszewskiego oporem, ucieraniem się o żonę, przystawał wreszcie na indemnizacyą trzydziestu tysięcy rubli z powodu, jak mówił, że ta kobieta więcej go daleko kosztowała...

Radca zwyciężył...

Wszystko to, wystąpienie do żony, negocjacje z nią, układ ostateczny, wypłata pieniędzy przez ręce radcy, pokwitowanie i podpisana dana przez mistrza w takiej tajemnicy się odbyły, że nikt z przyjaciół Jewłaszewskiego nie domyślał się nawet całej sprawy. Wasiljew nikomu o niej nie mówił.

Jednego wieczora gdy Zyżyński był u mistrza, spostrzegł zdziwiony mocno, że mieszkanie niedawno zajmowane przez małowaną panią stało puste.

— A to, proszę cię, ojcuzku — zawołał — albowm ślepy, albo co, wszak u Wasiljewa ta jejmość, co stała na piętrze, ani śladu. Cóż to jest? umarła!

— Albo ja tam wiem! — odparł zimno Jewłaszewski.

Wasiljew zapytany przez ciekawego studenta, powiedział mu, że wdowa za interesami pilnemi odjechała do Petersburga, wzdychając, iż na mieszkaniu wiele stracił.

Większe jeszcze było zdziwienie Zyżyckiego, gdy w kilka dni potem przybywszy do Jewłaszewskiego zastał go pakującym się i wybierającym jak w drogę.

— Cóż to jest? — zapytał.

Mistrz namyślał się z odpowiedzią.

— Wiesz co — rzekł wyciągając rękę i palcem dotykając piersi jego — ja dla ciebie nie chcę mieć tajemnic... Przestrzeżono mnie, że jestem notowany i na oku, muszę zmienić sposób życia, mieszkanie, wszystko.. Poświęcę się nauce, zamknę, odosobnię.. Mój wpływ

nuważany był za szkodliwy, to mogło mieć dla mnie i dla was groźne następstwa. Z boleścią serca, ale usuwam się, usuwam, muszę.

To mówiąc uściskał Zyżyckiego i otarł suche oczy...

— Bądź zdrow! przyjacielu — rzekł — zobaczmy się w lepszych czasach.

Nazajutrz szeptano sobie pocichu nowinę, że Jewłaszewski był *zmuszony* się usunąć. Nikt prawie nie wiedział o tem, że zajął mieszkanie naprzeciwko opróżnione i zapłacone przez Eudoksyą. W ulicy wieczorem, gdy wychodził, mało go kto mógł poznać, bo wdziewał oficjalny cylinder, włosy miał ułożone jak inni podstarzali kawalerowie, buty długie znikły i owa chłopska fizygnomia ustąpiła miejsca jakiegś nowój przypominającej urzędnika.

Z domu wychodził bardzo rzadko i to tylko na wista do rady, który go polubił bardzo.

Klepał go po ramieniu i szeptał mu na ucho:

— E! ty mały! jaki ty rozum miał, że Eudoksyi Filipównęj nie wziąłeś, a toby ci z nią życie zbrzydło! Pół dnia pokłony bije, a pół dnia się maluje!

Zonia tak unikała Ewarysta, że prawie jęj nie widział przez parę miesięcy, a pytać o nią nie miał kogo, iść zaś do nięj sił mu brakło. Gdy pomyślał o zgubioném dziewczęciu, płakać mu się chciało.

Madzia, której siostra na listy nie odpisywała, lub odpowiadała tak, że nic z jęj pisma oprócz obojętności i lekceważenia wyczytać nie było można, zgłaszała się o wiadomości do chorążycy; ten odpisywał ogólnikami, aby nie obwinać, unikając szczegółów, lecz nie tając, że Zonia była bardzo dziwaczną, mało przystępną i t. p.

Zmuszony wreszcie coś donieść o nięj, choć nie widział jęj od tak dawna, Ewaryst jednego dnia zmusił się pójść do dworku Sałhanowej. Robiło mu przykrość niezmierną zbliżka patrzeć na tę istotę, dla której miał niewymowną sympatyą, a ratować jęj nie mógł.

We wrotach już zdala zobaczył starą Agafią, zaczepiającą przechodzących dla upragnionęj gawędki i śmiechu. Stara była bardzo wesola, a bez ludzi żyć nie mogła i chwili.

Zobaczywszy go, poznała zdala starucha i witać zaczęła, zabierając się prowadzić do gospodyni.

Już weszli w korytarz, gdy Ewarystowi zmierzającemu do po-

koju Zoni, Agafia pokazała drzwi bawialni. Myśląc, że ją tam znajdzie, wszedł Ewaryst.

Heliodora sama leżała rozciągnięta na sofie z książką w rękę i cygaretką w ustach. Zerwała się prędko, zobaczywszy Ewarysta.

— Myślałam, że pana w Kijowie niema — rzekła — tyle czasu go nie widziałam...

Ewaryst oczyma szukał Zoni.

— A Zonia gdzie? — spytał.

Zdumiona mocno, wdowa rozśmiała się szydersko.

— A to pan nic nie wiesz! — odezwała się — już tygodni ze sześć jak jój u mnie niema!

Rażony jak piorunem Dorohub poskoczył ku gospodyni.

— Gdzież jest? — zawołał.

— Wyniosła się — poczęła Heliodora. — Już przyznasz pan, że ja jój nie krępowałam w niczém, miała swobody, ile chciała, robiła, co jój do głowy przyszło, ale, dziwaczna! sprzykrzyło jój się tu, no, wyniosła się, nawet nie wiem dokąd, bo jój nie widuję.

Zaniemiał chorążyc. Był to cios, którego się nie spodziewał.

— Nie może być — rzekł — abyś pani całkiem nic nie wiedziała o niej, zmiłuj się pani nade mną, powiedz...

Wdówka dziwnie pokręciła głową.

— Pan także się w niej kochałeś, słowo daję—odezwała się — dziewczyna ta ma osobliwe szczęście, wszyscy przepadają za nią i Jewłaszewski. Nie wiesz pan może co się z nim stało? — zapylała.

— Nic nie wiem.

— Jak w wodę wpadł! Osobliwa téż rzecz, nagle zwinął chorągiewkę. Powiadają, że jest w mieście, że po urzędnikach na wieczory chodzi, a nikt go z dawnych przyjaciół nie widzi. Takięj dezercyi, przyznam się, żem się po nim nie spodziewała! Pokiwała głową, patrząc w oczy chorążycowi.

— O Zoni tyle wiem — szepnęła ciszej poufnie — niech pan się tém nie martwi, że Zoryana Szeligę puściła... Zwodził ją, taką śliczną dziewczynę, a miał razem drugą kochankę i to jeszcze kogo! Jak się dowiedziała, plunęła w oczy i kazała iść precz. Najęła sobie mieszkanie osobno... sama jedna ze służącą. Słyszę schodzą się tam u niej wieczorami, siedzą do późna; co mówią, to powtarzać nie chcę. Na dole w tym samym domu mieszka Teofil Zagajło, Litwin, akademik, medyk, ten, słyszę, nie wychodzi od niej, pokochali się bardzo. Byle tylko znów tak nie było jak z Zoryanem.

Umilkła, patrząc wciąż na zboląłego Ewarysta, który ze spuszczonej oczyma siedział zabity, niemy, bez ducha prawie, powtarzając pocięchu:

— Nieszczęśliwa! zgubiona!

Widząc go tak znekany, żal się zrobiło kobiecie, która serce miała aż nadto dobre i miękkie; wzięła go zwolna za rękę i dała pocieszając:

— Już to prawda, jak mamę kocham, że za nie i za nikogo ręczyć nie można. Człowiek sam za siebie nie wie, czyby ręczył! No, ale co do Zoni, ja panu powiadam, ona taka zuchwała jest, szalona, lecz rozum ma i wziąć się tak nie da! O! nie! Cóż z tego, kiedy ludzie patrząc, co wyrabia, myślą sobie nie wiedzieć co i szkalują ją. A ona o to nie a nie dba. Patrzy śmiało wszystkim w oczy, plećcie, co chcecie.

— Cóż to znowu za Zagajło! — spytał słabym głosem Ewaryst — pani go zna?

— Widziałam go, chłopiec niczego, roztropny bardzo, ale zawierucha — mówiła Heliodora — porywczy, gorączka. Ubogi bardzo, wygląda dosyć dobrze, gada dużo, klócić się lubi... Mnie się zdaje — dodała — że ona i z tym niedługo zerwie, bo, czego chce, trudno odgadnąć!

Ewaryst nie miał już co mówić, a wdowa ciągnęła dalej:

— Czemu pan bo czasem nie zajdziesz do mnie! Ot byś sobie wieczorek przepędził spokojnie, bo u mnie teraz tak dużo osób nie bywa, od czasu, jak Jewłaszewskiego nie stało... Czasem tam parę znajomych, a częściej nikogo... Mnie pana żal, tak żyjesz samotnie, a zadurzyłeś się niepotrzebnie w tym trzpiocie...

Grzecznie podziękowawszy Ewaryst, po krótkiej rozmowie pożegnał gospodynię, która go aż w korytarz, ciągle zapraszając na herbatki, wyprowadziła.

Nietrudno było dowiedzieć się o nowe mieszkanie Zoni, gdyż stara Agafia zaczepiła go na wychodnym i wskazała mu je bardzo dokładnie. Ewaryst nowym niebezpieczeństwem biednej dziewczyny rozbudzony, postanowił tegoż dnia jeszcze pójść do niej.

W kamienicy pokazano mu mieszkanie na tyle od dziedzińca, w którym się już świeciło. Służąca niepozorna otworzyła drzwi nie oznajmując.

W pokoju siedziała Zonia sama, opodał od stołu, zmęczona i ta smętna, jak gdy ją widział ostatnim razem.

Gdy chorążyc wszedł, podniosła się powoli, idąc ku niemu i przywitała zimno...

— Dawnośmy się nie widzieli — rzekła przypatrując mu się.

— Tak dawno — wyjąknął głosem zbolalym chorążyc — żem nawet nie wiedział gdzie szukać panny Zofii.

— A! a! porzuciłam Heliodorę — odezwała się żywo — dobra kobieta ale ograniczona, a panować chciała nade mną i dawać mi rady! Ja tego nie lubię.

Wskazała krzeselko.

— Teraz ja-m sobie sama pani!

Ewaryst nie mogąc pochwalić tego, milczał.

— Wam, ludziom starego świata wydaje się to szkaradą jakąś. Panna! sama jedna i przyjmująca u siebie mnóstwo młodzieży, a na dole w tym samym domu akademik!

— Pan Teofil Zagajło! — wtrącił Ewaryst.

— Już wiesz? — pochwyciła rumieniąc się Zonia — jestem pewna, że Heliodora to zwiastowała, dodając, że jest moim kochankiem!

Nagle wstrzymała się i dodała:

— A! powinnam się wytlómaczyć z mojej zerwanej przyjaźni z panem Zoryanem, bo przypominam sobie, że żem się nawet niegdyś przyznawała przed panem, że go kocham. A! kochałam go szalenie, choć wart tego nie był. Istota jakaś ślimaczęj natury, bez energii, bez serca, zbydlęcona... pfe! pfe! A! jak nas ludzie okrutnie zawodzą — mówiła coraz żywiej. — Jak orzechów tych ludzi, więcej pustych i robaczliwych niż dobrych, zęby na nich psują, aby mieć usta pełne próchna! Pfe! Od czasu jak-eśmy się widzieli, zostałam straszna pesymistką! Życie jak komedya bez sensu, snem jakimś i zmorą... cięży, dolega a nie oplaca się niczém... Plugawa kałuża ten wasz świat!

— Zoniu moja — wtrącił Ewaryst — tak on się może wydać tym, co na niego oczyma skoszonymi patrzą.

— A! zapewne! wy patrzycie nań prosto! idealisci karmiący się mrzonkami. Aby nie żyć w tej brudnej rzeczywistości, stworzyliście sobie świat, którego niema... piękny jak bańka mydlana, ale pusty! Daj mi z nim pokój!

W tej chwili ze śpiewką na ustach i cygarem w ręku, bez ceremonii w kurtce jakiś bez chustki, w pantoflach na nogach wszedł pan Teofil Zagajło. Zobaczywszy go w tym stroju, Zonia się zarumieniła; on zaczął się przypatrywać Ewarystowi.

— Pan Teofil, mój sąsiad, który w negliżu sobie pozwala mnie odwiedzać, co mu się przebacza, bo pracowity bardzo, niema czasu się ubierać.

— A! pewnie! — odparł pan Teofil — z kolegami nie robi się ceremonii.

Pierwszy raz zbliżka widział chorążyc tego kolegę. Był to mło-

dzieniec silny, zdrów, szerokich ramion, rozkwitły bujno, z twarzą nie tak piękną jak rozumną, ale razem wiejącą zawczesnym chłodem. Na wygładzonym czole, w spojrzeńniu jasnym i sięgającym do głębi, malowało się pojęcie łatwe, inteligencya żywa, lecz jakby przedwczesną starością zwiędła. Poezyi młodości, jaką ma każda prawie twarz w tym wieku, jaki miał Teofil, nie było śladu w nim. Starła ją nieubłagana walka z losem, zawczesne pojednanie się z rzeczywistością czy samo dziwne, wewnętrzne usposobienie człowieka, który nie musiał nawet czuć potrzeby uciekania się do żadnych ideałów dla okraszania sobie życia.

Było w nim coś rubaszno żołnierskiego, coś co zowią chłopskim, szedł po świecie pewien swój siły i nie wątpiąc, że nad nim zapanuje. Łagodności i przymilania się nie było w nim znaku, raczej umyślnie przybrana szorstkość i wyraz siły stojącej do popisu.

Z Ewarystem przywitał się dosyć obojętnie i poufale, tak samo i z Zonią, z którą zdawał się obchodzić nie tak jakby z kobietą należało.

Siadł zaraz w krześle, rzucając na stół czapeczkę i paląc dalej cygaro. Zonia była jakby zakłopotana tą poufałością zbytnią, z którą się u niej rozsiadał jak w domu, ale wprędce przyszła do siebie i zwróciła się z rozmową do Ewarysta. Pan Teofil mieszał się do niej pół słowami szyderskimi, z jakąś wyższością trochę dziwaczną.

Wogóle nie był to człowiek wstrętliwy, mimo gburowatej swjej powierzchowności, zdawało się, że nań rachować było można, i że pod tą powłoką chropawą było i serce poczciwe i umysł zdrowo rozwinięty. Ewaryst mógł sobie łatwo wytłómaczyć przewagę jego nad Zonią, poczuciem siły, jaką Żmudzin objawiał. Obcuując z nim, potrzeba było albo mu się poddać lub go podbić, a ostatnie musiało być równie trudnym dla serca jak dla ducha, bo Zagajło miał w sobie coś, co go do panowania nad drugimi wyznaczało.

Mówił z taką śmiałością i siłą przekonań, iż spór z nim wieść było próżnym. W równym wieku z Ewarystem, obchodził się z nim, jakby z młokosem zgóry nań spoglądając. Z Zoni pozwalał sobie żartów delikatnych, ale tak dla niej nieprzyjemnych, że ciągle rumieniła się i niecierpliwiła musiała.

Rozmowa o sprawach ogólnych wywołała z jego strony surowe krytyki wszystkiego, o co potracono; nie przebaczał ani nauczycielom, ani współuczniom. Mówił zwięźle, stanowczo prawie i nie chcąc słuchać opozycyi. Zonia z widocznym niepokojem słuchała go, patrząc, jakie wrażenie czyni na Ewaryście, który więcej mu dawał mówić, niż sam się odzywał.

Wspomniano coś o Jewłaszewskim.

— Komedyant! — zawołał Zagajło — skończył jak oni wszyscy, schowawszy się za kulisy. Nigdy nie byłem wielkim jego wielbicielem, bo często cały wieczór go słuchając, gdym kwintesencją chciał wycisnąć z tego, co wygłaszał z taką prozopopeją, kropli nie wydusiłem z tego próchna. U mnie człowiek jest w czynie, a słowo... to zdawkowa moneta tych, którzy grubiej nie mają.

Widząc, że gościa tego, który tu był jak w domu, nie przesiedzi, i z Zonią się już nie będzie mógł rozmówić, chorążyc pożegnał ją, zostawując pana Teofila, który wołał służącą właśnie, aby podawała herbatę.

Całe obejście się jego u Zoni rażące było jakąś samowolą zbyteczną, którą ona znosiła bez szemrania. Czasem tylko brwi się jej ściały i sznurowały usta, jakby chciała wybuchnąć, lecz wprędce siła tego człowieka brała górę.

Z przykrém wrażeniem, które zawsze wynosił z sobą, ile razy Zonię widział, powrócił pan Ewaryst do domu. Niewymowny żal tej zbląkanej dziewczyny nie dał mu długo niczém się zająć. Myślał, wzdychał i znużony tém dumaniem bezowocném, wziął się do jedynego lekarstwa, którego zwykł był używać, gdy mu co dolegało. Zasiadł do książek i pracy.

Wieczór już był późny, dzień jesienny, ciepły i piękny. Noc nadeszła niepostrzeżona, a jej cisza nadto sprzyjała pracy, którą był zajęty Ewaryst, by mu się ją chciało przerywać.

Pozbył się natrętnych myśli, zatopił cały w swych studyach i ani zważał, jak zegarek na kominie stojący wybił północ. W domu wszystko już, jeśli nie spało, to się uciszyło. Okno jego pokoju otwarte wychodziło na ulicę, w której głuche milczenie małego miasteczka ledwie kiedyniekiedy krok spóźnionego przechodnia przerywał, zbliżając się i ginąc potem w oddali.

Okolo pierwszej było, gdy wśród tego uspienia, niezwycajny jakiś szmer z ulicy, uderzył jego ucho. Szedł ktoś, a raczej biegł krokiem nierównym, przerywanym, pośpiesznym, to omdlewającym. Coś jak jęk głuchy, głos stłumiony nawpół płaczem odezwał się tuż u drzwi kamienicy, w które słabe uderzenie słyszeć się dało.

Ewaryst wyrzwał i w mroku zobaczył kogoś stojącego u wnijścia. Była to kobieta... ręką bezsilną biła we drzwi, opierając się głową o nie. Jakiśmś przecuciem wiedziony Ewaryst chwycił świecę i zbiegł co prędzej ze wschodów z kluczem, aby zobaczyć, kto to mógł być.

Gdy drzwi otworzył, ujrzał przed sobą Zonię, z rozpuszczonemi włosami, nieubraną, okrytą chustką narzuconą naprędce. Twarz jej miała wyraz obłąkania, oczy biegały wkoło przelekle, usta nie mogły wydać głosu. Rękami drżącemi wskazała po-za siebie.

— Zabiłam! — krzyknęła — ratuj mnie. Nie wiem... nie wiem, co mam zrobić z sobą, zabiłam.

Nie mogła mówić więcej i oparła się o ścianę, czoło gorące tuląc do niej, jakby je chciała ostudzić.

Chorażyc nie mogąc pojąć, co się jej stało, napół zemdloną ujął za rękę i siłą niemal poprowadził z sobą. Szła bezmyślna i posłuszna, jęcząc i dysząc, a gdy się znaleźli na gorze, padła w krzesło, zakrywając sobie oczy.

Ewaryst podał jej wody, odtrąciła ją.

— Mów, na Boga, co się stało! — zawołał.

— Zabiłam go! — odparła gwałtownie, porywając się z krzesła Zonia — alem niewinna! Tak, mówiłam mu sto razy, że rewolwer zawsze mam przy sobie, że nie powinien się ważyć progu mojego przestąpić w tej godzinie. Położyłam się w łóżko, niepoczciwa służąca otworzyła mu drzwi, śmiał wnijsć do mnie po nocy. Lampka się paliła, bo niecierpię ciemności, zobaczyłam go wprost idącego do mnie. Zawołałam, że strzelę, nie słuchał, śmiał się, rzucił się ku mnie.

Zakryła sobie oczy.

— Padł we krwi się tarzając! Zabiłam go! tak! a tak-em go kochała! O! ja nieszcześliwa! Widzę go, jak padł z jękiem, za piersi się chwytając i krzycząc: — Szalona! — Tak! Byłam szalona, byłam niegodziwa... a teraz sobie chyba odbiorę życie.

Jęku i płaczu jej niepodobna było utulić. Ewaryst nie wiedząc sam, co ma zrobić, wahał się czy iść dowiedzieć się o Zagajkę, czy pilnować ją tutaj, aby sobie życia nie odebrała.

W tej niepewności gdy jeszcze walczył z sobą, Zonia się zerwała nagle i krzyknęła:

— Chodź ze mną! Tak, ja tam powinnam być na miejscu i nie uciekać, ani kłamać. Com spełniła, tego się nie wstydzę, ale żałuję! ach, żałuję. Bez niego żyć, na cóż mi życie?

I otulając się chustką, poczęła niecierpliwie biedz ku drzwiom, nagle:

— Ze mną, chodź ze mną! chodź tam! ja muszę tam być!...

Chorażyc, nie wiedząc prawie, co czyni, bo czasu do rozmysłu nie miał, chwycił czapkę; ciągnęła go gwałtownie, wołając zdyszana:

— Chodź! idźmy!

W ulicach było pusto, biegiem prawie pędziła Zonia, nie rozpoznając drogi, padając co chwila, tak, że ją Ewaryst przytrzymywać musiał i prowadzić... Gdy się zbliżyli ku mieszkaniu, Zonia się zatrzymała z trwogą patrząc na kamienicę.

Chorażyc postrzegł na pierwszy rzut oka, że wypadek nie musiał być tak strasznym, jak się wydał Zoni, gdyż około kamienicy żadne-

go nadzwyczajnego znaku życia, ani zbiegowiska nie było. Stała czarna, milcząca, i drzwi tylko wchodowe napół otwarte, któremi wybiegła Zonia, świadczyły, że po niej nikt nie wychodził później, ani spostrzegł, że stały otworem.

Milczenie to dziwnem się zdało i jej nawet, uspokoiła się nieco, ciągnąc za sobą Ewarysta. Gdy weszli w podwórze, znaleźli je milczącym i pustym także, na piętrze tylko drzwi mieszkania Zoni otwarte były całkiem i świeciło się w nich. Z trwogą posuwała się ona ku nim, sięgając okiem w głąb' tu; nie było nikogo, sprzęty tylko porozsuwane, nieład, krwawe szmaty porzucone, a w drugim pokoiku przy łóżku Zoni na podłodze, ogromna plama krwi zaschłej. Zobaczywszy ją, Zonia się cofnęła z krzykiem do pierwszego pokoju.

Ewaryst posadziwszy ją w krzesło, sam zbiegł co prędzej szukać sługi i, jak się domyślał, rannego pana Teofila.

Wiedział, że ten stał na dole i po głosach, które z wnętrza się słyszeć mu dały, doszedł łatwo mieszkania Zagajły.

Ruch w niem był widocznie tłumiony umyślnie, aby nie pobudzić sąsiadów. Ewaryst wsunął się śmiało. W dosyć obszernej jedyniej izbie za parawanem słyhać było żwąwą rozmowę i krzątanie. Służąca Zoni biegła z wodą i płatkami. Ewaryst ujrzał na łóżku leżącego rannego pana Teofila, któremu dwu w sąsiedztwa zwołanych studentów rany opatrywało. Zagajło leżał z ustami zaciśniętymi, z zamkniętymi oczyma, błądy, pomazany krwią, ale z wyrazem męstwa i obojętności, dowodzącym wielkiej siły charakteru.

Wtém jeden z opatrujących ranę, odwróciwszy się, spostrzegł i poznał Ewarysta.

— A pan tu co robisz? — zapytał.

— Łatwo się domyślić — rzekł chorążyc — mówcie, jest niebezpieczeństwo?

— Ba! — odparł jeden z opatrujących — o włos, a byłaby go położyła trupem. Szczęściem kula siły wielkiej nie miała, ośliznęła się po żebrach, ale będzie miał lizać się z czego...

Leżący otworzył oczy, skierował je na Ewarysta, poznał go i rzekł głosem suchym, prędkim.

— Powiedz-że jęj pan, że niema nic, głupstwo! Ja winienem! Żart był niedorzeczny! Gotowa sobie co zrobić, powiedz jęj, że rana nie znacząca, trochę krwi.

Zamknął szybko oczy, a Ewaryst co prędzej pobiegł na górę. Zonia, jak ją porzucił, siedziała w krzesle, z głową z poręczy zwieszoną... Usłyszawszy zbliżającego się, porwała się konwulsyjnym ruchem, oczyma chciała z twarzy wyczytać, co przynosi.

— Uspokój się — rzekł Ewaryst — daję słowo, że jest zaledwie ranny, żadne niebezpieczeństwo mu nie zagraża... ma dwóch, co go

opatrują. Przytomności nie stracił wcale, krwi tylko ubiegło mu trochę. Zdaje się, że w domu nikt nawet strzału nie słyszał.

Razem z chorążycem służąca onieśmielona pokazała się w progu, jakby pani w pomoc przyjść chciała. Zobaczywszy ją, gniewna Zonia ruchem ręki wskazała jej, aby szła precz.

Chciała coś powiedzieć.

— Precz — zawołała Zonia — idź, nie pokazuj mi się.

Wiadomość, którą Ewaryst jej przyniósł, zwolna zdawała się ją uspokajać. Siadła znowu w krzesło zadumana. Teraz dopiero gdy wielka trwoga odeszła, poczuła znużenie i bliskość będąc mdłości, zażądała wody.

Chorążyc sam jeden musiał niebardzo umiejętnie przyjść na ratunek. Niepodobna było ją tak opuścić samą, służąca bowiem, znając swą panią, natychmiast zabrawszy, co miała, wyniosła się tak, że w pół godziny już jej nie było.

Wyszędłszy z mdłości, Zonia zwolna odzyskała przytomność i sama zajęła się sobą. Ewaryst chciał ją namówić, aby się położyła, ofiarując pozostać na straży, choćby za drzwiami.

— Krew, krew! ja tam nie pójdę! — odparło dziewczę.

Dniało już, gdy chorążyc szepnął jej, że mógłby odprowadzić do Heliodory. Myśl tę pochwyciła żywo, poprawiła ledwie ubranie i wyszli. W sieniach stanęła na chwilę u drzwi Teofila, niepewna, jakby do niego wnijsć chciała, lecz Ewaryst ujawszy ją za rękę silnie, gwałtem prawie wprowadził.

Przez całą drogę szła milcząca i jak nieprzytomna, ślaniając się... Dopiero u dworku Sałhanowej, który stał jeszcze zamknięty, wskazała okno, do którego zastukać było potrzeba, aby staruszkę obudzić.

Przybycie Zoni o tej godzinie, w tym stanie jakimś nieprzytomności, poruszyło wnet dom cały. Agafia poszła zbudzić panią Heliodorę, która nierychło, bledsza niż zwyczajnie, cała drżąca, okryta szlafroczkim jakimś, bosa zjawiała się w salonie, a zobaczywszy Ewarysta, cofnęła się z krzykiem. Długiego czasu było potrzeba, nim się przeze drzwi można było zrozumieć.

Zonia zaledwie wszędłszy do saloniku, powlokła się ku sofie, położyła na niej i, jakby cudem, natychmiast usnęła...

Chorążyc więc miał czas, nieco już ogarniętej w sąsiednim gabinecie pani Heliodorze opowiedzieć wszystko.

Wdowa słuchała zdumiona tak, że tylko pół-słowami mu przerywała...

— A mówiłam—odezwała się na ostatku, ochłonawszy nieco—mówiłam zawsze, że się to okropnie skończy. Ta Zonia! no, pro-

sze ja pana! z pistoletem! jak mamę Kocham! Co to będzie! co to będzie! Uchowaj Boże śledztwa!

— Sądze — dodał Ewaryst — że się to wszystko cicho skończy. W domu nikt podobno nie słyszał i nie wie, a pan Teofil chwalić się nie będzie z rany, na którą zasłużył.

Heliodora wciąż ramionami ruszała.

— Jak mamę szczerze Kocham — odezwała się poeichu oczy spuszczać — ja myślałam, że oni z sobą byli już tak, że proszę pana, to nie do uwierzenia... Niech pan sobie przypomni, co ja mu mówiłam... z nią niema co żartować! To dziewczyna szalona. Co teraz z nią począć?

Dzień się robił, gdy chorążyc wyszedł od wdowy, która mu przyrzekła czuwać nad Zonią. Na palcach przesuwał się przez salonik, zobaczył ją leżącą na sofie, jak była padła na nią, i głęboko uspioną. Zmarszczone brwi i bolesny wyraz ust jakby marzenia przykre zdradzały... Heliodora stanęła nad nią z załamaniem rękami, a stara Agafia nie rozumiejąc nic jeszcze, czekała pozerana ciekawością, aby się dowiedzieć, co się stało z tą „hołubką“.

Nazajutrz niewiele spoczawszy, chorążyc powrócił około południa do pani Heliodory, u której dotąd pozamykane były okiennice. W bramie Sałhanowa powiedziała mu na ucho, że „hołubka“ spała jeszcze.

Wzdychała ciężko staruszka i potrzasała głową.

— Oj to, panoczku, czasy! to czasy! chyba niedługo czekać na antychrysta! Co to się dzieje! Jakie to teraz chłopcy, jakie dziewczęta! Prawda, bywało i dawniej różnie, od czego młodość! ale się choć Boga bali, panoczku, a pokutowali, a teraz!

Rzuciła ręką.

W sieniach wyszedłszy ku niemu pani Heliodora oznajmiła, że Zonia twardym snem kamiennym spała jeszcze. Jęczała tylko przez sen i wyrazy się jej wyrzywały niezrozumiale. Wdowa nie chciała jej budzić, spodziewając się, że tak snem przejdzie wszystko.

Tego dnia więc Ewaryst się już nie dowiadywał, zapewniwszy, że Heliodora o chorąg mieć będzie staranie. Rano znalazł okiennice otwarte i starą Agafię z rękami w kieszeniach u wrót swego stanowiska.

— A co, przychodzie się o hołubkę dowiedzieć? nieprawda? — odezwała się — no, ja już nic nie powiem, bo ja nie rozumiem nic, idźcie do pani, ona wam wytłumaczy, kto ich dziś zrozumie!

Z poplątaną mową Agafii, Ewaryst tylko domyślił się, że Zoni gorzej nie było.

Heliodora wyszła do niego z papierosem.

— Jak się ma Zonia? — zapytał.

— Cóż? zdrowa — rzekła obojętnie wdowa. — Wyspała się, siły jęj wróciły i co myślicie, zrobiła, gdy wstała? Pierwsza rzecz, że ona powinna tam być u łózka chorego, aby go pilnować! Com się naprosiła, co naperswadowała! Z nią wszystko groch na ścianę, bo to upór, jakiego drugiego niemasz. No i koniec końcem, powlokła się, jestem pewna, że teraz przy chorym siedzi!

Kwaśno dokończywszy wdowa, chciała dłużej rozpowiadać o sobie, jak się w nocy nastraszyła, gdy ją obudzono, jakie miała uczucia, wrażenia, jak ją później okropnie głowa bolała i t. p., lecz chorążyc podziękowawszy za przyjacielską pomoc, pośpieszył szukać Zoni.

W mieszkaniu jęj, w którym nowa służąca, polecona przez Agafię gospodarowała, nie było nikogo. Powiedziała chorążycowi, pomywając właśnie podłogę niemłoda kobieta, że panna była na dole u studenta.

Ewaryst wchodzić tam teraz nie chciał, prosił, by ją wywołano; Zonia wyszła już zupełnie spokojna, bledsza tylko niż zwykle i z ustami spalonymi.

— Widzisz — odezwała się do chorążycy — miejsce moje przy nim. Dzięki Bogu, że żyje, bo jabym go nie przeżyła. Nie odstąpię od łózka, póki zdrowszy nie będzie. Jest tak poczciwy, że mnie nie obwinia i nie gniewa się na mnie. Kocham go więcej może niż dawniej.

Chorążyc nie wiedział co odpowiedzieć, tłumaczyć jęj niestosowność tego postępowania było daremnem, bo zrozumieć nie mogła i nie chciała, co nie było po jęj myśli.

Krótko podziękowawszy Ewarystowi za pomoc i opiekę, podała mu rękę, spojrziała nań okiemś obłąkanem, zeszklonem, i śpiesznie weszła nazad do chorego izdebki.

CZEŚĆ DRUGA.

Chorążyc przybył na święta Wielkanocne do Zamiłowa, gdzie nań, jak zawsze, oczekiwano i wyglądano przyjazdu z niecierpliwością.

W ciągu tego roku stary ojciec jego, jak to podżyłym ludziom, co się długo dobrze i krzepko trzymają, trafia często, nagle był na zdrowiu podupadł. Przyczyna choroby była mało znacząca, jakieś przeziębienie; choroba sama nie miała charakteru groźnego, a skutki jej okazały się daleko smutniejsze niż przewidywano. Przeleżawszy długo w łóżku, pan Eliaz wstał z niego o kiju, nogi mu brzękły, osłabiony był znacznie. Biedna chorążyna zalewała się łzami, on zaś sam, jak nigdy, wesołego udawał, żartował i usiłował dla uspokojenia żony ukryć cierpienie.

Czuł jednak dobrze, że się koniec zbliża, i starym obyczajem, nie trwożąc nikogo, ze spokojem umysłu i przytomnością wielką rozporządzał zawczasu wszystko tak, aby, uchowaj Boże czego, jejmości oszczędzić kłopotu, zostawić w porządku interesa, obmyśleć nawet pogrzeb własny, oszczędzając biednej Elżusi wszelkiego zachodu.

Z tą delikatnością, jaką tylko wielka daje miłość i moc charakteru, chorąży czynił przygotowania te tak, ażeby się ich nawet Elżusia nie domyślała.

Stary Pius i ksiądz Zatoka jedni byli wtajemniczeni i do pobożnego kłamstwa dopomagali.

Ksiądz napróżno usiłował dowieść, że nie tak pilnego nie było.

— Pan chorąży-bo się trwożysz napróżno — mówił doń sam-na-sam — nogi odejdą, siły wróca, będziesz zdrów jak ryba, a to wszystko tylko próżna troska.

— A dajże-bo mi jegomość pokój — odpowiadał z pół-uśmiechem chorąży. — Da Pan Bóg zdrowie, niech będzie imię Jego błogosławione, każe się stawić przed swój trybunał, stań się wola Jego.

Ja się bynajmniej nie trwożę, a no potrzeba, na wszelki wypadek, zostawić rzeczy w porządku... Biedna Elżusia i tak będzie miała przez wierzch głowy do roboty, trzeba jęj oszczędzić troski. Cóż to szkodzi, że się ład robi?...

Potrzeba było niezmiernych wysiłków umysłu, aby powoływanie urzędnika do pisania testamentu czémś upozorować i jejmości się nie dać domyśleć, o co wistocie chodziło.

Woził papiery ksiądz Zatoka, oddawał je w sekrecie stary Pius, przyjmowano sądowe figury, niby dla jakiejś sprawy o granicę.

Choraży tak wszystko urządzał bacznie, iż o najmniejszym szczególe nie zapominał.

— Jak mi się zemrze — mówił — wy tu wszyscy głowy potracicie. Pójdzie wszystko na hałaj na bałaj, urwij, podaj, skorzystają z tego hultaje, szkody narobią!

Więc i trumna w śpichrzu była do miary zrobiona, sucha, i świeżo w skrzynce zawczasu kupione, do którego, aby się nie dobrały szczury, choraży okucie kazał dać mocne i postawić w miejscu bezpiecznym.

Ksiądz Zatoka miał informacją co do pogrzebu, który skromnie chciał kazać odbyć choraży, bez zbytku. Pius wiedział gdzie i jak, z jakim przyrządem zastawić chleb żałobny.

Rozumię się, że w testamencie nikt zapomniany nie był; nawet Madzia i Zonia. O tój, że mało było wiadomości, bo rozprowadania o jęj losach nawet przed siostrą pan Ewaryst unikał, choraży jęj czyniąc zapis dodał warunek, aby sumy kapitałnej nie miała prawa podnosić, aż za mąż wyszedłszy.

Gdy wszystkie te formalności pocichu dopełnione zostały, stary pan znacznie się uspokoił i jakby dni ostatek sobie i swoim chciał rozweselić, okazywał ciągle myśl dobrą, a żarty się go trzymały, iż jejmość się wydziwić temu nie mogła.

Ze szczególną czułością powitał choraży syna, bo miał ciągle jakieś złe przeczucia, że go już nie zobaczy, a chciał z nim, jako z mężczyzną, pomówić sam-na-sam o przyszłości, o różnych rzeczach, których pisać i opisywać nie wypadało.

Z równą niecierpliwością czekała na syna matka, bo wierzyła w to, że jego przybycie ojca orzeźwi; a Madzia wyglądała jak brata, spodziewając się, iż z niego przecie coś więcej dobędzie o tój siostrze, o której tak wiedziała mało, że się najgorszych domyślała rzeczy.

Przybywającego Ewarysta znalazła rodzina zmęczonym, ale matką utrzymywała, że wychudł i zmizerniał, że twarz miał jakąś smutną, i po staropolsku chciała tym naukom koniec położyć, a syna wziąć na wieś, folwark mu jeden wypuścić, bodaj już ożenić.

Choraży na to głową kiwał, nie mogąc powiedzieć, co myślał,

a w duchu mówił: Po co jeden folwark wypuszczać, kiedy rychło wszystko mu spadnie na głowę. Miał to starych, pobożnych ludzi jasnowidzenie końca swojego, które dane jest tylko wybranym...

W czasie świąt, gości ciągle było dosyć, zajęcia wiele, a do poufnych cichych rozmów mało zręczności.

Od Wielkiej Nocy do przewodów, dnia prawie nie było, żeby ktoś nie przyjechał, nie nocował, a czasem i kilku gości miał Zamków, którym szczególnie chorążyna była rada, bo jej starego zabawiali.

Madzia napróżno zabiegała około kuzynka, chcąc go wybadać o siostrze, zbywał ją ni tēm, ni owēm i widocznie unikając dłuższej o tēm rozmowy. Naostatek jednego wieczora dziewczę go tak przydybało i napařło, że wykręcić się sianem nie mógł. Prędyj lub późniēj lękał się, aby na nieprzygotowaną nie spadła jaka wiadomość o Zoni jak piorun.

Nalegała Madzia wiedziona i przywiązaniem do jedynēj swēj i pewną ciekawością prawie gorączkową tego, co przed nią aż ukrywać musiano.

— Wiesz, moja Madziu — rzekł Ewaryst, gdy mu się znów z płaczem prawie naprzykrzać zaczęła — wiesz i rozumiesz, że gdybym miał co dobrego do powiedzenia ci, dawnobym przyniōsł.

— Ale cōż tak złęgo być może, o Boże mōj! — wołało dziewczę, niechże ja choć wiem, abym się najgorszego nie domyślała...

— Nie możesz się domyślić nic tak złęgo — dodał Ewaryst — coby nieszczęśliwą prawdę przeszło.

Madzia płakać zaczęła, ale z za łez upominała się raz o całą, prawdziwą historię siostry.

Opowiedziēć jej nawet tak wprost nie mógł Ewaryst, aby nagie fakty gorsze ni się nie wydały jeszcze niź były w istocie, spełnione pod wpływem fałszywych pojęć i gorącego temperamentu. Musiał więc choć w ogólnych rysach opowiedziēć wiejskiemu dziewczęciu, wychowanemu pobożnie, nawykłemu do poszanowania prawd starych, jakiemi nowinkami karmiła się młodzieź i jak miała przerwōcone głowy.

Madzia ciągle wykrzykując: — Ale to nie może być!.. — słuchała z niedowierzaniem. Trzeba było nareszcie przystąpić do rzeczy. Z bólem serca, duzo osłaniając, odmalował Ewaryst najprzōd dom Ozereńków, w którym Zonia się wychowała, potem Heliodorę Paramińską, u której mieszkała czas dosyć długi, towarzystwo, jakie się tam zbierało, wpływ propagandy Jewłaszewskiego, stosunki z panem Zoryanem, nakoniec przyjaźń z Teofilem Zagajło i owo wystrzelenie do niego...

Podziwienie Madzi stało się w końcu niemém osłupieniem; nie rozumiała już nic, nie nadto, że siostrę ratować była powinna.

Ewaryst nie chciał jęj wyjawić wszystkiego, nie powiedział, że Zonia uratowaną być nie mogła, bo po wystrzale do Teofila, przeniósłszy się do niego, żyła z nim otwarcie, jak to się tam zwało, na wiarę.

O ślubie nie było mowy, choć Zagajło obiecywał się żenić; Zonia wyzywając cały świat, jawnie się popisowała ze swoją miłością i nie kryła stosunków. Tłómaczyła swe dziwne postępowanie po wystrzale tém, że swobodnie sercem i ręką swą sama rozporządzać chciała... Litość nad rannym zwyciężyła ją...

Rozmowa cicha skończyła się łzami. Jak mógł, pocieszał i uspokajał Madzię chorążyc, na niewiele się jednak zdały jego dobre słowa.

Nazajutrz z czerwonemi oczyma biedne dziewczę oświadczyło wprost Ewarystowi, iż ma mocną i niezachwianą wolę jechać do siostry i, powtórzyła znowu, ratować ją.

Chorążyc zmuszonym był wyznać wreszcie, że ratunek przychodził zapóźno, a i wprzód były wysiłkiem próżnym. Zagajło po wyzdrowieniu, za zgodą Zoni wyjechał był na Żmudź, czy do Litwy do krewnych, jakoby dla przygotowania ich do swego ożenienia. Zonia została sama jedna i czekała jego powrotu.

— Smutnyby to był widok dla ciebie, tej biednej Zoni teraz, opuszczonej nawpół, chorėj... czekającej na tego, który się jęj mężem być obiecał...

— Przecież gdy kto z rodziny na zaraźliwą chorobę leży — odpowiedziała Madzia — gdy za występki pokutuje w więzieniu, obowiązkiem jest nie opuszczać go, pomagać... Im biedniejsza Zonia, tém ja tam potrzebniejsza jestem.

— Ale jakże możesz się stąd oddalić nie wydając tajemnicy, która rodziców może zmartwić... — odezwał się Ewaryst.

— Obowiązek i obowiązek!... — powtarzało dziewczę uparte. — Przed panią chorążyną padnę do nóg, powiem trochę... nie wszystko... Ona mnie zrozumie i pozwoli jechać. Pan chorąży téż się nie sprzeciwi. Co będzie to będzie, ja tam muszę być...

Ewaryst napróżno starał się ją od tego zamiaru odwieść; Madzia, zwykle potulne i posłuszne dziecko, była do niepoznania upartą.

— Dwie nas jest na świecie — mówiła — sieroty jesteśmy, Pan Bóg nam tyle dał, że siebie mamy!.. A! czyż ja mogę ją opuścić!..

Próżne były namowy Ewarysta. Nazajutrz chorążyna jeżeli nie o wszystkim wiedziała, to przynajmniej o tém, że Zonia była nie-

szczęśliwą, i że jój siostra mogła być potrzebną. Powołała zaraz syna, aby jój wytłómaczył, jak tam rzeczy stały. Ewaryst znaczenie łagodząc prawdę, musiał jój nieco wyjawić.

Doszła sprawa do starego pana, a ten wziął syna na konfesatę w cztery oczy, domyślając się nienadaremnie, iż tam coś więcej być musiało, niż przed kobietami wyznał... Ukrywać przed chorążym syn nie mógł, a pan Eliaszk tak egzaminował ściśle, iż bez kłamstwa się wywinąć nie było podobna. Powiedział więc prawdę, jak była, zastrzegając, aby kobietom jój nie powtarzać.

Łzy pociekły z oczów staremu, milczał długo.

— Po cóż tam Madzia ma jechać? — odezwał się — tamtę już jeden pan Bóg chyba salwować może, a ta się naje strapienia i, co gorzej, pobruce się pocziwe dziewczę, chodząc około tój nieszczęśliwej zasmolonej.

Koniec końców zrozumieli wszyscy, iż Madzi z jój ofiarnością i miłością dla siostry ani się bardzo sprzeciwiać, ni jój było można strzymywać.

— Dzień się wola boża! — dodał chorąży — obowiązek niezaprzeczonej, niech jedzie!.. Tylko jój tak puścić samęj ani myśleć...

Narada z chorążyną nad osobą, którąby Madzi dodać potrzeba, trwała pokrywom dni kilka. Pan Eliaszk też i obrachowywał zaraz, jak w podróż tę wyposażyć wychowanę, aby się nie troszczyła o grosz do zbytku.

Parę tysięcy złotych po rodzicach pono miała Raszkówna u chorążego na prowizyi, i o te prosiła, stary głową kiwał, węża kręcił i ze swojej szkatułki tysiąc złotych dokładał, na wszelki wypadek, pokwitowania żadnego nie żądając.

— Niech to tam będzie, na chwałę bożą, co ona ma się z sierotego ekspensować! — rzekł.

Jójmość w obawie, aby jój ukochanej nie zabrakło i dla siostry, ze swoich dochodów ogrodowych i nabiłowych sumkę jakąś przeznaczyła. Słowem, wyprawiono ją z domu jak dziecię rodzone. Towarzyszką podróży miała być stara wdowa po ekonomie, siedząca na łaskawym chlebie w drugim folwarku, pani Trawcewiczowa, kobieta bardzo jeszcze żwawa, bywała w świecie, wygadana, a do domu chorąstwa przywiązana. Trawcewiczowej powierzyć było można Madzię, bo ona doświadczeń w życiu miała pono aż do zbytku, nim w końcu do portu małżeńskiego przyplęnęła i nieboszczykowi Trawcewiczowi rękę oddała. Z domu opowiadała się Makowska, a familią tę uważała sama za senatorską, primo voto potem była za poręcznikiem jakimś niemieckiego nazwiska, secundo za młodym dzierżawcą Rabczycem, który ją w nędzy zostawił; aż zjawił się ów Trawcewicz, pocziwy człek, za którego z biedy poszła, a była z nim

szcześliwą. Dzieci nigdy nie miała de domo Makowska, niegdyś pono bardzo piękna, dużo opowiadała czasem o ludziach, co za nią biegali, a nad których intrygami zawsze tryumfowała... Była to i teraz jeszcze matrona poważna, słusznego wzrostu, otyła, trzymająca się bardzo prosto i, mimo siwych włosów w loki pozawijanych, sznurująca usta zmarszczkami otoczone.

Miała tę jednę wadę de domo Makowska, że usta jej nigdy nie próżnowały. Materyału do opowiadania dostarczała bogata skarbnica przeszłości.

Choć Ewaryst także wkrótce miał do Kijowa powracać, Madzia niecierpliwa, niespokojna, chciwa spełnienia posłannictwa swego, rwała się tak, iż na niego czekać nie chciała. Trawcewiczów też korzystać z tej gratki i przejechać się do Kijowa, którego tak dawno nie widziała, pilno było.

Na kilka już dni wprzód zajmowano się wyborem, bo z takiego domu jak chorąstwo nie wyjeżdżało się bez zapasu, a ulubionej swjej wychowanicy nie mogła puścić stara jejmość bez wszystkiego, co tylko w drodze było potrzebne. Tym zaś, co w domu siedzieć nawykli, mnóstwo rzeczy wydaje się niezbędnymi.

Madzia jechała z pragnieniem wielkiem, ale z trwogą i tęsknotą za temi, których tu zostawiała. Mało wyjeżdżała w życiu, sama zaś nigdy nie wyruszyła za progi zamiłowskie, pierwsza podróż, z takim celem, musiała ją niepokoić. Łzawe było i długie pożegnanie z chorążyną, która nieustannie powtarzała Trawcewiczów:

— A pilnuj-że mi, proszę cię, tój Madzi, bo ona głowę traci łatwo...

Na co poważna de domo Makowska odpowiadała jednostajnie:

— Niech pani chorążyna będzie spokojna, że już ze mną najbezpieczniej w świecie... Dopatrzę jak oka w głowie!

Chorąży, mający ciągle przecucia niedobre, pobłogosławił ją milezący.

— Spełniasz obowiązek — dodał w końcu — Pan Bóg ci powinien poszczęścić, wracaj nam zdrowo!

Za kilka dni i Ewaryst też miał wyjechać w pomoc ekonomów, aby mieć opiekę nad Madzią.

Po mszy w domowej kapliczce, którą ksiądz Zatoka odprawił, ruszyła bryka wyładowana z płaczącem dziewczęciem, a chorążyna z ganku, chorąży przez okno krzyżem świętym ją zegnali. Madzia obiecywała pisać i donieść o sobie.

Pusto się zrobiło w Zamiłowie, gdy wesołego dziewczęcia, które ru bardzo mało znaczące zajmowało napozór miejsce, nie stało. Chorążyna zadumana obrachowywała popasy i noclegi:

— Dziś Madzia nocuje tam, jutro popasać musi, da Bóg w karzynie tój... i t. p.

Nie mówiła tego, czém najwięcej się frasowała, to przybyciem i spotkaniem z sobą dwóch rodzonych sióstr, tak do siebie niepodobnych. Ewaryst też najbardziej się tēm kłopotał, nie mogąc nawet przewidzieć, jak się one rozumić i pogodzić z sobą będą mogły. Pilno mu było jechać, aby na wszelki wypadek przyjść w pomoc niedoświadczonej Madzi.

Dziewczę wistocie nigdy jeszcze w życiu samoistnie i o własnej woli nie występowało; lecz miłość daje odwagę i siły wielkie.

Przybywszy do Kijowa z mordowane dziewczę nie tyle drogą, co nieprzerwanemi opowiadaniem awantur Trawcewiczowej de domo Makowskiej, szczególnie z oficerem od huzarów, którego zwyciężyła.

Madzia stanąwszy u celu, poczuła trudność zadania i położenia swojego. Noc spędziwszy w gospodzie, do dnia poszła do kościoła, a stamtąd wprost kazała się zawieźć do siostry. Trawcewiczowa koniecznie jęj chciała towarzyszyć, lecz Madzia stanowczo jęj zapowiedziała, że sama jechać musi. Obraziło to nieco towarzyszkę, która się składała rozkazami pani chorążynęj, lecz uścisk i serdeczne prośby Madzi ułagodziły ją.

Z bijącym sercem weszła na wschody wskazanego jęj domu. Niepoczesna sługa, przypatrując się jęj podejrzliwie, wprowadziła na tyłach do lichego, przyciemnionego mieszkania. Przedpokoik stał w nieładzie, nieumieciony i zarzucony gratami, druga izdebka mała, niby bawialna, okryta pyłem, zdawała się opuszczoną. Przez nią przechodzić było trzeba do sypialni, gdzie, jak mówiła sługa, pani leżała chora. Wszystko, co tu spotykała nawykła do porządku i dostatku wiejskiego Madzia, świadczyło o ubóstwie i zaniedbaniu.

W izdebce o jednem oknie, na łóżku lichu zaslaném, siedziała blada Zonia, w ręku trzymając czepeczek dziecinny z niebieskimi wstążeczkami.

Przy nięj stała pusta kolebka. W twarzy biednej choręj malowała się rozpacz jakby stężała, zamknięta w sobie, obojętna na wszystko.

Widząc wchodzącą nieznajomą jakaś, która z trwogą i wzruszeniem przestępowała próg, Zonia wlepiła w nią oczy, nie tając, że jęj natręctwo to było nieznośnem. Żdawała się mówić:

— Po co ty tutaj?...

Nie mogła ani poznać, ni się domyślić siostry, a ta, tak była pomieszana, tak zboliała, że już wszedłszy, stanąć musiała, aby odechnąć i zebrać siły.

Zonia, która z rąk nie wypuściła trzymanego czepeczka, patrzyła nic nie mówiąc, gotowa wybuchnąć za pierwszym słowem obcej przybyłej. Nie domyślała się w niej nawet siostry, ale jakiegś niepotrzebnie litościwej istoty, której pociechy nie potrzebowała.

Madzia przyspieszyła wreszcie kroku, pominawszy kołyskę i ręce rozpostarłszy zawołała:

— Zoniu moja! to ja!.. siostra twoja, Madzia!.. to ja!..

I padła na kolana u łóżka. Zadrgnęła Zonia i pobladła bardziej jeszcze; zdawało się, że ten wykrzyk serdeczny Madzi i jej serce otworzy. Co się w niej działo, Bóg wie jeden, wyciągnęła rękę ku Zoni.

— A! to ty! Madzia!..

Przybyła rzuciła się jej na szyję; chwilę milczały obie.

— Umyslnie przybyłam do ciebie — poczęła Madzia, siadając przy łóżku Zoni, która zadumana milczała ponuro. — Wiedziałam, że możesz potrzebować pociechy, pomocy siostrzynego serca.

— Pociechy!.. pociechy!.. — zamruczała obracając w rękę czepeczek dziecięcy Zonia. — Na świecie w nikim i w niczym pociechy niema. Życie to straszna męczarnia... nie więcej!..

— Zoniu kochana, to próba, próba człowieka... Pan Bóg...

Nie mogła dokończyć Madzia, bo na ustach siostry spostrzegła uśmiech tak szyderski, tak goryczy pełny i zwątpienia, że się uległa bluźnierstwa.

— Rozumiem to — odezwała się Zonia powoli — ty pobożne dziecię, przyjechałaś mnie więcej nawracać niż pocieszać. Chcesz zarazem moje duszę zbawić i swoją... Przykro mi ci jednak powiedzieć zgóry, że ze mną nie zrobisz nic... Ja już raz jasno przejrzałam i nazad nie pójdę w ciemności... Stracone twe zachody!..

— Moja Zoniu kochana — szybko przerwała Madzia — gdybym mogła dać ci moją wiarę i moje szczęście i spokój duszy... a! Bóg widzi, że bym ci je oddała, ale moim najpierwszym obowiązkiem było przyjść ci służyć, pomódz, ulżyć!..

— W czym? jak?.. — trochę szydersko odezwała się Zonia — widzisz, mam jaki taki dach nad głową i z głodu nie mrę... a reszta!..

— Chora jesteś?.. — spytała Madzia rumieniąc się.

— Widzisz — podnosząc do góry czepeczek dziecka i wskazując na kołyskę Zonia — przebyłam chorobę ciężką, sama... bo jego nie było, aby na świat wydać dziecinę, której krzyk był pierwszym i ostatnim. Słyszę go dotąd w uszach i w sercu, słyszę to powitanie życia rozpaczne... a potem trup!.. trup!.. Miałam przecucie, że one żyć nie będzie, a walczyłam z niem, myślałam, że je wydrę tej śmierci!..

Dwie łzy ciche popłynęły jęj po twarzy.

Madzia słuchała nie śmiejąc pocieszać.

— O! dziecicę szczęśliwe, że umarło — dodała Zonia — wrócić do nicości, w milczeniu i noc śmierci, to szczęście jeszcze w porównaniu do naszych losów, walka bez celu, zawody bez końca, zgnilizna dokoła, a jakby na urągowisko temu śmieciisku obrzydliwości w człowieku iskra jakaś, co się pali jasno, co świeci, pokazuje, tłómaczy i ciągnie ku mrzonkom, których nigdy na świecie nie było i nie będzie. Los anioła zaklętego w obrzydliwe bydlę, zmuszonego zwierzęciem być, aniołem się czując... i...

Ze spuszczonei oczyma słuchała Madzia tych wykrzyków boleści, które szmerem tylko obijały się o jęj uszy. Strwożona więcej dorozumiewała się w nich bezbożności i bluźnierstwa, niż je rozumiała. Cudowny instynkt uczył ją w tęg chwili, że nawracanie słowem byłoby tu próżném, że jeden miłości czyn mógł świadczyć za wiarą, co go natchnęła.

Walczyć na słowa z Zonią, która niemi szermować była nawykła, nie myślała biedna wieśniaczka, zmilczała pokornie.

Zoni gdy się raz usta rozwiązały, nie mogła się już powstrzymać od wynurzenia żalu swojego.

— Życie?.. ty go nazywasz próbą?.. Szczęśliwy, kto ją przetrzymał zwycięsko — mówiła z szyderstwem. — W istocie to próba, szczególniej dla rozumu, który, nie pochwyćić nie mogąc, do szalu poprowadzić może.

Nie rychło i nie łatwo, cierpliwa Madzia usiłując powoli myśl jęj wyrwać z tego koła, w którym błądziła, potrafiła ją sprowadzić do rzeczy potocznych, do których w swém życiu powszedniem była nawykła.

— Teofil, który ma być mężem moim — odezwała się śmiało Zonia do spuszczałej oczy siostry — pojechał do familii. Będziemy ubodzy, zdaje mi się, że rodzice jęgo, na Żmudzi czy Litwie mieszkający, są prości chłopi. Ja tam nie wiem, mnie to wszystko jedno. Dobrze, że dziecina umarła, bo nawet we dwojgu nam wyżyć będzie ciężko. Ja, com miała po Ozereńkowej, to straciłam prawie wszystko!.. O! nauka życia dużo kosztuje!.. — dodała szydersko. — Byłam we wszystkiem nadto ufającą i uczynną, korzystał, kto chciał, z mojego dzieciństwa.

— Nie kłopcż się tęg — odparła nieśmiało Madzia — ja, co mam, tom ci przywiozła.

Zonia patrząc na nią zamilkła trochę.

— Ja nie nie przyjmę od ciebie — rzekła — nie godzi mi się obdzierać tak dobrodusznęj i łatwowiernęj. Sierotą jesteś i jak ja kiedyś zapotrzebujesz żyć bez pomocy niczyjęj!..

— A! ja mam chorążynę, która mnie nie opuści, oni są dla mnie dobrzy i kochający jak rodzice...

— Tak, mają w tobie sługę bezpłatną i niewolnicę — odparła Zonia.

Zamilezały obiedwie, łyż stały w oczach Madzi. Widziała, że sprzeciwić się siostrze nie można, szanowała w niej boleś wielką.

Po chwili, pomyślawszy Madzia, zaczęła zrzucać z siebie to, co jęj do roboty zawadzać mogło. Wstała z krzesła mówiąc skromnie:

— Pozwolisz, póki tu jestem, że się trochę zajmę twojém gospodarstwem. Jestem do tego przywykła, mnie to z nałogu już potrzebne, a widzę, że sługa twoja, zapewne za wiele mając do czynienia, trochę się zaniedbała.

Zonia ruszyła ramionami.

— Wszystko to jedno — rzekła gorzko — czy barłóg, na którym nędzarz leży, trochę czyścięj czy brudnięj wygląda!..

Madzia nie słuchając już krzątać się zaczęła. Sługa, która z założonemi rękoma i ciekawie się z drugiego pokoju przypatrywała przybyłej i przysłuchiwała się rozmowie, znikła. Madzia musiała jęj pójść szukać, aby się z nią naradzić. Oczywiście za nią pobiegła leżąca na łóżku Zonia i, jakby nie rozumiejąc tego cichego stworzenia, patrzyła jak na jakieś dziwowisko.

W domu okazał się nieład wszelkie przechodzący pojęcie. Pieniędzy nie było wcale, ostatnie oddała Zonia na kamień grobowy i pogrzeb dziecięcia. Przekupnie, u których brano dłużej bez zapłaty, dawać nie chcieli. Pierwszą więc czynnością być musiało opatrzenie sługi pieniędzmi i wyprawienie jęj do miasta.

Madzia nakazawszy pośpiech, sama wzięła się zaraz do porządkowania w dziwnie zaniedbaném mieszkaniu. Zonia to na czepek, który ciągle trzymała w ręku, to na nią patrzyła, ruszając ramionami.

Wśród tego zatrudnienia Madzia rzucała czasem jakie słówko, mówiła o domu w Zamiłowie, o swych opiekunach, wspomniła o Ewarystie, który miał przybyć wkrótce.

— A! Ewaryst — wtrąciła Zonia trochę się uśmiechając — gdybym była chciała, miałabym z niego opiekuna, bo się tak kochał we mnie jak inni... A! to ich kochanie... — dodała — nie lepszy i on od drugich... Myślał, że łatwo mi głowę zawróci...

Madzia, która się nie domyślała tego, zarumieniła się mocno i zaprotestowała.

— Ewaryst!.. On!.. — zawołała — ale to najszlachetniejszy człowiek w świecie... Gdyby się kochał w tobie, byłby to wyznał przed rodzicami i ożenił się z tobą.

Zonia parsknęła szydersko.

— On! ze mną!.. — przerwała. — Nie można gorszej z sobą sprządz pary, jak mnie z nim!.. To świętoszek jak wy tam wszyscy, a ja jestem poganka i dzika!

— Ale, Zoniu!.. — zaprzeczyła siostra.

— A! tak! ja kłamać ani udawać nie umiem, ani się kryć z uczuciem, z myślą, jak was od dzieciństwa uczono — wołała Zonia. Dlatego wybrałam sobie człowieka tak dzikiego, jak ja sama.

— Ewaryst kochał cię jak siostrę — wtrąciła Madzia.

— Trochę więcej — z pewną dumą dodała Zonia — sam mi się do tego przyznał.. Ze wszystkich malowanych paniczów, co się koło mnie kręcili, on był najznośniejszy, ale tego samego chciał co inni.. tylko prosił inaczej...

Madzia cała drżąc zaprzeczyła gorąco.

— Ewaryst jest najszlachetniejszym z ludzi! — zawołała.

— A ty się chyba w nim kochasz — przerwała gwałtownie Zonia — patrzajże, aby ów najszlachetniejszy nie skorzystał z twojej słabości... O! oni wszyscy są jednakowi.

— A ten, któregoś ty wybrała? — odważyła się mruknąć Madzia.

Zamilkła nieco Zonia.

— Ten! ja nie wiem!.. Szczery jest przynajmniej, nie obiecywał mi nic... jam nic nie wymagała — poczęła powoli — jeżeli mnie teraz opuści, abym mu nie była ciężarem, nie będzie to zdradą... Wiedziałam, co mnie czekać może...

Dla biednej Madzi cała ta z siostrą rozmowa była jakby gorącym żelazem piętnowanie, za każdym wyrazem chciała krzyknąć ze zgrozy, chciała zaprzeczać. Zimne szyderstwo Zoni zamykało jej usta.

Można sobie wystawić niepokój Trawcewiczowej, która sama jedna siedząc w gospodzie, nie mając z kim mówić, obawiając się o Madzię, nie wiedziała nawet gdzie jej szukać i w trwodze tej musiała przetrwać do wieczora.

Madzia dopilnowawszy obiadu, nakrywszy do niego sama przy łóżku siostry, co jej służyło za pretekst do wyniesienia próżnej kołyski, oznajmiła Zoni, że musi pójść do gospody, opowiedzieć się swęj towarzyszce, a na noc pilnować jej powroci.

— Ty mi wcale nie jesteś potrzebna, a ja takich długów wdzięczności zaciągac nie chcę — odezwała się Zonia — u mnie niema się gdzie położyć.

— A! ja przywykłam sypiać na ziemi... i nie mi to nie szkodzi — zawołała Madzia — dopóki tu jestem, chcę być przy tobie. Pro-

szę mnie nie wypędzać. Zresztą ja, jak ty, jestem uparta i nie dam się odegnać łatwo.

To mówiąc uściskała ciągle z podziwienia wyjść nie mogącą Zonię, okryła się chustką i wybiegła, wołając:

— Do zobaczenia!

Ewaryst, powróciwszy do Kijowa, drugiego dnia już był pod domem, w którym Zonia mieszkała.

Chciał się dowiedzieć o obie siostry, bo niemniej o Madzię, jak o starszą był niespokojny. Nie śmiał jednak wehodzić, nie wiedząc, jak je zastanie, gdy z ogromnym wyładowanym workiem powracająca z miasta nastroczyła mu się Trawcewiczowa.

— A! to was tu sam pan Bóg zesłał nam na ratunek — poczęła odprowadzając go na stronę i ręce załamując de domo Makowska. — Co się tu u nas dzieje! na rany Chrystusowe! Co ta moja nieszczęśliwa panienka cierpi z tą biedną siostrą swoją. Ale tu, jak Boga kocham, długo nie wyżyć!

Potoku słów pani Trawcewiczowej ani było utrzymać, słuchał więc milezący chorążyc.

— Ta, proszę pana chorążycu, Zonia, to zgorzenie okropne! bo to ani panna, ani zamężna i w nic nie wierzy i ze wszystkiego się śmieje i niech pan Bóg ma miłosierdzie nad nią, ale co wygaduje, to mnie stariej włosy stają na głowie, a biedna panienka ze wstydu się pali cały boży dzień, a tamtęj ani zamknąć gęby, ani uprosić, żeby nie bluźniła. Jak na złość! Nasza panienka, jak panu chorążycowi powiadam, święta jest, bo to cierpliwość anielska, a z siebie-by koszulę gotowa zdjąć, aby tamtęj losu ulżyć. Zastaliśmy ją, panie, prawie bez chleba kawałka i w długach, przeszło tysiąc złotych już pękło... fiut! poszło... a końca ani widać! Mnie zaś najgorzej na sercu, proszę chorążycu, kiedy my powrócimy do domu; ja, przyznając się panu, nawet bielizny takiego zapasu nie wzięłam, a co tam się z mojami kureczętami dzieje, Bóg jeden wie. Pewnie wszystkie jastrząb wychwycił! Na chwałę jego! Cóż robić!

— Jakże się ma chora? — zapytał Ewaryst.

— Zastaliśmy ją w łóżku; oplakiwała jeszcze swe dziecko, które straciła, a to łaska pańska, że je Bóg wziął... choć, doprawdy nie wiem, czy nawet je ochrzcił. Teraz już się podniosła, wstała, chodzi, ale strasznie zmizerowana. Czeka na wiadomość od tego, co to się z nią powinien zenić, choć to, między nami powiedziawszy, wi-

dłami pisano. Odjechał ją, porzucił, gdzieś niby na jakąś Żmudź do familli się śpieszył, a kto go tam znajdzie i przepyta.

Pokiwała głową ekonomowa.

— Ta zgubiona na wieki!.. Państwo chorąstwo choćby ją i chcieli wziąć do Zamiłowa, co z nią tam robić? Języka nie strzyma, a jak zacznie pleść banialuki, to włosy wstają!.. włosy wstają!

— Madzia u niej jest?... — zapytał Ewaryst.

— Ani na chwilę jej nie opuszcza, bo to złote serce tej panienki — dodała Trawcewiczowa — ale co to pomoże? Tylko się nasłucha takich herezyj, że uszy więdną, a tamtej nie nawróci!.. Mnie najęto stancyjkę tu obok, a Madzia dzień i noc przy niej, a końca temu ani widać. Jużem się kilka razy pytała, odpowiada mi zawsze:

— Jakże ja ją mogę tak porzucić?..

— Więc chyba gdyby ten przyjechał, co ona na niego czeka, ale gdzie ona kiedy się go doczeka!..

Chciała się jeszcze w dalsze żale i opowiadania zapuścić ekonomowa, gdy Ewaryst pożegnawszy ją, powlókł się zwolna na górę. Cicho było w mieszkaniu gdy wszedł, Madzia z oczyma spuszczo-nemi siedziała u okna w pierwszym pokoju z pończochą, w drugim za stolikiem zarzuconym papierami i książkami spostrzegł Zonię, która głowę podparwszy na rękach we włosach utopionych, zdawała się czytać coś, czy myśleć nad książką, która przed nią leżała roz-twartą.

Zobaczywszy Ewarysta, Madzia z lekkim wykrzykiem pobiegła ku niemu, w nim widziała cały ten swój Zamiłów kochany, za którym tu tęskniła, gniazdo owo spokojne, z którego ją burza wy-gnała.

Zonia, której piękna twarz, blada, teraz jeszcze się boleścią na niej wrytą wdzięczniejszą wydawała, zwolna podniosła się także. Lekki niedostrzeżony rumieniec przebiegł po jej licu, odepchnęła książkę i ruszyła się ku pierwszemu pokojowi, gdzie już drżąca z radości i niepokoju siostra zasypywała przybyłego pytaniami. Przywitanie Zoni było zimne i dumne jakieś, wskazała na Madzię.

— Bardzo się dobrze stało, żeś pan przybył — odezwała się — to biedne stworzenie przybiegło tu w pomoc siostrze, której nie pomódz nie może i marnuje się tu daremnie. Żal mi tej próżnej dla mnie ofiary, na którą i nie zasłużyłam, bo samabym do niej nie była zdolną.

— Ale cóż za ofiara! — nie dając jej mówić przerwała Madzia — nagrodziło mi się to stokrotnie przyjemnością służenia ci.

Ironicznie rozśmiała się Zonia i zwracając się do Ewarysta, do-dała żywo:

— Rzecz niepojęta! z dziesięć listów pisałam do Teofila, żadnej odpowiedzi. Zaczynam myśleć, że może czuje, iż między nami rachunek za kulę skwitowany i myśli gdzieindziej szczęścia szukać.

Zmarszczyła brwi i dorzuciła z goryczą:

— Wszystko być może!.. Ale nie! nie! — poprawiła się wnet — jestem niesprawiedliwa!.. To prosta, chłopska, otwarta natura, nie obiecywał-by mi powrócić, nie zmuszałam go do niczego.. Dał mi słowo dobrowolnie...

— Listy się mogły zabłąkać!.. — wtrącił Ewaryst

— Nie — odparła Zonia — choć jeden-by był doszedł. Wyjechał trochę niezdrów, ale silny jest i zna siebie, doktor, poczuł-by niebezpieczeństwo. Ja nie wiem... — Zapatrzyła się w podłogę milcząc. — Wszystko najgorsze zawsze się stać może — szepnęła — złe jest najprawdopodobniejsze w każdym razie, na dobre dzieci tylko rachują. Świat przecie na to zbudowany, aby był katownią wielką, a całe stworzenie, tak rozumnie obrachowane, aby jedni drugich zabijali, jedli i męczyli. Na tém stoi wszystko!.. katownia!..

— Zoniu!.. — wtrąciła jakby prosząc ją Madzia.

— A! ty naiwna istoto!.. — rozśmiała się Zonia — dla ciebie jest to przedpokój do raju, gdzie zabłoconym buty czyszczą i czuprynę muskają, aby się lepiej zaprezentowali!..

Madzia jak przybita nie miała na odpowiedź słowa, spojrzała z za łez na Ewarysta.

Zonia straszniejszą jakąś wydała mu się, niż była, z ust jej sama gorycz rozpaczliwa płynęła...

I nie dziw, książka, nad którą ją znalazł w myślach zatopioną, była wyznaniem wiary Schopenhauera.

Aby téj goryczy nie dać się rozplywać szerzej, chorążyc począł mówić do Madzi o domu, z którego jej przywoził ukłony i różne drobne zapomniane rzeczy. Chorążyna przysyłała notatkę różnych sprawunków, które powracające konie Ewarysta do Zamiłowa wieść miały. Rozmowy o tych wielce prozaicznych przedmiotach Zonia nawet nie słuchała. Nie obchodziło ją nie oprócz jej samej, a siostra tak wylana dla niej nie budziła innego uczucia nad pewien rodzaj politowania swój nicości.

Patrzała na nią z wyżyn mądrości swój, nie widząc anielskiej dobroci serca, któremu umysł nie dorównywał. Tak samo prawie Madzia podziwiała straszliwy rozum siostry, bolejąc nad brakiem uczucia, nad wyschnięciem serca. Litość z obu stron była jedynym węzłem, który je łączył.

Za wychodzącym Ewarystem Madzia ze łzami na oczach i wy-

muszonym na ustach uśmiechem wymknęła się z pokoju do sieni. Czują, że przy Zoni otwarcie się z nim rozmówić nie mogła.

— Kiedyż myślisz powracać? — zapytał chorążyc.

— Sama nie wiem; Zonia się co chwila spodziewa wiadomości, albo powrotu...

(Tu skromnej dziewczynce tak zabrakło wyrazu, iż innego nie znalazła nad — męża).

— W Zamiłowie wszyscy na was tylko czekają — mówił Ewaryst.

— A ja! ja tak tęsknię do Zamiłowa! — przerwało dziewczę, oczy spuszczone, jakby się lękało, aby z nich Ewaryst więcej, niż było potrzeba, nie czytał.

Na zapytanie o Zonię, załamała ręce Madzia.

— Niewymownie mi jęj żal, ale ja jestem za słaba, za... głupia — dodała pokornie — abym się jęj na coś przydać mogła. Próbowalam, a! próbowałam wszystkiego! Do kościoła nie chce iść ze mną, o religii z nią mówić nie można... a! jaka ona nieszczęśliwa!

Dziewczę się rozplakało.

Na niczem więc skończyły się te ciche szepty w sieni i Madzia wróciła do siostry, a na pana Ewarysta na dole oczekiwała niezblągana Trawcewiczowa w nadziei, że może się od niego coś dowie o powrocie do domu. Kureczęta pozostawione bez opieki lzy jęj wy-ciskały.

Pierwszych dni kilka Ewaryst prawie nie widywał Raszkówien, nie spotkał Trawcewiczowej, a odprawę koni swych do domu urządził tak, aby ekonomowa i Madzia mogły przez nie przesłać listy i sprawunki.

Uplynał tak tydzień cały, gdy jednego dnia odebrał kartkę od Madzi, proszącą, aby się z nim rozmówić gdzieś mogła, nie chciała, aby przychodził do Zoni, był więc zmuszony Ewaryst, miejsce schadzki wyznaczyć w izdebce ekonomowej, która o tój porze szczęściem na niesporach była.

Madzia twarzączkę miała jakąś wystraszoną, zbladła i pobytym tym w Kijowie widocznie zmęczoną. Nie skarżyła się wcale, nie mogła jednak podrobioną wesołością okryć tego, co cierpiała.

— A! panie Ewaryście — odezwała się witając go — prawdziwie nie wiem, nie śmiem, a muszę się i poskarżyć przed panem i o radę go prosić. Sama nie umiem z tego wybrnąć.

Zmieszana, skłopotana, to spuszczała oczy, to podnosiła je za-
płoniona, i Ewaryst poznał łatwo, iż to, co mu powiedzieć miała, wiele ją kosztowało.

— Mów otwarcie, proszę — odezwał się chorążyc.

— Ja-bo ją tak kocham, taką mam litość nad nią, tak-bym chciała

wytlómaczyć wszystko jój sieroctwem, nieszczęściem — mówiło dziewczę — takby mi było boleśniej ją oskarżać.

— Stałoż się co? — przerwał Ewaryst.

— Ale nie! nie! — prędko zaczęła Madzia tłómaczyć się, nie się nie stało, tylko mi się to jakoś wydaje dziwnie... Ja nie wiem doprawdy, czy ja tu dłużej wytrwać potrafię, choć z duszy pragnę jój nie opuszczać.

Rumieniła się mówiąc ciągle i lzy jej stawały w oczach, choć wypłynąć nie mogły.

— Pewnie, panie Ewarysto, w tém niema nic złego, tylko ja jestem taka jakaś ograniczona, trwożliwa, nie znam świata, to się boję wszystkiego...

Nie śmiała mówić, o co chodziło, chorążyc nalegał.

— Ja tam nie wiem, ale mnie-by się zdawało, że kobieta tak sama jedna mieszkająca, a choćby z siostrą, i taka smutna... i w takim położeniu, nie powinna-by przyjmować... młodzieży... Już dawniej kilku kolegów jój... męża, czasem się dowiadywało, ale teraz, od dni kilku, cowieczór się ich tylu schodzi, i taka wrzawa, rozmowy, śmiechy... Radabym uciec, bo tacy jacyś ci panowie śmiali, prawie niegrzeczni, coś jest w ich obejściu się tak dziwnego, że ja siedzę wieczór cały jak na mękach, nie rozumiem nawet po większej części, co mówią, ale tacy są natrętni...

Madzia rumieniąc się ciągle, zwijała i rozwijała w palcach chusteczkę, jakała się, naostatek tehu jój zabrakło.

Chorążyc słuchał prawie gniewny. Niepojętą było rzeczą dla niego, aby w takim położeniu, jak była Zonia, szukać można takiej rozrywki.

Zapytał, o czém rozmawiano.

— A! tego ja doprawdy powiedzieć nie potrafię — odparła Madzia — tylko wiem, że dla mnie to niezrozumiałe, dziwne... Rozmowy prowadzą uczone, chociaż w nich są czasem... rzeczy, których ja bez rumieńca, bez strachu nie mogę słuchać.

— Chodźmy do Zoni — rzekł Ewaryst.

— A! nie! nie! powie, pomyśli, żem ją oskarżyła przed wami — załamując ręce dodała Madzia — mnie jój żal! Jój nic wyperswadować niepodobna, chodzi tylko o to, czy ja, czy ty mi radzisz zostać tu dłużej, bo ja tych wieczorów z tymi panami znieść nie potrafię...

Zamyślił się chorążyc smutnie.

— Ha — rzekł — zdaje mi się, żeś ty tu już zrobiła, co mogłaś tylko, niepodobna, abys się dłużej na takie wystawiała męczeństwo. Nie można bardzo obwiniać Zoni, która przywykła do tego towarzystwa, do tych rozpraw i sporów. Dla niej jest to rozry-

wką dziś, przy jej smutku prawie konieczną, dla ciebie męką nie-
znośną... Wracaj do Zamiłowa!

Madzi łzy popłynęły.

— A ją tak na zgubę zostawić!.. same! same! jedne! Nie, to
się nie godzi.

Biedne dziewczę poskarżywszy się, żałowało już teraz, że obwiniło
Zonię i z pokorą wrócić było gotowe w atmosferę, która je du-
siła.

Ewaryst odszedł z przykrém w duszy uczuciem.

Upłynęło parę tygodni. Od Madzi, którą widywał czasami, co-
raz mizerniejszej, bledszej, smutniejszej, dowiadywał się, choć nie
dopowiadała wszystkiego, że towarzystwo wieczorami bywało coraz
liczniejsze. Nie skarżyła się już na nie, lecz z jej twarzy zbiedzo-
nej widać było, co cierpiała.

Ewaryst, którego nieszczęśliwa Zonia zawsze ciągnęła ku sobie
jakaś sympatya, choć on sam wyrzucał ją sobie; pomimo, że widze-
nia jej i żywienia tej namiętności unikał pod rozmaitemi pozorami,
czasem przychodził tutaj. Teraz mógł to sobie tłómaczyć Madzią
i obowiązkiem czuwania nad nią.

Wieczorami tylko nie pokazywał się prawie nigdy, gdyż w towa-
rzystwie młodzieży, jaka się tu zbierała, czuł się nie swoim i spo-
rów wywoływać nie chcąc, zbyt cierpiał słuchając bredni.

Jednego dnia w porze przedobiedniej, zrzączenie jakieś dziwne
sprowadziło go w chwili, gdy był może najpożądańszym, przynaj-
mniej dla Madzi.

W progu już postrzegł, że coś niezwyčajnego się stało. W dru-
gim pokoju Zonia siedziała jak trup blada, z ustami zakąszonemi,
z rękoma wyciągniętymi i pościskanemi na stole. Leżał przed nią
papier pomięty. Nad nią stała Madzia blada także i przestraszona,
a ujrawszy Ewarysta pobiegła ku niemu.

— Chodź! chodź! na ratunek... List! ten list!

Chorążyc nie mógł zrozumieć, o co chodziło.

W tém Zonia wstała jak sprężyną jaką rzucona i, z oczyma
iskrzącemi, podeszła do Ewarysta.

— Umarł... — rzekła — podając mu papier — umarł!...

To mówiąc, padła na krzesło i głowę zakryła rękoma. Madzia
się zachodziła z płaczu.

Ewaryst rzuciwszy okiem na list napisany najniewprawniejszą
ręką jakąś, do którego dołączona była sepultura, dowiedział się
z niego, że Teofil Zagajło chory przybywszy do rodziny, po kilku-
nastodniowej chorobie, zmarł z tyfoidalnej gorączki.

Zonia płakać nie mogła; oczy jej płonęły żarem jakimś, oddech

w piersiach tłumilo łkanie wewnętrzne, łza nie pociekła z oka. Usta miała wykrzywione dzikim, ironicznym uśmiechem.

Mruczała niezrozumiałemi wyrazami bez związku.

Pocieszać ją, chcieć uspokajać w takiej chwili nie było ani można, ani by ona dopuściła.

Pozostawało jedno, otoczenie ją jak najtroskliwszą opieką, a taką miała w Madzi, która teraz bardziej niż kiedy, na krok ją nie odstępowała.

Zonia tak była pogrążona w swym smutku, że nikogo widzieć się nie zdawała, siedziała skamieniała, osłupiała, nie słysząc rozmowy, nie odpowiadając na pytania.

Czasem odejmowała dłonie od twarzy, a naówczas widać było suche jej oczy, błyszczące gorączką, spalone usta i zmarszczone czoło.

Ewaryst przesiedział tu godzin kilka, naostatek naradziwszy się z Madzią, wyszedł pocichu.

Jedno z dwojga, boleść ta miała albo ją zabić, lub spłynąć powoli, jak wszelki ból ludzki, roztapiając się w tym rozkładniku wszystkich człowieczych szczęść i męczarni — w czasie.

Sama gwałtowność pierwszego wrażenia kazała się domyślać, że ono długotrwałem być nie może.

W mieście kogo napotkał Ewaryst, wszyscy mu mówili o śmierci Teofila, o której wiadomość przysłała współcześnie inną drogą do zwierzchności uniwersytetu. Ubolewali młodzi towarzysze nad stratą człowieka wielkich zdolności i charakteru i nad położeniem biednej Zoni.

Jakiś niepokój długo nie dał zasnąć chorążycowi, pragnęły dowiedzieć się o Zonie i o jej siostrę, i jak tylko dzień zaczęło, pobiegli najprzód do Trawcewiczowej.

Powiedziano mu, że po nią przed paru godzinami przysłano i że coś stać się musiało w kamienicy sąsiedniej, około której biegania wielka była, lecz ludzie ciekawi o przyczynie jej nie dowiedzieć się nie mogli.

Pobiegł więc na górę Ewaryst z najgorszymi przeczuciami, i w progu spotkał wychodzącego już doktora B... profesora uniwersytetu.

Znał go Ewaryst dawniej.

— Co się tu stało? — zapytał.

Profesor odparł dosyć flegmatycznie:

— Otruła się laudanum... szczęściem spostrzeżono wypróżnioną buteleczkę zawczasu i śmierci dało się zapobiedz. Odchoruje tylko.

W pokoju przy łóżku Zoni zastał Madzię we łzach całą i drżącą rodzajem febry, której ją przestrach nabawił.

Zonia leżała w łóżku sparta na łokciu i gniewna.

— A! tak! nie dajcie mi umrzeć! prawdziwe dobrodzieństwo!
— wołała szydyczko. — Potrzeba, żebym żyła! Żyć będę, lecz może nie na to, byście się tém cieszyli. Głupie życie!

— Zoniu! — przerywała co chwilę siostra...

— Milecże — mówiła chora — ocalałaś mię, to się tak u was nazywa!... Według twojego świątobliwego pojęcia to jest dać mi czas do pokuty! Zobaczysz, jaką będę pokutnicą...

Łkanie konwulsyjne głos jej przerywało. Madzia obejmowała ją rękami, odpychała ją z gniewem, bezlitośnie...

Widok téj sceny poruszył Ewarysta niewymownie, siadł w pierwszym pokoju, nie wiedząc już, co ma począć z ocaloną i z biedną Madzią, ku której ona okazywała niechęć i gniew nieprześlagnany.

Niezrażona tém siostra, nie odstępowała od łóżka, zmuszając ją do brania lekarstwa, klękając przed nią i błagając.

Zonia patrzeć na nią nie chciała, w kilka godzin później niecierpliwość ocalonej doszła do tego stopnia, na widok siostry, że na pół zerwawszy się z łóżka, zaczęła wołać:

— Ale uwolnijcież mnie od tego anioła, bo ja jestem szatanem, ja go nie znoszę. Na wszystko, co chcecie, przysięgnę, że życia sobie nie odbiorę; tylko niech mi go ona swoim anielstwem nie zatrzyma... niech jedzie się modlić, jeśli chce za grzechy moje! a niech mnie zostawi samę.

Chorażyc zbliżył się, chcąc ją ułagodzić rzuciła się ku niemu z prośbą:

— Słowo, ręka, przysięga, życia sobie nie odbiorę, dość téj głupiej próby, ale Madzia niech powraca, skąd przyjechała, ja z nią żyć nie mogę.

Siostra, całując po rękach, przeproszała ją, nie to nie pomogło.

— Jesteś aniołem, samą dobrocią i poświęceniem — wołała namiętnie — winnam ci życie, ale właśnie dlatego, niech ja cię nie widzę... Jedź, ty tu umrzesz ze mną, a ja się wścieknę!...

Na to usposobienie nie było ratunku. Madzia uciekła, schodząc jej z oczów do Trawcewiczowej, aby się tam wyplakać i położyć do łóżka, gdyż poczuła się chora, a Ewaryst musiał natychmiast po doctora śpieszyć.

Przy Zoni zostawiono kobietę, która przyrzekła jej nie opuszczać.

Wieczorem Madzia leżała w gorączce, i tydzień cały chorażyc był w wielkiej o nią trwodze, a młodość tylko i spokój, z jakim zniosła cierpienie, uratowały jej życie.

Zonia wstała już trzeciego dnia, i boleść jej ostygła znacznie.

Wiedziała o chorąg siostrze, ale sama to czuła, że się jej pokazywać nie mogła po okrucieństwie, z jakim się z nią obeszła.

Madzia, zaledwie powstawszy po chorobie, zaczęła myśleć o wyjeździe do Zamiłowa, tak smutna i cierpiąca na duszy, tak znużona niepowodzeniem swojej wyprawy, że Trawcewiczowa po całych dniach nad nią płakała, zapomniawszy o swych kurczętach. Ewaryst przychodził się podeszłowi dowiadywać do niej, a gdy doktor zgodził się na wyjazd, sam zaczął przynaglać, aby powracała.

Nadszedł dzień wyjazdu; Madzia nie mogła oddalić się bez pożegnania. Zebrała resztę pieniędzy, aby je Zoni zostawić, zaledwie tyle co na drogę było potrzeba biorąc z sobą, i uprosiła chorąg, aby dla uniknienia jakieg przykrój sceny poszedł razem z nią do Zoni.

Zastali ją już zatopioną w książkach, bo się z nową gorącością rzuciła do nauki, aby o bólu zapomnieć, wychudzoną, rozgorączkowaną, powierzchownie zaniedbaną, przyodziałą bez najmniejszego starania, z włosami nieuczesanymi, tak, że robiła wrażenie jakiegoś dziczalego stworzenia.

Ujrawszy w progu siostrę, Zonia gwałtownie odrzuciła książkę i podeszła ku niej. Nie mogło to ujść jej oka, ani wprzód wiadomości, że Madzia ciężko przechorowała. Twarz zmieniona dawała poznać, że słabość była groźną, dziewczę chwiała się jeszcze na nogach, a widok siostry poruszył je tak mocno, że zaraz u drzwi przysiąść musiała, by zebrać przytomność i siłę.

Zonia patrzała na nią z jakąś dumą razem i politowaniem.

— Żal mi cię serdecznie—odezwała się stojąc przed nią—żeś się tu tak wybrała mnie nawracać, nie mając po temu sił i odpokutowała za moje grzechy. Słabe z ciebie stworzenie. Patrzaj na mnie, com straciła dziecko i ukochanego i wszystkie życia nadzieje i ochotę do niego, widzisz, że jeszcze lepiej się trzymam od ciebie! Przepraszam cię, moja Madziu! nie umiem być inną tylko taką, jaką mnie Bóg stworzył!

— Nie masz za co przepraszać—odparła zwolna odzyskując siły Madzia.— Zrobiłam, com była powinna, a że się to nie na wiele przydało, nie moja wina!

Westchnęła.

— Ty się nie gniewaj na mnie, mogłam być niezręczną, alem z dobrogero serca chciała ci przyjść w pomoc.

— To daremna, nie pomoże mi nic—sucho odezwała się Zonia.

— Ja muszę powracać — mówiła z cicha Madzia... — chcę się pożegnać.

I z płaczem rzuciła się jej na szyję.

— Zoniu kochana, — odezwała się łkając, wróc do Boga, pomódl się, spokój ci da skrucza, pociechę—modlitwa, cierpliwość—rezygnacya... Wiele zniosłaś; będzie ci to policzone... Moja droga! Zonia przerwała suchym śmiechem.

— Bądź spokojna o mnie—przebąkneła—będę wiedziała, co zrobić i jak sobie drogi szukać. Kazaliście mi żyć, muszę się o to starać, aby życie sobie uczynić znośnym.

Z chwili téj korzystała Madzia, aby węzelek z pieniędzmi wcisnąć nieznacznie w ręce Zoni i szepnąć jój: Jeśli mnie kochasz, weź, ja nie potrzebuję.

Po krótkim wahaniu się i namyśle, Zonia przyjęła dar siostry i w milezeniu ją w czoło pocałowała zadumana.

— Kiedyś się porachujemy—dodała—ja nie rozpaczam, że moje długi popłacę!

Słowa te wyrzekła z dumą jakąś, jakby groźbą.

Poszły potem dwie siostry na chwilę do drugiego pokoju, bo Madzia potrzebowała jeszcze prosić Zoni o coś na osobności; prosby jój te wszystkie zwracały się ku Bogu i modlitwie, bo ona innej ucieczki i ratunku nie знаła.

Zonia przyjmowała je uśmiechem szyderskim, ruszaniem ramion i milezeniem, powtarzając: O! nie frasuj się o mnie, dam sobie rady!

W wyrazach tych przebijała się jakby już osnuta myśl postępowania w przyszłości.

Gdy obie razem wyszły do pierwszego pokoju, w którym na nie Ewaryst oczekiwał, aby Madzię odprowadzić,—Zonia zbliżyła się ku niemu.

— Choć Madzia wyjedzie, możesz mnie przecie czasem odwiedzić—odezwała się. Prawda, że już teraz w tym szkielecie kochać się jak dawniej nie będziesz, ale tém lepiej, bo mnie nudzić a sam się męczyć przestaniesz. Przyjdź czasem jak do dobrego kolegi. Ja dalej uczyć się myślę i iść tak daleko, jak mi siły starczą. Nauka wreszcie potrzebną mi jest, aby sobie na chleb zarobić.

Madzia znowu rozplakana uściskała ją namiętnie; Zonia pozostała zimna, i mogło się zdawać, że tę naturę skłoną do sprzecznosci właśnie jój czułość pobudziła do ostygania i szyderstwa.

Ewaryst idący za Madzią pozostał był nieco u progu, gdy wskazując na nią z rodzajem uśmiechu dziwnego,—Zonia szepnęła mu na ucho:

— Jaki jesteś ślepy! Cała ta czułość siostry dla mnie, czyż ty nie rozumiesz tego, była... aby się zbliżyć do ciebie. Biedaczka się w tobie kocha bez nadziei...

To mówiąc zamknęła silnie drzwi, a Ewaryst oburzony i zdzi-

wiony, pośpieszył za uchodzącą ze ściśniętém sercem biedną Madzią, na którą pod wschodami, już ubrana i do drogi gotowa czekała Trawciewiczowa.

— Otóż się Pan Bóg przecie nade mną ulitował—zawołała — że nas wyrwie z tego piekła.

Po odjeździe Madzi, chorążyc długo bardzo nie widział Zoni, a mało co słyszał nawet o niej. Niektórzy z towarzyszków opowiadali mu, że cudownie po doznanym ciosie przyszła do zdrowia, wypiękniała, ożywiła się i znowu gorąco zajmowała nauką, a więcej jeszcze kwestyami społecznymi, o których namiętne rozprawy toczyły się u niej na wieczorach, często do późnej nocy.

Co najzapaleńsza młodzież zbierała się tam na herbatę, cygara i rozmowy wielce ożywione. Widywano tam panią Heliodorę i dwie czy trzy panie, równie postępowe i wyemancypowane jak gospodyni. Towarzystwo to tak do smaku przypadło młodym panom, iż codzień prawie było ich pełno.

Opowiadano Ewarystowi o tych przyjęciach u Zoni, jako najnieczeremonialniejszych w świecie. Studenci przybywali poubierani, jak się komu podobało, herbatę rozdawano o tyle, o ile szklanek stawało, a drudzy na nią czekali. Papierosy przynosił z sobą każdy, siadał, gdzie chciał i gdzie miejsce znalazł, a nieład miał panować w dwu pokoikach prawdziwie studencki.

Nie trafiło się chorążycowi spotkać z kuzynką, aż w kilka dobrych tygodni i ledwie ją poznał. Gdy ją widział ostatnią razą, była żółta, blada i wychudła, teraz ją znalazł odmłodzoną, rozkwitłą, świeżą, z twarzą wesołą i urągającą światu, z wejrzeniem jasnym i śmiałym, zmienioną tak nadzwyczajnie, iż nie mógł się wstrzymać od podziwienia.

— Prawda? znajdujesz, żem znowu wyładniała—odezwała się do niego śmiejąc i poprawując piękne swe włosy, z rodzajem kokieteryi burszowskiej ułożone. Cóż ty chcesz? wiecznie się gryść niepodobna! Życie jest głupią rzeczą, którą trzeba władać rozumnie. —Nauczyłam się o nic nie dbać. Walka... to walka, kto w niej padnie, sam winien.

Popatrzyła na chorążycę, który milczał.

— No, przyjdź-że kiedy do mnie!—dodała.—Tyś się kochał we mnie, prawda? ale to już przeszło, a ja miałam i mam słabość do ciebie. Chciałabym z ciebie zrobić człowieka!

Poczęła się śmiać i podała mu rękę.

— No do zobaczenia! nie prawdaż?

I nie czekając odpowiedzi poszła dalej wesoło.

Ta nowa metamorfoza Zoni znowu przykre jej wspomnienie odświeżyła chorążycowi. Pochlebiał sobie, że zapomniał już o niej, że się zupełnie rozczarował i ostygł! Niestety! niema nic niebezpieczniejszego nad żar pod popiołami ukryty! Chorążyc wrócił do domu rozmarzony tém zjawiskiem, nęcącym go ku sobie siłą dla niego niezrozumiałą.

Czém mogła w nim budzić tę nadzwyczajną sympatyą, sprzeciwiającą się rozumowi, nie mającą siedliska w sercu, gnieźdzącą w jakiejś fantazyi zmysłowej! Ewaryst nie mógł sobie wytłómaczyć, i sam na siebie się oburzał.

Mógł zaledwie czuć dla niej politowanie, na miłość nie zasługiwała, a chorążyc kochał się w niej namiętnie. Czuł to, że gdyby się jej dał wciągnąć w bliższe, codzienne stosunki, ta kobieta-by go opanowała, a nawet, drżał na myśl samę, sprowadzić go mogła z drogi surowych obowiązków, zaszczerpić w nim swą niewiarę i snyderstwo ze wszystkiego.

Postanowił więc unikać jej, a to mu przyszło tém łatwiej, że w dni kilka odebrał nagle oznajmienie o słabości ojca, z rozkazem, aby jak najprędzej do Zamiłowa przybywał.

Przejęty trwogą, nie tracił ani chwili, a jednak gdy już miał siadać na wózek pocztowy, ulegając niepojętej jakiejś słabości, zajechał do Zoni, aby jej swój wyjazd oznajmić.

Znalazł ją samę, siedzącą w oknie i zadumaną.

— Jadę do Zamiłowa—rzekł wchodząc szybko—ojciec mocno zapadł, muszę śpieszyć. Chciałem ci to oznajmić, nie wiem, kiedy powrócę... Każesz mi co Madzi powiedzieć.

— Kłaniaj się, kiedy chcesz—zimno odparła Zonia.—Przyznam ci się, że mi to przykrość robi, iż jedziesz, choć prawie cię nie widywałam. Nawykłam ot tak, nie wiem czemu, rachować na ciebie, choć na wypadek pogrzebu!—dodała z uśmiechem gorzkim. Ty mnie teraz unikasz, a ja często myślę o tobie. Ci, co mnie otaczają, to hałastra, niewiele warta... Wracajże proszę, a nie zapominaj o Zoni.

Wyciągnęła mu rękę Ewaryst ją ścisnął ze wzruszeniem.

— Dwa słowa—dodał—kiedy już rachujesz na mnie, pozwólże mi spytać się, możesz być w potrzebie? mów otwarcie.

Zawahala się rumieniąc nieco Zonia, paprawiła włosy.

— Potrzeby moje są wielkie—rzekła—jeżeli możesz...

Nie dokończyła. Chorążyc natychmiast wypróżnił pugilares i co miał, położył na stole. Zonia raz jeszcze milcząc, zawstydzona trochę, wyciągnęła rękę do niego.

— Dziękuję—rzekła cicho, i głosem złamanym dodała naka-
zująco:

— Wracajże... proszę.

We wzroku, który ku niemu zwróciła, było jak wilgotna łąka, a w głosie jak tłumiony płacz.

Ewaryst był również poruszony i chcąc ukryć wrażenie, jakiego doznał, pożegnał się co prędzej i wyszedł.

Wsiadając do bryczki, ujrzał ją zdala na galeryi domu stojącą i dającą mu chustką znak na pożegnanie.

Wszystko to byłoby może niebezpiecznie podziałało na niego, gdyby nie ciężar, jaki miał na sercu, gdyby nie myśl o ojca chorobie, o tém, co zastanie w domu.

Obiecawszy podwójną zapłatę na pocztach, pędził nie zatrzymując się aż do ostatniej stacyi od Zamiłowa, dzień i noc, nie zsiadając prawie z bryczki. Najstraszniejsze trapiły go przecucia.

W miasteczku, do którego przybył drugiego dnia wieczorem, miała go niespodzianie spotkać ta wiadomość, której się tak lękał. Znalazł tu starego Piusa, z oczyma zapłakanemi. Chorąży od wczoraj nie żył!

— A! panie, jękał się, oczy ocierając dawny sługa domu, tak umierać to doprawdy lepiej jak żyć. Skończył jak święty, pan chorąży... Czuł swój zgon nadchodzący, przygotował się do niego pobożnie i umarł z gromnicą w ręku, z modlitwą na ustach, jakby w Bogu usypiał.

Chorążyc obawiający się o matkę, której znał przywiązanie do ojca, tém pilniej jeszcze pośpieszył stąd do Zamiłowa. Przeraziła go ta myśl, jak tam znajdzie biedną wdowę i cały ten dom okryty tak nagłą żałobą.

Noc była, gdy stanęli u wrót. Zwykła cisza i spokój panowały we dworze, tylko zdala widać było, przez lekko przysłonione okiennice pokoju, w którym ciało było złożone, światło otaczające grobowe łoże i śpiew cichy dochodził uszów ze swą nutą przeciągłą, tęskną, pełną bólu razem i nadziei.

Wchodząc wprost do ciała ojca, zastał przy klęczniku nad książką żaławioną matkę, która z cichym smutkiem chrześcijanki modliła się, z majestatem boleści poważnej, powściągniętej, jaki wiara daje tylko głęboka.

Wstała na widok syna, który klęknął najprzód nogi ojca całując, a gdy powstał, chwyciła go milcząc w objęcia i trzymała długo, jako jedyną już życia podpórę.

Ewaryst znalazł ją dziwnie, nadludzko już uspokojoną, przytomną, panią swjej boleści.

— Dziecko moje—rzekła—wyprowadzając go z sobą, nie mogłeś

przybyć po ostatnie jego błogosławieństwo, lecz błogosławił cię nieprzytomnego i spłynię to słowo ojcowskie na głowę twoją, a puklerzem ci będzie w życiu. O! jak piękną miał śmierć... o! jak błogosławioną, jako życia nagrodę...

— Teraz, dziecko moje — dodała — tyś tu już panem...

— A! matusiu kochana, nie ja! nie ja! — przerwał Ewaryst — i niech mnie Bóg broni od tego, abym o tём pomyślał, tyś tu panią jedyną.

I przypadł do kolan jęj rozrzewniony.

Nazajutrz dzień eksportacy i pogrzebu był wyznaczony, a rozporządzenia chorążego tak wszystkie ułatwiały, iż najmniejszego zachodu nie miał nikt około tego aktu uroczystego. Chorążyna tylko, na siebie biorąc odpowiedzialność, pogrzeb usiłowała wspaniałszym uczynić, niż go chciał mieć nieboszczyk.

Wśród egzorty żalobnej, ks. Zatoka, przyjaciel chorążego, sam się tak rozplakał, mówiąc o cnotach jego, że choć z wymowy nie sływał, wszystkich do łez pobudził.

Szła za pogrzebem podtrzymywana z jednęj strony przez syna, z drugięj przez Madzię chorążyna, dotrwała mężnie do końca i powróciła do Zamiłowa z tём samém męstwem, którego teraz nowe, osieroczone życie potrzebowało.

Ewaryst musiał, dla pomocy i pociechy matki, jakiś czas przy nięj pozostać.

Chorążyna nawet starodawnym obyczajem, zbytnięj wagi nie przywiązując do nauk a wielką do praktyki i czynnego życia, chciała syna wyciągnąć z Kijowa i osadzić na wsi.

Sama zamierzała pozostać przy nim, dopóki by się nie ożenił, a potem uspokojona o niego, chciała osiąść w drugim folwarku i tam czekać końca, którego prawie z utęsknieniem wyglądała.

W domu tym, którego osiłą niewidomą był ów starzec, co teraz ubył mu tak nagle, brakło go na każdym kroku, przypominał się co chwila, lecz pozostawił po sobie wszystko w takim porządku, tak naprzód obrachowane, iż zdało się, jakby jeszcze on miał w rękę zarząd cały.

— Tak Jegomość nieboszczyk chciał, tak pan Eliasz rozporządził — odzywało się ciągle.

Gdy się nieco uspokoiło w domu po pogrzebie i wszystko weszło w dawne karby, Madzia dopięro śmiała się zapytać chorążycy o siostrę. Uczyniła to zakłopotana, rumieniąc się, wstydząc niemal těj poczciwęj ciekawości swojęj.

— Cóż z tą biedną się dzieje? — przebaknęła nieśmiało.

— Mało ją widywałem — odparł równie zmieszany Ewaryst. — Na

wyjezdnem tylko byłem u niej. Nie zdaje mi się, aby tam zaszło co nowego, nie gorszego.

Madzia spojrzała badawczo na niego, chcąc więcej z niego wyczytać, niż mógł jęj powiedzieć. Ewaryst dodał prędko:

— Wierz mi, Madziu, ja nie straciłem wszelkiej nadziei... Biedna Zonia, której nieszczęściom winno jęj wychowanie, w samych nich znajdzie lekarstwo.

— Nie rozpaczam! — powtórzył.

— A! dałby to Bóg — odparła Madzia — aby się słowa twoje sprawdziły.

Rozmowa nie przeciągnęła się dłużej dnia tego, lecz następnych, przy wszelkiej zręczności, przy każdym spotkaniu, Madzia usiłowała zręcznie wybadać kuzynka. Ten w istocie niewiele jęj mając do powiedzenia, powtarzał swe pociechy.

Prawie dwa miesiące przeciągnął się pobyt Ewarysta na wsi, lecz w końcu, mimo usilnego nalegania matki, potrzebował wrócić do Kijowa, ażeby tam raz nauki dokończyć i zdać egzamina. Wszystko to razem nie powinno się było nazbyt przeciągnąć, a chorążyna cieszyła się zawczasu, że ta podróż będzie już ostatnią i że Ewaryst wróciwszy osiadzie na wsi. Jędyną jęj myślą teraz było, dla siebie jak najmniej ze dworu zostawując, przygotować synowi pobyt wygodny i miły.

W czasie, który miał spędzić w Kijowie, chorążyna chciała oczyścić, poprzerabiać, ustroić pokoje dla syna. Teraz on w jęj przekonaniu był głową domu.

Napróżno Ewaryst prosił, aby go w dawnych jego pokoikach zostawiono, chorążyna mu nawet nie odpowiadała. Z dnia na dzień ściągany wyjazd na ostatek został już napewno oznaczony. Ponieważ przedtęm testament był otwarty i w nim zapis dla Madzi i Zoni wyczytano, mógł chorążyc pod pozorem częściowęj jego spłaty (choć ta była zamąpójściem obwarowaną) coś zawieźć Zoni, aby jęj życie ułatwić. W wigilią tęz czatowała nań Madzia, która ściągnęła swojego, co mogła, prosząc go o zabranie listu do siostry.

Zaledwie przybywszy napowrót do Kijowa, nazajutrz pośpieszył do Zoni chorążyc, a chcąc ją zastać samę, poszedł rano.

Nie było jęj jeszcze w domu, lecz bardzo gadatliwa sługa nowa upewniła, że natychmiast pani nadejdzie, wstrzymał się więc oczekując na nią.

Mieszkanie toż samo, które znał, mało co znalazł zmienione, co jednak jakby nowęm innęm życiem wionęło po niem. W oknie stały kwiatki, których tu nigdy nie bywało, więcej czystości, porządku, nawet małych elegancyj dostrzegł zdziwiony nieco Ewaryst...

Między książkami rozrzuconemi na stoliku dostrzegł i poezyi

i romansów, wprawdzie bardzo śmiałych i jaskrawych, lecz z innego przybyłych świata.

Siedział chwilę rozpatrując się w tém Ewaryst, gdy w progu stanęła Zonia i wesołym przywitała go okrzykiem. Spojrzenie na żalobę kazało się domyślać straty, jaką poniósł.

Zonia, która przy ostatniem ich widzeniu się była już odmłodzoną i zmienioną na korzyść swoje, wydała się chorążycowi jeszcze piękniejszą teraz, ślady tego, co przecierpiała, znikły zupełnie, twarzyczka się wypełniła, oczy śmiało i wesoło patrzyły, ubrana była z pewniem staraniem, pół męsko, pół po kobiecemu i stawiała się z jakąś brawurą, z którą jej było do twarzy.

Nie kryła bynajmniej radości, jaką jej sprawiał widok Ewarysta, chwyciła go za obie ręce, wpatrzyła mu się w oczy i powtarzała poruszona;

— A! przecież wróciłeś! myślałam, myślałam doprawdy, że cię chyba nigdy nie zobaczę i czułam, że ty mi jesteś potrzebny, ażem się na siebie gniewała!

Te oświadczenia niespodziewanej czułości wprawiały Ewarysta w niewysłowny niepokój i trwogę. Chciało mu się uciekać, taką w nim budziła obawę.

— Mówiłam ci ostatnią razą, gdyśmy się widzieli — dodała po chwili — że mi ci ludzie, ta młodzież, z jednym wyjątkiem ciebie, obrzydliwość sprawiają! Wszystko to małe, dziecinne, fałszywe, nade, chytne — paskudne. Jacy z nich ludzie porosną, ja nie wiem...

Mówiła żywo, nie dając się prawie odzywać Ewarystowi; pilno jej było wypowiedzieć się przed nim.

— Widok tych młokosów już mię wcale nie bawi. Lalki otrębam i powypychane. Wszystko to głośno wyznaje pryncypia, których jutro się wyprze dla kawałka chleba. Pamiętasz tego szanownego mistrza mojego i ojca Jewłaszewskiego, od którego całusa mnie uratowałeś?... Był to przecie wódz nasz i prorok, jasna gwiazda! Nie wiem, skąd spłynął na niego strumień złoty, i prorok zmienił się w najpociesznieszego trutnia, który od swych adeptów jak od zapowietrzonych ucieka... Żebyś go widział teraz! Nie zna nas! Boi się spojrzeć, aby nie skompromitować. Jego *alter ego* Żyżyński dostał mały urzędzik i zerwał z nami... Dobrze są zasady, ale chleb i spokój dla nich jeszcze lepszy. Mizerne robactwo!

Splunęła z pogardą. Ewaryst, który patrzył na nią i słuchał z zajęciem, mimowolnie był pod urokiem jej słów gorących... wydała mu się, jak niegdyś, zachwycającą.

— Ludzie — dodała — mają jasne chwile, szlachetne i poczciwe, to prawda, ale wogóle i z natury swój są podli. Nie wyjmuję siebie!!

Zwróciła oczy za okno, przy którym siedziała, i zamyśliła się dumnie. Twarz jej z tym wyrazem pogardy dla świata była piękna jak starożytna maska tragiczna i straszna zarazem. Chorążyc oka z niej spuścić nie mógł.

Po krótkim milczeniu począł mówić o domu, o Madzi, i usiłował naprowadzić rozmowę tak, aby przywiezioną dla niej pomoc mógł oddać. Gdy zagaił o tém, zdziwiła się mocno, ale weselej spojrziała i odetchnęła.

— W mojem życiu - odezwała się—ty jeden zawsze przybywasz w porę. Dziwna rzecz, zaczynam wierzyć w jakiś fatalizm, który nas z sobą wiąże. Boję się, bym nie uczepiła się ciebie jak kamień do szyi, bo ja nie mogę być czém inném tylko kamieniem! Niestety!

Chorążyc powiedział jakichś kilka słów niezrozumiałych, był nad miarę wzruszony.

— Jak to nigdy pierwszym wrażeniom, które mają być tak trafne, wierzyć nie trzeba—dodała Zonia—wydawałeś mi się z początku nieznośnie sztywnym, teraz czuję w tobie życie.

Ewaryst chciał już co najprędzej przerwać tę niebezpieczną rozmowę i składał list i pieniądze, aby ją pożegnać, choć go wstrzymać usiłowała, gdy weszła pani Heliodora.

I ta od czasu jak jej nie widział Ewaryst, zmieniła się w osobliwszy sposób, wybielała, utyla, spoważniała, a strój jej był daleko staranniejszy.

— Panią Heliodorę niegdyś Paramińską, wdowę—odezwała się szydersko Zonia—prezentuję panu jako panią młodą, od miesiąca zaślubioną przez radcę nadwornego Majstruka... A cóż? nie siurpryza! Wprawdzie radca nadworny bez zębów, ale oboje mają co jeść.

— Ale proszę cię, ty papugo nieznośna! —zawołała pani Majstrukowa. Już ci język świerzbiał.

— Jakże nie? odparła Zonia—taka metamorfoza!—Heliodora wyrzekła się szatana i spraw jego, wieczorków ze studentami i rozpraw o chłopcach i emancypacyach, a ma za to pozycyą socyalną, radcę bez zębów i...

Pani Heliodora blizką była gniewu. Zonia uściskała ją i zamilkła.

— Mogłabym i ja coś o tobie powiedzieć, ty szatanie długojęzyczny—odezwała się niegrzecznie pani Majstrukowa—ale się mścić nie chcę.

Zonia się zarumieniała nieco.

— Przynajmniej mi nie zarzucicie, abym przeszła do cudzego obozu!—odezwała się—a z nędznego życia mojego nikt mnie rachunku słuchać nie ma prawa!...

Ewaryst byłby się może ze szczebiotania dwóch przyjaciółek wiele ciekawych rzeczy dowiedział, lecz skorzystał z przyjścia pani Majstrukowej, aby Zonię pożegnać.

Odprowadziła go do drzwi i w progu nakazująco powiedziała:

— Ale bywajże u mnie!

Mówiła to z takim przekonaniem o swój sile, jakby wiedziała, że chorążycy oprzeć się jej nie potrafi.

Wchodził do niej z obawą, ale wyszedł teraz upojony tak, iż sam siebie się wstydził. Biło mu serce nie litością już dla szalonej tej Zoni, ale namiętnością ślepą, niepamiętną ni jutra ni nawet godności własnej.

To, co powinno było chorążycy ustrzedz od niebezpieczeństwa, jego życie przeszłe skromne, samotne, dalekie od zwykłych męskich płochości młodzieńczych,—czyniło go właśnie słabym. Była to pierwsza jego namiętność, wybuchająca z taką siłą, że walczyć z nią nie umiał.

Pragnienie zbliżenia się do Zoni niepohamowane łączyło się w nim z trwogą zwiastującą niebezpieczeństwo. Wiedział, że oprzeć się jej nie potrafi w niczem, że ona może go zaprowadzić na bezdroża, i zawczasu czuł, że szał będzie musiał okupić wstydem i łzami.

W kobiecie tej grała chwilowa fantazya jakaś, pobudzając do drgania wystygłe serce; w nim z krwią razem poruszała się dusza. Było to pierwsze marzenie jego.

Nie chcąc myśleć nawet o tém, bo myślenie działało nań burząco, Ewaryst nie powrócił do siebie, poszedł do dawnego znajomego Euzebiusza Komnackiego, aby jakimś nowym wrażeniem zatrzeć pamięć o tém, co go tak silnie poruszyło.

Zastał go nad pisaniem rozprawy, otoczonego książkami, tak ostygłego i zagrzebanego w studyach, jak go zostawił.

Zazdrościł mu. Komnacki powitał go kondolencyą, słyszał bowiem o śmierci chorążego.

— Zapewne powrócić będziesz musiał na wieś, ty szczęśliwy człowieku—rzekł do niego Euzebiusz—gdy ja prawdopodobnie otrzymawszy stopień, gdzieś bakałarzować będę zmuszony.

— Nie wiem jeszcze, kiedy wrócę do wiejskiego życia, ale i ja egzamina chcę zdać wprzód, zabawię więc czas trochę dłuższy.

— Gdyby nie książki i nie kilku ludzi poważniejszych, nudziłbym się tu strasznie—dodał Komnacki. Próbowalem dla odmiany trochę się pokumać z młodzieżą i odwiedzić parę razy nasze znajome, panią Heliodorę, pannę czy panią Zonię—ale...

Tu Euzebiusz uciał nagle.

— Pani Heliodora poszła za mąż—przerwał Ewaryst.

— Wiem o tém, musiała biedna skończyć na starym radcy—

mówił Komnacki, a owa Zonia wygląda jeszcze podobnego końca.

— Przepraszam—wtrącił, jest że to istotnie jaka kuzynka twoja? Chorążyc zlekka się zarumienił.

— Daleka bardzo krewna—odparł—której dola mocno mnie jednak obchodzi.

— Tém gorzej—rzekł p. Euzebiusz—bo, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, szczęśliwą być nie może. Kobięta wielkich zdolności, jak się zdaje, ale jeszcze większego rozpasania umysłowego. Złe towarzystwo ją zgubiło.

— Zdaje mi się—odezwał się trochę dotknięty tём chorążyc—czując już obowiązek bronięcia jej, że nieszczęścia, których doznała, sprowadzą w nią zmianę na lepsze.

Euzebiusz się uśmiechnął.

— Ha! daj to Boże—odezwał się, lecz są kresy, z których zawrócić się nie podobna, a ta biedna podobno je przekroczyła.

Chorążycowi zrobiło się smutno i boleśnie, lecz widział w tём razem lekarstwo na namiętność swoją.

— Przez parę miesięcy tu nie byłem — rzekł — nie wiem, co się z nią działo.

— Uczyla się i trzpiotała razem—odparł Komnacki. Młodzieź do niej lgnie, bo nigdy nie podobnego w płci niewieściej nie oglądała, a ona!..

Ruszył ramionami.

— Nie słyszałeś o czém, o kim?—spytał nieśmiało Ewaryst.

— Nie tak dobitnego i pewnego—rzekł Komnacki spokojnie. Wiem, że raz już przez nią podobno odprawiony bogaty ów młodzik, Zoryan, nanowo się do niej uwziął i przyjmowała go czas jakiś, ale przepędziła w końcu. Mówiono mi o innych, że chwilowo byli w łaskach; wszystkich podobno ten los spotyka, że nielitościwie ich wyszydząwszy precz odgania.

— W tём nie byłoby jeszcze nic tak ostatecznie złego—odparł Ewaryst.

Komnacki się skrzywił i zwrócił rozmowę na co innego; dłużej go dopytywać nie chciał chorążyc.

Wrócił spokojniejszy do domu, sam się okłamując i dowodząc, że w istocie w stosunku tym nie było dlań tak wielkiego niebezpieczeństwa, jak sądził w początku. Sama płochość Zoni, na którą miał patrzeć, była zbawienném lekarstwem.

Nazajutrz z ostyglejszą już myślą wszystko rozważywszy, powrócił do pierwszego, dawnego postanowienia, aby Zoni o ile możliwości unikać i nie spotykać się z nią, chyba bardzo rzadko.

Miał tyle mocy nad sobą, że choć po kilkakroć był już w dro-

dze do Zoni, wrócił do domu, poszedł gdzieindziej, przemógł tę siłę, co go ciągnęła.

Upłynął tydzień, chorążyc tryumfował; a jednakże ciągle o tém tylko myślał i walczył z sobą. Zamykał się w domu, zagrzebywał w robocie.

Jednego wieczora znowu się tak zwyciężywszy, zasiadł do pracy, gdy drzwi się otworzyły; weszła Zonia.

Znać było po niej, że przywiezionych jej pieniędzy po kobiecemu użyła, co jakoś do niej nie było podobne. Była strojna, kapelusik, futerko, zarękawek, aż do bucików ciepłych, wszystko miała jak z igły.

Wchodząc zatrzymała się w progu.

— Czy można?

Ewaryst porwał się zmieszany.

— Proszę się nie ruszać, siadam naprzeciw, ogrzeję się i wychodzę, bo wizyta moja o tej porze, tak przyzwoitego młodzieńca mogłaby nawet skompromitować. Nie byłam w sile oprzeć się tej zachciance. Tydzień nie byłeś u mnie. Góra przyszła do Mahometa.

Wszystko to mówiła głosem jakimś nie swoim, słodszy, bardziej pieczołonym, w którym drgało jakby uczucie.

— Byłem trochę chory i bardzo, bardzo zajęty!—odparł zmieszany Ewaryst—właśnie się wybierałem.

— Ależ ja wiem, że kto nie chce przyjść, jest zawsze chory i bardzo zajęty—rozśmiała się Zonia, rzucając zarękawek na stół i podpierając się na rączkach wedle zwyczaju. Dlatego ja — dodała — chcąc cię widzieć koniecznie, przyszedłam sama.

Westchnęła.

— Widzisz, jak się stałam pokorną i łagodną, zamiast cię lać, ja się tłómaczę. Co to się stało z tą Zonią!!

Chorążyc słowa nie mógł znaleźć na odpowiedź, krew w nim pobudzona płomieniem biegła po żyłach... Zonia siedziała spokojna jakaś, pół smutna i patrzyła mu w oczy upornie, natarczywie.

— Jużci też przez litość, nawet według waszych zasad chrześcijańskich, należało, abys przychodził nawracać nieszczęśliwą, zgubioną grzesznicę—poczęła mówić—a grzesznica sama została zmuszoną przyjść kusić anachoretę!!

Trzeba to było w żart obrócić i chorążyc wyparł się ostatniego przydomku.

— Jeśli nie anachoretą, przynajmniej jesteś... no—purytaninem —dodała—choć była chwila, gdy się w Zoni kochałeś...

To mówiąc wstała z krzesła.

Poczęła się przechadzać po pokoju, zajrzała do drugiego, oglą-

dała książki, z ciekawością kobięcą odgadywała życie Ewarysta po tém, co do niego należało.

Książka jakaś zajęła ją, wzięła z półki nie pytając i włożyła do zarękawka. Obchodziła się z mieniem i osobą chorążycy, jakby do nich miała prawo zupełne.

Przeszedłszy się tak parę razy, wzięła swój zarękawek z książką.

— Idę;— nie odprowadzisz mnie?

— Z chęcią—rzekł Ewaryst—ale jeżeli tam zastaniemy zwykle towarzystwo?

— Nikogo! dałam im wszystkim odprawę—odezwała się Zonia. Zoryan znowu mnie chciał uszczęśliwiać, dwom czy trzem innym musiałam drzwi pokazać... a teraz się nudzę jak grzeczne dziecko. Wi- nieś mi za to indemnizacją!

Mówiąc tak zesłał powoli ze schodów, w ulicy zerwała się była zawieja, śnieg miótl okrutny, chorążycy zawołał na sanki. Siedli do nich oboje i zwoszczyk popędził cwałem.

— A! tak lecieć! lecieć, na koniec świata! zamknąwszy oczy!

Przysunęła się do Ewarysta.

— Nie kaź jechać do domu! ruszajmy gdzie w świat. Mróz jest dobry, ja powoli usnę, a we śnie mówią, lekka śmierć przychodzi... Tak sobie umrę, przytulona do ciebie...

Zamilkła.

Po krótkiej przejażdżce, sanki stanęły u drzwi kamienicy.

— A! już! —odezwała się wstając... —tak prędko...

Powoli zadumana powlokła się na wschody, wspierając na rękę Ewarysta, nie mówiąc nic. Weszli tak na górę.

Tu jak przebudzona Zonia zawołała na sługę o samowar i herbatę.

— Będziem sami, w zawieruchę nikt nie przyjdzie—odezwała się.

Chorążycy był ciągle jak pod wrażeniem snu jakiegoś męczącego razem i miłego... Zonia choć mało zdawała się zważać na niego, widziała dobrze, co się z nim działo. Niekiedy uśmiezek szyderski razem i wesoly przebiegał po jej ustach...

Nim podano herbatę, wszczęła rozmowę o Zamiłowie, o siostrze, o przyszłości.

— Zakopiesz się na wsi—rzekła, to nieuchronne. Jest to rodzaj barłogu jak te, w których niedźwiedzie śpią przez zimę, spać będziesz wygodnie całe życie. Ożenisz się naturalnie z cnotliwą i spokojną istotą, która... będzie cię mocno kochała, nie mając kogo innego... Wszystko to bardzo ładne, tylko nie wiem, czy to nazwać życiem, czy umieraniem. Tępieje wszystko, zmysły, umysł... człowiek grabieje, zdrętwia się, zastyga, nie cierpi i nie czuje. Myśl śmielszą zażegna ks. proboszcz, namiętność ukolysze żona, sercu wystarczą uściski dzieci. Ale czy to życie?..

Chorażyc nie śmiał się jej przeciwzić, choć go raniła boleśnie temi szyderstwami.

— Do rozpoczęcia takiego życia mnie jeszcze daleko—rzekł—że nie się wcale nie myślę.

— A! to cię ożenią! — przerwała Zonia.

— Nie mam dotąd ochoty, — odezwał się Ewaryst.

Popatrzała nań.

— Taki klejnot jak ty będzie tak poszukiwanym—dodała Zonia — że w końcu ktoś go pochwyti!

Podawano herbatę. Pierwszy raz Zonia sama koło niej gospodarować zaczęła, dawniej robiła to służąca.

— Widzisz—rzekła—nauczyłam się kobiecych obowiązków, bo na cóż my biedne więcej się wam zdałyśmy? Obrabiamy wam chustki do nosa, gotujemy w kuchni, smażym konfitury i nosy ucieramy dzieciom. Kobięta wasza to jeszcze zawsze po staremu sługa... Głowy ni myśli podnieść jej nie wolno, ani mieć serca na swój własny użytek, bo ona należy do pana. Ze wy z takimi manekinami możecie żyć, kochać się, pieścić i wytrwać, to wam honoru nie czyni. Ja gdybym była mężczyzną, chciałabym mieć kochankę, coby mnie dorosła.

Milczał jeszcze chorażyc.

— Z niewolnicami wygodniej — dodała Zonia — podając mu herbatę...

— Wiesz—wtrąciła nagle — ja z miłości pojmuję nawet niewolę, ale dobrowolną!

— Przepraszam cię, Zoni—odezwał się w końcu Ewaryst—lękam się, abyś ty fantazyi nie brała za miłość.

Zonia pobladła nieco; oczy jej się zaiskrzyły.

— Myślisz?—spytała. Ja bo nie wiem, czy która miłość nie jest fantazyą? O wiekiuistych na świecie mowy niema.

— Ale z nich trwała potem przyjaźń urasta, — rzekł chorażyc.

— Nałóg poprostu—odparła Zonia—ale i nałóg ma swą wartość!! Skrzywiła usta i dodała:

— Nie sądź o mnie surowo, Ewaryście, nie miałam nigdy fantazyi, nie kochałam może nigdy, szukałam tylko kochania i pragnęłam go, ale gdy raz znajdzie serce to, za czém biegano po świecie!...

Przerwała nagle; milczenie dopowiedziało.

Godzina była późna, chorażyc siedział jak na żarzających węglach, wstał wreszcie, aby ją pożegnać. Popatrzała nań niespokojnie.

— Wrócisz do mnie?—zapytała chwytając go za ręce — nie raziż cię zuchwałstwo moje i narzucanie się?? Wrócisz?

Chorażyc szepnął coś cicho.

— Musisz — dodała — ja ci każe... nie broń bo się tój... sympaty (tu się uśmiechnęła), jaką masz dla mnie.

Położyła mu rękę na ramieniu, pochyliła głowę ku niemu.

— Jutro... pamiętaj! jutro!..

Mniej pozornego a zręczniejszego człowieka nad Jefrema Wasiljewa trudno było znaleźć na świecie.

Dorobiwszy się znacznego handlu i posiadłości nieszpętną, wcale niezaspokojony tępem, co miał, a mało z tego używał, dzień i noc przemyślał milcząco Wasiljew, jakby dorobić się więcej. Patrzył on już na wyrosłe z ziemi jak grzyby fortuny ogromne, miał za co ręce zaczepić, bo i znaczny kapitał obrotowy nosił za czerwoną koszulą, w brudnym pugilaresie, obawiając się go powierzyć kasie; lata go nie przygniatały, umysł żywy był jeszcze, pole, na którym pracował, wdzięczne, łamał więc głowę, jak to wszystko wyzyskać.

Największą troską była dlań kamieniczka, kupiona dla powiększenia handlu, a niezbyt dobrze procentująca. Odnowione mieszkanie na pierwszym piętrze ledwie po długim oczekiwaniu znalazło lokatorkę, już nie nieszczęście go jej pozbawiło. Jewłaszewski, który po jejmości odziedziczył zapłacony lokal, w żadnym razie dłużej w nim siedzieć nie myślał nad termin, a rad się nawet był pozbyć.

Utrapienie z tępem piętrzem, które miało znowu stać pustką, tak uciskało Wasiljewa, że przyszła mu myśl gienialna.

Postanowił założyć rodzaj herbaciarni i restauracyjki na górze. Był to doskonały sposób puszczenia w obieg z zyskiem wielu artykułów handlu znajdującego się na dole, przywabienia nowych znajomości i zarobku, choć nie bez kłopotu. Dojrząc zarazem sklepu na dole i gospody na piętrze, dla czynnego i bystre oko mającego człowieka, nie było nad siły. Młodzież akademicka, z którą w wielorakich był stosunkach Wasiljew, dawała się pociągnąć łatwo, a i na resztę laskawej publiczności, szczególnież czasu ożywionych kontraktów liczył zabiegliwy gospodarz.

Nowe czekały go wydatki, bo dla przywabienia gości potrzeba było na wzór moskiewskich restauracyj sprowadzić choć mały orkiestron od Kaufmana z Drezna; cały nowy sprawić inwentarz... Na to go jednak starczyło.

Raz powziąwszy myśl, gdy się Jewłaszewskiego pozbył, Wasiljew piorunem ją wykonał i w czasie gdy pan Ewaryst powrócił do Kijowa, już herbaciarnia stała otworem i jak wszystkie zakłady nowe

cieszyła się powodzeniem wielkiem. Szczególniej studenci uczęszczali tu chętnie, mając pokój oddzielny dla siebie, gdzie wrzawliwie rozprawiać mogli i rozmaitych wyłącznych używali przywilejów.

Schodziło się tu i uczącego się i czasem uczonego świata dosyć na wyborną herbatę, do której przekąskę zawsze dostać było można, a w razie potrzeby i wina aż do szampana.

Przytém gospodarz był przyjacielski, wesół i wydawał się tak dobrodusznym, że go za bardzo potulnego miano. Zabłąkał się tu czasem i pragnący popularności pan profesor i obcy jakiś ciekawy podróżny, wprowadzony przez jednego z klientów miejscowych.

Bywali tu po drodze wszyscy niemal w styczności będący z młodzieżą. Na wytworność nie sadił się Wasiljew, ale to, co dawał w szczupłych dozach, było dobre; herbata celowała. Każdego téż wieczora szczególniej zimowego, w pokoju na tyle, gdzie palono ile chciano, wszelkiego zielska chodzącego pod imieniem tytoniu, pełno było gwarliwych kupek.

Jednego dnia, a miało się już ku wiośnie, choć lody i śniegi uparcie się jeszcze trzymały, siedziało tu kilku młodych ludzi i kilku starszych. Był i pan Euzebiusz Komnacki i piękny Zoryan i część tych, co dawniej uczęszczali do Heliodory za czasów Jewłaszewskiego.

— Znacznie się u nas zmieniło od roku — mówił jeden — stradaliliśmy Jewłaszewskiego, który nam kominka wywinął.

— Daj mu pokój — przerwał drugi — musiał on mieć słuszne i wielkie powody, ja go nie obwiniam...

— Ja téż nie radbym—odezwał się pierwszy—jednak mi to niezrozumiałe, a koniec końców zawsze dezercya!

— No! no! — zaszemrali drudzy — człowiek był wielkiej inicjatywy, budził do ruchu i życia, nie godzi się go potępiać.

— Czekajmy, to się wyjaśni — dodał ktoś z boku.

— A! czekajmy! albo się wyjaśni, lub gorzej zaciemni — poprawił inny...

Rozśmieli się wszyscy.

— Nasza poczciwa Heliodora pokutuje radeczynią i ani do niej zajrzeć — mówił z boku trzeci. — W ulicy spotkawszy ją darmo się człek kłania, odwraca głowę, *nescio vos*.

— Zachciałeś, obawiała się zestarzyć, a nikt inny do ołtarza się nie kwapił.

Z ciemnego kąta wyrwał się ktoś z komentarzem trochę śmiałym, który śmiech tłumiony obudził, inni zaprotestowali.

— Wszystko to nie — wtrącił ktoś z boku — najbardziej żal to Zoni!.. To była bohaterka nasza, to była Tytania, jak ją słusznie

nazywano, to była kobieta, jakiej drugiej niema na świecie, a i tę straciliśmy!...

Rozmowa o Zoni byłaby zaraz ożywiła się, bo kilka głosów gorących podniosło się ze stron różnych, gdy Tardziak, jeden z najzławszych młodzieńców, nietyle do nauki, jak do gawędy i figlów, wszedł śpiewając małoruską piosnkę i wiodąc z sobą jegomości, którego od niejakiego czasu często tu widywano wieczorami.

Był to cudzoziemiec, przybyły przed kilku miesiącami, którego znali z widzenia i nawet niby zblizka prawie wszyscy, ale właściwie kto on był, co tu robił, poco przyjechał, dlaczego siedział, powiedzieć nikt nie umiał.

Zwał się on i mianował Francuzem i na biletach stało: „Monsieur Henri d'Estompelles, mówił jednak wyśmienicie po niemiecku, co Francuzom trafia się bardzo rzadko, niezłe po angielsku, wprawnie po włosku, rozumiał po rosyjsku i kaleczył też ten język równie jak polski, naostatek nie było ludzi trochę znacniejszych w Europie, o którychby nie utrzymywał, że był ich przyjacielem, i przedmiotu, o którymby mówić nie mógł tak zręcznie, jakby był głęboko wtajemniczony.

Typ to był commis-voyageur'a ale wyższego rzędu; bystre pojęcie, znajomość ludzi, a raczej instynkt w ich ocenianiu, jaki daje doświadczenie, ogromny, ucho baczne, wzrok, co zdaje się nie patrząc widzi, przytém powierzchowność zręczna, obejście się łatwe, wścibstwo i umiejętność badania a niewygadania się, znakomita. Średniego wzrostu, gibki, zawsze bardzo starannie ubrany, uperfumowany, pachnący, pan Henryk obracał się we wszystkich kołach, jakie mu tylko były dostępne. Cisnął się do arystokracji i wpływowych urzędników z natręctwem prawie bezczelném, z pokorą aż do upodlenia posuniętą, obcował chętnie z młodzieżą i w hulankach brał udział chętny, grał we wszystkie gry, począwszy od bilardu, w którym był mistrzem, był jedném słowem do wszystkiego, a Małorosyanie powiadali o nim po swojemu „kudy kiń to kozak“ (gdzie go rzucisz, kozakiem wszędzie).

Pan d'Estompelles miał, jak powiadał, udział w jakiejś fabryce tkanin jedwabnych, i podróże odbywał dla studyowania, gdzieby się one umieścić dały, zarazem jednak podejmował się sprowadzać wina z Bordeaux, maszyny z Belgii, zegarki ze Szwajcaryi i konserwy mięsne z Ameryki.

Tych mnogich interesów, któremi był obarczony, wcale po nim domyślić się nie było podobna.

Napozór nie robił nigdy nic, bawił się po dniach i nocach w takich towarzystwach, gdzie nawet guzika kościanego umieścić nie by-

ło podobna, w rozmowach poruszał chętnie takie kwestye, które z powołaniem jego nie miały najmniejszego związku.

Choć na biletach stało owo *de* arystokratyczne, w demokratyczniejszych kołach mówił pocichu, że nazywał się pro prostu Destompelles, bez apostrofu, a przybrał go w interesie handlowym, aby z nim łatwiej wniknąć do towarzystw, które mu były potrzebne.

Potrzebnymi zaś, dziwna rzecz, zdały się być te, do których najchętniej uczęszczał, choć w nich ów apostrof wcale nie był cenny.

Średnich lat, ale trzymający się młodo i obyczajem mając do zbytku młodzieńcze, pan Henryk ze studentami był w najlepszej komitywie, za pan brat. Ugaszczał ich, dawał się zapraszać i nie było nadeń lepszego koleżki.

Rozumie się, że przybylec z Zachodu wioził z sobą teorye socyalne najświeższego kroju, tylko co z pieca i gardłował za niemi. Sam się opowiadał przyjacielem od serca Mazziniego i wielu innych znakomitości jaskrawej barwy. W przedmiocie socyologii miał niepospolitą erudycyą i zasady krańcowe. Zresztą w ideach, które głosił, ścisłej logiki, ciągu pewnego trudno było dopatrzeć, dosyć mu było, gdy teorya świeciła nowością, a szła daleko, aby jęj przykła-skiwał.

Charakteru zdawał się niezmiernie otworzystego, wygadywał się napozór ze wszystkiem, co miał, o sobie tylko milczał. Z tego, co mu się kiedyniekiedy, pod naciskiem pytań niedyskretnych wysłiznęło, nie nie można było wyciągnąć, nawet ułamki te zbliżone do siebie nie schodziły się.

Ale człek był miły, choć go do rany przyłożyć, dla kobiet galant i nie przebieający w nich, do kieliszka gotowy choćby o północy, do wszelakiej zabawy na promotora nie zrównany.

Ci, co mieli zżęčność widywać lub słyszeć o nim od kół arystokratycznych, w których rad się obracał, powiadali, że tam nadzwyczaj sprytnie grał rolę zupełnie odmienną i silnie napiętnowaną konserwatyzmem, ale co komu innemu za złyby poczytano, jemu uchodziło jako doskonałemu filutowi, który w pole umiał wyprowadzać możnych...

Nadzwyczajna ciekawość cechowała pana Henryka. Jakby zadaniem jego życia było wszystko wiedzieć, podsłuchać, znać każdego, wsunąć się wszędzie, nie opuszczał żadnej zżęczności robienia nowych znajomości i inicjowania się w nowe stosunki. Dosyć powiedzieć, że był w przyjaźni z Wasiljewem, a wszędzie, gdzie mieszkał, z każdym z gospodarzy w najpoufalszej zażyłości.

Nie było rzeczy, którejby sobie opowiadać nie kazał, choćby na-

pozór najmniejszej nie miała wagi, zaciekawiała go lada drobnostka.

Pamięć też miał nadzwyczajną, a choć nazwiska źle wymawiał, dość mu było raz widzieć człowieka i dowiedzieć się coś o nim, aby go sobie przypomnieć.

Powiedzieliśmy, że pan Henryk wchodził z młodym Tardziakiem bardzo ładnym chłopaczkim, z którym był w szczególnej zażyłości, gdy właśnie imię Zoni wymawiano.

Widywał on ją zdaleka i był jednym z najzapaleńszych czciocieli jej wdzięków i charakteru niepodległego; docisnąć się jednak do niej dotąd nie zdołał.

Nie nazywał jej nigdy inaczej, jak „la belle Titania!”

— No cóż o pięknej Tytanii nowego? — zawołał zaraz.

— Nowego nic, stare żale nad tem, że dla nas jest jak stracona — rzekł ktoś.

— A! a cóż się z nią stało? — zapytał milezący dotąd Euzebiusz.

— Siedzi zamknięta od kilku miesięcy, prawie jej nie widać — począł jeden z tęsknych wielbicieli. — Zmieniła się bardzo, a temu wszystkiemu winien ten Ewaryst.

— Co? Ewaryst? — zapytał Komnacki. — Chyba jako krewny namówił ją do zmiany życia.

Zaczęto się śmiać i ramionami ruszać.

— Cóż, nie wiesz, że się szalenie w sobie kochają, że po całych dniach są z sobą, chodzą, jeżdżą razem, zdaje się, że nawet w jednym domu mieszkają, on na dole, ona na górze, kto tam z nich kogo opanował, powiedzieć trudno, ale z charakteru Zoni wnosząc, ona kuzynka musiała wziąć za głowę...

— Ewaryst! — zawołał Euzebiusz — ale to niepodobieństwo, prawda, że nam znikł nagle z oczów, że nie bywa nigdzie, lecz byłem pewny, że się gotuje do egzaminów.

— Ani o nich myśli! — przerwano.

— On! tak poważny! tak surowy, nie! — zawołał Komnacki — to coś innego być musi, wy go nie rozumiecie, ja go znam.

Śmieli się otaczający.

— Cóż? przyszła kréska na Matyska — rzekł jeden. — Ludzie tego temperamentu, co on, nie szaleją łatwo, ale raz puściwszy się dyabelskiego tańca, gotowi do zdechu...

— Widzieliście Ewarysta, jak wygląda — rzekł Zdryan — to szkielec, tak wynędzniał, ale ja, panowie moi, nie dziwuję mu się, bo Zonia, w której do dziś dnia jestem rozkochany, rozbroiłaby ascetę... To szatan czy anioł, nie wiem, a pewno niepospolita istota z gliny nie naszej ulepiąca.

— Ma słusznosc! słowo honoru! ma zupełną słusznosc — dodał gorąco pan Henryk — ja ją wielbiłem zdaleka, bo teraz się do niej zbliżyć niepodobna, ale oświadczam, że takiego oroku, takiego wzroku, takiego coś ponętnego, porywającego jak ona ma, w całym świecie nie widziałem; mogę się pochwalić, że co do kobiet najrozleglejsze studia czyniłem nad niemi, niemal po całym świecie, ale ani nasze arzezyenki, ani rzymskie transteweranki trzynastoletnie, ani gruzinki, ani jasno-włose córki Albionu... każda w swoim rodzaju piękna, z nią się mierzyć nie mogą!.. To coś idealnego!..

— Idealnego — zawołał jeden ze starych wielbicieli — chociaż ona wcale na anioła nie pozuje, ale na zucha, którego szorstkość czasem grozą przejmuje!.. Ba! — dodał — to wszystko nic jeszcze, widzieć ją zdala, fraszka, słyszeć ją i widzieć razem, gdy ją szlachetny zapal ogarnia, gdy oczy się jej zaśkrzą, gdy stanie jak Juno zbrojna, straszna, niezwykczona, padać trzeba na kolana.

— Saperlotte! — przerwał Francuz — duzo-by można dać, aby się mózż choć zbliżyć do niej.

— E!.. dawniej nie było nic łatwiejszego — rzekł Zoryan kwaśno — teraz niewiadomo, co się jej stało!..

— Jak to, niewiadomo? Zakochała się w Ewaryście, on w niej i nie dałbym złamanego szeląga, że się pobiorą.

— A naówczas — wtrącił szydersko pan d'Estompelles — znajomość będzie łatwa!..

— Zaczęto się uśmiechać.

— Zeby się miał z nią ożenić, to wątpię — zaprzeczył jeden.

— Dlaczego? — spytał Zoryan — ona poprowadzić może człowieka, gdzie zechce, czy do ołtarza i ślubu, czy do rzeki i na śmierć!..

— I ja wątpię, ażeby się Ewaryst mógł z nią ożenić — rzekł Euzebiusz. — Znam rodzinę, matka-by się sprzeciwiła... Cała przeszłość téj biednej Zoni...

— W téj przeszłości niema znowu nic takiego... — stanął w obronie któryś.

Zaczęto się sprzeczać, za i przeciw, niektórzy uniewinniali, ubolewali drudzy, Francuz ze złożonemi rękoma objawiał życzenie, aby za mąż poszła coprędzej i męża sprzykrzyła.

— Co jest nieuchronném w kobiecie tego charakteru — dodał — bo słyszałem, że człowiek, którego wybrała, ma być zimny, *terre à terre*, pospolity!..

— Bardzo przepraszam — przerwał Euzebiusz — człowiek to i z charakterem i ze zdolnościami i z nauką, nietylko niepospolity, lecz jeden z najgodniejszych poszanowania, jakich mi się spotkać w życiu trafiło, ale zarazem skromny i umiarkowany.

Francuz się skrzywił.

— Jest to cnota *negative* — dodał — ja ją mało cenię, gdy z garnka nie kipi i nie pryska, mało w garnku...

— A garnek, z którego kipi i tryska, najczęściej — rzekł Komnacki — wyszumi pianą pustą, co miał w sobie, na ziemię!..

To mówiąc wstał, wziął za kapelusz i pokłoniwszy się, wyszedł.

— Pedant zarozumiały! — rzucił ktoś za nim.

— Ci, co się tak zapinają mocno — rzekł Francuz — najczęściej albo bieliznę mają brudną, lub żadnej!..

Rozmowa przeszła zaraz na fraszki.

Komnacki, który szczerze kochał Ewarysta, zmartwił się wiadomością o nim. Nie mogła ona zupełnie być zmyśloną, lecz pocieszał się tē, że przesadzoną być musiała. Bądź-co-bądź postanowił pójść do niego, mówić z nim otwarcie i przekonać się, jak rzeczy stały.

W dawném mieszkaniu chorążycy dowiedział się tylko, że je opuścił i wyniósł się do domu, który mu wskazano. Poszedł tam natychmiast.

Nie zastał go w domu. Naiwny sługa powiedział mu:

— Pan na górze.

— Prędko wróci?

— Nie wiem, proszę pana, bo... bo on tam ciągle prawie siedzi. Jeżeli interes jaki jest, mogę prosić.

Po namyśle Euzebiusz, zgodził się na to, prawie w tējże chwili zszedł Ewaryst.

Przyjacieli znalazł go zmienionym tak, że ledwie potrafił ukryć swe zdumienie. Twarz miał schudzoną i wyśótkłą, oczy zapadłe i czarno obwiedzione, znużenie jakieś malowało się na całym obliczu, niepokój w wejrzeniu, smutek na czole. Zestarzenie zawczesne chorobliwe tak uderzało, iż witając go nie mógł się wstrzymać od zapytania:

— Nie jesteś chory?..

— Chory nie jestem — odparł chorążyc — lecz i zdrów bardzo się nie czuję!..

— Jesteś zmieniony trochę?..

— Sam to widzę! — westchnął Ewaryst.

— Możesz się zamęczyć przygotowaniem do egzaminów? — pytał Komnacki.

Uśmiechnął się gorzko Ewaryst.

— Gdzie tam! — rzekł cicho — wcalem o nich nie myślał, nie wiem, co będzie z niemi.

Spojrzeli na siebie.

— Spodziewam się — odezwał się Euzebiusz — iż wierzysz w przyjaźń moję dla siebie. Nie bierz mi za złe, że w imię jej rzucę niedyskretne pytanie. Co się z tobą dzieje? Chodzą wieści dziwne, tak dziwne, że ja im wierzyć nie chcę. Strwożony tu przyszedłem.

— Cóż mówią? co? — zapytał niespokojnie chorążyc.

— Nie będę tań — ciągnął dalej Euzebiusz — powiadają, że wpadłeś w sidła kobiety, która cię opanowała. Zналиśmy ją potrosze wszyscy, jako gwałtownego charakteru, dziwaczną, niepomiarowaną. Nie chce mi się wierzyć, abyś ty mógł sympatyzować z istotą tak różną od ciebie, nad której dziwactwami sam przede mną niedawno ubolewałeś.

Komnacki skończył; chorążyc długo siedział namyślając się nad odpowiedzią.

— To, co się stało ze mną, dla mnie samego jest czémś niepojętém — rzekł Ewaryst. — Przyznam ci się najprzód, że mi się w niej zakochał namiętnie na pierwsze wejście. Przyczyna dla mnie ukryta, namiętności nigdy racjonalnie niepodobna wytłómaczyć. Walczyłem z sobą, zwyciężyłem się, a naostatku gdy w chwili, nie wiem, jak ją oznaczyć, liłości czy obudzonej sympatii, zbliżyła się sama do mnie, zapragnęła mnie zaprzędz w niewolę, poddałem się... Dziś — związany jestem, nie władam sobą.

— Lecz z twarzy twój, ze słów nawet twoich widzę, że nie jesteś szczęśliwy.

Ewaryst zamilkł znacząco.

— Są chwile upojenia niebiańskie i straszne godziny zgryzoty — odezwał się pomilczawszy — Zonia jest naprzemiany anielską istotą i czémś zdziwiałem strasznie. Szczęście z nią staje się męczarnią. Z tych niebios biją nieustannie pioruny...

— Cóż więc dalej? — zapytał Euzebiusz.

— Albo myślisz, że ja wiem? — odparł chorążyc. — Jestem w położeniu najokropniejszém. Matka nakazuje mi, błaga o powrót, ja ani ją porzucić nie mam siły, ani tam zawieść. Na to ona sama zgodzić się nie chce... Z dnia na dzień, bez obmyślanego jutra żyję gorączkowo...

— A ona?... — zapytał Komnacki.

Chorążyc spuścił oczy.

— Któż tę istotę zrozumie?... — rzekł — żyje tak, jakby jutra nie miała, nie wierzyła w nie i całe chciała pochłonać jedném technicnem. Ten stan, w jakim ja i ona znajdujemy się, nie może się określić chyba gorączką...

— A wszystkie gorączki zabijają — dodał Komnacki.

— I najczęściiej są nieuleczone... — zakończył Ewaryst.
Milczeli oba. Chorążyc nie śmiał na przyjaciela oczów podnieść...

— Lekarstwa jednak szukać potrzeba — wtrącił Euzebiusz.

Smutną rezygnacyję, jakby przyjętą pokutę za grzechy, widać było w rysach zmęczonych Ewarysta, obudzał litość tęp poddaniem się losowi, przeciw któremu uznawał się bezsilnym. Komnacki czuł się w obowiązku odwołać się w tęp sprawie do rozumu.

— Nie będę ci czynił wymówek, żeś upadł — rzekł — bo nie wiem, czyby kto na twém miejscu był silniejszym, lecz szal przemija, trzeba się otrząsnąć.

— Mylisz się, szal nie przemija, ale rośnie — odpowiedział Ewaryst — a gdybym nawet ochłonał, sprawa sumienia cofać się nie dozwala. Ona mnie kocha, zawierzyła mi, nie myślała o swęj przyszłości, cięży ona cała na mnie. Nie mam wyjścia.

— Więc się ożenisz? — spytał przyjaciel.

— Dla matki tego teraz uczynić nie mogę — odezwał się Ewaryst — lecz jestem gotów!

Euzebiusz uderzył w ręce zrozpaczony.

— Jakąż rękojmia przyszłości? — zawołał.

Właśnie to mówił, gdy coś zaszeleściło w przedpokoju, i zaledwie czas miał wstrzymać się, Zonia weszła krokiem powolnym.

Jak Ewarysta tak ją zmienioną wielce znajdował Komnacki, ale tu metamorfoza była inną. Dzikie stworzenie, zaniedbane, przybierające charakter męski, teraz stało się więcej kobietą. Zonia była nierównie piękniejszą i starała się być wdzięczną; strój jęj był smakowny, a nawet wyszukany i malowniczy, choć jaskrawy i dziwaczny.

Życie w pełni biło z jęj wejrzenia, uśmiechało się na ustach, można było pomyśleć, że cała siła, którą Ewaryst uronił, do nięj przeszła i zwiększyła jeszcze już i tak energiczny charakter. Wchodziła tu pewna siebie, jak pani, bez najmniejszego zakłopotania, spokojna, dumna, z półuśmiechem szyderskim nieco, lecz wesołym razem.

— Nie przerywam? — zapytała stając w progu.

Komnacki skłonił się zimno.

— Pan dawno nie byleś u nas — dodała — tak... u nas, bo zapewne wiesz, że ja i Ewaryst stanowimy parę szczęśliwą. Dlatego tak żyjemy samotni. Ja przynajmniej najmniejszej nie mam ochoty wyjść z tego życia we dwoje... Mnie w nięm bardzo dobrze. Dla Ewarysta może życzyłabym czasem towarzystwa, dla siebie nie potrzebuję go.

Komnacki nie odpowiadając, przypatrywał się bacznie pięknej

Zoni. Dla niego była to istota nowa, wyszlachetniona, złagodniała nawet, choć zawsze jeszcze na kobietę uchwałała do zbytku.

Trochę nachmurzona twarz Ewarysta kazała się domyślać Zoni, że mógł być wzięty przez przyjaciela na konfesatę. Skrzywiła się i przystępując do chorążycza ręką pociągnęła po jego czoło.

— Precz z temi zmarszczkami! — zawołała. — O czém-że tak smutném mówiliście panowie?

Oba zapytani milczeli.

— Mogłabym się domyślić — dodała szydersko. — Przyjaciel nie mógł przenieść na sobie, by nie dać poznać Ewarystowi, że sobie okrutny kamień przywiązał do szyi.

Ruszyła ramionami.

— Przyjaciel ma słuszość — mówiła dalej — ale niech powie on, czy nie byliśmy, czy nie jesteśmy szczęśliwi. Błysk szczęścia wart coś przecie. Ja, co nie ufam jakoś nieśmiertelności, żywotom z aniołami, znajduję, że choć raz się upić, tu — godzi i trzeba...

Zarzuciła, mówiąc to, ręce na szyję chorążycowi, który je namiętnie całować zaczął...

Scena ta niespodziewana tak zmieszała Komnackiego, że ledwie się nie porwał uciekać. Było w niej coś tak namiętnego, że świadek zdawał się nie w miejscu. Zonia nie czuła tego wcale.

— Nie psuj pan nam naszych dni jasnych — odezwała się do stojącego, osłupiałego Euzebiusza. — Skończą się one aż nadto prędko, bo wszystko się kończy. Przyznam się panu, że najśliczniejszym końcem byłoby dla mnie teraz umrzeć, nierozczarowanej i szczęśliwej, ale los nie bywa tak litościwym, jest mściwy i zły...

Z podniesioną głową przeszła się zadumana po pokoiku, popatrzała na obu przyjaciół, zbliżyła do Ewarysta, któremu coś na ucho szepnęła i wyszła, lekko skłoniwszy głowę Komnackiemu.

Upłynęło dużo czasu, nim usta otworzyć mogli.

— Muszę cię pożegnać — odezwał się Euzebiusz, ściskając z czułością przyjaciela. — Byłem tu niepotrzebnym, czuję to, przyniosłem z sobą zaniepokojenie, przepraszam cię...

Chorążyc usiłował go wstrzymać jeszcze, Komnacki wyrwał się widząc, że nateraz słowa byłyby próżne...

Po wyjściu jego siedział chorążyc w krześle długo zadumany głęboko i, spojrzawszy na zegarek, poszedł zwolna na górę. Była godzina obiadowa.

Mieszkanie Zoni dawniejsze, bo zmieniać go nie chciała, odświeżone, strojne, ubrane we wszystko, co życie uprzyjemniać może i myśl rozerwać, prawie pańską miało fizyognomię, która z małemi oknami, z dawnym pozorem tych izdebek była w sprzeczności. Ewaryst starał się o to, aby jój szczęście otoczył blaskiem, wy-

ślać miękko, nadać mu poezję i wdzięk. Nie żałował nic, a że z domu nie chciał czerpać, bo się tań z tém, co się tu działo, bo kłamać musiał przed matką, robił więc dług.

Liche drzewiczki osłaniały portyery, firanki okrywały okna, podłogę brzydką zalegał dywan... Sprzęty były wytworne i bogate.

Wśród tego zbytku i sama jego pani już się z nim harmonizowała; a wszystko, co ją otaczało, podnosiło jęj wdzięk oryginalny, drażniący, upajający.

Zobaczywszy w progu Ewarysta, Zonia rzuciła książkę, którą trzymała w ręku.

— Miałeś gościa, nad którego wolałabym każdego innego. Komnaeki czyni mi wrażenie rozumnej ryby... Krew musi mieć zimną jak one.

— To bardzo dobry i bardzo do mnie przywiązany człowiek — rzekł chorążyc.

— Alboż i ryby nie są dobre?... — odezwała się Zonia szydersko. — Trochę słabości, trochę czegoś ludzkiego, daje wdzięk i smak człowiekowi; dla tego ja mogłam oszaleć za tobą, bo w rozumnym i świętym był grzesznik pokorny...

Przyszła i znowu go objęła rękami.

— Ty bo dziś jesteś chmurą... a temu winien Komnaeki. Do szczęścia nigdy nie trzeba ludzi przypuszczać, dosyć, aby na nie spojrzeli, wzrokiem je zwarzą... Dawać do stołu! — zawołała ku drzwiom. — Po obiedzie sanki i w świat! Pamiętasz ten krótki przejazd nasz, tego dnia, gdy cię porwała, gdyśmy przytuleni do siebie, milczący, rozmarzeni lecieli jakby w obłoki! a! to była chwila, którą ja... w chwili skonań przypomnę.. Zapłaciła mi za życie całe. Czulam serca twego bicie, wiedziałam, żeś moi m...

Chorążycowi zajaśniały oczy i twarz się rozśmiała.

— A! to była chwila, na której nazwanie w języku niema słowa... — dodał.

Siadali do stołu. Zonia nalala wina sobie i jemu, i wychyliła chciwie kieliszek, rzuciła się równie łapczywie do jedzenia i zmuszała Ewarysta, aby ją naśladował. Pił wprawdzie i ożywił się nieco, lecz jeść nie mógł. Cała burza rozbudzonych myśli czarnych wyla mu się po głowie zawieruchą żalobną; jakieś złowrogie przepowiednie puszczykami mu hukaly...

Siebie byłby chętnie dał na ofiarę zemście losu, który nie cierpi szczęść kradzionych, ale ją! Drżał o tę istotę nieopatrzną, upojoną, która nie widziała przed sobą przepaści.

W Zamiłowie ciągle na chorażycza oczekiwano; matka go tłómaczyła, nie śmiała przynaglać do powrotu.

— Byłoby to egoizmem — mówiła — niech siedzi, póki wszystkiego nie skończy, ażeby już tam nie wracał.

Była spokojną, modliła się tylko na intencją jego, aby mu bez zbyteńnego wysiłku poszło wszystko szczęśliwie. List każdy stanowił tu teraz epokę, liczone czas na listy Ewarysta, oczekiwano na nie z niecierpliwością, posyłano ciągle na pocztę, a w odebranych wyczytywano więcej, niż w nich było.

Chorażyc tłómaczył się niezręcznie i każde inne niż matki oko znalazłoby w tych pismach zawikłanych łatwą do podejrzeń podobkę.

Madzia nie będąc wcale podejrzliwą, jakimś instynktem niepokoiła się o Ewarysta. Być bardzo mogło, że jak odgadywała, Zonia kochała się w nim potajemnie, coś jej szeptało przecuciem smutku czegoś złego...

Wiedziała, że się kochał w Zoni, bo ona jój to śmiejąc się z niego opowiadała, lecz teraz, po tém wszystkiém, co z nią zaszło, mógł-że on ją kochać jeszcze, albo ona zbliżyć się do niego?

Było to niepodobieństwem.

Coś go tam jednak trzymało, a w listach czuć było, jakby żal i srom jakiś, zdradzający się mimo woli.

Nie byłaby Madzia nigdy potrafiła nic złego na Ewarysta pomysłéć, bo w nim widziała ideał; tymczasem smutne ją czekało rozczarowanie.

W czasie pobytu w Kijowie, skazana na długie samotności godziny pani Trawcewiczowa de domo Makowska, wpadła na myśl dowiadywania się o stryjecznego brata jakiegoś, o którym słuchy chodziły, iż miał być urzędnikiem w Kijowie.

Chodząc i śledząc, po nici doszła do kłębka, znalazł się w istocie pan Krzysztof Makowski, w biurze sądu jakiegoś, nadzwyczaj lichą zajmujący posadę, stary, ubogi, brudny, sierota bez rodziny, dla którego kieliszek był jedyną konsolacją żywota.

Stryjeczni, którzy się nigdy nie znali i spotkać nie spodziewali, uradowali się sobie wzajemnie; pan Krzysztof, który o swych protoplastach zapomniiał, dowiedział się o nich z ust Trawcewiczowej, a ona tak była szczęśliwa, iż miała się przed kim wygadać, że staroego słuchającego cierpliwie pokochała serdecznie.

Ten tylko kto długo wszelkich związków bliższych był pozbawiony, pojmie, jak oboje starzy odżyli wspólnemi wspomnieniami.

Pan Krzysztof, chociaż miejsce miał na oko bardzo podrzędne i choć ubogo się nosił i wydawał, a na kieliszeczek nie żałował,

uciął był jednak trochę grosza, i po wyjeździe siostry, gdy nagle zachorował, rozporządził mieniem swém na jej korzyść.

Nigdy w świecie się nie podobnego nie spodziewała biedna wdowa i gdy nierychło, drogą urzędową doszło ją zawiadomienie, iż po ś. p. Krzysztofie synu Wojciecha Makowskim, kolleskim registratorze, ma deponowane w Opiece półtora tysięcy rubli i ruchomości, naprzód o mało nie omdlała, potem pojechała dać na mszę za duszę nieboszczyka, naostatek wpadła do Zamiłowa chwalić się swém szczęściem, opowiadając, że musi natychmiast jechać do Kijowa.

Gdy po kilkogodzinnej relacyi opuszczała z listami do Ewarysta dwór, Madzia wzięła ją na stronę i uściskawszy prosiła pod sekretem, aby się dowiedziała o Zonie.

— A jużżiż! a jakże! dowiem się dokumentnie, niech panienka będzie spokojna.

Odbieranie z Opieki pieniędzy, wyszukiwanie ruchomości, ich sprzedaż, nie były rzeczą tak łatwą, jak się Trawciewiczowa spodziewała. Formalności, chodzenia, podpisywania było bez końca.

Miała więc czas Trawciewiczowa szukać i Ewarysta i Zoni.

Tym sposobem mimo woli dowiedziała się o tém, że mieszkali w jednym domu, że byli ciągle razem, że, jak jej powiedziano, Zonia teraz opływała w dostatkach i stroiła się. Resztę odgadnąć nie było trudno, a ludzie tę parę pokazywali z uśmiechem palcami, opowiadając sobie jej dzieje.

Doszedłszy tajemnicy tej, Trawciewiczowa zachorowała.

— Jezusie Nazarański! — wołała — jak się jejmość nasza dowie o tém, umrze z desperacyi! Umrze, powiadam! Chorążyc, takie życie i ta krewna, i taka szalona... i tak bez Boga i wstydu! Jak ja tam powrócę! jak ja im w oczy spojrzę! Co powiem! Choć ty idź zaraz wskroś ziemi! Bodaj były oczy moje tych rubli nie oglądały, gdy na taką sodomę naszego panicza miały patrzeć.

Narzekaniom nie było końca. Ewaryst uląkł się języka ekonomowej i sam poszedł do niej, rumieniąc się ze wstydu, prosząc upokorzony, aby matki nie martwiła i nie mówiła nic.

Przyrzekła to skłopotana stara. Trzeba było powracać nareszcie, ale zamiast wprost do Zamiłowa, ekonomowa pojechała do folwarku, w którym przebywała, stamtąd odesłała listy, kazała powiedzieć, że chora. Obawiała się zdradzić czémś, bodaj łzami.

Nazajutrz po powrocie, Madzia siadłszy na wózek prosty, kazała się zawieźć do niej.

Przed nią tajemnicy żadnej nie mogła, ani chciała robić Trawciewiczowa, zresztą świerzbiał ją tak język, że utrzymać go nie było sposobu.

— Panienko moja złota — krzyknęła łamiąc ręce — z czém ja przyjechałam, com przywiozła, to wolałabym tego Kijowa nigdy nie oglądać...

Madzia przelekła się i pierwsze słowo jój było:

— Chorążyc!

— A tak! tak! Chorążyc! — zawołała ekonomowa. — O Chryste Panie!

— Chory?

— A! panienko moja! lepsza-by choroba była. — I strzeliła jak z procy. — Co tu taić, żyje z twoją siostrą, jak mąż z żoną, bez ślubu, bez wstydu... całe miasto na to patrzy.

Ledwie słów tych dokończyła, gdy trzeba było Madzię ratować, bo padła bez zmysłów.

Co się z biednym, wstydliwym, kochającym dziewczęciem działo, gdy otworzywszy oczy przypomniała tę straszną wieść, co jój serce przebiła, opisać niepodobna. Trawcewiczowa żałowała teraz, że jój powiedziała wszystko, a Madzia nie pojmowała, jak się pokaże chorążynie, nie zdradzając swój boleści i wstydu.

Zatrzymała się do nocy, a wróciwszy, musiała udać ból głowy, aby pójść się wyplakać do łóżka. Chorążyna wprawdzie domyślała się, że nie najlepsze pewnie wiadomości o Zoni musiały być przyczyną choroby, lecz wołała o to nie badać.

Nazajutrz Madzia z wypieczonemi rumieńcami chodziła, snuła się raczej z gorączką w głowie i piersi. Myślała co począć, chcąc koniecznie jeśli nie Zonię, którą uważała za zgubioną, to Ewarysta ratować. Miłość jój dla siostry zmieniła się w oburzenie, wstręt, gniew prawie.

Zrzuciła jój ideał czysty z podstawy jego posagowej i potłukła nielitościwie. Tego jój przebaczyć nie mogła. Za dobrodziejstwa, które doświadczała od chorąstwa, za ich serce, wypłacić się taką niewdzięcznością! Madzia była w rozpacz. Nawykła do cichej swój roli posłusznego dziecięcia, które nie śmiało stąpić kroku, kierując się wolą własną, obawiała się sama siebie, nie była pewną, czy godziwem będzie to, co pomyśli...

Brakło jej odwagi i doświadczenia, choć czuła obowiązek. Zazdrościła zuchwalstwa siostrze, z którego ona tak zły robiła użytek.

Inne uczucia mieszały się z temi i wprawiały ją w stan niezwyčajny, który oka chorążyny ujęć nie mógł, bo Madzia nie umiała udawać i kłamać.

Na kilka jój zapytań: Co ci jest? Jesteś jakaś nie swoja? — odparła rumieniąc się, pomieszana składając bólem głowy. Chorążyna poprzestała na tém.

Tymczasem dni i noce marzyła co ma zrobić. Byłaby natych-

miast polecała sama, aby wyrwać chorążycę, zawstydzić i do opamiętania przywieść siostrę; podróż była niepodobieństwem. Chcąc ją przedsiębrać, trzeba się było choć w części wypowiadać przed chorążyną, zaniepokoić ją, a ona i tak już miała dosyć w życiu do zniesienia.

Z przeróżnych tych myśli, pozostała w końcu jedna, uparta, aby się poradzić poczciwego księdza Zatoki, przyjaciela domu.

Zwierzenie się przed nim, jako przed duchownym, nie pociągało za sobą żadnego niebezpieczeństwa; zresztą był on tak przywiązanym do domu Dorohubów, tak zacnym a prostodusznym człowiekiem, że na złe go użyć nie mógł.

Ponieważ przyjeżdżał teraz rzadziej, a czasu miał niewiele, Madzia musiała sobie skomponować jakieś nabożeństwo, aby pojechać do niego.

Nie było w tém nic nadzwyczajnego, i staruszka podejrzenia mieć żadnego nie mogła.

Do dnia wybrała się Madzia z Zamiłowa, aby trafić na mszę ranną, a po niej z kościółka poszła do plebanii.

Ksiądz Zatoka siadał właśnie do kawy, gdy Madzia weszła do niego. Domyślił się, że ją coś musiało niezwykłego sprowadzić.

— Mój ojcze — odezwiała się, całując go w rękę — przebac mi, że ci zatruję twoję ranną godzinę, przybyłam prosić o radę.

— Siadajże i śmiało — rzekł wesoło ksiądz Zatoka, wcale się nie spodziewając nic tak bardzo ważnego.

Madzia od łez zaczęła; ksiądz jeszcze i z łez łatwych u kobiet nie wnioskował nic wielkiego.

— Słyszałeś, ojcze, o siostrze mojej? — odezwiała się nareszcie ośmielając.

Do księdza Zatoki doszło coś było o płochości panienci, ale nie wiedział szczegółów.

— Zonia — dodała Madzia — wychowała się w domu, gdzie jej religijnego pokarmu brakło, rzucona była przez sieroctwo swe w świat bez opieki, zbłąkała się biedna... nie potępiam jej, choć może inni jej nie przebaczą. Będąc w Kijowie patrzałam sama na jej postępowanie, odbolełam wiele, poradzić nic nie mogłam.

Madzia zarumieniła się, spuszczać oczy, nie śmiała wypowiedzieć wszystkiego.

— Teraz — dodała prędko — mam wiadomość pewną, że chorążyc, który się nią dawniej zajmował, gdy ona owdowiała...

— Alboż za mąż wyszła? — zapytał ksiądz.

Placz na to odpowiedział, ksiądz Zatoka zaczynał się niepokoić żywo.

— Cóż chorążyc? co? zbałamuciła go? — przerwał gorąco.

— A! ojcze! ja nie mogę powiedzieć! — krzyknęła zanosząc się Madzia — żyją z sobą bez ślubu, razem, w jednym domu...

Zakryła oczy, ksiądz Zatoka z całych sił uderzył w swe szerokie ręce...

— Jezu miłosierny! — zawołał — on, chorążyc! A cóż to będzie, gdy się staruszka dowie, ona!..

Pochwycił się za głowę.

— Może to plotki — przerwał — to do niego niepodobne. Staczejniejszego młodzieńca nie spotkałem w życiu!

— Wiadomość tę przywiozła Trawcewiczowa — odparła Madzia — niech jegomość dobrodziej wypyta się ją, jeśli chce. Mnie to mało nie zabiło. Ona jest moją siostrą! to syn naszych dobrodziejów!

Znowu płacz mowę przerwał.

— Im dłużej to tak pozostanie — mówiła z za łez — tém gorzej, trzeba to zerwać, nim się chorążyna dowie, nim...

Ale dokończyć nie mogła.

Ksiądz kawę swą porzuciwszy, krokiem ogromnym biegał poruszony po izdebce, coraz to ręce załamując.

I on, choć starszy, doświadczony, w tej pierwszej chwili nie widział takiego ratunku, któryby chorążynie mógł oszczędzić boleści i obejmę się bez jej udziału w tej sprawie.

Świeżo znękana śmiercią męża, osłabła na zdrowiu, mogła biedna staruszka paść ofiarą tego ciosu, który zawisł nad nią. Znając ją, wiedział ksiądz Zatoka, że nawet śmierć jedynego syna możeby ją tak nie przygniotła, jak jawny i tak wielki upadek.

Potrzeba było chorążynę oszczędzić, ale cóż począć bez niej, w imię jakiego prawa? Człowiek, który uniesiony namiętnością nie zważał ani na srom, ani na swe obowiązki, mógłże być posłusznym głosowi obcego człowieka, radzie i prośbie przyjaciela?...

Po smutnej namysłu chwili, ksiądz Zatoka zwrócił się do płaczącej Madzi.

— Dobrześ zrobiła — rzekł — zawiadamiając mnie o tém. Może być, że jakaś rada się znajdzie, ale w tej chwili, muszę się przyznać, że wobec tego wielkiego nieszczęścia i ja tracę głowę. Wezwę Boga na pomoc, azali mi nie ześle natchnienia.

— Jakkolwiek to nad siły moje — odezwała się Madzia — choćbym się ze wstydu i bólu spalić miała, pojechałabym ratować syna moich dobrodziejów, ale jakże wyjechać?

— I na coby się to zdało?... — przerwał ksiądz. — Siostry-byś nie nawróciła, a chorążycia nie wybawiła. Ale chorążyc! on! to mi się w głowie nie mieści!

Po krótkim namyśle, dodał proboszcz:

— Pojechałbym ja, ba! a co tam począć? Przede mną się nie przyzna, zbędzie lada słowem.

— Przecież to jawne i tak jawne, że całe miasto patrzy na to! — odezwała się Madzia. — Nie kryją się wcale.

— A dawnoż się to stało? — zapytał duchowny.

— Nie wiem — westchnęło dziewczę.

Na tém się skończyła zupełnie bezowocna narada, która księdzka tylko, jako przyjaciela chorążynę, wzburzyła i zgryzła. Odprawiwszy o ile mógł uspokojoną Madzię, ksiądz Zatoka rozbierając to, co mu powiedziała, wpadł na myśl, że wszystko plotką chyba być musiało. Dla przekonania się, pojechał tegoż dnia do Trawcewiczowój.

W ganku swojego dworku zobaczywszy gościa niebywałego stojąca ekonomowa, odgadła zaraz, co go sprowadzało.

— Już mu panienska powiedziała! — szepnęła sobie.

Proboszcz niedługo czekając, zawołał:

— Cóżes to jéjmość za plotkę przywiozła?

Obrazil tém niezmiernie de domo Makowską.

— Daj Panie Boże, aby to plotka była — odezwała się prostując dumnie — tylko że, na nieszczęście, święta prawda, a ja nawet téj niewinnéj duszyczce wszystkiego tak nie opowiadałam, jak mnie tam ludzie. Na co zresztą było słuchać, dosyć patrzeć. Na dole w kamienicy stoi chorążyc, a ona na górze; a no, jako żywo, całe dni u niéj siedzi, zamknięci we dwoje romansują. Jedzą razem, jeżdżą na spacer, ani dbają o ludzi. Już to prawda, że siostra panny naszéj do niéj nie niepodobna, bo to kozak czysty, a nieczego się nie wstydzi. Żyła najprzód z tym, do którego była strzeliła raz, ten miał się z nią żenić, tymczasem i dziecko umarło i on. Wychudła była, wymizerniała, strach, a teraz, krew z mlekiem, jak lania, i co dawniej chodziła w przydeptanych trzewikach, stała się elegantką, stroi się aż strach. Chorążyc na nią tysiącami słyszę ekspensuje i w długach po uszy...

— Otóż — odezwał się ksiądz, wysłuchawszy opowiadania Trawcewiczowój — otóż prawdziwa kara boża i plaga na dom ten pocziwy i święty. Dowie się, uchowaj Boże, chorążyna, to ją ubije. Cóż on myśli, żenić się, czy co?

— Albo ja wiem — odparła ekonomowa. — Jak się dowiedział, że ja jestem w Kijowie, a oczy przecie mam, przyszedł sam do mnie prosić, abym go nie wydała przed jéjmością.

— Nie wstydzil się! — krzyknął proboszcz.

— A, no, jużciż musiał wstydu zbyć w to błoto lézając... — dokończyła ekonomowa. — Cóż, jegomość powie jeszcze, że ja plotki wożę?... Dałam słowo, że chorążynie nie powiem, bo i bez tego-bym

nie zrobiła takiego skandalu, ale Madzi nie mogłam ukryć. Toć siostra rodzona!

— Miecz-że, moja pani Trawcewiczowa, i dalej wiadomości tej nie puszczej, może się nam uda wprzód zaradzić na to, niż się matka dowie.

— A komuż ja mam gadać? kurczętom moim! — odparła ekonomowa. — Cóż-to kto u mnie bywa? Niech jegomość pilnuje tylko, aby kto inny nie przywiózł wiadomości, bo z sąsiedztwa znajomi raz-wraz jeżdżą do Kijowa, a żeby chcieli-nie-chcieli, to się dowiedzą. W mieście o tём bębnią.

Gdy w Zamiłowie ochraniano tak nieszczęśliwą matkę, aby do niej smutna nie doszła wiadomość, Ewaryst tóż drżał myśląc nad tём, co będzie, gdy się ona dowie. Czule przywiązany do niej, wiedział, co uciერი, rad był tóż dla niej osłonić tajemnicą swój stosunek z Zonią, ale ona była despotyczną.

Zdawała się z niego szukać chluby, umyślnie się z nim popisywać i, naprzekór chorążycowi, czynić go jak najjaśniejszym.

Życie to we dwoje, w początku wystarczające jój, zaczynało, nawykłój do liczniejszego towarzystwa, przykrzyć się coraz bardziej.

— Jedyńy sposób obraliśmy — mówiła do Ewarysta — aby się wzajemnie jak najprędzej zbrzydzić i naprzykrzyć sobie. Siedzimy oko w oko, licząc plamy i przejadając tę naszą miłość, aby się co rychłój nią przesyć.

— Masz-że jój już za wiele?

— O! nie! nigdy, nigdy! — odpowiedziała Zonia — lecz ty, niewinny baranku, ochłodłszy dostaniesz zgryzot sumienia... Życie potrzeba urozmaicać jak jedzenie.

Powtarzała to ciągle, wreszcie raz dodała:

— Niepodobna długo wytrwać w takiej samotności; ja potrzebuję ludzi.

— Ale w naszём położeniu — odparł Ewaryst — kogóż mamy zapraszać, kto zechce bywać?

— Jakto? w naszём położeniu?... — oburzyła się Zonia. — Nie może być piękniejsze i szlachetniejsze nad nasze; kochamy się, nie zważając na świat i ludzi, wbrew wszystkim legalnym przeszkodom, odważnie... nie mamy się czego wstydzic... Niech patrzają i owszem...

Nadeszła wiosna. Zonia w domu usiedzieć nie chciała, nie mogła, a idąc na przechadzkę, ciągnęła z sobą Ewarysta. Trafiło się, że spotykali dawnych znajomych Zoni, która ich witała i zaczepiała i ledwie chorążyc zdołał ją wstrzymać od dłuższój z nimi rozmowy, od pociągnięcia ich za sobą przez nią.

Chwile wielkich rozczuleń i zapałów przeplatały teraz często spory i wywoływane jakby naumyślnie sprzeczki, z których chorążyc zawsze wychodził pobity.

Nie umiejąc się jój opierać, napół z rozpacz, pół z rezygnacyi przystawał, na co chciała. Jednego bardzo pięknego dnia majowego, zażądała Zonia jechać za Dniepr do jakiegoś lasku, który służył za cel dalszym wycieczkom. Obiad został przyśpieszony, konie zamówione i natychmiast po nim, znużona już samotnością z Ewarystem, Zonia kazała jechać nie bez myśli, że po drodze trafią się może znajomi.

Miała już najmocniejsze postanowienie wciągnięcia kilku przynajmniej do siebie i zmuszenia chorążyc, aby się nie sromali i nie krył ze szczęściem, z którym ona się trochę popisać chciała.

Miłość jój była już w tój drugiej epoce rozwoju, gdy sama sobie nie starczy i potrzebuje pokazać się ludziom.

Rachuba Zoni nie zawiodła jój, i w lasku, w którym wysiedli, zostali szumną męską majówką na trawie z butelkami i koszykami. Chorążyc nie dozwolił się zbliżyć do widocznie już bardzo podwesoconych panów, lecz kilku z nich, a między niemi i pan Henryk d'Estompelles, zobaczywszy tę, którą nazywali Tytanią, chwycili kieliszki i pobiegli naprzeciw wypić jój zdrowie.

Francuza nieraz już spotykała Zonia, zawsze zapatrzonogo w nią z wyrazem zachwytu, ścigającego ją oczyma gorącemi. Choć rozmiłowana w chorążycu, nie mogła być na to obojętną. Francuz niezmierną swą śmiałością wielce jój się podobał. Każde zuchwalstwo było jój sympatycznem.

O ile chorążyc toastem na cześć Zoni był oburzony i zmieszany, o tyle ona, może trochę na przekorę jemu, przyjęła go wesoło, wdzięcznie i, gdy drudzy panowie powrócili do swego kółka, wstrzymała Francuza rozmowę bardzo żywą.

Pan Henryk jakby wiedział w co grać, by łaski pięknej Tytanii pozyskać, uderzył zaraz w teorie społeczne najskrajniejsze, w krytykę stanu obecnego dowcipną, choć z komunałów złożoną.

Zonia pomagała mu do niej serdecznie, gorąco. Po długim osamotnieniu ten powrót do swojego żywiołu nabierał dla niej nowego smaku.

Nie pytając chorążyc, wobec niego, odezwała się do Francuza, podając mu rączkę, która teraz była zawsze starannie bardzo rękawiczką paryską okryta.

— Proszę pana, abys nas odwiedził; Ewaryście — dodała — połącz swoje prośby z mojemi...

Chorążyc ledwie słów kilka zamruczał, lecz te były dostateczne

dla pana Henryka, aby się czuł już upoważnionym do oddania wizyty.

W Ewaryście budził ten awanturnik i blagier wstręt niewypowiedziany. Zonia znajdowała go niezmiernie zabawnym, dowcipnym, czytany, a co u niej szło przedewszystkiē, śmiałych i gorących przekonań.

— Jesteś chyba zazdrośny — wołała śmiejąc się — bo niepodobna Francuzowi odmówić znakomitych darów umysłu. Z nim się czuje, jakby od cywilizowanego świata powietrze inne, zdrowe zawiało na zgnilizny nasze.

Pan d'Estompelles nie czekając dłużej zaraz nazajutrz przyszedł do Ewarysta i upomniał się, aby go zaprowadził do pani; nie można mu odmówić było. Zonia jakby się odwiedzin tych spodziewała, była bardzo starannie ubrana i przyjęła go z niezwykłą sobie kokieteryą.

Chorażyc stał trochę milczący na boku, gdy najgorętsza rozmowa zawiązała się między panem Henrykiem a Zonią. Zdawało się, że na ten występ Francuz cały swój zapas wiadomości, konceptów, teorematów i aforyzmów wyczerpał. Mówił z gorącością wielką, a dla dodania powagi swym słowom, nieustannie przywodził imiona i zdania swych znakomitych przyjaciół Anglików, Włochów i Francuzów.

Z niemi wszystkiemi, dawał do zrozumienia jasno, był we współności idei, byli to jego *intimes*, nazywał ich po imieniu, zdradzał się z najbliższemi stosunkami. Ludzi tych, których Zonia z zachwytem książki czytała, on był powiernikiem i bratem. Olsniewał ją tēm i gdy po nadto przedłużonej wizycie wyszedł, Zonia zawołała, że jest nim zachwycona.

Przykro to podziałało na Ewarysta, który nie ukrywał wzruszenia.

Zonia rzuciła mu się na szyję.

— A!... ty zazdrośniku — zawołała — nie obawiaj-że się, abym go pokochała... Wprawdzie doskonale rozumiem, że dwóch naraz kochać można, gdy przedstawiają dwa różne a pokrewne nam typy, ale on mnie tylko bawi, a ty... ja ciebie potrzebuję jak chleba i powietrza!..

Francuz raz otrzymawszy prawo bywania w tym domu, korzystał z niego z natrętnością, na której znaczeniu omylić się nie było podobna. Był zakochany, wybierał zřęcznie godziny, gdy Ewarysta nie było w domu, i zasiadał godzinami na górze. Można było posądzić nawet Zonię, że mu to ułatwiała pewnemi wskazówkami.

A jednak, kochała Ewarysta! była do niego namiętnie przywiązana... ale miłość Francuza pochlebiała jęj; Francuz z całym swym

dowcipem, zręcznością i błagą umysłowo był od niej niższym, gdy w Ewaryście, milczącym i posłusznym nawet, czuła opór jakiejś siły nie dającej się zwyciężyć.

Francuzem rzuciła jak piłką.

Każdą jej myśl najzuchwalszą, którą Ewaryst zbywał milczeniem, pan Henryk podnosił, wychwalał, rozjaśniał, zachwycał się nią. Chorążyc był kochankiem, ten czcicielem i bałwochwalcą.

Jednego dnia pan d'Estompelles zastawszy ją same, ośmielił się wreszcie do tego stopnia, że padłszy na kolana, wyznał jej najgorętszą miłość swoją.

Zonia porwała się z miejsca śmiejąc.

— Wstawaj pan! — zawołała — nie bądź śmiesznym... Ja Ewarysta kocham i nie zdradzę go, bobym miała wzgardę dla siebie. Jestem wolna, mogę sobą rozporządzić; gdybym go kochać przestała...

Tu zatrzymała się nieco, jakby jej przysłała myśl jakaś.

— Kochasz się pan? — spytała go zamyślona. — No, miejże cierpliwość czekać... Kto wie!.. ja pana lubię, może się złożyć tak okoliczności!..

Niezmiernie zdziwiony niespodzianym tym zwrotem, Francuz rozplynął się w wyrazach wdzięczności.

— Cicho!.. dosyć!.. siadaj pan — przerwała Zonia — do tego wypadku, o którym uczyniłam wzmiankę, może bardzo daleko, może nigdy się tak nie złoży... Ale, jeśli kochasz, dajże dowód czekając... kto wie?.. Czekać i kochać jest wielką rozkoszą!.. — dodała ironicznie — ja sama tego doświadczyłam na sobie, gdym się w Ewaryście zakochała...

Natychmiast piękna Tytania zwróciła rozmowę na inny przedmiot, wpadła na nowy ustrój społeczny, na reorganizacją małżeństwa i rodziny według zasad nowych i nie dała już Francuzowi mówić o miłości. Na pożegnanie pozwoliła mu ucałować swą rękę i uścisnąć.

— Zatem każesz mi pani czekać?.. dajesz nadzieję?.. — zawołał pan d'Estompelles.

— Zrozumiemy się!.. — dodała Zonia, patrząc mu w oczy. — Ja kocham szalenie Ewarysta, wątpię, bym w życiu drugi raz kochać mogła, ale może przyjsć chwila, chwila przesyty, fantazyi, naówczas...

D'Estompelles jako Francuz więcej w tém wyznaniu czytał, niż było napisano, trzymając się téj teoryi, że kobiety tylko przez pół to mówią, co czują, wyszedł więc uszczęśliwiony.

Gdy w godzin kilka chorążyc wrócił, Zonia mu się rzuciła na szyję.

— Wiesz! wiesz!.. — krzyknęła ze śmiechem. — D'Estompelles tu był i padłszy na kolana oświadczył mi miłość swoje.

Chorażyc się namarszczył strasznie.

— Powinnaś mu była drzwi pokazać! — zawołał.

— Wstydź-że się, dlaczego?.. kochać się wolno każdemu, bo to uczucie bezwiedne, przymusowe. Cóż on temu winien, że się we mnie kocha, albo ja, żem w tobie zakochana?.. Pośmiałam się z niego, ale nie myślę dlatego tracić gościa, który mnie bawi...

A postrzegłszy, że Ewaryst stoi nadąsany, dodała:

— Słuchaj ty!.. Powinieneś wiedzieć, że Zonia nie zdradzi nigdy, bo zdrada jest twórczym i podłością, a ja mam odwagę i cześć godności mojej. Tego dnia gdy kochać przestanę ciebie, a pokocham innego, powiem ci to głośno, tak, jak teraz mówię... Niech dają do stołu!

Całe sąsiedztwo Zamiłowa wiedziało już o przyczynie, dla której chorażyc przedłużał tak pobyt swój w Kijowie; jedna matka nie się nie domyślała. Z dobrą wiarą w to, co do niej pisał, aby ociążanie się wytłómaczyć, powtarzała nieraz przed sąsiadkami, jakie go tam różne trudności trzymały, a panie litościwie spuszczały oczy i słuchały w milczeniu.

Biednej matki przeznaczeniem było zostać rażoną jak od pioruna wiadomością, do której wcale nie była przygotowana.

Ewaryst, obawiając się żądać zbyt wiele pieniędzy z domu, aby na nadzwyczajne swe wydatki nie zwrócić uwagi i podejrzeń nie obudzić, pożyczal, jak-śmy mówili, u lichwiarzy i robił długi.

Zonia nawykłszy do zbytku i życia kosztownego, wcale się z pieniędzmi obchodzić nie umiała; fantazje jej, często krótkotrwałe, bywały bardzo drogie.

Głównym dostarczycielem pieniędzy chorażycowi był niejaki Lejzor Cudnowski, często jeżdżący do Kijowa i chciwie wyzyskujący zręczność zarobkowania.

Nie mogło mu się to jednak pomieścić w głowie, dlaczego chorażyc, tak zamożny, innego kredytu nie miał i wysokie opłacał procenta. Niepokoiło go to... Przyszedł naostatek do fałszywego przekonania, że interesa zamiłowskie źle stać musiały, że nieboszczyka zbyt szacowano wysoko, i że kapitał jego, pożyczony synowi, mógł być w niebezpieczeństwie.

W dodatku pieniądze na jakąś spekulacją były mu pilno po-

trzebne, począł się upominać natarczywie. Ewaryst oddać nie mógł, ofiarował procenta podnieść. Lejzor się przestraszył.

Gdy ani prośby, ani groźby, ani nalegania nie pomogły, postanowił udać się do chorążyny.

Nic o tém nie mówiąc Ewarystowi, zmilczawszy, ruszył do Zamiłowa. Człowiek był zapalczywy niezmiernie, a gdy szło o pieniądze, bez względu na nic w świecie.

Jednego dnia oznajmiono chorążynie, że Lejzor Cudnowski, którego ona nie знаła wcale, potrzebuje pilno mówić z nią w interesie. Zdziwiona staruszka wyszła spokojnie do sali jadalnej, w której Lejzor stał już niecierpliwie się nawet tą małą zwłoką, jakiej doznał, czekając na nią.

Palił go już niepokój o kapitał.

— Jestem Lejzor Cudnowski — rzekł kłaniając się, tonem bardzo śmiałym i głośno. — Pani chorążyna mnie nie zna, ale ja panu chorążycowi służyłem na jego żądanie, mam z nim rachunki znaczne, pieniędzy odebrać nie mogę, muszę się do jaśnie pani obrócić.

Chorążyna z podziwienia krzyknęła:

— Co? co? pieniędzy mój syn miał potrzebować, kiedy, ile chce, ma leżących w domu? Cóż to jest! szachrajstwo jakieś?

Lejzor się oburzył.

— Ja nie jestem żaden taki, co szachruje — zawołał — zresztą co tu gadać długo, przecie mam weksle jego ręką podpisane.

— Ale to nie może być! — oburzyła się chorążyna — weksle są chyba fałszowane! Mój syn nie potrzebował pożyczać!

Żyd na wyraz fałszowane, rzucił się jak oparzony.

— Fałszowane! — krzyknął. — Co to znaczy fałszowane? Mnie tego w mojem życiu nikt nigdy nie powiedział, żebym ja co fałszował! Ja nie jestem fałszerz żaden!

Ręce mu drżały, gdy pugilares rozwiązywał i usta się już zamknąć nie mogły od gniewu.

— Pan chorążycy potrzebuje dużo na swoją kochankę — mówił jękając się — może nie chce, aby pani o tém wiedziała... Takie życie to kosztuje wiele!.. Co za dziw, że tyle traci!..

Chorążyna nie zrozumiała z początku.

— Co pleciesz, człowiecze? — zawołała.

— Tak! to ja fałszerz i plotę — ofuknął się Lejzor i do pieniędzy moich dojść nie mogę i jeszcze będę musiał takie słowa znosić! Co to pani nie wie, że on jak mąż z żoną żyją z panną Kapkową, siostrą tej, co jest przy pani? Toż to widzi i wie cały świat.

Chorążyna zachwiała się, chwyciła za stół i z piersi jój wyrwał się krzyk tak bolesny, że Madzia i stara służąca wbiegły przestraszone w sam czas, aby nie dać upaść zemdlonej.

Lejzor przejrzał dopiero jaśniej, gdy zobaczył, co się stało. Odprawiono go czekać do przedpokoju, nim chorążyna przyjdzie do siebie.

Nie potrzebowała na to długiego czasu, niezmierna energia i siła charakteru dźwignęły ją natychmiast. Nie uroniwszy łzy, nie powiedziawszy słowa próżnego, przeżegnała się chorążyna i kazała zawołać żyda do sali, Madzię i służbę odprawiając. Musiała tylko usiąść w krzesle, bo nogi ją utrzymać nie mogły.

Lejzor wszedł znacznie ostygly i zmieszany.

— Jaśnie pani daruje! —

— Co się waćpanu należy? — zapytała chorążyna — proszę o te weksle.

Żyd przystąpił do stolika i położył na nim papiery.

— Zaraz będziesz miał wypłacone — drżącym nieco głosem dała chorążyna. — Nie myśl waćpan, ażebyś mnie tą potwarzą swoją pierwszy o tém oznajmił, o czém ja wiedziałam dobrze. Syn mój nie ma sobie nic do wyrzucenia, ratował biedną krewną swą, a źli ludzie na niego wymyślili czernidło. Zabolalo, żeś acan śmiał to przede mną powtórzyć.

— Jaśnie pani... — począł Lejzor.

— Nie mamy z sobą nic do mówienia, dosyć! — przerwała chorążyna nakazująco — dosyć, ani słowa więcej!.. Bierz waćpan pieniądze, a jeżeli potwarze rozgłaszać będziesz, wiedz, że znajdę środek, aby nie uszły bezkarnie...

Chciał Lejzor jeszcze raz mówić; nie dopuściła stara.

— Dość! — zawołała — nie chcę słyszeć nic więcej.

Kasa była przy chorążynie, która zawołała Madzi, dając jej klucze. Cała suma Lejzorowi należna wynosiła do sześciu tysięcy rubli.

— Przynies mi szkatułkę! — zawołała do wylekłej i domyślającej się jakiejś katastrofy wychowanki.

W oczach milczącego i nie śmiejącego się już odezwać Lejzora, dobyte chorążyna zwiłek zawierający kilkadziesiąt tysięcy rubli, oddzieliła z nich, co było potrzeba, i wzgardliwym ruchem ręki rzuciła je na stół, biorąc weksel.

— Zegnam waćpana!.. — rzekła pokazując na drzwi.

Jeszcze raz próbował się odezwać, lecz powtórnie ręką wskazała mu wyjście. Dopiero gdy ten świadek wyszedł, rozplakała się biedna chorążyna; ale Madzi nie powiedziała słowa, nie poskarżyła się, milczała uparcie.

Po południu kazała wszystko przygotować do podróży, nie tłómacząc się, ani dokąd, ni po co ma jechać. Z suchemi oczyma, głosem poważnym dawała dyspozycje.

— Ty nie masz potrzeby jechać — rzekła do Madzi bladėj i wystraszonėj — pojedzie ze mną służąca. Spodziewam sie powrócić wkrótce, nie chcę, byś się drogą nadaremnie męczyła.

Pocałowała ją w głowę i parę łez na nią pociekło. Nie domyślała się chorążyna, że biedna wychowanka wiedziała wszystko i tała przed nią.

— Paniusiu droga — cicho ośmieliła się odezwać Madzia — ja- bym w drodze może na co się przydać mogła, albo na miejscu... Salomea nie zawsze zdrowa, często cierpi na ból głowy...

Chorążyna patrzyła na nią.

— Nie, moje dziecko, lepij, żebyś w domu została. Wierz mi, nie pytaj!..

Madzia, którój strach i żal było puszczać chorążynę samą, do nóg jęj się z płaczem rzuciła.

— Droga pani moja!.. — rzekła — nie szczędź mnie anielskiem sercem swoim!.. Ja wiem wszystko... ja-m już z tą boleścią chodziła dawno!.. Pozwól mi odsługiwać sobie za zdradę niewdzięcznej tej...

Popłakały się tak obie. Wahala się chorążyna, czy ją ma zabrać z sobą, chcąc jęj oszczędzić jeszcze wrażeń, lecz Madzia prawie się nie dała odpędzić.

Nazajutrz rano przybył ze mszą świętą powołany ksiądz Zatoka i znalazł staruszkę bladą, przygnębioną trochę, ale mężną i zrezygnowaną.

Po mszy zamknęła się z nim, chcąc mu zwierzyć się ze swém nieszczęściem.

Po pierwszych słowach, nie dając się jęj rozżalać, przyjaciel do- mu przerwał cicho :

— Wiem ja już wszystko, nie krwaw pani sobie serca; wiem, płaczę i modlę się... Bóg da, że duszę uratujecie...

Chorążyna potrzęsała głową.

— Co pocznę, nie wiem jeszcze sama — rzekła. — Uda mi się wyrwać z rąk tej nieszczęśliwej, czy nie?... Mamże naprawiając zgorzenie, namawiać go do ożenienia się z kobietą, która nigdy z go- dnością niewiasty, matki domu dostojenstwa nosić nie potrafi?... Wedle prawa i sumienia winienby iść do ołtarza... a jaka przy- szłość?...

Ksiądz Zatoka nic nie odpowiedział długo.

— Bóg natchnie... — szepnął w końcu. — Lecz będzież-że pani mieć siły?...

— Zaczepnę je w miłości syna — rzekła z powagą chorążyna. Co późnij się ze mną stanie, Bóg jeden wie, lecz póki nie spełnię, com obowiązana, dotrzymam siły wszystkie... Mój ojciec — dołożyła wkońcu — nadzieja w Opatrzności, że syna uratuję... Nie będzie

głuchym na głos matki, powróci mi do domu, ale, niestety, choć droższy mi będzie niż kiedy, nie ten to już mój dawny Ewarystek, który nigdy na sobie plamki nie miał... Zbrukali mi go źli ludzie, abyśmy pokorniejsi byli i cnotą się chlubić nie mogli. Imię Pańskie niech będzie błogosławione, nawet gdy karze i smaga dzieci swoje.

Smutny to był wyjazd z domu, podróż męcząca, a przybycie do Kijowa nawet mężną chorążynę tak ucisnęło, że Madzia musiała ją najprzód położyć w łóżko, gdyż trzęsła się, jakby febry dostała.

Należało teraz obmyślić środki, jakich miała użyć chorążyna dla odzyskania syna. Nie była jeszcze pewną, czy ma go wezwać do siebie, czy narażając się na nieuchronną i przykrą scenę z Zonią, o której zuchwalstwie wiedziała, wprost wnijsć na górę w godzinie, gdy Ewaryst tam się znajdował.

Położywszy w łóżko biedną trzęsącą się staruszkę, Madzia z niepokojem, który jej usiedzieć nie dawał w pokoju, z głową rozpaloną znużeniem i płaczem, wybiegła przed bramę domu zajezdnego na Padole, w którym się zatrzymali.

Był to wieczór wiosenny i co żyło korzystało z niego. Tłumy snuły się po ulicach, na które osowiałemi z bólu oczyma patrzyła.

Nagle wzdrzygnęła się i w pierwszej chwili chciała rzucić się nazad do bramy, gdy tuż o krok od niej stanęła Zonia, w ładnym bardzo ubraniu wiosennym, w kapelusiku pół-męskim, który nosiła zawsze, z twarzą czerstwą i świeżą, z wesołemi oczyma i poznając siostrę, krzyknęła.

Madzi myśl przez głowę przebiegła, że może los szczęśliwy nadarzył to spotkanie, ażeby chorążynie oszczędzić strapienia.

Pozostała więc ostrém wejrzeniem mierząc Zonię. Ta przyszła ku niej niezmiészana weale i położyła jej rękę na ramieniu.

— Madzia?.. a ty tu co robisz?..

— Ja?.. — odpowiedziało dziewczę z oburzeniem w głosie — jabym powinna cię pytać, niewdzięczna i niedobra Zoniu, co ty robisz?.. Coś zrobiła?..

— Ja!.. — odparła Zonia, dumnie wykrzywiając usta — powiem ci, co robię, kochamy się z Ewarystem, a żyjemy z nim, jak mąż z żoną... Jeśli myślisz, że przybywając tu, czy ty, czy ktokolwiek inny, zerwiecie to małżeństwo serca i dusz; to się mylicie. Ewaryst nie da się oderwać ode mnie, a ja go nie puszcze...

— Takżeś już wstyd wszelki straciła!.. — krzyknęła Madzia.

— Wstyd?.. nie rozumiem, czego się mam wstydzić!.. — zawołała Zonia. — Wstydem byłoby oddać się nie kochając, ale my się kochamy!..

Madzia zakryła oczy, Zonię się oczy zaiskrzyły.

— O, ja wiem!.. — ciągnęła dalej szydersko — ty-byś chciała nas rozłączyć, bo ty sama się w nim kochasz, a pokorna, cnotliwa,

pobożna wychowanka chorążyniej, spodziewasz się imienia małżonki. Wybijże to sobie z głowy!..

Nie miała słów na odpowiedź Madzia, tylko wykrzyk zgrozy.

— Ja dawno znam, czuję tę twoją miłość dla niego — dodała Zonia — cóż z tego?.. On cię nie kochał i nie kocha!.. Poszukaj sobie innego...

— Zoniu, ty tracisz zmysły — przerwała wreszcie Madzia — Bogiem się świadczę, nie myślałam, ani marzyłam o takim związku, nigdy się go nie czuła godną. Zlituj się nie nade mną, ja zniosę wszystko, ale nad matką nieszczęśliwą.

— A?.. czy i ta przyjechała?.. — zapytała żywo Zonia — aby mi zrobić scenę!

Madzia zamilkła.

— Bardzo dobrze — dokończyła Zonia — nie będę jęj unikała... i owszem!.. Czekam!.. Staniemy z sobą oko w oko!.. Bądź pewna, że nie ucieknę, że się nie zawstydzę, że nie uczynię nic, aby się pozbawić tak dramatycznego epizodu w życiu mojem.

Madzia osłupiała.

— Zaklinam cię!.. — zawołała odcinając ją na stronę — oszczędź tej biednej pani mojej chwilę okropną, której może nie przeżyje!.. Oznajmij Ewarystowi, skryj się, któż wie?.. może chorążyna da się prześlagać... ja nie wiem!.. on się może ożenić z tobą!..

Zonia słuchała z ciekawością naprzemian gniewną i szyderską.

— Ja nie myślę, ani prześlagać, bo się czuję niewinną, ani się kryć, ani upokarzać, ani prosić... Co do ożenienia, kwestya, czy jabym mu się poddała!.. Wyście ludzie z innego świata; ja jestem poganka i swobodne dziecko natury!..

Zatrzymała się nieco i zapytała żywo:

— Więc jest chorążyna?.. mów!..

Madzia głową dała znak potwierdzający.

— Więc bardzo dobrze, raz się to wyjaśni i rozwiąże... Nie cierpię ukrywania się i tajemnic, to nie godne człowieka, co się szanuje!..

Zawróciła się, uśmiechnęła wzgardliwie, patrząc na przerażoną siostrę i, nie żegnając jęj, odeszła prędkim krokiem.

Patrząc na nią łatwo rozpoznać było, że zamyśliła się głęboko; potracali ją przechodnie, zaczepiała się o otwarte drzwi sklepów, szła krokiem nierównym. Prędko ten pochód ustał nagle pod naciśnięciem myśli nowęj, zwolniła chodu, poczęła się oglądać, jakby szukała kogoś. Nastrezył się jęj zdala idący Komnacki, który chciał ją pominąć niepostrzeżony, ale skinęła nań, aby się przybliżył, i czekała.

— Mój Ewaryst się nudzi i tęskni za panem... — odezwała się łagodnie — przyjdź-że pan kiedy do nas, a jeżeli ja nie jestem w łaskach, to do niego... Naprzykład jutro rano. Mam pewne powody, dla których życzyłabym sobie bytności pańskiej i bardzo o nią proszę. Nie dla siebie — dodała — ale dla Ewarysta... Przyjdź-że pan, bądź łaskaw.

Nie mógł się oprzeć żądaniu pan Euzebiusz, skłonił się i zamruczał, że służyć będzie.

Zonia szła dalej powolnym krokiem ciągle i, zamiast obrać najprostszą drogę do domu, wybierała widocznie ulice, na których najwięcej osób spotkać się spodziewała.

Zobaczyła Zoryana, do którego teraz rzadko raczyła słowo przemówić, i ten nie śmiał się nawet zbliżyć do niej; dała mu znak, aby przyszedł.

— Cóż to pan tak z wielkiej miłości dla mnie przeszedłeś do nienawiści, czy co?.. — poczęła.

— Ja! a toż skąd wniosek? — odparł Zoryan zdziwiony.

— Przecież mógłbyś się kiedy pokazać u nas — odezwała się. — Wiem to, że z Ewarystem nie macie stosunków i nie lubicie się, ale ja nie jestem obowiązana koniecznie podzielać jego fantazy... Ja potrzebuję ludzi i towarzystwa; możesz czasem przyjść do mnie...

— A! Zoniu! — pochwycił w uniesieniu młodzieńczęm zapalczywy Zoryan, który wzdychał do przywrócenia dawnych stosunków. — Zoniu! pozwól mi się tęp dawném imieniem nazywać! gdybyś знаła serce moje i gorącość tęp pogardzonej miłości, dawno-byś się trochę ulitowała nade mną...

— O miłości niema mowy — przerwała Zonia — był czas, zem cię lubiła i myślała, że kochać będę, ale nie wiedziałam, że przeszedłeś na wiarę turecką i że po kilka na raz sułtanek uszczęśliwiasz... Ja zaś z nikiem serca podzielać nie umiem, zbyt jestem dumna!..

— To były potwarze!.. — zaklął się uderzając w piersi Zoryan.

— Daj pokój!.. to była natura twoja, z którą ja walczyć nie myślę; to należy do przeszłości... Dlatego przyjdź na gawędę do mnie możesz. Wiesz co? jutro? na górę do mnie wprost, dobrze?..

— Królowo! aniele! — krzyknął zachwycony Zoryan — pójdę, gdzie rozkażesz, w ogień, w wodę!..

Uśmiechnęła się z politowaniem.

— Na takie próby tak ładnego chłopaka narażać nie myślę — rzekła — kijowskie czarownice-by mnie zabiły. Do widzenia, jutro rano...

Pozegnała co prędzej Zoryana, widząc nadechodzącego w dali pana Henryka d'Estompelles. Z tym była poufalej i lepiej niż z innymi, a Francuz miał wielkie nadzieje.

Zręcznie przesunęła się ku niemu na drugą stronę ulicy i już zdążyła zaczęła się uśmiechać. Henryk, ktoremu się rzadko trafiło to szczęście spotkania jej samej, biegł naprzeciw niecierpliwym. Znak dany mu upoważniał do towarzyszenia i rozmowy.

— A! pani, co za dzień dla mnie!—zawołał—pozwolisz mi zająć miejsce u swojego boku.

— A nawet z wielką przyjemnością, bo mam kilka słów, które mu chciałam powiedzieć, licząc go za przyjaciela.

— Przyjaciela!—westchnął Henryk—wielbiciela! czciciela!

— Wszyscy Francuzi przesadzają, wiesz pan dlaczego?—odezwała się Zonia. Oto dlatego, że prawdziwego uczucia im brakuje. Kochacie głowami i zmysłami, nie sercem, dlatego zmagacie się na czułości, nie wiedząc miary ich i wagi.

— To niesprawiedliwość, przynajmniej co się mnie tyczy—góra odparł Henryk. Ja panią kocham sercem, głową, zmysłami i wszystkimi władzami, jakie mam...

— No, ale ja w ulicy oświadczeń słuchać nie mogę—odparła Zonia—odłóżmy je na później. Jeżeli wśród tych władz znajduje się możność dawania dowodów przyjaźni...

— Pani wątpisz?

— Pytam tylko.

— Ofiaruję życie, jeśli trzeba—zawołał Francuz.

— Przesada—przerwała Zonia—żadam małej przysługi.

D'Estompelles zadrżał z radości, dawało mu to nadzieję.

— Słuchaj pan—poczęła Zonia—prowadząc go z sobą w uliczkę pustą, co jeszcze bardziej rozradowało Francuza. Słuchaj pan. Rodzina Ewarysta i moja zjechała się tu, aby nas rozerwać.

Francuzowi oczy z radości błysnęły.

— Wiem, co sobie myślisz—przerwała głową potrząsając—sądzisz, że gdy nas rozpędzą, ja naówczas na pociechę podam panu rękę. Ale nie! Mam w sercu Ewarysta, a teraz gdy mi grożą, że go odbiorą, kocham go jak tygrysyca.

P. Henryk spuścił głowę.

— Mówiłam panu—dodała zimno—gdy przestanę kochać, możesz mieć nadzieję, inaczej nie! Pan mi powinieneś usłużyć teraz, choćby mu ta służba nie smakowała.

Znacznie chłodniej Francuz wtrącił:

— O cóż to chodzi?

— Powiem panu zaraz—rozkazująco ogłosiła Zonia, zgóry patrząc na niego.—Jutro rano, choćby nawet przed dziesiątą, będziesz

się pan przechadzał nieopodal od naszego domu, mając na oku drogę od Padolu. Ma nią przybyć chorażyna, matka Ewarysta; potrzeba, abyś mi dał znać, nim nadjedzie lub nadejdzie... Potem przyjdiesz pan do mnie, siądziesz w salonie i nie opuścisz go dopóki ja nie pozwolę,—rozumiesz pan!

— Doskonale i zastosuję się do rozkazów literalnie—rzekł Francuz grzecznie.—Szczerze mi się podoba siedzenie w salonie.

Zonia, która z roztargnieniem go słuchała, podała mu rękę i zakończyła:—A teraz idź pan swoją drogą; ja muszę jeszcze do Heliodory...

Wymknęła mu się i znikła. Pani Majstrukowa zajmowała teraz dom drewniany własny, to jest męża swojego, który dosyć będąc zazdrosny, gości nie lubił, a nawet żeńskie towarzystwo Zoni miał w podejrzeniu.

— Kobiety między sobą—mawiał—to jak farmazony, zawsze mają pełno sekretów i jedne drugim do wszystkiego złego dopomagają...

Dla spokoju domowego, pani Heliodora wyrzekała się dawnych znajomości, choć za nimi czasem wzdychała. Postarawszy nieco, lubiąc wygodne życie, które teraz miała, szanowała je i całe dni spędzała na sofce z cygaretką i książką. Zonia bywała u niej czasem, gdy mąż nie znajdował się w domu, a ona niekiedy na chwilę wpadła do niej. Z dawniej przyjaźni pozostało im dość miłe wspomnienie. Heliodora mogła przed towarzyszką swobodnych dni wydobywać ich wspomnienia.

Zonia wpadła do niej w godzinie, gdy i radca Majstruk był w domu, który szczególnie miał wstręt do młodych, pięknych elegantek. Tolerował jedną Zonię, znajdując, że była szelma jak ogień sprytna. Brała go szturmem.

Spotkawszy we drzwiach, zawołała podając rękę:

— Nie pytam się, czy pani w domu, bo radca jesteś tak zazdrosny, że jej głowy na ulicę nie dasz wychylić.

— Ja?

— A tak! Wszak mogę na chwilę?

— Proszę bardzo! —zawołał, drzwi otwierając radca i wprowadzając Zonię.—Zostańcie u nas na herbacie.

— Nie mogę, mam dwa słowa do Heliodory, w moim interesie—rzekła Zonia—i lecę do domu, bo mi pilno.

— Oho! pilno! —uśmiechnął się radca— to już interes serdeczny i niebezpieczny.

— Nie tak, jak się wam zdaje—odpałiła Zonia—moje serdeczne interesa kończą się na jednym!

To mówiąc weszła do przyjaciółki, wymijając radcę, który pozostał w salonie.

— Wiesz—poczęła wprost wchodząc i nie witając się. Wielką wojnę mi wydaje familia. Matka Ewarysta, kobieta surowa i nieubłagana, zjechała z moją siostrą. Myślą niezawodnie obledz tego biedaka, mnie skonfundować i nas rozerwać. Ale—ja się też bronić będę.

Heliodora porwała się przestraszona.

— Cóż ty zrobisz?

— To już zostaw mnie—odparła Zonia—mam cię tylko prosić o jedno, wyrób to u tego tyrana twojego (wiedziała, że słuchał pode drzwiami), aby ci pozwolił jutro przyjść do mnie rano i posiedzieć. Przy obcych nie będą śmieli robić mi historyi.

— No to cóż?—zawołała Heliodora—albo my tam u ciebie może-my siedzieć załogą ciągle?

— Ja to wiem—przerwała Zonia—ale będę miała czas Ewarysta do oporu przygotować... choć na wstępie pomieszam im szyki.

Gdy to mówiła, zaciskała usta i, jak koń arabski przed bitwą, rzucała ognistym wzrokiem dokoła. Nie tyle obawy było w niej widać co zapału.

Heliodora namyślała się, nie bardzo może chciała się mieszać w cudzą sprawę, Zonia ją uściskała.

— Przyjdź, proszę cię, daj mi ten dowód przyjaźni. Radca nie będzie przeciwny.

Gruby głos podsłuchującego pode drzwiami, napół ze śmiechem powtórzył za nią:

— Radca nie będzie przeciwny, jeżeli idzie o to, aby arystokratom figla wypłatać...

— O to idzie—dodała Zonia.

Heliodora nie mogła się już opierać; przyobiecała.

Nie tracąc więcej czasu, pocałowała ją w czoło Zonia, zawinęła się do wyjścia i we drzwiach podawszy rękę gospodarzowi, wybiegła tym razem już wprost pośpieszając do domu.

Ewaryst, którego długa jej przechadzka samotna niepokoiła, zobaczywszy ją przesuwającą się pod oknem, wybiegł na spotkanie. Oddawna Zonia nie witała go z taką czułością, z takimi oznakami przywiązania jak teraz, zarzuciła mu rękę na ramię i tak prowadziła na górę.

— Stęskniłam się za tobą! — zawołała.

— A gdzież bawiłaś tak długo?

— Na przechadzce najprzód, potem u Heliodory. Ta mnie zatrzymała. Jestem dziś jakaś rozmarzona, smutna, niespokojna i potrzebuję ciebie mieć przy sobie.

Weszli tak razem na górę. Zonia zrzuciła z siebie ubranie spacerowe i pudła na krzesło, wskazując miejsce obok Ewarystowi, któremu w oczy patrzyła.

Nie chciała mu powiedzieć nic a nie mogła się powstrzymać od niepokojącego wyrazu w głosie i twarzy. Obie ręce wyciągnęła ku niemu.

— Tyś mój! prawda, żeś ty mój!—odezwała się namiętnia, że mi ciebie nikt odebrać nie potrafi?

Pytanie to zdziwiło bardzo chorążycę. Ciągły niepokój, który go trapił, budził się za lada słówkiem.

— Moja Zoniu—przerwał zbliżając się ku niej — skądże to pytanie? Czy wiesz co? Czy się obawiasz czego?

— Ja? niczego w świecie się nie lękam oprócz jednego ciebie —odparła Zonia smutnie.—Wiem, że póki będę miała twe serce, mogę polegać na niem, ale mamże ja to serce twoje? nie ostygłoż ono w piersi? Nie zużyłaż cię ta dziewczyna, niecierpliwa, śmieszna Zonia? nie zamęczyła cię swém kochaniem? Mów!

— Potrzebujesz że słów!—rzekł z westchnieniem Ewaryst. Cóż znaczy słowo, gdy wiesz z życia naszego o tych ofiarach, które ci niosę chętnie, a które są wielkie. Zoniu! ja dla ciebie kłamię, oszukuję matkę, dręcę się w sumieniu, a ty chcesz, abym ci powiedział, że cię kocham!

Rzuciła mu się na szyję nic nie mówiąc i tak na nią zawisła zadumana, rękę Ewarysta przyciskając do ust gorących.

— O, nikt cię tak jak ja kochać nie będzie!—zamruczała.—Prawda, nie przyniosłam ci dziewczęcego, ale uwiędłe, biedne serce, co nie rozkwitłszy zaschło... Ale ja tamtego nie kocham, on mnie tylko uczynił spragnioną miłości, którą całą, pierwszą wylałam na ciebie. Ani ty, ani ja już tak drugi raz w życiu kochać nie będziemy. Jeden kwiat taki rozwija się na tej suchej, kolczystej lodydze nędznego żywota... Ciebie nikt tak kochać nie będzie, i ja nie będę tak nigdy kochaną. Jestem dumna tą miłością, bo ty wierzysz w piekło i nie wahałeś się dla mnie stanąć nad urwiskiem, w którym ono gore... A! czemu w takiej miłości nie można dotrzeć do końca...

Ewaryst chciał jęj przerwać; nie dała mu się odezwać, usta zatykając ręką.

— Mam straszne jakieś przecucia—ciągnęła dalej—sama nie wiem, co mi jest. Zdaje mi się, jakby mi ciebie odebrać chciano!

Spojrzała na niego; Ewaryst pobladł strasznie.

— Ty dziś masz te przecucia —odezwał się—ja z niemi żyję ciągle, ja się budzę po nocach, słysząc we śnie głos matki, postać jęj widzę przed sobą ciągle! Każdy jęj list przeraża mnie; nie śmiem rozłamać pieczętki. Nie pojmuję nawet, że dotąd ktoś mnie nie oskarżył... Przyznam ci się, że wolałbym już może przetrwać straszną godzinę, którą przecuwam nieustannie.

— A! nie wywołuj jój—przerwała Zonia—Jestżeś pewnym, że będziesz miał się nie zaprzecić się mnie... zobaczywszy łzy matki?

Ewaryst głowę zwiesił.

— Dosyć tego—rzekł głosem złamanym—nie mówmy o tém.

— Owszem zbrójdmy się na tę chwilę, myślmy o niej—zawołała Zonia — ja stanę mężnie, nieulekniona, choć stokroć więcej w ich oczach wiarna, w moich nawet, ale ty? ty?

— Ja? — odezwał się chorążyc. — Nauczyłaś mnie być prawdziwym. Zoniu, powiem ci więc—ja nie wiem, co pocznę.

— I nie wiesz, na czém skończysz! — szepnęła głosem łagodnym kobieta... Tak! masz słusność, lepiej nie mówmy o tém... nie myślmy... kochajmy się i korzystajmy z chwili każdej, bo wszystkie polizone...

Na oczach Zoni nigdy Ewaryst prawie łzy nie widział, zdziczała biedna płakała zawsze wewnątrz, pożerając łzy swoje, teraz z rzęs toczyły się dwie krople srebrne i zbiegły po policzkach. Ewaryst całował ją w czoło, długo milczeli oboje. Nagle Zonia podniosła się, twarz rozjaśniając, plaskając w dłonie, wołając na sługi i ciągnąc za sobą Ewarysta do zastawionego stołu...

— Śliczny wieczór wiosenny!—wołała—wypijmy herbatę, potem siądziemy w oknie razem i będziemy oddychać jego powietrzem, szeptać, marzyć... aż do dnia. Ja dziś jestem ciebie spragniona, głodna, nie wypuszczę cię na chwilę!..

Chorążyna wstała bardzo rano, nabrawszy energii, która ją na krótko opuściła; chciała być najprzód na nabożeństwie i pojechała do kościoła razem z Madzią. Stąd miała odwiedzić ją i zostawić w gospodzie, nie chcąc brać z sobą. Nabożeństwo przeciągnęło się dość długo... W chwili rozstania Madzia przyłgnęła do rąk staruszki, która pocałowała ją w głowę, zlekka odepchnęła.

— Módl się—rzekła—i czekaj na mnie.

Siły, których wczoraj brakło, dała staruszce wola i przekonanie obowiązku; jechała sama jedna, blada, drżąca, lecz czując, że się nie cofnie i nie da niczem sprowadzić z drogi.

Gdy powóz stanął przed domem, Francuz już był z oznajmieniem na górze. Ewaryst, znajdujący się w mieszkaniu swoim na dole, wyjrzał, ale nie domyślił się matki, nie przeczuł jój. Wysiadająca cho-

rażyna znalazła się ze służącym sama, w niepewności czy miała iść do syna wprost, czy do Zoni.

Jeszcze się namyślała, gdy Ewaryst wyrwał, słysząc szelest w sieni, zobaczył matkę i zachwiał się. Trwało to jedno oka mgnienie, natychmiast przybiegł do niej i zniżył się do jej kolan.

Poruszona i zmieszana staruszka, nie mówiąc nic, razem z synem weszła do jego mieszkania.

Na gorze Zonia z rozpaloną twarzą stała w oczekiwaniu gorączkowym. Domyśliła się, że chorążyna wstąpić musiała do syna i uległa się widocznie. Cała jej rachuba na świadków została wniwecz obróconą.

Ewaryst jak winowajca, z głową zwieszoną, blady, czekał odezwania się matki, która lzy polykała.

— Przyjechałam po ciebie—poczęła drżącym głosem, ale bez gniewu. Każdy człowiek zbłądzić może, ale zły tylko trwa w grzechu. Poblądziłeś okrutnie, Ewaryście, czyniąc współniczką winy twojej kobiecie, której winicneś był opiekę i przykład cnoty; poblądziłeś jawnością występku, zgorszeniem, nie mówię, żeś mnie serce zakrwawił, bo cóż moje znaczy, gdyś obraził Boga i prawa jego!!!

Lzy mowę jej przerwały, lecz je natychmiast otarła...

— Przyjechałam zerwać te obrzydłe, występne związki — dodała — pojedziesz ze mną.

O Zoni nie mówiła nawet. Ewaryst stał niemy.

— Im prędzej, tém lepiej — zawołała chorążyna — bez żadnych pożegnań, tłumaczeń. Damy jej, co zechce, obmyślimy los, ale ciebie ja zabieram zaraz...

Spojrzała nań.

Matko kochana, to nad siły moje, nawet dla ciebie ja tego uczynić nie mogę.

Wyrazy te zdążyła się chorążynie dech i mowę odbierać; rękę przyłożyła do piersi, tchnęła z wysiłkiem.

— Ewaryście — przerwała — nie mów tego! nie mów! Nie poznaję w tobie syna mojego poczciwego Eliasza, ciebie samego nie poznaję. To nie twoja mowa.

Ewaryst miał czas się namyślać.

— Inny sposób widzę naprawienia zła, jakie uczyniłem — odezwał się — nie godzi mi się użyć innego. Powiniennem się z nią ożenić.

— To być nie może—żywo odparła chorążyna — kościół nie uznaje za ważne małżeństwa, które się w grzechu poczęło. Zonia jest twoją blizką krewną; nareszcie—dodała dumnie — nie jest to syno-

wa dla chorążego, ani córka dla mnie, ani żona dla ciebie, ani matka dla rodziny...

— Nie bądź okrutna, matko droga, miej litość — rzekł Ewaryst. Posłuszny ci być nie mogę, poświęcając ją — nie mogę...

— Więc kochasz tę... — spytała chorążyna łamiąc ręce.

— Kocham ją.

— I cóż to jest za miłość! — wołała oburzona — sromotna! bydlęca! Ewaryście! Co z tobą się stało! O, nieszczęśliwa ja! Któż mi odda syna?..

Ewaryst padł jej do nóg, ale ściskając je, jęczał i powtarzał:

— Matko, ja jej opuścić nie mogę...

Tym oporem niespodziewanym chorążyna zdawała się równie zdumiona jak pomieszana!

Zamilkła...

— Chcesz więc, abym ci dała do wyboru między mną a nią, bo ja z nią nigdy nie wspólnego mieć nie będę.

Syn łamiąc ręce nie mówił słowa; blada, straszliwie ściągnięta twarz jego mówiła, co się z nim działo.

Na górze Zonia stała w oczekiwaniu gorączkowym, rzucając oczyma dokoła i zdając namyślać się, co pocnie. Siedziała Heliodora niespokojnie spoglądając na nią, stał pan Henryk, znajdował się już Komnacki, a na wschodach słychać było idącego Zoryana.

— Heliodoro, proszę cię, bądź tu gospodynią za mnie — odezwała się zmienionym głosem — ja muszę zejść do Ewarysta.

Gwałtownie otworzyła drzwi, rzuciła niemi, zbiegła pędem ze wschodów i zacerwieniona, dysząca, z oczyma piorunującymi, nieulekniona i dumna, wtargnęła raczej niż weszła do pokoju Ewarysta. Chorążyna czuła ją nadchodzącą, chorążyc zdrętwiał.

Wejrzenie, którem ją spotkał w progu, prosiło o litość nad matką. Chorążyna, która niedawno stała jeszcze przybita i płacząca, na widok Zoni przybrała dumną i zimną postawę.

— Jestem Zofia Raskówna — poczęła głosem podniesionym — śmiało stojąc naprzeciw chorążynie: jestem kochanką Ewarysta i nie wstydę się tego. Staję przed panią nie prosić o żadne przebaczenie, ale przyznać się do tego, że nie on mnie, ale ja jego uwiodłam. Tak jest, kocham go i on mnie kocha. Chcesz nas pani rozdzielić w imię religii; ja stoję przy nim w imię serca mojego i praw, jakie mamy do siebie. Dla mnie religią jest natura.

Chorążyna tak była przerażona tym wyznaniem zuchwałém, iż nierychło odpowiedziała:

— Z waćpanną ja do czynienia ani do mówienia nic nie mam — odezwała się dumnie. To jest syn mój, ja waćpanny znać nie chcę. Odwróciła się.

— Mamo! — zawołał Ewaryst.

— Milcz! — przerwała matka. Wolno tej obłąkanej i bezwstydną nie znać Boga i praw jego, nie mieć wstydu, przestać być kobietą, ale tobie, synowi rodziców chrześcijańskich nie godzi się Boga, którego znałeś, wypierać.

Zwróciła się do Zoni.

— Ustąp waćpanna ztąd i zostaw nas samych.

— Nie pójdę na krok — zawołała Zonia — gdzie on, tam i ja. Nie wiązała nas żadna przysięga u ołtarza, ale ja jego a on mnie opuścić nie może...

Chorażyna z dumą na nią spojrziała.

— Ewaryście! ta kobieta mnie stąd wypędza!

Syn padł jęj do nóg. Zonia patrzyła na to założywszy ręce.

— Nie ustąpię — rzekła jak do siebie. Jeżeli Ewaryst chce mnie rzucić, nie bronię mu. Niech spyta sumienia swojego.

Jeszcze moment Ewaryst ścisnął nogi matki, która już, widząc, że nic począć nie może, wyrywała się ku drzwiom, Zonia ustąpiła jęj z drogi.

Za matką włókł się syn, słumionym głosem powtarzając:

— Matko, ulituj się.

Chorażyna nic już nie odpowiadała; oczy jęj nawet spotkać się nie chciały ze stojącą naprzeciw Zonią, która czekała końca tej sceny z męstwem dziakiem, rosnącym w miarę niebezpieczeństwa.

Wyrwawszy się synowi, który za nią szedł schylony, staruszka otworzyła drzwi, drząc i slaniając się, słudze kazała się do powozu prowadzić. Nie odwróciła się do Ewarysta, który rękami uciskając głowę, gdy ją zobaczył odjeżdżającą, wpadł nazad do mieszkania i nie widząc Zoni, rzucił się w rozpacz na krzesło.

W milczeniu zbliżyła się do niego z pokorą.

— Ewaryście! przebaczenia! litości! męstwa! — poczęła cicho. Pierwsza, najstraszniejsza walka zwycięsko przetrwana. Uspokój się; wszystko skończone.

Chorażyc siedział jak nieprzytomny; jęki bez słów ciężkie wyrywały mu się z piersi. Chciał gonić za matką, zrywał się i upadał nazad na siedzenie.

Utulila dłońmi głowę jego.

— Męstwa! — powtarzała Zonia.

Lecz to męstwo, które mu natchnąć chciała, w niej samęj się wyczerpało. Pobudzała je w sobie, a ręce jęj trzęsły się i lice bladło trupio...

Ewaryst ochłonał wreszcie trochę, popatrzył na Zonię z wyrazem boleści łagodnym i wstał.

— Muszę jechać za matką — rzekł — nie obawiaj się. Wiem, co ci winienem, i nie opuszczę... Zaciągnąłem obowiązki, które spełnię, będziesz żoną moją. Przebłagam matkę.

Oczy Zoni zaświeciły krótko i lżą zaszyły, potrząsała głową.

— Zoną! — rzekła — wolę być kochanką; to ofiara przynajmniej...

— Nie możemy się przecie naigrawać z praw boskich i ludzkich — przerwał Ewaryst — inaczej się to skończyć nie może i nie powinno.

Nie otrzymawszy na to odpowiedzi, chorążyc przeszedł się po pokoju.

— Muszę jechać do matki — powtórzył — bądź spokojna.

— Jedź — krótko odparła Zonia — stanie się, co przeznaczone.

Zlekka przycisnąwszy usta do jego czoła, odstała od Ewarysta, jakby mu wolną chciała zostawić drogę.

— Będę czekała twego powrotu — dodała — jedź; jam na łasce twej. Uczyń, co ci się podoba...

— Zoniu — zawołał Ewaryst, zwracając się do niej, ale już była wyszła i drzwi się zamknęły za nią.

Na górze oczekiwali ją świadkowie powołani, usiłując rozpoznać z twarzy, co przyniosła z sobą, Heliodora zbliżyła się do niej, lecz głową tylko poruszyła znacząco, dając jój znać, że mówić nie ma o czém i nie może...

Sprawa nie była skończoną.

Podszedłszy ku środkowi pokoju, okiem potoczyła po gościach swoich.

— Przebaczcie mi — rzekła z przymuszonym szyderstwem — mieliście być świadkami dramatu, tymczasem artyści zawiedli...

Skloniła się, jakby ich pożegnać chciała, i wszyscy zrozumiawszy, że dłużej zatrzymać ich nie chciała, zabrali się do wyjścia.

Uśmiechnęła się do Francuza i szepnęła mu niewyraźnie:

— Możesz mi być potrzebny...

Heliodorę uściskała.

— Fatygowałaś się napróżno — rzekła jój — wszystko się odbyło na dole. Pani chorążyna nie chciała sobie nóg kalać o progi moje.

— Ale jakże się skończyło?

— Pierwszy szturm odparł Ewaryst zwycięsko — mówiła z pewnym zwątpieniem Zonia — co będzie z drugim, ja nie wiem. Ufam mu.

Potrząsnęła głową pani Majstrukowa, powstała i widząc, że już więcej nic z milczącej i pogrążonej w sobie wydobyć nie będzie mogła, pożegnała ją słowami pociechy.

— No, bądź spokojną. Chorążyc, uczciwy chłopiec, on cię tak nie porzuci... Podrożą się i pożenią was. Inaczej nie może być.

Ucaławszy raz i drugi zamyśloną, wybiegła pani Heliodora.

Zonia usiadła w oknie, sparała się na rękę i patrzyła w ulicę,

a nie widziała nic. Ogniste płatki latały jej przed oczyma. Ewaryst schwywszy pierwszą dorożkę, jaka mu się nastęrczyła, kazał się wieźć po gospodach, bo nie wiedział, gdzie szukać matki.

Nie było ich zresztą tak wiele, aby poszukiwanie zbyt mogło zabrać czasu. Woźnica kierując się domysłem, zawiózł go tam właśnie, gdzie zdrętwiałą w krzesle chorążynę cucila Madzia z Salomeą.

Staruszka przyjechała tak osłabła, że ją z powozu wysadzić musiano, nie odezwała się do Madzi, a pytać jej nikt nie śmiał i nie potrzebował. Już to, że powracała sama, mówiło dosyć.

W rozpaczę Madzia, łamiąc ręce, zacinając usta, aby nie dać się z nich wydobyć duszającym ją łkaniem, biegła około chorążynę. W myśli jej stało, że ona powinna iść i starać się siostrę skruszyć i ubłagać, aby się upokorzyła, lecz wczorajsze z nią spotkanie tak małą dawało skutku nadzieję...

Kobiety krzątały się jeszcze około chorążynę, która płakać zaczęła pocichu, co za szczęśliwy znak uważano, gdy Ewaryst wbiegł do pokoju.

Nie zważając na świadków, które się natychmiast cofnęły, padł do nóg staruszce. Płakał i on, nie mogąc przemówić nic, prócz nazwiska — matki!..

Chorążyna nie dając się złamać przywiązaniu macierzyńskiemu, nie odpowiadała długo.

— Jeżeli mi przynosisz to, czegom od ciebie żądała — rzekła w końcu — dobrze, że posłuchałeś sumienia, otworzę ci ręce moje; jeżeli chcesz wymódz na mnie, abym błogosławiła twojemu szaleństwu — Ewaryste, nie znasz mnie!.. Pojadę sama płakać, modlić się, prosić Boga o upamiętanie twoje!.. ale nie pobłażę występкови. Ojciec z grobu uznałby mnie winną i siebie niegodną!.. On-by na to nie zezwolił nigdy!.. ja nie mogę!..

A gdy syn milczał, dodała jeszcze:

— Rzuć tę bezwstydnice, jedź natychmiast ze mną, to moje słowo ostatnie!.. Zapłać jej za grzech i sromotę swą, co zechce.

— Matko! — przerwał Ewaryst — sądzisz ją niesprawiedliwie... bez litości... Ja jej porzucić nie mogę!..

Chorążyna odtrąciła go zlekka.

— Idź-że, powracaj do niej — zawołała gniewnie — jeśliś między nami dwiema wybierając, ją wolał nade mnie... Idź!..

Stał naprzeciw niej milczący chorążyc i gdyby była spojrziała na niego, zmiękłoby może serce macierzyńskie, byłaby się skruszyła dała; lecz umyślnie unikała nań wejrzenia. Straszna chwila milczenia upłynęła, przerywana tylko cichym łkaniem Madzi w drugim pokoju.

Po upływie jój, Ewaryst jeszcze się schylił do nóg matki; usu-
nęła się od niego.

— Masz do wyboru — rzekła — między mną a nią, innéj drogi
nie ma!.. Wybieraj!..

— Opuścić jój nie mogę!.. — odezwał się syn chmurno.

Usłyszawszy to, chorążyna powstała z energią, do której nieda-
wno nie byłaby sił miała. Krokiem prędkim, nie odwracając się ku
niemu, wyszła z pokoju.

Ewaryst słyszał, jak przerywanym, ale nakazującym tonem wy-
dawała rozkazy do wyjazdu natychmiast. Służba zaczęła posłuszna
biegać i zbierać rzeczy, ściągając tłumoki, pośpiesznie chwytając
wszystko. Chorążyc sam stał w izbie, postanowiwszy dotrwać tu
do końca. Miał jeszcze nadzieję, że matka nad nim się ulituje.

W tém pocichu zbliżyła się doń Madzia.

— Ewaryście — zawołała cicho — zlituj się, zabijasz matkę!..
Kocham Zonię, żałuję jój, ale ona ma siły do zniesienia nieszczę-
ścia, w które popadła własną winą!.. Chorążyna, ona tego nie
przeżyje!

— Madziu! ty mów za mną, za siostrą! proś ją, — zawołał
Ewaryst — ja Zoni opuścić nie mogę... Byłbym podłym...

Skończyło się na płaczu. Tymczasem rzeczy już wynoszono do
powozu. Konie zaprzęgano. Chorążyna słabym głosem powtarzała
ciągle:

— Jechać, jechać!..

Musiano z pomocą miejscowych ludzi pozrzucić naprędce, co je-
szcze zostało, i staruszka się do powozu prowadzić kazała. Zoba-
czywszy ją wychodzącą, pobiegł Ewaryst za nią, aby, choć przy
świadcach, jeszcze sięgnąć po jój rękę. Chorążyna usunęła mu je
gniewnie.

— Jechać!.. — odezwała się ostatkiem głosu.

I powóz potoczył się, zostawując chorążycę wśród podwórca,
osłupiałego, skamieniałego z bóleści. Ludzie, patrzący a nie rozu-
miejący, co się działo, mieli tyle litości nad nim, że go do izby pra-
wie gwałtem zaprowadzili.

Nie wiadomo, jak długo byłby tu siedział, nie wiedząc, co się
z nim dzieje, Ewaryst, gdyby Komnacki, który niespokojny kroki
jego śledził, nie wszedł i nie wdając się ani w badania żadne, ani
w pocieszenia napróżne, nie skłonił go do powrotu do domu. Za-
brał go do dorożki i wywiózł jeszcze nieoprytomnionego.

Tu zaledwie wszedł na dół, gdy Zonia nadbiegła z góry. Nie
pytała go, wiedziała, że wracał wypiwszy dla niej kielich goryczy
do dna.

Serce jęj zakrwawiło się, patrząc na nieszczęśliwego, nie było słów na pocieszenie, milczenie mówiło wszystko.

Komnacki był tak niespokojny o stan przyjaciela, że szepnął o doktorze; Ewaryst, dosłyszawszy to, potrząsł głową.

Krótko zabawiwszy i zostawując ich samych, wyszedł pan Euzebiusz.

Reszta tego pamiętnego dnia upłynęła w pograżeniu jakimś milczącym. Zonia z rękoma na piersi skrzyżowanymi chodziła po pokoju. Ewaryst siedział, ruszyć się nie mogąc. Nadeszła noc tak i oboje nie myśleli o spoczynku, aż siły się wyczerpały i sen pochwycił ich tak, jak siedzieli.

Rano wymknęła się Zonia na górę, Ewaryst zwlókł się do łóżka, Komnacki przyprowadził doktora, mimo zakazu, ale ten głową potrząsłszy, uznał, że on tu nic radzić nie może. Cisza straszna zaległa dom, jakby życie się zatrzymało.

Niema jednak boleści, któraby pierwszej gwałtowności z czasem nie postradała. W kilka dni napozór wróciło wszystko do dawnego porządku. Na Ewaryście, który nigdy wesołym i trzpiotowatym być nie umiał, nawet w chwilach szczęścia, zachowując powagę charakterowi właściwą, nie tak wielkie było przejście tęg burzy, jak na Zoni. Stała się milczącą i zamkniętą w sobie. Zbliżała się czasem do chorążycy, jakby chciała przynieść mu jakim wyrazem lub pieśczętą ulgę w smutku, i cofała się. Zmarszczone czoło nosiła ciągle, a zostawszy sama, godzinami jak wryta stała w jednem miejscu... Walka wewnętrzna odbywała się w jęj sercu, choć żadnem słówkiem nie oznajmywała przez usta.

Gdy Ewaryst zbliżał się do nięj, chcąc ją wywieść z tego pograżenia w sobie, drgała jak przestraszona i zlekka unikała pieśczęt jego, usuwając się pod różnemi pozorami.

W rozmowach krótkich ani on, ani ona nie wspominali o tém, co przeszło... Oboje starali się zatrzeć dla siebie wspomnienie dnia straszego.

Ewaryst nareszcie wmawiał w siebie, że matka odezwie się do niego i ulegnie konieczności, ale z Zamiłowa nie przychodziło nic.

Tydzień już upływał w niezmiennym tym stanie ducha obojga, gdy Zonia zaczęła się z niego pozornie otrząsać. Można się było dorozumiewać w nięj jakiegoś postanowienia, które nowém życiem ją natchnęło...

Ewaryst nie wychodził jeszcze; ona potrzebowała ruchu, nie przyjmowała nikogo, ale parę razy wybiegała z domu na godzinę i wracała poruszona i niespokojna. Widywał ją Komnacki chodzącą po jednęj ulicy ogrodu samę, z głową spuszczoną, nie rozegna-

jąca tych co ją mijali. Piękna twarz jęj nosiła ślady widome cierpienia, zarazem dumy i jakby gniewu na świat cały.

☞ Jednego dnia z przechadzki weszła tak zadumana do Heliodory i siadła naprzeciw nięj nie mówiąc.

Pani Majstrukowa parę razy zagadnęła ją o coś i nie otrzymała odpowiedzi.

— Nieznośne życie takie!.. — zawołała nagle. — Wiesz, lepiej się utopić! Raz próbowałam się otruć, a gdybym teraz znowu na inny sposób chciała się pozbyć życia, to się znajdzie jaki dobrodziej, który mnie napowrót na tortury odda...

— Co to pleciesz! — odezwała się Heliodora. — Nie rozumiem ciebie. Postawiłaś na swoim...

— Prawda, bardzo pięknie! — rozśmiała się gorzko. — A widziałas ty Ewarysta? od czasu, jak matka się z nim tak nielitościwie obeszła, jak zabity! Patrząc na niego, gniew mnie porywa i rozpacz... Cierpi dla mnie, za mnie, a ja nie na to poradzić nie mogę...

— Przesadzasz wszystko — przerwała pocieszając pani Majstrukowa.

— Nie umiem sobie kłamać — mówiła Zonia. — Na Ewarysta patrząc... szaleję! Co ten biedny człowiek winien?.. Ja-m go wciąż gnęła, rzuciłam mu się sama na szyję... Nie wiedziałam, że miłość zabija!..

Ze spuszczoną głową poczęła chodzić po pokoju, nie słuchając oklepanych frazesów, któremi ją Heliodora pocieszać chciała. Niekiedy poruszała ramionami.

— Tyle tylko potrafil — rzekła pomilczawszy — że miłość, któraby może ostygła była, zrobili gorętszą. Ewaryst nigdy mnie może tak nie kochał, a ja...

— A ty? — spytała Heliodora.

— Ja?.. słuchaj!.. — krzyknęła gwałtownie — dałabym zań życie!

To mówiąc rzuciła się we drzwi i uciekła.

Stan gorączkowy trwał ciągle.

Komnacki, który się codzień tam dowiadywał, śledząc zmiany, jakich się spodziewał w Ewaryście, nie mógł zrozumieć nic, oprócz tego, że się coraz mocniej do Zoni przywiązywał. Jęj chłód czasami jakiś przymuszony, czasami niespodzianie zmieniał się w szalone roznamiętnienie, z którego gwałtem się wyrывała.

Z Zamiłowa nie było nic.

Nikomu się do tego nie przyznając, Ewaryst, potajemnie napisał do Madzi, żądając od nięj wiadomości o zdrowiu matki.

Odpowiedzi długo nie było. Przyszła wreszcie ukradkiem pisana, polana łzami, w słowach zamknięta niewielu, po za któremi trzeba było czytać, czego wypowiedzieć nie mogła.

„Pani chorążyna — pisała Madzia — w drodze nam chorowała i po powrocie musiałyśmy po doktora Mochnackiego posyłać, bo było niedobrze.

„Teraz choć trochę jest lepiej, ale taka zmieniona, że nam się serce, patrząc, kraje. Prawie nie nie ję, pół dnia się modli a płacze... Dawniej gospodarstwo i interesa zajmowały ją, teraz są jej obojętne. Gdybyś pan widział panią chorążynę, przestraszyłbyś się i pożałował.

„Imienia pańskiego ani razu nie wymówiła, a co dawniej ciągle zaglądała do pokojów, które były dla niego przeznaczone, teraz tam jej noga nie postaća.“

Z listu widział Ewaryst, że się nie mógł żadnej spodziewać zmiany; on też Zoni porzucić nie mógł... Położenie się stawało tém cięższe, że potrzebował pieniędzy na życie, a to, do czego miał prawo, dawno zostało wyczerpanem, na całym zaś majątku i kapitałach pani chorążyna miała dożywocie. Prosić nie chciał, ze strony matki nie było nadziei, aby się nad nim ulitowała, musiał żyć dalej długami, które robił, a tych warunki coraz cięższe się stawały.

Pocziwy, spokojny, zimny napozór Komnacki był jedyną ucieczką obojga; radziła się go i zwierzała mu Zonia, otwartem sercem mówił z nim Ewaryst.

Poszedł do niego z nową swą myślą, która mu przyszła po odebraniu smutnego listu Madzi.

— Znam o tyle matkę moję — odezwał się do niego — iż wiem, że nie ulegnie; mnie nie pozwala na to sumienie. Zdaje mi się, że gdybym raz się ożenił, matka-by się naówczas przeblagać dała. Widziałyby, że rzecz spełniona, pobłogosławiona przez kościół, uprawniona, obalić się nie da, przebaczyłyby nam. Jak ci się zdaje?

— Być-by to bardzo mogło — rzekł po namyśle pan Euzebiusz — lecz przed ożenieniem, które jest związkiem nierozzerwanym, wiekuistym, namyśleć się trzeba, mój Ewaryście. Pomimo gorącej miłości waszej, która jest może wypadkiem młodości obojga, czy wasze dwa charaktery są dla siebie stworzone, ja nie wiem. W pojęciach waszych zachodzą radykalne różnice. Ty jesteś człowiekiem umiarkowanym i spokojnym, ona gorączkową i rwącą się do wszystkiego, co nowe, co obiecujące a mamiące. Dziś godzicie się z sobą, bo miłość z obu stron ustępstwa robi, ale później gdy ona musi ostygnąć, gdy ty na wieś ją wyciągniesz, życie twoje jednostajne i spokojne jej nie starczy. Naówczas ona w najdzi-

wacniejszych pokusach szukać będzie pokarmu wybujałej fantazyi, a ty...

Ewaryst nie chcąc się zgodzić na określenie charakteru Zoni, nie mógł zaprzeczyć, że w głównych rysach Komnacki miał nieco słuszności. Zdaniem jego innego wyjścia z tego położenia nie było, tylko to, jakie on wykazywał, ożenienie.

— Mój drogi — przerwał Komnacki — trzeba najprzód się upewnić, czy się ona zgodzi na to. Ile razy mi się trafiło słyszeć ją mówiącą w tym przedmiocie, jeślim dobrze zrozumiał, protestowała zawsze w imię swobody i godności człowieka przeciwko małżeńskiej niewoli, znajdując, że kobieta i mężczyzna powinni być w każdej chwili zupełnie wolni, tak się rozstać, jak przystali do siebie.

— A! — zawołał Ewaryst — ty wiesz, czego Zonia nie wygaduje, gdy raz sobie cugle puści. Nie idzie za tём, ażeby stała przy tём jak przy niezłomnej prawdzie.

— Ale ja ją słyszałem sto razy powtarzającą toż samo — odparł pan Euzebiusz. — Jest to właśnie jeden z tych aksyomatów, przy których się ona upiera najmocniej i na nim zasadza swoje mrzonki o reformie społecznej.

— W tём jestem pewien, ulegnie — dodał Ewaryst.

— Rozmyśl się dobrze, nim ten krok stanowczy postawisz — rzekł Komnacki. — W każdym innym razie bez namysłu powiedziałbym ci, żeń się z tą biedną, choć bardzo ponętną istotą; sumienie każe mi mówić, namyśl się dobrze.

Wieczorem zaproszony na herbatę przyszedł Komnacki. Zonia w czasie niebytności chorążycy, jak zwykła była bez ceremonii pładrować po jego papierach, tak i teraz szukała w szufladkach, czy nie było listu, znalazła pismo siostry, odczytała je, zamyśliła się głęboko, a wieczorem chodziła chmurna. Byli we dwoje tylko.

Ewaryst zaraz po herbacie wszczął rozmowę i napomknął, że innego nie mieli wyjścia tylko ożenienie.

— Rozumiem — odezwała się Zonia — chcesz matkę tym sposobem zmusić do przyjęcia faktu spełnionego. Gdy ksiądz pomruczy nad nami połączenie i da nam parę pierścionków. Chorążyna uledz będzie musiała? wszak tak! ale ja, właśnie dlatego, aby się jej nie narzucać, na ślub nie pozwolę. Obeszliśmy się bez ślubu raz... obchodźmyż się i dalej. Cały urok naszego związku wolnego zniknie, gdy się on stanie przymusowym... Ja tego nie chcę. Wedle waszych praw przykuci—byśmy byli do siebie, to idea upadająca! Jabym musiała być twoją, ale w tójże chwili nie chciałabym nią być, bo musu nie znoszę. Zresztą ani ty, ani ja nie możemy przysięgać na to, że się będziemy kochali, to absur-

dum. Do miłości żaden ksiądz zmusić, żadna przysięga znaglić, żaden obowiązek skłonić nie może, gdy serca wystygną. Przepraszam, że zapożyczę frazesu łacińskiego z książki francuskiej, którą wczoraj czytałam. *Spiritus flat, ubi vult*, tak samo miłość, która jest spirytusem także i niezbadanej natury...

Mówiła żywo, głośno, dumnie, a dokończywszy pochwyciła w dłonie głowę siedzącego męża i pocałowała go w czoło.

— Kochanką jak kochanką — rzekła — a żoną byłabym nieznosną, zupełnie jak pies trzymany na łańcuchu, który po jakimś czasie zły jest i wściekły... Wystawże sobie mnie tam u was, w spokojnym Zamiłowie, obok świętej chorążyni, skazaną na chodzenie na palcach, na mówienie po cichu rzeczy pozwoionych, na męczarnię poskramiania się we wszystkim. Wedle moich pojęć — dodała — każdego człowieka zadaniem jest rozwijać się wedle sił swoich najpotężniej, wedle was obowiązkiem jego jest poskramiać się, jest ducha gnębić, ciało, które go mieści, męczyć, aby oddziaływało nań, nie mieć ciekawości, bo to prowadzi do piekła, nie mieć własnej myśli, bo ta wiedzie do herezyi, słowem, stać się automatem w rękach księdza... A tym ja być nie chcę i nie mogę.

Strząsnęła głową, okrytą włosami bujnemi, odsunęła je z twarzy i zamilkła.

Ewaryst patrzył na ziemię. Komnacki chciał mu wejrzaniem powiedzieć:—A cóż, nie miałem słuszności?

Ażebym jednak poprzec przyjaciela, pan Euzebiusz zwrócił się do Zoni.

— Nie będę się z panią spierał o zasady — rzekł. — Spytam ją tylko o jedno. Czy miłość najwyższa nie jest i nie powinna być bodźcem do ofiar, i czy dowodem jej najlepszym nie jest ofiara z siebie?

— Jest ofiar granica — odpowiedziała Zonia. — Życie dla ukochanej istoty gotową jestem dać, przekonań moich i swobody dusznej — nigdy. Ta zalecana przez pobożnych faryzeuszów ofiara intelektualna jest gorzej niż samobójstwem, bo zabija duszę i upadła!

Ewaryst spojrział na nią, mówiła z zapalem ogromnym a wejść z nią z tej drogi, po której kroczyła, na ubity gościec pojęć ścisłej ortodoksji, nie było sposobu. Była jawną buntownicą.

Oba przyjaciele zamilkli.

— Ja to jedno widzę — dodała Zonia — że Ewarystowi cięży to życie ze mną i to stanowisko niejasne, według niego, że radby wyjść z zawikłania, pogodzić się z matką... A! ja to pojmuję!

ja nad t \acute{e} m boleję; wszystko jestem gotow \acute{a} zrobić, tylko nie mówić na czarne, że mi się wydaje białem...

Zatrzymała się nagle... i przystąpiła znów do Ewarysta.

— Drogi mój, trochę męstwa! — zawołała — przetrwajmy chwilę przełomu a zwyciężymy... Ludzie, co się dziś oburzają, zobojętnieją i zostawią nas w pokoju naszym i w t \acute{e} m, co zowią naszym grzechem!

Rozśmiała się i zanuciła, ale wesołość, którą okazywała, była widocznie zapożyczoną i wymuszoną.

Natychmiast pot \acute{e} m rzuciła jakieś pytanie radykalne Komnackiemu, zmuszając go do rozprawy z sobą, któr \acute{e} j on nie lubił, bo nie zwykł był z kobietami wdawać się w uczone spory, znajdując, że mają logikę serca doskonałą, ale grzeszą przeciw logice myśli.

Szyderstwami zasypała go piękna Zonia, bijąc w to szczególniej, co Komnackiego najmocniej drażnić mogło. Mimo t \acute{e} j rozprawy na ostre rozstali się pot \acute{e} m przyjacielsko; bo Zonia choć się kłóciła z nim, miała dlań szacunek...

W kilka dni pot \acute{e} m Komnacki siedział u siebie w domu, nad książkami, gdy nie oznajmując się, wpadła, z tą samowolą, z jaką zawsze wszystko spełniała, co j \acute{e} j przyszło do głowy, Zonia.

Choć uśmiech na ustach miała, czoło było zasępione.

— Nieprawdaż — zawołała od progu — wizyta niespodziewana i niemiła, przepraszam za nią, ale jesteśmy przyjaciółmi. Nie kłopotuj się pan mną — dodała widząc, że Komnacki zapina surdut i poprawia ubranie—ja natychmiast wychodzę.

Stała naprzeciw niego.

— Oboje kochamy Ewarysta — rzekła — choć kaźde z nas inaczej, potrzeba o nim myśleć. On nie ma sił do wytrwania na tym wyłomie. Kocha mnie, ale matka! ma swe prawa. Ja nie znałam prawie matki, dlatego może jestem tak dziką i zuchwałą. Miałaś pan słuźność mówiąc, że prawdziwa miłość zmusza do ofiary. Tak. Ja go kocham bardzo i jestem gotow \acute{a} na największą, najstraszniejszą, jaką mogę uczynić.

Tu, spojrzawszy na Komnackiego i odgadłszy myśli jego, wtrąciła:

— Mylisz się pan i nie rozumiesz mnie, jeśli sądzisz, że mówię o ślubie. Nie. Ofiary przekonania nie uczynię, mówiłam to; co innego chcę zrobić.

Zatrzymała się i spojrzała znowu na Komnackiego, wyciągając doń rękę.

— Daj mi pan słowo, że to pozostanie między nami?

— Chętnie.

Zonia parasolik zarzuciwszy od niechcenia na plecy, przeszła się milcząca parę razy po pokoiku.

— Ewaryst się zamęczy, zabije ze mną — rzekła — czuję obowiązek porzucenia go. Niech myśli, co chce, a jeżeli mnie nie zrozumie i myśleć będzie źle o mnie, uzna mnie płochą, swawolną, tém lepiej, nie będzie szalonej kochanki żałował. Powiadam panu, on się zamęczy na śmierć, a ja zabójstwa przez miłość popełnionego na nim, nie chcę mieć na sumieniu. Wolę cierpieć, wolę ginąć!

Komnacki załamał ręce z niemém uwielbieniem, ale razem z pewném niedowiarstwem.

— Mam dużo siły nad sobą, gdy raz obudzę w sobie wolę. Pan wiesz, że w człowieku wola stanowi ós, na której się życie obraca; ja ją mam. Walczyłam z sobą i z miłością moją, z egoizmem namiętności, naostatek żal mi się zrobiło tego człowieka, puścić go muszę. Kochał mnie, ale był biernym zawsze w całych tych dziejach miłości naszej. Kochał mnie wprzód, nim się we mnie ta pasya dla niego obudziła; potem ja go uwiodłam, ja go rozzuchwaliłam, ja-m spoiła, ja-m uczyniła niewdzięcznym synem... Ja powinnam naprawić to złe, oddać tego człowieka samemu sobie i rodzinie. On może być szczęśliwy, wracając przez pokutę i skruczę nazad do owczarni, a ja w téj trzodzie zdechłabym z tęsknoty za górami i swobodą. Kocham go z całych sił duszy mojej, ale takiej ofiary uczynić nie mogę. Życie, chętnie. Gdyby jutro kazał mi się z sobą utopić w Dnieprze, bez namysłu, a do Zamiłowa — nigdy...

— Więc cóż pani myślisz począć? — przerwał Komnacki.

— A! to jest moja tajemnica! — uśmiechnęła się smutnie bardzo Zonia, patrząc w okno. — Ofiara postanowiona, wola niezlomna! — zawołała z bólem — a! panie! teraz gdy mi przychodzi spełnić ją, rozstać się z tém szczęścia marzeniem, stargać ten mój węzeł złoty, porzucić tego człowieka, przed którego sercem i charakterem dusza moja klęczała w uwielbieniu, gdy pomyśle, że nigdy nie usłyszę z ust jego słodkiego imienia: Zoniu, gdy powiem sobie, nigdy! panie, szalenie z bólu!

Zacięła usta, przymknęła oczy.

— Ale cóż jabym zrobić mogła dla niego, co tyle uczynił dla mnie, tylko to jedno! dam mu swobodę i wrócę spokój sumienia.

Oczy czarne, we łzach pływające, zwróciła ku Komnackiemu z pytaniem.

— Nie umiem pani powiedzieć więcej nie nad to, że mam dla niej poszanowanie najwyższe.

— Dziękuję — sucho odparła Zonia. — Tak — dodała po namyśle — ofiara wielka, ale aby się mniejszą wydawała, dodam, że fantazyja w niej udział ma także. Jestem nielitościwą dla siebie jak dla drugih; gdy wnijdę w duszę moję, widzę w niej jasno. Pomimo miłości dla Ewarysta, to życie z nim ciężyło mi, było pozbawione ruchu, powietrza, widnokręgu. On był nadto dobry i posłuszny, były chwile... — Tu przerwała i natychmiast dodała: — Więć, widzi pan, kropla egoizmu jest w tym kielichu goryczy i osładza go.

Komnacki nie śmiał pytać o szczegóły, ani o wyjaśnienie tego, co nazwała swoją tajemnicą.

— Mam pańską aprobatę? — zapytała.

— Uwielbienie — odezwał się Komnacki.

— Ani słowa Ewarystowi! — mówiła gorączkowo. — Ja sama jeszcze nie wiem, kiedy i jak to wykonam... Chciałabym na wiekuiste rozstanie wziąć z sobą tego szczęścia wspomnienie żywe... A! ust oderwać nie mogę od napoju, po którym męty i fusy życia mi zostaną. Lituj się pan nade mną i nie potępiaj mnie, choćby pozory przeciwko Zoni były. Spełniam ofiarę... Pamiętaj!

Podala rękę i wysła, drzwi zatraskując za sobą. Komnacki pozostał chwilę przestraszony, niepewny co począć i ciekawy... Nie mógł wytrzymać, by zaraz nazajutrz nie pójść wieczorem do Ewarysta.

Tu, tak wszystko jakoś zastał po dawnemu, Zonię tak ożywioną, tak wesołą, tak starającą się rozerwać chorążyca, iż zwątpił, aby to, z czem mu się zwierzyła, prawdą być miało.

Wziął to za wybuch jej bujnej fantazyi.

Najmniejszego znaku w mowie jej nie było, któryby dał wnosć, że zwątpiła o przyszłości.

Mówiła nawet o niej i uśmiech lałał po ustach. Jedno go uderzyło tylko, że wesołość Zoni była daleko bujniejszą, dziecinniejszą niż zwykle, coś w niej nienaturalnego znajdował. Czułość dla Ewarysta nigdy żywszą i jawniejszą nie bywała. On też zdawał się odżywiony i tego wieczora swobodniejszej myśli niż zwykle.

Na dzień następujący Zonia ułożyła projekt wycieczki w okolice, na którą zaprosiła Komnackiego.

— Ale nas troje będzie mało, trzeba młodego i weselszego żywiolu dodać trochę — wołała biegając. — Zaprośmy tego eleganta Zoryana, z którego się śmiać można, weźmy Francuza, którego blaga jest wyśmienita, a człowiek też dobry, gotowabym i Heliodorę spo-

ważniałą zagarnąć, ale zazdrośny wielce radca wprosi się z nią, bo jęj nie wierzy. Między nami mówiąc, ma racya, Heliodora się czasem zapomina... biedne stworzenie!

Ewaryst, choć doborowi towarzystwa rad nie był, lecz że zastąpić go nie miał czém, a wiedział, że to Zoni robiło przyjemność, na wszystko przystawał. Tegoż wieczoru zamówiono konie, rozesłano zaproszenia.

Zonia starała się upewnić, że Komnacki im nie chybi.

Pogoda na dzień następny zwiastowała się tęp pewniejsza, że wieczorem nadciągnęła burza gwałtowna z piorunami i w czasie jęj barometr zaczął się podnosić do góry. Powietrze więc miało być odświeżone, liście zieleńsze, pył przybity i natura w wypranych szatach.

Przepowiednia nie zawiodła, ranek nadszedł prześliczny. Zwykle obojętna na wygody życia i niebardzo o czém pamiętająca Zonia, tego dnia zdziwiła wymaganiami Ewarysta, którym mu trudno było uczynić zadość. Chciała mieć pasztety, szampana i wszystko, co najkosztowniejsze a najwytworniejsze.

Widząc, że chorążyc trochę się wahał, dodała rzucając mu się na szyję:

— Ten raz! mój drogi, kto tam wie, czy kiedy znowu zbierzemy się na taką hulankę wesolą. Wiesz, co rzymski poeta powiada: chwile chwytac trzeba. Tyle ich człowiek przepłacze... Ewarysiu! ten raz!

Chorążyc się nie opierał, pozwolił jęj wziąć, co chciała, co zamarzyła, i ostatek pieniędzy wydał na to, nie mówiąc, że nie wiedział, czém istotne potrzeby załatwi jutro.

Wszyscy goście zaproszeni stawili się, nawet w kwestyi będąca radczyni Majstrukowa, za którą w ślad szedł mąż pęcherzowato nądęty...

Wesołość towarzyszyła wyprawie. Wprawdzie na niebie oczyszczoném burzą druga się zdala zbierać zdawała, ale, zdaniem wszystkich, nie mogła ona przyjść przed nocą.

Przodem wysłana służba z zapasami tak wszystko w małej karczemce wśród lasu urządziła, że gdy powozy przybyły, szampan już był zmrożony, stoły nakryte i wszystko gotowe na przyjęcie...

Zonia do trzpiotowatości posuwała wesołość, ścisłała Heliodorę, bawiła pana Majstruka, śmiała się z Zoryana, a szczególniej nalegała na Francuza, aby on zastępował i wyręczał gospodarza, a do szaleństw pobudzał.

Panu d'Estompelles dwa razy tego mówić nie było potrzeba. Zaczął od tego, że do radcy się przysiadł, aby go spoić, co wprędce mu się udało, chciał toż samo uczynić z Ewarystem, ale ten miał po

ojcu staropolską głowę i mógł pić dużo, nie poddając się winu, które go nie upajało...

Zoryan, wielbiciel płci pięknej bez wyboru, tego dnia pozbawiony przedmiotu, do któregoby mógł wzdychać, bo Zonia go zbywała ostro, zwrócił trochę już zawróconą głowę ku wyświeżonej pani Heliodorze, która go przyjmowała po staremu, sympatycznie i kiedy—niekiedy tylko przestrzegala.

— Radca patrzy! uważajże! nie masz pojęcia jak zazdrośny!

— Niech patrzy, kiedy on już tak jak ja niewiele widzi—mówił Zoryan przysuwając się. — Oprócz pani oczek i białych zębów, ja już ośleplem na wszystko...

— No, widzisz — szepnęła Heliodora — gdy było można, to się nie umizgałeś, a teraz...

— Zawsze można!... — wykrzyknął aforystycznie Zoryan.

— A cichoż, zlituj się, radca słucha! — wołała Heliodora.

— Słucha, ale nie słyszy, daję słowo — kończył Zoryan—więcej pił niż ja, a mnie oprócz głosiku pani... nie już nie dochodzi.

Spóźnione te umizgi ładnego chłopca w najlepszy humor wprawiły Heliodorę.

Zonia przechadzała się, nalewała sama, wznosiła toasty, ścisła Ewarysta, ukradkiem coś szeptała Komnackiemu, naostatek gdy już późno być zaczynało, poczęła się kłócić o coś z Francuzem i śmiejąc się a spierając z nim, odprowadziła go na stronę.

Stała tak, aby ich widziano, ale we wrzawie rozmowy nikt nie mógł usłyszeć.

D'Estompelles szedł za nią, z twarzą mocno zarumienioną, co ją wcale piękną nie czyniło.

— Masz pan dobrą pamięć?.. — zapytała go nagle.

— Wątpisz pani o tém? — odparł Francuz.

— Nie, pytam...

— Słowa mojego nie zapominam nigdy, cudzego rzadko.

Rozmowa niezmiernie żywa się stawiała, jak rakiety wolanta latały słowa.

— Pamiętasz pan, com mu kiedyś powiedziała?

— Wszystko, com z jej ślicznych ust słyszał!

— Mówiłam raz, żebyś czekał.

Francuz się rzucił.

— Właśnie to czynię.

— No, a gdyby ta chwila, na którą pan czekać miałeś, nadeszła...

D'Estompelles o mało nie padł na kolana.

— Patrz na nas — odezwała się Zonia — udawaj pan, że się kłócimy.

— Na Boga! jaśniej, moja królowo... co każeś?

— Powiem panu najprzód, że mi się życie z Ewarystem znudziło, chcę zmienić teatr i rolę...

D'Estompelles, który tak radykalnego nic się może nie spodziewał, trochę się zmieszał.

— Pokryjomu ja nie nie robię nigdy—dodała dumnie Zonia.— Kochać pana, nie kocham, ale może, nawykniemy do siebie. Nie mam nic oprócz téj sukni co na mnie. Chcesz pan mnie wziąć i uciekać gdzie za świat do Paryża? *C'est à prendre ou à laisser*—dokończyła.

Francuz osłupiały stał, wytrzeźwiał zupełnie, chwilę niemy jak-koś i zmieszany zdawał się namyślać. Niepewność ta trwała pół minuty może. Zonia tego dnia była cudnie piękną, ubrała się z wielką elegancją, jakby chciała i potrzebowała się podobać. D'Estompelles oczarowany, zawołał:

— Uciekamy! dokąd chcesz? kiedy? jestem w pogotowiu. *A la vie et à la mort!*

— Dam znać kiedy — odezwała się Zonia, wyciągając rączkę drżącą ku niemu i bledniejąc.

— Słowo!

— Przysięga, jeśli trzeba.

— Gdzie słowa za mało, tam przysięga nie nie znaczy — dodała Zonia. — Gotuj się pan do podróży. Jeszcze raz muszę mu powtórzyć, nie mam nic oprócz sukni, którą włożę. Z tego domu nie godzi mi się wziąć nic! nie!

D'Estompelles w zachwyceniu patrzył na nią.

— Nie jestem bogaty, ale co mam, u nóg twych składam.

— Ja bogactwa nie potrzebuję, nawet ubogą być potrafię—dodała, idąc już ku towarzystwu Zonia. — Myśl pan tylko, abyś na dany znak był gotowym... Pojedziemy do Paryża.

D'Estompelles prędko podchwycił.

— Gdzie każeś...

Jeszcze raz zwróciła się Zonia ku niemu.

— Słowo?

— Najświętsze!

Szybkim krokiem powróciła z nim do stolika, chwyciła swój kieliszek szampańskiego.

— Piję zdrowie Francyi i szlachetnych a miłych jój dzieci!—zawołała.

Wszyscy wzięli kieliszki, tylko radea uląkł się politycznej aluzyi i trochę zatrzymał, lecz Zoryan, którego interesem było w téj chwili, aby pił jak najwięcej, dołał mu do szampa koniaku i zmusił do wychylenia. Poczém jak najserdeczniej się uściskali, co Heliodorze

zrobiło taką przyjemność, że się aż przechyliła z ławki, śmiejąc z tej serdeczności mężowskiej.

Komnackiego baczności nie uszła rozmowa na uboczu z Francuzem, ani toast wzniesiony, lecz położył to na karb jakichś układów o dalszą zabawę, której gospodarstwa podjął się d'Estompelles.

Chociaż chmura oddawna już zbierająca się na zachodzie, coraz przybierała groźniejsze rozmiary i momentami warczało w niej, nikt nie zdawał się widzieć, że nadchodziła.

Dopiero silna błyskawica i trzask padającego nieopodal w lasku piorunu spłoszył gości i zmusił uciekać pod dach. Zoryan skorzystał z zamętu i porwał Heliodorę pod rękę, uprowadzając ją, gdy radca niespokojny, a niebardzo nóg pewny, jeszcze się z za ławy, na której siedział, dobywał.

Jedna ciasna izdebka, przyciemniona teraz nadchodzącą nawałnicą, i alkiejzyk mały, służyły gościom za schronienie...

Po pierwszym uderzeniu piorunu, deszcz się puścił jak z wiadra i gromy zaczęły padać jedne po drugich z taką gwałtownością, iż rozmawiać było trudno. Po oślepiającym blasku błyskawic, następowały ciemności, wśród których radca napróżno oczyma szukał żony, mrużąc:

— Ale gdzież jesteś, Heliodoro?

Oprócz tego, skutkiem burzy i szampana, gdy siadł na ławie, tak gwałtownie spać mu się zachciało, że w końcu zdrzemnąć się musiał...

Zonia w jakiś stan niezwyčajny upojenia wprawiona została burzą, stanęła w progu z kieliszkiem i za każdym gromem, piła zniszczenia zdrowie.

— A! co za śliczny fajerwerk na zakończenie — wołała — czy mogła pięknie, cudownie się zamknąć ta biesiada? Pioruny! bijcie! choćby w nas!

Heliodora przeciwnie obawiała się ich i za każdym wykrzykiwała coś stłumionym głosem, na pół omdlała przechylając się w objęcia litościwego Zoryana. Radca drzemał...

Francuz stał zamyślony, jakby go wesołość niedawna opuściła nagle. Ewaryst był u boku Zoni, która mu rękę położyła na ramieniu.

— A! gdyby litościwy który uderzył teraz w nas dwoje! Co za śliczna, wesoła śmierć. Ewaryście! — zawołała, kłoniąc się ku niemu. — Ale pioruny są nielitościwe i głupie — dodała — biją w drzewa, trzaskają w wodę, mordują tych, coby żyć chcieli, a żaden nie przyjdzie, gdzie go biedny, znękany woła!

Deszcz powoli ustawać zaczynał i niebo się odświeżało na jaskrawo malowanym zachodzie. Czas i potrzeba było powracać do miasta...

Zonia sama jedna z Ewarystem siadła do najmniejszego powoziku, chciała być z nim. Radca śpiący, z żoną i Zoryanem zabrał się do drugiego, w trzeci siedli Komnacki i Francuz, który zdawał się niezmiernie znużony, ale zarazem szczęśliwy.

Pan Euzebiusz, żartując sobie z jego upojenia, bo tak tłómaczył dziwny wyraz jego twarzy, rzekł mu wsiadając:

— Wiesz, panie Henryku, wydajesz mi się tak, jakby w ciebie jeden z tych piorunów uderzył.

— Któż wie? — odparł Henryk — może!

Uśmiechnęli się, lecz na tém pytaniu i odpowiedzi skończyła się ich rozmowa, dojechali do Kijowa, nie przemówiwszy już do siebie; Francuz udawał drzemkę...

Nic potem nie zmieniło się w życiu Zoni i Ewarysta; nie można było w niej dostrzedz najmniejszego śladu myśli, które w sobie karmiła. Okazywała tylko czułość nadzwyczajną dla chorążycy i była momentami zadumana...

Jednego wieczora poskarżyła się na ból głowy przy herbacie.

— Wiesz, idź ty na dół do siebie — odezwała się do Ewarysta — ja się położę...

To mówiąc objęła go, uściśliła z całych sił, gorącemi usty dotknęła czoła jego i dodała:

— Dobranoc.

Chorążyc zszedł na dół, nakazując mileżenie ludziom.

Gdy wstał rano, wchodzący sługa na zawołanie, wydał mu się tak zmieszany, że go to uderzyło.

— Co ci jest?

— Nic mi, panie...

To mówiąc zająknął się, schylił i po pewnym namyśle rzekł:

— Pani niema.

— Jakto, niema? poszła na spacer? któraż godzina? — spytał Ewaryst.

— Nie, proszę pana, służąca powiada, że pani wyszła jeszcze wczoraj wieczorem, gdy się pan położył i nie powróciła. Na stoliku leży jakiś list.

Ewaryst jak oszalały poleciał na górę...

Wistocie na stole zapieczętowaną zobaczył kartkę, którą rozerwał z pośpiechem.

Stały na niej te słowa:

— „Daruj! dłużej żyć nie mogłam z tobą! Bądź zdrow! Przebacz wszystko. Nie goń za mną, zostaw mnie memu przeznaczeniu. Bądź zdrow!”

Drżącą ręką, niewyraźnie nakreślone były te słowa.

Stał nad niemi zdrtwiał Ewaryst, gdy wszedł Komnacki. Trzy-

mał w rękę papier, którym mu oznajmiła Zonia, aby zrana Ewarysta odwiedził.

Chorażyc rzucił mu się na piersi wołając:

— Niema jój!

— Wiem o tém — odezwał się Komnacki. — Mężna, choć obłąkana kobieta spełniła to, co sądziła obowiązkiem...

Nie będziemy malować tych pierwszych chwil tęsknoty i samotności, które dla chorażycy o mało nie stały się groźnemi. Parę dni snuł się po pustych kątach domu, chwytając co pozostało po Zoni, która nic nie zabrała z tego, czém ją obdarzał. Znikł tylko medalion Ewarysta, w którym były przez nią ucięte mu włosy.

Trzeciego dnia chorażyc położyć się musiał, wezwano doktora, który zawyrokował, że chory miał z zaziębnienia febrę niedobłą. Komnacki z własnego popędu napisał, oznajmując o tém Madzi i dodając, że Zonia, niewiadomo jakim sposobem, zniknęła, uchodząc dobrowolnie...

Wistocie Ewaryst ani dopytywał, ani się dowiedział, co się z nią stało, choć w mieście mówiono głośno, że uciekła z Henrykiem d'Estompelles, co ją ostatecznie w opinii publicznej zabiło.

Użalano się nad chorażycem, potępiano kobietę bez serca, niegodną tego szczęścia, jakie ją spotkało... D'Estompelles uchodząc zostawił ogromne długi i żadnego śladu, dokąd się udał, ani ochoty do zapłacenia ich. Jak się tam o nim wyrażano, nie będziemy powtarzali.

Tegoż dnia, gdy wiadomość o ucieczce Zoni rozeszła się po mieście, skorzystał z niej Zoryan i poszedł z nią do pani Heliodory w godzinie, w której rady w domu nie było.

Pani Majstrukowa zakrzyknęła naprzód: Nie może być! a to wariatka! Potém jednak dołożyła, że zawsze się po tój wietrznicy można było tego spodziewać, a ona uważała nawet, że z Francuzem pokryjomu dawno miała stosunki...

Rozmowa o Zoni tak długo się jakoś przeciągnęła panu Zoryanowi, że dopiero powrócił do domu pana radcy go wypłoszył.

Ewaryst leżał chory, a choć słabość nie zdawała się niebezpieczną, była tój natury upartój, o którą się wszelkie leki rozbijają.

Nadjechała pani chorażyna z Madzią.

Zawczasu, unikając zbyt wielkiego wrażenia, oznajmił Komnacki przyjacielowi, że się przybycia matki jego spodziewa, i gdy staruszka weszła przestraszona, zażawiona, niepamiętna tego, co się stało i co ucierpiała, Ewaryst podniósł się i płacząc padł w jój objęcia. Osłabienie wywołało te lzy.

O przeszłości mowy nie było. Chorażyna nie chciała o niej pa-

mieć i pragnęła, aby on także o niej zapomniał. Nie przyszło to łatwo...

Starania matki, powracający z wolna spokój ducha, dały Ewarystowi sił tyle, że mógł powoli być przewiezionym do Zamiłowa. Chciała tego chorążyna, wiedząc, jak do miejsc i do rzeczy wiąże się żywe a bolesne wspomnienia.

Madzi poleconém było zrobić, co chciała z tą pozostałością po siostrze. Weszła na górę zapłakana, aby przeczytać tam kartę historii serca ludzkiego, wypisaną tém, co jej towarzyszyło. Najmniejszy sprzęt, papier, książka, miały na sobie piętna przeszłości. Na książkach Zonia kładła przypisy i znaki, stare jej seksterna świadczyły o pracy tej duszy, chciwjej wiedzy i upojonej jedną jej wypitą kropelką.

Były tam i pamiątki krótkiego życia z Teofilem i ów czepczyk dziecięcia, które nie żyło, schowany gdzieś z listami. Jakby gardziła tém, co o niej powiedzą ludzie, Zonia nie zniszczyła nic, nie spaliła żadnego świstka...

Na Madzi te pokoiki robiły wrażenie mieszkania po umarłym. Wistocie była też ona dla nich umarłą.

Rozbudziła się litość w sercu dziewczęcia i żal jakiś zatracenia tych wspomnień wczoraj jeszcze drgającego życia; obowiązek jednak nakazywał rozproszyc to i zniszczyć. Madzia kazala wszystko sprzedać z licytacji, a grosz na ubogich oddala. Chorążyna znalazła to najrozumnieszém...

Zaproszono do Zamiłowa na pierwsze dni pobytu w nim Komnackiego, który, pomimo zajęć przykuwających go do miasta, przeprowadził Ewarysta.

Dokoła niego nikt nigdy imienia zniklój nie wymówił; unikano wszystkiego, co ją w jakikolwiek sposób przypominać mogło... Chorążyna jak była surową wprzód, tak się stała niewypowiedzianie czułą i dobrą dla syna. Serce macierzyńskie dawno mu przebaczyło.

Miał na sercu Komnacki, aby w jej opinii podnieść nieszczęśliwą Zonię. Jednego dnia począł opowiadać swą rozmowę z nią, ale starszka mówić mu nie dała.

— Przepraszam pana, ja o tém wiedzieć nie chcę! słuchać nie będę.

Usiłowanie to spelzło na niczém. Madzi tylko pocichu udało mu się szepnąć o tém, a biedne dziewczę zasromane nie zrozumiało rehabilitacji, która w jej przekonaniu niemożliwą była. Zmleczala, nie mówiąc słowa, nie mogła darować też siostrze, która chorążycowi zwichnęła życie, odebrała zdrowie, uczyniła go nieszczęśliwym.

Wstawszy z łoża i na pozór wróciwszy do zdrowia, Ewaryst nad

wiek wydawał się postarzałym i smutnym. Zajęcie około gospodarstwa i interesów nie dawało mu zbyt myśleć o przeszłości, lecz widać było, że to, co spełniał z obowiązku, niewiele go obchodziło. Automatycznie jakoś zabawiał się, pracował, czytał, chodząc z niestartą nigdy chmurą na czole.

Chorażyna wysilała się dla niego na nowe rozrywki, ściągała ludzi, uprzedzała najmniejsze zachcianki, życia mu młodzieńczego przywrócić nie mogła. Pozostał jakby pokutnikiem, noszącym na sobie pamięć i brzemień grzechu...

W cichym domu, z oczyma w ten posąg smutku (jak go zwała) wlepionemi, Madzia kręciła się, posługując staruszce i jej synowi. Czasem łza, patrząc na niego, zakręciła się jej w oku, ale z nią zaraz uciekała do kątki.

W parę lat po opisanych wypadkach, sąsiad Zamiłowa, pan Zenon Przetocki, który tam niekiedy bywał i Madzię widywać miał zręczność, a wiedział, że miała trochę grosza i wiele przymiotów dobrej żony i gospodyni, oświadczył się o rękę jej chorażynie.

Staruszka bardzo była za tém; zdziwiła się mocno, gdy zarumieniona Madzia, upadłszy jej do kolan z płaczem, prosić zaczęła, aby jej do tego nie zmuszała, że za mąż iść nie chce i nie myśli, a służyć jej będzie, zupełnie losem swym zaspokojona.

— Bardzo ci dziękuję, moje dziecko—odparła chorażyna — ale ja nieśmiertelna nie jestem; zostaniesz tu sama. Gdyby się choć Ewaryst ożenił, to-bys w domu pozostać mogła, ale tak, przy kawalerze... nawet nie będzie wypadało... Gdzież się ty podziejiesz? co pozcniesz?

— Moja dobrodziejko! — zawołała Madzia — jakbym tu pozostać nie mogła, na starość przysiadę gdzie u pańien miłosiernych i tak życia dokończę...

Łzy jej biegły z oczów, drżała tuląc się do chorażynnej, a powtarzając, że jej opuścić nie chce i nie może. Musiała stara zmilczeć i przeprosić pana Zenona, tłumacząc dziewczę wstrętem do małżeństwa...

Ewarysta chorażyna gwałtownie ożenić pragnęła, nie śmiano mu o tém mówić, nastęczano zręczności poznania młodych osób; matka intrygowała potrosze, niewidocznie; chorażyc grzecznie się zawsze wywijał tak, iż najmniejszej nie dawał nadziei, aby to kiedy do skutku przyjść mogło.

Po upływie lat kilku, matka otwarcie ośmieliła się go nakłaniać do tego.

— Choćbyś wielkiego serca nie miał — mówiła — przywiążesz się, samemu człowiekowi żyć niedobrze, nie będę mogła umrzeć spokojną o ciebie.

Opierał się Ewaryst i nierychło odpowiedział matce, nagradzając dawny swój upór, powolnością synowską.

— Dobrze, niech mi mama żonę wybierze i da, ożenię się dla matki.

Tak się stało, stara chorążyna wyswatała mu młodą, ładną, dobrą, powolną panienkę, która miała tę jedną wadę, że w niej duszy nie było...

Ewaryst przywiązał się do niej, jak do dobrego dziecięcia, które trzeba było prowadzić na pasku. Ożenienie jego Madzia oplakała pocichu, ale było ono dla niej rękojmią, że w domu pozostanie, że na swój ideał patrzeć będzie mogła zdaleka i poić się marzeniem dziecięcym...

Zmarła pani chorążyna. Madzia w tym samym pokoiku, który zajmowała za jej życia, pozostała pomocnicą młodej pani, z kluczami chodząc i wyręczając ją w gospodarstwie. Ewaryst był dla niej z przyjaźnią wielką, lecz od czasów Zoni, choć z twarzy mu jej nie przypominała, nosiła wspomnienie tej niezapomnianej i zbliżyć się nie mógł do niej, nie myśląc o zatraconej.

Głosem też czasem Madzia mówiła tak podobnym, że Ewaryst mimowolnie drgał cały i, aby go nie słuchać, uciekał...

O zbiegłej panie Raszkównie, nietylko w Zamiłowie nic nie wiadano, bo tu nic dojść nie mogło, ale i w Kijowie też nawet między dawnymi przyjaciółmi pana Henryka d'Estompelles, do których się on podobno odzywał, nikt nic nie wiedział... Znikła, jakby wpadła w wodę...

Pamięć tylko tej Tytanii została pomiędzy młodzieżą i stary Jewłaszewski, który dosłużył się wysokiego jakiegoś stopnia w hierarchii naukowej, w chwilach wynurzeń poufnych, opowiadał o niej z entuzjazmem, jako o istocie nadzwyczajnej.

— Nie podzielałem ja nigdy jej przekonania—mówił z powagą—bo była nadzwyczaj krańcową, lecz niepodobna było wigorowi jej umysłu i sprężystości charakteru się nie dziwić. Przewidzieć było łatwo, że coś tak przerosłego zginie marnie, bo to się utemperować nie mogło!

Kto te dni grozy i sądu bożego przeżył w stolicy Francji i był świadkiem ostatniej walki zrozpaczonej i oszalałej komuny, z wojskiem po części z niemieckiej już niewoli zbiegłym, mszczącym się na swoich za klęskę poniesioną od wroga; ten dni tych grozy i sądu nie zapomni, póki żywota.

Paryż przypominał ogniem bożym zniszczone grzeszne grody Wschodu, wielki kataklizm dziejowy spadł nań, jakby z niebios samych.

Komuna w konwulsyjnych, ostatnich drganiach wściekle się mściła za własne szale na wszystkim, co ją otaczało, chciała, aby z nią ginął świat, miasto, skarby, pamiątki, wszystko...

Paryż gorzał, na wieczorném niebie olbrzymią rozciągając lunę, płomienie i dymy buchały do góry, powietrze przejęte było zgorzelizną, smrodem petrołu, dymami prochu, wonią krwi, która rynsztokami pływała i w kałużach ścinała się po ulicach...

Trupy zalegały podwórza, barykadowały przejścia, rzędami stały oparte o mury, kupami wały się po ogrodach... Młodzież, starców, kobiety, dzieci, matki z niemowlętami u piersi widać było wśród tych stosów zwłok, nad którymi płakać nie było komu.

Na ostatni akt tej tragedii rozpoczętej orgiami regencyi i rozpustą Ludwika XV, spadała zasłona ognista...

Paryża w Paryżu poznać nie było podobna; byłoż to owo miasto wesela i uciechy, co śmiać się umiało gilotynie Robespiera i wchodzącym wojskom koalicji na gruzi cesarstwa? miasto, co wabiło świat ku sobie piosnką i rozkoszą?

Wyglądało jak gród zwyciężony i zdobyty, niestety, przez własne dzieci na własnych dzieciach, z przelewem krwi, w którym ni jedna, ni druga strona nie szczydziła ani kapłaństwa, ni starości, ani niemowlęstwa, ni słabości...

Prawda, że w tym szale całego tłumu, niewiasty stawały się żołnierzami barbarzyńskimi, a dzieci bohaterami.

Tego wieczora miasto było jak cementarz i trupiarnia straszne, a na czole miało płomień pożaru...

W małej uliczce, w sąsiedztwie zdobytego cementarza Père la Chaise, odegrywał się dramat, jakich ten dzień liczył tysiące. Kupka komunardów bronila się wścieklemu napadowi wersalczyków, podnosząc jeszcze nad głowami poszarpaną, zbroconą, zszarzaną jak łachman czerwoną chorągiew!

Przyparci do muru komunardy, wystrzelawszy ładunki ostatnie, strzaskawszy kolby na głowach napastników, stanęli bezbronni, czekając śmierci.

Na czele ich, w podartym mundurze jakimś, z twarzą zaognioną, z włosami rozczochranymi, z pianą na ustach, ze zgrzytem zębów, wykrzykując: „niech żyje komuna!“ stał człowiek lat średnich, niepomny już, że śmierć była przed nim.

Oczy krwawe zdawały się wyskakiwać z powiek, twarz powalana prochem, ręce pomazane krwią, odzież poszarpana od kul i cięć, świadczyły, że walczył już oddawna.

Gdy reszta towarzyszków jego próbowała przed naciskającym batalionem wersalczyków ocalić się, drapiąc się na mur, do którego była przyparta, on jeden stawiał czoło kulom i bagnetom bezbronnej, nie myśląc o ratunku. Urażał się śmierci, miał tę gorącą broń, w której się zapomina o życiu, o sobie, staje się dzikiem zwierzęciem.

Ze schryplych piersi buchało tylko ciszej coraz: „niech żyje komuna!“ na uragowisko żołnierzom, których bagnety do piersi jego wymierzone były...

Z drugiego rzędu nagle grad litościwych kul posypał się na niego, szalenciec podskoczył w górę, zakreślił się, jakby śmiertelnym tańcem i miał paść na ziemię, obłany krwią z ran kilku, gdy bagnety wbiły się w piersi i boki i drgającego trupa zatrzymały w powietrzu.

Widać było strumień krwi, który z ostatnim wykrzykiem buchnął mu z ust i potoczył się na piersi obnażone.

On i chorągiew padli razem na ziemię, a jeden z żołnierzy porwał zdarte znamię, poszarpał je w kawałki i wrzasnął:

— Precz z tym zbroconym lachmanem!

W jednej chwili garstka komunardów zmieniła się w stos trupów. Z wściekłością od tych szaleńców niemniejszą wersalczycy dobijali bezbronych. Co jeszcze stało przy murze, to rozmiżdżone kolbami runąć musiało na ziemię. Dopóki jęki i technienia słyhać było, zwycięscy bili i dobijali, pastwiąc się nad trupami jeszcze. Szał mordu ich ogarniał, zdało się im zamało tych poległych, szukali oczyma ofiar nowych...

W oknie domostwa, którego żaluzje były pospuszczane, ukażała się głowa kobiety obwinęta chustą; żołnierz jeden na cel ją wziął ze śmiechem, świsnęła kula i trup zawisł głową i rękami z okna.

Śmiech się dał słyszeć w szeregach zwycięzców, pijani byli krwią obrońcy porządku.

Dowódzacy niemi podporucznik, niedawno z Niemiec wrócony, jako jeniec zpod Sedanu, zawołał wreszcie na żołnierzy, aby szli za nim szukać ofiar nowych.

W kupie trupów nie poruszało się już nic, nie było życia, nie było nawet można rozemnać ciała zlepionych w jedną masę nieforemną, polaną krwią czarną, zбитych kolbami w olbrzymie gnojowisko...

Mur, przy którym się odegrała ta scena sturamiennego dramatu, pomalowany był bryzgami krwi, poznaczony odciskami dłoni i palców krwawych, które przyległy do niego...

Jak na uragowisko téj tragiedyi rozlewu krwi bratniej, zpod

plam świeżych wyglądały napisy i rysunki stare, brzmiały wesołością i rozpustą. Krew zamazywała ślady bezbożności i swawoli...

Kupka żołnierzy, dysząc jeszcze mordem, upojona łatwem zwycięstwem, biegła po nowe laury, szukając, na kimby je zbierać mogła...

Kątek, który niedawno był teatrem zażartej walki, już w mroku nocy zalegała cisza śmierci.

Odblaskiem luny tylko oświecone były trupy, pobojowisko, mur, droga i suche gałęzie drzew, zwieszane nad oszarpaną zagrodą.

W dali słychać było, czego może ucho ludzkie drugi raz już nie usłyszy razem, krzyki i strzały i śpiewy przedśmiertne i wołania ginących i trzask płonących budowli i grzmot walących się murów. W głębi — głucho odzywały się działa jak dzwony żałobne...

Walka rozpaczliwa dogorywała... Ulice zajmowały patrole wojskowe, na placach obozowały regimenta; pod palacami się gmachami rozstawiały się szeregi nadbiegających zwycięsców. Tu i owdzie za uciekającą gromadką goniły strzały i ludzie; gdzieniegdzie rozpaczliwa ręka rzuciła ogień i lała pokarm płomieniom...

Domy stały zamknięte jak trumny...

W jednej z uliczek, wiodących ku murom krwawym, w mroku nocnym, na progu lichego domostwa pokazała się kobieta. Z ubioru, na pierwszy rzut oka, wziąć ją było można za proste dziecko ludu; twarz zdawała się mówić o innej przeszłości.

Na krótko uciętych włosach czarnych miała zawiązaną chustkę jedwabną, niedbale, zapewne nie dnia tego, bo ją ruch poskręcał i zsunął, na sobie suknię czarną, zszarzaną, na piersiach chustkę, której węzeł niedbale splełany zwieszał się na plecach. Zbłocone pończochy, wykrzywione obuwie nie jeden już dzień okrywały jej drobne nogi. Ręce miała obnażone do pół, chude i zwiędłe, ale na twarzy oświeconej luną pożaru dziwny wyraz energii, szalu, niepokoju, dzikości...

Twarz ta, piękna niegdyś, dziś jeszcze była zastanawiająca siłą, która z niej tryskała oczami ognistymi, zmarszczoną brwią, czołem pofałdowanym, ustami zaciętymi dumnie. Jakby wypchnięta rzuciła się ze drzwi domostwa, stanęła w progu, obejrzała się dokoła, położyła rękę do serca, nastawiła ucho na szum i gwar daleki. Spojrzała ku niebu, na którym jak olbrzymia zasłona, wahała się luna krwawa...

I widać było przebiegającą po jej licu grozę tego widowiska, jakby mściwą z niego radość. Niepewna czy ma iść dalej, wysunęła się do pół ulicy; noga jej ośliznęła się na bruku; spojrzała nań i dostrzegła kałużę ciemną. Cofnęła się...

W mroku tuż widać było bielejące ciała... Legły one tak, jak je położyły kule, jedna na drugich, zastygłe w ostatnich życia drgnieniach.

Z ciekawością pochyliła się kobieta nad zwłokami rozstrzelanych... Jeden z nich twarz miał obwisłą włosami, odgarnęła je, popatrzyła i cofnęła się...

Dalej w uliczce ich było... Na chodniku leżał zabity pies, którego nie oszczędziły kule.

Nieśmiałym krokiem, przysunawszy się do murów znowu, kobieta szła, jakby przekradając się dalej, szła wzdłuż domów zamkniętych, pustych, w których najmniejszego śladu życia nie było...

W miarę jak się posuwała dalej, krok jej stawał się żywszym, niepokój większym, szukał oczyma tego kątką, w którym przed małą chwilą wrzała walka...

Róg ulicy jeszcze go jej zakrywał, a słaby odblask łuny ledwie się dozwalał kierować, wśród zawad różnych, kałuż i gruzów, które chodnik i ulicę zawałowały...

Stanawszy w rogu, kobieta rzuciła oczyma wprawo i lewo... Wlewo biegła uliczka pusta i wymarła.

Zdała rozeznac go nie było łatwo... Na ciemnym tle poszarpanej odzieży i zaschlęj krwi kawałkami gdzieniegdzie bieleły już żółkłe trupie piersi, ręce, nogi i twarze. Jakiś instynkt wskazał jej ten kąt czarny...

Opierając się o mury, sunąc się zaczęła ku niemu. Szła to gorączkowo przyspieszając kroku, to zdając się wahać i lękać. Niekiedy na sercu machinalnie kładła rękę, aby mu nie dać bić zbyt gwałtownie i głośno.

Długi czas wlokła się tak do rogu murów, aż przed trupami stanęła. Zaciśnięła ręce na piersiach i patrzyła w nie okiem ośleplém.

Schyliła się potem zwolna.. drgnęła i padła. Na wierzchu zaświeciła jej twarz znana...

Zdawała się nie wierzyć widzeniu i snuła się po niej oczyma, aż drżące ręce wyciągnęła ku zwłokom i głowę zabitego podniosiła.

W tej chwili buchnęły gdzieś zdała płomienie pożarne i blask ich powiał po trupach.

Kobieta krzyknęła, w świetle tém poznała twarz, której szukała. Była okropną, kula jedna przedziurawiła jej czoło, druga na wylot przeszła policzki. Usta w ostatnim krzyku, krwi zgęstłej pełne, otwarte, zastygły...

Zwolna położyła kobieta podniesioną tu głowę i zapatrzyła się w nią.

Z oczów jej żadna łza nie pociekła, usta skrzywiły się ironicznym

uśmiechem, jakby znalazła tu miejsce dla siebie przeznaczone, usadowiła się u nóg trupa, na drugim trupie.

Ze wzrokiem wlepionym w zbroczoną głowę, martwa, została tak nieruchoma. Co myślała i czy myślała co?.. można było zważyć, że żyła nawet, gdyby nie drgania jej ciała i spadanie na piersi głowy...

Trwało to, nie wiedziała jak długo. Schyliła się raz jeszcze do zwłok i oburącz dźwignąć je chciała, lecz ciężar ich i ją obalił. Zerwała się i siadła znowu.

Noc tymczasem płynęła.

Mróz przeszedł po ciele skostniałym kobiety; wstała i zaczęła isć żywo, oglądając się za siebie.

Nie wiedziała, gdzie szła, lecz zdawało się ku miastu, nasłuchując krzykom i jakby ich szukając. Parę razy zwróciła się ciasnemi przejściami tam, skąd one pochodziły...

Szła coraz żywiej, bo los zdawał się jej przeciwieć; głosy, które goniła, uciekały przed nią. Szła jakby pustynią wymarłą, wszędzie widok ten sam, zamknięte domy, trupy u ścian, kałuże krwi, kupy niepogrzebionych zwłok, gdzieniegdzie barykada rozwalona, strzaskane działo... Cisza w pobliżu, gwar dziki w dali...

Chód jej zmienił się w bieg, ale tehu brakło do pędzszego ścigania, oprzeć się musiała o ścianę i spoczywać. Potem zaledwie cokolwiek odzyskawszy siłę, biegła znów dalej.

U zbiegu ulic kilku, dobiegła placyku. W pośrodku jego palił się ogień, żołnierze na ziemi leżące obozowali.

Spostrzegłszy to widmo, wychylające się z nocnych mroków, jeden z żołnierzy krzyknął:

— Petroleza!..

Nie wstrzymało to jej w pochodzie. W tém oficer, który na ziemi spoczywał, wstał i zbliżył się ku niej.

Był to młody człowiek, na którego twarzy rzadki tego dnia malował się smutek i groza. Widać w niej było litość, jakby wstydzając się siebie.

— Po co tu idziesz?.. — cichym głosem odezwał się do wprost ku niemu zmierzającą.

Kobieta stanęła, ręce zakładając na piersi i śmiało w oczy patrząc pytającemu.

— POCO tu idziesz?.. — powtórzył niecierpliwie młody oficer, nogą uderzając o bruk.

Żołnierze jego z dziką żądzą krwi popodnosili głowy, czekali odpowiedzi. Kobieta zwlekała z nią, bo usta jej zeschłe, spalone, głosu wydać nie mogły.

Oficer miał się czas jej przypatrzeć; zdawało się, że wyraz twa-

rzy, postawa, rozpacz, jaka się w niej malowała, poruszyły mu serce; wskazał jej uliczkę sąsiednią, aby uchodziła.

Kobieta stała uparcie.

— Czego chcesz?.. — powtórzył oficer, widząc, że niektórzy z żołnierzy wstawali już, radzi nową pochwyć ofiarę.

— Czego chcę?.. przychodzę prosić was, abyście mnie rozstrzelali! — odezwała się przybyła.

W akcencie jej mowy paryżanin poznał cudzoziemkę.

Zbliżył się ku niej z tém żywszą ciekawością.

— Waćpani nie jesteś Francuzką?.. — zawołał.

— Nie, ale poślubiła sprawę Francji i komuny... Powinniście mnie rozstrzelać.

Żołnierze zaśmieli się śmiechem dzikim i niektórzy z nich postawiali oficer nakazał im spoczywać. Nie bardzo go słuchano. Pragnął ocalić tę ofiarę, która mu się narzucała sama.

— Kuli mi żalujecie? — odezwała się kobieta—starczy wam ich przecie, z Niemcami już się bić nie potrzebujecie, a z naszego obozu zostało niewiele...

Szydersko wybuchnęła śmiechem.

— O! jak przeciwko komunie byliście dzielni, wy, coście Niemcom tysiącami zabierać się dali!

Oficer z obawy, aby nie rozdrażniła żołnierzy, nakazał jej milczenie gwałtownie, chwycił za rękę i odrzucił ją opodal nieco na stronę.

— Milcz i idź! — krzyknął wściekły.

— Czemu mnie nie rozstrzelacie?.. nie macie litości!..

— Boś szalona, kobieto! — wołał oficer — a waryatów nase-
ryo francuski żołnierz nie bierze...

— Przecie cała komuna była domem waryatów jak ja!—zaśmiała się kobieta, a nie mieliście litości nad nią, nie miejcież jej nade mną...

— Precz! — wołał uparty oficer.

— Pójdę więc do Sekwany! — odezwała się szukająca śmierci. Na młodym oficerze twarz sympatyczna i głos ten boleści a rozpaczony pełen, coraz większe zdawały się czynić wrażenie.

Dał znak jednemu z kapralów i poszeptał mu coś na ucho.

Kapral groźnie przystąpiwszy do oczekującej, chwycił ją za rękę i powiódł za sobą.

Szła za nim posłuszna, spodziewając się może śmierci, gdy kapral zastukał do bramy na rogu uliczki stojącego hoteliku, uderzył potem palaszem we drzwi, zaklął po żołniersku i gdy się te otworzyły wreszcie, wepchnął w nie kobietę.

Gospodarz zbladły stał w progu.

— Odpowiesz mi za nią głową twoją — zawołał kapral — zdaję ci ją, to jedna z naczelnik petrolez; poręcznik kazał mi ci ją pod straż oddać. Naznaczysz jej pokój taki, aby ani oknem skoczyć, ani uciec nie mogła; daj jej co trzeba do jedzenia.

I powtórzył znowu:

— Odpowiadasz za nią głową.

Oberżysta z obawą spojrzawszy na kobietę, ze wstrętem jakimś, natychmiast ją wprowadził do dolnej izby, która miała u okna kraty.

Stało w niej łóżko, stół i parę krzesel.

Uwięziona obejrzała się obojętnie, instynkt ludzki rzucił ją na łożo, a nim gospodarz wyszedłszy wrócił z butelką wina i chlebem, kobieta spała jak kamień.

Sen ten mógł być śmiercią, tak był cichy i głęboki.

Gospodarz z przerażeniem przyłożył ucho do jej ust, oddech zaledwie czuć było... Żył jednak...

Nim dzień się zrobił, z placyku przed oberżą wywołano wojsko, które gdzieindziej wyciągnąć miało. Oficer wstąpił po drodze szepcząc coś gospodarzowi, któremu na rękę wrzucił parę dwudziestofrankówek. Stary Francuz głową tylko potrząsł, zrozumiał.

Gdy około południa podniosła się przebudzona kobieta i z podziwem znalazła się żywą jeszcze, chciała natychmiast wyjść, lecz drzwi były zamknięte. Na stukanie do nich zjawił się otyły oberżysta, klnąc, że mu spokój przerywano.

Surowo i groźnie obchodził się z uwięzioną.

— Siedzieć mi spokojnie! — zawołał — mam wydane rozkazy, aby was nie wypuszczać.

Zburezawszy ją tak, zamknął, a po chwili przyniósł śniadanie, które łając na stole postawił i odszedł.

Długo na nie patrzyła kobieta z jakimś wstrętem i osłupieniem; instynkt pokierował jej ręką, zaczęła jeść. Chciała umrzeć, lecz głodu znieść nie mogła.

Taksamo gderząc dał jej obiad oberżysta, trzymając ciągle na klucz zamkniętą.

Dni kilka upłynęło. Po Paryżu zdobytym czyniono poszukiwania najtroskliwsze resztek komunardów, które pędzono na sąd, na rozstrzelanie, na wygnanie zabójcze.

Zemsta była straszliwą.

Gospodarz co godzina musiał się spodziewać, że mu tę kobietę zaborą; nikt nie przychodził po nią. Milcząca ta, groźna, ponura, dumna winowajczyni, samém nieustraszoném męstwem zjednała sobie sympatyę Francuza. Starał się z niej wyleczyć się przypomi-

nając sobie, że była petrolezą wściekłą, nie pomagało to, czuł litość nad nieszczęśliwą.

Zmusiły ją prawie sługi, aby poszarpane zmieniła suknie, a gospodyni przysłała jej swoje. Biernie posłuszna kobieta dawała z sobą robić, co chcieli. Siedziała po całych dniach u okna, patrząc oczyma wygorzałemi w ulicę, zawsze niema.

Lecz zwolna w tém więzieniu ostygła gorączka, serce chłodło, a może i chęć do życia wracała.

Jednego wieczora zjawił się oficer, który ją sobie przypomniał, Miała twarz, którą zapomnieć trudno...

Zapytał gospodarza, co się z nią działo.

— Siedzi milcząca i jak trup biała — odparł, ramionami dźwigając oberżysta — trzech słów nie odezwała się do mnie.

Otworzono izdebkę; młody porucznik wszedł; nie wstała zobaczywszy go. Siadł przy niej na krzeselku, długo w milczeniu wpatrując się w jej twarz jeszcze piękną, a teraz rozpaczą i zwątpieniem dziwnie upoetyzowaną.

— Przyszedłem pani dopomódz, abys się ocaliła — rzekł oficer. — Miałaś czas ochłonąć, musiałaś kogoś utracić w tej nieszczęsnej walce... Teraz, gdy pierwszy ból przeminał, gdy wróciła ochota do życia, powiedz pani, co dla niej uczynić mogę.

— Wy? dla mnie? — odparła kobieta. Ja nie żądam nic, ani nawet życia. Sądzicie, że darowując mi je, zrobiliście łaskę? Nie! tylko przeznaczeniem mojem, ażebym umrzeć nie mogła nigdy, gdy tego najwięcej pragnę. Ale cóż zrobię z tym waszym darem? — dodała boleśnie i szydersko. — Ja już nie wierzę w nic, na świecie nie mam nikogo!

— Możecie wrócić do waszego kraju?

— Ja! — rozśmiała się — nigdy! Prawda, odjęliście mi ochotę śmierci, ale nie dali pragnienia życia. Cóż dalej?

Oficer, którego wyrazy jej coraz więcej poruszały, przekonywając, że kobieta do innego musiała należeć świata, niż sądził w początku, tém się stał litościwszym.

— Powiedz mi pani, co dla niej uczynić mogę?

— Ja nie wiem sama — odpowiedziała obojętnie.

— Kogoś przecie mieć musisz tu w mieście?

— Żywěj duszy; jedyny człowiek, który mi nie był obcy, poszedł do komuny i dał się zabić za nią. Tam! w rogu uliczki... widziałam trupa jego...

Spojrzała w okno.

— Nie mógł szczęśliwiej skończyć — dodała — ale ja?...

Porucznik był zakłopotany; kobieta bystro nań spojrzała.

— Oddaj mnie do Wersalu, tam ja sobie kulę uproszę...

— Nie! to nie może być! — zawołał wojskowy. Okryj się pani czém i idź ze mną, znajdę dla niej schronienie. Potrzeba żyć.

Posłuszna, z obojętnością jakąś dała się przyodziać kobieta z pomocą oberżystki, która dość chętnie usiużyła jęj kapeluszem i okryciem. Oficer podał jęj rękę; wyszli.

Wieczorem, nasza nieznajoma, w której czytelnik łatwo się domyślił Zoni, znalazła się w małym kółku kobiecém, któremu poleconą została przez porucznika.

Z pewną trwogą, ale litością razem patrzyły na nią te panie i dzieci. Siedziała ciągle martwa i milcząca, posłuszna i obojętna, dając z sobą robić co chciano.

Trzeciego dnia oswoiły się z nią pierwsze dziewczątka domowe. Chodziły one koło nięj długo, nim się przystąpić ośmieliły; jedna z nich sparła się na kolanach, patrząc w oczy, druga z boku się przyglądała. Od cichego szczebiotania zaczęła się znajomość, przez te dzieci pojednała się z życiem znowu. Wieczorem na kolanach trzymała dziewczynkę i szeptały coś z sobą poufale. Nazajutrz zawiązała się przyjaźń wielka, a Adolfinka bez swęj pani kroku zrobić nie chciała.

Matka odciągała ją w początku, zostawiła potém jako pociechę biednej smutnej cudzoziemce.

Ta tylko z dziećmi obcowwała, ale tak pilno chodziła koło nich, że się im i domowi stała potrzebną. W małym ogródku zastał ją porucznik biegnącą z Adolfiną.

Kilka lat upłynęło i poszukiwania komunardów powoli ustawały, nie było szczęściem komu denuncyować biednej Zoni. Przy dzieciach nie chciała zostać, choć je kochała.

Głos wewnętrzny mówił jęj czasem:—Któż wie, czy tą trucizną, którą w sobie noszę, nie zatrulabym ich młodych serc i główek...

Za pośrednictwem porucznika, który się do ocalonej przywiązywał codzien więcej, znalazła Zonia pomieszczenie, które dla siebie najstosowniejsem uznała, przy redakcyi jakiegoś dziennika.

Wielki przyznawano jęj talent, bo we Francyi odwaga pisarza często zań starczy, a Zonia miała jęj więcej niż drudzy. Pisała z ogniem, choć mówiła, że nie wierzyła już w nic, nawet w niewiarę, zapal ją porywał i unosił do dawnych marzeń, stawał w ich obronie gorąco...

W tém zyciu spokojniejszym, zwolna piękność i trochę świeżości

wróciło. Porucznik, który często u niej spędzał wieczory, coraz więcej się nią zachwycał. Jednego wieczora oświadczył się jęj z gotowością ożenienia.

Zonia popatrzała nań zdumiona i potrzęsała głową.

— *Allons donc!* — zawołała — ot tobym się wam odwdzięczyła za ocalone życie, zatruwając wasze?...

Podala mu rękę.

— Przyjaciółką waszą do śmierci, ale żoną?... Co za myśl, poruczniku! Cheiałbyś mnie poprowadzić przed księdza, do ołtarza, kazać przysięgać! To się moim zasadom sprzeciwia... a potem! zobaczylibyście, jakbym się wam prędko sprzykrzyła. Dziękuję, zostańmy, jak jesteśmy!

O dalszych jęj losach nie wiemy, ale z pewnością pisze jeszcze gorące artykuły do republikańskiego dziennika... a po obiedzie, mówią, pije czasem trochę absyntu z wodą, który bardzo lubi.

K O N I E C .



1770/3

SPIS RZECZY.

	Str.
Wstęp krytyczny, przez <i>Piotra Chmielowskiego</i>	v
Boża Czeladka	1
Szalona.	413

INSTITUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat 72
00-240 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

F
1770
3.